This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Slav 7115.1

THE SLAVIC COLLECTION

Harvard College Library

GIFT OF

Archibald Cary Coolidge, Ph.D.

(Class of 1887.)

Received ~~2 October,~~ 1 July 1895.

Slav 7115.1

II

DZIEŁA

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

PRZEJRZANE I POPRAWIONE

PRZEZ

AUTORA.

TOM X.

BRACIA ŚLUBNI (*dokończenie*).

SODALIS MARIANUS.

WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA.

ulica Nowolipki Nr 2406 (3).

1875.

DZIEŁA ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

DZIEŁA

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

PRZEJRZANE I POPRAWIONE

PRZEZ

AUTORA.

TOM X.

BRACIA ŚLUBNI (*dokończenie*).

SODALIS MARIANUS.

WARSZAWA.
NAKŁADEM i DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki Nr. 2406 (3).
1875.

Slav 7115.1

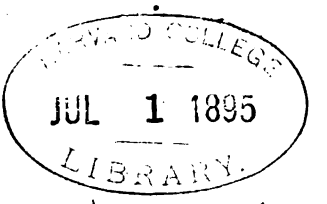

Dr. A.C. Coolidge

BOUND JUN 30 1911

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Апрѣля 1875 г.

Bracia Ślubni.

(Dokończenie.)

XIII.

Kiedy burza ma nagle uderzyć o ziemię, jeszcze ani jednéj chmurki nie widać na niebie, a już ją umié przeczuć wszelkie żyjące stworzenie. I człowiek nawet, który wysoko się wzbiwszy swoim rozumem i sztuką, całkiem już zabił w sobie wrodzoną umiejętność rozmawiania z naturą, także jeszcze jest w stanie rozeznać takie wstępne przegrywki przed rewolucyami żywiołów. Wtenczas bewiem, lubo piękna jeszcze do koła panuje pogoda i głucha cisza osiada na ziemi, jednak nad nią szum jakiś straszny daje się słyszéć w powietrzu; grają wichry ze sobą gdzieś w górze, jak gdyby próbowały sił swoich wprzódy, zanim w szranki wystąpią, a któren z nich tam zwyciężony zostanie pod błękitami, pada z świstem na ziemię, a kędy padnie, rozpryskuje się przed nim na wszystkie strony piasek, jak woda przed rzuconym w nią głazem, ścielą się na ziemię zboża i trawy, opadają z liści drzewiny. W takiéj chwili przestaje bydło skubać trawkę pastewną, wznosi mordę do góry, ogląda się niespokojnie i z rykiem często z paszy ucieka do domu. Ptastwo polne się zrywa, odyma piérze i krążąc po powietrzu, ucieka ku lasom, jaskółki wartko szybują powietrze i kryją się do swych gniazdek, psy, pospuszczawszy ogony, wietrzą dokoła domów i wyją, a słońce, coraz bardziéj mdlejące, coraz czerwieńsze rzuca na konającą pogodę promienie.

Takie chwile, pełne duszności i niespokoju, poprzedzają nieraz spaść na nas mające nieszczęścia. Nie są one nam jasne, nie przemawiają do nas zrozumiałym językiem, nie są to duchy powstające z familijnych grobowców, ażeby przepowiedzieć wnukom

nieszczęścia i przestrzedz przed niemi; ale są to raczéj ciemne, złowieszcze przeczucia, są to owe gwiazdy czerwone z miotłami, które dawnych czasów przepowiadały pomory, głody, śmiercie królów i wojny.

Taka chwila niedobrego przeczucia nawidziła z wiosną pana Dzianotta. Zrzucił on z karku swego co najważniejsze ciężary, umniejszył sobie starań i trosków, i na pewnym gruncie najpię- kniejsze na starość wybudował sobie nadzieje; a tymczasem właśnie teraz, kiedy córkę wydał daleko lepiéj za mąż, niżeli się ostatniemi czasy spodziéwał, kiedy syn jego już ręką mia dosięgać jakiegoś znakomitego urzędu, kiedy gospodarstwo jego umniejszywszy sobie wydatków, miało iść kilkakroć lepiéj, kiedy nakoniec miały nadchodzić chwile spokojnéj starości i za trudy całego życia nagrody, umysł jego jakoś sposępniał, z niewia domych przyczyn zniepokoiło go serce, ciężki i jednostajny smu tek osiadł na jego dworze, a do tego jeszcze każden dzień nowe przynosił ze sobą zgryzoty.

I nie umiał sobie pan Dzianott zdać sprawy z tych niespo dziéwanych wypadków. Rachuba jego go omyliła i wszystko ja koś się kierowało inaczéj, niżeli kierować się miało; ale dlaczeg tak było, kędy była omyłka w rachubie, tego dojść nie mógł n żaden sposób. On, któren przenikliwym swym wzrokiem niera mury przebijał, który uchem słyszał o kilkanaście mil naokoło który rozumem swoim przez kilkadziesiąt lat tak umiał miarę za chować we wszystkiém, że nawet wątpliwa była o jego charakte rze opinia w powiecie; dzisiaj chodził jak głupi i jednéj cyfry na przód nie umiał postawić. A im więcéj myślał nad sobą, tém g to myślenie więcéj konsternowało, tém większa trwoga go ob imała, tém cięższe opanowywało zwątpienie. Chociaż gdyby na tenczas tylko raz się był po za siebie oglądnął, to byłby ujrza jasno, że nic złego właściwie nie było w nim, ani przed nim, ar po za nim; ale on wlazłszy już raz w obłędne koło swoich prze czuć i myśli, brnął w nich coraz głębiéj i coraz bardziéj ze sob samym się gmatwał, i nie było już dla niego ratunku. Raz na t drogę wyszedłszy, gdyby nim nawet żadne nie wstrząsły nieszczę ścia, nigdyby już do swych dawnych sił i czerstwości nie wróci i jużby był spróchniał w nieruchomości i powalił się od własneg ciężaru.

Tak ludzie, wierzący w gwiazdę swojego szczęścia i niezwy kłemi drogami do niezwykłych dążący celów, pędzą niepowstrzy maną siłą naprzód jak strzały. Z okiem patrzącém w przyszłość póki biegną przed siebie, najgwałtowniejsze zapory ustępują prze ich palca skinieniem, a żywioły przeciwne jeszcze im zwirują gę ściniec. Raz tylko niechaj trącą o myśl obłędną, raz niech się p za siebie obejrzą, skamienieją na miejscu i już nic im więcéj ni trzeba, aby runęli w tę samę nicość, z któréj wiarą swoją się wy dobyli. Takim atoli chwilom zwykle jeszcze w pomoc przychodz

złe losy, nieszczęścia, wypadki, a siły niegdyś na odporność skazane, stają się czynnemi i przyśpieszają ostateczny upadek.

Gra życia pana Dzianotta nie była tak pełną i niezwyczajną, ażeby bardzo głośnym miał być jakikolwiek jéj ustęp. Tu się toczyło to wszystko na bardzo malutką skalę, co u innych bywa toczoném na wielką, ale i tutaj jednak konieczność odegrała zwyczajną swą rolę. Chwila jego zastanowienia się w pędzie tego sztucznego życia, chwila namysłu nad sobą i zmienienia dawnego trybu sterowania swą łódką, ubezwładniła w nim wszelką siłę żywotną, pokrzyżowała wszelkie dawne drogi i ścieżki, postawiła odrazu nad przepaścią moralnego i materyalnego upadku, a tuż zaraz w pomoc się pojawiły nieszczęścia.

Jakoż zaraz na wiosnę zaniemogła żona jego zupełnie. Posłano po lekarzy, podwojono starania, ale śmierć już stała u łoża.

Spokojnie, bez skarg, bez jęków, błogosławiąc swą córkę i żegnając się z mężem, umarła ta pani z początkiem maja. Julia była nieutuloną w żalu, płakał rzewnemi łzami pan Dzianott.

Kiedy już była wszelka pewność że umrze, posłał on sztafetę do Warszawy po syna, a kiedy umarła, rozesłał po całéj okolicy listy zapraszające na pogrzeb. Pakosz wszakże wymówił się obowiązkami służby, niedawno co branym i przetrzymanym urlopem, a nawet coś wspomniał o zmienieniu się dla niego jw. ministra, a więc i o wynikającéj ztąd potrzebie podwojenia pilności i nie przyjechał; ale szlachta także nie przyjechała na pogrzeb. I odbył się ten obrzęd tak ponuro, tak smutno, że wyglądał prawie jak łowczycowe wesele, a nie było to we zwyczaju tamtemi czasy. I najnędzniejsze to już było ubóstwo, kto nawet gości miéć nie mógł na stypach. Czuł to całém sercem pan łowczyc i srodze był smutny i zindygnowany na tym pogrzebie, ale czuł to także i teść jego i rwał sobie włosy z głowy, nie tyle z żalu za żoną, ile z bólu nad sobą.

Ale na razy takie, które komuś zadaje opinia publiczna, niémasz podobno ratunku; nie pomoże tam ani płacz, ani jęk, ani włosów rwanie. Wielowładna ta pani po macierzyńsku pieści swych ulubieńców, ale po dlabelsku obchodzi się z tymi, których nienawidzi, i chłoszcząc ich ustawicznie, miliony uszów swoich na ich jęki zatyka, a milionami ust ich niecierpliwość wyszydza. I prędzéj podobno chłoszczącą jéj rękę odwróci od siebie ten który za to plunie jéj w oczy, niżeli ten, który wijąc się w bólu, chce jéj miłosierdzie wyżebrać. Ale pogardzenie opinią publiczną, także to lekarstwo nie dla tych, którzy przez zwątpienie o sobie, przyprowadzili się do upadku.

Więc rwał sobie włosy pan Dzianott i jęczał z boleści, a kiedy po pogrzebie do domu powrócił i został sam w tém pustém zamczysku, sam, z upadającym swym duchem, z pogmatwanemi myślami swemi i z puszczykami gnieżdżącemi się na poddaszach i basztach, to nie było nędzniejszego człowieka nad niego.

Jaki był stan jego duszy, jakiemi głosami się w nim odzywało sumienie, jakie mu na to rady dawał błąkający się jego rozum, nikt nie jest w stanie odgadnąć, bo nikomu nie jest znane dawniejsze życie Dzianotta. Któż wié, jakie z przeszłości wołały dzisiaj doń głosy, jakich cienie uczynków wstawały przed jego pamięcią, jakie dusze pukały do jego sumienia? nikt tego nie wié z pewnością; to jednak pewna, że podczas téj jego samotności, po śmierci żony, różni ludzie się zaczęli jawić na zamku. Rankiem widziano chłopów, którzy pustkami pozostawiwszy swoje chaty i grunta, niegdyś pouciekali z Zahoczewia, a dzisiaj w brudnych strzępowatych łachmanach, żebraczemi kijami pukali do drzwi zamkowych; w południe widywano jakąś kobiétę, która z dwojgiem dzieci obdartych i nędznych kręciła się po galeryi i przypominała się przechodzącym, jako jest żoną onego podstarościego, który niegdy służył na Zahoczewiu, a późniéj, bydło swoje i wszelki dobytek pozostawiwszy, wyścigany został za kopce graniczne; wieczorami stawał jakiś starzec w wyszarzanéj kapocie przy bramie, który się powiadał bratem tutejszego dziedzica, mającym prawo do połowy Zahoczewia, i opowiadał przytém historyą, jako małym chłopcem tu mieszkał przed laty, jako poszedł potém na służbę, jako późniéj przez lat kilkadziesiąt służył w wojsku królewskiém, jako nieraz z wojska grosz swój krwawo zapracowany posyłał swojemu bratu dziedzicowi, jako mu posłał swoję malutką siérotkę na wychowanie i sam głodem przymiérał w obozach, a posyłał grosze dla dziecka: gdzież te grosze, gdzie dziecko, gdzie wsi mojéj połowa?

Takie i tym podobne subjekta jawiły się teraz ustawicznie na zamku. Ku jednym wychodził pan Dzianott do sieni i tam z nimi rozmawiał, z drugimi się zamykał w komnatach na długie godziny; trzecich kazał z dziedzińca wypędzać. A kiedy został sam, chodził smutny, ponury, i albo głośno sam ze sobą rozprawiał, albo się rzucał na kolana przed przenajświętszym obrazem, i patrząc weń jako w tęczę, długie tak trawił godziny.

Wstawszy od niemėj modlitwy, szedł, i w gospodarstwie wydawał rozkazy. Ale ludzie się nadziwić nie mogli, jakie nieraz z ust jego wychodziły sprzeczności, jak i tych sprzecznych, już po staremu sam nie dopilnował rozkazów; jak mało dbał o zasiewy, jak się już prawie nic nie troszczył i jak wszystko dokoła upadło i gniło. Jedni widząc to, powiadali że pan ma jakieś kancelaryjne zajęcia, drudzy, że nazbiérawszy piénędzy, usiadł na nich i nie dbał o resztę, trzeci utrzymywali, że go śmierć żony tak głęboko dojęła, że mu aż życie niemiłe; ale inni, zastanawiając się bacznie nad wszystkiém, szeptali z cicha po kątach: — Broił całe życie rozumem, otóż i Pan pokarał go na rozumie.

A kiedy tak osamotniał dwór zahoczewski, dziedzic jego codzień się stawał smutniejszym i coraz bardziéj upadał na duchu, niszczały po oborach dobytki, pustkami stawały pola, — dnia

jednego wieczorem, prosty wózek półdrabny zajechał śmiało przed samę galeryą. Do wózka były zaprzężone dwa chłopskie koniki, a na nim pomiędzy kuframi i skrzyneczkami, na wiązce słomy, siedział syn pana Dzianotta, Pakosław.

Zajechawszy, zlazł z wózka, ale nie odstępował od niego, jak gdyby się bał, żeby go nie okradziono w domu ojcowskim, jeno ludzi zwoławszy, kazał rzeczy pozabiórać i wraz z niemi poszedł po wschodach na górę. I pchając swoje manatki przed sobą, przeszedł jednę izbę, i drugą i trzecią, aż gdzieś w ostatniéj narożnéj zastał ojca siedzącego samotnie w kącie, trzymającego głowę swoją nad stolikiem w obudwóch rękach i srodze zamyślonego.

Pan Dzianott, obaczywszy Pakosza, zerwał się, przetarł oczy, stanął na chwilę zdziwiony, lecz potém z głośnym płaczem rzucił mu się na szyję. Była to jedna gwiazda, która wejść mogła na jego chmurném niebie i weszła. Nastąpiły więc powitania i uściski i łzy, a wszystko nie skłamanc i z serca. Pan Dzianott bowiem szczérze był rad przyjazdowi swojego syna, — jakoż niedopuściwszy go prawie do słowa, opowiedział mu wszystko co mu ciążyło na sercu. Pakosz zrozumiał doskonale położenie swojego ojca, może mu nawet ten wypadek właśnie był teraz na rękę; nie frasował się więc nadto, ale zawsze, lubo przyrzekał wszelką pomoc od siebie i dawał nadzieję otrząśnięcia się z tylu pretensyj i nagabywań różnych ludzi, nie zabijał w swym ojcu tego przekonania, iż to wcale niesłodkie jest położenie i bardzo skomplikowana historya. Pocieszywszy się jako tako, pan Dzianott jednak nakoniec niepomału się zadziwił nad Pakosza przyjazdem. Tu dopiéro opisał, że się od swojéj służby nie może oderwać i po błogosławieństwo konającéj matki nie przyjechał, a tu nagle się jawi bez żadnéj przyczyny.

I lubo przybycie syna zawsze sobie miał za bardzo szczęśliwe zdarzenie, jednak ta uwaga zniepokoiła go cokolwiek — zniepokoiła bardzo i zaczął w tém przeczuwać coś niedobrego. I z daleka jął o to wypytywać Pakosza. Ale Pakosz nie miał na to pewnéj i jasnéj odpowiedzi. Plótł ni to ni owo przez długą godzinę i jak mógł tak omijał właściwe swojego opuszczenia Warszawy powody. Powiadał tylko, że od czasu jego powrotu do biura, zaraz się zaczął mienić w łaskach pan minister dla niego, że mu ktoś tam stołka przystawił, że niełaska potém zaczęła się zmieniać w prześladowanie, że przez to tracił chęć do pracy i obrzydziła mu się ta służba, a nakoniec opowiedział jakąś historyą, że niby gdzieś jakieś pofałszowane dokumenta miały się zjawić między ministeryalnemi aktami, że ktoś tam śmiał jego obwinić o udział w tym haniebnym uczynku, że pan minister, któremu tak wiernie służył przez tyle czasów, nie ujął się za nim w tym wypadku, że go to zindygowało, że wziął urlop na czas przydłuższy i sam jeszcze nie wié, ale może być, że już całkiem nie wróci.

Śród tego opowiadania, ojciec często spoglądał na syna i różne

mu się snuły domysły po głowie, ale nakoniec westchnął tylko i rzekł:

— Ha! stało się; dajże Boże, żeby tylko co gorszego jeszcze z tego nie było.

Odtąd częste i długie toczyły się pomiędzy ojcem i synem rozmowy. Do tych rozmów zamykali się oni w narożnéj komnacie i nikogo nie przypuszczali do siebie, a rozmowy te musiały się toczyć o jakichś ważnych rzeczach, kiedy pomimo to, że ich już dwóch teraz było, gospodarstwo tak leżało odłogiem, jak pierwéj. Stary Dzianott nawet coraz rzadziéj się pokazywał w dziedzińcu a Pakosław, rozmawiając z ustawicznie na dwór zahoczewski cisnącymi się ludźmi, nie raz twierdził jaknajwyraźniéj, że ojciec jego wyjechał na Żmudź czy na Litwę, gdzie na nich po jakimś stryju niespodziéwana spadła spuścizna.

Wkrótce potém wieść się rozniosła po okolicy, że Pakosław kupił Zahoczewie od ojca; prawny dokument, sprzedaż tę zaświadczający, został po wszelkiéj formie wniesiony do akt grodzkich sanockich, a pan Dzianott, pożegnawszy się z córką i zięciem i mówiąc, że do krewnych żoninych na czas dłuższy wyjeżdża, zniknął nagle, jak gdyby go nigdy nie było.

Niespodziéwany ten wyjazd teścia, zrazu prawie nic nie obszedł łowczyca. On tego człowieka ani lubił, ani nienawidził, pogardzał nim tylko z daleka jako lichém stworzeniem, ale i to uczucie tłumił w sobie o ile mógł i starał się tylko być zimnym i obojętnym. Wyjazd ten nawet byłby go pocieszył pod pewnym względem, gdyby wzamian za ojca nie był dostał w sąsiedztwo szwagra. Do tego ministeryalnego aplikanta bowiem czuł on niepowściągnioną antypatyą, a ta antypatya nietylko zasadzała się na tém, że Pakosz nosił perukę i wązkie pluderki, chociaż i tego byłoby podobno już dosyć, ale pan łowczyc całéj téj figury jakoś znieść nie mógł. Nie wiedział czemu, ale wyraźnie coś go odrzucało od niego. Deliberował tedy różnie nad tém mąż Julii, który lepszy: stary Dzianott czy Pakosz? ale że całą rzecz tę zbyt mało sobie ważył, nie zdecydował nic i przestał deliberować.

Ale tymczasem rozniosła się wieść o formalnéj sprzedaży wsi Zahoczewia; łowczyc i to za nic sobie uważał i nic w tém nie widział, ale widzieli w tém wiele sąsiedzi. I zrobili na to uważnym łowczyca i powiedzieli jaknajwyraźniéj: Stary Dzianott sprzedał synowi Zahoczewie, ażeby od sukcesyi wykluczyć i z kwitkiem puścić twoją żonę. Jest w tém sztuczka ministeryalna, wszystko to Pakoszowa robota. Miéj się zatém na ostrożności, dopóki czas jeszcze, a może teraz już jest i po czasie, bo tranzakcya Zahoczewia jak byk stoi już w aktach.

Ta uwaga poruszyła trochę pana łowczyca; nie chodziło jemu tak bardzo o wiano żonine, onby je był bez wahania się zaraz Dzianottom darował, gdyby był wiedział, że to do ich zbawienia

potrzebne; ale dać się oszukać, dać sobie coś wydrzéć podstępem i żeby za to jeszcze miała spaść hańba na krewnych jego żony, tego znieść nie mógł. To mu się nawet w głowie pomieścić nie mogło i nie dawał wiary temu, chociaż już wszyscy o tém mówili. Przedstawił téż tę całą rzecz Bobowskiemu jako tak sławnemu legiście i jego opinii zasięgnął. A Bobowski, rozpatrzywszy się w téj sprawie dokładnie, tak mówił:

— Panie braciel pomimo to że znam się na prawie, ja ci tu nic pewnego powiedzieć nie umiem. Albo ludzie mają w tém prawdę co gadają, albo nie mają. Tu bowiem wszystko od tego zależy, jaka jest wola Dzianottów, a téj jeszcze nie znamy. Wszakże wątpić godzi się o tém, ażeby chciał ojciec córkę, brat siostrę obdziérać z majątku.

— Jakto? a prawo? — zapytał łowczyc.

— Prawo tu już nie ma nic do gadania. Bo jak tylko stary Dzianott sprzedał Zahoczewie synowi, a ten z tranzakcyą formalną jako dziedzic siadł na gruncie i w aktach, to jakież ty prawo możesz miéć do majątku Pakosza?

— Tak? to mnie widać obdarli! — zawołał łowczyc.

— A! to jeszcze nie wiedziéć,— odpowiedział Bobowski; — bo chociaż Pakosz ma na to dokument, że jest wsi właścicielem, jednak w tym dokumencie może być jeszcze założony warunek, że ma spłacić tyle a tyle swéj siostrze.

— Kata tam! powiadają że niéma żadnego warunku.

— To trzeba obaczyć,— odpowiedział jurysta — w takich rzeczach niemożna się spuszczać na cudze oczy. A gdyby nawet nie było żadnego warunku, to może ten warunek założony jest ustnie...

— Oho! tyleby téż go dopełnił ten krętacz warszawski!...

— Poczekaj-no, ten warunek może być założony i na innym papiérze, który stary Dzianott zachował u siebie, a na prośbę Pakosza nie wciągnął w akta. Bo i tak bywa.

— To byłby go przecie ojciec oddał mnie albo córce, a nic nie oddał.

— A zresztą może tu zachodzić jeszcze i taki wypadek, że ta sprzedaż jest tylko zrobiona na oko a drugą znowu tranzakcyą od Pakosza na siebie ma stary Dzianott w zanadrzu. Kto to wié? być może, że Pakoszowi akt ziemskiéj posesyi był do jakiego urzędu potrzebnym, być może że dla kredytu, być może że stary miał długi i obawiał się, że mu za nie kto ziemię zahaczy, albo zresztą i co innego, bo to różnie bywa na świecie, a w prawie nie wszystko jeszcze jest *consumatum*, co stoi czarno na białém, a choćby téż nawet i w aktach. W każdym razie trzeba pogadać z Pakoszem, ale wyraźnie i finalnie, bo jeżeli w tém jest rzeczywiście jakie oszustwo, to możebyśmy coś na to pomogli. Niechby choć raz się przydały nieboszczyka ojca nauki, które, jak mnie Bóg miły, jeszcze mi tak tkwią żywo w pamięci, że za głowyby

się brała palestra, jakbym się odezwał z za kratek. Jeźdźe tam i przywoź czémprędzéj rezultat.

Pakosz tymczasem, odebrawszy wieś w posiadanie, jako to młody, pełen ufności w swój rozum, w swoje siły i worki naładowane piéniędzmi, zawinął się koło gospodarstwa z całą energią. Kilka tygodni dopiéro minęło, jak ojciec jego odjechał, a już cała wieś wyglądała jak inna. Pełne bydła obory, pełne koni stajnie, pola zasiewane choć cokolwiek zapóźno, łąki pokoszone zawczasu, i wszędzie pełno ruchu, pełno życia i pracy. Aż się zapomniał pan łowczyc, widząc taką odmianę, a ledwie swoim oczom uwierzył, kiedy ujrzał Pakosza, którego ręce małe, prawie tylko do pióra zdawały się być stworzone, pokazującego parobkom płoty grodzącym, jak chrust mają zaplatać, ażeby ściana była gęsta i trwała. Widok ten nawet ujął go trochę dla swego szwagra, bo czyż może źle zalecać młodego człowieka pracowitość i dbałość? Przystąpił więc z koniem do niego i: — Daj Boże szczęście! — zawołał.

— Daj Panie Boże! — odpowiedział Pakosław, ale obaczywszy łowczyca, rzucił się jemu w objęcia i serdecznie ale z pewném uszanowaniem go przywitawszy, począł go oprowadzać po swojém gospodarstwie, opowiadając przytém ze szczegółami wszystko, co zrobił dotychczas, co jeszcze zrobić zamyśla, i zasięgając rady szwagra w niektórych materyach.

Wszystko to niezmiernie się podobało Osuchowskiemu, a nie mogąc się dosyć nadziwić przezorności i rozumowi człowieka, którego dotychczas tylko za sprytnego i żydostwem trącącego miał pisarczyka, chwalił go w oczy i mówił:

— Panie bracie! nie musiałeś ty mieszkać na rynku warszawskim, tylko gdzieś na przedmieściu, gdzie to gospodarują na polu, tak jak u nas w ogrodzie; bo gdziebyś ty się takiego rozumu nauczył. Ta to, jak mnie Bóg miły! nam starym wygom, którzy cały dzień siedzimy w bruździe, a całą noc śpimy w stajni, jeszczeby do ciebie iść na naukę. O! panie bracie, daleko ty zajdziesz, kiedy ty tak zaczynasz.

— Jakże mnie to raduje, — rzekł na to Pakosz, — że mnie waszmość dobrodziéj chwalisz tę lichą robotą. Będzie to zachęcenie dla mnie i da Bóg, na co się przyda. Prawdę bo mówiąc, nie było już innego ratunku. Ojciec mój już od lat kilku nieosobliwie prowadził to gospodarstwo, ale teraz od śmierci matki tak się już jakoś opuścił, że aż strach było patrzéć. Za lat kilka byłoby pewno ani śladu nie zostało z całéj fortuny, zwłaszcza przy interesach. Ja téż właściwie tylko na dni kilkanaście za urlopem tu przyjechawszy, ot! aby pocieszyć trochę ojca po śmierci matki, anim myślał zasiadać na Zahoczewiu. Ale obaczywszy co się dzieje, pomyślałem sobie: Służbę moją kto wié, jak doprowadzę daleko? tam nie popłaca uczciwość i praca, tam nie można iść prostą drogą, tam potrzeba koniecznie lizania się, pochlebstwa, in-

tryg, a między nami mówiąc, nawet poprostu podłości, — a ja tego wszystkiego nie umiem. Bóg widział, ile nieraz głowy musiałem sobie nałamać nad tém, ażeby służąc panu, zręcznie się wymówić od służb takich, którymby się nie poddało serce uczciwe chłopa, a nie dopiéro szlachcica. A i tego wykręcania się jeszczem snać dobrze nie umiał, kiedym przez lat tyle nie potrafił sobie radzić na łaskę pańską i na jaką taką promocyą. A cóż dopiéro mówić o tém, żebym się miał nauczyć i nakłonić do owych tysiącznych sztuk i podłości, któremi tam się forytują subjekta? Nigdy podobnoby nic z tego nie było. Owóż tak myślę sobie: ja tam uganiam się za splendorami, które może mnie nigdy nie dojdą, a tu fortuna gotowa już stoi na krawędzi. Czyż nie rozumniejsza jest ratować i ulepszyć gotowe, niżeli uganiać za łaską pańską, króra jest jak pogoda marcowa? Mając téż jeszcze do tego parę groszy gotowych, ręce zdrowe i głowę jaką taką na karku, zdecydowałem się prędko, a porzuciwszy one pisarczykostwo, prawdę mówiąc, nawet mojemu sercu przeciwne, zasiadłem tu... no i Bogu dzięki, nie najgorzéj się dzieje, kiedy waszmość mnie chwalisz.

Taka mowa Pakosza, któréj z pewném nawet ukontentowaniem co do słowa uwierzył łowczyc, bardzo go chwyciła za serce. Zastanowiwszy się jeszcze cokolwiek nad tém, nie mógł on się dosyć nadziwić swojéj lekkomyślności, z jaką tego tak pełnego najlepszych chęci i rozumu człowieka znienawidził bez żadnéj przyczyny. A im więcéj się z nim rozgadywał, tém śpieszniéj z jego serca znikała wszelka dawna przeciwko szwagrowi nienawiść a zapalało się współczucie i miłość, a to do tego stopnia, że kiedy weszli do górnych pokoi i w Pakoszowéj izdebce zasiedli, to pan łowczyc już tak był uniesiony dla niego, że gdyby był o sprzedaży Zahoczewia ze stolnikowiczem nie rozmawiał, i nie obiecał mu wyraźny i finalny o téj sprawie przywieść od Pakosza rezultat, to byłby już nawet nie żądał od niego wyjaśnienia téj niepewnéj materyi.

Poczynając atoli rzecz swoję o nią, przystępował do tego z wielką delikatnością, i bojąc się tego, ażeby poświęcającego się ratowania familijnéj fortuny szwagra na samym wstępie nie zraził, tak rzekł do niego:

— Cieszę się z tego bardzo, mój kochany Pakoszu, że zastaję w tobie całkiem innego człowieka, niżeli ten, któregom dotychczas widywał. Nieprawdziwe to było przeczucie we mnie i przesąd, który się do twojéj peruki przywiązał. Daj Boże, ażebym odtąd coraz więcéj znachodził powodów do kochania i szanowania ciebie, com już począł dnia dzisiejszego. Ale *tandem* przyznać się muszę, że mam i interes do ciebie.

— Słucham pana brata — rzekł na to Pakosz — i wyznaję, że za największe szczęście to sobie miéć będę, jeżeli mu w czémkolwiek usłużę.

— Owóż tedy, — rzekł na to łowczyc z ciężkiém westchnieniem, — wiadomo jest tobie, jak ja niewiele sobie ważę wszelkie ziemskie majątki. Nigdy mnie nikt nie dojrzał uganiającego za groszem i nikt w tém już mnie nie dojrzy. Wiész zresztą sam, że chociaż mało mam, żyjąc uczciwie, a wedle staniku, i na tém mam dosyć, a twojéj siostrze snać nie gorzéj jest u mnie, jak jéj bywało doma.

— A dla Boga, — zawołał Pakosz, gdyby i za senatora była wyszła, nie rozumiem, żeby jéj mogło być lepiéj.

— Owóż tedy nie zechcesz mnie posądzić, ażebym, tykając spraw ojcowizny i wiana, czynił to przez łakomstwo, w czém niechaj mnie jeszcze i to otwarte wyznanie wyświadczy, że jakom dotychczas nic od was dla mojéj żony nie żądał, tak i dzisiaj nie żądam. Ale wiész, co to są ludzkie języki; kiedy się wezmą do kogo, kamieńby poruszyły, kiedyby się na niego uwzięły. Poruszyły téż one i mnie, chociaż prawie jestem jak kamień na takie rzeczy. Idzie tu tedy o to, że wieść o ustąpieniu Zahoczewia tobie przez ojca rozniosła się po całym powiecie, i nic to jeszcze, ale do téj wieści łączą się i wraz z nią chodzą takie paskudne o waszych względem mojéj żony intencyach domysły, że mnie to nakoniec zniecierpliwiło i postanowiłem z tobą rozmówić się o tém.

— Hm! mój Boże! — rzekł na to Pakosz ze żalem, — i cóż powiadają?

— Powiadają poprostu, — odpowiedział łowczyc, — żeście na to te jakieś tam porobili pomiędzy sobą tranzakcye, ażeby moję żonę od wszelkiéj po ojcu sukcesyi odsunąć.

— Mój Boże! — westchnął jeszcze raz na to Pakosz i z uprzedzającą grzecznością tak mówił daléj: — Cieszy mnie to bardzo, że mnie waszmość dobrodziéj sam zapytujesz o to i że mnie podajesz sposobność wyspowiadania się z tego, co mnie bardzo cięży na sercu, a czegobym z własnego popędu snać nie tak prędko był dopełnił, chociażem był powinien. Bo, jak mego ojca wstyd powstrzymywał od tego, ażeby tę nieszczęsną sprawę przedstawić waszmości, tak i mnie wstyd powstrzymywałby był dopóty, dopókibym jéj był nie postawił na nogi. Bo, panie łowczycu dobrodzieju, wy wyobrażenia nie macie, do jakich fatalnych rezultatów przyprowadził mój ojciec tę swoję fortunę. Pracował przez lat kilkadziesiąt, kręcił się jak wąż, zapobiegał wszelkiemi siłami i jam myślał, że Zahoczewie jest czyste i prócz niego jeszcze z kilkanaście tysięcy w komorze — a tymczasem, czy uwierzycie wy temu, że jakeśmy się obliczyli dokładnie, to się pokazało, że więcéj jak trzy czwarte wartości jest długów? Inwentarze porujnowane, gospodarstwo zniszczone, szpichrz pusty, a gotowizny ledwie tylę, że miał ojciec za co na tę tam Litwę pojechać. Ale to jeszcze nie dosyć; oprócz długów bowiem, na które są skrypta po ludzkich rękach, mnóstwo jeszcze po świecie do niego pretensyj. Ażem się wziął za głowę, kiedym obaczył, jacy to ludzie i z ja-

kiemi żądaniami poczęli się jawić na zamku! Owóż chłopi jacyś, którym grunta na dwór miano zabrać tam kiedyś, potém podstarościna, któréj mężowi nie wypłacono kilkuletnich zasług i zabrano dobytki, więc Żydzi, którzy mieli dać ojcu jakieś woły na wiarę, aż nakoniec i brat stryjeczny ojcowski, który sobie rości pretensyą do połowicy Zahoczewia, i nadto jeszcze powiada, że ma sumy gotowe u ojca. Ażem łzami krwawemi zapłakał, kiedym to wszystko obaczył, bo cóż począć w takim wypadku? Należy się ludziom, oddać trzeba, niechże więc biorą sioło — a już dla ojca chyba tylko kosztur żebraczy i droga w świat za oczy, bo kiedyby to chciéć wszystko wypłacić, to i dwie takie wsieby nie wystarczyły. Ale rozmyśliwszy sobie tę rzecz całkowicie, przyszła mi ta myśl nagle, że gdzieby to być mogło, żeby ojciec, gospodarując jako tako i żyjąc z wielkim rachunkiem, przyjść mógł do takich długów? Czy podobna jest, żeby człowiek, który wziął po ojcu wieś mało że nie czystą zupełnie, po żonie kilkanaście tysięcy, gospodarował dobrze, spekulował szczęśliwie, żył bardzo pomiernie, gości nie miéwał, styp nie wyprawiał, sam siedział w domu, jadał po gospodarsku, trunków prawie nie pijał, żeby taki człowiek na końcu życia prawie dwa razy swoję fortunę utracił? Poczęłem się tedy rozpatrywać w każdéj sprawie z osobna, powypytywałem ojca o wszystko, przeglądnęłem jego papiéry — i cóż mi się pokazało? Oto że ojciec sam sobie we wszystkiém poczynając uczciwie, za uczciwych miał także tych wszystkich, z którymi miał sprawy, ufał im po nad miarę i to go teraz przyprowadziło do zguby.

— Jakże to, panie bracie?

— To jest rzecz bardzo prosta,— powiadał daléj Pakosław— a chociaż wszystkiego panu bratu nie wyłożę jakby na dłoni, boby na to potrzeba kilka dni czasu, ale przecie dam jakieś wyobrażenie. Więc np. chłopi się upominają o grunta i powiadają, że to ich były. Prawda, siedzieli na nich, ale to były miarki, które ojciec sam odciął z dworskiego łanu i ich tam pod pewnemi kondycyami sam już osadził. Nie dopełnili kondycyj, ojciec grunta odebrał; czy jest co słuszniejszego na świecie? Daléj, podstarościego odprawił, należytość zapłacił i nie wziął kwitancyi od niego, bydło od niego za gotowe piéniądze zakupił i wypłacił piéniądze. Teraz podstarościna, podbechtana przez kogoś, upomina się o swoje bydło, mówiąc że jéj mężowi jedno zostało zatrzymane, drugie gwałtem zabrane. A tymczasem jak byk stoi w kalendarzu ojcowskim z onego roku notatka: Dnia tego i tego odprawiłem Kanarkiewicza, wypłaciłem mu reszty zasług złp. 130 gr. 14 — a że za bydło mu gotowizną zapłacił, jest na to dwóch świadków. Ale zaraz to waszmości pokażę.

To rzekłszy, Pakosz poszedł ku szafie, która stała w rogu izdebki, i wydobywszy z niéj olbrzymi fascykuł luźnich papiérów, regestrów i kalendarzów, położył koło łowczyca na stole, a mó-

wiąc daléj, prezentował swojemu szwagrowi przy każdém twierdzeniu odpowiedni dokument, notatkę w kalendarzu, albo pozycyą w regestrze.

— Pożyczył ojciec od pana Jackowskiego dwanaście tysięcy na trzy lata i wydał mu na to skrypt. Po trzech leciech oddał ojciec tę sumę do grosza. Pan Jackowski przez lat parę potém siedział cicho i nic nie mówił, teraz nagle wyjeżdża ze swoją pretensyą i pozywa ojca do sądu. A cóż to jest, panie bracie? — spytał Pakosz łowczyca, dając mu papiér jakiś do ręki. Łowczyc papiér obejrzał i rzekł:

— A prawda, skrypt twojego ojca wydany Jackowskiemu na dwanaście tysięcy.

— Takiż sam wypadek, — mówił Pakosz znowu, chowając ten dokument a biorąc inny, — mamy i z panem Tarnowieckim. Wziął od niego ojciec dziewięć tysięcy na lat pięć i dał skrypt na to. Skrypt ten czyli darował, czy sprzedał nieboszczyk panu Konieckiemu nieboszczykowi i dał mu do odebrania téj sumy pełnomocnictwo na piśmie. Ojciec tę sumę wypłacił panu Konieckiemu do ręki, świadkiem tego jest pan Jermołowicz, któren jeszcze ojcu na wypłacenie téj sumy dopożyczył był dwa tysiące. Teraz sukcesorowie pana Tarnowieckiego upominają się o ojcowskie dziewięć tysięcy i wjechali już z tą pretensyą do ziemstwa. Skryptu ani oni nie mają, ani go niémasz w ojcowskich papiérach, ale zkądżeż jest tutaj owa panu Konieckiemu wydana plenipotencya?

— Hm! prawda! — rzekł na to łowczyc, oglądnąwszy dokument.

— Zkądżeż, — mówił daléj Pakosz, pokazując palcem notatkę w kalendarzu, — tutaj te słowa: Die 24 junii pożyczyłem od imć pana Jermołowicza dwa tysiące złp. na rok jeden, i temi piénięędzmi zapłaciłem dług Tarnowieckich do rąk imć pana miecznika. Daléj, — ciągnął znów Pakosz, kładąc na swoje miejsce kalendarz, — wyjeżdża stryj pana brata, imć pan cześnik bielski, na nowo z swojemi pretensyami o haszcze zahoczewskie.....

— Jakto! — zawołał łowczyc, — a wżdy się już raz pogodził!

— Pogodził się, ale teraz wziąwszy na kieł z niewiadomych powodów, renomował sprawę w sądach podkomorskich, i jako słyszę, ma niebawem zyskać już *provisorium*.

— A! to się nie godzi! — zawołał łowczyc, — poczekajże, to ja pojadę do pana cześnika.

— I owszem, proszę, ale wątpię, żeby to się na co przydało, bo stary wyga i twardy. Młode latka strawił w palestrze i podobno nie ladajakich sztuk tam dokazywał; dziwne rzeczy powiadają mnie o nim. Ale to zresztą mniejsza; ojciec karki kręcił za temi chaszczami, a to trzech groszy nie warte. Kapitał niewielki, od niepamiętnych czasów *in controversia* i martwy, bo nic zgoła nie niesie. Mamy my tu ważniejsze rzeczy. Jest jeszcze sprawa

z Balami o trzydzieści i kilka tysięcy, która się jeszcze od tego czasu datuje, jak mój ojciec trzymał Nowotaniec dzierżawą i administrował przytém Płonne i Szczawne. Spało to wszystko przez lat prawie trzydzieści, a teraz czy zaklęte przez kogo, czy co, także rwie się do światła. A rzecz to taka.

Tu opowiedział Pakosz całą tę sprawę balowską, a po niéj jeszcze i kilka innych, a podczas kiedy każda z nich coraz więcéj była powikłaną i coraz mniéj czystą ze strony starego Dzianotta, nie było przecie ani jednéj takiéj, którąby w ustach Pakosza nie wydawała się sprawiedliwą i jasną, i tylko przez złość i chytrość strony przeciwnéj, a przez zaniedbanie się ojca, do takiéj komplikacyi wyrosłą. Opowiedziawszy te sprawy, począł Pakosz znów inne, aż mu nareszcie rzekł łowczyc:

— Ej! daj pokój, panie bracie, tym opowiadaniom, bo ani mnie tém ubawisz, ani ja ci na to poradzę, a że licho jest koło Zahoczewia, widzę dostatecznie z tego, com już dotąd wysłuchał. A chociaż im więcéj słyszę, tém więcéj rosnę dla ciebie w szacunku, że się poświęcasz tym rzeczom, jednakże śmiem wątpić o tém, żebyś ty przy najlepszych chęciach i głowie najtęższéj wyszedł z tém wszystkiém na czyste pole.

— Prawda, — rzekł Pakosz, — ja sam, kiedy się tak na to wszystko popatrzę, jaki tu chaos jest przedstworzenny, nieraz wszelką chęć tracę, a nawet nadzieję. I myślę sobie czasem, kto wié, czy ja w téj gmatwaninie jeszcze sam gdzie karku nie skręcę i czy włożywszy w to pracę i te kilka krwawo zapracowanych, ba, może i głodem na sobie wymorzonych groszy, po latach kilku nie wyjdę ztąd na ten sposób, jak wyszedł ojciec? i kto wié, ażaliby może nie lepiéj porzucić to wszystko, niechaj się dobrem naszém nakarmią sądowi pieniacze i palestranty, a samemu wziąć gdzie dzierżawę, i kiedy pracować, to już pracować na swojém? Ale znowu mi chodzi o ojca, ba, chodzi o siostrę. Jakżeż starego, który koniec końców kiedyś powróci, zostawić w téj opłakanéj pozycyi, żeby aż musiał osiadać przy mnie albo przy was na łasce? No, wprawdzie, jabym tego nie przeniósł nigdy na sobie, żeby on się stał ciężarem waszmości i oddałbym jemu ostatnie; ale cóż ztąd za konsekwencye? Drugie i co ważniejsze, ja aż się trzęsę z obawy, żeby do tego nie przyszło, żebyście wy z ojcowskiéj fortuny nic nie wzięli za moją siostrą. Myśmy się stali waszego ożenienia powodem, myśmy was prawie gwałtem w to pociągnęli, ja sam, prawdę mówiąc, z miłości dla mojéj Julci kochanéj, także dobrze do tego przyłożyłem méj ręki, chociaż zupełnie nie wiedziałem, że to się o was oprze; więc jakżeby mnie teraz to przenieść na sobie, żebyście wy z kwitkiem odeszli? Nie, ja znam siebie, jabym był najnieszczęśliwszym z ludzi, jabym się zagryzł ze wstydu.

— Ej! o to się najmniéj turbuj, mój bracie, — rzekł na to łowczyc, — twoja siostra nie potrzebuje posagu i możesz być

pewnym tego, że póki mnie stanie, bez bótów będę chodził a jéj na niczém nie braknie.

— Dziękuję wam, panie bracie! — zawołał na to Pakosz, ze łzami w oczach, całując i ściskając łowczyca — wiem ja dobrze, ile w was jest szlachetności, ile dobroci dla téj poczciwéj Julci, i wiem, że i w niebie jéj lepiéj nie będzie jak u was; ale zawsze ja przez to nie powinienem przepominać, co moim świętym jest obowiązkiem. No, i uważając znów z drugiéj strony, to właściwie niéma żadnego powodu, dla któregobym się miał przywiązywać do Zahoczewia. Bo jeżeli mi Pan Bóg da szczęście, to go da i gdzieindziéj, a mówiąc otwarcie i szczérze, czy ja tutaj co zrobię, czy gdzieindziéj, wszystko to będzie dla mojéj Julci. Ja się żenić nigdy nie będę, rodzeństwa nie mam...

— A, a czemuż ty się żenić nie będziesz? — spytał ciekawie łowczyc.

— To rzecz nie dla mnie — rzekł Pakosz — to zachody, to korowody, to wydatki, to wielka niewola, a potém mówiąc po prostu, człowiekowi, w którego głowie są myśli większe, w którego sercu jest niezmyślona chęć wydobycia się z pospolitego tłumu na widok publiczny, żona i dzieci to wielka zawada. Nie jeden, coby był może dzisiaj co kartka powtarzanym w kronikach, ugrzązł w błocie za życia, a po śmierci ani pies o nim nie brzechnął, bo mu kroku nie dała zrobić żona i domowe kłopoty...

— Jak mnie Bóg miły — rzekł na to łowczyc — ten człowiek ma wielki rozum.

— Owóż więc —prowadził daléj, uśmiéchnąwszy się, Pakosz— tak i owak to sobie przemyśliwszy i pokombinowawszy ze sobą, chociaż w gruncie to jedno czy ja tu pracować będę, czy indziéj, jednak żal mi jest ojcowizny. Niewielki to i nieosobliwy kawałek ziemi dla każdego innego, ale wielki i osobliwy dla tego, którego ojcowie się tu rodzili i umiérali, którego matka tu leży, który nakoniec sam się tu urodził i chował, i prawdę mówiąc ze serca, to nie wiem jak tam kto inny, ale ja przynajmniéj, chociażbym gdzieindziéj Bóg wié jak wielkie ponąbywał fortuny i na ogromnych rozsiadł się ziemiach, kiedybym ojcowiznę uronił, zawszeby mi się zdawało, że nic nie mam i żem jest żebrak ostatni.

— A! co to, to się chwali waszmości—rzekł na to łowczyc— bo utrzymanie ojcowizny jest zawsze dla każdego szlachcica *magnum*, a powiadają że *in magnis et voluisse sat est*. Więc chociażby tylko *tentare* utrzymać tę rodzicielską siedzibę, już to będzie czyn piękny i wielka rozkosz dla własnego sumienia.

— Tak, tak — rzekł znowu Pakosz — ślicznie to waszmość mówisz, właśnie to, co ja czuję. Więc chociaż ja tu nieraz krwawo na téj ojcowiznie zapłaczę, przecież nie spróbowawszy jéj ratowania, tak jéj nie rzucę. I mam w Bogu nadzieję, że mi do tego pomoże. A lubo kto inny, wiem pewnie, żeby tu nic nie zrobił, mnie jednak łatwiéj to pójdzie. Młody jestem, dbały z natury,

lo pracy przyzwyczajony z dziecka i do walczenia z trudnościami akże przyzwyczajony; przytém mam parę groszy w kieszeni, któych nie pożałuję, na prawie się znam, mecenasom się w ręce nie ddam, za kratkami w każdéj sprawie sam stawać będę, uczciwie obie z każdym postąpię, co się komu należy, to oddam bez kweyi — więc może téż przecie Bóg będzie łaskaw, wejrzy na nas iéroty i dopomoże.

— Ha! no! — rzekł na to łowczyc — źle jest, bo źle, ale bierz ię waść *ad rem*, a może to jakoś będzie. Najpierwéj więc ufaj Bogu i Jego proś, bo bez tego nic; potém ufaj sobie, bo i bez ego nic. Na mnie rachuj dobrze, bo co będzie można, to pewno omogę; złe gęby, które są przeciw tobie, pozamykam na klucz, i piéniędzmi zaratować mogę, bo się znajdą w potrzebie.

— Dziękuję panu bratu, dziękuję — zawołał Pakosz — wiem e masz serce i nie opuściłbyś; wszakże teraz więcéj mi głowy porzeba, niżeli piéniędzy, ale jeżeliby tak wypadło... wszakże to naza wspólna sprawa, bo prawie wasza, bo ja dla siebie, jak Pana Boga kocham, nic a nic nie potrzebuję.

— No, więc jak będzie potrzeba, to powiédz, ani głową się akże zaratujesz u mnie, a choć nie mnie, to u pana Józefa; wielki o jest legista i ręczę za to, że cały gród i ziemstwo w mysze dziury pozapędza, a kto wié czy i trybunalskie rozumy nie zmoże. Więc tak rób, nawiédzaj mnie często i bądź zdrów.

To rzekłszy, pożegnał się i chciał już iść pan Osuchowski, ale eszcze się wrócił i rzekł:

— Ale wiész co, Pakoszu, zruć najpierwéj ze łba tę paskudną erukę i przebież się zgoła po ludzku. Takie rzeczy nie podobają ią Bogu ni ludziom, a snać bez błogosławieństwa Bożego i ludziéj przyjaźni trudno się kusić o powodzenie i szczęście.

— Myślę ja sam nad tém, ale, panie bracie, to koszt — rzekł a to Pakosz — bo tak to się gada, ale dużo na to trzeba piéiędzy, aby dobrze ubrać Polaka, a tu u mnie ani jednego pasa iéma, a cała skrzynia francuzkich szat... ale myślę ja nad tém, yślę.

— Myślże sobie jak długo chcesz, ale nakoniec zrób i bądź drów — odpowiedział łowczyc i pożegnawszy się jeszcze raz, siadł na koń i odjechał do domu. Pakosz odprowadził swojego wagra aż na galeryą, ale chociaż tamten już odjechał i zniknął omiędzy drzewami, ten jeszcze stał i oparty o poręcz długo się ad czémś zamyślał. A myślał spokojnie, nie pociérając czoła, ie ruszając rękami, nie przestępując z nogi na nogę, oczy mu się no czasem świéciły i twarz uśmiéchała: aż nareszcie, jak gdyby ończył myśli swe głośno, ruszył się i patrząc w tę stronę, w którą owczyc odjechał, rzekł niby do niego:

— I wy być chcecie narodem? z takiém sercem nie pójść żebraki? z takim rozumem nie w służbę do innych?... Panie owczycu, tyś wielkich rycerzów potomek, tyś ich męztwo i rozum

i cnoty odziedziczył w kolébce, tyś pan i król na twych dobrach, za tobą stoi cały powiat i opinia publiczna: jam chudzina, lichy Dzianott bez przodków, podły torbifer warszawski, sam jak palec na świecie, — a przecie ja ci ani kęsu nie dam z Zahoczewia, twoje summy wezmę do siebie, Żerniczkę ci zabiorę i będziesz u mnie chodził za pługiem, jak prosty parobek.

Ale zerwawszy się prędko, poszedł znowu płoty grodzić dokoła zamku.

W następnym czasie Pakosz często nawiédzał swojego szwagra, a postępowanie jego przeciwko niemu zawsze było jednakie; zawsze był sługą uniżonym, zawsze mu czémś nowém pochlebił i to żądaniem rady od niego, to zastępowaniem go w gospodarstwie, to w handlach w coraz bliższe z nim wchodził stosunki, — a wkrótce potém owa suma dwunasto-tysiączna, którą łowczyc miał u pana Górskiego na Lutowiskach, była już w Pakoszowéj kieszeni. Pomimo to jednak Pakosz nie zmienił swojego postępowania ani na jotę i oprócz koło łowczyca, czując władzę jego matki na tym dworze, a do tego jeszcze i w jéj skrzyni piéniądze, deptał także koło niéj i pomału pozyskiwał jéj zaufanie.

Przy takiém postępowaniu Pakosza, prowadzoném z najmisterniejszą chytrością, wszystko mu się winęło jak z płatka. Interesa ojcowskie, które wszakże ani w połowie nie były tak zgubne, jakiemi je wystawił szwagrowi a zapewne i ojcu, kiedy go z ich przyczyny w świat za oczy wyprawił, w krótkim czasie zupełnie swą postać zmieniły. Więc jedne sprawy załatwione zupełnie, drugie sztucznie odwleczone do czasu, trzecie zaś sprowadzone na drogę prawną, grzęzły po aktach sądowych i kierowały się jaknajlepiéj, bo wiadoma rzecz jest, czego nie można było dokazać w sądach polskich owego czasu. Jakoż nie mając już ani chłopów ani Żydów codziennie na swoim karku, ani podstarościnéj z obdartemi dziećmi w cotygodniowéj wizycie, ani listów niemiłych od wierzycieli sąsiadów, z tém dokładniejszą pewnością dobrego skutku mógł Pakosz tkać swoje sidła na fortunę swojego szwagra, i tkał je, i byłby już niebawem począł podobno zasnuwać sidła na którego z drugich sąsiadów, gdyby nie jedna sprawa jeszcze, która go wiele martwiła, gdyby nie jeden gość jeszcze, który go nie przestawał od czasu do czasu nawiédzać i dotychczas jeszcze żadnym sposobem nie dał się ani załagodzić, ani swoję sprawę odwlec do czasu, ani oddać do sądu.

A tym gościem był starzec już prawie sześćdziesięcioletni. Był on wzrostem dość słuszny i krzepkiéj budowy. Głowę miał łysą na ciemieniu a zresztą siwemi otoczoną włosami, twarz długą zmarszczkami i szramami okropnie zoraną, nos orli wielki, białe strzępiaste wąsy zakrywały mu usta, a takież brwi gęste zwieszały się nad wielkiemi błękitnemi oczyma. Ubrany on był w siermięgę z grubego prostego sukna, kontuszowym krojem uszytą, pod którą widać było żupan płócienny, buty na nim były stare i wychodzone,

czapka rogata zasmarowana i serpentyna w wężowéj pochwie u boku. Ktoby był ten starzec, nikt nie umiał powiedzieć; niczyjéj téż nie zwracała uwagi jego uboga, wędrująca i w tamtych czasach bardzo pospolita figura; to wszakże pewna, że tylko powierzchownością zdawał się on podobnym do onych włóczących się od wsi do wsi zbankrutowanych szaraków, którzy grunt lub służbę rzuciwszy, jak mrówki krzyżowali po całym kraju za łatwym chlebem, za jarmarkami, za najmowaniem się na poplecznikow sejmikowych, na zajezdników, a kiedy tego wszystkiego nie było, to za jałmużną. Jemu widać było z całéj postawy, że nie przewałęsał swojego życia bez celu, a pewna duma i pogarda prawie dla świata całego odbijały się w każdym ruchu jego i w każdém spojrzeniu. Twarz jego, lubo szpetna, miłe czyniła wrażenie; widać w niéj było determinacyą i męztwo, a oczy, chociaż chciały być surowemi, zdradzały jego wrodzoną dobroć i głębokie uczucie.

Ten starzec już się był pojawił za starego Dzianotta i potém długi czas go nie było, ale z końcem wiosny znów się pokazał i wszedłszy na dziedziniec, śmiało szedł na galeryą; ale Pakosz wyszedł do niego do sieni i krótko z nim pogadawszy, prosto z sieni odprawił. Drugiego dnia potém przyszedł znowu ten starzec, ale pan, ujrzawszy go z ganku, kazał wypędzić, i słudzy, wziąwszy go za ramiona, wyprowadzili za bramę. Starzec płakał i zataczał się w rękach swoich oprawców, ale oni śmieli się z niego i zdali panu relacyą, że był srodze pijany. W kilka dni przyszedł znowu i był rzeczywiście podpity. Wszedł na galeryą, ale drzwi do pokojów zastał zamknięte. Stał więc pod niemi i plótł różne rzeczy; potém dobył szabli i tłukł głownią we drzwi, że aż się zamek trząsł cały, ale po chwili przestał, i z gołą szablą w ręku a przekleństwami na ustach przeszedł przez dziedziniec i zniknął. Od tego czasu często się on jawił u dworu, ale nie idzie już w dziedziniec, tylko siada na kamieniu u bramy, i patrząc to na wieś, to na zamek, czasem coś mówi do siebie, czasem płacze. Ale kiedy się Pakosz pokaże w dziedzińcu, on się zrywa i woła do niego. A woła rzeczy straszne, że aż włosy wstają na głowie. Piérwszy raz, kiedy ten głos słyszano, wołał do pana:

— Chodź tu, ty nowy Zahoczewia dziedzicu! zdaj mi sprawę z mojéj fortuny! Obdarliście mnie, zrabowali, okradli! Gdzie ojciec twój, ten łotr! dziecko mi zaprzepaścił!

Drugą razą wołał do niego:

— Dobranoc twoja, ty psie przeklęty! bogdajby ciebie diabeł całą noc męczył i rwał tak za serce i palił duszę, jak mnie rwie nędza moja!

Że aż Pakosz, który przez to był niewolnikiem w własnym swym domu, odtąd po całych nocach świécił i kazał spać pacholęciu przy sobie. Aż dnia jednego, kiedy nie widząc starca na głazie, wyszedł nieopatrznie ku bramie, za bramą zaraz stanął nagle jak wryty. Lecz ochłonąwszy, zerwał się i chciał uciekać.

Ale starzec zawołał: stój! — i Pakosz stanął blady i drżący jak liść. A starzec przystąpił ku niemu, patrzył nań chwilę z gniewem i pogardą a potém rzekł:

— Słuchaj, ty czeladniku brylowski! ja tu z tobą długo rozmawiać nie będę! Zmiąłbym ciebie jak kartkę papiéru, kiedybym cię wziął w moje ręce! Ogłodziłbym cię z chleba, obrzucił wieczną hańbą na twoim zamku, chociażeś pan!... na mojéj wsi! — Ale nie chcę! Niechaj diabeł bierze tę duszę, która mu się należy; niechaj świat plwa w moje własne nazwisko, ale nie ja! Idę precz i słuchaj! Jeźli dziecka mego nie znajdę, to wasze szczęście! Karmcie wasze brudne sumienia moją fortuną; ja umrę z głodu w łachmanach, a policzymy się w dniu ostatecznym! Ale jeżeli znajdę moję dziecinę, wtedy drżyjcie wszyscy jak tu jesteście — bo się rachować będziemy tu! A teraz precz mi z oczu, ty podły gadzie! precz!

Pakosz, który stał jak posąg przez cały czas téj perory, nagle się teraz odwrócił i szybkim krokiem pobiegł w dziedziniec. Z dziedzińca jeszcze raz się oglądnął ku bramie, jak on pies, który spuszczony z łańcucha, ubiegłszy kilka kroków, ogląda się ku swéj budzie, czy go jeszcze nie zawołają i nanowo nie przypną. Ale starca już nie było przy bramie i zdawało się z jego mowy, że tak prędko nie przyjdzie — wszakże zawsze na to nie było żadnéj rękojmi. I to gryzło Pakosza, i nie dawało mu sypiać po nocach, i napełniało go grozą w każdéj godzinie, w każdéj chwili — ale na to nie było lekarstwa. Starzec plunął na kilka tysięcy złotych, któremi chciał raz Pakosz u niego zakupić wieczną zgodę — wsi oddać mu nie mógł, bo cóż to wieś w owe czasy! — a podczas kiedy przy pożegnaniu się z ojcem o wszystkiém pamiętał, spytać go się, gdzie jest owa niegdy mu powierzona dziecina, na śmierć zapomniał. I nie było na to żadnego ratunku — i przy wszelkiém swojém szczęściu i powodzeniu, musiał on tego starca cierpiéć, jak robaka gryzącego mózg jego pod czaszką, jak miecz Damoklesowy na włosieniu wiszący — jeżeli jeszcze więcéj takich mieczów nie wisiało nad jego głową!

Tymczasem z siostrą jego działo się wcale inaczéj. Jéj zamąż pójście zmieniło stan jéj, ale nie zmieniło w niczém jéj uczuć i myśli. Do jéj głowy przybyły teraz nowe myśli, nowe pojęcia, w jéj sercu pokazało się miejsce na nowe uczucia i nowe pragnienia — ale treść jéj istoty pozostała zawsze ta sama, co była niegdy. A podczas kiedy coraz jaśniejszém okiem przypatrywała się światu i życiu, i wszystkie dawne jéj marzenia i dawne nadzieje w coraz wyrazistszych stawały przed nią kształtach, jéj położenie teraz o tyle stało się gorszém, ile że z nieograniczonéj krainy swobody przeszedłszy w ciasne obowiązków obręby, czuła całą świętość tych obowiązków i całą duszność, któréj doznawała od ich nieznośnego ciężaru.

Przyczyną takiego stanu jéj duszy i serca była zapewne sama

wnątrz jéj istoty, któréj ani świat ją otaczający nie odpowiadał, ani ona się nie mogła nagiąć i zastosować do świata — ale wiele także do takiego jéj położenia przyczyniały się i zewnętrzne stosunki. Nieszczęście bowiem tak chciało, że lubo to, co ją otoczyło od czasu ślubu, było samo w sobie dobrém i najpoczciwszém, jednak to wszystko na nią, także dobrą w sobie, działało zgubnie i fatalnie. A najpiérwszą fatalnością dla niéj był sam jéj małżonek. Dobry dla niéj niezmiennie, dbały o jéj wygody, grzeczny, łagodny, a nawet już przywiązany, tak jednak nie odpowiadał całą swoją istotą jéj uczuciom i myślom, że lubo się siliła z początku na to, aby się do niego przywiązać, potém już aby tylko obojętną pozostać, nie potrafiła przecież ani w to ani w owo, i pomimo jéj woli a często nawet pomimo wiedzy, z każdym dniem nowe rosły w niéj ku niemu niechęci, nowe do niego odrazy, że w krótkim już czasie po ślubie przyszło jéj z sobą stanąć na tym punkcie, na którym zimna niechęć zaczyna się przeradzać w nienawiść. Przyzwyczajonéj oddawna wiele czuć w sobie i nad sobą, nie uchodziła ta ciągle postępująca zmiana wewnętrznego usposobienia jéj bacznéj uwagi i myślała ona nad sobą i nad swym mężem — a kiedy myśląc, nie znachodziła w rzeczy nic w nim takiego, czémby ją gorszył albo obrażał, stanowiła zawsze u siebie odtąd być inną, inaczéj czuć i myśléć i całkiem się odmienić. Ale postanowienia takiego nie dotrzymała nigdy, bo lada słówko niewinne powiedziane przez męża, lada żart jakiś, lada drobny jego uczynek, wzruszał jéj serce do saméj głębi i wtrącał ją znowu w przepaść trawiącego ją smutku, nie objawiającego się nigdy inaczéj, tylko niemą ku mężowi niechęcią.

Drugim, równie fatalnie na nią działającym wypadkiem, był brak wszelkiego zajęcia się, brak zupełny owego tysiąca drobnych, domowych zatrudnień, które zajmować powinny trzy czwarte części życia kobiéty. Wiadomy nam wewnętrzny porządek łowczycowego dworu, znajoma owa wiecznie czynna, niespracowanie skrzętna i samowładności łaknąca staréj pani łowczynéj figura, i zdaje nam się że dość ją sobie przypomniéć, ażeby być przekonanym, że Julia przy najlepszych swych chęciach, przy najgwałtowniejszém nawet pragnieniu zatrudnienia się czémkolwiek, domowego gospodarstwa tyczącém, ręki do niczego przyłożyć nie mogła. Jakoż rzeczywiście tak było. Pani łowczyna, lubo w niczém nie chciała ubliżyć swojéj synowéj i nawet dosyć ją nawidziła, jéj wszakże w dom swój przybycie za mało co inny uważała wypadek, jak gdyby jéj nowa sługa przybyła. Nie znaczyło to wcale u niéj, żeby ją chciała jako sługę traktować, ale téż ani jéj przychodziło to na myśl, że odtąd urząd gospodyni powinien właśnie téj przybyłéj przysłużać. U niéj zanadto wiele ważyło to berło nad spiżarnią i saganami, ażeby je miała komukolwiek powierzyć. — wszakże niegdyś spór o nie zakwaszał jéj pożycie z nieboszczykiem jéj mężem. Śmierć nawet jego o tyle się stała jéj

lżejszą, o ile oddawała jéj władzę nad domem na wieczne czasy. Nieograniczona tylko miłość dla syna potrafiła uszczuplić zakres téj władzy, — miałażby jeszcze tę resztę, stanowiącą całą treść jéj żywota, oddawać na to, ażeby się patrzéć na nieopatrzne rządy nieumiejętnéj dzieciny? Więc niech się uczy, — mówiła sobie pani łowczyna, — niech mi się przypatruje zdaleka, a po mojéj śmierci niechaj doświadcza rozumu swego na téj drodze i pozna co to jest gospodarstwo. I tak od wieczora do rana Julia skazana była na zupełną bezczynność, na przypatrywanie się zapobiegliwości pani łowczynéj, na przysłuchiwanie się jéj zrzędzeniu, hałasom, skargom i zmartwieniom, a już to dzień był bardzo szczęśliwy i dowód wielkiego zaufania od staréj jéjmości, kiedy jéj powierzała klucz od piwnicy i pozwoliła być przytomną przy zbiéraniu śmietanki.

Ta niesprawiedliwość, wyrządzana Julii w jéj własnym domu, nie uchodziła uwagi jéj męża, wszakże nie uważał on tego wypadku za nic innego, jak tylko za ujmę jéj osobistego honoru, za obdzieranie jéj z przynależnéj jéj władzy; i przepraszał ją za to po kilka razy i tłumaczył jéj się, że już temu żadną miarą niepodobna zaradzić, ale o naturalnych a niedobrych ztąd skutkach, któreby żadnéj młodéj nie ominęły kobiéty, ani mu się kiedykolwiek marzyło. A tymczasem ten brak zajęcia może najdzielniéj się przyczyniał do ustawicznego pogorszenia wewnętrznego usposobienia Julii.

On bowiem przynosił owe długie, nudne godziny, w których głowa do marzeń skłonna, przebłądziwszy już wszystkie znane sobie gościńce i ściéżki, pnie się na najdzikse skały i żadną nogą nietknięte manowce, — on przyprowadzał i odświéżał najdawniejsze wspomnienia, — on wykazywał i uwydatniał wszystkie choćby najdrobniejsze chwil teraźniejszych niedogodności, — on dopomagał do przędzenia najniepodobniejszych tkanek i do budowania najpiękniejszych zamków na lodzie, — on nakoniec wyrabiał wszystkie niesmaki życia, poduszczał żale, obudzał chętki i pragnienia, i rodził owę suchą piekącą czczość duszy i serca, która w najdzikse błędy zwykła rzucać najmoralniejsze przedtém kobiéty.

W tak nieprzyjaznem dla swoich wrodzonych usposobień położeniu znalazłszy się, Julia, lubo się ciągle po przed jéj oczy kręcili ludzie i gwar ich ustawicznie jéj uszu dochodził, czuła się dziwnie samotną. Nie miała ona ani jednego serca, któreby razem z nią czuło, nie miała ani jednéj duszy, któréjby się sama udzielić i nawzajem jéj wyznaniami zająć się mogła, i trawiąc długie, samotne nad robótką albo nad książką godziny, nieraz wpadała w tak martwą zadumę, jak gdyby tylko jéj ciało pozostało przy życiu, a dusza jéj położyła się śmiercią.

Jeszczeż to jeszcze, póki matka jéj żyła, miała ona choć jakie takie zajęcie. Matka jéj nie była to także istota zupełnie jéj odpowiednia, innym torem szły u niéj myśli, innym tokiem uczucia,

ale zawsze znały się te kobiéty oddawna, umiały siebie choć przez połowę rozumiéć, wiązały ich wspólne ziemskie stosunki i wiązała je miłość, która umié ogień pomieszać z wodą i stawać się źródłem najtrudniejszych poświęceń. Jeździła tedy Julia po parę razy w tygodniu do matki, zostawiała u niéj wszystkie swoje smutki i wszystkie niechęci, odżywiała się jéj miłością, i zapełniwszy czczość swojéj duszy jéj wyznaniami, pokrzepiona i silniejsza powracała do domu.

Ale ze śmiercią matki zniknęło dla niéj ostatnie źródło ochłody i pociechy. Ostatnią palmę zieloną, która jedyny cień chłodzący rzucała na piaszczystą pustynię jéj życia, wicher wywrócił z korzeniem i postawił tylko pień jéj zeschnięty na zasypanéj oazie, — grób jéj na zahoczewskim cmentarzu. Na ten cmentarz często jeździła Julia i modliła się nad tym grobem, i po modlitwach rozmawiała z onym krzyżykiem drewnianym, któren stał na nim, ale tylko ona mówiła do niego, on głowę pochylał ku niéj, kiedy go świéżym zdobiła wieńcem, patrzył na jéj łzy, słuchał jéj żalów, — lecz milczał. I grób milczał jéj matki — i żadnego głosu nie było na całym świecie, któryby do jéj serca przemówił, któryby przerwał tę zaklętą ciszę, panującą w jéj duszy, któryby choć zadrżał w powietrzu gdzieś daleko koło niéj.

I zdawało jéj się, że jest puszcza naokoło piaszczysta, że nic nie widać dokoła, tylko morze piasku na ziemi i morze błękitów na niebie. Na całéj ziemi nie widziała ona ani drzewka jednego, ani kropelki wody, ani jednego żyjątka, — na niebie ani słońca, ani gwiazd migających, ani mdlejącego księżyca. Tylko krzyżyk drewniany na grobie matki gdzieś w oddaleniu widziała. A kiedy się tak długo wpatrywała w ten grób i ten krzyżyk i zupełnie zmartwiała w teraźniejszości i przyszłości, poczęły jéj się jakieś mgły cieniuteńkie jawić ponad grobem, a na tych mgłach rysowały się jéj lat młodszych wspomnienia. Więc pokazały jéj się najpiérw jéj lata dziécięce, kiedy bawiąc się wstążeczkami, siadywała u kolan matki; potém pokazały się jéj ogródki i wirydarze; jéj kwiaty w donicach, jéj suknie i ozdoby, w których cichy hołd swojéj urody odbiérała na sąsiedzkich zebraniach; potém stanęły przed nią jéj ulubione książki i myśli w nich zawarte i z nich powysnuwane marzenia. Ale to wszystko, przesuwając się w mglistych postaciach, mignęło szybko i zniknęło pomiędzy morzami piasku i błękitów, — tak jak nam jadącym statkami po rzéce wspaniałéj znikają prędko z przed oczu ozdobione zamkami i ogrodami brzegi, i giną gdzieś za nami pomiędzy niebem i ziemią.

Ale przecie nakoniec po tych prędko zniknionych obrazach przyszedł jeden wyrazisty i większy. Przyszedł i stanął jak wryty, jak gdyby po długiéj wędrówce chciał przed jéj oczyma odpocząć. A na tym obrazie wymalowany był człowiek młody, pięknéj, białéj twarzy, z czarnym wąsem i czarnemi oczyma. Aksamitną miał szatę na wiérzchu, białą atłasową pod spodem, pas kapiący od

złota i czapeczkę z białą kitką na głowie. Julia mu się przypatrzyła dokładnie, poznała go i serce jéj uderzyło gwałtownie. I przypominały jéj się wszystkie z nim strawione godziny, wszystkie jego westchnienia, jego słowa. O! jakiż to inny człowiek, niż mąż jéj! I długo go jeszcze przed oczyma widziała, — ale potém pokazała się jéj nagle Barbarka. Na jéj widok, Julia sobie ręką zakryła oczy i krzyknęła pomimowolnie. Potém długo płakała — a po płaczu postanowiła nigdy już nie myśléć o panu Józefie.

Tak wiejskie dziéwczęta chyłkiem się zakradają do pańskich sadów i obrywają zakazane owoce, lecz kiedy nagle usłyszawszy groźny głos sadownika i pogoń stróżów za sobą, przez ociernione płoty uciekną: to za płotami, oglądając swe ręce na cierniach podrapane i sukienki rozdarte, przysięgają sobie nawzajem, że już nigdy nawet na sad pański nie spojrzą, — ale na przyszłą niedzielę znowu się przekradają przez płoty.

Tak się stało i Julii. Drugiego dnia po tym piérwszym znowu jéj stanął przed oczyma dawny kochanek, w trzecim i w czwartym to samo, a potém grobek matki zapadał się coraz głębiéj na ziemi i w jéj pamięci, krzyżyk napróżno ku świéżym wieńcom długie wyciągał ramiona i chylił się ku ziemi bez wieńców... a na onéj puszczy bezludnéj i głuchéj wytrysnęło nowe źródło ochłody, i nowe dla jéj myśli oparcie w coraz żywiéj się malującym dawnego kochanka obrazie.

Taką wynalazłszy dla swego nudnego życia rozrywkę i taką karmę dla swojéj czczości i rozgrzészywszy się do niéj nie swojém sumieniem, ale przyzwyczajeniem, urozmaicała ona ją sobie wszelkiemi sposoby. Więc otaczała ona ów obraz wszelkiemi należącemi doń wspomnieniami, przypominała sobie wszystkie sceny, w których on jakąkolwiek odgrywał rolę, przypominała sobie jego słowa, jego ubiory, jego konie i sługi, a nawet osoby, które go otaczały onego czasu. I wszystko to miłém jéj było nadzwyczaj. Miłym więc był jéj Grott, który z nim często do Zahoczewia przyjeżdżał, miłym mąż jéj własny, który jego był przyjacielem, ale miłą nad wszystko Ewa, owa wróżka z balogrodzkiéj granicy, która piérwsze jego przepowiedziała przybycie. — Ewa nie zaprzestawała dotąd rzemiosła swego. Jak dawniéj tak i teraz nawiédzała ona często znajome sobie domy, i umiejąc się w każdym do czegoś stać pożyteczną, ciągłe ze wszystkiemi utrzymywała stosunki. Po zamążpójściu Julii kilka razy już ona jawiła się na Żerniczce i za każdą razą to coraz nowe zarzucała wędki, aby tę młodą panię czémś do siebie pociągnąć, wszakże nie udawało jéj się to dotychczas; Julia ją zawsze zimnemi słowy zbywała, a Ewa, gdyby nie to, że miała trwałe łaski u staréj pani i zawsze jéj z kart wróżyła, lekarstwa podawała dla bydła, sługi stręczyła i przynosiła nowiny z sąsiedztwa, byłaby nawet nie miała czego pokazywać się na tym dworze. Teraz atoli już kilka razy sama zaczépiała ją Julia i o różne rzeczy pytała. Ewie dosyć było i na

tém, była to bowiem bardzo przenikliwa kobiéta, a posiadając wszystkie tajemnice całéj okolicy i wieloma z nich własnoręcznie kierując, posiadała przez to i klucz do wielu serc ludzkich i obfite dla swego wróżbiarstwa natchnienie. Zaczépiona raz przez Julią, wiedziała ona dobrze, kędy szukać téj zaczépki powodu, jakoż go zaraz odkryła. A rzuciwszy natychmiast kilka niechętnych dla jéj męża wyrazów, kilka delikatnych politowań nad nią i kilka ciemnych domysłów, że jéj dawny kochanek niebardzo w swém dzisiejszém pożyciu szczęśliwy: tak tém odrazu przyciągnęła do siebie i zniewoliła tę tęskniącą za jakiémś zajęciem kobiétę, że odtąd stała się jéj najpoufalszą powiernicą i najwiarogodniejszą radczynią. Téj wszakże władzy, którą świéżo co uzyskała nad Julią, używała ona z wielkiém umiarkowaniem. Gdyby była chciała, mogła była odrazu odżywić całą dawną jéj miłość, mogła była temu niegdy czystemu uczuciu, które mieszkało w sercu dziewiczém, nadać taki kierunek, jaki ono brać zwykło, kiedy zamieszka w sercu kobiéty, mogła może była tę rzecz przyprowadzić i daléj i przyszłego jakiegoś związku zaraz zasiać nasiona.... ale ona tego nie uczyniła. Ona poddawała Julii tylko po drobniutkiéj kropli téj miodowéj trucizny, któréj mogła jéj poddawać po czarce, a przyszłość zostawiając czasowi i swojéj woli, starała się tylko nie stać na jedném miejscu i coraz daléj wieść tę posłuszną ptaszynę na owéj nitce, na którą ją ułowiła. I Julia dała się wieść téj czarownicy, z szatanami zmowę mającéj, i zrobiła krok jeden i drugi.... że wkrótce została niewolnicą rozchorzałego serca swego i téj baby przeklętéj.

Zwyczajnie to tak bywa na świecie, że kiedy sobie człowiek z wielkim mozołem i trudem drogę do dobrego otworzy, to nietylko że ją znajduje odrazu ostremi cierniami i głazem zjeżoną, ale postępując nią daléj, codziennie nowe znajduje zapory i nowe trudności; ale kiedy się przed nim sama przez się do złego rozściele droga, to nie dość że to będzie od razu bity i równiusieńki gościniec, ale będą stać na nim już gotowe podwody, będą stać przewodnicy i towarzysze podróży i jeszcze tacy, którzy swoje szaty jemu pod nogi podścielą, i drudzy, którzy zgoła na swoich barkach nieść go się daléj podejmą. Tak się zdarzyło i Julii.

Niedość bowiem, że same przez się odezwały się w jéj sercu afekta, które powinna była już dawno jaknajgłębiéj zagrzebać i głazem wielkim przywalić, aby nigdy nie wstały, niedość że jéj się w oną fatalną chwilę taka stara pojawiła grzésznica i wzięła odrazu wielki wpływ nad nią i władzę: trzebaż jeszcze, ażeby miast sztuką przywoływanego obrazu, właśnie teraz sam dawny zaczął jéj snuć się często po przed oczy kochanek.

W saméj rzeczy właśnie jakoś przy końcu lata zaczął się coraz częściéj na Żerniczce pokazywać pan Józef. Nie powinno to było nikogo uderzać w oczy, boć przecie przez lat kilkanaście

ledwie nie codziennie go tam widywano, a przecież teraz zarówno to zastanowiło łowczyca, jak jego żonę.

Julia, zastanowiwszy się nad tém, przeczuciami swego rozigranego serca wiedziona, zaraz téż i odgadła, jaki jest powód tych tak częstych odwiédzin, ale odgadła go najfałszywiéj. Jéj się bowiem zdawało, że ta sama miłość, która w niéj zmartwychpowstała, wstała także i w panu Józefie, i że ona, wiążąc mu oczy i niewoląc dla siebie serce, tak go często do Żerniczki sprowadza: a tymczasem pan Józef, na dwór przyjechawszy albo i pieszo przyszedłszy, rzadko kiedy z nią dwa słowa wymienił, często nawet ani poglądał w tę stronę gdzie była, a zawsze tylko z samym rozmawiając łowczycem, kiedy go w domu nie zastał, nawet z konia nie złaził i smutny powracał do siebie.

Łowczycowi także wpadły w oko te częste wizyty; nie starał on się odgadywać ich właściwéj przyczyny, bo się rzadko wdawał w te rzeczy, ale tak różnie myślał o tém a tymczasem pilne dawał baczenie na każde słowo swojego brata. Dziwne bo téż czasem rzeczy gadał pan stolnikowicz. I tak dnia jednego, siedząc wespół z łowczycem na darniowéj ławeczce w grabowéj alei, tak mówił:

— Dziwnie to, panie bracie, Pan Bóg ukształtował ono najprzedniejsze stworzenie na ziemi, które się zowie człowiekiem. Myśląc nad nim i równoważąc sobie w duchu różne jego głowy i serca przymioty, raz się mój rozum zdumiéwa nad potęgą ludzkiego ducha i wielmożnością, ale drugi raz zaraz żal mnie ściska za serce i łzy stają w źrenicy nad jego głupstwem i słabością. I tak te rózne rzeczy wielkie i maluczkie, wspaniałe i podłe, mądre i głupie w nim są połączone i pogmatwane ze sobą, że kiedy którego człowieka pomacasz, to nigdy nie wiész co ci tam padnie pod rękę, złoto czy błoto, a paść może i jedno i drugie, bo pewno w każdym jest to oboje. A że tak jest, niéma co mówić o tém, bo niedosyć że już tego sam doświadczałem w życiu i powalałem się nieraz o takiego człowieka, który lśnił się od słońca jako czerwony złoty dopiéro wydany z mennicy, ale to samo stoi także po księgach, które wielkich ludzi opisują żywoty; naliczywszy siła ich cnót i wielkości, liczą także na końcu i ich słabizny i jako żywo ani się najdzie który taki, coby nie miał w sobie dosyć onych pierwiastków błotnistych, które w nim koniecznie być muszą na znak tego, że jest synem téj ziemi. To się mówi o ludziach wielkich, które opisuje historya; ale na tych małych, których pełno jest w każdym powiecie, chwała Bogu, jeżeli na którym dobrego i złego jest po połowie, a najwięcéj pewno jest takich, na których ledwie kilka sztuczek jest złotéj łuski, a reszta wszystko ziemia a kał. A kiedy tak jest, jakimże tedy trybem się to dzieje, że niejedna taka z szczéréj gliny ulepiona łąteczka, kiedy na nią spojrzysz z daleka, świéci się tak do słońca jako pancerz

polerowany na glanc, albo jak on ze szczérego złota ulany apostoł, których ma być dwanaśnie na katedrze w Krakowie? I to nie tylko raz ci się tak widzi, ale razy sto i więcéj i przysiągłbyś na to, że w niéj niéma ani grudeczki ziemi, ani żadnego brudu, aż przyjdzie czas, a tu ci się pokazuje, że tam owego złota ledwie jedna grudka lub dwie, a reszta wszystko ziemia a proch. Zkądże to idzie? Owóż tedy ja tak myślę, że ci ludzie, mając kilka łusek szczérego złota, kowają sobie z nich suknię cieniutką a lśniącą i chowają ją w skrzyni, tak jako my chowamy nasze odświętne; kiedy nikogo niéma koło nich, to oni tak chodzą jako są, ale kiedy się komu mają pokazać, to wdziéwają prędko oną złotę sukienkę i wydają się ludziom jak gdyby byli ze złota na wskróś. Ano to psia jest sztuka i bardzo chytra łapka na ludzie uczciwe i łatwowierne!

Inną razą znowu tak mówił Bobowski:

— Niechaj sobie kto chwali jak chce starożytne filozofie arabskie, niechaj czołem bije przed siedmioma mędrcami Grecyi, niechaj się zdumiewa nad księgami rzymskich prawodawców i mówców, niechaj hołd oddaje misternemu dowcipowi Francuzów, niechaj poklaskuje teraz głos poważny w naukach zabiérającym Niemcom; a ja przecie zawsze tak mówić będę, że rozum ludzki to bardzo znikoma a marna rzecz. Wszystko to, co rozum ludzki uprzędzie, choćby jak się mądrym zdawało na oko, kiedy mu się bliżéj przypatrzéć, a wziąć na dobry kamień probierczy, rozejdzie się i zniknie jak mgła, bo wszystko to nie ma żadnéj trwałości i stateczności, jeno jest jako błyskawica i blichtr. Prawdać to jest i trudno przeczyć, że rozum ludzki wielkich rzeczy już dokazał na świecie; dziwić się trzeba niejednym księgom, jako ten, który je pisał, stał wysoko nad wszystkimi pospolitemi ludźmi; ale co mnie po onych głębokich teoryach, co po jasnéj jak kryształ logice, co po onych sylogizmach rogatych, co po dilematach i wszystkich innych najmisterniejszych figurach, kiedy to wszystko nie nauczy mnie ani jednego kroku pewnego zrobić w tém życiu, które przecie trwa kopę lat? A żeby téż człowiek prawił jak Domostenes, umiał na pamięć całego Senekę, pisał takie wiérsze jak Horatius, gwiazdy umiał rachować jak Kopernik i znał drogi po wszystkich morzach jak Columbus, nic mu z tego wszystkiego, kiedy nie będzie trafiał na gładkie drogi tego żywota i nie będzie umiał rachować kamieni, które co krok stêrczą na tych drogach i srodze kaleczą nogi wędrowców. Co pomoże znać martwe książki, które cicho leżą na półkach i nie szkodzą nikomu, skoro się nie zna ludzi, którzy się wciąż podsadzają pod drugich i okrutnie nieraz zakwaszają to życie, któreby mogło upływać tak słodko! Co może rozeznawać po kompaturkach Pandekta od Voluminów, Herbaria od konstytucyi, kalendarze od głosów pochwalnych, kiedy człowiek rozeznać nie zdoła, w któréj kobiécie anioł zamieszkał, a w któréj się diabeł zataił? Owóż tedy ty człek srodze mądry, we wszystko

twym rozumem potrafisz. Cycerona bierzesz na jeden palec, miotasz Seneką na wszystkie strony jak piłką, Volumina i Statuta to twój Ojcze nasz, a Zdrowaś, a konstytucye to Credo; kiedybyś rzekł co na sejmie, toby wszystkie senatory gębę rozdziawili od ucha do ucha, kiedybyś się odezwał od kratek, toby padł plackiem przed tobą trybunał, a i szablą kiedybyś uderzył w nieprzyjacioły, to już jeno je potém gonić a brać na łyka, jak ryby na łące: a tu baba kiedy krzyknie na ciebie od kądzieli, to ty uszy po sobie i za piec.

— A to licha wart, panie bracie, mąż taki, — rzekł na to łowczyc, — który za piec idzie przed żoną.

— A zapewne że licha, — odpowiedział na to Bobowski, — ale przecie to samo powiadają o onym wielkim Zamojskim. Mąż to był jakich mało; źrenica w oku monarchy, *primus consul* na sejmie, istny *heros* na polu, samowładny pan całego rycerstwa i szlachty, a przecie nieraz motki trzymał Gryzeldzie, że mu aż ręce mdlały, a potém szedł za piec i płakał.

— Ej! bajka to, panie bracie, — rzekł Osuchowski, — którą pewnie Mora wymyślił.

Innym znowu wieczorem, pan stolnikowicz, zasiadłszy do zwykłéj z swoim bratem gawędki, taką mu opowiadał historyą:

— Dnia wczorajszego wpadła mnie w ręce książka, która pisze o zakonie krzyżackim. Bijali ich niegdyś suto nasi ojcowie, a nawet i mój dziadunio srodze ich był poparzył pod Grunewaldem, parzyli téż równo i inni, ale jednak dziwna siła i wytrwałość była w tych ludziach. Przez wszystkie bowiem wieki ich egzystencyi, mało nie co lat kilka, a przynajmniej co kilkanaście, taki czas na nich przychodził, że już jeno co trochę dychali. Zbici, złupieni, z zamków powypędzani, od swego ludu i od swych miast opuszczeni, od sprzymierzeńców zdradzeni i rozsiani po całym świecie, zdawało się, że już ich koniec nadchodzi i że już nigdy na nogi nie wstaną. A ono w rok lub w dwa lata całe Prusy leżą plackiem przed nimi, wszystkie zamki w ich mocy, wojska wielkie na lądzie i na morzu, piéniądze, skarby, dobytki, sprzymierzeńców pełno dokoła, wielkim głosem gadają na sejmach rzeskich, cesarzowi ledwie że się pokłonią, statki rozbijają na Wiśle, zamki biorą graniczne, ba, ziemię z pod nóg wydziérają. Mało co potém znowu biorą po łbie z téj strony i z owéj, a czasem i do tego przychodzi, że ich zpieszonych i rozpierzchniętych ich właśni chłopi wybijają po lasach, jako młode wilki i inny zwierz szkodny. Ale przecie nigdy nie wyginą od tego, a po największéj klęsce wcale niedługo trzeba czekać na to, żeby ich znowu ujrzéć w dawnéj chwale i mocy. Owóż długo myślałem nad tém, kiby to diabeł mógł być, który w nich utrzymuje takiego ducha, który się żadną miarą nie da pognębić i taką siłę, która już pognieciona na nic i prawie przydeptana do ziemi, wstaje znowu i tak się wzmaga w lot, że jeszcze mistrz nosi sińce na rękach od sznurów,

któremi był związany w nieprzyjacielskim obozie, a już rozkazuje znowu po całych Prusiech i stutysięcznem wojskiem na swe wrogi uderza. Otóż doszedlem tego, — i nie był to, panie bracie, w nich ani żaden duch osobliwy, ani siła nadludzka, ani żadne pomazanie Boże, ani też czarownictwo, jeno to jedno, — że żon nie chowali!

Gdyby był przed rokiem lub dwoma pan łowczyc usłyszał taką mowę z ust swego brata, to byłby mu się z wielkiéj radości rzucił w ramiona, albo do nóg mu upadł i zawołał: Owóż to mi jest rozum nad wszystkie rozumy! — ale teraz, kiedy już obadwa chowali żony w swych domach, i kiedy przyjście do tego dobytku tyle ich kosztowało trucizny, tyle zgryzot i tyle poświęceń, to takie i tym podobne stolnikowicza sentencye coraz większy tylko niepokój rodziły w sercu pana łowczyca. Nie chciał on się domyślać, ani domyśliwszy się, mógłby był u siebie dopuścić, żeby źródłem takich jego brata sentencyj były rzeczywiście już jakieś kwasy małżeńskie; wszakże znając go dobrze i wiedząc, jak zwykł był w szczęściu milczéć i tylko cały oddawać się swemu użyciu, musiał choć w to uwierzyć, że po nieumiarkowaném nakarmieniu się słodyczami, nastąpiła chwila nudy i przesycenia. I to bardzo było przykro panu Stanisławowi.

Ale wiara pana łowczyca zawiérała tylko połowę prawdy. Nietylko bowiem nuda i przesycenie dawały się uczuwać panu Józefowi i naprowadzały go na takie zastanowienie się nad samym sobą i światem, ale dawały mu się uczuwać nieznośne przymioty Barbarki, które wypędzały go z domu.

I nie były to żadne przywidzenia z jego strony, nie była to niecierpliwość, która zwykła bywać w ludziach gorących a prędkich, nie była to nakoniec niewyrozumiałość i niepobłażliwość, która spółkę trzyma z innemi usposobieniami Polaków; przeciwnie — Bobowskiemu nie przywidywało się nic takiego, coby nie było w rzeczywistości; był on cierpliwy aż nadto, wyrozumiały i pobłażliwy do tego stopnia, że nieraz za jéj dąsania się, za jéj zrzędzenia i gniewy, sam swoję żonę przepraszał, — ale położenie jego istotnie było takie, że znosić je bez szemrania było już niepodobna.

Barbarka bowiem, niedość że się w niéj z dniem każdym coraz gorsze objawiały przymioty, jeszcze nim rok minął od ślubu, już sama siebie obdarła ze wszelkiego uroku, jaki ją dotychczas otaczał w oczach męża. Była to niegdyś piękna, czysta, zawsze schludnie a nawet wyszukanie ubrana panienka, i teraz była to młoda i piękna i piękniejsza może niż przedtém kobiéta, ale tak jakoś zawsze opuszczona i brudna, że kto na nią popatrzył, temu się zdawało, że widzi perłę w śmiecisku. Nieuczesana, nieumyta, w pomiętym jakimś pudermanie, w brudnym czépcu na głowie, w kłapających pantoflach na nogach, włóczyła się ona od rana do wieczora po całym dworze i nieznośnie zrzędziła. Przy zrzędzeniu swém i łajaniu nie dobiérała wcale wyrazów, a jako już

dawniéj sam ojciec nieboszczyk delikatnie karał ją za to, że z jéj ust nieraz zanadto szorstkie wylatywały słowa, tak teraz aż włosy powstawały na głowie słuchającym, jakiemi ona szkaradnemi miotała na około siebie przekleństwy. Ale pomimo przekleństw, działy się jeszcze i gorsze rzeczy. Karając bowiem sługi za jakie przewiny, nietylko nie spoczywały przytém jéj usta, ale nieraz nie spoczywała i ręka, a gdzie tylko dała się słyszéć jéj groźba, tam się pewno pokazał i siniec. I to jeszcze dobrze, jeżeli tylko sam siniec, bo trafiły się także i lepsze rzeczy. Kilka dziéwek odeszło ze służby z poobcinanemi za karę warkoczami, klucznica omal że na waletę nie została ociętą rózgami, a kilku parobkom dostały się najaktualniejsze bizuny.

Na to wszystko patrzył własnemi oczyma małżonek i z początku porwał się tego zabraniać, jakoż raz albo drugi udało mu się rzeczywiście wyjednać sobie posłuszeństwo u żony; ale kiedy się za trzecią razą znowu w swojéj sypialni zamknęła, za czwartą pogroziła, że go precz odjedzie i zostawi, niechaj go rozkradnie i rozbije jego rozpuszczone hultajstwo, a nakoniec i jemu samemu skoczyła do oczu z całym słownikiem prawie karczemnych wyrazów na ustach, pan Józef odskoczył od niéj jakby pies od jeża, przeżegnał się i uciekł do pana łowczyca.

Odtąd pani Barbara coraz obszérniejszą władzę zyzkiwała w Żernicy i coraz głośniéj a czynniéj ją sprawowała, a pan Józef, ustąpiwszy raz z placu i ratowawszy się od klęski ucieczką, pomimo to, że się ciągle odzywała w nim chętka wzięcia kiedyś na kieł i oparcia się temu babskiemu hetmaństwu, nigdy jednak już nie potrafił zdobyć się na to, a lubo parę razy się postawił okoniem i w kłótni domowéj, mitygując ją ciągle i przewlekając na długość, plac otrzymał zwycięzko, toż jednak na przyszłość żadnéj z tego zwycięztwa nie utrwalił dla siebie korzyści — bo co z chwałą zdobył dla siebie we dnie, to haniebnie utracił w nocy. Pan Józef jeszcze ciągle kochał Barbarkę i jakąkolwiekby mógł był miéć siłę, mającą źródło swoje w rozumie, to wszystką tę siłę zabijała namiętność, mająca źródło swe w sercu.

Krom tych klęsk wszakże, które pan Józef w sporach domowych odnosił, cierpiał on jeszcze i inne rzeczy, a to były długie i arcy-nieznośne jego żony kazania. Cokolwiek bowiem w domu stało się złego, to niedość że Barbarka krzyk za to głośny podnosiła w kuchni, w stajni albo w dziedzińcu, ale jeszcze powróciwszy na pokój, ognistą reprymandę za to paliła mężowi. Mąż słuchał i patrzył a potém tłumaczył się żonie, że sam nie wié, zkąd nagle tyle złego się bierze na jego dworze, że on tu lat tyle gospodarował i zawsze był wielki porządek i cisza, i spokój, i wszystko dobrze; ale Barbarka nie zawsze pozwoliła mu się nawet tłumaczyć, a często od wymyślania na gospodarstwo przechodziła do przycinków wystosowanych do jego własnéj osoby. A przycinki te o tyle były nieznośniejsze dla niego, ile że coraz

bardziéj rosły w dowcip a nareszcie w dojmującą złośliwość, że nakoniec nieraz zdarzyło mu się usłyszéć od żony, że się srodze na nim oszukała, że go miała całkiem za kogo innego, a teraz jéj się pokazuje kto inny, że jest człowiek bez rozumu, bez swojéj woli, rozlazły, mazgaj i do niczego.

Takie niezasłużone wyrzuty, do których prawo raczéj mężowiby było przysłużało niż żonie, wiele zmartwienia sprawiły panu Józefowi. Widział on należycie ich źródło i wiedział dobrze, coby mu wypadało czynić, ażeby temu wszystkiemu zapobiedz, ale oswajając się ze swojém nowém położeniem pomału i nauczywszy się uśmiéchać w nieszczęściu i obojętnie znosić ciosy tego domowego nierządu, miał zawsze krok jakiś stanowczy na myśli, ale zbiérając zię nań codziennie, coraz sobie dalszy termin wyznaczał i wciąż go odkładał, a tymczasem kiedy tylko mógł, do Żerniczki uciekał.

Przy swoich rozmowach z łowczycem miał on teraz na celu, aby nakoniec jemu się ze swoich cierpień wyspowiadać i przed przystąpieniem do czynu, jeszcze jego rady zasięgnąć, ale i na tę spowiedź nie mógł się jakoś zdobyć pan stolnikowicz i także ją zawsze odkładał do jutra. Tymczasem Barbarce, rosnącéj ciągle dla męża w niechęci i niespracowanie wad w nim i złych przymiotów szukającéj, nie podobały się te częste mężowskie wycieczki, i wymówiwszy mu je po kilkakroć, nakoniec całkiem je sobie wymówiła. Pan Józef i temu rozkazowi się poddał, i zaprzestał nawidzania łowczyca, ale ponieważ ci ludzie żyć bez siebie nie mogli, a już najmniéj pan Józef w tém położeniu mógłby się był obejść bez przyjaciela, więc natomiast łowczyc codziennie prawie bywał w Żernicy. I znowu były pomiędzy nimi gewędki, ale jednakże sposobność do wyspowiadania się z swoich zgryzot stała się tutaj Józefowi trudniejszą, bo bystre oko i ucho miała pani Barbara, — więc ów przedsięwzięty termin jakiegoś stanowczego kroku odwlekał się jeszcze daléj, a tymczasem złe rosło coraz bardziéj i nie doznając z nikąd żadnego oporu, wzmagało się coraz więcéj i coraz głębsze zapuszczało korzenie.

XIV.

Dziwią się ludzie temu, że z tysiąca zamków warownych i grodów, któremi kraj ten był najeżony, w lat kilkadziesiąt zaledwie kilkanaście zostało ruin, a nie pomyślą nad tém, jak to mało potrzeba czasu na to, ażeby najpiękniejsze rąk ludzkich dzieło zniszczało. Żadne téż podobno z dzieł takich tak nagłemu nie podpada zniszczeniu, jak zamki, pałace i domy. Niechaj tylko przez lat kilka pozostaną bez ludzkiéj opieki, oddane samym sobie i nieprzyjaznemu wszelkiéj stagnacyi czasowi, a zachwieją się najsilniejsze baszty, mchami malowane porosną dachy, sczernieją i podziurawią się mury, a potém jednéj tylko silniejszéj potrzeba burzy, ażeby z onéj wyniosłéj twierdzy, o którą niedawnemi jeszcze czasy napróżno się kusili łupów Tatarzy, bezkształtna tylko pozostała ruina.

Daleko śpieszniéj wszakże chylił się ku ostatecznemu upadkowi zamek na Balogrodzie, niżeli jego bliżsi i dalsi sąsiedzi. Starożytna budowa ta widać tylko sztuką i starannością swojego pana utrzymywała się w jakiéj takiéj całości: zaledwie bowiem rok niepełny minął od śmierci podkomorzego, a już nikt obcy byłby nie powiedział inaczéj, jeno że przynajmniéj lat kilkanaście w opuszczeniu stać musi ta poczerniała rudera. Świetne to podkomorzego mieszkanie rzeczywistą już było ruderą.

Mury, dopiéro co przed weselem Barbarki świéżo otynkowane i połatane, teraz już poczerniały, jak gdyby je kto dymem okopcił, i podziurawiły się znowu. Okna na całém górném piętrze powybijane na poły, w drugiéj części z ramami powylatywały w dziedziniec; dach się przez połowę zapadł na strychy, drugą

część jego burza zimowa zerwała i z góry do Hoczewki rzuciła, a na jego miejsce stérczało tylko siedem obdrapanych kominów. Na brzegach murów mchy powyrastały i zielska różne, które się z nich na zewnątrz zwieszały; połowa baszty rozsypała się gruzem i powaliła sobą ono kolczaste drzewo, po którém niegdy Bartek wspinał się w górę, a teraz wróble i pośmieciuszki skakały. Galerya frontowa się w jednym końcu obdarła i ku ziemi obwiesiła, a pod nią z sześciu czystych i białych trzy tylko wilgocią pozaciekane pozostały kolumny. I tak wszystko poniszczało i poupadało, a czemu sam czas z burzami zimowemi nie podołał, temu ludzka ręka, na gwoździe i kołki łakoma, tak dobrze pomogła, że aż strach było spojrzéć na ten skielet szlacheckiego mieszkania.

Widok ten atoli o tyle, był jeszcze straszniejszym, o ile jeszcze takież same zniszczenie w całém się rozpostarło obejściu. Od śmierci podkomorzego bowiem, całe gospodarstwo, poruczone dawnemu marszałkowi domu, przeniosło się ze wszystkiém na folwark, a tutaj pustką stanęły oficyny i kuchnia, stajnie i obory. Marszałek, człek już wiekowy i nieutulony w żalu po swoim panu, nie doglądany nawet przez nikogo w administracyi, bo rozrządzenie nieboszczykowskiemi dobrami aż do powrotu podkomorzyca zawieszono, pilnował jako mógł roli i dobytków, ale siedzibę pańską, na którą bez łez ani popatrzyć nie mógł, wraz z tém wszystkiém co ją otaczało, Boskiéj poruczył opiece. Więc padały dachy na stajniach, zaciekały wilgocią mury, kładły się na ziemię parkany i płoty, i dzikiemi chwastami zarastał dziedziniec, którego przez całe lato obca noga się nie dotknęła. I tak wszystko do koła, patrząc na zamkową ruinę, samo się chyliło w proch i zniszczenie.

Na całém tém zamkowém obejściu teraz nikt już nie mieszkał: stary tylko kapelan, wybrawszy sobie małą izdebkę na dole i obwarowawszy ją jak było można przeciwko wichrom i wilgoci, resztę dni swoich samotnie tam pędził. Staruszkowi temu ofiarowało kilku sąsiadów ciepły kącik u siebie; więc chciał go brać na Zernicę pan stolnikowicz, zapraszał do siebie pan łowczyc, bardzo nawet nalegał nań pan Urbański, iżby u niego w Jabłonkach zamieszkał, ale on się wszystkim wymówił i w swéj izdebce pozostał. Przykry mu był widok téj opuszczonéj przez przyjaciela siedziby, ale przykrzéjby mu było jeszcze, gdyby był zdala od jego grobu. Jakoż w czas pogodny, najwięcéj godzin spędzał ten srodze osowiały staruszek na balogrodzkim cmentarzu; tam w nogach grobu podkomorstwa obojga kazał on sobie kamień wielki położyć, na tym kamieniu, stać już ani klęczyć nie mogąc, siadywał on nieraz przez całe wieczory i przesuwając w rękach bursztynowe różańca koliwa, liczne posełał paciérze za swoim jw. panem. W tych wędrówkach na grób podkomorstwa towarzyszył mu zawsze kruk Nestor, sroka Rusinowska i szpak Samozwaniec, — ostatnie troje ptactwa, które kiedy kapelan udarował wolnością nieboszczykow-

ską ptaszarnię, nie chciała porzucić rąk swego karmiciela, — a z niemi pies legawy nieboszczyka podkomorzego; a kiedy kapelan, siedząc na swoim kamieniu, po ukończonych pacierzach, zamyślił się nad onemi latami spędzonemi z tym, który teraz przed nim leżał pod ziemią, i popatrzył na to ptactwo skaczące i latające około grobu, i na psa leżącego pod krzyżem, i przypomniał sobie Barbarkę, która od przeszłéj jesieni ani razu nie nawiédziła tego cmentarza, to mu łzy w oczach stawały, mruczał coś sobie pod nosem i płakał.

W innych godzinach siadywał ten staruszek w ganku pod kolumnami i bawił się ptactwem, które koło niego chodziło i brało z jego ręki resztki niespożytego obiadu; a kiedy ptaki pokarmił i nagadał się z niemi do woli, to zakładał ręce na krzyż na piersiach i patrzył w niebo, jak gdyby w ścianę swego przyszłego mieszkania. Ale czasem się zrywał i szedł na górne piętro. Tamte komnaty dziwnie teraz wyglądały. Chociaż bowiem w kilku miejscach niebo było widać przez pułap, chociaż okien nie było ani połowy i drzwi wszystkie pootwierane, większa połowa sprzętów pozostała w nich na tych miejscach, co dawniéj. Czasy były dobre, każden miał dosyć swego i nikt się po cudze nie kwapił; były to zresztą rzeczy stare i nader małéj wartości, jak skoro z pomiędzy nich co kosztowniejsze wybrano; teraz zaś wartość ich była prawie już żadna. Więc stały jeszcze na popaczonych posadzkach stoły, kanapy i szafy, leżały powywracane stołki i małe stoliki, leżały drzwi poodrywane z wrzeciądzów, wisiały z ścian całe płaty poodziéranych makat, a z pomiędzy nich ówdzie wyglądało potłuczone zwierciadło, tam stary obraz jakiś brudem i pleśnią okryty, a gdzieindziéj puste ramy tylko, z których przodek jakiś w pancerz zakuty i skórą niedźwiedzią okryty, wypadł i twarzą do ziemi leżał na wypłowiałego kobierca łachmanach. Po tych komnatach wzdłuż od rogu do rogu się nieraz przechadzał kapelan, milcząc i w niektórych miejscach w zamyśleniu stawając, jak gdyby sobie chciał przypominać niektóre sceny z tamtych czasów, kiedy tu było życie; potém dobywał klucza z kieszeni i otwiérał drzwi onych pokojów, w których była sypialnia i kancelarya podkomorzego. Te dwie izby najmniéj podległy zniszczeniu; stało téż w nich wszystko jeszcze na dawném miejscu, i szafa z książkami i pult z papierami i naczynie do mycia i wszelkie inne sprzęty, nawet łoże nieboszczyka na podniesieniu, tylko trumny pod łożem i papug przy drzwiach nie było. W trumnie spał dzisiaj sam podkomorzy, a papugi pozdychały wkrótce po śmierci swego pana. W onych izbach nieraz kapelan się zatrzymywał, drzwi od ganku otwiérał, potém przy swym dawnym pulciku zasiadał i patrząc na ów włoczek niedokończony i na krześle rozpięty, kartki w kiędze przed sobą leżącéj przewracał, tak jak gdyby jw. pan miał nadejść za chwilę i słuchać jego czytania. Ale potém nagle się bu-

dził, pult i księgę porzucał a prędko zbiegłszy do swojéj izdebki, długo się nie pokazywał na górze.

Tak wyglądał teraz zamek na Balogrodzie,—takie było życie staruszka w ruinach. Szlachta, przejeżdżając tamtędy i poglądając ciekawie na te coraz bardziéj czerniejące murzyska, zatrzymywała się nieraz na dolinie Hoczewki, ażeby nad marnościami tego świata podumać. A te ich dumy obwijały się w jakąś szatę dziwaczną i fantastyczną, pamiętną bowiem wszystkim była owa burza piekielna, która jak kara Boża niegdyś na grzeszną Niniwę nagle z nieba wypadłszy, przyniosła prawie nagłą śmierć podkomorstwu i równie nagłe zniszczenie ich pomieszkaniu. Tak strasznemu i niespodziéwanemu zdarzeniu nie umiejąc właściwéj wynaléźć przyczyny, a nie mogąc go do przypadków policzyć, dziwne baśnie przywięzywała szlachta do niego. Z tych baśni nie pozyskała żadna tak pospolitéj wiary, ażeby już na wieki pozostała w ustach okolicznych mieszkańców; wszakże powszechném stało się to przekonanie, że karząca ręka Boża zniszczyła zamek balogrodzki za grzechy jego mieszkańców. Tych grzechów nikt nie umiał wyliczyć, ani się nawet domyśléć, bo zanadto prawe a nawet świętobliwe było życie rodziców Barbarki, ażeby i najzłośliwsze języki mogły były coś na nich wymyśléć; wszakże nie przeszkadzało to nic do utwierdzenia się tego przekonania, że musiały być grzechy jakieś, kiedy tak straszne nastąpiło przekleństwo. Ale jak podkomorstwu dostała się od sąsiadów niedobra sława za jakieś niewiadome przewiny, tak znowu kapelanowi, który śród tego nieszczęścia ocalał, przyczepiano koniecznie jakieś cnoty niepospolite i łaskę Bożą. I w jakim stopniu wzrastał żal i politowanie nad grzeszném podkomorstwem, w takimże samym rosła cześć i sława dla kapelana; a ponieważ ten starzec ciągle mieszkał w owych czarnych ruderach, które były grozą dla wszystkich przejeżdżających, więc to roznoszącéj się wieści o jego świętobliwości tylko tém więcéj jeszcze dodawało uroku, że nakoniec, przyznając mu ciągle wielką z cnót sławę i tę coraz badziéj stopniując, poczęto go nazywać prawdziwym ulubieńcem Bożym, świętobliwym człowiekiem i prawie świętym.

Wieść ta, któréj wzrostowi i rozwijaniu się między szlachtą dobrze sprzyjały czasy, bardzo spokojne i zupełnie bezczynne, daleko bujniéj i wznioślej się krzewiła między ludem, który na swoję wieczną nędzę i cierpienia znaléźć nie mogąc pociechy u tych, którzy mieszkają na ziemi, szuka i zawsze znajdzie pomiędzy sobą ludzi takich, którzyby mu ją przynosili z nieba. Jakoż w opinii wiejskiego ludu prędko kapelan postąpił na zupełnie świętego, a ztąd na wybranego pośrednika pomiędzy Bogiem i ludźmi, na umiejącego dawać rady niemylne, uzdrawiać chore i ledwie że nie wskrzeszać umarłe.

Przemieszkawszy tedy w zupełnéj ciszy i samotności całą zimę i początki wiosny i wiedząc o tém, jak wszyscy ludzie, paciérz

mówiąc i krzyż robiąc na piersiach, zdaleka omijają tę straszną ruderę, niepomału się zdziwił kapelan, kiedy z początkiem lata poczęli przystępywać różni ludzie ku niemu, prosząc go to o rady dla siebie, to o lekarstwo dla swoich chorych, to o paciérze za dusze zmarłe. Przyjaciel podkomorzego, który swojego długiego zycia nie strawił daremnie, oprócz tego, że był żołniérzem i księdzem, rolnikiem i budowniczym, ptasznikiem i rybołowcą, umiał także i wiele jeszcze sztuk innych, a już téż znał się także i na medycynie domowéj, bo któż się na niéj nie znał onego czasu, w którym zaledwie na dworach pańskich utrzymywani byli lekarze? Znając się więc na tém, i mając po pani podkomorzynéj pozostałą apteczkę u siebie, a nie będąc zresztą w kłopocie o dobre rady i paciérze, rad był nakoniec z tego, że się może choć na coś jeszcze przydać na świecie, i nietylko że się nie zamykał przed przychodzącymi doń ludźmi, ale nawet nikt od niego nie odszedł, któryby jeśli nie ulgi, to przynajmniéj pociechy nie odniósł. Ale nie dosyć na tém, że do niego się tak licznie garnęli ludzie, że nieraz po kilkanaścioro tego ubóstwa stało na zamkowym dziedzińcu; musiał on wszakże jeszcze i do wsi nieraz się spuszczać, i do chat wieśniaczych wstępywać, ażeby tam nad konającymi choć jednę odmówić modlitwę. A kiedy się tak kilka razy zdarzyło, że taki, którego miano już za konającego, po przeczytanéj nad nim modlitwie wolniéj odetchnął a za parę dni powstał z łoża i poszedł za pługiem, to kapelana sława rozniosła się aż po ziemię sanocką, klękali i żegnali się przed nim przychodzący do niego, lub na cmentarzu go siedzącego widzący, nachodził go lud wiejski i kapotowy i szlachta nawet niektóra, — a o jesieni rzadko już który dzień tak minął, ażeby jakaś twarz ludzka nie przesunęła się przez zamkowy dziedziniec.

Niedługo atoli te zamkowe ruiny miały służyć li za kapelańską pustynię, — żyli bowiem jeszcze podkomorzego następcy, żyło pokolenie nowe i młode, które niezwykło ruinami zostawiać intratnych ojcowskich siedzib.

Jakoż dnia jednego, prawie w samę rocznicę onych fatalnych dni wesela i śmierci, kiedy o samym zachodzie słońca kapelan, odprawiwszy swoich natarczywych klientów, bawił się ptactwem koło niego skaczącém, dał się słyszéć turkot jakiś niedaleko od bramy, a w parę minut potém czworokonna karéta zajechała przed ganek. Karéta ta była uprzężona cztérema końmi karemi, jak gałki, na jéj koźle siedziało dwóch ludzi po niemiecku ubranych... owo zgoła nie trudno było poznać odrazu, że to Bartków ekwipaż.

Jakoż, skoro tylko sługa drzwiczki od niéj otworzył, w które kapelan z miejsca swego powstawszy z ciekawością zaglądał, wyszli z niéj i przed kapelanem stanęli oba młodzi Karszniccy. Wincenty, ujrzawszy przyjaciela swojego ojca a swego mentora, z szczérym afektem rzucił mu się na szyję, i staruszek objął go obydwiema rękami i w głowę całował. A kiedy się wypuścili z wza-

jemnego objęcia, ażeby się daléj słowami już witać, to spojrzawszy po sobie, rozpłakali się oba i słowa wymówić nie mogli. I długą chwilę potém jeszcze płakali, a Wincenty, chustką łzy obciérając obfite, poszedł na środek dziedzińca, i patrząc ztamtąd na zamek ojcowski i na całą tę pustkę i zniszczenie dokoła, łez już swych powstrzymać nie mógł, i przyciskając obydwiema rękami chustkę do oczu, aż się w głos zachodził od płaczu jak dziecko.

Tymczasem Bartek przystąpił ku gankowi i oparłszy się o kolumnę, smutno patrzył przed siebie; o drugą kolumnę, równie smutny, z rękami założonemi przed sobą, stał milczący kapelan.

A wtém wjechał w bramę wóz trzykonny, na którym siedział Haleski i inni słudzy; ten wóz obaczywszy, ruszyła karéta z przed ganku, i przejechawszy po pod zamek wraz z onym wozem, zatrzymała się przed stajniami, ale w tymże momencie, otrzęsiona tym turkotem baszta, pękła przez połowę na długość, a kawał ogromny muru urwawszy się z niéj, z trzaskiem i łomotem upadł w chwasty pod basztą rosnące i podniósł nad sobą gęstą chmurę kurzawy.

Na ten huk podkomorzyc odjął chustkę od oczu i łzy zatamował, ale przystąpiwszy do Bartka i kapelana, rzekł łzawym głosem:

— Nie, już niech się dzieje z Balogrodem co chce, ja ani do tego zamku nie wejdę, ani tu chwilę dłużéj zabawię. Jabym tu duszę wypłakał na tych miejscach.

— Jedź, jedź, mój synu — mówił na to kapelan — starego to trzeba serca na to, ażeby zniosło tyle boleści. Jedź — i tak w onych dobrach halickich, które tobie ojciec przeznaczył, kto wie co się dzieje. Jedź a kiedy z czasem się oswoisz z tym bólem twoim, to przyjedź tu, ażebym się choć jeszcze raz, nim umrę, pomodlił wespół z tobą na grobie rodziców.

— Ach! ojcze — rzekł z nowemi łzami Wincenty — ja nie odjadę ztąd, ażebym nie uklęknął na ich grobie i chodźmy tam zaraz... ale w zamek ten ani nogą nie wstąpię; mnieby serce pękało od żalu.

Kazali tedy wyjechać swym powozem z zamkowego dziedzińca i stanąć na rozstajnéj drodze; sami zaś tymczasem wraz z Bartkiem szli na cmentarz balogrodzki, albo raczéj stężnicki, bo tu na wsi a nie przy mieście były pochowane ciała Karsznickich. Szli tedy w górę a za nimi leciało ono ptactwo podkomorskie i wlókł się pies ze spuszczonym ogonem, i szedł daléj marszałek i inni słudzy nieboszczykowscy, którzy przyszli z folwarku pana młodego powitać, a nie mogąc z nim mówić przez jego żałość i łzy, postępowali zwolna za nim na cmentarz.

Podkomorzyc to widząc, wciąż płakał, chustkę przed oczyma trzymając i milczący szedł naprzód. I był to jakoby drugi pogrzeb, posuwający się ku cmentarzowi, jeno że trumny nie było.

A kiedy tam przyszli, uklękli wszyscy około grobu i długo

się tam modlili, aż i słońce zaszło i mrok już dobry począł się ścielić po dolinach i górach.

A potém wstał podkomorzyc i witał wszystkie sługi ojcowskie, pytając po staremu o ich powodzenie, o zdrowie, o żony i dzieci, a oni mu odpowiadali, kłaniając do kolan i pytając nieśmiało, czy ich znowu na długie czasy odjeżdża? A kiedy się dowiedzieli, że zostałby z nimi chętnie, jeno dla swéj ciężkiéj żałoby nie może i że chociażby został, to nie na długo, bo Balogród z woli ojcowskiéj przypada na jego siostrę, jmć panią Bobowską: to oni mu się jeszcze kłaniali i prosili, ażaliby tak być nie mogło, żeby przy nim się ostał Balogród? — Ale to już nie mogło być; podkomorzyc tylko dziękował za afekt i obiecał im to pamiętać od siebie, i dobrze za nimi się wstawić u siostry.

Tak potém pożegnawszy się ze wszystkimi i pokłoniwszy się księdzu kapelanowi, odprowadzeni przez cały dwór balogrodzki, wsiedli panowie młodzi do swojéj karéty i pojechali wprost do Żernicy.

A tymczasem w Żernicy nikt ich się ani spodziéwał, ani mógł nawet spodziéwać. Wprawdzie podkomorzyc pisał parę listów do siostry podczas swéj niebytności i w każdym z nich obiecywał, że już w krótkim czasie na zagon ojcowski powróci; ale skoro z jednego z tych listów wyrozumiano, że wraz z Bartkiem do onych dóbr wielkopolskich, które po pani podstolinie na nich przypadły, odjechał, z drugiego, że z temi dobrami wiele mają kłopotu i że zapewne przyjdzie z niejedną sprawą aż na rok sądowy poczekać, nim się od nieporozumień sąsiedzkich uwolnią, a z trzeciego nakoniec, że miasto podstolinéj umarłéj, jest w ich sąsiedztwie jakaś podstolina żywa, która ma córeczkę dziwnie miłą panienkę, i że to ich tylko jedno jeszcze ratuje, boby im przyszło się zanudzić z kretesem z onemi Wielkopolaki: tedy ani myślano o tém w Żernicy, żeby miał temi czasy wrócić się podkomorzyc i spodziéwano się prędzéj od niego listu, któryby ich na wesele zapraszał, aniżeli jego samego. Tém téż mniéj jeszcze spodziéwano się Bartka. Jakoż wieczora tego, a był to dzień jakiś pogodniejszy pomiędzy tém młodém małżeństwem, kiedy na kominie gorzał ogień suchemi karmiony drzewy i pryskał iskrami na płyty kamienne, które przed nim rozścielone były na miejscu posadzki, a na stoliku paliła się świéca woskowa zasłoniona umbrelką, na któréj dziwnie pięknie była wymalowana męka Pana Jezusa, siedział pan stolnikowicz w swojém krześle przy stole, i to kartki po jednéj w jakiéjś księdze przed sobą leżącéj obracał, to znów słuchał Barbarki, która swoim zwyczajem chodząc wzdłuż komnaty, wyprawiała przy kominie grzejącego się Grotta na jarmarki podolskie, ażeby na nich nakupił wołów, które wykarmione przez zimę w Żernicy i Rogach i zakupywane przez kupców niemieckich, znacznie podwyższały intratę. A kiedy mu już wszystkie naprzód

oznaczyła popasy i noclegi w téj drodze, opisała naprzód woły od rogów do racic i prawie ceny ich powiedziała, dodała nakoniec:

— Ale co to! ja sobie głowę suszę nad tém, ażeby waszmości jaknajdokładniéj wszystko zadysponować i ażeby mu zgoła te trudności opisać, które w takiéj sprawie się mogą nawinąć, a on jedném uchem słucha a drugiém wypuszcza, jak gdyby tylko wiatr wiał koło niego. I założę się o to, że albo nad miarę drogo to bydło popłaci, albo przyprowadzi takie gałgany, że ich i bobową mąką nikt nie wypasie, albo jako człek mądry i przezorny, co to zawsze tu strzyże tam goli, zgoła bez wołów powróci.

Grott, już przyzwyczajony do wymyślań Barbarki, nic na to nie mówił, a ona znów daléj:

— Ale to zawsze temu tak bywa, który sam się niczego nie imie; więc go tu kradną, tam oszukują, a gdzieindziéj zabiérają z przed oczu, aż on się dziwi, że za ojca bywało, a on pracuje i pracuje i nigdy nic nie ma. Ale co to gadać napróżno! Trafi się taki, który stanąwszy pod rynną, choć mu się woda leje za kołnierz, nie ustąpi się z pod niéj przez samo lenistwo: dlaczego niéma być drugi taki, który woli grosz leżany wybrać do dna ze skrzyni, i potém u drugich pożyczać, niżeliby miał popracować.

— Już do mnie pijesz, — rzekł na to, kładąc rękę na książce, Bobowski, — a znowu niesłusznie, bo było za ojca, jest za syna i zostanie jeszcze dla wnuka, żeby go jeno Pan Bóg dał kiedy doczekać. Jest i jest dostatecznie, a choć ja tak nie pracuję jako drugi chudzina na kilku zagonach, toż to nic nie ma do rzeczy; wżdy ja dbam przeto o wszystko i pracuje za mnie Grott z takim skutkiem, że jak mnie Bóg miły, tyleby miała Polska piéniędzy, ile ma zboża w jesieni, kiedyby wszystkiéj szlachcie tak wiodły się gospodarstwa. A co się tyczy tych wołów, to już darmo jest moje dziecko; żeby mi Niemcy na wagę złota je popłacili, to ja nie pojadę za niemi. Żaden Bobowski takim handlem się nie zabawiał i nie szachrował po jarmarkach wespółek z Ormiany i Żydy, toż i ja się tego nie podejmę. A trzebali mi będzie koni choćby i całe stado, to i na dziesięć jarmarków za niemi pojadę, i kiedy będę miał co na sprzedaż z méj stajni, także sam poprowadzę, bo to jest zwierz mnie godny i prawie mój przyjaciel, zwierz szlachetny, waleczny, chędogi i od najdawniejszych czasów z naszą szlachtą zbracony; owóż z takim to ja się i prześpię i ubiorę go i przedam albo zamienię, zgoła z nim gdzie się pokażę, to mi wszędzie będzie do twarzy; ale wół, a baran, a inny zwierz domowy, to bydlę ręki mojéj niegodne; jakoż zostawiając zabawkę z niém mieszczuchom a Żydom, sam go się ręką za nic w świecie nie dotknę, a nie dopiérobym miał za takiemi rzeczami walać się po jarmarkach. Powiedziałem, rzeknę jeszcze raz wtóry i dziesiąty, i na tém koniec, bo inaczéj nie będzie! — Skończył ostro pan stolnikowicz, i zaczął czytać w książce, bo już zbiérała go

niecierpliwość na te żonine zrzędzenia, a zwłaszcza też kiedy to się działo przy Grocie. Grott też aż się uśmiéchnął z radości, że to przecie choć raz w tym domu mąż zagadał swym głosem, a Barbarka, popatrzywszy na stolnikowicza spokojnie, tak jak gdyby ją to także uradowało, że przecie opór jakiś znalazła, parę razy milcząc przeszła się po komnacie, ale potém tak znowu mówiła:

— Co ty mnie zawsze z tém wyjeżdżasz, co ciebie może plamić, albo co ci może plamę przynosić! Jużem ci tyle razy mówiła, że w tém wszystkiém co zawsze klepiesz, niemasz racyi ani za grosz. Gadasz z książki albo z tego, co ci jeszcze ojciec powiadał, jakoby to słyszał od swego dziada, któremu to znowu jego dziad opowiadał... a nie patrzysz na świat i to wszystko co się dzieje koło ciebie. Szlachcic i szlachcic! to go plami, tamto go kala, a tego jego ojciec, ani dziad, ani pradziad nie czynił. Jakbyś też ty to był taki sam szlachcic, jaki był twój pradziad i dziad! Anoż tamto rycerze byli, którzy małemi chłopięty szli na wojny, na nich trawili życie i na nich ginęli. A prowadząc takie świetne rzemiosło, byli czyści jak łza, i pewno, że takich lada co plamić mogło i już inna rzecz im nie przystała krom téj, któréj się poświęcili. Im zresztą wolno było, kiedy powrócili do domu, spoczywać, w gospodarstwie przyjaciołmi albo sługami się zastawiać. Ale wy co! Szlachtaście dlatego, że wasi ojcowie szlachtą byli, ale was nie stać ani za dobre chłopy, bo ani wy się rycerską bawicie, jako szlachcie przypada, ani pracujecie na roli, jak chłopi czynią. Jedno leżycie w domu, wygrzewacie się w łóżkach, ubiéracie się świetno, pasiecie się jakby na jatki, pijecie jak bąki i kaléczycie się czasem na biesiadach — i owo całe wasze szlachectwo! Więc was nie plami bezczynność wasza, obżarstwo, opilstwo, a plamićby miała dbałość o to, żeby gębie waszéj na mięsie i winie nie brakło? Więc ja nie przeczę temu, że handel plamił szlachcica czasu Zygmuntów, ale boście wy nie Zygmunty, czasy koło was insze, a ludzie poczynają już sobie dobrze brać na uwagę, że można i pobić się kiedy wojna, i gospodarować sobie, gdy spokój. Jakoż, proszę tylko popatrzyć po świecie, czy się dzisiaj ten kto ma rozum sroma takiéj rzeczy, która uczciwe przynosi zyski? i czy niémasz tłumów szlachty na naszych jarmarkach? i założę się o to, że dzisiejszych czasów, ten, który dobrze dba o swe śpichrze i skrzynie, piérwszy także stanie na wojnie, a który klejnotu swego boi się pokalać jarmarkiem, będzie się go bał pokalać i wojną, i w domu zostanie. Ale co to wam gadać!

— Owóż co można usłyszéć, kiedy podwika ubierze się w komżę i porwie się do kazania! — rzekł na to Bobowski do Grotta, a tak znowu do żony: — Gdybym tego nie wiedział, że to co mówisz, nie idzie ci z serca i z przekonania, tobym ci siła rzeczy takich nagadał, któreby cię przekonały najjawniéj, jako to nieprzystojno kobiécie jest sądzić o sprawach mężów, ale tak i ja

także powiadam: ale co to wam gadać! To wszakże zawsze dorzucę, że mi i dziś i jutro i do śmierci jedno będzie zupełnie, co tam robi szlachta niemiecka, albo która inna. Żal mi jest, jeżeli się mój brat błaźni lub plami, ale ja przez braterstwo a miłość dla niego ani tego nazwę rozumem, ani sam zasię uczynię. Bo to nie rozum, jeno głupstwo jest i hańba wielka dla tego, który, że to nie Zygmunt dzisiaj jeno Sas siedzi na tronie, zaraz też po sasku sobie poczyna i ze szlachcica robi się kupcem lub wolarzem; a drugie głupstwo jest myśléć, że kiedy przeszło lat kilkanaście spokojnych, już też tak zawsze będzie; a trzecie głupstwo jest brać to za winę szlachcie, że kiedy ją wojna nie nadchodzi, ona jéj sama nie szuka i Panu Bogu dziękując za spokój, jest dobréj myśli i nie trapi siebie w swym domu głodem, pragnieniem i wojennemi niewczasy; a czwarte głupstwo jest, kogoś takiego, który z łaski Bożéj ma dosyć dla siebie i jeszcze drugich przy sobie pożywi, napędzać koniecznie do tego, ażeby na gwałt fortunę robił, piéniądzmi skrzynię napychał, inwentarzami się obsadzał, ziemię zakupywał i co tam jeszcze i wmawiać w niego, że mu tak będzie lepiéj — i owo wszystko to głupstwo jest, co kto powié o rzeczy takiéj, któréj nie rozumié. I podobno takby było najlepiéj, żeby nietylko nie kazać komu drugiemu wojny szukać na stronie, ale i nie poczynać jéj w domu.

— Cóż ty mnie gadasz o wojnie w domu! — zawołała na to Barbarka i poczęła znowu po swojemu wymyślać ni w pięć ni w dziewięć, na co pomimo swéj woli przecie jeszcze replikował Bobowski, i tak ten spór o nic i tylko dla ćwiczenia się w wymowie przydatny trwał między nimi długi czas. Inną razą byłby się skończył wcześniéj, bo mąż miał zwyczaj, kiedy się to działo we cztéry oczy, jak najprędzéj zamilczać; ale teraz ze wstydu przed Grottem nie chciał tak ustępować z placu i zawsze chcąc rzecz zakończyć, tylko ją jeszcze zapalał nanowo. A Grott do tego się nic nie odzywał, tylko słuchał pilnie i uważał; jakoż dziś zauważał to, że ci małżonkowie nauczyli się już między sobą kłócić na zimno i miał to sobie za znak bardzo niedobry, bo był tego zdania, że pomiędzy kłócącymi się z sobą na zimno niéma już ani krzty jednéj miłości, tylko złość i nienawiść.

I byłby się ten spór i w przytomności Grotta pewno tak samo zakończył, jak i bez niego, to jest kapitulacyą męża, bo pani nie ustępowała nigdy, a jeżeli ustąpiła kiedy, to tylko to był rozejm z jéj strony wzięty na to, ażeby na drugi dzień z większą furyą wystąpić — ale tą razą skończył się cale inaczéj, bo przerwany został turkotem powozu, który zajechał przed ganek.

Na ten głos ucichli małżonkowie oboje, a Grott, wybiegłszy na chwilkę do sieni, zaraz powrócił i przyniósł wiadomość kto jest. Wbiegli też i Karszniccy obadwa i padł zaraz podkomorzyc swojéj siostrze w ramiona, nuż go z jéj rąk wydarł pan Józef, to znów nazad go odebrała Barbarka, i tak witali się serdecznie; aż też

się popłakali z radości. Bartek tymczasem stał koło stołu i widząc, że go zrazu traktują *per non sunt*, myślał już że źle będzie, ale państwo skoro się tam powitali, przyszli téż i do niego. I witała go trochę pomieszana Barbarka, ale pan Józef tak jak gdyby nic nigdy nie było i już wszystko dobrze się stało.

Jakoż po powitaniu poczęła się pogadanka prędka i żywa, jak to zwyczajnie bywa pomiędzy krewnymi, kiedy się po długiém niewidzeniu niespodziéwanie obaczą. Ale ledwie co trochę pogadali o rzeczach ważniejszych około siebie, przyszli zaraz na swoich rodziców; więc znowu zamiast wesela zasiadł smutek pomiędzy nimi i były chwile, w których nikt nic nie mówił, jeno wszyscy płakali. Jakoż po tych łzach nie szła im już dobrze żadna rozmowa, bo co kto tylko jakie słowo wrzucił o innéj sprawie, to ktoś drugi niechcący zaraz to nakierował na nieboszczyków, poczém znów zamiérały słowa, a następowały łzy i westchnienia. Więc już widząc że to nie idzie, dano wieczerzę, a po niéj rozeszli się wszyscy na swoje noclegi, ofiarując już ten dzień słusznéj żałobie, a zabawę i sprawy familijne zostawując na późniéj. Bartek tylko jeden jakoś nie brał w téj żałobie udziału i snać inne myśli mu musiały chodzić po głowie, bo kiedy rozkwaterowawszy się w oficynie razem z podkomorzycem, został z nim tylko sam na sam, to robiąc różne uwagi nad tém, jak tu przez jeden rok tyle rzeczy się całkiem poodmieniało w ziemi sanockiéj, parę razy wspominał o tém, jako cudnie piękna kobiéta zrobiła się teraz z Barbarki.

Następnego dnia tedy, kiedy wszyscy zeszli się przy śniadaniu, zaczęły się dopiéro dobre o różnych sprawach familijnych rozmowy. Opowiadał tedy najpiérw Wincenty, jakie widział tam kraje, jakich ludzi, jakie zwyczaje; wspominał o swoich znajomych i przyjaciołach, z którymi służył razem na kresach albo był w konwikcie w Warszawie, a których ponachodził niespodzianie po Wielkopolsce a nawet na Kaszubach i Pomorzu, dokąd dla widzenia kraju jeździł z Bartkiem; wspominał o pani podstolinie i jéj dziwnie miłéj córeczce, opowiadał przytém, jako ród jest świetny téj panny, jako znaczne na nią spadają fortuny, jako wielu najprzedniejszéj kręci się koło niéj młodzieży, i nie taił się z tém wcale, że za prawdziwe szczęścieby to sobie miał od Pana Boga, gdyby się mógł z nią ożenić; jakoż nadmieniał zdaleka, że chociaż nie ma jeszcze teraz żadnéj nadziei, jednakże kto wié, ażali z wiosną znowu tam nie zaglądnie. Potém przeszedł na one dobra w Wielkopolsce, spadłe na nich po babce, i wyliczył koleją, jakie to grunta egipskie, jakie lasy a jakie łąki! jaki dwór jest wspaniały, wszystkie budynki gospodarskie z kamienia, wszystkie płoty z drzew żywych, wszystkie granice okopane rowami i jaki tam zgoła wszędzie jest ład i porządek, chociaż babka już tak dawno umarła. Mówił tedy, że namawiał Bartka koniecznie, aby to zatrzymał dla siebie, że to tak niedaleko od niego, i żeby mu to

bardzo było na rękę. Ale ponieważ Bartek, mając sam dobra rozległe i taki niemiecki w gospodarstwie porządek nie jest jemu nowiną, bo też to wszystko jest i u niego, i wcale nie chciał tych dóbr przyjmować; tedy on się zdecydował je przyjąć na siebie i przyjął, obowiązawszy się Bartkowi gotowizną zapłacić jego połowę; jakoż z pieniędzy gotowych, które się tam nalazły, a któremi się podzielili, zapłacił mu już część jakąś, a resztę ma mu tutaj zapłacić z sum pozostałych po ojcu. Na taką o tamtych dobrach wiadomość, rzekła zaraz Barbarka:

— Bardzoś to dobrze zrobił, kochany Wincenty, żeś tamte dobra, kiedy ich nie chciał pan Bartłomiéj, przyjął na siebie; jakoż tak myślę, że jeszcze wcale gotowizny ojcowskie na to wystarczą, ażeby je do reszty zapłacić; ale przecie mnie to nie cieszy.

— Dlaczegóż to, moja siostro? — zapytał podkomorzyc.

— Raz dlatego, — odpowiedziała Barbarka, — że może ci się tam tak bardzo podoba, że aż tam zamieszkasz i tak daleko się od nas oddalisz; powtóre, że cóż ja tu pocznę teraz z Balogrodem?

— Jakże to? — spytał jeszcze raz pan Wincenty.

— Bo ja Balogrodu nie utrzymam na żaden sposób; to jest dziura paskudna, gospodarstwo wielkie i pracowite a niewiele intratne, a do tego jeszcze takie tam nas spotkały nieszczęścia, że kiedybym go zatrzymała przy sobie, toby mi się ciągle zdawało, że nad naszemi głowami wiszą już jakieś gromy i błyskawice. A potém, ma mój mąż ziemi tyle, że i tak trudno dać radę gospodarstwu, na co nam jeszcze Balogroda? Więc krótko mówiąc,— dodała z uśmiéchem pani Bobowska, — kręć panie bracie głową jak umiész, ale kręć tak, żebyś sobie wziął odemnie Balogród.

Podkomorzyc westchnął tylko na to głęboko i milczał, a siostra go zapytała:

— Coś ciężko z tém panu bratu?

— Ciężko, — odpowiedział Wincenty, — bo i ja za nic w świecie Balogroda nie wezmę.

— A to smutno, — odezwał się na to sam stolnikowicz, — fortuna to wprawdzie matczyna, ale już się prawie osiedziała w domu Karsznickich; są tam groby rodziców, nie ładnieby to jakoś wypuszczać z ręki; ale myśmy już nad tém na różne strony myśleli z moją miłą dziéweczką i takeśmy postanowili, żeby się tém nie obarczać.

— Ja za nic w świecie Balogroda nie wezmę! — rzekł znowu z westchnieniem Wincenty.

— Ja go także nie wezmę! — rzekła z swojéj strony Barbarka.

— No, i cóż tu z tém robić? — zapytał brat jéj.

— Cóż robić? — odezwał się na to Bartek, — brat nie chce,

siostra nie chce, to sprzedać do kata, a piéniądze potém weźmie z was którekolwiek.

— A zapewne, — odrzekł na to pan Józef, — że to by najlepiéj, ale bo to najpiérwéj nieprzyjemna kolizya wypuszczać z imienia majątek, jakożby się nie obeszło bez tego, żeby za to świat na nas nie krzyknął, a powtóre i sprzedać taką fortunę dziś nie tak łatwo, a kiedyby do niéj który sąsiad się nie dał nakłonić, to wątpię, ażeby kto do ziemi położystéj i urodzajnéj przyzwyczajony, chciał się zakopywać tu w górach.

— To więcéj jak pewna, — rzekł na to Bartek, — a już to snać w tém najważniejsza, że nie przystoi Karsznickim, ażeby się kto inny po ich ojcowiznach rozsiadał, ale..... możebym ja co na to poradził.

— A cóż ty zrobisz? — zapytał Wincenty.

— Ja kupię Balogród, — rzekł Bartek, — a będzie i wilk syty i owca cała, bo i wy się go pozbędziecie, i przy Karsznickich zostanie.

— Ej! panie bracie... — zarzucił na to Bobowski i chciał mówić coś daléj, ale Barbarka, stanąwszy twarzą do niego a plecyma do tamtych, tak ostro nań spoglądnęła, że urwał i nic już daléj nie mówił; a wtém rzekł Wincenty:

— Otóż toby było najlepiéj, ale cóż tobie potém?

— Mnie tych dóbr wprawdzie nie potrzeba koniecznie, —tłumaczył się Bartek, — bo mam dość swoich; ale tak: *primo*, od przybytku głowa nie boli; *secundo*, miałby mi leżéć grosz gotowy w kieszeni, to woli leżéć ziemia, bo grosz się rozejdzie a ziemia zostanie; *tercio*, łatwo do tego przyjdę, bo mi się jeszcze znaczna suma od was za tamte dobra wielkopolskie należy, więc jak uważam niewiele mi już dopłacić przyjdzie; *quarto*, wam zrobię dogodność, bo was uwolnię od tego straszliwego zamczyska i około familii się zasłużę, bo fortunę utrzymam w imieniu, a nakoniec i sobie zrobię przyjemność, bo choć tu siedzieć nie będę, jednak kiedy mi się uprzykrzy bić chomiki i łąski u siebie, to będę mógł sobie pojechać na niedźwiedzie i dziki do Balogroda.

Tedy przyskoczył do niego i wyściskał go jeszcze za to Bobowski, mówiąc, że gdyby go był piérwszy mecenas trybunalski do tego kupna namawiał, toby był lepszych argumentów nie postawił.

Jakoż w dniach następnych przez całe dwa tygodnie prawie dwór żernicki był jakby jaka adwokacka komnata; przeglądano inwentarze, wyrachowano dochody, z nich ustanowiono wartość realności, szacowano dwory, stajnie, budynki, ruchomości, zliczano gotowe i niegotowe kapitały, doliczano do nich zaległe prowizye, odciągano długi, ustanawiano dla starych sług gracye i odprawy, godzono się, targowano! a pomimo to, że się te sprawy odbywały pomiędzy rodzeństwem, i żadna strona drugiéj nie chciała ukrzywdzić, jednak taka się masa nakoniec nazbierała różnych wątpliwo-

ści, punktów, punkcików, warunków i po wyjaśnieniu tego wszystkiego tyle jeszcze potrzeba było pisać cesyj, transakcyj, petycyj do ziemstw i do grodów, że pan stolnikowicz, który jako tak tęgi legista, sam to wszystko prowadził, nakoniec oświadczył, że aby to wszystko zrobić porządnie, tak jak tego prawo wymaga i na każden akt odpowiedni wystosować dokument, potrzeba jemu koniecznie kogoś do pomocy, bo to jest praca herkulesowa. Chciano tedy posłać po dwóch palestrantów do Sanoka, ale pan łowczyc, który był temu przytomny, powiedział, że na co to brać cudzych ludzi do spraw familijnych i zaręczał, że jego szwagier, imć pan Pakosław, który ma taki rozum, że wszystkich sanockich legistów jednym palcemby na ziemię obalił, wszystko to zrobi w jednym momencie.

Zaproszono tedy Pakosza, który z największą chęcią podjął się tego wszystkiego, — jakoż najprzód kazał sobie po krótce opowiedzieć rzecz całą. Tego obowiązku dopełnił już sam stolnikowicz bez czyjéjkolwiek pomocy, a zasiadłszy z nim w onéj komnacie, w któréj na wielkim stole rozłożone były niesłychane pliki papierów tych spraw dotyczące, tak się ci panowie ze sobą zagadali, że ich przez cały dzień ani widać było w innych pokojach, i tak się sobą wzajemnie zajęli i takiéj admiracyi dla siebie nabrali, że potém wieczorem nachwalić się nie mogli przed resztą familii swoich jurystowskich rozumów. Barbarka zaś, która przez cały dzień jako gospodyni bawić musiała Bartka, powiadała po kilka razy, że obadwa ci panowie wielkie mają rozumy.

Ale potém Pakosz jeszcze na większą u wszystkich zarobił pochwałę, kiedy przysiadłszy fałdów, za trzy dni i trzy noce tak tę całą sprawę ukończył, że już nic nie brakowało, tylko wzajemnych podpisów. Tak tedy podpisały strony, Pakosz i łowczyc jako świadkowie, a rezultat pokazał się taki, że podkomorzyc otrzyma dobra wielkopolskie i ruskie, Barbarka resztę gotowizny ojcowskiéj i jeszcze znaczne sumy zahypotekowane na braterskim majątku, od których coroczną miała pobiérać prowizyą. Bartek zaś ogłoszony dziedzicem dóbr balogrodzkich, które nabył za niewielkie piéniądze, a nawet poniżéj wartości, ale z tém zastrzeżeniem, że miał wymurować piękną i trwałą kaplicę na grobie podkomorstwa, kapelanowi płacić po tysiącu złotych rocznie do jego śmierci, wioskę Bystrę dać dożywociem marszałkowi nieboszczyka podkomorzego, starego arendarza z balogradzkiéj karczmy nie ruszać, a kiedyby sam zszedł z tego świata, nie zostawiając syna, balogradzkie państwo miało przypaść na dzieci Wincentego, a kiedyby Wincenty nie miał potomstwa, tedy na potomstwo Barbarki, a kiedyby i Barbarka nie miała potomstwa, tedy Panu Bogu na chwałę a na oo. franciszkanów w Zagórzu.

To wszystko pięknie wypisawszy, Pakosz wziął po sto czerwonych złotych od każdéj z trzech stron interesowanych w téj sprawie i pokłonami się cofając przez wszystkie pokoje, i przez

sień i przez ganek, precz do domu odjechał; ale drugiego dnia poczęli się także zbiérać i panowie Karszniccy.

Nie spodziéwając się ich tak prędkiego odjazdu, prosił ich stolnikowicz, prosiła i pani Barbara, iżby jeszcze zostali, ale już to jakoś nie mogło być, Wincenty ani sobie co mówić dawał i wymawiając się pilnemi sprawami, śpieszył się do swojéj nowéj własności, do Wielkopolski, a w rzeczy podobno do onéj tam swojéj panienki; Bartek zaś mówił, że chociażby teraz mógł jeszcze czas jakiś zabawić, toż zawsze zasiadać tu jeszcze nie może, bo także pilne sprawy w domu; tedy tylko poczynił dyspozycye sługom, ażeby mu zamek balogrodzki trochę oporządzili, zostawił swego kamerdynera Francuza, aby mu tu lasów pilnował, żeby mu nikt nie wybijał zwierzyny, dał piéniędzy na zakupno drobniejszych inwentarzów, pomiędzy któremi psy gończe a brytany głównie trzymały miejsce — i zabrawszy się wraz z Wincentym, odjechał.

Przy ich odjeździe Barbarka była jakaś smutna, nieukontentowana i prawie nic mówić nie chciała, ale ledwie się co powóz ich schował za bramę, taka ją nagła złość porwała, że przyszedłszy do izby jadalnéj i zastawszy w niéj jeszcze niezebrane naczynie ze stołu, porwała czarę kryształową z konfektem i w łeb ją służącemu rzuciła, a potém jęła się zmiatać wszystko naczynie na ziemię. Na ten brzęk i trzask wpadł pan mąż do jadalni, a obaczywszy co się dzieje, przebrodził prędko przez leżące na ziemi skorupy szkieł i porcelany, przez łyżki i noże, przez sosy, masła i séry, i przystąpiwszy do żony, sam nie wiedząc co jest, chwycił ją za obiedwie ręce. Ale Barbarka wydarłamu się z rąk, i wołając: — Precz! precz odemnie! jesteś człowiek nieznośny! mazgaj, nudziarz, nie chcę ciebie na oczy! — uciekła do swojéj sypialni.

Pan stolnikowicz został w osłupieniu na środku izby i myślał, coby to być mogło, ale nic nie wymyślił. Potém poszedł za żoną, ale drzwi zastał zamknięte; tedy pukał do nich, mówiąc łagodnie:

— Basiu! dziecko moje! puśćże mnie i powiédz, co ci jest.

— Idźże sobie precz! i daj mnie pokój! — wołał głos z za drzwi.

— Ale Basiu! kochanko moja! — prosił pan Józef, — powiédzże dziecko, może ci kto co zawinił, możeś chora.....

A wtém tylko huk się rozległ odedrzwi i coś upadło z tamtéj strony przed niemi; widać pani cisnęła czémś do drzwi. Stolnikowicz przestraszony odskoczył i srodze zafrasowany stał jakąś chwilę jeszcze zdaleka odedrzwi, a potém poszedł i pytał Józefki, co pani robi, ale się nie dowiedział niczego więcéj, tylko że pani zła jest i płacze. Pytał daléj onego sługi, który wziął guza, co była za przyczyna gniewu pani, ale sługa klął duszę i ciało, że ani się odzywał natenczas i zgoła nic nie wié. Chodził tedy pan stolnikowicz jak gdyby podcięty i nic nie mogąc wymyśléć, przecie

myślał i myślał. A pani już się nie pokazywała przez cały dzień.

Nad wieczorem przyjechał łowczyc i wydziwić się nie mógł, że kawalerowie tak prędko wyjechali, bo wszakże nic o tém naprzód nie wspominali. Pan Józef, który przed nim jeszcze żadnego wyraźnego nie uczynił zwierzenia ze swoich kłopotów domowych, zataił się ze swym smutkiem dzisiejszym i udawał, jak gdyby nic się nie stało. Ale łowczyc jakiś był smutny i nie swój. Pytał tedy go stolnikowicz, coby mu było, a on tak mówił:

— Kontent jestem z tego, żeście ten dział majątkowy zrobili, bo to zawsze jest rzecz, która waży niemało. Rodzeństwo kocha się między sobą i pewnoby jedno dla drugiego nietylko fortuny swéj, ale i szyi nastawiło, kiedyby tego była potrzeba; niémasz tedy co mówić o tém, żeby jedno drugiemu zawidziło fortuny i chciało go na niéj ukrzywdzić. Ale przecie to lepiéj, że się dział zrobi czysty jak dzień, bo lubo to się rzadko trafia, żeby między rodzeństwem były spory o ojcowiznę, ale kiedy się trafią, to wielki ztąd wstyd i wielkie zgorszenie. A nie stanie się to między rodzicami, nuż się stanie między ich dziećmi, a choćby téż i między wnukami, to i to źle. Owóż przednia rzecz jest ten dział. Druga rzecz dobra, coście zrobili, to żeście Balogród sprzedali; niefortunna to ziemia jakaś i jak gdyby kara Boża nad nią wisiała, na cóż to taką rzecz miéć? Ale przecie w tém dobrém nachodzi się także i złe.

— Jakież to, panie bracie?

— Złe, żeście to Bartkowi sprzedali a przeto wpuścili tu między nas takiego człowieka.

— A cóż to jest panie bracie?—rzekł na to Bobowski,—przecie się nic nie pokazało na niego. Kawaler piękny i czysty jak łza, imie dobre i krew, i chowa to czysto, serce wielkie i odwaga w nim jest, boć dał tego dowody. Zawijał się wprawdzie koło mojéj Barbarki, ale he, he, he! panie bracie, za Bożą pomocą odsadzony jest, sobie na wstyd a nam na sławę i cześć. Gniewał się podobno cokolwiek na to, no! ale teraz już się wygniewał i pokorniuteńki jest a gładziutki, jak przynależy. Chybaźby mu tedy to tylko brać za złe, że się stroi z niemiecka, ale to darmo; nie lubieliby my tego, gdyby nam kto przykrawywał nasze żupany, nie przykrawajmyż mu jego kurty. Owóż zgoła nic ja złego nie widzę na nim.

— Już to prawdę mówiąc,— replikował na to pan łowczyc,— i ja tak znowu dokumentnie nic nie wiem, coby jego plamiło; ale przecie mi się tak widzi, że mu jakoś niedobrze z oczu patrzy. Gładki jest, męztwo ma i duch w nim wcale rycerski, a nawet do kompanii nie zły jest, ale zawsze jakoś mi tak Niemcem pachnie, że ja przynajmniéj nos zawsze przy nim zatykać muszę. A co już zgoła mi się w nim nie podoba, to jest *mores;* słyszałem ja nieraz jego maksymy, jako je z drwinami ciskał nam w oczy, i to mnie

się bardzo nie podoba. Tu u nas kącik cichy i spokojny, chowa się jeszcze cnota stara i ojcowski obyczaj, po Bogu, po cnocie, skromniuteńko a wedle staniku; pobożność, pokora, a zgorszenia żadnego ani na oko, ani też o nim gdzie słuchu. Nuż wpuściż takiego diabła rogatego pomiędzy te białoszyjki nasze, a to diablik czysty jak lalka, a zwinny jak wąż, a wonie od niego lecą jak z wirydarza, a do tego jeszcze ma sztuki różne, gęba jak kołowrotek, komplimentów cały wór, ręka jak na sprężynie, nogi jak u linoskoka, ba, i cały gnie się jak pręcik wiérzbowy, — nuż gdzie zabałamuci jakie dziecko uczciwe, nuż świśnie potém na cztéry wiatry, nuż zapłaczą rodzice, a na kogo zapłaczą? na was, żeście go tu wpuścili. Owóż to mnie niepokoi i smuci. Drugie znowu co mnie tak niepokoi i smuci, to jest *de publicis*. Frant panie jakiś i okrutnie przebiegły, *tenax* przytém *propositi*, bo to widać po nim. Więc co przedsięweźmie, to zrobi; a wiesz panie bracie za kim on trzyma?

— A wiem.

— Owóż tedy. Nuż w nim czartoryszczyk ukryty, nuż czapka biała, nuż skórka na buty. Nuż weźmie wichrzyć, nuż szlachtę tumanić, nuż podchodzić, nuż sejmikami trząsać — a wiész panie-bracie, co szlachta nasza. Nie lubi, nie lubi, ale kiedy polubi, to źle; nuż jéj się podoba ten diablik gładziutki, który chodzi po rynnach, nuż przystanie do niego i da się mu wywieść w jakie sto szabel albo i więcéj, i zburzy gdzie co przeciwko woli króla i pana naszego, przy którym my? — A cóż to, burdę zrobić wcale malutka rzecz, ale co potém? przyjdzie żal, smutek i zgryzota sumienia a nakoniec i łzy — a na kogo to wszystko? na was, żeście go tu sprowadzili. Owóż to mnie wszystko niepokoi i smutno mi jest.

— Ej! bo sobie to bardzo dopuszczasz, — rzekł na to Bobowski, — ano potém z tego wszystkiego pokaże się nic.

— Dajże Boże, ażeby nic,— odpowiedział łowczyc,—a choćby téż co mało nie wiele, to i temu się jeszcze jakoś zaradzi, ale nuż będzie dużo? Bo to, panie bracie, tak mnie się to widzi, że od tego człowieka tak złe strzela na wszystkie strony, jak owo ta woń, która od niego idzie. Ledwież wstąpił teraz pomiędzy nas, już mi zaraz przyniósł zgryzotę.

— No, cóż takiego?—spytał stolnikowicza na to łowczyc.

— Co! otóż spaskudził mi szwagra. I pięknaż rzecz, żeby szlachcic, posesyonat, za przyjcielską posługę dał się płacić jak Żyd na jarmarku, który przy jakiém kupnie służy! anuż był taki z respektem głupi który dał, byłże zaraz i głupi który wziął. A to jest wielkie paskudztwo i wstyd. Wybuzowałem za to jak burą sukę, ale *tandem* się stało i przepadło.

— A toż to tobie się niepodoba, że Pakosz wziął od nas trzysta dukatów?

— No pewna rzecz, bo jużci pytam się ciebie, jak może człowiek taki konsyderacyą miéć, który się płacić daje jak Żyd?

— A! to najniesprawiedliwsza pod słońcem! — zawołał pan Józef.—Pakosz jest jurysta i każden o tém wié! toż to już u nich jest taki obyczaj, że każda rzecz płaci się im na rękę. Przyjaciel przyjacielowi, czasem krewny krewnemu, jeden tylko pozew napisze i bierze za to grosz, który się u nich zwie honorarium; i niémasz u nich za to wstydu, i owszem jeszcze cześć, jeżeli tylko rzecz była zrobiona jak należy. A już ani mówić nic o tém, kiedy kto co weźmie za dział. Dział majątkowy, kiedyby robił i komornik a nawet sam podkomorzy i z przyjaźni to robił, to jeszczeby wziął, a choćby nie wziął gotowizny, to bez prezentuby obejść się nie mogło. Bo już taki jest zwyczaj.

— Tak to mnie mówił i Pakosz, — dodał do tego łowczyc,— a przecie ja powiadam, że choć jest zwyczaj, toż to zwyczaj paskudny. I tak mnie to jedno to drugie to martwi, to niepokoi, żem przyjechał do ciebie trochę pogadać i porozpędzać te chmury brzydkie z czoła, które coraz to czarniejsze. — Na to Bobowski z ciężkiém westchnieniem:

— Ej! panie braciel ot nie grzeszyłbyś przeciwko Panu Bogu, bo co to wymyślać, kiedy tak prawdę mówiąc, niéma na co. Mam ja sroższego móla, który mnie gryzie, a przecie milczę i znoszę cierpliwie.

— Już to prawdę mówiąc po Bogu, — zaczął z powagą Stanisław, — uważam ja to nie od dzisiaj, że coś niebardzo pogodno na firmamencie waszmości. Pani żona gładka i rozumna kobiéta, ale widzi mi się jéj rozum cokolwiek zaostry. Masz i ty rozum i pewno nie ladajaki, ale przecie u niéj albo go więcéj, albo zasie prędszy, a czy tak jest czy owak, to zawsze niedobrze; bo biada temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi, a i tego darmo nie mówią, że zawsze tam wiercimak błądzi, gdzie donica rządzi. Ani na wsi ani w mieście, nie trza dowierzać niewieście, a co powie białogłowa, pisz na bystréj wodzie słowa. Z tego widać, że i nasi Polaczkowie, chociaż srodze gromili Turki i Tatary i na miazgę zgniatali żelazne Niemce, jednakże dużo nadokazywawszy rycerstwa a do domu wróciwszy, często gęsto w spódniczkach chadzali; ale nie nam pamiętać, że im tak bywało, ano raczéj z ich nauki korzyści brać i chronić się tego, bo zawsze lepiéj cudze ucho gryźć, niż swoje. Ale to darmo gadać o tém po czasie, bo u nas tak, kiedy się który z nas rozmiłuje w kobiécie, zarazże jéj to powiéi ano to głupstwo jest, bo miłość taka to słabość, a ze słabością się odkrywać nie rzecz. I nie tylko nie rzecz, ale i szkoda, bo nieprzyjaciel słabość odkrywszy, nuże bić w tę stronę i przecie zabije. A niémasz takiéj niezaradnéj kobiéty, żeby nie korzystała ze słabości mężowskiéj, a kiedy raz weźmie górę, to już dużo trzeba na to, aby ją z tego placu spędzić; tedy pan mąż, chociaż sam rozum ma, chodzi chyłkiem przed żoninym rozumem, a żona górą, pan mąż na stopniu, a żona w landarze. Jeszczeż to póki miłość jest taka, że ją ludzie widzą, toż i myślą, że tak pan ustę-

puje z miłości; ale kiedy się one ognie wyburzą a kwiateczki odkwitną, a obyczaj stary wciąż trwa, tedy już wstyd i sromota. Owóż uważam ja to już nie od dziś, ale nie mówię nic..... twoja rzecz, tobie piérwszeństwo.

— Kochany Stasiu! — zawołał na to pan Józef, — nie spodziewam się przecie, żebyś mnie to chciał za złe brać, żem cię nie nudził onemi drobniutkiemi chmurkami, które w małżeństwie zdarzają się w każdy dzień. Bóg świadkiem moim, żem się już do tego zabiérał po kilka razy, ale zawsze mnie powstrzymywał ten widok, że przecie to Bóg da inaczéj. Myślałem sobie: młode to, płoche, rozpieszczone przez ojca, toć bryka jeszcze, ale przyjdą inne czasy, zastanowienia się i powagi, zdarzy Bóg z dzieci pociechę, ztąd inne zajęcie, inne myśli i inne uczucia, i wszystko się to odmieni. I niewiele dawałem na to, że mi się to pogodne piérwszych dni niebo chmurzyło, — ale tymczasem nadzieje moje przez nieopatrzność matki pękły na niczém, inne myśli i uczucia nie przyszły, a niebo moje stało się szczérą ziemią.

Tu zaczął pan stolnikowicz opowiadać swojemu bratu wszystkie swoje zmartwienia, których doznawał od swojéj żony aż do najdrobniejszych szczegółów. Mówił więc, jako on jest do dziś dnia pełen dla niéj miłości, jako stara się być delikatnym i wyrozumiałym na wszystko, jako przewiduje naprzód jéj humor i najstaranniéj unika tego wszystkiego coby ją razić mogło albo być jéj niemiłém, jako nakoniec stosuje się już do jéj woli we wszystkiém: a jak to przecie wszystko nic nie pomaga, bo niémasz na całym świecie tego rozumu, któryby naprzód oznaczyć potrafił, co ją rozgniewa a co ukontentuje. Opowiadał tedy wszystkie jéj kaprysów rodzaje, wszystkie fochy i dąsy, i wyliczał z kolei, jako często zrywa się nagle do gospodarskiego zarządu, prędko dyspozycye wydaje, jego dawne rozkazy kasuje i nie po ludzku obchodzi się z tymi wszystkimi ludźmi, którzy śmią jéj się sprzeciwić. jak on już wiele sług dawnych przez nią postradał, a nie chcąc, ażeby krzywdy swe roznosili po świecie, co go to kosztowało; jak już i Grotta raz chciała koniecznie wysadzić, jak nakoniec nieraz w niepohamowany gniéw wpada, jak wtenczas jest niegrzeczna i na nic nieuważająca, i jak mu nieraz przez to tyle wstydu przynosi, że aż się ukryć musi przed ludźmi; koniec końców, wszystko co tylko było i jest, aż do onéj gwałtownéj sceny, która się dziś wydarzyła.

Pan łowczyc słuchał tego opowiadania z uwagą i jeszcze się wypytywał o rzeczy te, których niezupełnie zrozumiał, a pojąwszy nakoniec całą tę fatalną historyą, wzdychał tylko i nic nie mówił.

Śród tego milczenia łowczycowego, pan stolnikowicz jeszcze uzupełniał obraz swéj biedy, objaśniając go przedtém zapomnianemi szczegółami, ale podczas, kiedy on, ciężar zrzuciwszy ze swego serca, trochę wolniéj odetchnął i nawet się zrobił wesel-

szy, łowczyc tylko smutniał i smutniał coraz to bardziéj. Nakoniec łzy mu w oczach stanęły. Temu wcale nienaturalnemu smutkowi nie mógł się dosyć nadziwić pan Józef, jakoż zapytywał o to od serca swojego Stasieńka, ale Stasieńko żadnych na to nie dawał objaśnień, jeno posiedziawszy jeszcze chwilę a nawzdychawszy się do woli, powstał i rzekł:

— Tak to, panie bracie, zawsze bywa w tém życiu. Kto raz sobie nieuczciwie postąpi, temu już nie być wolnym od kary Bożéj na długie czasy; a kto zgrzészy miłością, tego Bóg karze nienawiścią. Było mnie słuchać albo swego własnego sumienia, a byłoby tego wszystkiego nie było, a tyś posłuchał swojéj namiętności, i oto jesteś w rosole. Bądź gotów, pogadamy jeszcze o tém wyraźniéj.

To rzekłszy, ze łzami w oczach uściskał swego brata i odjechał. A stolnikowicz długo jeszcze po tém myślał i nad onym smutkiem łowczyca i nad jego zagadkowemi słowy. Ale nic nie wymyślił, — bo téż i nie mógł wymyśléć, nie wiedząc o tém, dlaczego łowczyc ożenił się z Julią.

Wszakże te wszystkie smutki niczém jeszcze prawie nie były w porównaniu z tém, co się odtąd zaczęło dziać w żernickim dworze. Niczém mówię, od tego czasu bowiem istny szatan wlazł w panią Barbarę, i nie gniewał się, nie wymyślał i zrzędził, ale łomotał i nabijał tém wszystkiém, co mu się nie nawinęło pod rękę. Wprawdzie te furye nie napadały ją codzień, ani nawet co drugi, a często nawet się tak zdarzało, że po całych tygodniach siadywała w swojéj sypialni jak mruk, nic do nikogo nie mówiąc, ale téż za to, kiedy na nią przyszła ta chwila, straszne rzeczy co wyrabiała. Ludzie dworscy się temu nadziwić nie mogli, bo czy słyszał kto kiedy, ażeby marna kobiécina taką grozą napełniła dwór cały, żeby przed nią drżało wszystko co żyło? a przecież tak było w istocie. Cały dwór chodził przed jéj rozkazami jak na zawiasach, a kiedy sam pan nie potrafił się jéj w niczém sprzeciwić, toż inni już na jéj samo skinienie upadali na ziemię. I zaiste lepiéj było zawczasu upaść na ziemię, niżeli placu dotrzymać, bo u niéj uderzyć własnoręcznie w twarz kogo, rzucić komuś flaszką lub talerzem do głowy, albo kazać sypnąć kilkadziesiąt bizunów, była to rzecz nie wymagająca żadnego namysłu. Służący szeptali sobie nawet po kątach, że i u pana samego czasem pokazują się guzy, że i on czasem całe dnie przesiaduje po oficynach, i różne inne rzeczy jeszcze, a chociaż temu niepodobna było dać wiary, toż jednak pewna, że pani dnia jednego kazała łóżko mężowskie wyrzucić ze swojéj sypialni, że późniéj odebrała mu wszystkie klucze i u siebie schowała, że mu nie wolno było bez jéj pozwolenia ani krokiem ruszyć się z domu, że mu zakazała tytuń palić przy sobie, że kiedy na niego krzyknęła, to on drżał jak liść osikowy i jaknajprędzéj się jéj z przed oczu wynosił, — a wszystko to się działo z taką gwałtownością, że w saméj rzeczy

nic nie pozostawało innego, jak albo jéj rozkaz wykonać, albo czémprędzéj uciekać.

Gdyby był ktoś cokolwiek tylko baczniejszym na miejscu pana Józefa, ten byłby nie mógł tego nie dostrzedz, że Barbarkę napadały te furye prawie zawsze li wtenczas, kiedy jéj coś przypomniało Bartka Karsznickiego; wszakże nawet mało sto razy najwyraźniéj to wyrzucała mężowi, że jéj braci tak prędko ze Żernicy wypuścił, że podstępem wymógł to na rodzicach, że mu jéj rękę przyrzekli, że najpodlejsze dołki kopał pod Bartkiem, że wraz ze swoim przyjacielem oczernili go przed całym światem, że nawet na jego życie nastawali; kto inny, mówię, byłby takich rzeczy nie puścił pomimo siebie a raz na trop wpadłszy, byłby pewno niebawem doszedł i do onego źródła, z którego wypływały one furye Barbarki — ale pan Józef był tém nieszczęściem swojém tak odrazu rzucony o ziemię, że nawet nie wiedział ażali żyje. On już chodził jak ogłupiały, stąpał na palcach przed swoją żoną; kiedy była w dobrym humorze, klękał przed nią, ręce jéj całował i płakał, a kiedy zła była, uciekał od niéj i chował się w jaknajodleglejsze zakątki. Zgoła, zamiast co złość i szaleństwo żonine miały w nim także żółć poruszyć, ambicyą męzką zapalić i pogardę a nienawiść dla takiego tyrana podniecić, to on z tego wszystkiego tylko coraz głębiéj czuł swoje nieszczęście i coraz bardziéj smutniał na humorze i upadał na duchu.

Taki stan rzeczy trwał od wyjazdu Bartka przez całą jesień i zimę — i w niczém się zupełnie nie zmieniał. Przez ten czas, ponieważ stolnikowiczowi niewolno było ani krokiem ruszać się z domu, często bardzo bywał łowczyc w Żernicy i wiedział zawsze o wszystkiém. Jakoż zrazu najpiérwszy on podał tę myśl swemu przyjacielowi, ażeby koniec końców zrzucić te nieprzyjemności domowe ze siebie, i różne na to rady podawał; ale kiedy raz mu się zdarzyło widzieć i słyszeć zdaleka, jako pani Barbara w paroksyźmie swym obeszła się z nieposłusznemi sobie sługami, nabrał także respektu przed nią i umilkł z kretesem. Odtąd i on już jakoś głowę opuszczał coraz niżéj ku ziemi, smutniał z każdym dniem bardziéj, posępniał i wzdychając tylko z głębi piersi, milczał na wszystko.

A smutek ten jego i sposępnienie nie było li samą manifestacyą współczucia dla swego brata — zaczęły bowiem i jemu dokuczać jego własne zgryzoty.

Źródłem tych jego zgryzot był wprawdzie li sam szwagier jego, jmć pan Pakosław, człowieczek mały, niepoczesny i tak słabiutki, że go łowczyc mógł był zdusić w dwóch palcach; ale przecie zgryzoty, których ten olbrzym od niego doznawał, były tak wielkie, że go mogły nawet obalić. I nic w tém dziwnego — wszakże próchnieją nieraz i upadają na ziemię niebotyczne dęby, stoczone tylko przez małego robaczka.

Owóż w tym krótkim czasie, jak na Żernicy zapanowała

słaba niewiasta nad panem Józefem, tak tam znowu zapanował lichy kancelaryjny aplikant nad panem łowczycem. Pomiędzy panowaniem tém a tamtém była wielka różnica, bo jeżeli Barbarka swoje berło zdobyła sobie siłą i przemocą i strzegła go swoją gwałtownością i nieprzełamanym uporem, to Pakosław i zdobywał sobie władzę i zachowywał ją w sposób zupełnie przeciwny. W aplikancie brylowskim nie było żadnéj gwałtowności ni siły, nie było nawet tego oporu, któren, odkrywszy się całkowicie odrazu, nie ustępuje już ani kroku; nie robił téż on nic nagle, nic prędko, nic z namiętnością, ani téż dla ambicyi. Ale był u niego ustawicznie czynny praktyczny rozum, była najchytrzejsza przebiegłość, ona może najpożyteczniejsza wytrwałość, którą w tak wysokim stopniu znajdujemy u Żydów: robił on téż wszystko zwolna, przezornie i zawsze li dla pożytku. Celem jego zachodu około pana łowczyca nie było właściwie zapanowanie nad nim i jego domem, tylko li zapanowanie nad jego fortuną, obdarcie go z niéj z czasem zupełne i wtrącenie tego poczciwego człowieka w nędzę i nicość, bo Pakosz nienawidził poczciwych i szlachetnych ludzi. I co można było ku temu celowi uczynić przez czas tak krótki, to już wszystko uczynił Pakosław. I tak najpiérw, pod pozorem oczyszczenia wspólnego im Zahoczewia z ciężarów, poodbiérał on wszystkie łowczycowe kapitaliki i pochował je do swéj skrzyni; potém wytumanił od staréj pani łowczynéj kilkanaście tysięcy i także je schował. Daléj zaczął się mieszać w gospodarstwo swojego szwagra, a że pan łowczyc o tyle tylko był gospodarzem, o ile nim być musiał dla chleba, więc z ochotą nawet pozwolił wyręczać się w tém Pakoszowi. Pakosz téż prędko powybiérał co lepsze woły i przeniósł do siebie, dawszy natomiast gorsze, kilka stadnic rasy tureckiéj wziął niby na zimowlę do siebie, a swój własny jałownik postawił na stajni szwagrowskiéj. A kiedy łowczyc oponował coś przeciw temu, to Pakosz składał przed nim ręce, mówiąc: Panie braciel o co chodzi? wszakże to wszystko wasze, ja dla siebie nic nie chcę.

W dalszym czasie Pakosz pościągał długi, jakie łowczyc miał na gromadzie, powyduszał zaległości na propinacyi, powysprzedawał ze spichrzów zapasy. Późniéj kilka drogocennych wyniósł ze skarbca klejnotów, a nawet doprowadził łowczyca do tego, że się jeszcze zapożyczył na kilkanaście tysięcy i dał to szwagrowi na zahoczewskie potrzeby.

Takie czynności, prowadzone z wielkim taktem i przezornością, pociągnęły niebawem i to za sobą, że się pomału sługi poodzwyczajały od dawnego posłuszeństwa dla swego pana, Julia poczęła się robić ostrzejszą i surowszą dla męża, Pakosza głos coraz samowładniejszy się stawał na łowczycowym dworze; tylko jedna pani łowczyna stara utrzymywała się przy swéj dawnéj władzy w swoim szczupłym obrębie, — a pan Stanisław, zajęty to nieszczęściami swojego brata, to jakiemiś wielkiemi myślami, to na-

koniec sprawami publicznemi powiatu, z samowładnego pana na swoim dworze, z onego króla na swém małém królestwie, stawał się figurą coraz podrzędniejszą w swym własnym domu, i niby jakby jakimś ubogim szlachcicem, siedzącym na respekcie u Pakosza i swojéj żony.

Nim Pakosz przeprowadził to wszystko, co się dotąd już stało, nieraz pomiarkował się był pan łowczyc i oburzył się przeciw niemu, ale szwagier jego w takim razie nigdy się mu nie sprzeciwiał i nie upiérał przy swojém. I owszem, ustępował na ten raz, wszelką słuszność dając szwagrowi, ale za kilka dni, czy to pochlebstwem, czy tumanami jakiemi, czy obietnicami, czy odwróceniem jego uwagi gdzieś w inną stronę, nietylko dawne sobie zdobywał miejsce, ale jeszcze o krok daléj postępował po swojéj drodze. I zawsze tak było, — dość na tém, że pan łowczyc i widział czasami, jak go jego szwagier coraz ciaśniejszém jarzmem przygniata, i powstał przeciwko temu, wszakże za każdą razą nie tylko że jarzma ze siebie nie zrzucił, ale i sam go głębiéj wtłoczyć pozwolił, i jeszcze słuszność przyznał jarzmicielowi.

Wszakże z wiosną, kiedy z powodu jakiéjś nowéj sztuki Pakosza, pan Stanisław był przymuszony zastanowić się nad swym stanem, i to rzeczywiście uczynił, — to kiedy sobie zesumował wszystkie wypadki, które z jego bliższych ze szwagrem stosunków wyniknęły dla niego, aż się sam siebie przestraszył. Jakoż zaraz pod piérwszém wrażeniem tego przestrachu srodze wjechał na Pakosława i mało co, że go zgoła nie wypędził ze swego domu, ale Pakosław znowu jak wąż, jak się wziął giąć i łasić, a pochlebiać, a obiecywać, tak się znowu wykręcił, a pan łowczyc, choć czuł, że to wszystko są tylko sztuki łamane i wykręty, jednak nie umiał i nie wiedział już co na to mówić.

Potém, wziąwszy jeszcze raz całą tę rzecz na uwagę i pomyślawszy nad tém, za wiele to go już Pakosław tysięcy zahaczył, na które ani świstka nie ma od niego, jeszcze się bardziéj przestraszył, ale zarazem i tak upadł na duchu, że już nie czuł nawet w sobie dość siły, aby się przeciw temu oburzyć.

I ztąd zesmutniał, skwaśniał, i myśląc nad sobą coraz więcéj, coraz bardziéj się tylko wikłał w swych myślach, tracąc fantazyą, humor, odwagę i wszystkie te piękne przymioty serca, któremi się szczycił dawniéj.

W takiém usposobieniu nawiédził on raz swego brata. Stolnikowicz na samym wstępie przywitał go znowu jakąś świéżą cięgą, którą dostał od żony, i opowiadał to z żalem i ze łzami w oczach, tak, jak on stary kaléka, który się skarży na nędzę i ubóstwo. Łowczyc przyjął te skargi z prawdziwém współczuciem i w rozdrażnione swe serce, — ale téż już daléj i o sobie nie mógł zamilczéć.

I opowiedział swojemu bratu wszystko, wszystko, co tylko się z nim stało, i jak się to stało.

Po objaśnieniu sobie swoich wzajemnych położeń, z początku poczęli sobie panowie bracia dawać wzajemne rady i podawać lekarstwa. Wiedział tedy stolnikowicz, jakby sobie postąpił będąc na miejscu łowczyca, wiedział łowczyc, coby uczynił na miejscu Józefa. Bo zawsze to jest w nas ludziach, że tylko swoje czuć umiejąc nieszczęścia, nie umiemy pojmować nieszczęścia drugich,— i to jest jeszcze w nas zawsze, że tylko siebie uniewinniamy z niedopełnionych uczynków, a potępiamy za to naszych sąsiadów. Więc za nic sobie miał zrazu stolnikowicz opętanie łowczyca przez szwagra, za nic łowczyc tyrańskwo Barbarki.

Ale kiedy sobie dokładnie opowiedzieli wszystkie szczegóły swoich wzajemnych sytuacyj, kiedy się zrozumieli i pojęli wzajemnie, tak jak to oni umieli, i kiedy sobie otwarcie przyznali swoję wzajemną bezsilność, brak wszelkiéj nadziei i na duchu upadek; to popatrzyli sobie strasznie przeciągniętemi twarzami w oczy, i powiedzieli sobie straszne słowo: — niewola.

Ale cóż z tém robić? — opuścić głowy ku ziemi, czekać spokojnie śmierci, w grób się potém położyć, a w grobie czekać zmartwychpowstania na sąd ostateczny, na którym winnym będą dawane kary a niewinnym nagrody? — nie, — my sobie będziemy radzić! — powiedzieli na to panowie bracia.

I odtąd poczęli się oni zmawiać pocichu. A zmawiali się tajemnie, po kątach i z wielkim namysłem. Więc najpiérw przetrutynowali wszelkie prawa, które im przysłużały, a które potracili; potém wyliczyli wszystkie nadużycia, jakich się dopuszczali przeciw nim chytry Pakosz i gwałtowna Barbarka, a nakoniec poczęli sobie głowę łamać nad sposobami, jakiemiby mogli w najgładszy i najpewniejszy sposób sami powrócić do onéj władzy, która się im należała, a swe nieprzyjacioły zepchnąć napowrót na one stanowiska, z których powychodzili.

Śmiészna to była, jak ci silni i rozumni zkądinąd mężowie suszyli sobie głowy nad tém, jak wykonać rzecz taką, do któréj wykonania nie potrzeba było właściwie więcéj, jak tylko niewzruszonéj ich woli a potém jednego słowa; śmiészna była, jak oni nad tém, co im w obec całego świata przysłużało z natury, naradzali się pokryjomu, z jaką ostrożnością i z jaką bojaźnią: ale i śmiać się już z tego nie było można, bo oni, skołatani i oszołomieni swojemi nieszczęściami, potracili już i sił swoich i praw swoich świadomość — a nad takimi ludźmi raczéj płakać należy.

Ale przecież pomału przemyślili oni wszystko, co było potrzeba, i nakoniec ukuli całą plantę dokładną, jak i co im uczynić wypadnie, a kiedy już to wszystko mieli gotowém, byli weseli i radośni próżną nadzieją, tak prawie, jakby już sama rzeczywistość nadeszła. Dnia tedy jednego, prawie w samę wigilią tego, kiedy łowczyc miał wziąć za łeb Pakosza a pan Józef do komory napędzić Barbarkę, siedzieli oni sobie w stolnikowicza pokoju a Osuchowski tak mówił:

— Rzecz tedy skończona, amen i niech Pan Bóg da szczęście. Ja jutro zaraz, skoro mi się tylko Pakosz pokaże na dworze, przystąpie sobie po swojemu do niego, ani słowa nie mówiąc, porwę go za łeb i cisnę na ziemię. A kiedy już będzie leżał na ziemi, przydepcę go zlekka nogą na piersi i rzeknę: Teraz, panie bracie, obrachuj się ze mną. Gdzie są moje piéniądze, gdzie moje dobytki, gdzie tureckie stadnice, gdzie grosz za zboże, gdzie klejnoty ze skarbca? Na coś to brał, kiedy to nie twoje a cudze? czego mi się pchasz w moje obejście, czego moim sługom wydajesz rozkazy, czego mi żonę poduszczasz i bałamucisz? czego mi tu wpuszczasz na dwór tę czarownicę z balogrodzkiéj granicy, czego dla niéj zawsze żebrzesz u mnie? czego moim domem rządzisz, kiedy ja cię o to nie proszę? — Dawajże teraz moje sumy, któreś pewno pochował do skrzyni, boś jest frant i oszust; dawaj moje dobytki, dawaj grosz wzięty za zboża, z arendy i od gromady, boś go pewnie w moje gospodarstwo nie wraził, które zniszczało pod tobą — a bierz swoje jałowniki, które pasiesz mym chlebem i ruszaj sobie do kroć sto tysięcy, póki kości masz całe!

To mówił łowczyc głośno i dobitnie z wielką emfazą, bo już był przy dobréj fantazyi a stolnikowicz, który aż się uśmiéchał z radości, dodawał ciągle:

— Tak, tak, panie bracie. Szkodzić mu nie trza, bo brat, ale przestraszyć, zgromić i napędzić. — A łowczyc tak zasie daléj:

— A ty, panie bracie, również przystąp do twojéj żony, popatrz jéj srodze w oczy, jak gdybyś ją zgoła chciał zjeść a miéj téż jaki karbaczyk przy ręku, nie dlatego, ażeby Boże uchowaj go użyć, ale tak dla postrachu...

— O tak, tak — mówił Bobowski — trzeba będzie postraszyć...

— Tak tedy groźno się postawiwszy — ciągnął daléj łowczyc — rzeknij: mościa pani! dosyć już tego! czekałem, wyglądałem, znosiłem, bom miał nadzieję że się upamiętasz, ale kiedy nie, to ja inaczéj!

— Tak, tak!

— Inaczéj, i oto dzisiaj koniec jest twego regimentu! Leliwa nie Leliwa w kąt i do komory, do przęślicy, do garnków, do misek, do saganów!

— Do misek, do saganów i do komory! — zawołał śmiejąco się stolnikowicz.

— Do komory! — krzyknął jeszcze tubalnym głosem Stanisław.

A wtém drzwi się roztrzasnęły na ścieżaj i jakby z obłoków spadła, stanęła nagle przed nimi Barbarka.

Obadwa bracia struchleli.

Ale ona nie dała im długo truchléć, jeno obróciwszy się do skamieniałego na środku izby łowczyca, poczęła z wielką złością a prędko:

— Do komory! do przęślicy! do garnków! do misek! do saganów! i jeszcze gdzie? no, mów wasze, mów teraz, konsyliarzu, rajco, bracie ślubny, Salomonie, burmistrzu! mów, oto stoję przed tobą i słucham co każesz!... Toż to waść męża będziesz buntował na mnie, będziesz poduszczał tego mazgaja, któren i tak nic nie robi, tylko się karmi po samę szyję, pije jak suseł i wysypia się po całych dniach i nocach, że mu i w niebie lepiéj nie będzie? To taka to przyjaźń wasza? na toście ślub brali przed księdzem, po to tu waść przyjeżdżasz, ażebyś niezgodę w dom wnosił, kłótnię zaszczepiał pomiędzy małżeństwem, na wstyd, na hańbę, na sromotę przed całym światem? W oczy mi niech srodze popatrzy, karbaczyk niech weźmie do ręki? Karbaczyk do ręki! — zawołała z wściekłą złością Barbarka — ruszajże sobie wasze na cztéry wiatry z mojego domu i żeby cię oko moje tu nie zajrzało!

Na tę przemowę, która wyleciała z ust Barbarki jak garść kulek z garłacza, stolnikowicz aż się zachwiał na nogach i zatoczywszy się pod ścianę, usiadł bezwładnie na ławie; ale Osuchowski ochłonął tymczasem i jak tylko Barbarka trzepać przestała, obrócił się do swego brata, mówiąc miękkim głosem: — Józefie! — jak gdyby go tém chciał napomnieć, że i teraz jeszcze jest pora plan zamierzony wykonać. Ale Józef tylko głowę opuścił ku ziemi i milczał. A na to znowu Barbarka:

— Józefie! Józefie! ruszajże sobie waść do kroć sto tysięcy! — Na to znów łowczyc smutno do brata:

— Bądź zdrów! więcéj tu moja noga nie postanie!

Na te słowa Józef się trochę ocucił i wyciągnąwszy obiedwie ręce do niego, bolesnym głosem zawołał:

— Stanisławie!

— Siedź tu i ani się rusz! — krzyknęła srodze do niego Barbarka.

Poczém łowczyc wyszedł z gniewem, Józef został na swojém miejscu.

Tak się o silną wolę i gwałtowność Barbarki rozbiły na nic wszystkie przez braci ślubnych mozolnie ukute plany, zaciemniły się wszystkie widoki i upadły nadzieje. I Józefa położenie jeszcze się nawet pogorszyło; łowczyc zaś, przyjechawszy gniewny do domu i zastawszy Pakosza u siebie, nietylko jego samego, ale nawet i wszystkie jego jałowniki powypędzał ze swego domu, wszakże będąc już w dawnym swym planie zwichnięty, nie powiedział mu dlaczego to czyni i nie zabezpieczył się od niego na przyszłość.

A tymczasem nadeszła wiosna, a z nią się nowe gotowały wypadki.

XV.

Wiosna była zawsze ową porą roku, któréj z największém upragnieniem wyczekiwano. A przyczyną tego nietylko to było, że słońce wiosenne, zwiastujące świeży oddech i nowe życie téj ziemi, jest najmilszym całemu światu gościem, nietylko że w kraju rolniczym czas zasiewów ważną, uroczystą odgrywa rolę, ale także i to, że dawnych czasów wraz z usypiającą naturą kładła się do snu wszelka czynność i dopiéro z wiosną się to wszystko budziło. Z wiosną wstawał ze snu zakrzepły na zimę handel i poczynały się owe sławne i gęste jarmarki, których ze wzrostem miast a upadkiem prowincyi ledwie setna część pozostała; z wiosną zaludniały się tratwami i galarami rzeki ku dwom morzom płynące, i zabiérając ze swemi wodami towary przez całą zimę przygotowane, dawały nadzieję rychłego przybycia piéniędzy; z wiosną ożywiały się nanowo zaspane sądy, stanowiły się roki i zapowiadały pokrzywdzonym i cierpiącym przyjście sprawiedliwości i kres ich uciskom: z wiosną ruszał się najczęściéj król jegomość z stolicy i podawał przeto łatwiejszą sposobność przystępu do siebie tym, którzy łaknęli jego łaski albo pomocy; z wiosną poczynały się zjazdy, sejmiki deputackie, komisye i kondescencye; z wiosną po błogosławionych miejscach odpusty; z wiosną budziły się ze snu rozsypane po domach chorągwie, zbiegały się na swe leże, odbywały koła, wybory, i często się z leż swych ruszały; z wiosną nakoniec przychodziły wiadomości o wojnie, a częstokroć i sama wojna, owo najulubieńsze do popisu i najsposobniejsze do zasług i dorobku pole dla rycerskiéj i nienawidzącéj spokoju młodzieży. Wyglądano téż téj pory tajenia śniegów i przybywania bocianów,

jak pewnego zbawienia, a nie bywało człowieka w powiecie, któryby o tym czasie nie przygotowywał się do czegoś.

Panowanie drugiego Sasa, najuboższe w zdarzenia z całéj prawie historyi, niemniéj spokojne i głuche miewało wiosny, jak jesienie i zimy. Nie było wojen i najazdów, nie było zatargów granicznych, rzadkie zmiany wysokich urzędników, a cały ruch publiczny owéj epoki zaczynał się na machinacyach sejmowych i trybunalskich, przedsiębranych i dokonywanych przez partyą familii; wszakże i wtedy co gdzie przychodziło nowego, to przychodziło na wiosnę. Wiosna téż i w opowiadającéj się braci ślubnych historyi przyniosła nowe i stanowcze wypadki.

Najpiérwej tedy, wkrótce jakoś po Wielkiéjnocy, która przypadała wcześnie onego roku, wjechał pan Bartłomiéj Karsznicki na balogradzkie dziedzictwo. Wjazdu tego nie odbywał on z żadnym szumem ani pompą, jak to bywało zwyczajem za dawnych czasów, bo wjechał tylko swoją znajomą nam cztérokonną landarą i pięcioma za nim się ciągnącemi wozami, obładowanemi dworem, myśliwstwem i kuchnią, a całą stajnią koni i dwudziestoma sforami ogarów; więc zajechał dość cicho i skromnie; ale los sam nie chciał, ażeby wjazd tego znakomitéj krwi kawalera odbył się tak potulnie — i w godzinę po jego przybyciu, z wielkim łomotem i trzaskiem obaliło się całe prawe skrzydło zamku, kędy bywały niegdy pani podkomorzyny i Barbarki pokoje, a to tak dobrze, że jeno wielka stérta gruzu na tém miejscu została. Stary marszałek i dworscy, bedący świadkami tego wypadku, prognostykowali ztąd coś nie dobrze dla pana i radzili mu, ażeby w oficynach zamieszkał; kapelan nawet sam mówił: — Ot, nie zasiadaj tu panie i nie kładź zdrowéj głowy pod ewangelią; — ale Bartek, który właśnie natenczas był w przyrządzonych dla siebie izbach na lewém skrzydle, a mianowicie tam, kędy dawniéj była podkomorzego sypialnia i wielka bawialna komnata, śmiał się z tego i mówił:

— Jeżeli mnie dlatego nie radzicie tu mieszkać, że się i to zwalić może niebawem, to źle, bo właśnie dobrze mocne musi być to skrzydło, kiedy się przy tém wstrząśnieniu nie powaliło, a jeżeli dlatego, żeby tu miał zły duch jaki wojować, to się nie bójcie, prędzéj ja diabła ztąd wystraszę, niźli on mnie.

Na te słowa przeżegnał się marszałek i milczkiem *Credo* odmówił, — a odtąd nie tykał już więcéj téj materyi przed panem.

Tymczasem Bartek zakwaterował się w zamku. Po upadnięciu prawego skrzydła niewiele już tam zostało pokoi, ale on i te jeszcze nie wszystkie zajął dla siebie. Więc tylko oną ogromną bawialną komnatę, kazawszy w niéj wielki komin zmurować, wziął na sypialnię, drugi przyległy pokój urządził jaknajwykwintniéj, zapewne dla przyjmowania w nim co przedniejszych gości. Podkomorzego kancelaryę kancelaryą zostawił, a reszta została tak jak była, krom tego, że wszędzie drzwi były i okna opatrzone,

posadzki naprawione, dach pokryty, zgoła tak, aby było mieszkalném. Na wystawność pomieszkania widać Bartek niewiele dawał, bo nietylko że się szczupło pomieścił i o podniesieniu tego zamczyska z upadku nie myślał, ale nawet onych gruzów kupą leżących sprzątać nie kazał, i baszty narożnéj, która przytykała do mieszkalnych pokojów, nie reparował. W ogóle nawet i w innych rzeczach, oprócz w ubiorze swoim i służby, o żaden przepych ani wykwintność się nie kusił, — ale za to kucharza miał doskonałego, który był Francuz rodem i gotował wybornie; piwnicę swoję napełnił najprzedniejszemi winami, koni miał pełną stajnię takich, żeby się ich była nie powstydziła i stajnia królewska, i sług miał tylu, że aż tłumno było w antykamerach i na dziedzińcu.

Takiemu urządzeniu domu odpowiadało i życie nowego Balogrodu dziedzica. Gospodarstwem on się nic nie zajmował, ani wszystkiemi temi rzeczami, które do tego należą; natomiast zaś najwięcéj bawił się polowaniem i nie przebiérał wcale pomiędzy zwierzem; więc z taką samą ochotą, z takąż fantazyą i krwią zimną szedł na niedźwiedzia z oszczepem, z taką fantazyą rzucał się z kordelasem za odyńcami, z jaką strzelał wróble z pistoletu po płotach. Przy polowaniach lubił on głośne uczty i biesiady, a w ogóle dobrą i wesołą kompanią, więc jeżeli sam gdzie nie siedział w gościnie, to zawsze pełno szlachty bywało u niego. A bywali i dalecy i blizcy, i zagonowi i wielcy czasem panowie, osobliwie téż z Węgrami czułe zachował braterstwo, a że granica od Balogrodu jest tylko o dwie mile, więc pełno było tych sąsiadów u niego. Przy biesiadach lubił dokazywać sztuk różnych i drugich na takie popisy wyciągać; więc strzelanie do tarczy, chodzenie po niebezpiecznych miejscach, karkokonne jeżdżenie na koniu, sadzenie przez nieprzebyte parkany i jamy, to była nieodbita przy biesiadach igraszka, a nieraz można było natenczas około Balogroda zdybać dwudziesty albo i więcéj szalonych jego kompanów z nim na czele, jako z którejś góry, często zrąbanemi drzewy i sterczącemi pniakami zawalonéj, albo skalistéj i tak stroméj, że kto pieszo szedł tamtędy, to się zsuwał noga za nogą, konno pędząc na dół co koń wyskoczy. Przy takich wyprawach często działy się różne nieprzyzwoite rzeczy, o których szkoda wspominać, i był za to często gęsto hałas i krzyk w okolicy, ale że każden pokrzywdzony dostawał od nich sowitą nagrodę, a przytém w domu Bartkowym chléb i mięso nie schodziło ze stoła, a wino się lało strumieniem, a nadto jeszcze wiele i od niego i od jego gości szło w obieg piéniędzy, więc więcéj jeszcze było takich którzy tego szaleńca, jak go pospolicie nazywano, tu zamieszkaniu byli radzi, niżeli takich, którzy krzywo na to patrzyli.

Nie było bo zresztą o co się gniéwać na Bartka, ani mu nawet co zarzucić. Ze sąsiadami żył w zgodzie, kłótni żadnéj ani granicznéj ani innéj nie wszczynał, rzetelnym był aż do skrupu-

latności, sługom laffy wypłacał sowicie, poodprawianym sługom podkomorzego trójną podawał odprawę, marszałkowi zaraz oddał co mu należało i jeszcze piękny procent w bydle przydał od siebie, kiedy go o co proszono, rzadko odmówił, ubogiemu nieraz dopomógł, chociaż nie był o to proszony, za brata szlachcica chętnie łba i kieszeni nadstawiał, a chociaż był do burdy pochopny i często o nic z najlepszymi przyjaciołmi się bijał i chociaż suknia jego jeszcze niektórych raziła, toż zawsze cnoty jego tak przeważały, że mało kto śmiał co przeciw niemu powiedzieć i to tylko ktoś z dalszych, bo ci co go znali zblizka, prawie go wszyscy kochali.

Jeden tylko kapelan, od czasu jak Bartek w Balogrodzie zamieszkał, mruczał ciągle na niego. Ale mruczał tylko u siebie, z rzadka tylko prawiąc coś marszałkowi na ucho, wszakże i to mruczenie niedługo trwało, staruszek ten bowiem niebawem wyniósł się z zamku. A wyniesienia się tego dwie były przyczyny: jedna, że tego hałasu, któren był ustawicznie na dworze Bartkowym, nie mógł znieść starzec, spokoju na stare lata łaknący, a powtóre, że słudzy pańscy pilnie odpędzali wszystko to ubóstwo od zamku, które się garnęło do swego lekarza, cudotwórcy i dobrodzieja. A to jeszcze jedno było, co go mogło zajmować w tém życiu. I nietylko zajmować, kapelan bowiem, coraz częściéj i gęściéj przez to pospólstwo nawiédzany i coraz dowodniéj o dobrych skutkach swoich lekarstw i modlitw przekonywany, sam nareszcie uwierzył, że Pan Bóg na starość jakieś niezwyczajne łaski zlał na wiernego sługę swego. A tu dwór cały Bartka ledwie go miał za pospolitego człowieka, w jego leki ani modlitwy nie wierzył i jeszcze mu pacyentów odpędzał; zabrał się tedy kapelan i wyprowadził się do marszałka, któren już na swém dożywociu w Bystrem gospodarował, a dając mu połowę swojéj dożywotniéj pensyi za wikt i usługę, chętnie był przez niego trzymany.

Wszakże i tam niedługo siedział przyjaciel podkomorzego. Jego świętość przez lud pospolity uznana i jego urząd proroczy, któren jakby widmo jakie zasiadł w głowie staruszka, zanadto go u niego samego postawiły wosoko, ażeby mógł ze zwyczajnymi ludźmi brat za brat przestawać; zdaje się nawet, że na starość wskrzesiła się w nim jakaś chorowita a dość jeszcze bujna fantazya; tego lata już bowiem wybudował on sobie dziwną architekturą chatkę drewnianą w lesie nad Balogrodem, a opatrzywszy ją w to wszystko, co mu się do pustelniczego życia zdawało potrzebném, kupił sobie kilka koszul włosiennych, kazał sobie uszyć suknię długą pielgrzymską z wiszącym kołnierzem, szablę przypasał do boku, kosztur długi wziął w rękę — i wyszedł precz od marszałka.

Odtąd mieszkał on w swéj chatce, gdzie także nieboszczykowskie ptaki miał z sobą; tam po całych dniach zabawiał się swemi klientami, którzy się do niego tłumami garnęli, ale często

także wychodził ze swego lasu i nawiédzał wsie i domy szlacheckie, to jako lekarz, to jako prorok jakiś i błogosławiony. Wiara bowiem i w jego zdolność lekarską i proroczą nietylko nie upadła, ale się ustaliła — a gdzie już nikt inny jakiemuś złemu nie umiał zaradzić, tam posyłano zawsze po niego. I takie życie pędził odtąd przyjaciel podkomorzego.

Kiedy Bartek wjechał na swoje dziedzictwo, w kilka dni zaraz nawiédził stolnikowiczów w Żernicy. Barbarka witała go z nietajoną radością i ciekawie wypytywała o powodzenie swojego brata, który został się w Wielkopolsce i tak szczęśliwie swoje rzeczy około panny podstolanki prowadził, że napisał przez Bartka, iż ma już pewną nadzieję; stolnikowicz także witał Bartłomieja od serca i witał go szczérze, chociaż gdyby był miał jaką odrazę ku niemu, to byłby jéj nie śmiał pokazać po sobie, skoro Barbarka witała go grzecznie i z radością. Bo tak już było wtenczas z panem stolnikowiczem: przy pani był jaknajwszechwładniejszy regiment, a owo straszne słowo niewola, po nieudanym i rozbrojonym zamachu, rozpostarło się ze wszystkiemi swemi przyborami i następstwami w nieubłagany sposób nad obalonym mężem.

Późniéj Bartek jeszcze kilka razy raz po razu był na Żernicy, i pani zawsze po jego bytności jakiegoś lepszego nabiérała humoru, co widząc mąż jéj, znudzony, przygnieciony do ziemi i niewiedzący już co począć ze swojemi smutkami i jak im radzić, byłby chętnie przyjmował Bartka i co dzień; ale nie stało się zadość jego chęci, Bartek bowiem zaprzestał swoich częstych odwiédzin i im daléj, tém rzadziéj się pokazywał w Żernicy. Z tego niekontent był stolnikowicz, i rozumując w swém odurzeniu błędnie i najfałszywiéj, wpadł na domysł, ażali się za co nie pogniewał Bartek na niego? Jakoż będąc u niego raz w Balogrodzie, przedłożył mu to delikatnie i do siebie zapraszał, — ale Bartek tylko się na to grzecznie uśmiéchnął, za zaprosiny dziękował, ale przez to częściéj nie bywał. Przy téj rozmowie co innego miał na myśli pan Józef, a zupełnie czego innego domyślał się Bartek, ale wyjaśnienie tego nieporozumienia pomiędzy nimi całkiem nie było podobném.

Tymczasem wiosna jeszcze jednę nowość przyniosła w sanocką ziemię. Chorągiew pancerna, któréj rotmistrzem był jw. Mniszech, marszałek koronny, mający już od lat wielu swoję leżę w Sanoku, a która ostatniemi laty, lubo w bezczynności czas swój trawiła, znacznie jednak i w towarzyszach i w pocztach zeszczuplała, dostała rozkaz obliczenia się z sobą, zapełnienia miejsc opróżnionych i postawienia siebie w takim komplecie, jaki dla takich chorągwi był przepisany. Wyszły tedy potrójne ordynanse od namiestnika, zwołujące całe towarzystwo na koło chorągiewne do Sanoka, na piérwszą niedzielę po Zielonych Świątkach.

Chorągiew ta, kiedy była całkowicie okryta, składać się miała z pięćdziesięciu towarzyszów, stu pocztów czyli szeregowców

i nieograniczonéj liczby luzaków i czeladzi, która to liczba zależała zawsze od zamożności i dobrych chęci towarzyszów. Teraz atoli wszystkich towarzyczów nie było jak trzydziestu i kilku, a ci wszyscy była to szlachta, ponajwiększéj części ziemianie sanoccy. Towarzyszem jakiéjkolwiek chorągwi być, czy to pancernéj czy husarskiéj, czy petyhorskiéj, był to dla każdego szlachcica, choćby jak znakomitego, zawsze zaszczyt niemały, jakoż był to także i stopień wysoki w hierarchii wojskowéj, a jak wysoki, można ztąd widzieć, że wedle regulaminów wojskowych, prosty towarzysz chorągwi nie mógł iść nigdy pod komendę nawet generała cudzoziemskiego autoramentu, ale generał taki musiał się poddawać komendzie towarzysza. Przeciwko takim przypadkom umieli sobie radzić generałowie, bo każdy z nich starał się o towarzystwo w jakiéj chorągwi i zawsze je otrzymywał, ale zawsze to nie uszczuplało zaszczytu randze towarzysza.

O taki tedy zaszczyt starali się prawie wszyscy, którzy cokolwiek mieli osobistéj ambicyi, ale nie każden go otrzymywał; wszakże znów z drugiéj strony mało któren co zamożniejszy był szlachcic taki, którenby nie był towarzyszem jakiéj chorągwi. Byli téż towarzyszami téj pancernéj chorągwi obadwa bracia ślubni, a kiedy nadszedł oznaczony termin koła chorągiewnego, obadwa nie omieszkali się tam postawić.

Dnia téż tego, któremu najpiękniejsza sprzyjała pogoda, taki zjazd był w Sanoku, że w całém mieście, ani na przedmieściach, niktby nie był znalazł ani jednego wolnego kącika. Bo trzeba wiedzieć, że chociaż taka chorągiew składała się tylko z pięćdziesięciu towarzyszów, a każden towarzysz nawet na najodleglejsze potrzeby i największe parady nie stawił się liczniéj, jak samoczwart, a najwięcéj samoszóst na chorągwi; toż jednak na koło chorągiewne i najuboższy jaknajwiększym dworem przyjeżdżał. Koło bowiem, które właściwie się odbywało tylko w celu załatwiania interesów chorągwi, było wszakże zarazem i terminem zabawy towarzystwa i polem do popisania się z chojnością i zamożnością, z afektami dla panów braci, za którą to sposobność tém skwapliwiéj chwytał każdy, ile że w czasach Augustowskiego spokoju rzadko się ze sobą panowie towarzysze widywali i niewiele było sposobności do takich popisów. Na takie koło jechał tedy każden najuboższy nawet poczwórnym karabanem, za którym prowadzono jego konie wiérzchowe i szedł wóz z garderobą, wiktuałami i drobną służbą; ale który był zamożniejszy, ten jechał trzema i cztérema wozami, a byli tacy, którzy prowadzili ze sobą wozów kilkanaście, całą kuchnię, piwnicę i zgoła wszystkie porządki do przyjmowania gości potrzebne, a przy takim panu bywało nieraz więcéj zbrojnéj służby na liczbę, niżeli głów liczyła cała chorągiew, chociaż on był li prostym jéj towarzyszem.

Każden towarzysz taki, przyjechawszy na miejsce, meldował się u namiestnika, prosząc go, ażeby mu wyznaczył kwaterę, i na-

miestnik mu niby-to ją wyznaczył; ale w rzeczy była ona dla niego już na tydzień naprzód albo i wcześniéj przez jego ludzi najętą i na przybycie pańskie przygotowaną. A kiedy taki w tém zwyczaj zachowywano, więc chociaż termin zjazdu był na niedzielę, jednak niektórzy już we czwartek i w piątek poprzyjeżdżali, a w sobotę byli już wszyscy w komplecie.

W niedzielę tedy rano zgromadziło się całe towarzystwo u namiestnika. Namiestnikiem był na tenczas jw. Osorya Bukowski, podkomorzyc sanocki, Nozdrca, Bukowa i wielu wsiów innych po swym ojcu sukcesor, człek młody, żołniérz jeszcze nie wprawny ani sławny, bo wojny nie było, ale rębacz tęgi, jeździec znakomity i dla otwartości serca bardzo od szlachty lubiony. Ten, mając jako namiestnik obowiązek mieszkania przez cały rok przy chorągwi, a mogąc żyć dobrze jako pan dosyć zamożny, mieszkał przy samym rynku i swym dworem trzy domy obok siebie stojące zajmował; więc większą połowę tych apartamentów zostawiwszy dla siebie, resztę był przeznaczył na kordegardę i odwach, chociaż ani był obowiązany do tego, ani téż kiedykolwiek jaki żołniérz stał na tym odwachu, oprócz teraz podczas zjazdu, kiedy to ich aż dwóch tam ustawicznie stawało.

U niego tedy zgromadziwszy się, panowie towarzysze, a przed jego pomieszkaniem na rynku szeregowi i luzacy, szli najpiérw wszyscy do kościoła na nabożeństwo, gdzie już sami sobą cały środek kościoła zajęli, dwóch z nich księdzu do mszy służyło, reszta zaś podczas *Sanctus* klęczeli, podczas ewangelii do połowy dobywali pałaszów, a na końcu śpiéwano *Veni Creator*. Po nabożeństwie przeszli znowu wszyscy do namiestnika i następowały powitania i powinszowania zdrowia, i inne komplimenta w oczekiwaniu tych, którzy się mieli pod chorągiew zaciągać. Nie długo wszakże na to czekali.

Wkrótce bowiem cały w zbrojach zakuty w misiurce z piéropuszami na głowie, z mieczem wielkim przy boku, z proporcem w ręku, na koniu, w złotą siatkę aż po ziemi się wlokącą ubranym, siedzący, prowadząc dwóch równie strojnie ubranych konnych pocztów za sobą, zajechał przed namiestnikowskie mieszkanie pan Bartłomiéj Karsznicki. Uwiadomione o tém wyszło całe gremium towarzystwa przed dom: on téż zaraz spiął konia, pięknie się wszystkim pokłonił i machnął kilka razy proporcem w powietrzu w tę i owę stronę. Po którym to obrzędzie odbytym zlazł z konia, do towarzystwa przystąpił a oddawszy porucznikowi swój patent na towarzysza przez samego rotmistrza wydany, krótką lecz piękną perorą towarzystwo powitał i miłości a przyjaźni się panów braci polecił. Zaczém był grzecznie od nich przyjęty, mile witany i nawzajem komplimentami ze wszech stron obsypany.

Po nim zajeżdżali znów inni, tym samym jak i on sposobem się instalując, z tą tylko różnicą, że nie wszyscy byli tak bogato

i strojnie wyekwipowani i że nie wszyscy mieli od samego rotmistrza patenta, najwięcéj bowiem wstępowało na miejsca zakupione od innych, którzy albo syci sławy wojskowéj, albo dla nadchodzącéj starości, albo w skutek przeniesienia się swego do innéj ziemi, miejsca swe porzucali — wszakże taki był tego roku na nowych towarzyszów urodzaj, że ich dzisiaj trzynastu pod chorągiew wjechało. Która to parada — ciekawie oglądana przez różną szlachtę i lud pospolity — zgromadzony na rynku a przez luzaków, żeby miejsca potrzebnego ku téj paradzie nie ściéśniał, od czasu do czasu to groźbami, to kijmi płoszony — trwała od samego południa, czém panowie towarzysze zmęczeni, solwowali koło do jutra a teraz wszyscy udali się do jw. starosty, mieszkającego na zamku na obiad i fetę wielką, która tam *in honorem* chorągwi dnia tego była wydawana.

Drugiego dnia, że to był poniedziałek a więc dzień ciężki i częstokroć fatalny, dano sobie feryą od pracy, co bardzo po myśli wypadło tym, którym niezupełnie na zdrowie poszły gęste starościńskie kielichy — a tymczasem wieczorem pan Urbański z Jabłonek zaprosił całe towarzystwo na miodek do siebie, któren mu przywieziono na to koło z dóbr jego komborskich. Pan ten zapraszając mówił tak cichuteńko a skromnie, że niby to jeno po kubeczku miano się napić u niego, a tu we wtorek rano słońce już dobrze przypiekało, kiedy przed jego domem żołniérstwo jeszcze biło z moździerzów i chorągiewna kapela głośne wygrywała wiwaty. Przytém cały dziedziniec i ogród przed jego pomieszkaniem jakby nabity był pocztowymi, luzakami i służbą prywatną towarzystwa, którym także dano suty traktament.

We wtorek tedy nie było co myśléć już o tém, ażeby jaką poczynać robotę.

We środę już się zeszli panowie towarzysze do sali namiestnikowskiéj i już mieli stół dokoła obsiadać, kiedy wszedł jw. Mniszech, rotmistrzowski synowiec, który późniejszemi czasy ożeniony z Ossolińską, wojewodzianką wołyńską, aż na chorąstwo w. koronne był postąpił, a który także był towarzyszem w swego stryja chorągwi i był w niéj porucznikiem — owóż tedy on przystąpił do panów braci i rzekł:

— Mości panowie! Ma u was łaskę jw. starosta, ma i pan Urbański, boście im tego dowiedli i ja im téj łaski waszéj nie zawidzę; ale rozumiem tak, że kiedybym i ja do waszego serca zapukał, tobyście go nie zamknęli przedemną. Koło, panowie bracia, ważna to rzecz dla chorągwi, ale co najważniejszą sprawę jużeśmy z łaski Bożéj zrobili a o resztę snać nam się już niewiele kłopotać przyjdzie, bacząc na to, żeśmy na ten rok miniony namiestnikiem mieli jw. Bukowskiego, przyjaciela mojego, który w jakim porządku utrzymywał sprawy nasze, wszystkim wiadomo. Niewiele zresztą mamy tak do czynienia, żebyśmy się bardzo kwapić musieli, a nic takiego, coby na zwłoce króciuchnéj ucierpiało,

a gdyby nakoniec i doniesiono nas z tém żeśmy koło nasze nad zwyczajny termin trzydniowy przeciągnęli, tedy jużby się to tam jakoś zagładziło u jw. stryjaszka. Owóż tedy tak tuszę, że waszmość panowie na prośbę moję jeszcze i na dzień dzisiejszy swe ferye pomkniecie; a odłożywszy na stronę papiéry i pióra, raczycie przyjąć u mnie skromniuteńki obiadek, który tylko czeka na przybycie waszmościów.

Na taką grzeczną oracyą zwłaszcza téż takiego pana, który po rotmistrzu był piérwszą osobą w chorągwi, nie było właściwie co mówić; ale że polityka nakazywała choć przynajmniéj udawać jaką taką służbistość i przejęcie się obowiązkami służby publicznéj, tedy jedni na drugich się oglądali, niby to się wahając; ale pan Błoński z Berezki, późniéj stolnik sanocki a natenczas chorąży téjże chorągwi, odpowiedział za wszystkich, replikując w ten sens:

— Nie byłaby to rzecz ni wakacya odmawiać tak łaskawie zażądanego afektu jw. porucznikowi naszemu, zwłaszcza téż, że sprawa chorągwi naszéj, ile że nam kwitną błogie czasy spokoju, na żadnéj takiéj zwłoce nic stracić nie może: tedy przyjmujemy od waszmości pana i brata naszego ten piękny sentyment i służyć będziemy; ale jako chorąży i ledwo nie najstarszy téj chorągwi towarzysz, boć'em ją własnemi piersiami jeszcze przeciw Sieniawczykom zasłaniał, rozumiem że nie zgrzészę, jeżeli jednę założę klauzulę. Owóż tedy tak bywa, że kiedy towarzystwo maszeruje ostro albo zgoła na nieprzyjacioły uderza, chorąży mu świéci na przodzie; teraz, Panu Bogu niech będzie chwała za to, mamy czasy spokojne i chorągiew stoi na miejscu, więc nie wyrywa się naprzód chorąży, ale przecieby tego nie przeniósł na sobie, żeby miał być ostatnim. A tu ostatek bardzo już gdzieś niedaleko. Poszedł bowiem przedemną starosta, poszedł jmć pan Urbański, idzie teraz jw. porucznik, anoż widzi mi się *summum tempus* i chorążemu się ruszyć, niechce-li zostać w kącie. Tedy będzie służyć towarzystwo z chorążym porucznikowi we środę, ale musi téż ono z porucznikiem obiecać się chorążemu na czwartek — a kłaniając się wszystkim dokoła, dodał: — o co najuniżeniéj bracią swoję uprasza nizki jéj sługa i podnóżek.

— Ale zgoda! zgoda! — zawołał na to porucznik — tylko dajmy sobie parol na to, że przed skończeniem koła żaden z nas ztąd nie wyjedzie.

Zaprotestował się przeciw temu pół żartem a pół seryo któreńś z towarzystwa, ale go zakrzyczano, przecinając mu, że chybaby był utajonym familianten, nie zaś wiernym króla jegomości poddanym, gdyby chciał psować to, co już postanowiono. I tak środa i czwartek minęły na bankietach wyprawianych z muzyką i wystrzałami moździerzowemi, a nawet z illuminacyą, bo téjże ostatniéj nocy, przez nieostrożność podochoconego żołniérstwa, zgorzała żydowska gospoda *cum attinentiis* na przedmieściu. W piątek byłoby już pewnie zaczęło się koło, gdyby nie ten przypadek,

że dnia tego rano odbył się potajemny pojedynek pomiędzy imć panem Gumowskim, towarzyszem téjże chorągwi pancernéj, a imć panem Strzemeskim, obywatelem zacnym z pilznieńskiego powiatu i towarzyszem chorągwi huzarskiéj, w Sandomierzu leżącéj, który przypadkowo natenczas przejeżdżając przez Sanok, poszedł na obiad do chorążego i tam się po obiedzie powadził. Rzecz cała wszczęła się o to, że pan Gumowski, napiwszy się dobrze i wdawszy się w rozmowę z Strzemeskim, husarzów nazwał żołniérzami pogrzebowymi, że to te chorągwie zwyczajnie do pogrzebowych konduktów biskupów i wielkich panów używane bywają. Działo się to jeszcze u chorążego, więc Strzemeski, widać człowiek oględny i stateczny, umilkł, ale na wąs sobie to namotał; a kiedy już wyszli w ulicę w nocy i z jednym świadkiem tylko znaleźli się sami, wjechał dopiéro dobrze na Gumowskiego, trąc mu kapitułę co się wlazło za on nierozumny przycinek. Gumowski, który rad ognia krzesał w szabelkę, nie opuścił okazyi i oddał zaraz oko za oko, poczém się przy świadku zmówili, drugiego sobie sekretnie znaleźli, i o świcie wyjechali precz za miasto na pole, gdzie sobie przy jakiéjś samotnie stojącéj karczmie plac boju oznaczyli. Ale trafił na swego on junak niebaczny: husarz bowiem twardo stanąwszy za obrazę swojéj chorągwi, tak zsiekał Gumowskiego, że go rankiem aż na wozie do Sanoka przywieziono. O czém kiedy się wieść zaraz rozeszła po mieście, ile że wielu towarzyszów jeszcze dobijając bankietu, z kapelą się przechadzali po ullcach, tumult się zrobił ogromny. Każdy więc biegł rannego coprędzéj obaczyć, i każdy widząc go tak zeszpeconego, jeszcze większą wrzawę podnosił, a niebawem takie rozjątrzenie opanowało całą chorągiew, że podczas kiedy jedni rzucili się onego zdrajcę husarza szukać po mieście, drudzy, wsiadłszy na koń, puścili się za nim na wszystkie strony. Ale Strzemeski widać był kuty na cztéry nogi, bo jak zniknął, tak i słych o nim zaginął. Nie mogło się to panom braci w głowie pomieścić, jakby to kto obcy mógł tak zniknąć z pomiędzy nich bez śladu po sobie i w czasie tak krótkim, jakoż przyszli na tę myśl, że musiał być jakiś czarownik lub charakternik, w któréj to opinii utwierdzało ich i to jeszcze, że w gęstéj bitwie z panem Gumowskim, który był rębacz tak zawołany lubo dość nieszczęśliwy, ani razu nawet drapniętym nie został, — i dano mu pokój nakoniec; — ale te poszukiwania zabrały cały piątek i sobotę.

W niedzielę po staremu obiad był dawany na zamku, poniedziałek znowu dzień ciężki, więc aż dopiéro we wtorek panowie towarzysze dokoła stołu zasiedli, a chociaż rzecz trochę po za termin przewlekli, na czém zresztą rzeczywiście nic nie zależało, to im jednak niech będzie na pochwałę, że przy obliczeniu znaleźli się wszyscy w jaknajzupełniejszym komplecie, krom jednego Gumowskiego, który z gębą zaszytą, ręką obwiązaną i przez sanockiego barwierza strzeżony, leżał na swojéj kwaterze.

Na sesyi tedy, jako piérwszą materyą wniósł na stół namiestnik rachunki przychodów i wydatków chorągwi za rok miniony, przyczém deputat przeszłoroczny, do egzakcyi podatków od chorągwi wyznaczony, składał także swoje rachunki i pozostałe przy nim piéniądze. A kiedy się to wszystko w jaknajwiększym porządku znalazło i odprawiło, pan Bukowski piękną mową podziękował towarzystwu za darowane mu zaufanie i składał w jego ręce swój urząd, ekskuzując się starością swojego ojca i ważnemi sprawami familijnemi. Trzeba tedy było innego namiestnika nominować, a ten wybór był dosyć trudny, bo podczas kiedy ranga ta skazywała na całoroczne przynajmniéj przy chorągwi mieszkanie, rzadko któren towarzysz ją rad przyjmował na siebie, ile że każdy był posesyonatem, gospodarsrwo, żonę i dzieci najczęściéj mającym, a nadewszystko swobodę miłującym. Oglądano się tedy na tego to na owego, i już omal że się nie uczepiono Bartka, bo lubiano na namiestników ludzi bezżennych i zamożnych, którzy i statecznie siedzieli przy chorągwi i swoją kieszenią nieraz nakładali z ich albo i z cudzéj przyczyny wyniknione decesa, a pewni byli względem defraudacyi; ale kiedy Bartek zwąchawszy, jak to mówią, pismo nosem, z góry zaprotestował się przeciw temu i nawet dał do poznania, że to nie jest ranga dla niego,—padł jednomyślny wybór na pana Gumowskiego, a dawny namiestnik podjął się dopóty opiekować sprawami chorągwi, dopóki wybrany nie powróci do zdrowia. Z czém wyprawieni posłowie do elekta i z wdzięcznością przyjęci.

Potém przystąpiono do wyboru deputata na komisyą radomską, która była wysadzana co roku na to, aby wszelkie sprawy wojskowe sądziła, a że ta funkcya trwała zwykle tylko przez sześć niedziel, tedy wybrany na nią dawniejszy namiestnik podziękował bez oporu za ufność.

Potém ogłoszono wybór dwóch rezydentów do jw. rotmistrza, który zwykle padał na młodych, zasługi i zabawy łaknących, a że już tam takich dwóch miał u siebie pan Mniszech, którzy nawet listami tego się dopraszali, aby ich nie ruszano, tedy ci sami i na ten rok potwierdzeni.

A kiedy już i to załatwiono, tedy weszła ostatnia kwestya a to wybór deputata do egzakcyi podatków, każdéj chorągwi a przez nią zajmowanego i oznaczonego obwodu jéj się należących i rok rocznie wybieranych. Ten wybór nastręczał zwykle największéj trudności, — była to bowiem funkcya nietylko nieprzyjemna i tak uciążliwa, że jéj prawie każden uczciwy i sumienny unikał, a z drugiéj strony znowu takie pole dająca do szalbierstwa i oszukaństwa, że która tylko chorągiew o swój honor i dobrą sławę dbała, jaknajskrupulatniéj sobie przy tym wyborze postępowała. Kiedy więc już całą ważność téj misyi ze wszech stron ogadano, i z należytym względem na wszystko pomiędzy sobą się obliczono, pokazało się, że tylko cztérech kandydatów było do téj deputacyi

takich, którym sprawę i sławę swoję mogłaby poruczyć chorągiew, a poruczywszy ją, spać sobie spokojnie aż do przyszłego roku. Piérwszym więc kandydatem położono jmć pana Nieczuję, skarbnika zakroczymskiego, który już przed dwoma laty sprawował tę funkcyą, i przywiózłszy wszystkie piéniądze, ani jednéj skargi nie pociągnął z sobą na komisyą radomską, co się jeszcze nikomu nie wydarzyło. Drugim po nim położony był pan Urbański, który acz częstokroć gwałtowny i prędki, jednak niesłychanie był sumienny i bardzo zamożny, więc była w nim rękojmia, że raczéj ze swéj szkatuły dołoży, niżeliby miał się dopuścić jakiéj opresyi, jak to się innym deputatom zdarzało, że co nie dobrali na jednéj wiosce z powodu ubóztwa, nieurodzaju lub jakiéj innéj przyczyny, to wyduszali na drugiéj nad należytość i prawo; trzecim zaś i czwartym położono obudwóch braci ślubnych.

Ale pan Nieczuja się zaraz wymówił, ekskuzując się wiekiem i niezdolnością, co zanotował temi słowy w swym kalendarzu: „Na tém kole proponowano mnie na deputata do egzakcyi podatków, ale się wyprosiłem. Stary jestem, stargany i do niczego niezdolny, chybaby to jeszcze syna introdukować w ojcowskie rzemiosło i pokazać mu *in praxi*, jak to dawniéj bijano, ale i na to już niéma widoku, bo cicho wszędzie jak mak siał, co daj Boże jaknajdłużéj, bo miałoli być co głupiego, to lepiéj nic."

Potém pan Urbański się jął wymawiać. Mówił długo i nie ze wszystkiém zrozumiale a przytém chmurno i mrukliwie, czém dawał do zrozumienia, że nietylko się téj funkcyi nie podejmuje, ale nawet nie rozumie, jak można było jego do takiéj roboty chciéć zaprzęgać. Nagadawszy się tedy dosyć w tę i owę stronę i napowtarzawszy się jednéj i téj saméj rzeczy po kilka razy, bo nie był oratorem, tak skończył: — Anoż com rzekł, niechaj to nie będzie tylko na teraz, ale i na potém, a o com prosił, niechaj to będzie wdzięcznie przyjęte i uwzględnione; to tylko jeszcze dodać mi wypadnie, że jakom poborcą żadnym ani dusicielem pobożnych ludzi nigdy nie bywał na życiu, tak i teraz nie będę, a kiedyby mnie i sam król jegomość, nasz Pan miłościwy, kazał co od ludzi wybiérać, tedy raczéj ze swojéj szkatuły oną sumę w całkowitości złożę, a od dworu do dworu i ode wsi do wsi nie pojadę.

Ta mowa czyli téż obraziła na prawdę towarzystwo, czy tylko żart sobie chciano zrobić taki, niewiadomo, jeno przystąpiono do głosowania. A kiedy głosy zebrano, co czyniono w ten sposób, że każdy pisał jedno nazwisko na karteluszu i rzucał go pisarzowi w czapkę, który stół do koła obchodził — i pisarz je do protokółu wciągnął a obliczył, wstał potém i rzekł:

— Mości panowiel Jmć pan Urbański obrany jest deputatem do egzekucyi podatków.

Na to pan Urbański spojrzał na pisarza a potém po kole, ale wszyscy patrzyli w stół i cichuteńko było jak w kościele. Tedy on powstawszy, dosyć z krwią zimną:

— Panie namiestniku! — rzekł, — proszę mnie kazać zapisać, żem wybran.

— To się zapisze — odpowiedział namiestnik.

— Tedy mnie proszę powiedzieć, jak wielką jest ta suma, którą chorągiew ze swojéj parafii co roku wybiéra?

— Kiedy pan Nieczuja jeździł, — odpowiedział namiestnik — mało coś chybiło do pięciu tysięcy.

— Było cztery tysiące siedemset i dwa złote, — rzekł pan Nieczuja. Na to zaś Urbański:

— Panie namiestniku! owóż ja już powrócił z téj żebraniny, proszę odbiérać pieniądze.

To rzekłszy, odwinął połę od kontusza i żupana i dobywszy z kieszeni mieszek znaczny skórzany, wyjął zeń trzy ładunki dukatów, w których snać było trzysta, a położywszy je na stole, posunął ku namiestnikowi i dodał:

— Oto są, proszę o resztę.

A kiedy wszyscy ciekawie poglądali po sobie, on się ku drzwiom obrócił, które były otwarte a za niemi służba stała i młódź, zaglądając do sali, i zawołał:

— Héj! Czerkawski! sam tu! — Na to wszedł jego wyrostek i przystąpił ku niemu, a on dobywszy jeszcze z mieszka garść czerwonych złotych, dał je jemu do ręki i rzekł:

— Masz, a to za to, żeś mnie kazał piéniądze ze sobą brać, bo kiedybym ich był nie wziął, byłbym przyszedł na wstyd.

Wyrostek się pokłonił i odszedł, a tymczasem namiestnik nazad odsunął piéniądze ku nowo wybranem deputatowi, żartując a śmieiąc się, w czem mu całe koło dopomagało. Ale on śmiechu wcale nie dzielił i rzekł:

— Panie namiestniku, proszę się nie śmiać, jeno piéniądze brać; wybrany jestem, zrobiłem swoje, róbże i waszmość swoje.

— Ale to żart! to żart! — zawołało kilka głosów. Na to zaś on:

— Proszę mi tego nie mówić, bo ja na takich żartach się nie znam: więc albo piéniądze brać, albo niechaj mi koło sprawę z tego da i to jest moje ostatnie słowo. Nizki sługa waszmościów!

To rzekłszy, pokłonił się i wyszedł. Za nim zaraz wybiegło kilku, chcąc go przeprosić i nawrócić, ale on ani słuchać nie chciał nikogo, tylko wydarłszy się z rąk, poszedł ku swojéj kwaterze. Tedy się koło zafrasowało tém trochę a jaki taki, poglądając na piéniądze leżące na stole, mówił: — Zadalekośmy się trochę posunęli z tą krotochwilą. Wszakże wkrótce zabrał Mniszech głos, a biorąc na siebie przebłaganie rozgniewanego, prosił ażeby przystąpiono do elekcyi nowego deputata. A teraz oparło się to już o braci ślubnych. Zaczém piérwszy powstał pan stolnikowicz, wypraszając się bardzo wymownie i grzecznie, ale zaraz na jego mowę replikował pan Bartłomiéj Karsznicki, poczynając w ten sens:

— Mości panowie! Najmłodszy tu jestem z tego cechu i rozumiem to dobrze, jak mi skromność a milczenie przystoi; ale napatrzywszy się dosyć różnych chorągwi i ich służby publicznéj po cudzych krajach, a widząc jako się tu każden od wcale niewielkiéj posługi wymawia, nie mogę tego przenieść na sobie, ażebym choć słów kilku nie powiedział ku temu.

Potém rozwodził się długo i széroko nad zacnością, jaką ze siebie dawać powinien i na tém potém się opiérając, srodze wykartał taki obyczaj, którym rycerz jako może wykręca się od posługi swojéj chorągwi. A że mówił ozdobnie i gładko, a szafował hojnie komplimentami dla króla i pana, dla hetmanów, rotmistrzów, poruczników i zgoła dla całego rycerstwa, więc słuchano go z wdzięcznością i taki mu oklask dano, że aż się mury zatrzęsły. Jakoż nic pewniejszego nad to, że gdyby natenczas było przystąpiono do wotowania, byłby miał pewno *unanimitatem* pan Józef. Wszakże on przytomnością swoją nie dopuścił tego, bo wstawszy a wezwawszy wszystką swoję naukę na pomoc, kiedy to sypnie perorę pełną samego Cicerona i Seneki, to i jemu oklask się dostał wcale nie mniejszy, a Bartkowa opinia się osłabiła. Wprawdzie Bartek znowu głos zabrał i już teraz usiłował jak najwyraźniéj Bobowskiego wsadzić na tę funkcyę, wydalając go na parę miesięcy z domu, ale już mu tak nie szło za drugą razą i dawna jednomyślność nie dała się już zespolić.

Po nich mówił znów Osuchowski, ale ten gorliwy każdéj służby publicznéj miłośnik i wiecznie o niéj tylko marzący, powiedział tylko tyle, ile mu skromność nakazywała, a że na ten wybór, kiedyby wypadł na niego, ani się skrzywi i prawie go pragnie, było aż nadto widoczném. Po panu łowczycu jeszcze raz głos zabrał Karsznicki i usiłował na jaw wydobyć mało ważne wymówki jego i poprzéć je trochę, ażeby koniecznie opinią zwrócić na Bobowskiego, i robił to dość gładko i zręcznie, ale to już droga była zanadto uboczna, aby nią mógł zajechać ku swojemu celowi. Umilkł tedy, rzecz główną zostawując do rozstrzygnienia, a ciekawszym zaś tę zagadkę, dlaczego chciał koniecznie Bobowskiego wyforytawać na deputata? co wszakże, lubo ujść nie mogło uwagi niektórych, zatarło się tém nakoniec, że Bartek był szwagrem stolnikowicza.

Potém przystąpiono do głosowania, a po obliczeniu votów pokazało się, że pan łowczyc jednym tylko głosem przeważył swojego brata. Jego tedy zamianowano deputatem, a nazajutrz wręczono mu instrument, opatrzony podpisami całéj starszyzny, spis wsiów i miasteczek i przypadających należytości, a nakoniec instrukcyą, gdzie jak długo ma bawić i kędy odprawiać trzydniówki.

Nazajutrz także przebłagano i pana Urbańskiego, poczém jeszcze trwały bankiety i uczty do dwóch tygodni, i tak się skończyło to koło chorągiewne.

Po téj trzechtygodniowéj służbie i zabawie, bracia ślubni powrócili do siebie; pan stolnikowicz do swéj dawnéj w niczém się nie zmieniającéj niewoli, — pan Osuchowski zaś, ażeby się przygotować do służby swojéj i podróży, która go miała wydalić z domu na kilka miesięcy a może i dłużéj, obwód podatkowy bowiem poddany téj chorągwi pancernéj zajmował ledwie że nie całą ziemię sanocką, a inni deputaci, którzy z téj funkcyi chcieli ciągnąć zyski dla siebie, albo i bez żadnych nadużyć, tylko przepisane wszędzie trzydniówki odprawiali, wybrawszy się w podróż o wiośnie, ledwie na Trzech Króli powracali do domu. Taka podróż, lubo się ciągle kręciła w kółko i można z niéj było dosyć często nadbiegać do domu, wymagała jednak dobrego rozmysłu i statecznego przygotowania się w wiernych ludzi, pewne konie i wozy; pan deputat bowiem, ile że obowiązkiem jego było wszędzie utrzymywać honor chorągwi, a nadto jeszcze ta podróż nic go nie kosztowała, bo musiały go żywić ze wszystkiém wsie, do których zajeżdżał, wybiérał się na tę egzakcyą prawie z takim samym taborem, z jakim przyjeżdżał na koło.

Wybiérał się tedy i pan łowczyc w tę drogę przez cały tydzień, a już tak był tém wszystkiém głęboko zajęty i tak wiele o tém rozprawiał, że już nie miał ani oczu ani uszu na to, co się działo około niego, ani téż pamiętał to, co go kiedykolwiek przedtém tykało lub zajmowało. Z takiego usposobienia szwagra umiał w lot korzystać Pakosław; jakoż nietylko, że natychmiast przyjechał mu powinszować nowéj rangi i honoru, którym go obdarzyła chorągiew, czém w najsłabszą zaraz stronę trafił panu łowczycowi, ale téż, nie namyślając, się z taką pilnością a żydowską usłużnością jął się pomagać mu w jego przygotowaniach do podróży, że i gładko sobie wyjednał przebaczenie dawnych przewinień i jeszcze, kiedy łowczyc wyjeżdżał, prawie przez niego samego był zostawionym na Żerniczce, jako jego zastępca i pełnomocnik. Zawinął się téż Pakosz jaknajrączéj około tego, ażeby, cokolwiek jeszcze mogło miéć jaką wartość na tym dworze lub w gospodarstwie, zamienić, sprzedać albo przenieść do siebie, a że mu w tém nikt nie przeszkadzał, szło mu to wszystko jak z płatka.

Owóż tedy bardzo na rękę poszedł Pakoszowi ten ostatni wybór koła chorągiewnego, ale bardzo nie na rękę było to drugiemu bratu ślubnemu. Człowiek ten bowiem, który w swojéj biedzie tyle już tylko miał pociechy, ile jéj znalazł w cichych i pokątnych z łowczycem rozmowach, teraz odsuniony, a raczéj zrażony do wszelkiego zatrudnienia, nie mogący prawie krokiem wyruszyć z domu, został już sam tylko ze swojemi smutkami i ze swoją niezgojoną boleścią. Zrazu po wyjeździe łowczyca, nie widząc żadnéj zmiany w swém położeniu, a nie wiedząc co począć ze sobą, z rozpaczy prawie rzucił się był do książek, ale znając te na pamięć, które się w jego domu chowały, a nowych nie mając, niewiele znalazł w nich pociechy; potém wszakże przecie lepszego

się domyślił, i uważając że mu się to nieźle udaje, wymknąć się z domu i pobiedz na parę godzin do samotnych i także się dosyć nudzących dwóch kobiét w Żerniczce, często się z domu wymykał, i czy to pieszo, czy na koniu biegł czémprędzéj do łowczycowego dworu, aby tam już rozumną rozmową ze starą panią, już lekką pogadanką z młodą jéjmością choć trochę się rozerwać i zasmucone serce odżywić.

Taki wszakże porządek we dworze stolnikowicza, który stawiał samowładną panią na tronie, męża zaś kładł w poczet dworzan nic nie znaczących, nietylko że mógł był ściągnąć najgorsze pogadanki sąsiadów, jeśli na to dali baczenie, ale téż i dla całego gospodarstwa i powodzenia materyalnego tego domu najfatalniejsze pociągał skutki. Pani Barbara bowiem, chociaż silnie swe berło dzierżyła w dłoni, nie rządziła jednak domem tak jak potrzeba, a podczas kiedy słudzy za małą nieraz przewinę srodze bywali karani, wielkie nieraz uchodziły im gładko i był ztąd wielki nieład i prawdziwy rozgardyasz na całym dworze. Jeszczeż to pierwéj, póki starego porządku koła nie powychodziły całkiem ze swoich składów i póki Barbarka, chcąc dowieść mężowi, jako ona zna się na wszystkiém i wszystko lepiéj zrobi od niego, sama w każden kąt zaglądała, wlokło się to wszystko dość znośnie; ale od niejakiego czasu, kiedy już ze starych sług prawie nikt się nie ostał na dworze a pani i mężowi nie dając się wetknąć do niczego, i sama zaprzestała swego dawnego dozoru, wywróciło się wszystko do góry nogami. I nie było posłuchu, tylko drżenie od strachu, nie było pracy ni pilności, tylko na oko; rujnowały się budynki, niszczały stajnie i obory, próżne były stodoły, pustką stanęły śpichrze i komory.

A chociaż tak źle się działo, nikt jednak na to nie zwracał ani swojéj ani cudzéj uwagi, bo kiedy pani milczała, musiał każden milczéć, chciał-li czy nie chciał. Na cóż zresztą miał kto poruszać te usta, które kiedy się poruszyły, wysypywały z siebie tylko przekleństwa albo rozkazy dawania batogów? — Wszakże był tam jeden człowiek na dworze, któren baczne miał oko na wszystko, a tym był Grott herbu Mora. Gospodarstwo i dwór żernicki nie należały wprawdzie do niego, bo on tylko był pełnomocnym na Rogach, ale kiedy mu się nieraz i za co takiego, co się nie po myśli pani stało w Żernicy, kpa dostać zdarzyło, zwłaszcza téż że tu niemało czasu przepędzał, zdało mu się nie od rzeczy, jeżeli nie dysponować, tedy wiedzieć przynajmniéj o wszystkiém, co się gdzie dzieje. Śledził on tedy po staremu tak pana jak i panią, tak sługi jak i sąsiadów, a chociaż to śledzenie nie doprowadzało go teraz do tak pewnych rezultatów jak dawniéj, bo go ztąd często gospodarstwo odwoływało do Rogów i trzymało tam po kilka tygodni; toż jednak wiedział on w każdym kierunku przynajmniéj tyle, że w czas potrzeby dotarcia do gruntu, nie byłby musiał przynajmniéj macać po ciemku. Owóż tedy o takich rzeczach,

które w największém nawet były ukryciu, wiedział on wiele a jeżeli nie wiedział to się przynajmniéj domyślał; nie mówił nic, bo był z tych ludzi, którzy radzi milczą na wszystko, kiedy tylko im nieźle się dzieje, ale niemniéj przeto argusowemi oczyma patrzał na wszystkie strony, nic pomimo siebie nie puszczał a gdzie mu się tak zdało, to dochodził daléj i ciekawiéj zaglądał.

Przy tak bacznéj tedy uwadze, daleko dokładniéj niż komukolwiek był mu znajomy cały on fatalny stosunek pana do pani i smuciło go to, bo kochał Józefa... znajomemi mu daléj były owe tajone stolnikowicza wycieczki i nic na nie nie mówił... wieczne miał podejrzenie względem balogrodzkiego dziedzica i zostawiał to sobie do czasu... ale kiedy pani Barbara zaprzestała takiego ognistego zajmowania się domem, na mężowskie absentowanie się z domu rzadko co kiedy i to prawie tylko dla formy mówiła, a nakoniec przyszła jéj jakaś mania wychodzenia na jakieś spacery i to nie do ogrodu, tylko gdzieś w pole a zawsze samotnie, a zawsze wtedy, kiedy męża w domu nie było: postawił sobie Grott tę kwestyą na dziennym regestrze i przedsięwziął dotrzéć do gruntu. Puścił się tedy i on na spacery i długiemi nieraz godzinami błądził po polach i lasach, po zaroślach i różnych miejscach spokojnych i zasłonionych od wiatrów. I długo tak błądził daremnie, niczego nie mogąc dojrzéć zblizka ni zdaleka: stawał potém na punktach oddalonych ale wysokich i ztamtąd okiem orła powodził po całéj okolicy, ale i to daremnie — aż dnia jednego, w takiém właśnie miejscu, gdzieby się nigdy był nie spodziéwał, dziwne znalazł zjawisko.

Naprzeciwko dworu, za małą łączką, obsadzoną wierzbami, wznosił się stromy pagórek. U jego stóp płynie mała rzeczułka a za nią poczynają się dęby, które tam rosnąc od wieków i piętrząc się jedne na drugie, cały ten okrywają pagórek aż do samego szczytu. Od szczytu ciągnie się w górę grzbiet tego pagórka, który rozléwając się w coraz płaściejszą wyżynę, wznosi się potém do góry i sięgając balogrodzkiéj granicy, daje widzieć na przeciwległych swych krańcach dwa ogromne kopce graniczne, pomiędzy któremi stało tamtych czasów trzy krzyże drewniane, na pamiątkę jakichś trzech śmierci tam postawione. Dęby te wszakże, które ocieniają ku dworowi zwrócony brzeg tego pagórka, nie okrywają już daléj całego tego długiego grzbietu, jeno ustąpiwszy się w lewo, ciągną się wązką ścianą wzdłuż grzbietu, ocieniając tylko cały bok lewy i urywając się potém nagle o paręset kroków przed onemi krzyżami. Od tych krzyżów wszakże aż do tego miejsca, w którém się urywa dębina, rozściela się gęsty i bujny jałowiec, któren tak tę przestrzeń okrywa, że ktoby chciał do krzyżów, o lasy bukowe opartych, przejść niepostrzeżony aż do onéj rzeczułki, która płynie tuż pod dworem żernickim, ten mógłby tego snadnie dokonać, bo niemało udeptanych ścieżek wije się przez

środek onéj dębiny, przez jałowce, pomimo krzyżów aż do lasów bukowych.

Otóż jednego południa, czy to dobrym instynktem wiedziony, czy to dlatego, że tam jeszcze nie zapuszczał swych śledczych kroków, puścił się Grott jedną z tych ścieżek środkiem dębiny do góry. Idąc, oglądał się w tę i owę stronę i ostrożnie odsuwając gałęzie, ażeby nie czyniły szelestu, myślał sobie statecznie, coby uczynił w takim a co w innym wypadku. I bujna fantazya jego przesuwała mu po przed oczy różne najdziwaczniejsze widziadła; on się za niemi coraz baczniéj oglądał, ale oko ciała nie mogło dojrzéć nic z tego, co oko duszy widziało. Aż nareszcie, przebrodziwszy prawie już większą połowę dębiny, stanął naglę Grott w miejscu, przegiął się przez połowę, wyciągnął szyję i oczy wpatrzył mocno w punkt jeden na prawo — zdawało mu się że widzi... i widział w saméj istocie.

Pomiędzy trzema drzewami bowiem, które rosnąc na kilkosążniowéj murawie, stały niby na osobności, a jednak mocno ocienione były gęstą karłowatą krzewiną, stała w sukni zielonéj, wachlarz w prawéj ręce trzymając, Barbarka. Koło niéj tuż blizko żywiuteńki stał Bartek, i trzymając jéj lewą rękę w swéj prawéj, patrzył to po sobie, to na ziemię i słuchał jéj mowy. Na jego twarzy był spokój zupełny i on uśmiéch słodki a chłodny, który nie opuszczał go nigdy; w jego oczach błyszczały jeszcze iskry jakichś gasnących płomieni, jego policzki były świécąco różowe, a zresztą cały wyglądał tak, jak gdyby wstał od sutego obiadu i chciał iść ku sofie, ażeby na niéj odpocząć, ale go ktoś w drodze zatrzymał i w rozmowę uwikłał. Barbarka także jakoś nie była wesołą, a chociaż jéj jagody były dosyć rumiane, jednak w oczach i w całéj twarzy była jakaś senność rozlana i niby smętność, z których jednak co chwila sama się obudzała, prędkiém okiem rzucając w tę i owę stronę.

To wszystko dobrze przejrzał Grott, ale że jednak z tego miejsca niedogodnie mu było słuchać, co tam mówiono, podszedł cichuteńko troszeczkę daléj, i stanąwszy za drzewem, przyczaił się tak, uszy tylko wystawiwszy do słuchu. Tymczasem tam zrobiło się głośniéj, a najpiérw tak prowadziła rzecz swoję Barbarka:

— Śpią wszyscy jak zabici... po zmierzchu nikt się nie śmié na dziedzińcu pokazać... on o sześć izb odemnie... okienko nizko...

— Ale, moje życie! — rzekł na to Bartek.

— Ale co to wam gadać! — odpowiedziała ona pół z gniewem, — tchórze jesteście i koniec. Wszystko niech robią kobiéty. Niech szaleją, niech tęsknią po całych dniach i nocach, niech się narażają na obmowę i hańbę, niech po całych tygodniach głowę sobie łamią nad wyszukaniem jednéj sposobnéj chwilki, a potém dla niéj niech karki kręcą i skręcą nakoniec z kretesem — wam wszystko to obojętne. Wy macie moc i siłę, moglibyście miéć i odwagę, trudy wam byłyby niczém, o obmowę nie dbacie, i mo-

glibyście wszystkiego dokazać, — ale na co wam tego? wszystko niech robią kobiéty. O Bartku!

— Ale moje dziecko, jeżeli téż kogo możnaby o to obwinić, to nie mnie pewnie. Bywałem ja już w niejednych okazyach i na co ja się narażałem...

— No milcz, proszę ciebie; — przerwała prędko Barbarka, — co było, jak było tam kiedyś, ja wiedzieć nie chcę i uszy zatykam. Ja znieść tego nie mogę. Ja aż drżę na wspomnienie tego wszystkiego, wiem, ale wiedzieć nie chcę i zapominam. Dla mnie tyś się wczoraj dopiéro urodził.

— Moje dziecko! — rzekł czule Bartek.

— O! Bartku! czemużem cię pierwéj nie znała takim, jakim cię dzisiaj poznaję! czemużem się dała jakiéjś głupiéj otumanić ambicyi! czemużem nie umiała przewidzieć tego szczęścia, które Bóg mi przysyłał przez ciebie? o Boże! jakbyśmy byli szczęśliwi!

— Ha! rzekł na to Bartłomiéj, — na mnie ta wina nie cięży, ja chciałem. A com się nacierpiał, co nagryzł w milczeniu, co napłakał w ukryciu, to już tylko Bogu jednemu wiadomo.

— Tyś cierpiał wtenczas, — mówiła smutno Barbarka, — i twoje cierpienia się zakończyły; a ja cierpię teraz i płaczę, i nie widzę przed sobą nic, jak tylko przyszłość coraz smutniejszą i gorszą. Noc ciemna naokoło mnie i przedemną; jedna tylko gwiazdka wschodzi czasem na moja niebo, ale i ta może niezadługo zagaśnie.

— O! nigdy! — zawołał Bartek.

— O! dzięki niechaj ci będą, moja gwiazdko jedyna! — zawołała Barbarka, i jakby z nóg powalona, rzuciła się Bartkowi do kolan. Ale wkrótce powstała, i innym już tonem dodała: — Boże! i mnie pójść było za tego, któregom nigdy nie kochała! Kiedy to myślę, wszystka krew burzy się we mnie i śmierćbym sobie zrobiła... ale słuchaj! — mówiła potém prędko: — to ty sobie pamiętaj, tu się widywać nie możem, tu jest bardzo niebezpiecznie; trzeba tak kochać, jak ja cię kocham, aby tutaj przychodzić... więc kiedy nie chcesz przyjeżdżać do nas i powiadasz, że on..... o! prawda! jaki to człowiek niedobry, jaki to skryty, jak ja go nienawidzę, to ani wyobrazić sobie nie możesz. A jakie on oczy ma czegoś straszne, jak mu niedobrze z nich patrzy! wiész, trzęsę się cała, kiedy te oczy obaczę.

Bartek się na to uśmiéchnął nieznacznie, bo wiedział jak to strasznemi robią się występnym kobiétom te oczy mężowskie, które niegdyś były tak piękne i łagodne! a Barbarka mówiła daléj:

— Więc kiedy tak nie chcesz, to trzeba coś innego obmyślić. Ale co, jak, gdzie? głowa mi schnie od myślenia, a nic mi się nie nasuwa. — Na to zaś Bartek:

— Powoli, moje kochanie, a to samo się zrobi. Całe złe jest w tém, żeś jego przyzwyczaiła do tego, że ustawicznie siedzi

w domu; ja już go chciałem na poborcę wyforytować, ale się nie udało; wszakże niepotrzeba rozpaczać, nie udało się jedno to uda się drugie... pomyślę ja nad tém i coś się zrobi.

— O! to koniecznie — odpowiedziała ona, — będę i ja nad tém myśléć, a tymczasem będę go straszyć, może będzie choć czasem uciekać przedemną.

— To na nic, — rzekł znowu on, — bo to niepewne; przestraszy się i pójdzie, a ochłonie, to wróci. A potém nie dowierzaj ty jemu, on się nie tak bardzo boi, jak tobie się zdaje; ja znam ludzi..... bojaźń jego dzisiejsza, to miłość dla ciebie; ale kiedyby ta zniknęła, to obaczysz jakiby był pan stolnikowicz...

— Ach! prawda! ja to myślę nieraz i boję się jego..... to straszny człowiek.... ej! albo kto wié? spróbowalibyśmy się z sobą.

— Nie dziecko, — rzekł Bartek, — tego nie próbuj: mężem jest, ma prawo i czyste sumienie. To walka nierówna, a skutek jéj przewidziany.

— Albo to... — rzekła znowu Barbarka, ale wtém Grott, bojąc się, aby się schadzka nie skończyła bez niego, załamotał gałęzią i udając, że nic nie widzi, puścił się daléj w górę dębiną. Na ten łomot pierzchnęli ci państwo oboje. Barbarka krzyknęła:— Ach! — Bartek rzekł prędko: — Tu się widzimy ostatni raz, napisz mi dziś jeszcze, — i zniknął, a Grott oglądnąwszy się, czapkę nasunął i wrócił prędkim krokiem nazad ku dworowi. Czemu nazad? bo idąc naprzód, mógłby się zdybać tam z Bartkiem, a rozumiał tak, że we cztéry oczy i w lesie zdybać się z tym Bartkiem, który brał na oszczep niedźwiedzie, to niepotrzebna rzecz.

Barbarka jeszcze chwilę stała na miejscu, myśląc i starając się ochłonąć z przestrachu, ale potém prędko i żwawo pobiegła za Grottem. Grott szedł już pomału i dał się dopędzić a kiedy ją ujrzał tuż przed sobą, zdjął czapkę z głowy i pokłonił się jéj jak gdyby nic. Ale ona wachlarzem mu grożąc, zaczęła zaraz w ten sens:

— Słuchaj ty, Grocie, tyś jest szpieg niepoczciwy i sam diabeł wcielony. Tyś tu umyślnie przyszedł, ażeby mnie śledzić.

— Chowaj Boże! Wielmożna pani, ani mi się co śniło o tém. Tak szedłem bez celu i klnę siebie teraz za to, żem tutaj wlazł.

— Ale co ty mnie gadasz! szpieg jesteś, płacony przez mego męża, wiem o tém dawno.

— A niechajże na mnie do szczętu wyginie mój ród, jeżeli tak jest.

— Ot! nie błaznuj i koniec. Ale słuchaj, stało się, wiész czegoś nie wiedział — i niéma co mówić już o tém. Idzie teraz tylko o to, ażebyś milczał.

— Pani! — rzekł na to Grott — milczéć będę pewnie, bo wiem, że nie uszczęśliwiłbym tém męża, kiedybym mu taką dopowiedział nowinę, ale przestrzegam, bo nigdy to nie było na świecie, ażeby się rzecz taka ukryła, i tutaj nie będzie.

— Nie ukryje się, mówisz? — zapytała, zamyślając się, pani.

— Do czasu, — odpowiedział Grott, — do czasu..... bo jakżeż może się długo ukrywać taka rzecz, która się robi tak nieostróżnie?

— Nieostrożnie? no jakżeż chcesz? gdzież się widywać z nim będę?

— Jabym był tego zdania, że najlepiéjby nigdzie. To nie doprowadzi do niczego dobrego, z tego tylko nieszczęścia... a potém, mąż pani taki młody, taki przystojny...

— Ale co mi ty gadasz! młody, przystojny, ja najlepiéj wiem jaki.

— Dwóch lat nie minęło jeszcze od ślubu...

— No, dajżeż mi pokój z temi morałami, już ja wiem co robię.

— Źle pani, rzekł Grott stanowczo, — pani nie wiész co robisz. Bo najpiérwéj na cóż to tego? do czego doprowadzi? co pani myślisz daléj z tém zrobić? wszakże ślub pani masz z mężem do śmierci...

— Ale dajno pokój, wiem ja do czego to doprowadzi, ja z nim żyć nie będę...

Grott tylko rozśmiał się na to i milczał. A Barbarka spytała:

— I czegóż się śmiejesz?

— Ze żalu nad panią, bo słodkie są te wszystkie iluzye, ale gorzkie będzie rozczarowanie, a wiele tu jest iluzyj!

— No mów.

— Najpiérwéj, zdaje się pani, że żyć z mężem nie będziesz. A możnaż to u nas? w jakiż sposób? Porzucisz go i zamieszkasz gdzie sama, to hańba i wstyd na wieki wieków. Myślisz pani, że rozwód dostaniesz, to znowu iluzya; bo to ledwie udaje się panom, którzy na to wyrzucają miliony i to ledwie dwa się u nas takich wypadków zdarzyło. A potém, czy sądzisz pani, że to wszystko prawda co mówi Bartek? czy znasz pani Bartka? wiész kto on za jeden?

— No któż?

— Ta to wietrznik zawołany, — rzekł Grott ciszéj, oglądając się po za siebie, — to awanturnik piérwszy na świecie! on już stu kobiétom na wszystkie bogi przysięgał.

— Daj pokój, to fałsz! — przerwała Barbarka, — to plotki, które powymyślano na niego przez złość, ja wiem lepiéj. A gdyby i tak było, to cóż, kiedy ja wiem, że on mnie kocha nad wszystko i gotów jest zaraz życie dać za mnie.

— Życie da, to prawda, kiedy go los do tego przymusi, ja temu nie przeczę; ale że wiary nie dotrzyma i może już niebawem nie pokaże się na schadzce, a potém powita panią obojętnie i zimno, jak gdyby nic nigdy nie było, za to głowę dam moję. Ja znam tych ludzi.

— Znasz ludzi, ale jego nie znasz i nic nie wiész. On przecie

dla mnie porzucił cały swój świat i wszystkie zabawy, dla mnie kupił Balogród, ej! nic nie wiész, mój Grocie. A zresztą, cóż ty możesz gadać innego, jako Bobowskiego przyjaciel?

— Ja tu nie mówię jako Bobowskiego przyjaciel, ale jako was obojga przyjaciel. Złe jest i Bóg widzi czego nie dałbym za to, ażeby je uchylić.

— No, już daj temu pokój, to co jest złém u ciebie, to dla mnie jest dobrém. Więc słuchaj, widziałeś, słyszałeś i wiész, spodziéwam się że milczéć będziesz. Jesteś w mojém ręku, kiedy zechcę, dziś cię z domu wypędzę, a szkodaby tego, bo nieźle ci jest. Ale ja tego nie zrobię i nietylko nie zrobię, ale jak do domu powrócę, dam ci zaraz sto dukatów, ażebyś milczał.

Grott się pokłonił i podziękował, Barbarka zaś daléj:

— Dam sto dukatów za samo milczenie, ale słuchaj, niéma tego na świecie, czegobym nie dała, gdybyś mnie chciał pomagać. Ja sama widzę, że tak jak jest teraz, jest niebezpiecznie, ale ja teraz na to poradzić nie mogę. Wszakże ty, gdybyś chciał wszystkobyś zrobił z łatwością. Tyś człowiek sprytny, tyś rozumny, przebiegły, masz wiarę u Józefa.....

— Nie pani, — rzekł na to Grott, — tego nigdy się nie podejmę.

— Czemuż?

— Nie pozwala mi na to moje sumienie, ja szczérze kocham Józefa.....

— Ej! co mi wyjeżdżasz z twojém sumieniem! znam ja je lepiéj niż ty...

— A kiedy i nie sumienie, — mówił stanowczo Mora, — to rozum na to mi nie pozwala.

— A to jak?

— Bo to dziś, czy jutro, czy pojutrze, koniec końców wydać się musi, a ja nie chcę mojéj zdrowéj głowy narażać na guzy, albo i na coś jeszcze gorszego.

— Otóż masz! a gdyby się téż i wydało, to i cóż? któż to jest panią w domu? może ci się co stać, kiedy ja cię zasłonię?

— Ej! nie łudźże się pani przynajmniéj tak bardzo! nie myśl, że lew przez sen, choćby téż i najdłuższy, traci swoją lwią naturę; a lwem staje się mąż, kiedy się poczuje obrażonym do głębi! Lwem się stanie pan Józef, a jakim, może powiedziéć tylko ten, który go widział zagłęboką obrazę honoru bijącego się z Węgrem. Rycerz był, i to rycerz tak twardy jak stal, a w jego rękach zmiękł jak ciasto, i tylko kawałki z niego powieziono do Węgier.

— Doprawdy? — rzekła na to Barbarka, — tak się z nim obszedł pan Józef?

— Tak, pani; a cóżby się dopiéro stało z Grottem, kiedyby wpadł w jego ręce?

— A ze mną? — spytała Barbarka.

— Bóg to wiedzieć raczy, łaskawa pani, ale nie daj tego Boże, ażeby przyszło do tego.

— Hm! proszęż ciebie... a czegóż on dzisiaj taki mazgaj we wszystkiém?

— Do czasu, pani, wszystko to tylko do czasu... miłość go trzyma i cnota pani, którą istniéć rozumié... ale kiedy jedno upadnie a drugie się inaczéj pokaże.....

— Obadwa mi tak powiadacie.... — rzekła na to Barbarka,— ale co wy wiécie? A zresztą, kiedy tak jest, to trzeba jeszcze cieśniéj spętać panicza, trzeba go mocniéj przygnieść jeszcze.

— Gorzéj, pani, bo gwałtowniéj potém powstanie.

— No, więc niech powstanie i niech mnie zabije! — zawołała z zapałem Barbarka, — a żebym téż naprzód wiedziała, że za jedno widzenie się z Bartkiem zaraz umrzéć mi przyjdzie, to zginę, a widziéć go będę!

— Nie myślałem tego, — rzekł na to smutno Grott, — ale teraz się przekonywam, że w miłości wszystkie kobiéty są jednakowe.

— O! nie! tak go kochać żadna nie będzie!

— I w tém jednakowe, — dodał półgłosem Mora.

— Ale co o tém mówić, — prowadziła daléj Barbarka. — Słuchajże Grocie, będziesz nam pomagał? złotem cię obsypię, wygodami obstawię, Żernicę puszczę w dzierżawę, i kto wié jeszcze, co zrobić mogę.

— Nie, pani, — odpowiedział Grott, — milczéć będę jak grób, ale ręki do zguby nie podam.

— Namyśl się jeszcze, wszakże to czas, zresztą niewiele do tego potrzeba.

— Nie, pani, i po namyśle inaczéj nie powiem.

— Ej! namyśl się, — dodała prędko Barbarka i pożegnawszy Grotta wachlarzem, puściła się na dół ścieżką i zniknęła w gęstwinie. Grott zaś skręcił na prawo, i w czyste pole wyszedłszy, inną drogą zmierzał ku dworowi, mówiąc do siebie półgłosem: — Owóż dzień, który wart sto dukatów.

I tak po téj schadzce, lubo się tak niefortunnie skończyła, Barbarka spokojna a nawet wesoła. powróciła do domu, bo lekkomyślność rozkochanéj kobiéty nic nie ma równego na świecie; wszakże Bartek, jako wielki wersat w takich sprawach, smutno jakoś na swój zamek przyjechał i długo w noc niespokojny chodził po swojéj komnacie. Nie znaczyło to jednak, ażeby miał desperować ale znaczyło to, że się nad czémś bardzo namyślał, i głowę sobie łamał nad jakąś radą.

Jakoż w parę dni potém wcześnie rano stał Pakosław w jego sypialnéj komnacie, niedaleko odedrzwi, i trzymając pod pachą kapelusz, bacznie śledził wyraz twarzy i poruszenia Bartka, który

w szérokim pudermanie jedwabnym chodząc po komnacie, zdawał się dość niespokojnym, czoło sobie często pociérał, stawał na miejscu, jak gdyby się nad czémś namyślał, potém znowu prędszym krokiem się puszczał, a nakoniec tak rzekł do Pakosza:

— Więc na tych waszych rokach czy roczkach sądowych, które się temi czasy odprawiać będą, nic się nie da zrobić ku temu?

— Nic zgoła, jw. panie, — odpowiedział Pakosz, — nic zgoła, bo, jak rzekłem, to są tylko sesye sądowe, na których się sądzą procesa.

— No, to palże mu proces jaki, przecież masz głowę potemu, — rzekł Bartek. Pakosz się na to roześmiał i odpowiedział:

— Wiem że to jest łaskawy żart jw. pana, ale kiędyby i to się zrobiło, to jeszcze bardzo mało, a prawie nic po tém, bo cóż ztąd? Będzie miał proces, pojedzie na rok, a po roku znów się nie poruszy, aż na następny rok. — Na to znów Bartek po chwili:

— Cóż tam u diabła, żeby téż takiéj rzeczy zrobić nie można. Tyle tych urzędów jest w Polsce, że niémasz szlachcica bez tytułu, a tu trudno tego wyforytować na jaki urząd. Toż przecie prócz tych roczków, będą tam kiedyś jakie wybory na tych tam komorników, podkomorzych, regentów, stolników, sędziów, pisarzów, toż go takim jakim uczynić.

— Toby się zrobić dało, — mówił Pakosz, zażywając tabaki, osobliwie téż, kiedyby na to poforsować piéniędzmi.

— Ale dam, jaknajchętniéj dam, wiele potrzeba, — przerwał Bartek.

— No, tak... — mówił daléj Pakosław, — ale i to na nic, bo to wszystko są takie urzędy, które nie odwołują nikogo z domu; raz tam kiedyś i to na krótko. Ale kiedyby go to ziemia wybrała posłem na sejm, nuż deputatem na trybunał, a choćby téż na komisyą radomską, to to zaraz kilka miesięcy byłoby czystych jak łza; ale co innego, to jeszcze raz mówię że na nic. Chybaby to aż wojna jaka, wtedy to już nie potrzebaby nic robić, ani go téż namawiać.

Bartek tedy chodził potém chwilę, myśląc i mrucząc sobie coś często pod nosem, aż nareszcie stanął przed Pakoszem i tak rzekł do niego:

— Otóżto wszystko tak na tym świecie. Zdaleka błyska jasność, a sama wielka, ale przystąpić zblizka, nic. Jeden człowiek jak drugi, a gdzie ciasno tam utnij szyję, nie może ci nikt. Ja myślałem że przecie coś zrobisz. Przecie do stu katów masz głowę na karku, masz spryt, masz dowcip i bity jesteś po zaułkach warszawskich, no! ja daję piéniądze, jeżeli tedy już głową i piéniędzmi nic zrobić nie można, to czémże u diabła co zrobić?

— Jw. panie, — zaczął znów na to Pakosz, — głową i piéniędzmi wszystko się da zrobić na świecie, ale tu jest dziwna kolizya. Ale słuchaj jw. pan mnie: tu nic robić nie trzeba i zaręczam jw. panu, że kiedybyś jw. pan tylko wierzył mnie, to rok albo i więcéj codziennie się możesz widywać z panią stolnikowiczową dobrodziéjką i ani pies wiedzieć nie będzie, chociaż on siedzi w domu. Trzeba tylko troszeczkę odwagi i zaufania ku sobie.....

— Ale co ty mnie gadasz o odwadze! — zawołał Bartek, — żebym ci opowiedział, jakiéj odwagi ja już dawałem dowody w życiu, toby ci włosy kołkiem stanęły. Ale tu inna rzecz; to psy są wściekłe nie ludzie.

— Ale gdzie tam jw. panie! i jedno się tylko zdaje jw. panu i drugie. Lwy, psy wściekłe, Bóg nie wié co, a przecie jeden z nich prawie dyspozytor jest u mnie na swojéj własnéj wsi, a drugi trzęsie się cały na jedno słówko mdłéj kobiéty.

— To słuchajno, — rzekł na to Bartek z zajęciem, siadając na poręczu kanapy w pobliżu Pakosza, — to tak to jest? Proszęż cię, opowiédzno mi to dokładnie, bo ja tylko tak coś zdaleka słyszałem. Więc tak trzymasz łowczyca?

— Ale klnę się jw. panu na wszystko, — rzekł na to Pakosz, — że kiedyby mnie tak wszyscy moi słudzy słuchali jak on mnie słucha, to rajbym miał w domu. Ale cóż tam słuchali! dziecko żadne u matki nie jest w takim rygorze, jak on jest u mnie.

— No proszęż ciebie i jakżeż? on tego nie widzi, ten srogi człowiek?

— Czasem widzi i czasem się nawet oburzy, ale ja mam tysiące sposobów na niego. Czego nie wymogę, to wyperswaduje, czego nie wystraszę, to wytumanię, a gdzie nie pomoże prośba, tam groźba... i musi być.

— Cha cha cha! — zaśmiał się Bartek, — i boi się ciebie pan łowczyc?

— Jak ognia, jw. panie.

— A! to mi rzeczy powiadasz! no, a pan stolnikowicz? cóż tam?

— Między nami mówiąc, — jw. panie, jeszcze mnie przewyższyła w téj sztuce pani Barbara. To straszne rzeczy co się tam dzieje. Ja sam nie myślałem nigdy, ażeby do tego przyjść mogło. Krótko mówiąc, jw. panie, tak jest w ryzie trzymany ten rycerz, że każda najpodlejsza sługa w żernickim dworze ma więcéj swobody niż on. Ruszyć się nie może, słowa powiedzieć nie może, wstać ani usiąść nie śmie bez jéj rozkazu.

— Proszę ciebie! do tego stopnia?... — zawołał Bartek i dodał: — A! to walna kobiéta, ta moja Barbarka.

— Jaka jest tam władza i moc, — mówił daléj Pakosław, — to można uważać z tego. Bo wyobraź sobie jw. pan, panowie bracia widząc, że jakoś im już czasy dawne mijają, a z każdym

dniem gorzéj koło nich, poszli do głowy po rozum i zmówili się na nas. Więc ten na mnie a tamten na nią i chcieli nas, nie wiem, powypędzać czy pozabijać.

— Pozabijać?! — zawołał Bartek.

— No nie wiem pewnie, ale coś takiego. Ale co to jest mądra kobiéta! Przewąchała to i właśnie w taką chwilę, kiedy mieli swój sejmik, wpadła do nich...

— Wpadła? no i cóż?

— Wpadła i łowczyca napędziła do domu, że już tam nogą stanąć nie śmié, a męża wzięła jeszcze lepiéj *ad coram*.

— Cha cha cha! — śmiał się na to Bartek i mówił, — a to cały rycerz ta baba! jeno jéj broń włożyć do ręki.

— Ale bo téż to ludzie głupi! ach jacy głupi! — mówił Pakosz, — czyste zwierzęta, jeno siodłać i jechać gdzie człowiek chce.

— Ale przecie... przecie jest i hart w nich, — mówił Bartek.

— Prawda, coś to tam tego jest — odpowiedział Pakosz, — ale byle tylko troszeczkę rozumu a ostrożności, to i to coś nie zda się na nic i nic łatwiejszego jak deptać po nich.

— Prawda, prawda... — mówił znów Bartek, — głupi naród i straszna dzicz.

— Otóż widzi jw. pan, że tu się niéma czego tak troskać, ani téż koniecznie starać się o to, ażeby pana stolnikowicza wyprawić z domu. Możecie sobie państwo na głowach chodzić, nic on wam przeszkadzać nie będzie; coby zaś czy to do schadzek, czy to do relacyi pomiędzy państwem pomódz potrzeba, to ja z chęcią pomogę i zawsze jestem na rozkazy jw. pana i nigdy go nie zawiodę. A kiedy téż, jak to przypadki po ludziach chodzą, i tutaj przypadek to zdarzył, żeby się co wykryło przed mężem; tedy i wtenczas się jw. pan nic nie obawiaj i tylko zawołaj Pakosza, a on wszystkiemu zabiegnie. Teraz bowiem niéma co o tém mówić, bo kiedy łowczyca w domu niémasz, to sam Józef siérota ani ustby otworzyć nie śmiał, ale kiedyby i łowczyc był w domu, to i tak nic, bo ja jemu tam wmieszać się nie dam, i choćbym go miał na łańcuchu przykuć do progu, to przykuję, a za bramę nie puszczę.

— Ha! no! — rzekł na to Bartek, — kiedy tak mówisz, to niechże i tak będzie. Tylko proszę ciebie, koniecznie a pilnie mi się o to staraj, żeby stolnikowicz często wyjeżdżał z domu, a kiedyby tego potrzeba, o czém wiedzieć zawsze będziesz, to już go tam gdzie duś albo rób co chcesz z nim, żeby nie zawadzał; bo chociaż ja zawsze tego czynić nie będę, żebym dom jego najeżdżał, jednakże kiedy ona zechce wyjść z domu, żeby on nie stał jéj na przeszkodzie.

— Ale już o to się jw. pan nie turbuj, wszystko to będzie dobrze, bo są ku temu sposoby, a jakbym rad w tém memu dobrodziejowi usłużyć, to już mnie tylko wiadomo. I co jeszcze po-

wiem jw. panu... przecież zdaje mi się, że jw. pan wié, że stolnikowicz niegdyś starał się o moję siostrę... i miłość tam była...

— A wiem, — rzekł Bartek, — bardzoby to z tego można teraz coś zrobić... możeby się to dało nanowo rozdmuchać..... ale nie śmiałem ci o tem wspominać, bo zawsze to delikatna materya.

— Ale cóż tam? — rzekł Pakosz, — za kogóż to mnie jw. pan masz? przecież ja żyłem na świecie i rozum mam; wiem téż dobrze, co jest cnota prawdziwa, a co li jéj pozory..... a do tego, to wcale nieszczęśliwa kobiéta z tym swoim niedźwiedziem, i jeżeli która kobiéta kiedy może być naprzód rozgrzészona, to pewnie ona. Wprawdzie ja stolnikowicza nienawidzę jak diabła, i za nic w świeciebym jemu do tego nie podał ręki, ale dla jw. pana..... obaczę ja, co tu się da zrobić; chociaż, jak mi się zdaje, nie bardzo tam będzie potrzeba dmuchać, i może dosyć oczu zamrużyć.... no, obaczymy, spuść się jw. pan na mnie.

— Tak, tak, mój Pakoszu, — rzekł tedy Bartek, — proszęż ciebie, rób już co chcesz, byleś mi był na pomocy. A już ja z mojéj strony będę pamiętał o tobie... Zresztą trzymajmy się i my perukarze, kiedy się tak trzymają te łby golone.

— O! trzymajmy się, jw. panie! — rzekł Pakosz, — trzymajmy się, bo to nie żart, chmura to wielka tych nieprzyjaciół naszych... ale pomału, pomału damy my sobie jakoś radę i obaczymy, kto będzie na górze.

— Tak tak, mój Pakoszu, rzekł jeszcze raz Bartek, — pamiętaj o wszystkiém, zaglądaj tu do mnie często, a teraz bądź zdrów, bo mam co do czynienia.

— Pozwoli téż jw. pan jeszcze przypomnieć sobie, — zabrał pokornie głos Pakosza, — o tę sumkę, o któréj jużem jw. panu wspominał. U jw. pana piéniądze leżą martwo, bez żadnego użytku, a ja, człek na dorobku i zapobiegający w pocie czoła na wszystkie sposoby, przeciebym sobie coś tym zarobił. A pewność u mnie jw. pan będzie miał jak we własnéj szkatule, na każde zawołanie dam wiele potrzeba.

— Mój kochany, — mówił na to Bartek, kręcąc się niecierpliwie, — radbym tobie dopomódz... nie jestem wprawdzie bez piéniędzy... ale nie lubię być bez piéniędzy, a ty wiele wymagasz. Zresztą nie pożyczam nigdy od nikogo i sam pożyczać nie lubię. Tu znowu prosisz i należałoby to jakoś..... ale wiész co, co tobie po pożyczanych piéniądzach, handel się uda, albo nie uda, możesz zyskać a możesz i tracić... a tak... — to mówiąc poszedł Bartek do szkatuły, i dobywszy ładunek dukatów, a dając go Pakoszowi, rzekł: — tę masz..... rób sobie z tém co chcesz, tylko pamiętaj o mnie.

Pakosz piéniądze odebrał, a pomyślawszy sobie zarówno

z Grottem, że i jemu się trafia dzień taki, który wart sto dukatów, pokłonił się nizko i wyszedł.

A tak się skończył ten sejm ludzi nowych, którzy poprzywozili z miast wielkich i z cudzych krajów rozumy na to, aby barbarzyńskie obyczaje w Polsce wygładzić i dzicz staroświecką wykierować na ludzi.

XVI.

A teraz wypada nam zasie powrócić do Julii. Dawnośmy już jéj nie widzieli a porzucili jeszcze natenczas, kiedy dawne jéj marzenia nanowo się ocuciły a w jéj głowie, kiedy z martwych powstały śmiercią pozorną zamarłe w jéj sercu uczucia i kiedy na to wszystko zjawiła się koło niéj Ewa i odkrywszy jéj usposobienie prawdziwe, wszelkiemi sposobami poczęła starać się o to, ażeby mogła wpływ nad nią uzyskać i władzę. Niewiele wszakże ku temu potrzeba jéj było zażywać sposobów. Tak słabe i pod tak nieszczęśliwą gwiazdą urodzone stworzenie jak Julia, tonąc ciągle w jakichś wymarzonych odmętach i w tém tonieniu ledwie nie każdego się chwytając przedmiotu, który jéj się nawinął, samo się łatwie podało takiéj opiekunce, która zawsze miała za pasem i współczucie, i litość, i łzy i najpiękniejsze nadzieje.

Ale téż najczęściéj same tylko nadzieje. Kobiéta ta bowiem, lubo przez spryt swój i rozległe z całym otaczającym ją światem stosunki, wiele rzeczy do skutku doprowadzić była w stanie, nie wszystko jednak czyniła co mogła. W prowadzeniu swoich intryg i wszelkich czynności była ona wielce podobna Grottowi, i swoje tylko materyalne czy moralne korzyści mając głównie na celu, niewiele troszczyła się o to, czyli temu, który jéj za narzędzie do czegoś posłuży, za tę posługę wypłaci się rzeczą wartość realną mającą, czy tylko obietnicą dalszych jego obietnic. I w tém także jeszcze była podobną Grottowi, że w swych czynnościach wszystkich była bardzo ostrożną i raczéj rezygnowała na wszelkie możliwe korzyści, niżeliby miała doprowadzić do skutku rzecz taką,

któraby mogła łatwiéj się wydać a wydawszy się, niebezpieczne za sobą pociągnąć następstwa. Taka ostrożność zdała się być Grottowi niezbędnym warunkiem każdéj jego intrygi, ale jeszcze niezbędniejszym warunkiem była ona dla Ewy i to bardzo słusznie, bo podczas kiedy Grott, wpadłszy w łapkę, mógłby się był z niéj łatwo wywinąć, to dla niéj dosyćby było jednéj skargi do sądu i jakiegokolwiek podejrzenia, ażeby być spaloną na stosie. Jak zaś ta baba przezorna wierną była raz przyjętéj przez siebie zasadzie, dosyć będzie nam wiedzieć to, że już Bartek i Barbarka udawali się do niéj każde z swéj strony, wielkiemi nagrodami chcąc ją nakłonić do tego, ażeby tylko swéj chatki, pomiędzy Żernicą a Balogrodem na pół drogi leżącéj, pozwoliła na schadzki — a ona jednak, i najponętniejszym umiejąc się oprzéć nagrodom, do dziś dnia jeszcze tylko ich obietnicami łudziła, pomniejsze a niewiele znaczące im posługi czyniła a do tak niebezpiecznego orędownictwa się namówić nie dała.

Od tak przezornéj i mądréj, lubo wiele mogącéj kobiéty, czegóż się mogła spodziéwać, czego doświadczyć Julia? — Jakoż w tym czasie jeszcze, kiedy się w niéj dopiéro zaczęło odżywiać dawnéj miłości uczucie, niczego ona od niéj nie wymagała — a zwierzenia się jakieś niewielkie, ciche, spokojne skargi na smutek wewnętrzny i nieodgadniony, i dalekie wypytywania się o losy pana stolnikowicza były treścią całéj relacyi, jaką Julia miała z tą babą. Potém począł się sam pan Józef od czasu do czasu pokazywać w Żerniczce; tym częstym wizytom przypisywała Julia taką przyczynę, jakiéj jéj własne serce pragnęło, a chociaż tak nie było w istocie, toż jednak ona, nie wiedząc o tém i dosyć mając na tém, że go przynajmniéj widuje zdaleka, znowu niewiele troszczyła się o jakąś pomoc od wróżki i nawet mniéj jeszcze jéj szukała, niż przedtém. Ale niebawem z woli i rozkazu kapryśnéj Barbarki urwały się te częste bywania pana stolnikowicza w swém najbliższém sąsiedztwie i wtenczas wprawdzie Julia pogrążyła się w smutek daleko głębszy, przychodziły na nią chwile piekącéj tęsknoty, często nawet tak czarne, melancholijne napadało ją usposobienie, że przez dzień cały i słowa nie umiała wymówić, i wtenczas chcąc niechcąc musiała ona zbliżyć się znowu do Ewy, która jedyną mogła być jéj powiernicą i pocieszycielką, wszakże sama nie wiedząc czego ma od niéj wymagać i pragnąc więcéj sposobności do wylania się ze swym smutkiem i jakiéjkolwiek pociechy, niżeli naprawy swojego losu, którą w swojéj skromności uważała prawie za niepodobną, poprzestawała na tém, co jéj sama Ewa podała. A że tamta wcale nie widziała nateraz potrzeby zawiązywania jakiéj głębszéj intrygi i wiedziała o tém, że aby mogła materyalnie korzystać z Julii, dosyć było dla niéj nawiédzać ją często, rozmawiać z nią i ladajako pocieszać, toż i nie czyniła nic więcéj ze swojéj strony. Dla Julii zaś nie wyniknęło ztąd wprawdzie nic więcéj jak tylko to, że się przyzwyczaiła do téj niebezpiecznéj kobiéty, że tęskniła

za nią, kiedy jéj nie widziała czas dłuższy i że nawykła ją uważać jako jedyną swoję pocieszycielkę, doradczynię i prawie opiekunkę; wszakże i w tém już było dość złego a jeszcze więcéj przez to, że zawsze te fatalne z tą babą relacye onego dawniéj niewinnego ale dzisiaj już występnego jéj afektu dla pana Józefa nie tylko nie osłabiały, ale owszem utrzymywały go jeszcze i podnosiły.

A kiedy wzajemny pomiędzy temi obydwiema kobiétami stosunek stanął na tym stopniu, zdarzyła się właśnie owa fatalna scena w żernickim dworze, w któréj Barbarka schwytawszy braci ślubnych na buntowniczéj zmowie przeciwko sobie, łowczyca bez zająknienia się napędziła ze swego domu a nad swym mężem zapanowała jeszcze silniéj i samowładniéj. Że w skutek téj sceny i dalszego postępowania Barbarki pan stolnikowicz upadł jeszcze bardziéj na duchu, że się uczuł najnieszczęśliwszym z ludzi, że się stał istnym niewolnikiem w swym własnym domu, i że nie umiał o sobie inaczéj radzić w swojém nieszczęściu, jak tylko umykając za każdą sposobnością przed żoną i rozerwania się a pociechy szukając w Żerniczce, to już nam jest wiadomo — ale niewiadomo nam jeszcze, co ztad wyniknęło.

Owóż tedy, przyjeżdżając pan Józef z swoim smutkiem do łowczycowego dworu, najpiérwéj zawsze szukał tylko staréj pani łowczynéj. Była to kobiéta rozumna, wiele doświadczenia mająca, nawidząca pana Józefa prawie jak własne swe dziecko, niemało tedy mógł on znaléźć w jéj rozmowach nauki, niemało rozrywki, a ztąd téż i ile tyle pociechy. Nie zwierzał on się jéj wprawdzie zupełnie ze swego smutnego położenia, nie skarżył się na żonę, nie opowiadał jéj kaprysów, złości i innych przymiotów, ale przecie zawsze przedmiotem tych rozmów nie było nic innego, jak pożycie małżeńskie, cnoty i przywary kobiét i mężczyzn, i owo wszystko to, co do tego należy. Do tych pogadanek z początku rzadko, a potém coraz częściéj przysiadała się Julia, — i było tak, że ta sąsiedzka pogadanka, codziennie jednę i tę samę materyą traktująca, odbywała się zawsze we troje, przy któréj Julia, będąc w przytomności stolnikowicza o wiele weselszą i rozmowniejszą, nietylko brała udział czynny, ale często nawet bardzo wiele mówiła.

Jak się zawiązują bliższe pomiędzy ludźmi sympatye, jak się rodzi miłość nowa, jak się odżywiają zapomniane uczucia i jak się ztąd formują pozwolone i niepozwolone romanse, o tém wieleby mówić i pisać: bo miliony już było romansów na świecie a chociaż mniéj więcéj wszystkie się jednakowo skończyły, jednak i dwóch podobno jeszcze nie było takich, któreby się jednakowo zaczęły. Ludzie, opowiadania takich wypadków zawsze ciekawi, daleko większą zwyczajnie przywiązują wagę do ich końca, niżeli do ich początków, — w gruncie rzeczy tyle tu jest wart koniec ile początek, — ale jeżeli kto chce dać sąd swój o ludziach, grających rolę w tym codziennym dramacie ludzkiego życia, a z całego wy-

padku jakąś wydobyć naukę, dlatego piérwsze zawiązki równie być mają ciekawe, jak rozwiązanie. Dziwne-bo téż czasem bywają te źródła, w których się rodzą sympatye, — na dziwnéj téż drodze zeszli się napowrót ze sobą i ci państwo oboje.

Owóż tedy tak było, że się ciągle toczyły one o żonach i mężach rozmowy. Stolnikowicz zawsze wprawdzie sam wszczynał tę kwestyą, ale zdania swego nigdy nie dawał; ale pani łowczyna za to, jako zawsze w swém życiu, tak i teraz nie wahała się wcale otwarcie wypowiadać to co myślała. Jakie zaś zdanie ta stara pani miéć mogła w tym względzie, domyśléć się łatwo możemy z jéj życia. Ona kochała swojego męża nad życie, widziała w nim nawet coś wyższego nad innych ludzi i wcale niepospolitego człowieka, przeżyła w surowéj wierności i cnocie cały ten przeciąg czasu, jaki jéj Pan Bóg do tego przeznaczył, — pomimo to wszakże nie była z nim wiele szczęśliwą. Mąż dla niéj zawsze był więcéj panem niż mężem, zawsze go więcéj znała po jego rozkazach, niż po pieszczotach, a w zarządzie domowym znała go prawie tyranem. Wiele téż swoich westchnień, wiele smutków i łez nawet miała ona dotychczas w pamięci, a zapomniawszy prędko to dobre, którego było niewiele, z onych czasów tylko swoję pamiętała niewolę. Z tego jednego wnioskując na wszystkich, niebardzo pochlebne miała ona wyobrażenie o mężach, i wcale się z tém nie taiła. Zrazu wprawdzie przy onych rozmowach wyrażała się ona bardzo oględnie, ale późniéj, kiedy i wyrozumiała swoich słuchaczów, i z nimi się oswoiła, coraz otwarciéj występywała przeciwko despotycznym potomkom Adama, a kiedy miała humor po temu, to i przez cały czas posiedzenia nikogo nie przypuściła do słowa, waląc skały i ciskając pioruny na tych, którzy na równém prawie z kobiétami osadzeni od Boga, zbuntowali się przeciw nim, i przywłaszczyli sobie nieograniczoną władzę nad niemi.

Tego samego zdania może była i Julia, ale podczas kiedy pani łowczyna, ani przypuszczając tego nawet, ażeby gdziekolwiek żona mogła miéć górę nad mężem, nie wiedziała, jak boleśnie nieraz raziła zakrwawione serce stolnikowicza; tamta, po części mając, po części domyśliwając się jakie jest jego położenie, umiała czytać w jego twarzy wszystkie jego uczucia i bolała z nim razem, i niczego tak nie pragnęła, jak żeby jego mogła pocieszyć. W tym celu tedy zawsze, ile razy tylko przyjść mogła do słowa, brała je, i żarliwie stając w obronie mężczyzn, ile mogła, najwięcéj złego przypisywała kobiétom.

Stolnikowicz, nie szukający wcale w Żerniczce ani głębokich teoryj o usposobieniach mężczyzn i kobiét, ani niewzruszonéj prawdy, któren z tych rodzajów jest gorszy a któren lepszy, znając zresztą od swojéj żony wszystko to aż nadto dobrze, co zwykły kobiéty zarzucać swym mężom, oczéwiście z coraz większą niechęcią słuchał piorunujących kazań staréj łowczynéj, a z coraz większém zajęciem i upodobaniem przysłuchiwał się Julii. Przyszło

też niebawem do tego, że pan Józef całkiem już począł nie słuchać tamtych niemiłych mu rozmów i nawet ich wcale unikać, a nakoniec przyprowadził do tego, że przyjechawszy do Żerniczki, tęsknemi oczyma szukał li Julii, i jeżeli się tak stać mogło, żeby mógł się z starą łowczyną zgoła całkiem nie widzieć, to się też z nią nie widział.

Do takiego zwrotu wizyt stolnikowicza silnie ze swojéj strony dopomagała Julia, a dowiedziawszy się raz już na pewno, czém go najbardziéj nęciła do siebie i utrzymywała przy sobie, nie zaniedbywała z jaknajrzewniejszém politowaniem zawsze rozprawiać o tych mężach, którzy za wonne wieńce swoich najtkliwszych miłości odbiérają li głogi i ciernie, którzy godni tego, ażeby im usługiwały anioły, skazani zostali na pożycie z szatanami — bo wcielonym szatanem, samym diabłem jest niedobra i nieposłuszna kobiéta! — mówiła z zapałem Julia. Bardzo tedy słodziutkie oczy robiąc i ciężkie z piersi dobywając westchnienia, słuchał stolnikowicz tych natchnionych oracyj i ile możności coraz częściéj starał przysposabiać te chwile, w których mógł być sam na sam z Julią—a że mu przytém najszczęśliwsze towarzyszyły okoliczności, bo pani łowczyna, gospodarstwem swojém zajęta, ani się kiedykolwiek o synową spytała. Pakosz, wierny swojemu przyrzeczeniu, jeszcze umyślnie tak rzeczy kierował, ażeby stolnikowicz przyjechawszy do Żerniczki jak można najdłużéj tam bawił, łowczyca zaś ciągle nie było w domu — tedy aż nadto mieli ci państwo chwil takich samotnych, których świadomie-li lub nieświadomie, jednak szczérze oboje pragnęli.

Wszakże niebawem wyczerpały się one sentymentalne ogólniki o złych żonach i nieszczęśliwych mężach, któremi Julia przywiązała do siebie swego dawnego kochanka, a podczas kiedy w nich obojgu na miejsce wzajemnéj sympatyi, wynikającéj z jednakowości ich położenia i nieszczęśliwości małżeńskiego pożycia, poczęły się rodzić jakieś głębsze sympatye, zmieniał się pomału także i przedmiot rozmowy. Najpiérwéj tedy ogólniki zastąpione zostały opowiadaniem szczegółów. Więc spowiadał się zwolna z swych zawodów i cierpień stolnikowicz przed Julią, spowiadała się ze swych bądź rzeczywistych bądź urojonych smutków Julia przed stolnikowiczem. Nastąpiły potém wzajemne żale i politowania nad sobą, nastąpiły skargi na losy i ludzi, aż nakoniec i ono główne wyznanie, którém Julia przyznała się stolnikowiczowi, że nigdy nie kochała swojego męża, a stolnikowicz znowu że już nie kocha swéj żony. I na tym punkcie zatrzymały się one żarliwe pomiędzy nimi rozmowy, w których jedno drugiemu wpadało w mowę, wyrywało z ust słowa, albo z najgorętszém zajęciem po kilka odrazu zadawało pytań — zatrzymały się i urwały a następne już posiedzenia były tylko milczące i wzdychające.

Pomimo to wszakże stolnikowicz z równą zawsze pilnością przybiegał do Żerniczki, niecierpliwie się starał o to, aby jaknaj-

prędzéj sam na sam mógł zostać z Julią a kiedy usiadł przy niéj lub opodal, nieraz całe popołudnie tak przesiedział i czasem aż o dobrym zmroku powracał — a lubo w nim całym niemała przez ten czas musiała zajść zmiana, jednak widać ją było tylko w tém, że był często jakiś pomieszany, jakiś niby strwożony i o swoich domowych nieszczęściach tak cale zapomniał, że już o nich przed Julią ani wspominał.

Co się dotychczas stało z Julią, każdy łatwo odgadnie — i ażeby całe przeistoczenie się jéj duszy i serca w dwóch zamknąć słowach, powiemy: że Julia, która dotychczas za mieszkanie miłości naznaczała niebo, poznała i uczuła, że uczucie to może także mieszkać na ziemi.

A kiedy tak te nigdy naprzód nie umawiane schadzki szły swoim torem i coraz więcéj zajmującemi się stając dla stron obudwóch, przyszły nakoniec do takiego porządku, że już ani dnia nie chybiały, ani nawet godziny — kiedy to widząc prawie na własne oczy, zacierał ręce z radości Pakosz i chwalił się swoim sprytem przed Bartkiem, a Barbarka znowu patrząc na wykradającego się z domu męża, śmiała się z niego litosnym głosem a w duszy nim pogardzała — cieszył się tam pod ziemią gdzieś szatan, że za staraniem jego ziemskich wspólników, tak szybkim krokiem w jego paszczę piekielną pędzą dwie dusze, niedawno jeszcze tak czyste i niewinne.

Ale nie zawsze te wilkowi się dostaje ta owca, która najdaléj od trzody odbiegnie, nie zawsze ten człowiek upada, któremu potknąć się zdarzy, nie zawsze ten ginie od dzikich bestyi lub głodu, który się w manowcach zabłąka, — a w tém ziemskiém życiu w kim cnota nie jest tylko przyborem lub względem, jeno rdzenią duszy i serca, nie gwiazdą migającą zdaleka lecz słońcem, około którego się obracają wszystkie dnie i godziny tego żywota: ten jest pewny swych kroków, choć zabłądzi, i jeżeli tylko oczów swoich nie zamknie przed oném światłem, które mu zawsze wczas jeszcze zaświéci, to nie połknie go ani zwierz dziki, ani głód go nie zmoże, a przez grunt bagnisty i grzęski przejdzie tak suchą nogą, jakby był szedł po kobiercach. Takie téż słońce świéciło i stolnikowiczowi a jego stróż anioł lubo go już widział tonącego w rozkołysanych falach występku, stał jeszcze ciągle przy nim i nie tracił nadziei.

Jakoż dnia jednego, kiedy już tak było, że Julia prawie z otwartemi ramiony witała swojego sąsiada, a ten się zawsze stawiał tak punktualnie, że godziny nie chybiał, długo go jakoś nie było. Julia siedziała przy oknie, i trzymając robotę w ręku, ciągle w bramę patrzyła. Dzień był dżdżysty, jesienny, lecz cichy, liść tylko czasem z drzew spadając na ziemię, szeleścił w ogrodzie lub na dziedzińcu. Za każdym takim szelestem Julia coraz mocniéj się wpatrywała w bramę i aż przez okno się wychylała, a niecierpliwość jéj rosła tém bardziéj, ile że pani łowczyna, dnia tego

rozdawaniem przędziwa zajęta, zabrała się do téj roboty na cały długi wieczór, i wiele chwil spokojnych miała Julia przed sobą. Pakosz tylko jeszcze się tam i sam kręcił pomiędzy stajnie i obory, oglądając porządek domowy i wydając rozkazy, jakby na swojém obejściu. Ale i Pakosz nakoniec przystąpił do okna, dobranoc siostrze powiedział, i odjechał, — a sąsiada jeszcze nie było.

Przecież nakoniec prawie o samym zmroku błysnął koń biały w bramie. Jednym rzutem oka poznała go Julia, chociaż dotychczas może ani wiedziała o tém, że stolnikowicz miał turka białego krwi czystéj, któren był jego najwierniejszym towarzyszem i przyjacielem. Po małéj chwilce wszedł stolnikowicz i prawie serdecznie powitał Julią, tłumaczył się nawet, dlaczego dzisiaj się spóźnił cokolwiek. Niemniéj serdecznie witała i jego Julia, ale to tłumaczenie tak ją schwyciło za serce i tak rozrzewniło, że aż jéj łzy w oczash stanęły; patrzyła na stolnikowicza jak na swego anioła wybawiciela, i była już na cały wieczór jak on kwiat letni, który się otwiéra do słońca. To usposobienie jéj udzieliło się i mężowi Barbarki. I był on jakiś senny tego wieczora i rozmarzony, i drżał na całém ciele, i serce mu biło gwałtownie. I tak usiadł przy Julii na kanapie stojącéj w głębi komnaty, i była cisza koło nich jak w grobie, kaganiec tylko, stojący w rogu na marmurowéj kolumnie, błyskał światłem niepewném i zdawał się konać.

Wszakże nikt z nich obojga nie szedł światła poprawić i siedzieli oboje tak blizko przy sobie, patrząc na siebie i milcząc. Potém on zaczął opowiadać o swoich nieszczęściach i mówił długo półgłosem, ile cierpień już przeszedł, ile smutków i bólów, jak na los taki nie zasłużył swém życiem, jak go to wszystko męczy, upokarza, zabija, jak nakoniec mógłby a nie jest szczęśliwy. To wszystko za nim powtarzała Julia innemi słowy, chwytała jego myśli i jego uczucia i oddawała je tonem rzewnym i smutnym, i jemu tak odpowiednim, że zdawała się być lutnią wtórującą głosowi rozrzewnionego śpiéwaka. Nareszcie tony ucichły, czasem tylko jeszcze odezwała się Julia i umilkła, jak echo, które płynąc po rosie, ginie gdzieś w dalekich i rozległych dolinach. I była cisza A śród téj ciszy jéj rączka malutka wsunęła się w jego dłoń męzką i twardą, a natomiast jego głowa nachyliła się ku jéj twarzy... już on się dotknął jéj szklących warkoczów, już czuł na swojéj twarzy jéj oddech gorący, westchnieniami wybiegający z jéj ust w pół otwartych, już się jego usta nachyliły ku jéj ustom.... a wtém stolnikowicz zerwał się jak oparzony, uderzył się dłonią w czoło i stanął jak posąg na środku komnaty.

Julia nie wiedziała coby to miało znaczyć... a widząc, że nikt obcy nie wszedł do téj komnaty i cisza była jak przedtém, — w jedném mgnieniu oka przeczuła całą wielkość téj chwili, i okropna, piekielna boleść wymalowała się na jéj nagle wybladłéj twarzy. Ale grozę tę i boleść, która jak piorun uderzyła nagle w jéj duszę, opanowała jeszcze w téj chwili miłość i rozpaczliwa energia;

jakoż zerwała się Julia równie prędko z kanapy, i z wyciągniętemi ku swemu kochankowi rękami, chciała mu się rzucić na szyję i gwałtem go zatrzymać, albo paść mu do nóg i błagać litości. Wszakże ruch ten tylko go z jego odrętwienia ocucił; — jakoż wzniósłszy dłoń prawą przeciwko Julii, jak gdyby ją chciał odepchnąć od siebie, nabiegł krwią cały i konwulsyjnym głosem zawołał: — Sodoma!

Poczém rzucił się do drzwi i jak szalony wybiegł w dziedziniec, — a do jego uszu dobiegł jeszcze jęk głośny Julii i łoskot z wnętrza komnaty, tak jak gdyby tam kto się z nóg zwalił na ziemię.

Ale na to wszystko nie zważał nic stolnikowicz, jeno dopadłszy czémprędzéj konia, puścił się cwałem do domu. I straszna to była ta podróż jego, jakiéj jeszcze nie odprawiał na życiu: koń bowiem jego, wyciągnąwszy się jak struna, pędził jak wicher stepowy przez ciemność nocy i mgłę jesienną i bez pamięci sadził przez wszystkie potoki i mostki, pod nim trzęsła się i jęczała ziemia, łamały się chrósty, rozbryzgiwała woda, odskakiwały jakby ręką ludzką ciskane kamienie, — na nim bez czapki na głowie siedział jeździec, z twarzą przedłużoną i oczyma zaokrąglonemi od strachu, z prawicą podniesioną do góry, jak gdyby nią się zasłaniał od złych duchów, sięgających drapieżną ręką po niewielką czuprynę, zjeżoną i stojącą jak las na środku ogolonéj głowy, — i zdawało się jemu, że ziemia pod nim pęka i z tych rozpadlin wybuchają smolne dymy i siarczyste płomienie, że nad nim niebo poczerniało jak węgiel, że się to niebo spuszcza i upada na jego głowę, że z nim i za nim pędzi grzéch jego w milionowe rozrodzony postacie smoków i wężów skrzydlatych, że przed nim otwarta stoi paszcza piekielna, przy któréj bramie z otwartemi rękami czekają na niego wstyd i hańba wieczysta, wybladła zbrodnia z rozczochranemi włosami, rozpacz z obłąkanemi oczyma, rozpusta z zaślinionemi usty, zdrada i przeniewierstwo, oboje splecione z sobą jako węże olbrzymie i wijące się pod razami ćwiczącéj ich opinii publicznéj; — za nim gdzieś w dali, na pagórku oświetlonym promieniami konającego słońca, przy krzyżu, godle wiary, podruzgotanym jego własną ręką w kawałki, stał brat jego ślubny i Barbarka, oboje milcząc i żegnając go oczyma pełnemi żalu i pogardy — na wieki.

Tak przypędził stolnikowicz do bramy swojego dworu. Noc była, i mgła chłodna, gęsta, leżała na ziemi, ale w nim wszystkie nerwy drżały jak struny harfy eolskiéj na wichrze i lice płomieniami gorzało od przerażenia i wstydu. Przy bramie zlazł on z konia i już nie wołał na ludzi, jeno sam wszedł do stajni i cichym szeptem zawołał: Jacenty!

Jacenty był to stary, szpakowaty masztalerz, który się wychował na dworze nieboszczyka stolnika a małego panicza niegdy ukradkiem prowadzał w pole i pozwalał dosiadać podjezdków.

Wybiegł tedy Jacenty ku niemu i widząc go spieszonego i konia wiodącego za sobą, myślał że się panu jakie wydarzyło nieszczęście i rzekł przestraszony:

— W imię Ojca i Syna! a cóż jegomości?

— Cicho! — rzekł na to pan Józef — śpi tu kto w stajni?

— Nie panie — odpowiedział masztalerz — wszystka czeladź śpi w drugiéj.

— Słuchaj Jacenty, przy kulbacie na koniu wisi tam bizun boćkowski na kuli, zdejm go zaraz i pal mnie sto batogów.

Jacenty odskoczył od niego jak oparzony i przeżegnał się w kącie, ale pan przystąpił do niego i rzekł:

— Słuchaj... nie dziw się i nie ociągaj się... zasłużyłem sobie na ciężki gniéw Boży i zgubiłem duszę moję... to jedno mnie może wybawić... jeżeli tedy Pana Boga kochasz i pragniesz, ażeby twój pan nie był rzucony na dno piekieł na wieki wieków, bierz bizun i bij.

Jacenty jeszcze się wypraszał, ale pan, nie folgując nic, zaklął go jeszcze raz i rzucił się twarzą na ziemię. Zdjął tedy stary sługa nahajkę z kuli i począł liczyć. I żal mu się pana zrobiło i łzy mu się z oczu puściły i ofiarował się karę tę przyjąć za pana na siebie, ale pan téj ofiary nie przyjął. Szlochał tedy Jacenty jak dziecko, lecz bił i liczył głosem płaczącym bizuny. A kiedy ich już naliczył sto, wstał stolnikowicz ze ziemi i powiedziawszy słudze: — Pomódl się jeszcze za mnie, mój Jacenty, będę ci to pamiętał; — zostawił go zapłakanego w stajni a sam się powlókł do dworu.

We dworze ciemno już było we wszystkich oknach, tylko jeszcze w sypialni Barbarki słaby płonął kaganiec. Stolnikowicz spojrzał w to światło i wstrząsł się, bo mu znowu stanęła przed oczyma jego złość i przeniewierstwo; mówił sobie: — Dobrze się ze mną obchodzi żona moja, dobrze i sprawiedliwie. Jestem Judasz, krzywoprzysiężca i zdrajca, nie godzienem lepszego obejścia. Panie! zmiłuj się nademną.

A kiedy tak sobie mówiąc, dochodził do ganku pan Józef, nagle mignęło coś przed nim i zdawało się jemu, że ktoś wybiegł z pokojów na ganek a z ganku rzucił się ku ogrodowi. Inną razą byłby on na to cale nie zwracał uwagi, ale teraz, czy to dlatego, że już późna noc była, czy że był moralnie i fizycznie zirytowany, jakoś go to uderzyło; rzucił się więc za tym cieniem, wołając: Kto tam? — Ale cień umykał przed nim zrazu, okrążając po prawéj stronie gazonu dziedziniec i zmierzając ku bramie, wszakże za drugiém zawołaniem stanął i pochyliwszy się ku ziemi, rzekł półgłosem:

— A! to sam wielmożny pan?

Stolnikowicz przystąpił bliżéj i poznał Ewę z balogrodzkiéj granicy, owinioną w jakąś płachtę szarą, szeroką i drżącą od strachu, jako złodziéj pojmany na gorącym uczynku. Téj baby z dawna

nienawidził pan Józef i nieraz zbiérał się z domu ją swego napędzić, ale teraz złość go porwała tém większa, a że po odebraniu stu bizunów nikt nie ma usposobień anielskich i niczego goręcéj nie pragnie, jak z tych bizunów choć kilka komukolwiek powrócić, więc schwycił ją zaraz za ramię, pytając ostro:

— Czego tu krążysz, piekielnico, koło mojego domu? co tu robisz tak późno w noc?

Na takie przywitanie Ewa skostniała od strachu i słowa nie mogła wymówić; wszakże za drugiém zapytaniem przyszła do przytomności, ale cóż pomoże przytomność i najbystrzejszy dowcip, kiedy się jest złowionym na gorącym uczynku? Sława jéj aż nadto znana, noc zanadto późna, aby się jakąś jawną sprawą wymówić, a nawet zdawało jéj się na razie, że i tego się wyprzéć nie mogła, że wracała z pokojów pani. Jednakże przyszło jéj zaraz na myśl, że gdyby się tego ostatniego wyparła, to jeszcze byłaby dla niéj wymówka i znalazłby się ratunek. Jakoż w braku innych schwyciła się tego ratunku i pokłoniwszy się panu po raz wtóry, rzekła tajemniczo:

— Ja tu właśnie jegomości szukała.

— Mnieś szukała! — zawołał stolnikowicz — czegóż ty chcesz odemnie?

— Chciałam się widziéć z jegomością.

— Zemną? po nocy? czegóż chcesz?

— Ej! bo jegomość się gniewa,—mówiła mitygując go Ewa— a ja jegomości dobrą przynoszę wiadomość i ręczę, że jak powiem, to mnie jegomość jeszcze udaruje.

— Ja ciebie? no, gadaj.

— Otóż gadała zemną pani łowczycowa z Żerniczki i mówiła mnie...

— Co mówiła? — zawołał krwią nabiegając pan Józef...

— Mówiła, że tak jegomości miłuje...

Daléj już jéj nie dał mówić pan Józef jeno w twarz uderzywszy tę starą grzésznicę krzyknął:

— Precz! ty diable przeklęty! precz z mego domu i nie pokazuj mi się na oczy, bo cię rózgami każę osiec i psami wyszczuję!

Po takiém udarowaniu Ewa odskoczyła, jak dziki zwierz ranny, i czasu nie tracąc, co mogła wyskoczyć, uciekała z dziedzińca. Ale widząc, że nikt ją nie goni, za bramą się zatrzymała i ztamtąd przez noc ciemną patrząc na dwór, który białością przez zmrok przeglądał, przez długą chwilę ważyła w sobie złość i zemstę, i wszystko diabelstwo, które się w niéj znajdowało. A kiedy w niéj zakipiało to wszystko, ścisnęła pięście obiedwie, i grożąc niemi ku oknu stolnikowicza sypialni, tak zawołała:

— Czekaj ty czarnowąsy paniczu! poczujesz ty na sobie moc czarownicy! Poczujesz ty, co może ta diablica, którą ty bijesz po pyskach! Nie mieli się niebożęta gdzie schodzić ze sobą, poczekaj, jest chata na balogrodzkiéj granicy, ta im stanie otwarta! A kie-

dyby jéj nie starczyło, w twoim własnym domu zchodzić się będą, na twoim łóżku spać będą, a ty będziesz siedział i patrzył na to i z miejsca się nie ruszysz, tak cię mój diabeł spoi i zawróci! Poczekaj, ty dziecko szczęśliwe! Nie znasz ognia, nie znasz powodzi, grady mijają twe pola, pioruny uciekają od twego obejścia, złodzieje kradną twoich sąsiadów, ludzie ciebie kochają, przyjacielem masz pana łowczyca! czekajno, czekaj! Ewa na to wszystko pomoże!...

I ten głos straszliwy, jak wołanie puszczyka po nocy, długo się jeszcze po dziedzińcu rozchodził i odbijał się o przeciwległą dębinę i biegł działami aż do balogrodzkiego zamku, budzić Bartka i dawać mu znać, że mu sam mąż nowego sprzymierzeńca napędził... ale stolnikowicz już tego wszystkiego nie słyszał. On, zbolały na duszy i na ciele, przygnieciony swojém własném sumieniem, zakradł się cicho do swojéj sypialni i po ciemku spać się ułożył. Ale sen jakoś mu nie był posłuszny i nie przychodził, a zamiast niego, przywlekały się jedna za drugą mary coraz straszniejsze i obrzydliwsze, coraz okropniejsze widziadła, które mu siadały na głowie i mózg mu paliły, usiadły na piersiach i serce mu rwały, wnikały w duszę i targały ją sobą, jakby ognistemi kleszczami; że oka nie zmrużywszy, najokropniéj jednak prześnił noc całą.

Drugiego dnia wstał i był blady i mizerny, jak gdyby ciężką jaką odbył chorobę; jakoż myśląc tylko nad sobą, nie wychodził ze swego pokoju. A myślał ciężko i boleśnie, bo miał się przecie wyspowiadać przed sobą z wielu miesięcy, a może i lat nawet, miał policzyć, co przez ten czas został winien ludziom, co Bogu, miał zbadać siebie do wnętrza, ażeby wiedział, może-li jeszcze śmiało popatrzyć w oczy swojemu bratu i żonie, czy ma już zgoła miéć siebie za zginionego i za najostatniejsze stworzenie Boże na téj pięknéj i błogosławionéj ziemi, którą on jednak znał tylko po łzach i nieszczęściach? — Taki ścisły rachunek ze sobą przedsięwziął pan stolnikowicz, bo tak surowa cnota i taka skromność była w tym człowieku.

A jak nic dobrego ni złego, tak i tego rachunku nie dopuściła mu dokończyć Barbarka. Zaraz bowiem zrana zawiadomiona od Ewy o jéj nocném zdarzeniu na wychodzie z żernickiego dworu, a rozumiejąca, że taki jéj męża postępek może być tylko początkiem dalszych i daleko surowszych, wpadła ona do niego, ażeby od siebie zażądać rachunku. A wpadłszy, zaczęła zaraz w ten sens:

— Słuchajno, panie mężu, jakoś sobie począł z Ewą minionéj nocy?

— Począłem tak, — odpowiedział zrazu surowo mąż, — jak sobie z taką babą poczynać należy.

Na to Barbarka spojrzała badawczo na niego, bo zawsze miała ten zwyczaj, że nim kłótnię rozpoczynała, starała się prze-

konać, jakie jest usposobienie jéj męża, albo raczéj, zbita z dawnego toru przez Bartka i Grotta, nie dowierzała już sobie tak bardzo i pod mężowską pokorą, chcąc niechcąc, dopatrywała złości i gwałtowności, która lada chwila mogła wybuchnąć i ją obalić; jednakże teraz nabrała otuchy i odpowiedziała na to:

— Mój kochany, wypraszałam sobie to już tyle razy, ażebyś nic nie poczynał bez mojéj wiedzy; czyż ci po sto razy trzeba rzecz jednę powtarzać? — Na to zaś mąż:

— Moja kochana! jeżeli ja w moim domu zrobię co z *moją* wiedzą, to dosyć.

— W twoim domu! — zawołała Barbarka, — w twoim domu! no, proszę! tedy już widzę nanowo się zabiérasz do gospodarstwa!

— Czy się zabiéram, czy nie zabiéram, to jedno, ale krótko mówiąc, tego nie zniosę, żeby się tu po domu czarownice włóczyły po nocy, tego nie chcę, nie potrzebuję i koniec.

— Czarownice! a któż to jest ta czarownica? — zapytała Barbarka, — może ta Ewa, która się mojemu domowi wysługuje wszelkiemi siłami, która mi sługi stręczy, lekarstwa daje dla bydła, czasem jaką nowinę przyniesie, i koniec końców, z łaski mego męża i pana, jedynym jest gościem moim i towarzyszką jedyną?

— Towarzyszką?! — zawołał stolnikowicz, — ha! piękne sobie jéjmość towarzystwa dobiérasz! nie ma co mówić.

— A! to z twojéj łaski, mój panie mężu! — odpowiedziała Barbarka, — bo od kogóż to zależy z kim ma żona przestawać, jeżeli nie od męża? do kogo ją mąż zawiezie, u tego ona bywa, kogo jéj w dom zaprosi, ten u niéj bywa.

— Moja kochana! — rzekł na to, trzymając się jeszcze jako tako pan Józef — nie wmawiajże we mnie rzeczy takich, których ja zgoła winien nie jestem; bo ani ja ci bronię gdziekolwiek bywać, ani téż staję na przeszkodzie, ażeby kto bywał u ciebie; a jeżeli ani ty u nikogo, ani nikt u nas nie bywa, to tylko twoja taka jest wola, któréj ja się nie przeciwię. Zresztą, wiész sama... ja już niczemu się nie przeciwię; dajże mi pokój. Ale temu, żeby tu Ewa bywała, sprzeciwiam się i na to nigdy nie zezwolę.

— Nie zezwolisz! — powtórzyła szyderczo Barbarka, — to ty mnie na to nie zezwolisz, żeby mój próg przestąpiła prosta niewinna kobiéta, a tobie to wszystko wolno! Tobie wolno codziennie na całe pół dnia z domu wyjeżdżać, tobie wolno o północy do domu powracać?

— Wolno — mruknął przed siebie, ale już mieszający się Józef.

— Wolno! — powtórzyła z ironią Barbarka i przystąpiwszy do niego, siedzącego przy stole, położyła rękę na jego ramieniu, a popatrzywszy mu w oczy, spytała dobitnie:—A gdzieżeś-to wczoraj był, mój kochanku, żeś aż po północy powrócił i jak złodziéj się wkradł do twego własnego domu?...

Na to zapytanie Józef zadrżał cały i zmieszał się tak, że tylko kilka słów niewyraźnych mógł wybełkotać. Barbarka nic nie wiedziała o jego scenie wczorajszéj, a nawet o całym jego stosunku do Julii, bo tylko jakieś niewyraźne miała od Bartka relacye, ale widząc go tém zapytaniem tak zmieszanego, umiała korzystać i zapytała zaraz daléj:

— To ty myślisz, że ja nic nie wiem o twoich sprawkach? myślisz że zamknięta w Żernicy, jak w klasztorze, nie mogę już nawet wiedzieć i o tém, o czém i wróble na dachach śpiewają? że mnie nie dochodzi ta fama stugębna, która o tobie z ust do ust przechodzi o całéj szlachcie?

I tak na ten tor wpadłszy, lubo sama nie wiedziała za co, jednak takie kazanie powiedziała mężowi Barbarka, jakiego od niéj jeszcze nie słyszał. Poczém wytuzowawszy go jeszcze dobrze i zapowiedziawszy, że to wszystko co się dotąd działo z jéj strony jeszcze jest niczém przeciwko temu co się dziać będzie, trzasnęła drzwiami za sobą tak mocno, że aż się okna zatrzęsły i wyszła. Ale nie dosyć na tém, wyszedłszy bowiem, kazała sobie zaraz konia podać i wyjechała gdzieś z domu.

Pan Józef słuchał tego całego kazania z taką pokorą i potulnością, jak pobożny katolik słucha nauki księdza przy konfesyonale; w pomieszaniu swojém i wstydzie nie uważał on wcale na to, że Barbarka nie powiedziała jemu wyraźnie, co właściwie za sprawki jego są jéj, wszystkiéj szlachcie i wróblom na dachach wiadome, ale że tylko jedna sprawka ciążyła na jego sumieniu, więc był pewny jak Boga na niebie, że ta jéj była wiadoma — i nietylko że nic na to nie odpowiedział, ale nawet nieraz w duchu bił się ze skruchą w piersi, mówiąc: moja jest wina, moja największa wina! a w jednéj chwili był już tak rozrzewniony, że się chciał żonie rzucić do nóg, przyznać się do wszystkiego, opowiedzieć jak się rzecz miała w istocie i o przebaczenie prosić. Ale po wyjściu żony, kiedy trochę swobodniéj odetchnął ten nieszczęśliwy małżonek i zrekapitulował sobie wszystko co słyszał, nic jednak tak głęboko nieuwiązgnęło w jego pamięci jak to, że wszystko to o nim wié cała szlachta w około i nawet aż wróble na dachach.

I jeżeli wczoraj i dzisiaj srodze był poniżony u siebie tym swoim błędem, z którego jeszcze dosyć zawczasu się otrząsł, i jeżeli nie miał jeszcze dosyć odwagi i dosyć czystego wzroku, aby to widzieć że nietylko w błąd nie wpadł całkiem, ale nawet dosyć heroicznie go przezwyciężył, to tą wiadomością był jeszcze głębiéj dotknięty, przerażony i prawie całkiem powalony o ziemię w rozpaczy. A rozpacz ta jego i zwątpienie o sobie opanowały go tém wielowładniéj i pozostawiały mu jeszcze o tyle mniéj dobréj nadziei, ile że w téj nowéj trwodze o najwyższe dobro, to jest o dobrą sławę, nie mógł się nawet spodziéwać przyjść kiedykolwiek do pewnéj wiadomości o istocie téj rzeczy, a w tém nowém nie-

szczęściu pozbawiony był nawet pomocy i pociechy od swego brata, którego wzroku teraz prawie się obawiał, ile wzroku swéj żony. Tymczasem jeżeli Barbarka, na domysł tylko mówiąc o złych sprawkach swojego męża, tymczasem oko w oko zdybała się z prawdą, to niemniéj także, przepowiadając okoliczne plotki pomiędzy szlachtą o panu Józefie, trafiała na rzecz taką, która istniała w rzeczy. Ale jak ta domyślna pani tam zapewne domyśliwała się więcéj, niżeli można było mężowi zarzucić, tak tutaj znowu wspomniała ona zaledwie tylko cząstkę tego, co już głośno i publicznie krążyło po wszystkich ustach.

A jakie to były te plotki i ile ich było, możemy się snadnie przekonać, jeżeli na chwilę wstąpimy do łatesowéj winiarni. Jest to punkt zawsze, w którym kto wymierzy we wtorek, trafi pewno na całe gremium szlachty i na te wszystkie nowiny, które krążą po ziemi sanockiéj.

Jakoż i dzisiaj siedzi tam szlachta za wielkim i za małemi stołami, i gwarzy sobie przy winie to o tém, to o owém, co Pan Bóg zdarzy. Wlecze się tedy najpiérw długa i okrutnie mądra dysputa o redukcyi monety, która raz po razu po trzykroć publikowaną została w Warszawie, a podczas kiedy takie i owakie o tém wynurzają się zdania, wszyscy nakoniec zgadzają się na to, że pomimo strat chwilowych dla pojedynczych, powinny jednak na przyszłość wyniknąć ztąd dla całéj Rzeczypospolitéj korzyści.

Potém wprowadza pan Truskolaski, sędzia ziemski sanocki, rzecz o komisyi rossyjskiéj w Toruniu, którą jéjmość imperatorowa kazała wysadzić na to, ażeby szlachcie polskiéj polikwidowane i wynagrodzone zostały szkody, które z przechodu jéj wojsk poniosła. Opowiada tedy pan sędzia, jako ta komisya jeszcze w roku przeszłym zasiadła i do dziś dnia jeszcze agituje, jako w niéj zasiada imć pan Puczkow, pułkownik rossyjski, i imć pan Wyhowski, starosta czerwonogrodzki, pułkownik husarski, jako tam różne zachodzą trudności i jakim obyczajem się odprawia ta funkcya.

Mowa jest daléj o sejmie tegorocznym warszawskim. Sejm to był już ostatni pod panowaniem Augusta IIIgo. Zeszedł on się pod starą laską marszałka księcia Radziwiłła podkomorzego litewskiego, począł się od kłótni o szlachectwo Bryla, starosty warszawskiego, wszczętéj przez Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego, a na tym sejmie posła liwskiego, — a skończył się na dobyciu szabel i wielkim tumulcie, przy którym jednak nie było żadnego krwi rozlania, oprócz tego smutnego wypadku, że trzy osoby, a mianowicie: jeden towarzysz husarski i dwaj Radziwiłłowie, młodzi panicze, wyrzucone zostały oknem z trzeciego piętra, w skutek czego towarzysz śmierć znalazł na bruku, a książęta, pomimo tak ogromnego skoku, zebrali się z ziemi i zdrowo odeszli do swego konwiktu.

A kiedy już wyczerpano materye publiczne, wniesiono na stół prywatne. Ten tedy to a ten owo powiadał, to o handlu, to o g

spodarstwie, to o ciężkich czasach, to nakoniec o swoich sąsiadach źle lub dobrze, jaki czyj był dowcip lub jakie usposobienie. Owóż tedy tak mówił pan Górski:

— Co to dzisiaj mospanie prawić o oném nieopłaconém ukontentowaniu, które człek dawniéj miéwał ze swego sąsiedztwa! Albo jestto teraz gdzie sąsiad taki, który poratuje w potrzebie, pomoże w pracy, pocieszy w smutkach i dolegliwościach; jest taki przyjaciel, który łba i worka nadstawi za brata, od złych języków ustrzeże, od napaści obroni, granic pilnuje jak oka w głowie? — Nie masz wprawdzie co mówić o ludziach, bo jużciż nie braknie między nami na szlachetnych, na uczciwych i wiernych, ale wszystkie te cnoty praktykują się snać na innych polach, bo tak uderzywszy się w piersi, to już i u nas sąsiad, byle kopca nie przeorał, a przyjaciel byle się nie pokłócił z tobą i nie naznaczył, to już cnota wielka i chwała Bogu. A przecie to trochę różniéj bywało dawnemi czasy, a i ja sam miałem przyjaciela, któremu niechaj światłość wiekuista świeci na wieki wieków, który, rzecz można, żył tylko dlatego, ażeby mnie służył.

— Ej! panie bracie! — odezwał się na to pan Chojnacki, — zdarzy się i dziś taka przyjaźń, któraby jeszcze Castorom i Polluxom mogła służyć za przykład.

— Zdarzy się, widzisz diable, — dorzucił do tego pan Piéniążek, — ale snać już tylko na to, ażeby mogła służyć za wzór cierpliwości i nieczułości na wszystko. Przeszłego tygodnia, widzisz diable, był u mnie pan Osuchowski, co to teraz jeździ za podatkami, człek suty i taki, któremu wiele rzeczy zazdroszczono dawnemi czasy, a czego téż najwięcéj, to jego przyjaźni; ja sam, widzisz diable, patrzałem ongi tak na niego, jakoby na którego z onych rycerzów, którzy wykuci z marmuru leżą na dawnych monumentach; ale dzisiaj, kiedy odjeżdżał odemnie, spłakałem się i nad nim i nad jego przyjaźnią. I on płakał jak dziecko, bośmy byli między sobą otwarci. Otóż, widzisz diable, wszystko to w Boskiém ręku; ono stoi wieża cała z kamienia, a krzyżem sięga nieba, ani jéj taranem ukruszysz, ani z działa do jéj wiérzchu dostrzelisz, aż tu, widzisz diable, niebawem z niéj jeno stérta prochu a gruzu i łazi po niéj wszelki płaz i robactwo.

— A jakeśmy się to panie bracie im dziwili, — rzekł na to pan Sobolewski, — kiedy owo ten ślub brali ze sobą! jacyśmy się mali poczuli natenczas, a już kiedy z hajdamackiéj wracali, to jeno klękać było przed nimi.

— A dziś, — dodał pan Nowosielecki, — uklękliże nieboraki sami, a i żal patrzéć na nich.

— Co to żal! — zawołał jakiś junaczek z kąta, — ja nie żałuję nikogo takiego, który sam jest winien swemu nieszczęściu. Któż im każe znosić to jarzmo, które na nich wtłoczono? a wżdy mają siłę potemu, czemu go ze swych karków nie zrzucą? Więc

to nie żal, jeno wstyd! bo taka cierpliwość nam nie przystoi, i może ją mieć chyba tylko żółw albo Niemiec.

— Ale dajno pokój, panie bracie, — zaprotestował przeciw temu pan Krajewski, — nie tak to łatwo oprzéć się takiéj babie, która nie jest babą, jeno istnym diabłem lub Tatarem.

— Słyszę w takiéj trzyma go ryzie, — dał jakiś sąsiad półgłosem, — że mu nawet niewolno na krok z domu się ruszyć.

— Chybaby tylko do Żerniczki,—dorzucił drugi—do imć pani łowczycowéj, aby się pokonsolować w téj biédzie.

— Ha! no! panie bracie! — zawołał ktoś trzeci, — zawsze to jest dowód przyjaźni i prawdziwego braterstwa ze strony łowczyca, bo nie konsoluje on swego brata, to konsoluje go jego żonka. — A czwarty:

— Ba! ale bo to za takie wyręczenie się żonami mężom rogi rosną na głowie.

— Ej! cóż to tam jeszcze, jedne rogi! nie tak wielki to ciężar, ale bo stolnikowicz dwoje już rogów posiada.

— No! — zawołał ktoś litościwy, — tamte drugie Rogi choć mu niosą intratę.

— O! niosą, i to znaczną nieść muszą dla pana, kiedy tak się dobrze przy nich pożywia sługa.

— Oj to prawda! Bywało téż to różnie z tym Grottem, jeździł już parą, chodził i piechotą, bywał na nim altembas z sajetą, bywał i szaraczek z dreliszkiem: ale bo to już ani kroku bez cztérech koni i dwóch pachołków, a czy środa czy niedziela, samo złoto a jedwab.

— Ej! toż to musi teraz się puszczać w kości, a w karty, a już stawka pewnie każda warta choć sto czerwonych.

— O! nie; — zaprzeczył pan Janowski, który sąsiadował z Rogami, — nic a nic już teraz nie grywa.

— Naturalnie, dodał inny, — bo któż taki grywa o grosz, któremu grosza nie trzeba?

— I nie trzeba mu i sypie mu się zè wszech stron jakby z chmur, bo powiadają, że po staremu Pana Boga chwali i diabła nie obraża, więc tu męża konsoluje a tam zasie służy żonie i onemu Francuzowi balogrodzkiemu, więc ta go strona płaci i tamta płaci, a on wszystko do mieszka.

— Ej! kata ci go tam płaci pan Józef!—rzekł znowu inny—powiadają, że już i złamanego szeląga nie miéwa w kieszeni.

— Więc co twoje to moje, a co mego, to tobie nic do tego,—zarzucił ktoś z kąta.

— He, he, he! — zaśmiał się na to Baszkir Białobrzeski.

— Otóż to widzisz diable, — zauważył milczący dotąd Piéniążek, — co są złe języki.

— Owo więc, — mówił daléj jeden z sąsiadów, — u niego mieszek pusty, gdzie to dawniéj dzwonił jak wszystkie dzwony w Krakowie, a u pani skrzynia pełna po same brzegi.

— Jakoż niéma być pełna, — rzekł drugi, — alboż to mało mogą przynieść Rogi z Żernicą? mało gotowizny zostało po podkomorzym? a Balogród sprzedany!

— Ale na dobre się obracają te gotowizny,—uważał trzeci,— kiedy Grott sobie ładuje kieszenie, i to jeszcze za jakie posługi!

— No! nie wszystko to Grott ma od pani Barbary, — wykładał czwarty, — boć tam przecie i Bartek coś musi przykładać; przecie te służby służą i jemu.

— Ba! i jak jeszcze! — zawołał piąty, — mówić co chciéć, diabeł nie diabeł, Tatar nie Tatar, ale to cudna kobiéta.

— Anoż téż z téj piękności jeszcze bardziéj zbutniał ten Francuz! — dołożył szósty, — chodził dawniéj po rynnach, chodzi sobie teraz po ludziach. Nos do góry, oczy w słońce, pacholąt za nim chmura; niedawnom go zdybał jadącego gdzieś drogą, myślałem że chorągiew jaka ciągnie na leżę.

— Ale przecie jabym jemu nie radził, — rzekł znowu piérwszy, — żeby już tak bardzo dufał swojemu szczęściu i sile. Obala Pan Bóg mocne na ziemię, a im kto pyszniejszy, tém bardziéj padnie.

— A im kto wyżéj się nosi, tém niżéj pada, — mówił trzeci.

— Otóż i mnie się tak widzi, — mówił znów drugi, — że się skończy to panowanie. Bo najpiérwéj złe, chociaż ludzie w cierpliwości swéj znoszą, jednak Bóg sam kiedyś nie zniesie i strasznie zgromi; powtóre, nie bardzo téż dowierzam Bobowskiemu. Siła w nim wielka i duch okrutnie siarczysty; siedzi teraz cicho i milczy, może téż i nie wié nieborak sam, co się z nim dzieje, a może i wié i tak upadł na duchu; ale kiedyby się obaczył, Francuz, prawda duży w ręku i sprytny, ale tak mi się widzi, żeby go przecie pochodził Bobowski.

— Co pochodził! — zawołał czwarty, — zjadłby go w lot.

— Ej! kataby mu tam co zrobił Bobowski, — odezwał się na to junaczek, który był przyjacielem Bartkowym, — to mąż prawdziwy, rycerz sprawny i sprawiedliwy, aniby mu się trzech takich oparło. A potém, czy to się zdobędzie już na to on mąż przydeptany? jesień jest, to chodzi w spódnicy, przyjdzie zima, w piecach palić będzie.

— Mości panie podsędku! — zawołał na to Piéniążek, obracając się do pana Górskiego, — dobrześ to powiedział o teraźniejszych sąsiadach i przyjaciołach; widzisz diable, nie mówić już nic o tém, żeby jeden drugiemu co dobrego uczynił, ano jeśli już do sądu nie pozwie, nie worze się w granice, nie obedrze a nie oszczeka na końcu, to już to miéć sobie za szczęście. Prawdę mówiąc, widzisz diable, psie pyski macie mości panowie, jakeście tu są wszyscy.

To rzekłszy, wstał gniéwny od stołu zawsze wierny braci ślubnych przyjaciel. Ale mu na to Nowosielecki:

— Kochany Piéniążku! że się fukasz, to dobrze, ano to źle,

że się fukasz na nas a nie na siebie. Bo widzi Bóg, że anibyśmy byli co wspominali o panu Józefie, gdybyś ty sam był nie począł.

— Kto począł? — zawołał Piéniążek, — widzisz diable, to ja mu począł! a toć że ja wspominałem o samym łowczycu i to wspominałem z żalem nad nim, ale Bobowskiego ani nazwisko przez moje usta nie przeszło. A potém, dajże im to Panie Boże, żeby, widzisz diable, nikt inny o nich nie wspominał, jeno ja, bom, widzisz diable, był ich przyjacielem w szczęściu i jestem w nieszczęściu! a jakom, widzisz diable, jeździł po jednego z nich aż do Turek, tak i teraz im chętnie posłużę w czémbądź. A plugawić ich i paskudzić nie będę, tak jako wy sąsiedzi, widzisz diable, przyjaciele i bracia. Bogdaj wam gęby powykrzywiało!

Tak skończywszy, czapkę nasunął na uszy i drzwi za sobą zatrzasnąwszy, wyszedł z winiarni. W izbie zasiadła cisza ponura, ale niebawem drzwi się znów otworzyły, a przez nie Piéniążek głowę wścibił do izby i rzekł:

— A ktoby się czuł obrażonym odemnie, tedy mu sprawę dam na zawołanie.

Poczém znowu drzwi zamknął i już całkiem odeszedł.

Po tym dodatku ruch się zrobił przy wszystkich stołach, więc ten to mówił, a ten owo, aż ów junaczek młodziutki, dorwawszy się do głosu, kiedy to pocznie piorunami bić na Bobowskiego, a na Barbarkę, a na zgorszenie ztąd dla całéj okolicy i kiedy to weźmie wmawiać we wszystkich obrazę zadaną całemu zgromadzeniu przez pana Piéniążka, a burzyć przeciwko niemu, to i rzeczywiście wzburzyła się szlachta i poczęły się już tu i owdzie odzywać głosy tak przeciwko stolnikowiczowi, jak i przeciwko Piéniążkowi. Jednakże wśród téj burzy doprosił się jakoś głosu dla siebie pan Laskowski z Polany, mąż poważny i wielką konsyderacyą w swéj ziemi mający, i tak rzekł do onego młodzika:

— Parę lat temu jeździłeś waszmość na podjezdku w towarzystwie swego księdza mentora, a gdzieś przyjechał, chowałeś się za jego rewerendę, że cię ciężko było pomiędzy spódnicami odszukać, chcąc ci dać pierniczka lub obwarzanka; a teraz już występujesz jako adwokat obywatelstwa i trybun narodu. Każda rzecz ma swoję porę, a tylko dzieci jadają wcześnie, chociaż kwaśne i niedojrzałe owoce. My jagódek nie jesteśmy łakomi, a kiedy nam przyjdzie apetyt, mamy go czém zaspokoić i nie potrzebujemy na to waszmości. A ponieważ ja z łaski Boga i moich siwych włosów mam jakie takie zachowanie u moich sąsiadów, i nieraz już w ich imieniu w poważniejszych daleko forach gadałem, niżeli jest łatesowa winiarnia, tedy i waszmości powiem otwarcie, że na tak słusznych obywateli, jakim był, jest i będzie pan stolnikowicz, się nie rzucaj, bo kamień, który ciskasz na takiego, nigdzie indziéj nie padnie, jeno napowrót na ciebie, — a jeżeli się czujesz obrażonym przez pana Piéniążka, tedy kto prowokuje winien sam iść naprzód; idź więc i żądaj, a pewno stanie się zadość woli twojéj,

bo Piéniążkowie, jako ich znamy od dawna, mają zwyczaj długo czekać na placu.

Ta przydłuższa pana Laskowskiego perora dobre zrobiła wrażenie, bo nietylko że ów młokosik, pobełgotawszy jeszcze ni to ni owo, prędko się wymknął z winiarni, ale i szlachta się przytém naśmiała dosyć i uspokoiła się znowu. A kiedy wszyscy napowrót pozasiadali, wina sobie ponalewali i już mieli nazad do porzuconego przedmiotu powracać, pan Laskowski piérwszy zabrał głos mniéj więcéj w ten sens:

— Zawstydziłem trochę naszego junaczka, ale to nic nie wadzi, i owszem, powinno mu to posłużyć za naukę, że z lada czém się wyrywać nie rzecz, zwłaszcza téż młokosowi pomiędzy starymi. Ale bo téż i żadnéj nie miał słuszności. Ale pan Piéniążek, chociaż się trochę zawczasu w nim zapaliło, mojém zdaniem jednak wielką miał słuszność za sobą. Bo jużciż tak powiédzmy sobie otwarcie, czy zasłużył sobie kochany nasz stolnikowicz na to, żebyśmy go tak srodze poniewiérali? Wprawdzieć to mówią na świecie: *vox populi, vox Dei*, a co ludzie gadają, to i wygadają; ale, mości panowie! stary już jestem i wiele już przeżyłem plotek i wypadków, i tak powiadam: Najczęściéj w plotkach jest połowa prawdy, często i cała prawda, ale nierzadko téż trafia się że nic a nic prawdy nie ma; więc kto zaraz wszystkiemu wierzy, źle czyni, bo sam niéwié, jakiego się może stać powodem nieszczęścia. Człowiek, to bardzo słabe stworzenie i zabić go wcale nie trudna rzecz, a gdzież to najsłabsza tego człowieka słabizna? oto honor i cześć. A co jeszcze stokroć gorsza dla niego, niżeli sama śmierć? oto utrata honoru i czci między braćmi. Owóż tedy, ja w takich rzeczach bardzo jestem ostróżny, i przy kamienowaniu drugich rad zgoła nie bywam, bom już to widział nieraz, jako ukamienowano niewinne. A tém ci téż ostróżniejszym należy z tém być w powiecie takim, kędy wiara jest wielka i chwytliwa jak siarka, a opinia publiczna tak silna jak u nas. Jednym tchem my z nicestwa podnosimy ludzi na wielką wysokość, ale téż jednym tchem drugich gubimy. A jako nieraz podniesiemy takiego którego się potém wstydamy, tak téż może i nie jednego niewinnego zguba ciąży na naszém sumieniu. A ileżto już ja sam takich niewinnych wiem! A taki sam niewinny jest tu i stolnikowicz. Bo gdzieby to miało być, ażeby on krzywdy wyrządzonéj sobie przez Bartka miał sekretnie wetować na swoim bracie; tedy ja głowę moją dam, że to nie prawda! Nigdy tego nie było i pewno nie będzie. Ja znam pana Józefa od małego chłopięcia, ja wiem, w jakiéj chowany cnocie a surowości, i wiem, że jéj przez całe życie swoje nie skaził. Więc to już jest wymysł a ludzka złość.

— A ja także trzymam z panem Laskowskim, — rzekł na to Sobolewski, — i powiadam że to nie może być. Byliśmy z sobą na hajdamackiéj, więc wiem ja dobrze, jaki on jest.

— O! otóż jest i świadectwo! — mówił daléj Laskowski, —

a jeżeli to jest prawda, co mówią o jéjmości, co także mojém zdaniem jeszcze nie jest udowodnioném, to cóż on temu winien nakoniec? Co winien mąż, że spudłował w swym strzale, że rzuciwszy wędę na rybę, żabę złapał; co winien, że mu się złe dziecko dostało do ręki? Źle jest, to prawda, ale jak to złe najbliżéj dotyka jego, tak téż niech już dosyć ma na tém. Toż na nieszczęśliwego jeszcześ i my poskoczymy, i tego, którego już i tak bije samo nieszczęście, my jeszcze chłostać będziemy? Więc zamiast się ulitować, zapłakać nad nim, poradzić, pomódz, jeżeli można, to my nuż jeszcze po nim! nuż go dusić, tego, który już ledwie dyszy, nuż dobijać konającego! Pfe, mości panowie, pfe, to niełądnie; bo to nie nieprzyjaciel nasz, jeno brat, nie zły sąsiad, jedno godny, uczciwy i wcale setny człek. Jakoż, ile go znamy, on tak nigdy sobie nie poczynał przeciwko nam. Bluźniącego na brata nikt go pewnie nie słyszał, szkodzącego nie widział, zemsty jego nie poczuł, ale dobrych słów, dobréj rady, pomocy od niego pewnieśmy tuż już wszyscy doznali, a prawdę mówiąc, mało téż który z nas umié tak chętnie a tak dobrze sobą drugiego zastawiać, jak on. I to taka za to wszystko nagroda — Ale nie dosyć na tém—mówił daléj dziedzic Polany — błąd jeden zawsze drugi ciągnie za sobą: jakoż i my, podczas kiedy na niewinnego ciskamy kamieniami i błotem, winnego wcale tracimy z oczu. Anoż w téj całéj sprawie jeżeliby kto winnym miał być, to już pewno nikt tyle jak Bartek Karsznicki, a my przecież o nim nic zgoła a nic. Boć w takich sprawach dosyć to jasna jest, że najczęściéj mało co winnym jest mąż, równie niewiele kobiéta, bo to słabe stworzenie i snać już nic łatwiejszego na świecie, jak taką zwieść; ale silnie winien jest, który ze słabości korzysta i zwodzi. Więc już snać najsprawiedliwiéjby tak: ulitować się męża, na żonę błotem albo na zwodziciela kamieniami jako na psa! Kamieniami co sił i wygnać, albo zabić na miejscu taki paskudny trąd, który jako wąż się zakrada pomiędzy cnotliwe i czyste i zaraźliwym oddechem swoim je kazi! A my na niego nic. Żonę pomijamy milczeniem, śmiejemy się z męża, że mu zaszczepiono na czole rogi, a onemu diabłu zdradliwemu jeszcze poklaskujemy do jego sztuk!

— Prawdę, mówi pan Laskowski — rzekł na to sędzia — świętą prawdę, jak mnie Bóg miły, i to tak, jakby z książki ją czytał.

— Gdzież tedy jest cała wina ta — mówił daléj dziedzic Polany — z któréj całe to złe wypływa? — Oto tak mów, czy owak, zawsze ona jest w jmć panu Bartłomieju Karsznickim. I to, mości panowie! nie dzisiejszy jest piérwszy dzień, w którym ja to widzę i dawno już zabiérałem się słówko o tém powiedzieć *publice*, bo czas już jest dawno, ażebyśmy oczy nasze zwrócili na to, kogo téż mamy pomiędzy sobą? Ja, mili bracia moi i sąsiedzi, wiécie to dobrze, że nie jestem ani człowiek zwadliwy, ani do burdy pochopny *privatim*, anim téż kiedykolwiek głos zabiérał publicznie

w tym celu, ażeby gwałt jaki albo tumult wywołać — ale tutaj, gdybym też miał całą ziemię wzburzyć od brzegu i aż krucyatę zbić na to, ażeby zarażoną owcę wypędzić z trzody, to i na to się nawet odważę i czystém potém sumieniem stanę przed ludźmi i Bogiem. Bo zarażoną i srodze szkodliwą owcą jest ten pan Bartłomiéj! A nietylko to ciąży na nim, że się w uczciwy dom zakradł i cześć jego znieważył, że dał diabłu młodéj i niewinnéj kobiéty duszę, że całą chmurę frasunków sprowadził na cnotliwego męża i zgoła błotem obrzucił, jarzmo na kark włożył i prawie aż do ziemi przygniótł takiego brata naszego, który był ulubieńcem naszym i zaszczytem a splendorem téj ziemi — ale jest tam jeszcze i daleko więcéj paskudztwa i złości. Bo czémże to jest dom jego, czém on sam dla naszéj nieopatrznéj młodzieży? Czy to słyszał u nas kto kiedy, żeby gdzie był dom taki, w którymby się dzień w dzień i noc w noc wyuzdane odprawiały biesiady, w którymby pito na umor, zgrywano się w kości i karty do nitki, do któregoby jedne za piéniądze a drugie gwałtem wprowadzano kobiéty i panny, do któregoby się aż z za Bieszczadu podejrzane zbiegały niewiasty, zkądby jakieś prawie zbójeckie przedsiębierano wyprawy, gdzieby młodzież nęcono i prawie za kołniérz wciągano i gdzieby całe życie się plotło tylko z samego szaleństwa i rozpusty? A to wszystko się dzieje dzisiaj na balogrodzkim zamku. Taż to Sodoma i Gomora nie miasto, taż to *spelunca latronum*, nie dom szlachecki! Więc kto takiego gościa wprowadził nam w ziemię, *stet diabolus a dextris ejus;* więc kto tam bywa w téj jaskini, niechaj będzie pohańbion, a kto taką jaskinię sporządził i młokosom otworzył, to już jest diabeł sam *in persona,* nasadzony na zgubę dusz ludzkich! A my nuże poklaskiwać takiéj robocie, która jest hańbą naszą, nuże admirować rozpustę i bezczelność, która nas brudzi i zaraża, i dworować sobie jeszcze ze stolnikowicza, a jeździć po nim za to, że on był piérwszy, którego dotknęła ta plaga! A nuż jak pismo mówi: nie potępiajcie ażeby was nie potępiono, tak i ja mówię: nie śmiéjcie się ażeby się z was potém nie śmiano. Bo już nic pewniejszego jak to, że kiedy ten gość i dom jego jeszcze czas jaki tu pomiędzy nami potrwają, to zaiste niebawem połowa z was znajdzie się w takim rosole, w jakim jest dziś stolnikowicz; bo z jednego Bartka naczyni się prędko dziesięciu a z dziesięciu i stu, którzy wam wszystkim podolają. Anożeście już widzieli dopiéro co takiego junaczka, który się w téj nowéj akademii wychował. Tedy nie śmiać się nam i dworować po chłopięcemu, jeno zasiąść statecznie i poważnie jak męże i poradzić sobie, jakby się pozbyć zaraźliwego gadu, który się wśliznął już w jedno gniazdo i smoczą paszczę swoję rozdziawia teraz na drugie. Tom już chciał wam dawno powiedzieć, ale nie przychodziło do tego, a teraz cieszę się, żem znalazł po temu okazyą.

Po téj przemowie zrobiło się cicho jak mak siał, ale zaraz pan Urbański z Jabłonek, czapkę poprawiwszy na ucho, tak rzekł:

— Ja słucham, ja słucham a nie odzywam się nic. A przecie i mnieby tu głos jakiś przypadał i może lepszy jak drugim, boć przecie po staremu: kiedy sprawę jaką sądzą, to najciekawiéj sąsiadów pytają. A tak mi się widzi, że w téj całéj kompanii snać już ja najbliższy sąsiad tego domu, który jespan Laskowski z Polany raczył przez łaskę swoję nazywać spelunką *latronum*, i w którym ja bywam i nic a nic przez to się nie czuję pohańbion. A ja bardzo mało gdzie bywam i złych sąsiadów nie cierpię; jakoż to wiadoma jest rzecz, żem już nawet parę wiosek tylko dlatego zakupił, ażebym się przez to od sąsiedztwa ich właścicieli uwolnił. A że plamy żadnéj na mnie ani ztąd ani z owąd nie było, to także wiadoma rzecz, a już o hańbie, no to już i szkoda wspominać. Anoż widać ztąd jawnie, że pan polański, chociaż fuka innych za to, że nieopatrzni są w sądach, sam także nieopatrzne dekreta feruje; i chociaż powiada, że sam nigdy się do poduszczenia drugich bez gruntownego powodu nie zrywa, przecie tu zerwał się bez powodu; a jeżeli po większych forach w imieniu braci swéj tak samo gadał jak tu, tedy gadał nic potém i dobrze że to wiemy, bo go już drugi raz tam nie poszlemy. Więc owo, jeżeli pan polański stawa w obronie czci pana Józefa, tedy to dobrze czyni i chwali mu się to, bo mąż to godny i cnotliwy i godzien zawsze wszelkiéj miłości naszéj i obrony; jakoż ja także do téj obrony podaje się i osobą moją i chudobą, jaką Bóg dał, i pisze się na życie i na śmierć, — niech jeno wiem, gdzie nieprzyjaciel jest, bom go przez oracyą pana Laskowskiego jeszcze cale nie dojrzał. Więc jeżeli pan Laskowski przeciwko Karsznickiemu powstaje, tedy to już niesprawiedliwie. Wprawdzieć ja tego nie mogę powiedzieć na pewno, ażali ten pan ma naprawdę jakie sekretne konszachty z jmć panią z Żernicy, bo ani on jest niedźwiedź, ani ja jestem tropowiec, żebym chodził po jego śladach, ale przecie tak mi się zdaje, że to jest tylko kalumnia. Ale miało-li by w rzeczy tak być, to byłoby źle i natenczas ja sam, jako nieboszczyka podkomorzego i pana Bobowskiego przyjaciel, wyzwałbym bez wahania się pana Bartka na rękę i srogą bitwębym za to mu dał. Bo toby była wielka hańba i wstyd. A to jedno jest jeszcze *in dubio;* więc niechajże tak sobie to wisi aż do wschodu jakiegoś słońca, które nam wykryje tę rzecz. Ale zasie wszystko reszta, co o Bartku powiadał pan Laskowski, wielka nieprawda jest, a chociaż co prawda, to przecie inaczéj. Jako jego sąsiad i w jego domu bywalec, wyjaśnię to, bo wiem. Więc owo mówisz waszmość, że tam srodze piją i we dnie i w noc. Więc niéma co mówić, więc trochę w tém prawdy jest: ale przecie ja na to tak. Oto was tu tyle waszmościów jest, mało że nie połowa powiatu, a któren téż między wami taki, ażeby czy to we dnie czy w noc dawał sobie za kołniérz lać? Ano mi się widzi że żaden, bo was znam i to powiadam, że wszyscy, jak tu jesteśmy, nietylko we dnie i w noc, kiedyby i trzecia jeszcze pora jaka się składała na dobę, tedyby-

śmy pili i w nią, żeby jeno okazya po temu. Więc za to snać trudno Bartka zaraz bić, bo już chybaby się i nam wszystkim powybijać do nogi. Więc druga rzecz że tam grają w kości, to prawda, bywa i gra, ale się nikt tam jeszcze nie zgrał z tego, co miał ze sobą w mieszku, a nie dopiéro do nitki. Wiem dobrze, bo sam zawsze jeden kubek dzierżę przy grze i gra idzie po groszu, a kiedy złoty wejdzie na stół, to rzadko, a kiedy bity, to dziw. Raz tylko jeden, przy dobréj będąc fantazyi, grał ze mną Bartek o wieś na jeden rzut, ale i to się skończyło na niczém, bośmy cisnęli po równo. A kiedyby było i nierówno, to jeszcze zawsze na to nie bylibyśmy żadnemu z waszmościów zabrali jego wsi. Więc trzecia, że tam do onych biesiad przywlekają się różne niewiasty. Ano to już jest cały fałsz, i bogdajżeby temu gębę wykrzywiło, jak powiada Piéniążek, który to wymyślił. Bo nietylko, że tam na całym dworze niéma żadnéj obcéj niewiasty, ale nawet i swojéj niémasz żadnéj, bo jako jest kopa sług, tak już tam takie prawo jest, że każden musi być jako ksiądz. A już o jakichś węgierskich z respektem podwikach, to już i szkoda mówić, bo pusty fałsz. Potém czwarta, że tam kto wabi młokosów. A to także nieprawda. Bo ani ich tam kto wabi, ani prosi. Bywają drudzy, ale bywają z własnéj woli, a jako sumienny jest pan Bartłomiéj, tedy i to wam powiem, że przy biesiadzie, kiedy siedzą młokosy, tam ich z jego woli zawsze omijają kielichy. I jeszczem tego nie widział, żeby się który z nich choć jako tako udoił. Anoż piąta, już chybaby to, że sobie czasem na koniach poskaczemy przez parkany, albo przez rowy. No! to, to prawda. No, może téż i co więcéj, bośmy niedawno z Bartkiem po wschodach wyjechali na wieżę, czasem téż skaczemy przez wozy, a czasem téż zapalimy jaki budyneczek, i ratując go, idziemy między sobą o lepszą, i do takiego *exercitium* prawda że pociągamy młokosów. Ale czy to jest źle? Tedyby lepiéj, żeby ten i ów siedział u mamuni przy łóżku i motki zwijał, a z ukosa rzucał okiem na pannę służebną? Prawda że tam szwankuby nie poniósł, a tu guz czasem nabiegnie, albo się czupryna osmoli, ale guz spłaśnie, czupryna odrośnie, a będzie zato z niego kiedyś pociecha; a miałliby przy jakiéj krotochwili nawet zgoła się rozbić, tedy i to niewielka szkoda, bo już to snać z tego i tak nie byłoby nic. Owo tedy już wszystko, a do tego dodam ja jeszcze i to, że mało jest ludzi pomiędzy nami, którzyby temu okrzyczanemu Bartkowi sprostali, czy to ręką, czy głową, czy sercem. Mąż czysty jak łza, duch w nim wyśmienity, serce przednie, a co uczciwości a cnoty we wszystkiém obejściu, to już i wypowiedzieć trudno. Anoż ty panie Laskowski przecie jego wywołać, albo zaraz bić, bo to gad. A panowie bracia nuż za panią matką paciérz, i mało niewiele, żebyście już zaraz byli nie podnieśli onéj krucyaty, do któréj was prowokuje pan Laskowski. A ja powiadam: nie! — bo niéma za co i byłoby głupstwo wielkie i wstyd. Anoż to pamiętamy wszyscy, kiedyśmy będąc

małemi żaczkami, wronki sobie imali, i omalowawszy je świetnemi farbami, puszczali potém precz. Tedy one leciały pomiędzy inne wrony, a tamte prędko rzuciły się na tę, i oskubawszy ją w lot, zabijały potém na śmierć. Owoż, kiedybyśmy rzucili się na Bartka, tedy już nie bylibyśmy czém inném jeno onemi wronami, bo także innéj przyczyny nie mamy skubać go i zabijać, jeno snać samo to, że on jest malowany, a my tu wszyscy nie.

Uśmieli się wszyscy z takiego porównania szlachty do wron, a pan Laskowski myśląc, że już koniec oracyi, zaczął w ten sens:

— Powiedziałeś, panie Jabłoński, — ale pan Urbański zawołał zaraz głos: — Czekaj! — i potém tak daléj mówił:

— Czekaj! bom ja nie orator, po wielkich forach ani w swojém ani w cudzém imieniu nie mawiam, a po małych téż rzadko i ciężko, ale jestem przeto jak wielki bąk, puścić go trudno, bo ciężki, ale kiedy już raz jest puszczony, to nie przykładaj palca do niego, bo i palec urwie i jeszcze skoczniéj poleci. Owóż tedy dwa mankamenta w perorze pana Laskowskiego wytknąłem jasno, a teraz jeszcze i trzeci wytknę. Bo nie tylko jest mankament oratorskiego rzemiosła, jeżeli się co źle powié, ale i to także, jeżeli się co ominie, co należało powiedzieć. To o oratorze. A cóżbyście zasie powiedzieli o takim prowokatorze, któryby naprzykład wtenczas, kiedy Tatar w kraj wjechał, a Wołosza siedziała cicho w swoich granicach, prowokował przecie wojnę przeciw Wołoszy a niechał Tatara? A tak właśnie pan Laskowski uczynił. Prowokuje krucyatę przeciwko Francuzowi godnemu, a milczy o Francuzie łotrze, który wjechał w cudzą zagrodę, tam tumani, oszukuje, kradnie, łotruje na wszelki sposób i ledwie że nie rozbija? he?

— A tożto pewno mowa o tym Dzianocie, którego zwą Pakoszem? — zawołał pan Nowosielecki.

— Tak jest, — odpowiedział orator.

— A! wiecie co! — rzekł zacięcie pan Sobolewski — nie mam złości do ludzi i prędzéj kogo zasłonię niż obwinię, ale tego człowieka tak nienawidzę, że kiedyby mi trafił na czas, tobym go stłukł jak garnek o ziemię.

— Ale bo téż to i nic innego jak garnek, — rzekł pan Chojnacki, — zdaje się że chodzi nie jak człowiek, ano jako skorupa.

— Podła to być musi figura, — rzekł inny, — bo jakoś nieśmiało mu z oczu patrzy.

— A jaki słodki! jaki grzeczny! a uniżon! — rzekł przekrzywiając się drugi, — jakby jaki pierniczek.

— A przecie tak jest szlachcic jako i drugi i posesyonat! — zawołał trzeci.

— Ej panie, — rzekł na to Nowosielecki, — opowiadał mnie pan Jackowski długą o tym ptaszku historyą, a téj długiéj historyi jest ten niedługi sens, że Pakosz ma teraz w posiadaniu swojém skrypt ojcowski na dwanaście tysięcy, który pan Jackowski

chował przez kilka lat pod swoim kluczem. Jaką sztuką przyszedł do niego, tego ani się nawet domyśleć nie można, to jednak pewna, że pan Jackowski na swoję summę ani grosza od niego nie wziął, proces toczy, ale go przegra jak Bóg na niebie.

— Otóż coś podobnego, — rzekł na to pan Sobolewski, — opowiadał mnie i pan Tarnowiecki. Hej, panie Tarnowiecki, jesteś tu, mówże.

— Ej! co to gadać! — odpowiedział pan Tarnowiecki młody, który siedział przy małym stole, — ot! okradli nas na dziesięć tysięcy i koniec. Skarżyliśmy się o to do sądu, ale zdaje się że nie będzie nic z tego, bo jakieś tam bałamuctwa niechcący porobił pan Koniecki nieboszczyk.

— O! a stary Dzianott znikł jak kamfora! — zawołał ktoś z kąta.

— Ba! trudno nie miał zniknąć, — rzekł Tarnowiecki,—kiedy tak pozarywał ludzi na wszystkie strony, że już nie było jak daléj kręcić.

— No! tak powiadają, — rzekł inny, — i to pewna, ale przecie rzecz dziwna, gdzie on popodziéwał tyle piéniędzy.

— Owa gdzie! — rzekł pan Urbański, — wziął ze sobą i koniec.....

— Ale bo mnie powiadano, — zabrał ktoś głos z drugiéj strony, — że się tu temi czasy albo i przed rokiem pokazał był drugi Dzianott, człek stary i dawny wojskowy, na którego część Zachoczewia przypada, a któréj mu oddać nie chcą. Był-li też taki Dzianott kiedy, czy nie?

— A to dobre! — rzekł pan Laskowski, — przecież znałem go osobiście. Michał mu było na imię. Małym chłopcem wziął go był na dwór swój jw. wojewoda sieradzki.

— Owo widzisz, panie Laskowski, — rzekł na to pan Urbański,—otóż to wszystko, co tu powiadają o tym Pakoszu, wszystko prawda *ad jotam.*

— A! to wielkie łotrostwo, — odpowiedział tenże, — ale jam o tém nie wiedział.

— A, jam i to wiedział, — rzekł znowu tamten, — i jeszcze co więcéj.

— Oj! pewno że więcéj, — odezwał się na to dzierżawca Zardenki, a najbliższy prawie sąsiad łowczyca, — bo to waszmość anibyście wierzyli temu, co tam się dzieje.

I dopiéro zaczął opowiadać wszystkie łotrostwa Pakosza i wszystkie ztąd dla łowczyca wynikające szkody i cierpienia, a pan Urbański mu z swojéj strony pomagał. A kiedy już to wszystko opowiedzieli, smutno się zrobiło w winiarni i śród westchnień dały się słyszéć głosy:

— Oj! biednyż pan Osuchowski!

— Biédnyż pan stolnikowicz!

— Oto się doczekali!

— Oto dorobili!

— Oto doślubowali!

— A jabym przecie za łeb wziął pana szwagra i wyścigał!— mówił jeden.

— Ba! kiedy bo to zamknij diabłowi drzwi a on oknem: — zarzucił drugi.

— Alboż to waszmość nie słyszysz, — zarzucił trzeci, — że już tak on szwagierek obdarł ze wszystkiego pana łowczyca i tak go zniszczył do gruntu, że i jeśćby może nie miał co, kiedyby mu nie dał od siebie.

— Ej! ej! — mówił czwarty, — a czy pozwoliłaby na to pani łowczyna?

— Chora, chora! — zawołał piąty, — leży już czas niemały.

— O! to biéda, mospanie! — zawołał szósty.

A kiedy tak wszyscy wzdychali, zabrał znowu głos pan Laskowski i zbijając ile możności to, co na obronę Bartka powiedział pan Urbański, starał się nowemi argumentami prowokować niechęć ogólną przeciwko temu przybyszowi. A że replikował dość grzecznie i bez obrazy, a przytém równą niechęć okazał przeciwko Pakoszowi, więc już mu nie zaprzeczał daléj pan Urbański, ale owszem, co do Pakosza nawet silnie pomagał.

Aby na szlachtę wpłynąć w winiarni, a nawet i po za winiarnią, wcale nie wiele potrzeba, nie dziw więc, że wkrótce zrobiło się dość głośno na tym sejmiku, a po upływie godziny już i całemi gardłami krzyczeli:

— Bić! zabić! a przynajmniéj wypędzić i dać dobrą odprawę!

I zrobił się tumult, ale cóż z tego? mając cel prawie niejasny a planu żadnego, ucichł on znowu niebawem, a nim ucichł, połowa szlachty się wyniosła do domów. Potém z téj połowy, która została, wyniosła się znowu połowa, a ci, którzy się już na sam koniec zostali, posiedzieli w cichości jeszcze jaką godzinę, nagadali się do syta, nawzdychali nad swych braci niedolą i z niczém się rozjechali.

Takich posiedzeń w téjże saméj winiarni a zapewne i w domach prywatnych, na których wprowadzona była dysputa o braci ślubnych nieszczęściu, było niemało pod one czasy, ale każde z nich się kończyło li na samém oświadczeniu współczucia i żalu i skutku za sobą nie pociągnęło żadnego, krom tego, że dla uciskających niechęć i pogarda utrzymywała się w ciągłéj wibracyi.

Tymczasem o późnéj jesieni, w parę tygodni po onym ostatnim stolnikowicza wypadku z Julią, łowczyc, ukończywszy swoję egzekucyą, powrócił do domu.

Już to od czasu ożenienia się jego nie raz mu się zdarzało, że powracając do swojéj siedziby, im bliżéj dojeżdżał do dworu, tém mu się ciężéj robiło na sercu, a kiedy już w bramę zajeżdżał, prawie łzy mu w oczach stawały. Ale teraz jeszcze go mocniéj dojęło to samo uczucie; odetchnął był przez czas swojéj podróży

cokolwiek, odzwyczaił się od onych przykrych widoków, zapomniał myśléć o swojém położeniu, a nakoniec przeczuwał już niemało nowych łotrostw Pakosza, na których popełnienie tyle mu czasu zostawił — i to wszystko tak srodze go zasmuciło, że jeno wzdychał przez całą drogę, a kiedy w swoję własną bramę wjeżdżał, to kark mimowolnie pochylił, jak gdyby mu miano jarzmo zakładać.

Jakoż nie omyliły go te niedobre przeczucia. Najpiérwéj bowiem zastał matkę swoję kochaną na łożu leżącą już od kilkunastu dni, a z jéj oczów, z jéj twarzy wyrazu i zgoła z jéj własnéj mowy, zdawało się, że już się wysnuwa pasmo tych dni doczesnych i lada dzień się wysnuje do końca. Potém zastał żonę tak jakoś zmienioną, tak bladą śmiertelnie i tak wychudłą, że kiedy wyszła ku niemu na ganek, zdawała się być cieniem tylko jakiéjś dawno już nieżyjącéj kobiéty. Łowczyc nie kochał swéj żony ową miłością gorącą, która się pali płomieniem w dnie pogodne a mgleje w pochmurne, ale zawsze był przywiązany do niéj i los jéj go szczérze zajmował, więc go to także niepomału dojęło. A dobiły go już do reszty rzeczywiście dokonane nowe Pakosza łotrostwa. I były to już w istocie rzeczy takie, które mogły dobić i najpotężniejszego człowieka. Krótko bowiem mówiąc, z onego zamożnego i z wielką starannością zaopatrywanego gospodarstwa, w którém wszędzie wszystkiego pełno, a tu i owdzie nawet daleko więcéj, niżeli bywać zwykło u szlachty pomiernéj, zrobiły się pustki w całém tego słowa znaczeniu.

Łowczyc oglądnął pilnie to wszystko, matki i sług, zbuntowanych przeciwko niemu i prawie z szyderstwem mu odpowiadających, wypytał o resztę — i już tylko zapłakał nad sobą.

Znalazł on się bowiem li na łasce Pakosza.

Jednakże tego dnia myślał on wiele nad sobą i nad całém swém położeniem, i coś sobie obliczał, i coś mu się roiło po głowie, więc począł niecierpliwie wyglądać przyjazdu Pakosza. Jakoż drugiego dnia przyjechał ten karzeł, który wziął w niewolę olbrzyma. Obaczywszy go, łowczyc zaczął mu powoli przekładać to wszystko, o co mu chodziło, — ale Pakosz już ledwie raczył z nim mówić. A kiedy mu się uprzykrzyło słuchanie, wsiadł z góry na niego i prawie mu powiedział do oczu: że jest małoletni swą głową, że się źle rządził przez całe życie, że swojém głupiém gospodarstwem psuł interesa sąsiadom, i że dla dobra publicznego to być nie może, żeby w takim ręku zostawał majątek.

Na takie oświadczenie łowczyc zgłupiał z kretesem, nie wiedział co się z nim dzieje, nie umiał się połapać, senli to jest czy jawa, — i w tém pomieszaniu uczuć i myśli chciał coś replikować, ale już nie było sposobu. Duch Pakosza wzbił się wysoko po nad niego i pozyskał ową moc wszechwładną, która zabija w swém źródle wszelki opór moralny i rozbraja wszelkie siły fizyczne.

Te same słowa i o tym prawie czasie, a może nawet wcześniéj cokolwiek, powiedziała stolnikowiczowi Barbarka.

I jako dawniéj spokojne niebo braci ślubnych zamieniło się w ziemię, — tak teraz ziemia zamieniła się w piekło. I nędza ogarnęła duchowa i prawie nędza materyalna. Sługami się stali w swych własnych domach. Jeść im ledwie dawano i to prawie jak z łaski. W powyciéranych chodzili żupanach. Na bóty im wyznaczono piéniądze. Nikt im nie usługiwał już w domu, bo z piérwszych stali się ostatnimi.

W tak ciężkiéj będąc niedoli, jednę wszakże mieli rozrywkę i jednę pociechę. Oto nie broniono im brać strzelby na plecy i wychodzić na łowy. Używali téż téj swobody, o ile mogli, i o pewnych godzinach a najczęściéj o świcie, ze strzelbami na plecach, schodzili się oni na owych kopcach granicznych i ztamtąd razem się puszczali na łowy. Najczęściéj chadzali w lasy balogrodzkie, bo te im były najbliższe, ale rzadko oni tam szli na zwierzę. Nędza ich była tak wielka, że krom niéj, prawie już o niczém inném ani myśléć, ani mówić nie mogli. Siedząc tedy na pniaku, albo wlokąc się zwolna drogą lub polaną, wzdychali tylko do siebie i rozmawiali o sobie. A rozmawiając, odzywała się w nich nieraz chęć ratowania się, i ta chęć objawiała się tak gorąco, że zdawało się, że takim chęciom nie może na siłach zabraknąć. I zapewne były te siły, — ale już odwagi nie było; środka nie było, na któryby się zgodzili obadwa. Aż nakoniec już przestali zgoła mówić o środkach, a natomiast tylko dziwowali się chytrości i łotrostwu Pakosza, z grozą mówili o złości i gwałtowności Barbarki. I tak śród dziwowania się i grozy przed temi siłami, które ich gniotły, całkiem oczy odwrócili od siebie. I widzieli już tylko swoję nędzę i niemoc, zwątpili całkiem o sobie, a całą nadzieję swoję położyli li w Bogu, albo jakim szczęśliwym dla nich wypadku.

XVII.

Kiedyśmy za pomocą Grotta dośledzili tajemnéj schadzki jmć pani stolnikowiczowéj z nowym Balogrodu dziedzicem, poznaliśmy zaraz ów kawałek ziemi, który się rozciąga od dworu żernickiego aż do onych trzech krzyżów, stojących pomiędzy dwoma kopcami, odgraniczającemi w tém miejscu grunta żernickie od obszarów państwa balogrodzkiego. Otóż granica ta ciągnie się ztamtąd wprost ku zachodowi, prawie równolegle z ową gór rozpadliną, w któréj leżą wsie braci ślubnych, ciągnie się pod las bukowy, potém się wywija cokolwiek na prawo, spuszcza w poprzeczną gór rozpadlinę a z niéj znowu wychodzi na drugą górę, wprost przeciwległą tamtéj, na któréj ona dębina i kopce i krzyże.

Góra ta, na któréj się zchodzą granice Balogroda, Żernicy i małéj Żerniczki, w niczém jednak nie jest do tamtéj podobną. Bo podczas kiedy tamta, cała prawie piękną i równą zielenią okryta, z jednéj strony gęstemi ocieniona dębami, z drugiéj pięknym lasem bukowym, niby ukoronowanym trzema kształtnemi krzyżami, może się nawet nazwać piękną, ta, składająca się z samych bezkształtnych garbów, z wydm żółtą gliną świecących i szkaradnych jak paszcze ziewających wądołów, jest nietylko brzydką ale nawet tak niemiłe sprawia na przechodniach wrażenie, że każdy z nich mimowolnie od niéj głowę odwraca. Otóż grzbiet téj góry, po téj stronie, która się ku małéj Żerniczce nachyla, był onego czasu karłowatym i zrazu rzadkim okryty jałowcem, daléj ten jałowiec gęstniał cokolwiek, a nakoniec gubił się całkiem w niewielkiéj ale mocno gęstéj grupie starych skrzypiących jodeł.

Grupa ta jednak, lubo gdzieindziéj mogła się nawet przyczyniać do piękności widoku, bo była dziwnie bezkształtną i dziką, tutaj tylko podnosiła jeszcze okoliczną brzydotę, a składając się w większéj części z samych pniów szarych, strupieszałemi kawałami smolnéj kory okrytych i szumiąc a skrzypiąc przeraźliwie na wichrach, napełniała nawet strachem przechodniów—jakoż nocą nikt się nie ważył przechodzić tamtędy, a jeżeli i w dzień jaki myśliwiec tam się zabłąkał, to żegnając się, jaknajprędzéj z tego miejsca uchodził, oglądając się z przerażeniem to na one jodły brunatne, to na wądoł głęboki tuż z temi jodłami sąsiadujący, który nazwany tatarską pieczarą, może jeszcze bardziéj zatrwożoną wyobraźnię rozgrzéwał.

Pomimo to jednak, w téj okolicy wiło się kilka dobrze wydeptanych ścieżek w tę stronę i ową, a każda z nich, dochodząc do onych drzew grupy, wpadała pomiędzy nie i tam znikła. I zdawało się, jak gdyby w tym kawałku tak smutnie porzuconego boru, była koniecznie rzecz jakaś, którą ludzie nawiédzali. Jakoż rzeczywiście w samém wnętrzu tego kawałka lasu, co najstarszemi ocienioną drzewami i oszańcowana tak jakby umyślnie pozwalanemi pniami, stała chatka niewielka, drewuiana. Ta chatka, stojąca na saméj prawie balogrodzkiéj granicy, ale najbliżéj mająca do wsi i dworu pana łowczyca, była znajoméj nam Ewy mieszkaniem.

I jak taka góra szkaradna, i tak samotnie zostawiony kawałek lasu i jakieś ludzkie mieszkanie, nie miało w sobie nic osobliwego, tak téż i niczém nadzwyczajném nie uderzała zewnątrz sama ta chatka; zbudowana bowiem z kłótego siekierą drzewa, oblepiona gliną i mchem obetkana, dranicami przykuta, malutkiemi drzwiczkami i niewielkiém okienkiem witająca przychodnia, była ona tym wszystkim chatkom podobna, które sobie po wsiach budować zwykli ubodzy zagrodnicy. I sień jeszcze nawet w niczém się nie różniła od innych: ale już sama świetlica za to nie miała nigdzie drugiéj sobie podobnéj. A najpierwéj na wstępie uderzał każdego jakiś zapach tęgi i prawie uderzający, któren, lubo nie miał właściwie nic w sobie nieprzyjemnego, jednak dziwnie działał na nerwy i u słabszych sprawował na chwilę drżenie całego ciała. Potém była świetlica ta niezwyczajnie ogromną i raczéj do jakiéjś sali na prędce zbudowanéj podobną; jakoż gdyby nie to, że tylko jedno malutkie w niéj było okienko, można było rzeczywiście być zdania, że tę chatę zbudował sobie pan który sąsiedni i przeznaczył ją na dorywczy odpoczynek dla kompanii myśliwskiéj, a w tém przekonaniu mogło było jeszcze utwierdzać i to, że wszystkie ściany były gołe i nie było na nich żadnego świętego obrazu, ani żadnego znaku nawet tego, że kto tu mieszka, chwali jednego Boga. I zresztą była ta izba dość pusta. Po prawéj ręce od wchodu stał komin ogromny, który służył za komin i kuchnię; obok niego szafa od siekiery, na któréj pułkach pełno różnego rodzaju i formy

garnków i misek, słojów, słoików i flaszeczek. Po drugiéj stronie komina, drugi taki rząd półek, rownież zastawiony naczyniem, a na najwyższéj z nich, strach spojrzéć, trupia głowa leżała. Pod temi półkami znowu na ziemi i obok nich widać było kilkanaście różnych kości zbielałych i połamanych: jedne z nich były małe, jak kości dziécięce, drugie ogromne, jak olbrzymie lub końskie, a pomiędzy nie wąż się snuł obrzydliwy, wijąc się w kręgi, jak gdyby cały w najokropniejszym był bólu. Za kościami i wężem leżały wiązki różnych chwastów i ziół uschniętych, na nich siedział kogut czarny, jak gdyby przy nich na straży. Daléj w kącie stało łoże proste, kilkoma płachtami przykryte, a na niém leżał w kółko zwinięty kot ogromny, czarny, z błyszczącemi oczyma; przy łożu skrzynia, długa jak trumna i czarno pomalowana, a na niéj chusty jakieś, stoczek, kawałek świecy woskowéj, garnek i skorupa pełna węgli zgaszonych. Daléj ławy, stół prosty, na którym dzban wody i szklanka zielona, w przeciwległym kącie miotła, łopata — i zresztą pusto w całéj świetlicy.

Otóż był to już miesiąc grudzień, a dzień zdaje się siódmy, bo była to sama wigilia do Niepokalanego Poczęcia Najświętszéj Panny. A początek téj zimy onego roku był taki piękny, że z dawnych lat nic podobnego najstarsi nie pamiętali ludzie. Do Bożego Narodzenia bydło się pasło po polach i lasach, fabryki i budowle się odprawowały wszędzie, orano i pokładano, bo do tego czasu jeszcze ani jeden płatek śniegu nie upadł, dnie były wszystkie jasne i pogodne, jak gdyby śród lata, rankami przymrozki, a przez cały dzień słońce i ciepło.

Otóż, onego dnia prawie w samo południe, drzwi się otworzyły do chatki i weszła Ewa do swojéj świetlicy. Na jéj przyjście kogut uderzył w skrzydła i zapiał po dwakroć, kot skoczył z łoża na ziemię i przybiegłszy do niéj, począł się łasić u nogi, wąż się wysunął z pomiędzy kości i wypełznął na środek izby. A ona do nich:

— A kysz! a kysz! nie mam czasu z wami zachodzić! potém, potém! będzie dość czasu na to, bo i tak mam dzisiaj dzień wolny.

Ale kot przez to jeszcze uporniéj łasił się koło niéj, wąż aż do niéj przypełznął i koło prawéj nogi jéj się obwinął, a w drugą począł ją dziobać kogut. Na to ona znowu:

— A kysz! a kysz! nie dam teraz, bo nie mam czasu!

I odepchnęła kota od siebie, odtrąciła koguta, a węża ujęła w rękę i chciała go od nogi odwinąć, ale wąż trzy razy okrążywszy jéj kostkę, syczał tylko przeraźliwie i ruszyć się nie dał, kot przysunął się z drugiéj strony, a kogut napowrót z rozpuszczonemi skrzydłami i dziobem otwartym przyskoczył do niéj, jakby ją zgoła chciał do krwi ukąsić.

— Co to jest! — rzekła Ewa, — czy czują dzisiaj kogo te bestye? czy był tu kto może? hej! Starosto! ty najmądrzejszy, mów

co to takiego! — zawołała do węża. A wąż tylko wił się i syczał. Tedy znów Ewa:

— Jeść! jeść! o! jeść jeno, a więcéj nic!... ale być tu nikt nie był... i nikt dzisiaj nie będzie, boćbym przecie wiedziała... bo i któżby? a! a! a! może téż i młodzi przyjdą, choć nic nie mówili... mieli być wczoraj, nie byli; pewno to przebrzydłe mężysko siedziało w domu... no! no! dam wam jeść, dam... może potém czasu nie będzie...

To rzekłszy wstała z łoża, zdjęła z półki misę pełną mléka, do niéj puściła kilka kropel z drugiéj flaszeczki, i mléko zabiegło krwią. Potém tę krew z misą postawiła na ziemi, którą, przysunąwszy się do niéj zaraz, z wielkiém łakomstwem piły i wąż i kogut i kot. A kiedy tak piły te bestye, Ewa stała nad niemi, patrząc pilnie na ich apetyt, tak jak gdyby była rzymskim augurem i umiała ztąd przyszłość zgadywać. I coś zapewne odgadła, bo już misa próżna była, a ona jeszcze nad nią stała, myśląc i czoło sobie pocierając. Potém jakiś niepokój wymalował się na jéj twarzy, i dobyła siedem ziarn fasoli z kieszeni i rzuciła je na stół, potém rzuciła drugie siedem, a potém trzecie. I wpatrywała się pilnie w każden rzut, a twarz jéj się ciągle przedłużała i coraz większy na niéj było widać niepokój. A potém zebrała wszystkie dwadzieścia i jeden ziarn i rzuciła je wraz, a spojrzawszy w nie, zbladła i zawołała:

— Strach! śmierć!

A potém przypatrywała się jeszcze pilniéj temu rzutowi, a przypatrując się, twarz jéj coraz łagodniała i uspokoiła się; aż obeszła stół na około i rzekła:

— Ej! bałamuctwo! nie może być... rzucę potém jeszcze raz.

Tymczasem zaś nabrała chróstu suchego z pod komina, i rozniecila wielki ogień na nim; do tego ognia poprzystawiała różne garnuszki i ryneczki, w których były różnych barw i tęgości płyny i smażyła to, a obracając to w tém to w owém naczyniu łyżką metalową, stała tak i myślała, ręką się trzymając pod brodę.

A wtém, kiedy jeszcze nie było więcéj jak jedna godzina z południa, otworzyły się zwolna drzwi i wsunęła się Julia do świetlicy.

Na jéj widok odskoczyła Ewa o parę kroków wtył, i prawie ze strachem zawołała: — A co to? — Jakoż było się rzeczywiście czego przestraszyć.

Julia bowiem teraz wyglądała już tak okropnie, jak gdyby ją miano zaraz w grób kłaść, albo dopiéro z niego wyjęto. Twarz jéj była blada jak chusta, oczy w dół zapadły i prawie już zgasły, nos się zaostrzył, zsiniały usta i zwiędły jako listki róży, kiedy oderwane od kwiatu, długo na słocie pomokną. Zresztą cała jéj postać tak zwiędła i wychudła, piersi zapadły, a ręce tak wyschły okropnie, że kiedy stanęła pomiędzy tym ogniem ogromnym i oną babą czarownicą, to niktby był nie powiedział, że to jest żywa

ziemska istota, jeno duch jakiś przez nią zaklęty, albo trup wywołany z cmentarza.

I tak stały te dwie kobiéty naprzeciw siebie, Julia oddychając z głębi piersi po nużącéj choć niedalekiéj podróży, Ewa zaś milcząc z przestrachu i zadziwienia. Aż nareszcie odezwała się Julia, ale głosem tak słabym i bolejącym, że byłby mógł nawet skały poruszać:

— Ewo! jużeś i ty mnie opuściła nieszczęsną!

Ewa przez chwilkę jeszcze milczała, zawstydzona cokolwiek i pomieszana, ale prędko się ocuciła i rzekła:

— Panno moja kochana, dopomagałam wam pókim mogła, ale teraz Bóg widzi, że codziennie sobie głowę mozolę nad tém, jakby go do panny nazad powrócić, ale nie widzę sposobu.

Ewa Julią nazywała panną, bo tak często onego czasu nazywano młode kobiéty, którym nie przystawał tytuł jéjmości. A Julia na to:

— O tém, moja kochana, ja już sama dawno przestałam myśléć. Jakieś ciężkie przeznaczenie spełniło się nademną i nie zostawiło mi nawet żadnéj nadziei. Żyłam krótko i to w samych łzach i cierpieniach; myślałam, że mi Pan Bóg choć przy skonaniu jaki uśmiéch nadeszle... ale teraz widzę, że śmierć jeszcze będzie miała więcéj goryczy, niżeli jéj miało całe życie. Matka mnie odumarła, ojciec bez pożegnania odjechał, brat ze mnie szydzi i codzień mi złośliwiéj urąga, on mnie porzucił... o! gdybyś ty mnie była przynajmniéj tak nie odstąpiła zdradliwie!

— Ej! bo panna tak mówi—rzekła na to pocieszająco Ewa— jak gdyby już pewno miała umiérać. A tu jeszcze kopa lat stoi przed panną.

— Kopa! — zawołała z przestrachem Julia — nie mów tego Ewo! boję się śmierci, to prawda, ale daleko więcéj jeszcze boję się życia. Kopa lat takich! to okropnie. Ale nie, Pan Bóg łaskaw jest na mnie, on się ulituje nademną. Jam nigdy nic przeciw niemu nie zawiniła, ja się zawsze tak modlę do Niego... och! jak ja się modlę do Niego!...

— Aj! moja panno! — zawołała niby z litością Ewa — gdybyż to ja była wiedziała, że panna tak srodze tęskni, że tak desperuje, że tak nawet osłabła...

— Ach wiedziałaś dobrze —przerwała Julia — wszakżeś była u mnie w dzień potém, kiedy się to stało, jeszczem w łóżku wtenczas leżała...

— Byłam, panno — rzekła Ewa — to prawda, ale właśnie myślałam, że panna się wychoruje, wyleży, wypłacze, taj zapomni.

— Zapomni? — spytała Julia — nie, jeszcze nie... ale już niezadługo... w grobie cicho, głucho i wieczna niepamięć... tam ja o was wszystkich zapomnę. I ja już nic nie chcę. Jak dzień wczorajszy, jak młodość moja, jak matka nieboszczka nigdy się już nie wrócą, tak i nadzieja moja nawet już nie wróci. I jam już na to

wszystko gotowa, co mnie tam czeka... jeszcze tylko przed śmiercią... o Ewo! czemużeś ty nie przyszła do mnie?

— Ach panno...

— Słuchaj, jeszcze tylko chciałabym wiedzieć... czemu on mnie porzucił?

— Ja nie wiem — odpowiedziała Ewa — ani się nawet domyślić mogę. Pytałam, badałam na wszelkie sposoby, fasolkim nawet ciskała... a! fasolki! — zawołała Ewa, jak gdyby sobie coś przypomniała i mówiła daléj już szybko: — panunciu moja! ja dopiéro co fasolki rzucałam i tak mi tam stało coś brzydko... czegoś się boję dziś cały dzień... żeby tu tylko kto nie nadszedł... ot! wié panna co, ja tam zbiegnę wieczorem, a idź panna teraz ztąd, tu niebezpieczno.

— Iść? — spytała Julia z ciężkiém westchnieniem — ha! pójdę i ztąd... tylko niech trochę siądę i odpocznę.

— To siądź panna na chwilę na łóżku — odpowiedziała Ewa i prowadziła ją ku łożu. Ale Julia ledwie parę kroków zrobiwszy, krzyknęła nagle, odskoczyła ku Ewie i chwyciwszy się jéj ramienia, z przestrachem mówiła: — wąż!

— To nic, panno — mówiła łagodnie Ewa — to wąż domowy, on nie ukąsi...

Ale wtém Julia krzyknęła znowu:

— Ach! i twarz kryjąc ku Ewie — to okropnie mówiła.

— Cóż panno? — spytała Ewa.

— Trupia głowa, — wyszeptała, drżąc od przerażenia żona łowczyca.

— Ej! bo nie patrz panna tam na te rzeczy — rzekła jéj niecierpliwie Ewa — spocznij sobie panna i trzeba iść, bo tu niebezpiecznie.

Ale Julia, siadając na łożu, chwyciła się ręką Ewy i prawie obłąkanym głosem już się pytała:

— Gdzież ja jestem? co się dzieje? Ewo! zmiłuj się, nie odchodź odemnie...

Ewa się nachyliła nad nią, ale niecierpliwiła się widocznie i starając się zwolna odczépić rękę Julii od swojego rękawa, z jakąś obawą poglądała ku drzwiom.. a wtém drzwi się otworzyły z łoskotem i w kapeluszu okrągłym na głowie, z pręcikiem w ręku, wpadła na środek izby Barbarka.

Na ten widok Julia w mgnieniu oka twarz swoję zakryła w chustkę, którą miała zarzuconą na głowę — Ewa skoczyła ku Barbarce i zapewne ją chciała natychmiast nawrócić; ale Barbarka, nic nie tracąc fantazyi, odsunęła lekko czarownicę od siebie i spytała:

— A co to za gościa masz Ewo?

Ewa nic nie mówiła. Ale Barbarka, nic nie zważając na to, przystąpiła pomału do Julii i zaglądając jéj w oczy, zawołała szyderczo:

— Aaa! to pani łowczycowa dobrodziéjka! cha! cha! cha! a cóż to piękna pani tu robi? taka piękna, taka cudna, najpiękniejsza na cały powiat a może i na kraj cały! co pani tu robi? czy narada jaka z łaskawą jak widzę na wszystkich Ewą? czy może już schadzka jaka? a z kimże to schadzka, jeżeli wolno zapytać? z panem stolnikowiczem? co? z dawnym swoim kochankiem? tak? a to bardzo ładnie, bardzo przykładnie, bardzo nawet cnotliwie...

Na to Julia tylko się jeszcze głębiéj w swoję chustkę obwinęła i drżąc na całém ciele, słuchała, a Barbarka tak daléj:

— Nie obwijaj się, ty bezwstydna zwodnico, nie kryj tego lica obrzydliwego przedemną, bo je znam dobrze i wiem, co na niém stoi napisano! Dawno już zbiérałam się ci wyrzucić wszystkie twoje występki na oczy, dawno ci już to należało; ale teraz sam Bóg cię oddaje mi w ręce, ażebym się zemściła nad tobą i ukarała cię tak, jakeś sobie zasłużyła. A więc wstań i mów, gdzie ty masz serce i sumienie, sama mając męża, uwodzić drugiego i zakłócać szczęście i spokój mojego domu? To ty masz serce, ty masz miłość dla niego? Ty jego kochasz? Patrzaj, do czegoś go doprowadziła! stróż nocny ma lepiéj w domu moim, niżeli ten mazgaj obrzydły. Ale co mi tam na tém! wy się kochacie, wy się widujecie sobą, wyście szczęśliwi. Ale cóż ja tobie winna, ty zahoczewska bogini, żeś mi się tak przysłużyła? Czemużeś się nie pilnowała w twojéj miłości z twoim Józieńkiem kochanym, żeby się był z tobą ożenił i uszczęśliwił cię swoją cudną osobą? czemużeś go porzuciła natenczas, dopóki mógł być twoim, czemuś mnie go rzuciła w ręce, a teraz, kiedy on mnie wiarę zaprzysiągł, znowuś mnie go zabrała? Och! a ja płaczę krwawemi łzami, samotna, opuszczona siérota! — wołała Barbarka płaczącym głosem do Julii, ale uśmiéchając się bokiem do Ewy. A potém znowu innym tonem do Julii: — No! ale ja się mścić nie chcę nad tobą! równo za równo, kto wié, możebyś ty się znowu kiedy zemściła nademną. Więc masz się tu widziéć z Józefem? to dobrze, bardzo dobrze. A obiecał że przyjdzie? i pewnie przyjdzie? dotrzymuję ci słowa? dochowuje ci wiary? co? a zazdrosna jesteś o mnie? każesz mu mnie unikać? co? sypiasz przez to spokojnie, choć sobie przypomnisz, że on jest moim mężem? gryzie cię to? martwi? co? no, mówże piękna pani! mów, czego milczysz? mów, nałożnico pana stolnikowicza! — krzyknęła głosem nielitościwa Barbarka.

A wtém drzwi się znowu rozwarły na ścieżaj i wskoczył do izby Bartek, ale to tak prędko, że nim się tamte spostrzegły, on już Barbarkę trzymał w swoich objęciach. Nie spodziéwając się tego, Barbarka wydarła mu się prędko, i chcąc to naprawić, rzekła do niego:

— A ty co tutaj robisz, kochany bracie? — Spostrzegł się i Bartek i odpowiedział:

— Jechałem do was, i widząc zdaleka, żeś wyjechawszy na acer, tutaj wstąpiła, zajechałem po ciebie. — Na to Barbarka:

— Otóż niechcący oboje trafiliśmy na piękną scenę. Przypadkiem odkryliśmy tajemnicę. Ta piękna pani, sąsiadka nasza, żona najwierniejszego przyjaciela mojego męża, pani łowczycowa z Żerniczki, albo już miała, albo mieć zaraz będzie schadzkę z panem stolnikowiczem.

— A to w takim razie... — rzekł na to Bartek, robiąc ruch ku drzwiom i dając do poznania, że czas się wynosić. Ale i Ewa i Barbarka jednocześnie mrugnęły na niego, że to tylko tak mówią, i że ani się śni stolnikowiczowi tutaj przychodzić, więc Bartek się zatrzymał. A Barbarka mówiła daléj:

— I to ładne są rzeczy. To jest cnota staropolska, to owo przesławne wychowanie onych jeszcze sławniejszych matek, to jest przysięga złożona w ręce księdza przy ślubie, to nakoniec żona, która zachowuje w czystości honor swojego męża i honor jego najwierniejszych przyjaciół...

Ale tu już Julia pomimo swego osłabienia i przerażenia daléj nie mogła wytrzymać. Wszystka krew, jaka była jeszcze w jéj żyłach, zbiegła się do jéj twarzy, usta jéj nowém życiem zadrżały, oczy się roziskrzyły niezwyczajnemi ogniami i cała postać nabrała jakiéjś niewidzianéj przedtém energii i siły. Wstała więc, i chustkę zrzuciwszy z twarzy, stanęła śmiało przeciw Barbarce i tak zaczęła:

— Nie! dłużéj już milczéć nie mogę! Choćbym miała ostatni mój oddech przy tych słowach wyzionąć, umrę, a powiem. Więc to ja jestem zwodnicą twojego męża, ja kalam sławę twojego domu, jam tu przyszła na schadzkę! A któż to w swoje sidła uwikłał, kto uwiódł i mnie prawie z rąk wydarł pana Józefa? kto pokalał honor jego imienia i domu, że cały świat dzisiaj o tém gada? kto tu już od kilku miesięcy na schadzki przychodzi? kto utrzymuje kazirodczy związek z własnym stryjecznym bratem? kto jest ten pan i po co tu przyszedł? ty! tyś jest...

Ale daléj już nie mogła mówić opadająca z sił Julia, bo wymówiwszy ostatnie słowa chrypliwym głosem, prawie w zupełnéj bezwładności napowrót na łóżko upadła. I zdawało się, że z temi kilkunastoma słowy, poczętemi głosem silnym ale potém coraz upadającym, rzeczywiście resztę siły żywiącéj ze siebie wyzionęła Julia, — tak jako lampa, która, pożérając resztki oleju, długo mdłém tylko i coraz słabszém błyszczy światełkiem, potém buchnie kilka razy silnym i jaskrawym płomieniem i — gaśnie. Na nią z piorunowemi na ustach słowy chciała się rzucić Barbarka, ale ją Bartek powstrzymał, a tymczasem Ewa poszła trzeźwić Julią, która z osłabienia cokolwiek omdlała i krew jéj się pokazała na ustach. A otrzeźwiwszy i posadziwszy ją w kącie łoża, przystąpiła do państwa młodych i prosiła na wszystko, ażeby się jaknajprędzéj rozeszli, bo już dzisiaj dzień jakiś niedobry. I Bartek zgadzał się prawie na to, tylko chciał jeszcze choć słów kilka pomówić i coś na jutro ułożyć. Ale Barbarka ani sobie mówić

o tém nie dała, utrzymując że ani było, ani jest się czego obawiać, i że ona ani myśli się ztąd ruszać tak prędko. I powstał spór o to pomiędzy tém trojgiem osób. I z początku spór ten był cichy; bo był przeplatany naradą, jak sobie teraz postąpić z Julią, ażeby się przed nią cała rzecz nie wydała: ale kiedy Ewa załagodzenie Julii brała na siebie, a na teraz ani mówić chcąc o tém, koniecznie nastawała na trzymających się za ręce kochanków, ażeby się jaknajprędzéj rozeszli, spór się zrobił głośniejszy i żwawszy, a Barbarka nawet poczęła z góry przysiadać Ewę, czyniąc jéj, jak to u niéj było zwyczajem, najkapryśniejsze i jaknajmniéj ugruntowane zarzuty.

A dnia tego samego, kiedy to się działo w chatce u czarownicy, bracia ślubni swoim zwyczajem wyszli byli jeszcze równo ze świtem na polowanie do balogrodzkich lasów. Przyszedłszy tam, puścili sforę psów łowczycowych a sami nieopodal od siebie stanęli na jednym i tym samym przesmyku. I stali tam jakiś czas i z początku słyszeli psów granie gdzieś zblizka, potém daléj i daléj: aż nareszcie głosy ucichły zupełnie, psy się gdzieś rozbiegły po lesie. To widząc, łowczyc chciał już w trąbkę uderzyć, psy zwołać i nanowo niemi podłożyć, ale stolnikowicz, który stał jakiś smutny i tak niechętny, jakby był na pańszczyźnie, zawołał ku niemu: — Daj pokój!

A kiedy łowczyc się przybliżył do niego, rzekł mu ciszéj:

— Daj pokój, bo i tak nic z tego nie będzie. Jakiś niezdrów jestem dzisiaj, nic a nic nie mam ku zwierzynie rankoru i zaraz szedłbym do domu.

— A to dobrze, rzekł na to łowczyc, powodując się swemu bratu, — pójdziemy, ale ja przecie psy zwołam do nogi, bo ich tam kto pojma na lesie.

— Jak chcesz, — odpowiedział stolnikowicz, cedząc przez usta. Tymczasem łowczyc uderzył w trąbkę raz, drugi i trzeci i wpół godziny może przecie psy dały się zbić ze swoich nowowynalezionych tropów i z pospuszczanemi ogonami poprzywlekały się do nóg swojego pana. A kiedy już je łowczyc pojmał i zesforował, rzekł do stolnikowicza:

— Cóż teraz?

— Co? — spytał tamten, — albo ja wiem? ot! chyba wleczmy się pomału do domu.

— Czas jeszcze, — rzekł na to łowczyc, poglądając w słońce, — jeszcze nie dochodzi południe... ale kiedyś nie zdrów i niemasz dzisiaj fantazyi, to chodźmy.

— Dzisiaj fantazyi! — powtórzył z westchnieniem pan Józef, — trudno panie bracie było o nią i wczoraj, trudno już snać będzie i jutro! ot! prawdę mówiąc, tyle naszego, cośmy tam kiedyś, kiedyś przeżyli.

Na to łowczyc już tylko westchnął i puścili się bracia na dół lasem, potém zeszli na drogę, potém przebrodzili Hoczewkę, aż téż

weszli nakoniec na oną wązką i nierówną dróżynę, która wiodła ich ku Żernicy. A idąc, nie rozmawiali już nic o swéj nędzy dzisiejszéj, o swoich smutkach i cierpieniach, jeno przypominali sobie te i owe dnie z dawnych, szczęśliwszych czasów. A kiedy przyszli na ono miejsce gdzie się dzieliły ich drogi, to jest, gdzie z onéj wązkiéj dróżyny, wiodącéj do wsi stolnikowicza, wywijała się ścieżka przez oną górę, na któréj on kawałek jodłowego boru, opodal od chatki i onéj Tatarskiéj Pieczary, wprost do dworu łowczyca, stanęli obadwa mówiąc:

— Którędyż teraz?

— Chodźmy chyba za ścieżką,—rzekł na to łowczyc,—przykrzejsza to droga, ale bliższa. Zresztą spoczniemy sobie na górze, potém spuścimy się do wsi, do mojéj niegdy a teraz pana Pakoszowéj, ztamtąd ja pójdę do siebie, a ty już, jeżeli nie będzie łaska wstąpić, prosto do siebie.

Wzięciu tego kierunku drogi stolnikowicz się zrazu sprzeciwiał, bo obawiał się, ażeby kiedy przyjdą do Żerniczki i będą niedaleko od dworu, łowczyc go gwałtem nie pociągnął do siebie; ale kiedy nakoniec tak ułożył, że z wierzchołka góry każden z nich wprost pójdzie do siebie, stolnikowicz już był spokojny i puścił się ścieżką. I szli jeden za drugim, sapiąc potężnie i chwytając się jałowców, które gdzie niegdzie rosły przy ścieżce. Aż wyszli na sam wierzch góry, zkąd widać było tuż niedaleko one jodły otaczające chatkę Ewiną i dębinę na tamtéj górze i kopce, i krzyże i wszystkie grzbiety i garby gór okolicznych, a nawet wierzchołki drzew ogrodowych, tak tu blizko we dworze łowczyca, jak i tam daléj we dworze stolnikowicza. Tam, napoiwszy się tym rozległym widokiem i odsapnąwszy cokolwiek, usiedli na pniu powalonym niedaleko od ścieżki leżącym—i była wtenczas może jedna godzina z południa.

Jakoż tego dostrzegając po słońcu, rzekł łowczyc:

— Otóż jak chodzimy ze sobą za zwierzem, takeśmy jeszcze ani razu nie powrócili tak wcześnie do domu.

— Ej! wszystko to jedno, panie bracie,—rzekł na to tamten,—czy się wróci wcześnie, czy późno, zawsze się jedno zastaje.

— Jedno i jedno! — odpowiedział z westchnieniem Stanisław.

A potém znowu milcząc, odpoczywali. Aż odsapnąwszy dobrze, odezwał się znowu Stanisław.

— Tak mi się widzi, że jest dzisiaj wigilia do Niepokalanego Poczęcia Najświętszéj Panny. Dawnego czasu w ten dzień, jako *Sodales mariani*, odprawialiśmy przykładną pokutę z suchotami i modlitwami, śpiéwało się téż przytém piosnkę do téj naszéj Patronki i działo nam się wtedy podobno niezgorzéj.

— Dzisiaj,—rzekł na to stolnikowicz,—odprawia się codzień pokutę... ale o modlitwach i pieśniach prawie się zapomina.

— Ot! chyba zanućmy, — rzekł łowczyc, — ja ją jeszcze pamiętam.

Jakoż przeżegnawszy się zaraz i pozdejmawszy z głów czapki, poczęli pieśń, która dwoma basami z ust ich wychodząc i brzęcząc koło nich, odnosiła mniéj więcéj ten skład:

Witaj Pani! My poddani
Do nóg padamy!
Lecz nie insze mamy czynsze;
Które składamy:
Tylko serca skruszone, Twojéj czci poświęcone.
Z takiéj dani
Śliczna Pani
Racz być kontenta!

Rzecz to jawna, żeśmy zdawna
Dług zaciągnęli,
Gdyśmy z czystych, macierzystych
Rąk szkaplerz wzięli,
I dobrze nam w téj barwie, bo tych piekło nie zarwie
Co szkaplerzem
Jak puklerzem
Są uzbrojeni.

Ale za te tak bogate
Orderu znaki
Cóż Ci damy?... Nic nie mamy
Ziemskie żebraki!
Tylko duszę i ciało, Weźże i to choć mało.
A tak będzie
Głośno wszędzie,
Żeśmy Twoi poddani!

Nie tak zbrojny podczas wojny
Żołnierz w szyszaku,
Jak w zbawiennym, dwuramiennym
Maryi znaku.
Jeszcze kula nie była, by te suknie przeszyła,
I granaty
Od téj szaty
Odpadać zwykły.

Więc Téj Pannie nieustannie
Śpiéwajmy dzięki,
Żeśmy wzięli, znak przyjęli
Z Jéj świętéj ręki.
Z Twoją suknią, gdzie była, szczęśliwość się złączyła:
Toć i Ciebie
Panno w niebie
Ze znaku poznać!

Ale ledwie co tę pieśń skończyli i powiedziawszy Amen, po raz wtóry się przeżegnali, wstał zaraz Bobowski, i spojrzawszy na

prawo, właśnie ku onéj drodze wiodącéj do Żernicy, wskazał palcem przed siebie i rzekł do łowczyca:

— Czy mi się tak zdaje, czy rzeczywiście jedzie tam ku lasowi jakiś pachołek na jednym koniu, a drugiego wiedzie luzem przy sobie?

Łowczyc wstał, a popatrzywszy tam także, rzekł:

— A jedzie... i to trzeba wiedzieć, że to Bartków pachołek i ono koń Bartków ten siwy, co to z czarną grzywą i czarnym ogonem.

— Hm!—rzekł na to Bobowski,—prawda... ale gdzież pan się podział?

Aż tu w tym momencie łowczyc obróciwszy się więcéj na lewo, krzyknął:

— Hej! a toż tu znów twoje konie, panie bracie.

— Gdzie? — spytał Bobowski, obracając się za nim na lewo. A ten znów na to:

— Ot! pomiędzy temi jodłami, kędy czarownicy chałupa... ot! ot! już się schowały.

— Pewnieżto moje konie? — spytał poważnie pan Józef.

— A jakże nie! — rzekł łowczyc stanowczo, — przecież dobrze widziałem. Stary kasztanek na którym jeździ twoja jéjmość, tegom poznał pewnie, a drugie było białe i tak mi się zdaje, że to ona klacz zaprzężna, którąś kupił od Chojnackiego, a która ci jeszcze z onéj piątki ślubnéj została.

— Cóż to ma znaczyć?—zapytał stolnikowicz, patrząc smutnie na swego brata.

— Co? trudno wiedzieć, — odpowiedział tamten, — ale już tak wypada, że tu gdzieś musi być Bartek, bo jego konie oczewiście rząd powracały, i tu gdzieś także Barbarka.

— Hej! nie dajże tego Boże! — zawołał na to, zapalając się Józef, — bo człowiek siła zniesie dla uniknienia ludzkich języków, ale kiedyby miała być hańba jaka, tedy może i jabym dał gardło, ale żebym im obojgu wszystkie kości połamał, to więcéj jak pewna. Pójdę tam!—i puścił się prosto ku onemu lasowi. Ale łowczyc zawołał na niego:

— Czekaj! tu chodźmyż obadwa.

Na to stolnikowicz się chwilkę zamyślił, ale wkrótce rzekł:— Dobrze.

I tak poszli obadwa.

I właśnie w téj chwili, kiedy taki nieład i kłótnia była w nieprzyjacielskim obozie, kiedy Ewa koniecznie usiłowała uprosić sobie to u młodéj pary, aby się jak najprędzéj rozeszli i kiedy Barbarka Bartka trzymając za rękę, już z gorącą niecierpliwością sprzeciwiała się temu i drwiła sobie z jéj obawy i wszelkiego niebezpieczeństwa, — jeszcze raz się drzwi otworzyły u chaty i weszli obadwa bracia ślubni.

Piérwszy widok, który stolnikowicza uderzył, była owa bliz-

kość i czułość, w któréj tuż przy sobie stała ta para miłosna, — i jeżeli już w nim, nim doszedł do chaty, wszystka krew się wzburzyła, to teraz ta krew wszystka uderzyła do jego twarzy, wszystkie siły jego ducha zestrzeliły się w gniew i energią, jakoż trzęsąc się prawie cały, jeszcze we drzwiach rękę podniósł i strasznym głosem zawołał:

— Tak! moi państwo! to tutaj wasze drogi was wiodą!

Na ten głos, jakby wodą gorącą sparzeni, odskoczyli wszystko troje od siebie: Ewa na prawo ku kominowi, Bartek na lewo pod okno, a Barbarka pomimo całéj siły swojego ducha, jak gdyby od kogo trącona, zatoczyła się w głąb świetlicy. Jednakże ona piérwsza była, która przyszła do przytomności, jakoż w jedném mrugnieniu oka wystąpiła wprost przeciwko mężowi. mówiąc dość głośno i silnie:

— Czego tu chcesz! czego mnie straszysz! zbieraj się i ruszaj do domu!

Widząc jaki obrót bierze ta scena, i Ewa także zebrała się prędko i nim jeszcze słowa Barbarki przebrzmiały, przyskoczyła do stolnikowicza, który stał tak chwilkę nieruchomie, jak gdyby się w posąg kamienny obrócił, i zaczęła go prawie wypychać, mówiąc:

— Czego jegomość tu chcesz! ruszaj sobie z mojéj chałupy!

Ale wtém się stolnikowicz ocucił i kiedy to krzyknie do żony:

— Milcz! ty potworo przeklęta! Koniec jest dni twoich hańbnych! — to aż się ściany w chałupie zatrzęsły, — a w tymże samym momencie Ewa, odtrącona silną ręką stolnikowicza, powaliła się jakby snop ciężki na ziemię.

I zrobiła się cisza, jak w grobie.

A śród téj ciszy Bartek, stojący dotychczas w pokornem osłupieniu pod oknem, otrzeźwił się trochę i ruszywszy się z miejsca chciał się z po za łowczyca, który jak kolos rodyjski stał przy drzwiach i głową pułapu dosięgał, do sieni wysmyknąć. Ale łowczyc spojrzał ostro na niego i rzekł mu z flegmą ale stanowczo:

— Czekaj!

Na to Bartek się cofnął, ale téż zaraz do niego w te słowa:

— Mości panie, znasz mnie, kto jestem, wiész gdzie mieszkam jeżeli masz do mnie pretensyą, daję parol kawalerski...

Ale łowczyc patrzył na niego jak lew na małego węża i przerwawszy mu, a wskazując ręką miejsce pod oknem, rzekł znowu tym samym głosem:

— Tu czekaj!

Przeciw temu jeszcze raz protestował Bartek i skacząc niecierpliwie na miejscu, chciał coś mówić, ale łowczyc już mu nie dał i słowa powiedzieć, tylko rękę prawą wyciągnąwszy nad niego rzekł znowu z flegmą:

— Milcz i czekaj! bo zaduszę przed czasem.

I Bartek umilkł stanął pokornie na miejscu wskazaném, ale tak pokornie, że pomiędzy nim a tym, ktorego prowadzą na ścięcie; nie było żadnéj różnicy.

Przez ten krótki moment, kiedy łowczyc uspokajał Bartka a stolnikowicz trząsł się cały, opanowany gniewem i wzburzony do głębi, Barbarka, która twarz rękami zakrywszy, stała pod ścianą drzwiom przeciwległą, i Ewa, która się już zebrała ze ziemi, nanowo się otrzeźwiły i jak gdyby jednym duchem natchnione, odważyły się na krok ostatni i rozpaczliwy. I rzuciły się prawie z pięściami na stolnikowicza. Ale i to już się na nic nie zdało. Stolnikowicz bowiem teraz obiedwie te kobiéty jeszcze silniéj odtrącił, tak że Ewa upadła aż na one kości pomiędzy koguta i węża, a Barbarka się zatoczyła aż pod ścianę i uderzyła sobą o ławę tam pod ścianą stojąca. To wszakże odmieniło w okamgnieniu jéj ducha. Jakoż tamże na ławie osłabiona usiadła i tak samo twarz swoję chustką zakryła, jako Julia, która dotąd niewidziana w ciemnym kącie chaty na łożu siedziała.

A kiedy już tak się uspokoiło po prawéj stronie w świetlicy, obrócił się pan Józef do Bartka i spytał:

— A jakże będzie z nami, paniczu? — Ale łowczyc mu na to:

— Dajno pokój, panie bracie, to już będzie rzecz moja.

— Ale jam jest shańbiony! ja łaknę téj krwi diabelskiéj! — zawołał pan Józef.

— Ale ja lepiéj — odpowiedział z flegmą Stanisław, a obróciwszy się do Bartka:

— Mości ponie! mógłbym tu zrobić z tobą, coby mi się żywnie upodobało. Mógłbym się pobawić z tobą do woli, mógłbym cię za uszy wytargać, mógłbym ci dać trzy tysiące batogów a potém cię poszarpać jak piérze i dmuchnąć w powietrze — i pewnoby to z tobą uczynił kto inny. Ale ja wiem także co honor kawalerski, chociażem w Paryżu nie bywał. Więc kiedy waszmość nawidzić?

— Kiedy się waszmości podoba — odpowiedział, wolniéj oddychając, Bartek — jam gotów na każdą chwilę.

— O! tak nic potém — rzekł łowczyc — boć tu trzeba będzie ład jakiś zrobić, bo to nie będziemy grać ze sobą o kréski, jeno już sobie pójdziemy o gardło.

— Mój bracie! — zawołał na to Bobowski — pozwólże mnie téj satysfakcyi.

— Nie! — rzekł łowczyc stanowczo — ja go mam dawniéj na oku i długo już czekałem téj okazyi. Więc kiedy? — spytał znów Bartka.

— Co dzisiaj mamy?

— Środa — rzekł łowczyc.

— Więc w sobotę — powiedział Bartek.

— A gdzie? może tutaj *in loco delicti*?

— A gdyby u mnie? — zarzucił już całkiem przytomnie i nawet wesoło Bartek.

— *Bene*, — rzekł łowczyc, — ale parol! bo i na końcu świata wynajdę.

— Nie potrzeba będzie daléj szukać jak w Balogrodzie. Karszniccy nie uciekają z placu. Ścielę się do nóg! — rzekł Bartek i wybiegł prawie ze świetlicy.

Pożegnawszy Bartka, obrócił się łowczyc do stolnikowicza i zawołał:

— *Victoria!* panie bracie. Tak czy owak dał Pan Bóg, to Jego wola, ale że już koniec temu diabelskiemu panowaniu, to pewna. Bo dał ty radę twojemu wrogowi, wezmę ja teraz za łeb... — a wtém dojrzał Julią na łożu siedzącą, i poznawszy ją jednym rzutem oka, zawołał: — W imię Ojca i Syna! a to co takiego?

Stolnikowicz także tę postać wybladłą obaczył i także się zdziwił, tymczasem zaś łowczyc, przystąpiwszy do żony, zapytał:

— A asińdźka co tutaj robisz?

Ale Julia już prawie była pół martwą, ledwie téż zdołała wyszeptać półgłosem:

— Nic, panie mój... przyszłam tutaj przed chwilą i zastali mnie tak siedzącą...

— Co to jest! — krzyknął łowczyc, — zjazd jakiś na łyséj górze! zmowa z czarownicami!

I porwawszy Ewę za obadwa ramiona, zatrząsł nią, że aż się cała twarz przekrzywiła téj babie piekielnéj i zapytał:

— Co to była za schadzka! mów mi tu zaraz babo! zmawialiście się na nas? chcieliście nas potruć, czy pozabijać?

Ewa skostniała w jego rękach i ani słowa nie mogła wymówić, ale Julia, dobywszy jeszcze raz wszystkich sił swoich, wstała i rzuciła się do nóg mężowi, mówiąc ze łzami:

— Daruj, panie mój! źiem uczyniła, żem tutaj przyszła, ale żadnéj zmowy tutaj na ciebie nie było... przysięgam ci!...

To chwyciło za serce łowczyca, jakoż podniósł żonę ze ziemi, i posadziwszy ją na łóżku rzekł:

— Wierzę ci, moje dziecko. Ale po co tutaj przychodzić? Siedźże tu, ja cię sam odprowadzę do domu.

Poczém, obróciwszy się do Józefa, tak rzekł:

— Panie bracie! Pan Bóg sam się nad nami zlitował i pokazał drogę, którą daléj iść mamy. Szanujmyż się, ażeby...

A stolnikowicz przerwał mu, mówiąc tak:

— Wiem już, co daléj robić mamy. Moja żona godna jest męki najsroższéj i śmierci za tę hańbę piekielną, którą memu domowi przyniosła. Ale ja tego nie chcę. Wszakże nie odstąpię od tego ani na krok i musi na wieczne czasy zamknąć się w murach klasztornych. I chybabym przy życiu nie był, gdybym od tego odstąpił! Ty zaś...

— Ja, — rzekł łowczyc, — nie dajże tego Boże, ażeby mi ten pan mój wpadł teraz w ręce, bo duszą zionie w mych rękach. I dam ja już sobie z nim radę i potém.

Więc zaraz wyszedł stolnikowicz w on lasek jodłowy, który chatę otaczał, i odszukawszy pachołka Barbarki, którego już przedtém widział i kazał mu czekać w pewném miejscu, posłał go do siebie, ażeby wtenczas zajechał tam cztérokonny karabon i przyszło z nim kilku ludzi.

A kiedy w krótkim czasie ten karabon zajechał, wsadzono doń i na wpół umarłą Julią i szamocącą się od gniewu a wciąż w ziemię poglądającą Barbarkę, i kazano jechać do dworu stolnikowicza. Koło wozu szli pieszo obadwa bracia ślubni, a za wozem prowadzono związaną na rękach i to proszącą się, to przekleństwa miotającą Ewę. I tak ten kondukt wjechał wolnym krokiem w dziedziniec żernickiego dworu, a chociaż był milczący i smutny i mocno trącił pogrzebem, jednakże więcéj był do jakiegoś małego wjazdu tryumfalnego podobny, zwłaszcza że za piérwszém wejrzeniem można było poznać zwycięzców, jakoż téż i na jeńcu nie brakło.

Zajechawszy przed ganek, najpiérw zaprowadził stolnikowicz swoją żonę do izby narożnéj, która kratami była zaopatrzona i niegdyś nieboszczykowi stolnikowi za izbę depozytową służyła, i ten apartament jéj na mieszkanie naznaczył. Zadrżała na jéj progu Barbarka i ciężko westchnęła, ale nie było co mówić, bo jeszcze to było bardzo łagodne obejście się męża onego czasu za tak ciężką przewinę. Józefka została odepchnięta od pani, a do jéj posług wyznaczona stara klucznica, któréj zagrożono utratą gardła wszelkie niedopełnienie rozkazów. Oprócz tego na straży przy drzwiach téj izby postawił stolnikowicz starego karbownika, któren sam przez się dobrze się zabrał do obowiązku stróża, bo czuł jeszcze dobrze dawną władzę téj pani, — wszakże téj ostrożności nie tak wiele było potrzeba, bo Barbarka, wszedłszy do swego więzienia, zaraz się rzuciła na łoże i nie było wątpienia, że ją lada dzień opanuje jakaś silna choroba.

Ewa tymczasowo została wtrąconą do lochu.

Oprócz tego natychmiast stolnikowicz cały dom wywrócił do góry nogami, a łowczyc go już nie odstąpił, póki restauracya dawnego pana nie została wprowadzoną zupełnie i dawny porządek przywrócony w każdym zakątku. Jakoż, chociaż już się słońce zniżało ku zachodowi, przywołani zostali wszyscy słudzy przed ganek; ci, którzy przez panią byli poprzyjmowani i złymi się okazywali przeciwko panu, odpędzeni natychmiast, drudzy zostawieni i nowym rygorem obostrzona ich służba, a po starych, niegdyś przez Barbarkę samę albo z jéj poduszczenia pooddalanych, porozsełani posłańce.

Potém łowczyc doradził, ażeby otworzony został lamus, strzelby ponabijane i wszelka broń opatrzona natychmiast, i ażeby

dom był dobrze służbą obsadzony i pilnowany przez całą noc i następne, na wypadek jakiego zajazdu, któryby mógł był łatwie przedsięwziąć szalony Bartek. Poczém jeszcze, zawsze chłodno myślący, dziedzic Żerniczki wziął od stolnikowicza parol kawalerski i prawie przysięgę: że żony swojéj, gdyby nawet konała, widzieć nie będzie, że wytrwa stale w nowéj swéj roli i w każdym wypadku do ostatniéj kropli krwi odzyskanych praw swoich bronić będzie i że bez niego nic stanowczego nie przedsięweźmie — i pożegnawszy go, zabrał żonę swoję na wóz i odjechał do domu.

I tak prawie w jedném mgnieniu oka stało się to, czego się nikt nie spodziéwał, i w takim właśnię czasie, kiedy po wszechwładności Barbarki i głębokim upadku stolnikowicza nikt się żadnéj odmiany spodziéwać nie mógł, i tak szybko to wszystko, że śród nawału uczynków nikt nawet nie miał czasu nad niemi pomyśléć, ale niéma to dziwić nikogo.

Podobnie także jak stolnikowicz, postąpił sobie i łowczyc w swym domu, jednakże z niejakiemi odmianami — i sprawiedliwie, bo tam położenie rzeczy było cokolwiek inne. Jakoż najpiérwéj zaraz Julia nie doznała od niego tak surowego obejścia, jak od stolnikowicza Barbarka. Nie była ona ani źródłem, ani téż nawet środkiem wszystkiéj téj nędzy i niedoli, która tak nielitościwie i przez czas tak długi w swoich więzach męczyła dziedzica Żerniczki. Nie była téż to zresztą i taka istota, z którąby można było się obejść surowo. Zawsze cicha, zawsze pokorna i skromna, w razie pokazania się nawet winy jakiéj popełnionéj przez nią, jedném słowem, jedném spojrzeniem była ona w stanie rozbroić i najsurowszego sędziego. Tém bardziéj téż dzisiaj, kiedy i wina żadna na nią nie spadła i siły ją tak opuściły, że ją na rękach z woza zaniesiono do jéj sypialni. Nie tylko więc łowczyc nie obszedł się z nią ostro lub surowo, ale przeciwnie, ani jéj nawet nie dał poznać żadnéj od siebie niechęci, żadnego nieukontentowania i taką ją troskliwością i staraniem otoczył, że jeżeli nigdy, to teraz pewnie ją ujął i pozyskał dla siebie.... i uczuła to Julia, i całowała ręce jego a mówić wiele nie mogąc, łzami mu dziękowała.

Ze sługami atoli z daleko większą jeszcze energią obszedł się łowczyc niż stolnikowicz: nietylko bowiem daleko silniéj i porywczéj pochwycił on zdradliwie wydarte sobie berło do ręki, ale téż zaraz *activitatem* téj odrodzonéj władzy swojéj — jak to samo późniéj powiadał, kilkuset bizunami, rozdanemi naprędce pomiędzy te sługi, które się całkiem przewierzgnąwszy do jego wroga, jego urągały nieszczęściu — wprowadził w życie i zakonfirmował.

Tak posadziwszy się w mgnieniu oka na majestacie praw swoich, poszedł potém do matki, która to gorzéj to lepiéj się miéwała w swojéj chorobie i zakomunikował jéj radosną swego zwycięztwa wiadomość: ale staruszka ta, jak dawniéj nic nie wiedziała i nie pojmowała synowskiéj nędzy i niedoli, tak teraz cale nie zro-

zumiała zwycięztwa. To zadziwiło niepomału łowczyca, ale nie miał co temu się dziwić, boć i tacy ludzie bywają na świecie.

Potém usiadł łowczyc na ławie i ciągle w bramę pogląd ał, czy nie pojawi się Pakosz. I niecierpliwił się trochę. On już byłby chciał, żeby mu się jaknajprędzéj ten nieprzyjaciel pokazał, żeby go dostał w swoje ręce i już na jednym dniu skończył tę wszystką około siebie i swego domu robotę. Ale Pakosz — zawiadomiony natychmiast przez Bartka o wszystkiém co się stało i zaproszony przez niego do Balogroda na wspólną naradę — nietylko że ze strachu i trwogi ani myślał nogą stąpić nateraz w Żerniczce, ale i Bartka nawet, swego wspólnika, sprzymierzeńca i dobrodzieja, jaknajhaniebniéj się wyrzekł i odstąpił.

Więc kiedy go się nie mógł łowczyc u siebie doczekać, przestał już go wyglądać, a natomiast począł zwolna sobie myśléć nad sobą i nad wszelkiemi temi wypadkami, które w tak krótkiéj chwili ich braterskiéj niedoli tak gwałtowną i stanowczą pomoc przyniosły; i kiedy to wszystko przemyślał, w takiéj niezwyciężonéj poczuł się sile, że ani mógł myśléć inaczéj, jeno że walka z chytrością i przemocą, dziś przez nich poczęta, najdaléj za dni kilka najzupełniejszém się zakończy zwycięztwem, i widział już wszystko złe usunione, a siebie i brata w dawnym jasnym pokoju i szczęściu: — ale przecie z tego wszystkiego nic go tak nie dziwiło, jak to: czemu oni obadwa przez tak długi czas tak cierpliwie to brzemię znosili i czemu już dawniéj go nie zrzucili, kiedy to była rzecz taka łatwa i niewielka?

Ale nie umiał sobie na to pytanie inaczéj odpowiedziéć pan łowczyc, jak tylko: że już taka była w tém wola Pana Boga.

XVIII.

W dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszéj Panny rozeszła się po całéj sanockiéj ziemi wieść stugębna i dziwnie ciekawa, opowiadająca coraz to w inny sposób jakieś nadzwyczajne wypadki, które dniem przedtém zajść miały w domach obudwóch braci ślubnych i w całéj tamtejszéj okolicy. A wieści téj, jakkolwiek gdzieniegdzie nawet zupełnie opowiadała niepodobieństwa, tém chętniéj wszędzie dawano wiarę, ile że, jakeśmy to sami widzieli w łatesowéj winiarni, pospolicie wiedziano o jakichś wielkich niefortunnościach domowych, które zarówno przygniatały obudwóch braci ślubnych, a pomimo wszelkich zawiści i stronniczości sąsiedzkiéj, przecie im wszędzie prawie najlepiéj życzono.

Do jakich potwornych baśni ten niewielki domowy wypadek wyrósł w niektórych miejscach, nie będziemy tutaj powtarzać, bo komuż niewiadome przysłowie: słówko wyleci wróblem, a wraca wołem? — wspomnieć wszakże należy, iż główną przyczyną i tak szybkiego rozejścia się i tak potwornego rośnienia i przekształcania się téj wieści nie był nikt inny, jak raz pan Bartłomiéj Karsznicki, który wzywając pana Urbańskiego na sobotę na sekundanta, przez omyłkę był napisał, że z obudwoma braćmi ma zwodzić bitwę, co zaraz dało powód do wieści, że całemi hufcami bić będą na siebie, a przekształciło się wkrótce w jakąś dziwną wiadomość o nastąpić mającéj wojnie powiatowéj; — a powtóre znowu sam łowczyc, który zapraszając do siebie pana Piéniążka i Sobolewskiego na świadków, jako to pisarz nie tęgi i do tego jeszcze pod świeżém wrażeniem tak ważnych dla siebie wypadków piszący, takie jakieś im rzeczy popisał, które, nie dając jasnego wyobra-

żenia o samym wypadku, nie mogły najdziwniejszych nie urodzić domysłów i baśni.

I te baśnie, lubo pędem błyskawicy cały powiat obiegły, nie zrządziły żadnego ważnego zdarzenia, stały się wszakże powodem tego, że w sobotę po Niepokalaném Poczęciu Najświętszéj Panny tłumy szlachty zajechały na zamek do Balogroda.

Widząc to, Bartek sam nie wiedział, co o tém rozumieć, i zdawało się jemu zrazu, że to jest zajazd poprostu, że do pojedynku pomiędzy nim a łowczycem wcale nie przyjdzie, jeno że go ta szlachta *brevi manu* rozsiecze, i zwierzył się z tém swemu sekundantowi; ale sekundant wcale go nie pocieszył, bo rzekł mu prawie te słowa:

— Panie bracie! ja wcale za to nie ręczę, co się stać może, bo tu u nas od najdawniajszych czasów ten zwyczaj, że na kogo kruki, na tego i wrony, a témbardziéj teraz, kiedy jest za co. Wprawdzieć ja tego nie myślę, żeby uderzyli kupą na ciebie, bo to rzecz nie szlachecka i tego tu nie bywało; ale że po sprawieniu się z Osuchowskim, będziesz musiał stanąć i temu i owemu jeszcze, to już niéma co mówić.

Bartek patrzył mu w oczy i bladł i tracił ducha przed czasem, ale przecie się jakoś ocucił; wypił wina butelkę naczczo i nietylko że nie pokazywał trwogi po sobie, ale jeszcze drwił sobie ze szlachty i wymyślał. Wszakże zdaje się, że inaczéj było tam w sercu, a jeżeli determinacya była na ustach, to była to determinacya rozpaczy.

Tymczasem po rannym przymrozku śliczne słońce wzeszło na niebie, blade cokolwiek i przytłumione, ale tém też piękniéj a smutniéj oświécało tę ziemię, która zwiędłą zielenią okryta, mdlała w przedśmiertnéj niemocy. W tém bladém świetle dziwnie ponuro wyglądała owa zamkowa ruina, która obwieszona ze wszech stron zielskiem uschniętém, szaremi kamieniami świécąca i gruzem obsypana, zdawała się jeno czekać na tę chwilę, w któréj ostatniemi ścianami swemi będzie się mogła położyć na ziemię. Prócz zamku, równie smutny był widok dziedzińca, któren słudzy Bartkowi na plac bitwy umiatali, i przytém, jakimś niedobrém natchnieni przeczuciem, głowy spuszczali ku ziemi, potém je ukradkiem obracali ku sobie i coś tajemniczo szeptali.

Wszakże szlachta nie uważała nic na te smutne widoki, jeno chodząc kupkami po dziedzińcu i po ogrodzie, żwawo coś rozmawiała; inni szli na górne pokoje i bez żadnego względu tłumnie się kręcąc tamtędy, oglądali Bartka zdaleka. I zdawało się, jak gdyby Bartek już umarł i leżał na katafalku, a ci przyszli jego ciało nawiédzać.

A kiedy jedna godzina minęła od wschodu słońca, wjechał na siwym koniu, w wszelką broń opatrzony jak do potrzeby, pan łowczyc. Po prawicy mu jechał na koniu srokatym, widzisz dia-

ble Piéniążek, a po lewéj, na wiszniowo-gniadym z łysiną, pan Sobolewski.

Szlachta, obaczywszy ich, wszystka ku nim wybiegła, witając i krzycząc, niektórzy nawet niewiedzieć z jakiéj radości czapki w górę rzucając.

Poczém łowczyc zlazł z konia i nic nie mówiąc, a rozebrawszy się z wiérzchnich sukien, stanął z jednym sekundantem na placu, drugiego zaś wyprawił do Bartka z wiadomością, że już jest i czeka go niecierpliwie.

A szlachta tymczasem, przypatrując się olbrzymiéj postaci łowczyca i jego sile, z jaką dzierżył ogromną szablę w prawicy, mówiła sobie półgłosem:

— Bogaby nie było na niebie, gdyby tylko gdzie drapnął on linoskok takiego rycerza.

Inni zaś mówili:

— Ej! drapnąć może, bo zwinny i lekki, ale nie podoła.

Dlatego mówili trzeci:

— Panie bracie, nie wdawaj się w żadne sztuki, jeno bij w łeb z góry i koniec.

Aż tu leciuteńko i ledwie dotykając się ziemi, z małą szabelką w ręku, wybiegł Bartek ze swymi sekundantami i stanął na placu.

I zrobiła się cisza uroczysta lecz straszna, — a niektórzy co czulsi na sercu szeptali sobie z cicha:

— Przecie to jest nic więcéj, ano ludzka rzeźnica.

Stanąwszy Bartek na placu, pokłonił się szablą łowczycowi, a łowczyc jemu głową, — a śród téj ciszy odezwał się Bartków sekundant w ten sens:

— Zwyczajem to jest od niepamiętnych czasów, że świadek bitwy pojedynkowéj, albo jak mówią nowsi sekundant, powinien przed poczęciem bitwy obydwie strony *conare* nakłonić do zgody. Anoż już tu jenoby był z tego śmiéch. Ale to mi się powiedzieć godzi, lubo klient mój, naszemu zwyczajowi dość czyniąc, stanął ze szablą na placu, przecie jako niezwyczajny téj broni i sprawę tę uważając za wiecéj ważną, niżeliby jéj wyrównać mogła broń biała, proponuje, ażeby od razu precz rzucić żelazo, a wziąć w rękę po pistolecie albo i po dwa, a strzelać do siebie.

Ale na to uczyniła huk wielki szlachta. Więc wołali jedni:

— Nie, nie! na szable niech idą! — A drudzy:

— Ho ho! niesprawny do broni! a któż Gumowskiego posiekał? — A inni:

— A cóż to? zwierzę to, czy ptacy? kula tylko do łowów albo do wojny!

Więc wszyscy:

— Nie pozwalamy! niech się biją na szable!

— Widzisz diable, niéma co gadać. Macie waszmość broń w rękach, poczynajcie w imię Boże.

Na to złożyli się zaraz obaj zapaśnicy. I poczęła się bitwa; ale była to dziwna bitwa w swoim rodzaju, jakiéj najstarsi nie pamiętali ludzie. Cała rzecz nie trwała tyle czasu, ile go potrzeba, ażeby się przeżegnać. A żeby to zrozumiéć dokładnie, co i jak się stało, potrzeba wiedzieć, że Bartek, jako to człek przezorny i sztukę szermierską doskonale rozumiejący, widząc że siłą nie pokona łowczyca, umyślił sobie pokonać sztuką. Jakoż wynalazł sobie fortel i, jak się na to wszyscy znawcy zgodzili, wyrachował tak, że miał zaraz przy złożeniu się całą siłą odbić pałasz Osuchowskiego i przyskoczywszy, przebić go w oka mgnieniu. Cięcie takie a raczéj pchnięcie, przy bitwach pospolite, tutaj jednak przy bitwie na szable i przeciwko takiemu szermierzowi zaaplikowane, który był przyzwyczajony bić się tylko krzyżową sztuką i zrazu zwolna i zdaleka zajeżdżać, mogło się udać doskonale i w jedném mgnieniu oka pozbawić życia nawet najtęższego rębacza, wszakże przeciwko tak silnemu mężowi jak łowczyc użyte, stało się tylko zgubą dla Bartka.

Kiedy bowiem Bartek, prawie pewny swego fortelu, jeszcze nawet dobrze się nie złożywszy, w mgnieniu oka uderzył z całéj siły po wprost wyciągniętéj ku sobie szabli łowczyca, to ta szabla ani na cal jeden nie ruszyła się z miejsca i tylko klinga z dźwiękiem zadrżała, czém zawiedziony a zapérzony Bartek już źle skoczył i całkiem bezskutecznie; a w tymże momencie padło z góry cięcie na niego, — i już tylko widziano, jak szabla jego się podniosła do góry, nogi pod nim w kolanach się zgięły, runął na ziemię i w potokach krwi własnéj się zanurzył.

Na taki widok, który mniéj do bitwy a więcéj do katowskiego ścięcia był podobny, pomimo to, że wszystka przytomna szlachta była nieprzyjacielem Bartka, strach wielkooki osiadł na wszystkich twarzach. Przyskoczono do leżącego, który prawie pływał w krwi własnéj i pochylono się nad nim, ale on już tylko zwinął się nogami ku jednéj stronie, raz jeszcze oczy przewrócił i skonał.

Opatrzono go bliżéj — i pokazało się, że cięcie padło w miejsce pomiędzy lewém ramieniem i szyją, i było tak silne, że obojczyk był cały przecięty, deka piersiowa rozszczypana, a lewa ręka z łopatką tak osadzona całkowicie, że się odwróciła na stronę przeciwną i tylko wisiała przy kadłubie.

To dziwowisko, które okropnie przerażało nawet serca najtwardsze, wszyscy oglądali z kolei, ale każden oglądnąwszy szedł w milczeniu na stronę — i była uroczysta cisza lecz straszna, taka sama po bitwie, jaka była przed bitwą.

Łowczyc tylko z krwią zimną i twarzą spokojną stał na swém miejscu i chustką szablę skrwawioną obciérał.

A kiedy tak wszyscy stoją, więcéj grozy niż radości okazując z tego tak okropnego zwycięztwa, zjawia się nagle pomiędzy stojącą do koła szlachtą stary kapelan. Miał swój płaszcz pielgrzymski z peleryną na sobie, zakonniczy pasek na biodrach, wielki ko-

stur podróżny w ręce i szablę przy boku. Wszyscy dziwnemi oczyma nań poglądnęli i w milczeniu się odsunęli od niego — on zaś podniósł rękę do góry i rzekł uroczystym głosem:

— *Consumatum est!* ale módlmy się za dusze nieprzyjaciół naszych.

Poczém uklęknąwszy, przeżegnał się i począł głośno mówić paciérz za dusze zmarłe.

To widząc, szlachta uklękli wszyscy do koła i ze złożonemi rękami powtarzali nabożne słowa za księdzem.

Tak zamiast tryumfów i głośnych okrzyków, poważne milczenie i uroczysta modlitwa zakończyła to od wielu a prawie od wszystkich upragnione zwycięztwo. Nieprzyjaciel po swojéj śmierci był już dla nich tylko chrześcianinem i bratem, a łaska Boża, która poszczęściła ich orężem, natchnęła wszystkich tylko skruchą i pokorą przed Tym, który z Swéj ręki wszechmocnéj rozdaje klęski i zwycięztwa.

Tak skończył ten francuzki kawaler swoje szalone, bez wiary w Bogu i religijnego cnót prawdziwych pojęciach wiedzione życie, a szczęściem jego, że je skończył pomiędzy ludem chrześciańskim, bo przynajmniéj przy jego śmierci posłane zostały za nim do Boga te modlitwy, których sam nie umiał posyłać za życia.

Po paciérzach i zaniesieniu ciała na zamkowe pokoje, przy którém jako przyjaciel tego imienia zostać i wszelką przysługę uczynić zobowiązał się ks. kapelan, szlachta w równie poważném i stateczném usposobieniu rozjechała się do domów. Z nimi razem odjechał i łowczyc.

A przyjechawszy do siebie jakoś zaraz z południa, zastał już tam stolnikowicza, który już świadom i pewien cnoty swojéj, nie obawiał się być w blizkości dawnéj swéj kochanki, i w niecierpliwości nowin z placu boju, z pomiętą czapką na głowie i przekręconym pasem na brzuchu, aż po za bramą chodził po drodze, w tę i w ową stronę poglądając, ażali kto nie nadjeżdża. Nadjechał łowczyc z obudwoma swoimi sekundantami, ale brat jego, obaczywszy go zdrowego i całego, już nie potrzebował żadnego opowiadania. Jakoż przypadł zaraz do niego i ściągnąwszy go z konia przed bramą, śród uścisków i łez długo mu nie dał i słowa powiedzieć. Przecie nakoniec opowiedziano mu całą rzecz ze szczegółami.

Więc kiedy się dowiedział pan Józef, że zginął i jak zginął Bartek, srodze się zafrasował i zawołał z westchnieniem:

— Drogoż mu przyszło zapłacić tę winę przeciwko mnie! — a potém ręce złożywszy i oczy podniósłszy do nieba: — Panie! przyjmij tę śmierć jego za karę i zbaw duszę jego!

Potém prosił łowczyc wszystkich swych gości na przekąskę do siebie i wymawiał się, że lada czém ich przyjmuje, bo mu obiedwie gospodynie zaniemogły i kuchnia jest na łasce sług tylko; ale był to dzień taki, w którym nikt o jedzeniu nie myślał

i na tłumaczenie się nawet nie zważał. Więc co było, było aż nadto dobrze.

Po obiedzie, że to dzień był dziwnie ciepły i tak prawie jak śród lata, wyszli wszyscy na ganek i tam na ławach usiadłszy, z takiém zajęciem jeszcze rozmawiali o dzisiejszym wypadku, że im parę godzin minęło, jak jedno oka mgnienie.

A kiedy słońce na godzinę przed zachodem dziwnie poczerwieniało i tym smutno konającym promieniem oświéciło dziedziniec i dwór i wszystkie budynki, pokazał się w bramie starzec jakiś, który w prawém ręku prowadził tuż przy sobie jakieś nieodrosłe pacholę. Starzec był ubrany w siermięgę, z grubego prostego sukna kontuszowym krojem uszytą, pod którą było widać żupan gruby płócienny, na głowie miał czapkę rogatą zasmarowaną, a przy boku szablę w wężowéj pochwie. Pacholę zaś miało na sobie barwę jakiegoś pana, jaką zwykle dawano niższym służalcom po dworach, ale szaty te były tak zdarte i wypłowiałe, że nie można było myśléć, żeby mu je były dane wśród służby, jeno że go ktoś niemi z miłosierdzia opatrzył.

Starzec ten wyglądał na zubożałego szlachcica zagonowego, jakich mnóstwo włóczyło się wtenczas po kraju; wszakże z domysłem tym o nim i widocznem jego ubóstwem dziwnie zkądinąd nie kwadrował chód jego dumny i prawie wyniosły, z którym śmiało zbliżał się ku gankowi. Jakoż przystąpiwszy do samych wschodów, z lekka tylko ruszył czapkę na głowie przed siedzącymi tam panami i rzekł do nich:

— Niechaj będzie pochwalony Pan Jezus.

— Na wieki wieków, — odpowiedzieli wszyscy, a pan Piéniążek dodał półgłosem, przypatrując się pilnie przybyłemu.

— Widzisz diable, kędyś znałem takiego człowieka.—A wtém znów starzec:

— Raczcie mi waszmość powiedziéć, któren tu jest pomiędzy wami jmć pan Osuchowski?

— Ja, — rzekł na to łowczyc, pokazując na siebie palcem i nie ruszając się z miejsca.

Na to przypatrzył mu się pilnie przybyły, zdjął czapkę z głowy, i załamawszy ręce, rzekł smutno:

— Małoż podobny do nieboszczyka Fryderyka!.. Panie! świéć duszy jego!

Od takich i tym podobnych frazesów, to jest od przyznawania się do znajomości wszystkich familijnych nieboszczyków, zwykła była poczynać swoje perory wszystka ona wędrowna szlachta, która chodziła za łatwym chlebem po dworach zamożniejszéj swéj braci: uśmiéchnęli się tedy na te słowa starca wszyscy trzéj inni, ale łowczyc, dla którego, jak nam to wiadomo, zawsze świętością prawie było każde o jego ojcu wspomnienie, wstał zaraz i z zajęciem zapytał:

— Kogóż mam honor przyjmować w progach moich?

— Jestem Michał Dzianott, — rzekł na to starzec, — niegdy wojewody sieradzkiego dworzanin, potém kapitan wojsk polskich cudzoziemskiego autoramentu, niegdy także dziedzic połowy Zahoczewia i dziś wszelkie prawo do téj posesyi mający, ale haniebnie z niéj wyrugowany, ze wszystkiego obdarty i jak to waszmość widzicie, na żebraka puszczony.

— Jesteśli waszmość mego teścia stryjecznym? — spytał ciekawie łowczyc.

— Jestem jego rodzonym, po jego ojcu i matce, rzekł na to starzec.

A wtém pan Piéniążek wstał z ławy i przystąpiwszy do niego, podał mu rękę i rzekł:

— Jak się masz, panie Dzianott! czy to mnie nie poznajesz?

A starzec, przypatrzywszy się jemu, pociérał tylko czoło i mówił:

— Coś, coś mi się kręci... ale nie mogę sobie przypomnieć. Nie dziw téż to, mości panie, długo się żyje na świecie, wytarło się wszystkie kąty i niemało się ludzi znało swojego czasu.

— A cóżto, widzisz diable? — zapytał Piéniążek, — nie pamiętasz? lat temu będzie dwanaście... w Łęczycy... kiedy to, widzisz diable, poszedłem był z kilką tamtejszéj szlachty o cześć szabli sanockiéj i dał Pan Bóg ich trochę poznaczyć... a potém w nocy, kiedy to szlachta kupą uderzy na moję gospodę, że widzisz diable, już tak ciasno było jak w myszéj dziurze, a gorąco jak w piekle.... héj! kiedy to hukniesz, widzisz diable, z dragonią...

— A ha, ha! — krzyknął na to starzec, — odrowąż! sanoczanin! — a potém rumieniąc się i z oczyma roziskrzonemi, a młodzieńczemi prawie gestami: — Hej, hej! inneż to były czasy! ale już to minęło! — rzekł starzec, łzę ociérając z oka, — dzisiaj żebrak i z synem żebrakiem.

A pacholę spojrzało na ojca i zapłakało. Więc na to pan łowczyc:

— Ależ, mości Dzianott, jakimże sposobem wyszedłeś ze swojéj fortuny?

— Jakim? — zawołał starzec — zawierzyłem bratu i okradł mnie, obdarł, zrabował, dziecko mi oddał pomiędzy ludzi, aby w piecach paliło, i chciał mi je zaprzepaścić na wieki! Po to tu do waszmości przyszedłem. Jesteś zięciem mojego brata, którego się wyrzekam i klnę na wieczne czasy, jesteś szwagrem tego łotra, który naokradawszy się ludzi w Warszawie, zdrady tam jakieś, przeniewierstwa, fałszerstwa poczynił, uciekł i wieś moję kupiwszy, skrył się tutaj przed światem; ale tyś jest człek godny i uczciwy, i spodziéwam się, że mnie nie zawiedziesz, że podasz rękę, że pomożesz... a jeżeli nie mnie, to temu pacholęciu biédnemu, które może już dni kilka nie jadło! a powinnoby jeść dobrze, bo mu się należy połowa Zahoczewia i kilkanaście tysięcy.

— Więc proszę usiąść i proszę nam opowiedzieć ładem, co i jak było? — rzekł łowczyc, ale zaraz zapytał: — a możeby się pierwéj czémkolwiek posilić?

— Nie — odpowiedział Dzianott — usiądę, ale żadnego posiłku do ust nie wezmę, póki na mojém dziedzictwie nie siądę. Takem to Panu Bogu i pacholęciu memu zaprzysiągł.

Poczém chustką pot z czoła otarłszy, począł opowiadać swoję historyą. Więc opowiadał, jako ich dwóch było u ojca, on starszy, i kilkoma latami od niego młodszy ojciec Pakosza, jako jego małym chłopcem ujrzawszy, upodobał i wziął na dwór swój jw. wojewoda sieradzki; jako u tego pana, dosłużywszy się już rangi piérwszego dworzanina z laffą tysiąca złotych i przyzbiérawszy sobie kilka groszy, byłby może został do śmierci, ale że w skutek burdy jakiéjś, uczynionéj w oczach pańskich, odejść musiał ze dworu; jako się potém namyślał co z sobą czynić, jako wtém pisał do ojca żyjącego jeszcze natenczas, jak mu brat w imieniu ojca złożonego chorobą odpisał, żeby mu się ani pokazywał na oczy i jako właśnie wtenczas Pan Bóg litościwie wejrzał na niego, bo równo prawie z listem braterskim oddano mu list drugi, w którym w. Kapenhauzen, generał wojsk polskich cudzoziemskiego autoramentu, niegdy świadkiem jego burdy będący na zamku, oświadcza mu pożałowanie od siebie i ofiaruje rangę kapitana w swoim pułku dragonii. Nie namyślał się tedy długo pan Michał, jeno tę rangę objął natychmiast a bratu odpisał, że może już sobie teraz śmiało swoje sprawy forytować u ojca i zasiadać spokojnie na gospodarstwie w Zahoczewiu, bo on go tak prędko nie ruszy. Wkrótce potém ojciec ich umarł a brat jego rzeczywiście zasiadł na Zahoczewiu. Tymczasem pan Michał się ożenił, ale niewiele szczęścia mu przyszło z tego ożenienia; żona jego bowiem, dawszy mu syna, pożegnała się z tym światem. Dziecko to chował zrazu przy sobie, ale kiedy kompania jego dostała ordynans, ażeby wyszła na trzechletnią wojnę na kresy, trudno miał tam z sobą brać dziecko. Odesłał je tedy do brata i posłał mu przyzbiéranych swoich dwanaście tysięcy i potém, włócząc się z miejsca na miejsce po kraju, co roku mu coś na dziecinę posyłał. Teraz, już stary i potyrany, a pewny swojego dziedzictwa i sumki spoczywającéj u brata, a nadto jeszcze do wiana po żonie prawo mający, podziękował za służbę i najpiérwéj się udał do krewnych żoninych po należącą się dziecku jego sukcesyą. Ale tam zaraz odprawiono go z kwitkiem — więc nie zostawało mu jak się uciec do sądów. Więc zasiadł tam i przeprowadził sprawę przez gród i ziemstwo i już się był całkiem na ten proces otracił i chciał już wszystko porzucać. Ale mu powiadali legiści po staremu: gród smród, ziemstwo kiepstwo a trybunał grunt — więc poszedł do trybunału. A na trybunale nietylko przegrał sprawę, ale już wyjść musiał z Piotrkowa piechotą. Wszakże jeszcze nie desperował i chociaż o proszonym chlebie, szedł jednak wesoło

do brata. A kiedy przyszedł, brat go się wyparł i powiedział, że go nie zna i jego dzieciny nie widział na oczy. Takie niespodziéwane przyjęcie prawie pomieszało mú zmysły i odeszedł ze zamku, nie chcąc wstydu i hańby ściągać na swe własne nazwisko. I szedł tak prosto w świat, sam nie wiedząc gdzie idzie i śmierci tylko prosząc sobie u Boga. Jednak nie uszedł daleko, bo w jakiémś miasteczku téj ziemi ciężka choroba go z nóg powaliła i przeleżał tam na łasce jakiegoś mieszczanina parę miesięcy. A kiedy wstał i dziecinę swoją przypomniał, znowu poszedł do Zahoczewia. Ale na zamku nie zastał już brata, jeno Pakosza, który zasiadł na całéj wsi, jako jéj prawy właściciel. A kiedy się rozmówił z Pakoszem, widział że to jeszcze brzydszy łotr, niżeli jego ojciec. Więc zdesperował i pytał ludzi o swoję dziecinę, a kiedy się dowiedział, że tu była przed laty, ano że ją oddano jakiéjś staréj klucznicy — poszedł w świat za dzieciną. I przez rok cały chodził światami — ale napróżno. Aż teraz, nocując w jednéj żydowskiéj gospodzie przy gościńcu, usłyszał rano wymówione swoje własne nazwisko. A potém słowa: — Dzianott! a sień jeszcze nie zamieciona, a słońce już wschodzi. Ruszajże! leniuchu!— To go już całkiem otrzeźwiło. Zerwał się tedy z łoża i wybiegł do sieni — i ujrzał tam z miotłą w rękach chude, wynędzniałe pacholę. Przypatrzył mu się, wypytał i poznał swego własnego syna! Dziecko swoje rodzone na najpodlejszéj służbie w karczmie żydowskiéj!

— I cóż waszmość mówicie na to? — zapytał starzec swoich słuchaczów, i chciał daléj coś mówić, ale łzy mu się rzęsiste puściły z oczu i wszelki głos zatłumiły.

A na szlachcie zrobiło to wielkie wrażenie, i łzy im także pokazały się w oczach, a od oburzenia nic mówić nie mogli. Więc starzec prędko łzy utłumiwszy, bo już go do nich nędza dobrze przyzwyczaiła, tak znowu:

— Nie radbym, nie chciałbym plamy rzucać na moje własne nazwisko! nie chciałbym hańbą pokrywać to imię, które, tak mi Boże dopomóż! przez całe życie w brylantowéj chowałem czystości! I niechbym ja już domarł głodem téj reszty dni moich i niechbym umarł gdzieś przy drodze, pod płotem, i niechby mojego trupa pochowano gdzieś z łaski, jak trupa znalezionego żebraka, i niechby już i pamięć zaginęła, żem żył kiedy na świecie,— a niechajby ta krzywda moja zaumarła ze mną na ziemi i nie powstała prędzéj, aż w dzień ostateczny: ale patrząc na tego nędznego robaczka, na tę krzywdę piekielną, wyrządzoną niewinnemu dziécięciu, powiédźcie waszmość sami, czy mogę ja milczéć?...

— A! nigdy! — zawołali wszyscy czteréj przytomni, — nigdy! siadaj waszmość z nami, my wszyscy tam pojedziemy.

— Tegom się po was spodziéwał,—rzekł starzec spokojnie,— bo taka zawsze była ta szlachta. Nie znałem jéj, lecz wiem to z opowieści.

Więc zaraz kazano zaprzęgać do kałamaszki i wsadzono do niéj starca ze synkiem, tamci zaś cztéréj panowie wsiedli na konie i po obudwóch stronach z wielką miłością i uszanowaniem konwojowali tego poczciwego starca, chociaż był w łachmanach.

A kiedy wjechali w dziedziniec zahoczewskiego zamku, zastali tam ruch niezwyczajny i kilka wozów stojących w dziedzińcu. Pytali co to jest, i powiadano im, że jacyś żołniérze tu przyjechali po pana.

— Po pana? — zapytał łowczyc z zadziwieniem.

— Po tego pana, który tu mieszka, a który snać nie pan jest, jeno jakiś łotrzyk wierutny; — odpowiadali furmani, którzy byli z pod Warszawy.

Więc szli wszyscy na górę, starca z pacholęciem wiodąc pomiędzy sobą.

A kiedy weszli do Pakoszowéj komnaty, zastali tam trzech żołniérzy cudzoziemskiego autoramentu, pomiędzy którymi jeden był oficer. Z nimi razem stał szlachcic jakiś, mąż z pozoru stateczny i poważnie ubrany. Pakosz w pomiętych sukniach z pomiętą na głowie peruką i tak wybladły a pomieszany, że mu się aż cała twarz najokropniéj skrzywiła, siedział przy stoliku pod oknem i pilnie coś pisał.

Cóż tedy było?

Oto powykrywały się w Warszawie jego wszystkie łotrostwa, z których najgłówniejszém było to, że ten ministeryalny aplikant poprostu pofałszował dokumenta na korzyść jakiegoś sądowego pieniacza, a na których mocy, przytomny tu dzisiaj szlachcic, omal że już wyzutym nie został z całéj swojéj fortuny. To się tam wszystko wykryło, — a że przedtém pokazało się także, że Pakosz i w aktach ministeryalnych jakichś się fałszerstw dopuścił, więc za wdaniem się w to samegoż grafa Bryla, wydany został rozkaz królewski, ażeby Pakosz został aresztowanym na każdém miejscu, gdziekolwiek przydybanym zostanie: *ibi ubi*, jak opiéwał mandat pisany. Mandat ten jednak byłby pewno nie był wyegzekwowanym, ale szlachcic, któremu na tém zależało, ażeby zbrodniarz był znaleziony i nieprawość sfałszowanego a tak dlań zgubnego dokumentu sam przyznał u sądu, szukał go wszelkiemi śiłami: a kiedy dopytał, o egzekucyą rozkazu się upominał i sam z żołniérzami przyjechał.

I tak Pakosz całkiem niespodziewanie przycupiony w własnym swym domu, już był gotowy na wszystko, — jeno jeszcze sobie chwilę wyprosił i coś tam pisał.

Więc kiedy tego wszystkiego cichuteńko na stronie dowiedział się łowczyc, przystąpił do niego, stanąwszy nad nim, i gromkim głosem zawołał:

— Czuj duch panie szwagrze! piękne rzeczy tu wyłażą na ciebie!

Na ten głos piorunowy Pakosz się zerwał ze stołka, pióro

z ręki wypuścił, a obaczywszy łowczyca, twarz zakrył rękami i aż pod ścianę się zatoczył.

A na to starzec ów, w ręku dzierżąc pacholę, wysunął się z izby i przystąpił do niego, mówiąc:

— A i jam tu jest, panie bracie!

Na ten widok Pakosz tylko jęknął boleśnie i prawie obłąkanym już wzrokiem powiódł po komnacie, ale prędko potém się zebrał i urywanym głosem mówił:

— Stało się!... niéma czasu... jeszcze mój podpis położę...

To rzekłszy, przyszedł prędko do stolika i pióro wziął w rękę, ale nim usiadł do pisania, podniósł szklankę z wodą, która stała tuż przed nim i wychylił ją, potém siadł i pisał.

Wszyscy stali i patrzyli to na niego, to nawzajem po sobie. I było milczenie, bo widok takiéj srogiéj kary, chociaż zasłużenie spotykającéj, był jednak przerażającym.

Ale nie długo trwało to smutne milczenie. Pakosz bowiem wkrótce oparł się prawie bezwładnie o poręcz krzesła i głowa zaczęła mu się chylić na piersi.

To ujrzał piérwszy ów szlachcic, który przyjechał wziąć go żywego z domu, iżby go żywego przed sądem postawić, i skoczył ku niemu. Ale już było zapóźno. Pakosz bowiem w tym momencie padł z krzesła na ziemię, ale to tak silnie, jak gdyby nim co rzuciło. Szlachcic się porwał za głowę, — a on tymczasem zaczął się wić w boleściach na ziemi, jak gdyby konał.

Na to wszyscy krzyknęli:

— Struł się! umiera!

I przyskoczyli wszyscy ku niemu, i obstąpili go kołem.

A tymczasem już słońce zaszło było, i mrok zaścielał komnatę.

A Pakoszowi oczy się wywracały w orbitach, jak gałki w zegarze, twarz się cała skrzywiła, usta się zapieniły, i wił się po ziemi w bólu jak gad plugawy, kiedy mu głowę rozgniotą.

I tak wiąc się, skonał.

A po skonaniu zaraz zczerniał cały jak węgiel, i tak pogięty i pokrzywiony leżał trup jego obrzydły i niknął w coraz ciemniéj zapadającym zmroku.

A wszyscy patrząc nań, stali dokoła w milczeniu.

Jeden tylko szlachcic on obcy desperował i w głowę zachodził, mówiąc że już sprawa jego przepadła.

Wszakże się niebawem pocieszył, bo skoro wzięto do ręki ów papier, na którym Pakosz coś pisał przy stole, znaleziono na nim spisane wyznanie, że ów dokument rzeczywiście przez niego był zfałszowany. I pokazało się ztąd, że Pakosz już przed przyjazdem nowych swych gości był na śmierć przygotowany. Daléj, na tym samym papiérze był zaczęty testament, ale potém, po przyjściu łowczyca i jego stryja, zmazany i tylko podpis położony natomiast.

Szlachcic tedy z radością porwał papiér i schował go w zanadrze, a pożegnawszy wszystkich statecznie, zaraz wraz z żołniérzami odjechał.

Poczém wniesiono światło i przystąpiono do przeglądania pozostałości po zmarłym. A kiedy otworzono szkatułę, znaleziono tam przeszło pół miliona piéniędzy.

Na ten widok wszyscy odskoczyli od téj szkatuły; bo ileż to tam łez, ile krwi, ile nędzy ludzkiéj było na tych pieniądzach!

Więc łowczyc to wszystko chciał oddać panu Michałowi, posuwając ku niemu i mówiąc:

— Oddasz mi tylko to, co gotowizną pożyczyłem był nieboszczykowi.

Ale pan Michał jeszcze daléj od szkatuły odskoczył, przeżegnał się i rzekł:

— Broń Chryste Panie! Takich piéniędzy nigdy się jeszcze moja ręka nie dotknęła i nie tknie! Pół wsi i dwanaście tysięcy odbiorę, bo moje, ale resztę niech bierze siostra jego, a więc ty, panie szwagrze.

Ale łowczyc się także wyrzekł tak nabytéj spuścizny.

Więc wisiało to w wątpliwości czas jakiś, a potém pan Michał zasiadł na całém Zahoczewiu, zobowiązawszy się płacić łowczycowi corocznie połowę intraty; z pieniędzy zaś, pan Michał odebrał swoje, ile się tego pokazało z sumiennego rachunku, potém pozałatwiano wszelkie nawet najwątpliwsze obcych ludzi pretensye, a resztę oddano na kościół z tą intencyą, ażeby tam msze były odprawiane za grzéchy nieboszczyka Pakosza.

I taka to była śmierć tego drugiego wroga braci ślubnych,— i taki podział pozostałéj po nim fortuny.

Tym sposobem uwolnieni od swoich wrogów obadwa bracia, odetchnęli cokolwiek wolniéj i zabrali się do naprawy tego wszystkiego, co przez czas nie ich panowania popsutém i powywracaném zostało w ich domach i gospodarstwach.

Ale im nie szła jakoś od ręki robota.

Bo chociaż już byli wolni i swobodni, nikt ich nie gnębił i żadnych im rozkazów nie dawał i przeto mogli nie tylko uczuć się w dawnéj sile i energii, ale nawet się poweselić: toż jednak oni nie zhardzieli wcale tém swojém zwycięztwem i dawszy tylko Panu Bogu na podziękowanie cichuteńkie *Te Deum* odprawić w swoim parafialnym kościele, byli jeszcze wciąż smutni i nigdy uśmiéch na ich twarzach nie siadał.

A ten ich smutek nie z jednego tylko wypływał źródła i nie jednéj był skutkiem przyczyny.

Więc najpiérw te dwie śmiercie, obiedwie tak okropne i straszne i w jednym dniu jakby z rozkazania Bożego spełnione, chociaż dotknęły głównych ich nieprzyjaciół, głębokie na ich umysłach uczyniły wrażenie.

Potém chociaż przez te dwie śmiercie oni obadwa się uwol-

nili od swoich wrogów, oczyścili drogi swego przyszłego żywota i oczyścili swe własne sumienie, jednak przez nie wykryło im się dopiéro w całéj nagości dawne ich położenie. Więc hańba, którą Barbarka postępkami swojemi wniosła w dom pana stolnikowicza, więc druga hańba, którą Pakosz odsłonieniem swych zbrodni rzucił na dom tak blizko spokrewniony z panem łowczycem, siadły na ich sercach jak widma drapieżne i gryzły je i nie dawały im sypiać po nocach.

A nakoniec, chociaż runęły już w śmierć niepowrotną główne ich dawnéj niedoli przyczyny, jednak jeszcze pozostały na nich i koło nich téj niedoli różne następstwa i skutki. Bo jako drzewo, chociaż się pniem całym powali na ziemię, długo jeszcze potém korzeniem swoim siedzi głęboko w ziemi, tam gnije i często jeszcze ztamtąd nowe latorośle wypuszcza: tak téż i tutaj, chociaż Bartek i Pakosz dawno już na cmentarzach leżeli, żyli oni jeszcze z swojemi dawnemi uczynkami na ziemi i przypominali się co godzina, co chwila dawniejszym swym przyciwnikom.

Więc w kilka dni po onym dniu strasznym Ewa odesłaną została do sądów sanockich i po krótkich badaniach spłonęła na stosie.

Potém sługi niektóre z obudwu dworów, na które się pokazało, że były winne wspólnictwa w łotrostwach przeciwko ich panom przedsiębieranych, srodze były karane.

Potém ruina w gospodarstwach, w dobytkach i wielu drogich pamiątkach po ich ojcach utrata, co się wszystko teraz dopiéro powyjawiało, niemałym smutkiem napełniały ich serca.

A nakoniec żony im obiedwie leżały.

Ale wszystko to, za usunięciem głównéj przyczyny złego, samo się powoli usuwało i do dawnego stanu wracało.

Więc najpierwéj Barbarka, dowiedziawszy się o tak okropnéj śmierci swojego miłośnika i z nią wszelką już utraciwszy nadzieję, zapadła w ciężką chorobę. I widać Pan Bóg sam już nie chciał, ażeby się daléj snuło to życie, które się tak występnie poczęło. Barbarka bowiem, kilka dni tylko chorując, umarła. Ciało jéj odprowadzone zostało do Balogrodu i pochowane obok grobu rodziców, — ale pogrzeb jéj odprawił się smutno i ponuro. Mąż jéj, łowczyc i wierna jéj niegdy służebna Józefka składali cały orszak pogrzebowy.

Wkrótce po śmierci Barbarki, Wincenty już ożeniony ze swoją podstolanką, do Żernicy przyjechał. On się chciał z siostrą i szwagrem szczęściem swojém podzielić, ale tymczasem tylko jeszcze raz na grobie rodziców zapłakał, pomodlił się z wielkim żalem na grobie siostry... i odebrawszy po niéj spuściznę, smutny do domu odjechał.

Żona łowczyca atoli dłużéj jeszcze ciągnęła. Ale jéj dnie także już były policzone. Nieszczęścia, które jéj miękki i z natury drażliwy umysł po tyle kroć dotykały, skołatały jéj ciało tak, że

już tylko tlała ta blada lampa, niemająca żadnego gruntu pod sobą. Śmierć brata jeszcze zgubniéj na nią wpłynęła,—i wkrótce się pokazały suchoty. Więc blada jak ściana, zwiędła i wychudła jak kwiat zasuszony, z wybladłemi usty, z wypieczonemi rumieńcami na twarzy i z codzień więcéj gasnącemi oczyma, leżała ona tak jeszcze przez całą zimę. Mąż jéj, niemając żadnego żalu do niéj ani nawet żadnéj niechęci, całe dnie i noce przesiadywał u jéj łoża i wszelkiemi otoczył ją staraniami; ale już to nic nie pomagało. Julia coraz bardziéj upadała na siłach i gasła spokojnie. O wiośnie, kiedy jeszcze gorzéj zapadła i już ją odstąpili lekarze, posłał jeszcze po starego kapelana, który zawsze się bawił leczeniem. I przyszedł ten dziwny i dziwaczny staruszek, któremu snać Pan Bóg na to umysł trochę zdziwaczył, aby mu dał starość lekką i wesołą... przyszedł, stanął nad łożem, wpatrywał się długo w twarz Julii, a potém ewangielią nad nią odczytał. A kiedy go się potém mąż w drugiéj izbie pytał, czy jest jaka nadzieja? odpowiedział mu staruszek przysłowiem:

Kiedy starzec przeżył marzec, będzie zdrów.
Lecz gdy baba w maju słaba — paciérz mów.

Jakoż umarła ona rzeczywiście w połowie maja.

Śmierć jéj była tak cicha i pokorna, jak ciche było jéj życie. A podczas, kiedy jéj dusza uleciała w te światy bezgraniczne, w które z taką tęsknotą nieraz wybiegała za życia: ciało jéj ubrane w białą suknię i położone w trumnę niebieskim aksamitem obitą, pochowano przy grobie jéj matki, jedynéj istoty, która ją umiała pojmować na téj całéj tak ludnéj ziemi.

I owo ze śmiercią Julii zostali znowu bracia ślubni samotni i już prawie nikt z tych ludzi nie został, którzy mieli z nimi bliższą styczność w dniach ich nieszczęścia i niedoli.

* * *

Po tych nagłych i gwałtownych wypadkach, które tak jak pioruny śród wielkiéj burzy uderzały jeden po drugim, długo jeszcze bracia ślubni przyjść do siebie nie mogli. Wszakże byli oni jeszcze młodzi i czerstwi i mieli jeszcze daleko większą połowę życia przed sobą, niżeli ta, którą przeżyli. Więc każden tydzień, każden miesiąc coraz bardziéj zaciérał owe krwawe ślady w ich sercach, coraz wyżéj ich umysł podnosił i do pracy około siebie i pospolitego dobra obudzał. A skoro tylko co poczęli, Bóg błogosławił ich rękom. Więc powrócony został dawny porządek w ich domach i gospodarstwach, rodziły im pięknie niedawno co spustoszałe role, napełniały się stajnie i obory, zaopatrywały się na

nowo w wszelkie dostatki śpiżarnie, a podczas, kiedy przyjaźń ich dawna z biernéj na chwilę, stała się napowrót czynną, powróciły z małemi odmianami dawne szczęśliwe ich czasy.

Więc ich dobra sława i wiara publiczna odżywiła się na nowo w powiecie, otoczono ich dawną czcią i szacunkiem, a oni stali się znowu obrońcami uciśnionych, dobrodziejami potrzebnych, rozjemcami zwaśnionych, a podczas, kiedy gość na gościa przyjeżdżał do ich po staremu dostatnich i otworem stojących domów, otóż i oni się nie przykuwali do swoich progów, i pokazywali się często po blizkich i dalekich sąsiedztwach.

I po minionych dniach smutku i nieszczęścia, sława ich rosła coraz więcéj i więcéj.

Stolnikowicz, pomimo woli i przeciwko swéj chęci, został wybrany sędzią ziemskim sanockim.

Łowczyca szlachta w sądowéj wiszni obwołała cześnikiem.

Wkrótce potém król nowy siadł na polskim tronie. I wszczęły się ztąd zamieszki i nieporozumienia, które ogarnęły kraj cały. Bracia ślubni, biorąc już odtąd czynny udział we wszystkich sprawach publicznych, byli na téj elekcyi i należeli potém do tych zamieszek, ale unieśli z nich prawość swojego serca i czystość sumienia.

Wybuchła potém wojna, a późniéj po niéj były inne. Bracia ślubni we wszystkich tych wojnach służyli, zawsze koń przy koniu w potrzebie a pod jednym namiotem w obozie, a jako w pokoju jasno błyszczały ich cnoty domowe, tak tam wyszły na jaw cnoty ich bohaterskie.

A podczas ich niebytności pozachodziły tu niektóre zmiany po ich sąsiedztwach.

Stary pan Michał, wychowawszy syna uczciwie i bogobojnie, umarł w spokoju, a z niego odrodziło się potém pokolenie szlachty ubogiéj lecz godnéj, która w uczciwości i cnocie nie wygasła do dziś dnia.

Ojciec Pakosza i Julii jak zniknął natenczas, tak już nie pokazał się nigdy i wieść nawet o nim zginęła.

Stary kapelan żył jeszcze lat kilka, bawiąc się paciérzami i roznosząc lékarstwa i pociechę pomiędzy ludzi, aż téż dnia jednego znaleziono go w jego chatce na górze w lesie, z książką nabożną w ręku i z szablą przy boku, nieżywego; leżał z kolanami zgiętemi przy swoim klęczniku a ptactwo pilnowało ciała jego.

Grott, który zręcznie umiejąc sterować swą łódkę, cało wyszedł z onéj straszliwéj burzy, pomimo to jednak już nie długo popasał na Rogach, a mając dobrze naładowaną kaletę, wyniósł się gdzieś w inne strony i wioskę tam zakupiwszy, dworował sobie po staremu ze szlachty, niechcący nauki im dawał i zdala od wrzawy wojennéj, wiódł życie spokojne.

Podkomorzyc, lubo się przez odziedziczenie znacznych sukcesyj i zespolenie trzech fortun ogromnych, bo i po Bartku wszyst-

ko spadło na niego, stał prawie magnatem, nie długo jednak cieszył się i fortuną i życiem. Utraciwszy bowiem na potrzeby krajowe prawie trzy czwarte tego, co posiadał, jednego syna i młodą zostawiwszy po sobie wdowę, sam zginął w jednéj z wojen.

Pani łowczyna także, syta rządów domowych i odświéżonéj sławy swojego syna, w kilku leciech ten świat pożegnała.

Ale bracia ślubni zdrowo powrócili ze wszystkich wojen, kres tylko kilka przynieśli na pamiątkę ze sobą.

I żyli jeszcze potém długo, sąsiadując ze sobą i kochając się po staremu. A z latami przyjaźń ich się jeszcze wzmocniła. Stali się prawie jedną duszą, dwa ciała mającą. I była wszelka wspólność i jaknajzupełniejsza otwartość pomiędzy nimi. I tylko po jednéj tajemnicy uchowali wzajemnie przed sobą: więc łowczyc nigdy się z tém nie pochwalił przed bratem, że tylko z poświęcenia się dla jego sławy i spokoju ulubiony coelibat podeptał i z Julią się ożenił; stolnikowicz zaś nigdy się nie przyznał do tego, że skołatany nieszczęściem, omal że nie upadł przed światową pokusą i ciężko przeciwko bratu nie zawinił. Ale i tajemnice, kiedy chowali dla siebie, to je chowali zarówno, bo tylko po jednéj.

Powróciwszy z wojen, lubo dobrze skołatani na zdrowiu, nie przestali oni jednak jaknajmniéj zajmować się sobą a jaknajwięcéj służyć swym bliźnim. Więc po staremu byli znowu obrońcami uciśnionych i dobrodziejami potrzebnych. I stali się patryarchami miejsc swoich rodzinnych, a dziwną czcią i szacunkiem otoczyło ich pokolenie dopiéro co wzrosłe.

Jakoż jeszcze w piérwszych latach niniejszego stulecia można było często widywać na ganku w żernickim dworze dwóch gołąbkowatych staruszków. Siadali oni tuż blizko przy sobie i gości łaskawych wyglądając, przy ulubionych luleczkach srébrnemi kubkami stary miodek popijali. A przy miodku przypominali sobie swoje dawniejsze czasy i żywemi rzecz objaśniając gestami, coś sobie opowiadali. Więc o swojéj młodości i swojéj przyjaźni; więc o zajazdach i sądach doraźnych, które niepowołani sprawiali; potém znów o sejmie *convocationis* po śmierci Sasa, więc o elekcyi, więc potém o wojnach, a kiedy już wpadli na to pole, to już kozaczek jeno gąsiorki nosi a nosi z piwnicy, kury spać pójdą, bal i północ się zbliża, a oni sobie jeszcze dość naprzypominać nie mogą onych dni świetnych, w których ich imię takie głośne było po świecie.

A już o onych czasach ich smutków i niedoli prawie nigdy wspomnienia nie było. Dnie te bowiem zdawały się im jakby jakaś próżna karta w historyi ich życia... jakby krótka jakaś chwila, bez żadnego pożytku strawiona... jakby sen jakiś niewyraźny, któren szybko przeminął i nie zostawiwszy śladu po sobie w ich życiu, żył tylko jeszcze w coraz bardziéj ciemniejących wspomnieniach.

KONIEC BRACI ŚLUBNYCH.

Sodalis Marianus.

I.

Już to było od bitwy półtawskiéj ubiegło kęs czasu. Już szwedzki najezdnik doczekał się był zasłużonéj nagrody, i siedział jakby na wygnaniu, w Benderze. Już też i król August II, od konfederacyi sandomiérskiéj po zjeździe tarnowskim na tron zaproszony, zawitał był do Polski i włożył napowrót koronę. Już więc było niby po wojnie, — ale cóż z tego, kiedy spokoju nie było? — na czém też srodze cierpiał i naród i kraj, kilkunastoletniemi wojnami do szczętu już wyniszczony...

A jak to dobrze powiada staropolskie przysłowie: że najgorszy diabeł jest na wychodném; tak też było i z temi wojskami, które się jeszcze naówczas uwijały po kraju. A było tych wojsk zaprawdę niemało. Bo nie licząc już tego, co miał hetman wielki koronny pod swoją komendą, co było pod Chomentowskim, wojewodą mazowieckim, generałem Rybińskim i innymi panami; toż sprzymierzonych z królem Augustem, tych tam pułków kozackich i nie wié Bóg jakich, było na kilkadziesiąt tysięcy.

Oprócz nich zawadzały się jeszcze tu i owdzie po Wielkiéj Polsce króla Stanisława zaciągi, jak i małe prezydya szwedzkie po niektórych miasteczkach — a kiedy Szmigielski, ów najśmielszy wojownik onego czasu, wypadając od Pomaranii, jeszcze się nieraz aż ku Wiśle zapędzał, — nuż wpadł znowu Grudziński od Wołoszczyzny, właśnie jakoby rzéka wystąpiła z pod ziemi. Gdzie zaś z nich który zawitał i swe wojska rozłożył, już tam był zaraz i komisoryat i taryfa gotowa, od któréj dziwnie trzeszczały spichrze i wymiatały się gospodarskie obory. Stękała na to szlachta,

krwawemi łzami płakał lud ubogi, — ale napróżne to były i łzy i stękania, bo w czasie wojny a choćby też tylko niepokojów wojennych trudno być może inaczéj...

Jakoż jeszcze z tymi wszystkimi była w istocie rzeczy łatwiejsza sprawa, bo który z nich nie miał rzetelnego przywiązania do kraju, to miał w tém własny interes, aby go sobie nie zrazić,— było więc wszędzie przy tych poborach jakie takie umiarkowanie; a gdzie w skutek żołniérskiéj swawoli wywiązała się krzywda, tam się pewno bez łez nie obeszło, a czasem nawet i bez krwi rozlewu. Wprawdzie król, kiedy mu Denhoff, konfederacyi sandomierskiéj marszałek, i Szaniawski, biskup natenczas kujawski, koronę do Drezna przynieśli, zobowiązał się był wznowić natychmiast Pacta Conventa, a swoich Sasów do Saksonii wyprawić i nigdy ich już potém do Polski nie wprowadzać, — wydał był nawet uniwersał téj treści i rozesłał po wszystkich grodach, — ale jak tylko osiadł na tronie, już ani mowy o tém nie było. I nietylko nie wyprawił tych Sasów, którzy podczas jego niebytności to przy hetmanie w. koronnym, to przy innych dowódzcach byli w granicach kraju, ale jeszcze i nowych przyprowadził ze sobą. A wszystko to się széroko po Małéj Polsce i Mazowszu rozlało, wyciskając niezliczone pobory, zabiérając bydło i konie, zaglądając nawet do skrzyń i kaletek, owo zgoła tak burmistrzując po tych tu krajach, jak gdyby nie byli li tylko gośćmi przez wzgląd na króla cierpianymi tymczasem, ale poprostu zwycięzcami dzikiego albo zbuntowanego narodu. Przykro to było, tak ubogiemu ludowi, jak téż i szlachcie, dać się gnębić tym ludziom, których jakoby sami zaprosili do siebie, — przykrzéj jeszcze dlatego, że cały kraj wówczas, kilkunastoletniemi wojnami do czysta wymieciony z zasobów, nie był w stanie dawać i najskromniejszych poborów, — lecz już najprzykrzéj dlatego, że te wojska królewskie, zamiast wdzięczności za to, że ich panu zwrócono nazawsze już porzuconą przez niego koronę, jeszcze prawie wyraźnie się mściły na tym narodzie, dopuszczając się, krom najcięższych ucisków, jeszcze i rozbójniczych napadów, a gdzieniegdzie i mordów. Tak w owe czasy porabowali oni Lubomirskich, Zaborowskich, Magnuskich, — tak napadli na dom kasztelana wiślickiego i cześnika sandomierskiego Jordana, — a już najsroższego losu doznał od nich pan Ożarowski, owoczesny stolnik krakowski.

Stało się to zaś w sposób prawie następujący.

Pan Ożarowski mieszkał w swym starożytnym, chociaż w części już odnowionym dworcu nad Nidą i prowadził życie najspokojniejsze. Za młodu byłci on czynnym tak jak i drudzy, a może nawet i lepiéj, bo rotmistrzował z chwałą swojéj własnéj chorągwi pancernéj pod Wiedniem, był téż pod Parkanami i we wszystkich tamtejszych utarczkach. Powróciwszy na łan swój rodzinny, posłował po dwakroć, nie wymawiając się téż po staremu i od innych posług obywatelskich, które zawsze z zadowoleniem braci

wypełniał. Ale od czasu, jak ten król nowy był osiadł na tronie, do którego on żadnym sposobem nie mógł swego serca nachylić, przyjął już tylko zaszczyt krakowskiego stolnika, a zresztą odsunął się od wszystkiego. Wprawdzieć owego czasu, kiedy województwa poznańskie, kaliskie, a za niemi i inne, wrzekomo przeciwko pustoszeniu kraju przez wojska obce, a w istocie na rzecz przyszłego króla Stanisława, konfederacye były podniosły, to i on także dla swoich związków przyjaznych z domem Leszczyńskich tam się był przebrał i do swéj konfederacyi akces uczynił; ale téż co do sprawy publicznéj byłto akt jego ostatni, po którym powróciwszy do domu, już się téż z niego nie ruszył. Gdyby był chciał nawet, toby był nie mógł być czynnym, bo kromia wieku, który mu głowę już śnieżną siwizną przypruszył, jeszcze miał gościem u siebie pradziadowską podagrę, która okuwszy go w swoje niezbłagane kajdany, nieraz i po kilka miesięcy trzymała przywiązanego do krzesła. Zostawiając tedy wszystkie poza domowe sprawy swéj żonie, która téż rada temu nadzwyczaj, gościem tylko bywała w domu — a ekscypując sobie tylko opiekę nad swoim synem, którego miał w szkołach w Krakowie, — siedział kamieniem w domu, nie mącąc wody nawet i we własnéj studni. Tak téż całą tę zimę przesiedział, bo i wiosny już trochę, nie widząc nawet własnego dziedzińca... Aż téż po srogich ulewach przyszło dni parę pogodnych i zakazało się było na długo trwałą pogodę. Suche i ciepłe powietrze przyniosło ulgę jego słabości, więc po obiedzie kazał się był wynieść do otwartego pawilonu, — który konceptem pani stolnikowéj przybudowany do lewego skrzydła starego dworu, dawał arcy powaby widok na owe piękne kwieciste łąki nad Nidą, na samę Nidę, a daléj i na murowany zameczek po tamtéj stronie rzéki, którego strzegły po jednéj stronie obfite sady, a po drugiéj olbrzymie świerki, a na którym siedział pan Bobrownicki, szlachcic zamożny i poważny, chociaż tylko miecznik stężycki.

Więc kiedy stolnika niesiono do pawilonu, rzecze on do rotmistrza:

— Jak się przed domem pokażę, może mnie téż obaczy mój miecznik kochany i z łaski swojéj nawiédzi.

A na to ksiądz bernardyn z powagą:

— Zeby się jeno dostał przez Nidę, bo jako widzę jeszcze wciąż potężnieje i jakoś dziwnie się pieni.

— Tedy może kto inny wstąpi, — dodał do tego rotmistrz,— zwłaszcza z przejeżdżających. Bo to jakaś osobliwa jest szlachta w téj Małéj Polsce! Włóczą się jak cyganie, a po dworach pusto jak po klasztorach: czort ich wie kędy więc zajeżdżają. Chyba że im milsza gospoda, niż dworzec bratni!

Więc już zasiedli wszyscy około stoła, a stolnik tak odpowiedział:

— Panie bracie! niemasz ta temi czasy po co tak bardzo za-

jeździć po dworach, bo i nie wiem, żeby gdzie jeszcze była jaka taka piwnica, a ledwie kędy komora. A toż i u mnie niegdyś coś było w piwnicy, jako widać dziś jeszcze po różnych beczkach, a teraz muszę pana brata częstować piwkiem.

— Bo też pan brat sam sobie winien! — powiedział otwarcie rotmistrz, — bo kiedy w kraju duchy się dwoją, to już trza trzymać z jednym na umor i całym domem, jako Pan Bóg przykazał. A tu jegomość deklaruje się za Szwedami, a jéjmość utrzymuje ze Sasem: przyjdą więc Sasi, rabujże jegomości, na co trzyma ze Szwedami: a przyjdą Szwedzi, rabujże jéjmość, że trzymała z Sasami. A tu jegomość i jéjmość to jedno. A z tém więc biéda, bo takim terminem żadna nie wytrzyma piwnica.

A stolnik śmiał się i mówił:

— A waści po staremu przecie największy żal za piwnicą! Otóż ci powiem na pocieszenie, że tam już dobrze szperano, przecie jeszcze nie wyszperano wszystkiego...

Tu stolnik trochę odetchnął i patrzył się na rotmistrza, — rotmistrz rozziawił gębę od ucha do ucha; — ale tymczasem stolnik jakoś wcale inaczéj zakręcił i rzekł frasobliwie:

— Jakoż to tam niewielkie rzeczy, zwłaszcza też dla mnie, który od niepamięci nic nie pijam krom wody. Ale folwarki moje, folwarki! Już mi też je powymiatano z kretesem. Kiedy więc sobie pomyślę, że do tego jeszcze jest tyle długów, na co moja jéjmość jeszcze zawsze nie chce pamiętać, to już mi się czasem i na płacz zabiéra. Bo co to kiedyś czeka mojego Jurcia!

A na to rotmistrz ledwie nie z gniewem:

— Bo też trza panu bratu było jeździć po żonę pomiędzy lutry!

Więc stolnik na to w głos się roześmiał i rzekł:

— Otóż to piękna! a przecieżto twoja stryjeczna!

A rotmistrz już i sam nie wiedział co mówić, bo i tak było.

— Stryjeczna, nie stryjeczna, — rzecze nareszcie, — ale kiedy sekutnica, to trudno.

Jmć Ożarowski jeszcze się zawsze uśmiéchał, ale już odpowiedział z powagą:

— Panu Bogu niech będzie chwała, że też nas nikt nie słyszał. Bo muszę waści powiedzieć, że cobądź ludzie gadają, nigdy jeszcze te słowa nie były wymówione w tém miejscu. Ani też téj myśli nie było nigdy w mém sercu, boby była niesprawiedliwa. Już to mówiąc Bogiem a prawdą, Pan Bóg mnie trochę ukarał i słusznie: *fiat voluntas Tua!* Bo to nigdy nie trza za gładkością uganiać, co jest płochość niezmierna i grzeszna. U mnie ta płochość jeszcze była grzeszniejsza, bom też już nie był tak młody. Za to więc kary cokolwiek. Ale że ta kara z miłosierdzia Bożego nie jest znowu tak wielka, jak tam może sąsiadki przy kądzielach brząkają, o tém już ja wiem najlepiéj. Przy tém i owém, najzacniejsza to białogłowa pod słońcem. Jakoż nigdy tego żałować

nie będę, żem ją poślubił, a jeżelim kiedy czego żałował, to chyba już tylko tego, że mi moje ojcowie téj tam fortuny, co się porozłaziła pomiędzy Grodziów, Jastkowskich, Skromowskich i Bóg nie wié tam jakich, nie zostawili więcéj. Co téż waści, jako tak bliskiemu krewnemu, dokumentnie wyłuszczę, ale wpiérw jeszcze do piwnicy powrócę... Więc tedy w téj tam piwnicy jest w jednéj ścianie głaz murowany sążnisty. Już go widział niejeden, ale żaden się nie domyślił co za nim siedzi. Waści więc powiem sub secreto, że kiedy ten głaz całą swoją figurą po lewéj stronie przyciśniesz, to się przed tobą obróci, bo jest na wrzeciądzach. Jeśli więc jest fantazya potemu, to idź się spróbój z tym głazem, a co za nim znajdziesz, to przynieś na pocieszenie. Chowa się to na wesele mojego Jurcia, ale kiedy taki zacny gość nam zawitał, to się trzeba rozgrzészyć...

Poszedł tedy rotmistrz z wielką dla siebie pociechą — a tu tymszasem i nowy gość przybył.

A był to gość wcale dziwny. Mąż, jak się zdało, prawie już podstarzały, niebardzo ogromny wzrostem, bo prawie nizki, ale potężnie barczysty. Miał zaś te barki podniesione tak bardzo, że wyglądał jakby garbaty; a między niemi siedziała głowa wielka, jak dynia pomierna, a prawie całkiem graniasta. Z téj to zapewne przyczyny jakoś tak dziwnie patrzył z podełba, że kto nie był do tego zwyczajny, to mrowie go przechodziło, zwłaszcza że i twarz miał chropowatą haniebnie, nos na niéj krótki, oczy wpół przymróżone, a koło prawego oka miał bliznę poczerniałą i przymarszczoną, jak od postrzału. Trzebaż mu było nosić jeszcze brodę strzępiastą a czuprynę tatarską, żeby już wcale na straszydło wyglądał. Przy tém wszystkiem jednak ubiérał się zacnie, z polska, lecz krótko, przeciw obyczajowi, a do tego jeszcze i całkiem czarno, jeno pas miał złocisty, a przy nim mieczyk krótki przy boku, ale széroki i zakrzywiony z turecka. Ten tedy gość wszedł piechotą przez furtkę, która z téj strony zamykała pawilonowy dziedzińczyk, i zdjąwszy czapkę, kłaniał nią stolnikowi.

Obaczywszy go stolnik, bardzo się rozweselił, wołając zaraz:

— Witaj, witaj mój Murzo tatarski! Zkądże cię Ałłach przynosi? toż to już kopę lat nie widziałem waszmości. Czy to dotychczas byłeś na rekolekcyach? — A on na to:

— Ot! co mi pomoże! Jakże się masz, Bogusiu? jakże tam twoja podagra?

A to mówiąc, ściskał mu rękę i kłaniał przytém bernardynowi, powiadając pokornie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Więc tedy stolnik:

— Trochę mi lepiéj, a kiedy potrwa pogoda, to może przy Boskiéj pomocy jako znów wstanę na nogi.

— A czemu nie? — rzecze Murza siadając, — toż to choroba nie na śmierć, jeno na życie.

— Co też ja zawsze jw. panu powiadam, rzekł na to gwardyan z powagą, — bo inaczéj nie byłaby sukcesyjną.

Tytułował zaś zawsze pana Ożarowskiego jw., chociaż jako stolnikowi tytuł się ten nie należał, ale już to dla wielkiéj starożytności rodu, już dla dawnych zasług dziadowskich, ba i swych własnych, tak go czczono powszechnie.

Rzecze więc stolnik do swego gościa:

— Powiédzże, Murzo kochany, byłeś dotychczas w Krakowie? a mego Jurcia widziałeś?

— Byłem w Krakowie przez wielki tydzień, a już potém na Jasnéj Górze. A twego Jurcia widziałem, bośmy się codzień schodzili w kapitularzu... Ot! co mi pomoże! ale to ci powiadam, że mi się bardzo twój chłopiec podoba, ba i wszystkim, i bardzo mi go wychwalali ojcowie. — A nachyliwszy się do stolnika, dodał ciszéj: — Ot! co mi pomoże! ale ten będzie pewno zbawiony.

Stolnik się na to uśmiéchnął, jakby na dobrą wiadomość, lecz odpowiedział niby z politowaniem:

— Nie frasuje się o siebie, mój Jasiu kochany, bo tyżeś sobie bardzo to przybrał do głowy. Gdzie nie było chęci, tam téż niéma i winy. A potém, tyle lat rekolekcyj, czy to nie dosyć? A co? nieprawda księże spowiedniku?

— Pan Bóg to jeden wydaje w takich sprawach dekreta, — rzekł na to gwardyan, — ale zapewne, wiele tu już się zrobiło i robi... a Pan Bóg niewyczerpany jest w miłosierdziu.

— Ot! co mi pomoże! — mruknął sokie gość na to z westchnieniem, — a u mnie przecież jest po staremu.

— Zawsze po staremu? — zapytał stolnik ciekawie, — czy znów co nowego?

Murza machnął ręką przed siebie:

— Powiédzże Murzo, — rzekł znowu stolnik, — a nie przynosiszże i do mnie jakiego nieszczęścia?

Murza się na to przeżegnał.

Na widok tego świętego krzyża jakoś się smutno stolnikowi zrobiło, a wtém wszedł rotmistrz, niosąc spory gąsior w obudwóch rękach.

— Otóż to mi jest specyał? — mówił on wchodząc, i chciał daléj coś mówić, lecz obaczywczy gościa, oniemiał.

A stolnik na to:

— A widzisz waść, otóż mamy i gościa. A to jest pan Domaradzki, sąsiad mój i przyjaciel z młodości, bardzo tu przez nas kochany, chociaż go sobie żartem nazywamy Murzą tatarskim. A to jest imć pan Wiszowaty, rotmistrz pancerny, a brat stryjeczny mojéj jéjmości, który nam wczoraj po długoletniéj absencyi zawitał w goście.

Tedy się sobie obadwa ichmość kłaniali, przyczém rotmistrz jakoś dziwnie patrzył na Murzę, który zaraz zapytał:

— Pan Wiszowaty był za mojéj pamięci sędzią grodzkim

lwowskim, a miał Morsztynównę za sobą, czy to ojciec waszmości?

— Nie, — rzecze stolnik, — to dziad mojéj żony, a pan rotmistrz rodzi się z Przedwojewowskiéj.

— A waśćmość'że jakich zaś Domaradzkich? — zapytał rotmistrz, — Jastrzębiec, Równia albo téż Ostoja?

A Murża na to:

— Ani tych, ani owych. Bo my mamy herb własny, księżyc na nowiu utajony w podkowie.

Rzecze więc rotmistrz:

— Salvo honore waszmości, jeszczem téż jako żyw o tych ludziach nie słyszał, chociaż znam całą Polskę od Gdańska do Kaduk, albo téż i daléj.

— A toż się waść przynajmniéj nie przyznawaj do tego, — dorzucił stolnik, — boć to ród znany i znamienity. Idą oni od jastrzębczyków, ale mają herb własny, bo téż i zasłużyli na niego.

— Już to tak musi być, kiedy jegomość tak mówisz, — rzekł na to rotmistrz.

Ale przecież się tém nie kontentował, ba i o winie zapomniał, jeno ze wszystkich stron tego szlachcica obchodził, przypatrując mu się, kręcąc swoje wąsy ogromne i mrucząc coś sobie pod nosem. Siadł nareszcie przy stole, nalał wina gościom i sobie, a oparłszy się obudwoma łokciami o krawędź, patrzył ciągle w twarz Murży.

— Tfu! — zawoła wreszcie, — niechże ci pek będzie odemnie!

— A to co jest takiego? — zapytał pan Domaradzki, jak gdyby z trwogą.

— A to powiem waszmości, — rzecze rotmistrz do niego, — że gdybym o tém już nie wiedział na pewno, żeś jest szlachcic polski herbowny, tobym na to przysięgł, żeś taki Murża. Bom téż był raz w rękach u takiego Tatara, co był wyrżnij diable jak waszmość. A to dobrze pamiętam, chociaż dawno już temu, bo sobie téż żart zrobił ze mną, już prawdziwie tatarski...

A Murża na to jakoś się dziwnie zamyślił. Patrzył ci on na rotmistrza niby z wielką uwagą, ale się zdało, jak gdyby duszą był raczéj w rzeczy gdzieś w Perekopie lub Krymie, niżeli tutaj nad Nidą.

Spyta więc rotmistrz:

— A cóż waść na to?

— Ot! co mi pomoże! ależ to dziwnie czasem bywają ludzie podobni.

— Hm! — mruknął rotmistrz, myśląc coś sobie, ale tymczasem spytał: — A czy waszmość nie pijesz?

Murża odsunął kubek od siebie.

— Hm! — mruknie więc rotmistrz powtórnie, — ańoż i to mi dziwno po sandomirskim szlachcicu. Bo że jegomość szwagier nie pije, to nie dziwota. Już to tam winni najwięcéj ci panowie ojce;

co też także osobliwy jest koncept, żeby folwarki porozdawać pomiędzy obcych, a synowi legować podagrę. Cha, cha, cha, a cóż waść na to, mosanie Murżo?

A Murża się śmiał wraz z innymi z tych żołnierskich konceptów rotmistrza, który też pił sobie na fantazyą cokolwiek, jak to zwykle żołnierze. A był też ten zacny rotmistrz i wesół sobie po trochę. Chłop kościsty i silny, jakby go kto z dębu wystrugał, a wypędzony na wiatrach, jako ta ryba morska, co ją mażami rozwożą. Miał też nos jak kulbakę, a pod nim wąsy okrutne, które jak rogi jelenie wciąż zakręcał do góry. Nosił też mundur na sobie, buty kute żelazem do deptania przy bitwach i dziwnie srogą szablę u boku.

Mówi więc Murża śmiejący:

— Ej! mospanie rotmistrzu! a waść źle mówisz o ojcach, A godzi to się? a czy to waść nie katolik? bo to Wiszowaci, to nowinkarze, jeśli też wcale nie lutry.

A rotmistrz na to:

— Co Wiszowaci, to nie ja, chociem także jest Wiszowaty. A żem nie luter, widzą to najlepiéj ci, którzy ze mną bywali w ogniu, bo się też widzi to dobrze, pod jakim który wojuje znakiem. A żem w tych wojnach ostatnich trzymał za jedno z Szwedami, toż to nie dla nich, jeno dlatego, że oni trzymali za królem katolickim jak trzeba, a nie za Sasem, który choć rewokował, przecież jest luter w sumieniu, bo też i po lutersku panuje. A jam się chował u oo. jezuitów w Krakowie, co też dobrze pamiętam, bom się też uczył nie bardzo.

Tedy znowu się śmiano, a stolnik rzekł:

— No, ale jakże to było z tym Murżą tatarskim?

A rotmistrz na to:

— Hm! była to rzecz takowa, że i wspomnieć niemiło. Ale już to waściom opowiem. Więc kiedym się z panem Jędrzejem Potockim z Kamieńca za Tatarami uwijał, przyszedł taki termin fatalny na mnie, żem się im dostał w niewolę. Jakoś mnie zadaleko uniosła fantazya, co też nieraz wypada głupio. Więc zabrali mnie z sobą, jako to dla nich rzecz najłakomsza. Ale żem miał na sobie pancerz srebrzysty, a na nim pod Matką Boską mego Rocha w złocie, więc mnie tam trochę aprendowano w obozach, bo się też spodziéwano okupu. Jam też sobie dobierał fantazyi jako więc mogłem, — alem okupu przez to nie zwabił. Już mi więc zaczynało trochę ubywać estymy, jużem też sobie myślał nieraz, nuż żeby skrobnąć! Jakoż byłbym to pewno uczynił, gdyby jednakże nie to, żem szlaków nie znał, bo się to dziwnie to tatarstwo kręciło. Aleć jednego wieczora przysuwa się do mnie milczkiem jeden ich Murża, — a taki był właśnie, jako ten, co tu siedzi, — a mówił z ruska, bo się już był jako widać przy tych częstych zagonach i ludzkiego języka nauczył, — mówił więc do mnie te słowa: — Przyjdź dzisiaj w nocy do mojego namiotu, a ja

cię wyprowadzę na wolność. A żem to był smyk jeszcze natenczas, lada czemu wierzący, jako więc zwykle bywa u młodych, więcem mu i uwierzył na moję zgubę, bo zdrajca był, jako każdy Tatarzyn. Żeby go kolka ukłuła!

A tu Murza, właśnie jak gdyby go co ukłuło:

— A jakto zdrajca? — zapyta.

A rotmistaz, który właśnie pił aby zalać tę gorycz, postawił kubek twardo na stole i rzekł:

— Bo zdradził hultaj! wprowadził mnie po za obóz na taki szlak, którym wracały podjazdy, gdzie mnie więc ułowiono. A więc to zrobił z umysłu!

A tu pan Domaradzki, jakby go kto postrzelił, zerwał się z miejsca i już miał gębę otwartą, ba i rękę wziesioną. Zerwał się więc i rotmistrz i odskoczył od stołu. Ale wtém w samę prawie porę ksiądz podniósł rękę do góry i powiedział dobitnie:

— Et dimitte nobis debita nostra...

A tu już Murza, jakby mu nogi kto podciął, siadł zaraz nazad, pochylił głowę i rzekł z pokorą:

— Ut nos dimittibus debitoribus nostris.

Więc rotmistrz patrzał jak na teatrum.

— A to co za dyalog?

— Ot co mi z tego! — rzecze pan Domaradzki spokojnie, — mów wasze daléj.

— Hm! — mówił rotmistrz, kiwając głową — waszmość bo widzę jakiś gwałtownik? że już nie powiem co więcéj.... bo ten ksiądz jakby wodą święconą pokropił.

I przeżegnał się rotmistrz, patrząc na Murzę, bo był téż po staremu nabożny.

A stolnik śmiał się i mówił:

— Cha, cha, cha! panie bracie! coś ci się przybłąkuje na starość.

— Ale bo to coś dziwnie.....

A stolnik znów się roześmiał i mówi:

— No, toż każdemu nowa rzecz dziwna. Ale ja ci ją wytłumaczę w dwóch słowach. Kochany nasz Murza jest sobie prędki cokolwiek, znając to zaś do siebie, jest téż tercyarzem u bernardynów; a że to gwardyan, więc *obedientia*. Otóż i rzecz. Poznacie się téż lepiéj za czasem i jestem pewny, że się pokochacie. A tymczasem mów wasze daléj.....

Więc tedy rotmistrz, który miał co innego na myśli, zaraz się uspokoił.

— Hm! więc mi to teraz już nie tak dziwna. A waszmość, panie Domaradzki, nie bądź mi téż frasobliwy, żem się waszmości przestraszył, bom to ja nietylko w tatarskich, ale téż i w diabelskich był rękach. A że to ten syn piekielny i ludzką czasem przyjmie figurę, jako wiem dokumentnie, bom się sam o tém przekonał, więc téż teraz już ludziom trochę lepiéj zaglądał w oczy.

— Już mnie też waszmość raczysz komplimentami, — rzekł na to Murza pochmurnie, ale zaraz złagodniał i dodał, — ot! co mi pomoże! mów daléj.

— A co już mówić? — rzekł tedy rotmistrz, — albo to waszmość nie wiész, jak się z takim obchodzą, którego wrócą z ucieczki? A toż i ja, com był piérwéj u wszystkich w respekcie, jadł ryż, baraninę i co było w obozie, tom musiał drwa rąbać potém, nosić na własnych plecach, ognie nakładać, aż mnie też w kuchtę przerobili ci zdrajcy; bodaj ich zabito!

Więc stolnik, że to rzecz była tak dawna, dworował sobie z rotmistrza i mówił jemu:

— Panie kuchto tatarski.

Murza był czegoś smutny, ale niebawem także się rozweselił, bo rotmistrz zaczął opowiadać rozmaite historye wojenne. A kiedy on opowiadał, to było co słuchać, bo był to wielki wicher po świecie. Jeszcze z panem Jędrzejem Potockim, kasztelanem krakowskim a hetmanem polnym koronnym, który też był, z niezrównaną chwałą dla téj zacnéj rodziny, vice-rejem za wyprawy wiedeńskiéj, zaczął był praktykować rycerskiéj, a już od tego czasu prawie i z konia nie zsiadał. Podczas bezkrólewia za francuzami, szwedzkich wojen ze Stanisławem, zwijał się ciągle wodząc chorągwie, aż na Ukrainę się dostał i tam znów owym sławnym natenczas mazepińskim hufom przywodził. Po zakończonéj wojnie przebrał się po staremu w swoje strony rodzinne, aby siąść na zagonie na zawsze, albo też może tylko trochę odpocząć. Miał więc wiele do powiadania—a kiedy skończył, rzekł mu Murza:

— No, toś się waszmość także niemało natyrał. Bywałem też i ja... przez ciekawość, ale waszmość po służbie. A kto grzebie, to jużci na to, aby też coś wygrzebał. A więc będzie za to?

— Licho tam będzie! — zawoła rotmistrz; byłoby pewnie, żeby nie fata półtawskie i żeby król Stanisław był się osiedział na tronie; aleć trudno mi ma Sas płacić za to, żem przeciw niemu wojował. Trzeba się więc po staremu ukontentować kwitkiem na wypłatę po śmierci; żeby go jeno św. Piotr akceptował....

— Ważny to kwitek! — rzekł na to Murza, wzdychając, — i szczęśliwy to człowiek, który go na swém sumieniu wypisze. Ale przecie to muszę powiedzieć, że kiedy kto swoję młodość przetrawi na służbach doczesnych, przykro jemu być musi, jeżeli nie odbierze nagrody doczesnéj.

A tu Murza patrzył w twarz rotmistrzowi z uwagą. A rotmistrz na to po staremu ze serca:

— Nie wiem tam, jako z tém jest u nich, ale co u mnie, to nie. Tak mi Panie Boże daj zdrowie, że nie. Trzydzieści lat prawie spędziłem ja na kulbace i już też w różnych się bywało terminach, ale mi jeszcze na myśl nie przyszło, że temi latami żałować. Ani mi też się nie śni żądać od kogo za to nagrody. A za co? Albo to ja komu służyłem? albom się też najmował do cu-

dzéj sprawy? A nie. Bo jeślim służył, to tylko memu własnemu sercu. A to mówię, jak jest. Niechżeby mi więc Sasi dawali starostwo albo téż i buławę, żebym im służył, a to, mowiąc z respektem, plunąłbym im w oczy; a za Stanisławem służyłem i da Bóg będę jeszcze służył za darmo; bo już taka jest moja konwikcya i jak Bóg na niebie, tak prawda. To więc jest jedno. A daléj, i od kogóż to żądać nagrody? albo mi to może co dać król Stanisław, który sam teraz nie ma? Mamże więc iść do hetmana i mówić jemu: Otom jest rotmistrz chorągwi pancernéj, służyłem lat tyle a tyle, daj mi za to trzy grosze? Anożbym sobie piérwéj dał sam pięścią w gębę, niżbym się tak upodlił. Bo będę ja może rozmawiał z tym zdrajcą wielkim koronnym, ale to już chyba inaczéj... jako więc raz już blizko było do tego.

A lubo to rotmistrz wypowiedział poprostu, jednak mu stolnik i Murża podali ręce, bo im się to podobało; byli téż oba duszą i ciałem także stanisławowscy. A Murża rzekł:

— Panie bracie, niechże ci Pan Bóg da zdrowie, że tak powiadasz, bo téż to jedyna jest prawda. Jeno mi to przy tém trochę zadziwno, żeście to z panią stolnikową jednego rodu, a tak odmiennych systematów...

A rotmistrz na to:

— Ja tam za moję siostrę nie odpowiadam, bom téż jéj nie opiekun. Ale to powiem, że gdybym ja był jéj mężem, to jużby musiała koniecznie tańcować po moim smyczku. Anibym téż dał jéj się tak włóczyć po świecie, ani marnować fortuny..... bo téż i nie wiem, jaka w tém jest rachuba.

A na to stolnik:

— Ej! panie bracie! daj pokój, bo téż i mnie uczono mathesin.

Rzecze więc gwardyan, aby zakończyć tą kwestyą:

— Jw. stolnik przegrywa stawki doczesne, aby wygrywać wieczne.

A na to rotmistrz, który pił właśnie, obrócił się z kubkiem do księdza, spojrzał na niego i rzekł:

— A tego cale nie rozumiem.

— Ot! co tu mówić! — poderwie stolnik już niecierpliwie,— wiédz waszmość tedy, że są dwie wielkie rzeczy, o które mi chodzi najbardziéj: piérwsza więc czystość wiary mojego syna, bez któréj nie wiem, jakoby kto mógł być zacnym na tym tu świecie, a druga: spokój domowy. A obiedwie te rzeczy jużby przepadły na zawsze, gdyby moja żona siedziała w domu. Niechaj więc jeździ po wielkich dworach, niechaj siedzi w Brzeżanach, niech téż i traci folwarki — a niech mi się tylko do wychowania mego syna nie miesza. Bo stracone folwarki, to rzecz odzyskana, ale stracona niewinność albo nabyta lekkość w świętéj wierze, to już straty są wieczne.

Na to pan Domaradzki westchnął sobie nieznacznie, a gwardyan rzekł:

— Jw. pan tak powiadasz, jakobyś czytał którego z ojców kościoła, w czem też wielkie dla ich nie godnych następców jest pocieszenie.

Rotmistrz zaś, pomyślawszy cokolwiek, dodał:

— Niéma co mówić, bo co prawda to prawda. Jeno się boję, żebyście z tego ferworu nie przerobili zacnego młodzieńca na mnicha, bo już i tak, jako słyszę, więcéj szkaplerzami się bawi, niż szablą. Piękne i to, ale...

A tu się spostrzegł i rzekł do księdza:

— *Salvo honore!* waszmości.

Zacny gwardyan, daleki od gniewu, którego i nie znał na życiu, łagodnie się na to uśmiéchnął i chciał coś odpowiadać, ale tymczasem wbiegł podstarości dość zadyszany i przyniósł cale niedobrą nowinę.

Oto królewscy Sasi, z pułku ciężkiéj dragonii, roztasowali się we wsi, poplądrowali chłopom komory, kojce, obory, gdzie nic nie znaleźli, powybijali błony, porozwalali piece, aż też nareszcie i na folwark zabiegli i już się zabiérają do gospodarstwa.

Zerwą się tedy wszyscy od stołu i ten to mówi a tamten owo. A Murża piérwszy:

— Otóż hultaje! dopiéro chcieli mnie infestować, już też i tutaj trafili.

Rotmistrz jedną ręką chwycił za szablę, a drugą wąsa pokręca, a stolnik nabiegł krwią cały, jak więc było u niego naturą. Ale jak prawie zawsze, tak też i teraz się zmitygował i rzekł raczéj ze skargą, niż z gniewem:

— Już też moja wielka biéda z tą żołnierską włóczęgą! Mniejsza to o mnie, bo co mi wezmą? ale tych biédnych chłopów już mi puszczą z torbami!

A Murża ciśnie swój mieczyk za głownię, już go i trochę wyciągnął, i rzecze:

— Panie rotmistrzu! chodźmy tam, a nie dajmy rabować brata.

Rotmistrz miał podobno jeszcze lepszą oskomę na Sasów, ale jakby poczuciem tknięty, rzekł na to:

— Jużci pójdę i ja, ale żeby jeno do burdy nie przyszło, bo tu ludzi niewiele, a do tego i pan brat chory. Jeszczem też i spieszony.....

Toż i stolnik:

— Ot! dajcie pokój, bo to i w takich sprawach trudno ręczyć za siebie. Krew nie woda.....

Ale Murża, jakby go szatan opętał:

— A co waść pleciesz? toż nie będziemy przecież na nich naciérać! chodź waść, panie rotmistrzu, chyba że masz respekt dla sasów.....

Tego też tylko było potrzeba. Jakoż zaraz rotmistrz się zerwał, a lubo już teraz i gwardyan się do nich mitygująco odezwał, poszli. Już więc tylko stolnik zawołał za nimi:

— Proścież mi oficerów na wino, bo już to będzie najlepsza.

A kiedy już zniknęli za furtą, stolnik się skarżył bernardynowi, co to go już ta wojna kosztuje, chociaż się do niéj nie mieszał.

Aż tu niebawem słuchać huk na folwarku, nuż więc i strzały. Patrzą, a tu przez furtę wpada Murża a za nim rotmistrz z kilką sług dworskich i podstarościm. Podstarości zamyka furtę, wali przed nią ławy drewniane, które leżały pod lipą, a rotmistrz z Murżą przypadają do sieni, gdzie wisiały muszkiety i inne strzelby. Stolnik aż się zerwał na nogi, chociaż nie mógł stać na nich, woła: Gwałtu! przez Pana Boga! a co wy myślicie? Bernardyn pobiegł pędem za nim — a tu już Sasi u płota. A był to płot żywy z grabiny, a w środku niego furta z dębowych sztachetów. Więc Sasi do płota, płot trzyma; więc do furty — a tu Murża z rotmistrzem pali do nich z muszkietów! Stęknie jeden i drugi, trzeci się zwalił na ziemię. Stolnik na nogach, jakby nigdy nie chorzał, sam wziął muszkiet z rąk pachołka i palnął, — a tu Sasi wywalili już furtę. Rotmistrz i Murża rzucili się na nich z szablami, toż i pachołcy, — ale tymczasem oni jak dadzą ognia z kilkunastu sztućców odrazu, padł zaraz rotmistrz, padł téż i stolnik z wielkim jękiem na ziemię... A resztę jakby kto wymiótł z dziedzińca. Tylko Murża widomie się wszył między Sasów i tam zniknął gdzieś pomiędzy nimi.

Sasi tedy po owych trupach wpadli zaraz do dworca i haniebnie go splondrowali, do czego téż im nikt nie przeszkadzał.

Trwało to wszystko aż do zachodu słońca. A potém już cisza nastała na całém dworskiém obejściu. Ale była to cisza okropna, bo w całym dworze powybijane szyby, drzwi zdruzgotane, szklany pawilon podziurawiony, krew na dziedzińcu, a między temi plamami krwi — tam rotmistrz — a tu znów stolnik bez duszy.....

Ale kiedy już całkiem przycichło i zaczęło się zmierzchać, ba i dészcz się puścił ulewny, zjawia się gwardyan z jakiegoś szczęśliwego ukrycia. Rozejrzał się po dziedzińcu, a obaczywszy leżących, jeno ręce załamał. I tak stał chwilę. Ale się rzucił niebawem, aby pobitych obejrzéć. Obejrzawszy stolnika, już tylko ręką machnął i westchnął, — ale kiedy ruszył rotmistrza, to rotmistrz się podniósł i siadł na ziemi. Przetarł oczy, spojrzał na księdza i rzekł:

— A gdzie ja jestem?

— Ot! gdzie waść jesteś! — odpowie gwardyan, — patrzajno waść, coście tu nawarzyli. Nasz pan już nas pożegnał na zawsze.

Zerwie się tedy rotmistrz, a chociaż miał ranę ciężką na głowie, przypadł natychmiast do stolnika i zaczął go trzeźwić wraz z bernardynem. No, i przecież się jakoś go dotrzeźwili. Zanieśli go téż zaraz na łóżko i opatrzyli ranę, która była u boku. Przy-

szedł też stolnik do świadomości. Ale kiedy się poczuł, jakoś dziwnie osmutniał i rzekł do gwardyana:

— Już ja podobno z tego łoża nie wstanę, może i jutra już nie obaczę. Proszę cię, panie rotmistrzu, poszlijcie mi zaraz rozstawionemi końmi po Jurcia, wyszlijcie też konnego po moję żonę, a ty, księże gwardyanie, bądź na mnie łaskaw i pomyśl o grzesznéj duszy mojéj.....

Co powiedziawszy głosem dziwnie bolesnym, złożył ręce, podniósł oczy do nieba i rzekł:

— Panie Boże święty! dajże mi jeszcze obaczyć choć dziécię moje! — a łzy mu strumieniami popłynęły po twarzy. I zaczął się modlić gorąco, przygotowując się do świętéj spowiedzi.

II.

Stolnikowego syna znaléźć nie było trudno, bo był w szkołach w Krakowie, — ale kędy się było puszczać za odszukaniem jéjmości, to już chyba tylko Pan Bóg mógł wiedzieć...

A była ta pani z domu Wiszowatych, którzy są herbu Roch, dosyć dawnéj sięgają starożytności i nawet rozrodzili się byli dość licznie po województwach podlaskiém, krakowskiém i rawskiém. Dostąpili oni od Pana Boga téj łaski, którą po wszystkie wieki zwano w Polsce błogosławieństwem, ale nie wywdzięczyli Mu się za to wedle swych obowiązków. Ojciec pani stolnikowéj krakowskiéj, Józef. sędzic po ojcu lwowski, a sam cześnik liwski, podniósł się był cokolwiek, bo i bił się z chwałą po różnych wojnach i ożenił się z Morsztynówną, starościanką filipowską, za którą piękne wziął wiano; ale i temu jakoś nie szło po ręku. Trudnoż mu nawet miało się wieść osobliwie, niemającemu ani krzty chrześciańskiéj pokory, a natomiast pychy i próżności bez miary.

Dobry zresztą był człowiek, waleczny żołniérz, miłosierny i przygodny każdemu, może nawet aż nadto; ale cóż, kiedy przytém i próżny, dający wiele na wystawność swojego domu, ba nie strzegący się nawet i zbytków. Tak téż wychował i Teofilę, swoję córkę jedyną. Z młodu chowała się ona w domu ojcowskim, z wielkim sumptem na ochmistrzów i ochmistrzynie, z wielkim względem na biegłość w cudzoziemskich językach, w muzyce, śpiewie i pląsach, ale bodaj czy nie z zapomnieniem katechizmu zupełném. Był ci tam wprawdzie i jakiś niby ksiądz do nauki religii, bo już i cześnik sam rewokował, ale wielka zachodzi kwestya, czyli to nie był jakiś utajony minister. A potém kiedy już Teofila

podrosła, dano ją na dwór księżnéj Lubomirskiéj, marszałkowéj w. koronnéj, gdzie chowając się razem z owoczesną księżniczką Elżbietą, a teraźniejszą hetmanową w. koronną, już się dochowała do reszty...

Otóż natenczas właśnie pan Ożarowski, ukończywszy swe służby wojenne i osiadłszy u siebie na wsi, postanowił był sobie, obejrzéć się nareszcie za żoną. Jego zdrowy rozsądek mu radził poszukać sobie żony gdzieś w dobrym domu, jak to mówią zwyczajnie, dobrego gniazda; ale znów wzgląd na fortunę, którą wystawieniem chorągwi nadszarpnął, kazał mu o tém pamiętać, żeby przy cnotach i urodzeniu wziąć téż i jakie wiano. A że świetnością rodu mógł się i z najlepszymi pomierzyć, miał téż koligatami Tęczyńskich, Komorowskich, Drohojowskich, Jordanów i wielu innych, ba i sam już był zapisany na kartach sławy dziejowéj: więc jako to każdy rad swego szczęścia próbuje, udał się najpiérw na wielkie dwory. Był tu i owdzie, a nareszcie zajrzał do Lubomirskich. Ale tam przed wszystkimi innemi wpadła mu w oko panna Wiszowatówna. I nie można było temu się dziwić, była to bowiem dama prawie dziwnéj piękności. Wysoka wzrostem, o ciemnych włosach, a biała jako puchy łabędzie, była ona świętością, do któréj się wszyscy modlili. Jeno że inni pomodliwszy się, odpłynęli, a stolnik się wyspowiadał. A po spowiedzi zaraz więc do ołtarza, jak téż to za owych czasów prawie zawsze bywało. A stało się to nawet i z wielką obustronną pociechą, bo kiedy dla cześnikowéj nie mógł nikt nic lepszego wymagać, to znowu stolnik brał żonę wedle swego afektu, z starożytnego posesyonatów domu, a jak się zdało, nawet nie bez fortuny, boć była jedynaczką u ojca, który miał parę wiosek i na nich siedział.

Jakoż piérwsze lata ich małżeńskiego pożybia minęły w wielkich błogościach. Wprawdzieć młoda małżonka zaprowadziła zaraz z kopyta nowy ład w starym domu: powyzłacała sale, pobudowała pawilony przejrzyste, pozakładała ogrody, poprzebiérała służbę z niemiecka, poszły więc za tém bale, festyny, maskarady, iluminacye i tym podobnych figlów zamorskich bez końca, co kosztowało bardzo wiele piéniędzy. Stolnik niby chmurzył się na to, bo przewidywał złe skutki, — postanowił był sobie nawet po kilka razy tamę temu położyć, — ale jakoś nigdy nie doprowadził do tego, ażeby swoje postanowienie urzeczywistnić. Dziwnie miękkiego serca ten człowiek, dziwną miał słabość dla żony. Toż kiedy mu jeszcze ta żona syna na świat przyniosła, już ani myśli o tém nie było. Gdyby mu było natenczas przyszło utoczyć krwi dla niéj z pod serca, to i téjby był nie odmówił, a cóż dopiéro rządów w swym domu, albo kawałka fortuny? — Myślał téż wtedy stolnik: Dał jéj Bóg dziécię, zajmie się niém jak matka, zapragnie sama ciszy domowéj, a wtedy będzie jeszcze czasu aż nadto, ażeby to co stracone odzyskać. Aleć tak się nie stało. Bo chociaż dziécię już było w domu, bo już zaczęło podrastać i wielka była pora

do macierzyńskiéj powagi i domowego spokoju, przecież wciąż po staremu dom pełen był gości, wyprawiały się w nim rozmaite festyny, ba i zjazdy jakieś tak dziwne, że ich stolnik nie mógł zrozumieć. Ale niebawem musiał je przecie zrozumieć, bo już téż i po wszystkich sąsiedztwach zaczęto głośno o tém rozprawiać: że jego dom stał się stekiem dla poplecznikow saskich, że się w nim odbywają potajemne narady, że się tam kują rozmaite tajemne plany, fabrykują depesze, wysyłają agenci, zgoła że owe niby głośne festyny to tylko złudna pokrywka, a w saméj rzeczy dom jego stał się kancelaryą dla politycznych praktyk królewskich, albo hetmańskich, albo nareszcie saméjże hetmanowéj wielkiéj koronnéj, co zresztą pod ową porę prawie wychodziło na jedno. Nie mógł już tego stolnik nareszcie i całkiem jawnie nie widzieć, bo i któż to bywał w tym domu? Oto sami wyżsi i niżsi oficerowie sascy, urzędnicy królewscy, tu jakiś poplecznik hetmański niby do Krakowa jadący, tu dama jakaś brzeżańska niby powracająca do krewnych, a już ta sławna oblubienica królewska, hrabina Königsmark, stała się przyjaciołką stolnikowéj od serca i wysiadywała tu czasem po parę tygodni. Bardzo się to tedy stolnikowi nie podobało, i to nawet z wielu powodów. A więc najpiérw dlatego, że takie życie coraz bardziéj rujnowało fortunę, która i tak już cierpiała niemało, — a powtóre dlatego, że jego żona mieszała się w machinacye tego właśnie stronnictwa, którego on nienawidził, — a nakoniec dlatego, że chłopię już dorosło; na samym wstępie do życia przypatrywało się ledwie nie samym lusztykom, pląsom i zbytkom, obsłuchiwało się rozmów, które niebardzo były nauczające dla dziecka, ba i ociérało się także o takowe figury, których nietylko polityczne wyznanie było stolnikowi niemiłem, ale i wiara ich podejrzana, bo i moralność niepewna. Rozmyślał téż nad tém stolnik coraz to więcéj, próbował nawet i opór stawić, ale już to nie szło mu teraz. Trzeba to było wziąć się do tego wcześniéj, ale teraz już pani obiedwiema rękami dzierżyła berło, już jéj to berło prawie do rąk przyrosło. Wiedział-ci on o tém i nieźle, że gdyby się on na to uwziął, toby swego dokazał koniecznie, — bo i czegóżto przeciw kobiécie nie dokaże mężczyzna? ale bał się dwóch rzeczy. Bał się więc najpiérw złe to poruszyć, a ztąd już piekła w swym domu do śmierci, — a powtóre bał się sam siebie. Bo jak był z jednéj strony tak łagodnym i dobrym, że choćby go było koło palca owinąć, tak znowu z drugiéj, kiedyby spłonął gniewem serdecznym, toby był gotów gwałt jaki zrobić, mógłby był może uderzyć, a może nawet i zabić. Omal że nie miał raz takiego zdarzenia w swojéj młodości i od tego czasu dziwnie był powściągliwym. Kedy więc przyszło mu z żoną do konferencyi poważnéj, to rozpoczynał perswazyą, przeplatał żarty, a kończył targiem. A że stolnikowa także niemało dawała na to, ażeby zachować przyzwoitość we wszystkiém, a w pożyciu małżeńskiém przynajmniéj pozory zgody, więc zawsze dała na so-

bie coś wytargować, obcałowała męża, a naplótłszy mu najdziwniejszych andronów, zmieszanych z pochlebstwami, ugłaskała na długo. I tak znowu minęło lat kilka, z tą tylko różnicą, że stolnikowa przez te lata dosyć wiele jeździła, czasem po parę miesięcy przebywała w Brzeżanach, to w Opolu, to na Wiśniczu albo i w samym Krakowie, gdzie wszędzie z sobą woziła małego Jurcia, razem z jego ochmistrzem, mężem już siwym, bardzo uczonym, noszącym suknie niby kapłańskie, ale jakiegoś dziwnego kroju. Dla miłéj zgody stolnik i na te podróże pozwalał, zwłaszcza że one mniéj kosztowały niż pobyt w domu, a do tego jeszcze był sam naówczas zdania, że nie powinno to być bez korzyści dla chłopca, jeżeli się już zawczasu przypatrzy największym dworom, a przytém téż i najpiérwszym ludziom w swym kraju. Jeszcześ do tego pod owe czasy umarł był właśnie pan cześnik liwski, zkąd niby na stolnikowę miała spaść cała jego fortuna, a z czego stolnikowa nie zaniedbała korzystać, aby tém uspokoić męża w jego zwyczajnych troskach o tak znaczne wydatki. Ale najpiérwéj już ta sama sukcesya przyniosła tylko zgryzotę. Pan cześnik bowiem zostawił wprawdzie po sobie tę parę wiosek, i zostawił nad niemi opiekę najzacniejszemu człeku, bo swemu bratu. Brat téż sobie jaknajzupełniéj podług woli stolnika postąpił, bo sprzedał te ziemie jmć panu Tryźnie, Litwinowi herbu Gozdawa, a wołkowyskiemu staroście, który wydając tu córkę za Piotrowskiego Junoszę, także Litwina, lecz osiadłego w Lubelskiem, chciał mu dać wiano w własności ziemskiéj. Tryzma téż całą pozostającą od długów summę jak najrzetelniéj wypłacił i stolnik ją do rąk własnych odebrał; lecz na nieszczęście odebrał ją w samych nowych szóstakach, których podskarbi litewski, Pociéj, nabił był wtenczas w otworzonéj przez siebie mennicy, a które wkrótce, jako fałszywe, rzucono. Na tych szóstakach były odbite litery L. P., jako początkowe ich twórcy Ludwika Pocieja, lecz kiedy je potém rzucono, i te litery wytłumaczono, nie Ludwik Pociéj, lecz Ludwik Płacz; i bardzo słusznie, bo niejeden gorzko nad niemi płakał, co téż nie ominęło stolnika. Jednakże może właśnie to wydarzenie przyniosło szczęście, nie dla stolnika, ale dla jego syna. Kiedy bowiem stolnikowa powróciła z jednéj ze swoich owoczesnych podróży, zaczął stolnik bardzo ciekawie się dopytywać o wszystko. Z opowiadanych przez nią rozmaitych powieści, jedno mu się podobało, drugie niebardzo; lecz po kolei wziął téż na egzamin i syna. A był to już chłopiec natenczas prawie w roku czternastym. Jakoż niéma co mówić, był układny nad podziw, mówił po niemiecku jak Niemiec, po francuzku jak Fancuz, po łacinie już się jąkał cokolwiek, — ale kiedy go ojciec z katechizmu zapytał, to aż przykro było posłuchać. Bo to ani Dziesięcioro, ani Zdrowaś, ni Wierzę, ledwie że wiedział kto ten świat stworzył, a i to jakoś z luterska powiedział. Pobożny stolnik aż struchlał na to, nawet na razie sam nie wiedział, co mówić. Pokiwał jeno głową i jak

bóbr się rozpłakał..... Poczciwy chłopiec także się nie mógł od łez powstrzymać, bo choć może nie wiedział czemu, aleć czuł w swojém sercu, że niemała to rzecz jest wywołać łzy takie rzewne u swego własnego ojca!

Ochłonąwszy cokolwiek z tego bogobojnego żalu, otarł łzy stolnik, pocałował osmucone pacholę w czoło i rzekł:

— Nie frasuj że się, moje dziécię kochane, boć jeszcze nie trza tracić nadziei. Obraziliśmy Boga i bardzo, aleć jeszcze jest czas do naprawy. A gdzież przebaczenie, gdzie miłosierdzie, jeżeli nie u Niego? Żeby zaś tego dostąpić tém pewniéj, już ja ciebie nie puszczę od siebie, dopóki żyć będę; bo wolę ciebie miłego Bogu i ludziom choćby w drelichu, niż w bisiorach i złocie, a z zadatkiem na potępienie.

Już téż nic o tém nie mówił żonie, zwłaszcza, że przy téj kwestyi tak ważnéj, bardzo sobie nie ufał, jeno posłał zaraz po bernardyna, który natenczas już był gwardyanem, mężem wielkiéj zacności i pobożności, a zarazem i stróżem jego własnego sumienia. Po odprawionéj z tym ojcem pobożnym naradzie, wyrobił stolnik u prowincyała pozwolenie częstszych i dłuższych absencyj u niego, na co téż *necessitate urgente* pozwolono z najlepszą chęcią, — a tak gwardyan to zaniedbane pacholę wziął pod swoję opiekę. Znając głębokość wiary tego świątobliwego ojca, już się stolnik był uspokoił i tylko się modlił Panu Bogu o szczęśliwe powodzenie w tém przedsięwzięciu. Ale nie tak-to łatwa ze złem jest sprawa. Złe, kiedy gdzie padnie, to jak chwast jadowity krzewi się szybko z najmniejszego ziarenka, buja wściekle za czasem i jako zwierz dziki swe kły rożżarte, tak ono swoje żarłoczne w głąb zapuszcza korzenie. Nie było tu może jeszcze tak bardzo źle ze synem stolnika, ale jednak już wiele musiało być złego, kiedy sam gwardyan stracił ufność w swe siły. A jako był mąż przezorny i w swojéj świątobliwéj pokorze nieprzesądzający nigdy sił ludzkich, zwłaszcza tam gdzie idzie o rzeczy ważne, ba najważniejsze w tém życiu; tak téż sam przyszedł do ojca i dobrowolnie broń złożył.

— Panie bracie święty, a co to? — zapytał stolnik, załamując ręce z przestrachu.

A gwardyan na to:

— Niechże mi się jw. pan tak nie stracha, bo jeszcze tu nic nie przepadło. Aleć to muszę powiedzieć otwarcie, że jako widzę, nie dam ja rady temu chłopięciu. A to z dwóch przyczyn. Najpiérw tedy jest tu ta circumstancya, że co ja wielką pracą za dni kilka naprawię, to jéjmość pani jedném słówkiem, a czasem nawet i jednym gestem zepsuje. A powtóre rzecz taka, że to pacholę już się zanadto rozszérzyło w naukach. Gdyby tu chodziło o nauk głębokość, to za pomocą Bozką śmiałobym się z nim zmierzył, ale co na szérokość, to ja nie daleko zasięgnę, a ztąd téż szwank na powadze. Spyta mnie więc z francuzka, ja nic, spyta z niemiecka

a ja ledwie dwa słowa, nuż wtedy w śmiéch: a to już na nic taka nauka.

Bardzo się tedy stolnik na to zachmurzył i rzekł:

— I cóż ja poczne z nim nieszczęśliwy?

Rzecze więc gwardyan:

— Jw. panie, jest na to rada. Trzeba go zawieść do oo. Jezuitów krakowskich, a już oni go tam przemogą. Już on ich tam żadnym językiem w kąt nie zapędzi, be téż niéma téj mowy na świecie, żeby oni jéj nie umieli. Ani jest jaka światowa nauka, żeby oni w niéj nie byli mistrzami. Są téż ci bracia nasi w nawracaniu szczęśliwi, przy gorliwości w pracy mają błogosławieństwo Boże, i nie nowina im to i staruszka nad grobem, albo i poganina nawrócić, a nie dopiéro chrześciańskie pacholę.

Pomyślił tedy stolnik nad tém mało nie wiele, a potém rzekł:

— Ha! to go wieźć do oo. jezuitów krakowskich.

I tak się stało, zatrzymał się tylko stolnik jeszcze dopóty, aż jego żona się gdzie nie odwinie, bo się bał sprzeczki domowéj, —ale jak tylko pani wyjechała na parę tygodni, zaraz wsiadł do landary, zabrał syna ze sobą i oddał go oo. jezuitom na wychowanie i już pod ich wyłączną opiekę.

Powraca pani, nie widać syna, — gwałt zrazu wielki.

— A coś ty zrobił!—mówiła wtedy,—ty go na wieki zagubisz! Oni go tam zanudzą, zgarbią mu barki przed czasem, głowę jemu zawrócą, jeszcze gotowi go i do zakonu namówić!

A stolnik na to już mężnie:

— Głowy mu nie zawrócą, bo téż jeszcze nie zawrócili nikomu, ale mów raczéj, że go z drogi zawrócą, téj, którą już prosto zmierzał do piekła. Co zaś się tknie zakonu, to i niéma co mówić: wielcebym bolał nad tém, gdyby miał na nim ten nasz ród starożytny wygasnąć: ale przecież to powiem, że kiedyby to uczynił z wokacyi serca, to jenoby za to podziękować Panu Bogu i ojcom.

— Ale cóż się to tobie stało! — mówiła pani, — ty nie wiész, co to są jezuici. Oni z swych uczniów sporządzają tylko dla siebie narzędzia. Toż przynajmniéj ja będę często do niego dojeżdżać, aby tę naukę podglądać, aby go czasem w świat wyprowadzić, żeby go téż nie zahukano na zawsze.

A wtedy wziął ją już stolnik za rękę, posadził koło siebie i długo jéj prawił z powagą. Chodziło mu bowiem właśnie o to najwięcéj, ażeby ona nie dojeżdżała do chłopca. Było téż z tém korowodu niemało, aż się pani spłakała; ale już stolnik ani łzami wzruszyć się nie dał, jeno wytrwał przy swojém statecznie. Stanęło więc na tém na końcu, że się pani utuliła, nawet rozweseliła i rzekła:

— Ha! to niech i tak będzie! To się podzielmy wreszcie opieką nad naszym synem. Ty jego wychowaniem zarządzaj,—a ja

będę się starać o to, aby też miał wstęp łatwy w świecie, kiedy dorośnie.

Po takich pactach conventach, zrobionym z wielkim przykładem dla wszystkich małżeństw niezgodnych, już stolnik żony ani razu do Krakowa nie puścił, a kiedy syna przywiózł na ferye, to tylko na dni kilkanaście. A jego żona już sobie jeździła, gdzie jéj się zdało, on się jéj nie sprzeciwiał, ba jeszcze i funduszów dodawał, bo się obawiał, że kiedy w domu posiedzi, to się nudzi i gotowa jeszcze złamać zawarte pacta. Tak przez pięć lat całkowitych już tylko gościem bywała w domu; przyjedzie, parę tygodni pobawi w domu, przemieni konie i znów poleci, Bóg sam wié dokąd i na jak długo...

Tak też i w roku niniejszym 1711, przez cały zapust nie była w domu, przyjechała o środopościu, ale już zaraz po Wielkiéj Nocy znów wyjechała. Mąż ją pytał: dokąd Pan Bóg prowadzi? powiadała: do Brzeżan. Jakoż istotnie się wypuściła do Brzeżan, gdzie też najwięcéj bawiła, ale po drodze wstąpiła tu, zabawiła się owdzie — a tymczasem doszedł do skutku zjazd monarchów pod Jarosławiem, na który też i ona nie mogła uchybić.

A byłto zjazd dosyć ważny w swych czasach. Była zaś ta rzecz prawie następująca. Karol XII król szwedzki, po nieszczęśliwéj bitwie półtawskiéj, srodze już przyciśniony przez wojska rossyjskie, schronił się był na terytoryum tureckie i w Benderze zamieszkał. Tam siedząc, burzył on ciągle sułtana przeciw Piotrowi Wielkiemu — a że mu ta praktyka szła dosyć gładko, bo były tam dawne, ba bez ustanku trwające nieprzyjaźnie pomiędzy Turcyą a Rossyą, więc też i zburzył Portę nakoniec i doprowadził ją do decyzyi wojennéj przeciw carowi. Jednak Piotr Wielki, dowiedziawszy się o tém zawczasu, że się cała turecka i tatarska potęga na niego gotuje, postanowił sam ich uprzedzić. Chcąc zaś na każdy wypadek miéć raczéj więcéj niżeli mniéj sił do téj imprezy, umówił z królem polskim Augustem II i rzecząpospolitą zjazd w Jarosławiu, na którym miano zamiar rzeczpospolitą do wspólnictwa w téj wojnie pociągnąć. Zamiar ten zdawał się nawet niezbyt dalekim do skutku, bo jak z jednéj strony był za tém nieszczérze sobie z Polakami postępujący król August II, tak znowu z drugiéj przy dziś zawrzéć się mającym traktacie było się o co oprzéć i do czego odwołać, boć pominąwszy już traktat Piotra Wielkiego, zawarty niegdyś z królem Augustem w Brzeżanach, była jeszcze i umowa żółkiewska, tudzież pakta zjazdu lwowskiego w roku 1707 i jego skutki, jeżeli nie całą rzeczpospolitą, to przynajmniéj hetmana w. koronnego z carem Piotrem wiążące.

Cóżkolwiekbądź, zjechali się ci panowie do Jarosławia: cesarz rossyjski Piotr Wielki, niedawno na nowo na tron powołany król August II, wszyscy senatorowie i dygnitarze rzeczypospolitéj polskiéj, z wielkim napływem wojsk rozmaitych, szlachty dalekiéj i blizkiéj i okolicznego pospólstwa. A przyjechał tam także i je-

den gość niespodziany, którym był książę siedmiogrodzki, Rakoczy. Ten podniósłszy owemi czasy przeciwko cesarzowi Leopoldowi I rokosz, który po tegoż panującego śmierci przeszedł w puściznie na cesarza Józefa I, podżegany szczęściem swojém i dumą, zapędził się był zadaleko i pod koniec przeszłego roku, częścią przez dżumę, częścią przez bitwy przegrane, większą połowę swych wojsk rozlicznych wygubił. Straciwszy z tego powodu ufność w swe własne siły, a nie chcąc swojéj wojennéj imprezy kończyć choćby korzystnym traktatem, udawał on się już do sułtana, prosząc o zbrojną pomoc dla siebie; a kiedy Porta, zajęta właśnie przygotowaniami do wojny z carem, odprawiła go z niczém, to on się znowu o takąż pomoc udał do cara i w tym zamiarze przyjechał na ów zjazd jarosławski.

Co się więc jego dotyczy, już to nieledwie samo z siebie wynika, że Piotr Wielki nic nie mógł przyrzec dla niego; ale to już nadmienić należy wyraźnie, że i rzeczpospolita nie dała się w owę wojnę pociągnąć. Byłyć tam na nią wielkie naciski, a ztąd i z owąd nawet dość kłopotliwe, — bo nietylko tu cesarz rossyjski odwoływał się do piśmiennych obietnic, ale i król ciążył całym swym wpływem za pomocą w téj wojnie, — jeszcze do tego i hetman w. koronny, czując serdeczną wdzięczność dla cara za doświadczoną od niego protekcyą przy swych własnych zabiegach o polską koronę, wszystkich sił swoich używał ku dopięciu carskiego zamiaru; jednakże przecież senatorowie przetrwali ze statkiem te kłopotliwe opały i utrzymali się wreszcie przy swojém, do czego téż im najlepiéj posłużyły karłowieckie traktaty z Portą, których wigor był zaręczony aż do roku 1724.

Tak tedy ten zjazd się skończył na niczém, z wielką dla rzeczypospolitéj pociechą, ale téż i z niemałym dla rozmaitych osób patrykularnym frasunkiem. Jednym z tych, których może najgłębiéj był dotknął ten niezaszczytny frasunek, był niewątpliwie hetman wielki koronny Sieniawski. Pan ten bowiem,—a któż tego nie wié, dlaczego się panem mógł nazywać Sieniawski? — przy całéj swojéj dumie i wyniosłości, był nietylko kapryśnym jak dziecko, ale téż i drażliwym jak dziecko. Nie bolał on może czasem nad krwią braterską, zaléwającą bez potrzeby niwy ojczyste, nie płakał ze łzami umęczonéj pod owe czasy krainy, ale kiedy coś sobie uroił, a to mu się nie udało, już był jak struty i ledwie się nie kładł do łóżka. Toż i tu, po tym zjeździe chybionym, byłoby go to pewnie spotkało, — ale na jego szczęście ochroniła go od tego jedna mała drobnostka. Człowiek ten bowiem, jak z jednéj strony dumę swą wypiętrzoną karmił samemi olbrzymiemi zamysły, jak po zniszczenie jednéj z najmożniejszych pod owe, ba i po wszystkie czasy, rodziny Potockich, to po zdeptanie potęgi szwedzkiéj, to nareszcie i po koronę dla siebie swoję rękę niewieścią wyciągnął,—tak znowu z drugiéj strony był próżnym jako bańka mydlana i nieraz jeden mu się to wydarzyło, że po stracie ogromnéj

pocieszył się ledwie dojrzaną drobnostką. Toż i tu się tak stało. Na tym zjeździe albowiem miał on nie jeden, ale dwa do spełnienia zamiary. Jeden publiczny, którym była pomoc w wojnie tureckiéj, — a drugi prywatny, którym był znów chrzest jego córki. Hetman miał córkę jedyną spadkobierczynię tak ogromnéj fortuny i tak znamienitego imienia, któréj było Zofia na imię, a która wtedy miała już rok trzynasty. — Z chrztem téj córki solennym wstrzymywał on się przez wszystkie lata, bo miał zawsze rozmaite widoki, — ale teraz, kiedy po powrocie królewskim do Polski te widoki się rozpierzchnęły, postanowił ją ochrzcić na jarosławskim zjeździe. Nieprzewidzianym przez niego, co mu się bardzo często zdarzało, zwrotem sprawy publicznéj, byłoby może i tu do tego nie przyszło; ale na jego szczęście przyjechała jeszcze zawczasu pani stolnikowa krakowska.

Matka młodego Jurcia, jak się już rzekło powyżéj, była od lat najdawniejszych z hetmanową w przyjaźni, żyła téż z całym domem hetmańskim w bardzo poufnych stosunkach, stała się więc na samym wstępie wspolniczką wszystkich hetmańskiego domu zamiarów. A że ta pani w zapobiegliwości i rozmiatych gabinetowych zręcznościach przechodziła jeszcze o wiele samę hetmanowę koronną, więc ona piérwsza to powiedziała, że na tym zjeździe sprawa publiczna może się rozbić o stateczność senatu, a kiedy ta się rozbije, to się tém pewniéj jeszcze mogą rozbić i chrzciny. Częścią więc tém przewidzeniem, a po części może i tém, że bodaj czy jéj nie więcéj zależało na chrzcinach, niż na sprawie publicznéj, zniewoliła ona hetmana do przyśpieszenia tego obrzędu. Jakoż w saméj istocie, pod koniec zjazdu, ba już w ostatni dzień konferencyi, uproszono nareszcie monarchów na chrzestnych ojców i solenność ta przyszła w saméj istocie do skutku.

A była to solenność mało kiedy widziana, bo się cała odbywała pod namiotami, na wolném polu pod miastem. Monarchowie stanęli w mieście i tam się odbywały narady zjazdu. Ale hetman stanął z wojskami w polu, a jako na zjazd tak poważny, wystąpił z całą świetnością swojego krezusowego dworu. Już i w każdy dzień inny było tutaj co widzieć, — a cóż dopiéro w dzień takiéj fety? — Hetman miał ze sobą 40,000 ludzi samego wojska, oprócz swoich chorągwi przybocznych i swego dworu; — toż i miał mu kto służyć. Nazwożono więc choin, słupów wysokich pod kagańce i smolnych beczek na wieczór, ba i drzew całych z zielenią, w które obóz przybrano z podziwieniem całego ludu.

Jakoż było widać najpierwéj, jakoby na dnie obrazu, przepyszny namiot ledwie nie większy jako kościoły po wsiach, z przodu ubrany w chorągwie i znaki, na jego szczycie pozłocista Leliwa, koło niego służba hetmańska od szkarłatu i złota: marszałek dworu z laską o srébrnéj gałce, olbrzymiego wzrostu pajuki w wysokich czapkach, przysadkowaci Węgrzy w pozłocistych dołmanach

i kołpakach z piórami, dwunastu Serbów w zawojach z kindżałami u boku, dwóch murzynów w czerwonych kurtach, dwóch karzełków z dzwonkami. Daléj i bliżéj, po téj stronie i owéj, w rzędzie jakoby strzelił, dworskie namioty błękitne w złote księżyce i gwiazdy, wszystkie strojnie świątecznie, wszystkie z hetmańskim herbem u szczytu. A koło nich gmach ludzi, — a za nimi wozy ładowne, podłużne smagi, nieprzejrzane szeregi koni, oswobodzone z juków wielbłądy. Toż znów po obu stronach ku drodze—wszystkie wojska pod bronią. Więc piechota zaciężna, artylerya z niemiecka, autoramenty cudzoziemskie i polskie; chorągwie pancerne, husarskie jako orły skrzydlate, petyhorskie w burkach wełnianych, rycerstwo polskie, w hełmach ze strusiemi piórami, w pozłocistych pancerzach, pod rozwiniętemi sztandary. A w samym środku, między széroko rozwiniętemi liniami wojska, niby to przed namiotem, ale już prawie przy saméj drodze prowadzącéj od miasta, hetman ze swoim dworem oczekujący dostojnych gości. Hetman z odkrytą głową, koło niego małżonka, córka, stolnikowa krakowska i damy dworu; toż przyjaciele, jak Rzewuski hetman polny koronny, po staremu w pancerzu na staropolskim kontuszu, a z lwią skórą przez plecy, Janusz książę wiśniowiecki, wojewoda krakowski, Denhoff, hetman polny litewski, w niemieckich sukniach i kudłatéj peruce, i Rybiński, generał w stali; daléj inni panowie, starszyna wojska: po prawicy hetmana, Szaniawski biskup kujawski, z krzyżem szmaragdowym na piersiach, podarunkiem od cara, inni senatorowie duchowni, prałaci i przełożeni klasztorów z miasta, — a za tém wszystkiém dwór hetmański, jak gdyby zastęp pospolitego ruszenia, boć takie dwory chowali wtedy panowie polscy.

Nadjechał wreszcie książę siedmiogrodzki Rakoczy, otoczony węgierskiemi panięty i licznym dworem: tamci w aksamitach, sobolach, z czaplemi kity, ci znów w dołmanach jak gdyby kutych ze złota. Przystąpił książę z odkrytą głową do Sieniawskiego, ściskał mu rękę, kłaniał się wszystkim i zaczął z hetmanem rozmawiać.

W też pędy za nim król polski, ledwie go widać z pomiędzy Niemców i téj tam ciężkiéj dragonii w kirysach i owych wybujałych drabantów, co jako wieże chodzili pomiędzy ludźmi.

Ale téż nareszcie i car nadjechał konno i zbrojno.

Szli więc już wszyscy pod namiot — i przystąpiono zaraz do solenności.

A kiedy ksiądz biskup kujawski przygotowywał się do obrzędu, wszyscy panowie z kolei przystępowali do hetmanównéj, chcąc jéj się zblizka przypatrzyć i parę słówek łaskawych powiedzieć. Więc hetmanowa była zrazu w kłopocie, obawiając się, aby to młode dziéwczątko, na widok piérwszych mocarzy świata, nie utonęło w rumieńcach. Ale nie było się czego obawiać. Byłać to wprawdzie jeszcze bardzo wiosenna dziecina, ale jak wzrostem wystrze-

liła już w górę, ba nawet matkę przeniosła, tak też i fantazya była w niéj nie lękliwa, a umysł jasny i śmiały nad podziwienie. Odpowiadała też owym panom wyniosłym tak przytomnie, doraźnie i trafnie, i tak jéj to było za jedno, czy tym, czy owym językiem, że monarchowie sami unosili się dla niéj w pochwałach— a kiedy jeszcze do tego przy samym obrzędzie odpowiedziała biskupowi po łacinie, już też się wszyscy zdumieli.

Zaczém słysząc to Denhoff, przypatrujący się temu wszystkiemu z natłoku, rzecze do Rzewuskiego:

— A to do zadziwienia! Ot, bodaj czy nie piérwsza to będzie panienka na całe nasze królestwo, bo to i ród, i fortuna, ba i wszystko po temu.

A na to hetman polny koronny, który też był i wojewodą podlaskim:

— No, jesteś wdowcem, pokłonić się ojcu i kwita.

A Denhoff westchnął i rzekł:

— Możeby to była i niezła połączyć dwie ostatnie gałązki dwóch rodów; aleć to jeszcze dziecina.

A tymczasem i obrzęd się skończył, a panowie zaczęli występować z darami. Więc car dał szkatułkę z perłowéj macicy napełnioną bogactwem, — a król szkatułę z koralu jużci także niepróżną, — a siedmiogrodzkie książę, jako mąż sobie serdeczny i dla wszystkich otwarty, dał też misę otwartą z szczérego złota, a napełnioną tak serdecznie brylantami i perły, że aż przez wiérzch przelatywały.

Tak więc ta wielka solenność dopełniła się z wielką pociechą dla wszystkich — a już z największą dla stolnikowéj krakowskiéj, która nietylko na to kázanie dzwoniła, ale też występując jako piastunka albo też ochmistrzyni chrzczonego dziecka, otrzymała od cara bogate perły, od króla naramienniki ze złota, a od książęcia garstkę takiego samego specyału, jaki był w onéj misie. A już potém była biesiada, po staropolsku dla wszystkich. Więc dla monarchów i najpiérwszéj starszyzny, zaproszonéj do tego stołu, pod namiotem hetmańskim, — dla innych gości, dla starszyzny wojskowéj i służby dworskiéj pod namiotami małemi, — a dla wojsk i pospólstwa pod gołém niebem. Powiadano, że na tę ucztę zabito dwieście karmionych wołów, pięćset sztuk rozmaitego drobiazgu, pękło też pięćset beczek piwa i sto beczek gorzałki, nie licząc wina i miodów. Trwała zaś ta biesiada do późnego wieczoru, nietylko pod gołém niebem, ale i pod namiotem hetmańskim. Bo już i monarchowie poodjeżdżali, i starszyzna się rozjechała, a u hetmana jeszcze i ten i ów się zabawia, prawiąc mu komplimenty i rozmaite życzenia. Ale też przecie o późnéj nocy zostali już sami swoi w namiocie. Hetmanowa ze stolnikową, z ochrzczoną córką i damą dworu, siedzą na otomanie — a hetman przechadza się po namiocie, powiadając rozmaite sentencye monarchów, chmurząc się niby na to, że się senatorowie tak sta-

nowczo oparli zamiarowi wojny tureckiéj, a ciesząc się znowu tém, że przynajmniéj te chrzciny odprawiły się tak przystojnie i składnie. Aż się też zwrócił do stolnikowéj i rzecze:

— A to ja waszmość pani mam podziękować za to, moja stolnikowo kochana! Bo gdyby nie twoja zapobiegliwość, toby się było pewnie skończyło na niczém. Ja zajęty sprawą publiczną, po całych dniach i nocach na konferencyach, że mi aż w głowie szumiało; moja zaś jéjmość zajęta znowu bernardynami, którzy ją modlą, żeby im tutaj taki kościół i klasztor ufundowała, jak kapucynom we Lwowie; ot i nie było czasu. Toż jeszcze jak gdyby na to byłbym się piérwéj śmierci spodziéwał, niż tego tam senatorów oporu. A waszmość pani to wszystko doskonale przeczuła i bodaj czy nie w ostatnim momencie. Masz już za to upominki od wszystkich, aleć to na tém nie koniec, bo też i jabym chciał się zachować w tak zacnym domu w pamięci...

— JW. panie, — rzekła na to stolnikowa wesoło, — pamiętam ja o tém dobrze i uprę też jegomości.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się hetman, drzyjże mnie moja jéjmość kochana, a dobrze. Ale bodajbym nie zgadł, z któréj to strony do mnie się weźmiesz.

— Niechże jegomość zgaduje.

— A wieleż to lat temu będzie, jakem waszego syna na porucznika posunął?

— Och, już i nie pomnę!

— Cha, cha, cha! — śmiał się znów hetman, — więcby go znowu posunąć?

— Czas to już wielki, panie hetmanie!

— Hm! — mówił hetman, — jużci ja nie mam serca przeciwko temu, ale się przecie namyślam. Teraz to nic, dopóki siedzi w Krakowie, a tu tylko stoi w regestrze, ale jak pod chorągiew podjedzie *viritim*, żeby to na to szemrania nie było w wojsku, że ostrzelanych żołniérzy daję pod komendę młokosów.

— JW. panie, mówiła na to stolnikowa obrotnie, — nie nowina to Ożarowskim i z młodu piastować wyższe urzędy. Lassota, którego córka była za Tęczyńskim, kasztelanem krakowskim, nie miał lat jeszcze trzydziestu, kiedy został podkomorzym koronnym, Jędrzéj także młodziutki, został podkomorzym króla Zygmunta Augusta, a iluż to tam było rotmistrzów, co zaledwie dorośli!

— O! a jakto jéjmość umiész ładnie powiedzieć! — zawołał hetman, — no, to i co robić! niechże już będzie rotmistrzem. Już go też muszę przenieść chyba do mojéj własnéj chorągwi.

Stolnikowa kłaniała się hetmanowi, a hetmanowa winszowała jéj zcicha, kiwając głową, ale hetman się zaraz odezwał:

— Ale powiédzże mi, moja stolnikowo kochana, jakże to zamyślacie z tym chłopcem? Czy go prosto od jezuitów przyślecie do mnie, i żeby zaraz stawał na czele chorągwi?

— Nie wiemy jeszcze, jak się z tém stanie. Mój mąż proponuje, żeby go choć na rok jeden wysłać do cudzych krajów...

— A to ja także tak myślę, — poderwał hetman, — bo to, uważasz jéjmość, niémasz dla młodego piękniejszéj szkoły, jako praktyka za granicą. A już zwłaszcza téż dla tych, którzy się myślą popychać wyżéj, jako wy właśnie z waszym chłopakiem. I nie było téż u nas żadnego znamienitego męża, któryby nie przeszedł albo przez służby, albo choć przez nauki postronne. Toż i ja przecie strawiłem lat kilka na tém, a gdzie Włochy, gdzie Francya, gdzie Niderlandy i drugie Niemcy, co ich to przecie niemało, wszędzie ja byłem; ba i o Hiszpanym zawadził i byłbym tam dłużéj posiedział, gdyby nie to, że właśnie wtedy zawiało w tamtych krajach powietrze. — A już u króla chrześciańskiego tom nawet i niby służbę był przyjął, co mi téż pamiętają do dziś dnia i wspominają w swych listach. Więc ja wam radzę, kiedy chcecie co miéć z waszego syna, wysłać go w cudze kraje koniecznie. I niechaj wstąpi gdzie w służbę, bo tò i nauka ztąd będzie i na potém estyma. A jak już tam gdzie przystanie, dajcież mnie o tém wiadomość, a ja mu dam listy od siebie, czy to do rzymskiego cesarza, czy do króla francuzkiego, czy do którego z drobniejszych, a choćby téż i do Ojca Świętego, boć się ma przecież z tymi panami poufałe relacye!

Bardzo się tedy stolnikowa za te obietnice kłaniała, — ale niepora jéj było powiedzieć teraz, że do wysłania Jurcia do cudzych krajów brakowało jego zubożałym rodzicom funduszów. Choćby tu zresztą przy dzisiejszéj fantazyi hetmana można go było może i do tego nakłonić, jednak, jak z jednéj strony taka przymówka byłaby nieodpowiednią zacności domu, o którą stolnikowa, trza jéj to przyznać, niemało dbała, — tak znowu z drugiéj było rzeczą aż nadto jawną iż nad wszystkie darunki hetmana najkorzystniéjby było przywieść Jurcia do Brzeżan i żeby hetman swego rotmistrza sam za granicę wyprawił. Za tym przyjazdem Jurcia do Brzeżan, znająca wszystkie tajemnice hetmańskiego domu, a sięgająca swoim umysłem daleko wyżéj niżby się mogło zdawać na oko, była stolnikowa może jeszcze i z innych powodów... Może zyskana ranga rotmistrza dla syna była tylko jednym szczebelkiem daleko wyższéj drabiny jéj planów... Może w téj sprawie daleko więcéj chodziło jéj o to, żeby hetman osobiście poznał jéj syna, niż żeby go w rangach posuwał... Może tam w sercu hetmańskiém znała ona jaką próżnię przestronną, którą chciała swym synem zapełnić... Może, — a Bóg wié, — bo to ojcowie, nie mający potomstwa po mieczu a dumni, rozmaite miéwają próżnie w swych sercach, a ztąd i rozmaite zachcenia. Cóżkolwiekbądź stolnikowa postanowiła sobie teraz już nie opuszczać hetmaństwa, i tak czy owak, przecież jeszcze coś więcéj zrobić u nich dla syna.

Jakoż i tak się stało. Nazajutrz rano rozjechali się monar-

chowie a hetman z żoną pojutrze. Pojechała z nimi i stolnikowa. I pojechali najpiérw do Lwowa, gdzie bawili koło tygodnia, — ze Lwowa do Brzeżan, a ztamtąd znowu do Czartoryska, gdzie już był książę wojewoda krakowski i czekał na swoję żonę, lada dzień przybyć mającą z Krakowa.

Przy takiéj włóczędze trudno się temu i dziwić, że pachołek wysłany konno za stolnikową nie mógł jéj wcale odszukać. Wyjechał on prosto do Brzeżan, bo podług jéj własnego zeznania tam miała mieszkać; ale w Brzeżanach powiedziano mu, że cały dwór hetmański jest w Jarosławiu. Przyjechał do Jarosławia, aleć i tu ich nie zastał, bo już byli wtedy we Lwowie. Dociągnąwszy do Lwowa, dowiedział się, że właśnie wyjechali do Brzeżan, a tu już i konia niestało, musiał się dowlec piechotą. A kiedy się ku zdziwieniu swemu przekonał, że i tu ich już niéma, — odżegnał licho od siebie, stanął u szlachcica na służbę i już nawet do domu nie wracał.

III.

Ówczesnym wojewodą krakowskim był książę Janusz z Wiśniowca, albo też Wiśniowiecki, jak się już wtedy ta rodzina pisała. Był to mąż głębokiego rozumu, niepośledniéj nauki i bardzo statecznego umysłu, a co daleko ważniejsza, głębokiéj wiary i nieprzebranéj dobroci serca. Nie ufając swym siłom, nie wystąpił on ani razu jako główny naczelnik tego albo owego stronnictwa,—lecz jako poseł, pośrednik, komisarz, deputat, marszałek, był ciągle czynnym, a mając zawsze tylko dobro pospolite na celu, przez swoję dobroć, wyrozumiałość, pracowitość i zręczność, nieskończone przynosił pożytki. Ile on nieszczęść odwrócił, ile szkód wyrządzonych naprawił, ile spraw pokrzywionych sprostował, ile rodzin ochronił, ile łez krwawych otarł kosztem swéj pracy, a nawet i swéj własnéj szkatuły, trzebaby chyba spisywać w księgach! W czasie ostatnich zaburzeń, częścią z skłonności serca, częścią z powodu tak blizkiego powinowactwa z Leszczyńskim, trzymał on się statecznie stonnictwa króla Stanisława, deklarował się z tém publicznie, a nawet jako jeden z głównych przywódzców konfederacyi sandomierskiéj wystąpił—jednakże i w tym razie umiał taką zachować powagę, a rady swoje odznaczyć takim rozsądkiem i oględnością, iż sobie przez to nawet u przeciwników zasłużył na niezachwiane poszanowanie i wiarę.

Toż kiedy się wreszcie owe burze pokładły i król August znowu do Polski powrócił, i nibyto już było po wojnach, a przecie jeszcze tak wiele uraz i krzywd i waśni było nie załatwionych, książę Janusz znalazł dla siebie najpiękniejsze pole do działań i był téż czynnym niespracowanie. Starając się teraz jeszcze usilniéj o to,

ażeby dawne swe zachowanie u obustronnych partyzantów utrzymać, był w owym czasie prawie ciągle na wózku: to u króla amnestye wyrabia, to się stara o powracanie poodbiéranych urzędów, to uzyskuje wynagrodzenia za szkody; tu usiłuje godzić powaśnionych Potockich z Sieniawskim, tam Denhoffa z Pociejem, obu hetmanów litewskich, a na śmierć na siebie zawziętych, tu znów Sapiehów z szlachtą litewską; tu jest w Krakowie, to znów w Jarosławiu, tu w Warszawie, a tu znów w Czartorysku...

Księżna sama była z domu Leszczyńska, wojewodzianka podlaska, wdowa niegdyś po Konarzewskim. Była to pani cicha, skromna, pobożna, a nawet i słabowita cokolwiek i dlatego zwykle przez zimę mieszkała w Krakowie, gdzie téż miała dom i dwór własny, jako wojewodzina tamtejsza. Toż i tę zimę całą przesiedziała w tém mieście, prowadząc dom dosyć otwarty, ale bez huku, obfitujący we wszystko, ale bez zbytku, okazały wedle godności swojéj, ale bez próżnych świecideł. W tym domu uskuteczniały się nawet czasem i sprawy przez połowę publiczne, a odpowiednie zamiarom księcia: nie jeden umysł wburzony został tutaj usposobiony do owéj zgody, którą potém książę na inném miejscu doprowadził do skutku; nie jedna zgoda została zawarta tutaj, do któréj książe drogę uścielił gdzieindziéj. Mianowicie zaśbyło zadaniem księżnéj, kiedy się już wojny ukończyły, wpływać w ten sposób na obustronnych, a jeszcze zawsze boczących się na siebie stronników, ażeby ile możności jaknajprędzéj pozwiérały się z sobą rozdarte serca i rozdwojone umysły. Z tego téż powodu prawie zawsze widziało się u niéj i partyzantów szwedzkich i saskich, duchy hetmańskie i konfederackie, poplecznikow króla Stanisława i przyjaciół króla Augusta, zasiadających przy jednym stole, rozmawiających za jéj pośrednictwem ze sobą grzecznie, czasem po przyjacielsku, a nieraz i podających sobie rękę na zawsze. Jako ów święty Pański, który wskazany na pożarcie przez dzikie bestye, kiedy go wprowadzono do Kolosseum, jedném spojrzeniem, jedną gorącą modlitwą rozżarte lwy i tygrysy do nóg sobie pościelił, tak ta pani pobożna jedném swém słowem, jedną nieraz rozmową najzawziętszych przeciwko sobie godziła wrogów, najzastarzalsze ułagadzała waśnie. Wiele téż od niéj się rozchodziło zacności, a jéj dom był jakby świątynią przyjaźni, pokoju i zgody.

Ale nareszcie minęła zima, a z wiosną zawezwał książę listem swą żonę, aby na całe lato przyjechała do Czartoryska. Zaczęła się tedy księżna już pomału wybiérać—a tymczasem dawała prawie codzień obiady, aby się z przyjaciółmi pożegnać. Obiady te nie bywały nigdy zbyt liczne, ale zawsze pod względem stanu i usposobień gości dość rozmaite, właśnie jak gdyby ta zacna pani, pozasiéwawszy tyle nasionek przyjaźni pomiędzy ludźmi, chciała się jeszcze na odjezdnem przekonać, że te nasionka powschodziły istotnie, zawiérając w swych pączkach zarody żywych na przyszłość kwiatów.

Jakoż dnia tego właśnie, kiedy sascy żołniérze taki morderczy zrobili napad na dom krakowskiego stolnika nad Nidą, był także taki sam obiad u księżnéj. I rozmaitych widać tu było gości. Najpiérw więc damy, jak Koniecpolska wojewodzina sieradzka, i Morsztynowa, wojewodzina sandomierska, Tarłowa, kuchmistrzowa koronna, kasztelanowa buska, starościna Kowalska i inne. Toż z mężczyzn znowu wojewoda sandomierski, starosta Kowalski, kilku panów innych, a z nimi i pan Feliks Czermiński, kasztelan dawniéj połoniecki, a od lat kilku kijowski. Ten, jako wielkiego zachowania używający u księcia, siedział na końcu stołu i pod niebytność księcia gospodarską funkcyą sprawował przy tych obiadach. A był to mąż już podżyły, dawno już pięć krzyżyków przeliczył, a może już i szóstego dosięgał. Był téż już szpakowaty, czuprynę miał podgoloną, wąs przystrzyżony i nosił strój staropolski; a że był przytém personat, więc téż i bardzo poważnie wyglądał. Lecz chociaż i z fortuny i ze swego znaczenia liczył się między panów, był sobie jednak szlachcic z niego jak drugi, poważny zwykle, ale na razie prędki i zamaszysty. A już to tego nabrał po swoich służbach, których było tyle, że i trudno wyliczyć. Boć to jeszcze za króla Michała, w onéj to sławnéj chocimskiéj, przyjął chrzest krwawy, a już od tego czasu, gdzie było ciepło, a byli inni, to i jego nie brakło. W tych ostatnich rozruchach chwycił się był Sasów gorąco, z nimi trzymał statecznie i po ich stronie wielkim przewodził hufom; wojował nawet bardzo szczęśliwie, za co téż pobrał starostwa i dwie kasztelanie, jednę za drugą; ale pod Nieborowem, w sam dzień Narodzenia Pańskiego roku 1706, tak mu się noga powinęła haniebnie, że Szwedzi oddawna wielką oskomę na niego mający, nietylko w puch rozbili całą jego komendę, ale i jego samego zabrali. Już to, mówiąc Bogiem a prawdą, była to sprawka Lubomirskiego, oboźnego koronnego, który go zdawna na wąs sobie namotał; jakoż nic to nie było, że go wybił i zabrał, bo to los wojny, ale to była zasie nie bardzo piękna, że go pojmanego do cudzoziemskiéj fortecy, bo do Kalmaru, odesłał, gdzie go do więzienia wrzucono. Śpiéwał téż sobie nieborak kasztelan *de profundis* ledwie nie całe dwa lata i byłby tam może i żywota dośpiéwał, gdyby nie jego sługa, wierny Litwinek, który towarzysząc swojemu panu w niewoli, przyniósł mu skrycie suknie niemieckie i przebranego nocą wywiódł za mury fortecy. A tak już potém zapomocą króla duńskiego dostał się nazad do Polski po staremu wsiadł na koń i był znów czynny aż do potrzeby połtawskiéj. Tu ustał, — lecz chociaż zawsze był niby za królem Augustem, jednak przypatrzywszy się zblizka jak jego wojska gospodarowały, dziwnie jakoż zniecierpiał Sasów. Nie godziło mu się tego powiadać, boć przecie sam tak ogniście stawał za nimi, ba, i przy zawiązaniu konfederacyi sandomierskiéj był jednym z głównych motorów, — czuwając to, milczał téż zwykle, — ale przecież jak Sasa obaczył, już go nie mógł

przenieść na sobie; gryzie więc wąsy, usta zacina, a potém mruknie sobie pod nosem:

— Już mnie téż Pan Bóg pokarał tém lichem!

A tu jak na to księżna mu po prawicy posadziła Fleminga. A był ten Fleming bratankiem owego wielkiego Fleminga, który był feldmarszałkiem króla Augusta, a miał Sapieżankę, starościankę bobrujską za sobą. Człek jeszcze młody, słuszny jak sosna i bardzo gładki, w mundurze saskim, boć był także żołnierzem, a wtedy już i majorem. Powiadano nawet, że był dosyć waleczny, choć nie fortunny, jak to widać z tego, że go i tu i owdzie przetrzepano serdecznie.

Bardzo tedy niechętnie patrzył na niego kasztelan, — lecz jakby gdy na odwet za to siedział po jego lewéj bardzo wdzięczny młodzieńczyk. Już był wystrzelił do góry i znacznie, ale twarz jeszcze miał jakby dziécięcą, piękną nad podziw, bo jak krew z mlékiem, co téż wszyscy w nim podziwiali i z którego to powodu można go było wziąć w istocie za dziecko, gdyby jednakże nie wzrost jego i zresztą nie to, że już mu białawy puszek okrywał wargi i brodę. Przy dużych oczach błękitnych i nosie trochę pociągłym miał włosy jasne, które téż bardzo rzadko zaczesywał na boki, a że i strój jego polski był z samych przednich materyj, więc było widać odrazu, że jest to jakiś młodzieniec zacnego domu, o którego téż dbają niemało. Ale co go zalecało daleko więcéj, to jego skromność a już nieledwie jawna niewinność, z powodu któréj, chociaż bardzo głaciutko, perorował jakim kto zechciał językiem; kiedy go o co która z dam zapytała, jakby kwiatek się płonił, a czasem się nawet i troszeczkę zaplątał. Ale na jego chwałę trza to powiedzieć, że się zawsze wyplątał i powiedział rzecz swoję zrozumiale dla wszystkich, a nawet pięknie. Jednakże oprócz tych przymiotów wcale chwalebnych miał on jeszcze jednę cnotę daleko wyższą, a to tak znamienitą pobożność, że nią celował wszystkich swych rówieśników. Chodził on jeszcze do akademii, ale się chował pod opieką oo. jezuitów krakowskich, a ci go tak pięknie przykłonili ku wierze świętéj, że im zaszczyt niemały przynosił. Był on bowlem nietylko tak pobożnym jak inni wierni, ale z osobliwą gorliwością oddawał się wszystkim egzercycyom hartującym w wierze; lubo tak młody, był już Sodalisem maryańskim i należał nawet do arcybractwa Męki Pańskiéj, albo téż Compassionis, jak-to zwano podówczas, a które to bractwo przy franciszkańskim kościele jeszcze czasu Zygmunta III, Szyszkowski, owoczesny kanonik katedralny, założył. Ta gorliwość w wierze, do któréj téż stosowały się wszystkie postępki tego młodzieńca, zjednała mu już zawczasu nietylko miłość, ale prawie i poważanie u wszystkich; czego najlepszy dowód był potém, że nie było tego zacnego domu w Krakowie, gdzieby go nie proszono w gościnę, a już u księżnéj wojewodziny nie było ani tego obiadu, ani téż żadnéj kompanii, na któréjby jego nie było. Towarzysze akademiccy,

zwłaszcza co lżejsi, jak-to u takich wichrów nie trudno, dworowali sobie z téj pobożności, mówiąc jakoby chodził w kapturze, — a kiedy mu się zdarzyło powiedzieć, że nadewszystko przenosi stan wojskowy i do niego się chce sposobić, to się śmiano z niego już jawnie i powiadano że będzie kiedyś wojował chleby i beneficya kościelne. On to wszystko znosił cierpliwie i nawet się nie odgryzał, — a to mu u tych tam wichrowatych pacholąt wcale nie przysparzało estymy. Ależ Bóg wié, co się tam działo w jego sercu i czyli właśnie z tego powodu nie rozżarzała się w nim jego ambicya, a z nią pragnienie, aby téż jaknajprędzéj zadać kłam tym opiniom. A może się działo inaczéj; boć to o młodych trudno jest co powiedzieć z pewnością. Cóżkolwiekbądź, pominąwszy owych tam akademików lekkich, młodzieńczyk ten był ukochany przez wszystkich, a ktokolwiek się zastanawiał nad jego przyszłością, wróżył mu najpiękniejsze widoki.

Otóż to był ów Jurcio, stolnikowicz krakowski, a syn tego zacnego stolnika, na którego dom Sasi napadli, a o czém on niebożątko jeszcze nic teraz nie wiedział, bawiąc się przy obiedzie z wesołą gromadką gości i będąc najlepszéj myśli.

Aż téż pod koniec obiadu księżna wojewodzina, widząc że zacny kasztelan jest jakoś w niedobrym sosie i nawet dosyć wyraźnie boczy się na Fleminga, nalała parę kropelek wina w puharek i dawszy znak ręką temu-to Flemingowi, rzekła:

— Niechaj nam żyje ukochany nasz pan kijowski!

I przychyliła puharek do ust. Fleming, czy może zmieszał się tém niespodzianie, czy téż w istocie rad był temu ze serca, zerwał się raźnie z siedzenia, nalał zaraz swój puhar i rzekł do kasztelana:

— Niech nam żyje jw. kasztelan kijowski, wierny saski przyjaciel!

Kasztelan wstał także z miejsca i kłaniał jemu, ale kiedy głowę pochylił, mruknął sobie pod nosem:

— Bodajżebyście się udławili tą moją przyjaźnią!

Jurcio tego dosłyszał i śmiał się, ale właśnie wtedy, kiedy się śmiał, zwrócił się Fleming do niego i oddając mu puhar, rzekł z francuzka:

— Panie Ożarowski! w ręce waszmości.

Obaczywszy zaś uśmiéch na twarzy młodzieńca, dziwnie się jakoś zachmurzył. Trzebaż było jeszcze do tego, żeby to było nie w swojém miejscu oddawać puhar młodzieńcowi tam, gdzie było tyle osób poważnych i starszych, — i trzeba było, że uważny młodzieniec tego nie zobaczył i zaraz rzekł:

— Przyjmuję puhar od waszmość pana, ale pierwéj oddam go starszym.

I podał go w rzeczy wojewodzie sandomierskiemu. Drobna ta rzecz zwróciła jednak uwagę wszystkich, a już trudno nie zgadnąć, że kiedy z tego powodu wszyscy z wielką wdzięcznością

poglądali na bacznego młodzieńca, majorowi saskiemu jakby kto na nogę nadeptał. Jakoż srodze się zaraz zachmurzył, bakenbardy pogładził i rzekł:

— Dziękuję waszmości za dobrą naukę, którąby wszakże była jeszcze o tyle więcéj poważaną przezemnie, o ileby nie pochodziła od siedzącego na ławie szkolnéj.

Zarumienił się na to młodzieniec mocno, lecz rzekł przytomnie:

— Nie miałem w myśli dawać waszmości nauki, jeno mi takie zachowanie nakazywał szacunek dla starszych, który jest u nas nietylko obyczajem, ale tak prawie jakby artykułem wiary.

Wytrzymał Niemiec chwilkę z zaciętemi usty, a potém rzekł:

— Wiem ja dobrze o nabożeństwie waszmości i wiem także o jego funkcyi u biczowników, — przyczém się roześmiał szkaradnie i dodał ostro, — ale trzeba wiedzieć waszmości, że to nie jest ani kapitularz dominikański, ani katownia arcy-bractwa Najświętszéj Panny, ani téż wolno tu kogokolwiek biczować.

A lubo Fleming tę kacerską sentencyą powiedział z francuzka, co wypadło niby cokolwiek gładziéj, bo téż i więcéj dwuznacznie, zrozumiał go jednak młodzieniec dobrze, spłonął gniewem ognistym i rzekł:

— Mości panie! proszę tylko naszych świętości nie tykać, bo to rzecz jest haniebna!

Wtém w oka mgnieniu wstano od stołu i tłum się zrobił. A w tym tłumie zacietrzewiony major przyskoczył do zapłonionego młodzieńca i powiedział rzecz taką o tych świętościach, a mianowicie o nabożeństwie Polaków do Najświętszéj Panny, że i trudno tego powtórzyć.

Skoczył więc Jurcio do niego, kasztelan za nim, za Flemingiem Sas drugi, robi się hałas i wrzawa; Jurcio już wyzwał Fleminga, kasztelan prosi drugiego, ba, już chcą zaraz biedz gdzie na pole i bić się.

Ale tymczasem księżnie wojewodzinie, która z damami i starszymi panami była już w dalszych komnatach, doniósł ktoś o tém. Przypada tedy księżna z pośpiechem, a obaczywszy co się dzieje, rzuca się między zwaśnionych, zaklinając na Pana Boga o zgodę. Niepomaga to nic w piérwszéj chwili, księżna składa ręce, klęka na ziemię. Dopiéroż się jakoś uspokoili, zwłaszcza że i kasztelan, lubo sam był wzburzony może nawet najbardziéj, mrugnął na Jurcia, a i Flemingowi coś szepnął na ucho. Zrobiła się tedy cisza, — na prośbę księżnéj podali sobie nieprzyjaciele w jéj obecności ręce — a Fleming nawet głośno i gospodynię i inne damy przepraszał.

Przyjęto to przeproszenie z wdzięcznością, ale kiedy Sasi się zaraz żegnali, już ich księżna nie wstrzymywała. Ale Ożarowskiego damy nie wypuściły. Wzięły go zaraz ze sobą do innych komnat, obsypując go pochwałami, że się tak znalazł po kawaler-

sku i ujął się nawet z narażeniem swojego zdrowia za lekceważenie nabożeństwa do Najświętszéj Panny. Księżna zaś chwali go za to najbardziéj, że nie dopuścił do ostateczności. Posadziła go przeciw sobie i mówi:

— Jużbyś téż chyba nigdy niczego nie potrzebował w życiu, żebym ci kiedyś nie nagrodziła téj, którąś mi teraz wyświadczył, łaski. Bo i coby to było dla mnie za umartwienie, gdyby było w moim domu przyszło do takiéj kłótni, po któréjby się była krew ludzka przelała! A już ty, panie Jerzy, jakeś był piérwszy, któryś się przeciw szkaradnemu wzburzył bluźnierstwu, takeś także był piérwszy, któryś się ułagodził i podał rękę do zgody, I w piérwszym razie i w drugim postąpiłeś sobie jak chrześcianin, który w ten moment czuje każdą obrazę Boską, ale téż na wzór swego wiekuistego mistrza, nawet swym własnym wrogom przebacza. Zaraz téż przez jutrzejsze bryki memu mężowi o tém napiszę, aby téż wiedział, jak zacnych gości miéwa w swym domu i aby im to pamiętał.

Toż samo powiadały i inne panie, dziwiąc się temu młodzieńczykowi, że lubo tak jeszcze wiotki i młody, nie wahał się przecież postawić czoło takiemu ogromnemu Niemcowi.

Ale Jurcio jakoś te pochwały przyjmował dość obojętnie. Owszem, nawet niecierpliwił się czegoś, często na drzwi spoglądał i chciał zaraz wychodzić. Księżna nie chciała go jeszcze wypuszczać, bo się obawiała, ażeby się gdzie na dole nie spotkał z Flemingiem, aby go ułagodzić do reszty, i pożegnała Ożarowskiego, prosząc go najusilniéj, ażeby ją jeszcze przed wyjazdem odwiédził.

Młodzieniec tedy wyszedł wolnym krokiem z komnaty, ale jak tylko się dostał do antykamery, rzucił się czémprędzéj na wschody i biegł jak szalony. Może i sam nie wiedział, dokąd tak biegnie, — ale czuł to w swém sercu, że gdzieś biedz trzeba koniecznie, boć przecie koniec ten jego sprawy, który był dostatecznym dla dam, nie mógł być dostatecznym dla niego. Dziwiło téż go to niepomału, że go kasztelan tak nagle opuścił, — ale ledwie co dobiegł do wjezdnéj bramy, a tu kasztelan stoi przy bramie po jednéj stronie, Sasi po drugiéj. Coś tam ze sobą gadali a jak tylko go obaczyli, zaraz Fleming przybiegł do niego i rzecze:

— Mości panie! uczyniliśmy to dla księżnéj, żeśmy się pogodzili wrzekomo, ale tak nie może być!

— Anoż i ja tak myślę, że to nie może być, — rzekł na to stolnikowicz,—jakoż temu tak biegnę, aby służyć waszmości choćby nawet i zaraz. A pana kasztelana proszę uprzejmie, żeby był świadkiem téj bitwy.

— A jakto świadkiem? — zawoła na to kasztelan, — a toż i ja także jestem takim Sodalisem jak ty, będę ja się potykał także. Jużem téż Pana Boga niemało naobrażał tymi Sasami, niechże Mu za to odpowiem chociaż jedną kroplą krwi. Już téż

tu u mnie ma gospodę Górzyński, który rano i wieczór ostrzy szablę na sasów, będziemy się więc spotykać samotrzeć.

Pomyślał nad tém Ożarowski cokolwiek i rzekł:.

— Wolałbym ja potykać się sam, bom téż i sam dał powód do tego.

Spory więc o to, — a apelacya do Sasów. Ale Sasi, kiedy wyrozumieli o co to chodzi, powiedzieli że to żadnym sposobem nie mogło być. Chcieli się bić regularnie, jako niemiecki obyczaj: kto go obraził, ten się z tym sprawi. Tak mówił Fleming. A kasztelan stał koniecznie przy swojém. Ożarowski mu rzecze:

— Panie kasztelanie, nie trza panom téj bitwy. Bo to o ogień nie trudno; jedna iskierka to nic, ale żeby płomień nie buchnął! Nuż się rzucą po całém mieście na Sasów, to potém co?

A kasztelan na to:

— Otóż-to fryc! A żeby ich do nogi wybito! tego nam właśnie potrzeba.

Ale tymczasem przystąpili Sasi, bo téż już i zmrok zaczął zapadać, jakto u księżnéj późno jadano, i przywiedli przecież tę sprawę do końca. Lubo już tém uradowany młodzieniec, wziął jednak jeszcze kasztelana na stronę i rzecze:

— Proszę więc jeszcze waszmości pana, żebyś wziął od tych Niemców parol, jako do jutra rana nikomu o tém ani słowa nie pisną.

— A to na co?

— Bo gdyby się to rozeszło, nie pozwoliliby mi na to ojcowie na żaden sposób.

— Hm, — rzecze na to kasztelan, a o cóż téż się na świecie bić, jeśli nie o honor Przenajświętszéj Patronki.

— Niéma co rzec, — odpowie Jurcio, — aleć to inny obyczaj ludzi, a co innego jest prawo Boskie. Szlachta téż żyje i czyni po obyczaju, ale kapłani muszą trzymać *stricte* prawa Boskiego. A ja téż jestem pod kapłanami.

Pomyślał tedy nad tém kasztelan, a potém rzekł:

— Młody jesteś a jeszcze mnie czego nauczysz. Trzeba wziąć parol.

Przystąpił tedy do Sasów, wziął od nich parol, umówił sprawę na jutro o samym świcie — i tak się wszyscy porozjeżdżali.

Nazajutrz rano, jeszcze i nie oświtło, kiedy kasztelan ze swym przyjacielem Górzyńskim zajechał przed pomieszkanie stolnikowicza. Był ten Górzyński na teraz porucznikiem w chorągwi wojewodzińskiéj Morsztyna, szlachcic herbowy i posesyonat z Wielkiéj-Polski, i ten sam właśnie, który niebawem potém tak się był wsławił w konfederacyi tarnogrodzkiéj, wodząc przez czas niejaki z wielkiém szczęściem ich hufy. Miał więc ten zacny młodzieniec pięknych świadków do swojéj bitwy, trudno téż było i znaléźć lepszych w całym Krakowie. Zajechawszy tedy przed dom w którym mieszkał, szli po omacku do jego skromnych izdebek. A mie-

szkał on wtedy w kamieniczce niewielkiéj i dosyć staréj na przeciwko kościoła św. Piotra, — więc i wschody tam były wązkie i dosyć ciemne, i ledwie że do niego trafili. Lecz kiedy drzwi otworzyli, już tam światło znaleźli.

Pod obrazem Matki Najświętszéj paliła się lampka oliwna, — a pobożny młodzieniec klęczał przed tą patronką swoją na ziemi, złożył ręce i modlił się z całéj duszy.

Widok ten tak się podobał wchodzącym, że przystanęli, jakby mu nie chcieli przeszkadzać. Ale on ich usłyszał, jakoż wstał zaraz, otarł łzę kręcącą się w oczach i rzekł:

— Jestem już gotów, choćby i na śmierć.

Kiedy zaś to powiedział, obudwom panom trochę się serce ścisnęło ze żalu, bo i coby to było dziwnego, gdyby taki kwiat wiotki został podcięty mieczem zaprawionego żołnierza? — ale przecie ten żal musiał ustąpić miejsca podziwieniu dla téj nieledwie już świętobliwéj determinacyi, którą w tym wiotkim kwiecie widzieli. Byli więc dobréj myśli a jmć Górzyński rzekł zaraz:

— Ot! coś waść prawisz o śmierci! Anoż wiédz o tém, że ci i włos z głowy nie spadnie, bo jeszcze się to nie stało nikomu, który się bił w obronie świętości. Byłoćby lepiéj, gdybyśmy się spotkali samotrzéć, z którą-to propozycyą jeszcześmy w wieczór do nich jeździli, ale się wymówili tam jakąś regułą. Wżdy i tak nic ci nie będzie, jeno trza świsnąć młyńca odrazu, a potém wjechać jako na diabła, to téż i diabeł to jest, który puszcza takie bluźnierstwa.

I już zaraz posiadali do kasztelańskiéj landary.

A kasztelan kijowski mieszkał natenczas w domu swym własnym przy Sławkowskiéj ulicy, który to dom, oznaczony nad bramą jego rodowitą Wieniawą, miał we środku dość obszérny dziedziniec. Wjeżdżają tedy w dziedziniec, — już téż oświtało, — Sasi już są, — zaraz więc konie do stajni a landarę do szopy, aby téż miejsca przybyło. Ale trza to powiedzieć, że ani to miejsce, ani téż pora nie była bardzo stosowna do takiéj bitwy. Pora dlatego że przez noc całą dészcz lał jak z cebra, a i teraz rosił jakby przez sito: a znów miejsce dlatego, że dziedzińczyk był brukowany drobnemi wprawdzie, ale półokrągłemi kamieniami, więc po tych słotach tak ziemia oślizła, że i stąpanie nie było pewne. Do tego jeszcze po krużgankach po oknach, gmach ludzi, najpierwéj dworu kasztelańskiego, a nareszcie i obcych, bo się to przecież wieść ta cokolwiek rozniosła, jako to zwykle przez sługi. Ale co już było z tém robić? chyba rzecz tylko przyśpieszyć, boć i trudno inaczéj.

Jakoż już zaraz stawali. Byłci tam jeszcze certament o szable: Sasi stali za prostym mieczem, nasi zaś byli za szablą krótką i krzywą, ale Jurcio sam to pogodził, mówiąc:

— Niechaj będzie szabla niemiecka, już mi więc jedno.

Toż kiedy ich postawiono przeciwko sobie i dano szable do ręki, młodzieniec zrobił krzyż święty na piersiach i przybladł tro-

chę, jak to u młodych zwyczajnie przy piérwszéj sprawie. A to tak jakoś kasztelanem wzdrygnęło, że rzekł do przyjaciela na ucho:

— Jużbym téż wolał sam się wybić trzy razy, niż to dziecko stawiać do bitwy.

Może sobie kasztelan przypomniał w téj chwili, że sam miał dzieci. Ale Górzyński jakby tego nie słyszał, bo się i sam zapalił, rzekł więc do Jurcia:

— Pana Boga na pomoc, młyńca odrazu, a potém jedź!

Jakoż zaraz stanął na boku i podniosłszy rękę do góry, zawołał:

— Nuż, w Imię Panny Przeczystéj!

Zaraz się więc złożyli. Fleming, niéma co mówić, stanął jak posąg rycerza wylanego ze spiżu, wyciągnął rękę z szabliskiem i zaczął macać powoli, aby téż wiedzieć najpierwéj, z kim więc ma do czynienia. Stąpi więc naprzód, ćwioknie raz, drugi, trzeci i znów odskoczy. Pięknie to robił, ale i Ożarowski niegorzéj, śmiało, chwyta cięcia nad podziw. Widząc to, kasztelan, który się znał na tém jak trzeba, zaraz się rozweselił i rzecze do Górzyńskiego:

— Dobra nasza, mospanie! Gra tamten nieźle, ale ten lepiéj odgrywa...

A tu w téj chwili zaczęto krzesać coraz to gęściéj. Młodzieniec się już zapalił, broni się jeszcze, ale już i odcina, aż tu pada mu cięcie nagle na ramię i wytrysnęła krew. A jak tylko krew poczuł, kiedy-to się rzuci na przeciwnika, raz, drugi, próżno; ale bo trzeci kiedy go machnie od ucha — już Sas leży na ziemi. Zrazu myślano, że się jeno pośliznął. Przybiegają do niego, budzą, a on jak drewno. Patrzą, krwi nigdzie nie widać,—co się to stało? Jurcio rzecze:

— Zwichnęła mi się szabla, uderzyłem go płazem.

Patrzy tedy kasztelan na twarz leżącego, a tu na twarzy po prawéj stronie od saméj skroni po brodę, pręga czerwona jak pąs. Przyjrzał się bliżéj kasztelan i rzekł:

— Ot, mała rzecz! *Requiescat in pace!*

Młodzieniec zbladł. Ale mu już i odetchnąć nie dano, bo go zaraz kasztelan wziął w swoje objęcia, wyrwał mu go Górzyński, a Górzyńskiemu już i nie wiedzieć kto. A tu z galeryi krzyk, hałas, wiwaty! Ba i brama się na ścieżaj rozwarła, walą się ludzie z ulicy, krzyczą, wołają: Gdzie ten Sodalis?

Ale ledwie co weszli na salę, przybieżano i tam za nimi. Wprawdzieć służba kasztelana, nietylko dość liczna, ale do tego wojskowa, poobsadzała wszystkie drzwi główne; — aleć poprzybiegały osoby, których trudno było nie wpuścić. Jakoż w ten moment znalazł się tam starosta grodzki i podkomorzy krakowski, urzędnicy i szlachta, ba i pany niektóre — a każdy pyta z osobna: co to i jak to? A który z nich się już dowié, nuż zaraz tego prze-

sławnego zwycięzcę w ramiona, nuż wypytywać i znowu chwalić. Aż tu niebawem wpadają i dwaj ojcowie od św. Piotra, nauczyciele Jurcia. Kiedy ich młodzieniec obaczył, trochę się zmieszał, bo pomimo wszystkich pochwał od innych, od nich się przecież nie spodziéwał pochwały i wątpił wcale o przebaczeniu. Jakoż byłby go pewnie nie dostąpił, gdyby to było przed bitwą, ale po bitwie... kiedy już się tak stało... rzekli ojcowie, schyliwszy głowy: Niechaj się wola Boża dzieje na wieki! Ale się przecież nie mogli długo w téj powadze utrzymać i puściwszy wodze swojemu sercu, byli może najlepszéj myśli ze wszystkich. Mieli się téż czém rozweselić, boć to był ich wychowaniec, zwłaszcza że była rzecz taka, iż z téj tam bitwy mogła się cieszyć i osoba najświętsza. Pokazało się bowiem, że młody Fleming ani został zabity, ani nawet raniony, jeno dostał płazem w twarz silnie, że utracił przytomność i z nóg się zwalił. Gębą zgrzészył, na gębie został skarany, — a już to wola w tém była Boska, że upadając, prawą rękę wywichnął, a może nawet i złamał. Wielka tu tedy i niezmącona niczém była dla wszystkich pociecha, a już dla ojców nauczycieli jakby godzinka raju na ziemi. Przyjechali téż i księżna wojewodzina, wojewoda sandomierski i kasztelan sieradzki, każdy ciekawy bez miary, a już księżna najwięcéj. Zfrasowała się ta zacna matrona na razie, że taki przecież przyszło do krwawego spotkania, ale się potém rozweseliła. Przystąpiła do zwycięzkiego młodzieńca i rzecze:

— Przecieżeś mnie nie posłuchał! Oj! co to ta krewkość nie może u téj naszéj młodzieży! No, ale kiedy Pan Bóg tak pokierował, to jeno chwalić Go za to, jak i za wszystko, a waszmości gratulować tém bardziéj, bo to co ci tak wielką przyniosło chwałę, nie przyniosło nikomu zbyt wielkiéj szkody.

A wojewoda sandomierski, jako to mąż bardzo waleczność ceniący, ba i sam jeszcze wojenny pomimo wieku, tak się był rozradował, że i stolnikowicza i oo. Jezuitów wycałował jak dzieci; a w końcu rzekł:

— Kiedy nas Pan Bóg taką piękną obdarzył wiktoryą, która milsza mojemu sercu jak lada jaka bitewka, godzi się téż nią rozweselić. Kto tu więc jest w téj sali, ksiądz czyli żołniérz, pan albo sługa, wszystkich zapraszam na obiadek do siebie. A wy, ojcowie, zróbcież tę łaskę swojemu słudze i przyjdźcież wszyscy *viritim*.

Tedy się ojcowie zbliżyli do niego, dziękowali za afekt, zaprosiny przyjęli, ale znowu nawzajem prosili na mszą świętą do siebie, którą na podziękowanie Panu Bogu za uchowanie w całości stolnikowicza chcieli zaraz odprawić.

Jechali więc wszyscy zaraz do kościoła, w którym odprawiło się nabożeństwo, choć niby ciche przez wzgląd na to, żeby się król o to nie rozgniéwał, jednak z wielką frekwencyą ludzi wszelkiego stanu i pobożnych mieszczan krakowskich. A już Jurcio był

na tém nabożeństwie jakby tryumfatorem; gdyby był Tatarów lub Szwedów od oblężonego miasta odpędził, toby go także lepiéj nie czczono, taką mu to spotkanie przyniosło u wszystkich estymę. Kłaniano mu się, ustępowano z drogi w kościele, szepcząc sobie pocichu: oto nasz zacny Sodalis! — aż się młodzieniec rumienił i w swéj skromności ledwie sam wiedział, jakim sposobem przyszedł do tego,

Ale cóż to z tego wszystkiego, kiedy śród tego szczęścia oczekiwało go już gotowe tak ogromne zmartwienie? Ledwie bowiem się nabożeństwo skończyło, przyjechał rotmistrz, przywożąc owę straszliwą wiadomość o napadzie żołniérstwa na dom jego ojca. Juruś kochał swojego ojca do uwielbienia, więc na tę wiadomość jakby kto góry lodowe zwalił na niego. Nie poszedł téż już do Morsztyna na ucztę, kroku nigdzie nie zrobił, tylko zaraz siadł z rotmistrzem na wózek i jechał. Kiedy się rotmistrz o tém jego zwycięztwie dowiedział, bardzo się niém uradował, ale niebawem znów się zasmucił, a pomyślawszy trochę, rzekł:

— Ot! jak się to życie ludzkie tu plecie! To kwiat, to kolec; to zwycięztwo, to klęska! Aleć to wielka w tém jest nauka dla ludzi, żeby téż w żadném szczęściu nie zapominali o Bogu, którego wola święta niech się dzieje na wieki.

IV.

Przyjechał młodzieniec do rodzicielskiego domu, — wbiega do wielkiéj komnaty, — a tu ojciec leży na katafalku. Wielkaż to żałość dla syna! Rzucił się téż nieborak na kolana przy trumnie, a wybuchnąwszy rozgłośnym płaczem, prawie odszedł od zmysłów...

Widząc to, rotmistrz już go i nie pocieszał. Bo i jak tu pocieszać, gdzie żal tak ludzki, a łzy najsprawiedliwsze ze wszystkich? Postał więc chwilę, podumał smutno, a nareszcie o bernardyna zapytał. Przystąpił do niego stary sługa i rzecze:

— Ksiądz gwardyan poszedł do kościoła, aby się do pogrzebu sposobić.

— Cóżeście uczynili?

— Ot! tak jak nic! — odpowie sługa z westchnieniem, — przez Nidę ani myśléć się dostać, tak straszliwie wezbrała. Niémasz więc z klasztoru nikogo. A i z téj strony tylko dwóch księży przybyło a panów nic, bo już po tym rabunku boi się każdy i nosa za drzwi wychylić. Jeszcześ do tego ta słota ciągła, to rozkal wielka po drogach i nie trwożliwych wstrzymuje.

— Piéniędzy nic? — zapytał rotmistrz.

— Ej! gdzie tam panie! — odrzuci sługa, — przetrzęśliśmy wszystkie komórki, a i groszaśmy nie znaleźli. Ksiądz gwardyan miał jeno jednego tynfa przy sobie. Myśmy zrobili składkę pomiędzy sobą, ale się nazbiérało jeno trzydzieści szostaków. Podstarościemu Sasi szkatułkę wymietli, że i tu lepiéj nie zamieciono. A arendarza i zębami nikt nie ugryzie, chociaż dobrze podszyty. I tak przyjdzie naszego paniska jak ostatniego żebraka pochować!

Bo i patrzno jegomość! ledwie tu kilkanaście świéczek się swędzi, trumna od siekiery jeno kobiercem zakryta, nie będzie więcéj jak cztérech księży, a że wstyd będzie przystąpić do tego murowanego grobu, w którym ściany z marmuru, a wszystkie trumny z samego srébra.

— Hm! — rzecze rotmistrz, — chodź jeno ze mną, pójdziem do arendarza.

Poszedł i długą chwilę zabawił. A kiedy wrócił, zastał już Jurcia utulonego cokolwiek. Stał niebożątko przy trumnie, oparł się o nią jakby się nie mógł utrzymać na nogach, a był blady jak śmierć. Przystąpił tedy rotmistrz do niego, wziął go na stronę, aby się nad pogrzebem naradzić. Dopiéroż się dowiedział nieszczęśliwy młodzieniec, że był tak biédny, iż nawet nie miał za co ojca pochować.

— Boże mój, Boże! — wołał on wtedy, — i cóż ja tu pocznę nieszczęsny!

I wzięli radzić. Aleć twardo szła rada, bo ani temu, ani téż tamtemu do tego. Rotmistrz w swém życiu niemało ludzi sam przyprowadził ku śmierci, ale ich nigdy nie grzebał. A stolnikowicz umiał się jeno przy pogrzebie pomodlić. Radzą więc tędy i tędy, ale im to wcale nie idzie...

Aż tu przez drzwi otwarte wszedł jakiś szlachcic do téj komnaty. Zajęci swoją naradą w dalekim kącie, ani go nie poznali. A był to mąż dosyć słusznego wzrostu, niby trochę zawiędły, ale barczysty i silny. Był już trochę podżyły, ale czarny jeszcze jak kruk, czuprynę miał podgoloną po polsku, wąs zawiesisty, nos orli, twarz bardzo białą, a na niéj świéże jak u młodziana rumieńce. Ubrany był po polsku, ale zmoczony powyżéj pasa i tak schlastany błotem ciekącém i piaskiem, jakby tu brnął przez jakie morze błotniste. Szlachcic ten miał twarz niby wesołą, a na niéj uśmiéch jakby wrodzony, lecz kiedy wszedł do téj komnaty i katafalk obaczył, załamał ręce jakby w największym bólu i niby w słup się zamienił. Opuścił potém ręce, przystąpił do saméj trumny, wpatrzył się w nieboszczyka, a pokiwawszy głową, rzekł z wielkim bólem:

— Héj! héj! Bogusiu! jużeś i ty nas opuścił!...

A tu mu łzy jak strumienie popłynęły po twarzy. Obaczywszy go obadwa radzący, zaraz téż i poznali. Skoczy do niego Jurcio, wołając z cicha:

— Dobrodzieju mój! patrz! jaki ze mnie siérota!

— Pacholę moje kochane! — odpowie mu ów gość niespodziany, biorąc go w swoje ramiona, — otóż cię Pan Bóg doświadczył!

I popłakali się obadwa jak dzieci.

Rotmistrz zaś, stojąc na boku, przypatrywał się temu gościowi bardzo ciekawie, bo niby go znał gdzieś, a przecież nie mógł sobie przypomnieć. Aleć i musiał nareszcie go poznać, bo to

był imć pan Bobrownicki, miecznik nateraz stężycki, sąsiad stolnika przez Nidę i przyjaciel od serca — a czasu wojen dawniejszych towarzysz rotmistrza z jednéj chorągwi. Witali się więc bardzo serdecznie a rotmistrz mówił:

— Ale cóż się to z tobą stało, mój panie Janie, żeś się tak brzydko uwalał?

— Ot, co się stało! — rzecze pan Bobrownicki, — dowiedziawszy się o tém nieszczęściu dopiéro wczoraj późnym wieczorem chciałem biedz tutaj zaraz, ale nie było tego sposobu puszczać się na takie bałwany po nocy. A tu do świtu woda jeszcze bardziéj się wzniosła. Zbiegam tedy dziś raniusieńko nad Nidę, daję flisakom dziesięć dukatów za przewóz, ale ani sta żaden nie chce. Wsiadłem tedy na łódkę sam, ale woda mnie przewróciła. Na szczęście przecież jakoś się wyratowałem pływaniem...

Jużby był Jurcio do nóg mu upadł za tę przyjaźń dla ojca, ale on zaraz się zaczął wypytywać o pogrzeb. Znów tedy w płacz biédny młodzieniec, — ale go prędko utulił miecznik, mówiąc serdecznie:

— Proszęż cię, dziecko kochane, już się choć o to nie frasuj. Mam ja tu z sobą parę groszy w kieszeni i wszystko to się zrobi jak trzeba.

Zaraz téż jakby inny duch wstąpił w dom cały. Miecznik sam się wszystkiém zatrudnił, bo był człek rządny jak mało. Porozsyłano więc fornalki i konnych na wszystkie strony, tu po kiry żałobne, światło i rzemieślników, tam znów po księży, po sąsiadów i co było potrzeba. Cały dzień na tém zeszedł, ba i noc cała, — ale nazajutrz koło południa odbył się pogrzeb z taką zacnością, że i trudno było wymagać co więcéj w tym razie. Duchowieństwa była liczba dostatnia, nabożeństwo solenne, nie brakło téż i oracyj, i sąsiadów, i ludu. Nieszczęśliwy młodzieniec poniósł stratę nieopłaconą, — żalu u jego i łez niewstrzymanych nic ukoić nie mogło, — ale przecież w tym żalu było to choć niejaką dla niego pociechą, że ostatnia ziemska posługa dla jego ojca, odbyła się tak, jak przykazuje kościół, jak niesie obyczaj i jak jego synowskie pragnęło serce. A za wszystko to winien był wdzięczność panu Bobrownickiemu. Patrzył téż on na niego jak na swego wybawcę, a jak to młode serca dziwnie są chwytliwe w afektach, tak i on przysiągł sobie wdzięczność tę dla tego zacnego człeka już zachować na zawsze. Ba nawet nie mógł się wstrzymać, aby mu tego nie wypowiedział. Kiedy więc było już po pogrzebie, jeno stypa jeszcze się przeciągała, przy któréj rotmistrz gospodarował, wziął on prędko miecznika na stronę i objąwszy go w swoje ramiona:

— Dobrodzieju mój! — rzecze, — już ci téż tego nie zapomnę do śmierci!

A miecznik na to:

— Dziecko moje kochane, nie miéjże mi téż za to żadnéj

wielkiéj wdzięczności! Wżdym ja to tylko zrobił, com był winien przyjacielowi, któregom kochał jak brata. A kiedy tak się zdarzyło, żem tém i twoje serce pocieszył, to już tylko łaska jest Boża. Za co niech będzie chwała Panu Bogu tém bardziéj, ile że, jak się dowiaduję, jużeś sobie na to i sam zasłużył. Powiédźże, jak to tam było z Flemingiem?

Skromny młodzieniec spuścił oczy ku ziemi, nie wiedział sam co ma powiedzieć, — a tu tymczasem szlachta, dowiedziawszy się o téj bitwie w Krakowie, a podochociwszy sobie cokolwiek na stypie z téj tam zakrytéj piwnicy, do któréj rotmistrz miał sekret, wpada z wielkim hałasem, biorą Jurcia na ręce, noszą po izbach, ledwie go nie rozerwą. Rozżalony chłopczyna aż się przestraszył. Wyrwał im się przecież nakoniec, uciekł ze łzami w oczach i schował się do sypialni matczynéj. Ale go znalazł niebawem miecznik.

— Jurciu! — rzecze do niego, — nie masz ty tu nateraz co robić w tym domu. Dziś tu zawielkie na ciebie hałasy, a jutro będzie zawielka cisza. Nieprzystojna jest głuszyć żałobę rozgwarem, ale także nie dobra truć się nią w samotności. Nie widzę téż, żeby ten rotmistrz był dosyć dobrą dla ciebie kompanią, zwłaszcza gdy się już dobrał do piwnicy sekretnéj. Dlatego proszę cię bardzo, przyjmij u mnie gościnę choćby na czas; nie masz tam świętych pocieszycieli dla ciebie, ale są ludzie po Bogu, którzy radzi się dzielą braterskim smutkiem i przy pomocy Boskiéj nie jednę ukoili już boleść. Chodź tedy ze mną, a za dni parę znowu tutaj wrócimy, ażeby jakiś ład zaprowadzić w tym domu.

Bardzo to tedy było utrapionemu chłopięciu na rękę, zwłaszcza gdy widział, że z jego rodzicielskiego domu, który powinien był być cichym przybytkiem żałoby, uczyniono gwarliwą dla Bachusa świątynię. Jakoż szli zaraz za Nidę. A był już dzisiaj dzień piękny i wody znacznie opadły na Nidzie. Przewieźli się więc spokojnie, a jak tylko do przeciwnego dobili brzegu, wstąpili zaraz na terytoryum miecznika. Czy się to tylko Jurciowi tak wydawało, czy téż tak było w rzeczy, aleć tu jakby świat był zupełnie inny! Zaraz z wody wstąpili na małą łączkę, któraby i za najpiękniejszy ogród stanęła. Boć tu po świéżéj zieleni porozsiéwane wiosenne kwiatki, jasne i barwne, a niby tak migocące, jako gwiazdki na niebie, a już tak piękne, jak tylko być mogą nad Nidą. Toż po téj łączce porozrzucane drzewa, niektóre stare i wielkie, drugie wysmukłe i cienkie, to znowu chaszcze gęste jak matnie; tutaj brzózka płacząca, a tam znów dąb starzec zgrzybiały z uciętą głową, na któréj miejscu plecione koło z uwitém gniazdem bocianiem na wiérzchu. Tu więc pod dębem darniowa ławka z kamiennym stołem, a pod kosmykiem chaszczów kanapka z brzozowych ramion, a od stromego brzegu płotek z białego głogu. Już prędkie słońce dawno uciekło z jasnego nieba, już się i zmrok błękitnawy rozścielił, ale wszystko to widział dobrze osmucony młodzieniec i widział jeszcze lepiéj dlatego, że mu się zdało, jakby

tu samą wonią odetchnął! A potém zaraz wstąpił na drogę, którą przeszedłszy na poprzek, weszli przez bramę w wielki dziedziniec zameczka. Tu jakoś chmurno było cokolwiek. Od wielkich świerków stojących po jednéj, i gęstych sadów stojących po drugiéj stronie zameczku, padał cień pochmurny w dziedziniec, roznosiła się woń od drzew smolnych i była tu jakaś wielka powaga. A zameczek sam była to sobie wcale staropolska budowa. Może to niegdyś było inaczéj, ale dziś rozmaicie. Jedna baszta okrągła, druga czworograniasta, a trzecia znowu okrągła; tu kilka okien wązkich i długich, tam znowu parę szérokich, jedna baszta o dachu okrągłym, druga wcale bez dachu, tu kilka kolumn, tam kawałek krużganku u piętra, a tam znów coś jakby ambona z szybami. Aleć to tak bywało dawnego czasu; stawiano piękne Panu Bogu kościoły, a siebie samego mieszczono w tém co zostało po ojcach, wiedząc o tém dobrze, że stara cnota najbezpieczniéj się chowa pod strychem...

Więc w progu domu stary sługa ich przyjął, a miecznik go zaraz zapytał: czy wszystko dobrze jest w domu?

— Dobrze, wielmożny panie, — odpowie sługa, — Panu Bogu niech będzie chwała!

A tak już szli do miecznika komnaty, która była na dole, aby cokolwiek wypocząć. — Miecznik przystąpił do swego biura, aby obaczyć czy niéma listów jakich, lub innych nowin ze świata, — a osmucony siérota, siadłszy na zydlu i odetchnąwszy z głębokiéj piersi, rzecze do niego:

— Ej! toż to tu pięknie, toż to tu cicho u jegomości! Dobra to rzecz i taki opatrzony zameczek! Gdyby mój ojciec był miał taki, byłby żył sobie Bóg wié jak długo!

— A cóżto? — odpowie miecznik, aby myśl jego od téj żałoby odwrócić, — czyż to tu nigdy jeszcze nie byłeś, że tak admirujesz tę chatę?

— O! jużci byłem, aleć to dawno już temu! Jeszczem był małém chłopięciem. Jeszcze mój ojciec zdrów bywał wtedy i przychodziliśmy tu obadwa piechotą. Dawnoż to temu, och! dawno. Jeszczem nic nie znał wtedy, kromia saméj uciechy. Czy widok ojca, czy widok matki, czy nowa książka, a gdyby tylko nowa sukienka, już to był raj dla mnie i uciecha bez końca. I tak już do tego nawykłem, że mi się zdało, jakoby tak miało być zawsze. Aleć przyszły i na mnie utrapione terminy. Ojciec już w grobie, wioski pozadłużane, dobytek rozdrapany, — a biédna matka moja nawet nie wié nic o tém! Tu dom osierociał, tu pustka w domu; z téj tam fortuny naszéj może nie będzie kawałka chleba — a ona biédna nie może się tém nawet zasmucić! Ej! panie mieczniku! nie czas mi tu pono bawić u was w gościnie, trza się zrywać co prędzéj i biegać do matki.

Jakoż się zerwał zaraz ze zydla, jakby już koń stał dla niego przed gankiem. Więc tedy miecznik z całego serca w perswazye:

— Dla Pana Boga żywego, co robisz! Nie tak to rzeczy te są, jako ci się wydają. Młodyś jest, więc żywo to czujesz, aleć się trzeba i starszych poradzić, a wytrawniejszych. Źle się to stało, że pani stolnikowa tu nie przybyła zawczasu, to prawda; ale kiedy się już tak stało, to z złą nowiną niéma czego pośpieszać. Zmiłuj się, każdy dzień, każda godzina, o którą później ją ta wieść dojdzie, to jest zysk dla téj zacnéj matrony niemały. Jeśli masz serce, nie spiesz-że się ze zgryzotami dla matki. Chowaj ten cios fatalny przed nią choćby najdłużéj. Dowiedziała się przez pachołka, którego do niéj wysłano, to już przepadło; ale jeżeli pachołek z niczém powróci, to dajmy pokój temu do czasu. A już przynajmniéj sam ochłodnij, sam się oswój z tą dolą, ażeby téż matka miała, ktoby ją w tym frasunku pocieszył. Tak trza i tak to będzie zacnie od ciebie. A o fortunę także sobie głowy nie turbuj przed czasem. Źle to tam jest, jako mi sam powiadał nieboszczyk, aleć niémasz tu jeszcze noża na gardle. Kiedy na starość niéma własnego kąta, to i to jeszcze nie biéda, boć w koło braci bez liczby, a u każdego kącik gotowy, a cóż dopiéro młodemu, który ma świat cały przed sobą? Jeszczeż do tego takiemu, który jak ty ma głowę na karku, serce na swojém miejscu i już tak pięknie w świat się zaprowadził. Toż to gdzie się obrócisz, chléb dla ciebie gotowy i chléb pszeniczny, a posłużysz czas jaki, posypią się i nagrody, czy to w stopniach wojskowych, czy w urzędach publicznych, czy téż w starostwach, czy w jakichbądź beneficyach.

A jest tu tego niemało, jest i szczodrobliwość, a byle jaka zasługa, już ona pewnie nie obejdzie się bez nagrody. Porachowałbym ci imiennie takich, co i butów nie mieli, kiedy się wzięli do służby, a dziś wsie, zamki i grody w ich rękach, że już i z własnéj szkatuły wystawiają chorągwie. Nuż przyjdzie wojna, to który ciepłéj fantazyi, to i całą fortunę wytraci, a ani głowa nie zaboli go o to. Nie frasuje się téż tu nikt o fortunę, jeno więc o zasługę, a kiedy młody, to o sposobność do téj zasługi, bo już jak to ma, to téż ma i fortunę. Toż i ty się o nią nie frasuj, bo poczekawszy mało niewiele, jakbym cię widział mającego i wsie, i zamki, i honory, i wszystko, co tu w tém życiu potrzebne. Już cię ta Matka Najświętsza, mój Sodalisie, nie wypuści z swéj pieczy, za któréj cześć wystawiłeś twoje zdrowie na hazard! W to wierz, i tą wiarą kieruj twe sprawy, a obaczysz jak ci się wszystko wywinie z płatka. Zaś na dodatek, to i o ojcowską się nie troszcz fortunę. Są tam ciężary i te i owe, aleć będzie je z czego popłacić. Jeszcze ci woźny nie przylepił na drzwiach papiéru, a choćby przylepił, to i to jeszcze nie dekret. A gdyby nawet i dekret już zapadł, to i po nim jeszcze rozmowa, — a już za ciebie pogadam, stanę gdzie trzeba i nie dam cię zjeść w łyżce kaszy. Bądźże mi więc spokojny, posmuć się sobie za ojcem, bo to rzecz sprawiedliwa, ale na resztę frasunków pluń jak na psa, co szczeka. Panu

Bogu cześć oddaj, ludzi zacnych uszanuj, braci twoich ukochaj, a zresztą czyń co ci każe sumienie; oto twój cały frasunek, — jak Bóg na niebie, jak ciebie kocham, jakem miecznik stężycki!

A to rzekłszy, wziął go w swoje ramiona i przycisnął do serca. Już tedy biédny sierota jakby mu plastr przyłożył miodowy. Mimo ciężkiéj żałoby aż mu uśmiéch przebiegł po licu, — bo téż i trudno było o serdeczniejszą pociechę. Cisnąc go tedy do siebie, rzecze mu zaraz:

— Dobrodzieju mój drogi! już téż masz serce dla mnie, jak dla własnego syna. Niech że ci Pan Bóg to wynagrodzi stokrotnie. A mnie już nie usuwaj twéj łaski, póki choć z piérwszéj biédy się nie dobędę i nie postanowię czegoś ze sobą.

— Już ja ci nie poskąpię méj rady ani braterskiéj pomocy, raz dla pamięci twojego ojca, a teraz już i dla ciebie samego. Ale czas nam iść do mojéj jéjmości, bo tam na nas czekają.

Tedy szli zaraz na górę. Jurcio szedł wprawdzie nie z osobliwą ochotą, bo jużby teraz był rad być ciągle z tym poczciwym miecznikiem, a zdało mu się, że już trudno miał znaléźć kogo milszego dla siebie niż jego, aleć to nie tak było, bo już to dom był pełen zacności, od stóp do głowy, a od kąta do kąta. Jakoż było co widzieć i w górnych komnatach, i było może jeszcze lepiéj czém się pocieszyć. Tak tedy idąc, przeszli wszystkie komnaty prawie po ciemku, aż weszli do ostatniéj okrągłéj, która się znajdowała we wnętrzu baszty zamkowéj. Tam na małym stoliku dębowym płonął kaganiec, w szklaną banię zamknięty, a na około stoła siedziało osób bez liku.

Więc na kanapie pod ścianą sama miecznikowa, niewiasta może téż już niebardzo młoda, ale jeszczze tak piękna jakby zdjęta z obrazu. Ciemny włos u niéj, ciemne téż oczy a twarz biała jak lilia, jakoż już trochę przybladła, lecz przy tém wszystkiém zapapużona jakby podeszła matrona, jak téż na panię domu i matkę licznéj rodziny przystało.

Tuż koło niéj na stołku siedziała najstarsza jéj córka Kostusia, oczko w oczko jak matka, lecz świéżuteńka jak kwiatek róży, chociaż jeszcze nie rozwinięty zupełnie, bo miała ledwie lat dochodzących cztérnaście.

Daléj młodsza córeczka Marynia, a daléj chłopcy za rzędem. Więc jeden mający lat może dziewięć, a drugi siedem, a trzeci berbeć maleńki przy kolanach u matki. Wszyscy zaś w kurtkach błękitnych jednego kroju, z długiemi kędziorami spadające na karki, a przystrzyżone ponad oczyma.

Ale nie dosyć na tém, bo przy Kostusi siedziała jeszcze ochmistrzyni poważna, po drugiéj stronie panna respektowa, a przy jéjmości matrona staruszka, daleka krewna miecznika. Toż koło chłopców ksiądz nauczyciel, pan mostowniczy staruszek, krewny jéjmości, i syn jego wyrostek, uczący się gospodarstwa tymczasem, a czekający póki się co lepszego nie zdarzy.

A wszyscy ci siedzieli w wielkiéj powadze i wielkiéj ciszy, co téż inaczéj nie mogło być, bo z drugiéj strony stołu siedział gość bardzo zacny i rzadki, pielgrzym pobożny. Był to już starzec, z długą brodą do pasa, ubrany w suknię nakształ habitu, a ozdobioną zamorskiemi muszlami, które sam w swych podróżach pozbiérał. Kim był dawnemi czasy? czy pokutował za jakie grzéchy, czy pielgrzymował tylko z dewocyi i dla umartwienia?— nikt tego nie wiedział ani téż pytał. Wiedziano tylko, że powracał ze ziemi świętéj, gdzie długie lata jęczał w pogańskiéj niewoli; powróciwszy w tym roku, bawił czas jakiś w Wilnie na nabożeństwie u Ostréj Bramy. Wielkanoc przebył na Jasnéj Górze, zkąd się udał do Sandomierza, aby odwiédzić swych krewnych. Teraz zaś szedł prosto do Rzymu, tu go wody zalały i tu gościł już od dni kilku. Tedy czas ranny trawił na ustawicznych modlitwach, kapelanowi do mszy służył w kaplicy, a potém czytał brewiarze; po obiedzie szedł na plebanią i tam z proboszczem bawił się pobożną rozmową; wieczór zaś wracał do dworu, w kole domowém zasiadał i opowiadał owe święte historye: gdzie się Pan Jezus narodził, którą drogą przybieżeli królowie do Niego, kędy do Egiptu uchodził; gdzie więc potém nauczał, gdzie był przed Piłata wołany, gdzie krzyż władowano na Jego barki najświętsze; to znów gdzie był umęczony, gdzie pochowany i jako grób ten wygląda w czasach dzisiejszych, — boć tam był wszędzie i wszystko to widział na własne oczy. A już go téż słuchano z taką uwagą, że i oddech zaparto w piersiach, boć to aż dreszcz świętobliwy przenika, kiedy się słyszy takiego człowieka, który swą własną stopą dotykał się téj ziemi błogosławionéj, po któréj niegdyś się przechadzał Zbawiciel świata. Osobliwie téż dzieci patrzyły nań jak na świętego, a połykały każde jego słóweczko, z czego téż miecznikowa była uradowana niezmiernie, bo i wiedziała o tém, jaką to wielką korzyścią jest dla człowieka, jakim to twardym puklerzem na całe życie, kiedy się żywa wiara w nim zaszczepi za młodu. Szkoda więc wielka, że im te piękne powieści przerwał sam miecznik, wprowadzając Jurcia do téj komnaty.

Na widok jego zaraz wszyscy powstali, nawet i miecznikowa, już to najpierwéj dlatego, iż już i do nich przyszła wiadomość o jego bitwie z bluźniercą, a powtóre dlatego, że był nieborak tak nieszczęśliwy. Zaraz go tedy miecznikowa posadziła około siebie, mówiąc tak słodko i dźwięcznie, jak gdyby anioł Boży zaśpiéwał. Wspomniała także o jego ojcu, o jego wielkiéj zacności, o pobożności, o dobroci dla ludzi i dodała na końcu:

— Żal to jeszcze tém większy, że nam kochany nasz stolnik zginął w sposób tak niespodziany. Tyle lat przeżył na wojnach i wrócił cały, aż go téż w jego domu znalazła wojna. Aleć to takie już było, jak widać, przeznaczenie od Boga! Toż i mój ojciec niegdyś, całe życie na koniu i w zbroi aż do późnéj starości; zgrzybiałym starcem prawie, kiedy już nie wychodził z komnaty, prze-

cież znalazła go wojną, i skończył życie tak jakby we środku bitwy. Na ojca waszmości spadłoż to nieszczęście choć przynajmniéj od obcych, na mego ojca.....

Ale się tu miecznikowa wstrzymała, spojrzała na męża i zakończyła westchnieniem. Zkąd téż się wzięło, że Jurcio nic a nic nie rozumiał, bo i nie słyszał nigdy, żeby pan Dorohojowski, podkomorzy wiślicki, regimentarz wsławiony jeszcze za czasu piérwszego najazdu Szwedów, którego sam wprawdzie nie zapamiętał, ale którego pamięć żyła jeszcze do dziś dnia, — żeby ten człowiek, mówię, umarł inaczéj, jak śmiercią zwykłą u ludzi. Jednak już ani mowy o tém nie było, bo téż w ten moment pielgrzym przystąpił do niego, błogosławiąc mu za jego bitwę z bluźniercą i mówiąc:

— Pan Bóg ciebie ciężko doświadczył, zabiérając ci ojca tak wcześnie do swojéj chwały, ale masz ty już łaski niemałe u Boga, kiedy ci dozwolił właśnie dnia tego dosięgnąć szablą swoją człowieka, który jakby sam był zabójcą twojego ojca. Większem to wszakże jeszcze szczęściem dla ciebie, żeś się bił o rzeczy wieczne, a nie o marlność doczesną, przez co téż zaraz, tracąc tu opiekuna na ziemi, pozyskałeś inną opiekę w niebie, w którą ufaj i wierz, a będziesz szczęśliwym, mocnym i pożytecznym Panu Bogu i ludziom, po wszystkie dni twego życia.

I tych słów kilka, zwłaszcza że powiedzianych z ust tak poważnych, przyniosło siérocie niemałą pociechę, — poczém już zaraz zaczął się witać z dziećmi, z których co starsze znał kiedyś dawniéj, ale mu dziwnie teraz powyrastały. Osobliwie Kostusia już i na pannę wyrosła, a jeszcze do tego taką zajaśniała pięknością, że młody chłopiec, patrząc na skromne blaski jéj twarzy, sam ledwie wiedział co mówić. Zebrał się wreszcie i rzekł:

— A panna Konstancya nam tak pięknie dorosła, właśnie jako te kwiaty wiosenne, które jak gdyby w oczach naszych wyskakują z pod ziemi. Tożto niedawno temu, kiedyśmy jako dzieci igrali z sobą na téj tam łączce nad Nidą, a teraz już to jak mara senna mi się tylko wydaje. Pamięta pani jeszcze te czasy?

— Oh! ja pamiętam i dobrze! — odpowiedziała Kostusia, — ale i pan Jerzy dość nagle się wybił w młodzieńca, i jeszcze wybił się z taką chwałą, że miast przyjaźni, jużby nam o szacunku pomyśléć.

Bardzo jakoś za serce chwyciły Jurcia te słowa, jakoż rzekł zaraz:

— Jużeście tu państwo wszyscy aż zanadto łaskawi na biédnego siérotę! nawet mnie i komplimentami raczycie w swéj łasce. A coby się najmniéj godziło jmć pannie Konstancyi, która wié dobrze, jaki to niezgrabny ze mnie był parobeczek, co się téż i niemało z niego naśmiała, zwłaszcza gdy grano w obręcze.

— Ale już się te czasy zmieniły, — rzekła na to mowna Kostusia, jakby trochę ze smutkiem, do czego zaraz dodała matka:

— Bodajby się nie zmieniały tak prędko! bo to podobno tyle jasnego nieba jest na téj ziemi, ile go człowiek widzi w dziecięctwie. Piérwsza rzecz którą obaczy, kiedy dorośnie, to chmury; jak się téż i panu Jerzemu zdarzyło, a nad czemeśmy tu wszyscy bardzo serdecznie płakali.

Tak go więc wszyscy tutaj tulili i słodzili jego niedolę jak mogli, że chociaż w smutku, przecież mu serca przybyło. A już natenczas szli do wieczerzy, którą jedzono z postem, bo to był piątek. Zaś po wieczerzy wrócili znowu do baszty — a wtedy pielgrzym przerwany przedtém głos zabrał i opowiadał owe święte historye, których teatrum był zwiédził. I wszyscy znów go z wielką uwagą słuchali, ale Jurcio podobno z największą. Był on tych rzeczy wszystkich nadzwyczajnie ciekawy, a że był wersat w historyi świętéj, a już ewangelistów prawie umiał na pamięć, więc się téż z taką ciekawością wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, że pielgrzym ledwie mógł odpowiedziom dać radę. Kiedy zaś przyszło mu wspomnieć o Gethsemane, o górze oliwnéj, o owych miejscach gdzie zemdlony Syn Boży upadał pod krzyżem, a nareszcie i o saméj Golgocie, to pobożny młodzieniec tak się zasłuchał, że i nie wiedział gdzie jest. Westchnął potém głęboko ze ściśnionéj piersi i rzekł:

— Boże mój, Boże! żebyż to kiedy być na tych miejscach.

A tak wszyscy bardzo sobie upodobali w tym pobożnym młodzieńcu i ukochali go jakby swego. A już Kostusia nie mogła mu się dosyć napatrzyć. Znałać go niegdy jako pacholę, ale dziś jakoś dziwnie wyrósł w jéj oczach. Toż kiedy się od pielgrzyma odwrócił i na nią spojrzał, to takiego raczka upiekła, jakby go wyciągnęła z wody o kwitnieniu pszenicy, a opuściwszy oczy ku ziemi, już ich i podnieść nie mogła. Widział to Jurcio i także oczy spuścił ku ziemi, chociaż nie wiedział czemu; ale tak mu się zdało, jakby się sam zawstydził przed sobą.

Aż tu w téj chwili uderzyła dziewiąta, a o téj porze jakby nożem kto uciął, wszystko się kończyło w tym domu. Kiedy był gość jaki wesoły albo i więcéj, co się tu często trafiało, to starsi państwo czynili z siebie wyjątek; ale dzieci szły do kaplicy na paciérz, a potém spać, czy które chiało lub nie. Teraz wszyscy szli do kaplicy, która była w takiéjże saméj baszcie po drugiéj stronie. Przyszedłszy tam, zastali już drzwi otwarte i kaganiec płonący u stropu. Tedy uklękli wszyscy od najstarszych aż do owego maciuteńkiego berbecia, który już ziéwał potężnie. Pielgrzym zaś z kapelanem uklękli na stopniach ołtarza i mówili głośno pacierze. A po pacierzach zaintonowali *Kto się w Opiekę*, na czém się tu zazwyczaj kończyły modlitwy wieczorne; ale dziś zanucił pielgrzym jeszcze i psalm: „*In Te Domine speravi, non confundar*," a Jurcio mu wdzięcznie wtórował, bo go umiał na pamięć i właśnie dziś w swoim smutku jakby go z własnego serca

dobywał. A potém wszyscy życzyli sobie dobrego snu i już szli na spoczynek.

Tak więc ten nieszczęśliwy siérota, chociaż tak silny cios weń uderzył, znalazł przecież pociechę zaraz o miedzę, a już pociechę taką, że ani mu się śniło, żeby ją mógł znaléźć gdziekolwiek. Ci zacni ludzie, tacy serdeczni, tak litościwi, ten dom pełen takiéj powagi, takiéj pobożności głębokiéj, wszystko to tak go chwyciło za serce, tak ukoiło jego ciężką żałobę, że zdało mu się, jakby z ziemi łez i niedoli wstąpił w środek samego raju. Niósł on swój ciężar na sobie, ale tu prawie go nie czuł. Krwawiło mu się jego serce zranione, ale jakby woń jakaś krążyła około niego, która go orzeźwiała, — zamknęło się za nim jego życie szczęśliwe i zgryzoty, ale tu jakby obaczył przed sobą nową jakąś krainę, pełną najrozmaitszych i najpiękniejszych nadziei. Jakoż choć smutny, jednak wcale spokojny, schylił się do snu i zdało mu się, że kamieniem przeleży tę noc aż do rana.

Ale tak się nie stało.

Bo zasnąwszy od razu i pospawszy mało niewiele, zda mu się we śnie, jakoby drzwi zaskrzypnęły w téj izdebeczce, którą mu dano do spania. Zerwie się prędko, — spojrzy przed siebie, — ledwie się może utrzymać na nogach. Boć na środku izdebki, widzi to jawnie, stoi ojciec jego nieboszczyk jak żywy, stoi w swém pogrzebowém ubraniu i prowadzi za rękę jakąś postać niewieścią w bieli, któréj jakoby skrzydła odrastały od ramion. Spojrzy raz jeszcze, a owa postać niewieścia, to jakby żywa Kostusia. Już sam nie wié co się z nim dzieje. Aż tu odezwie się ojciec głosem swym własnym:

— Klęknij!

Jurcio padł na kolana. A wtedy ojciec zbliżył się k'niemu i postawiwszy ową postać koło niego, rzecze wyraźnie, jakoby żywo:

— Daję ci tego Anioła-Stróża, a ten niech cię strzeże przez całe życie!

Klęczał tak przerażony młodzieniec przez długą chwilę i drżał jak listek, bo bał się bardzo. A kiedy trochę ochłonął i głowę podniósł do góry — już nic nie było w izdebce. Rozpatrzy się lepiéj, ależ nic niéma nigdzie, bo było jasno jakby o zmroku. Wstał tedy i zaczął myśléć nad tém widzeniem. Aleć i trudno co było wymyśléć. Co widział na własne oczy, mógłby na to i przysiądz, wola to Boża i nie piérwsze to takie zdarzenie, — ale tego sobie nie mógł objaśnić na żaden sposób, że sam był całkiem ubrany, jak gdyby nigdy się nie rozbiérał. Musiał tak zasnąć w ubraniu... Cóżkolwiekbądź, zmówił po raz wtóry pacierze, na nowo się do snu ułożył i już spał spokojnie do rana.

V.

Nazajutrz rano Jerzy wstał orzeźwiony, ale mimo to jakoś dziwnie mu się mąciło w głowie, a może jeszcze dziwniéj po sercu. To widzenie ponocne nie chciało się z przed niego ustąpić. Badał jego znaczenie — i sam nie wiedział co myśléć. Był on wprawdzie dosyć pochopny do uwierzenia w to przykazanie ojcowskie, może go nawet do tego pociągało i serce, — aleć był jeszcze tak młodym, że krom zachowania w pamięci, o inném wypełnieniu tego przykazania ani umiał pomyśléć. Nie miał téż nawet i czasu do rozmyślania nad tą osobliwą zagadką, boć mu trza było zasiąść do rozpisania listów. Mieszkając przez lat kilka w Krakowie i obracając się między ludźmi u góry, wżył się już był potrochu w te formy, które tam są praktykowane, a które mają także na celu utrzymywanie pomiędzy sobą ustawicznych relacyj. Zalecała mu téż ich zachowanie niejednokrotnie matka, uczyli także tego ojcowie i bardzo dobrze, boć ztąd wypływa nietylko niejeden pożytek, ale téż i niejedna przyjemność w tém życiu. Dobra jest niezawisłość, dobra jest i swoboda pod każdym względem, ale wszystko to jeszcze lepsze jest wtedy, jeżeli z swoją dobrocią łączy téż i foremność. Siadłszy tedy za stołem, pisał najpiérw do ojców nauczycieli, potém do księżnéj wojewodzinéj, a do księcia osobno, potém do kasztelana kijowskiego i do wojewody Morsztyna, z którym nawet dalekie łączyło go pokrewieństwo, daléj do innych osób co znakomitszych i bliższych, — wszystkim donosząc o téj ciężkiéj żałobie, w którą go pogrążyła śmierć ojca, i prosząc uprzejmie o zachowanie dawnéj przyjaźni, przychylności, albo téż łaskawości dla siebie. Do matki jeszcze teraz nie pisał, bo

miał na pamięci święte słowa miecznika. Wprawdzie go. sesce bardzo ciągnęło powiedzieć matce, co go dolegało tak blizko, — zdawało mu się nawet, że zamilczeniem wyrządza jak gdyby krzywdę nieboszczykowi ojcu, — aleć znów z drugiéj strony, trudno miał tego nie uznać, że ze złą wiadomością nie ma się czego pośpieszać. Tak więc to zostawiając do dłuższego namysłu, zatrudnił się najpiérw tamtemi listami, co mu też i niemało zabrało czasu, bo już był do tego nawykły, żeby wszystko napisać pięknie, wyrazić gładko, a uczcić każdego wedle jego godności, ani mniéj, ani też więcéj.

Przez ten czas cały wszyscy go pocieszali jak mogli, zdejmując z niego brzemię frasunków po cząstce. I tak sam miecznik opowiadał mu owe ciężkie terminy, przez które inni przechodzili owego czasu, a przecie się z nich wydrapali. Miecznikowa prowadziła z nim rozmowy poważne, to opowiadając mu rozmaite zacne uczynki nieboszczyka stolnika, to dopytując się o nabożeństwa krakowskie, o kościoły tamtejsze, o domy większe i ich obyczaje. Przynosili mu też po kolei rozrywki i ochmistrzyni, i ksiądz kapelan, i pani podkomorzyna krewna miecznika, i pan mostowniczy, chudy, łysy, wysoki starzec, który choć trudną miéwał zwykle mowę, bo żuł ciągle coś w szczękach i mlaskał ustami, jednak umiał powiedzieć niejednę rzecz cale mądrą, bo też i dawne czasy pamiętał. Przecież z całego dworu miecznika może najwięcéj pociechy przynosiły siérocie dzieci, któremi też bardzo rad się otaczał, a z których znowu najchętniéj słuchał Kostusię, bo też była szczebiotka jak mało. To wesoła jak ptak na gałęzi, to znowu smutna jak wiérzba płacząca, umiała ona i weselem i smutkiem tak trafić młodzieńcowi do serca, że jéj się nie mógł odsłuchać. Bywało przy niéj, chociaż to jeszcze prawie była dziecina, nieraz mu mija dwie i trzy godzin jakby jedno mrugnienie oka — a kiedy przyjdzie się rozejść, to chociaż zostają pod jednym dachem, młodzieniec ledwie z żalu nie płacze. Jeszcześ może go to i najbardziéj chwytało za serce, że kiedy spojrzał na nią, to zawsze mu się zdawało, jakoby przy niéj stał jego ojciec nieboszczyk — a kiedy ona mówiła, jakoby ojciec wciąż przytakiwał. Dziwnie mu to widzenie jakoś ciężyło na sercu, że czasem nawet aż go dreszcz przejmował. Po parę razy już się był zbiérał powiedzieć o tém Kostusi, bo tak rozumiał, że mu ulgę przyniesie, — ale znów z drugiéj strony coś go wstrzymywało, i tak minęło parę tygodni.

Aż dnia jednego właśnie po samym obiedzie, wybiegły wszystkie dzieci na ową łączkę nad Nidę. Byli tam z nimi starsi, był także Jerzy, — jeno miecznika nie było, który był jakiemiś sprawami zajęty w swéj kancelaryi, lecz za to sama miecznikowa siedziała na zamkowéj galeryi, przypatrując się ztamtąd igraszkom dzieci. A właśnie dnia tego nawiédził był swego siostrzeńca rotmistrz, który tymczasem mieszkał w jego osiéroconym domu i fol-

warkami zarządzał. Teraz przybył do niego, aby mu sprawę zdać z gospodarstwa, a chociaż, prawdę mówiąc, nie było wcale do niczego, jednak bardzo go męczył o to, żeby sam do domu powracał. Ale młodzieniec słuchał go tylko półuchem i milczał, a kiedy rotmistrz bardzo napiérał, odpowiadał mu na to:

— Ej! nie myślę ja wcale o gospodarstwie. Nie jest to dla mnie robota. Czas jeszcze na to. Trzebaby piérwéj o czém inném pomyśléć.....

— Już ja to widzę, — rzekł na to rotmistrz mrukliwie, — żeś ty się teraz nad czém inném zamyślił. Nic mi do tego, ale przecie ci powiem, że jeszcze to jest wątpliwa, co tu na teraz pilniejsze, czy gospodarstwo, czyli te drugie zamysły?...

Dziwnie jakoś spojrzał na niego młodzieniec i niby trochę się zarumienił, ale się wprędce uśmiéchnął i umilkł. Tak nie mogąc się z nim dogadać, rotmistrz pomruczał jeszcze ni to ni owo i odszedł. Jurcio zaś poszedł ku brzozowéj ławeczce, która stała oparta o wielką gęstwinę chaszczów i tam sobie usiadł w spokoju. Aleć natychmiast przybiegły do niego dzieci, które go téż bardzo lubiły. Opowiadał on im rozmaite powieści, to z historyi biblijnéj, to z żywotów świętych pańskich, to znów o kościołach i nabożeństwach i grobach królów w Krakowie, i tém ich bardzo do siebie przynęcił. Jeszcześ do tego przywieziono mu temi czasy jego rzeczy z Krakowa, między któremi znajdowało się wiele błyszczących fraszek; więc on jednemu dawał parę pięknych obrazków, drugiemu krzyżyk z słoniowéj kości, trzeciemu małą szabelkę, którą sam niegdy nosił, a już temi podarunkami zaskarbił sobie ich miłość na zawsze. Toż go i teraz te dziécięta opadły i posiadawszy to przy nim, to naprzeciwko niego, kazały sobie co opowiadać. Jurcio im opowiadał niemal całą godzinę, wybierając rzeczy co poważniejsze, bo była przy tém także Kostusia. Aż się téż w końcu te lekkie duchy tą powagą znudziły i poczęły igrać ze sobą na trawie, a przy opowiadającym pozostała tylko Kostusia z młodsza siostrą Marynią. Zwrócił się więc natenczas młodzieniec do starszéj i rzecze:

— A panna Konstancya wytrwała pięknie do końca; czy jeszcze mam opowiadać?

A na to ona:

— Choćby pan Jerzy opowiadał dzień cały, albo i dwa dni, to jabym zawsze słuchała.

— A gdyby tydzień?

— To i co?

— A gdyby rok?

— To jenobym jeszcze lepiéj słuchała, bobym się przyuczyła jeszcze lepiéj rozumiéć.

— No, rzecze młodzieniec, — to ja pannie Konstancyi co powiem. Powiedziałbym ci ja jedną bardzo piękną historyą, jeno

się boję, żeby ją za mój własny wymysł nie wzięto, choć jest prawdziwa jako ten dzień.

— Jak mnie pan Jerzy powiada, to ja tak wierzę.

— A wierzy pani?

— Jakżebym mogła nie wierzyć?

Tedy młodzieniec spojrzał raz jeszcze na nią i niby się trochę zadumał. Namyślał się pewnie nad tém, ma-li powiedzieć, czy nie? Ale co to jest namysł u młodych? Im jeno się zdaje, że się namyślają poważnie, bo czy z namysłem, czyli bez niego, koniec u nich zawsze jednaki. Kiedy cel jaki przed sobą obaczą, który im się podoba, to już lecą ku niemu na oślep, choćby tam była góra nieprzebyta, albo i przepaść bezdenna. Co tam! — powiada młody, — góry przesadzę, poprzeskakuję przepaście, a przecież stanę u celu. Gotów jeszcze i własną ręką zasłonić oczy, aby tych przeszkód nie widzieć. Otóż tak Ożarowski. Namyśliwszy się mało niewiele, przecież nakońcu opowiedział Kostusi owe dziwne widzenie, które miał piérwszéj nocy w tym domu.

Wysłuchawszy téj opowieści, panienka dziwnie się zamyśliła. Była dotąd wesoła, lecz teraz główkę oparła na ręce, oczy spuściła ku ziemi i całkowicie zamilkła. Patrzył na nią Ożarowski przez chwilę, nareszcie rzecze:

— Cóż panna Konstancya tak się namyśla?

A ona na to spojrzała mu w twarz, uśmiéchnęła się trochę i rzekła:

— Nic, ot tak sobie myślę.

— Przecież co?

— Myślę tak, — rzekła Kostusia, — że to nie może żadnym sposobem być, żeby mnie pan stolnik nieboszczyk dawał panu Jerzemu za Anioła Stróża. Taka ze mnie jest prosta dziewczyna!

— Mościa panno Kostusiu, — rzekł na to Jerzy, — po miłości i wierze niémasz milszego Panu Bogu przymiotu, jak jest prostota. Razem to idzie, i nawet jedno bez drugiego prawie nie może być. Wielkich téż łask dostępują u Pana Boga ludzie prości. A czy to waszmość panna nie wiész o tém z historyi? Wieluż to było onego czasu mędrców sztucznych, wyćwiczonych w naukach, a nawet dosyć głebokich, którzy całe żywoty poświęcili ku temu, ażeby pomiędzy ludzi rozprzestrzenić swoję naukę, a przecież im się to nie udało? I wieluż to takich mędrców miał Pan Jezus pod ręką, którychby mógł był postawić na straży ogłaszanéj przez siebie wiary, a przecież ich nie wziął, tylko wybrał prostaczków; a ci nietylko Jego naukę od zepsucia ustrzegli, ale jeszcze ją po całym świecie roznieśli? Nie mam się równać do uczniów Pańskich i apostołów, ale przecie to można powiedzieć, że prostota umysłu i serca jest to największy dar Boży, którym téż nawet nie święci ludzie przy łasce Bożéj jeszcze zawsze więcéj dokazać mogą, niż najskuteczniejszym rozumem.

Poczém się zadumali oboje, aż znów rzecze Kostusia:

— Ale zawsze ja tego rozumiéć nie mogę, jakbym ja mogła pana Jerzego choć od czegobądź ustrzedz?

— Niéma się to rozumiéć dosłownie — rzekł na to Jerzy, — ale ot jakie to rzeczy, którem ja sobie z tego widzenia wysnował. Siedzę ja teraz tutaj i używam gościnności mojego dobrodzieja, aleć to tak nie może być. Nie może téż być, żebym zasiadł na gospodarstwie, bo i na czémby to się skończyło? Taki nieuk jak ja, a nieznający świata za grosz, kiedyby się na wsi zasiedział, do czegoby się mógł przydać komu? Ani mu usłużyć sąsiadom, ani w wojsku, ani na urzędzie, chyba żeby z szablą gdzie stanąć i cudzy rozum popiérać. A nie tak to Ożarowscy kiedyś służyli. Toż i ja tak nie myślę. Więc przedewszystkiém trzeba mi w świat: czy to na dwór jaki wielki, czy do chorągwi, czyli téż w cudze kraje, co mi téż bardzo doradzają ojcowie, żeby jeno środki były po temu. Boć i ubogi jestem teraz jako siérota; tych tam kilka folwarków w takim mizernym stanie, to prawie nic. Otóż jakbądź się stanie, czy tam pójdę, czy owdzie, zawsze to trzeba się przygotować na ciężkie próby, na wielkie prace, uchowaj Boże od łez i ucisków, aleć i te mogą być. Otóż w tych czasach przyjdzie na mnie niejedna duszność, może się umysł zachwieje, a może nawet i zwątpienie zawita. A w takich razach, żeby człowiek nie upadł, trzeba koniecznie jakiéjś pociechy, trza zachęty, trzeba pomocy. Tuszę ja wprawdzie, że ja tę pomoc, zachętę, pociechę, znajdę najpierwéj w Bogu, a nareszcie i w samym sobie, aleć to, jako mówią, Pan Bóg wysoko, a człowiek zawsze człowiekiem. Niezbędną dla niego jest pomoc z nieba, ale jéj także trzeba i na ziemi. Kiedy więc niéma nikogo pomiędzy ludźmi, któryby o nim pamiętał, a o któregoby i on także mógł się oprzéć wspomnieniem, to już z niego bardzo biédny siérota!

A na to zaraz Kostusia:

— A kiedy tak, to ja o panu Jerzym będę zawsze pamiętać. Gdziebądź pan Jerzy będzie, choćby gdzie za morzami, ja nie opuszczę pamięcią, — a wiele razy modlić się będę, to się i za pana pomodlę. A pan Jerzy znów za mnie, — dodała trochę weseléj, — i tak to trwać będzie aż do tego czasu, póki pan Jerzy ze służb swoich nie wróci i nie osiędzie w swym szklanym dworze na zawsze, a wtedy będziemy widywać pana Jerzego codziennie, tak jakeśmy widywali pana stolnika...

— Amen, — rzekł na to Jerzy, — niechże tak będzie i niech Bóg dopomoże. Ot, jakoś zaraz lżéj mi na sercu. Bo to panna Konstancya nie wié, jak to ciężko jest człowiekowi, kiedy sam jest na świecie. A już wtedy jest nie sam, kiedy wié, że kto o nim pamięta. — Wiedział-ci téż mój ojciec kochany dobrze, dlaczego mi się objawił, a jeszcze lepiéj to wiedział, kogo mi ma dać na Anioła-Stróża. A już odtąd panna Konstancya mnie nie opuści, bo jak dziś widzę ciągle przy pani jakby mojego ojca, tak odtąd będę miał pannę Konstancyą przy sobie.

Tu umilkł trochę, a wesoła dziewczyna, która się bardzo tém ucieszyła, że może sama coś sprawić dobrego, co jéj się jeszcze nie wydarzyło, rzekła do niego:

— A ja téż będę zawsze o panu Jerzym pamiętać. A jak pan będzie pisał do mego ojca, to żeby i o mnie stało i żeby pan nam opisywał, co pan gdzie widział i kiedy znowu do nas powróci.

— Będę zawsze pisywał, bo pisać lubię, żeby mnie jeno kto czytał. A żeby panna Konstancya o mnie pamiętała tém pewniéj, to dam pani rzecz taką, co się sama będzie przypominać codziennie...

A to mówiąc, dobył z zanadrza książeczkę do nabożeństwa, bardzo maleńką, ale ładnie w skórkę złoconą oprawną i na klamereczki zamkniętą, i dał jéj, dodając jeszcze do tego:

— Daję pannie Konstancyi co mam najlepszego i proszę pani zachować ją na pamiątkę odemnie i modlić się na niéj co rana i co wieczora.

Z wielką radością przyjęła Kostusia ten podarunek niewinny i rzekła:

— Och! jakaż to piękna książeczka! zaraz ją mamie pokażę. A potém położę ją na mojém biureczku, co mi go pan marszałek darował. Albo nie, dam sobie uszyć taką torbeczkę, jak mama nosi, i będę ją w téj torbeczce zawsze nosić przy sobie...

Z wielką wdzięcznością słuchał młodzieniec téj radosnéj spowiedzi, kiedy wtém, spojrzawszy przypadkiem w owę gęstwinę krzaków, o którą opiérała się ława, zerwał się nagle i jak sparzony odskoczył. I dziéwczęta także się przestraszyły i skupiły się koło niego. A było się w saméj rzeczy czego przestraszyć: w téj gęstwinie bowiem, tuż zaraz za ławą, pokazała się głowa niby ludzka, ale straszliwie brzydka, ba nawet wcale przerażająca. A była ta głowa tak wielka jakby dynia pomierna i prawie całkiem graniasta, oczy w niéj jakby szklane i wpół przymrużone, a koło prawego oka blizna, poczerniała i przymarszczona, jak od postrzału. Była téż przy niéj broda dziwnie jakoś strzępiasta, a czupryna jakby tatarska, co ją niezmiernie czyniło straszną. Lecz kiedy od niéj tak nagle odskoczyły te dzieci, zniknęła.

Rzecze więc Jerzy najpiérwszy:

— A co to było?

— Dziad jakiś straszny, — powie Marynia, — może i ten, co dzieci bierze niegrzeczne.

— A może téż i kto inny, — zawołała Kostusia, — jeno by mi to było po nim do zadziwienia, żeby tak podsłuchiwał. Nie mówiło tu się nic sekretnego, ale przecie to jest nieładnie.

Tak mówią, — aż tu ścieżką z daleka wchodzi pan Domaradzki, co to go zwą Murzą tatarskim. Dopiéroż wszyscy się domyślili, że to on ich tak podsłuchiwał z za krzaków. Rzecze więc zaraz Kostusia:

— Widzi pan Jerzy, że to taki dziad nie był. Ale ledwie

jeszcze nie gorszy jak dziad, kiedy się tak zakrada z nienacka. I czego on tam na nas zasiadał?

Ale Jerzy ledwie to słyszał, bo właśnie myślał o Murży, który podczas owego napadu na dom jego ojca gdzieś się był podział, a rotmistrz mówił, że go wzięto w niewolę. — Tymczasem Murża jest tu. Idąc powolnie, przystąpił do starszych, którzy siedzieli pod dębem i rzecze:

— Niech będzie pochwalony Pan Jezus.

— Na wieki wieków, — odpowiedziała podkomorzyna i ochmistrzyni, a mostowniczy staruszek nic. Przyłożył rękę do czoła, spojrzał na Murżę, wstał pomaleńku i posunął do zamku, mrucząc coś sobie pod nosem. Zbliżył się tedy Ożarowski do Murży i rzecze:

— Czołem, mój dobrodzieju.

— Jakże się masz, młodzieńcze, — rzekł Murża, — dawnożeś tu na zamku?

— Ot już parę tygodni z łaski pana miecznika; ale zkądże się jegomość tu bierzesz? Powiadano nam że cię wzięto w niewolę, na cośmy bardzo płakali...

A Murża na to:

— Ot! co mi pomoże! Juźcić mnie wzięli niemczyska ze sobą, ale mnie wypuścili. Bodajby mnie było zabito!

— A toż znów czemu?

— Czemu? — zająknął się Murża, patrząc w oczy Jerzemu,— ot co mi pomoże!... Aleć zawszeby było lepiéj i sprawiedliwiéj, żeby mnie było zabito, niż jego.

Jurcio westchnął boleśnie — i milczeli obadwa. Rzekł potém Murża.

— Ot! może to i ja wniosłem to nieszczęście w dom jego! Bodajżebym był nogi połamał! Bo i licho mnie tam poniosło!

A to mówiąc, patrzył z uwagą na Ożarowskiego, ale ten zaraz rzekł:

— Proszęż waszmości, nie myśl téż o tém. Taki człowiek pobożny, a mówi prawie z pogańska. Ażaż to waszmość nie znasz świętego Pisma? Czy upadnie jeden włos z czyjéj głowy, czy wróbel z dachu, bez woli Bożéj?

Murża odetchnął, — ale zaraz znów westchnął i rzekł:

— Wszyscyście chrześcianie, jeno ja jeden poganin. Tak już jest napisano. Niemasz téż bystrzejszego człowieka, jako ten, który mnie nazwał tatarem.

Jerzy go słuchał z uwagą, ale jakoś nie bardzo rozumiał. Znał ci on go z Krakowa, bo razem się schadzali do kapitularza na rekolekcye, ale i tam się z nim nie mógł jakoś dogadać. Zdało mu się, jakby temu mężowi coś brakowało. Toż i teraz mu się tak zdało. Jakoż rzekł na to do niego:

— Bardzo pilnie słucham waszmości, ale tak mówisz, jakoby cię nikt nie miał rozumiéć. A byłbym bardzo rad temu, gdy-

bym waszmości rozumiał, bom cię widział bardzo żarliwym w wierze.

A Murża na to:

— Ot co mi pomoże! Bo już jest tak napisano. Bo gdyby mnie jeno jeden zrozumiał, tobym już był zbawiony. A to nie może być.

Jeszcze go mniéj przez to rozumiał Jerzy. Ale tymczasem: kiedy tak rozmawiali, zachmurzyło się było cokolwiek i pochłodniało. Szli tedy wszyscy do zamku, każdy do swego kącika, Jerzy zaś z Murżą na górę. A kiedy tam weszli, nie zastali już miecznikowéj w galeryi, bo poszła była także do izby, uciekając przed chłodem. Zostawił tedy Murża Jerzego w wielkiéj komnacie, a sam poszedł daléj, mówiąc:

— Trza gospodynię przywitać.

Zostawszy się młodzieniec sam na sam, siadł sobie milczkiem pod ścianą i zaczął myśléć. Ale jakoś bez ładu mu się plątały te myśli, bo sam nie wiedział napewno, czemu ma oddać piérwszeństwo: czy owéj wdzięcznéj rozmowie z Kostusią? czy téż swemu własnemu losowi, o którym także już czas był i wielki jakoś poważnie pomyśléć. I tak mu zeszło ze trzy paciérze, albo może i więcéj. A wtém usłyszał w izbie przyległéj gadanie, które, chcąc nie chcąc, słyszał bardzo wyraźnie. Mówi więc Murża:

— Dobrodziéjko moja kochana! zlitujże się już nareszcie nademną. Nowe mnie napotkało nieszczęście. Już mnie Pan Bóg wcale opuszcza. Jużem jest jako morowa dziewica: gdzie się pokażę, padają ludzie, groby się wznoszą, łzy się leją strumieniem. Kiedy mnie ty nie wybawisz, przyjdzie zejść marnie z téj ziemi, bez pokuty za grzéchy i bez nadziei zbawienia.,.

Na to zaś miecznikowa:

— Mój panie Janie, waszmość mi serce rozdziérasz bez miłosierdzia. I cóż ja ci nieszczęśliwa pomogę? Uczyniłam wszystko co było w mojéj mocy i co się godziło z sumieniem: żalim jest winna, że nie mogę uczynić więcéj?

— Ej! możesz! — zawołał Murża z westchnieniem, — jako Pana Boga kocham, tak możesz. Czyż to jest wiele, o co was proszę? Czyż to grzéch będzie, jeśli powiększycie fortunę w sposób godziwy? Czyż nie powinniście tego uczynić dla waszych dzieci? Zdejmcież ze mnie ten ciężar, a spełnicie najzacniejszy uczynek i Pan Bóg wam go jeszcze w dwójnasób nagrodzi.

— Ej! nie może to być! nie może to być! — rzekła znów miecznikowa z westchnieniem, — nigdy to być nie może, żebyśmy od waszmości co przyjmowali. Kiedybym dziś ten zapis przyjęła, nie wiem żalibym jutro śmiała klęknąć przed Bogiem. Jużby mnie wiecznie katowało sumienie. Jużby mi ojciec nieboszczyk pewnie się zaraz pokazał i wyklątby mnie na zawsze. Nigdy to być nie może, mój panie Janie! Ale o co waszmości chodzi? Tyle jest klasztorów, tyle kościołów ubogich, a wszystkim dary wolno przyj-

mować od braci: daj waść swoję fortunę na klasztor, daj ją na kościół, a jeszcze to milsze będzie Panu Bogu, niżelibyś ją oddał grzesznikom.

— Ot co mi pomoże! — rzekł na to Murża, — jużciż ja wiem o tém dobrze, że mi to wolno uczynić, ale tego nie czynię, bo mi to nie pomoże. Gdzie jest szkoda zrobiona, tam ją trzeba naprawić. Jakoż to czuję, że jeno toby mi może ulżyło sumienie. Miejcież więc litość nad biédnym, a weźcie to sobie odemnie. Co wam to szkodzi? Choćbyście i mogli miéć jaki skrupuł rzetelny, toście go miéć niepowinni, bo czyż nie widzicie, jakom jest nędzny? czy was to nie wzrusza, że ja od tylu lat... od tylu lat! tak się błąkam po świecie, że tak pokutuję, że się tarzam w prochu jak płaz najpodlejszy, że się smagam rózgami jak zbrodzień i wszystko to nic nie pomaga? Bóg mnie opuścił, ludzie mnie opuścili, psy nawet nie chcą się trzymać mojego domu, — ażaż już niéma ani jednego serca na całym świecie, któreby się ulitowało nademną? Zmiłuj się, dobrodziéjko, wszakżeż masz tyle serca dla wszystkich innych żebraków!

A tu się zdało, jakby Murża zapłakał i rzucił się na kolana przed miecznikową.

Lecz prawie razem ktoś wszedł do téj izby, który był miecznik sam bez wątpienia, bo zaraz było słychać głos jego:

— Ej! panie Janie! już téż znów męczysz moję niebogę! A na co to się przydało? Ażaż ty nie masz rozumu? alboli téż zatrułeś w sobie sumienie? Możeż to być, czego po nas wymagasz?

A wtedy trwała chwilka milczenia. Zdawało się, jakby Murża wstał z klęczek, bo mówił smutno i już prawie boleśnie:

— Ot co mi pomoże! Kiedy się człowiek uweźmie, to i górę przewróci, a wasby nie tknął, żeby i całą górę na was wywrócił. Jesteście jako nieczułe głazy i żadnéj nie macie litości.

Na to zaś miecznik łagodnie:

— Ale mój Janie, za cóż nas tak ciężko obwiniasz? Czyżeśmy nie uczynili dla ciebie wszystkiego? Przebaczyliśmy dawno, zapomnieli zupełnie, w dom przyjęli jak brata, radzi cię nawet widzimy: możemyż jeszcze i więcéj? Słyszałeś kiedy, żeby człek zacny dał sobie płacić za krew swojego ojca? albo ażeby za taką krew przyjmował późniéj nagrodę? I czyby to co pomogło? Wszakże do odpuszczenia grzéchu potrzeba tylko ze strony ludzi przebaczenia, a reszta zawsze w Boskich jest ręku.

— Ale są rzeczy—rzekł na to Murża, — których i Pan Bóg nie sprawi bez ludzi, a taka to właśnie jest rzecz.

— Mój drogi, — zabrał głos miecznik, — Pan Bóg wszystkiemu jest mocen, a to jeno się tobie tak przywidziało, że tu potrzeba ludzi. Przypomnij sobie, jak sobie ludzie poczęli z tobą, jak my poczęli i cośmy dla ciebie wyrobili u ludzi...

Tu miecznik nie zaprzestał wprawdzie perory, ale czy to głos zniżył, czy może w jakiś kąt dalszy się z Murżą usunął, dosyć że

już ich Jerzy nie mógł rozumieć. Wszakże i tego mu było dosyć na teraz, co słyszał, jakoż bardzo się nad tém zamyślił. Było tu bowiem rzeczą prawie domyślną, że ten pobożny Murża jakąś zbrodnię albo sam spełnił, lub spowodował przynajmniéj, która mu teraz na sumieniu ciążyła, a od któréj chciał się zapisem swojéj fortuny wykupić. Nie było mu to dziwném, ale bardzo nauczającém, że miecznikostwo tego okupu nie chcieli przyjąć; było to zaś jeszcze więcéj nauczającém dlatego, iż posiedziawszy kilka tygodni w domu miecznika, poznał dokładniéj stan jego fortuny i znalazł, iż ta fortuna nie była w tak świetnym stanie, jak była wieść między ludźmi. Miecznik miał wprawdzie włości niemało, jedne w powiecie pilzeńskim, a trzecie w ziemi przemyskiéj, lecz na tych ziemiach ciążyło jeszcze bardzo wiele ekstensyj. Pan Bobrownicki bowiem przy wszystkich cnotach był podobno zanadto dbałym o powiększenie fortuny i naskupywał ziem co niemiara, chociaż nie miał na to dość gotowizny. Przy swojéj wielkiéj pracowitości i takim rządzie, jakim się mało kto mógł zalecić, byłby on wybrnął z téj wikłaniny z łatwością, ale na jego nieszczęście nadeszły wojny, a z niemi wielkie fortun szlacheckich zniszczenie. Jeszcześ podczas tych wojen było przynajmniéj to szczęściem dla niego, że lubo straty wynikały jedna za drugą, jednak milczały sądy: ale teraz po wojnach i sądy się odezwały a miecznik miał już kilka procesów. Te procesy go gniotły, uciskały jego sumienie, nie dawały mu czasem i sypiać po nocach, — tu Murża dawał tak jak gotowe piéniądze, ratunek sam się nasuwał pod rękę, jeno było po niego sięgnąć, a przecież miecznik tego ratunku nie przyjmował i trwał zacnie przy czystości sumienia. Bardzo się tedy tém młodzieniec budował i dziękując Bogu, że mu dał wstąpić w progi takiego domu, gdzie tak surowe cnoty chowano, rozmyślał nad tém poważnie. Wszakże niebawem przerwał mu te myśli wchodzący Murża. Już się tam była ta rozmowa skończyła, a on wszedł do wielkiéj komnaty i zdał się dążyć gdzieś daléj, lecz obaczywszy Ożarowskiego, stanął. Zbliżył się nawet do niego i postawiwszy się z nim oko w oko, dziwnie jakoś patrzył na niego. Zdało się, jakby ten smutny pokutnik był w téj chwili trochę weselszym niż zwykle: może mu sam zamiar odkupienia swéj winy przyniósł jaką pociechę. Atoli patrząc na Jurcia, stawał się Jeszcze weselszym, aż nareszcie uśmiéchnąwszy się jasno, uderzył go po ramieniu i rzekł:

— A co waść tu robisz?

— Jak waszmość widzisz, siedzę sobie spokojnie.

— A waść podsłuchiwał, co się tam w owéj izbie gadało?

— Możem i słyszał cokolwiek, alem nie podsłuchiwał umyślnie, bo to nie moim zwyczajem, choć już się mogłem tego nauczyć dziś od waszmości.

— Cha cha cha! — śmiał się Murża, — nie gniéwajże się, proszę cię, za to, bo to i nie moim zwyczajem, ale widząc was tam

siedzących w takiéj czułości, nie mogłem się wstrzymać, ażebym się nie przekonał, czego to waść nauczasz panienki?

Tutaj młodzieniec, chociaż cale niewinny, a może téż i winny troszeczkę, bardzo się zarumienił, lecz rzekł przytomnie:

— Nie nauczałem tam niczego takiego, czegobym i przy rodzicach nie mógł powtórzyć.

— No, ja tego nie mówię, — rzekł Murża, — ale przecież to powiem, że diabeł bardzo pilnie chowa swe rogi z początku. Zawsze to się tak od małego zaczyna, a potém co! Tak to było i u mnie.

Jerzy milczał, a Murża mówił daléj po chwili:

— Ale to nic. Owszem, bardzo mi się to podobało i twemu ojcu się to podobało, który patrzy na ciebie z nieba. Ot! i wiész, co jabym tobie powiedział? Co ty myślisz ze sobą?

— Jakto co? nie rozumiem.

— No, co zamyślasz? Czy wracasz nazad na akademią? czy do wojska? czy na dwór jaki? czy do zakonu? alboli téż na gospodarstwo?

— Jeszcze to rzecz niepewna, — odpowiadał młodzieniec niechętnie, — ale w tych dniach coś się w tém postanowi.

— A wiész, co jabym tobie poradził?

— Cóż? — spytał Jerzy dość obojętnie, bo mu niebardzo ciekawą zdała się rada człowieka, który innym chciał radzić, a sobie nie umiał poradzić.

— Ot co! gdziebądź ty pójdziesz, zawsze to losy niepewne. A na co tobie oddawać się na łaskę fortuny, która jest tak niestateczna? Na co tobie szukać gdzie szczęścia po świecie, kiedy go masz u siebie? Siadaj na gospodarstwie, siadaj i żeń się z Kostusią, a ja wam oddam całą moję fortunę. A to niemała jest rzecz, trzy folwarki potężne, warte najmniéj ze trzy kroć. Kiedybyś jeno jeden z nich sprzedał, to wszystkie długi ojcowskie pospłacasz, jeszcze ci co pozostanie. Masz swoich folwarków trzy, dwa odemnie, to pięć: ażaż ci trza lepszego szczęścia na świecie?

— Waszmość mi chcesz oddawać swoję fortunę, — mówił Jerzy jak gdyby nic, — a cóż zostawisz dla siebie?

— A co tobie do tego? — rzekł Murża, — może mnie co innego zostanie, a może mi wtedy nic nie będzie potrzeba? A kto to wié? No! pomyśl nad tém, to piękna rzecz. Zrobisz dobry początek, pójdzie ci potém jak z płatka, i kto wié kędy się oprzesz? Bo fortuna to grunt. Ale pod tym warunkiem, żebyś się z Kostusią ożenił, bo nie tobie to dam, jeno jéj...

A w téj chwili pokazał się mostowniczy we drzwiach komnaty. Obaczywszy go, Murża rzekł prędko:

— No, pomyśl nad tém, ważna to rzecz: dla ciebie szczęście gotowe, a dla mnie duszy zbawienie...

To rzekłszy, odszedł zaraz w stronę przeciwną. Jerzy został na swojém miejscu. A tymczasem mostowniczy staruszek szedł

odkaszlując i suwając nogami środkiem komnaty. Zmierzał on pewnie do baszty na posiedzenie wieczorne, bo już się było zmierzchało, lecz obaczywszy rozmawiających ze sobą, przyłożył rękę do czoła i przypatrywał im się przez oka mgnienie. Kiedy zaś Murża odszedł, on się zbliżył do Jurcia i rzekł:

— Mospanie stolnikowiczu.

— Słucham jegomości.

— A co waść za sprawy masz z tym człowiekiem?

— Żadnych spraw nie mam, takeśmy tylko gwarzyli.

— No, — rzekł staruszek, — miéjże się na baczności.

— Czemu to; panie mostowniczy?

— Czemu? — powtórzył starzec, — ażaż to nie wiész, co to jest zacz?

— Ja nic nie wiem, mój jegomość kochany, i nawet się nie domyślam, żeby w nim mogło być bardzo coś złego, boć w takim razie nie przyjmowanoby go w tym domu.

— Hm! — mówił starzec kaszlając, — kuszenie Pana Boga, żeby jeno kary za to nie było. Ale ty nie kuś Pana Boga, a siebie strzeż.

— Nie rozumiem ja jegomości, jak trzeba.

— Hm! — mówił starzec, idąc już prawie, — przyjdźże kiedy milczkiem do mojéj izdebki, to ci to powiem. A tymczasem się strzeż. Strzeż się! — mówił starzec, grożąc mu palcem wychudłym.— Strzeż się! — powtarzał, i z tém wyszedł z komnaty.

VI.

Od tego czasu ogarnął młodego Ożarowskiego jakiś dziwny niepokój. Już się był zaczął oswajać ze swoją żałobą, już mu ci zacni ludzie, których serdecznie ukochał, zaczęli zastępować jego własną rodzinę, już mu to życie zaczynało się stawać miłém i słodkiém i pełném nowych powabów, — kiedy wtém nagle od dnia owego coś go dziwnie zniepokoiło. Co było temu przyczyną, sam właściwie nie wiedział..... Cóżkolwiekbądź, zawsze niemało do téj niespokojności przyczynił się Murża. Dziwny ten człowiek bardzo niebezpieczne sidła na niego nastawił. Wprawdzie surowszy dla siebie niż dla innych, młodzieniec ani pomyślał o tém, aby tę darowiznę przyjmować, ale zawsze się nie mógł pozbyć téj myśli, iż się znajduje w tém położeniu, że gdyby jeno jedno słówko powiedział, toby dogodził odrazu najgorętszym swym chęciom. Odpychał on tę pokusę od siebie obydwiema rękami, aleć sama wracała. Jeszcześ do tego w parę dni potém znów się pojawił Murża. I znów wystąpił przed nim z swoim projektem. Ba, nawet nudził go teraz, prosił i błagał, a nareszcie już sam go chciał deklarować. A kiedy Jerzy się wzbraniał, on mówił:

— Otóż to drugi taki półgłówek, jak tamci. Jeszcześ tamtym się nie dziwuję, bo mają choć pozorne skrupuły, ale ty? w Imię Ojca i Syna! już téż to czyste szaleństwo. Obaczyłbyś, coby ojciec twój na to powiedział, gdyby był przy tém. Jegoż to myśl była zawsze, żenić cię tutaj nad Nidą, com téż sam słyszał od niego. Kiedy mnie nie chcesz wierzyć, spytaj się bernardyna. Ale na co bernardyna? Nie powiedziałże ci sam tego nieboszczyk stolnik?

— Mnie? a to kiedy? — spytał Jerzy zdziwiony.

— Chyba żeś skłamał Kostusi? — rzekł Murża.

Na te słowa Jerzemu wyskoczyły na twarz rumieńce. Opuścił oczy ku ziemi, pomilczał chwilkę, a potém rzekł:

— Nigdy w życiu nie kłamię.

A powiedział te słowa z taką mocą i surowością, że aż trochę zadziwiające były u takiego wielkiego młodzieńca. Spojrzał téż Murża na niego z wielką uwagą i pomyślił chwilę. Poczém zaczął z innéj beczki:

— Hm! — mowił ten srogi kusiciel, — nie łatwa to z tobą, jak widzę, sprawa, bo chocieś jeszcze nie dorósł, przecież już w każdéj materyi chcesz twoje własne miéć zdanie. Niezła to rzecz, zwłaszcza zważywszy, żeś jest siérota i niby sam jeden na świecie. Aleć to trza ci wiedziéć i o tém, że zdanie młodzika rzadko warte jest wiele, a często nic. Zaraz ci tego dowiodę, bo i tu jest tak samo. Oto ja proponuję tobie, abyś się żenił; ty propozycyą odrzucasz, a więc nie chcesz się żenić. A kiedy nie chcesz się żenić, czegóż ty bałamucisz dziewczynę? hę?

A to już widać było nadto na poczciwego młodzieńca. Zerwał się z ławy i stanął cały w płomieniach. Spojrzał na Murżę, chciał coś mówić do niego, ale słowa zamarły mu w gardle. A nielitościwy poganin śmiał się do pęku.

— A co? a co? — mówił, on mrużąc swe szklane oczy, — a dobry rozum młokosa. Taki pobożny człowiek, a lézie w grzéch jakby w błoto, jeszcześ do tego i sam nie wié o tém!... No, siadajno tu przy mnie na ławie, pogadamy rozumnie.....

Ale Jerzy rzekł na to prawie ze łzami:

— Ej! daj mi waszmość już pokój! Wolałbym trutkę był zażyć, niżeli słyszéć te słowa. Nie chcę już nic!

To rzekłszy, zaczął się samotnie przechodzić po łączce, na któréj działy się te rzeczy. Siedzący Murża na ławie przypatrywał mu się z uwagą i nie przeszkadzał. Przystąpił wszakże po chwili do niego i zaczął na nowo swoje perswazye. Chciał go koniecznie namówić do ożenienia, obiecując jak zawsze całą swoję fortunę i malując mu jego przyszłość promienistemi barwami. Ale już jakoś na żaden sposób nie mógł się z nim dogadać. Ani mógł nawet wydobyć z niego co myśli. Doczekał się tylko tego od niego, że mu musiał rzec w oczy:

— Proszę waszmości, jeżeli ci miłe zbawienie duszy, odstąpże się odemnie. Waszmość masz jakiegoś ducha nieczystego przy sobie, któren same rozsiéwa pokusy. Czy chcesz tego ducha nieczystego wetchnąć i w drugich?

Odskoczył Murża od niego, jak pies od jéża. Stanął na stronie i zrobił krzyż święty na piersiach. A potém, położywszy ucho po sobie, odszedł powolnym krokiem.....

Jerzy został na łączce, aż póki dzieci nie przyszły na zwyczajną igraszkę. Przyszła dzisiaj i miecznikowa — i zauważała to

zaraz, że jéj gość jakoś był smutny i nierozmowny. Zapytywała go o to, ale się nie dowiedziała niczego. Owszem, nawet przekonała się jeszcze dowodniéj, że go coś dojąć musiało. Uważała go także Kostusia i po parę razy go zaczepiała, aleć był dla niéj prawie tylko tak grzecznym jak obcy. W wieczór było tak samo, a na dobitkę zauważano jeszcze, że podczas wieczornych modlitw w kaplicy bardzo się modlił gorąco. I kiedy wszyscy już wyszli, on jeszcze został przed ołtarzem na klęczkach i Bóg wié jak długo tam bawił. Sługa powiadał, że po wyjściu państwa z kaplicy, pan stolnikowicz krzyżem się położył na ziemi, że głośno płakał i wyszedł ztamtąd gdzieś już blizko północy.....

Nazajutrz dzień wszyscy byli tém sfrasowani — a miecznik mówił żonie na ucho:

— Coś się mu bolesnego zdarzyło. Już go téż dzisiaj nie spuszczę z oka.

Lecz przy śniadaniu znów Jerzy zawiódł wszystkich oczekiwania. Przyszedł bowiem wprawdzie trochę przybladły, ale całkiem nie osmucony. Owszem, nawet zdawało się z wejrzenia, jakby była w nim jakaś radość, któréj tylko nie zdradzał. Widząc to, miecznikowa rzekła do niego:

— Chwałaż Bogu, że przecie dziś jakoś inaczéj wyglądasz. Jużeśmy wczoraj myśleli, że cię broń Boże coś struło. Co nam było o tyle przykrzéj, ile że przedtém byłeś już całkiem swobodny.

— Pani droga! — rzekł na to Jerzy, — byłem wczoraj cokolwiek smętny, ale czyż może to być inaczéj? Smutek i łzy, tożto jest pożywienie siéroty! Chowają się one na chwilę, ale przecie przychodzą z powrotem. Żleby téż było, gdyby się nie wracały!

To rzekłszy, przystąpił do miecznikowéj i pocałowawszy ją w rękę, dodał:

— Niechże wam Bóg to nagrodzi, że się tak o mnie troszczycie.

I był już potém wesoły, co téż wszystkich uspokoiło o niego.

Pomimo to przecież, jak tylko od obiadu powstano, który tam wczas się odprawiał, przystąpił on do miecznika na osobności i prosił go, żaliby nie miał czasu dziś albo jutro pomówić z nim trochę dłużéj. Ale miecznik zaraz był gotów i szedł z nim prosto na owę łączkę, na któréj pod jasném nakryciem nieba i pośród woni rosnących trawek i kwiatów zawsze najlepiéj się rozmawiało. Jak tylko siedli na ławie, rzecze wręcz Ożarowski:

— Ojcze mój drogi! — tak go przez wdzięczność nazywał, — już żebym był w samym raju, toby mi lepiéj nie mogło być, jak mi jest u was; aleć to i w raju siedzieć niewolno, kiedy gdzieindziéj obowiązki wołają. Czas mi już o sobie pomyśléć, boć to tak wiecznie nie może być. Proszę tedy waszmości, żebyś w tém ważném postanowieniu nie odmawiał mi rady.

A na to miecznik:

— Śpieszysz się, śpieszysz, mój Jurciu! kto wié nawet, ażali

nie nadto? jakoż mówię ci z serca, że kiedy przyjdzie do tego że nas opuścisz naprawdę, to cały dom nasz nie utuli się w żalu. Jużeśmy wszyscy tak nawykli do ciebie, jużeśmy cię tak pokochali serdecznie! No, ale znów z drugiéj strony, trudno ci mogę to zganić, żeś pomyślał o sobie. Nic nie wart człowiek bez zatrudnienia, bez jakiegoś urzędu, bez jakiéjś funkcyi na świecie, choćby to był nawet i magnat najpiérwszy. Jakoż bardzo to ładnie, że chcesz coś począć ze sobą. No, ale cóż poczniesz?

— Ot, i Bóg wié, co tu począć w tym stanie rzeczy?

— No, już się to znajdzie. Nie jesteś w położeniu najgorszém. Wielu jest, którzy mniéj mają środków od ciebie, a przecie coś poczynają, ba, i wysoko się wznoszą. Toż i u ciebie nie będzie z tém wielkiego kłopotu. Ale powiédzże mi, kochanie, do czegóż masz najlepszą ochotę?

— Hm! — mówił Jurcio, — jużci ja wiem do czegobym miał najlepszą ochotę, bom to już dawno wypróbował na sobie. Niémasz dla mnie lepszego miejsca jak wojsko, a choćbym się kiedy mógł przyuczyć i czego innego, to chciałbym zawsze przyjść do tego ze szablą w ręku, jak to czynili ojcowie. Ale co to mówić dziś o tém, bo czy tu, czyli owdzie, do czegóż ja doprowadzę, kiedy? mówiąc po prostu, do niczego nie jestem przygotowany jak trzeba. I najostrzejsza szabla nic nie wyrąbie bez głowy, a i głowa niewiele pomoże, kiedy nic nie wiedziała krom własnéj grzędy i kiedy się niczego nie nauczyła po świecie. A tu do tego pilniéj jeszcze nad wszystko inne i gospodarstwo mnie czeka, bo i cóż matka sobie poradzi sama?

— A! dajże pokój! — zawołał na to miecznik porywczo, — a cóż to myślisz? na gospodarstwie osiadać? Otóż to byłaby piękna! Lat dziewiętnaście i już gospodarz! Ja ci tego nie radzę, ba, nawet śmiało odradzam. Bo i do czegóż cię to doprowadzi? Gospodarstwo to najzdradliwsza matnia na ludzi. Byle raz zacząć, to już się lézie potém jakby w labirynt, a gdzież jest nitka Ariadny? Niémasz jéj w gospodarstwie, jak to sam widzę na sobie. I co tu potém z tego za skutki? Patrzajże na mnie, toż i ja byłem niegdyś w tém położeniu co ty. Piętnaście lat miałem, kiedy mnie odmarli rodzice. Zostawili mi dobry kawał fortuny w Pilźnieńskiem, na wspólkę ze starszym odemnie bratem Stefanem. Stefan już się był wtedy ożenił i wziął wielką fortunę po żonie, ba, i starostwo przedborskie, więc rzekł mi: — Czyń jako myślisz. Pobądź przy mnie czas jaki, a potém bierz ojcowiznę. Co mi tam z niéj przypadnie, to mi spłacisz powoli. Albo téż idź gdzie na służbę. —Jam był za służbą. Jakoż dano mnie zaraz na dwór Denhoffa, wojewody pomorskiego, bo to był żołniérz waleczny i poważany, a jam chciał służby wojskowéj. Pobywszy tam mało niewiele, zaraz wypadło nam iść pod Wiedeń. Poszedłem i ja, mając rok ledwie szesnasty, tak jak szedł i wojewodzic Stanisław, mnie prawie ró-

wieśny, z którymeśmy się bardzo kochali, ba, i dziś jeszcze kochamy, chociaż on już hetmanem polnym litewskim, a ja miecznikiem stężyńskim. Byłaż to piękna wojna pod Wiedniem, piękna i w Węgrzech, lubo już nie tak szczęśliwa. Fatalną téż była ona dla wojewody. Obskoczony pod Strygoniem od Turków, wyczerpawszy do ostatka swe siły, oddał Bogu ducha ze szablą w ręku. Jeszcześ i głowę jego odesłano do Carogrodu, na niegodziwą pociechę poganom. My z Stanisławem wyszliśmy tylko z kréskami, ale ledwie to było dla nas pociechą w takiém ciężkiém siéroctwie. Jeszcześ on znalazł zaraz opiekunów rozumnych, poszedł na dalsze służby, został na samym wstępie łowczym w. litewskim, miał sposobność okazania swoich zdolności, wysłano go komisarzem do dyferencyj zatorskich i szlązkich, wraz uczyniono miecznikiem koronnym, ot! i gdzie oparł się teraz! A jam poszedł do brata. Myślałem tędy owędy, czas traciłem napróżno, a nareszcie poznałem żonę moję, serce mnie pociągnęło ku niéj, ożeniłem się i zasiadłem na gospodarstwie. Nie mogęż ja tego powiedzieć i broń mnie Boże! żebym był z tego nie kontent. Sam przecie widzisz, jak ze sobą żyjemy i ztrudna to możesz powiedzieć, żebyś widział gdzie więcéj szczęścia pod którym dachem. Daj Boże tyle każdemu, daj go Boże za czasem i tobie. Ale nie daj Boże tego, ażeby się takie szczęście tak zawczasu rozsiéwało pomiędzy ludzi. Bo już z takich szczęśliwych niewiele pożytku. Popatrzże na mnie, jakem ja się w tém szczęściu zapieczętował na zawsze. Posłuchaj jeno jak to się stało, a dowiész się prawdy, o którą dziś nie tak łatwo na świecie. Owo więc gdym się ożenił, ani myślałem o tém żebym dlatego, albo dla gospodarstwa, miał przestać służyć krajowi. Ale na razie nie było takiéj. służby pod ręką, a choćby i była, tobym przecie był musiał obejrzéć się koło fortuny, bo moje ziemie pilznieńskie były obciążone cokolwiek, a com tu dostał za żoną nad Nidą, także nie było czyste. Jęłem się tedy gospodarstwa i pracy, a jak to zwykle u młodych, z żarliwością i z ogniem. I szło to jakoś; wypłacały się długi, okrywały się niedostatki i gromadziły się jeszcze zasoby. Była ztąd jeszcze tém większa pociecha, że nam dał Pan Bóg dziéciątko, było więc zbiérać dla kogo. Ale po jedném dziéciątku dał Pan Bóg drugie, dał téż i trzecie, jak to więc zwykle przy łasce Bozkiéj. Gromadziły się dziatki, ożywiała się za niemi chętka, aby coś dla nich uzbiérać, ugrzęzło się w tém cokolwiek, że się już stało jakby rzemiosłem; a czy to takie rzemiosło, czy inne, zawsze ono pociąga za sobą tę pożądliwość, żeby miéć warsztat jako największy i stać się mistrzem w swoim zawodzie. Trzykroć szczęśliwy jest ten, który ma takie rzemiosło, że jego towar jest na pożytek i chwałę, bo u takiego, choćby téż najgorętsza pożądliwość, jest cnotą, ale kto gromadzi ziemię lub złoto dla siebie lub swoich dzieci, — nie jest to wcale występkiem, jeśli się dzieje z zachowaniem zacności, — ale mizerna to cnota! Cnota tém mizerniejsza, ile że się u słabego

człowieka nigdy nie da zachować w mierze, musi się stać koniecznie matką łakomstwa i przy największéj nawet baczności tak go upląta, że ani sam wié, kiedy go obwinęły te pęta! Otóż tak prawie stało się ze mną. Podobała mi się jedna wioska w Pilznieńskiem, nuż kupić, — podobała się druga tutaj nad Nidą, nuż i tę kupić, — podobał się nareszcie cały kluczyk w ziemi Przemyskiéj, nuż i jego zakupić! Już ci nie będę powiadał, co z tego wyniknęło w moich sprawach ekonomicznych, jak się trza było uczyć na starość pandektów, włóczyć po sądach, po kompromisach, po jarmarkach, po targach, — ile ztąd wypłynęło niepokoju, marnych zatrudnień, zabijających strat czasu, frasunków, zgryzot,— ale to ci muszę powiedzieć, żem przez to na bardzo niebezpieczny harc wyprowadził nawet moje własne sumienie. Tu już sam łatwo zrozumiész, przez jakie to nieraz trzeba było przechodzić walki, trwogi, zaprzania, aby w tych tam rozlicznych sprawach o kawałki mamony nie skazić tego sumienia na zawsze, — ale to ci znów muszę powiedzieć, że pozostało ono niezaspokojone do dziś dnia. Niezaspokojone, powiadam, względem braci, a ztąd też i względem siebie; bo jak mnie widzisz, wszystkie te lata przeżyłem, nie usłużywszy pospolitemu dobru za kroplę wody. Wlazłszy raz w ten przeklęty warsztat przysparzania fortuny, jużem w nim musiał chodzić bez odetchnienia, jako koń uprzężony w deptaku,— zaprzęgłszy się do téj służby około dobra własnego, jużem nie mógł ani pomyśléć o jakiéjbądź służbie publicznéj. Dwa razy chciano obiérać mnie do zastępstwa braci na wolnych radach, padł na mnie wybór na kapturowego sędziego, chciano mnie wreszcie uczcić podkomorskim urzędem; ale za każdym razem musiałem się wyprosić od tego. Zarzucony sprawami własnemi, ja nie mam nigdy tygodnia, czasem dnia nie mam wolnego; jakiżby ze mnie był poseł? jaki sędzia lub podkomorzy? Dziwnie mi serce się rwało do tych tak zacnych usług dla braci, ale trza było sercu nakazać milczenie, bo tego się domagało sumienie. Czułem to, że od sprawy publicznéj byłbym zawsze odbiegł do swojéj, a kiedybym był przy niéj pozostał, tobym był dzieci moje ukrzywdził; cóż mi więc było robić? Nie przyjmować urzędu. O! a jakże to ciężko ludzkiemu sercu zamykać się gwałtem w ślimaczéj skorupie! jakże to jest boleśnie!

Tu miecznik umilkł, oczy opuścił ku ziemi i smutnie głową potrząsnął. A potém mówił daléj, jakoby był w zamyśleniu:

— Denhoff szle do mnie gońce jeden za drugim, Lubomirski przesyła listy, ba, sam Leszczyński się zgłasza, przypominając dawne afekta i wielkie obiecując fawory. Szlachta się zbiéra, dom mój najeżdża, chce się konfederować za Stanisławem i woła: — Jasiu! ty nam będziesz marszałkiem! — a Jasio za drzwi się ruszyć nie może, bo za tydzień ma termin wypłaty, którą przyrzekł uiścić pod słowem, a na którą jeszcze grosza nie ma w kieszeni; uiściwszy się z tego długu, musi pędzić w Pilznieńskie, bo mu tam

wszystkie budynki spalono, a ztamtąd znowu musi pędzić w Przemyskie, bo tam stanęły wojska, powymiatały mu wszystkie szpichlerze i role leżą odłogiem. A kiedy z długu się nie uiści, nie odbuduje budynków i rol nie zasieje, utraci wiarę i kredyt, a ze straconym kredytem całe swe mienie utraci. I nietylko swoje vroni, ale żonine, dziécięce i obcych ludzi, którzy je u niego schowali, jakby we własnéj szkatule! — Héj! jużem raz się był wydarł z téj ślimaczéj skorupy! Zdjęłem starą misiurkę ze ściany, przypasałem szablę do boku i kazałem konie wyprowadzać przed ganek. Myślałem sobie: dłużéj takiéj podłości już nie wytrzymam, pójdę, niechaj się dzieje co chce. Zabiorą mi fortunę za długi, to niech tam! a pozostanę się z żoną i dziećmi przy niczém, toż jeszcze na nich i zapracuję. I już mi się zdało, jakbym był w środku wojny. Ale kiedy przyszło się żegnać, kiedym moję żonę we łzach obaczył, kiedy mnie dzieci z lamentem obległy i kiedy żona mi rzekła: — Ty jedziesz, mężu, a tu mnie wierzyciele rozszarpią, z domu twego wyrzucą i jeszcze srom twój rozniosą po całym świecie; — nie! nie miałem mocy nad sobą, odpasałem szablę od boku, aby jéj nigdy nie przypasać. I więcéj jeszcze, — mówił daléj pan Bobrownicki z głębokim żalem, — bo nietylko ja sam nie byłem w stanie zjawić się na arenie publicznéj, ale związany mojemi powikłanemi sprawami grosza, nie mogłem nawet nigdzie zdania mojego ogłosić. Z obawy zemsty nad mojemi zadłużonemi włościami, ani mi było dać *votum* za Sasem, ani za naszym Piastem, chociaż mnie dziwnie serce ciągnęło do niego. I byłem jakby bannita na własnéj ziemi, jak wyjęty z pod prawa, jak niedołęga, jak bezrozumne stworzenie, bez praw, bez obowiązków, bez pożytku, jak kawałek drzewa, jak kamień! I w takich mękach przeżyłem lat blizko dziesięć. I dzisiaj jeszcze w nich żyję. I Bóg wié, żali się kiedy zakończą!.....

Tu miecznik westchnął, pomilczał chwilę a potém skończył:

— Otóżto takie są dzieje człowieka, który zawczasu zaplącze się w gospodarstwo, w sprawy groszowe i w ożenienie. Nie mówię ja tego w tym sensie, abym tych rzeczy całkowicie odradzał, chowaj mnie Boże! boć to wszystko jest dobre, w swoim stanie poczciwe, a nareszcie potrzebne. Ale to chcę powiedzieć, że każda sprawa winna mieć odpowiednią dla siebie porę. Na to wszystko jest dosyć czasu i potém, a dopóki człek młody, niechże chwyta najpiérwéj za to, na co późniéj już czasu nie będzie. Toż i tobie tak radzę. Idź, rozejrzyj się trochę po świecie, potém wnijdź w służbę, posłuż czas jaki zacnię, pilnie, uczciwie, oddaj dług braci, cobyś miał potém uczynić, jeszcze to czas na to będzie. Tylkoż mi na roli nie siadaj tak młodo, bo zardzewiejesz, ociężejesz, zaplącesz się i nic już potém z ciebie nie będzie.

Słuchał téj opowieści młody Ożarowski z wielką uwagą i myślał sobie najpiérwéj: Mój Boże! w jakżeż to rozmaity sposób są ludzie nieszczęśliwi w tém życiu! Złe tego świata jakby polip

olbrzymi w tysiąc się ramieni wyrosło i snać już niéma tego człowieka któregoby jedném z tych ramion nie dotykało. A jak ono temi ramionami nurtuje, jak skryte są drogi jego! Któżby kiedy powiedział inaczéj, jak że ten miecznik jest najszczęśliwszym z ludzi, że nie ma chmurki na swojém niebie, że jego życie jest jak to państwo starożytne ogromne, w którém słońce nie miało zachodu, a tymczasem i tutaj lęgnie się robak zjadliwy, i jak jeszcze zjadliwy!...

Byłby tak Jurcio myślał i daléj, ale nie czas było mu myśléć. Mówił więc do miecznika:

— Ojcze mój drogi! dobrą mi radę dajesz i zdrową, a jeszcze do tego i miłą, bo i rzadko co kiedy tak przypadło do mego serca, jako ta mowa. Zabiłoby mnie to na zawsze, gdybym siadł teraz na roli. Już mi więc nic nie zostaje, jak pod chorągiew podjechać. Ale i toby mnie nie cieszyło, bo tak mi się widzi, że i na to czas jeszcze. Zwłaszcza kiedy sobie pomyślę, jak to dawnemi czasy sługiwali moi ojcowie, że każdy z nich prawie, ba i mój ojciec nawet, własną wystawiał chorągiew, to już mnie wcale odbiega ochota. Nie dość i wstydu zaciągać się jak lada szlachcic z zagona na półtora konia, bo i trudno miéć więcéj, jeszcześ do tego, tak podjechawszy; nie widzę wcale żadnego widoku. Wprawdzie mi tam moja matunia wyrobiła u pana hetmana cokolwieczek protekcyi...

— Eh! zmiłujże się, — przerwał mu miecznik, — tylko mi nic nie wspominaj o téj protekcyi. Twoja matka jest najzacniejsza kobiéta, kocha ciebie że już lepiéj nie można, chciałaby ci drogę uścielić kwiatami; lecz mojém zdaniem, zamało ona zastanawia się nad tém, że są takie drogi tego żywota, których i kwiaty nie zdołają upiększyć. Za jéj téż radą możebyś zaszedł daleko, ale ja sądzę, że tobie nietylko zależy na tém, aby zajść gdzie daleko, ale téż na tém, jaką tam zajdziesz drogą.

— No, jużci pewnie, — rzekł Jerzy, — wolę zajść bitym i otwartym gościńcem bliżéj, niżeli zaułkami daleko.

— Otóż to rzecz! — zawołał miecznik, — bo i co to za sztuka zaléźć daleko, fartuszkową zwłaszcza protekcyą, albo i żebraniną? Czy tego nie potrafi każdy kto zechce? Ale to tylko niedołęgi, dusze podłe i niewolnicze, tchórzliwe serca a karłowate umysły téj się drogi chwytają. Dochrapawszy się lada czego, myślą oni, że wielkiéj dokazali rzeczy. Ba, zapewne że wielkiéj, bo gdyby nie wylizana protekcya, niktby o nich i nie śnił; — a tak przecie się jakich chwil kilka poświęcą pomiędzy zasłużonymi. Ale co to jest takie świécidło? To blichtr jest tylko, to fałszywa pozłota, którą dość otrzéć o cobądź twardszego, ażeby zlazła i pokazała pod sobą nędzę ich duszy. Wiedzą téż oni o tém i wymijają zręcznie takie twarde okazye. A choćby nawet to świécidło nie zlazło, to myślisz, że się świat na niém nie pozna? A toż to tyiko

im samym tak się wydaje, że ludzie, sadzając ich razem z rzetelnie zasłużonymi na jednéj ławie, sadzą ich także na równi w swém sercu. Aleć świat o tém wié dobrze, chociaż nie powiada im tego w oczy, co osądził u siebie. Wyda on przecie sąd nieodwołalny prędzéj czy późniéj, — zapewne że czasem aż na ich grobie. A im téż li o to chodzi: bo oni chcą tylko nagród za życia, a co się stanie po śmierci, mniejsza im o to, bo téż w żaden żywot po śmierci nie wierzą. Poganie to są prawdziwi, chociaż udają nabożnych, i całe ich życie pogańskie! Dawnemi czasy nie bywało u nas tych ludzi, lecz jak się z królową Boną zawlekli, tak się i rozmnożyli, że się ich dzisiaj już nierzadko spotyka. Terazże jeszcze z tym królem Niemcem nowy na nich urodzaj. Nowa téż plaga, istna morowa zaraza na ludzkie serca! — A to ci mówię tak wyraźnie dlatego, że jako widzę, twoja matunia, choć najzacniejsza niewiasta, koniecznie cię chce wciągnąć na taką drogę. Przez nią do hetmanowéj, przez hetmanowę do dziesięciu innych bab rozmaitych, a przez te baby do hetmana, do króla, do kanclerza, do wojewodów i nuż dopiéro w te tam facyendy! I za umizgi, za lizaniny, za komplimenty wyfacyendują ci pewnie rangę rotmistrza, albo i obersztera, albo i jakie starostwo, zwłaszcza jeżeli i ty się będziesz umizgami wywdzięczał; do innych matactw pomagał, szachrował, kręcił, służył jak wyżlę i samym sobą wszystkie wyciérał kąty! Ale to pfe! to paskudna jest rola dla zacnego młodzieńca, choćby téż na jéj końcu znalazło się generalstwo i jakie krzesło, i co najlepsze starostwa!

— Nie myślę téż nigdy brać takiéj roli,—rzekł na to Jerzy,— i tak rozumiem, że do tego nie przyjdzie.

— No, ja się téż tego spodziéwam, — kontynuował miecznik,— lecz mówmy daléj. Otóż powiadam, że choćby nie to, to cóżto znowu za koncept zaczynać służbę poczciwą, jeśli ma być poczciwą, od protekcyi hetmańskiéj? A toż to tak byłoby właśnie, jak gdybyś do obywatelskiéj komnaty wlazł nie przez drzwi, jeno przez komin. Czyżto ty nie wiész, kto jest dziś hetman? Ty nie wiész tego, co o nim rozumié szlachta, co wszyscy zacni, co naród cały? Ty nie wiész tego, jakie on w tych czasach wojennych snował paskudne matactwa, jakie układał frymarki? Mój Sodalisie, do takiego pana nikt nie idzie na służbę!

— Otóż to! — rzekł prędko młodzieniec, — to mi zawsze było na myśli, ile razy mi matka moja o téj służbie pisała. Dziwno mi téż to było i nie pomału, że moja matka tego nie czuła.

— Hm! — mruknął miecznik, — niémasz tu dziwić się czemu. Lecz kiedy o tém mówimy, posłuchaj ty mnie, co powiem. Szanuj ty twoję matkę, bo matka; a matka to święta dla syna. Szanuj ją więc, kochaj przez całe życie jak dotąd, słuchaj jéj woli we wszystkiém co ciebie samego dotyczy, kiedyby nie można inaczéj, zrób z siebie samego, z twojéj fortuny, z twojego szczęścia na-

wet dla niéj ofiarę, — tak czyń, bo tak Bóg każe i Bóg cię za to nagrodzi, — ale co do sprawy publicznéj, zawsze i zawsze uczyń wyjątek i co do tego rządź się tylko twém własném sumieniem. Mówię to tobie wyraźnie, bo znam twoję matkę, która jest niewyczerpaną w najznamienitszych cnotach, ale na sprawy publiczne lekko się zapatruje.

Na tę uwagę Jerzy trochę posmutniał, ale miecznik zaczął zaraz nanowo:

— Cóż tedy myślisz? Gospodarstwo nie, służba hetmańska nie, więc co innego. Ale co? powiédz mi twoje zdanie, bo chociaż ja także już myślałem o tobie, wżdy nie chciałbym ci preopinować.

— Ej! co tu mówić! — rzekł dosyć smutno młodzieniec, — jużci ja wiem, coby było dla mnie najlepsze i podobno się wcale nie mylę; ale co to z projektu, jak niéma środków?

— No, nic nie szkodzi, powiadaj tak, jakbyśmy mieli szkatułę złota.

— Otóż ja myślę, — rzekł ośmielony młodzieniec, — że niby dla mnie lepszego nie było, jak w cudze kraje pojechać, tam się douczyć i tam posłużyć.

— Otóż to! — zawołał miecznik, — otóż to rzecz! Tak mnie było zrobić, kiedym z wojny powrócił; tak téż dziś zrobić i tobie. Bo jaka to piękna jest rzecz! Masz zacne imię i relacye nie gorsze, — twoją pilną nauką i pobożnością, a nareszcie i tą szczęśliwą bitwą z Flemingiem, zyskałeś sobie już wcale piękną rekomendacyą, — kiedybyś jeszcze do tego w dobréj szkole postronnéj nauk dokończył, w pięknem wojsku postronném posłużył i potém wrócił, — a na co tobie łaski hetmańskiéj albo i czyjéj? Otóż to moja rada, zabrać się jako najśpieszniéj i jechać, nie do Niemiec, nie do Italii, ani do Niderlandów, jeno prosto do Francyi, tam słuchać nauk wojskowych, tam się starać o towarzystwo w chorągwi i służbę. Służąc, nie zaniedbywać nauki, przypatrywać się pilnie rządom, sprawom publicznym, sądom, domom i obyczajom i ze wszystkiego jako pszczółka miodek wybiérać, — służyć zaś wiernie, starać się o zasługi, o odznaczenie, o dobrą przyjaźń i zachowanie, — a kiedy się tego wszystkiego przyzbiéra porcya, dopiéro wrócić. He! he! a kiedy się stanie to wszystko i Pan Bóg nie odmówi swéj łaski, już ja ci ręczę za to, że żaden hetman cię tak nie umieści, jak Rzeczpospolita. Już ci natenczas żadnéj nie trzeba będzie protekcyi, bo i funkcya się znajdzie, i awanse pobiegną, i fortuna się zdarzy, i wszystko, czego tylko serce zapragnie. I stanie ciebie Bogu na chwałę i pociechę. A kiedy w czasie, po długich latach, przyjdzie ci miejsca drugim ustąpić, to nie będziesz schodził ze świata jak dłużnik obstąpiony wierzycielami, z których każdy zabiéra swoje, jeno jako zacny pracownik, który sobie powiada: — Uczyniło się, na co sił stało, a co się winno, to tylko samemu sobie.

Aż się uśmiéchnął na to uradowany młodzieniec i rzekł:

— Ej! dobrodzieju kochany! złote to rady są twoje. Gdyby je słyszał mój ojciec, jakżeby cię błogosławił!

— Hm! — mówił miecznik, uśmiéchając się z lekka, — a czy mówiłeś kiedy co o tém z ojcem?

— Tak tam, — rzekł Jerzy, — coś się już wspominało i o tém.

— No, — rzecze pan Bobrownicki, — otóż ja tobie powiem, że taka była wola ojcowska. Postanowił ci on mnie twym opiekunem, dał mi władzę zupełną, ale ja przecież nie postępuję z tobą inaczéj, tylko jak on sam to wypisał. Nie mogę ci dać jego testamentu przeczytać... bo tam są rzeczy, które ciebie nie tyczą; tak on chciał zresztą, abyś tego pisma nie czytał i jego wolą nie zupełnie się wiązał; ale około téj nauki i służby postronnéj stoi tam wypisano wyraźnie.

— Dobrze mi chciał mój ojciec, — rzekł na to Jerzy, — ale jak tu tę wolę wypełnić?

— No, — rzecze miecznik, — przy Boskiéj pomocy jakoś się to wypełni. A czy to tak wielkich sum na to potrzeba, aby do Francyi pojechać? Potocki ty jesteś, czy Sanguszko książę? Trza ci to dworu, pompy, całéj szkatuły złota, jak takim panom? Dobra to, piękna i pożyteczna okazać cudzoziemcom zacność swego narodu, aleć to trza zostawić takim, których Pan Bóg do tego powołał. Potrafiłbyś to i ty, kiedyby byli twoi przodkowie tak zarobili na ciebie jak na nich, i kiedyby była wola Boska po temu. Lecz kiedy Pan Bóg rozporządził inaczéj, to trza się zwęzić do jego świętych wyroków. Więc kiedy nie można z dworem, to i bez dworu, bez żadnéj pompy a wedle swego staniku. Ba, i bez sługi, i bez swojéj landary, Żydkiem najętym, wozikiem chłopskim, ode wsi do wsi, aż póki się nie dobijesz do kresu. Boć tu i nie idzie o zwierzchnie pompy, jeno o rzecz, — a rzecz przez to będzie, jeno trza chęci, trza pilności i pracy. Lepiéj téż, widzi mi się, pójść choćby piechotą po naukę i przynieść ją rzeczywiście, niżeli z pompą pojechać, a powrócić z łbem pustym i schorzałemi członkami.

— Ej! Boże, Boże! — mówił na to z westchnieniem młodzieniec, — jużby mi téż i pracy i pilności i wszelkiego zaprzania nie brakło, żeby jeno można do tego przystąpić. Aleć i to na najlichszą podróż, a tak daleką, trzeba siła piéniędzy!

— Wieleż rozumiész?

— A Bógże wié! Aleć pewnie niemało, bo i w Krakowie kosztowało mnie życie blizko trzysta czerwonych, chociaż Bóg widzi, żem jednego tynfa nie wydał, nie obejrzawszy go kilka razy.

— Hm! — rzecze miecznik, — to jakbyś miał tysiac na tę podróż, toby było i dosyć?

— Chryste Panie! — rzekł Jurcio, — aż nadto.

— No, to ja tobie tysiąc czerwonych jeszcze koniecznie wyskrobię.

— Ale gdzież, dobrodzieju? Nie widzę ja, jakby to się stać mogło.

— A co tobie do tego? w tém moja głowa. Już ja wiem kędy szukać piéniędzy, a na taką rzecz warto i dobrze poszukać.

Tu Jerzy patrzył niby z niedowierzaniem, a niby z trwogą na niego, ale on rzekł:

— A ja wiem co ty myślisz. Ty może myślisz, że ja ci dam te piéniądze z mojéj własnéj szkatuły. No, jużci pewnie, że gdybym był tę szkatułę tak nie wytrzebił na niepotrzebne mi ziemie, tobym się ani chwili nad tém nie zastanawiał. Aleć to o tém niéma co myśléć. Jakoż nie z mojéj, ale z twéj własnéj szkatuły dam ci te tysiąc czerwonych. Już ja tam jakoś z twoich folwarków te piéniądze wykręcę. A kiedy nie, to dostanę zkądinąd. Co tam tobie do tego, dość że dostanę. Nie minie tydzień, tak tuszę w Bogu, a grosz będzie na stole.

— Ale zmiłuj się, dobrodzieju, — rzecze na to młodzieniec, kiedy dług na ojcowską fortunę zaciągniesz, żeby to zasie nie ujęło dochodów matce? Z czegóżby żyła? Wolę już ja trochę pocierpiéć, wolę i nigdzie nie jechać...

— Ale dajno pokój, mój Sodalisie. Ażaż już nie pamiętasz, com ci powiadał o matce? Toż przecie nie będę inaczéj mówił, a inaczéj się zachowywał. Dość, krótko mówiąc, piéniądze będą, a kiedy chcesz się frasować, to się frasuj o resztę.

Uradowany nadspodziéwanie młodzieniec nie wiedział sam, jak ma dziękować. Mówił ni to ni owo, jak to zwykle u młodych w radości. Aż rzecze wreszcie:

— Héj! ale to do téj podróży jeszcze mi jednéj rzeczy potrzeba, a to jakich poczciwych listów. Dostanę ja wprawdzie parę listów od moich kochanych ojców; może i wojewoda mi nie odmówi...

— Eh! co tam ci po listach! — odparł miecznik, powstając, — ja ci dam taki list, że ci stanie za wszystko. Nie od siebie, ale od hetmana Denhoffa. Denhoff był teraz na jarosławskim zjeździe, ztamtąd do Warszawy pojechał, ale w tych czasach do Krakowa pojedzie, gdzie się mają załatwiać jeszcze ostatki dyferencyj z spadkobiercami nieboszczyka Ernesta Denhoffa, wojewody malborskiego, a którego córkę miał Stanisław za sobą. Byłyć tam o to niemałe spory, bo krewniaczkowie za czasu wojny pozabiérali jemu fortuny, ale teraz się mają położyć zgodą i chcą dyferencyą zapłacić, do czego téż mój Stanisław prosi mnie na rzecznika. Może nawet i sam tu po mnie zajedzie. Czy więc tu, czy

w Krakowie, list ci wezmę od niego, a że to list będzie dobry, niéma co i wspominać.

Jeszcze raz tedy dziękował młodzieniec swemu opiekunowi za te poczciwości i łaski, a potém już się rozeszli.

VII.

Jak przepowiedział jmć miecznik stężycki, tak się téż stało. W parę dni potém zajechały w dziedziniec zameczku jakieś wielkie powozy. Jedna oszklona landara w sześć koni wielkich niemieckich, druga podobna mniejsza, kozacy, rajtarya i rozmaita służba na koniach. Z piérwszéj landary wysiadł jakiś piękny jegomość, chociaż ubrany z niemiecka, i stanąwszy pod gankiem, zaczął się po podróży wyciągać. A był to Denhoff, wojewoda połocki, hetman polny litewski, konfederacyi sendomierskiéj marszałek, kałuski, kościerzyński, nowomiejski, latowicki i Bóg wié jeszcze nie jaki starosta. Pana tego, a jednego z najczynniejszych ludzi owego czasu, można już było na jarosławskim zjeździe obejrzéć, ale kto tam go nie widział, to mu się tutaj mógł jeszcze lepiéj przypatrzyć. Był to więc człowiek nie wiosennéj młodości, ale jeszcze wcale nie stary. Dość pięknie wyrósł i wejrzenie miał w gruncie rzeczy łagodne, ale czy to w stanie żołnierskim, czy w innych sprawach wymagających rygoru, nawykł był czasem dosyć surowo spoglądać, do czego mu jego wyniosła postawa, nos dosyć duży i wielkie błękitne oczy dosyć dobrze dopomagały. Ubiérał się on najczęściéj z niemiecka, nibyto z saska, ale w podróży miał na sobie kurtę aksamitną zieloną powyżéj kolan i buty szwedzkie palone, która to moda przybłąkała się była z Karolem XII nawet i do tych, którzy z nim nie trzymali. Tak w téj kurcie kuso skrojonéj, wcięty w pasie jak osa i w tych butach junackich, jeszcze daleko młodziéj wyglądał, niż był w saméj rzeczy. Młodo téż, młodo, dobił się on tak znamienitych urzędów.

Jakoż nie można mu tego zaprzeczyć, że się ich dorabiał bardzo pilnie i pracowicie, ale czy także rzetelnie? wielkie to jest pytanie. Rozmaicie też o nim sądzono owego czasu. Nie hukano na niego tak głośno, jak na Sieniawskiego, ale przecież bez *quamquam* się nie obeszło. Pięknie zaczął, niéma co mówić, bo od służby rzetelnéj i niebezpiecznéj, chociaż był jeszcze wtedy młokosem. Kiedy w bitwie strygońskiéj ojca utracił, sam się bijąc przy jego boku, głos powszechny usiłował mu tę stratę nagrodzić, zwracając na niego pełną nadziei uwagę. Nie odejmował mu też téj nad innych dystynkcyi dość długo, chociaż już podczas elekcyi i ci i owi znajdowali do tego powody. Po wstąpieniu na tron króla Agusta, umiłował on tego pana z całego serca, a podczas nastąpionych zamieszek podniósł za nim konfederacyą tak zwaną Sendomierską, któréj przez wszystkie czasy przewodził. Nie podobało się to jednym, ale sporządziło mu za to wielki partes u drugich, co wszakże tylko tém bardziéj się przyczyniło do zasłonienia jego istoty wewnętrznéj. Nie wydała się też ona nigdy zupełnie, bo przebiegły w swych czynach tajemnych, a stanowczy i zręczny w otwartych, — czy to marszałkował zkonfederowanym Małopolanom przeciwko Szwedom, czy uznawał abdykacyą króla Augusta za ważną, czy ją niszczył wyrokiem lwowskiego zjazdu, czy knuł tajemne intrygi z hetmanem wielkim koronnym, czy znów przeciw niemu, — zawsze umiał swe czyny w takiém świetle wystawić, że mu o nic nie idzie, jak tylko o utrzymanie praw, o zachowanie wolnéj elekacyi, o powagę i dobrą sławę Rzeczypospolitéj. Jeżeli tak było w rzeczy,— jeżeli mu istotnie chodziło tylko o dobro publiczne a nie o królewskie, albo zgoła swe własne, — toby to był wielki człowiek z tego Denhoffa; ale nie było w to wiary publicznéj.

Teraz, wyprostowawszy się po kilkogodzinném zgarbieniu w landarze, dobył okularów z kieszeni i przypatrywał się przez nie tym osławionym brzegom Nidy, których piękność jest znana, a które ztąd było widać na dłoni. Powysiadali z landar i jego towarzysze podróży, oficer od dragonii, sekretarz, pisarz i postawali na stronie. Goście ci pewnie czekali, póki gospodarz ku nim nie wyjdzie, ale gospodarza nie było, bo był w polu natenczas. Dowiedziawszy się o tém, czekali może żali gospodyni nie wyjdzie, ale i ta się nie pokazała. Nie mogło się to nawet stać w żadnym razie, bo nie było tu w tym zameczku zbyt wielkiéj do pokłonów ochoty; gospodarz za nic miał sobie wszystkie blaski zewnętrzne i cenił przedewszystkiém człowieka, a zgodna z nim jego małżonka szła z Drohojowskich Korczaków, toż to tam Denhoff wcale nie wielka nowina. Tak więc postawszy chwilę, już miał się sam puszczać w komnaty, kiedy przecież nareszcie wyszedł ku niemu kapelan. Ten go na progu powitał i zaraz do pani prowadził.

Miecznikowa czekała gościa w najpiękniejszéj komnacie na

lewém skrzydle, która istotnie była dosyć paradna, bo od samych zwierciadeł i bronzów, a obwieszona złotolitemi zaponami u okien. Nie otwiérano téj komnaty tylko podczas wielkiego festu, lub dla uczczenia osobliwego gościa. Zawszeż to gość był nie ladajaki, bo przecież hetman. Witała téż go miecznikowa na środku sali i z przyzwoitym respektem; on zaś po przyjacielsku i nawet ściskał za rękę. Potém pytał o męża, prosił ażeby dzieci przyprowadzono, a kiedy przyszły, z każdém z osobna rozmawiał. Zwrócił się do kapelana i pytał, jako się które z nich uczy? a kiedy się dowiedział że dobrze, ba i sam egzaminował po trosze, zaraz kazał przynosić szkatułę. Powydobywał-że z téj szkatuły najrozmaitszych rupieci. Więc najpierwéj puzderko z jakiegoś drogiego drzewa, w którém była garstka klejnotów, a to darował Kostusi. Potém drugie puzderko z perłami, a to darował Maryni. Daléj dobył trzy zegareczki dla każdego z pacholąt, a spojrzawszy na kapelana, sięgnął jeszcze raz do szkatuły i dobył czwarty dla niego. Jużby téż żaden kuglarz, co jada jaja, lepiéj w to nie potrafił... Aż się huczek zrobił w komnacie, taka ztąd była pociecha. Rzecze téż miecznikowa do niego:

— Już téż pan hetman tak sypiesz dary wokoło, jak czarnoksiężnik. Dla matki to miła pociecha, ale co ojciec powié na to, który w takich ryzach utrzymuje dzieteczki?

— Moja pani Zofio!—rzekł Denhoff na to, a Zofia było miecznikowéj na imię i była mu zdala pokrewna,—nie psujże mi pani téj krotochwili, ba, nie odbiéraj nadziei wcale niezwykłéj pociechy. Bo trza pani wiedzieć że ja tam mam jeszcze jeden gracik w szkatule, który także chcę złożyć komuś u nóżek, ale z tém poczekam na Jasia.

— Jeszcze coś jest w szkatule! — odpowiedziała miecznikowa z obojętnym uśmiechem,— o! to już widzę doprawdy jakieś w tém czarnoksięztwo.

A tu tymczasem wchodzi i miecznik. Nuż tedy się witać! a witali się prawie jak bracia, i nie dziw temu, boć to niegdyś nie jako bracia, ale jakby bliźnięta wylecieli z gniazda na piérwszy lot. Razem piérwszą odbyli wojnę, razem piérwsze dzielili przygody, razem ojcowskie grzebali ciało i razem potém powrócili siérotami do domu. Piérwsza wyprawa wojenna, piérwszy afekt przyjaźni, piérwszy ból na téj ziemi, dla każdego tak pięknéj w młodości, wszystko to jakby zbudzenie ze snu, i długo to się pamięta! Witali się tedy jak gdyby bracia, nie pomnąc na to, jak w obec świata odskoczyli od siebie. Osobliwie serdecznym był Bobrownicki. Wyściskawszy hetmana, odstąpił o krok jeden od niego, patrzył nań z twarzą wesołą i mówił:

— Ach! a jak ty wyglądasz, mój Stasiu! Cobyś się miał starzéć lub zgoła marszczyć, to ty jaśniejesz co dnia, jakbyś się cofał w nasze czasy wiedeńskie. Dwa lata temu kiedym cię widział, a już co najmniéj toś o dwa lata odmłodniał.

— Żartujże sobie zdrów, mój przyjacielu! — powiedział hetman,—jużci się na brak zdrowia nie skarżę, ale żebym się wcale nie starzał... w twoich to oczach tylko, mój Jasiu!

Spojrzy tymczasem miecznik pomiędzy dzieci: a co to? — Tu dziéwczątka wsparły się na stoliku i rozkładają przed sobą te rozmaite błyskotki, tam znowu obadwa starsze chłopięta porównywają ze sobą swe podarunki, a mały berbeć stoi przy nich na stronie, przyłożył swój zegareczek do ucha, słucha ażali idzie i woła na nich:—Cicho no, cicho!—bo i dosłyszéć nie może. Gwarzą chłopcy rozgłośnie i nawet kapelan im nic nie mówi, boć sam stanął przy oknie, jakby drewniany święty w framudze, i patrząc na swój zegarek, czegoś się strasznie zadziwił.

— Ej! panie Stanisławie, — rzecze więc miecznik, — jużeś to ty, jak widzę, porozrzucał tak hojnie te piękne rzeczy.

— Proszę cię,—mówił hetman, nie miéjże mi tego za złe, żem im dał te zabawki bez twojéj wiedzy, ale mogę tobie zaręczyć, że zasłużyły, bośmy tu wyprawili ostry przedtém egzamin.

Jakoż nie dał mu już nic na to powiedzieć, tylko go wziął cokolwiek na stronę i zaczął mu coś prawić półgłosem. Słuchając go, miecznik niby trochę posmutniał, a wysłuchawszy, wziął go za rękę i rzekł:

— Dziękuję ci bardzo, mój Stasiu, za ten dowód pamięci, ale jeżeliś mi prawdziwie miłościw, nie rób mi tego. Na co pomiędzy czyste afekty mieszać mamonę? A czy to my nie będziemy o sobie pamiętać i bez tego?

Ale mu Denhoff nie pofolgował. Jakoż naściskawszy go jeszcze niemało, dobył zaraz dziwnie piękną szkatułkę z kcralu i otworzywszy ją, a pokazawszy w niéj lśniących kamieni i złota po same brzegi, przystąpił z tém do jéjmości. Dając zaś ten darunek, perorował krótko ale ozdobnie, prosząc ją grzecznie aby tę marność wdzięcznie raczyła przyjąć i jako Denhoffowską pamiątkę zachować w domu. Powiadał przytém, że to całkowite ubranie z brylancików i złota było niegdyś własnością nieboszczki jego żony, że po jéj śmierci nie ma tego gdzie podziać wdowiec bezdzietny, więc żeby to kiedy się nie dostało w jakie niegodne ręce, bardzo ją prosi, aby przyjęła do siebie. Mówił przytém i inne rzeczy, wychwalając to i owo w tym domu, i tak mu to pięknie z ust wypłynęło, że miecznikowa, choć była zachmurzona z początku, rozweseliła się w końcu i bardzo wdzięcznie tę pamiątkę przyjęła. Rozmawiano potém wesoło, naciskając poufale na wojewodę, aby się żenił powtórnie i wynajdując mu rozmaite swadźby po najpiérwszych rodzinach, co go téż bardzo bawiło. Jednakże wkrótce miecznikowa, zabrawszy dzieci, wyszła z niemi do tamtych gości pomniejszych, którzy się z Ożarowskim na tamtéj stronie bawili.

Zostawszy sami, obadwa przyjaciele młodości rozmawiali już z sobą swobodnie, wypytując się wzajem o rzeczy najbliższe.

Trwało to długą chwilę, prawie za cały różaniec, już sobie wiele wypowiedzieli, — aż rzecze hetman:

— Aleś to ty teraz, mój Jasiu, bogaty, może i bogatszy ode mnie.

Westchnął-że miecznik na to z głębokiéj piersi i rzekł:

— Ot! także gadasz! — ale zaraz dodał weseléj: — jużci mam tego ziemska niemało; kiedyby go zbić w jednę kupę, cośby to było, aleć to ani porównania do ciebie. Nie mam ja ani trzeciéj części tego co się zostało po twoim ojcu, a lubo coś z tego odeszło z twoją siostrą w dom Czartoryskich, toż znów i weszło przez twoję żonę z Denhoffów; do tegoż jeszcze twoje cztéry starostwa!— Ale kiedy już o tém mówimy, powiédzże mi nareszcie, jakże tam z tą dyferencyą o posag? czym ci jeszcze do tego potrzebny? czy może już rzecz załatwiona?

— Ale gdzież tam! — rzekł Denhoff, — toż ja tu po ciebie przyjeżdżam.

— Więc mnie zabierzesz z sobą?

— Nie, to niekoniecznie, bo termin zjazdu za dwa tygodnie. Więc tylko cię proszę, abyś był łaskaw na jaki czas mały przed św. Janem do Krakowa przyjechać, a potém już zasiądziem do konferencyi. Nie będzież ci to nie na rękę?

— Przyjacielska usługa nie może być nigdy nie na rękę. Postawię się na oznaczony termin jak trzeba.

— Poczciwyś jest, mój Jasiu, jak i nie znam drugiego. Ale przecież ja się obawiam, żeby ci ta poczciwość w tym razie nie przyniosła jakiéj znaczącéj szkody. Bo to trzeba ci wiedzieć, że będziesz miał z tém niemało kłopotu. Rozhoworów, czytania, aktów, powoływania świadków będzie do końca, a kto to wié jeszcze, czy będzie można na pisanych regestrach poprzestać i czy nie przyjdzie do lustracyi folwarków? A tu jak na to jeszcze ja nie mam czasu; oddam ci sprawę i muszę jechać. Któż to wié tedy, jaką to czasu mitręgę spowoduje dla ciebie, ba i wydatki pociągnie?

— Ha! to już trudno, — rzekł miecznik, — jak tego sprawa będzie wymagać, tak się trza zastosować.

— Tak, mówił Denhoff, ale przecież to będzie z twojéj strony ofiara.

— Ofiara mała, a za to przyjemność wielka.

— Ale bo to ofiara ofierze nierówna, a ztąd i przyjemność rozmaita. Kiedy się łba za przyjaciela nastawi, to mniejsza o to: wyjdzie się cało, niéma co mówić, przyjemność wielka; a oberwie się guza, to się z czasem wygoi. Ale tracić czas drogi, a jeszcze do tego piéniądze, to już rzecz inna. Jak więc tamto nie może i nie powinno być nagrodzoném, tak znowu to...

— Stasiu mój drogi, — przerwał mu miecznik, — zróbże dla mnie tę łaskę i nie mów o tém. Żebym niewiedzieć wiele na tę

tam sprawę stracił piéniędzy i czasu, to już to będzie najmilszą dla mnie nagrodą.

Denhoff umilkł na chwilę, a potém rzekł niby smutno:

— Niechże ci choć to powiem, mój Jasiu, żeś ty przez całe życie dziwnie na mnie łaskaw. Żebyś mnie téż choć raz dał sposobność zrobienia czegoś dla ciebie! A tak gorąco tego pragnie moja przyjaźń dla ciebie! i tyle jest, chwała Bogu, możności! W piérwszych latach méj służby jużci zapewne że niewielebym był mógł dla ciebie uczynić. Ale od czasu elekcyi, od czasu zwłaszcza, kiedy mnie komisarzem wysłano do téj tam sprawy zatorskiéj, przez którą sobie zyskałem zaufanie królewskie, jużbym był mógł sypać na ciebie co rok co nowego. Jakoż gdybyś był los twój moim rękom powierzył, ręczę ci za to, że jużbyś dawno był kasztelanem, jużby téż było i niejedno starostwo. Aleś ty się jakoś dziwnie zaryl w te wioski, ani się temu nadziwić nie mogę. Człowiek z taką głową wyborną, z taką biegłością w prawie, w cudzoziemskich językach, w dziejach narodu, w sprawach obywatelskich i jeszcze do tego w administracyi! A tożto dziś przetrząś cały senat i wszystkie urzędy nadworne, a nie wiem ażali kilku tam znajdziesz, którzyby ci wyrównywali. Ej! ej! mój Jasiu! gdziebyś ty się był oparł, gdybyś był tylko raz nogę wystawił poza granicę twych wiosek!

A miecznik na to nie bez pewnéj niechęci:

— Ej! gdziebym się tam był oparł! Jużci zapewne, służąc sprawom publicznym, mógłbym był tu i owdzie przynieść jakiś pożytek, ale żebym dla siebie był nic nie zrobił, to pewna.

— A to dlaczego? Wszakże to u nas idzie jedno za drugiém.

— Ale u mnieby było nie poszło.

Spojrzał Denhoff na niego i rzekł:

— Hm! już ja wiem co ty myślisz. Ty myślisz sobie, że choćbyś był się podał służbie publicznéj, to byłbyś stanął nie po téj stronie, po któréj, jak się to dziś pokazało, było coś do zyskania dla siebie. Byłbyś trzymał z Szwedami?

— Z Szwedami nie, ale i nie z Sasami.

— A toż nie było drogi pośredniéj.

— Nie było, prawda, dlategom téż został w domu.

— A czyż ty sądzisz, — zapytał Denhoff, — że w tych rozruchach mogła być taka droga pośrednia?

— Mnie się zdaje że mogła, — powiedział miecznik, — boć ją już za piérwszego najazdu Szwedów wskazano. Wskazał ją Czarniecki, Rewera i inni, ale dzisiaj nie było ktoby poszedł w ich ślady.

— Przepraszam ciebie, — rzekł hetman, — położenie dzisiejsze było odmienne. Mieliśmy tylko jednego najezdnika na karku, przeciwko któremu stanął król prawowity. Ażaż to jest godziwa

opuszczać króla a stawać przy najezdniku i tych, którzy się z nim skojarzyli?

— W sprawach politycznych, —odpowiedział mu miecznik,— rozmaity jest czasem *concursus circumstantiarum*. Są ci pewne zasady, które powinny niby stać niewzruszone, ale przecież zajść mogą okoliczności, którym powinna ustąpić zasada. I zasada ta zresztą, jak u nas, jest wyraźnie zawarowaną, bo opiéra się przecie na *Pactach Conventach*. Prawowity jest król, niema co mówić, trzeba zawsze stać przy nim, — ale jak ten król złamie *Pacta Conventa*, to zaprzestał być królem.

— Nie lubisz Sasów? — zapytał hetman z uśmiechem.

— Rzeczywiście ich nie lubię, — odpowiedział miecznik równie z uśmiechem, — a osobliwie już teraz.

— Za cóżto, mój kochany?

— Za co? — zapytał miecznik, — czy nie objadają wyniszczonego kraju jako szarańcza? nie rozbijają komór? nie zabiérają ostatnich dobytków ubogiemu ludowi? Jeszcześ do tego i mordy rozsiéwają po kraju. A to już wolę, żeby mną rządził chan krymski albo Basza turecki, bo i z tymby mi gorzéj nie było. A ten król chrześciański siedzi sobie na tronie jakby w haremie, patrzy na te gwałty przez okno i nic. — I ministrowie jego także patrzą się na to i także nic. Ej! mój hetmanie, wątłe to rządy wasze i żeby to źle z tém kiedy nie było!

Denhoff słuchał téj mowy, siedząc w krześle głębokiém i igrał sobie z okularami. Ale twarz mu się zmieniła i przybladł trochę. Zebrał się jednak i mówił niby dosyć spokojnie:

— Otóżto widzisz, mój Jasiu, do czego i najmędrszy człowiek zaprowadzić się może, kiedy się na wsi zagrzebie. Nie wyglądnie poza swój zagon, i zagonowy téż z niego polityk. Ale przecież takiego widzenia rzeczy nie spodziéwałbym się po tobie. Jakto? to tam gdzie się waży długowiekowy, a może i wieczny los państwa, gdzie idzie o zachowanie kardynalnéj zasady *status*, — to tam ma sprawę tamować jakaś fraszka podrzędna?! Król przyprowadził do kraju o kilkanaście tysięcy żołniérzy więcéj, niżeli mu pozwoliły *Pacta Conventa*, żołniérz ten tu i owdzie wytłucze chłopom kilka garnków lub misek, zarznie arendarzowi jałówkę, albo i poturbuje napastnika szlachcica, — i to już ma zmieniać całą wewnętrzną politykę państwa?! — Ej! mój Jasiu kochany, dziwneż to zdanie usłyszałem od ciebie. Anibym się spodziéwał téj szlachetczyzny po tobie. A szlachetczyzna to jest takie zapatrywanie się na sprawę publiczną. Zawsze tak widzi, zawsze tak sobie poczyna szlachta. Kiedy im przyjdzie fantazya, wstanie ich naraz sto tysięcy, porzucą domy, żony i dzieci, i polecą choćby na koniec świata: tysiące fortun przez to się zniszczą, tysiące ludzi wyginie, tysiące siérot zostanie, i to wszystko jest nic. Lecz kiedy król prawowity zawoła tylko po groszu z łanu, kiedy rozkwateruje

swe wojska pomiędzy wioski szlacheckie, lub kiedy przy tém, uchowaj Boże! któremu szlachcicowi tylko włos z głowy upadnie: Chryste Panie! co to za hałas, co za wrzawa, co za niespokój po całym kraju! Krzywdy, uciski, egzorbitancye, ledwie nie zdrada! Nuż wtedy jeździć po dworkach, nuż fomentować, nuż burzyć krew najzimniejszą, starce, niewiasty, dzieci. Nuż się wiązać w konfederacye i bić się! Bo u nas tak. Miałby li jeden dworek być przeciążeny jakim przypadkowym poborem, jeden śpichrzyk zabrany, albo też szlachcic jaki dotknięty: to niechaj raczéj na długie lata się cały spokój publiczny zakłóci, niech krew popłynie strugami, niech się cała machina *status* roztarga, *„wolelibyśmy mieć Solimana na tronie!“* niżeli tego prawowitego króla, który... który co? — który, mówiąc poprostu, występuje *extra orbitam legum*, gdy musi, ale nie zakuwa szlachty w te dyby, w jakie już ją zakuwają gdzieindziéj. Otóż to jest ta wasza polityka szlachecka. Siedząc na waszych wioskach, zapatrujecie się na sprawę publiczną przez okna waszego dworu i widzicie tylko te szczegółowe ślady, które zostawiła po sobie. Blizcy dziennych wydarzeń, widzicie dobrze wszystkie drobnostki, ale właśnie dla tych drobnostek nie pojmujecie całości. Nie gniéwajże się, mój Jasiu, że ci to mówię, boć i nie stosuję tego do ciebie; ale musiałem to wypowiedzieć, kiedy się zdarzyła sposobność, bo od niejakiego czasu bardzo mi to cięży na sercu.

Miecznik siedział nieporuszony w miejscu i słuchał tego wszystkiego z natężoną uwagą, — teraz wszakże przysunął się z krzesłem do gościa, zabrał głos i odpowiedział w ten sens:

— Ja się na ciebie wcale za to nie gniéwam, i owszem, cieszy mnie to, żeś mi powiedział prosto co myślisz. Niepotrzebnie się nawet warujesz, że się to nie stosuje do mnie. Owszem! to się całkiem stosuje do mnie, a odpowiedzialność za tę politykę, którą z swéj łaski zagonową nazywasz, całkiem biorę na siebie. A czemu nie? Jam jest szlachcic z zagona, ja się z mojego dworku zapatruję na sprawę publiczną, ja się nadzwyczaj pilnie przyglądam drobnostkom. Ale pomimo to, wcale ci przeczę, żebym przez gmach drobnostek nie mógł objąć całości. I żem ją objął, to pewna. I tyś ją objął, to także pewna. Tyś do swego pojęcia przyszedł odrazu z góry, jam się do niego wdrapał z dołu, — tyś przyskoczył do niego bez względu na fakta, ja tylko po samych faktach, — obadwaśmy coś uchwycili; ale jeszcze tu wielkie zachodzi pytanie, który z nas chwycił prawdę rzetelną, a który zmorę własnéj fantazyi? Jakoż żebyś nie mówił, że mnie zanadto zajmują wydarzenia codzienne, nie będę ci już wspominał o tém, że ten wasz król prawowity wbrew *Pactom Conventom* trzyma dziś w kraju i swoich i sprzymierzonych wojsk kilkadziesiąt tysięcy, które karmi chlebem zalanym łzami ludzi umiérających z głodu,— nie będę ci mówił o tém, że te wojska nie wybiérają po groszu z łanu i nie zarzynają jałówek, ale poprostu drapieżą jak zbójcy,

komory czyszczą, obory trzebią, rozbijają szkatuły, — zamilczę zresztą nawet i o tém, że zabijają ludzi, jak tu niedawno Ożarowskiego, najzacniejszego obywatela, w moich oczach zabili, — cóż się nad tém rozwodzić? Porzućmy je więc, aby już nigdy do nich nie wrócić. Ale pytam się ciebie, mój Stasiu, na co to król trzyma jeszcze dzisiaj te wojska? A wszakże kardynalne zasady *status* już są uratowane: prawowity król włożył nanowo koronę, prawo wolnéj elekcyi jest utrzymane *de facto*, nieprzyjaciel pobity, król nielegalny wyrzucony z obrębu kraju, spokój powszechny za drzwiami: na cóżto król jeszcze dzisiaj utrzymuje te wojska?—Nie myślże, mój Stasiu kochany, żebyśmy przez drobnostki nie mogli dojrzéć całości. I nie myśl wcale, żeby nam o drobnostki chodziło. Nam chodzi o rzecz kardynalną, i wiemy dobrze o którą. I wiedzieliśmy o niéj już dawno, nawet natenczas, kiedyście wy się jéj nie domyślali, wy, którzy na sprawę publiczną patrzycie z góry. A czyż my to nie wiedzieli jakie to zamiary względem téj rozhukanéj szlachty knuły się po zakamarkach królewskich? nie wiemy może, że się i dziś jeszcze śni o tém naszemu panu?

— A! za to ci ręczę, — zawołał Denhoff, że to nieprawda.

— Daj to Panie Boże, żeby to była nieprawda. Aleć ja ci to mówię w imieniu wszystkich tych zagonowych polityków, żeby wam się o tém nie śniło. Bo jak sam mówisz, tych polityków wstanie w mrugnieniu oka jakie sto tysięcy, domy porzucą, fortun narażą i siéroty zostawią, — ale się za łeb wziąć wam nie dadzą, choćbyście jeszcze drugie tyle naprowadzili Sasów! Krew strumieniami popłynie, wszystkie wsie zmienią się w zgliszcza, kamień na kamieniu nie pozostanie. Biada wam, mówię: woda już wre w tym naszym kotle, odsuńcież go zawczasu od ognia, aby nie wykipiała przez brzegi!

Bardzo to pięknie wyglądał miecznik, kiedy to mówił, bo widać było, że mówił z serca. Ale hetman słuchał obojętnie tych rzeczy, a nareszcie wzruszył ramionami i rzekł:

— Mówisz tak do mnie, jak gdybym nie wiedział, że w danym razie i to być może; albo jak gdybym przed wszystkiém inném i ja nie był szlachcicem i także nie dbał o wolność. Ale teraz ta dbałość nie jest na swojém miejscu. Wszystko co się dziś dzieje, dziać się musi koniecznie. Król w swych postępkach nie jest może w ścisłych granicach spisanych Pactów, ale do tych postępków jest przymuszony koniecznością pozycyi. Trzyma wojsk więcéj, bo się bez nich obejść nie może. Kraj nie jest jeszcze uspokojony zupełnie! Świadkiem Grudziński, Śmigielski i inni, wojujący bez przerwy. Gdzież przeciw nim bezpieczeństwo? czy w szlachcie? czy może w samym hetmanie, który dziś myśli to, jutro owo, jak mu fantazya przyniesie? Wojska saskie stać tu muszą do czasu. Każdy to widzi, kromia tych, którzy nie chcą. Toż i każdego jest obowiązkiem rzecz tę wyjaśniać. Nie podnosić drobnych wydarzeń, nie rozsiéwać wieści o rabunkach i mordach,

które po takiéj wojnie domowéj zdarzać się muszą, ale gładzić, łagodzić, spokoić. Bo zresztą i co to są za rabunki i mordy, które idą na rachunek drapieztwa Sasów? Wspomniałeś o Ożarowskim. Wiem o téj sprawie dokładnie, bom ją badał umyślnie. I cóż to było? Przyszli Sasi do jego wioski, zażądali furażów i mieli na to taryfę od komisoryatu. Furażów im odmówiono, przyszli do dworu, a we dworze ich przyjęto kulami. Mieliż stać jak słupy drewniane i dać się wystrzelać szlachcicom?

— Ale tak nie było, mój Stasiu, — rzekł na to miecznik, — boć oni sami na dwór stolnika napadli.

— Ale tak było z pewnością, — rzekł Denhoff z naciskiem,— oficerowie, którzy tam byli, zeznali to pod parolem. A potém na co? Wszakżeż tam wzięto szlachcica, zwie się Domaradzki podobno, który to sam zeznał na śledztwie. Nie byłoż tu szyi uciąć takiemu napastnikowi? Ale zagładzono tę sprawę z królewskiego rozkazu i wypuszczono szlachcica wolno; żeby jeno pozostali Ożarowskiego krewni mieli ten rozum i nie wywiedli swoich lamentów przed króla, bo w takim razie nie ręczę.....

— Za cóż nie ręczysz?

— Za głowę Domaradzkiego, co mi i tak dziwno, że król przez swoję łagodność przepuścił, mając tak dobrą porę do dania szlachcie *exemplum*. Wszystkoby tu przemawiało za królem.

Miecznik na to pokiwał głową. Ponieważ mu jednak o Ożarowskich chodziło, rzekł zaraz:

— Że się nikt o tę śmierć upominać nie będzie, za to ci mogę zaręczyć. Niémasz w tym rodzaju takiego, któryby pragnął nagrody za krew ojcowską. W takich wypadkach wymierzenie sprawiedliwości pozostawia się Bogu. Po stolniku zresztą został się tylko syn jeden, a ten, chociażby chciał, tego nie zrobi, bo ja nie dopuszczę, mając go zwłaszcza w mym domu.

— Młody Ożarowski? — rzekł na to hetman, — a czy nie ten to będzie, który się temi czasy bił z Flemingiem w Krakowie?

— Ten sam.

— Sodalis Marianus! — powiedział hetman z uśmiéchem, — dziwnie krew ciepła w tym kawalerze! Słyszałem o nim. Chwalono mi go nawet, osobliwie kobiéty. Nie przeczę téż temu, że dobra bitwa bywa zawsze z pożytkiem, ale w téj bitwie wielkiego sensu nie widzę, bo co za sens doprowadzać do bitwy z tak znacznym oficerem królewskim i to jeszcze natenczas, kiedy król już na nowo ufortyfikowany na tronie i dzierży wszystko w swym ręku?

— Rozmaite są rzeczy widzenia, — rzekł na to miecznik, — ale ja mu téj bitwy nie ganię, owszem nawet, bardzom mu ją pochwalił, zwłaszcza, że jest to młodzieniec godzien pochwały z każdego względu.

— I jabym mu pochwalił, — powiedział hetman, — lecz nie

w tym razie i nie takiemu chłopcu, który potrzebuje promocyi i mógłby ją mieć, gdyby ją umiał pozyskać. Czy jest on tutaj?

— Jest, — rzecze miecznik w najlepszéj myśli, — możesz go widzieć, i nawet bardzo dobrzeby było, gdybyś go poznał i zachował w pamięci.

— To dobrze, — rzekł Denhoff, — to go obaczę.

Na to miecznik powstał natychmiast i wyszedłszy do drugiéj izby, zawołał Ożarowskiego. Bawiący się tam z gośćmi młodzieniec już sobie myślał o tém, że będzie dziś przedstawiony hetmanowi i cieszył się tém niezmiernie; był on bowiem więcéj jak pewny, że w tych rozmaitych okolicznościach dzisiejszych, które wszystkie za nim mówiły, będzie od tego tak bardzo natenczas możnego męża wdzięcznie przyjęty i że mu to kiedyś może posłużyć w przyszłości. Jakoż przyszedł w mrugnieniu oka.

Lecz kiedy wszedł a Denhoff się obrócił ku niemu, zaraz już było widać, że coś tu będzie innego. W téj chwili bowiem Denhoff zmienił swą postać nie do poznania, — już to nie był ów gnący się wedle potrzeby kochanego Jasia przyjaciel, już to był jakiś zwierzchnik surowy, już to był hetman.

Nie zwracający na to uwagi, miecznik rzekł, wskazując na Jurcia:

— Imć Ożarowski.

Jurcio się kłaniał, lecz Denhoff ani głową jemu nie kiwnął, tylko zapytał:

— To waść idziesz z Rawiczów, syn krakowskiego stolnika?

— Tak, jw. panie, — odpowiedział Jerzy, dziwnie jakoś się mieniąc pod surowym wzrokiem hetmana, — ś. p. mój ojciec był stolnikiem krakowskim.

— Nie znałem ojca wacpana, — rzekł zaraz hetman, — który wywołał w swym własnym domu tak krwawe zajście z królewskiemi wojskami, ale podobno znam matkę, którą często widuję przy pani hetmanowéj koronnéj. Wszakże to matka?

— Tak, jw. panie, to moja matka.

— No i czemuż to wacpan w swoich postępkach nie zasięgasz rady swéj matki? Jestem pewny, że wtedy inaczéjby wypadały. Potrzebnaż to była wacpanu ta niedorzeczna bitwa z panem Flemingiem? Wacpan się urodziłeś w zacnéj rodzinie, przodkowie twoi usiłowali zawsze coś znaczyć, mieli téż zawsze piękne urzędy i dostateczne fortuny. Waść nieszczęśliwym przypadkiem zostałeś się bez fortuny, ojciec twe imię na niełaskę królewską przekazał, wacpan sam ledwie ze szkół wyszedłszy, naraziłeś się twemu panu, i do czegóż to doprowadzi?

Słysząc to, Ożarowski prawie skostniał na miejscu. Wychuchany od dziecka przez obojga rodziców, pieszczony prawie przez swych nauczycieli, ukochany i nieledwie na rękach noszony przez najznakomitsze osoby, które go znały, jak długo żył, jeszcze takiéj przemowy nie słyszał. Ani śnił nawet, żeby mu się coś

takiego mogło wydarzyć. Krew mu się ścięła w żyłach i nie był wstanie ani słowa powiedzieć.

— No i cóż wacpan teraz myślisz ze sobą? Począwszy życie od takiego rycerstwa, nie chce ci się pewnie na zagonie zasiadać? Cóż tedy poczniesz?

Uderzony odrazu we wszystkie najdrażliwsze strony, młodzieniec ledwie już słyszał co do niego mowiono. Jakoż rzekł, oczy opuszczając ku ziemi:

— Staram się o to, ażebym dla nauczenia się sztuki wojennéj mógł wyjechać do Francyi.

— Do Francyi? — rzekł Denhoff prawie szyderczo i obróciwszy się do miecznika, tak mówił: — Otóżto masz, mój Jasiu, tę naszę szlachtę! Który z nich siedzi na jednéj wiosce, chociaż jest otoczony szkołami dokoła, nic się nie uczy; obywatel *cum voce* ledwie się umié podpisać. Bo i na co mu więcéj? Jego ojciec i dziad nie umiał więcéj, a pradziad ani nawet i tego, a przecież na sejmikach głosował, konfederował się przeciw królowi i bił się! Ale niechże z nich któren ma kilka wiosek, niech tam jego pradziadek był tylko kasztelanem drążkowym, niech tam się kiedy w dom zabłąkała jaka Potocka, Tęczyńska lub Ossolińska, to choćby te wioski były zadłużone po uszy, już tu szkół niéma dla niego, już mu trza jechać do Francyi. Trza mu tam jechać, bo tam jeździli Potoccy, Tęczyńscy i Ossolińscy i pobrali potém buławy i krzesła, a toć i on jest do tego. Ale wraca potém taki szlachetka, i choć się pobił trochę po Francyi i Niemczech, buławy przecież nie weźmie. A co to potém jest w wojsku! Piérwszy malkontent, piérwszy do związków. Mam ja takich kilku paniczów w swoich chorągwiach i wiem co to znaczy.

A tu się zwrócił zaraz do Ożarowskiego i tak mówił:

— Wacpan, panie Ożarowski, kiedy myślisz rzetelnie i chcesz się na co przydać, wybij sobie z głowy te twoje podróże. Zaczęłeś już z szablą wojować, wstąpże zaraz do wojska. Ażeby zaś była pewna nadzieja promocyi, wstąp do półku królewskiéj dragonii. Tym sposobem przebłagasz króla za niedorzeczny wybryk, który ci się wydarzył, a kiedy się będziesz aplikował jak trzeba, znajdzie się protekcya.

Tym ostatnim projektem już hetman dobił drażliwego młodzieńca. Spłonął cały jak w ogniu, oczy skrami sypnęły, zdało się jakby myślał: — Hej! żebyś ty był nie hetmanem! nie prawą ręką królewską! — Ale przecież potrafił się zgwałcić. Zacisnął zęby i zmilczał.

— Cóż? — spytał Denhoff,— nie podoba się waści ten projekt?

— Jw. panie! ważne rzeczy. Muszę się nad tém namyśléć,— odpowiedział Ożarowski powolnie i już się kłaniał i chciał odchodzić. Ale tymczasem hetman, zdaje się, jakby miał cale co innego na myśli. Mimo wyraźnéj surowości w obejściu, zdawało się, jakby się przecież w głębi duszy uśmiéchał, jakoż rzekł zaraz

— A cóżto? już odchodzisz? więc taki koniecznie do Francyi?

— Koniecznie, jw. panie, — odpowiedział Ożarowski z zacięciem, — a jeżeliby małego szlachetkę o kilku wioskach na podwodę nie stało, to pieszo pójdzie i dojdzie tam gdzie zamierzył.

To rzekłszy, obrócił się zaraz i wyszedł prędko z komnaty. Wyszedł i szedł jak pijany. Każda żyłka w nim drżała, wszystka krew w nim kipiała, jak w kotle. Jeszcze téż nigdy na życiu nie czuł w sobie takiego wrzącego gniewu. Jeszcze nigdy przeciw nikomu nie uczuł takiéj nienawiści serdecznéj, jak teraz przeciw temu dumnemu pankowi, który jednym zamachem we wszystkie najsłabsze strony go zranił. I jego cześć świętobliwą dla ojca, i jego bitwę zaszczytną, i jego najsłodsze nadzieje na przyszłość, wszystko to ten nielitościwy szyderca sponiewierał, splugawił, podeptał. Rozraniony do głębi serca młodzieniec nie wiedział sam, co się z nim działo. Nie szedł téż już do gości, tylko się schował w najodleglejszy kąt domu, aby się wcale już nie pokazać, dopóki ten nienawistny gość będzie tu bawił.

Tymczasem tutaj gospodarz domu uczuł także głęboko tę krzywdę, byłby się nawet żwawo ujmował za tém poczciwy miecznik i miał to ciągle na myśli, ale kiedy na końcu taki zwrot wzięła ta osobliwa rozmowa, uspokoił się o to i nawet w duszy się uradował. Cóżkolwiekbądź bowiem, zawsze jmć hetman polny litewski został przez młokosa pobity. Tak to rozumiał miecznik. Czy także tak i Denhoff, trudno było odgadnąć. Jednakże w każdym razie musiał coś uczuć, bo umilkł na chwilę i nic nie mówił. Patrzył téż miecznik na niego ciekawie i czekał aż się odezwie, lecz kiedy to się nie stało, zapytał:

— Cóż, panie Stanisławie, jakże się podoba młodzieniec?

— Fi! — rzecze Denhoff, — duma mospanie za kata!

— Może nie całkiem na miejscu, — powiedział miecznik, — lecz jestem zdania, że nie można się za to gniéwać na niego.

— Gniéwać?..... — powtórzył hetman przeciągle, — gniéwać nie, bo i na kogóż tutaj się gniéwać? ale nie widzę wcale, za co się było obrażać.

— A! to mi daruj, — pochwycił miecznik, — obraziłeś go ze wszystkich stron jednocześnie. Opuszczonemu siérocie zlekceważyłeś ojca, piękną waleczność poczytałeś za głupstwo, najgorętszą chęć jego nauczenia się czegoś obrzuciłeś szyderstwem. A toż i kamieńby się ruszył w tym razie.

— Ale proszę ciebie, kiedyż bo ja żadnéj obrazy nie miałem w myśli. Chciałem mu tylko dać *ad intende*, ażeby chłopiec zacnego domu, którego los jednak zawisł tylko od niego samego, był oględnym w swoich postępkach. A zresztą miałem nawet jaknajlepsze względem niego zamiary. Nie utłumić, lecz owszem chciałem go podnieść. Namawiałem go do dragonii, albowiem wiédz już o tém, znalazłaby się tam już gotowa dla niego protek-

cya. Jeżeli chcesz w końcu, to i to jeszcze ci powiem, że jest to życzeniem króla, aby się temu chłopcu tędy owędy pomogło.....

— Hm! — mówił miecznik, — tożto już wcale dziwnych rzeczy się dowiaduję od ciebie. Aleć to mi żal jeszcze teraz tém większy, żeś się przedtém mnie nie wypytał o niego, bo byłoby się stało wcale inaczéj. Lubo to teraz już późno, jednak i teraz jeszcze ci powiem, że to jest chłopiec znakomitych przymiotów. Siérota prawie od urodzenia, bo ojciec ciągle był chory, a matka gościem w swym domu, uczyło to się tak pilnie, z takiém oddaniem się swym obowiązkom, że go się jezuici nie mogli odchwalić. A przytém skromny, łagodny, pobożny nad podziwienie. Dość ci powiedzieć, że sam, jak był w szkołach krakowskich, bez żadnych protegujących go krewnych, bez żadnéj innéj pomocy, chłopięciem jeszcze, zyskał sobie zachowanie i miłość w najpiérwszych domach. On u księżnéj wojewodziny krakowskiéj, u naszego wojewody sandomierskiego, toż i u nich był jak syn prawie rodzony. Trudnoż mu także zaprzeczyć i wrodzonych kwalifikacyj. Ja ci powiadam rzetelnie, że nie potrafię ci wskazać drugiego tak zdolnego młodzieńca, i daj to Boże, żeby mi się tak udał chociaż jeden z mych chłopców. Jeżeli téż ma zamiary wyjechania do Francyi, to już jest najrozumniejsze, co może zrobić. Powiem ci nawet, iż wielka byłaby to szkoda dla niego, a tak rozumiem, że i dla kraju, gdyby się zamiar ten rozbił. A bardzo to jest jeszcze podobne, bo funduszu dziś na to ni śladu. Jam mu obiecał o ten fundusz się koniecznie postarać, aleć to jeszcze na dwoje. Łamię ja sobie głowę nad tém już przez dwie doby, ale jeszcze ciągle napróżno. I bodajby tylko tak nie zostało do końca!

— Proszęż cię, — pytał hetman bardzo ludzkim już głosem, — czy rzeczywiście tak już podupadł był stolnik?

— Ale i jak podupadł! Z całéj fortuny trzy się zostało folwarki, a i te zadłużone. Dość ci powiedzieć, że nie było go za co pochować.

— No, tożto będzie nie lada zadanie, wydobyć ztamtąd tyle piénięndzy, ile będzie potrzeba na wysłanie go do Paryża.

— A czy i ty byłbyś już teraz za tém? — zapytał miecznik ciekawie.

— No, kiedy ty jesteś takiego zdania, — mówił Denhoff powoli, — kiedy to chłopiec nie głupi, pilny i, jak powiadasz, skromny, chociaż ja tego nie widzę, to i dlaczego nie? Mam ja, jak powiedziałem, z takimi paniczami, którzy służyli postronnie, wcale niemało kłopotu; ale trudno zaprzeczyć, że cudzoziemska, a osobliwie już francuzka nauka, jest najlepszą ze wszystkich. A toż i ja, lubo już wtedy odprawiłem był całą wojnę, przecie jeszcze do Francyi jeździłem i nigdy tego nie powiem, żebym tam wiele jeszcze nie zyskał. Jestem téż pewny, że i Ożarowskiemu, jeżeli jest takim jakim mi go przedstawiasz, bardzoby to posłużyło. No, ale jakże to zrobisz? zkądże weźmiesz funduszów?

— Ot! i Bóg wié! może ich wcale nie dostanę, a przynajmniéj może nie zaraz?

— A pragniesz tego?

— Ani ci umiem powiedzieć, jak pragnę, bo téż i wielkąbym miał ztąd dla siebie pociechę. Jestem pewny jak Boga na niebie, że w tym młodzieńcu uzyskałby kraj bardzo pożytecznego sługę.

— No, to wiészże co, — rzekł prędko Denhoff, — kiedy to będzie taka wielka dla ciebie pociecha, pozwólże abym ja w tém dopomógł. Wiele potrzeba, aby go do Paryża wyprawić?

Już się tu może miecznik spodziéwał, że się ta rozmowa na czemś podobnem zakończy, bo znał oddawna Denhoffa, że był dziwnie prędkim w skłonnościach, ale kiedy te słowa usłyszał, przecież się trochę zadziwił. Jakoż miast odpowiedzi, rzekł, patrząc na niego:

— Ej! Stasiu! Stasiu! dopiéroż cię teraz poznaję! Ale powiédzże mi, mój drogi, cóż jest u kata, że ty jakby umyślnie zawsze się innym okazujesz przed ludźmi, niż w rzeczy jesteś?...

Wstał na to Denhoff i przechodząc się po komnacie, rzekł:

— Nie wydaję się nigdy innym jak jestem. Jeżeli zaś między mną a opinią zachodzą niekiedy sprzeczności, wina to jest porywczych sądów, ale nie moja.

Poczém wszakże natychmiast przystąpił do Bobrownickiego i pytał, wiele na tę wyprawę potrzeba. Ale miecznik się jakoś namyślał. Wymawiał się grzecznie tędy i owędy. Aż wreszcie rzekł:

— Nie, mój kochany Stanisławie. Taki to podobno nic z tego nie będzie. Bo chociaż ty dajesz z najlepszego serca, on przecież po téj rozmowie daru od ciebie nie przyjmie.

— A cóż znów u stu tysięcy, — rzekł na to Denhoff, — żeby téż w takim młokosie takie wygórowane się chowały ambicye!

— Wygórowane może, to prawda, ale przyznajże sam, że nie przesadne. Wszakżeż zniósł wszystko i nie obraził nawzajem.....

— No to cóż? to kiedy nie zechce przyjąć odemnie, to i nie potrzebuje wiedzieć, że to odemnie.....

Jeszcze się miecznik namyślał,— ale zważywszy, że tutaj prawie cały los tego młodzieńca od tych piéniędzy zależy, a on może na żaden sposób nie potrafi ich dostać zkąd inąd, przyjął już wreszcie, mówiąc:

— Ha! to przyjmuję, ale pod tym warunkiem, że jak się możność okaże, to ci się to odda z wdzięcznością.

— No, to i tak, jeszcze owszem.

Jakoż zaraz szedł do owéj kuglarskiéj szkatuły, która jeszcze tu stała w komnacie, i dobywszy z niéj tysiąc czerwonych złotych, oddał je miecznikowi.

— Kiedy powiadasz, że trzeba tysiąc,— dodał do tego, — oto jest tysiąc, a przez ile lat tam pomieszka, zawsze na twoje ręce

poszlę mu po pięćset. A listy także wygotujemy w Krakowie, które poszlemy pocztą we właściwe miejsca.

Poczém zaś ściskał ręce miecznika i mówił:

— Bardzo się cieszę, mój Jasiu, żem ci sprawił choć jaką taką pociechę. Nie mogąc ci w niczem *directe* usłużyć, niechże ci choć w ten sposób usłużę.....

Tak jeszcze chwilę mówili, kiedy tymczasem weszła znów miecznikowa. Jak tylko weszła, miecznik się zaraz wysunął i pobiegł poszukać Jurcia. Kiedy już się tak stało, pomyślał sobie, dobrzeby było, gdyby można młodzieńca ugłaskać i do hetmana sprowadzić. Oprócz środków na podróż, zyskałby jeszcze i przyjaciela, ba, protektora nie lada. Poczciwy miecznik już się tak troskał o losy jego, jakby rodzony ojciec...

Ale tym razem próżne były jego usiłowania. Młodzieniec bowiem za nic nie chciał już widzieć hetmana.

— Za nic, — powiadał, burząc się do krwi na to samo wspomnienie, — za nic nie chcę widzieć tego człowieka, który moje najświętsze rzeczy tak sponiewierał! Może to grzéch jest, który niełatwo odpokutuję, ale nie cierpię tego człowieka, nienawidzę jak złego ducha! Mógłbym go bić własną ręką, mógłbym go zabić! To nie jest człowiek, to zwierz!

Całował potém miecznika, przepraszał, płakał ze żalu, — ale o Denhoffie ani sobie dał mówić.

Widział tedy miecznik, że to rzecz próżna na teraz. Jakoż istotnie Jerzy już do wieczerzy nie przyszedł, a także dnia następnego do śniadania. A po śniadaniu Denhoff odjechał.

Jednak jakkolwiekbądź się to stało, zawsze opiekun młodego Ożarowskiego był z tego zadowolony. Była to zawsze rzecz wielkiéj wagi, że uzyskał dla niego fundusze, o które było niezmiernie trudno. Źle się zrobiło, że przez żołniérską porywczość Denhoffa zagnieździła się w sercu młodzieńca taka ku niemu nienawiść, ku największemu jego dobrodziejowi; ale cóż już z tém było robić? Nie brał téż sobie miecznik już tego tak bardzo do serca, bo był przekonany, że się to z czasem zapomni i minie. Jakoż już teraz chodziło mu tylko o to, żeby oddać Jurciowi piéniądze bez obudzenia w nim prawdziwych podejrzeń i jaknajprędzéj go w tę podróż wyprawić, co się téż dzięki przezorności miecznika niebawem stało. W parę dni bowiem wyjechał on niby gdzieś do sąsiada, a powróciwszy ztamtąd, przywiózł ze sobą piéniądze. Niezmierna tedy była pociecha, — a z nią natychmiast przygotowania do téj podróży.

Byłyć tam jeszcze wprawdzie i certamenty, bo młodzieniec chciał jeszcze przed wyjazdem widzieć się z matką, a miecznik nie chciał żadną miarą na to zezwolić. I miecznik miał słuszność, bo znał dobrze tę osobliwą kobiétę i był tego pewnym, że ona, jak się tylko pokaże, wszystko odrazu popsuje. Jak Bóg na niebie, tak byłaby teraz synowi jechać nie dała, a natomiast byłaby go

zawiozła do Brzeżan; wwikławszy zaś tak młodego chłopca w tę hetmańszczyznę ówczesną, kto wié, na coby go była wykierowała? Możeby go ztamtąd byli także wyprawili do Francyi i może nawet lepiéj niż ztąd; ale czegoby się już przed wyjazdem mógł był na owym dworze przewrotnym nauczyć, a co to wiedzieć? Przewidywał to miecznik i bał się, dlatego téż siłą zgwałcił jego tęsknotę za matką i bez odwłoki wyprawił.

Już téż nazajutrz było wszystko do podróży gotowe i jeno wsiadać; — ba, ale przed odjazdem trza się było pożegnać. A tu się stała rzecz taka, któréj się nikt nie spodziéwał. Kiedy bowiem przyszło do pożegnania w jejmościnych komnatach na górze, dopóki się młodzieniec żegnał z miecznikową, nic jeszcze, tylko łzy mu się trochę kręciły w oczach,— lecz kiedy się do Kostusi obrócił, już zaraz zrazu się zachwiał. Złożył ręce przed sobą, łzy mu się strumieniami puściły z oczu i nie mógł ani słowa wymówić. A tu Kostusia w płacz rozgłośny, jakby dziecko maleńkie. Przyskoczy młodzieniec do niéj i tak się to licho pochwyciło za ręce, tak się zaszli oboje od płaczu oboje, że aż żal było patrzéć. Rodzice aż osłupieli oboje. Szczęście to wielkie, że nie było przy tém nikogo z obcych.....

Dopiéroż ojciec otrzeźwiał i jakoś się tam przecie utulił. Ale téż zaraz wziął Jerzego pod ramię i wyprowadził na dół do siebie.

— Otrzyjże łzy, — mówił tenże do niego, — siadaj prędko i jedź, a niech cię Bóg błogosławi.

Lecz zapłakany młodzieniec stał oparty o ścianę jakby nieżywy,— wpatrzył się w ziemię bez przytomności i wzroku. Miecznik już nic nie mówił, patrzył na niego i czekał. Oprzytomniał przecie nareszcie, ale jakoś nie bardzo, bo spojrzawszy na swego opiekuna, załamał ręce i rzekł:

— Ojcze mój drogi! co się to porobiło?

— No, już co się porobiło, — rzecze mu miecznik, — to porobiło. Boska w tém wola. Siadaj już prędko i jedź, a da Bóg obaczymy się znowu.

— Och! mój ojcze kochany, — mówił młodzieniec, — dajże mi Boże jaknajprędzéj powrócić, a uklęknąć przed wami, bo już jak widzę trudno znajdę gdzie więcéj miłości jak u was.

— Znajdziesz, znajdziesz, — powiadał miecznik, — ale zdaj to na Boga. A teraz jedź, po dobrym czasie powracaj, a zastaniesz nas wszystkich takimi samymi jak dzisiaj.

I to mówiąc, prawie go mocą wyprowadził, do powozu, posadził i kazał jechać woźnicy. A tak ruszył powóz nareszcie i wkrótce zniknął za bramą.

Stał jeszcze miecznik jaką chwilę na ganku i patrzył, lecz kiedy powóz ujrzał wyjeżdżający szczęśliwie na drugi brzeg Nidy, wrócił nazad do swojéj komnaty. Ale tam zastał już żonę swoję siedzącą: pyta ją tedy:

— A co Kostusia?

— Ot co! siedzi w kącie i płacze.

— Dziwna to rzecz, jak się to stało, że się w tych dzieciach takie gorące zapaliły afekty. Anibym się był tego spodziéwał. Ale już to i jéjmości trochę w tém wina, że nie doglądała.

Tedy się miecznikowa usprawiedliwiała wyraźnie, że jako ten dzień biały, tak nic a nic nie widać nie było: tak się to licho przytaiło sekretnie. Jakoż się tém sroskliwa matka smuciła. Ale miecznik był wesół i mówił:

— Trudna to rzecz. Widać że taka jest wola Boska. Co téż nie dziwno, ale to mi jest dziwno i bardzo, że taka była także wola nieboszczyka stolnika. Patrzajno dziecko, co on tu pisze:

A to mówiąc, dobył z biura cały sekstern papiérów, na których był spisany dwoisty testament starego Ożarowskiego: jeden do użytku sądowego, a drugi dla samego miecznika. W tym tedy drugim miecznik kilka kart przerzucił, a potém wskazał żonie na jedno miejsce i dał jéj to czytać. Ona zaś czytała w ten sens:

„.....Jeżeliby zaś z woli Bożéj już nieodmiennie wypadło, żeby nie mógł żadnym sposobem na nauki i służby postronne być wyprawionym, a więc mu już na roli osiadać koniecznie, a to wtedy go żenić. I żenić go, co daj Boże! zawczasu, choćby téż raniusieńko, bo to zawsze jest lepiéj dochować się dorosłych młodzieńców i samemu ich postanowić, niżeli ich żegnać siedzących jeszcze na ławie szkólnéj. A kiedy żenić, to chowaj Boże gdzie w wielkich dworach, jako z własnéj wiem eksperyencyi. A więc w skromném jakiém gniazdeczku, w domeczku zacnym choćby ubogim, niechaj pod strzechą a z poczciwością. Ale cię proszę, kochany Janie, pomyśl téż nad tém w twojém łaskawem sercu, żaliby téż nie można, żeby się nasze domki jeszcze raz spokrewniły ze sobą."

Nieboszczyk stolnik wspomniał o pokrewieństwach, bo téż pomiędzy Ożarowskimi a Bobrownickimi było ich kilka: raz więc pomiędzy ich własnemi przodkami przez ożenienie, a potém przez Drohojowskich, z których Aleksander miał Ożarowską, a Helena była za Ożarowskim, podstolim buskim. Pisał więc stolnik daléj:

„Kostusia przypadałaby prawie wiekiem do niego, jakoż jeżeliby Pan Bóg skłonił ich serca ku sobie, nie miéj, mój Janie, nic przeciwko temu, bo oto ja, ojciec, klękam przed tobą i proszę, a oraz daje naprzód moje błogosławieństwo."

Bardzo się tedy temu miecznikowa dziwiła, a namyśliwszy się mało niewiele, rzekła:

— Toż kiedy tak, to już chyba lepiéj było go nie wysyłać. Poczekać mało i kiedy taka jest wola Boża, niechby Bóg błogosławił. A tak kto wié, żali co z tego będzie? bo to ze zmianą kraju i sentymenty się odmieniają, zwłaszcza u mężczyzn.

Śmiał się więc miecznik z tego dodatku i z téj pilnéj chęci jéjmości. Ale ją w końcu pocieszył, mówiąc:

— Nie frasujże się, moja ptaszeczko, o to, bo już to Bóg ma w swojéj opiece. Kiedyby się jeszcze i ten młodzieniec, który jest

tak zasadny, w swych sentymentach odmienił, to jużby chyba nie dowierzać nikomu. Aleć to tak nie będzie. Pobawi tam jakie dwa lata, wróci, wstąpi do służby, a potém za łaską Boską wyprawimy weselisko jak się należy.

Tak pocieszywszy się wzajem, poszli téż i Kostusię pocieszyć, która jeszcze zawsze płakała. Ale ją utulili niebawem, otoczywszy miłością,—a tak znów spokój wrócił do tego domu, który go téż był godzien po wszystkie czasy.

VIII.

Od tego czasu upłynęło dni wiele, cztérnaście niedziel, albo może i więcéj. Już było po żniwach i po zasiewach, i babie lato nadeszło. A tego roku zdarzył Bóg wielki urodzaj, żyta, pszenice były jak lasy, jarzyny także nie szpetne; za co ubodzy ludzie bardzo się Bogu modlili, raz dziękując za hojne dary, a potém prosząc, żeby je mogli spożyć w spokoju. A ponieważ się na to coraz lepiéj zakazywało, bo Turek zawarł był pokój z carem, przez co téż i król szwedzki nie mógł się już spodziéwać sukursów od niego, — więc się ludzie cieszyli tém jeszcze więcéj i dosiéwali swych grządek jak mogli. Służyła téż im ku temu jaknajpiękniejsza pogoda, którą sobie jeszcze i nadal wróżyli, bo niebo było tych dni czyściuteńkie jak woda stojąca, słoneczko białe, a po polach snuły się nici pajęcze, jakby pośrodku lata.

Otóż na takim dniu jednym, bardzo pogodnym i pięknym, drogą wiodącą od stolnikowego dworu w stronę północną, jechał sobie jakiś żołniérczyk, wyglądający bardzo poczciwie. Koń był pod nim cisawy, z konopiatym ogonem i grzywą, z karkiem butnie wygiętym, a stąpający wolno, bo go téż nie naglono. Żołniérz sam miał na sobie koszulkę drucianą, na piersiach blachę polerowaną, a na niéj Matkę Boską we złocie, na głowie dosyć kształtną misiurką z kitą, a przez lewe ramię zwieszoną burkę krymską kudłatą, czerwonym muzułbasem podbitą. Za nim na koniu karym dosadnym jechał wyrostek, bardzo piękne pacholę, także z rycerska ubrane, zapewne terminujące u niego w tém rycerskiém rzemiośle. Nuż nareszcie i czeladniczek na jakimś fryzie zdobycznym, a prowadzący przy sobie ciężką szkapę z jukami i żart-

kiego podjezdka, sobolowatéj maści, a już nieledwie zadziwiającéj piękności. Przypatrzywszy się temu żołniérstwu bliżéj, nietrudno było poznać, że to jechał pan Wiszowaty, rotmistrz niegdy pancerny, a brat stryjeczny pani stolnikowéj krakowskiéj. Jechał, jak widać, opakowany ciężko, może i całém swém mieniem, ale gdzieby tak jechał, nie wiedzieć. Zdawało się jakby i sam jeszcze nie wiedział dokąd ma jechać, bo jakoś dziwnie jechał powoli, rozglądał się po polach i lasach, wąsa pokręcał i mruczał coś sobie pod nosem. Zwrócił się czasem do czeladniczka, spojrzy na sobolowego podjezdka i rzecze:

— Héj! a jakto wiedziesz to źrebię? skacze ci jako cyga, a ty nic na to. Więc kałmuka na drugą stronę, bo przecie widzisz że się go stracha.

To znów wyrostkowi dał jakąś naukę, jak ma siedzieć w kulbace, jak nogi trzymać w strzemionach, lub co podobnego. I tak jechał pomału, zawsze coś przygadując. Aż nareszcie wyjechał w pola, które były jakoby stepik maleńki. Droga szła środkiem, więc on za tą drogą. Ale ledwie co trzy stajania ujechał albo mało co więcéj, kiedy się przed nim pokazały na drodze jakieś fury ładowne. Więc jedna naprzód w trzy konie, srodze wyładowana aż wyżéj drabin, za nią zaś wóz także niepróżny, a na nim gwardyan z drugim takimże bernardynem, zapewne fratrem. Spojrzy na nich rotmistrz, zaraz przystanął:

— Niech będzie pochwalony Pan Jezus!

A gwardyan na to:

— Wszelki duch chwali Pana Boga! a waszmośćże co tutaj robisz? ba, i tak zbrojno i ludno! nie na wojnęż to Pan Bóg prowadzi?

— Kiedyby wojna, i owszem. Czerwony złoty na klasztor. Aleć to jeszcze nie słychać.

— Zkądże więc waszmość jedziesz? pewno od stolnikowéj. Cóż to tam słychać? Powiédzno waszmość, bom już tam dawno nie bywał.

A jako to ksiądz ciekawy, wszystko chciał wiedzieć o téj rodzinie, któréj dawniéj był przyjacielem, zlazł zaraz z wozu. Zsiadł téż i rotmistrz z kulbaki i rzecze:

— Ale to jegomość masz wóz ładowny nie lada. Zapewne z kwesty?

— Jakoby z kwesty.

— To już po dwóch jeździcie? no, no! i w klasztorach się moda zmienia, jak widzę.

Uśmiał się gwardyan, a potém rzekł:

— A waszmość sobie krotochwilny jak zawsze. Otóż powiem waszmości, że mówiąc właściwie, to żaden z nas z kwesty nie jedzie. Mnich *ex ordine mendicantum* jest zawsze na kweście. I od waszmości byśmy co wzięli.

— Kiedybym dał, — rzecze rotmistrz, — ale mi się to nie śni.

Bo ja jestem teraz także *ex ordine*, chociaż nie *mendicantium*, to *acceptantium*, żeby jeno byli *dawantes*. Aleć jak widzę już ich ród cale wyginął, bo nawet i ci nie oddają, którzy są winni. No, ale zkądżeż to waszmość jedziesz?

— Jam jeździł za sprawami klasztoru, a kolega mój był jakiś czas u naszego brata, z którym się modlił. Zjechaliśmy się, a co nam dano, to sobie pomaleńku wieziemy.

— Pomaleńku, — rzekł rotmistrz, spoglądając po wozach, — i nie bez racyi, bo z taką ekspedycyą trudno pojechać prędko. Nieźle się to, jak widzę, jegomość frater i modlił, kiedy tyle wymodlił...

A tu zaraz dodał:

— *Salvo honore* waszmości. No, ale cóż tam wieziecie? Niéma tam co? (a tu wskazał na gardło), bo to bernardyni także nie śpiéwają na sucho, a u mnie w manierach pusto, jako u mego pachołka we łbie, i nie napełnię ich aż kędy w jakiém miasteczku.

— Pusto téż u mnie, — powiedział gwardyan, widząc aż trzech kompetentów odrazu, — a zkądby się wzięło?

— Ej! mój księżuniu! pono mijasz się z prawdą, bom już sam widział beczki na tamtym wozie, ba i tu jakieś antałki.

A ksiądz na to:

— To dziegieć jest, panie bracie, do smarowania wozów i na lek od zimnicy, a w drugich beczkach to oléj.

— Cha cha cha! — śmiał się rotmistrz, — nie mnie to bratku pleść takie rzeczy! Woziłbyś téż dziegieć ze sobą albo i oléj, mogąc dostać kordyałów!

— Ale niéma, z pewnością niéma... a choćby było, tożto święta jałmużna. Nie godzi się jéj wytraktować.

— Ot! to mi racya. A czy to żołniérz nie wart jałmużny? Pokażno, pokaż, bo i sami znajdziemy.

Patrzył tedy gwardyan na niego przez chwilkę, a potém rzekł:

— Jużci trudno zaprzeczyć, że znalazłby się tu i napitek, bo nam nasz brat darował beczułkę miodu; ale jakże się napić, kiedy beczka zaszpuntowana na śmierć?

— Oh! otóżto sztuka! Chłopię! wyjmijno z torby świderek!

— A co to waszmość myślisz? beczkę mi wiercić?

— Otóżto rzecz! dałby się napić, a beczki nie da przewiercić!

— Ale bo mi waszmość miód cały wypuścisz.

— Nie miéjże mnie, księżuniu, za chłystka, — rzecze mu Wiszowaty, — bom to już przecie nieraz miał do czynienia z beczkami.

A tu mu chłopię już podało świderek i rurkę blaszaną cieniutką, co to już mieli hultaje jakby na to zrobioną i ze sobą wozili.

— Widzisz więc, mój jegomość, — rzecze mu rotmistrz, — że są instrumenty do tego jak trzeba. Zastrużże, chłopię, kołeczek żeby było czém dziurę załatać. Kędyż ta beczka?

— Ej! nie dam ja beczki dziurawić, — powiada mnich.

— Jegomościuniu! — odpowie rotmistrz, wąs jeżąc srodze, — nie żartujże z żołniérzami, zwłaszcza gdy pragną.

— Napaść czysta na drodze! — rzecze niby pochmurno bernardyn, — cóż już i robić z waszmością?

A to mówiąc, zaprowadził go do tamtego wozu, który był na przedzie, i przez drabinkę wskazał mu beczkę dobrze upakowaną w siano, mówiąc do tego:

— Pijże już co się podoba i niech ci będzie na zdrowie, jeno mi choć nic nie wypuść na ziemię.

— Ou! to tu téj beczki gmach! — rzecze rotmistrz, — nie zaszkodzi, kiedy się i moje chłopięta napiją.

Jakoż zaraz dziurkę przewiercił, włożył rureczkę, przysiadł na ziemi i pije. Pociągnął raz dobrze, ba i drugi nie zgorzéj, — ale przy trzecim zerwie się nagle i gębę rozziawił okrutnie. A tu bernardyn aż się trzyma za boki, frater się krztusi na wozie, ba i chłopi się śmieją na głos.

— A czém ty mnie księże napoił?—zawoła rotmistrz,—smołą jakąś albo i lepiéj!

— Dziegciem! dziegciem! — powiada gwardyan, a nie mówiłem tobie, że wiozę dziegieć a oléj?

— A co tobie przyszło do głowy!? — zawoła rotmistrz, patrząc srogiemi oczyma na księdza, a gębą mlaszcze i rękawami usta wyciéra.

Gwardyan zaś na to przystąpił k'niemu, położył rękę na jego ramieniu i mówi:

— Nie pożądaj, pyseńku... wiész czego? wszystkiego, boć to jest w przykazaniach. — A ja ci mówię, nie pożądaj nigdy bernardyńskiéj jałmużny. Bo chociażby mi gdzie i największych specyałów dano, tożto nie na to, abym je roztraktował po drogach, jeno ażebym niemi pożywił ubogą gromadkę bogobojnych żebraczków...

Spojrzy tymczasem po za rotmistrza, a tu przez niezatkaną dziureczkę leje się dziegieć z beczki, jakby woda ze studni. Już się go ze trzy garnce wylało. Skoczy bernardyn; przytyka palec, ale jakoś nie trafił, jeszcze się cały obryzgał. Nuż tedy rotmistrz z kolei w śmiéch. Gwardyan woła:

— Chłopię! dawaj kołeczek!

— Nie daj! — powiada rotmistrz.

Gwardyan już całą dłonią zatyka, prosi na miłość Boga. Nadarłże się jeszcze z nim rotmistrz do syta, naskrobał mu marchewki do woli; aż téż nareszcie dał się uprosić i zabili tę dziurę. A tak i krzywda się wyrównała, ba jeszcze rotmistrz miał się za wygranego.

— Masz tedy, księże! — mówił do niego wesoło, — napiłem ja się dziegciu cokolwiek, brzydki to trunek, niéma co mówić, wżdy mi to nie zaszkodzi. Aleś ty za to wyekspensował się dobrze i Bóg wié na co, bo ani pies tego nie zliże.

A gwardyan smutny był trochę, bo jako dobry gospodarz, co do klasztornéj fortuny skąpy był sobie. Ale nie chcąc tego pokazać, rzekł na to:

— Mniejsza tam o to! toż jeszcze nie wymarli dziegciarze, a pobożni są ludzie, więc mnie wspomogą na nowo. Ale waść'eś się dziegciem opoił po samę szyję. Czegom téż nigdy nie słyszał, żeby człek jaki zacny dziegciu zażywał! Już téż to z waści musi być opój nie lada.

A tak się ubawili obydwa. Ale przecież to rotmistrzowi ten smak dziegciowy jakoś dokuczał w gardle, bo rzekł prędko do bernardyna:

— Dobra jest krotochwila, bo to człeka odżywia, aleć to na tém nie koniec. Dałeś mi dziegciu, dajże zaś czego innego, żeby to jakoś wypłukać.

Tedy gwardyan, lubo może nie z wielką chęcią, dobył jednak bańkę ze starką i dał mu, ale rzekł przytém:

— Daję, lecz proszę o dyskrecyą, bo to jest gorzałka od morowego powietrza, specyał rzadki w tych czasach, a nie mam go tylko tyle.

A to mówiąc, patrzył na swoję bańkę z niemałą trwogą. Ale bodajto nie przychodziło nikomu oddawać się na dyskrecyą żołniérską. Jakoż i rotmistrz nietylko że sam odrazu większą połowę téj bańki wychylił, ale jeszcze i resztę oddał swym towarzyszom. Widząc to, gwardyan już jeno ręką machnął przed siebie i rzekł:

— Jako wieloryb z Jonaszem, tak waszmość obszedłeś się z moją starką. Oddajcież mi choć bańkę napowrót, — rzecze do chłopca.

A chłopiec na to:

— Do trzeciego dnia, mości księżę, wyrzuci wieloryb Jonasza na suchą.

A to mówiąc, schował bańkę do torby. Więc gwardyan już jeno oczyma powodził po tych hultajach, patrząc chmurno przez chwilę, ale i co miał robić? Rzecze więc do rotmistrza:

— Trudno to z wami, jak widzę. Niechże będzie na zdrowie.

— O! jużci będzie! — odpowie rotmistrz wesoło, — żeby jeno czém jeszcze zakąsić.

— A dobrze, dobrze! — rzecze bernardyn, — jeszcze i tego nie stało! Poczekaj waszmość, musisz mi jeszcze zapłacić za to. Więc darmo czasu nie traćmy, a pogadajmy.

A to mówiąc, pociągnął rotmistrza precz po za wozy i tam dopiéro na osobności zaczął:

— Powiédzże mi waść proszę, co tam słychać u stolnikowéj? Już ja tam teraz nie bywam. Jurcia, jak słyszę, wyprawiono do Francyi?

— Oho! — odpowié rotmistrz, — już i miejsce po nim zastygło.

— No, i cóż waszmość na to? dobrze to będzie?

— A kto to wié? Jużci wracają ztamtąd niekiedy ludzie, ale czasem takie diablęta, co to ani do stroju, ani do łoju. A wielka szkoda byłaby tego chłopaka, bo ma niezłe kwalifikacye. Nawet i żołniérz mógłby być z niego za czasem.....

— Jużto żołniérz podobno najprędzéj, jak to widać z owéj tam bitwy z Flemingiem. A to słyszę był rębacz nielada?

— Et! co tam rębacz! W bitwie to nie na chórze. Na chórze śpiéwa najlepiéj ten, który się najlepiéj nauczył, ale ze szablą wygra i taki, który nie miał jéj jeszcze w ręku, bo tu szczęście i krew więcéj waży, jak sztuka.

— No, a cóż stolnikowa na tę wyprawę?

— Ot co! przyjechała, lamentu, hałasu, płaczu bez końca. Rano za mężem, wieczór za synem. A już za synem najbardziéj, bo jéj się zdało koniecznie, że w tém jest czyjaś sztuka.

— A cóż za sztuka?

— Hm! — mówił rotmistrz, — ot! filozofia niewieścia. Więc jéj się zdało, że albo go tam jezuici wysłali, aby go do zakonu namówić, albo że Bobrownicki wyprawił dlatego własnym swym kosztem, aby go okulbaczyć dla siebie, a potém z córką ożenić. Ale się jéj jeszcze lepiéj podobało to drugie. Jakoż dziwnie się na miecznika sierdziła. Znam ja tych Bobrownickich! — mówiła,— Ożarowskiego im się zachciało! Ale nie będzie z tego nic, choćby to była i Drohojowska, choćby i Wiśniowiecka! — Anoż już niewiem, jaka tam cesarzówna przygotowana dla niego. Alem jéj przecie na końcu tę nienawiść dla Bobrownickich wyperswadował, że pojechała do nich, sprawowała się grzecznie i nawet wyraźnie dziękowała za łaski. Zasiadła potém, chciała gospodarować. Ale się prędko namyśliła inaczéj i wyjechała nazad do Brzeżan.

— No, tożto dziwne historye! Zacna to jest kobiéta, niéma co mówić, ale jakoś inaczéj patrzy na świat, niż ludzie. Cóż waszmość na to? wszakże to siostra?

— A co mam mówić? Toż jegomość wiész o tém tak dobrze jak ja, boś tam przecie domowy. Jakoż i ja tak powiadam, że jéj coś przewrócono jest w głowie. Jeszcześ trza wiedzieć waszmości, że i z téj bitwy Jurciowéj była bardzo nierada i nawet się bardzo fukała. Głupie chłopczysko, mówiła, narażać sobie Flemingów! — Jużem téż plunął na to, bo i co mówić!

Pyta się gwardyan daléj:

— Któż tam gospodaruje teraz na téj Ożarowszczyźnie?

— Gospodarują ci co i dawniéj, a miecznik dyspozycye wydaje.

— Hm! a czemuż waszmość tam nie zostałeś, boś mi powiadał, że chętniebyś tam pozostał, aby trochę odpocząć?

— Nie pozostałem, bo trudno było. Trudno się było czego mądrego dogadać z miecznikiem. Nie wiem co jest, ale ten człowiek pono mi jakoś nie ufa. Słyszałem z boku, jakoby mówił żem jest niestateczny. A kiedy ja niestateczny, to już nie wiem

doprawdy, kto jest stateczny. A toż ja trzydzieści lat w jednéj chodzę koszuli i na jednéj siedzę kulbace. Ale niech tam to będzie. Powiadają sąsiedzi, że na Bobrownickiego jeszcze nikt palca nie skrzywił, niechajże i ja go nie skrzywie. Ale tam siedzieć nie będę, chociażbym mógł, gdybym się uparł, boć tam mam przecie pięćset czerwonych. I lepiéj terazby mi tę sumę dzierżawą odtrzymać, niż kiedykolwiek. Bo stolnikowa w Brzeżanach tam niczego nie łaknie. Jurcio zaś także zaopatrzony. Ale co się tam będę na siérocą fortunę łakomił! Wypłacił mi Bobrownicki prowizyą, obiecał nadal także płacić rzetelnie, cóż więc chciéć więcéj?

— No, ale tym sposobem, — powiedział gwardyan, — trudno będzie waszmości przyjść do takiéj dzierżawy. Chyba żeś od kasztelana odebrał swoje tysiąc czerwonych?

— A licham tam co odebrał!

— I tam nic? ale byłeś u niego?

— A jużci byłem, i nawet jadąc do niego tak się zawziąłem, żeby koniecznie to wykołatać, bo mi i podkomorzy nie oddał, co aż nawet niepięknie dla takiego człowieka.....

— Cóż więc kasztelan?—pytał gwardyan, dziwnie tego wszystkiego ciekawy.

— A cóżby? ot jako dłużnik. Przyjeżdżam do niego, mówię: Panie bracie! czas wielki, dawaj moje piéniądze, bo i jabym téż chciał jako drudzy sporządzić sobie dom jaki i zażyć trochę spokoju. A on mi na to: Piotruniu drogi! już mi téż tego nie zrobisz. Mnie tak te wojny zniszczyły, że się opamiętać nie mogę; u mnie jeszcze do dziś dnia prawie puste obory, nawet i nie zasiano. Chybaby mi wieś sprzedać, żeby tobie ten dług wypłacić. Masz ty sprzedawać wieś, to już ja lepiéj zaczekam. Ale mi choć wypłacił prowizyą i jeszcze mi źrebca darował, a już tém mnie po królewsku uraczył. Bo patrzno waszmość, co to za koń! Jak długo cię nogi noszą, jeszcze nie widziałeś takiego konia. Sobolowaty hultaj jako kołpak żydowski, grzywa czarna jak węgiel, oko prawie jak twoja piuska, a co za nogi! a co za krzyż! Kiedy tego konia Chomętowski obaczy, jakbym to widział, zaraz mi trzysta czerwonych położy. Ale żeby mi dawał i tysiąc, nie głupim. Jużem z nim raz cisawego na srokacza wymienił, i co się stało? On na moim cisawym na województwo wyjechał, a ja na srokaczu dostałem po łbie pod Kaliszem, żem się ledwie wylizał. Ale chodźno jegomość i obacz mego sobola zblizka.....

— Potém go obaczymy. No, a cóż podkomorzy?

— A to już pfe! — powiedział rotmistrz, — kasztelan, niech mu Pan Bóg da zdrowie, człowiek poczciwy, nie oddaje, bo nie ma, a kiedy nie ma, to się prosi, a przytém daje co może. Ale ten podkomorzy i nic nie daje i jeszcze mnie do sądu odsyła. A bodajże ciebie zabito! Udławże się już mojém mieniem, ale nie poniewiéraj człowieka!

— No, i tak się to wszystko zakończyło na niczém? Nikt nic nie oddał? a już więcéj niéma co żądać?

— Mam ci ja jeszcze, — powiedział rotmistrz, — tysiąc czerwonych u pani Wysockiéj, która mi jest i współ-herbowna po mężu i sama krewna, bo Wiszowata. No, ale tam trudno było i żądać. Biédna wdowina gramoli się jako może, ale jéj to nie idzie, bo ją i wojny zniszczyły i jeszcze dzieci obsiadły. Chciała mi płacić prowizyą, alem i tego nie brał, bo już to wdowa, a takiéj kiedy nie pomódz, to choć nie szkodzić.

— Hm! — rzecze gwardyan, — toż, jak widzę, zacny jest z waści kawaler. Już mi żal teraz, żem ci się dziegciu dał napić.

A rotmistrz na to:

— Mała to rzecz. Pijałem ja jeszcze i tęższę specyały, kiedym był w niewoli u Tatar, zwłaszcza téż potém, kiedy mnie zdradził ten Murza. A dziegieć to nawet zdrowa jest rzecz, bo to żołądek wyprawia.

Ale ksiądz zawsze swoje. Bo mu to z głowy wyjść jakoś nie mogło, żeby człek, który ma tyle piénięndzy, dał z nich tak dobrowolnie innym korzystać, a sam się poniewiérał po służbach. Rzecze więc daléj:

— Aleś to waść zaprawdę poczciwy aż nadto, że się dajesz tak z własnéj woli obdziérać. Jeszczeż tym zacnym, którzy się proszą, to i nie mówię, ale podkomorzemu, tobym już niedarował.

— Alboż waść myślisz, że ja jemu daruję? A zaprawdę że nie. Dam ja tę summę takiemu, który go zaprocesuje do nitki. Ale ja sam tego nie zrobię, bo mi się to nie godzi. Szewc niechaj buty szyje, ziemianin ziemię niech orze, a rycerz niechaj się bije, niechajże sam będzie święty i przejrzysty jak łza. A palesra to nie świętą jest rzecz, ani téż bardzo przejrzysta. Jawi się teraz niekiedy już i nasze rycerstwo na trybunałach, ale to źle; widać téż z tego, że się już psowa, bo tego dawniéj nie było. Jeno król jeden a drugi hetman mogą sądzić rycerza, a daléj nikt.

— Hm! — mówił gwardyan, zawsze myśląc o swojém, — niéma co mówić. Ale że mi to zawsze jest w głowie, niechże jeszcze to powiem, że już to całe w tém twoje nieszczęście, że ci rodzice twoi pozostawiali same gotowe grosze, a nie zostawili ci wsi. Zawsze to wieś.....

— A jakto nie zostawili! — zawoła rotmistrz.

— Więc zostawili? jenoś ją sprzedał?

— Jakto sprzedał! otóż to rzecz! A gdzieżbym ja ojcowiznę sprzedawał! zamąciło ci się w głowie, księżuniu, czy co?

— Jakże więc? to masz jeszcze i własną wieś?

— Otóż to kwestya! jużci pewno że mam, i taką wieś, jakiéj tu i nie widać nad waszą Nidą. Bo to leży nad Dniestrem jak wół, ziemia w niéj czarna jako twój habit, a tysiąc korcy się w niéj siéwało.

— No, a cóż zaś z tą wsią?

— Ot, coby było? Brat mój w niéj siedzi, który się nie ma gdzie podziać tymczasem. Bo wiédz waszmość o tém, że ja mam jeszcze starszego brata, który się rodzi z Rydzyńskiéj. Więc kiedyśmy się z nim dzielili fortuną, tośmy sobie wzięli porówno i gotowizny i ziemi, ba, co do ziemi to on nawet lepiéj, bo siadł na Podlasiu na pięciu wsiach, gdziem ja zasiadać nie chciał, bo tam pyzy jadają, a ja tego nie lubię. Otóż kiedym odebrał wieś moją nad Dniestrem, tom ją puścił w arendę, a wziąwszy trochę grosiwa, poszedłem sobie do wojska. A tam, poczekawszy niewiele, dostałem się w ręce Tatarom. Siedziałem tam dosyć długo, aż mi się ksiądz trynitarz nawinął, który chodził po bisurmańskich ziemiach, ażeby wyszukiwać jeńców Polaków i o nich rodzinom donosić. Zacny człek bardzo, bodajby był za to zbawiony. Otóż ja temu księdzu dałem na piśmie tę moc, żeby moję posiadłość puścił w arendę na tyle lat, ile potrzeba, ażeby za mnie zapłacić Tatarom. Poszedłże ksiądz i w lot powrócił, przyniósł piéniędzy i wykupił mnie. Kiedym więc wyszedł z niewoli, nie było kczemu powracać; chciało się téż trochę poskubać tatarów, co mi się nadokuczali hultaje; więcem téż sobie posłużył jeszcze jakie lat kilka. A kiedym potém powrócił i chciałem na gospodarstwie osiadać, bal i żenić się zaraz, — bo mi się bardzo była nadała Woroniecka kniahini, wdowa, u któréj gościłem na czas, a którą natenczas chciano rugować z nieboszczykowskiéj fortuny, czegom ja nie dopuścił, — więc kiedym natenczas wieś był z arendy odebrał, właśnie mojego brata wyrugowano z jego majątku. Zawielką gębą tę tam pyzę podolską zajadał i zjadł ojcowiznę do kostki. A tu już dzieci pięcioro i żona wielkie paniątko, bo Moskorzewska. Prosi mnie tedy brat, żebym się nad nim zlitował. Srodze mi to było nie na rękę, bom się już z moją kniahinią był zmówił, ale co było robić? Ma się krew moja poniewiérać po cudzych kątach? Czekaj ty jeszcze lepiéj moja kniahini, a niech się bratu wyrządzi poczciwość. Więcem mu dał tymczasem tę wieś, popóki jakoś z Moskorzewskimi nie przyszedł do ładu i nie poodbierał tego, co mu naobiecywali za żoną. Otóż jak zasiadł wtedy, tak i siedzi dotychczas, a jam sobie służył tymczasem. Przeszłego roku w jesini, kiedy mnie pan Michał Potocki, kochany mój pisarz, co już tak pięknie pisze szabelką, że i lepiéj nie można, puścił nareszcie od siebie, przyjechałem ja tam do brata. Jużem chciał teraz koniecznie w domu osiadać, czego mi téż i pan Michał doradzał, a to podobno raczéj z namowy kniahini, niżeli z własnego serca, bo mi mówił wyraźnie: — Jedź, panie bracie, na zagonie osiadaj a żeń się, bo już i czasy po temu. — Jakoż i ja sam byłem téj myśli. Ale jakże to zrobić? Przyjeżdżam do brata, a on leży obłożnie od kilku lat. Gościec go trapi. Żona się zestarzała nad podziw, skwaśniała w téj biédzie na ocet. Do tego jeszcze i najstarszy syn im się nie udał, bo jest opętany od diabła, a nie ma ktoby

go z niego wypędził. Piekłoż tam w domu prawdziwe, że i patrzéć nie można. Pytam go tedy: — Sprawiłeś co z Moskorzewskimi? Powiada: — Nic. Posiedziałem tam tedy mało niewiele, a potém sam pojechałem do Moskorzewskich. Przyjęli grzecznie, niéma co mówić, obiecali święcie najdaléj za rok. Otóż tak to zostało. Obaczymy co będzie.

Tedy gwardyan już tylko westchnął i rzekł:

— Zacny z waści kawaler. Nie będzie to bez nagrody u Pana Boga. No, a więc potém od brata jużeś waść do stolnika pojechał?

— A od brata,—rzekł rotmistrz,—gdziem téż i nie mógł długo wytrzymać, pojechałem więc zimą do pana Michała, który przyjechał był milczkiem do Sędziszowa. Niémasz i tam wielkiéj pociechy, bo jeszcze to tam pustka jest sroga od owego spalenia, co ten zdrajca Sieniawski poroznosił po jego dobrach. Ale zawsze to panu jest łatwiéj, więceśmy tam około tych zgliszczów jakiś ład wprowadzali. Radziliśmy téż z pisarzem, coby to miało być z tego wszystkiego na przyszłość? Bo to tak przecie nie może być. A żeby już morowa zaraza, toby lepiéj nie mogła grasować, jak ci hultaje Sasi. Palą, rabują, jeszcze i zabijają szlachtę posesyonatów! Czy słychana to rzecz?

A to mówiąc, wąs straszliwie najeżył i patrzył tak okrutnie na księdza, jakoby właśnie na Sasa. Potém zaś mówił daléj:

— Ale to w tém jest sztuka. Bo tu nie idzie o te zabójstwa, ani o te marne rabunki, jeno jest zakrojono na więcéj, jako powiadał pan Michał. Zmowa tu jest między królem a rozmaitą starszyzną, żeby szlachtę wygubić, a co zostanie mało niewiele, wziąć za łeb i opanować na wieki. Taka to zmowa tam jest, o czém szlachta jeszcze i nie wié, ale się dowié na czas. Jakożeśmy się już namawiali cokolwiek, jeśliby temu nie mógł być łeb urwany zawczasu. A takeśmy się tam zabawiali przez zapust.

A gwardyan na to, pomyślawszy cokolwiek:

— Więc to waszmość, jak widzę, i niekoniecznie krzyw temu, że nie możesz odebrać do rąk twojéj fortuny. Zasiadłbyś może na roli, alebyś i wyleciał niebawem, kiedy są takie zamiary?

— W Boskich to jeszcze jest ręku. — powiedział rotmistrz,— żali przyjdzie tak prędko do czego, lub nie. Jam gotów zawsze i temu rad. Byłem téż sobie teraz na Jasnéj Górze, gdziem się modlił do mojéj patronki, a tamem sobie ślubował, że bodajbym nie spoczął, póki siedmiu przynajmniéj Sasów nie dam diabłu na karm za tę duszę stolnika. Jeszczem tam sobie drugie uczynił *votum* względem tego tam zdrajcy..... daj jeno Boże pory potemu. A wreszcie dałem téż sobie tę Matkę Boską poświęcić, co ją noszę na piersiach. A paulini nie chcieli mi jéj poświęcić, dając tę racyą, że pod nią był wygnieciony mój Roch. Powiédzże, księże, jestże to racya?

— A juści racya. — powiedział ksiądz, — bo się herbów nie święci.

— Racya, powiadasz. No, a ja przecież tę racyą obszedłem i Paulinów zażyłem. A to w ten sposób. Wziąłem piłeczkę, co nią około broni majstruję, i odpiłowałem mojego Rocha precz. Potem dałem blachę poświęcić i poświęcono mi ją regularnie. A ja teraz zajadę do miasta, znajdę mistrza potemu i znów dam mego Rocha posadzić na dawne miejsce. A co, księżuniu? rozum na rozum, sztuka na sztukę.

— Ej! figlarz to jest z waszmości,—rzecze bernardyn na to,— figlarz nie lada. Ale czy się to godzi takie wojny prowadzić z rozumem kapłańskim?

A rotmistrz na to:

— Kapłan jest sługa Boży, niéma co mówić, ale jest on także człowiekiem, a więc ma rozum dwoisty, jeden z ksiąg Bożych, albo téż Boski, a drugi ludzki. A więc przed tamtym rozumem czołem, bo inaczéj to grzéch; ale tym niechże się i kapłan nie piętrzy, bo to marna jest rzecz, jako dawno już dowiedziono. I tobie to powiadam, księżuniu, nie piętrz się twoim ludzkim rozumem, bo ani wiész co się stanie, jako więc było z tym dziegciem. Czujże ducha w sobie zawczasu, kręć się pomiędzy szlachtą a noś ze sobą tę rzecz, com ci naprzód powiedział. Niechać orzą i sieją, aby z biédy wyleźli i aby był chléb dla żołniérza, a jak się to stanie, niechaj myślą co więcéj. Niechże więc Boga chwalą i znoszą cierpliwie do czasu, ale fantazyi niechaj nigdy nie tracą. Niech wiedzą o tém, że są którzy myślą i za nich, ale niech nie dufają, że się bez nich zrobi. Niech więc misiurek swoich kurom na gniazda nie dają, a koncerz niech im nie służy za ożog. Celny muszkiecik niechaj zawsze będzie w użyciu i niechaj sarny strzela tymczasem. A kto ma dobrego podjezdka, niechaj go nie prowadzi na jarmark, jeno niech chowa, a kiedy ma jeszcze drugiego, niechaj go da sąsiadowi. A reszty niech się domyśli. Tak trzymaj ducha, mości gwardyanie, bo to wasza jest rzecz. A teraz *Vale!*

— Hm! hm! — mówił gwardyan w zamyśleniu niemałém, — ledwieście jedno skończyli, już poczynacie i drugie. Trzebaż tutaj, jak widzę, jechać do kasztelana i z nim się o tém rozmówić...

— Jedź tam, jedź, — rzecze rotmistrz, — a coś tam i wy uradzicie. Ale teraz już bywaj zdrów.

— Już to, już? — zerwie się gwardyan, jakby się zbudził, — no, a gdzież Pan Bóg prowadzi?

— A co to wiedzieć? jeszczem się nie rozpatrzył, ale gdzieś ja pojadę.

— Ba! podjechać pod chorągiew nietrudno. Ale poco teraz podjeżdżać? Toż to zima za pasem.

— Są, mości księże, wojny takie, dla których zim cale niéma, bo je zawsze bić trzeba. Anoż ja jadę także na wojnę, jeno to

zachowaj u siebie. Ba, i sam jedź, właśnie ta wojna dla ciebie, co ci też powié kasztelan. Bywajże zdrów! A! ale jeszczem zapomniał. Powiédz-no księże, toż to tu kędyś mieszka ten wasz Murża tatarski!

— A czy chcesz do niego zajechać?

— A czemu nie? ludzie go omijają, aleć to tacy i ludzie.

Rzecze więc gwardyan:

— Waszmość miéć będziesz wielką u Pana Boga zasługę, a jeszcze większą kiedy go trochę rozerwiesz. Jedźże więc za tą drogą, na któréj stoimy, a prościuteńko do jego bramy zajedziesz.

— No, to i trafić nietrudno. Powiédzże jeszcze, cóż to za człowiek?

— Ot! biédny grzésznik, dużo biédniejszy od innych.

— A najbiédniejszy przez was! — poderwie rotmistrz, a pogroziwszy mu palcem, dodał: — Ej! skóreczki na buty! tak wy to grzechy leczycie? hę?

Gwardyan jakoś się zdziwił. Chciał jeszcze coś mówić, ale już rotmistrz nie słuchał, bo się już konie jego zrywały. Ścisnął więc księdza serdecznie i rzekł:

— Może się jeszcze ze sobą zjedziemy—toż ja nie jadę za morze.

A potém wsiadł sobie na koń i ruszył. — Gwardyan téż także się na wózek wydrapał i zamyśliwszy się niepomału, w swoję stronę odjechał.

IX.

Jadąc tak rotmistrz—a jechał może za cały wieczór lub więcéj — zaczął już wreszcie dojeżdżać do końca tych pól, które były jakoby stepik maleńki. Już się więc przed nim pojawiły wyraźnie pagórki, a przyjechawszy bliżéj, pokazała się także i wieś. A była to wieś mało kędy w tych stronach widziana; wybiegła z między pagórków po prawéj stronie, poleciała napoprzek w równiny, ba i z oczu zniknęła, nie skończywszy się jeszcze. A we środku téj wsi na niewielkiéj wyżynie zjawił się dwór: zabudowania srogie, mało nie takie jak w miastach, wszystko mur bielusieńki jak śniég, w części tylko pod gontem, reszta pod dachówką. Takież więc mury po jednéj stronie, takie i po drugiéj, pomiędzy niemi przypadzisty dziedziniec, a na końcu mieszkanie pańskie. Budowa także nieszpetna, na podmurowaniach wysokich, na jedném skrzydle niby baniasta, na drugiém także, a w środku korpus strojny w kolumny. Jużci to pewnie był dwór, bo i na to wyglądał; jeno to była dziwna, że naprzekór zabudowaniom innym, haniebnie był zapuszczony, ba, nieledwie w ruinie. Dachów na nim prawie nie było widać, mury czarne jak węgiel, poobdziérane, na nich zielska i chwasty, ba już całe krzewiny rosły sobie wygodnie, jakby na szczeréj ziemi. Na jednéj bani nawet i parę jodeł wyrosło, albo téż sosien, co pospuszczały smętne gałęzie ku ziemi, właśnie jak gdyby rosły na grobie. Ptaki to kiedyś tam ich nasiona zaniosły, a musiało to być już dawno i cale o to nie dbał właściciel, kiedy już tak wysoko wyrosły. Toż i około reszty tego domostwa było tak samo: okna w części powytłukane, parę kolumn zwalonych, mur wyszczerbiony na samém czole, krużganek pękł i zwie-

sił się cały ku ziemi. Zdało się wcale, jakby tutejsze pany wymarły i jeno dusze ich tutaj mieszkały...

Obaczywszy to, rotmistrz, chociaż to jeszcze było daleko, jeno że widać było to przerażające straszydło jakby na dłoni, bardzo się temu zadziwił. Aż przystanął na drodze, aby się temu wszystkiemu przypatrzyć. A patrząc, myślał u siebie: — Jużci tu mieszka Murża, jeśli wierzyć bernardynowi, ale czemuż tak nie dba o rezydencyą? A jeśli tak nie dba o swoje własne mieszkanie, czemu zaś taki dbały o gospodarskie budynki? — Wszakże kiedy tak stoi i myśli, nadbiegają tymczasem bydła z pastwiska. Spojrzy na nie rotmistrz: nowe dziwy! Krowy wielkie srokate, jakie to widać w Żuławach, a tłuste wszystkie jakby karmione na rzeź. Jałowice jak łanie, buhaje jak bawoły, kudłate na łbach, a z podgardłami do saméj ziemi. A jest tego bydła jakoby stado. Nuż daléj owiec pięknych wełnistych moc niezliczona, — nierogacizny gmach, a nareszcie stadnina. A ta już wcale nad podziwienie. Bo to na liczbę jakoby sto, a wszystkie wrone jak jeden, mało który podżary. Wszystkie przedniego zawodu, krwi znamienitéj: matki wyrosłe jak kufy, o łbach maleńkich, szyjach wyniosłych, a między niemi źrebce, że się i napatrzyć nie można. Dosyć to Sobol rotmistrzów był konik nielada, ale jeszczeby zginął pomiędzy niemi. Nuż jak się ta młodzież hulaszcza na skręcie drogi porozbiegała po polach, jak wzięła hasać, łby do góry, chrapy na ścieżaj, grzywy, ogony na wiatr, — już rotmistrz stał jakby posąg, jeno wzrokiem powodził. Aż mu się dusza rozweseliła, widząc te licha tak piękne i tak wesołe.

Ale niebawem porzuciła go ta wesołość. Spojrzawszy bowiem jeszcze raz na ten dwór dziwny, prawie zgroza objęła. Właśnie co słońce zapadło w téj chwili i jeszcze wierzchy pagórków złociło, — cały świat Boży, oblekając się w szaty szaro-błękitne, leżał tu przed nim w takiéj piękności i ciszy, że mu się trudno było nadziwić, — a to dworzysko straszliwe stérczało tam na tém wzgórzu, jakby kto trupią głowę położył, co wyszczérzywszy szczerbate zęby, patrzyła na świat dziurawemi oczyma... Jeszcześ do tego uważał rotmistrz, że ktobądź tędy przechodził albo przejeżdżał, bardzo jakoś pośpieszał. Nadeszedł dziadek żebraczek, obwieszony sakwami, a wspiérający się na sękatym koszturze, jak tylko dwór ten obaczył, zrobił zaraz krzyż święty i pobiegł prędko w swą stronę. Za żebrakiem nadjechał jakiś szlachcic staruszek na szkapie, wlekło się przy nim piesze pacholę, niosąc węzełek na kiju, i ci téż także, jak tylko się dobili do skrętu drogi, zaraz się oba żegnali, pośpieszając czemprędzéj. To znów na drabnym wozie wracali chłopi gdzieś od Wiślicy,— a ci już wcale skokiem pobiegli, jeszcze się oglądali za siebie, żali zły duch mieszkający w tym dworze nie idzie w pogoń za nimi.....

Wiedział już rotmistrz po trochę, dlaczego tych ludzi taka w tych miejscach obejmowała trwoga, — wiedział téż niemniéj

o wieściach, jakie o tym szlachcicu i o jego dworze krążyły, — i dlatego to stojąc, jakoś się sam zaczął namyślać: ma-li téż jechać pod noc do tego dworu, albo dać temu pokój?

A były te wieści rzeczywiście niemało dziwne. Kiedyś bowiem przed laty, jak powiadano, szlachcic ten zbrodnię popełnił. Będąc gładkim i młodym, poszedł w konkur o pannę, córkę Morsztyna, kasztelana téj ziemi. Ale poszedł o nią z nim wespół i Drohojowski, syn zacnego regimentarza, a brat podobno dzisiejszéj miecznikowéj stężyckiéj. Z tego współzawodnictwa wywiązały się spory. Ponieważ wszystkie te trzy rodziny były sobie powinowate, więc chciano koniecznie tę sprawę załatwić cicho pomiędzy sobą: ale Domaradzki się zajadł, właśnie jak gdyby go szatan opętał. Naprzekór pannie i jéj rodzicom i wszystkim krewnym, chciał na swojém postawić koniecznie. Wściekał się więc jak opętany, ludzi gromadził i zbroił, groził zemstą całemu światu, wyklinał nawet przeciw samemu Bogu. To téż go Bóg wtedy całkowicie opuścił i oddał diabłu na zamieszkanie. Widząc to, Drohojowscy i Morsztynowie, ażeby nie dać światu ze swoich rodzin zgorszenia, chcieli już szaleńcowi ustąpić. Ale sam regimentarz, lubo już starzec prawie zgrzybiały, oparł się temu, wszystkich za sobą pociągnął i syna z kasztelanką ożenił.

Jak to się potém zrobiło, Bóg tylko wiedział, ale dość że we trzy dni po ślubie najechano nocą na dwór regimentarza, poburzono wszystko do szczętu, poturbowano ludzi, przyczém sam regimentarz utracił życie. Czy był zabity, czy wyrzucony w tumulcie przez okno, czy apopleksyą rażony w téj strasznéj chwili, także się nie wydało z pewnością: ciało jego nieżywe znaleziono pod dworem w ogrodzie.

Czyli ten zjazd zbrodniczy zrobił Jan Domaradzki, czy jego ludzie, czy może wcale kto inny, rozmaicieby było można wykładać, lecz głos powszechny jego ogłosił zabójcą. Wszczął się téż z tego ogromny proces. Drohojowscy, dom możny i rozrodzony, wystąpili z zacięciem: żądali głowy zabójcy, *in absentia* infamii, wiekuistéj bannicyi i żeby jegó cała fortuna poszła w kaduki, albo téż na kościoły. Ale i Domoradzcy, i to wszyscy jak byli: Gryffy, Ostoje, Jastrzębce, Równie i Półksiężyce w podkowie, powstali także za czcią swego imienia i zagrozili prawie wojną domową. Była téż z tego sprawa bardzo burzliwa na chwilę. Ale jak z jednéj strony bernardyni wystąpili jako testamentowi sukcesorowie całego janowskiego majątku, tak znowu prawie w tę samę chwilę nadeszła wojna wiedeńska, — a tak i Drohojowcy i Domoradzcy, mając obyczajem ojcowskim dobro pospólne zakarbowane w swych sercach na piérwszém miejscu, złożyli wszystkie swoje prywaty. Tak owa głośna historya zrodziła tylko piękny przykład dla drugiéj braci, a zamierzony proces nawet nie doszedł do sądów...

A Domoradzki zniknął na wiele lat. Gdzie wtedy bywał, nikt nic o tém nie wiedział. Jedni się domyślali, że gdzieś umarł mi-

zernie, — drudzy go powiadali pokutującym w jakimś bernardyńskim klasztorze, — inni ominowali inaczéj, lecz jeszcze inni, którzy tak rozumieli, że człowiek pokalany takim występkiem nie może być tylko sługą diabelskim, opowiadali jako rzecz pewną, że ten srogi zabójca bawi się kędyś w dalekich Węgrzech i tam wysługuje się diabłu za sukurs, dany sobie przy owym zajeździe. Opowiadano nawet, że został pojmany ze zbójcami i stracony w Wenecyi, o czém przyjść miała relacya do kancelaryi królewskiéj. Bardzo się na tę powieść wzdrygniono, rozniesiono ją wszędzie i imię tego człowieka na wieczne czasy przeklęto...

Ale tymczasem po latach wrócił ten Domaradzki. Ledwie temu wierzono, bo téż i ledwie był do poznania. Jednakże ci i owi, przypatrzywszy mu się z daleka, tymże go samym uznali; mówili tylko, że zły duch wlazłszy w niego, srogie w nim dewastacye poczynił. Była téż wielka o to ciekawość, co się z nim wyrabiało przez te wszystkie czasy; ale ponieważ już się go wszyscy raz na zawsze wyparli, a ztąd nikt nie miał odwagi zbliżyć się do niego, więc téż i trudno było czegoś się dowiedzieć. Wiedziano tylko z pewnością, że był u zbójców węgierskich, że się wraz z nimi zapuszczał, brojąc aż do krain weneckich, że tam był pojmany i już miał być tracony; bo to konstatowano w kancelaryi królewskiéj..... Lecz więcéj nic. Aż tu tymczasem dostał wojewoda Tatara jeńca, którego ubrał z cudacka i woził czasem jako pajuka za swoją wielką landarą. Był więc raz z tym Tatarem w dzień odpustowy w kościele, gdzie się téż znalazł i Domoradzki. Wychodzą ludzie z kościoła i on wychodzi, jak zwykle prędko, unikając ludzkiego wzroku. Aliści Tatar, który stał w bramie, jak go tylko obaczył, złożył w krzyż ręce przed sobą i upadł przed nim na ziemię. Wszyscy na to patrzyli, ba i słyszeli na własne uszy, jako powstawszy z ziemi, rozmawiał z nim na chwilę z tatarska. Wzięto zaraz tego Tatara i wypytano: jakoż klął duszę i ciało, że to pan jego dawny, jakoby Murza, który wodził przez czas niemały pułki tatarskie, a któremu on służył. Już go od tego czasu nazwano Murzą tatarskim, lecz pomyślano nieledwie lepiéj: bo czy to ludzka jest rzecz, zabić zacnego regimentarza i miast pokuty, służyć zbójcom węgierskim, zawlec poczciwe imię pod szubienicę, nuż jeszcze potém podejść pod buńczuk tatarski? — Jakoż tak wyiluminowano tę rzecz, jakoby już duch nieczysty miał w nim zamieszkać na zawsze. Bronią go z tego bernardyni jak mogą: głoszą go nawet nad wielu innych pobożnym, ale się ta obrona na nic nie zdaje. Trudno téż można w to wierzyć, po najpiérw: kiedy taki pobożny, czemuż go ci ojcowie nie przyjmą do swego klasztoru, chociaż ich prosił o to oddawna? A potém, toż sami jeżdżą ciągle do niego, ba i mieszkają tam czasem, pędząc z niego szatana dyscyplinami, postem i innemi karami; czemuż go nie wypędzili dotychczas? Nuż więc inne rzeczy, te bydła srogie, te konie wrone, te urodzaje! Wszystko to tam

się winie jak z płatka. U ludzi głód, puste obory, powymiatane śpichrze, ubostwo w polu, tam bogactwa nad podziw, a choćby rok dla całego kraju najgorszy, zboża się walą. A cóż dopiéro i ten sam Murza nie wyprawia ze sobą! Włóczy się ciągle po odpustach i miejscach świętych, modli się niby, idzie na klęczkach do cudownego obrazu, a on tymczasem łowi grzeszników, do swego dworu ich zaprowadza, aby ich jeszcze ku większym grzechom przywodził. Toż i po drodze około dworu a nieraz i na drodze zasiada, dziady tam jakieś przybiegają ku niemu, babska stare obrzydłe, kaléki chrome, garbate, ślepe, on im niby jałmużny rozdaje, a to Bóg nie wié, jaka to tam biesiada. Toż i po nocach już go napotykano na polach, harce jakieś wyprawia: mieni się w lisa, to znów w zająca, to w wiłkołaka, tumany straszne! Zróbcież tylko krzyż święty, wszystko to niknie jak ćma, — a Murza idzie piechotą, różaniec liczy, a za nim wiodą dwa wrone konie. Tożby tu nikt do tego dworzyska nie wstąpił za nic. Ba i przejeżdżać tędy, zwłaszcza wieczorem lub zgoła w nocy, nie jest całe bezpieczne. Niejeden tu już przy tych drogach rozstajnych zwalił się z konia, niejedna oś tutaj pękła, niejedno koło prysło na moście jak szkło, a ilu ludzi, wjechawszy tutaj w te pola, błądziło po nich do świtu, aniby tego wyliczyć. Możnaby się jeszcze daleko więcéj o tych rzeczach dowiedzieć, zwłaszcza poszedłszy między lud prosty, mieszkający w sąsiedztwie...

Ciekawy rotmistrz już się był o tém wszystkiém naprzód wywiedział, więc popatrzywszy teraz przy zmroku na to straszliwe dworzysko, jakoś mrowie go przeszło. Wiedział on wprawdzie i o tém, że roztropniejsi ludzie całe inaczéj rozumieli o tym szlachcicu,— niemniéj on sam skłaniał się także ku innemu wierzeniu, — prócz tego jeszcze miał osobliwe powody poznać się zblizka z tym Murzą, miał względem niego nawet pewne zamiary, jednakże zawsze, zwłaszcza że był już w diabelskich szponach, o czém dość często wspominał, bardzo się jakoś namyślał. Tak sam nie wiedząc coby miał począć, zwróci się jeszcze do swego wyrostka i rzecze:

— Mości Rzepecki! a co waść mówisz? Jest taka mowa, że tutaj diabli mieszkają w tym dworze. Jechaćli do nich pod samę noc, albo dać temu pokój?

— Mości panie rotmistrzu! — rzecze na to szlachetka, — nie wadziłoby widzi mi się i z djabłami się poborykać. W Bogu nadzieja, że nas nie zjedzą, a taka praktyka może się kiedy przydać na Sasów.

A kiedy chłopiec był taki śmiały, trudno miał stary żołniérz się cofać. Jakoż rzekł zaraz:

— Dobrze to mówisz. Jedźmy więc w imię Boże!

Jadąc zaś, tak powiadał:

— Kiedyby do nas co przystąpiło, będzie to sprawa nielada, bo jużem ja się z nimi borykał na Ukrainie. Pan Bóg wyżwolił,

alem się po tych opałach tak haniebnie zchorował, że mi cała czupryna wylazła. Jednakże tuszę że tu tego nie będzie, bo to i dziwni bywają ci nasi ludzie: widzą nieraz diablisko tam, gdzie go nigdy nie było, a nie widzą go tu, gdzie im siedzi na karku...

Na to zaś rzecze wyrostek:

— Panie rotmistrzu! trudno snać mają diabli mieszkać u takiego szlachcica, u którego bernardyni mieszkają, bo jakżeby się ze sobą godzili? Jakoż to pewna, że ich tam niéma. Ale tam gorsza jest rzecz. Bo kiedy ten szlachcic, jak powiadają, służył pod buńczukiem tatarskim, ba i sam jeszcze był starszym, to już diabła nietrzeba...

— Otóż widzisz, — powiedział rotmistrz, — że jest taka rzecz, że jeżeli on był Tatarem, to mi to teraz bardzo może posłużyć. Dawno ja szukam takiego człowieka, coby znał mowę tatarską. Juźcić jeżeli tam tak jest jak ja myślę, to ja i tak jego za wolą Bożą wyswobodzę z téj biédy, ale kiedyby jeszcze do tego umiał mowę tatarską, tobym go wcale jeszcze i wykierował...

A tak jadąc pomału, zajechali przed ganek. Zesiadłszy z konia, szedł zaraz rotmistrz do sieni, a szedł pomału, aby téż widzieć gdzie jest, a nie wléźć w jaki kocioł z kipiącą smołą... bo choć się nie bał nic zgoła, przecie mu owe wieści siedziały w głowie. Aleć już prawie na piérwsze wejrzenie mógł się był uspokoić. Mógł był nieledwie zgadnąć, co tu obaczy, bo tak tu było wewnątrz, jak téż i zewnątrz. Sień prawie ogromna, wysklepiona u góry, wyłożona kamieniem, chmurna, wilgotna jak grób. Przycisnął klamkę po prawéj stronie, komnata dziwnie ponura: ściany poobdziérane, sprzęty podruzgotane, pyłu wszędzie na palec, pająki przędą po wszystkich kątach. Takaż komnata druga, ba i trzecia i czwarta. A cisza wszędzie, jak na pustkowiu. Aż dopiéro w komnacie piątéj cokolwiek ludzi. Zmrok już zaczął zapadać na dobre, więc niełatwo było rozeznać; lecz rozpatrzywszy się, obaczył rotmistrz wszystko jak trzeba. Jakoż i dziwna cokolwiek, co mu się tu pokazało.

Na ziemi, a raczéj mówiąc, na nizkim klocku drewnianym, siedział Murza schylony. Głowę trzymał w obudwóch rękach, łokcie wsparł na kolanach i tak zapadł jak gdyby w jakąś zadumę. Smutna to wszakże być musiała zaduma, bo był do połowy rozebrany, miał na sobie koszulę tu i owdzie, a osobliwie na plecach, jakby we krwi umaczaną... Niedaleko od niego, oparty bokiem o okno, stał mnich bernardyn, chłop barczysty i rosły, który trzymał księgę w obudwóch rękach, kończąc w niéj jakieś czytanie... Zaś na kamiennéj posadzce leżała dyscyplina skórzana, któréj końce dość liczne były w druty poobwijane...

Kiedy to rotmistrz obaczył, dziwnie mu się serce ścisnęło. Już mu się teraz wszystko wyświéciło odrazu. O! jakżeż biédny człowiek! Dwakroć i trzykroć biédny i może już biédniejszego niż

masz na całéj ziemi. Już teraz rotmistrz byłby mógł sam zasiąść gdzie w kącie i zapaść jeszcze w daleko głębszą zadumę...

Ale tymczasem na dźwięk jego butów kowanych obejrzał się bernardyn. I Murża podniósł także głowę do góry, — ale zrazu jak gdyby nie mógł się ruszyć... Wstał przecie wreszcie, ale był tak zmieszany, że nie umiał i słowa wymówić.

Rzecze więc rotmistrz:

— Tak mi się widzi, jakbyś mnie waść wcale nie poznał.

— A jakto? — odpowié Murża, — poznałem waści odrazu. Jeno mnie to zadziwiło, zkądeś się tu wziął tak niespodzianie, właśnie jakobyś upadł z obłoków...

— Dajże to Boże, — rzekł na to rotmistrz, żebym tu w rzeczy upadł jakby z obłoków, bo jako widzę trzeba ci kogoś takiego koniecznie...

Spojrzał Murża z uwagą na niego, ale mu rękę ściskał w milczeniu. Zwrócił się potém do mnicha i rzekł:

— Dał nam Bóg gościa, trzebaby co o wieczerzy pomyśléć...

Kiedy zaś wyszedł bernardyn, rotmistrz zaraz ręce załamał przed sobą i zawołał boleśnie:

— Boże mój wielki! cóż się to dzieje z waszmością, że się tak krwawą karzesz rekolekcyą?

— Cóżby się działo? — powiedział Murża, oczy spuszczając ku ziemi, — modli się każdy Panu Bogu, jak może.

Tedy rotmistrz już tylko westchnął, a tak obadwa przez małą chwilę milczeli...

Wziął wreszcie Murża jakiś kubrak na siebie, oblókł się przyzwoicie i wyprowadził swojego gościa do drugiéj komnaty, gdzie téż niebawem przyszedł bernardyn z kluczami, a za nim przyniesiono wieczerzę. Przy wieczerzy rozmowa. Lecz chociaż i jadło było dość smaczne i miód przewyborny, dla zgłodniałego rotmistrza rzeczy nadzwyczaj miłe, wesołości już jakoś nie było. Mówiono o tém i owém, ale tak jakoś smutnie jeden na drugiego spoglądał, że chociaż potrącono o jaką ważną materyą, przecież im słowa zamiérały na ustach. Siedzący przy nich bernardyn zdrzémał się nawet cokolwiek i tak się kiwnął potężnie, że aż mu rożek wyleciał z ręki. Szkoda to wielka, bo była w nim sandomierka prawdziwa, a prawie wszystka się wysypała. Widząc to, rotmistrz rzecze do niego:

— Jegomość śpiący.

— Mroczy mnie trochę.

— A wiész jegomość, — rzecze mu rotmistrz, — co ja czynię w tym razie, kiedy mnie mroczy? Mówię dobranoc i idę spać.

— Otóż i ja tak zrobię, — odpowiedział bernardyn i pokłoniwszy się grzecznie, poszedł.

Jak tylko drzwi się zamknęły, w rotmistrza zaraz jakby inny duch wstąpił. Wychylił cały kubeczek miodu, przysunął się żwawo do Murży i rzekł:

— Kiedyśmy sami, pogadajmyż rozumnie, bo jako widzę czas na to wielki. Powiédzże mi, mój Murżo, za cóż ty siebie tak dręczysz?

A Murża na to jakoby smutno:

— Grzéchy to, panie bracie, grzéchy! ot, jak to u ludzi zwyczajnie.

— Powiédzże, jakież to grzéchy gniotą ciebie tak ciężkie, żebyś za tyle lat nie mógł ich jeszcze odpokutować?

— Stała się diabłu pociecha, niechże ją sobie trzyma.

— Hm! — mówił rotmistrz, — nie chcesz mi się spowiadać, jakobym właśnie ze złą chęcią przybywał. Otóż ja tobie powiem, że wiem o tych rzeczach i bez ciebie...

— Ot! co mi pomoże' — powiedział Murża, — kto o tém nie wié? Wiedzą téż drudzy i więcéj niżeli było. Ale niechaj i tak! Niechaj już walą na mnie co chcą: niechaj mi będzie i najcięższéj za życia, może lżéj za to będzie po śmierci!

Podobała się rotmistrzowi bardzo tak nizka pokora, jakoż rzekł zaraz:

— Panie bracie! jeżeli ty z serca to mówisz, toż to niezła jest rzecz. Już ty nie musisz stać na ostatniém miejscu na regestrze u Pana Boga, kiedy ci pozwolono obudzić w sobie taką piękną pokorę. Już tedy masz bardzo wiele, — ale zda mi się przecież jeszcze nie wszystko. Jakoż tak myślę, że samiuteńka pokora, choćby i dwakroć większa, jeszcze ciebie nie zbawi...

A Murża na to westchnął głęboko i rzekł jakby z trwogą:

— Czemużto, panie bracie?

— Bo już tak jest! — powiedział rotmistrz dobitnie, — bo jeśli czynem kto zgrzészył, ten tylko czynem może swój grzéch naprawić. Źle się zrobiło, dobrze trza zrobić, aby się szala zrównoważyła. Tęgom ja to rozmyślił, nimem do ciebie przyjechał. A tak ci mówię, jak jest. Wiédzże więc o tém, że ja tu nie z lada czém do ciebie przyjeżdżam, jeno tak: alboś ty jest zgubiony na zawsze, — a wtedy nic, albo jest jeszcze ratunek dla ciebie, a wtedy — ten ratunek dam tobie ja. O! ja, jak mnie widzisz! — A ty się temu nie dziwuj, bom ja także jest medyk i nie jednegom już wyprowadził z choroby. Proste ja daję lekarstwa, ale i te pomagają niekiedy, jako więc zwykle w chorobach. Leczy się kto spirytusami, mało mu to pomaga: przyjdzie baba, przyłoży mu kawał ziemi, anoż i zdrów. Otóż i ja tobie taką przyłożę pokutę i będziesz zdrów!

Słysząc Murża te słowa, uczuł się jakoś dziwnie pochwyconym za serce. Od lat dwudziestu czynił on prawie najsroższą za swoje grzéchy pokutę, — a nie czuł żadnéj ulgi w swojém sumieniu. Od lat dwudziestu, krom dwóch litościwych sąsiadów, którzy jak żebrakowi rzucali mu swego miłosierdzia jałmużnę, żywy duch się nie zniżył ku niemu, aby braterskiém pocieszyć go słowem. Od lat dwudziestu jego dom był jak zapowietrzony, a on sam jak

wyklęty, jak z pod prawa wyjęty, jak bannita w swym własnym kraju. I to wszystko już trwało ćwierć wieka, i trwało ciągle, i najmniejszéj nie było nadziei, żeby się kiedy skończyło. Nieszczęśliwy pokutnik, powalony rozpaczą, żywcem zamknął się w grobie, — sam bez litości nad sobą, katowską chłostą zabijał siebie pomału, — chciał się już zabić czémprędzéj, ażeby uciec z téj ziemi, choćby do czyśca, choćby do piekła, bo już i piekło nie mogło być gorszém dla niego! — tymczasem dziś, o czém już nawet i myśléć nie śmiał, zjawia się przed nim człek zacny, mąż prawowierny, rycerz pobożny, który dom jego nawiédza, sam bratnie ku niemu wyciąga ramiona i jeszcze pewny obiecuje ratunek. Jemu się zdało, że leżącemu w trumnie nagle ktoś wieka uchylił i pokazał świat Boży, najświéższą rozzieleniony wiosną. Co mu się od lat niepamiętnych nie wydarzyło, dusza się jego rozśmiała!...

Wszakże był skromny w swéj pokutniczéj pokorze. Zanadto dawno już stracił wszelką nadzieję, aby mógł wierzyć, że wróci. Zanadto wiele już środków pokuty doświadczał, aby mógł myśléć, że jeszcze są jakie inne...

Jakoż po krótkiém milczeniu, wróciwszy nazad do swego smutku, rzekł do rotmistrza:

— Bóg niech tobie zapłaci za twoje chęci chwalebne. Piérwszyś ty człowiek na świecie, który braterskiém sercem pomyślał o mnie. Ale wiédz o tém, że i najlepsze chęci się tutaj na nic nie zdadzą. Ból i pokora! jeśli to nie pomoże, nic mi już nie pomoże.

— Panie bracie! — rzekł rotmistrz, patrząc na niego z uwagą, — dobre i to, niéma co mowić. Ale ty sam to widzisz, że nie dość na tém. Trza tu coś więcéj; trzeba pokuty, trzeba naprawy. Małoś ty jeszcze pokutował w twém życiu, kiedy Bóg nie wszedł do twego serca z pociechą. Trzeba więc zrobić coś więcéj, trzebaby inną obrać ku temu drogę...

— Małom ja pokutował?! — powtórzył Murza, jakby mówił do siebie, — ażaż to wié kto, przez jakie ja przechodziłem katusze?

I milczał chwilę.

— Małom ja pokutował?! — zaczął mówić na nowo, — ażaż ty wiész o tém cokolwiek? Byłżeś ty tutaj natenczas, kiedy się to zabójstwo spełniło? Słyszałeś o tém? Wiész jak to było? Ja już sam nie wiem!... Wiem tylko tyle, że byłem przedtém takim człowiekiem, jak inni. I lepszym może! Nikt tu z ówczesnych młodzieńców nie miał tyle miłości u ludzi, jak ja. Wyrostkiem jeszcze miałem już sławę wojenną; zaledwiem dojrzał, sprawowałem urzędy. Raj się otworzył przedemną, sięgnąłem ręką po niego. Ale on stanął mi w drodze, hańbę mi cisnął na głowę, podał w pogardę u ludzi! I rozgrzała zemsta w mém życiu, jak piekło. Broniłem się jéj, Bóg świadek; alem był słaby. Był jakiś duch wtedy

we mnie, który mi ciągle szeptał: póty nie wskrześniesz, póki go nie zabijesz. I wszystko mnie do tego nagliło. Kot czarny, który siadywał na piecu, pies, który się łasił koło mnie, koń, który chodził podemną, każdy mi mówił: Zabij! Wichr nawet, który jęczał po polach, dészcz który padał, woda szemrząca na Nidzie, wszystko mi wtedy śpiéwało: Zabij go, zabij! — Jak się to stało, sam już dziś nie wiem... Pomnę tylko jakoby ze snu, że się dom mój jakiemiś ludźmi napełnił, że biesiadowano po wszystkich kątach, że broń ładowano, szable ostrzono na Drohojowskich! Trwało to nie wiem jak długo. Aż jednéj nocy: regimentarz zabity, a Domaradzki zabójcą!...

— Na ten głos straszny, powiadał Murza daléj po chwili, — zerwała się szlachta i wstała. Powiadano że chciała mścić się, dom mój rozburzyć, mnie zabić, trupa mojego powłóczyć. Nie wiem.. jam siedział tedy w piwnicach. Czegom nie znał na życiu, straszliwa trwoga mnie owionęła natenczas. Serce tłukło się we mnie, włosy wstawały na głowie, zimny pot mnie oblewał: ciało regimentarza ciągle leżało przedemną. Skryłem się przed niém pod ziemię, potargałem szaty na sobie, pogryzłem ręce, pokrwawiłem twarz moję: nic nie pomogło!... Straszliwe męki wycierpiałem natenczas: i w piekle nie może być gorzéj!... Aż nareszcie i najechano na dom mój. Tu w tych piwnicach słyszałem gwary tego zajazdu, słyszałem łoskot walonych murów, trzeszczących dachów, upadajacych głazów; wszystko to się waliło na mnie, jakby mnie żywcem chciano pogrzebać. I cisza potém nastała...

— Jam był żyw jeszcze, — powiadał grzésznik po chwili, — żyw i przytomny o tyle, aby pamiętać zabójstwo. Z pamięcią skrucha się obudziła w mém sercu. Wyszedłem z piwnic. Noc była. Jam biegł przez pola, rzucając dom i ojczyznę na zawsze. Biegłem i łkałem jak dziecko. I biegłem wtedy do Rzymu; chciałem się rzucić do nóg Ojcu Świętemu, prosić o naznaczenie pokuty, na absolucyą pracować. Myślałem wtedy: grzéch ten, jak drugi, da się przecież odpokutować. Ale mnie Pan Bóg straszliwie za tę lekkość pokarał, bo mnie nie dopuścił i do Rzymu! W górach węgierskich pojmali mnie zbójcy, zdarli, skrwawili, chcieli życie odbiérać. Namyślili się potém inaczéj, zabrali z sobą i kazali się włóczyć. Straszna to była kara od Boga: zbójca niegdyś z namiętności chwilowéj, musiałem potém żyć z zbójcami, sypiać po lasach, kryć się w jaskiniach, ciągnąć na rzezie i mordy, poić się łzami ludzkiemi, karmić się chlebem skrwawionym! Schwytany potém przez milicyą wenecką, do ciemnicy wrzucony, biczowany przez zbirów, przez lud oplwany, pod szubienicę doprowadzony: udarowany życiem na końcu.

— Uszedłszy ztamtąd, — powiadał daléj nieszczęśliwy pokutnik, — puściłem się pędem do Ziemi Świętéj. Myślałem sobie. pójdę tam, gdzie Bóg żywy największe zbrodnie przebaczył. Pójdę na klęczkach do Jego grobu, będę tam krzyżem leżał na twardych

głazach, będę tych bram przenajświętszych pilnował, będę tam najpodlejszym sługą sług Jego, — a tak po latach, może choć na dzień jeden przed śmiercią, może choć w chwili skonania, uczuję dawną lekkość méj duszy. Ale mnie Pan Bóg i ztamtąd odepchnął! Ledwiem się dobił do Wołoszczyzny, trafiłem zaraz na tatarskie zagony. Zabrany przez nich, zaprowadzony w stepy, jużem był pewny że zginę. Ale gdy Bóg się odwrócił odemnie, to i śmierć mnie nie chciała. Szatan sobie podobał we mnie, i podobali sobie poganie. Nauczyli mnie mowy swojéj i praw i zwyczajów—a kazali się uczyć użytku broni, obyczajów wojennych, położenia tutejszych zamków i grodów. Sam nie wiedziałem co robić i długie czasy milczałem. Lecz potém znowu mnie szatan pokusił. Myślałem sobie: dam się im zażyć, abym ich sam zażył na potém. Zostanę starszym, pójdę do góry, na chana się z czasem wydrapię,—a wtedy albo ochrzczę to całe pogaństwo, albo wygubię do szczętu...

Tu Murza umilkł, — milczał przez chwilę, a potém rzekł:

— Ot! jakie to myśli szalone przychodzą człeku do głowy, kiedy go Pan Bóg odstąpi! Trudno już mówić, co było potém. Wiele to lat upłynęło natenczas, już się i pogmatwały w pamięci. Piekielne męki, jakie mi przyszło przecierpiéć, niechaj będą na chwałę Boga... Jużem téż i powrócił do domu. Gorszym może powrócił, niżelim wyszedł. Bernardyni mi mówią inaczéj, aleć to dobroć tych ludzi... Czuję ja sam najlepiéj, co się we mnie dzieje. Niémasz pociechy we mnie, niémasz tu Pana Boga nademną!.... Widzą to ludzie najlepiéj i uciekają przedemną... Ja sambym uciekł przed sobą, gdyby się to snać mogło bez drugiego zabójstwa. Niechbym choć wyszedł z mojego domu, gdzie mi się wszystko wiedzie do unudzenia, — a jak się wiedzie! Żebym choć jeden rok miał nieurodzajny, żeby mi jedno bydlę upadło, żeby koń jaki zginął, żebym choć kiedy zgorzał, — ni mowy o tém! Wszystko się mnoży jakąś mocą szatańską — ku potępieniu memu po śmierci. Żebym choć na to nie patrzył! Ale i tego nie można. Parę miesięcy temu chciałem nagiemu chłopcu całą darować fortunę, — jeszcze mnie odtrącił. Żeby choć Bobrowniccy... ale i to są głazy. Z Drohojowskimi ani mówić nie było można. A kiedy oni nie chcą przebaczyć, — jakże mi Bóg ma przebaczyć? Ażaż nie powiedziano wyraźnie: Nie zbawię was bez was?

Tu Murza umilkł już całkiem, ale się zdało, jakby po téj spowiedzi przecież był trochę weselszym.

Więc tedy rotmistrz, rozmyśliwszy sobie to wszystko, bardzo się nad nim zlitował. Niepodobna mu było nie wzruszyć się tylu mękami, które ten człowiek wycierpiał, lecz jeszcze większa litość zdjęła go nad nim dlatego, iż te męczeństwa dotychczas żadnéj nie przyniosły mu ulgi. Zdawało mu się nawet, jakby ten długoletni pokutnik, czy to przez wycierpienie takich srogich katuszy, czy przez bezustanne rozmyślanie nad swoim grzéchem, po części

zdrowe widzenie rzeczy utracił; zdawało mu się, jakby i na umyśle trochę podupadł i w swém obłąkaniu szukał tego po bocznych ścieżkach, co można znaléźć tylko na prostym i oddawna ubitym gościńcu. Jakoż zabrawszy głos, tak mówił do niego:

— Straszne są sądy Boże! niéma co mówić. Stawiasz ty temu dowód najlepszy sam sobą. Jakoż cobądźby tu kto na to powiedział, ja wierzę z tobą: że Boska to ręka była, która cię odrzuciła od Rzymu, i Boska ręka nie dopuściła ciebie do Ziemi Świętéj. Ale się nigdy na to z tobą nie zgodzę, żeby ci to nie pomogło. Owszem, jestem ja pewny aż nadto, że jeżeli ci Pan Bóg całkowicie już nie przebaczył, to ci co najmniéj już przebaczył w połowie. I nie powiadaj ty mi, że tak nie jest: bo jakież masz na to dowody? Oto mi mówisz: że ponieważ ludzie ci nie chcą przebaczyć, a więc i Pan Bóg ci nie przebaczył. Aleć to wcale nie mądra, ba i pogańska konkluzya. Ażaż to Pan Bóg mniéj ma mieć miłosierdzia, niżeli ludzie? a gdzieżeś to ty wyczytał? hę?

— Panie bracie! — rzekł na to Murża, — wiem ja ci o tém, że u Pana Boga więcéj jest miłosierdzia, niżeli u wszystkich ludzi. Ale ażeby grzéch był odpuszczony, trzeba koniecznie, ażeby szkoda wyrządzona tym grzéchem była wynagrodzona... Chcę ja to zrobić choć w części, chcę to przynajmniéj uczynić, co jest w mojéj mocy, chcę spadkobiercom nieboszczyka regimentarza oddać całą moję fortunę...

— Proszęż cię, — przerwał mu rotmistrz, nie mówże takich rzeczy, bo to jest tylko mrzonka twego skołatanego umysłu. Ażaż śmierć ludzką można nagrodzić jakiemikolwiek grzywnami? Nie można. A jeśli zrobiwszy źle pewnéj rodzinie, chcesz jéj zaś co dobrego uczynić, co i ja téż ci chwalę, to dlaczegóż się przy tém upiérać teraz, kiedy teraz nie można? Niecierpliwyś jest, panie bracie! poczekaj trochę, przyjdzie czas jeszcze i na to, a z czasem znajdą się i sposoby. Jakoż i o to tu wcale nie idzie. Tu idzie o to, ażebyś ty grzéch przez ciebie spełniony nietylko odpokutował, ale ażebyś się podniósł także z tego upadku, w który cię grzéch ten potrącił. Niéma co mówić, robisz ty wszystko ku temu i nawet dobre obiérasz środki: korna modlitwa i umartwienie, śliczne to rzeczy, miłe Bogu i niezawodnie skuteczne. Ale jeżeli i modlitwa i umartwienie nie pomagają jeszcze zupełnie, wiészże ty, panie bracie, że jeszcze inne są środki? a środki takie, które także są Bogu miłe, a czasem jeszcze skuteczniejsze od tamtych. I środki takie, które sam Bóg nakazuje, i dla których w potrzebnym razie gotów uwolnić od cząstki modlitw i dyspensować od samowolnych umartwień. Cóż to są tedy za środki? Oto dobre uczynki. A pomyślałeś ty kiedy i o téj trzeciéj pokucie?

— Kochany bracie, — rzekł na to Murża, nie moja to rzecz jest wyliczać to wszystko, co się komu dobrego zrobiło. Lecz

kiedy o tém jest mowa, to powiem sumiennie, że i o tém się także pamięta...

— Pamięta się, — rzecze rotmistrz, — nie przeczę temu; ale tak mówię, że się mało pamięta, kiedy nie widać skutków. Biédnych wspomagać, jałmużny dawać, prawić popsutym ludziom morały, piękne to rzeczy, lecz czyny takie tylko zgrzybiałym starcom a sędziwym matronom wystarczą: mąż obywatel, krzepki na ciele i zdrów na umyśle, nie powinien na tém poprzestać. Jeśli poprzestał, baba jest z niego i niech do kądzieli zasiada! A to ci mówię, jak jest. Przejdźmyż więc teraz do innéj materyi, lecz na to, aby znów do téj saméj powrócić. Powiadasz ty mi, że się bracia ciebie zaparli i znać cię nie chcą. Jużci tak jest. Ale tobie się zdaje, iż się ciebie zaparli dlatego, żeś tam kiedyś przed laty zrobił zajazd na Drohojowskich, przyczém człowieka zabito,—a to tak nie jest. Wiész ty więc, czemu się ciebie bracia zaparli? Ja tobie powiem, a wiem to pewnie. Oto dlatego że oni cale nie widzą, dlaczegoby cię mieli nazywać swoim. Posłuchajże mnie. Rodzi się człowiek na téj kochanéj ziemi, czuła mateczka go żywi, karmi, hoduje, zgoła go pielęgnuje jak może. Niémasz już nad nią troskliwszéj matki na całym świecie. Jakie ona ma role, jakie wydaje chleby, jakie pięknіutkie wychowuje bydełka, jakie ma wody, jakie powietrze i jakich innych klejnotów bez miary! A wszystkich tych darów Bożych nikomu ona nie skąpi. Niechże to będzie podrzutek, niechaj występnik, niechaj i zbójca nareszcie, każdy więc u niéj znajdzie przytułek i może ssać u jéj piersi do syta. Który więc wdzięczny jest synek, już tego żadnym sposobem ścierpiéć nie może, aby téż czego nie robił, czémby téj matce nieporównanéj w wychowaniu jéj dziatek a swoich braci nie pomógł. Jeden więc sobie jest kmiotkiem, drugi zaś rzemieślniczkiem, ten traktuje rycerską, tamten sprawuje urząd, ów dźwiga na swoich barkach nieprzeliczone obywatelkie ciężary, inny za łaską Bożą jest stróżem wiary, a wszyscy razem służą swéj matce pismem lub słowem, mozolną pracą. Powiédzże mi, mój bracie, cóż więc ty robisz? Wypasasz krowy, aby się dobrze doiły dla bernardynów!

A tu wstał rotmistrz i przeszedł się parę razy po izbie. Murża milczał w pokorze, więc rotmistrz wrócił i tak znów mówił:

— Za cóż więc ciebie mają ci ludzie nazywać bratem? za cóż się mają garnąć do ciebie, kiedy ty sam się ku nim nie garniesz niczém? Kiedyś przed laty służyłeś w wojsku i sprawowałeś tam jakiś urzędzik; ale potém wyszedłeś z kraju, nie było cię. Wróciłeś i jesteś, ale cóż komu z ciebie? Dbasz o zbawienie duszy, to prawda, — jesteś więc wielkim dobrodziejem dla siebie, — ale dla twoich braci sobek jest z ciebie wierutny. Powiédzże, panie Janie, nie przyszłoż ci nigdy na myśl trochę posłużyć braci?

A Murża na to zawsze jeszcze dość smutnie:

— Ej! mój kochany rotmistrzu, jakżeż téż możesz pytać mnie

o to? czym ja jest jaki wyrzutek? czy téż zaprzaniec? A wszakżeż, Bogu niech będzie chwała, choć przynajmniéj z téj strony nie obrzucono mnie winą. Toż i myśli się o tém, i nieraz! Ale powiédz mi, bracie, mogęż ja o tém myśléć bez grzéchu? Popatrz na ręce moje, zajrzyj w mą duszę. Na rękach krew, na duszy ciężar nieuniesiony. Sprawa pospolitego dobra jest świętą: godziż się do téj świętości przystępować z rękami zbroczonemi krwią?

— Hm! — mruknął na to jmć Wiszowaty, — jest to niby argument, co mi powiadasz. Niéma co mówić: do czystych rzeczy trza czystych ludzi. Jakoż ci powiem, że ten argument bardzo mi się podoba, nie dlatego, żeby był mądrym na każdy sposób, ale dlatego, że on próbuje twoję wielką pokorę. Tedy ja tobie pokorę chwalę, ale argument *nego*. I tak ci mówię, prosto ze serca: Chowaj cię Boże, żebyś ty teraz miał jaką sprawę wedle pospolitego dobra poczynać na własną rękę, albo téż stawać na czele, — to rzecz nie twoja, — ale dlaczegobyś nie miał wespół z mniejszymi posłużyć, tego nie widzę. Pan Bóg jest świętszy, ba przenajświętszy. A kiedy ty się nie wahasz zbliżyć do Pana Boga, kiedy po kilka razy na dzień przystępujesz do Niego to modlitwą, to umartwieniem, to inną służbą: za cóżbyś nie miał jeszcze śmieléj przystąpić do służby około pospolitego dobra? Powiem ja tobie, mój bracie, że niémasz na całym świecie tak popsutego człowieka, żeby tam w jego sercu jeszcze się nie znalazła jakaś cząsteczka czysta: jest to jakoby perła, która nachodzi się w śmieciu; niechaj więc taki człowiek weźmie tę perłę do ręki i niech ją złoży na ołtarzu pospolitego dobra, ręczę ja tobie głową, że nie pogniéwa się za to Bóg. Jasna rzecz. A ja jestem pewny, że takich pereł jest w twojém sercu może i cała garść. I dlaczegóż je trzymasz w ukryciu? Zabierz więc wszystkie te perły, obmyj miłością, namaść je poświęceniem, a wtedy krzyżyk na piersi i daléj w świat! A czas jest bardzo po temu, — winnica nasza stoi na ścieżaj otwarta, — gadu, robactwa, pasożytnego zielska w niéj moc, a rąk niewiele i głów niewiele. A więc co myśléć! Pana Boga na pomoc i w drogę! Nie czujeszże w sobie ochoty?

— Panie bracie, — rzekł na to Murża, promieniejąc cały do niepoznania, — ledwie pamiętam na życiu, żeby mi tak serce skakało do czego, jako do twojéj namowy. Już téż i nie wiem, żali kto z robotników pomniejszych może być przydatniejszym odemnie? Bo niechaj cała moja fortuna w to wsiąknie, niechaj ja sam w tém przepadnę, to ani jedna łza przez to nikomu się nie wyciśnie. Niémasz téż żadnéj takiéj podróży, któréjbym ja z chęcią nie podjął, ani niebezpieczeństwa, któremubym ja w oczy nie zajrzał. I że mnie stać będzie na to, niéma co mówić. Ale jakże to zrobić? Sam ja jestem na świecie, nikt mnie znać nie chce, któż mnie gdzie zaprowadzi?

— Otóż to rzecz! — zawołał rotmistrz, — a jaż od czego?

Dawajże rękę, a ja cię poprowadzę jakby własnego syna. Otóż to rzecz.

— Panie bracie, — zawołał Murża, zrywając się z miejsca, a łzy mając w oczach — zniżyłżebyś ty się do mnie tak bardzo, żebyś mi rękę podał na zawsze?

— Otóż to rzecz! — powiedział rotmistrz, ja ci i rękę podam, i z manowców wywiodę, i przed sam ołtarz cię poprowadzę, a tam cię złożę. I już cię wtedy poprowadzą nie tacy jak ja. A wiész ty, gdzie ja ciebie zawiozę? Do samego pana Michała.

— Do pana Michała! — zawołał Murża i chciał daléj coś mówić, ale już nie mógł, bo się rozpłakał jak dziecko i łkał bez pamięci.

A rotmistrz na to:

— Już więc daj pokój. A co to płakać?... Jeszczeż i mnie do łez przyprowadzisz, a to nie męzka robota. Słuchajże mnie, Murżo, wiészże ty o co to chodzi? Wiész co jest nabite na warsztat?

— Cóżbym nie wiedział? — odpowié Murża, — jużci nie kto inny, jak Sasi.

— A jużci Sasi. Niéma więc o tém co więcéj mówić. Powiédzże jeszcze, znasz ty język tatarski?

— A cobym go nie znał? Mało nie lepiéj jak swój.

— A to *Victoria!* — zawołał rotmistrz, — pan Michał do pułapu podskoczy. I da ci takie poselstwo, albo téż pracę, bo już to potém, że niech się schowa i biczowanie. A kiedy nie, to i tu będzie robota. Tak poszyjem pomiędzy szlachtę, jako szmermele... Ale tymczasem *silentium*. Każ tylko wóz ładować na jutro, wyjedziemy na parę dni, a potém obaczymy co będzie.

Tedy już Murża ledwie się mógł posiąść z radości. Namawiali się jeszcze do późnéj nocy, a rotmistrz jemu powiedział wiele ciekawych rzeczy. I tak mu umiał wszystko wyłożyć pięknie, że go z duszą i ciałem pozyskał. Taki to majstrzyk był z tego rotmistrza, a ktoby się był tego po nim spodziéwał?

X.

A już od owéj chwili minęło czasu niemało, — z dziesięć kwartałów albo może i więcéj, — a o naszych ludziach nic słychać nie było. Gdzieś jakaś wieść głucha, jakiś list niewyraźny, powtarzany z pamięci, jakaś plotka niepewna, roznoszona po dworach; otóż i wszystko...

Ale téż zato do tego czasu postąć sprawy publicznéj zmieniła się do niepoznania.

Najpiérwéj tedy owe wszystkie królewskie trwogi ze strony Turków ustąpiły zupełnie. Karol XII bowiem, nietylko że się od nich nie doczekał upragnionych dla siebie sukursów, lecz jeszcze nadto, niecierpliwością swoją wiedziony, uwikławszy się w swary i bójki, obłożony został aresztem. Stanisław, król także, chociaż już tylko dla formalnego zrzeczenia się swoich praw do korony, puścił się był do Turcyi, przytrzymany w Mołdawii, popadł w detencyą. Tymczasem zaś Chomentowski, wojewoda mazowiecki a poseł królewski do Turek, lubo za poduszczeniem partyzantów szwedzkich, cały rok prawie wysiedział w więzieniach, wydobył się z nich nareszcie i Karłowicki traktat odnowił z Portą po wszelkiéj formie. Tak więc ta sprawa została już cale doprowadzoną do końca, — w skutek czego i partyzanci szwedzcy, albo téż poplecznicy stanisławowscy, jak ich zwano naówczas, wyrobiwszy sobie amnestyą u króla, popowracali i posiadali w swych domach. Tak wrócił wtedy Józef Potocki, wojewoda kijowski, Tarło, kuchmistrz koronny, książę Michał z Wiśniowca, Lubomirscy, Jabłonowscy i inni; toż i pan Michał Potocki, pisarz polny koronny, który i przedtém niejednokrotnie z Benderu do ojczyzny

przybiegał i milczkiem po parę czasów u siebie przebywał, wrócił już także otwarcie i w odnowionym swym dworze na Sędziszewie poczciwym ludziom wrota na ścieżaj otworzył. Już też nareszcie niektórym z tych panów przedtém poodbierane król popowracał urzędy, niektórym innym złożył inne dowody swéj łaski, a tych i owych nawet wcale do siebie przygarnął; zkąd też ominowano około dworu, jakoby zgoda już miała być zbudowana stateczna i spokój domowy utwierdzony na zawsze.....

Aleć to daléj jeszcze było od tego teraz, niżeli w czasach najgorszych.

Mimo to bowiem, że jakaś tam niby wrzekoma zgoda się fundowała pomiędzy królem i niektórymi panami, dawno spowodowany rozbrat między narodem a tronem tylko się jeszcze więcéj rozszérżył. A główny powód do tego był jeszcze zawsze w tychże samych uciskach, któremi wojska królewskie już od lat tylu gniotły kraj cały, a które, zamiast się zmniejszyć z wzrastającém bezpieczeństwem od nieprzyjaciół zewnętrznych, jeszcze owszem témbardziéj się pomnażały. Jakoż już dzisiaj konsystowały w kraju nietylko te tam przeróżne gwardye i drabanty królewskie, nietylko te saskie pułki, które zostały oddane pod buławę hetmańską, ale naprowadzono jeszcze piętnaście tysięcy samych wojsk saskich, wzięto na żołd parę pułków zaciężnych, pożyczonych przez króla od książęcia de Anspach. To też i ucisk ten przeszedł wszelkie oczekiwania. I nie ominął on żadnéj prowincyi, żadnego choćby odleglejszego zakątka, można nawet powiedzieć że żadnéj wioski, — jeżeli zaś ci i owi panowie, mający łaskę u króla, powyrabiali u niego tak dla siebie jak i dla swoich krewnych libertacye od tych ciężarów, toż jeszcze przez to, im więcéj fortun rozległych było libertowanych od konsystencyj i poborów wojskowych, brzemię ucisku tylko tém mocniéj dało się czuć panom niemiłym królowi, szlachcie pomniejszéj i ubogiemu ludowi. Pomimo to tedy, że cały kraj zubożony tyloletniemi wojnami, nawet i w najbogatszych swych ziemiach nie był już w stanie tych nieskończonych ciężarów ponosić, zdarzały się jeszcze i okolice takie, na które się zsypywało wojska w dwój i trójnasób więcéj niżeli go było gdzieindziéj, niżeli go nawet mogły pomieścić istniejące budynki. A z tych znów przyczyn wywiązywały się nowe i jeszcze daleko sroższe uciski. I tak najpiérwéj owe nadliczbowe komendy, nie mogąc znaléźć pomieszczenia dla siebie, wyciągały na zdobycz, płókały sobą wioski i miasta, najeżdżały na dwory, rozbijały śpiżarnie, biorąc, rabując i uwożąc ze sobą to wszystko, co mogło przynieść jakikolwiek pożytek. Nie oglądano się wtedy już na żadne taryfy, nie szanowano żadnych nawet już w niebogłosy o litość wołających okoliczności, konającemu z głodu wydzierano ostatni kawałek chleba i zostawiano w objęciach śmierci. Z drugiéj zaś strony komendy inne, które miały swe konsystencye stałe i zamieszkane przez siebie, z obawy w części przed swymi

własnymi towarzyszami, ale podobniéj jeszcze przed uciśnionym ludem, którego do ostatniéj doprowadzili rozpaczy, okopywali się we wsiach i miastach, zniewolonymi ludźmi stawiali bramy warowne, zbite z tramów dębowych rogatki i budowali nawet wcale kosztowne dla siebie samych mieszkania. A wszystko to działo się kosztem szlachty i ludu, o których dobrą wolą ani pytano, wyrąbując piérwszym starannie dotąd dochowywane lasy, zabiérając materyały gotowe i sięgając nawet do skrzyń i kalet,— drugich zaś gwałtem spędzając ku sobie i niewoląc chłostami do robót, bez najmniejszego względu na gospodarstwa ich własne i obywatelskie potrzeby. A kiedy się taki nowy rząd i ład zaprowadzał powoli, w koronie pod komendą generała Eckseta, a w Litwie pod komendą Wejssenfelda książęcia, — na Wołyniu znów i Podolu konsystujące wojska kwarciane byłyby cale wymarły z głodu, gdyby się także obyczajem królewskich Sasów nie były żywiły gwałtem, najazdami na dwory i ciężkim ludu wiejskiego uciskiem. Tak więc nareszcie przyszło do tego, że Rzeczpospolita poczęła odbiérać krwawe nagrody, jakoto: głód, spustoszenie, barbarzyńskie uciski, a za tém wszystkiém niemal pewny już widok zniszczenia wszystkich narodowych praw i wolności. Jakoż istotnie już temi czasy zaczęły się zwolna rozchodzić wieści od dworu, jakoby było życzeniem królewskiém zaprowadzić sukcesyjność swojego domu na polskim tronie, a przynajmniéj na teraz uskutecznić elekcyą swojego syna.

Słysząc to i widząc, jakeśmy byli po wszystkie czasy burzliwi i za lada powodem do konfederacyi pochopni, myślałby kto nieznający historyi, żeśmy się wtedy na piérwszy widok tego ucisku zburzyli, że się konfederowano po wszystkich kątach, że się broniono, że bito Sasów po wsiach i miastach, że szturmowano do króla, najeżdżano na senatorów, wyprawiano poselstwa do postronnych potencyj. Nie, gdzieżtam; tego wszystkiego, mimo najkrwawszych ucisków, przez długie czasy nie było. Szlachta polska natenczas, zwojowana piętnastoletniemi burzami, umęczona także tyloletniemi skutkami wojen, tak się w ten ucisk dała zaprowadzić powolnie, a w tym ucisku tak się pomału przyzwyczaiła do dźwigania jego brzemienia, że od saméj bitwy połtawskiéj do teraz, prawie przez pięć lat zupełnych, zaledwie więcéj słyszano z ust jéj prócz skargi.

Wszakże niełatwa to była sprawa, a przy takiém rozlaniu się wojsk po wszystkich wsiach i miasteczkach nawet i niebezpieczna. Przy najmniejszém bowiem podejrzeniu tylko o samę niechęć przeciwko Sasom, a cóż dopiéro po dopuszczeniu się jakiego oczywistego przeciw nim czynu, można było być napadniętym w swym własnym domu i albo porwanym na osobiste sądy królewskie, zkąd prosta droga wiodła do fortec saskich, — albo przez wojsko wyrabowanym do szczytu, pokrzywdzonym na zdrowiu, a nawet niby niechcący zabitym. Było już dotąd takich

wypadków zanadto wiele, doświadczano ich nawet na najmożniejszych w kraju osobach, ażeby nie miała o tém pamiętać drobniejsza szlachta, nie znajdująca w swém osobistém znaczeniu żadnéj strony, a stanowiąca miazgę narodu. Wszystko to tedy, co przedsiębrano w celu wzburzenia odrętwiałych serc i umysłów, działo się bardzo pomału, bardzo ostrożnie i potajemnie. Jakoż i dziwna jakich niejednokrotnie używano do tego środków, osobliwie względem pomniejszéj szlachty.

Tutaj więc pielgrzym idzie pobożny, wstępuje sobie po dworkach, zasiada w kółku rodzinném i w obec wszystkich opowiada świętobliwe historye o Lorecie, o Rzymie, o Compostelli, lecz odsunąwszy się z gospodarzem na stronę, cale tam inna rozmowa. A inną drogą wlecze się rybałt wędrowny, ten pieśni śpiéwa i zrazu same pobożne wywodzi kanty: lecz kiedy ujrzy, że jest między swymi, znajdzie pieśń inną; więc o szlachcicu zaspanym, z piérzami na łbie, w podartych szatach i ziéwającém obuwiu, co niesie owies na plecach do koni saskich, — to znów o drugim, co czyści buty wielkie dragońskie, nogą dziecko kołysze, a żona jego siedzi z żołnierzem na progu, — to znów o Jabłonowskim na Koenigsteinie jęczącym w dybach niemieckich, — to inne. Drugi téż Rybałt ma i podobne obrazki, a piosenki wydrukowane, i to zostawia po sobie. Więc kiędyindziéj żołnierzyk jedzie, oficer piękny kwarciany, ba, i z luzakiem; ten znów do większych wstępuje dworów, przy oczach ludzkich powiada się wysłannikiem hetmana do króla albo innych panów, ma nawet i *Credentiales* na piśmie, — lecz kiedy pora potemu, wydaje się cale innym wysłańcem, powiada rzeczy dziwnie ciekawe i zajmujące, ba, i listy oddaje od którego z możniejszych panów do jegomości. Otwiéra szlachcic te listy, prostuje je na kolanie, czyta po słówku, dziwi się bardzo, bo i jest się czemu zadziwić: „Wielmożny panie! mnie wielce miły dobrodzieju i bracie! rzeczy to takie a takie," — pisze ów pan znamienity, książę, wojewoda, kasztelan i opowiada wyraźnie: — „jakie się dzieją eksorbitancye, *gravamina* nieskończone na szlachtę, złamanie *pactów conventów*, podeptanie praw kardynalnych." Powiada daléj delikatnym sposobem, że się już radzi około tego pomiędzy starszą bracią, że się pracuje i że jest pewna w Panu Bogu nadzieja. „Ale ponieważ i Pan Bóg tym tylko pomaga, — stoi tam daléj w tych listach, — którzy sami pamiętają o sobie; więc budź tam, kochany bracie, ducha około siebie, miéj podjezdka pod ręką, szabelkę szlifuj, a i szturmaczek jaki niech będzie. Nie myślimy my jeszcze wszczynać wojny domowéj, burzyć się zbrojno przeciw majestatowi, aleć to dawny u nas obyczâj choćby i z prożbą przychodzić, to zbrojno, a choćby na nabożeństwo, to konno." — Więc kiedy szlachcic takie ciekawe rzeczy wyczyta w listach, zwłaszcza, że napisane tak pięknie, to i co robić? — powiada, — jużci ja nie ostatni! Więc znów na innym dworze jawi się kwestarz pobożny, — tu jakiś szlachcic ja-

dący niby za służbą, — tam pan znamienity w własnéj osobie, — tutaj znów chudy pachołek, — i jako kto może tak szérzy stugębną skargę na niesłychane uciski, na pogwałcenie pactów. A u wszystkich głos słychać jeden; więc żeby się w téj materyi jakoś zrozumiéć ze sobą, upomnić się o te krzywdy, a prosić króla choćby na klęczkach, aby pozostał w swych prawach a narodowych nie tykał, aby sejm zwołał, wojska swoje wyciągnął i dawny zaprowadził porządek; a kiedyby to nie skutkowało, żeby więc o czém inném pomyśléć, — boć to nie rzecz jest germańskiemu paniątku najechać ziemie słowiańskie i gospodarzyć w nich obyczajem niemieckim!

Tak więc nakoniec zaczęła się przecież szlachta rozbudzać z tego uśpienia, ba, już nieledwie z nieczułości kamiennéj. A obudziwszy się, zaczęła myśléć o sobie, poczuwać się w dawnych siłach, zjeżdżać się z sobą i radzić. Zaczęto także i tu i owdzie odprawować sejmiki z limity, zbierać się na nich gromadnie, a pod pozorem narad nad taryfami poborów i wyżywieniem wojska, radzono milczkiem, jakby i taryf i tych wojsk wszystkich całkiem się pozbyć z swych karków. Pod tymże samym pozorem sejmików zaczęły już tu i owdzie całe województwa się zbiérać, broń ostrzyć, koni dosiadać i wojenne rozwijać sztandary.

Jednak w tym piérwszym podrywie do opozycyi przeciw machinacyom królewskim, nie zdobyto się jeszcze na więcéj, jak na wysłanie posłów do króla, którym powydawano rozmaite instrukcye, według fantazyi i ducha rozmaitych województw. I przyjechali ci wysłannicy do rezydencyi królewskiéj i byli przypuszczeni do króla, — ale nic nie sprawili u niego. Nie mogło to nawet inaczéj być. Umysły bowiem, jak całego narodu tak i tych posłów, były już wtedy tak rozdrażnione, — a król był znowu ze swojéj strony tak przeciw narodowi zawzięty i zadufany w siłę swojego wojska, że porozumienie się zgodne okazało się prostém niepodobieństwem. Jakoż gdy przyszło do posłuchania, to lubo to się działo w obliczu tronu, Ciechanowiecki, poseł od wojska, perorował przez całą niemal godzinę z taką cierpkością, jak gdyby już ostateczna z niego mówiła rozpacz,—Górski, wysłannik żmudzki, począwszy mówić, łzami się zalał i zamiast mowy, oddał królowi swoje własne instrukcye, — a Wolski, poseł kaszubski, widząc już dobrze, jakiém to sercem król te skargi przyjmuje, tak się uniósł w swojéj oracyi, że nawet proste przeciw królowi wypowiedział bluźnierstwo. Słysząc to król, zerwał się z tronu i tak się gniewem zapalił, że kazał imać te posły, sądzić o zdradę główną, w dyby zakować, do Saksonii odwozić; szczęście, że podkomorzy litewski ostrzegł ich o tém natychmiast, a tak znaleźli dość czasu i braterskiéj pomocy, aby pouciekali z Warszawy.

Bardzo się tedy misya ta nie udała. Ale téż za to wiadomość o tém cale już inną fantazyą obudziła po województwach. Już nie wysyłano posłów do króla, lecz wyprawiono drugie do

Szembeka prymasa i Sieniawskiego hetmana, prosząc tych panów usilnie, ażeby jako piérwsi senatorowie Rzeczypospolitéj (hetman był razem kasztelanem krakowskim) coś stanowczego już uradzili; więc żeby wojsko spisało się w związek, a województwa żeby pod bronią stanęły, jako na pospolite ruszenie. A kiedy się to stało, żeby więc ci panowie rozmówili się z królem około téj całéj sprawy, — a już natenczas niechby sam Pan Bóg zarządził, coby się miało z tego wywiązać na potém. Szląc zaś te posły z taką instrukcyą, rozkazano zarazem powiedzieć tym panom, że kiedyby to uczynili dla kraju, toby im województwa za tę przysługę zsypały dary bogate i miałoby to być złotemi głoskami wyryte w księgach historyi na zawsze.

Więc tedy Szembek miał dobre chęci, bo i zacny to mąż był, ale się niedość dobrze zabrał do téj roboty. Zbytecznie bowiem dbały o dobro swe własne, a podobno i niemniéj o całą swoję rodzinę, zamiast się znieść natychmiast z hetmanem i innymi panami, udał się z prośbą i demonstracyami do króla. I może on tam mówił dosyć wyraźnie, może i wcale gorąco obstawał za prawami narodu, ale to jak publicznéj sprawie nie przyniosło żadnego skutku, tak dla niego samego jeszcze spowodowało zgryzotę. Król bowiem, wysłuchawszy go cierpliwie do końca, napisał mu potém list takowego tenoru: że kiedy odstępując brewiarza, zaczął się mieszać w sprawy publiczne, to i z nim krucho być może i nawet będzie. Więc tedy prymas, odczytawszy to pismo, poszedł zaraz na stronę i dał temu pokój na teraz.

Hetman zaś wielki koronny w piérwszym momencie, sam nie wiedział co robić, jako więc zwykle było u niego. I chciałby był sprawić co niezmiernie sławnego — i bał się. Powiadali potém posłowie, że była w nim zrazu dość żwawa ochota, — ale się bardzo jakoś namyślał i tak wyraźnie, jakby mu co stawało na drodze. A tu rzecz jasna co było: zdrowy rozsądek mu mówił, że trzeba stawać z narodem, — i serce go pociągało ku temu, z téj mianowicie przyczyny, że już odawna, choć potajemnie, był niechętnym królowi, — ale wrodzona trwożliwość, a jeszcze więcéj wyrobione z latami sobkostwo, za obiedwie go poły trzymały. A na coby on miał stawać z narodem? Żali w tém miał co do zyskania dla siebie? Tak sobie myślał zapewne, bo i taki był człowiek. A tu tymczasem posłowie naglą, demonstrują wymownie, modlą pokornie. A on tych posłów dusi przy sobie, raczy od serca, ale koloryzuje; rano powiada tak, w wieczór inaczéj. Jużby się było drugim i znudziło takie mazgajstwo, ale ci siedzą, bo i sprawa to ważna i mają nadzieję rozmaitych dla siebie sukursów. Jakoż istotnie nieledwie codzień ktoś się odzywa za nimi. To książę wojewoda krakowski, pisze list bardzo serdeczny za sprawami narodu, to znów Lubomirscy, to Tarłowie, to inni jawią się osobiście, długie mają z jegomością narady, a wszyscy go nama-

wiają ku temu, ażeby z wojskiem wystąpił, aż tu nareszcie i przyjeżdżają posły tatarskie.

A to już było nad podziwienie, bo się i niespodziéwano z téj strony niczego. Ale tak było, bo i wszyscy widzieli. Tatarowie przysłali Murzę dosyć znacznego, a z nim i świtę, jak na poganów, dosyć przystojną. Brzydki był hultaj ten Murza, ale bardzo poważny. Mąż, jak się zdało, już podstarzały, niebardzo ogromny wzrostem, ba prawie nizki, ale potężnie barczysty. Miał zaś te barki podniesione tak bardzo, że wyglądał jakby garbaty, a między niemi siedziała głowa, wielka jak dynia pomierna, a prawie całkiem graniasta. Z téj to zapewne przyczyny jakoś tak dziwnie patrzył z podełba, że aż mrowie wskróś przechodziło; zwłaszcza że i twarz miał chropowatą haniebnie, nos na niéj krótki, oczy wpół przymróżone, a koło prawego oka miał bliznę, pomarszczoną jak od postrzału. Trzebaż mu było jeszcze nosić brodę strzępiatą, aby już wcale na straszydło wyglądał. Ale był ubrany bogato, obyczajem tatarskim, lecz strojny,—a wjeżdżał na dziedziniec zamkowy na koniu wronym zadziwiającéj piękności. Była téż z nim i świta, kilku starszyzny dość pięknéj, ale już reszta hultajstwo, jak to więc w wojsku tatarskiém. Więc kiedy wjechał (a już był meldowany z noclegu), w ganku od Granowskiego z dystynkcyami przyjęty, zaraz szedł przed hetmana. Więc tedy hetman z nim przez tłumacza rozmawiał, zkąd się téż prędko ku niemałemu zdziwieniu dowiedział, że chanowie tatarscy, krymski, przekopski i wszyscy, przysyłają z zapytaniem do niego, co się to dzieje dziś w Polsce? Doszły ich bowiem wieści nieomylne, że król występuje jawnie przeciw *Pactom Conventom*, że wojska trzyma wielką moc w kraju, że naród gnębi, że myśli zniszczyć na zawsze wolne elekcye, sejmiki, sejmy i zgoła wszystkie prawa najstarsze. Więc się chanowie hetmanowi kłaniają, a tusząc sobie, że między narodem a królem przyjdzie do wojny otwartéj, ofiarują swe służby i wszelką pomoc przeciwko Sasom. A potém poseł złożył pisma tatarskie od chanów, w których to samo stało dosłownie. Więc tedy hetman był z jednéj strony bardzo rad z tego, bo mu się podobało, że go tak honorują i że mu siły tak znaczne dają do dyspozycyi, ale znów z drugiéj strony znalazł się w wielkim kłopocie ba i we wstydzie, bo czy nie wstyd to haniebny, żeby się pierwéj poganie ujęli za sprawami narodu, niżeli ten, który jest piérwszym ich stróżem? I znowu hetman nie wiedział coby miał począć. Modlili go teraz jeszcze daleko lepiéj posłowie, ba naciérali na niego, osobliwie téż Bobrownicki Stefan, brat Jana a starosta przeborski, prawie mu zdradę wyrzucał; ale i to mu nic nie pomogło, bo już takiego człowieka, który nie ma miłości nic nie przekona, chyba złość jedna go zmoże. Jakoż i tak się stało...

Lecz powiadając porządkiem, trza najpiérwéj nadmienić, że hetman temu tatarskiemu posłowi dał dosyć mądrą odprawę. Albowiem przed wszystkiem inném udarował go bardzo hojnie, ra-

czył po pogańsku, a potém, wypisawszy moc komplimentów dla chanów, dziękował im za uprzejmość; lecz co do owych sukursów prosił wyraźnie, aby się z niemi wstrzymali, a kiedy tego będzie potrzeba, to on ich o nie poprosi przez posła swego umyślnego. Odprawiwszy zaś tego Tatara, z takąż samą mniéj więcéj odpowiedzią odprawił i posłów polskich, a sam wsiadł zaraz i do Warszawy pojechał.

Po co on tam pojechał, — czy żeby bliżéj się dworskim zamiarom przypatrzyć? czy aby się porozumieć z innymi panami? czy może właśnie, aby się tam przed natarczywością narodu uchować? — trudno to zgadnąć, to tylko pewna, że zamiast z niczém odjechać do domów, pojechali tam za nim posłowie. Mieli oni tam także swoich przyjaciół i nawet dosyć potężnych, a tak myśleli, że za ich pomocą może prędzéj co zaradzą. Jakoż nie oszczędzali pracy i prawie wszystkie możliwe środki już poruszyli, ale i tak jeszcze byliby nic nie sprawili, gdyby im nie był przyszedł na pomoc taki przypadek, że hetman wkrótce jak do Warszawy przyjechał, osobiście podarł się z królem i cale się z nim rozdwoił.

Stało się to zaś prawie z następujących powodów.

Kiedy król August Alt-Ransztadzkim traktatem złożył był polską koronę, a hetman wielki koronny, ufny w swą możność i obiecaną pomoc od cara Piotra Wielkiego, począł był czynić zabiegi o tęż koronę dla siebie; rzecz oczywista, że wtedy prowadził niemal ze wszystkiemi dworami gęste korespondencye, w których, jak to już samo ze siebie wynika, czernił króla Augusta, co mu sił i konceptu stawało. Zabiegi te, dość może żwawe ale całkiem niezręczne, jak to wiadomo, nie przyniosły żadnego skutku, a August II został o swoim czasie na nowo powołany do tronu. Kiedy ten akt został zdecydowany, hetman Sieniawski już mu się nie sprzeciwiał i wiedział czemu, lecz i natenczas i jeszcze potém, kiedy już August do Polski wrócił, rozmaitych swych machinacyj tajemnych wcale nie przestał, utrzymując relacye pisemne ze statystami całego świata. Czy przez te korespondencye chciał rzeczywiście jeszcze coś szkodliwego dla króla doprowadzić do skutku, czyli je utrzymywał tylko dlatego, żeby i wobec siebie i drugich za wielkiego uchodził statystę, rzecz niewiadoma; pewna jest wszakże, że takie korespondencye się pisywały i w jego kancelaryi istniały. Otóż mało co przedtém (jako to często drobniutkie rzeczy ważne za sobą pociągają następstwa!) zbroił mu był coś jego sekretarz, a on go zgromił i precz od siebie napędził; — pogniéwany zaś za to sekretarz poszedł do króla i oddał jemu te wszystkie korespondencye. Hetman więc siedzi w Warszawie, nie wié o niczém, aż tu jednego ranka król go zaprasza do siebie. Jawi się przed nim Sieniawski, a on się zamyka z nim w gabinecie. Nuż wtedy w niego, gromi okrutnie, zdradę wymawia do oczu. Hetman osłupiał, żegna się krzyżem; lecz kiedy król mu złożył dowody, już i nie było co mówić. Już więc król prawił, co mu się

podobało, a Sieniawski go słuchał cierpliwie. Lecz wysłuchawszy i powróciwszy do siebie, zaraz odesłał posły z zleceniem, ażeby województwa natychmiast na koń wsiadały i rozwijały chorągwie. Sam zaś czémprędzéj pobiegł do wojska.

A królowi ani się śniło, ażeby hetman owę rozmowę wziął sobie tak bardzo do serca. Owszem przeciwnie, tak za te listy zdradzieckie, jak i za nagły wyjazd, jeszcze się bardziéj zgniewał na niego i postanowił sobie tym czy owym sposobem nawet buławę wyrwać mu z ręki. A jako nigdy nie miał zwyczaju chodzić prostemi drogami, tak téż i tu jął się chytrego podstępu. Zwołał więc niby wiernych sług swoich: Rybińskiego generała-regimentarza a razem i wojewodę chełmińskiego, toż Dorpowskiego Ernesta, generał-audytora, a przytém wojewodę łęczyckiego i namówił się z nimi, aby jechali do wojska i zrobili z nim związek; zapomocą zaś tego związku umyślił on zrzucić Sieniawskiego z hetmaństwa, a zarazem i nowy uzyskać powód, bez żadnéj kwestyi dość ważny w oczach całego świata, do zatrzymania swoich wojsk w Polsce na dłuższe czasy. Mądrze to król obmyślił, niéma co mówić; ale niemądrych wybrał sobie do tego wspólników. Ci bowiem obadwa wojewodowie byli ludzie tak prości, że pojechawszy do wojska, całkiem po prostu wyspowiadali się przed hetmanem z królewskiego rozkazu i razem z nim, ba i z wszystkiemi wojskami wystąpili...

A wtedy nie odwlekając, wszystkie już województwa zaczęły wstawać. Więc najpiérw ruskie pod Fredrą, kasztelanem ówczesnym lwowskim, który jako mąż pełen cnót znamienitych, sam jeżdżąc po wsiach, przed wszystkimi innymi swoję szlachtę pozbiérał; więc potém Wołyń, pod Ledóchowskim podkomorzym krzemienieckim, jednym z najznakomitszych mężów owego czasu, który osiem chorągwi swych własnych na tę potrzebę wystawił; nuż równocześnie i Krakowianie pod wojewodą swoim, księciem Januszem z Wiśniowca, wystąpili gromadnie pod Hebdów, a jmć Czermiński, zacny kasztelan kijowski, który oddawna tylko drżał na tę chwilę, wziąwszy sobie do pomocy Bobrownickiego Jana, kiedy się rzucił na Sandomierskie, to taką liczbę szlachty pod Sieciechowem postawił, jakiéj nie pamiętano w żadném pospolitém ruszeniu. Za temi województwami wstawały inne, to gromadniéj, to słabiéj, jaka gdzie była fantazya, a hetman wielki koronny, zebrawszy swoje wojska kwarciane i swe własne chorągwie, ruszył się z niemi także i obiecawszy iść pod Tomaszów, doszedł tymczasem do Podkamienia.

Takie to tedy były te wielkie zmiany w sprawach publicznych i taki był stan naówczas, w którym rozpatrzywszy się ile potrzeba, możemy znowu powrócić do naszych ludzi.

Więc kiedy się działo to wszystko, pani Ożarowska stolnikowa krakowska bawiła ciągle przy hetmanowéj w. koronnéj i przypatrywała się zblizka temu wszystkiemu, coby ją mogło ob-

chodzić. A obchodziło ją to wszystko, co dotyczyło hetmana, bo na nim i na jego rodzinie opiérała swe rozmaite rachuby. Jakoż wiedziała ona o wszystkich tych sprawach przynajmniéj z nim jednocześnie, a o niektórych nawet i przed nim...

Wieleby to dziś o tém powiadać, bo kto wié, jak to tam było z tym sekretarzem? kto wié za czyim powodem hetman go sfukał i odepchnął od siebie? i kto wié jeszcze za czyją się to stało przyczyną, że tenże sekretarz dopuścił się takiéj zdrady haniebnéj i zaniósł owe listy do króla? Trudno to prostą głową dojść takich misterstw tajemnych, — ale domyślać się wolno, — bo téż i różnie się domyślano między dworem hetmańskim...

Cóżkolwiekbądź wszakże, rzeczą jest pewną, że jeszcze ledwie się spodziéwano zdaleka, iż kiedyś z czasem przyjść może do głośnéj opozycyi przeciw królowi, jeszcze się hetmanowi ani przyśniło, ba może i samby był temu nie wierzył, żeby i on się z tą opozycyą połączył, — a stolnikowa już to nieledwie na pewno przeczuła i zaraz o tém do syna pisała. Pisała list jeden i drugi, wykładając stan spraw publicznych obszérnie, a w trzecim już go téż zawezwała, ba i zaklęła na wszystko, ażeby na każdy sposób jak tylko może najprędzéj powracał. I wzywała go nietylko dlatego, że dziś wołano do służby wszystkich, a więc najświętszym jest obowiązkiem każdego stawić się bez odwłoki; ale także dlatego, że hetman, obarczony kłopotliwemi obrotami sprawy publicznéj, nie może sobie własną głową dać rady; że mu więc dziś daleko pilniéj niż kiedyindziéj trzeba takiego człowieka, na którymby mógł się opiérać z ufnością, a nareszcie, że w skutku tego, gdyby się znalazł dziś taki człowiek, któryby umiał z tego położenia korzystać, otworzyłby tém samém dla siebie już zaraz na samym wstępie nieprzejrzane widoki...

Tak to tam popisała. Aleć to jeszcze nie było wszystko. W tych tam dalekich projektach bowiem, które ta niezmiernie zapobiegliwa matka snuła na korzyść swojego syna, nie mogło jéj dosyć być na tém, aby Jerzego zwołać do kraju, ani nawet i na tém, że przez wyrugowanie ostatniego poufnego człowieka z dworu hetmana, otworzyła synowi tém większą łatwość ujęcia go całkiem dla siebie; trzeba się tu było koniecznie i przedewszystkiém jeszcze o to postarać, aby ten syn powracając, do Bobrownickich nie wstąpił, coby było mogło z łatwością wszystkie jéj plany zepsować. Trzeba tu było pomyśléć jeszcze o innych rzeczach, które także wchodziły w tę dosyć wielką rachubę. Jakoż bardzo zakrętnie o tém myślała, a co sprawiła, samo się to pokaże.

XI.

A młody Sodalis Marianus, — dzięki zabiegom miecznika, o którym zawsze pamiętał, i hojności Denhoffa, o któréj jeszcze zawsze nie wiedział, — bawił się ciągle we Francyi i bardzo mu się tam wiodło. Ledwie się zjawił w Paryżu i zameldował tym panom, których imiona mu Bobrownicki wypisał, już i cały świat poznał, który się kręcił około dworu, a na którego poznaniu bliższém, w celu dalszego prowadzenia się, najwięcéj mu zależało. I dziwna rzecz, z jaką mu to poszło łatwością. Wszędzie, gdzie się pojawił, już coś o nim wiedziano, wszędzie go z jego pilności w naukach, z gorliwości we wierze, z umiejętności języków nad wszelką miarę chwalono: a kiedy jeszcze do tego i wieść o jego pobożnéj bitwie z owym ukrytym lutrem między ludzi się rozniosła, już mu i ci i owi nawet pochwał znaléźć nie mogli. Kto zna ówczesne usposobienie francuzkiego dworu pod względem rzeczy tyczących się wiary, a komu niemniéj wiadome i owe krwawe prześladowania, któremi tam w owe czasy protestantów tępiono, ten się i temu dziwić nie będzie, kiedy się dowié, że Ożarowski z powodu téj bitwy swojéj takiéj tam łaski na samym wstępie dostąpił, iż może nawet nie było téj rzeczy dla cudzoziemca dostępnéj, po którąby on nie mógł był sięgnąć i zyskać. Już to i sam widział, już mu téż o tém powiadano otwarcie i doradzano, ażeby z chwili szczęśliwéj korzystał...

Ale jemu się zdało, i słusznie, że godziło się nad tém zastanowić cokolwiek. Bo to i łaska łasce i szczęście szczęściu nierówne; ba i godność niektóra, lubo na oko błyszcząca, w saméj istocie jednak mało co warta, zwłaszcza jeżeli z niegodnéj pochodzi

ręki. Oświéca ciało i budzi podziw w umysłach płytkich albo zepsutych, ale tępi duszę haniebnie i jest zgorszeniem dla ludzi zacnych. Więc tedy Jerzy, jako to był już z młodu roztropny, tak sobie myślał, że nim się o co pokusi, niechże się pierwéj rozpatrzy: a jak się tylko rozpatrzył, tak w sprawach, jak téż i w obyczajach owego dworu, tak i niebawem obaczył, że jeśli wszędzie trza być ostrożnym, to tu najbardziéj.

Jakoż i miał w tém słuszność zupełną. Na tronie Francyi bowiem siedział natenczas Ludwik XIV, — a kto nie zna czasów i obyczajów i osobliwego geniuszu tego monarchy? Za młodu chłystek i miany za nic nawet przez własnych swych opiekunów, rozwinął potém rozum tak wielki, że nim nietylko swoich nauczycieli, ale i cały naród ogarnął. Ba i moc duszy rozwinął taką, którą tłumiąc pomału to wszystko, co mu stawało oporem, utłumił nawet tę nieugiętą szlachtę, któréj nie mogli dać rady najchytrzejsze ministry — a wreszcie rozszérzył nad całém państwem ledwie nie bisurmańską niewolę. Wiele on przytém zrobił dla kraju; podniósł jego powagę, ład zaprowadził w rządach i sądach, armią wyćwiczył i okrył sławą, nauki wzbudził, kunszty powskrzeszał i oszlifował ludzi aż do lśniącego poloru; lecz chociaż to były rzeczy bardzo wspaniałe i niepomału nauczające, duch jednak, który stworzył to wszystko i władał tém samodzielnie, nietylko nie mógł podobać się sercu, lecz nawet burzył przeciwko sobie sumienie. A jużci trudno było nie burzyć się przeciw temu, przekonawszy się wreszcie ile to krwi niewinnéj, ile boleści, ile praw podeptanych i najstraszliwszego ucisku musiało się złożyć na osiągnienie tych tam tak niby wielkich i podziwianych skutków. Z wiérzchu ład wielki, powaga królewska nienaruszona, pobożność najprzykładniejsza, polor błyszczący, toż cnót rozmaitych, nauki, dowcipu moc, — ale pod spodem praktyk haniebnych bez końca, fałsze, podstępy, fartuszkowe fawory i zgoła najohydniejsze zepsucie.....

Więc tedy Jerzy, przejrzawszy sam w części te tajemnice, a w części ostrzeżony przez ludzi zacnych, których i tam przecież nie brakło, — luboby mógł był, jak się wspomniało powyżéj, zapomocą otworzonéj dla siebie protekcyi o daleko znaczniejsze pokusić się rzeczy, — korzystał jednak z téj protekcyi tylko o tyle, że się dosyć przystojnie umieścił w wojsku. Nie były to wprawdzie już wtedy te czasy, w których ten król, nienasycony w pożądliwości ziemi i władzy i sławy, wielkie na wszystkie strony roznosił wojny i wspaniałemi się wszędzie okrywał zwycięztwy, — zawojowawszy wszystkich, prawie już nie miał z kimby wojował, — już to był zresztą starzec natenczas zgrzybiały, któremu już nie czas było zasiéwać a jeno zbiérać; jednakże jeszcze w téj tam ówczesnéj kampanii nad Renem wziął Jerzy udział i był uczestnikiem kilku bitew znaczniejszych.

Tam téż służąc stateçznie, uczył się pilnie obyczajów woj-

skowych, przypatrywał się rządom, badał organizacyą prowincyi,— a umiejąc sobie pozyskać zachowanie u starszych, za ich przewodem wglądał i w znamienitsze sprawy narodu, w politykę państwa i te tajemnice, świat zadziwiające naówczas, zapomocą których ten król osobliwy tak dosadnie sprawdził owę sławną a przez siebie samego stworzoną polityczną maksymę i nietylko że tak głęboko zakorzenił swoję nieokreśloną władzę we wnętrzu kraju, ale ją jeszcze tak znacznie rozprzestrzenił na zewnątrz. Jakoż było się tu czego nauczyć, tak z tych rzeczy jak téż i z innych, zwłaszcza jeżeli umysł zdrowy a nie spaczony wiedział co wybrać i schować, a co odrzucić. — Wszakże wśród téj nauki, z początkiem marca tegoż roku 1714, w téj saméj wojnie nadreńskiéj zawarto pokój, co widząc Jerzy, wyrobił sobie uwolnienie od wojska i do Paryża powrócił, mając zamiar posłedzieć jeszcze czas jaki w tém mieście i poćwiczyć się trochę w naukach...

Ale zaledwie wrócił, zastał już list od swojéj matki. Otwiéra, czyta, — ciekawe rzeczy. Matka mu opisuje cały stan kraju, przewidując blizkie wzburzenia, radzi się miéć w pogotowiu. Bardzo ten list wzruszył młodzieńca. Już się tego i owego przyuczył: radby to złożył na ofiarę swéj braci. Aleć to jeszcze nie było nic tak bardzo pilnego. Jednakże wkrótce przyszedł list drugi, zapowiadający coraz śpieszniejsze zbliżanie się burzy. Nuż więc i trzeci, a ten już wcale naglący, aby natychmiast powracał. Nie było się tedy już nad czém namyślać — jeno brać zaraz pocztę, i biedz pędem do Polski...

Jakoż i tak uczynił.

A było to już w sam koniec lata, kiedy do Krakowa przyjechał. Dojeżdżając do miasta, układał sobie zabawić w niém najmniéj dni kilka, ojców swoich kochanych powitać, prezentować się księciu, hołd złożyć księżnie, toż i innym swym dobrodziejom. Wielką téż sobie ztąd obiecywał pociechę, kiedy ten gród starożytny znowu obaczy, jego poważne mury obejrzy, pomodli się w jego wspaniałych świątyniach i zgoła wszystkie te miejsca odwiédzi, gdzie tyle lat spędził w łaskach u starszych, w miłości u swych towarzyszy, w naukach, w pracy i w rozmaitych nadziejach... Aliści ledwie marzonym sposobem pociecha ta całkiem go ominęła.

Przez te lat kilka bowiem Kraków tak się odmienił, że ledwie był do poznania.

Jeszcześ to w roku 1711 przysłał był tutaj król swoich Sasów pod komendą generała Lamoha, który zasiadłszy na zamku, poczęli byli gospodarować tak samo, jak gdyby w mieście zdobytém. Pomagał im także w tém gospodarstwie niemało regiment generała Miera, który nurtując po księstwach zatorskiém i oświecimskiém, tudzież po województwie krakowskiém, co moment prawie do Krakowa zabiegał, sprzedając tam połupione gdzieindziéj grabieże, a przy spoczynku po wielkich trudach, w wojnie ze zie-

miańskiemi spichrzami doznanych, dopomagał saskim komendom w uciskach i rujnowaniu téj stolicy. Pod takim rządem drapieżnym podupadało miasto ogromnie. Wyniszczeni nielitościwemi poborami mieszczanie, lubo tak niegdyś bogaci, pochylili się dzisiaj w niepamiętane ubóstwo. Jedni z nich ledwie mogli się wyżywić, drudzy głód cierpiąc pochowali się w najodleglejsze zakątki swoich pomieszkań, a trzeci, niemogący znieść przechodzących ich siły ciężarów, poopuszczali nawet swe własne domy i powynosili się z miasta. Tak podupadły także rzemiosła, handel i przemysł — a ludność stolicy zmniejszyła się o połowę, albo może i więcéj. Tymczasem Sasi, jakby im właśnie tylko tego było potrzeba, korzystając ze zgrozy, jaką przed sobą rozsieli, wzięli się do niszczenia kamienic i murów. Który dom tylko bez właściciela pozostał, zabiérano mu dachy, wyrąbywano drzwi, okna, kraty, a wyniszczywszy wszystko, co ku potrzebie albo ozdobie służyło, ledwie że nagie pozostawiali ściany. Lecz jeszcze z większą prawie srogością rzucili się oni ku rozburzeniu bram i murów obronnych. I dziwna rzecz: właśnie natenczas, kiedy król zaczął fortyfikować Poznań, kiedy nawet i Grodno zamyślał obronnemi murami opasać, tutejsze fortyfikacye, już od tak dawna i tak wielkiemi otrzymane kosztami, z umysłu niszczył i zamieniał w ruiny. Zwolna to Sasi wykonywali ten rozkaz tajemny, bo mieli dość czasu po temu i nie doznawali żadnego oporu, — nie była zresztą ta rzecz tak łatwa do uskutecznienia i trza ją było pozorami osłaniać, — ale po latach kilku barbarzyńskie to dzieło postąpiło tak znacznie, że kilka baszt murowanych poszło całkiem w ruinę, z ganków któremi obronne mury były zaopatrzone nie pozostało ni śladu, a w wielu miejscach i same mury zburzone zostały do fundamentów. Najdziksza ręka tararskiego najazdu nie byłaby lepiéj dokonała tego dzieła zniszczenia, jak je uskuteczniło barbarzyństwo niemieckie. To téż straszliwy widok natenczas przedstawiało to miasto, jakby po wojnie, jak po zdobyciu, jak po Tatarach...

Wjechachawszy weń Ożarowski, nie mógł się dosyć nadziwić. Cóż się to stało? Wszystko tak poniszczone, tyle domów porujnowanych, tyle pomieszkań pustych, na ulicach tak głucho i wyludniono, jak gdyby większa połowa mieszkańców wymarła, a ci, co zostali, czekali tylko swego pogrzebu. Czuły na wszystko a osobliwie w tém mieście rozmiłowany młodzieniec, aż zadrżał cały od zgrozy i łzy gorące mu się puściły po twarzy. Już ani myślał w téj chwili iść i cieszyć się z ludźmi; ale jak stał w zamyśleniu koło panny Maryi kościoła, tak się zwrócił ku niemu i wszedłszy do téj wspaniałéj świątyni, uklęknął przed pobocznym ołtarzem w modlitwach...

Byłato przedwieczorna godzina, — cisza była w kościele, — długo się modlił młodzieniec bez przerwy; — lecz jeszcze wszystkich modlitw nie skończył, kiedy niespodziewanie jakiś szelest usłyszał niedaleko od siebie. Zdawało mu się, jakby się jakaś

dama przybliżyła do niego. Obejrzał się mimowoli i natychmiast zerwał się z klęczek, albowiem szeleszczącą damą nie był kto inny, jak jego matka, pani stolnikowa krakowska.

Wielkaż tedy pociechal nad opisanie i nieledwie nad siły obojga tych serc kochających. Jakoż lubo się to działo w kościele, nie mógł się Jerzy powstrzymać, aby nie klęknął przed matką, a ona aby go nie uścisnęła za głowę. A kiedy powstał i prędko razem wybiegli przed kościół, dopiéroż ta radość zaczęła płynąć słowami. A mieli się czém pocieszyć oboje, bo kiedy z jednéj strony kochająca ta matka była w najlepszém zdrowiu, to znowu z drugiéj syn jakże wyrósł jeszcze nad spodziéwanie! jak poprzerastał wszystkich znajomych! jak przytém zmężniał! już mu się nawet i wąsik zakręcił jasny, a taki piękny, że matka nic piękniejszego nie widziała na życiu. Nuż więc do tego owa układność francuzka, owa wymowa płynąca, a inne polityczne przymioty — a wszystko to ona jednym rzutem oka odgadła i oceniła, i nawet wypowiedziała otwarcie. A potém mówiła daléj:

— Pan Bóg jest wielki! jam to naprzód przeczuła, że już cię tutaj zastanę. Nie mogło to nawet inaczéj być. Takem wyrachowała. Taka jest wola Boska. Wszystko się musi winąć jak z płatka. Wiédz tedy o tém, że wielkie rzeczy się dzieją i tu i owdzie, i wszędzie — a jeszcze większe w projektach, o których późniéj. Tymczasem zaś, pewnie ci o tém już powiedziano, województwa już wystąpiły, hetman ze wszystkiém wojskiem u Podkamienia. Oszalał stary wyraźnie, ale to nic. Jeszcze i owszem, potém ci powiem dlaczego. Otóż hetmanowa jest w strachu i dlategośmy tu przyjechały. Bo i hetmanowa tu jest i Zosia także. Zosia śliczna dziewczyna, obaczysz. Nic piękniejszego nie mogłeś widziéć ani nawet we Francyi. Kiedy się obaczycie, zaraz się pokochacie na umór, jak Bóg na niebie. Jeszczeż do tego i hetmanowa w strasznéj jest tarapacie. A między nami mówiąc, i hetman także. Wszystkiego mają po samę szyję, ale im brak człowieka. Więc żeby Mesyasz im się pojawił, toby im więcéj nie był na rękę, jak im być może ten, który ich zdoła zrozumiéć. Ty ich zrozumiész, nic pewniejszego. Jeszczeż do tego powracasz prościuteńko z Paryża! Hetman cię krokiem od siebie nie puści. A hetmanowa, a Zosia! Idźże więc prędko, przebierz się ładnie i przybiegaj do hetmanowéj. Mieszkamy w domu księżnéj wojewodziny. Czekamy ciebie z niecierpliwością.

To powiedziawszy tak prędko, jak gdyby wszystko koło niéj gorzało, podprowadziła syna pod swę gospodę i tam go pozostawiwszy, sama natychmiast odbiegła. Jerzy został pod bramą, mało co wiedząc co się z nim stało. Jakiś szmermel się spalił około niego, olśnił go całkowicie i pozostawił w ciemności. Więc Jerzy stał i myślał nad tém przez chwilę. Ale i co tu było wymyśléć? Przypomniawszy więc sobie choć to przynajmniéj, że go

czekają u hetmanowéj, wstąpił do siebie, przebrał się prędko i poszedł do hetmanowéj.

A hetmanowa była to już natenczas więcéj niż średnich lat dama. Pomierna wzrostem, o czarnych włosach i oczach, a cerze trochę wyżółkłéj, nie znamionowała ona na sobie żadnéj wspaniałości zewnętrznéj, jednak gdy mówić zaczęła, toż po jéj zachowaniu się widać było aż nadto, że to nie piérwsza lepsza kasztelanowa lub starościna. Szła zaś u niéj taka górna powaga nietylko z rodu, ale zarazem z przyzwyczajenia, którego w swych długoletnich a nieraz nawet bardzo wysoko sięgających czynnościach nabyła. Bo i któż tego nie wié, że pani ta niegdyś, ba do niedawna jeszcze, była jedną z najpracowitszych statystek; że nie było téj sprawy publicznéj w kraju, w któréjby ona nie miała swéj roli; nawet i władzy takiéj nie było, tak w Polsce jak i w państwach sąsiednich, z którąby ona nie miała i tych i owych relacyj.

To téż owego czasu przyznawano jéj prawie powszechnie nieporównany geniusz, a z nim i wielką zręczność do spraw politycznych. Jednakże dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że opinia ta, jeśli nie całkiem fałszywa, to była przynajmniéj przesadzona o wiele. Były tam może swojego czasu gorące po temu chęci, były z pewnością dosyć skrzętne usiłowania, lecz rzeczywistéj zręczności bez żadnéj kwestyi nie było, bo byłyby się przecież pokazały jéj skutki tu i owdzie, a przedewszystkiém w politycznych sprawach jéj męża. A gdzież tam w tych sprawach była jaka uderzająca zręczność? gdzie nawet często i konsekwencya? Jakoż nietylko to rzeczą pewną, że ta okrzyczana statystyka nazbyt wielkiego dyplomatycznego geniuszu nie miała; ale i ona sama musiała się wreszcie przekonać, że polityczne sprawy to nie damska robota, bo już od bitwy połtawskiéj całkiem się w nie nie mieszała. Widzieliśmy ją na Jarosławskim zjeździe, — była zajęta bernardynami, — a o tém, czy mają być dane sukursy Rossyi na wojnę turecką, czy nie, wcale już nie myślała. Ba, nawet do tego stopnia zatopiła się była w narady z zakonnikami, że i o chrzcie swojéj córki zapomniała była cokolwiek. Otóż tak było u niéj już od lat kilku. Zeszedłszy z pola politycznych zabiegów, oddała się sprawom pobożności i miłosierdzia; więc budowała kościoły, restaurowała poniszczone klasztory, zaopatrywała zubożałe zakony, zapomagała szkoły, a wiele świadcząc wszelakiemu ubóstwu, tutaj szukała tego powodzenia i zasług, których nie położyła gdzieindziéj. Tym téż sprawom oddana z najgorliwszą dewocyą, nie myślała już nawet, ażeby wyszła kiedy z ich dosyć ściśle oznaczonego obrębu; aż dziś dopiéro zmusiły ją do tego nieprzewidziane okoliczności.

A panna Zofia, jéj córka, nie była wcale do niéj podobną. Wyrosła ślicznie, wypiękniała nad podziw, ale dość było spojrzéć na jéj włosy kręcące się filuternie, oczy duże ciemno-błękitne, no-

sek troszeczkę zadarty i żywe tryskające rumieńce, ażeby poznać, że inna to tam fantazya. Jakoż tak było.

Więc teraz te panie siedziały razem w komnacie, a wysłuchawszy opowiadania stolnikowéj krakowskiéj, że jéj syn prosto z Paryża przyjeżdża i za chwilę tu przyjdzie, bardzo się tém ucieszyły. Najwięcéj zaś ze wszystkich zdała się być tém rozweselona jmć panna Zofia, która téż zaraz mówiła:

— Bardzom ciekawa pana Jerzego obaczyć, co się téż z niego w tym przesławnym Paryżu zrobiło. Powiadają, że Paryż z gruntu ludzi odmienia. Ja nie tak bardzo pragnę zmienić się z gruntu, ale przecież niemało jestem ciekawa Paryża. Ach! ale kiedy o tém przypomnę, to mi tylko gruszki pokazują na wiérzbie. Mamunia mi obietnic nie szczędzi, ale téż koniec na obietnicach. Dopóki trwają narady, wszystko jest dobrze, ale kiedy ma przyjść do decyzyi, sejmik się limituje.

A hetmanowa na to do stolnikowéj:

— A naszéj miłéj koteczce zawsze tylko pustoty w głowie, a tu takie wielkie niebezpieczeństwa nam grożą.

— Niebezpieczeństwa? — odpowie Zofia, — wcale ja żadnych nie widzę. Mama się boi, aby się tato nie pobił z królem, a ja chociażbym chciała razem z mamą się o to obawiać, ale na żaden sposób nie mogę.

Tu hetmanowa patrzyła na nią jakby z zadziwieniem przez chwilę, a potém rzekła:

— Nie znasz ty ojca, moja Zosieńko. Jest się tu czego obawiać i bardzo.

— Obawiajcież się państwo, kiedy tak chcecie, ale ja do tego komputu należéć nie będę, — odpowiedziała na to dosyć poważnie Zosia i nie mogąc, jak zwykle, długo dosiedziéć na jedném miejscu, odeszła w inną stronę komnaty.

Tymczasem zaś hetmanowa zaczęła się stolnikowéj wypytywać o syna, co robił w ostatnich czasach? gdzie służył? jaką miał rangę? jak blizkim był dworu? — a kiedy się dowiedziała tego wszystkiego ze szczegółami, zawołała prawie z radością:

— Ach! jakżeż to dobrze, że on właśnie teraz przyjechał. Spodziéwam się przecież, że poznawszy świat wielki i odbywszy nauki na takim dworze, będzie rozumiał, od czego zawisło szczęście narodu i nie dopuści do swego serca tych sentymentów burzliwych, które stanowią całą politykę naszych sejmikowych statystów. Jeżeliby tak było istotnie, to mógłby nam być bardzo pożytecznym w téj chwili, a nawet kto wié, jak wielkie oddać przysługi.

Stolnikowa chciała właśnie głos zabrać, ażeby hetmanowę i pod tym względem jaknajlepiéj uprzedzić dla syna, — kiedy wtém we drzwiach pokazał się Jerzy. Przystąpiwszy do hetmanowéj, witał ją z wielką atencyą, a przytém i z ową wytworną grzecznością, któréj się pilnie wyuczył na dworze francuzkim; nie

przepomniał też oraz o komplimentach, które téj pani, bardzo dobrze z lat dawnych znajoméj w Wersalu, przesłały przez niego niektóre tamtejsze damy i dostojnicy królewscy. Więc hetmanowa, która rozumiała o sobie, że dość jéj raz rzucić okiem na człowieka, aby przejrzéć do gruntu, oceniła go sobie z téj wstępnéj przemowy stanowczo i przywitawszy sercem uprzejmém, traktowała już odtąd jak swego. A hetmanówna witała go sercem otwartém a nawet i poufale.

— Ale jak się pan Jerzy odmienił, — mówiła ona, — to doprawdy do zadziwienia! Gdybym pana Jerzego gdzieś niespodzianie spotkała, to aniby mi przez myśl nie przeszło, że to ten sam, tak niegdyś pusty stolnikowicz krakowski, który takie zabawne krotochwile wyprawiał na zamku brzeżańskim. A gdzie to już te czasy! czy pamięta jeszcze pan Jerzy te nasze rozmaite figielki?

Koci, koci w łapki,
Pojedziem do babki.
Da nam babka kaszki,
A dziadek okraski.
Cha, cha cha!

I śmiała się pusta dziewczyna, klaskając w ręce jak do dziecka, noszonego na rękach; co było jeszcze o tyle śmieszniejszém, ile że przed nią stał młodzian prawie ogromny wzrostem, już pod wąsem, a jeszcze do tego i w oficerskim mundurze.

Więc tedy wszyscy się śmieli, a Jerzy już i nie wiedział sam, coby miał mówić, bo patrząc na tę czarnoksiężnicę, która całą przestrzeń lat kilkunastu ubiegłych jedném słowem tak całkowicie zmazała, jakby jéj nigdy nie było, jakoś mu się dziwnie zrobiło około serca. Jużby był chciał, żeby się w saméj rzeczy wróciły te czasy, kiedy sam mały pędraczek igrał z maleńką Zosią po brzeżańskiego zamku komnatach.

Lecz hetmanowa, upatrzywszy w Ożarowskim jaknajlepsze narzędzie do swoich politycznych zamiarów, nie miała czasu do stracenia. Posadziwszy go więc naprzeciw siebie, poczęła mu zaraz zwięźle i otwarcie wykładać, jaki jest teraźniejszy stan sprawy publicznéj, jakie obecne położenie jéj męża i co ją zniewoliło do téj podróży krakowskiéj. — Opowiadała więc najpiérw z niemałym żalem, że mąż jéj przez niepowściągliwość chwilową poróżnił się z królem, że stronnictwo szwedzkie, do tego momentu jeszcze trwające przy swoich dawnych dążnościach, umiało zręcznie korzystać z tego wypadku, i że nareszcie przyprowadziło do tego, iż hetman, dawszy się uwieść przesadzonym skargom na nadużycia królewskie, zbrojno przeciw królowi wystąpił. Jakie ztąd klęski mogą dla narodu wyniknąć, jakie nieprzyjemności dla samego hetmana, już jak samo ze siebie wynika, można zaś o tém jeszcze daleko lepsze powziąć wyobrażenie, wspomniawszy na to, iż król ma w téj chwili swoich własnych wojsk w kraju dwadzie-

ścia i kilka tysięcy, ma bardzo silną podporę w wielkiéj części wiernie do niego przywiązanego narodu, a oprócz tego, skutkiem do dziś dnia istniejących traktatów, ma jeszcze na zawołanie kilkadziesiąt tysięcy żołniérza, który rozrzucony po Podolu, Wołyniu i Ukrainie, stoi pod bronią w granicach kraju. Opowiadała tedy hetmanowa daléj już prawie z trwogą, iż wyczerpawszy wszystkie sposoby, któremi miała nadzieję odwieść hetmana od powziętego zamiaru, przybiegła tu do Krakowa, aby się widzieć z księciem Januszem z Wiśniowca, który lubo się także dał wzburzyć namowom i stanął na czele uzbrojonych Krakowian, jednakże jako mąż tak głębokiéj rozwagi i stateczności umysłu, nie może na żaden sposób być zdania, ani że się to godzi, ani nawet, że można w takich jak dzisiejsza okolicznościach, brać się do wojny przeciw prawowitemu i tak dziś mocno opatrzonemu królowi. Ponieważ tedy książę Jeniusz jest jedynym w tych czasach człowiekiem, którego zdanie może mieć wpływ na hetmana a zarazem i niemałego używa zachowania tak w narodzie jak i u króla, więc hetmanowa chce go do tego zniewolić koniecznie, ażeby on hetmana przynajmniéj tymczasem od kroków stanowczych powstrzymał; a kiedyby tylko jeszcze przez kilka tygodni do żadnego krwawego spotkania nie przyszło, to jużby sprawa ta była tak jak wygrana, bo przez ten czas nietylkoby hetman z piérwszego feworu ochłonął, ale i rozpoczęłyby się także układy z królem, do czego piérwsze kroki już poczynione. O księcia tedy hetmanowa się najmniéj obawia, bo jest go pewną, — wysłała już swego rękodajnego pod Hebdów, a zresztą droga to niedaleka, więc w danym razie i sama gotowa pojechać do niego; — lecz o hetmana w niewymownéj jest trwodze, bo on nietylko sam kipi przeciw królowi, ale jeszcze do tego jest otoczony takimi ludźmi, którzy gotowi prowadzić wojsko choćby na samę Warszawę. Cała nadzieja w Granowskim i generale Baudyczu, który jest Sas duszą i ciałem, — robią oni tam wszystko, aby hetmana łagodzić, — lecz w obec Rybińskiego i Dorpowskiego, tudzież innéj starszyzny, która cała wre wojną, bardzo to słaba podpora.

Tak całą tę ważną sprawę narodu pojmowała owa przesławna swojego czasu statystka i tak ją przedstawiała Ożarowskiemu, kładąc szczególny nacisk na to, że zamierzona wojna nietylko bez żadnéj kwestyi jest sprawą prywatną stronnictwa szwedzkiego, ale w dzisiejszém położeniu rzeczy może się stać tylko ostateczną zgubą narodu, bo w kraju tyloletniemi wojnami zniszczonym i obcemi wojskami od granic zalanym, cóż może sprawić garstka zburzonéj szlachty, maleńka liczbą, niejedna w sobie i tak rozproszona? — Tego opowiadania słuchał Jerzy z wielką uwagą, — lecz mając już pewne wyobrażenie o położeniu kraju, cale go nie mógł zrozumieć. Co usłyszy jakiś nowy argument hetmanowéj, to mu się w głowie zamąca, — co spojrzy na Zosię, to go już całkiem odlatuje przytomność. Patrzy na matkę — a matka milczy...

Lecz hetmanowa prowadzi swoję historyą daléj, wykładając daléj swoje widzenie rzeczy coraz wymowniéj, aż zakończyła nareszcie taką konkluzyą: ażeby Jerzy jechał natychmiast do Podkamienia, ażeby stanął przy boku hetmańskim, a połączywszy się z generałami i starszyzną umiarkowanych opinij, starał się przynajmniéj to wymódz na rozżarzonym hetmanie, iżby się teraz pod żadnym warunkiem od Podkamienia nie ruszył. Tę naznaczywszy mu misyą, dawała mu jeszcze poszczególne nauki, jak względem których osób otaczających hetmana ma się zachować, obiecała dziś jeszcze wygotować listy polecające do mężą i zakończyła swoję oracyą:

— A zresztą, mój panie Jerzy, rób jak ci rozum będzie dyktować. W sprawach podobnych nic naprzód przewidzieć nie można. Jedna tu chwila czasem wszystko przeważa, zwłaszcza u męża mego. Na każdy jednak wypadek staraj się o to, ażebyś Ledóchowskiego i Rybińskiego pozbawił zaufania u niego, a owych krzykliwych rotmistrzów i poruczników, którzy zapewne z zapalonemi głowniami po obozie latają, ażebyś całkiem nie dopuszczał do rady. Ja ci tu takie wypiszę listy do mego męża, iż nietylko zostaniesz zaraz u jego boku, ale będziesz miał także i ufność wielką u niego, którą utracić lub podnieść będzie w twéj własnéj mocy. Ja się spodziéwam po tobie, iż wyszedłszy z tak dobréj szkoły i trafiwszy do mego męża pod taką porę, kiedy niéma nikogo poufnego przy sobie, potrafisz zdobyć sobie u niego odrazu taką pozycyą przeważną, iż z niéj doprowadzisz z łatwością do skutku zamiar tak mały. Nie potrzebujesz występować przed nim odrazu ze wszystkiém, owszem, nawet w razie potrzeby zakryj jaknajstaranniéj, co leży na dnie naszego planu, bo tu nie idzie wcale o przerobienie jego teraźniejszéj opinii, ani nareszcie o pogodzenie go z królem natychmiast; idzie tylko o zyskanie wolnego czasu, którego dwa, trzy tygodnie najwięcéj już nam całkowicie wystarczy. Jedźże z Bogiem, mój Jerzy, Ledóchowskiego i Rybińskiego psuj tam u mego męża jak możesz, Dorpowskiego pociągnij za sobą, co ci się uda z łatwością, a połączywszy się z Granowskim i generałem Baudyczem, choćbyście się mieli położyć na ziemi, nie puszczajcie hetmana od Podkamienia...

Wysłuchawszy tych ostatecznych instrukcyi, Jerzy, lubo te niespodziane wiadomości jeszcze mu się dziwnie mąciły w głowie, przecież je wreszcie zrozumiał. Ba i ocknął się nawet i w wnętrzu serca orzeźwiał, bo ujrzał, że ledwie kopce graniczne swéj ziemi ojczystéj przekroczył, już mu się zaraz zdarzyła sposobność do tak ważnych względem niéj posług, że nie żal im było wszystkich sił swoich poświęcić. Jeszcze on dobrze nie wiedział, w jaki sposób to ważne zlecenie hetmanowéj wypełni, — jego przeczucie kazało mu całkiem téj pani nie wierzyć; ale jakkolwiekbądź, czy obecna sprawa narodu miała być doprowadzoną do końca na drodze wojny otwartéj, czy na drodze układów, zawsze to w ta-

kim razie być u boku hetmana z tak poufną rekomendacyą, nie obojętna to wcale pozycya. Ażeby więc tę pozycyą zdobyć sobie tém pewniéj, już się w najmniejszéj rzeczy hetmanowéj nie sprzeciwiał, już wszystkich jéj nauk, lubo czasem i cale przewrotnych, słuchał pokornie jak Gregoryanek, a za całą odpowiedź prosił tylko o listy.

Kiedy więc hetmanowa zasiadła nareszcie razem ze stolnikową do listów, on, cały wzburzony tym nowym światem, który mu się tak nagle otworzył, odszedł w przeciwną stronę komnaty, aby tam w samotności zebrać swe myśli i jeszcze lepiéj się opanować. Ale tam wkrótce znalazła go Zosia.

— Pan Jerzy, — mówiła ona, — jesteś najnieszczęśliwszym z ludzi. Po kilkoletniéj niebytności powróciłeś do twojéj ojczyzny, ażeby po trudach odpocząć, a tu tymczasem zaprzęgają pana odrazu do takiéj pracy.

— Przeciwnie pani, — odpowiedział na to młodzieniec, — jestem tém nadzwyczajnie uszczęśliwiony. Kiedy kto inny na mojém miejscu musiałby może całe lata przeczekać, nimby mu się zdarzyła tylko sama sposobność do służby, ja ją nietylko znajduję odrazu, ale jeszcze do tego dostaję posłannictwo tak ważne, jak to, którem mnie zaszczyca w téj chwili pani hetmanowa koronna. Czyż można więcéj od fortuny wymagać?

— Może to być, — rzekła Zosia, — że to jest początkiem szczęścia dla pana, czego ja życzę z całego serca. Ale powiédźże mi pan Jerzy, cóż myślisz zrobić z tą misyą?

To zapytanie trochę zdziwiło Jerzego, rzekł wszakże bez długiego namysłu:

— Mam wyraźne w tym względzie od mamy instrukcye...

— I będziesz pan się ich trzymał na ślepo? — spytała hetmanówna, patrząc mu w oczy.

Jerzy spojrzał na nią z zadziwieniem i rzekł po chwili:

— To jest moja powinność... chyba żeby się tymczasem odmienił stan rzeczy.

— A kiedy stan rzeczy się nie odmieni? — spytała Zosia.

Jerzy milczał. Hetmanówna zaś po chwili dodała:

— Pan Jerzy ma bardzo ważną misyą przed sobą. Mój ojciec stoi dziś na tym punkcie, z któregoby mógł wielkich dokazać rzeczy. Moja matka nie pragnie więcéj, jak aby zgodę z królem i spokój przywrócił, a jabym chciała, żeby przy téj okazyi i miłość narodu odzyskał...

— Pani pragniesz najpiękniejszych rzeczy dla ojca, — odrzekł Jerzy.

— Czy i pan zgadzasz się na to?

— A czyż się tu można nie zgodzić?

— Takem się spodziéwała, — odpowiedziała hetmanówna, patrząc wdzięcznemi oczyma na zarumienionego młodzieńca, — bo to samo ze siebie wynika. Cóż nam dziś więcéj potrzeba, jak miłości

u braci? I czyż to nie czas już na nią po tylu leciech nienawiści i złości? Cóż nam po owych lśniących splendorach, po nieprzebranych dostatkach, po wyniosłém znaczeniu, kiedy to wszystko tak zimne, tak sztywne i oczéwiście tylko, li tylko wymuszone? Gdziekolwiek się obrócimy, towarzyszy nam podziw, pokłony i wszelkie oznaki uszanowania, — ale nigdzie życzliwe westchnienie, nigdzie uśmiéch serdeczny. Jesteśmy jak cudzoziemcy między swoimi, jak gdyby goście w swym własnym kraju. Nie znajdując miłości u braci, zwracamy się z nabożeństwem do Boga, sypiemy złoto, aby zakupić to, czego nie umiemy zarobić, i zakupimy wiele, może i wszystko, — oprócz serc ludzkich których nie dostać za złoto. Ot! i dzisiejszy stan naszych rzeczy nie zmienił się od lat niepamiętnych dotychczas. Dziś możeby się mógł zmienić cokolwiek, — Rybiński i Ledóchowski, kierując nawę sprawy publicznéj ku jéj zbawieniu, pomimowoli i nad tém pracują,—ale podobno daremna ta praca!

— Czemuż to pani, — zapytał Jerzy, do głębi serca wzruszony, — wszakżeż to tylko zależy od pana hetmana?

Zosia milczała, patrząc smutno ku ziemi.

Jerzy ponowił pytanie, mówiąc:

— Niech mnie pani oświéci w swéj łasce. Ja jestem bardzo daleki od tego, ażebym myślał, iż człowiek młody i zaledwie w świat wstępujący, potrafię przeważny wpływ wywrzéć na męża, osiwiałego w pracy około najważniejszych spraw narodowych; aleć to czasem śpiéw drobniutkiéj ptaszyny daleko głębiéj nas wzruszy, niż najhuczniejsza kapela.

To rzekłszy, czekał z wrzącą niecierpliwością jéj odpowiedzi, w któréj się spodziéwał bardzo ważnych objaśnień co do charakteru hetmana.

A Zosia na to:

— Pan lubi ptaszki?

Jerzy zbladł trochę. A ona daléj wesoło:

— Ja bardzo lubię ptaszki, ale tylko śpiéwające i tylko na wolném powietrzu. Kiedy pan Jerzy przyjedzie do Brzeżan, obaczy pan u mnie całą izdebkę ptaszków, które każę łowić w jesieni, żywię przez zimę, a na wiosnę wypuszczam. I bardzo to są wdzięczne stworzenia. Przez całe lato mieszkają wszystkie w ogrodzie i za zimowlę odwdzięczają mi się śpiéwaniem, a kiedy zima się zbliża, same przylatują do swojéj izdebki. Jednakże najmilszym ze wszystkich jest mi jeden słowik, który przez całą wiosnę i lato mieszka w krzaczkach pod mojemi oknami, a na zimę przelatuje do moich komnat. Z tym słowiczkiem już trzy lata się znamy i bardzo się z sobą kochamy. Rozmawiamy po kilka razy na dzień i ja go całkiem rozumiem; lubię zaś jego rozmowę tém więcéj, ile że on mnie słucha bardzo cierpliwie i nigdy mi nie zadaje tych pytań na które odpowiedzieć nie jestem w stanie...

Takim sensem moralnym zakończywszy swoję bajeczkę, hetmanówna patrzyła na Ożarowskiego z uwagą, nie kryjąc wcale serdecznego uśmiéchu. Ale Jerzy był jakby pomieszany cokolwiek i cale smutny.

— Przepraszam panią, — powiedział na to z powagą, — żem przez zapomnienie albo żywe zajęcie się sprawą publiczną, zanadto széroko otworzył me serce. Ale ja się spodziéwam, że to najlepiéj w ten sposób naprawię, kiedy przyjechawszy do Brzeżan, pójdę na naukę do owego słowiczka.

A Zosia na to zawsze wesoło:

— Otóż mi pan Jerzy powiedział rzecz, któréj znowu ja nie rozumiem. Ale niech już tak będzie. Najwyższe narodowe potęgi są dzisiaj w nieporozumieniu ze sobą... ptaszęta? Ale powiédźże mi pan Jerzy, wszakże pan byłeś na wychowaniu u jezuitów?

— Byłem pani.

— I byłeś także na dworze króla Ludwika?

— I tam byłem czas jakiś.

— Ani jednego, ani drugiego nic po panu nie widać.

Jerzy popatrzył na nią niby spokojnie, ale zaledwie mógł utaić wzdrygnięcie. Milczał, ale go piekło coś koło serca. A figlarna dziewczyna jeszcze tém jawniéj się śmiała i wytrzymawszy go chwilę na tych tam mękach, spytała znowu:

— I tego pan nie rozumiész?

— Ani jednego słowa.

— No, to żebyś pan o tém przez całą podróż nie myślał, to panu powiem, że tak u jezuitów, jak i na dworze króla Ludwika, uczą przed wszystkiém serca zamykać... A pan się tego nie mógł domyśléć! Ach! jakież to z pana jeszcze dzieciątko!

Koci, koci w łapki,
Pojedziem do babki...

I nucąc daléj tę piosnkę dziécięcą, a klaszcząc przytém w ręce ze śmiéchem, odbiegła w inną stronę komnaty.

A Sodalis Marianus został pod ścianą jak wryty. Dosyć to sztucznych kobiét napatrzył się we Francyi, ale jakoś mu to nie szkodziło. A tutaj nagle zrobiło się z nim coś tak dziwnego, że mu się zdało, jakby mu kuglarz zdjął głowę z karku i zabrał z sobą. Strach go wziął wielkooki, jakoż najpierwéj zrobił krzyż święty na piersiach. Ale i to nie pomogło. Czuł brak głowy na karku a ztąd go coś mimowoli ciągnęło, aby szedł za tym, który mu tę głowę odebrał. Jakoż patrząc ciągle za hetmanówną, już ruszył z miejsca, aby za nią pociągnąć; ale na jego szczęście hetmanowa w téj chwili skończyła listy i zaprosiła go z pośpiechem do siebie.

To go ocuciło w ten moment. W obec sprawy tak ważnéj, którą mu hetmanowa jeszcze wyjaśniła o wiele, zapomniał całkiem

o tych dziwnych pustotach swawolnéj dziewczyny i pobiegł prędko ku hetmanowéj. A hetmanowa dała mu zaraz te listy, z których jeden był do hetmana, drugi do Dorpowskiego, trzeci do generała Baudycza; przypomniała mu jeszcze pokrótce swoję dawną instrukcyą i dodała nakoniec te słowa:

— Jedźże tedy, mój Ożarowski, jak tylko możesz najprędzéj, bo tu i jedna godzina może zrobić różnicę. Kieruj tam zaś temi sprawami, jak będziesz umiał najlepiéj. Ja mam nadzieję, że czego my dokazaliśmy ledwie w połowie, to ty szczęśliwie i bez trudności dokończysz, choćby tylko dlatego, że mój mąż ślepo wierzy we Francuzów. Gdybyś zaś i niczego nie potrafił dokazać na nim, to i tak jeszcze niemałą mi wyrządzisz przysługę przez to, bo mój mąż będzie miał choć jednego wiernego przyjaciela przy sobie.

Tedy już się żegnał. A kiedy przy pożegnaniu jeszcze po raz ostatni hetmanowę o swoich najlepszych chęciach zapewniał, uważał że Zosia patrzyła jakiemiś tak przenikliwemi oczyma na niego, jakby go chciała przejrzéć na wylot. Zdawało mu się nawet, jakby jéj oczy błyszczały łzami. A to go tak głębogo wzruszyło, że zadrżał cały i utracił w połowie przytomność. Jednakże obawiając się, aby jéj całkiem nie stracił, tylko tém prędzéj jeszcze wybiegł z komnaty...

Kiedy się ocknął, noc była ciemna, on, obwinięty w płaszczyk hiszpański, biegł chodnikiem ulicy, a służący w barwie hetmańskiéj szedł przed nim, prowadząc go do jego gospody. Za małą chwilę był już w swojéj kwaterze, zawołał gospodarza i kazał sobie konie przyprowadzać czémprędzéj, a służącemu pakować bagaże. I już tu niby wszystko było w porządku. Nie wiedział on jeszcze o stanie sprawy publicznéj tak dokładnie i pewnie, ażeby mógł postanowić u siebie, za czém mu przyjdzie u hetmana przemawiać; aleć ta rzecz nie była tajemnicą gabinetową, a czegoby się nie mógł dowiedzieć na drodze, to mu się musiało wyjaśnić w obozie. Tak tedy, czy owak, siadać mu tylko było natychmiast i jechać do Podkamienia, ażeby zająć czémprędzéj to stanowisko, z którego tak teraz jak i na potém będzie mógł być pożytecznym ojczyźnie.

Ale tymczasem inna tu wcale kwestya stanęła mu na przeszkodzie. Jakżeż? to powróciwszy do kraju, nie miałby przedewszystkiém nawidzić swego drugiego ojca, swego ukochanego miecznika? Człowiek ten podniósł go prawie ze ziemi, do swego serca przytulił, kosztem swojéj szkatuły wyprawił i utrzymywał przez półtrzecia roku we Francyi,—wszystko co teraz się otwiera przed Jerzym, nie losowi, nie szczęściu, nawet nie matce swojéj, tylko winien był jemu,—i onby go mógł teraz ominąć? W jego domu tyle było miłości dla niego, tyle serc kochających, jego anioł opiekuńczy, który go strzegł za morzami

i modlił się za niego na książeczce nabożnéj, tam mieszkał i wyczekiwał go z upragnieniem, — i onby miał o nich zapomnieć? Jakoż już nie tęsknota, ale ogień jakiś wewnętrzny go palił, aby wstąpić koniecznie nad Nidę. I myślał sobie natenczas: Zboczę z drogi i choćby na jedno oka mgnienie tam wstąpię. — Ale nieubłagany rozum mówił mu wcale inaczéj. Zboczyć bowiem nad Nidę, to dwa dni zwłoki. Klucz do téj chwili trzyma w ręku hetman wielki koronny—a klucz do serca hetmana ma on w swoich ręku. Jeden tu dzień, jedna może godzina, jest w stanie zepsować wszystko. Nie! tu nie można tracić ani jednéj godziny.

Jakoż przeciwko temu nie było co mówić. Stęsknione serce, chociaż je miłość i wdzięczność ze wszystkich sił pociągały do owego ukochanego zameczku nad Nidą, musiało uledz obowiązkom ważniejszym i zamilczéć. Jerzy pomyślał sobie: Zameczek jeszcze dostoi do czasu, — a służba koło sprawy publicznéj żadnéj nie cierpi zwłoki. Napiszę zresztą list do miecznika, — a tak się ta pozorna obojętność dla niego i wyjaśni i usprawiedliwi. Jakoż siadł zaraz do listu.

Ale tymczasem, jako to noc bywa krótka w téj porze, już i oświtało. A ze świtaniem wbiegła matka do niego.

— Cóż? jużeś gotów? — pytała ze drzwi,—hetmanowa w obawie, ażebyś nie doznał zwłoki w podróży, przysyła ci glejt kuryerski, a oraz cedułę na konie pocztowe i na podwody. Dlategom jeszcze przybiegła do ciebie.

I to mówiąc, położyła na stole owe hetmańskie:— „My, Adam Mikołaj" i t. d. z okienkiem, w które było wpisane imię Jerzego Ożarowskiego, jako hetmańskiego kuryera.

A Jerzy na to:

— Ja jestem gotów. Ale mi bardzo w głowie kochany mój Bobrownicki. Bo i co téż on o mnie pomyśli, kiedy się dowié, żem ja już wrócił a nie wstąpiłem do niego?

Ale troskliwa matka, która podobno głównie dlatego tu przyszła, zaraz mu na to:

— Ależ mój Jurciu! tylkoż przez miłość Boga tém sobie głowy nie frasuj. Otóż to piękna! Dla jakiegoś tam przyjaznego afektu jeszcześ gotów i przeżartować taką wielką karyerą. A czyż to nie wiész, co to masz dzisiaj w twych rękach? czyż nie widzisz, że tu jedna chwileczka może być warta milionów? A wszakżeż Bobrownicki ci nie ucieknie...

— Coś i ja tak rozumiem,—rzekł Jerzy,—ale chciałbym przynajmniéj list napisać do niego...

— A, to co innego, — odpowiedziała matka, — to napisz prędko i oddaj mnie to pisanie. My z hetmanową pojedziemy pewnie pod Hebdów, a zdaje mi się, że także i pod Sandomiérz, dla widzenia się z hetmanem litewskim Denhoffem; toż ja w ka-

żdym razie będę u siebie, a wtedy będę i u miecznika i sama mu oddam ten list, jeszcze i z ustną ekskuzą.

I tak się stało. Jerzy list skończył, oddał go matce, a padłszy jéj do nóg na pożegnanie, wsiadł do powozu i popędził do Podkamienia.

XII.

Z Krakowa do tego Podkamienia, pod którym hetman wielki koronny stał natenczas obozem, a który leży razem z Oleskiem prawie tuż pod brodami, było mil blizko sześćdziesiąt. Była to tedy podróż dosyć odległa, a w braku swojéj własnéj podwody zawsze dość uciążliwa; jednakże w owéj porze była ona jeszcze daleko trudniejszą. Albowiem wtedy cała ta przestrzeń kraju była rozburzona, szlachta wsiadała na koń, ciągnęła na oznaczone miejsca zbiorowisk, wlokła po staremu za sobą liczne i ciężkie tabory; tu przebiegała starszyzna wioski i miasta, ażeby jeszcze więcéj zgromadzić ludzi, tam przewożono działa, amunicyą, furaże, gdzieindziéj znowu starce, niewiasty i dzieci ujeżdżały w miejsca bezpieczne, jako więc zwykle przed wojną. Gdzie tedy w tym wytrzebionym kraju był jaki koń do użytku, już go tam pewnie wynaleziono, a o podwodę dla obcego człowieka ani pytać było nikogo, bo jak to mówią, bliższa koszula ciała niż kożuch, a nie dopiéro jakiś tam kuryer hetmański. A tu tymczasem Jerzemu coraz to pilniéj, niedosyć bowiem, że już sam cel jego podróży naglił go do pośpiechu, jeszcześ do tego i wieści, które zbiérał po drodze, coraz to większy w nim obudzały niepokój. A były te wieści czasem nawet istotnie zatrważające; jak bowiem z jednéj strony rzeczą było jawną, że województwa tutejsze nader nieliczne powystawiały siły, tak znowu z drugiéj domyślano się prawie powszechnie, iż hetman, nie ruszywszy się dotąd od Podkamienia, zmienił już całkiem swe sentymenty. — Wśród takich okoliczności, wlokąc się w swéj podróży mazią po piasku, gorejący żądzą poczciwéj służby młodzieniec przychodził czasem do

najwyższéj niecierpliwości; przecież nareszcie, zjechawszy się z kasztelanem przemyskim, Charżewskim, który stał z garstką szlachty w Przeworsku, i wyspowiadawszy się przed nim rzetelnie z zamiarów swojéj podróży, dostał od niego koni i listów do dalszych komend, — a tak już potém jechał trochę pośpieszniéj. Jednakże ledwie dnia dziewiątego i to samym wieczorem dotarł do hetmańskiego obozu.

Dojechawszy do miejsca przeznaczenia, obaczył najpiérw dwa szeregi drewnianych bud i szałasów, w których kramarze, szynkarze, przekupnie, porozkładali swoje towary, uformowawszy przed samym obozem prawie taką ulicę, jakie się daje widzieć na targowiskach jarmarcznych. Teraz, jako to już po ósméj godzinie wieczornéj, o któréj niewolno było nikomu wychodzić poza okopy obozu, już ten zgiełk jarmarczny ustawał i tylko kramarze, zamykający szałasy, kręcili się jeszcze z latarniami lub gorejącém łuczywem. Więc na końcu téj przedobozowéj ulicy pokazały mu się okopy, pomiędzy niemi brama zbudowana na prędce z kołów palisadowych i belek, a tuż za bramą szubienica ogromna, niezbędna wiécha hetmańskiego obozu, służąca najpiérw jako insignium surowości artykułów hetmańskich, a powtóre jako depositorium rzeczy skradzionych lub znalezionych w obozie, które za zwyczaj wszem w obec na jéj szczycie wieszano. Pod szubienicą widać było dwie beczki smolne, czerwonym gorejące płomieniem, tuż koło nich kręcili się czarni, pozarastani, trzymający szyldwachy halabardnicy, a wkoło czuć było dość mocny i prawie odurzający zapach smolnego dymu i czadu. Kiedy zaś jeszcze do tego tam w głębi, za ową bramą i szubienicą, widać było jakoby jakieś wielkie mrowisko, po którém migały się jakieś niewyraźne postacie z pochodniami i smolném łuczywem, to nie był to widok ani przyjemy, ani pociągający, bo mówiąc prawdę, toż samo piekło trudnoby miało inaczéj wyglądać, jako ten obóz hetmański w téj chwili.

Lecz Ożarowski wcale na to nie zważał, tylko doszedłszy pieszo do bramy, żądał wpuszczenia wewnątrz. Ażeby zwykłych w podobnych razach trudności uniknąć, pokazał najpiérw glejt swój kuryerski: jakoż na jego szczęście nawinął się zaraz oficer służbowy, który papiér odczytał i znalazł go całkiem w porządku, chociaż się przytém jakoś dziwnie uśmiéchnął i rzekł:

— A to waszmość od hetmanowéj. Chodźmy więc do hetmana.

Lecz Ożarowski nie chciał iść prosto do Sieniawskiego, bo zdało mu się pierwéj koniecznem wziąć jakąś informacyą dokładną o stanie rzeczy w obozie. Hetmanowa usiłowała wpoić weń ufność największą do Dorpowskiego, Baudycza i Granowskiego, a na Rybińskiego nic wcale nie liczyć, ale jemu właśnie dlatego zachciało się najprzód widzieć z Rybińskim. Udając tedy, że jako dawno znajomy z tym generałem-regimentarzem a wojewodą cheł-

mińskim, u niego stanie kwaterą, kazał się najpiérw wieść do jego namiotu. Jakoż tam go zaprowadzono.

A wojewoda pod swoim przestronnym namiotem właśnie co kontusz obłóczył na siebie, a jego szatny przy kagańcu, którym mu kozak przyświécał, pas wiązał na nim, aby był gotów, kiedy znać dadzą, że już czas do hetmana. Ale miast tego zapowiedziano mu oficera w jakimś cudzoziemskim mundurze. Więc wojewoda się zdziwił i kazał go wpuszczać czémprędzéj, a kiedy go obaczył przed sobą, wyjął kaganiec z ręki kozaka i oświéciwszy gościa, rzekł zaraz:

— A toż to ktoś nieznajomy. Z kimże mam honor?

A Jerzy na to:

— Jestem Ożarowski.

— Ożarowski? — powtórzył generał, a pociérając ręką po czole, dodał: — poczekajże waszmość, a czy nie syn Bogusława?

Jerzy to przyznał. Więc wojewoda czémprędzéj:

— A tożto waszmość nam tak strzepałeś Flemingowego synowca! Cha, cha, cha! niechże cię Bóg błogosławi. A co my to z tego mieli pociechy! Ba to wielcy rycerze, ci Sasi! Dałeś im tedy naukę *in praxi*, co téż było z podziwieniem całego wojska, żeby taki rycerz potężny dał się aż na ziemię obalić chłopięciu. Ej! miał téż za swoje nieborak, że i oczu nie śmiał nigdzie pokazać, aż téż nakoniec stryj jego, że mu to wstydu takiego narobił, wyprawił go gdzieś na kraniec świata. No, a czemuż to waszmość nie wstąpiłeś zaraz potém do wojska? byłaby była za to przecie nagroda.

— Jw. panie! — rzekł na to Jerzy, — młody byłem jeszcze natenczas i zdało mi się pierwéj świata trochę obaczyć. A tak ruszywszy do Francyi, służyłem trochę w tamtejszéj armii.

— A widzę ja to, widzę, rzecze generał, — i bardzo tego winszuję. Jeżeli tamto się przyda, to to jeszcze lepiéj; szkoda tylko, że poczynając służbę, trafisz nie na wojnę, ale właśnie na flusa...

Niebardzo Jerzy rozumiał, co to ten flus miał znaczyć, ale właśnie w téj chwili generał kazał świéce zapalić, a służbie się wynosić do zawołania; więc potém dopiéro mógł Jerzy go o to zapytać, ale tymczasem miał rzeczy pilniejsze. Jakoż nie odwlekając, powiedział generałowi delikatnym terminem o co mu chodzi, dając nieledwie do zrozumienia, że jest z taką rekomendacyą od hetmanowéj tu wyprawiony, iż stanie odrazu tuż przy boku hetmańskim: chciałby więc wiedzieć dokładnie jak rzeczy stoją i z czém to najpiérw się przed tym panem odezwać? Kiedy zaś jeszcze i o tém napomknął, że Dorpowskiego i Baudycza, do których nawet ma listy, minął umyślnie, a do niego się udał najpierwéj, już go tém całkiem dla siebie pozyskał i obudził w nim ufność ku sobie otwartą. Lecz wojewoda, choć kontent z tego, wcale się tém nie weselił, a odpowiedział na to nieledwie smutnie:

— Mój panie młody, widzę że ci nie braknie fantazyi. Dajesz krok piérwszy w służbę publiczną a już chcesz wpływać na opinią i czyny głównych jéj kierowników! Aleć ja tego nie ganię — i nawet chwalę, a to z téj racyi, że jak widzę stary ród wielkich ludzi już całkowicie wyginął; jeżeli czego nie zrobią młodzi, to na starych i patrzéć nie warto. A toż ja sam stary i radbym z duszy trzymać stronę moich kolegów; ale nie można. Dziadki to wszystko kościane, do kądzieli a nie do miecza, do babskich plotek albo do targów kupieckich, ale nie do rządzenia narodem. I ja już dziś do niczego, i ja nic wielkiego nie sprawię. Na was więc koléj! toż zabiérajcie się k'temu, pracujcie, ważcie. Zamiar waszmości, mój panie Jerzy, chwalę jeszcze témbardziéj dlatego, że nasz hetman wielki koronny jest rzeczywiście trochę woskową figurą. Ma on w sobie i upór, który się czasem skaliście stawia; ale upór, to nie hart duszy, to nie charakter, to przymiot ale nie miazga człowieka. Kromia zaś tego uporu wszystkie inne przymioty zdradzają miękkość. Badałem ja to sumiennie, bo mi téż na tém zależało niemało, a zwłaszcza teraz, i powiadam z pewnością, że niezawodnie miękki to człowiek, czego najlepszy dowód mam w tém, iż zebrawszy wszystkie jego postępki od czasów najdawniejszych do dzisiaj, nie widać w nich najmniejszéj jednolitości, ani powagi, ani pewności siebie i statku. Przez całe życie we wszystkich swoich opiniach, postanowieniach i czynach chwiał się jak trzcina, prawie zawsze dziś mazał to co wczoraj napisał, nikomu w przyjaźni nie dotrwał, a odepchniętego od siebie zawsze napowrót przyciągnął; jeżeli zaś w tych wojnach ostatnich jako tako dotrwał przy królu, to za to ileż razy odskakiwał od niego i ile razy powracał! Jakoż mam to za rzecz dowiedzioną, iż gdyby się dobrał człowiek do niego, toby nim pewnie kierował: ba, ale gdzież jest ten człowiek? Nie było go dotąd, niémasz go dzisiaj, a choćby się i znalazł za czasem, to już to kwestya jest wielka, czyliby czego dokazał, bo chcąc giąć drzewo, trzeba za młodu, a zstarém już niéma rady. Doświadczyliśmy teraz tego najlepiéj, bo i jakichże to sił i sposobów nie używaliśmy przeciw niemu, a przecież próżno!

— Próżno? — rzekł na to Ożarowski z pośpiechem, — jakże to, panie wojewodo? to hetman rzeczywiście jest niewzruszony?

— Jak pień, — odpowiedział Rybiński i objaśnił mu w krótkich słowach cały stan rzeczy.

Był zaś ten dzisiejszy stan rzeczy taki, jak się już w części nadmieniło powyżéj. Z początku hetman bardzo rozgorzał był przeciwko królowi. I nietylko on wtedy wojska kwarciane zgromadził i ruszył, a po kraju posłów tajemnych rozesłał, ażeby województwa na koń wsiadały i przybiegały pod Tomaszów, dokąd sam iść był zamierzył; lecz nadto jeszcze sześć swoich własnych chorągwi posłał księciu wojewodzie krakowskiemu na sukurs, panów ruskich na konferencyą do siebie powołał, a kiedy o téj

sprawie wspomniał, to powiadał wyraźnie: że nie targować się dzisiaj już z królem o ulgi, ale detronizować go trzeba, bo na te praktyki saskie i niesłychane eksorbitancye niémasz innego lekarstwa. Wtenczas to pewnie hetmanowa wielka koronna, widząc swojego męża tak zawziętego, zlękła się przewidywanych przez siebie skutków téj zawziętości i wyjechała, ażeby im póki czas jeszcze zaradzić. Ale zawziętość ta trwała tak krótko i tak mało zostawiła po sobie śladów, jakby jéj wcale nie było. Już bowiem wtedy, kiedy powołani panowie przyjechali do Sieniawskiego, — a przyjechali śpiesznie, bo i któżby się był na taką odezwę nie śpieszył? — hetman zupełnie inne zdradził usposobienia. Zamiast zawiązania konfederacyi, odprawił z nimi radę nijaką i pozbył niczém; sam zaś, rozłożywszy się z swemi mieszanemi wojskami obozem u Podkamienia, ani myślał się ruszyć. I nie było sposobu, aby ten upór zachwiać, nietylko złamać. Ani poważne Rybińskiego namowy, ani gorące prośby Ledóchowskiego, Czackiego, Fredra i innych panów, ani burzliwość umysłów w obozie, ani po części groźne, po części szydercze głosy, dochodzące z prowincyi, wszystko to najmniejszego nie wywiérało nań wpływu! Uparty ten człowiek zaciął się jak koń narowisty i sam nie wiedząc dlaczego, stanął głazem w pół drogi. Owóż taki to był dzisiejszy stan rzeczy.

Wysłuchawszy téj krótkiéj lecz zarazem tak ważnéj relacyi, Ożarowski się bardzo zasmucił. Oparłszy głowę na ręku, zapadł sam w siebie i w piérwszéj chwili zaledwie wiedział, co się z nim dzieje. Lubo mu o tém już na drodze mówiono, jednak jeszcze do tego momentu nie wierzył, żeby sprawa powszechna tak mało miała przed sobą widoków. Teraz się o tém przekonał z ust wiarogodnych, — a to go niewymownie dojęło. Lecz wojewoda mówił tymczasem daléj:

— I żeby to choć wiedzieć tego uporu przyczynę! ale ani się o to dogadać. Cała racya: *Sic volo*. Raz tylko szczególny, obruszywszy się na mnie cokolwiek, powiedział te słowa: „Byłem mężem statecznym przez całe życie, mamże się stać rebelizantem na starość?" — Ale i co to jest za argument? A toż ja stateczniejszym byłem od niego, bo służyłem królowi od jego wstąpienia na tron do dzisiaj bez przerwy, a w intermedyach nie knowałem żadnych praktyk postronnych. Wiedziałem ja ci o tém od samego początku, że nie jest to król najlepszy, ani najsumienniejszy, ani najmoralniejszy, — ale mając pewną konwikcyą, że ze Szwedami byłoby jeszcze daleko gorzéj, za nim trzymałem. I trzymałem gorąco, bom i krew za to przeléwał. Ale dziś, kiedy widzę co za uciski nieuprawnione od tego tronu wychodzą, kiedy wiem pewnie, że jest zamierzono na krzywdy jeszcze daleko większe, odstępuję od króla, bo to jest mój obowiązek. Rebelii nie chcę i wójny otwartéj nie chcę, — jakoż rzeczą jest pewną, że gdyby się jakoś rozsrożono, to w dzisiejszych okolicznościach do wojny

nie przyjdzie, bo jéj sam król nie dopuści, — ale właśnie dlatego jestem zdania, żeśmy powinni wystąpić tém groźniéj. Stracić nic nie możemy, a im wyższą położym cenę, tém oczéwiście więcéj da się nam wytargować. Ale i co po tém, kiedy nas nie chcą rozumiéć ci, którzy mają wszystko w swych ręku?

Więc Jerzy na to wstał prędko z miejsca i rzecze:

— Panie wojewodo! nie myślę ja wcale tego zaprzeczać, co mi jegomość powiadasz, ale przecież rozumiem, że jeszcze raz popróbować nic to nie zaszkodzi. Nie może mi się tu żadną miarą pomieścić w głowie, żeby pan hetman nie pojął rzeczy tak prostéj i jasnéj. Jeżeli tam tedy nie stoją w drodze jakieś partykularne przeszkody: Bóg wielki, a z Jego woli, co się dnia wczorajszego nie mogło stać w żaden sposób, może przyjść dzisiaj do skutku z jaknajwiększą łatwością.

Więc wojewoda spojrzał na Ożarowskiego z uwagą, a uśmiéchnąwszy się zlekka, rzekł najpiérw:

— Siadajno waszmość.

A potém, jako to był mąż dosyć ciężki i zażywny na ciele, do tego stary, zaczém i na umyśle nie prędki, pomyślał nad tém cokolwiek. Założywszy ręce na brzuchu i obracając wielkiemi palcami jeden koło drugiego, siedział tak chwilę, patrząc w milczeniu przed siebie. Więc tedy potém, spojrzawszy znowu z uśmiéchem na Jerzego, rzecze mu na to:

— Piękny to taki ferwor młodzieńczy, niéma co mówić. Ale powiédzże mi waść, po cośto tutaj przedewszystkiém przyjechał? Ażeby wstąpić do służby i zapomocą hetmana forytować się daléj? czy tak?

Jerzy milczał. *Qui tacet consentit;* więc wojewoda na to:

— No, toż to taka próba nie będzie wcale pomocą do właściwego awansu. Jeszcze gotowa i drogę zamknąć na zawsze...

Lecz Ożarowski, który rozgrzany szlachetną trwogą, pełen już był zapału, rzekł na to prędko:

— Wiele jest warta łaska hetmańska, nie przeczę, ale daleko więcéj prawda i cnota. Niechże więc stracę łaskę Sieniawskich na zawsze, niech zaraz dziś będę musiał wyjeżdżać z obozu, przecież nie zniosę tego na sobie, abym i ja nie miał odezwać się przed hetmanem.

Więc wojewoda już tylko przez oka mgnienie pomyślał, poczém wstał także i rzekł:

— Ha! to kiedy masz taką ufność w swoję wymowę, tentujmy jeszcze poraz ostatni. Jesteś waść młody, świéżo ze dworu tak rozumnego monarchy, oficer armii takiéj potężnéj, a do tego i taki ciepły, jak widzę, może go więc jakim tam argumentem rozgrzejesz. My tedy już się do tego brać nie będziem, bo jużeśmy tam i klękali, i na nic się to nie zdało. Ale kiedybyśmy widzieli, żeś go już trochę poruszył, to się rozgłośnie odezwiemy za tobą. A tak tam może choć cokolwiek się zrobi. Ale to chyba już nie

odwlekać, bo i tak ani chybi, że hetmanowi już doniesiono o twojém przybyciu... Ja zaś zajdę do Dorpowskiego, poszlę po Kosa, który tu jeszcze raz od Ledóchowskiego przyjechał i będę się starał tak rzecz nakręcić, żeby tam dziś Baudycza nie było, który nam cale nie jest potrzebny; kiedy zaś hetman przyszle po nas, abyśmy przychodzili na flusa, jako to tam co wieczór bywamy, to przyjdziemy dziś trochę późniéj, abyś miał czas wyrozumieć cokolwiek, z kim będziesz miał do czynienia...

Tak to ten zacny generał zaraz tę rzecz utraktował — i bardzo dobrze: bo Baudycz był to Sas rodowity, dowodzący jedną częścią owych sześciu tysięcy Sasów, którzy jeszcze przed laty byli hetmanowi pod komendę oddani, a więc rzecz oczéwista, że mógłby był dzisiaj być tylko przeszkodą; zaś Kos, lubo naówczas tylko sędzia ziemi chełmskiéj, był jednak mężem niepospolitych, ba już nawet i głośnych w narodzie zdolności, a jako wysłannik od swojéj braci za wieścią, co się to dzieje w obozie hetmańskim, nie mógł być w sprawie dzisiejszéj jak tylko bardzo pomocnym. Aliści ledwie Rybiński wypowiedział te słowa, zjawił się zaraz i poseł od Sieniawskiego. Hetman zaprasza jmć wojewodę na flusa — a zarazem się dowiaduję, żali nie ugrzązł u niego jakiś oficer obcy, którego dopiéro do obozu wpuszczono, a który ma miéć jakieś do hetmana poselstwo? — Więc wojewoda na to z pośpiechem:

— Otóż masz! biegnijżo prędko, a powiédz tam hetmanowi, żeś się tu u mnie przebiérał.

Zaczém już Jerzy biegł co miał siły. A biegł z sercem bijącém i nieledwie drżąc cały, bo już niemała to rzecz jawić się po raz piérwszym przed takim panem, a cóż dopiéro z intencyami tak wielkiéj wagi? — Więc dobiegłszy do mety, musiał stanąć na chwilę, aby się zebrać i cokolwiek odetchnąć.

A hetman wielki mieszkał w drewnianéj gospodzie, którą w obóz zajęto i zamieniono w pańskie mieszkanie naprędce. Liche to było domostwo, ale je w lot przerobiono: dano wysokie podłogi, ściany poobijano drogocennemi makaty, porozściełano pod nogi perskie kobierce, porozstawiano bogate sprzęty, co wszystko teraz, oświécone jarzącém światłem, wyglądało nietylko bogato, ale nieledwie czarownie. Więc hetman wielki bawił w téj chwili w tak urządzonéj wielkiéj komnacie i siedział w krześle polowém tuż prawie przy stole, który był ciężkim a gładkim kobiercem nakryty, a na którym gorzały dwa szczérozłote lichtarze, po dziewięć świéc w każdym, i leżały dwie talie kart polskich, czerwono malowanych na grzbiecie. On lewą ręką przerzucał zniechcenia karty, a w prawéj trzymał cybuch długi z kryształu, zakończony ogromnym perłami sadzonym bursztynem, z którego ciągnął kłęby niebieskawego dymu, woniejącego ambrą i różnemi innemi oryentalnemi zapachy.

A był ten piérwszy dygnitarz koronny jeszcze wcale nie

stary, bo wówczas jeszcze podobno i pięćdziesiątki nie dosiągł. Wzrostem był mało co więcéj jak średni, lecz zbudowany barczysto, coby go było czyniło na pozór daleko wspanialszym, gdyby jednakże nie to, że się zazwyczaj nosił trochę pochyło. Twarz jego była dość mała i prawie całkiem okrągła. ale raczéj koścista niż tłusta, a na niéj nos ani rzymski, ani orli, lecz zakrzywiony u końca jak haczyk; oko miał czarne, okrągłe i niezmiernie błyszczące, toż i czuprynę miał całkiem czarną, podgoloną dokoła dosyć wysoko i nadzwyczaj starannie. Całe zaś jego wejrzenie było więcéj pochmurne, niżeli jasne, raczéj surowo groźne, niżeli wspaniale rozkazujące; widząc go też raz piérwszy, trza było raczéj uczuć respekt przed nim trwożliwy, niżeli powziąć cześć pełną szacunku i uwielbienia. A tak wyglądał Adam Mikołaj Sieniawski, hrabia na Szkłowie i Myszy, pan na Sieniawie, Brzeżanach, Przemyślanach i innych dobrach niepoliczonych; najpiérw kasztelan krakowski, potém hetman wielki koronny, a nareszcie starosta lwowski i rohatyński, lubaczowski, stryjski i piaseczyński.

Tak siedzącego zastał go Jerzy.

Więc kiedy wszedł, hetman podniósł głowę do góry i spytał:

— A kto to?

— Jestem Ożarowski, — rzekł Jerzy, — nizki sługa jw. pana. Wracając z służby francuzkiéj do siebie, zastałem w Krakowie jw. hetmanową koronną, która mnie z temi oto listami wyprawiła do pana hetmana.

To rzekłszy, oddał Sieniawskiemu listy od jego żony i wrócił na swoje miejsce.

Więc hetman na to, przypatrzywszy się pilnie Jerzemu, rzekł dosyć łaskawie:

— A proszę bliżéj.

Kiedy zaś postąpił o parę kroków, on mówił daléj tym samym tonem:

— Ożarowski? toż stolnikowicz krakowski. Patrzajże, jakeś mi wyrósł potężnie. Jeśli tak w rozum i cnotę, to powinszować.

Ale to mówiąc, otworzył zarazem list sobie oddany i wstawszy z miejsca, odczytał go powoli przy świetle. Poczém ten list schowawszy w zanadrze, siadł nazad w krzesło, jakby nic nigdy nie było. Widać, że wiadomości od hetmanowéj albo nie przynosiły mu nic nowego, albo to nowe było zupełnie zgodne z jego myślami. Jednakże po tych listach spojrzał na Jerzego jeszcze łaskawiéj i spytał:

— No, i cóż tam we Francyi? Co się tam dzieje na dworze naszego ulubionego Ludwika? jestże tam jeszcze kto taki, któryby Sieniawskiego pamiętał?

Niecierpliwy młodzieniec, ktory drżał na wspomnienie niebezpieczeństwa grożącego sprawie publicznéj, niepomału się nad tém zadziwił, że hetman mógł w takiéj chwili pytać o rzeczy tak obojętne; ale cóżkolwiekbądź, na zapytanie trza było odpowiadać. —

Opowiadał więc o ile mógł najwymowniéj, że cały dwór królewsko-francuzki wspomina hetmana do dnia dzisiejszego, że ci i owi chowają dla niego przyjaźń serdeczną, tamci radziby go obaczyć, inni stokrotne przesyłają mu pokłony — a nawet król sam, kiedy mu się zdarzy sposobność wymieniać Polaków sobie znajomych, zawsze jego wspomina z szczególną uprzejmością i łaską. Więc tedy hetman bardzo się tém rozweselił i mówił:

— No, to przecież pamięć tych zacnych ludzi jest dosyć trwała, bo to i tyle lat już temu, jakem tam bywał, i tyle to tam cudzoziemców przyjeżdża.

Zaczém już pytał o niego samego, mówiąc:

— A waść służyłeś w wojsku, jak widzę. No, i jakże to tam się dostałeś, bo to dla cudzoziemców niełatwa sprawa?

Więc tedy Jerzy znów opowiadał po krótce, jakiéj szczególniéj doznał tam łaskawości, pod jaką służył chorągwią, jaką odprawiał kampanią i w jakich bitwach miał udział. Czego wszystkiego hetman słuchał bardzo łaskawie i nawet chwalił, powtarzając i tutaj to samo, co już był niegdyś powiedział stolnikowéj krakowskiéj, że najpewniejszą pomocą do awansów w stopniach krajowych są przedewszystkiém służby postronne. Chwalił téż przytém szczodremi usty armią francuzką i mówił:

— A musisz mi téż zdać sprawę z tych tam przeróżnych nowości, które pozaprowadzano tymczasem w téj armii. Mianowicie ciekawy jestem owych tak bardzo już rozsławionych bagnetów, które i my tu już mamy, ale do których skutecznego użycia brakuje nam jeszcze niemało. Jakoż i rozmaicie jeszcze o téj broni ominujemy, a kto wié, czyli z nas wszystkich nie najlepiéj o tém rozumie nasz król jegomość, który bagnetowi całkiem nie ufa, a w jego miejsce chce napowrót wprowadzić zdyskredytowaną już dzisiaj starożytną kopią husarską.

Na to więc odpowiedział znów Jerzy, iż umyślnie dla obeznania się z rzeczywistą wartością bagnetu służył przeszło pół roku w piechocie, zaczém na rozkaz hetmana będzie wstanie nietylko dokładną zdać sprawę z użytku téj broni, ale nawet i uczyć żołniérzy szermowania nią na wszystkie znane dotychczas sposoby. Więc tedy hetman, widząc już sam dosyć dowodnie, że jego żona nie darmo obdarzyła taką ufnością tego młodzieńca, jeszcze go bliżéj zawezwał ku sobie, kazał mu usiąść i rzekł już całkiem otwarcie:

— No, to kiedy nam tak pilnie pracowałeś we Francyi, to ci i tutaj nie damy próżnować, a tak za Boską pomocą może się jakoś sobie nawzajem przydamy. Więc kiedy chęci będą mu po temu, bo o zdolnościach już wcale nie wątpię, to ci nie poskąpimy i naszéj łaski, za którą możesz niejednéj rzeczy dostąpić, bo téż i to i owo jest w naszych ręku. Należy ci zaś o tém pilniéj pamiętać, ile że nietylko samemu zawsze lepiéj stać wyżéj niż niżéj, ale jeszcze do tego i względem imienia twego wielkie na sobie

masz obowiązki. A toż to ten ród waszych Rawiczów jaśniał ongi dosyć wspaniale; mieliście kilka urzędów nadwornych, kasztelanij także niebrakło, bywali u was Jordanowie, Komorowscy, Tęczyńscy, a co największa bywała miłość i zachowanie w narodzie. Téj, jak rozumiem, i dzisiaj nie braknie; twój ojciec nieboszczyk sam jéj niemało przysporzył, więc tę puściznę zachować, nowéj przysporzyć, a wszystko to pięknie oświécić, — oto twój obowiązek. Jakoż tak myślę, że łaską Bożą, własną pilnością a do tego przy naszéj pomocy wszystko to nie omyli. Jeno mi Sasów nie kréskuj, mój Sodalisie,— dodał hetman z uśmiéchem,— bo to nie zasługa w tych czasach.

Tak znów z kolei Jerzy się rozweselił, a dziękując za łaski, usprawiedliwiał się z swego szczęścia w owéj bitwie z Flemingiem.

A hetman na to:

— Ej! *inter nos*, mniejsza tam o jednego Niemczynę, toż ich jest dosyć. Mówiąc prawdę, tom się tém nawet i niebardzo frasował, nie dla tamtego, któregom nie znał, ale dla tego naszego marszałka, który już nieraz tak grzywą wstrząsa, że i na niego może ręka zaświérzbić. A było to właśnie, jakby mu kto byka w nos wyciął, co mnie téż i cieszyło. Jakoż jesteś tam pewnie u niego na bakenbardach. Ej! ale na to nie umrzesz. Pomierzy się jeszcze z Flemingami Sieniawski i tak rozumiem, że go na wygraną wystarczy.

Słysząc to, Jerzy korzystał zaraz z téj sposobności, aby rozmowę skierować do najważniejszéj materyi i rzekł:

— Jw. pan jesteś łaskaw na mnie nad wszelką zasługę, co tém większém szczęściem jest dla mnie, ile że pod wszechmocną jego mości tutelą już mi tylko służyć obowiązkom i prawdzie i jakiekolwiekby były okoliczności, ani myśléć o trwodze. A toż to jegomość gdy zechcasz, możesz się nietylko z Flemingami pomierzyć, ale i z każdą władzą, jaka jest w kraju.

Więc hetman na to skinął uprzejmie głową i rzekł:

— Niémasz co mówić, i toby można, gdyby była tego potrzeba. Lecz chwała Bogu mamy już spokój teraz, a po tylu latach wojennych, ktoby go mącił, nie miałby chyba sumienia.

A Jerzy na to:

— Spokój jest, niéma wątpienia, aleć i tego zaprzeczyć nie można, że w tym momencie znowu jest zakwestyonowany cokolwiek. Nie wspominam na teraz o innych, ale tego nie mogę zamilczéć, że pani hetmanowa koronna jest w niezmiernéj obawie wojny.

— Moja żona? — rzekł hetman, — ot, co tam kobiéty? a czego to się nie boi?

A na to Jerzy:

— Niémasz wątpienia, że nie zawsze to jest rzecz godna dla męża, słuchać opinii niewiast, które zazwyczaj nie chcą widzieć daleko i lada marnością się płoszą. Ale pani hetmanowa koronna,

jakem się o tém teraz przekonał dowodnie, stanowi w swoim rodzaju bardzo uderzający wyjątek. Niechaj to jw. pan przyjmie za szczérą prawdę odemnie, bo téż i tak w głębi mojego serca rozumiem, że wiele ja teraz poznałem dam znamienitych rozumem, a nawet i wpływających stanowczo na sprawy publiczne, jako to teraz jest moda we Francyi, ale tak wnikającéj głęboko w najtrudniejsze materye *status*, jak pani hetmanowa koronna, nie zdarzyło mi się spotkać na całym świecie.

Więc hetman na to uśmiéchnął się bardzo łaskawie i rzekł:

— A, moja żona ma bardzo wiele politycznego rozumu, czego téż dała niejednokrotne dowody. Ale jakże to tam z tą wojną? czy moja żona jeszcze zawsze jéj się obawia?

— Pani hetmanowa koronna jest w ustawicznéj obawie wojny.

— Ale dlaczegóż? przecież już dzisiaj może być pewną, że kiedym się dotychczas nie ruszył, to się i nadal nie ruszę?

— Pani hetmanowa, — rzekł Jerzy, — już się tego domyśla, ale pomimo to obawa jéj nie ustaje i zdaje mi się, że słusznie. Jeżelibym zaś miał całą prawdę powiedzieć, to powiem, że właśnie dlatego należy się wojny obawiać jeszcze tém bardziéj; wojny, — dodał Ożarowski z uśmiéchem, — a z nią i kto wié jak wielkich strat i uszczerbków dla sprawy publicznéj.

Już tedy tu widać było odrazu, z jakiéj strony zamyślił Jerzy zażyć w téj chwili hetmana, — lecz hetman jakoś się nie mógł tak prędko połapać i rzekł:

— A jakto? Ja waści nie rozumiem zupełnie. Przecieżeście tam z moją żoną razem konferowali w Krakowie, a tu tymczasem to co ona mi pisze i co waść mi powiadasz, jakoś nie kwadruje ze sobą. Powiédzże mi wyraźnie, coście tam omówili?

— Jw. panie! — rzekł na to Jerzy, — jéjmość pani pisała te listy z wielkim pośpiechem, być tedy może, że jéj nie było podobném wypisać wszystkiego dokładnie. Toż oprócz tego, omówiwszy ze mną to wszystko, co się dzieje i dziać może u góry, kazała mi pani dać pilne baczenie na to, co się téż dzieje u dołu, a potém z tego ułożywszy całe widzenie rzeczy, przedłożyć je jegomości.

Zaczém Sieniawski spojrzał bardzo bystremi oczyma na niego, a wydobywszy zarazem list hetmanowéj z zanadrza, jeszcze raz go przejrzał przy świetle. Poczém zaś rzekł:

— Nie mogę ja cale obaczyć téj waszéj trwogi, ale mów co rozumiész. O rzeczach ważnych nie można się nigdy dosyć nagadać.....

Tu Jerzy już się miał zabiérać do przydłuższéj perory, kiedy wtém wszedł Rybiński, a z nim i Ernest Chryzostom Dorpowski, generał-audytor a wojewoda łęczycki. A ten był mąż bardzo wysoki wzrostem, chudy i wyciągnięty jak tyka, wielkiego nosa, twarzy wyżółkłéj, mając zaś ryżą mocno już podsiwiałą czuprynę

takież miał brwi krzaczyste, rozrosłe, z pod których widać było ócz dwoje siwych, wielkich, okrągłych i nadzwyczajnie surowych. Sędzia zaś ziemi chełmskiéj, jmć pan Kos, nie przyszedł, bo już był przed wieczorem odjechał; co téż na teraz było i lepiéj, bo przy nim, jako przy obcym, byłoby jeszcze tém trudniéj mogło przyjść do rozmowy otwartéj.

Więc kiedy Rybiński wszedł piérwszy, hetman zaraz do niego:

— Mój panie szwagrze, mamy tu gościa. Jmć Ożarowski, który odbywszy terminowanie w armii francuzkiéj, jako nasz dawny znajomy, służby nam swoje zaleca i pozostaje odtąd przy naszym boku.

Tytułował zaś Rybińskiego szwagrem Sieniawski, bo kiedy hetmanowa wielka koronna była Lubomirska, toż z tego domu była Rybińska, tamta córka marszałka wielkiego koronnego, ta kasztelanka krakowska, i powinowactwo to było dalekie; toż wojewoda nigdy się tém Sieniawskiemu nie przypomniał, lecz hetman, ceniąc wysoko długoletnie zasługi i zacność osobistą generała, zawsze go rad do familiarności przypuszczał.

Więc wojewoda na to:

— A toż ja znam już jmci Ożarowskiego, bo był łaskaw do mnie zajechać; jakoż cieszę się z tego niezmiernie, że do nas z takim zasobem nauk przybywa, bo téż nas czegoś nauczy.

— I ja tak myślę, — rzekł na to hetman, jakoż nie wątpię wcale, że w rzemiośle wojenném i to i owo nam dokładnie wyjaśni, bo, jako widzę, darmo tam kaszy nie jadał, a jeszcze się warto czego od Francuzów nauczyć, bo to u nich w téj sztuce codzień co nowego. Tylko o naszych sprawach domowych coś mi tu gada, czego ja nie rozumiem.

— A toż i ja, — dodał zaraz do tego Rybiński, — wymieniłem z jmć Ożarowskim o tém słów kilka i takżeśmy się nie zrozumieli. Byłbym więc zdania, żeby nam swoje widzenie rzeczy opowiedział gruntownie. Nauczymy się czegoś od niego, to owszem, a nie, to my jego nauczym.

— A w każdym razie, — zakończył hetman z uśmiéchem, — dowiemy się przynajmniéj, czego to on się tam za morzami nauczył?

A to mówiąc, obrócił się do jmć Dorpowskiego i rzekł:

— A jegomość co na to?

A Dorpowski stał trochę z boku i włożywszy na nos swoje potężne okulary okrągłe, przypatrywał się coraz to pilniéj temu młodzieńcowi, którym się tak zajmowano. Wojewoda łęczycki był to mąż wielkiéj nauki, a jeszcze większéj powagi, surowość zaś jego i nieugiętość w sądach dała się tak dalece we znaki żołniérzom, że go na zawsze przezwali „Wielkim," i nawet trafnie, bo generał-audytor był i w całéj swojéj postaci tak sztywnym, że kiedy chciał spojrzéć na kogo, to zawsze się cały obracał. Więc i teraz tak samo się do hetmana obrócił i rzekł zwięźle:

— *Affirmo.*

A hetman na to:

— Ba, ale cóż będzie z flusem?

— Flus, — odpowie Dorpowski, — jako sprawa mniéj ważna, pójdzie na stronę do czasu: na czém nikt zapewne nie straci, zwłaszcza że jeślibyśmy dzisiaj nie zasiedli raz jeszcze do obrad nad sytuacyą sprawy publicznéj, tobyśmy to zapewne musieli uczynić jutro.

— A jakto? — zapytał hetman, — czy jest co nowego?

— Nowego tak dalece nic niéma, — odpowiedział Dorpowski poważnie, — ale sprawa publiczna, którą raczéj przyrównać można do wody bieżącéj aniżeli stojącéj, za lada czasem rada odmienia swą postać. Ja miałem dziś konferencyą z jmć panem Kosem, którego tu Ledóchowscy przysłali do mnie z rozmaitemi wiadomościami, — a wysłuchawszy go pilnie, przyszedłem do przekonania, iż są jeszcze w téj sprawie naszéj i te i owe okoliczności, na które dotychczas zamało zwróciliśmy względu, które więc trzebaby jeszcze raz na stół położyć i należycie roztrząsnąć.

Więc hetman na to znacznie czoło zachmurzył. Byłby on chętnie o sprawach publicznych rozmawiał dla pogadanki, ale wszelka narada poważna była mu teraz arcyniemiłą, bo już tych narad odbył niemało, a z każdéj z nich musiał się wyrębywać nieledwie gwałtem. A Ożarowski znalazł się z powodu tych uwag Dorpowskiego także w niemałym kłopocie, nie wiedząc bowiem, jakie ten człowiek, jeszcze przez niego nieznany, przyniesie wiadomości i wnioski, bardzo się niemi zatrwożył. Jednakże kiedy hetmana nie pocieszył w téj chwili, Ożarowskiemu zacny wojewoda chełmiński dał znak taki zachęcający, że go nietylko uspokoił zupełnie, ale nawet mu dodał jeszcze nowéj odwagi.

Wszakże w tym właśnie momencie weszli dwaj strojni pajucy do téj komnaty i wnieśli na wielkiéj złocistéj tacy wieczerzę, którą zastawili na stole. Dano likiery, małmazyą i rozmaite sekty hiszpańskie, a do tego wędliny, inne zimne mięsiwa i pierniki toruńskie, — tylko dla Rybińskiego przyniesiono misę klusek gryczanych z twarogiem, które, jako amator prawdziwy, zawsze pożywał na wieczór. Kiedy więc tamci raczyli się zamorskiemi specyały, on wychylił kubeczek starki, przekąsił całym talerzem wędliny, a potem zasiadł do owéj misy klusek, którą téż sam spożył do denka, nie zostawiwszy i jednéj grudki. Tak jadał i tak się bijał, a jakie miał gardło, takie także i serce, bo był to i mąż i żołnierz jeszcze dawnego czasu.

A przy wieczerzy trwała rozmowa. Więc tedy Jerzy, zapytywany przez wszystkich o nowiny francuzkie, opowiadał z początku i to i owo, poczém wszakże umyślnie wziął przedsię ciekawą nadzwyczaj postać samegoż króla Ludwika, którego sprawy i rządy opisawszy dokładnie, opowiedział nareszcie z głęboką znajomością tych rzeczy, z jaką to niezmierną zręcznością ten król doświad-

czony umiał w ostatnich czasach korzystać nawet ze zdarzeń postronnych: jako ze śmierci cesarza Józefa, z upadku Whigów na dworze królowéj Anny, a nareszcie i z Marlborough'a odprawy, — i jak to te wszystkie wody obróciły się potém na jego młyny. Opowiadając zaś wszystkie te sprawy, nietylko złożył tém dowód, że jest mocen pojmować i sądzić pytania choćby téż najważniejsze, ale zarazem dał hetmanowi do zrozumienia, że w sprawach publicznych niekoniecznie wygrywa ten, który naciągając wszystkie swe zdania uboczne i od chwilowych położeń zawisłe do jednéj niewzruszonéj zasady, wyczekuje wszystkiego od prostego biegu wypadków, — ale daleko częściéj ten właśnie, który nie tracąc z oczu głównego celu, oddaje przecież chwili co jéj należy, a przez to nawet i z przypadkowych wydarzeń do swojego zamiaru korzysta.

Rzecz sama sobą rozumna, w żywe przykłady obfita, a do tego jeszcze i gładką przedstawiona wymową rozweseliła wszystkich, nawet i samego hetmana, który téż zaraz, jak tylko ukończono wieczerzę, rzekł do Jerzego:

— Powiedziałeś nam waszmość dzieje zamorskie, i bardzo pięknie. Jakoż ci sam w tém palmę oddaje, że koło ciebie nie trza i książki. No, ale czy tak pójdą także i dzieje polskie?

A Jerzy na to:

— Będę się starał, panie hetmanie, ile możności dowodnie przedstawić moje widzenie rzeczy.

Więc zaraz rzecze Dorpowski:

— Bardzo tedy prosimy. Ale czyż znajome są waszmości także antecedencye? boś to podobno przez całe lata bawił we Francyi, o tu tymczasem i to i owo się wydarzyło.

— Antecedencye, — rzekł na to Jerzy, — wszystkie mi są znajome, boć przecie inaczéj nie śmiałbym się brać do sądzenia sytuacyi dzisiejszéj. Jednakże tak rozumiem, iż o tych antecedencyach niéma co i wspominać, bo one są nam wszystkie znajome...

To rzekłszy, spojrzał po twarzach swoich współbiesiadników, a kiedy widział, że wszyscy się z nim zgadzają, tak zaraz mówił:

— Tu idzie o to, ażeby sprawiedliwie ocenić położenie dzisiejsze, a zarazem i wyrozumiéć najpiérw: jakie są rzeczywiste i słuszne teraźniejsze potrzeby narodu? a powtóre, w jaki to sposób, najmniéj kosztowny i trudny, można tym potrzebom zadość uczynić? — Położenie tedy dzisiejsze jest takie. Król nasz jegomość, odzyskawszy przypadkowym sposobem koronę, zamiast wywdzięczyć się za to szlachcie, że jedna część do tego przypadku pomogła, a całość się temu nie sprzeciwiała, pamięta tylko o tém, iż inna część szlachty wzburzyła się przeciw niemu i przez czas jakiś jego przeciwnikowi służyła. Skutkiem téj, usiłuje on, jak to dowodnie wskazują jego postępki, nie już czasową, przemijającą, lecz trwałą a może i wiekuistą zaprowadzić niewolę. Jest wreszcie rzeczą już przewidzianą, iż nawet na prawo wolnéj królów

elekcyi targnąć się myśli, przygotowując zawczasu wszystko, co mu ma służyć po temu. Krótko zaś mówiąc, jest tu już jawny cały zamiar królewski, mocą którego nietylko chce nasze dotychczasowe rządy monarchiczno-republikańskie na absolutne zamienić, lecz oprócz tego jeszcze, zniewoliwszy ten kraj zupełnie, jego sił i zasobów użyć do swych celów partykularnych, bo do dalszego prowadzenia wojny ze Szwecyą. Jw. hetman, przewidziawszy zdaleka te zamiary królewskie i widząc nieomylném swém okiem, że przygotowawcze działania doszły już tak daleko, iż za maluczko może już cale nie będzie można im się skutecznie sprzeciwić, postanowił zawczasu stanąć po stronie szlachty. Rozpoczynając tę sprawę, jw. hetman zebrał wojska kwarciane i stanął obozem, równocześnie województwa obesłał, ażeby dały znak życia, a zarazem sześć swoich własnych chorągwi posłał na drugi koniec Polski zebranéj tam szlachcie na sukurs. Zastanawiając się nad tym postępkiem, widać to zaraz na piérwszy rzut oka, jak głębokim politycznym rozumem obdarzony jest ten, który go spełnił. Postępkiem tym bowiem uczyniłeś jw. pan za jednym razem wszystko, co było potrzeba: zebrawszy wojska i stanąwszy obozem, dałeś do zrozumienia królowi, iż jesteś jego nadużyciom przeciwny i stawisz się im oporem; pobudzając województwa do wystąpienia, okazałeś jw. pan królowi, iż szlachta także chce się bronić niewoli; posławszy zaś piérwszemu z województw sześć swoich własnych chorągwi, powiedziałeś całkiem wyraźnie, iż w sprawie téj, która się teraz poczyna, szlachta i wojsko i hetman wielki koronny to jedno. Dyplomacyi, postępującéj otwarciéj, a zarazem oględniéj, nie było jeszcze na świecie. Jakoż nie potrzeba tu już niczego więcéj, jak tylko tak samo jasnéj i przenikliwéj dyplomacyi ze strony króla, ażeby sprawa ta, lubo działami zjeżona pozornie, weszła na drogę obustronnego porozumienia i z zadowoleniem obudwóch partyj została doprowadzoną do szczęśliwego skutku. Czy zrozumiałem dzisiejsze położenie sprawy publicznéj?

A na to hetman:

— Nietylko zrozumiałeś wszystko jak trzeba, ale nawet i wyłożyłeś tak dobrze, że lepiéj nie trzeba. Jakoż niczego więcéj nie pragnę, jak tylko ażeby wszyscy mnie tak zrozumieli. Mów tedy daléj.

Więc tedy Jerzy mówił tak daléj:

— Jednakże chociaż pan hetman tak trafnie zagaiłeś tę sprawę, że jużby nam teraz wszystkiego tylko wyczekiwać od króla, rzeczą jest dzisiaj już dowiedzioną, że się niczego nie doczekamy od niego. Król bowiem, czy to omamiony zaślepieniem towarzyszącém zwykle wszystkim namiętnym pochuciom, czyli wiedziony nieubłaganą przeciwko narodowi niechęcią, nie chce całkiem téj sytuacyi rozumiéć i pomimo grożącéj mu wojny, ani myśli o żadném porozumieniu. Rzecz ta jest dowiedziona tym faktem, iż król jegomość, nietylko że dotychczas nie dał żadnego

znaku po sobie, iż pragnie przystąpić do rozmowy z narodem, lecz nadto jeszcze na wszystkich punktach swe wojska saskie poruszył i okazuje wcale gotowość ze swojéj strony do wojny. Wniosek tedy ztąd oczéwisty, iż położenie téj sprawy pierwotne już się dotychczas zmieniło, a w takim razie i środki, przez jw. hetmana do dziś przedsięwzięte, okazują się jeszcze niedostateczne...

— No, tak,—rzecze hetman, nie zaprzeczając temu,—ale czyż można uczynić więcéj?

— Można, jw. panie,—odpowiedział Ożarowski stanowczo, — można tu jeszcze bardzo wiele uczynić i wszystko będzie dobre, byleby tylko było zrobione z takiém samém zastosowaniem, jak był zrobiony krok piérwszy.

— A to ciekawym, co nam poradzisz, — rzekł hetman.

— Kiedy mi jw. pan pozwalasz moje zdanie wyjawić, — zabrał znowu głos Jerzy, — to je wypowiem jak rozumiem. Przed wszystkiém wszakże muszę uczynić uwagę, iż jw. hetman, wziąwszy inicyatywę w téj sprawie, masz już obowiązek nietylko prowadzenia jéj tak, ażeby się zakończyła koniecznie bez wzięcia się do środków gwałtownych, bez krwi wylewu, bez wojny, a nawet i bez zamieszania publicznego spokoju. A obowiązek ten wkłada na jw. pana nietylko wzgląd na swoję własną osobę, przeznaczoną z urzędu do przewodniczenia narodowi jaknajlepszym przykładem, ale jeszcze daleko więcéj przez wzgląd na kraj tyloletniemi zaburzeniami zniszczony i niemogący na teraz żadnéj podnosić wojny bez nieobliczonych strat i uszczerbków. Oparłszy się tedy o ten główny warunek, jestem zdania, iż jw. pan, w celu nowego poparcia téj sprawy ku jéj celowi, powinieneś dobrać takiego środka, któryby sprawę tę nietylko na jéj dyplomatycznéj drodze popchnął naprzód stanowczo, ale któryby razem stał się nieprzekroczoną tamą dla wojny. Chwycenie się zaś tego środka jest jeszcze o tyle łatwiejszém, ile że go nie trzeba szukać daleko, ani się nawet przygotowywać do niego; leży on bowiem przed jw. panem na dłoni i za kilkosłownym jw. pana rozkazem może być wykonanym w ten moment...

— Cóż to jest tedy?—zapytał hetman.

Na to więc Ożarowski:

— Jw. pan zebrałeś swe wojska i stanąwszy obozem, okazałeś gotowość do wojny. Ale król jeszcze w to nie wierzy. Ponieważ zaś, w celu przyniewolenia króla do układów z narodem, trzeba koniecznie, ażeby temu uwierzył, toż trzeba także, ażebyś mu jw. pan złożył nowy dowód téj gorliwości i wojska swe jeszcze daléj poruszył.

Na te słowa Sieniawski spojrzał dosyć niechętnie na Ożarowskiego i powstał z miejsca. Poczém przeszedłszy się raz po komnacie i powróciwszy nazad do niego, rzekł dosyć łagodnie:

— Piérwszą część twojéj perory aprobuję, ale na drugą się

cale nie zgadzam. Poruszyć wojska zdaje się tobie niczém, a nie zastanowiłeś się nad tém, coby to ztąd wyniknęły za skutki?

— Jw. panie, — rzekł na to Jerzy, — skutki ztąd dadzą się łatwo przewidzieć i gotów nawet jestem okazać, iż wszystkieby były zbawienne.

— Ot! także gadasz! — zawołał hetman, bardzo mi piękna zbawienność! Toż chyba nie wiész o tém, że kiedybym ja tylko o mil kilkanaście się ruszył, to szlachta niezawodnie na kilku miejscach odrazu poczubi się z Sasami. A potém, gdyby i nie to, toż ruszając się z miejsca, jaki to ja przez to na siebie wezmę charakter? oto charakter rebelizanta przeciw królowi i kierownika całą rebelią. A tego zrobić nie mogę — a zresztą nie chcę.

Nie zmieszał się tém zrezygnowany na wszystko młodzieniec i na to tak odpowiedział:

— Jw. panie, niechże mi wolno będzie jeszcze i nad tém poczynić moje uwagi. Najpiérwéj tedy jeszcze to nie jest rzeczą pewną, żeby z powodu poruszenia wojsk jw. pana musiały się zaraz wydarzyć małe potyczki pomiędzy szlachtą i wojskiem saskiém. Jeżeli zaś taki wypadek jest przewidziany na pewno, toż nie trudno jemu zapobiedz, rozesławszy kuryerów do naczelników wszystkich województw. A gdyby nawet mimo zakazu tu albo owdzie do jakiéjś drobnéj potyczki przyszło, toż i to jeszcze w tym razie nie mogłoby być słusznym powodem do zaniechania wszystkiego, bo przecież w sprawie tak ważnéj, która ma stanowić o losach narodu, na kilku ludziach zabitych lub rannych nic nie zależy. To co do piérwszéj objekcyi. Co zaś do drugiéj, pozwól mi jw. pan zrobić także uwagę, a to następującą. Czy jw. pan się ruszysz od Podkamienia, czy nie, to przez to stanowisko polityczne jw. pana naprzeciw króla wcale się nie odmieni. Stawi się tu bowiem samo ze siebie następujące dilema. Zapatrując się na tę kwestyą ze stonowiska praw naszych i wiedząc o tém, że jw. pan za żadne poruszenia wojsk nie jesteś królowi odpowiedzialnym, jest rzeczą pewną, iż dopóki wyraźnego manifestu nie ogłosisz od siebie, to urzędownie nie możesz być żadną miarą za przeciwnika królewskiego uznanym, czy z temi wojskami stoisz u Podkamienia, czyli u Tomaszowa, a choćby nawet i pod samą Warszawą. Jeżeli zaś król miał osobiste powody podejrzywać jw. pana o zamiar czynnéj nieprzejaźni dla siebie, to już to podejrzenie ugruntował w swém sercu natenczas, kiedyś jw. pan wojska zgromadził i w postawie wojennéj stanął u Podkamienia. W jednym tedy wypadku i w drugim jw. pan osobiście na nic gorszego się narazić nie możesz nad to, co już się stało dotychczas, — a ponieważ sam nic nie tracąc, ani nie ryzykując, jednym marszem stanowczym możesz Rzeczypospolitéj nieobliczone przynieść korzyści, a nawet wedle wszelkiego podobieństwa do prawdy błąkające się losy narodu sprawić z manowców na bitą drogę, — więc ośmielam się proponować,

ażebyś jw. pan ile możności bez żadnéj zwłoki wojska poruszył i stanął z niemi u Tomaszowa.

A na to hetman:

— Nie chcę, nie chcę, dajcie mi pokój! Już mnie do tego ani żadne dilemata, ani rogate sylogizmy nie przekonają. Widzę że mądrze politykujesz, i tego honoru ci nie odbiéram; ale ja mam moję własną konwikcyą i téj nie porzucę. Zrobiłem dla narodu, co mogłem: a reszta już nie do mnie należy. Jestem piérwszym urzędnikiem królestwa a zarazem piérwszą podporą króla, a zatém jakby kamieniem węgielnym, który dźwiga na sobie te obiedwie potęgi: zamiast tedy je łączyć i godzić ze sobą, pięknaźby była, gdybym je własną ręką rozrywał. Bo już mów ty sobie co chcesz, gdybym się teraz tylko o jeden krok ruszył, jak Bóg na niebie, byłaby wojna.

— Jw. panie, — zabrał znowu głos Ożarowski, zapalając się coraz więcéj, — w takim razie, jeżeli jw. pan z wojskiem się ruszysz, przez co dasz nieomylny znak narodowi, ze sam jego sprawę prowadzisz, może tylko natenczas przyjść do zajść krwawych, jeżeli jw. pan sam je rozkażesz. W przeciwnym zaś razie, choćbyś jw. pan nawet się cofnął z wojskami na dawne leże, wojna jest nieomylna i pewna.

— A jakto znowu? — zapytał hetmań, — ktoż ją podniesie?

— Naród, rzekł Ożarowski.

Więc hetman stał i patrzył przez chwilę na niego. A potém rzekł:

— Ot! co waść gadasz. Właśnie téż w tym narodzie, tak przetrzebionym wojnami, morowém powietrzem, głodem, jest komu stawać do wojny!

— Jw. panie! — rzekł Jerzy. — Przejechałem ja teraz tęgi płat kraju, widziałem województwa stawające do broni, liczyłem ludzie, opatrywałem zbroje, moderunki i konie, badałem ducha w każdym powiecie: a ztąd powiadam z pewnością, że jeżeli jw. pan mądrém swojém postępowaniem nie powstrzymasz téj fali, to za kilka miesięcy, może już nawet za kilka tygodni, będziem miéć wojnę niechybną: — wojnę krwawą, mściwą, zawziętą, w któréj tysiące trupów legnie na polu, tysiące domów zmieni się w zgliszcza i tysiące ubogich siérot pozostanie na zgliszczach!

Więc tedy hetman podparł się ręką pod brodę i jakoś się bardzo zamyślił.

A wtedy generał Dorpowski zabrał głos i mówiąc bardzo powolnie a zarazem dobitnie, tak rzecz swoję przedstawił:

— Otóż to jest materya, którą ja właśnie w tych czasach chciałem przedyskutować z panem hetmanem. Już to bowiem i dawniéj przychodziło mi na myśl, że to te województwa poruszać rzecz niebardzo bezpieczna. Ta mała szlachta, po morach, głodach i wojnach, jeszcze zawsze niezmiernie liczna, nic prawie nie znaczy dopóki siedzi na swych zagonach w spokoju: ale kiedy

się ruszy, do osobliwego częstokroć dochodzi zuchwalstwa. Lichy z niéj żołniérz na długą wojnę; lecz uderzając raz, drugi, trzeci, niebezpieczniejszą jest nawet od samego tatarstwa. Toż zwyciężywszy tutaj i owdzie, rośnie potém na schwał, małemi garściami na całkowite uderza brygady, a lubo się bije bez żadnych planów i reguł, już to natenczas trzeba osobliwego szczęścia, żeby ją w tych zapędach poskromić. Rzeczą tedy jest pewną, iż kiedy niezmiernie jest łatwo owę szlachtę podburzyć, tak znowu zaledwie podobna wzburzoną w jakichbądź ryzach utrzymać. Aliści ledwie sobie tę arcy-pewną opinią zastosowałem do dzisiejszych okoliczności i zaczęłem się potrochę obawiać, ażeby to z tego obesłania województw nie wyniknęło coś bardzo złego, kiedy mnie zaraz zaczęły dochodzić wiadomości listowne, i ztąd i z owąd, w których mi donoszono: że zbiérająca się szlachta ani się pyta o żadne materye *status*, tylko powiada poprostu, że idzie „*Sasów bić, płoszyć.*“ Roznoszono nawet wieść taką po województwach, jakobym ja z jmcią Rybińskim po to przyjechał do wojska, ażeby je spisać do związku „*przeciwko Sasom.*“ Nie przywiązywałem ja jeszcze zbyt wielkiéj wagi do tych relacyj, bom myślał, że przecież nie będzie się dziać wedle opinii szlachty, ale wedle rozumu jéj naczelników, a ci zapewne pojmują, jakie mamy zamiary i jakiemi środkami chcemy je uskutecznić. Aliści dnia wczorajszego przyjeżdża jmć Kos do mnie, a ten mnie zawiadamia ze szczegółami, że to nietylko u szlachty takie wojenne są sentymenty, ale zarazem i u jéj naczelników. Mianowicie zaś mają wichrzyć Potoccy, Jabłonowscy, Tarłowie *et coeteri* dawni szwedzcy stronnicy; tli straszliwie zarzewie po wszystkich krajach, a wszędzie jest opowiadana jako rzecz pewna: Generalna konfederacya a za nią wojna.

Są nawet wieści, że już i w Litwie sentymenty się burzą i biegają tajemne posły do Ledóchowskich, którzy stoją okryci wojskiem bardzo liczném i arcy-armatném. A kiedy takie jest położenie rzeczy, zachodzi kwestya niezmiernie ważna, co téż w tym razie dla wielkiéj buławy jest lepiéj: czy stanąć z boku i przypatrywać się temu wszystkiemu spokojnie? czyli téż ruszyć naprzód i ująwszy ster nad tym ruchem, założyć jemu przyzwoite wędzidło? W piérwszym wypadku, rzecz to jest przewidziana, iż kiedy przyjdzie do konfederacyi i wojny, to my znajdziemy się w położeniu niemiłém stawania z bronią przeciwko nieprzyjaciołom królewskim, a naszym braciom; w drugim zaś razie... hm! myśl bardzo mądra, ale bardzo niebezpieczna impreza.

Tak generał Dorpowski, lubo niespodziéwanie, poparł jednak Ożarowskiego; na co téż zaraz Rybiński zabrał głos i rzekł krótko a węzłowato:

— A co to znowu za tak wielkie niebezpieczeństwo! Idąc za radą naszego Sodalisa, ani nam włos z głowy nie spadnie. Manifestu nie ogłosimy żadnego, z województwami zniesiem się pota-

jemnie, a jak tylko król się przekona dowodnie, że mamy do dyspozycyi jakie sto tysięcy saméj szlachty, prócz wojska, to i sejm zwoła zaraz i wszystko się jaknajpiękniéj załatwi.

Więc tedy hetman, który stojąc słuchał tego wszystkiego, nic na to nie odpowiedział; tylko zamyśliwszy się jeszcze więcéj, zaczął się zwolna przechadzać po izbie: Zdawało się, iż go nie te wiadomości, o których wiedział zapewne, ale te argumenta zmiękczyły i że mu już tylko kilku słów brakło, aby się do wypowiedzianych opinij przychylić. Tak téż myśląc zapewne, wojewoda chełmiński zawołał raźnie po chwili:

— No, i cóż panie hetmanie? Niéma się tu podobno co długo namyślać, jeno niech Ożarowski siada i pisze listy do komendantów województw, a my każmy otrąbić pobudkę i jutro rano marsz pod Tomaszów!

A hetman na to podobno zrazu sam nie wiedział co mówić. Stanąwszy w zamyśleniu na środku izby, patrzył na Rybińskiego przez chwilę jakby na tęczę; ale niebawem uśmiéchnął się dosyć łaskawie, pokiwał głową i rzekł:

— Ej! stary, stary! a nie daćby cię za to do *carceresu?* nie pojechałbyś za to do Koenigsteinu, gdyby król wiedział o tém, jakie ty przeciw niemu tkasz spiski? — No, ale dość tego; chcecież jeszcze zasiadać do flusa?

Słysząc to, Jerzy prawie na miejscu osłupiał. Toż i tamci obadwa, lubo byli do takich zwrotów zwyczajni, niepomału się zadziwili; bo jużci takie zlekceważenie rady poważnéj było przecież nad ich spodziéwanie. A że to nikomu niemiło groch rzucać o ścianę, rzecze więc zaraz Rybiński, powstając z miejsca:

— Wolne żarty jegomościne, aleć to trudno we flusie znaléźć odpowiedź na tak ważne pytania, któreśmy ci postawili.

A hetman na to:

— Jakżeż, panie Jakóbie? czy i ty mnie do tego chcesz namówić, ażebym z hetmana poszedł na marszałka konfederacyi?

Po Ożarowskim mróz przeszedł na tę lodowatą uwagę, a Rybiński wręcz odpowiedział, obracając się prawie plecyma do Sieniawskiego:

— My jesteśmy gotowi życia naszego nadstawić, a jegomości w głowie, że marszałkowska laska mniejsza od wielkiéj buławy. Ot! co za czasy! mierzym się łokciem i nieledwie już korcem! A dawnych lat pono nie ten był większy, który wyżéj siedział nā ławie, jeno ten, który wyżéj wyniósł się czynem. — Aleśmy o tém już zapomnieli. Jeden się boi szwanku na ciele, drugi zaś uszczuplenia swego honoru: a toż to nie wiem ażali król gdzie jest taki, któryby stracił co przez to, kiedyby stanął na czele narodu i poprowadził go do zbawienia! Ot! co tu robić po takiéj nocy? chodźmy spać chyba, bo już to będzie najlepsza.

Nie uszłaby była nikomu taka ostra przemowa, lecz Rybiń-

skiemu wolno było niemało; ba jeszcze hetman dbał nawet o niego tak bardzo, że przystąpił ku niemu natychmiast i rzekł:

— A cóż to znowu, panie Jakubie? Ażalisz myślisz żeby mnie nie stać było wszystko poświęcić? ażaż nie dałem ci już tego dostatecznych dowodów? Ależ nie wymagajcie tego po mnie, co się wam uroiło, a co nateraz jest nie dorzeczy. Jakoż powiadam wam to wyraźnie, że nietylko do Tomaszowa, ale i na samę Warszawę pociągnę, lecz wtedy, kiedy tego będzie potrzeba. Nie myślcież proszę, żebym się od was dopiéro potrzebował dowiadywać o potrzebach publicznych, boć je znam wszystkie na wylot; znam i potrafię im zawsze zadość uczynić; jakoż i z wojskiem niezawodnie się ruszę — ale jeszcze nie teraz...

Tu znowu duch wstąpił w Jerzego. Młody i prosty sercem, wierzył w to wszystko co słyszał: jakoż się porwał natychmiast i złożywszy ręce do Sieniawskiego, tak mówił:

— Jw. panie! Zlituj się jw. panie! Położenie jest takie, że jeden dzień, jedna chwila może zepsować wszystko...

A hetman na to dosyć pochmurno:

— A to co znowu? Cóżto waść będziesz mnie błagał o rzeczy, do których ja jestem gotów bez ciebie! Proszę! jaki mi kwestarz!

Ale wtém widząc Jerzego, że ciągle stał ze złożonemi przed nim rękami, nabiegł natychmiast gniéwem, jakto mu się nierzadko zdarzało, i mówił wtedy już coraz groźniéj, mierząc go swemi przenikliwemi oczyma:

— Proszę! mędrzec francuzki! I to na adjutanta do mnie, takie burzliwe subjektum? taki konfederacki animusz?!... Żegnam — a jutro, albo do chorągwi, albo téż z Panem Bogiem na służbę do tych, którzy lepiéj kochają naród, niżeli jego hetman wielki koronny!

To rzekłszy głosem bardzo wzburzonym, skinął na generałów obudwóch i wyszedł z nimi do przyległéj komnaty.

A biédny Jerzy zaledwie wiedział, co się z nim działo. Wybiegłszy prędko z téj fatalnéj kwatery, poszedł do namiotu generała Rybińskiego i tam rzuciwszy się w krzesło, w bardzo głęboką zapadł zgryzotę. — Tak płacą na świecie prawdę, — mówił do siebie. A potém myślał nad tém boleśnie.

I zdało mu się zrazu, że bardzo źle zrobił, iż do tego pomieszanego hetmana przyjechał. Przypomniał sobie słowa Bobrownickiego Jana, który mu téj służby hetmańskiéj z całego serca odradzał i mówił sobie: Święte były to słowa. Jakoż już teraz zaczął tego serdecznie żałować i myślał: żeby mi tylko jaknajprędzéj oświtło! Pojadę zaraz w moje Sandomierskie rodzime, a gdzie tam stoi mój miecznik kochany, gdzie kasztelan czermiński, gdzie inni bracia poczciwi, tam i ja stanę. Nie zaświécą mi tam błyszczące splendory, nie poda się może sposobność do większych

czynów, ale przynajmniéj będę służył poczciwie i ze spokojném sumieniem.

A do świtu jeszcze było daleko.

A tymczasem przyszło mu na myśl, że przecież ten hetman nie musi być tak nieugiętym człowiekiem, żeby z nim nic zrobić nie można. Bo wszakżeż przez cały wieczór. słuchał go cierpliwie, — i kto wié, ażali nawet i dzisiaj nie można było czegoś dokazać na nim, gdyby się tylko było nie odzywać z taką prośbą natrętną. Jakoż tak sobie myślał, że cała wina téj fatalnéj konfuzyi była w nim samym, a mianowicie w jego niecierpliwości i zbytniéj chęci dokazania czegoś wielkiego odrazu. Już tedy teraz nietyle żałował tego, że do hetmana przyjechał, ile że sobie począł tak zamaszysto odrazu, tak nieoględnie i tak nareszcie niezręcznie...

A kiedy tak myślał, wszedł wojewoda pod namiot. Skonfudowany młodzieniec zaledwie śmiał mu popatrzéć w oczy, —lecz wojewoda był wesół i mówił:

— A co Sodalisie? a nie mówiłem? bo to taki jest człowiek ten hetman.

A Jerzy na to:

— Panie wojewodo! Jest to taka sprawa, że i trudno co o niéj powiedzieć. Kiedy się zastanawiam nad tém dokładnie, co zaszło, to mi się zdaje koniecznie, że temu niefortunnemu zwrotowi rzeczy tylko ja sam jestem winien. Bo jakoś dziwnie gładko nam szło z początku. Jużem był pewny, jak Boga w niebie, że jutro będziemy w marszu. Więc żeby to było nie naciérać tak impetycznie, a rozłożyć tę rzecz na dni kilka, to kto wié?

— Otóż i ja tak myślę, — rzecze na to prędko generał, —bo doprawdy, że jegomość był dzisiaj miękkim nad podziw. Osobliwie te wiadomości o zamiarach konfederacyi i wojny, jeszcze do tego przez Dorpowskiego stwierdzone, bardzo go poruszyły. Aleś się waszmość potém pośpieszył.... No, ale to nic, jeszcze to jutro dzień także.

— Ba! — rzecze Jerzy, — ale nie dla mnie.

— A to dlaczego? a cóż to myślisz, że się hetman na ciebie zgniéwał na wieczne czasy? Otóż to rzecz. A przecieżeśmy ciebie nie opuścili. Bądź tedy o to spokojny, bo jużeśmy tam hetmana przebłagali dla ciebie. Już tam Dorpowski tak cię okadził, że gdybyś był za górami, toby po ciebie posłano. Jakoż i hetman, lubo gniéwny na pozór, jednak tajemnie się w tobie zakochał. Więc tedy jutro sam cię do siebie zawoła; tak jak to myślę, i tak to będzie.

Wiadomość ta, jakkolwiekbądź, przecież uradowała Jerzego. Już sobie myślał, jakby to teraz postępować ostrożnie, żeby przecież hetmana do zajęcia się sprawą publiczną nakłonić. Wielkaby to rzecz była, ba największa w téj chwili. Od niéj to dzisiaj zależały losy narodu. Jakoż chciał jeszcze o tém i to i owo z ge-

nerałem pomówić, — kiedy wtém wszedł ordynans hetmana i zaprosił Jerzego natychmiast z sobą.

Szedł tedy zaraz — a przyszedłszy do hetmańskiéj komnaty, zastał ją pustą. Dopiéro po chwili przyszedł Sieniawski w haładzajowym chałacie i zmierzywszy go dosyć surowo, rzecze do niego:

— A co to waszmość się tak zapomniał? Przecież lat kilka strawiłeś na naukach u jezuitów, toż drugie tyle we Francyi: czy to tak cię uczono zachowywać się względem twych przełożonych? Piękna rzecz! przyjechałeś tu po to, ażeby stanąć przy moim boku, *ergo* aby mnie służyć: a tymczasem na samym wstępie zmówiłeś się z niespokojnemi duchami, aby mnie fomentować. Cóż to jest za początek?

— Jw. panie! rzekł na to Jerzy ulegle, — mogę jw. panu zaręczyć, że nie umawiałem się z nikim, — a co się stało, z danych okoliczności wynikło. Jw. rozkazałeś sam wyłożyć sobie moje widzenie rzeczy, com mówił, raczyłeś słuchać łaskawie; zdawało mi się tedy, że dla zyskania tém większéj łaski jw. pana dla dzisiejszéj sprawy narodu, do argumentów wypadało mi jeszcze i prośbę dołączyć.

— No, to niechże ci rzecz taka, — rzekł na to hetman, — nigdy się odtąd nie zdaje. Możesz mi wszystko powiedzieć, co myślisz otwarcie, śmiało, a nawet całkiem poprostu, ale we cztéry oczy; wdawać się w perory przy ludziach, raz na zawsze ci zakazuję. — Masz jak widzę kwalifikacyą, masz i rozum ćwiczony, a zatém możesz mi być pożytecznym, ja zaś mam do rozdania i to i owo, i nie poskąpię, — aleć to trzeba umieć na to zasłużyć. No, przejdźże sobie na tamtę stronę, tam ci dadzą kwaterę, a jutro rano się obaczymy.

Tak tedy Jerzy został już przy hetmanie.

Ostrzeżony tak zrozumiale na samym wstępie, postępował już odtąd oględnie — a widząc jawnie, jakie szérokie pole się przed nim otwiéra, starał się przedewszystkiém o zaufanie hetmana. I to mu się udawało z jaknajwiększą łatwością. Sieniawski bowiem, nie mający do tego czasu innych przyjaciół krom tych, którzy chcieli z jego bogactw niezmiernych i wpływów korzystać, pochwyciwszy człowieka prawego a uzdolnionego tak wielostronnie, przycisnął go do siebie z całego serca. Jakoż już zaraz w dni parę dał mu rangę podpułkownika, obsypał podarunkami z właściwą sobie hojnością, wyszczególnił w swém otoczeniu nad wszystkich, a przeświadczając się coraz dowodniéj o jego niezmiernéj dla siebie użyteczności, odrazu mu dał do poznania, że jeśli tylko pozostanie mu wiernym, to nie da się to nawet w przybliżeniu oznaczyć, co on jest gotów uczynić dla niego z upływem czasu.

Dla młodego człowieka w położeniu ówczesném Ożarowskiego było to zaprawdę szczęściem niemałém; — tysiące innych na

jego miejscu byliby się nie posiadali z radości, byliby może urośli w dumę, zarozumienie lub zgoła pychę, tak często towarzyszącą nagłemu szczęściu, — ale ten zacny młodzieniec nie doznał z tego wszystkiego prawie żadnéj pociechy. W téj chwili bowiem nie miał on wcale samego siebie na myśli, ani swojego znaczenia, ani swojéj przyszłości: on w téj chwili miał tylko myśl jednę, a ta była polityczna. Jéj stanowczo dopomódz, dla niéj zniewolić hetmana, — to była myśl jego, to jego najgorętsze pragnienie, któremu wszystkie swe siły poświęcał.

Lecz na nieszczęście, zacna ta praca jego żadnego nie odnosiła skutku. Uzyskawszy już niemal zupełne zaufanie hetmana i stawszy się jego prawą ręką do wszystkich poważniejszych zatrudnień, miał on codzienną, ba cochwilową sposobność wpływania na humor, usposobienie serca, nawet i na opinią tego kapryśnego człowieka. Jakoż w rzeczach pomniejszéj wagi zniewalał go z wielką łatwością do poczciwych, wyrozumiałych a nawet i sprawie publicznéj pod tym i owym względem pomocnych uczynków i postanowień: ale doprowadzić do tego, ażeby hetman ruszył się z całém wojskiem choć o mil kilka, nie mógł na żaden sposób. Sieniawski się wahał, kręcił, majaczył, usprawiedliwiał, a nawet czasem już obiecywał, — lecz mimo to leżał głazem na miejscu.

Widząc to, Jerzy był w niezmiernéj obawie i prawie drżał nad skutkami, które ztąd musiały wyniknąć. A nie obawiał on się tego zupełnie, żeby do zawiązania konfederacyi, a ztąd do wojny nie przyszło, — ba? gdyby się mógł był tego obawiać, — ale on musiał obawiać się właśnie rzeczy przeciwnéj, to jest tego, ażeby ruch wywołany po województwach i ziemiach, nader słaby sam w sobie, a nie poparty jeszcze żadną możniejszą powagą ni siłą, całkowicie nie upadł. Zapobiegając temu, robił on z swojéj strony niemało, ażeby dobrego ducha po województwach utrzymać, rozsyłając to wieści, to pisma, a nawet i kuryerów tajemnych do osób, o których albo sam wiedział, albo téż z pewnych ust słyszał, że im można zaufać...

Pomimo to jednak w niedługim czasie ta jego obawa zaczęła się ziszczać pomału.

Wkrótce bowiem zaczęły nabiegać wieści, że wystawione siły województw, to tu, to ówdzie, nietylko się nie zwiększają, ale przeciwnie coraz bardziéj się chwieją. Późniéj przyszła wiadomość, iż w kilku miejsach pozachodziły starcia pomiędzy Sasami i szlachtą, które wszystkie wypadły na korzyść Sasów. Aż téż nareszcie przyszła relacya o zajściach w Sandomierskiem, a ta odebrała już resztę nadziei.

Tam bowiem, jak się już wspomniało powyżéj, pod dowództwem kasztelana Czermińskiego zgromadziła się szlachta najliczniéj i w krótkiéj chwili doszła do liczby tysiąca pięciuset szabel. Tam téż przedewszystkiém Sasi, aż nadto dobrze o wszystkich poruszе-

niach zawiadomieni, obrócili swe siły. Generał Eksztet, zebrawszy siedem pułków saskich, w jednéj połowie pieszych, a w drugiéj jezdnych, opatrzony do tego w dostatek armat, przyczołgnął się milczkiem pod obóz szlachty i obległ go prawie dokoła. Pomimo znacznie przeważającéj siły nieprzyjacielskiéj, bardzoby to była jeszcze wątpliwa bitwa, albowiem Sandomierzanie, silni rycerską fantazyą i uzbrojeni dostatnio, mieli bardzo zdolnego i szczęśliwego wodza w Czermińskim; — ale nieszczęście chciało, że ten zacy mąż właśnie w wieczór przed oblężeniem umarł w obozie na apopleksyą.

Pozostali sami Sandomierzanie, acz otoczeni ze wszystkich stron nagle i pognębieni piérwszém wrażeniem połączonego żalu ze zgrozą, byli jeszcze gotowi do walecznego odporu: ale natenczas zjawił się między nimi hetman litewski Denhoff, który jako marszałek konfederacyi sandomierskiéj, jeszcze zawsze trwającéj, a podobno daleko prędzéj jak piérwszy i najwierniejszy przyjaciel króla, był oczéwiście pod ręką, i wraz z Morsztynem, wojewodą sandomierskim, w imieniu zebranéj szlachty kapitulował. W dzień jeden potém postąpiło podobnie województwo krakowskie, a za niemi inne — a tak ten cały zamach skończył się na tém, iż zaczęto obiérać nowych posłów do króla, mających już oczéwiście,— zamiast się upominać o podeptanie praw i Pactów Conwentów,— żebrać tylko „klemencyi pańskiéj“ o ulżenie ciężarów.

Tak natenczas i hetman, odebrawszy relacyą o tém, a zarazem i o tém, iż zerwał się lament jednogłośny na niego, iż województwa sam do powstania pobudził, a potém ich przeniewierczo odstąpił, — rozesłał swoje wojska na dawne leże, a sam do Brzeżan wyjechał.

Z rozdartém od żalu sercem nad tym przewrotnym człowiekiem, który bez żadnéj straty dla siebie mógł tak wiele sprawić dobrego a nie wiedzieć dlaczego nie chciał, pojechał z nim także i Jerzy. Widział on wprawdzie już teraz, iż z uporem i kaprysami prawie tak samo trudna jest sprawa, jak z dzikim i nieokiełzanym żywiołem, — lecz widząc także, jak znaczne już teraz pozyskał sobie u Sieniawskiego wpływy, zdawało mu się, iż obowiązkiem jest jego przy nim pozostać. Obowiązek ten czuł on na sobie tém bardziéj, ile że najważniejsza ówczesna sprawa publiczna, lubo się na teraz rozchwiała, jednakże jeszcze nie przepadła, a pozostawszy w zawieszeniu do dalszych czasów, zawsze jeszcze tak samo od usposobień hetmana zawisła, jak dotąd. Jerzy sobie przedsięwziął wszystkie swe siły ku temu poświęcić, ażeby tego piérwszego urzędnika korony całkiem dla sprawy narodu pozyskać. A gdyby nawet to mu się nie udało, toż tak rozumiał, iż i ową uboczną, a częstą pomocą, któréj za swoim wpływem na Sieniawskiego będzie mógł sprawie narodu z wszelką pewnością udzielić, przyniesie jéj jeszcze zawsze daleko więcéj pożytku, niżeli

gdyby, jako człowiek osamotniony i zresztą nic nieznaczący, służył jéj kędy indziéj.

Tak tedy wówczas powiązały się losy tych ludzi obudwóch z sobą — i jak to widać, powiązały się nawet tak bardzo, iż kto wié, ażali się kiedy rozwiążą.

XIII.

Tymczasem, gdy Ożarowski zawiązawszy tak blizkie ze Sieniawskim stosunki, cały był tém zajęty, aby z nich jaknajwięcéj wyciągnąć dla dobra publicznego korzyści, — w owym zacnym zameczku nad Nidą plotło się życie jak zwykle, to z róż, to z cierni. Nie były wprawdzie ani te róże zbyt wonne, ani ciernie nazbyt kolące, ale przecież, jużto w ich skutku, już to z upływem samego czasu, dość znaczne tutaj pozachodziły odmiany.

I tak najpiérwéj była w tém wielka odmiana, iż miecznik, skołatany owemi wikłaniami majątkowemi do ostatniego, postanowił nareszcie rzucić te troski o ziemię. A zniewoliła go do tego podobno najwięcéj ta okoliczność, iż pomimo tak wieloletnich wojen i niepokojów nietylko nie zanosiło się jeszcze na spokój, ale owszem, na nową zaniosło się wojnę. Miał tedy po staremu pracować li tylko na to, ażeby karmił swych wierzycieli i jakby przez nich zakupiony niewolnik nie brać żadnego udziału w sprawach krajowych, do tego jeszcze teraz coraz gorliwszych usług obywatelskich łaknących, — a toż wolał przy mniejszéj zostać fortunie, miéć głowę wolną i pracować na pożytek ogółu. Kiedy mu się więc zapomocą przyjaciół udało, hetmana w. koronnego do nabycia dóbr jego Przemyskich, właśnie Pieniawie przyległych, zachęcić, to je sprzedał bez kwestyi, chociaż ta sprzedaż była dla niego tylko względnie korzystną. Sprzedawszy zaś jeszcze do tego jednę wioskę z dóbr swoich pilznieńskich, na którą także na swoje szczęście znalazł takiego kupca, co jego przyjaciel saski mógł łatwo libertacyi od nieznośnych dla innéj szlachty ciężarów dostąpić, to już się od najważniejszych kłopotów uwolnił i mógł prawie

całkiem swobodnie odetchnąć. Miał on wprawdzie jeszcze jeden ciężar dość dolegliwy na karku, ale na to miał jeszcze wieś Janiewice na sprzedaż, na którą już się także zgłaszali kupcy. Te Janiewice z przyległościami kupił on niegdyś od swojéj ciotki, starościny Janiewskiéj, która wydawszy córkę za kniazia Woronieckiego i strwoniwszy na zabiegi o zięcia niemało pożyczonych pieniędzy, musiała wreszcie swoję fortunę sprzedać i wynieść się za córką zamężną gdzieś aż nad brzegi Dniestru. Kupno to było owego czasu nadzwyczajnie dla miecznika korzystném, wieś ta bowiem była nietylko tak bardzo jego zameczkowi przyległą, że do jéj obszernego murowanego dworu nie miał od siebie więcéj jak kilka tysięcy kroków, ale jeszcze do tego była to wieś w orne pola nadzwyczajnie bogata, a mając kilka należących do siebie przysiołków, miała i dostateczną pańszczyznę. Lecz podczas wojen szwedzkich zdarzyło się, iż na jéj gruntach zaszła dość żwawa potyczka, która podobno na losy wojny ówczesnéj nie wywarła żadnego wpławu, ale w dziejach Janiewic ważną na długie lata zostawiła pamiątkę, wypaliwszy chaty jéj włościan do tego stopnia, że ci biédacy, pouciekawszy z swych siedzib natenczas, częścią nie powrócili już nigdy, a częścią z głodu powymiérali na zgliszczach. Zdarzenie takie było pod owe czasy nie piérwsze, a na nieszczęście i nie ostatnie, — nieszczęśliwi wieśniacy krwawo nieraz pokutowali za zmiany losów tego narodu, w którego dobréj doli prawie żadnego nie miéwali udziału, — ale zdarzenie to dotknęło także bardzo boleśnie i zacnego miecznika. Straciwszy bowiem poddanych, tak jakby wieś stracił, z któréj już odtąd, nie mogąc jéj ani zaludnić, ani własnemi siłami obrobić, żadnego nie miał pożytku. Tém téż i trudniéj było o kupca na nią, zwłaszcza wśród ciągłych rozruchów. Jednakże teraz, gdy już od lat kilku trwał niby spokój, a nie wszyscy ludzie byli tak przenikliwi, żeby z ówczesnych stosunków króla względem narodu umieli pewną wywróżyć wojnę, już się o tę wieś ci i owi zgłaszali, a mieczníkowi chodziło już o to, żeby z nich wybrać zarazem i najlepszego sąsiada i najkorzystniejszego nabywcę.

Tak tedy miecznik przyszedł już z téj strony do ładu i oswobodził się z dawnych swoich kłopotów do tego stopnia, iż, jak się o tém napomknęło powyżéj, był jednym z piérwszych, którzy kasztelanowi Czermińskiemu podali rękę pomocną w celu zbudzenia Sandomierzanów ze snu i postawienia ich zbrojno pod Sieciechowem. Raźnie się rzucił natenczas Bobrownicki do działań. I praca jego w swych piérwszych skutkach nagrodziła mu się obficie; jeżeli bowiem jego województwo rodzinne w tak wielkiéj powstało liczbie, głównie to jemu miało do zawdzięczenia. Szedł téż już o tém i głos powszechny do dworu — a kiedy doszedł i do opuszczonego przezeń nateraz zameczku nad Nidą, wielką tam wzbudził pociechę. Cieszyła się żona tak powszechnie wielbionym mężem, cieszyły się dzieci tak zaszczytnie chwalonym ojcem, cie-

szył się wreszcie dom cały, który tam po staremu od najniższego sługi do pana był jakby jedną rodziną. A taka to była największa z owych róż woniejących, która w tych czasach w życiu tego zacnego zameczku się wplotła.

Aleć nie brakło także na cierniach. A cierń to była bardzo dolegająca wszystkim, że najweselsza dotąd téj rodziny duszyczka, owa tak słodka i tak ukochana Kostusia, od niejakiego czasu dziwnym jakimś napełniła się smutkiem. Kostusia przez te trzy lata znacznie jeszcze wyrosła; lubo zawsze dość szczupła i więcéj blada niżeli zdrowo rumiana, rozwinęła się pięknie, ba nawet lśniących nabrała blasków. W ostatnim roku już się i sława jéj osobliwszéj urody dosyć széroko rozniosła; już ci i owi zajeżdżali poczwórnie na oględziny, drudzy się zdala dowiadywali o zamiary rodziców, a trzeci, jako to śmielsi i swawolniejsi, kwietne wianuszki zawieszali na klamkach i pod jéj oknami przy lutniach śpiéwali piosnki miłosne. Były już nawet i swaty, bo jmć Trojacki, człek już wprawdzie nie młody i po kolei o wszystkie panny konkurujący, ale dosyć zamożny i wielkie obiecujący zapisy, deklarował się przez dwóch swatów po wszelkiéj formie. I to nie dosyć na tém, rozgorzał on bowiem do niewysłowienia w piękności Kostusi tak uporczywym afektem, iż lubo dostał lekką rekuzę, nie dał się przez to zbić z tropu; tylko zajeżdżał ciągle, rączki całował, tańce wyprawiał, a kiedy na to czasem nie pozwolono, to po całych wieczorach serenady wygrywał. Jednakże tak on, jak téż i drudzy kawalerowie tacy ogniści, tylko na krotochwilę służyli Kostusi, — bo już żeby tam był i nie wiedzieć jak zaszczycony konkurent przyjechał, toby mu była podziękowała. Już jéj Jerzego cale nie było zapomnieć. Jakoż przez ten czas cały nie było nawet do tego powodu. Wierny Sodalis bowiem pisywał regularnie z Paryża. Nie było wprawdzie przez blizko rok listu od niego, a to natenczas, kiedy był w wojnie nad Renem, — i było ztąd niespokoju niemało, — ale potém znowu list przyszedł, a tak niepokój ustąpił. Były te listy wprawdzie pisywane do ojca, aleć w nich zawsze się coś znalazło takiego, co przekonało Kostusię, że już to nie było do ojca, lecz do niéj saméj, a miało się cale inaczéj rozumieć.

Czytała ona każdy list taki po kilkanaście razy i już tam każde słóweczko rozważyła gruntownie, a zatém rzecz to nie dziwna, że i wyczytała daleko więcéj, niżeli wyczytał ojciec. A tak była szczęśliwą i zupełnie spokojną przez całe trzy lata. — Ale teraz, i to już nie od dzisiaj, była wieść pewna, że Jerzy wrócił. Ksiądz gwardyan od bernardynów przywiózł tę nowinę z Krakowa i zaraz z nią do zameczka przyjechał. Nie chciano mu zrazu wierzyć, taka to była wiadomość niespodziéwana, ale i musiano dać wiarę nareszcie. Gruntowny ten człowiek bowiem sam był w pałacu księżny wojewodziny, gdzie jeszcze wtedy bawiła hetmanowa koronna, i tam się o tém przekonała od ludzi; a żeby

stwierdzić jeszcze tę rzecz dokumentnie, poszedł i do gospody, w któréj stał Jerzy. Byłaby to bardzo radosna wiadomość, gdyby jednakże nie to, że gwardyan na téj gospodzie także się i tego dowiedział, iż pan Ożarowski dnia następnego do Podkamienia odjechał. Kiedy ta wieść do zameczka dobiegła, minął już cały tydzień od dnia bytności Jerzego w Krakowie — i do dnia dzisiejszego jeszcze go tutaj nie było. I oczéwiście już go nie będzie, bo w takich czasach, kto do obozu pośpieszy, to nie powraca tak prędko. Wielki tedy Kostusię ztąd opanował smutek. Wiedziała ci ona o tém aż nadto dobrze, że kto w czas wojny bieży do służby, ten niepomału się śpieszy, — ani się téż jéj serce, lubo tak kochające, z tém odezwało, żeby ona miała być piérwszą przed obowiązkiem względem ojczyzny, — ale przecież jéj się to w sercu nie mogło zmieścić, żeby Jerzy choć na oka mgnienie nie wstąpił. Zboczywszy z drogi, czyżby przez to zaniedbał swych obowiązków? I czemu przynajmniéj choć nie pisał? — To tedy wszystko tak zasmuciło Kostusię, że biédna nie wiedziała już sama, co się z nią dzieje.

Widząc to, matka, lubo sama tém sfrasowana niemało, pocieszała ją w rozmaite sposoby. Wykładała obowiązki żołnierza, nagłość spraw wojennych i politycznych, stawiała za przykład ojca, a nareszcie tworzyła i te i owe pocieszające domysły,—osmucona Kostusia temu wszystkiemu wierzyła, bo wszystko to było albo całkiem prawdziwe, albo bardzo prawdopodobne, — ale przecież jéj serce nie mogło się tém rozweselić. I pogrążyło się w smutek tak ciężki, jakiego jeszcze nigdy nie znało w tém życiu.

Trzebaż jeszcze, ażeby do tego przyłączyły się nowe powody do smutku. A były te powody nieledwie ważniejsze jak tamte. Od kilku dni bowiem były już wieści pewne, że zgromadzonéj braci pod Sieciechowem cale się nie powiodło. I wiedziano tu o tém daleko więcéj, niżeli w obozie u Podkamienia. Jakoż nietylko tam szlachta została oblężona od przeważającéj ilości Sasów i nietylko tyle wypłynęło ztąd złego, iż musiała kapitulować, lecz nadto jeszcze Sasi nie dotrzymali punktów kapitulacyi. Kapitulowano tam bowiem pod tym warunkiem, ażeby Sasi aż do zwołania przyszłego sejmu nie brali więcéj jak po dziewięć tynfów z każdego dymu, a rozumie się samo przez się, że także pod tym, ażeby zebranéj szlachcie wolno się było rozjechać bez żadnéj za to ze strony Sasów dolegliwości. Co do piérwszego warunku nie można było dziś jeszcze wiedzieć, czyli go dotrzymają; ale drugiego zaraz nie dotrzymali. Ponapadali bowiem na te i owe rozchodzącéj się szlachty oddziały, poturbowali ludzi, pozabiérali konie, bagaże, działa, a niektórych możniejszych panów, jak np. Czermińskiego, kasztelana małogoskiego, który z wielkim taborem ludzi i amunicyi wystąpił, zrabowano do szczętu. Były téż jeszcze i inne i jeszcze daleko więcéj zatrważające wieści; powiadano bowiem, że raz w tém, drugi raz w owym miejscu przyszło do krwa-

wych potyczek; że główna część sieciechowskiéj wyprawy przeszła za Wisłę, że pociągnęli na Ruś, że mają się tam łaczyć z tamtejszą bracią i formalną zaczynać wojnę. A tu tymczasem pośród tych wieści miecznik nietylko jeszcze nie wrócił, ale nawet i wiadomości żadnéj nie dał o sobie. Nowyż tedy ztąd smutek, ba, i trwoga po całym domu. Zniepokojona tém miecznikowa do najwyższego stopnia porozsyłała gońców na wszystkie strony, i ks. gwardyan wyjechał, i nawet stary jmć mostowniczy wyjechał, — a ona sama, siedząc po całych dniach przed bramą zamkową przy drodze, zatrzymywała każdego szlachcica, każdego sługę, który przejeżdżał tamtędy, wypytując ze łzami w oczach o męża. Ale napróżno, wszyscy wracali, a o jéj mężu nikt nawet nie wiedział.

Przecież nareszcie dnia jednego z południa, kiedy słońce paliło żarem, a niebo było jasnobłękitne bez chmurki, podniósł się tuman kurzu na dalekim gościńcu. Stroskana żona, siedząca w ustawicznych westchnieniach przy bramie, nie zobaczyła żadnego najdrobniejszego ruchu na całym widokręgu przed sobą. Jakoż dojrzała ten tuman kurzu, chociaż z początku tylko jak obłok żółtawy wznosił się nad drzewa dalekie na niebo. I widziała go potém bliżéj, jako się spuścił na ziemię i sunął się jak wichr zamiatający gościńce, coraz bliżéj i bliżéj. Już się dał słyszéć i tentent pędzących koni, już było widać w téj żółtéj chmurze migające cienie rycerzy; stęsknionéj żonie uderzyło serce gwałtownie, powstała z miejsca, ręce wyciągnęła przed siebie, wpatrzyła oczy w to majaczące zjawisko, modląc się przytém Panu Bogu z całego serca,— i Bóg wejrzał na nią łaskawie i rzeczywiście pocieszył. W téj chwili bowiem owa pędząca chmura kurzawy stanęła nagle przed zamkiem, a ulatując po części w górę, wreszcie się ścieląc po ziemi, postawiła przed nią rycerza na koniu, w stalowéj zbroi, w misiurce z kitą na głowie, w burce kudłatéj na plecach, a otoczonego licznym zastępem szlachty, sług i luzaków. Już więc ani wiedziała, kiedy ten rycerz zeskoczył z konia i kiedy ona padła w jego objęcia. Nuż tedy przybiegły dzieci, wysypał się hurmem dwór cały; tamci ręce mu ściskać, ci płaczem, śmiéchem, okrzykiem witać ukochanego pana. Tak więc po smutkach znów zawitała pociecha, — pomiędzy ciernie wplótł się kwiat woniejący.

Pocieszona odrazu we wszystkiém, nie wiedziała sama ta zacna kobiéta, jak ma wyrazić swą radość. Opowiadała więc mężowi z kolei, ile to trwogi w czas jego niebytności przebyła, ile nocy strawiła bezsennych, ile łez wylała tajemnych, jak każden dzień upłyniony w coraz głębszą pogrążał ją boleść, jak każdy żołniérz powracający, a nie umiejący jéj o nim żadnéj dać wiadomości, napełniał ją prawie rozpaczą! Ale dziś już to wszystko minęło! A kiedy mąż jéj powrócił, już ani umiała o czém inném pomyśléć i nie pytała o resztę.

Ale pomimo téj wielkiéj radości żony, miecznik był smutny. Siedząc z nią pod cieniem rozłożystego drzewa w dziedzińcu, trzymał

jéj rękę w swoich dłoniach gorących i niby słuchał tego wesołego szczebiotu dość pilnie, lecz widać było po nim, że jego myśl była gdzieindziéj. I mówił potém, odpowiadając na jéj pytania, lecz jego słowa tak się plątały, że go zaledwie można było zrozumieć. Widząc to, żona prawie się przeraziła.

— Mężu mój drogi! — mówiła ona, — cóż tobie? Zdaje się, jakbyś miał jakiś ciężar nieznośny na sercu. Ani cię widok żony ucieszył, ani dzieci rozweseliły, ani sługi twe wierne, które cię z taką powitały miłością. A wszakżeż wszystko w dawnym jest ładzie, wszyscyśmy zdrowi, tyś między swymi..... skądże te ciężkie frasunki?

— Dziecko moje kochane, — odpowiedział mąż na to, — nietylko tém się frasować trzeba, co w naszym domu się dzieje, ale tém jeszcze daleko więcéj, co się dzieje za domem. I nietylko o to się troskać należy, co się już stało, lecz jeszcze więcéj o to, co się ma stać na jutro. A zaprawdę powiadam tobie, że wielkie nas klęski czekają, jeżeli nie większe jeszcze ofiary. Lat kilkanaście przeżyliśmy w wojnie, która w ludziach, ich szczęściu i ich dostatkach, niepoliczone pożarła skarby, ale ta, która teraz nastąpi, pożre jeszcze daleko więcéj. Za Boską pomocą, po jéj skończeniu, może jeszcze będziem szczęśliwi,—jeżeli wszakże życie w siéroctwie i na pustyni może być jakiém szczęściem! Nie zrozumieliśmy się dzisiaj słowami — a tak już jutro tylko nam krew do zrozumienia pomoże.

Nie pojęła go miecznikowa zupełnie, ale teraz nie pytała o więcéj. Dość było jéj zresztą wiedzieć o tém, że mąż ma jakiś frasunek, aby go całém sercem podzielić. Jakoż zafrasowała się biédna kobiéta także, acz jeszcze sama nie wiedziała dlaczego.

Jednakże w wieczór, kiedy cała rodzina po staremu się zgromadziła w baszcie narożnéj, opowiedział jéj mąż dokładnie swoje frasunki. I opowiedział jéj, jako widział dziś sprawę publiczną. Nie zrozumiała szlachta swojego właściwego położenia — i w tém leżało całe nieszczęście. Gdyby je była zrozumiała i wedle tego zastosowała swoje wystąpienie dzisiejsze, to byłoby mogło przyjść snadnie do załatwienia istniejących nieporozumień między narodem a królem na drodze zgodnéj. Kiedy zaś to się nie stało, — to w dobrym razie takie nieporozumienie będzie niezmiernie wiele kosztować ofiar, — w złem zaś zmieni się forma Rzeczypospolitéj do gruntu, a szlachta straci kardynalne swe prawa i przywileje. — Oto więc owe frasunki.

Wysłuchawszy tego opowiadania, miecznikowa, a nie sięgając podobno daléj swym wzrokiem nad zakres działań swojego męża, przypisywała całą winę tego nieszczęścia, to niespodzianéj śmierci kasztelana, to przewrotnym postępkom Denhoffa. Ale ją mąż wyprowadził z tego obłędnego widzenia rzeczy. Wyłożył jéj bowiem najpiérw, iż lubo upadek dzisiejszéj sprawy zaczął się niby od województwa sandomierskiego, toż jednak losy jéj wcale nie zależały

od niego. A gdyby nawet na województwie sandomierskiém było zależało coś więcéj, toż jego upadkowi ani winna śmierć Czermińskiego, ani kapitulacya Denhoffa.

Jak bowiem na miejsce Czermińskiego byli pod ręką inni dowódzcy, tak znowu Denhoff w tym składzie rzeczy ową kapitulacyę nawet się Sandomierzanom zasłużył; wszakżeż w razie przeciwnym byłoby niechybnie przyszło do bitwy, nie mogącéj się niczém inném zakończyć, jak bardzo bolesną klęską. Jeżeliby tedy tutaj, prócz gnuśnéj szlachty wszystkich innych województw, godziło się jeszcze kogoś obwinić, to tylko jednego Sieniawskiego hetmana, który sam to przedwczesne wystąpienie wywołał i tak haniebnie go potém odstąpił. Miecznik téż rzeczywiście bardzo o ten postępek obwiniał hetmana i opowiadał, iż oburzenie, jakie się teraz przeciwko temu człowiekowi po całym kraju rozniosło, przechodzi wszystko, co o nim w najgorszych czasach tu i owdzie trzymano.

Ze wspomnienia o Sieniawskim, jako to było już blizko, przyszła rzecz na Jerzego. Miecznikowa tedy opowiedziała mężowi, co o nim dotąd słyszała. Ale miecznik już wiedział o tém, bo między Sieciechowem a Podkamieniem gęste biegały posły. Pytała go tedy żona, coby o tém rozumiał?

— A cóżbym o tém rozumiał? — odpowie miecznik, —jeszcze tu wyrokować nie można. W nagłéj chwili śpieszył się na miejsce swych obowiązków i dlatego nie wstąpił. Trudnoż mu zganić ten pośpiech. A i o to go obwiniać nie mogę, że przeciw moim perswazyom do Sieniawskiego pojechał: była to bowiem chwila, w któréj tylko dobrego spodziéwano się po Sieniawskim. Trza tedy czekać; obaczymy co będzie.

— Ale że nic nie napisał, — zauważała matka, — przecież to byłoby go nie powstrzymało w pośpiechu.

— Nie miał jeszcze kuryerów na swe rozkazy, — rzekł na to miecznik z uśmiéchem, — a poczty w czasie wojny niepewne.

Wszakże to rzekłszy, jakoś się bardzo zamyślił. Niespokojna Kostusia patrzyła w twarz jego, jak w tęczę. — Spojrzał na nią ojciec i rzekł:

— I cóż, dziecko kochane?

— Ojciec dobrodziéj wie o panu Jerzym coś więcéj, — odpowiedziała córka.

— Może wiem i coś więcéj, — powiedział ojciec, — ale czy można to wszystko zaraz powiadać niewiastom? U was z lada drobnostki zaraz wielka pociecha, a z drugiéj znów wielka trwoga: nie lepiéjże czekać w spokoju przyszłości?

— Już ani się cieszyć nie będziemy zbytecznie, ani téż trwożyć, — rzekła Kostusia, — tylko niech nam tateczko powie, co to się stało?

— Ależ nic się nie stało, — odpowie miecznik, — tylko zaszła

pewna okoliczność takowa, z której można się trochę o nim oświecić.

— Miechże nam tatko powie tę okoliczność.

— Hm! — rzecze miecznik, — no, to wam powiem, tylko nie chciéjcie z tego dorozumiéwać się czegoś więcéj, niżeli to, czego ja sam się domyślam. Wiédzcież więc o tém, iż w wigilią owego fatalnego oblężenia naszego obozu przez Sasów, przybiegł był do nas kuryerem oficer z Podkamienia. Krom *Credentiales* z Sieniawskiego podpisem, nie przywiózł on nam pism żadnych, ale natomiast dał nam ustną przestrogę, prosząc na wszystkie bogi, ażebyśmy się ile możności trzymali w kupie i pod żadnym warunkiem nie rozjeżdżali. Zalecał nam także, abyśmy unikali do czasu wszelkiego starcia z Sasami, a gdybyśmy o nich, nadciągających w liczniejszéj sile słyszeli, to raczéj nam zmienić dotychczasowe leże, raczéj dać gonić za sobą choćby najdaléj, niżeli do konfliktu dopuścić. Zmuszeni zaś taką okolicznością do ustępowania z pod Sieciechowa, mamy ciągnąć w kierunku Lwowa, a zatém i Podkamienia, i zabiérać ze sobą komendy spotykane po drodze. Taki ordynans przywiózł nam kuryer, — co nas niezmiernie ucieszyło na razie, bo to nietylko zdała nam się rzecz dosyć mądra, ale jeszcze przekonywała nas o tém, iż tam ci starsi panowie przecież także czuwają. Jednakże w dalszéj z tym kuryerem rozmowie zdziwiło nas to niemało, że nam cale nie chciał powiedzieć, ktoby go wysłał? A kiedy nieboszczyk kasztelan, który dnia tego żył jeszcze, bardzo na niego nalegał, powiedział nam prawie te słowa: — „A co tam wm. panom na tém zależy, z czyich ust wziętem ten rozkaz? Widzicie przecież dowodnie, żem jest hetmański: więc czy mnie to poselstwo polecił pan hetman, czy kto inny za niego, już to jest jedno. Widzicie zresztą, jaki to rozkaz; mnie się zdaje, że najmądrzejszy jaki być może: cóż to więc na tém od kogo idzie?“ — Poczém wyszedł niby na chwilę i już więcéj nie wrócił. To nas jeszcze tém więcéj zdziwiło; jakoż radziliśmy o tém z starszyzną, a jak to bywa zwyczajnie, tak téż i tutaj rozdwoiły się nasze opinie. Więc jedni, zwłaszcza ci, którzy tego hetmana mają koniecznie za zdrajcę, widzieli w tém jakiś zamiar zdradziecki — a znowu inni, przeciwnie, jaknajlepsze u Podkamienia względem nas chęci. Tegoż zdania byłem i ja i kasztelan, ale że i my także nie mogliśmy tego przypuścić, ażeby ten kuryer tak bojaźliwy był wysłany od samego hetmana, więceśmy wpadli na domysł następujący: hetman tam jeszcze się chwieje i na nic się zdecydować nie może. Ani mu jeszcze dzisiaj jawnie przeciw królowi wystąpić, bo nie widząc pospolitego ruszenia w pełni, słusznie się zgubnych obawia skutków; ani mu się téż cofnąć, zwłaszcza że sam tę burzę wywołał. Ale ludzie jego przyboczni chcieliby tak dla kraju, jak i dla niego, ażeby się ta impreza nie skończyła na niczém. Porozsyłali tedy bez jego wiedzy posłów do wszystkich województw i, jak się to pokazuje, z bardzo mądrym rozkazem.

Chcąc bowiem, ażeby się województwa pod żadnym warunkiem nie rozchodziły, pragną rzeczy najlepszéj; bo jużciż w trzymaniu się szlachty w postawie groźnéj cała téj sprawy nadzieja. Rozkazując zaś, abyśmy unikali konfliktów, także rzecz rozumieją, bo przez wylanie krwie moglibyśmy odrazu na pole wojny przenieść tę sprawę, która się jeszcze może zakończyć obustronną umową. A jeśli wreszcie każą nam się cofać ku obozowi hetmana, toż i to jest rozumna, bo kiedyby się przed następującymi na nich Sasami województwa w tę stronę cofnęły, to opasałyby sobą z wszystkich stron obóz hetmana a w takim razie hetman, czyby już chciał, czyli nie chciał, musiałby stanąć po stronie narodu. Takeśmy to wywnioskowali. Ponieważ zaś z tych tam ludzi, którzy dziś otaczają hetmana, a których my przecież znamy, niémasz podobno ani jednego, coby się na taki czyn samowolny, wprawdzie bardzo szlachetny aleć i niebezpieczny, odważył: więceśmy tak uradzili z nieboszczykiem Czermińskim, że już nikt tego nie mógł uczynić, jak Ożarowski. Na ten zaś wniosek wprowadził nas tenże sam kuryer, który nam opowiadał dosyć széroko, jak to tam ten nasz Jerzy wpadł tak odrazu w łaskę hetmana, że już jest prawą ręką u niego, za niego myśli, za niego pisze i zgoła wszystkiém zarządza...

Tak tedy miecznik opowiedział rzecz bardzo ważną, która przedewszystkiém niezmiernie ucieszyła Kostusię. Jakoż nie wahała się ona zaraz powiedzieć, że tym sposobem Jerzy wszedł na samym wstępie na wielką drogę.

Przyznała to także i matka, lecz matka, daleko więcéj troskliwa o dobro swojéj rodziny niż każde inne, dodała jeszcze do tego:

— Daj jemu Boże, ażeby się wzbił jaknajwyżéj, życzę mu téż z całego serca, ażeby był jaknajpożyteczniejszym krajowi; ale zaledwie mogę utłumić w sobie obawę o to, iż im wyżéj się wzbije, tém pewniéj już u nas się nie pokaże.

Uwaga ta dziwnie jakoś zatrwożyła Kostusię, wpatrzyła się bowiem tak dużemi oczyma w twarz matki i tak przytém pobladła, że się nieledwie całkiem zmieniła...

Miecznik zaś, przypatrzywszy się córce i pomyślawszy nad tém przez chwilę, taką dał na to wszystko odpowiedź:

— Tak mi się widzi, moje dziecko kochane, że ta obawa powinna być u nas ostatnią. Jużciż zrobiłem ja coś dla niego, za co mi się choć pokłon należy. I jeszcze robię, bo przecież gospodaruję na jego fortunie i ratuję ją od upadku, jak mogę. Są téż pomiędzy nami i te i owe wspomnienia, które u zacnych ludzi nie pozostają nigdy bez skutków. Ale..... jak z jednéj strony ja pokłonów nie pragnę, tak znowu z drugiéj dyspensuję natychmiast od tych tam skutków. Młode to było, ba, dziecko prawie: a któż zaś dzieci podchwytuje za słowa! Jakoż i wy tak rozumiejcie tę sprawę i wedle tego się rządźcie.

To rzekłszy, miecznik wytrzymał chwilę, a to dlatego, ażeby tém lepiéj spamiętano ten wyrok. Przykro mu to było i z jawnym bólem wymawiał te słowa, — ale je wymówił dobitnie, jak mu to nakazywał surowy obowiązek ojcowski. A potém tak mówił daléj:

— Jakoż nie o to tu idzie i ani ja myślę o takowéj obawie. Ale mam inną obawę, a to tę właśnie, ażeby mu ta protekcya hetmańska nie wyszła na złe. Bo to najpiérwéj łaska pańska na pstrym koniu jeździ i rzadko kto na nim gdzie daleko zajedzie. Zajeżdżali już wprawdzie i ci i owi do tych i owych celów, ale podobno wszyscy ci byli tacy, którzy pamiętali tylko o sobie. Jerzy, jak widać dotąd, zdaje się mieć cale inne zamiary; chwalę mu je, bo są szlachetne; ale kiedy się nad tém namyślę, to mnie to wcale nie cieszy. Jużci z pod skrzydeł tak wysoko latającego orła można uczynić coś więcéj, niżeli z pod własnych skrzydeł husarskich lub z pod chorągwi pancernéj: ale tak myślę, że pod owemi skrzydłami, zwłaszcza téż dla młodego człowieka, nie bardzo bezpieczne to stanowisko. Wyjedna on u hetmana i to i owo, tak dla siebie, jak i dla drugich; ale jeżeli hetman nawzajem coś i u niego wyjedna? On tego przewrotnego człowieka, jeżeli to tam już takie ma wpływy, może trochę poprawi; ale jeżeli przewrotny człowiek za to jego zepsuje? Stary się poprawia na chwilę, ale jeżeli młody się psuje, to już pewnie na całe życie.

A jestto bardzo podobne, bo na tym świecie, tak tu, jak téż i owdzie, rzadko darmo co dają. Więc jak od Żyda nie weźmiesz złota, ażebyś z niém nie wziął i żydowskiego brudu, tak od złego człowieka nie weźmiesz łaski, żebyś z nią razem nie wziął jakiego grzéchu. Dobra to rzecz, z niedostępnéj dla kogo innego kałuży wyjmować rzeczy drogocenne i czyste; ale jabym i pereł się wyrzekł, gdybym je musiał zbiérać na gnoju. A wszakżeż prawie tak samo uczy nas Pismo, gdy mówi, jeśli mnie pamięć nie myli, te słowa: — „*Uciekajcie od namiotów ludzi niezbożnych, ani się nie dotykajcie tego, co ich jest, abyście się w ich grzéchach nie zawinęli.*“ A co powiada Pismo, to zaprawdę niemylne. A ja jeszcze dodam do tego: Życie dworskie bez praktyk, praktyki bez niecnoty, służba pańska bez niewoli sumienia, łaska górna bez upodlenia, już to są cudy dziś między nami. Można to wprawdzie i pomiędzy te Scylle i Charybdy przepłynąć bez uszkodzenia swojego statku; ale... trzaby to także wliczyć pomiędzy cudy. Owóż o to się boję— i nie bez słusznego powodu. Trzeba wam bowiem wiedzieć, iż nie skończyłem jeszcze mojéj historyi. Więc tedy ów tajemniczy kuryer odjechał sobie szczęśliwie, a myśmy zostali przy naszych zdaniach. Aliści w nocy oblegli nas Sasi i oblegli nas taką siłą, że gdyby byli chcieli, to mogliby byli nas prawie podusić. Nazajutrz rano zjawił się Denhoff pomiędzy nami, uczynił koło, wydemonstrował nam cały stan rzeczy, a potém za nas kapitulował, na co téż wszyscy przystali, bo i nie było co robić. Na tę chwilę

i dla nas partykularnie było to szczęściem niemałém, co téż powszechnie uznano; ale nie można tego zobaczyć, że nie jest to szczęściem dla całéj sprawy. A jako to każdy w nieszczęściu radby miał kogoś, któremuby mógł przypisać winę, tak i tu znaleziono sobie hetmana i powalono wszystko na niego. Jak tedy Denhoff w oczach zebranéj szlachty podrósł wtedy na chwilę, tak znów Sieniawski zmalał haniebnie, a jeszcze się i obrukał. Jakoż nic nie mam przeciwko temu, bo jest w tém racya z innych powodów; aleć to na tém nie zakończono. Idąc bowiem daléj po téjże nici, przypomniano sobie zarazem i owego kuryera. A na co to był przysłany ten kuryer na oka mgnienie przed oblężeniem? oczéwiście na to, ażeby nas tém pewniéj w całym komplecie mogli ułowić Sasi i wygubić do nogi. A ponieważ się już i to było rozniosło, jakoby ten kuryer miał być wysłany przez Ożarowskiego, — zdrajca więc hetman, zdrajca i Ożarowski. Otóż macie zaraz i konsekwencye. Nie dopuszczam ja tego wcale, co sobie ubrdała szlachta, o zacności Jerzego ani na chwilę nie wątpię, jestem téż pewny, iż wyszedłszy z takiéj gruntownéj szkoły i dawszy już tego dowody, czego go tam nauczono, w zacności swojéj nigdy się nie odmieni; ale znów z drugiéj strony, od czegóż młodość? Młodość to płochość, mówili starzy. A cóż dopiéro, kiedy w takie popadnie sidła, gdzie sznury złote, wonnemi kwiaty zasypane przepaście, a nad przepaścią takie łudzące i w taką dal sięgające widoki? — Przyjdzie mi tedy tutaj powtórzyć, co zwykł był mawiać mój ojciec: — Nie unoś się nigdy miłością dla nikogo takiego, o którym jeszcze nie wiész z pewnością, że się już nie odmieni, bo zaprawdę to lepiéj nigdy nie kochać, niż zaszczepiwszy miłość lub przyjaźń w swém sercu, własną ręką ją potém wydziérać. — Ot! i takie to rzeczy.

Kiedy miecznik skończył swoję perorę, głuche zapanowało milczenie.

Wkrótce téż potém uderzyła godzina dziewiąta, a więc wszyscy szli do kaplicy na modlitwy wieczorne. Kostusia była niezmiernie blada i bardzo się gorąco modliła. Było nawet łzy widać w jéj oczach, które po kilka razy jéj spłynęły po licach. Oboje rodzice to uważali i lubo pośród modlitwy, także sposępnieli niemało. Ale ojciec, pocałowawszy ją w czoło, spać poszedł; czego wszakże nie uczyniła daleko troskliwsza od niego matka. Jakoż poszła za córką do jéj komnaty i tam miała z nią długą rozmowę. Mówiono i tak i owak, jak to zwykle w okolicznościach takich, w których grunt niewiadomy. Nareszcie Kostusia rzekła:

— Będę się Panu Bogu modlić i czekać.

I na tém się skończyła ta dzisiejsza rozmowa.

Nazajutrz rano miecznik wypytywał się żony, coby się działo z Kostusią? opowiedziała jak jest. Tedy się tém zafrasował cokolwiek, a w końcu rzekł:

— Trzeba koniecznie starać się o to, ażeby jéj wybić z głowy.

Poczém już więcéj o tém nie wspomniał.

Widząc to, miecznikowa niezmiernie się temu zdziwiła. Znając jego dawniejszą troskliwość o najdrobniejsze rzeczy dotyczące rodziny, nie mogła nawet pojąć téj wrzekomej obojętności na rzecz tak ważną. Dziécię ich drogie, ba, prawie najulubieńsze ze wszystkich, miało tak wielką zgryzotę, — od wyléczenia go z téj zgryzoty, albo téż skutecznego jéj zaradzenia, zależał jego cały los przyszły, wieczne szczęście albo wieczna niedola, może nawet życie lub śmierć; — a tu tymczasem ojciec zaledwie chciał wiedzieć o tém. Cóż to się stało?

Stała się tu wszakże rzecz bardzo prosta. Oto miecznik, pomimo całéj swojéj czasem nawet i chłodnéj na pozór rozwagi, był to człowiek bardzo ciepłego serca i prawie rwących namiętności. Toż i fantazyi nie brakowało mu takiéj, jaka zazwyczaj chodzi z gorącém sercem. W skutek takich przymiotów nie umiał on się do niczego brać przez połowę, ani się zginać przed przeszkodami. Życie mu było za nic, kiedy sobie przedsięwziął dostać się do ś. p. stolnika, — a kiedy postanowił jego syna do Francyi wyprawić, to już był gotów lichwiarskim długiem dobić majątek, chociaż mu do tego nie pomagały ani czasy, ani fundusze, jednakże tak się zamachnął, jak gdyby chciał pół Polski zakupić, — a dzisiaj znowu, kiedy się jego serce wzburzyło przeciw praktykom saskim, pragnął co najmniéj połowę Polski wybawić. W zwyczajnych dobach publicznego żywota taki gorący a nieoględny człowiek nietylko rzadko przynosi pożytek, ale jeszcze częstokroć i sobie i drugim niemałe wyrządza szkody; ale są znowu chwile, gdzie jedna iskra serdeczna, im gorętsza, tém lepsza i warta więcéj, niżeli sto najgłębszych rozumów. A taka to chwila była właśnie w tych czasach. Wiedział o tém miecznik i dlatego był jeszcze o tyle gorętszym. Już mu więc teraz nie była w myśli ani rodzina, ani majątek, ani cokolwiekbądź, co należało do niego; stanąwszy pod sztandarem sprawy publicznéj, już się jéj oddał w całości, nie wyjmując dla siebie ani jednego oddechu. Toż napełniony tym nowym ogniem prawie we wszystkiém się zmienił. Gdzie dawniéj żoną, dziećmi i domowemi sprawami niespracowanie zajęty, dziś ani pytał się o to. Prawie ciągle na wózku, rzadko u siebie, a kiedy się co wydarzyło, to już tam szlachty było u niego jak na sejmiku i sejmikowe się odprawiały narady. Przytém był krzepki, zdrów, wesół jak nigdy i mówił o sobie, że dopiéro teraz żyć zaczął.

A tu obiedwie kobiéty właśnie jak gdyby teraz zaczynały umiérać. Przynajmniéj Kostusia była tak utłumiona i tak jakoś wybladła, jak gdyby ją w saméj rzeczy zabijała trucizna. Dzieliła z nią matka te smutki z całego serca, ale czyż mogła jéj pomódz? Gdybyż choć od Jerzego przyszła jakaś stanowcza wiadomość! Ale i téj nie było. A tak trza było w ciągłéj obawie i niespokoju czekać cierpliwie odsłonienia téj tajemniczéj kwestyi, którą

rozwiązać własnemi zabiegami lub pracą nie można było na żaden sposób. I był ten czas bardzo smutny w zameczku.

Wszakże niebawem potém zjawiła się gościem pani stolnikowa krakowska. Był natenczas i miecznik i sam ją w ganku powitał. Przyjęto téż zacną tą damę uprzejmie, ba, po staremu serdecznie. Miłoż im było widzieć choć matkę, kiedy nie mogli jéj syna. A potém znano ją tu daleko lepiéj, niż wszędzie indziéj, toż i wiedziano, że co bądź na nią zmyślały złośliwe kumoszki po małych dworkach, przecież nikt jéj nie widział czyniącéj w złości, a na to miejsce wielka miłość była w jéj sercu. Spodziéwano się wreszcie od niéj jakichś już wiadomości, a że się każdy rad tego spodziéwa, czego sam pragnie, więc téż tém bardziéj się z tych odwiédzin cieszono i okazywano tę radość gościowi.

Aleć to cale niespodziéwany obrót wzięły te odwiédziny.

Przedewszystkiém bowiem stolnikowa mówiła jaknajmniéj o swoim synu. Wspomniała tylko jakby nawiasem, że Jerzy jest przy hetmanie, — że zaczyna zbiérać owoce z tych prac i zabiegów, które ona podejmowała przez lat kilkanaście ku zbudowaniu jego przyszłości,— że ma już teraz piękną przyszłość przed sobą,— ale że jeszcze to wszystko w Boskich jest rękach. Oświadczała téż przytém imć miecznikowstwu winne od niego pokłony, i przepraszała, że nagłemi sprawami zajęty, nie mógł sam tego uczynić. Listu od niego im nie oddała, — zdaje się że musiała go zgubić, a wstydząc się tego zapewne, nawet i nie wspomniała, że taki list miała sobie oddany. Więc potém znowu dziękowała miecznikowi za jego łaski, za zachody, za trudy, które podejmował około jego fortuny, — dziękowała mu za to nawet bardzo gorąco, nazywając tę jego przyjacielską posługę poświęceniem i chrześciańską ofiarą. Ponieważ zaś nie powinno się od niego przyjmować takich kosztownych ofiar, tylko natenczas, kiedy jest tego konieczna potrzeba, a ta potrzeba z małoletnością Jerzego się pominęła, więc dziękowała mu jeszcze po raz ostatni za jego opiekuńcze zachody i zaręczając, że Jerzy niczego więcéj nie pragnie, jak co najrychléj go od nich uwolnić, prosiła o oddanie papiérów.

Żądanie to było napozór niby w porządku, — lecz przecież miecznik bardzo się na nie zachmurzył.

Zrozumiał on całą donośność postępku — a to go bardzo ubodło.

Ale już nic na to nie mówił, — tylko poszedł na dół do siebie, papiéry przyniósł i oddał je stolnikowéj. I zachował się przytém z jaknajwiększą swobodą, a nawet z uprzedzającą grzecznością. Opowiedział jéj krótko, co który z tych papiérów znaczy, do jakiéj się sprawy odnosi, jak ta sprawa dziś stoi i jak ją nadal prowadzić należy. Przedłożył przytém dotyczące rachunki, oddał zalegające piéniądze, objaśnił o stanie gospodarstwa — a życząc jéj szczęścia, że się już doczekała takiego syna, który może sam swoje interesa prowadzić, — tak nareszcie tę nudną sprawą zakoń-

czył. A kiedy to się stało, stolnikowa jeszcze raz mnóztwo wypowiedziała grzeczności i pożegnawszy wszystkich serdecznie, opuściła zameczek.

Po jéj odjeździe zrobiło się cicho w komnacie jak w grobie. Kwestya, która dotychczas była w zawieszeniu, rozjaśniła się teraz jawnie i niewątpliwie, — rozjaśnienie to zrozumieli wszyscy jednako, — a więc i nie mieli co sobie o tém wspominać. Jednakże jak to wszyscy radzi jeszcze choć małą chwilę nie dajemy wiary nieszczęściu, choć go już czujem na sobie, tak i obiedwie kobiéty patrzały jeszcze na miecznika ciekawie, co téż on powié? — Bóg wielki! może tu jeszcze nie wszystko przepadło?..... Lecz dawny opiekun Jerzego stał oparty o głęboką framugę okna, patrzył niewidomemi oczyma na szyby i milczał. Zwrócił się wreszcie i rzekł z głębokim smutkiem jakby do siebie:

— Kusi mnie diabeł przez całe życie, ażebym nic nikomu nie zrobił dobrego; no! aleć to próżna pokusa. Dla niewdzięczności ludzkiéj nie godzi się odstępować przykazania Bożego.

To rzekłszy, uścisnął żonę, łzę uronił nad córką i wyszedł. W małą chwileczkę potém wsiadł na swój wózek niziutki i popędził gdzieś w nieznajome sąsiedztwo.

A obiedwie kobiéty zostały same, zatrute gorzkiém uczuciem zawodu i bez żadnego widoku na przyszłość. I dopiéroż to wtedy ciężki smutek zaległ ich serca i jakby młyńskim kamieniem przygniatał umysły. I na ten ból niewymowny nie było w niczém pociechy, nigdzie żadnego ratunku. A tak już odtąd, za ową chwilą ostatecznego rozczarowania wlokły się dnie jeden za drugim, jak zapłakane siéroty idące w ciężkiéj żałobie za trumną swojego ojca.

Jednakże w czasie niedługim zaszła znów mała zmiana na tym zacnym zameczku. A stało się to w sposób następujący. Jednego dnia późnéj już całkiem jesieni, kiedy o piérwszych popołudniowych godzinach cała ta liczna rodzina rozsypała się po owéj łączce nad Nidą, ażeby odetchnąć jeszcze ostatniemi chwilami pogodnego powietrza, zajechały w dziedziniec zamkowy jakieś dziwnie ładowne powozy. Landara wielka żółto-czerwona w sześć koni białych, tuż za nią druga arka podobna o cztérech koniach, i znowu bryka okryta, i jeszcze ze trzy lub cztéry wozy, wyładowane w górę, jakoby smagi kupieckie. Obaczywszy to, dzieci już myślały, że znowu Denhoff zajeżdża, a ciesząc się do dnia dzisiejszego jego hojnemi darami, zaniosły się wielką i rozgłośną radością. A miecznik, nie mogąc zdaleka dojrzéć dokładnie powozów, zwłaszcza naprowadzony na ten domysł przez dzieci, także był tego zdania; jakoż rzekł zaraz do żony:

— Jużci zapewne, że to nie jest kto inny, jak pan Stanisław. Chodźmyż go tedy powitać. Ale dlaczegóż z takim ciężkim ładunkiem?.....

A to mówiąc, szedł razem z żoną i dziećmi ku dziedzińcowi.

Ale tymczasem z owéj piérwszéj landary wysiadła dama. A była to dama bardzo pokaźnéj powierzchowności. Niewiele więcéj niż średnia wzrostem, była wszakże dosyć zażywna, a tak rozkoszna i pulchna, jak wielkanocne pieczywo. Przy włosach czarnych i oczach wielkich piwnego koloru, miała płeć białą jakoby mléko, co jéj pokaźnéj figurze dodawało jeszcze niemało blasku. Po jéj twarzy okrągłéj, także pulchnéj nad podziw, nie można było odgadnąć na pewno jéj wieku, bo była wybielona starannie, wymalowana ślicznie, a nawet i brwi miała dorysowane farbką tak pięknie, jakoby z ręki piérwszego mistrza, — lecz w każdym razie, dawszy jéj lat między dwadzieścia pięć a pięćdziesięt, trudno się było omylić. Jednakże jeszcze daleko więcéj, niżeli te malatury, rzeczy całkiem zwyczajne u elegantek ówczesnych, zadziwiało jéj strojne ubranie, zanadto ciężkie jak na osobę młodą, a zanadto bogate, jak do podróży. Miała ona bowiem na sobie suknię fałdzistą z adamaszku krwistego, gors głęboko wycięty, a na szyi łańcuch złocisty w łuskę, jakoby pancerz rycerski; na rękach atłasowe rękawki, rzezane, drogiemi kamieniami wysadzane manele, a na białych paluszkach brylantowe pierścienie. Na głowie tylko miała niby podróżną duchenkę z aksamitów błękitnych, ale znów za to zarzuciła na siebie gronostajowe futerko, które jéj dodawało nieledwie już wspaniałości książęcéj. Tak wysiadłszy z landary, rozpytywała przez chwilkę zamkowych ludzi, którzy wyszli na jéj powitanie, a dowiedziawszy się od nich, kędy są państwo, obróciła się zaraz ku bramie. Widząc miecznikostwo już wchodzące w dziedziniec, puściła się ku nim krokiem lekkim i prędkim, a atłasowe wstęgi od czepca i lekkie poły gronostajowego płaszcza szeleściły za nią w powietrzu.

Obaczywszy ją miecznik tak ku sobie pędzącą, poznał natychmiast, jakoż zawołał do żony:

— A tożto nasza jaśnie oświécona kniahini!

Poczém z serdecznym uśmiéchem na twarzy otworzył swoje zamaszyste ramiona i pochwyciwszy w nie tę naddniestrzańską rusałkę, przycisnął ją z całéj siły do piersi. Pomimo gronostajowego futra, którém były okryte, aż zatrzeszczały gorsetowe fiszbiny, taki to był uścisk serdeczny. A uściśniętéj kniahini aż się oddechy zaparły w piersiach. Dopiéro uwolniwszy się z nich i przycisnąwszy obiedwie ręce do lewego boku swojego gorseta, zawołała przeciągłym śpiéwającym akcentem:

— Ach! kochany braciszku! jakże się cieszę, to nie uwierzysz. Tak mi serce dudni, jak gdyby się zestrachało, a tu taka pociecha! Wybaczże mi, pani bratowo, żem piérwéj zwitała brata, ale bo się tak serdecznie kochamy!

A to mówiąc, ściskała już miecznikową:

— Najukochańsza Zosieńko! jakaż ty zawsze przecudna! a taka świeża, a taka młoda, jak panieneczka. Och! widać to zaraz po tobie, że ci nie dogryzają gorzkie frasunki wdowieństwa! — A toż

kto znowu?— zapytała kniahina, obracając się do najstarszéj córki miecznika.

A miecznik na to:

— A któżby inny? Jużci Kostusia.

— Kostusia? bodajżeż ciebie! — zawołała kniahini, biorąc ją w swoje uściski, — patrzajcież ludzie, jak już wyrosła! a jaka śliczna, jak gdyby róża sułtańska! Och! tożto muszą usychać za nią amanty! Ale dobrze im tak! brzydki to ród tych naszych mężczyzn. Miodowe słówka, obietniczki, klękania, palec na palec: Bodajbym nogi połamał! niechajże karku nakręcę!—a w sercu zdrada, jeszcze lepiéj gotowa niż miłość. Perełeczko moja, aniołeczku niebieski! tak mi Boże dopomóż, że do matki nie wrócę, a do ciebie powrócę: a on jak czmychnie, już go i oko twoje nie ujrzy! Bardzo to ród przeniewierczy, ten męzki, i prawie całkiem zdradziecki.

Słysząc to, Kostusia zarumieniła się biédna jak pąs, a serce jéj biło tak mocno, jak gdyby miało już pęknąć. Szczęściem jednakże dla niéj, kniahini zaczęła tymczasem witać Marynię i inne dzieci, a miecznik mówił do siostry:

— A! wiemy my tu już, wiemy, moja pani siostro, dlaczego to takie gorzkie łzy lejesz na mężczyzn. Cha, cha, cha! No, aleś to sama sobie podobno winna, bo któż téż wierzy rotmistrzom?

A księżna na to:

— Och! ten rotmistrz przebrzydły! proszęż cię, już nie wspominaj mi o nim. Taki to zdrajca z niego wierutny!

Z temi słowami stanęli wszyscy na górze w owéj pysznéj komnacie, w któréj przyjmowano Denhoffa. Lubo kniahini już tę komnatę niejednokrotnie widziała, jednakże z zwykłéj sobie do pochwał i uniesień skłonności, zaczęła nanowo ją chwalić i unosić się nad jéj ozdobami. Lecz miecznik, pochwał komnaty cale nie godzien, a natomiast ciekawy, jak to tam rzeczy stoją z jmć Wiszowatym, przystąpił do niéj i rzecze:

— Powiédzże, moja siostruniu, jak to tam z twoim rotmistrzem? czy cię już całkiem porzucił?

— Czy mnie porzucił? — odpowiedziała kniahini, oczy spuszczając ku ziemi,—lichoż go wié, mój braciszku! bo to wielki bałamut.

— No, to jest jeszcze przecie nadzieja, — powiedział z uśmiéchem miecznik.

— Och! już bodajżeż to taka nadzieja! Ale powiédzże mi, braciszku, — mówiła daléj kniahini, postępując z miecznikiem ku oknu, — tożto on był tutaj gdzieś w waszych stronach i to podobno niedawno. Mówiła mi o tém w przejeździe pani kasztelanowa wiślicka. Miał tu być kędyś u Ożarowskich, co to ona jest jego krewna, a jéj syn ma być po zrękowinach z waszą Kostusią. Prawdaż to jest, braciszku? Tak mnie rozpowiadała pani kasztelanowa wiślicka.

Więc na to miecznik niby się trochę zachmurzył, ale zaraz złagodniał i rzekł z uśmiéchem:

— Trzeba już, jak widzę, poprostować te wiadomości pani kasztelanowéj wiślickiéj. Więc najpiérw wiédz o tém, że Ożarowski ani był, ani téż jest, ani już nawet będzie po zrękowinach z Kostusią. Może tam kiedyś śniło mu się o tém cokolwiek i może myśmy byli tak prości, żeśmy tym snom uwierzyli; ale jeżeli twój rotmistrz potrafił umknąć, to i jego siostrzeniec nie gorszy.

— Doprawdy, Jasiu?— zawołała na to kniahini, — patrzajcież ludzie, co to są za mężczyźni! otóż to wszyscy już dzisiaj tacy, jak widzę! Biédnaż nasza Kostusia! Och! jakżeż ja ją będę pocieszać! jakże będziemy tęsknić obiedwie!

— A co do rotmistrza, — mówił miecznik daléj, tłumiąc śmiéch w sobie co siły, — to także muszę sprostować pani kasztelanowéj wiadomość. Rotmistrz bowiem był tutaj istotnie, ale już dawno, późniéj ugrzązł jak słyszę u jmści Domaradzkiego, a nareszcie razem z nim zniknął jak kamień w wodę. Powiadano mi jakoby niedawnemi czasy miał bawić na dworze pana pisarza na Sędziszowie, ale że go pod Sieciechowem nie było, gdzie byli wszyscy Pisarscy, to wiem z pewnością. Gdzie tedy teraz przebywa, już to jest tajemnica.

Bardzo się tedy nad tém zamyśliła kniahini i kilkakrotnie westchnęła.

A miecznik na to:

— Zdrajca to wielki, ten rotmistrz, ale przecież za nim wzdychają.

— Ej! to nie za nim! — rzecze kniahini, — jak ciebie kocham nie za nim! Ot! miałabym téż za czém i wzdychać! Taki to z niego niewdzięcznik!

— No, ale tyś za to wdzięczna, moja siostruniu, i bardzo słusznie. Boć to przecie on, nie kto inny, nie dał cię wyrugować z nieboszczykowskiéj fortuny.

— To téż to jedno, co mi tam serce pociągnęło ku niemu,— zawołała na to siostra miecznika, — bo i coby innego? chłopisko grube, nos jak terlica, wąsy jak rogi, jeszczeż do tego i te kowane buciska, co jak idzie, to wszystkie ściany się trzęsą!

— A! — rzecze miecznik, — tegobym nie powiedział, żeby to był mąż brzydki. Mężczyzna nie może być gładkim, a który nim jest, już to pewnie papinek. Ani do tańca, ani do różańca. Ani to z niego żołniérz, ani mąż jak potrzeba. A rotmistrz właśnie mąż sobie od ciemnéj gwiazdy. Figura jego, jakby ją kto z dębu wyciosał, ręka żelazna, noga fundamentalna, zahartowany na wszystkie prace i biédy, czego już dał dowody, siedząc przez lat trzydzieści w takiéj pracy, którą wytrzyma i wyjdzie z niéj taki sam, jako dzisiaj.

— No, tożto mi się także w nim podobało, — rzecze na to kniahini, — ale co to z tego wszystkiego, kiedy taki bałamut!

Więc tedy miecznik śmiał się serdecznie i znowu ściskał swą siostrę, a mówił przytém:

— Ej! wdówki, wdówki! już to podobno z was bałamutki daleko większe, niżeli wszyscy mężczyźni!

A tak żartowali jeszcze ze sobą czas mały, poczém kniahini rozweseliła się jako dziecko; bo téż nad wszystko lubiła wesołość, chociaż wzdychała głęboko i smętnie. Jakoż niebawem rzekła do brata:

— Ale my się tu weselimy w najlepsze, a ja tymczasem takie ważne mam sprawy na głowie: Wieszże ty, Jasiu, pocom ja tu przyjechała? Nie sprzedałeś jeszcze Janiewic?

— Janiewic, — rzecze miecznik, — jeszcze nie sprzedałem, ale cóż to ciebie obchodzi? Chciałażbyś wrócić do twojéj ojcowizny?

Tu tedy kniahini opowiedziała miecznikowi całe swe położenie. Mimo pomocy rotmistrza i wszelkich starań z jéj strony, nie potrafiła się ona utrzymać przy mężowskim majątku i uzyskała tylko tyle, że jéj część jakąś tego majątku gotowizną spłacono. Zabrawszy tedy tę gotowiznę i swoje sprzęty, przyjechała tutaj i niczego więcéj nie pragnie, jak Janiewice odkupić i w nich napowrót zamieszkać.

Wiadomość ta z jednéj strony uradowała miecznika, był bowiem zdania, iż dostawszy choć mierną odprawę od Woronieckich, dostąpiła ona osobliwego szczęścia. Właściwie wziąwszy, nic jéj się nie należało krom funduszu na utrzymanie, a widoki jéj musiały być jeszcze o tyle skromniejsze, o ile jako prosta szlachcianka weszła w rodzinę książęcą i po staremu nie miała zbyt dobrych chęci téjże rodziny za sobą. Jednakże postąpiono z nią daleko szlachetniéj, niżeli się można było spodziéwać, co niezmiernie uradowało miecznika. Ale znów za to projekt nabycia Janiewic nie pomału go zniepokoił. Przedewszystkiém bowiem, jak się już nadmieniło powyżéj, wieś ta była niemal w ruinach, a w żadnym razie nie była to taka fortuna, którąby mogła kobiéta administrować korzystnie. Nie był zatém ten wybór pod żadnym względem dla jego siostry szczęśliwym — a i dla niego samego nie był także szczęśliwszym, bo sprzedając wieś taką kobiécie, a do tego jeszcze i krewnéj, musiał ją oczéwiście oddać daleko taniéj, niżeli wtedy, gdyby ją sprzedał któremukolwiek innemu zysku szukającemu kupcowi. Przewidując to, miecznik usiłował odwieść od tego projektu kniahinię. Ale zepsuta szczęściem całego życia, a ztąd niemało kapryśna, wdówka uparła się koniecznie przy swojém, powtarzając co moment:

— Już niech tam będzie co chce, już ja wezmę Janiewice koniecznie. A cobym ja zrobiła gdzieindziéj? Taka jest ze mnie niezaradna kobiéta, tak opuszczona sierota! A toż gdzie w cudzych stronach lada ktoby mnie wyzuł z majątku, — a przy tobie ja jestem pewna. Wolę już tutaj choćby biédować, niż rozkoszować gdzieindziéj.

A tak już nie było rady. Jakoż w dni kilka pozbył się miecznik Janiewic, bardzo wprawdzie pośpiesznie, ale niebardzo korzystnie. Również pośpiesznie wzięto się także do restauracyi janiewickiego dworu i potrzebnych budynków, a lubo to już zima była za pasem, pracowano pilnie i niezmordowanie. Jednakże mimo pośpiechu, do którego nagliła kniahini, nie mogła się ta robota ukończyć tak prędko, a tak tymczasem wesoła ta wdówka pozostała gościem w zameczku. Bardzo też wtedy odmienił się dawny tryb życia tego poważnego domostwa. Żywa z natury i życia tylko pragnąca, siostra miecznika wywróciła cały porządek domowy na nice. Późne wstawanie, późne obiady, a po nich długo ciągnące się wieczornice, owóż piérwsza odmiana. A potém wszystko, co za tém idzie: muzyka, goście, tańce, biesiady. A tak dom ten, dotychczas tak poważny i we wszystkiém taki umiarkowany, stał się natenczas jakoby karczmą zajezdną, w któréj się ciągłe odprawiały wesela...

Z początku rada temu była miecznikowa, rad téż cokolwiek i miecznik, a to dlatego, iż widząc ukochaną swą córkę tak osmuconą, spodziéwali się w tych ustawicznych zabawach bardzo skutecznéj dla niéj rozrywki, a za pomocą Boską może i gruntownego lékarstwa.

Nadszedł téż zapust niebawem, a tak i czas był odpowiedni weselu.

Lecz kiedy zapust już minął, a mimo to gwar ten szalony nie ustał; kiedy rój gaszków rozmaitego kroju, przez nieprzeborną kniahinię znęcony, już prawie nie ustępował się z domu, — kiedy wbrew postu nie ucichały muzyki, serenady, śpiéwki wesołe, a już nieledwie w zupełną niepamięć zaczęły iść cowieczorne modlitwy, to się poważnym ludziom i unudziło nareszcie to wrzekome na Kostusine frasunki lékarstwo, zwłaszcza że, jak się zdało, albo niewiele, albo żadnego nie przyniosło skutku.

Bardzo tedy to było na rękę miecznikowstwu obojgu, kiedy z upływem piérwszéj połowy wiosny wesoła ta dama przeniosła się do odbudowanego już swego własnego dworu, — bo téż z nią razem przenieśli się tamże i gaszkowie, i muzykanci, i wieczornice.

A kiedy to się stało, do poważnego Bobrownickich zameczku wróciła nazad dawna powaga i cisza. Lecz czy z nią wrócił także i dawniéj widomy smutek, już to trudno było odgadnąć. Kostusia bowiem, owo jedne dotychczas źródło frasunków i niepokojów dla wszystkich, tak się umiała zachować, że niczego się od niéj nie można było dowiedzieć. Jednak z niektórych okoliczności, a mianowicie z tego, jak przyjmowała młodzież o jéj względy się starającą, można się było domyślać, iż swego Sodalisa nie zapomniała do dziś dnia i miała zamiar nigdy go nie zapomnieć. A w takim razie zdało się rzeczą już pewną, iż powiedziała sobie: Jeśli mam cierpiéć, zacóż mam drugich czynić wspólnikami mych

cierpień? Jakoż choć twarz jéj coraz to bardziéj zapadała i bladła, chociaż jéj kibić stawała się z każdym dniem wiotszą i cieńszą, z twarzy téj nigdy nie schodził uśmiéch swobody, a jéj postaci nie brakło nigdy wartkiego ruchu i życia. Najbystrzejsze oko nie byłoby na niéj dojrzało ani śladu boleści!

Kto umie cierpiéć z powagą, wytrwałością i męztwem, już ten własnemi rękami plecie sobie wspaniałą za trud tego życia koronę, ale kto oprócz tego umié tak starannie ukrywać swoje cierpienia, aby ich kolce nie dotykały drugich, kto zatém sam cierpiąc, cierpi zarazem za swoich bliźnich, ten jeszcze w swoję koronę wplata kwiat najpiękniejszy jakiego ręka ludzka może dosięgnąć, kwiat przez Boga samego przesadzony z nieba na ziemię, kwiat chrześciańskiéj miłości i poświęcenia.

Nie wiem ja, wiele takich kwiatów kwitnie pomiędzy tą połową naszego rodu, która nawykła walczyć, wojować, odpiérać,— ale pomiędzy tą drugą połową, któréj udziałem tego gwarnego życia tylko miłość albo cierpienia, są tamtych kwiatów cichutkich całe ogrody. Nie widzi ich oko pośpiesznego wędrowca, tak jak oko człowieka nie widzi rzék nurtujących pod ziemią, ani tamże zawartych pokładów srébra i złota, ani kości i dziejów tych tysiąców pokoleń, których nieprzeliczone warstwy leżą pod wierzchnią skorupą; ale je widzi oko naszego serca i sprawiedliwie się chełpi ową anielską postacią swojéj niewiasty, któréj inne narody, chociaż bogatsze we wszystko,nig dy nie miały.

Ol któż jéj nie zna, téj cichéj, skromnéj, nieporównanéj, kryjącéj powagę starca pod rumieńcami młodości, a chowającéj wiosenną świéżość ducha i serca do grobu? Wschodzi ona na ziemię jako promień słoneczny, ażeby łzy jéj osuszyć i powrócić je niebu. I widzim ją potém jako kwiat pełnéj róży, zawieszoną nad krzakiem kolców i cierni, a dźwigającą na nowych liściach ciężkie łzy wypłakane za wszystkich. A kiedy pod jéj opiekuńczemi skrzydły rozwinęło się więcéj kwiatów, zdolnych udźwignąć łzy tego świata, jéj już nie widać u góry, — znikła znowu cichutko, zostawiwszy po sobie tysiące listków różanych, rozsypanych pomiędzy ciernie, i woń czarującą, wznoszącą ducha osiérociałéj rodziny. Przeszła przez ziemię tak cicho, jak gdyby anioł Boży przeleciał powietrzem,—lecz kędy przeszła, spuścił się błękit na ziemię i pozostały dźwięki harfy niebieskiéj....

XIV.

Idąc daléj koleją wypadków, zajdźmy teraz na chwilę do Brzeżan. Tam to z owego fatalnego obozu u Podkamienia pojechał hetman wielki koronny, a z nim i Ożarowski. Tam téż możemy się bliżéj przypatrzyć dalszym postępowaniom obudwu tych ludzi, którzy nam przedstawiają dwa odrębne kierunki. Tam nareszcie obejrzym zblizka i owe miejsca, nie dla każdego wówczas dostępne, a takie sławne, już rezydencyą jednéj z najpiérwszych na całą Polskę rodziny, już przepychem i bogactwami, o których nietylko w Polsce, ale i daléj niepostrzeżone roznosiły się wieści.

Jakoż nie działo się to bez powodu. Same Brzeżany bowiem były natenczas jedném z najporządniejszych miasteczek Czerwonéj Rusi. Lecz co ważniejsza, były one jedną z najobronniejszych, a wprost najszczęśliwszą z forteczek polskich. Przez całe dzieje tak nieraz gęstych zagonów tatarskich i napadów tureckich, nie dostały się one nigdy w nieprzyjacielskie ręce. Rzadkie to szczęście zaprawdę, — gdzie najsilniejsze fortece i zamki, w obec tak ustawicznych i tak gwałtownych najazdów, bywały tylko jakby chwilowemi dzierżawami swych panów, — gdzie ów przesławny swojego czasu Kamieniec nieraz przez długie lata przebywał w rękach Turków, — gdzie sam Lwów wreszcie, w ludność, pieniądze i mury tak znamienicie bogaty, po tyle razy gościł u siebie zbrojnych przybyszów i od ich dłuższéj gościny wykupywał się tylko pokorą i złotem.

Wszakże daleko jeszcze sławniejszym niż miasto był starożytny zamek tutejszy. Była to silna, ciężka i kolosalna budowa, która w pięknéj leżała równinie i była opasana dokoła nietylko

murem i wałem, ale zarazem i Złotą Lipą, rozléwającą się przed zamkiem na dwa ramiona, a za nim znów te ramiona łączącą. Przez te wody i mury i wały był tylko wjazd jeden, a to przez most żelazny, na łańcuchach zwodzony. Przy moście znajdowała się kolosalnéj wielkości brama, tak jak i inne mury opatrzona w strzelnice do dział i rusznic, a na niéj herby litewskie i polskie, unoszące się nad rodzinną panów tutejszych Leliwą. Nad bramą zaś miały miejsce pomieszkania klasztorne, zajmowane niegdyś przez ojców Bartoszków, zwanych także komunistami, ale już teraz były one z woli ks. Lubomirskiéj pannom miłosiernym oddane. Na dziedzińcu zamkowym wznosił się kościół pod inwokacyą Najświętszéj Panny, budowa piękna, blachą okryta, pełna ofiar bogatych, a nadewszystko drogich marmurowych posągów, wystawiających z kolei niemal całą rodzinę Sieniawskich, których tutaj chowano. Dopiéro daléj sam zamek, tak obszérny i tyle oddzielnych mieszczący w sobie apartamentów, że i niepodobna ich wszystkich opisać. Wspomnieć więc tylko, iż całe lewe skrzydło zajmowała ogromna, ośmio-kątowa, a nad wysokość dwóch pięter podnosząca się baszta, która była jakoby piersią téj hetmańskiéj fortecy. Baszta ta była zarazem arsenałem prywatnym Sieniawskich, mieszczącym w sobie tak obfite zapasy najrozmaitszych rynsztunków i broni, że gdyby hetmanowi była przyszła fantazya czy to sztyftować nowe pułki piechotne, czy okrywać pancerne albo husarskie chorągwie, czy nareszcie wystawiać całkiem nowe baterye, to ten arsenał byłby się pewnie nie sprzeciwił jego fantazyi. W téj baszcie w środku, jako najpiérwsza arsenału ozdoba, znajdowała się sala, w któréj w sztuczne figury była ułożona broń najpiękniejsza i starożytna, a na któréj ścianie poprzecznéj odmalowany był pogrzeb Mikołaja Sieniawskiego, hetmana polnego, któremu w całéj okazałości swojego majestatu towarzyszy król Zygmunt August, wyprowadzający ciało jego z miasta Lublina. Daléj za basztą szło dawne lewe skrzydło, a nareszcie sam korpus zamku, całość ogromna ale niejednolita, tylko z rozmaitych złożona części, zapewne według tego, jak ją w rozmaitych rozprzestrzeniano czasach. Jednakże prawe skrzydło przedstawiało już całość foremną, a nawet piękną. Była to także ogromna dwupiętrowa budowa, pomyślana rozumnie, wykonana starannie, a ozdobiona przez wszystkie piętra takiemi samemi gankami, opartemi na takichże samych pilastrach, jakie się dają widzieć w zamku krakowskim. To téż to skrzydło było wyłącznem pomieszkaniem tak samego hetmana, jak téż i jego rodziny. Tutaj téż znajdowały się najwspanialsze i najbogatsze komnaty. I tak na dole sypialnie jegomości, izby gościnne męzkie, biura i biblioteki. Na piérwszém piętrze cały szereg komnat ogromnych zwany *Pokoje wiedeńskie*, ozdobiony malowaniami *al fresco* włoskiego pędzla, wystawiającemi koleją całą wyprawę wiedeńską, a w perspektywie na dnie samę bitwę pod Wiedniem. Więc znów na drugiém piętrze takież same

pokoje, nazwane *złote:* tu, miast obrazów, złote po ścianach obicia i najcenniejsze makaty, w gęstych framugach na wagę złota płacone najsławniejszych mężów posągi, koło nich sprzęty od hebanu i róży, perłowéj macicy i złota, na posadzkach przepyszne wschodniéj roboty kobierce, a na sufitach najpiękniejsze obrazy, pomiędzy któremi odznaczał się głównie w największéj sali odmalowany pyszny tryumf Bachusa. — Taki był zamek — a za nim szły znowu inne dziedzińce, ogrody warzywne i owocowe i znowu mnóstwo budynków, mieszczących w sobie mieszkania dworu, rozmaite lamusy i kuchnie, nieprzeliczone wozownie i stajnie. Tak tedy dwór ten tego polskiego Krezusa zamykał w sobie jak gdyby drugie Brzeżany, co téż inaczéj nie mogło być, jak tylko ku służbie pańskiéj stawało w stajniach po kilkaset koni, kilkaset ludzi było sług stałych, kilkaset trwałéj milicyi, czasem po kilkaset osób w gościnie, a często całe chorągwie konne lub pułki piesze na zamkowéj załodze.

Pomimo to jednak, — pomimo takich dostatków i bogactw i prawie niewyczerpanych źródeł dla wszystkich ludzkiego serca zapragnień, — było tu smutno na tém zamczysku. Jakiś kwas i znudzenie, jakieś nieukontentowanie pochmurne były widomą miazmą tutejszego powietrza. Na oko niby ład wielki, służbistość jakby w zégarku, powaga wielka, a wystawność jeszcze daleko większa, — lecz pod tém wszystkiém gnuśność ślimacza, fantazya żadna, próżnia dla ducha i serca zupełna. W trwodze przed panem, który w swym domu rządy prowadził sułtańskie, był tutaj niby rygor żołniérski, statek naoczny i moralność surowa, — lecz pokryjomu grasowały zato tylko jeszcze tém lepiéj fałsz i obłuda, chytrość i przeniewierstwo, a nawet i bardzo głęboko nurtująca rozpusta. A i te wady jeszcze tutejszych dworzan nie pokazywały się w takiéj postaci jako na innych dworach, — gdzie przebiegłość i chytrość była zaprawna dowcipem, a swawola, rozpusta albo zgoła hultajstwo nieprzebrane było w fantazyi, wszystko zaś razem znało pewne granice, a nagradzane bywało wiernością, walecznością i gotowością do ofiar z siebie samego. Tu przebiegłość i chytrość była poprostu brzydką, a rozpusta występną. „Jaki pan, taki kram“ — mówiło owoczesne przysłowie i sprawdzało się w całém znaczeniu na tém hetmańskiém dworzysku.

Jednak z początku nie zważał był tego Ożarowski. I nawet nie mógł był zauważyć, jak bowiem z jednéj strony wszystko tutejsze złe było starannie okryte całkiem innemi pozory, tak znowu z drugiéj on sam miał całkiem co innego na myśli i zaraz z góry został zarzucony takiém mnóstwem rozmaitych zajęć i obowiązków, że mu wcale nie zostawało czasu do obserwacyj.

Przyjechawszy do Brzeżan, zajął on z woli hetmana najpiękniejszy apartament gościnny w środkowym zamku i został odrazu otoczony całym tym zbytkiem wygód i wystawności, które tu były zwyczajem. Czy to z potrzeby opróżnionego i znudzonego

serca, czy z potrzeby zdolnego wyręczyciela, jakiego jeszcze nie miał dotychczas, kapryśny i niewstrzymany w swoich uczuciach Sieniawski tak się w nim zakochał gorąco, że kazał nawet osobne drzwi wybić ze swojego mieszkania do jego apartamentu, ażeby go mógł mieć każdego czasu pod ręką. Ale niepowściągliwie hojny w dowodach swojéj miłości, był on zarówno hojnym w przydzielaniu mu zajęć. Jakoż Bóg już sam nie wie, jakichto obowiązków nie zwalił na jego barki. I tak najpiérwéj zażądał od niego, ażeby mu jeden pułk pieszy, zaopatrzony karabinami, wymusztrował na sposób francuzki, — a jak był nagłym w swoich wszystkich zachceniach, tak téż zapragnął, ażeby ten pułk mógł być gotów w czasie najprędszym, zaledwie już trzeba dodawać, iż tylko na to, aby się tą nowością mógł popisać przed królem. Prócz tego oddał jemu natychmiast swą kancelaryą urzędową hetmańską, biuro swoich spraw politycznych, a z niém razem i biuro korespondencyj prywatnych.

Że zaś z tém wszystkiém powiązało się samo przez się mnóstwo zatrudnień innych, to drobniejszych to większych, niéma już co i wspominać, bo w takim razie główna komenda nad zamkową i miejską załogą, zarząd nad arsenałem i fabrykami należącemi do niego, odbiéranie i odprawianie poczt i kuryerów nie mogło się opiérać o kogo innego. Tak tedy Ożarowski został odrazu zaprzężony do takiéj pracy, któréj zaledwieby mógł podołać człowiek wprawny i doświadczony, a nie dopiéro młodzieniec, tylko co wstępujący w zakres piérwszych poważniejszych zatrudnień! — Ale czemuż-to nie podoła chęć dobra i ów zapał młodzieńczy, który wytknąwszy sobie jakiś cel ważny, pragnie go choćby kosztem swojego życia osiągnąć? A jakiżto cel wspaniały i jak nieograniczony w swych dalszych skutkach ujrzał przed sobą dziś Ożarowski!

Już tedy najpiérwéj samo położenie kraju, sam ów skrzywiony i zawikłany stosunek narodu do króla, był sprawą tak ważną i tak wszechstronnéj pomocy potrzebującą, że ktokolwiek się do niéj z zamiarem usług rzetelnych przybliżył, ten już zaprawdę niemały cel wytknął sobie. Sprawa ta wprawdzie już się w tych kilku tygodniach była cokolwiek zmieniła. Już tam teraz do króla wysłano jakieś posły z województw, już się był król skłonił do jakichś układów, już się tam nawet te układy toczyły: aleć to na tém nie mogło być dosyć, albowiem każdy, kto wzrok miał tylko cokolwiek zdrowszy i głębszy, musiał przewidzieć, iż jakiekolwiek z tychże układów wynikną skutki, to nie mogą one na żaden sposób zadowolić tak wielostronnie ukrzywdzonego narodu. Nie chodziło tu bowiem już teraz ani o ulgi w poborach, ani téż w kwaterunkach albo przemarszach wojska, ale chodziło o to, iż kardynalne zasady umówionego przez *Pacta Conventa* rządu zostały zgwałcone — a więc to trzeba było przywrócić. A tego skutku nie mogły żadną miarą sprowadzić owe żebrzące klemencyi pańskiéj

poselstwa, które się teraz odprawiały w Warszawie. Było to zatém rzeczą przewidzianą, iż sprawa dzisiejsza na tych poselstwach się nie zakończy i prędzéj późniéj zejść musi na drogę działania inną — a droga ta mogła być tylko dwojaką: więc albo sejm i zwykła dyplomacya sejmowa, albo konfederacya i wojna, a potém co Bóg da, co przyniesie los wojny. Ożarowski, pomimo swojéj rannéj młodości, opatrzony powagą myśli i głębszém od innych pojęciem, nie był teraz za drogą piérwszą, a to najpiérwéj dlatego, iż przewidywał, że sejm w dzisiejszych okolicznościach mianowicie pod takim zalewem wojsk saskich zwołany, nie byłby rzetelną reprezentacyą narodu, a zatém jeszczeby raczéj nadużycia obecne usankcyonował, niby je miał poznosić — a powtóre dlatego, iż nawet w najlepszym razie sejmy teraźniejsze były już środkiem zbyt kruchym i przy rozszérzającém się coraz bardziéj pomiędzy górnemi warstwami zepsuciu dawały tak obszérne pole kabałom, iż nie można się było niczego po nich spodziéwać. Był on tedy za konfederacyą — ale i tu miał trochę odrębne widzenie rzeczy od innych. Chciał bowiem konfederacyi, lecz nie chciał wojny. Chciał zatém tylko, ażeby naród zbrojno wystąpił — a pod bronią ażeby przyszły do skutku układy. — Ażeby się zaś to stać mogło tém pewniéj i tém skuteczniéj, chciał aby odrazu po stronie konfederacyi stanęły osoby takie, któreby grozę wpoiły w króla i wlały weń przekonanie, iż próbować, czyli się nie uda dwudziestoma tysiącami Sasów opanować narodu, byłoby bezskutecznem. Któż zaś do wpojenia w króla takiéj grozy mógłby być skuteczniejszym, jeżeli nie ten, który dzierżył w swych rękach wielką buławę całego wojska, który był piérwszym senatorem Rzeczypospolitéj, a oprócz tego miał jeszcze takie arsenały i takie skarby swe własne? — Wiedział już wprawdzie ten zacny młodzieniec z doświadczenia, iż z tym człowiekiem próżnym, kapryśnym i takim nagłym w swoich zachceniach była sprawa nadzwyczaj trudna, — ale właśnie dlatego, że hetman miał jednocześnie tyle stron słabych, on miał jeszcze tém więcéj nadziei. Z czegóżto bowiem łatwiéj korzystać, jak ze słabości? — A zresztą, jak się o tém wspomniało powyżéj, gdyby nawet hetmana do stanowczego czynu nie skłonić i gdyby go tylko do przybrania przyjaznych narodowi pozorów namówić, a przytém z pod jego skrzydeł choćby li częścią tylko jego niewyczerpanych środków dobréj sprawie posłużyć, to i to byłoby rzeczą, któréjby warto i to i owo poświęcić. Poświęcenie zaś to miał sobie Ożarowski jeszcze tém bardziéj za obowiązek, ile że on tylko jeden był w tém położeniu, że mógł się tego zamiaru podjąć i dopełnić. Jakoż był to cel bardzo piękny,— i jeśli tylko z gruntu nie na omylnéj zbudowany podstawie, — to rzeczywiście godzien wielkich i nawet największych trosk i poświęceń.

Jednakże oprócz tego zamiaru, który był tylko chwilowym, to jest do jednéj tylko sprawy się odnoszącym, bujny fantazyą

i dla młodych sił swoich obszérniejszego pola do działań pragnący młodzieniec sięgnął swą czynną myślą jeszcze daleko daléj.

Takie to tedy były te bliższe i dalsze zamiary, które ten zacny młodzieniec miał względem hetmana, a których szczęśliwemu spełnieniu postanowił wszystko poświęcić. Jakoż poświęcił się im odrazu całą duszą i z całą swoją pilnością, a nawet, niechaj to będzie na tém większą jego pochwałę, nawet i z przewidzeniem owych niepoliczonych trudności, jakie na téj niełatwéj i w odległą dal sięgającéj drodze miał spotkać.

Czy on istotnie te wszystkie trudności przewidział i czyli je sprawiedliwie ocenił; czy nie unosiła go zadaleko jego bujna fantazya, jego chęć dobra, zanadto wielka ufność w swe siły, a nadto mała znajomość ludzi: okażą to dalsze wypadki; nateraz to tylko była widoczna, iż z całém poświęceniem oddał się pracy.

Jakoż lubo powyżéj wspomniane, a narzucone mu przez hetmana zajęcia prawie przechodziły możność jednego człowieka, on się wziął do nich z taką pilnością, że im dał radę. Tak wstawał on rano na czas jeszcze przed świtem i pobudziwszy puszkarzy, z nimi broń fabrykował dla uzbrojenia pułku pieszego potrzebną. O samym świcie już on z tym pułkiem znajdował się na zamkowych dziedzińcach i ćwiczył go w rozmaitych marszach i zwrotach. Potém się w kancelaryi zamykał i załatwiał bieżące korespondencye, rozpisywał rozkazy do komend i przygotowywał dla hetmana raporty. O dwunastéj gromadzili się wszyscy domownicy i goście na śniadaniu w hetmańskich pokojach, — hetman natenczas spraw słuchał, rozkazy dawał i objawiał swoje częstokroć najdziwaczniejsze na dzień następny projekty, — Jerzy się tam zawsze znajdował, lecz zabawiwszy chwilkę, w ten moment znikał, ażeby jaknajprędzéj życzenia hetmana uprzedzić. Potém wszakże musiał się znowu pojawiać, ażeby być na służbie hetmana i z nim, czy to listy nadeszłe i gazety wertować, czy komendy objeżdżać, czy nawet mu towarzyszyć na objażdżkę folwarków. Przed wieczorem dawano obiad, przy którym się znajdowali zazwyczaj wszyscy honoratiores miejscowi i goście, z nimi także i Ożarowski; lecz kiedy hetman pod koniec obiadu zaczął się zabawiać głośniejszą, kielichami rozweseloną, rozmową, on znowu znikał i do nowéj się pracy zaprzęgał aż do wieczora. W wieczór tedy dopiéro jawił się w gali na górnych pokojach i odtąd już nie odstępował od hetmana do późnéj nocy. Ta téż to była ze wszystkich najszczęśliwsza dla niego pora, albowiem wtenczas bywał hetman zazwyczaj w najlepszym humorze, najrozsądniejsze przychodziły mu myśli, najprzystępniejszym się stawał dla wszystkich, a nawet czasem i z swoich najwewnętrzniejszych uczuć się wyspowiadał. Wtedy téż Ożarowski był już jak jego cień przy nim, opowiadał mu dzieje bieżące, wykładał swoje widzenie rzeczy, przedstawiał chwilowe i dalsze potrzeby, skłaniał go zwolna ku swoim widokom i niejednokrotnie dla téj lub owéj sprawy wyjednywał u niego pomoc albo poparcie.

Wszakże im częstsze i bliższe miał Ożarowski z tym wielowładnym magnatem stosunki, tém więcéj się przekonywał, iż była to postać od swoich dziejowych wzorów jakoś dziwnie już wyrodzona i nawet nie wiedzieć do czego podobna. Nie był to bowiem ani ów pan starodawny, piérwszy znaczeniem, zamożnością i władzą, lecz także piérwszy światłem rozumu, miłością serca, krwawym trudem i poświęceniem; ani to był jakikolwiek człek nowy, wyrzekający się wszelkiéj historycznéj puścizny, ale natomiast przynoszący w swéj piersi jakieś nowe ziarna żywotne. Miał on ci wprawdzie na sobie i te i owe starodawnego pana przybory, ale już nie miał ich ducha, nie posiadał w swém wnętrzu ich treści. Był to zatém jakoby posąg, przybrany zewnątrz w możność, powagę i władzę, lecz wewnątrz próżny, wypchany dumą, zmierzchem rozumu, zgnilizną serca i nudą.

Takie też było jego zachowanie się całe i takiemi jego wszystkie czynności. Nie jako pan światły, rządzący z miłością swe posiadłości, siedział on na swym zamku; lecz jako basza jakiś turecki, jak gdyby sułtan znudzony. Toż kiedy wszystko mu było obojętném oprócz niego samego, kiedy nawet jego bogactwa niezmierne nie przynosiły mu żadnéj pociechy, a jego własna rodzina była mu prawie jak obcą; ani on chciał, ani umiał się podnieść do zrozumienia tych obowiązków, które spoczywały na jego barkach. On się miał przedewszystkiém za pana na swoich ziemiach, a że był przytém hetmanem w. koronnym i kasztelanem krakowskim w Rzeczypospolitéj polskiéj, było to wedle niego prawie to samo, co gdyby był miał jakie tytuły albo urzędy w jakiém państwie ościenném. W skutek takiego widzenia rzeczy nie poczuwając się do żadnych prac ani trudów, narzekał często, że mu są nieznośnemi te urzędowe ciężary — a kiedyindziéj narzekał znowu, że przez brak skutecznego poparcia nie wziął sam polskiéj korony. Tak rozprzężony w swém własném wnętrzu, łączył też w sobie zupełnie sprzeczne przymioty. Hojny czasem do zbytku, kiedyindziéj był chciwy, pożądliwy cudzego dobra i skąpy. Trwonił nieraz na podarunki i chwilowe fantazye sumy nieprzeliczone, a w swoich dobrach pozwalał cierpiéć głód, nędzę i niedostatek. Tak znów przy błyskotliwym polorze i obyczajów gładkości, obudzały się w nim częstokroć dzikość i barbarzyństwo. Kazał natenczas ludzi niewinnych wrzucać do turmy i chłostać, stawiać pod pręgierz albo pod szubienicę — a potém wzruszał się nagle do głębi serca i płakał. Tak nareszcie i w rzeczach wiary; unosił się zwykle nad aryanizmem, wyznawanym przez swoich przodków, rozumował z luterska i występną wolnomyślnością przesadzał drugich; lecz przytém pościł i suszył, surowe rekolekcye odprawiał, z zakonnikami na kapituły się zjeżdżał i wielkie sumy zezwalał żonie wydawać na budowanie kościołów. Jakoż śród takich najsprzeczniejszych ze sobą uczuć i myśli, które jakoby zmiany morowego powietrza przelatywały koleją przez jego serce i głowę, miał on

tylko myśl jednę, która go nigdy nie opuszczała, myśl bardzo smutną i prawie melancholiczną, — a to myśl o tém, że nie miał syna i na nim się kończył ród znakomity Sieniawskich.

Takim był tedy ów hetman wielki koronny, w którego ręku spoczywał klucz niemal główny do dalszych dziejów Rzeczypospolitéj polskiéj. Smutna postać zaprawdę, zupełnie już strupieszała jednostka gnijącéj w swych podwalinach całości!

Tak nieraz w lasach widzimy zmorszniały pień starożytnego dębu. Zabrawszy siecią swoich olbrzymich korzeni széroki płat ziemi dla siebie, nie dopuścił on wzrostu żadnemu nowemu drzewku przy sobie, a sam, wyczerpawszy swe soki żywotne do reszty, czeka już tylko, póki za piérwszą burzą w popiół się nie rozsypie, zostawiając pustynię, a na niéj grób olbrzymi po sobie. Wszakże tu inne widzimy zjawisko. Tu bowiem, około tego pnia zmorszniałego, szczęśliwemi z oddali przyniesiona wiatrami, wystrzeliła młoda latorośl, która rozbujawszy pędem młodego życia, objęła go swemi szerokiemi ramiony i zapragnęła ona świéżym go natchnąć oddechem, a choćby miała własne weń przelać życie, wskrzesić w nim ciepło i głowę jego choćby przed samym grobem zieloną przyozdobić koroną.

Wszakże nawet nie wiedziéć, żali to przyjdzie do skutku. Nie wiedział o tém i Ożarowski. Jednakże tak mu się zdało, że nie powinien był tracić nadziei. Hetman bowiem, odkąd powrócił do Brzeżan, był ciągle smutny i czegoś niby trwożliwy. Nie wydawał się z tém, co mu dolega, lecz Ożarowski odgadł z łatwością, iż na teraz przecież chodziło mu o to, jakie téż skutki weźmie jego tak nagłe odstąpienie od Podkamienia. Wierny swoim zamiarom, młody statysta starał się go napoić jeszcze tém większą obawą. I hetman istotnie stawał się coraz niespokojniejszym. Przyszło nareszcie do tego, iż się zerwał niespodziéwanie i pomimo to, że był jeszcze w niezgodzie z królem, chciał do Warszawy pojechać. Ożarowski go pytał, coby przez to zamierzał?

— Pojadę sam, — mówił Sieniawski, — i już nareszcie pogodzę się z królem, ażeby tylko te tam ulgi żądane u niego wyjednać. Przecież ja więcéj wyrobię, niżeli te posły, które nie mają żadnego legalnego znaczenia.

Była to bardzo prawdopodobna, że byłby on rzeczywiście coś więcéj u Augusta wyjednał, ale to, coby nawet i on był wyjednał, mogło być tylko rzeczą bardzo mało znaczącą. O kilka groszy mniej z dymu, darowane kwitowe, sumienniejsze komisoryaty i kilka obietnic innych, nigdy się dotrzymać nie mających: owóż i wszystko czego się można było w najlepszym razie spodziéwać. A czémżeby były takie ulgi nic nie znaczące w obec tego wypadku, że hetman przez to byłby się znowu pogodził z królem? Jakoż poświęcił on wszystkie swoje zabiegi temu, ażeby hetmana od téj podróży powstrzymać; ale jak w każdéj ważniejszéj rzeczy, tak i tu trafił na upór i prawie tracił nadzieję. Jednakże właśnie

natenczas przyszła depesza z Warszawy i przyniosła wiadomość, że owe niby układy już się skończyły, i właśnie to pozwoloném zostało, czego się Ożarowski spodziéwał. Ta tedy wiadomość uspokoiła hetmana i zatrzymała go w domu. Byłaby ona i Jerzego uspokoiła na teraz, gdyby jednakże nie to, że z nią jednocześnie przyszedł list do hetmana od króla, list bardzo dyplomatyczny, ale dlatego tylko tém więcéj zamiarom Ożarowskiego przeciwny. Król bowiem, ignorując zupełnie dawne z hetmanem zajście, a jego podstąpienie do Podkamienia biorąc za zamiar stanięcia, w razie potrzeby, w obronie tronu, dziękuje mu za jego przychylność, zawiadamia o ulgach zezwolonych przez siebie, a powierzając jego troskliwéj pieczy spokój wewnętrzny, żegna go tymczasowo, wyjeżdżajac na zimę do Drezna.

List ten zmienił oczéwiście całe dotychczasowe usposobienie hetmana. Zadowolony zupełnie owemi wrzekomemi ulgami, które król narodowi poczynił, zadowolony jeszcze daleko więcéj listem królewskim, porzucił on odrazu wszelką trwogę i smutek, a natomiast stał się wesołym, odważnym jak mało kiedy i jeszcze sobie dworował ze wszystkiego i ze wszystkich.

— Widzisz! — mówił on do Jerzego, — czy nie na mojém się stało? Zrobiło się wszystko, czego tylko pragniono, a bez hałasu i bez krwi rozlewu. Już ja to dobrze wiedziałem, jak sobie począć w tym razie. Gdybym był poszedł aż pod Tomaszów, jak Bóg na niebie byłaby wojna; ba, nawet gdybym był dłużéj postał u Podkamienia, to byłoby także do układów nie przyszło, boć ja znam króla i wiem, jak on nie lubi oporu, a jak natomiast z szczérego serca nagradza postępowanie skromne i delikatne. Spodziéwam się tedy, że już teraz nie będą gdérać po dworkach.

A Ożarowski na to, jakby mu kto dał zażyć piołunu. Jednakże zachowując sobie wypowiedzenie swego zdania o téj materyi na czas dogodniejszy, rzekł teraz tylko:

— Jw. panie! radbym z całego serca, aby tak było. Ale z relacyi, jakie mam tu i owdzie ze szlachtą, zda mi się, iż ona cale nie jest zadowolona tém, co się stało.

— Jeszcze nie jest zadowolona? — rzekł hetman, — a to już nie wiem, co się tam roi znowu po głowach. Ale ja o to już się najmniéj frasuję. W moich postępkach nie myślę wcale stosować się wedle fantazyi szlachty, jeno wedle mojego sumienia. Nie chodzi mi téż o to nareszcie, co tam mała szlachta i o mnie samym rozumié!

— Jw. panie, — rzekł Ożarowski, — szlachta to mała, niéma wątpienia, ale jéj dużo.

— No, to niechże jéj będzie najwięcéj, stanę ja sam za kilku!

Tu Ożarowski umilkł, bo już w téj chwili nie było poco prowadzić daléj téj konwersacyi. Jakoż się tém niepomału zasmucił Jednakże znów się pocieszył, dostrzegł bowiem niebawem, iż hetman, jak to zwyczajem u ludzi niepewnego sumienia, przecież się

dopytuje, jaka jest o téj tam sprawie podkamieńskiéj opinia. Na tém się opiérając, przedsięwziął sobie Jerzy koniecznie tą nieprzychylną opinią zniepokoić hetmana i na téj nici trzymać go w gotowości do naprawienia tego złego, które na nim ciężyło.

Ale tymczatem nareszcie i hetmanowa wróciła z córką, a z niemi i pani stolnikowa krakowska. Zdarzenie to spowodowało niemałe zmiany tak w samym Jerzym, jak i na całym zamku. A w Jerzym nawet z rozmaitych powodów. Najpiérwéj tedy dlatego, że Zosia, owa bałamutka wierutna, jakimsiś dziwnym nabawiła go niepokojem. Kiedy ją ujrzał, to go potém jéj obraz prześladował przez kilka godzin — a kiedy z nią rozmawiał przez chwilę, to potém przez cały dzień był do niczego, kiedy zaś z jednéj strony jakby go coś ustawicznie ciągnęło ku niéj, to znowu z drugiéj jakiś głos potajemny mu szeptał, żeby dał temu pokój, że to nie dla niego, że to kolébka wiekuistych frasunków i przepaść zguby. Tak sam nie wiedział, coby miał począć i był rozdarty sam w sobie. Wielką to było przeszkodą dla jego prac i zamiarów.

A tu tymczasem i matka, jak gdyby z jego przeciwieństwami zmówiona, także go zrazu niepokoić zaczęła. Jak bowiem była pełną miłości dla niego i niecierpliwą, ażeby mu jaknajprędzéj dawno już obmyślane zgotować szczęście, tak jéj się zdało, iż już niczego więcéj nie trzeba, jak tylko jego własnych zabiegów, aby się z Zosią ożenił.

Nachodziła go tedy rano, w południe i w wieczór, dając mu rozmaite nauki, opowiadając co o téj a co o innéj godzinie mówiła Zosia, co hetmanowa mówiła i jaką minę do tego zrobił sam hetman — a wreszcie jeszcze i w przytomności Zosi nie zaniedbywała mu być pomocną, to robiąc mu miejsce przy niéj, to zagadując osoby obce, to mieszając się do rozmowy i wynurzając za Zosię rozmaite sentymenty dla syna, a jéj znów odpowiadając za niego. Jakie to nieraz wywoływało rumieńce u obojga młodzieży, nie trudno zgadnąć. Szczęściem jeszcze, że Zosia jakoś to chętnie znosiła i nie okazywała nigdy, żeby jéj było niemiłém. Ale Jerzemu było to bardzo niemiłém, ba, nieraz nawet nieznośném. Umiał on wprawdzie sprawiedliwie ocenić to zachowanie się matki, nie wedle skutków, lecz wedle chęci; jednakże zawsze musiał o tém pomyśléć, ażeby się od tego swatania uwolnić. Jakoż dobrawszy sobie odpowiednią chwilę po temu, prosił ją bardzo, a nawet zaklął na wszystkie bogi, ażeby tę sprawę zosławiła jemu samemu i nic a nic się w nią nie mieszała. Trudno to bardzo było ją do tego uprosić, bo ona tak długo i z taką pracą uprawiała ziemię pod te zasiewy, a teraz, kiedy zboże już zoszło, miałażby je losowi zostawić? — Ale czegóżto dobra matka nie uczyni dla syna? Jakoż i ona dała się skłonić nareszcie, swoję bezczynność przyrzekła i z wyjątkiem chwil zapomnienia, dotrzymywała święcie.

Jednakże oprócz tego za hetmanowéj przybyciem jeszcze jedna okoliczność się wywiązała, bardzo dla Jerzego znacząca, a przy-

tém i pożyteczna. Oto hetmanowa, nie wiedząc wcale, co właściwie hetmana spowodowało do odstąpienia od Podkamienia, przypisała zasługę tego Jerzemu i wielkiemi go za to obsypywała łaskami. Przykro to było Jerzemu odbiérać nagrodę za to, czego nietylko nie zrobił, ale czemu nawet przeszkadzał; kiedy mu hetmanowa składała dzięki, twarz jego była prawie pąsową, a oczy jak przykute do ziemi, — jednakże milczał, bo nie zdawało mu się żeby w tym razie obojętność dla prawdy mogła być grzechem. Nie szkodziła ona nikomu, a jemu wielki przyniosła pożytek, bo mu zyskała serce téj pani, która lubo mężowi zawsze na końcu ulegająca, wywiérała jednak na niego przeważne wpływy.

W zamku zaś samym, zaludnionym nanowo w swojéj osiéroconéj aż po te czasy połowie, zaszła ta zmiana, iż zbudziło się tutaj jakoby nowe życie i powstał ruch dzisiaj już głośny, a jeszcze więcéj rozgłosu zapowiadający na przyszłość. Hetman bowiem na wciąż przy najlepszéj fantazyi, otworzył bramę swego zamku na ścieżaj, przyjmował gości, polowania wyprawiał, biesiady dawał i zgoła hulał sobie, a hulał tak, jak pan takich skarbów i posiadłości hulać jest wstanie. Toż nic to tam wcale dziwnego nie było, kiedy przez cały tydzień dzień po dniu po sto osób siadało do stołu, kiedy na wszystkie sto osób wystarczało złotego naczynia, kiedy miasto win stołowych rozlewano sekt i małmazyę, a za każdym puharem bito z dział ogniem potrójnym.

Przez ten cały czas Ożarowski chodził już w pracy jak w pługu. Albowiem hetman, oddawszy się teraz rozrywkom, wszystko już zdał na niego i zrobił z niego jakby drugiego siebie. On tedy polowania urządzał, on wydawał rozkazy na cały zamek, on wojska przed gośćmi musztrował, on i gości musiał przyjmować i bawić, zwłaszcza gdy hetmanowi do jakiegoś tam panka albo zgoła szlachcica nie chciało się powstać z kanapy. A oprócz tego i jego zwykłe zajęcia pozostały na jego barkach. Korespondencye, raporty, dzienne rozkazy, depesze i co za tém idzie, musiały być załatwione o swoim czasie. Już tedy sam ledwie wiedział, jak mógł wydołać téj pracy, która nie zostawiała mu ani jednéj chwili dla siebie. Ażażby dziwna to była, gdyby natenczas był zapomniał choćby o najważniejszych rzeczach swych własnych?

Jakoż podobno wtenczas całkiem on już o sobie zapomniał. Lecz nie zapomniał przecież o sumieniu hetmana, a kiedy tylko się zręczna do tego zdarzyła sposobność, zawsze mu zdaleka natrącał o nieustających uciskach saskich, o wielkiéj nędzy z nich wypływającéj dla kraju, a coraz bardziéj rosnącém nieukontentowaniu narodu, jakoż i o nadziejach, jakie ten naród w swym hetmanie pokłada. Nie zaniedbał téż napomykać od czasu do czasu, że Podkamienia nie zapomniano mu dotąd, że na tém wspomnieniu bardzo wiele się uiszcza niechęci i że trzebaby koniecznie, żeby za daną sposobnością zatrzéć jakoś tę nienawistną historyą. Ale jak zawsze, tak téż i teraz, odbijały się te kazania o uszy hetmańskie

jak groch o ścianę. — Sieniawski ich słuchał, czasem zaprzeczał, czasem przyznawał, a w tym i owym wypadku zawsze na końcu usypiał. Jakoż byłby on może nigdy nie przyszedł do zrozumienia swego właściwego stosunku do narodu i nigdy się nie dowiedział o prawdziwéj opinii, jaka się teraz o nim rozniosła, gdyby się to nie było stało prawie samo ze siebie i nie zrobiło w sposób tak zrozumiały i jasny, że już mu nie mógł zaprzeczyć.

Owo więc dnia jednego, właśnie o takiéj porze, kiedy po kilkudniowéj gościnie przycichł był rozgwar na zamku, zajechał na zamkowy dziedziniec jakiś człek obcy na koniu. Ożarowski, który natenczas był w swoich apartamentach, ujrzał tego szlachcica, a widząc w jego rękach coś jakby rulon papiéru, wysłał ordynansa ku niemu z zapytaniem: kto? zkąd? i poco? — A kiedy ordynans wyszedł, Ożarowski znów widział za chwilę, jako ów szlachcic oddał mu ów rulon papiéru, poczém wszakże natychciast spiął konia i zniknął w oka mgnieniu z zamkowego dziedzińca. Szczegół ten zadziwił trochę Jerzego, ale niebawem ordynans wrócił i zdał mu raport, że poseł ten przywiózł jakieś listy ze sobą, które rozkazał oddać samemu hetmanowi do ręki. Marszałek dworu nawinął się właśnie i wziął je, aby je panu doręczyć. Takie posły zjawiały się codzień, a czasem nawet po kilku; toż Ożarowski żadnéj na to nie zwrócił uwagi i rozkazawszy zapalić świéce, stanął napowrót przy swojém biurze do pracy.

Tak minęła godzina albo może i więcéj, Jerzy złożył pióro nareszcie i zaczął się ubiérać, aby iść na pokoje, — kiedy wtém dano mu znać, że go hetman zaprasza do siebie. Przyśpieszył tedy ubranie czémprędzéj i szedł na drugie piętro, w owe *złote pokoje*, które tak były pełne posągów i drogocennych sprzętów.

Kiedy wszedł, nie zastał tam jeszcze nikogo z obcych. Generał Baudycz, który stał załogą w mieście, Sas opiły i zatabaczony, chociaż gość codzienny zamkowy, jeszcze był nie przyjechał, — zadzierżysty Granowski, wielki kostera i hulajdusza, grał jeszcze zapewne gdzieś w kości w jakiéjś miejskiéj winiarni, — reszta zaś oficerów i domowników co znamienitszych bawiła się z sobą w obszérnych salach przedwstępnych, nie zaproszona jeszcze przed pana. Więc w sali głównéj była dopiéro hetmanowa z damami, która siedząc w kącie odległym, słuchała opowiadania jednéj z dam swoich nadwornych, przybywającéj z Opola. A w innym kącie przy stole, płytą białego marmuru nakrytym, a oświeconym matową lampą z złotego przyświécającą podnóżka, siedział Sieniawski. Był on w téj chwili jakoś dziwnie zgarbiony, czuprynę miał rozburzoną, brwi naciągnięte, czoło zmarszczone, a trzymając przed sobą rozwinięty rulon papiéru, patrzył weń zmrużonemi oczyma. Obaczywszy Ożarowskiego wchodzącego do sali, rzekł do niego:

— Chodźno tu, panie Jerzy.

Kiedy zaś Jerzy się zbliżył i stanął przy nim, rozwinął ów rulon jeszcze dokładniéj, oddał mu go do ręki i dodał:

— Patrzajno, co to takiego.

Ożarowski tedy zasiadł u stołu, położył rozwinięty papiér przed sobą i zaczął mu się przypatrywać z uwagą. Jakoż rzecz dosyć dziwna, co tam obaczył.

Na tym papiérze bowiem wymalowany był sam Sieniawski jakoby żywy, od stóp do głów i wcale proporcyonalnéj wielkości. Ubrany był w kontusz i żupan, strój jego zwykły, ale kontusz tutaj odmalowany, był podbity i obłożony tchórzami. Do tegoż jeszcze żywych tchórzów moc na nim taka, jako na drzewie, kiedy je ptactwo obsiędzie. Jakoż gdy kilka tchórzów siedziało na jego karku, na ramionach i piersiach, to znowu inne wystawiały swe główki z za pasa, z wnętrza wylotów i z kieszeń. Hetman chce szabli dobyć, a tchórz siedzący na pochwie broni mu tego obydwiema łapkami i nie dozwala. Inny go chwyta zębami za rękaw i od szabliska odciąga... To była figura główna, za którą widać było w głębi obozu i chmury wojska jak gdyby makiem kto zasiał, bliżéj zaś z jednéj strony stoją oficerowie i tych i owych znaków, przypatrując się hetmanowi ciekawie, a znowu z drugiéj klęczą na ziemi pany i szlachta, modląc się do hetmana i odpędzając biegające tchórze około niego. A już pod spodem téj malatury podpis wyraźny: „Hetman Sieniawski u Podkamienia."

Obejrzawszy to, Ożarowski bardzo był w duszy uradowany, bo prawie tego mu było potrzeba; lecz spojrzawszy z pod oka na Sieniawskiego i widząc, jak on haniebnie był zachmurzony, zaledwie wiedział na razie, coby miał mowić. Tymczasem odezwie się hetman:

— No i co to ma znaczyć?

— Trudno to, jw. panie, tak odrazu wyłuszczyć, — odpowiedział mu Jerzy, — rozumiem jednak, iż jeżeli to dziwne poselstwo ma jakie znaczenie, to zapewne nie takie, jak je wyobrazili ci, którzy to malowali.

A hetman na to:

— Tchórzem mnie już zrobili.

— Jw. panie!— rzecze mu Ożarowski,— nie tak to ma się rozumiéć.

— Ot! co mi gadasz! tchórz tam stoi wyraźnie i to nie jeden.

To rzekłszy gniéwnie, porwał się zaraz z miejsca i założywszy ręce za siebie, zaczął się przechadzać w poprzek komnaty. Ożarowski zaś wtedy siadł sobie w kącie i niby bardzo się zafrasował. Przechodzący się hetman ciągle na niego spoglądał z pod oka, lecz nic nie mówił, i tak to trwało przez małą chwilę. Poczém wszakże do niego przystąpił i rzekł:

— No i czemuż nie idziesz się bawić?

A Jerzy na to jakoby bardzo żałośnie:

— Ej! już mi teraz nie w smak i najlepsza zabawa.

— No, idźno, idź,—rzecze mu hetman,—damy tam na ciebie czekają. A nie wspominaj tam nic o téj swawoli, żeby się moja żona nie dowiedziała. Pogadamy o tém później ze sobą.

A to mówiąc, wziął zarazem ów konterfekt ze stołu i złożywszy go gładko w kilkoro, schował go do kieszeni.

Ożarowski poszedł do dam i wmieszał się do tamtejszéj rozmowy, a tymczasem weszli do sali generał Baudycz z Garnowskim, toż i panowie inni, i zrobiło się ludno i rozgwarno na sali. Grano na klawicymbale i arfach, a pani starościna żydaczowska śpiewała. Poczém jeden oficer saski grał na cytrze i śpiewał pieśni niemieckie. Ale Sieniawski na to wszystko ani spojrzał. Przechodził się zawsze napoprzek sali, z głową spuszczoną ku ziemi i rękami założonemi za siebie. Widząc to, hetmanowa, zawsze o męża troskliwa, zbliżyła się do niego i rzekła:

— Cóż? jakiś smutny nam jesteś dzisiaj. Posłuchajno, jak ten oficer śpiéwa prześlicznie.

A on na to:

— Ej! daj mi tam pokój z tymi Niemcami, bo już mi diable dopiekli. Któregobądź dnia jak się do nich zabiorę, to ich nietylko z mojego domu, ale z całego kraju porozpędzam na cztéry wiatry! Niechże tam sobie wtedy śpiéwają!

Widziała tedy hetmanowa, że go dziś znowu napadł ten humor, w którym nieraz byłby wstanie i cały zamek wywrócić, gdyby temu zawcasu nie zapobieżono. Były tu wszakże na to już oddawna praktykowane sposoby. Jakoż i teraz jmć hetmanowa dała znak marszałkowi, co jest, więc żeby radził co temu. Marszałek téż się w ten moment zawinął i przedewszystkiém karły zawołał. Więc przyjechały dwa maleńkie karzełki na dwóch ogromnych brytanach i zaczęły po salach karuzel. Poczém obadwa pospadali na łeb z swoich bachmatów i zaczęli się z niemi tarzać po ziemi. I psy i karły były już wyuczone do tego i było to widowisko bardzo zabawne, które czasem tak bardzo rozweselało hetmana, że aż się brał za boki od śmiechu i potém sam własnoręcznie karmił psy mięsem, a karzełki cukrami. Ale dziś jakoś i to na nim nie skutkowało. Patrzył na tę krotochwilę przez oka mgnienie, ale wnet sam drzwi otworzył i tę chołotę wypędził. A kiedy widział, że go jeszcze czémś nowém chcą rozweselać, zawołał na marszałka, ażeby dawano wieczerzę. W jedném mgnieniu oka wieczerza stanęła na stole, a tak wszyscy wyszli do sali jadalnéj. Zasiadł z gośćmi także i hetman, ale nic nie jadł i ani kropli wina nie połknął, a kiedy Baudycz chciał go rozweselić rozmową, to go zmierzył od łysiny do pasa i ofuknął za to surowo, że mundur miał niezapięty. Zapiął Sas mundur na wszystkie guzy, a przytém i gębę zapiął tak szczelnie, że już ani tchu z siebie nie puścił do zakończenia wieczerzy. Kiedy zaś wstano od stołu i wszyscy wrócili do głównéj sali, Sieniawski się jeszcze

trochę pokręcił, tego potrącił, tamtego na nogę nadeptał, pajukowi dał w kark i za drzwi go wypchnął, a nareszcie sam zniknął. Uważał to wszystko Jerzy jaknajdokładniéj i niemało się tém ucieszył: byłyż-to przecie znaki już nieomylne, że się ta skała poruszyła w swéj głębi.

Ale jak tylko wyszedł Sieniawski, do Jerzego stojącego samotnie na stronie zbliżyła się hetmanówna.

— Co to takiego mojemu ojcu, — spytała ona, — że taki kwaśny jest dzisiaj?

— Nie wiem, pani, — rzekł Jerzy, — pan hetman teraz nie rzadko bywa w niedobrym humorze.

— Ej! pan wié, tylko mi pan nie chce powiedzieć.

— Nie wiem, pani, a choćbym wiedział, to czasem są rzeczy takie, o których lepiéj jest nie wspominać.

— O! a jaki to pan nie dobry. Otóż powiem panu, że wiem i bez pana, bom uważała dobrze, jakeście to tam przy stoliku oglądali obrazek, a ja wiem o istnieniu tego obrazka oddawna i widziałam go sama w Opolu. Jacy to są niedobrzy ludzie, co takie rzeczy malują.

— Nie masz wątpienia, że to są bardzo źli ludzie, aleć to w ręku jest pana hetmana nie dawać do takich manifestacyj powodu.

Zosia milczała przez chwilę, a potém rzekła:

— Ej! bo pan siedzi i siedzi przy ojcu i coś tam ciągle robicie, a nie możecie już tego wyrobić, ażeby o ojcu inną powzięto opinią.

— Robimy wiele, robimy wszystko, ależ pani wiadomo, że aby zrobić coś stanowczego, trza sposobności do tego. Była sposobność u Podkamienia, ale się ją opuściło, trza zatém czekać cierpliwie na inną.

— Ale ja myślę przecież, że nie trza będzie czekać zbyt długo. Czy pan Jerzy wié o tém, co nam powiada pani sędzina, powracająca z Opola?

— Nie wiem, pani.

— Otóż powiada, że tam wszędzie z pewnością na wiosnę spodziéwają się wojny.

— I ja się jéj także spodziéwam, — rzekł Jerzy, — ale jak z jednéj strony ta wiadomość nie jest jeszcze zupełnie pewną, tak znowu z drugiéj i cóż to być może za wojna? Oto nie inna, jak tylko konfederacka — a w takiéj nie wiem czyli pan hetman zechce się dać namówić do wzięcia udziału z téj strony, po któréj stojąc, pociągnie za sobą opinią.

— Czy zechce się dać namówić? — spytała Zosia porywczo,— a ja przecież rozumiem, że mego ojca do dobréj rzeczy nie potrzeba będzie namawiać. Przecież pan sam to widzi, jak on Sasów nie lubi. Toż zdaje mi się, że kiedy będzie konfederacya przeciwko Sasom, mój ojciec sam stanie na czele. I będzie pan Jerzy

widział, jak sobie raźnie postąpi. Za kilka miesięcy wypędzicie Sasów do nogi. — A wtedy, tak się spodziéwam, że i pan Jerzy będzie cokolwiek weselszym.

Jerzy się na to uśmiéchnął, a hetmanówna dodała:

— I ja będę weselszą, bo znajdę w tém z wielu względów niewymowną dla siebie pociechę. Tylko to będzie niebardzo pocieszném, że wtedy dziwna już jednostajność pomiędzy nami zasiądzie. Same długie kontusze po kostki, same głowy golone i wąsy sumiaste, to trochę nudno...

Na te słowa Jerzy dobył zégarek, spojrzał nań i rzekł z powolnym ukłonem:

— Muszę być jeszcze dzisiaj u pana hetmana, a już godzina dziesiąta. Dobranoc pani.

Poczém szedł zaraz prosto do apartamentów hetmańskich, które, jak się to rzekło powyżéj, znajdowały się wtém samém skrzydle w przysieniach...

Kiedy tam wszedł, zastał hetmana w wielkiéj sklepionéj komnacie, która służyła mu za sypialnię. Pusto w niéj było i chmurno, bo na marmurowym gzymsie komina palił się tylko jeden kaganiec, słabe i czerwonego koloru rzucający światła. Ztąd było tutaj posępno i niby duszno, — na piérwszym wstępie zdało się jakby to nie była komnata, lecz podkościelny grobowiec, w którym za lada chwilę miano ustawić sarkofag. Tuż przy kominie, na którym ostatnie iskry rozłożonego ogniska wygasły, siedział hetman w głębokiém krześle. Był on nawpół rozebrany, miał twarz pomieszaną, ręce założone przed sobą i chmurnym wzrokiem patrzył w ogromny krzyż Zbawiciela, wiszący w kącie nad jego łożem.

Wszedłszy Jerzy do téj komnaty, stanął opodal i milczał. Hetman spojrzał na niego i wstawszy, przeszedł się kilka razy bardzo chwiejącym krokiem. Poczém stanął na środku komnaty i rzekł:

— No i powiédzże mi, mój Ożarowski, co to poselstwo ma znaczyć?

— Jw. panie, — rzekł Jerzy na to, — wedle mojego mniemania, ci ludzie chcą czego innego, a co innego wymalowali.

— Ba! ale jakże-to takie rzeczy malować!—zawołał hetman,— tchórzem ja jestem? ja?!... a jakiém-to prawem może mnie o to kto inkulpować? czyżto nie byłem sto razy w ogniu? czy nie nadstawiałem mojego karku tak samo, jak każdy żołniérz? czy nie byłem nawet ranny? Ale to nic, to wszystko nic u téj nienasyconéj publiki, która już sama nie wié, czego ma wreszcie zapragnąć. Ale ja wiem, o! wiem i dobrze. Zginąć mi trzeba, miejsca ustąpić, a dopiéro natenczas mnie wielkim okrzykną i uczynią!

— Jw. panie! — rzekł na to Jerzy, — tak mi się zdaje, że jegomość w chwilowém rozdrażnieniu nie tak te rzeczy bierzesz, jak są...

— No, to mówże mi, — rzecze hetman, siadając napowrót w krzesło, — mówże, co ty rozumiész. Ja już nic nie wiem, jam już zgłupiał zupełnie...

Tu Ożarowski zaczął wykładać swoje widzenie rzeczy, nadając temu wypadkowi takie znaczenie, które powinno było Sieniawskiego przekonać, że dotychczas całkiem fałszywie rozumiał swoje obowiązki względem narodu, a zatém, że mu trza odtąd na inném postawić się stanowisku, inaczéj ocenić położenie sprawy publicznéj i inne przedsięwziąć działania. Ażeby zaś nie rozniecać tém większéj nienawiści pomiędzy nim, a opinią publiczną, starał się go przekonać, iż tym obrazkiem nie zamierzano go wcale o tchórzostwo obwiniać, — że hetman był człowiekiem odważnym i żołniérzem walecznym, któżby o tém śmiał wątpić? — jakoż zamierzono tu tylko dać mu do zrozumienia, iż mu brak było odwagi cywilnéj i dostatecznéj determinacyi do wzięcia strony ukrzywdzonego narodu w obec nadużyć królewskich. Ożarowski wykładał te rzeczy obszérnie i szczegółowo, i zgoła tak, jak gdyby miał przed sobą człowieka obcego, albo dopiéro w świat wstępującego młodzieńca. Jakoż było tu rzeczą pewną, iż byłby go i ten i ów jaknajlepiéj zrozumiał; ale Sieniawski cale go nie rozumiał. Bo nie zrozumie nas nigdy ten, który nie chce zrozumiéć. Do tego jeszcze myślał on teraz podobno tylko o sobie, lecz nie o sprawie publicznéj. Więc nim jeszcze Jerzy swoję perorę dokończył, on już wstał z krzesła i rzekł ze smutkiem:

— Bardzo to mądrze ty mi te rzeczy wykładasz, ale cóż to z tego wszystkiego, kiedy mi to całkiem nie idzie do serca! Wymagacie czegoś odemnie, czego ja nawet i nie rozumiem! Jużem się jakoś bardzo pomiędzy wami zestarzał! Ale nie frasujcie się o mnie. Ustąpię wam się, całkiem ustąpię: będziecie sobie rządzić, jak wam się będzie podobać!...

A na to Ożarowski:

— Jw. panie! tak mnie się zdaje, że zrozumienie téj rzeczy nie jest tak trudne, jeśliby tylko wola była po temu...

— A jakto? — rzecze mu hetman, — cóż-to ja mam rozumiéć? Ja do opozycyi, do buntu przeciw królowi? ja hetman wielki koronny i kasztelan krakowski? Przeczytajże sobie historyą, jeśli to kiedy bywało!

— Jw. panie, — odpowie Jerzy, — niepotrzeba tu z tém zwracać się do historyi. Nie przeczę ja temu, boć i wiem z doświadczenia, że historya jest fundamentem nauki *status;* ależ znów rzeczą jest niemniéj pewną, że nie każda konjunktura polityczna jest taką, ażeby na nią gotowy przepis znaléźć w historyi. Nie dowodem to zresztą, iż się coś dziać nie powinno, że się jeszcze nigdy nie działo: boć przecie tego nas uczy sama historya, że każdy dzień coś nowego przynosi. Jakoż i tutaj, choćbyś jegomość tak sobie postąpił, jak sobie żaden hetman nie postępował, nie byłoby to wcale dowodem, żeś źle sobie postąpił. Owszem, prze-

ciwnie, dobrze sobie postąpisz: i nietylko że się tém prawdzie posłużysz, ale jeszcze i prawą drogę wskażesz wszystkim hetmanom następnym, a zakasujesz tych, którzy dotąd bywali.

— Już mi téż pleciesz, — rzecze mu na to Sieniawski, zawsze pochmurnie, ale nie bez nietajnego zadowolenia, — już mi téż pleciesz co ci się tylko podoba. Już ci, jak widzę, ci francuziska wywrócili głowę na nice. A jakże to się da jedno z drugiém pogodzić?

— Hm! — odezwał się Ożarowski, trochę tém ośmielony, — jegomość nie możesz pojąć, jak może hetman stanąć po stronie narodu, a przeciwko królowi: a jegomość już sam zajmowałeś to stanowisko, niepotrzeba i drugich.

— Ja? — zawołał prędko Sieniawski, — a to kiedy? może u Podkamienia?

— Mniejsza już o Podkamień, — odpowie Jerzy, — ale i piérwéj, a nawet nieraz.

— A toż znów kiedy?

Więc Jerzy na to:

— Przypominasz sobie jegomość te czasy, kiedy król August wyjechał był do Alt-Ranstäd i tam abdykował. Abdykowawszy, przestał być królem; ale mieliśmy wtedy innego króla, który tak samo jak August był przez część narodu wprowadzony do kraju, tak samo jak on obrany i koronowany, a nawet i przez swego antecesora uznany, boć mu przecie król August własnoręcznym listem powinszował dostąpienia korony. Kiedyśmy więc tego tak samo prawowitego jak tamten króla mieli w Warszawie, czyś jegomość z nim trzymał, czyli téż z opozycyą?

A hetman na to dość niecierpliwie:

— Ot! co mi gadasz! Taki to król był, ten wasz Leszczyński! A przecież ja za Augustem trzymałem.

— Ale także nie zawsze, — rzekł Jerzy; — toż trochę późniéj, dozwoliwszy siebie samego ogłosić kandydatem do polskiéj korony, stanąłeś jegomość w opozycyi i przeciw Augustowi.

Więc na to Sieniawski pomilczał chwilę, a potém rzekł:

— Pleciesz mi, pleciesz, a nie bardzo rozumiesz rzecz, albo tak jeno udajesz. Mądryż to jest polityk, który się jednéj opinii trzyma jak pijany płotu? he? Toż przecie każdemu wiadomą jest rzeczą, że kto chce dobrze służyć, musi ze zmianą okoliczności i swoje sprawy odmieniać...

— A to téż o to tu tylko chodzi! — przerwał mu Jerzy z radością, — ze zmianą okoliczności sprawy odmieniać, a która jest najpiérwsza potrzeba, téj służyć. Kochać więc Augusta, dopóki trzyma się Pactów; ale kiedy z nich występuje, to się o krzywdy upomnieć. A któż się piérwszy powinien, kto najskuteczniéj może się o krzywdy upomnieć, jeśli nie ten, który najwięcéj znaczy i największą ma siłę w narodzie? Tego téż tylko wymaga naród po jegomości.

Więc tedy hetman przechodził się jakiś czas po komnacie i milczał. Zdało się, jakby myślał nad tém, co mu Ożarowski powiedział, albo też nad czém inném. Jakoż nie wiedzieć o tém istotnie, nad czém on myślał, mówił albowiem potém, przerywając sam sobie, w ten sens:

— Dziwnież-to wy wykładacie obowiązki hetmana! Jakaś to ma być wedle was połowiczna albo też rozdwojona figura. I główna podpora wewnętrznego porządku i burzyciel spokoju. I postument dla tronu, i robak zarazem, co strzyże nogi tronowe. Jako ów Janus z dwiema twarzami: jedną dla króla, drugą dla malkontentów. A jeszcze jedną trzeba mu mieć dla nieprzyjaciół postronnych... licho was już zrozumie!—A toż ja przecie nigdy nie byłem nieprzyjacielem swego narodu. Czyż podejmowałem kiedy sprawy takie, któreby były jemu szkodliwe? Miałżem kiedy siebie samego, a nie dobro publiczne na oku? A toż gdyby mi było kiedykolwiek o mnie chodziło, gdybym był osobiste ambicye nad obowiązki przenosił, to byłbym przecież sam wziął tę koronę, która była bez pana. Jużci natenczas nic mi do tego nie przeszkadzało...

Tu umilkł na chwilę, a potém mówił daléj:

— Ale czy to chce wiedzieć kto o tém? czy mój postępek ówczesny, chociaż może wart więcéj niżeli największe heroizmy u innych, sprawiedliwie jest oceniony? Po koronę sięgał! buławę chciał na berło zamienić! — owóż co powiadają; jeszcze i nowa ztąd inkulpacya. Ale już mówcie sobie, co chcecie; ja milczę i to tylko dodaję, że kiedyś to stanie przed Bogiem, a tam obaczymy, kto działał według głosu swego własnego sumienia, a kto z jakich tam innych pobudek!... Toż tak samo i dzisiaj. Naród się upomina o krzywdy, o ciężary, o eksorbitancye królewskie: a czyż ja stawam narodowi na drodze, ażeby mu stało się dość? Już się nawet nie pytam, żali to wszystko jest sprawiedliwe, co żąda: niechaj im król dozwoli jeszcze więcéj wolności, niżeli mieli w najlepszych czasach: a co mi na tém? jeszcze i owszem. Za cóż więc takie rzeczy malują na mnie? he? Tchórzem ja jestem? ja!? Bodajżeby Bóg tego nie karał wedle jego zasługi, który mnie tak ciężko ukrzywdził!

A to powiedział z głębokim żalem i już prawie ze łzami, tak to go boleśnie ten obrazeczek był zranił. Lecz Ożarowski zaraz głos zabrał i tak mówił:

— Niech-no jegomość się tém nie frasuje. Niech się jegomość uspokoi, boć to i niéma czém tak dalece się irytować. Nie jest ta malatura bez pewnego znaczenia, ale namalowana grubo, co też trzeba przebaczyć. — Wiész przecie jegomość, jakie jest oświécenie u naszéj szlachty dzisiejszéj, jakie twarde jéj słowa, jak nie wyborne figury; otóż i takie malowanie. Ale my przecież nad to się podnieść potrafim, zapomnijmy in forma, a wziąwszy ducha, albo poprostu treść rzeczy myśmy już zrozumieli i wiemy przecież, że nie chodziło tu o to szlachcie, ażeby swego hetmana obra-

zić, jeno ażeby go do innego zachowania się skłonić. Naganiają Podkamień, a proszą, aby na przyszłość mogło się działać inaczéj. Mają ważną sprawę przed sobą, nie chcą jéj prowadzić kosztem krwi i nowego zniszczenia kraju, widzą że może być doprowadzona do celu na drodze zgodnéj i chcą, abyś jegomość swoją powagą, wpływem i władzą im do tego dopomógł. Owóż jest rzecz i jéj treść główna, nad którą zastanowić się warto i trzeba: a że tę treść wyrażono niezgrabnie i grubo, a nawet i obraźliwie, niémasz co na to nawet zwracać uwagi. Nie stoiszże jegomość na takiéj saméj wysokości swoim umysłem i sercem, jak urzędem, fortuną i urodzeniem? nie potrafiszże na takie maleństwa spojrzéć z wysoka?

Więc tedy hetman trochę się wyprostował i spojrzał na Jerzego z zadowoleniem. Poczém już raźniéj trochę przechodził się po komnacie i znowu myślał. A wreszcie rzekł:

— Niepospolitym ty jesteś człowiekiem, mój panie Jerzy. Taki młody, a takie już masz zdania wytrawne. I tak spokojnie się umiész zapatrywać na wszystkie sprawy, czego nie umie nikt młody, a i starzy nie wszyscy. Jakoż mówię ci to otwarcie, iż mam sobie to za szczęście niemałe, żeś ty jest przy mnie. Bo ja gorączka, toż taki chłodnik bardzo mi jest potrzebny; nie o wszystkiém téż wiedzieć mi zaraz, a ty już to tam jakoś wszystko wyszperasz. Ale w téj materyi dzisiejszéj to jeszcze kwestya, bo jakoś mi się nie chce wierzyć temu wszystkiemu. Powiédzże mi wyraźnie, czy szlachta taki istotnie nie jest jeszcze zadowolona temi ulgami, jakie jéj król poczynił?

— Jw. panie, — rzekł Ożarowski, — osądź jegomość sam, czy może się ona tém kontentować?

— No, to zapewne, aleć to nie odrazu Kraków jest zbudowany.

— Taki Kraków, panie hetmanie, jak ta sprawa, trza odrazu zbudować, bo inaczéj nigdy się nie zbuduje. *Pacta Conventa* albo być muszą dotrzymane w całości, albo całkiem dotrzymane nie będą. Wyjątków żadnych robić nie można, bo wyjątek w umowie ze strony tego, który na nią nastaje, jest jako dziura w worku w którym jest zboże: i przez najmniejszą dziurę wszystko się zboże wysypie.

— No, to dobrze, — rzekł hetman, — to może nareszcie i prawda; ale dlaczegóż zaraz konfederacya?

— Jeszcze to konfederacya nie jest postanowiona, lecz do niéj idzie.

— Więc tylko dopiéro jest mowa?

— Tak tam, mowa, rozmowa, a przytém te i owe przygotowania...

— Ja już nie wiem! — zawołał na to Sieniawski znowu pochmurnie, — już się kryją przedemną ze wszystkiém. Już mnie i tchórzem zrobili! Już mnie téż może robią pomału i zdrajcą!...

A to mówiąc, siadł znowu w krzesło, jakby był umęczony. Po chwili zaś rzekł:

— Proszę cię tedy, mój panie Jerzy, już się tam o tém dowiaduj dokładnie. Pojedź i między szlachtę, kiedy uznasz tego potrzebę. A nie myśl przecie, choć ty przynajmniéj, żebym był narodowi niechętnym. Pomyśl téż o tém, ażeby tak rozumieli także i inni, boć to rzecz przykra haniebnie... Nie zasłużyłem téż na nią pod żadnym względem, i tak rozumiem, że nigdy już nie zasłużę. Będziemy téż myśléć nad tém, ażeby to jakoś wyświécić i naprostować. A co do siebie, to już bądź pewny, że ci się ta praca nagrodzi. Nie byłem ja nigdy dla nikogo niewdzięcznym. Tobie zrobiłem mało, aleć to jeszcze i czas mamy przed sobą, i odtąd postąpimy już raźniéj. Jakoż zaraz jutro każę cię pułkownikiem obwołać, a generalstwo będę miał na języku. Dam ci téż kwitek do mego skarbu, ażebyś, jak gdzie wyjedziesz, pokazał się odpowiednio twemu imieniu i nie potrzebował na to własnéj otwiérać szkatuły. Przyjdą téż inne rzeczy koleją, bo téż Bóg widzi, żalibym więcéj kochał mojego syna, niż ciebie. A teraz dobranoc ci, mój kochany; zostaw mnie już samego, niechaj się z tym robakiem przegryzę.

Więc tedy Jerzy bardzo się tém uradował nietyle rangą i obietnicami, — ile tém stateczném usposobieniem hetmana, którego źródłem była dziś wprawdzie tylko obrażona miłość własna i trwoga o siebie samego, ale które przecież zdawało się świadczyć dowodnie, że i ten człowiek da się poruszyć, jeżeli tylko posłużą ku temu stosowne środki. A tak kiedy hetman, męczony widmem owéj malarskiéj manifestacyi opinii, tę noc strawił bezsennie, to i Ożarowski spać nie mógł, ciesząc się nadziejami, które mu jego bujna przynosiła fantazya.

Dokończenie w tomie jedenastym.

KONIEC TOMU DZIESIĄTEGO.

SPIS RZECZY.

Str.

Bracia ślubni (dokończenie.) 1

Sodalis Marianus 149

DZIEŁA

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

WYJDĄ W **11-u** TOMACH.

Ponieważ dzieła Kaczkowskiego nie mogły być ukończone w 10-iu tomach, przeto TOM JEDENASTY, dodaje się GRATIS.

CENA PRENUMERATY:

A) Dla prenumeratorów Tygodnika Illustr. lub Wędrowca:

w Warszawie: za tomów **11** Rs. **10,** w ozdobnéj oprawie Rs. **14** kop. **40.**

w Cesarstwie i na prowincyi (z przesyłką pocztową): za tomów **11** Rs. **11** kop. **10,** w ozdobnéj oprawie Rs. **16** kop. **50.**

B) Dla nieprenumerujących Tygod. Illustr. lub Wędrowca:

w Warszawie: za tomów **11** Rs. **20,** w ozdobnéj oprawie Rs. **24** kop. **40.**

w Cesarstwie i na prowincyi (z przesyłką pocztową): za tomów **11** Rs. **21** kop. **10,** w ozdobnéj oprawie Rs. **26** kop. **50.**

Slav 7115.1

DZIEŁA

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

PRZEJRZANE I POPRAWIONE

PRZEZ

AUTORA.

TOM XI.

SODALIS MARIANUS
(*dokończenie*).

WSTĘP KRYTYCZNY.

WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA.
ulica Nowolipki Nr 2406 (3).
1875.

DZIEŁA ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

DZIEŁA

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

PRZEJRZANE I POPRAWIONE

PRZEZ

AUTORA.

TOM XI.

SODALIS MARIANUS
(*dokończenie*).

POGLĄD KRYTYCZNY.

WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki Nr 2406 (3).
1875.

Slav 7115.1

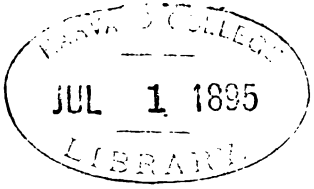

Dr. A. C. Coolidge

Дозволено Цензурою.

Варшава 20 Сентября 1875 г.

Sodalis Marianus.

(Dokończenie.)

XV.

W kilka tygodni potém, — a było to już pod sam koniec zapust, — zapowiedziany został na zamku brzeżańskim wielki festyn z tańcami i maszkarami. Odprawiło się tutaj do tego czasu już kilka rozmaitych festynów, ale ten miał być najświetniejszym ze wszystkich, a to z tego powodu, iż miano na nim przyjmować dwóch znakomitych gości, z których jednym był Denhoff, hetman polny litewski, a drugim hetman polny koronny Rzewuski. Ponieważ zaś Sieniawski chciał przed nimi wystąpić z całym przepychem swojego dworu i nawet miał czas przygotować się do tego, bo ci goście zapowiedzieli się naprzód kuryerem; więc téż i poczyniono przygotowania takie, na jakie stać było wówczas tylko chyba Sieniawskich i Radziwiłłów, a z panów innych mało którego, nie wyjmując nawet samych Potockich, bo ci, lubo którzy z nich, jak np. wojewoda kijowski, jeszcze i przenosili fortuną Sieniawskich, jednak w ostatnich wojnach tak wielkie straty ponieśli, że było to znać nawet na ich posiadłościach. Nie myśleli téż oni w tych czasach o żadnych festynach, bo mając sumienia inne, byliby sobie mieli każdą takową rozrywkę i stratę grosza pośród ogólnych łez i niedoli za grzéch śmiertelny.

Ale Sieniawski chciał się zabawić. Jakoż dla tego festu kazał otworzyć i przyozdobić starożytne apartamenta w korpusie zamku. — Apartamentów tych od czasu wybudowania prawego skrzydła nie używano już wcale, a to dlatego, że niby z mody już wyszły. Byłyż to w saméj istocie gmachy i nadzwyczajnie obszérne, i cokolwiek posępne, a nareszcie i niestateczne, tak w swoim układzie wewnętrznym, jak i w przyozdobieniu. Obaczyć

tam można było i śmiałe łuki łamanych sklepień, i rzezane pułapy sztukateryami ozdobne, a zwieszające się jak stalaktyty ku ziemi, i coś nakształt ambon po kątach, i rozciągające się przez całe ściany galerye. Tutaj więc wielka sala podłużna kończy się półokrągło, tam szereg kolumn biegnie w dal nieprzejrzaną, tutaj na barkach marmurowych olbrzymów wiszą misterne krużganki, tam znowu wschody, kręcone sztucznie, prowadzą w górę i na dół. Przy samych wschodach stoi ogromne smoczysko, rznięte z hebanowego drzewa, a wykładane złotem i morskiemi konchami; trzyma on w łapach przed sobą zégar ogromnego rozmiaru, a co minuta wyrzuca z paszczy rozwartéj gałkę drewnianą; przy jego nogach siedzą dwa żywe karły i co minuta nazad tę gałkę wrzucają. Toż znowu w innéj sali na samym środku postawiono ogromną konchę ze śpiżu; spoczywa ona na barkach skrzydlatych gryfów, a obstąpiły ją spiżowe delfiny i wléwają w jéj wnętrze strumienie wody. Takie fontanny widać także i w salach innych. Tym starożytnym fantazyom także stosowne ozdoby ścian, krużgankow i kolumn, błyszczące tutaj czarnym marmurem, gdzieindziéj rzeźbą i sztukateryą, a tam znów złotem, bronzem albo kryształem. Stosowne także widać tutaj i sprzęty, wszystkie rzeźbione sztucznie, nasiąkane ciemnemi barwy albo złocone, obijane barwnemi safiany lub złotogłowiem, opatrzone herbami albo przedstawiające jakieś mitologiczne wspomnienia. Na to wszystko zaś przez wązkie, gotyckie, w pół malowane okna pada światło jakieś niby niepewne i chmurne, co tym ogromnym starożytnym przestrzeniom nadaje pozór jakiéjś tak wielkiéj powagi, że się z nią razem prawie odzywa smutek.

Ale podobno i to i owo nie działo się bez powodu; jeżeli bowiem widok tych komnat przedstawiał wielką powagę, to zapewne dlatego, iż ci, którzy takie siedziby budowali dla siebie, pomimo pozornéj niestateczności gustu, byli to bardzo poważni, a nawet wielcy swojego czasu mężowie; a jeśli razem obudzał się smutek, to znów dlatego, że już ci ludzie wszyscy odpoczywali w grobach, a zostawili po sobie potomstwo, bardzo już niepodobne do siebie. Tak to przynajmniéj było na zamku brzeżańskim!

Ażeby te ogromne przestrzenie na dzień festynu odpowiednio wypełnić, kazał Sieniawski pospraszać wszystką sąsiednią szlachtę, nawet i taką, która dotychczas nie bywała na zamku. Każdego z nich zapraszano do woli, albo przybyć w stroju zwyczajnym, albo się złączyć z korowodem maszkar, który przysposabiali domownicy zamkowi. Lecz że téj szlachty sąsiedniéj, już dla saméj gęstwiny posiadłości hetmańskich, nie było wiele, a zatém na prędce nie mogło jéj się na żaden sposób tyle zgromadzić, ile do zapełnienia tych komnat było potrzeba; więc kazał hetman przyozdobić je w części drzewami. Drzewa te, jako to pomarańcze, cytryny, aloesy, cyprysy i drugie chaszcze zamorskie, poprzynoszono z bogatych zamkowych cieplarni i poustawiano z nich w kątach komnat całe gaiki i kolomby, a tu i owdzie nawet i po środku.

Dla dodania téj fecie jeszcze większego przepychu, napełniono rezerwoary wodotrysków główniejszych woniejącemi wodami. Powymyślano prócz tego i inne podobne zbytki, jako to: wieńce z zielonych liści i kwiatów, transparenty malowne i z kwiatów pouplatane figury, do czego to wszystkiego jak panom marszałkom konceptu, tak téż i zamkowym sztukmistrzom materyałów nie brakowało. — Kiedy więc na to wszystko pozapalano tysiące świateł, składających się ze świéc jarzących, kul szklanych i rozmaitych innych kolorowych kagańców, to znajdując się w owych komnatach, trudno już było wiedzieć; jest-li to jaki pałac zaczarowany, sprowadzony na ziemię z opowiadania piastunek, albo téż sen porankowy, oświécony promieniem jasnego słońca? A cóż dopiéro powiedzieć o owéj niezliczonéj służbie hetmańskiéj, która mieniąc się co chwila to w ogromnych pajuków, to w małych Węgrów, to w kędzierzawych murzynów, migała się przed oczyma istotnie tak jak w zaczarowanym pałacu? co powiedzieć o gościach kapiących brylantami i złotem, a przeplatanych niewidzianemi dotąd figurami, w sukniach aksamitnych wyciętych i w białych wydmuchanych perukach? cóż nareszcie o owych dziwnych maszkarach, które naówczas trudno było widzieć gdzieindziéj, jak w Warszawie albo Brzeżanach? — Był téż tam wtedy niejeden ubogi szlachcic z zagona, który całą noc strawił na samém opatrywaniu, a wyjechawszy ostatni z zamku, przez całe życie potém nie mógł opowiedzieć tego wszystkiego, co widział.

Takich festynów i innych zbytków podobnych, któremi ludzie mający więcéj bogactwa niżeli rozumu zabijają swą nudę i dogadzają swym niestatecznym fantazyom, widział już Ożarowski w swojém życiu niemało, i ani go to bawiło, ani téż zajmowało. Przeciwnie nawet, festyn ten nabawił go pewnéj niespokojności, a nawet obudził w nim taką jakąś obawę, iż zdawszy sobie z niéj sprawę dokładną, nietylko ją uznał za najprzykrzejsze uczucie jakiego kiedykolwiek doznał w swém życiu, ale co gorsza, uznał ją nawet całkiem na swojém miejscu. Miał téż on do niéj istotnie bardzo słuszne powody. I tak najpiérwszym powodem był ten, iż na tym festynie miał się znajdować Denhoff, a on tego człowieka do dnia dzisiejszego tak nienawidził, jak gdyby to był, Boże odpuść! sam zły duch w ludzkiéj postaci. Wiedział-ci on aż nadto dobrze, iż taka nienawiść, zwłaszcza wypływająca tylko z osobistych powodów, jest grzechem,—jakoż spowiadał się z tego grzechu po kilkakrotnie, czynił pokutę, ofiarował się nabożeństwem osobném swojéj Niebieskiéj Patronce i w ogóle bardzo gorliwie nad sobą pracował, ażeby ten chwast wykorzenił ze serca, — lecz smutne doświadczenie go nauczyło, iż nie miał do tego dostatecznéj siły nad sobą. Butny ten panek, w chwili jego największego nieszczęścia, zadał mu ranę taką bolesną i owo zimne żelazo swego szyderstwa tak głęboko w jego otwarte serce zapuścił, że pozostała tam rdza z tego żelaza, któréj żadnym sposobem nie mógł

ani w sobie utłumić, ani na wiérzch wyrzucić. Otóż nienawidząc tak tego zimnego szydercy, że na samo wspomnienie jego nazwiska stawały mu na pamięci ociekłe krwią zwłoki jego ojca, a ztąd i jego własna krew krzepła mu w żyłach, obawiał się teraz i słusznie, ażeby spotkawszy go osobiście i nie potrzebując już dzisiaj tak bardzo uginać się przed jego znaczeniem, nie dopuścił pomimo woli do jakiegoś takiego z nim zajścia, żeby to wywołało zgorszenie i skrzyżowało jego stosunki z Sieniawskim. Ożarowski na oko zdawał się dosyć być wprawnym w umiejętność panowania nad sobą, — jak o nim świadczyły dotychczasowe postępki, — aleć to zawsze krew młoda ma swoje prawa i rzadko to kiedy potrafi ją całkowicie owładnąć rozum, nim przyjdą mu w pomoc przeżyte lata i doświadczenia. To tedy było jednym powodem jego obawy, a drugi miał znów swe źródło w téj ważnéj okoliczności, iż mu się samo ze siebie nasuwało pytanie; poco właściwie ci panowie tu przyjechali? Jakoż najpierwéj szła o tém między dworzany wieść, jakoby Denhoff przyjechał tutaj na oględziny do hetmanównéj, dając się swatać przez Rzewuskiego. Wieść ta, lubo jéj Jerzy wcale nie mógł uwierzyć, bo ani mu o tém wspomniał hetman, ani ten krok nie miał dotychczas żadnych antecedencyj, przecież go także zniepokoiła cokolwiek. Nie rozumiał on jeszcze siebie samego względnie do hetmanównéj i gdyby mu ją było porwano z przed oczu, to może, zajęty daleko ważniejszemi sprawami, byłby i nie zapłakał; ale zawsze go to obeszło, choćby tylko dlatego, że tak nienawidził Denhoffa. Mówił więc sobie: niech każdy inny po nią posięgnie, to mu jeszcze słanę za drużbę, ale nie Denhoff! — Jakoż było to rzeczą pewną, iż gdyby Donhoff jako konkurent do hetmanównéj wystąpił, to byłby się Ożarowski na śmierć w niéj zakochał. Taką jest ta ułomna ludzka natura, którą miał także i Ożarowski, a jeśli gdzie widać było tę ułomność na oko, to właśnie w téj nienawiści. — Wszakże co do przyjazdu tych panów zdawała mu się daleko podobniejszą do prawdy myśl inna, a to ta mianowicie, że przyjechali oni tutaj w politycznych zamiarach. Wiadomo bowiem było, że tak Rzewuski jak Denhoff byli przez wszystkie czasy wiernymi stronnikami Augusta, przeczuwali dziś nowe zamieszki, nowe położenia krytyczne, a może zgoła domową wojnę, bo i kto już natenczas nie przeczuwał tych rzeczy? chcieli więc widzieć się ze Sieniawskim i namówić go do swoich zamiarów. A ta myśl, bardzo nawet prawdopodobna, jeszcze tém więcéj zniepokoiła Jerzego; i bardzo słusznie, bo w takim razie jego zetknięcie się z hetmanem polnym litewskim stawało się dla niego jeszcze daleko drażliwszém i niebezpieczniejszém. Jednakże oprócz tego jeszcze go jedna trapiła obawa, a tą znów były maszkary. Dowiedziawszy się Jerzy o zamiarze tych maszkar, natrącał hetmanowi po kilka razy, ażeby temu dał pokój. Osobliwie zaś o to jemu chodziło, ażeby nie dawano pozwolenia szlachcie postronnéj przyjeżdżania na zamek w maszkarach. Już

tu raz bowiem na tym zamku brzeżańskim takie maszkary nie małego spłatały figla. Pod ich pokrywą wślizgnął się nieprzyjaciel na zamek i już go był opanował na chwilę; odparty potém i wyrzucony, ale z wielkiemi tak ludziach, jak i zamkowych zasobach stratami,—o czém wszystkiém jeszcze do dziś dnia żyła na zamku szczegółowa tradycya, chociaż to temu było już blizko półtora wieku. Dziś takiéj zdrady nie można się było obawiać, ale po takim dosadnym obrazku, doręczonym hetmanowi nawet bez maszkar, wielkie to było podobieństwo, że przy maszkarach może się zdarzyć jakaś jeszcze daleko dosadniejsza manifestacya. Nie obawiał się Jerzy takiéj manifestacyi dlatego, iżby mu żal było hetmana, a wszakże kto lekceważy sprawiedliwą opinią publiczną sam sobie winien, jeżeli ta opinia coraz dotkliwszych dobiéra do niego głosów, — ale chodziło mu o to, ażeby jakaś zbytecznie dotkliwa manifestacya nie oburzyła jego skruszonego sumienia i nie wskrzesiła w nim nienawiści dla szlachty, a ztąd i uporu. Takie to były tedy te jego wszystkie przedfestynowe obawy, które go taką napełniły goryczą, że kiedy mu przyszło ubiérać się już na ten festyn, to byłby był nie wiedziéć jak wiele dał za to, gdyby się mógł był od niego uwolnić.

Ale takiego uwolnienia nie było sposobu i trza się było koniecznie ubiérać. A więc ubiérał się prędko, wdziéwając na siebie buty żółte wysokie, żupan ze złotogłowiu białym przetykanego jedwabiem i kuntusz aksamitny ciemno-błękitny, złotemi bramowany sznurami, a opatrzony guzami z wielkich koralów, brylantami ozdobnych. Kiedy zaś jeszcze zapiął pod szyją spinkę, z kilkudziesięciu rozmaitéj wielkości złożoną brylantów, zawiązał pas bogaty lioński, przypasał szablę drogiemi kamieniami sadzoną, a pod pachę wziął czapkę aksamitną błękitną, z kitką z piór czaplich złożoną, — to już był całkiem ubrany i mógł iść na pokoje. Jakoż szedł, nie zwlekając, i zaraz zjawił się we drzwiach sali przedwstępnéj, napełnionéj tłumami służby, dworzan i poprawiających swoje ubiory gości. A że był słuszny wzrostem i niemal o całą głowę najsłuszniejszych przenosił, do tego jeszcze tak błyszcząco ubrany, więc mu w ten moment rum uczyniono aż do saméj komnaty głównéj. Tak więc szedł próżną aleją pomiędzy dwoma szeregami różnobarwnego tłumu, kiwając głową uprzejmie za oddawane pokłony, łamiąc na sobie promienie wzroku ciekawych, a zostawiając za sobą ciche poszepty podziwu. Kto zaś go nie znał, pytał o niego, bo każdego musiała uderzyć taka świéżość młodzieńcza, połączona z powagą i wyniosłością postaci. A kiedy mu na to odpowiedzieli dworzanie: — to nasz Sodalis, — jak go powszechnie nazywano na zamku, to nie mógł się dosyć nadziwić temu, który tak młody, był już tak nieodstępnym Sodalisem hetmańskim.

Tymczasem Jerzy doszedł już do komnaty głównéj, w któréj przed woniejącą fontanną na otomanie, otoczonéj zamorskiemi plan-

tami. zastał całą starszyznę festynu. Mianowicie zaś siedziała tam hetmanowa i Zosia, a przy nich Denhoff z Rzewuskim, tuż zaś koło nich stał sam Sieniawski i niby także należał do ich rozmowy, lecz w rzeczy całą uwagę miał ku drzwiom zwróconą, aby być pogotowiu do przyjmowania gości. Widząc taką uprzejmość hetmana, bardzo się Jerzy nią uradował, bo mu ją sam po kilkakrotnie zalecał, jakoż mu już prawie żal było, że przy téj gospodarskiéj usłudze nie był przy jego boku, chociaż to wyjątkowe zachowanie się jego na dzisiaj nie było wcale skutkiem przypadku, ale przeciwnie, skutkiem umyślnéj woli nieprzedstawiania się światu w charakterze hetmańskiego dworzanina.

Widząc go hetman wchodzącego do sali, jak gdyby zgadywał jego najskrytsze myśli, wyszedł przeciwko niemu, jakby przeciw gościowi. I dał mu rękę i szepnął mu przytém do ucha:

— Dobrze że już nareszcie przychodzisz. Właśnie o tobie tu mowa i to ci powiem, że masz w tych panach wielkich dla siebie przyjaciół.

Lubo te słowa bardzo łagodząco na Jerzego wpłynęły, nie mógł on jednak się przezwyciężyć, ażeby na widok Denhoffa przybrał choć postać łagodną; jakoż gdy spojrzał na niego, zbladł cały, usta mu się ścięły i czuł to, że trzeba mu całéj swéj siły użyć na siebie, ażeby się w przyzwoitych granicach zachować. Ale tymczasem Denhoff na widok jego zerwał się prawie z kanapy i sam przystąpił ku niemu. I dał mu rękę, mówiąc przytém z uprzejmością pełną słodyczy:

— Witam pana Ożarowskiego. Pochlebiam sobie przecie, że pan sobie mnie przypominasz, lubo to już tak dawno, jakeśmy się widzieli.

— Panie hetmanie! — rzekł na to Jerzy, z dosyć wybitnym chłodem,—miałbym to sobie za grzéch niemal śmiertelny, gdybym ten dzień, w którym miałem zaszczyt panu być przedstawionym, choć na chwilę zapomniał. Mogę téż pana hetmana zaręczyć, że go pamiętam tak dobrze, jak gdyby to był dzień dopiéro wczorajszy...

Wiedział tu Jerzy co mówił, a nawet wiedział, jak się wysłowił dobitnie; ale pomimo to Denhoff, który o owych swoich szyderstwach prawie zapomniał, a miał na myśli tylko wyświadczone mu wówczas przez siebie dobrodziejstwo, o którém wszakże Jerzy jeszcze dotychczas nie wiedział, całkiem go inaczéj zrozumiał, jakoż rzekł zaraz, oczy spuszczając ku ziemi:

— Oh! pan pułkownik cale niezasłużony mi zaszczyt wyrządzasz. U ludzi mego stanu niejeden czyn, lubo przez nichże samych spełniony, wypływa często z daleko dalszych i całkiem od nich niezawisłych pobudek. Ale co to o tém i mówić! Wolę natomiast zapytać pana o jego powodzenie, które mnie tak szczérze obchodzi, chociaż i o tém już mi państwo Sieniawscy opowiedzieli tak wiele rzeczy dobrych i pięknych i najpiękniejszych, że od pana

samego, znając już jego skromność, pewnobym z nich ani dziesiątéj części się nie dowiedział.

— Państwo Sieniawscy, — rzekł Jerzy, a nie było już wtedy hetmana przy nim, — są na mnie istotnie tak bardzo łaskawi, że tém wkładają dług na mnie nigdy podobno niewypłacony.

— A ja nie jestem takiego zdania, — rzekł Denhoff, — i właśnie wspomniałem panu hetmanowi o tém, że jest cokolwiek za skąpy dla pana o awansach. Generalstwo się panu już jaknajsłuszniéj należy, gdyby li tylko za to, żeś takie pożyteczne inowacye wprowadził, tak w jego biurze, jak i w praktyce dla piechoty. Trzeba téż panu posunąć się na ten stopień tém prędzéj, ile że będzie on panu pomocnym do uzyskania z rąk króla takiego urzędu, który już pana i osobistém znaczeniem zrówna z jego przodkami, a czego tak bardzo jesteś nam godzien. Chcielibyśmy téż przytém, ażebyś, powołany obowiązkami wyższego urzędu, z ciasnego koła prac swoich dzisiejszych choć czasem na pole obszérniejsze wypłynął, a przez to owoców swych znamienitych zdolności i nam także udzielił, na co z największém upragnieniem czekamy.

Słysząc to, Jerzy był niezmiernie zdziwiony. Tyle łask i słodyczy od tego, w którym widział dotychczas jakoby samego szatana, nigdy się nie spodziéwał. Pomimo to jednak jakoś szatan nie ustąpił jeszcze zupełnie z jego umysłu, a tak mimowoli przypomniała mu się jedna z najpiérwszych scen tego świata, w któréj piérwsza nasza rodzica stoi pod drzewem, a na drzewie wąż siedzi, podający jéj jabłko barwiste i odurzającą nęcące wonią. Mimo to jednak chciał już Denhoffowi dziękować, i już się kłaniał, i nawet piérwsze wymówił słowa, — kiedy wtém przystąpił do nich Rzewuski i rzekł po staremu otwarcie:

— Mości Ożarowski! a niechże téż i ja poznam waszmości.

Tu dał mu rękę, a kiedy Jerzy się kłaniał, on mówił:

— Już nam tu tyle napowiadano o waści, że bodaj czego nie przesadzono, czegobym jednak cale nie pragnął. Owszem, owszem, daj Boże! takich nam ludzi potrzeba, coby to przedewszystkiém z umiejętnością pielęgnowali sztukę wojenną. Bo to jedno rotmistrzom się zdaje, że na wojnie wygrywa ręka. Jużci ja wprawnéj ręki a walecznego serca nie lekceważę, bo to jest główny materyał wojny; ale bez głowy, umiejętności, rygoru, ładu, mało wart i najlepszy materyał, jak to wiész z doświadczenia, kiedy służyłeś w armii francuzkiéj. Musiałeś téż tam istotnie nie psować chleba, kiedy cię hetman tak chwali; jeżeliż jeszcze do tego i w kwestye *status* nie lekkomyślnie zaglądasz, jak mi o tém powiadał Rybiński, to już się nam wcale kierujesz na męża, który nas kiedyś godnie zastąpi, a może téż i przepisze, czego życzę z całego serca.

A to mówiąc, zbliżył się razem z nim i Denhoffem do hetmanowéj koronnéj, albowiem tam stał Sieniawski i dawał mu znać ukłonem, że już czas do wieczerzy. Podał więc poważny Rzewuski

ramię pani Sieniawskiéj, gospodarz domu kasztelanowéj halickiéj, Denhoff hetmanównie, inni znów innym, i tak szli korowodem wspaniałym do sal jadalnych, gdzie dla świéżo przybyłych gości była przygotowana lekka wieczerza dla ogrzania się i obudzenia dobréj fantazyi. Jedzono téż i pito z ochotą, bawiąc się przytém ożywioną rozmową i słuchając dwoistéj kapeli, która z galeryi wpół przytłumione rozwodziła symfonie.

Lecz Ożarowski ani jadł ani się nawet mieszał do konwersacyi, bardzo mu bowiem było to w głowie, co go dopiéro spotkało. Takiego powodzenia w swych osobistych widokach nigdy się nie spodziéwał. Wiedział on wprawdzie, iż miał je głównie Sieniawskiemu do zawdzięczenia, a taki dowód afektu hetmana dla niego nie mógł mu być niemiłym; lecz jego skutki wcale go nie cieszyły, a to dlatego, iż najpiérw protekcyą taką ze strony tych właśnie dygnitarzy koronnych miał sobie za szczęście całkiem niezasłużone i ciężar ten już go i sam ze siebie ugniatał — a powtóre dlatego, iż mu się zdało koniecznie, że takich łask nigdy się nie doświadcza za darmo: a cóż, jeżeli sumienie nie pozwoli za nie zapłacić? albo i gorzéj, jeżeli sumienie każe się czarno wywdzięczyć?...

Tak myślał, kiedy wtém hetman polny koronny wstał z swego miejsca i przybliżył się ku niemu. Wstał także Jerzy, a natenczas Rzewuski wziął go pod ramię i idąc z nim w dalsze komnaty, w téj chwili prawie zupełnie puste, tak mówił:

— Przerywam ci, mości pułkowniku, wieczerzę, ale widzę że nie jész, a chciałbym z tobą pomówić. Bardzo mi waści zalecił Rybiński, a tu już i sam widzę, że nasz pan hetman wielki koronny więcéj patrzy oczyma twemi, niżeli swemi własnemi. Jest téż dlatego tém bardziéj o czém pomówić. Powiédz-że mi więc w swojéj łasce, jakaż to tam fantazya teraz jest u hetmana, bo jakoś trudno go nam wyrozumiéć, a owa podkamieńska historya niemało dała nam do myślenia.

Widział tu tedy Jerzy, że się na ślizką zanosi rozmowę, więc mówił ślizko:

— Jw. pan, jak to widzę, przypisujesz mi daleko ważniejszą w obec pana hetmana pozycyą, niżeli ją mam rzeczywiście. Jego biuro wojskowe jest w mojém ręku; na opatrzenie, kwaterunki, musztry i porządek wewnętrzny wojska, zostającego pod komendą pana hetmana, mam także wpływ bezpośredni; ale już jakiekolwiek użycie tego wojska na zewnątrz całkiem nie do mnie należy. A cóż dopiéro powiedziéć o tém, gdybym miał sobie przywłaszczać wpływy na polityczne opinie mojego wodza? Cokolwiekbądź tedy się dzieje lub się stać może na przyszłość, ani tam cień mój do tego się nie przyczyni, o czém nawet podobno i wspominać nie potrzebuję, bo przecież nie może to być jw. panu niewiadomém, jak nasz pan hetman jest niepodległym nikomu w opiniach i jak to nawet jest niemożliwém wpłynąć na niego.

— No! — rzecze na to Rzewuski, — jeszcze to wieleby mówić, ażeby się w tém porozumieć. Czasem, kiedy się uprze, to go nic nie przełamie, a czasem lada mała drobnostka zmieni go w oka mgnieniu do gruntu. Ot! to było niedawno! Zerwał się nagle i stanął przeciw królowi; trzy paciérze to trwało i znów odstąpił. Widzieliśmy zaraz, co go skłoniło do opozycyi: a teraz wiemy już nawet, co go od niéj odwiodło, bo nam pani Sieniawska zakomunikowała tę tajemnicę gruntownie i autentycznie. Jakoż tak mówię tobie, że wielką to w tém masz zasługę. Postaramy się téż o to, ażeby ta wiadomość doszła do króla i żeby była za to stosowna nagroda. Kiedy się do nas garniesz tak żwawą służbą, niechże i my ciebie przygarniem żwawą znowu wdzięcznością...

Ożarowski zęby zacisnął, a Rzewuski mówił tak daléj:

— Lubo to tedy pięknie jest z twojéj strony, iż się twojemi zasługami nie pysznisz, nie myślże jednak, żebyśmy o nich nie wiedzieli, albo wiedząc zapominali. Nie myśl téż także, żebyśmy nie potrafili być z tobą w dobrém porozumieniu. Owóż jest zaraz wyjaśnienie téj kwestyi, którą i teraz powtarzam: cóż tedy hetman myśli na przyszłość?

— Jw. panie, rzekł na to Jerzy, — szczérze to panu powiadam, że jeszcze sam tego nie mogłem wybadać. Dziś mi się tak zdaje, jutro znowu inaczéj, jak to zwykle u pana hetmana. Uważam jednak, iż pan hetman daleko więcéj teraz rozmyśla nąd dolą narodu, niż kiedykolwiek. I to mnie bardzo pociesza, bo jużciż i pan hetman dobrodziéj nie zechcesz tego zaprzeczyć, iż w chwili obecnéj daleko mniéj pomocy potrzebuje nasz król jegomość, niżeli naród. Czyż te skargi rozliczne, które są dzisiaj tak powszechnemi jak paciérz, nie są w większéj połowie najsprawiedliwsze?

— A! co do tego, to ani słowa,—odpowie na to Rzewuski,— a któż to może zaprzeczyć? a toż ja sam, jak tylko król nam do Warszawy powróci, będę jednym z najpiérwszych, którzy tę sprawę przedłożą. I będę mówił śmiało i nieoględnie, bo téż mam prawo do tego, jako także tak samo śmiały i nieoględny jego obrońca. Ale widzisz waść, co innego powiedzieć, a co innego czynnie wystąpić. Pomiędzy nami mówiąc, lichy to jest statysta, który dyplomatyczną sprawę indukuje przy odgłosie surm i z rozwiniętemi sztandary. A potém któż to rozumny żartuje z ogniem? A tak to prawie zaczął swoję politykę hetman. Więc żeby to teraz znów się co podobnego nie wydarzyło. A byłoby to dziś daleko niebezpieczniejszém niż kiedykolwiek, bo przecież wiecie, że bardzo to tam wre w tém kole szlacheckiém. I jak niéma wrzéć, kiedy drwa noszą tacy Potoccy, Tarłowie, Jabłonowscy i inni? Już z nich niektórzy z zapaloném biegają łuczywem. Rzecz tém dziwniejsza dla mnie, ile że dopiéro niedawno szli do spowiedzi i łaska najjaśniejszego pana nie odmówiła im rozgrzészenia. Więc żeby to teraz znów do spowiedzi nie przyszło, czego wszakże nie życzę, bo snać nie łatwaby była pokuta. Więc tedy na to trzeba wam

pilnie pamiętać, bo na was bardzo się oglądają. Jesteście jak chorągiewka na dachu, po któréj ludzie poznają, wichr ma być albo też cisza, i wedle tego rozporządzają swe sprawy. Nie wskazujcież na wichr, jak to było u Podkamienia, bo wywołać dzisiaj głośne niesnaski, to jakby wojnę wywołać, a wojna domowa to nie przelékwki. Będę ja o tém jeszcze rozmawiał z hetmanem, ale zapewne mu wiele nie powiem, bo téż już jutro was opuszczamy. Więc to tedy na tobie pozostaje cała ta sprawa. I nie miéj sobie tego za małą rzecz, a niech ci się tak wydaje, jakbyś miał los twojéj ojczyzny w twych rękach, bo téż tak jest. Wiemy już, jaki masz wpływ na hetmana, a to jest, jakbyś sam dzierżył buławę. Sprawujże mądrze ten urząd, z pilnym względem na dobro narodu, ale nie na to dobro, które jest cackiem chwilowéj fantazyi, lecz na to, które jest fundamentem wewnętrznego spokoju i dobréj doli na przyszłość. W czém niech ci Pan Bóg pomaga, a i my pomożemy gdzie będzie trzeba, boć téż tak zawsze postępujemy z tymi, których mamy za swoich.

Ożarowski chciał mu na to odpowiedzieć obszérnie, bo końcem końców, konwersacya z początku ślizka zrobiła się wreszcie aż zanadto wyraźną, — lecz w tym momencie skończyła się ta lekka wieczerza i zaraz zaczęły się tańce. Jakiemi parami przyszli na wieczerzę, takiemi poszli i w taniec — a tak widziano trzech hetmanów jednego przy drugim, co wiejskiéj szlachcie rzadko się kiedy zdarzało. Niejeden téż z nich nawet i w taniec nie poszedł, stanąwszy natomiast przy ścianie i przypatrując się temu widowisku. — A że Ożarowski szedł zaraz za hetmanami, więc to także niemałą zwracało uwagę, jakoż byli i tacy, którzy i jemu ominowali buławę — a niektórzy już nawet poszeptywali sobie wieść taką, jakoby Sieniawski miał się zrzec wielkiéj buławy koronnéj na korzyść Denhoffa, Ożarowski zaś po nim wziąć miecznikowstwo koronne, a z czasem buławę polną, a to wszystko za to, że miał się wyrzec hetmanównéj dla niego, o czém już także i to nawet dość głośno brząkano. Domysły te były wprawdzie całkiem niepodobne do prawdy, lecz widać z nich jakiemi oczyma szlachta, mieszkająca w blizkości Brzeżan, patrzyła na Jerzego, co było bezwątpienia skutkiem jego własnéj zasługi. Jakoż bodajby był miał wszędzie tylko tak samo usposobioną dla siebie opinią, jaką o nim mieli ci, którzy zblizka patrzyli na niego! — ale podobno to bardzo daleko było od tego.

Po polskim nastąpiły tańce inne, to francuzkie, to włoskie, które trwały ze dwie godziny, — poczém zaś wprowadzono maszkary. Tu Ożarowski był trochę w trwodze, ażeby się jego przewidzenia nie sprawdziły, i stanął tuż przy hetmanie. Szepnął mu nawet z cicha, ażeby się z maszkarami nie wdawał w żadne rozmowy; toż hetman, bardzo na takie rzeczy drażliwy, a do tego jeszcze niedawno co takim komplimentem poczęstowany, zaryl się między drzewa i ztamtąd przypatrywał się błazeństwom. Ale

tymczasem nic się osobliwego nie wydarzyło. Szły te małpiarstwa weneckie swym zwykłym trybem: Hiszpanie, Włosi, murzyny i inne Niemcy, nuż Turki, Tatary, cyganie. Więc znowu inni swoim własnym konceptem: tu żebraczyna jakiś w łachmanach, tam czarownica, tu czerwiec, tam pielgrzym, tu Żyd, a tam Żydowica. Ale najwięcéj ze wszystkich podobał się jakiś szlachcic przysadkowaty, który udawał Tatara, jakoby chana jakiegoś lub murzę, a miał téż z sobą garstkę tatarstwa, jakoby święte. Dziwnie onbył podobny, właśnie jak gdyby prosto przyjechał z Perekopu lub Krymu, mieli téż wszyscy na twarzach larwy haniebne, a co najdziwaczniejsza, że ten ich starszy mówił naprawdę z tatarska.

Hetman Rzewuski, który posiadał naukę wschodnich języków, bo téż po dwakroć był posłem do Turek i nawet zawarł był owo sławne przymierze, w skutek którego Kamieniec Podolski został Rzeczypospolitej zwrócony, sam z nim tatarskim językiem rozmawiał i tak się był temu zadziwił, że już się domyślał, żali to w saméj rzeczy nie Tatar? Ale się pokazało że nie, bo nabawiwszy się do syta z panem Rzewuskim, położył potém krzyż święty na piersiach i na przeproszenie Rzewuskiego, który się już był na niego za jakieś przycinki pogniéwał, zmówił z nim razem Ojcze nasz po polsku i regularnie jak jest w katechiźmie. A tak dano mu pokój; ale się nim ciągle bawiono, bo szlachcic był krotochwilny, mówił z węgierska i z włoska, z francuzka nic, ale zato znów po łacinie jak ksiądz. A że to owego czasu język włoski najbardziéj był w modzie, bo go król lubił, najczęściéj nim mówił, a listy prawie zawsze pisywał po włosku, więc potém znowu z hetmanem — i jak się z nim wdał w konwersacyą, to taki mu przyciął i raz i drugi, a ośmieliwszy się, dosyć mu się nagadał. Słuchał go hetman z początku cierpliwie i sam z nim żartował, ale nareszcie się zniecierpliwił i już mu chciał kazać larwę zdejmować, ażeby téż wiedzieć, kto jest. Na szczęście wszakże Jerzy był przy nim, a więc go zaraz umitygował, a Tatarzyna grzecznie odprawił. Po jego odejściu rzecze Sieniawski:

— Dobrze że sobie poszedł, ale ja przecież dałbym konia z rzędem na wybór, żebym mógł tego szlachcica rozebrać bez obrazy gościnności mojego domu.

— A na co to jegomości? — rzecze mu Ożarowski, — czy myślisz jegomość, że to który znajomy?

— Bóg go tam wié, ale ręczę tobie, że to szlachcic ten sam, który mnie wymalował z tchórzami,

— A ja ręczę jegomości, że nie ten.

— A ja tobie powiadam, że ten i daję tę racyą, że oko w oko to samo daje mi do zrozumienia, co tam wymalował.

— A to nie racya.

— A czemu?

— Bo każdy szlachcic będzie rozumiał to samo, co mu daje opinia publiczna.

Zamyślił się nad tém Sieniawski, a potém spytał:

— A jakąż ty dajesz racyą na to, że to nie jest ów malarz?

— Bo taki malarz, ręczę ja jegomości, za nic się nie pokaże na zamku.

— A to może i prawda, bo taki on wié, że kiedybym go dostał do ręki, to jużbym ja na nim odmalował konterfekt nie taki.

I tak się to zakończyło, a Ożarowski jeszcze był kontent z tych maszkar, bo mu ta rozmowa Tatarzyna z hetmanem stała się nawet pomocą, utwierdzając go jeszcze lepiéj w tém samém, co mu zawsze powtarzał. Nie wiedział jeszcze nieborak, jaką sam będzie miał z tym tatarem rozmowę...

Jakoż i o tém nie myślał. A natomiast, jak tylko się cicho zrobiło około niego, bo téż wszyscy poszli się przypatrywać tańcom', które rozpoczęły maszkary, dziwnie jakoś posmutniał. A działo się to w ogromnéj sali, która była podwójnym szeregiem kolumn przepierzona na dwoje: w tamtéj połowie tańcowały maszkary, a w téj tylko ten i ów się przechadzał i było pusto na poły. Korzystał więc z tego Jerzy i zasunął się między cyprysy i pomarańcze, które stały przed oknem, a oparłszy się o kolumnę, został na chwilę sam z sobą. Przypomniała mu się téż teraz jego z Rzewuskim rozmowa i myślał nad nią. A im więcéj myślał, tém więcéj się nią frasował, ba nawet burzył. Obrzydliwa rzecz! — rzekł on do siebie, — Sasi mi ojca zabili, a ci mnie uważają za saskiego stronnika! Pięknaż to o mnie się wyrobiła opinia! — Ta wiadomość, świéżo co otrzymana, oburzyła go w głębi serca, a nawet wcale zniepokoiła. Ale gdy lepiéj nad nią pomyślał, to się uspokoił cokolwiek. Bo i któżto o nim tak myślał? oto sascy stronnicy. A licho mi tam na ich opinii zależy! — mówił do siebie. Jeżeli mi na czyjéj opinii zależy, to na opinii narodu, a naród tak przecie nie myśli. Jużci tam wiedzą, pocom ja przy hetmanie uwisnął i nie może być, żeby mnie miano za odstępcę lub samoluba. Tak mówiąc, a mając do tego czyste sumienie, wprędce dał sobie radę z temi myślami. I już natenczas tylko tém się zajmował, co wynikało z Rzewuskiego rozmowy. A w tém znalazł niemałą pociechę. Przyznawaliż mu przecie i oni stanowczy wpływ na hetmana i przywiązywali niemałą wagę do tego. Rzewuski mu powiedział wyraźnie: masz los ojczyzny w twych rękach! czyż trzeba więcéj? Więc tedy to, o czém ciągle myślał i nad czém pracował, nie było przecież złudzeniem...

Tak sobie myślał, kiedy wtém spostrzegł, że do téj opróżnionéj połowy sali wbiegła Zosia. Wyglądała ona dzisiaj bardzo czarownie. Miała na sobie białą suknię w złoty haft delikatny i tak tu w niéj zbiegła nagle, jak gdyby na chmurce majowéj spłynęła, którą olśniły promienie słońca. Na nóżkach miała trzewiki niebieskie, na szyi lśniące ubranie z turkusów, turkusowe manele na rękach, takież naramienniki, a w białych upudrowanych włosach z niebieskich kwiatów ubranie. Zdawało się tedy tak rze-

czywiście, jak gdyby ją błękit otaczał, zabrany przez nią z nieba na ziemię. Wbiegłszy tak do téj połowy sali, zatrzymała się nagle, spostrzegła Jerzego stojącego pomiędzy drzewy i ująwszy rączką za wstążkę błękitną, która jéj wiała u pasa, stała tak przez oka mgnienie, patrząc z główką spuszczoną na wstążkę. Obróciła się potém i wolnym krokiem odeszła, lecz okrążywszy kawałek sali, znowu wróciła i znowu rzuciła wzrokiem na schowanego młodzieńca. Wtedy już Jerzy, który ją z wielką obserwował uwagą, wyszedł ze swego schowku i zbliżył się do niéj, a ona już go całkiem otwarcie dostrzegła i zaraz rzekła kapryśnie:

— Ej! bo pan Jerzy tak się chowa pomiędzy drzewa, jakby przed skwarem słońca, a my tu właśnie układamy taniec francuzki.....

A Jerzy na to:

— Jestem na pani rozkazy i zaraz ułożymy ten taniec.

— Jeszcze maszkary tańcują, — rzekła Zosia, zatrzymując się w miejscu.

— Któż-to zaproponował ten taniec? — zapytał Jerzy.

— Pan Denhoff.

— No i cóż tam ten Denhoff? jakże się pani podoba?

— Jak się mnie podoba? a czemu pan o to pyta?

— Tak... przez ciekawość.

— Może pan już co słyszał...

— Alboż jest co do słyszenia?

— Pewnie że jest.

— Co takiego?

— Wié pan, po co tu Denhoff przyjechał?

— Nie wiem pani.

— Na oględziny, a pan Rzewuski go swata.

— I to już pewna?

— Jak najpewniejsza. Pan Rzewuski już o tém mamie nadmienił.

Jerzy się na to zimno uśmiéchnął, bo téż i wcale mu się zimno zrobiło, jakoż rzekł zaraz:

— No, to i ważna nowina. Ależ to jakoś prędko się stało?

— Gdzież tam, — odpowiedziała Zosia, — przeciwnie, bardzo pomału. Bo wié pan, co mi Denhoff powiedział? Oto to, że mnie widział na jarosławskim zjeździe i tam się mną tak zachwycił, że od tego czasu nie mogę mu wyjść z pamięci. Cha, cha, cha! śmiać się musiałam doprawdy, bo i co to za pamięć stateczna, co za zachwycenie gruntowne miewają ci hetmani litewscy! Ależ to i nie dziwna nareszcie, bo pan Denhoff przecież się dawniéj jeszcze zachwycał królem i także jeszcze do dziś dnia z tego zachwycenia nie wyszedł. Powiedziałam mu to, a on niby się tém bardzo ubawił, ale przecież zbladł trochę, dobrze to uważałam.

— Doprawdy? powiedziałaś mu pani?— rzekł Ożarowski i mimowoli zatarł ręce z radości.

— Powiedziałam mu całkiem otwarcie, — rzekła Zosia, — i jeszczem mu coś powiedziała.

— Cóż tedy?

— Dałam mu do poznania, że przyjechali tutaj z Rzewuskim po to, ażeby ojca burzyć przeciwko szlachcie i całkiem go już pozbawić téj miłości, któréj z powodu nieszczęśliwych zamieszek nigdy nie mógł dostąpić, a którą chciałby mieć choć na osłodę ostatnich dni tego życia. Bardzo mi się tedy Denhoff z tego wymawiał i uważałam, że był temu niepomału zdziwiony.

Jerzy milczał, ale nie był z tego zadowolony, bo mu się zdało, że Denhoff jest z tych ludzi, których w ich zaślepieniu nic nie potrafi oświecić. Tymczasem Zosia dodała jeszcze:

— I o panu-śmy także mówili.

— Ach! nawet i o mnie.

— Nawet o panu,—odpowiedziała hetmanówna z uśmiechem, a z téj rozmowy dowiedziałam się, że pan masz przyjaciela w Denhoffie. Bardzo się nad panem unosił i mówił, że w listach, które o panu odbiérał od swoich przyjaciół z Paryża, nie można się pana nachwalić.

— On o mnie odbiérał listy z Paryża?—zapytał Jerzy z zadziwieniem.

— Tak, — rzekła Zosia, — bo powiada, że bardzo się panem zajmował.

— On mną? a! przyznam się pani, że to trochę zanadto...

— Tego już nie wiem, lecz mówił daléj, że teraz bardzo się panem zachwycił...

— I mną się nawet zachwycił! — rzekł Jerzy z uśmiechem.

— I panem, — rzekła Zosia z żartobliwą powagą, — i dodał że teraz piérwszém jego będzie staraniem, ażeby dla pana wyrobić urząd koronny.

— Dziękuję mu za tę protekcyą.

— Jakto? nie chcesz pan urzędu? a cóż to panu szkodzi? wszakżeż zdaje mi się przeciwnie, że to do wszystkiego pomaga.

— Niéma wątpliwości, że awans zwykle pomaga, ale przecież nie z każdéj ręki.

— Otóż widzisz pan, — rzekła Zosia, — był przytém także i tatko, i rzekł na to te słowa: — Bardzobym się tém ucieszył, gdyby mój Jerzy kochany dostał urząd koronny pierwéj, nim ja go na generała posunę, bo to czasem protekcya pomaga, a czasem szkodzi. Niémasz tutaj wątpliwości, że moja protekcya nie zaszkodzi mu w partyi królewskiéj a u malkontentów i całéj szlachty pewnie mu nie pomoże. Bo już mnie tam haniebnie omalowano w obec narodu! Boję się tedy, ażebym zamiast przysługi, nie wyrządził mu jeszcze przykrości. Trzebaż na to pamiętać, że my starzy, on młody, my już niebawem odejdziem a on pozostanie; toż i król także odejdzie, a naród zawsze zostanie... A to rzekł bardzo posępnie, że mi aż łzy w oczach stanęły, bo mi się żal

zrobiło mego kochanego ojczyska. A Denhoff nic na to nie mówił, ale jakoś bardzo był zamyślony.

Toż i Jerzy się trochę zamyślił, ale wesoła Zosia zaraz go obudziła, mówiąc:

— No, już dość, a teraz chodźmy do tańca.

I przytém podawała mu ramię. Jerzy się rozweselił, ale z przyjęciem ramienia trochę się zastanowił. Był on w tych rzeczach, teraz dla niego podrzędnych, nadzwyczajnie ostrożnym, i bardzo słusznie. Zrozumiała go Zosia, ale nie chcąc rozumieć, spytała:

— A to co znaczy?

Wtedy Jerzy natychmiast podał jéj ramię, lecz odpowiedział:

— Boję się, abyśmy wchodząc tak nagle na horyzoncie starszyzny, nie wywołali chmury na które czoła.

— Nic się pan nie bój, — odpowiedziała Zosia, — kiedy takie dwa słońca wzejdą odrazu, to wszystkie chmury się przed niemi rozprysną.

Tak tedy szli, Zosia z jaknajlepszą fantazyą, a Jerzy trochę nieśmiało. Lecz kiedy weszli, to chociaż zwrócili wszystkich uwagę na siebie, wprędce się młodzieniec przekonał, że nie było się czego obawiać. Albowiem piérwszą postacią, którą spostrzegł, był sam hetman Sieniawski, który stał, patrzył na młodą parę z upodobaniem i jeszcze wąsa pokręcał. Na twarzy hetmanowéj nie dojrzał on także chmurki choćby najmniejszéj — a jego matka spojrzała na nich takiemi oczyma, jak gdyby rzeczywiście słońce w nich wzeszło. Wprawdzie Rzewuski patrzył na nich niby surowo, a Denhoff nawet z nieukrytém zdziwieniem, — ale co go tam teraz obchodzili Rzewuscy i Denhoffowie! — Tak tedy natychmiast złożono taniec francuzki, składający się z ośmiu par wyborowych i tańcowano go długo z wielkiém zadowoleniem dla siebie i podziwieniem szlachty, przypatrującéj się bardzo ciekawie tym wymysłom niemieckim.

Po tym tańcu skończonym, Jerzy był oczewiście daleko więcéj zadowolonym ze siebie, niż kiedykolwiek dotychczas. Tyle on się tu rzeczy pocieszających dowiedział, takich dowodów przyjaźni doświadczył od hetmanównéj! Warte to było zastanowienia, warte i zapisania w księdze pamięci. Jakoż już dla tego samego, a nareszcie dlatego, ażeby Denhoffa, którego uwaga może była już rozbudzoną, nie wprowadzać na ślad jakich dalszych domysłów, wyszedł on teraz z pomiędzy rozmawiającéj za sobą w jedném kółku starszyzny i przeszedł znowu do owéj piérwszéj połowy sali, gdzie go niedawno znalazła Zosia. Tam w owéj chwili tańcowały maszkary, ale już wespół ze szlachtą, bo téż już podchmielono, fantazya się ożywiła i był już huczek cokolwiek. Tam tedy zasunął się znowu pomiędzy cyprysy i pomarańcze i tak ukryty, patrzył na tańce i myślał.

Ale zaledwie się tam ulokował, zjawia się przed nim ów naj-

znaczniejszy Tatarzyn, chan albo murza, bo i nie wiedzieć o tém na pewno. Stanął, pokłonił mu się i rzekł:

— Czołem, panie pułkowniku.

— Czołem, — rzekł Jerzy i nie mógł się nie uśmiéchnąć, bo zabawna to była figura, — cóż tedy powiész?

— A cóżby? nic tak dalece, — rzecze mu larwa, — przychodzę ci powinszować.

— Czegóż to mi winszujesz?

— Dobrego zdrowia, łaski hetmańskiéj, pułkownikowskiéj rangi, przyjaźni saskiéj, nowych amorów, królewskiego respektu... a czy to mało?

Słysząc to, Jerzy zastygł cokolwiek. Rzecze mu tedy dość zimno:

— Nie podoba ci się to wszystko, jak widzę.

A na to larwa:

— Mnie? a cóż mnie na tém? Jam tu obcy w tych krajach i idę za powszechną opinią. Więc jeśli się to podoba Patronce twojéj młodości, a nareszcie i narodowi, a to i mnie się podoba.

— Więc się to niepodoba?— rzekł Jerzy, czując gorycz jakąś na ustach.

— A dlaczegoby nie? bardzo się to podoba. Wszyscy się z tego cieszą niezmiernie. A Bobrownicki jak się tam cieszy, a jego córka! to już i trudno powiedzieć.

Wstrząsł się Jerzy na tę uwagę i sam już nie wiedział co mówić. Pobiegłszy pomimowoli myślą do zameczku nad Nidę, był tu nieprzytomny w téj chwili i w tém zamyśleniu patrzył niewidomemi oczyma na Tatarzyna. Tak trwała chwilka. Poczém tatarzyn zbliżył się krokiem do niego i rzekł bardzo poważnie:

— *„Uciekajcie od namiotów ludzi niezbożnych, a nic się nie dotykajcie tego, co ich jest, abyście się w ich grzechach nie zawinęli.*"

Pomyślał Jerzy nad tém i zrazu tylko się gorzko uśmiéchnął i rzekł:

— Nie sądź a czekaj końca, bo zaprawdę powiadam tobie, że kto wątpi, ten będzie się z tego spowiadał.

Więc tu znów Tatar się po kolei zamyślił i rzekł powolnie:

— Owca, która wstąpiła w stado wilków, ażeby ich do pokuty namówić, nie nawróciła żadnego, a natomiast jéj saméj kły i pazury wyrosły i przedzierzgnęła się w wilka.

— Owca owcy nierówna;— powiedział Jerzy.

A na to larwa:

— Wszystkie są równe, bo wszystkie są słabe. Żadna do owiec nie wróci, kiedy się między wilkami wychowa i znajdzie u nich złote runo dla siebie. A gdyby i chciała powrócić, to czy ją owce przyjmą do siebie, kiedy ją ujrzą z wilczemi kły i pazury? Powiedzą tu usta: bracie! które dopiéro wołały: zdrajco!?

— Zdrajco? — powtórzył Jerzy i ciemno mu się w oczach

zrobiło! Musiał się oprzéć o framugę plecyma, tak się zachwiał na nogach.

A kiedy potém przejrzał cokolwiek, już tego murży przed nim nie było.

Myślał więc sobie: jakiś to sen był czy przywidzenie. Był rozdrażniony cokolwiek, pił wiele wina, patrzył przez cały wieczór na same maszkary — a w takim razie i o majaka nietrudno... Tak sobie myślał i w tém zamyśleniu szedł środkiem sali, sam dobrze nie wiedząc, dokąd ma zmierzać.

Ale wtém hetman Sieniawski, otoczony drugiemi hetmany, będący w gościnie, wszedł między szlachtę, a zniżywszy się do poufałego bractwa, co bardzo rzadko mu się zdarzało, pił z nimi na dobre, nie wymawiając się od żadnego kielicha. Już tam natenczas nie było żadnych politycznych opinij, ani uraz, ani pretensyj. Wypowiedziano sobie przytém i to i owo, ale bez żółci, bo popuszczono wodzów kochającemu sercu. Jakoż i wyściskano i Sieniawskiego, chociaż się ciągle po całusach obciérał, i Rzewuskiego, chociaż go nie lubiano najwięcéj i bardzo im do uścisków przeszkadzała jego peruka. Przy tych afektach Ożarowski był także wesół, bo nietylko że także jemu dostało się ich niemiało, lecz co główniejsza, Sieniawski się ze szlachtą pobratał, okazał dla nich otwarte serce i znacznie podrósł w opinii.

A tak minęła prawie noc cała, bo zapewne nie było więcéj jak dwie godziny do dnia, kiedy się panowie hetmani na spoczynek wynieśli, aby nazajutrz rano stawić się w czasie na musztrę pieszego pułku, który im Jerzy miał prezentować.

XVI.

Pułk, któren z woli hetmana dostał się pod wyłączną Ożarowskiego komendę, był to jeden z tych pułków, o których już dzisiaj nie można było wiedzieć z pewnością, jest-li to żołniérz kwarciany, albo własny hetmański? Albowiem przez kilkonastoletni ciąg wojen z Szwedami, wojska te, któremi dowodził Sieniawski, składały się zawsze w części z kwarcianych, w części z jego wojsk własnych, a nareszcie z odnawianych co chwila zaciągów, o których także nikomu nie było wiadomo, czy były zaciągane na koszt lub rachunek Rzeczypospolitéj, albo téż z osobistéj Sieniawskiego szkatuły. Taki gorliwy wojownik, jakim był wówczas Sieniawski, dbał przedewszystkiém o to, ażeby miał dostatek żołnierza pod ręką, a czy mu przyszło kwarciane wojska zapomagać groszem swym własnym, czyli przeciwnie, nie zastanawiało go to zupełnie. Kiedy zaś jeszcze do tego, skutkiem strat ponoszonych przez wojny, czasem dwa lub trzy pułki musiały być w jeden ściągnięte, a znowu czasem, przeciwnie, każdą osobną jednego pułku kompanią zapomocą nowych zaciągów w nowy pułk zamieniono; to i wszystkie te wojska, które były przy wielkiéj buławie, Bóg sam wié tylko, czyją właściwie były w swych częściach własnością. Jednakże tego stanu rzeczy nie zmieniał jeszcze dotychczas Sieniawski, a to dlatego, iż był on mu z wielu względów nadzwyczajnie dogodnym. I tak najpierwéj te wojska, dopóki były jeszcze nierozdzielone napowrót, żywił on wszystkie kosztem publicznym, a więc oszczędzał przytém swoję własną szkatułę o tyle, o ileby musiał z niéj opatrywać potrzeby tych pułków, które należały do niego.

Powtóre, żołd oznaczony dla wojsk kwarcianych już od lat kilku zalegał w skarbie; tedy im więcéj Sieniawski miał wojska, tém większe wykazać mógł zaległości. Potrzecie, w skutek dawnych traktatów należały się wojsku od Rossyi sukursy piéniężne, których część także jeszcze zalegała do dziś dnia, więc lubo zobowiązanie to nie zawisło wcale od ilości dziś stojącéj, było to zawsze okolicznością do wywindykowania sum tych pomocną. Nakoniec jeszcze wypływała z tego stanu rzeczy ta najważniejsza dla hetmana dogodność, iż kiedy on, tam gdzie mu tego była potrzeba, wszystkie te wojska za kwarciane udawał, to znowu w obec największéj części wojsk tychże mianował siebie ich właścicielem, a mając dowód tego w swych ręku, bo je na teraz zaopatrywał i żywił tylko swym własnym przemysłem, miał z nich istotnie jak gdyby armią swą własną, którą w każdym wypadku mógł rozrządzać do woli i czego niedawno jawny dał dowód, stając z nią w interesie swym własnym u Podkamienia. Taki stan rzeczy w armii był w saméj istocie dla Sieniawskiego nadzwyczajnie dogodnym, — mąż zręczny i mający odwagę do czynów stanowczych, mógłby był z niego w czasach następnych wyciągnąć niezmierne tak dla dobra pospolitego, jak i dla własnéj swéj sławy korzyści; Ożarowski wiedział o tém i bardzo pilnie pamiętał, lecz czy Sieniawski z tego istotnie skorzystał, dopiéro się niżéj okaże.

Wspomniawszy o tém, czego się nie godziło pominąć, wróćmy nazad do pułku Ożarowskiego. Owóż ten pułk, lubo niby także należał do ogółu armii, stanowił jednak od innych pułków wyjątek i to pod bardzo wielu względami. Był on pierwotnie kwarcianym i już natenczas znano go po tém, iż w ogniu szaloną miéwał fantazyą, prawie w każdéj bitwie zabiérał armaty, a już nie było nigdy takiéj potyczki, w któréjby on koniecznie czémsić się nie obłowił. Ponieważ z początku tych wojen szwedzkich było jeszcze w tym pułku do kilkudziesiąt ludzi, którzy byli na wyprawie wiedeńskiéj, więc ich natenczas zwano wiedeńczykami. Więc tedy u tych tam wiedeńczyków bywało zwykle jak na jarmarku: zégarków, pierścieni, rzędzików, szabelek, pistoletów i tym podobnych rzeczy, zwłaszcza po jakiéj większéj batalii, można było u nich dostać daleko pewniéj, niżeli w sklepach, a kiedy razem z wojskiem leżeli obozem, to już kuchnia u nich bywała jakoby w mieście i nigdy na niczém im nie zbywało. Dziwili się nieraz temu inni żołnierze niemało, zkąd téż to, kiedy pułki nie miały chleba, u nich gęsi, barany, a czasem i co lepszego,—aleć to taki był u nich sam hetman, a kiedy sam obóz odchodził, to zwykle przy nich się zatrzymywał, bawił się z nimi rozmową, bo dziwnie to byli krotochwilni hultaje, jakoż nawet niejednokrotnie im co darował. Wszakże szczególnie się do nich nie przywiązywał, bo mimo ich dobréj fantazyi w ogniu, zbyt na nich wnoszono skargi, a jakiekolwiek w marszu popełniono hultajstwo, zawsze się pokazało w końcu, że to ich była robota. Więc téż często kary na

nich spadały, i kary srogie, jakto zazwyczaj w wojsku, a jeszcze do tego w wojnie, a że tak ostréj aplikacyi *artykułów hetmańskich* hetman nie lubiał, a jednak przez nich robić to musiał, więc téż się bardzo w afektach dla nich hamował. Ale tymczasem w bitwie kaliskiéj i wszystkich innych ówczesnych, w których król tak był wziął górę nad Szwedami, że mógł ich był może i zupełnie utłumić, lecz z czego tak dalece nie umiał korzystać, jak gdyby był zgoła o tém nie wiedział, — ci wiedeńczycy tak się bili ogniście, że ich nie pozostało ani połowy. To tedy tak zniewoliło dla nich hetmana, iż im wszystkie hultajstwa zapomniał i tak ich ze serca ukochał, że ich z etatu wojsk kwarcianych, jako do nogi wybitych, wymazał, a ukompletowawszy nanowo, uczynił pułkiem swym własnym. Posprawiał im także natenczas mundury błękitne, a kamizelki i pludry żółte — zkąd téż poszło, że ich od tego czasu poczęto także nazywać gwardyakami albo sieniawszczykami, a nareszcie i granowszczykami, a to znów z tego powodu, że Granowski miał nad nimi komendę. Odtąd znowu służyli tak samo jak dawniéj, a że nie było natenczas wojny tak bardzo zawziętéj, bo to już było po abdykacyi Augusta, więc się téż dosyć w całości trzymali, — aż kiedy z początkiem roku 1709 poszli z Granowskim wstrzymać Szwedów, to znowu tak wyginęli, że ich nie pozostało więcéj, jak bardzo mało coś nad pięćdziesiąt razem z oficerami. A wtedy, jakoś to właśnie po klęsce połtawskiéj, posłał ich hetman na prezydyum do Lwowa i od tego czasu już ich ztamtąd nie ruszył. Tam tedy Granowski, który podtenczas już był komendantem téj ulubionéj przez hetmana stolicy, znów ich ukompletował, a to do liczby dwóchset cztérdziestu i cztérech ludzi razem z oficerami. Taką liczbę głów miały wszystkie piesze pułki ówczesne, a każdy z nich był podzielony na cztéry kompanie, które jednak nosiły miana chorągwi i miały téż cztérech chorążych, chociaż znów była osobna chorągiew pułkowa. Jednakże lubo ten pułk został uformowany z ludzi prawie zupełnie świéżych, bo starych było mało co nad pięćdziesiąt, jego fantazya i obyczaje pozostały te same, jakie się w nim wyrobiły za dawnych czasów. Nie było już wprawdzie wojny natenczas, a przynajmniéj oni się nigdzie nie bili, więc téż nie można było wiedzieć z pewnością, jakimi okażą się w ogniu; lecz co do reszty, wszystko było tak samo. Zawsze to u nich handel pozostał w modzie, zawsze facyendy, a co dziwniejsza, że pomimo spokoju, a więc i braku sposobności do jakiegokolwiek obłowu, zawsze po ich kwaterach było towarów pełno, jakby po sklepach. I już tam nietylko zawadzały się zégareczki, pierścionki, szabelki, ale dostał u nich i pasa litego, i złotogłowiu lub innéj materyi w sztuce, i czasem sréber stołowych, ba, i kontuszów, żupanów, szubek i czego kto tylko zapragnął. I już się tak wszyscy byli ozwyczaili z tym handlem żołnierskim, że kiedy było się w sklepie uskarżyć, że jaki towar niedogodny lub drogi, to sami kupcy odpowiadali: — Idź waszmość

do wiedeńczyków, u nich i większy wybór i towar tańszy. Który więc szlachcic niebardzo skrupulat a jeszcze do tego skąpy, to i szedł do nich i zakupywał. A kiedy przecież poruszony obawą zapytał: — A zkąd to ichmość macie takie towarki? — to ci hultaje odpowiadali: — to jeszcze z wyprawy wiedeńskiéj, cośmy się obłowili na Turkach i zachowali na ciężkie czasy. — Co téż i śmiészno było drugiemu, zwłaszcza, gdy jaki kontusz targował, bo téż nikt nigdy nie słyszał, ażeby Turcy chodzili w kontuszach. Jakoż i nietrudno się było domyśléć nareszcie, zkąd to się biorą u nich takie towary, — chodziły téż o to częstokroć skargi do Granowskiego, — ale Granowski, choć bardzo się na to wrzekomo gniéwał, puszczał jednak te skargi *per non sunt*. Źle to było od niego, ale i co miał robić nareszcie, kiedy na wyżywienie całego prezydyum, do którego jeszcze i inne należały chorągwie, miał przeznaczonych tylko dwieście złotych na tydzień, które i tak musiał to sztuką, to groźbą wydurzać od miasta, bo już to Bogiem a prawdą, mieszczanie lwowscy do skarg i lamentów zawsze byli gotowi, ale do jakiéjkolwiek pomocy trzeba ich było gwałcić po wszystkie czasy. Nawet i własnych swych murów bronić nie chcieli, a kiedy się nie zdołali okupić, to się zawsze poddali, czy to był Turek, czy Szwed, czy Tatar, czy król Stanisław, czyli król August, wszystko to u nich było na jedno. Pokłonili się pięknie każdemu i zapłacili co kazał; tylko wojskom koronnym albo konfederackim nigdy nic dać nie chcieli, a kiedy dali nakoniec trzy grosze, to zaraz potém z krwawemi łzami wysyłali posłów do króla. Toż nie lubiło ich za to wojsko, i nietylko to wiedeńczycy, ale i każdy inny pociągnął ich zawsze lepiéj jak drugich, bo powiadano: kiedy dajecie Turkom, Tatarom, Kozakom, dajcie i nam. Jednak ci wiedeńczycy, choć wielu ludzi o nich myślało, że te swoje handelki prowadzą poprostu ze źródeł gwałtów albo kradzieży, nie byli nigdy o to przekonani dowodnie. Wprawdzie Granowski prawdziwe skargi Ormian i Żydów puszczał *per non sunt*, ale jak tylko skarga była o kradzież, gwałt albo grabież, to nawet bardzo pilnie dochodził. Jednakże nigdy się to nie pokazało na wiedeńczyków, — a kilka wyjątkowych wypadków pociągnęło za sobą ten skutek, że przeciwko winnemu zaraz się cały pułk deklarował i natychmiast go z między siebie rugował. Jeden zaś żołniérz, przekonany o kradzież, za którym Granowski się uparł i w pułku pozostawił, tak gdzieś zniknął bez śladu, że nigdy go potém nie odpytano. Dlatego ci wiedeńczycy, lubo za wielkich hultai miani, patrzyli śmiało każdemu w oczy, i nigdy się to nie zdarzyło, żeby którego z nich zbezeczczono otwarcie. Prawda, że ich obyczaje niosły za sobą rozmaite swawole, jako grę w kości, karty, pijatykę, hulki, a co jeszcze gorsza, niewyczerpane frantostwo; ale znów z drugiéj strony znachodziło się u nich niezmiernie wiele poczciwości, tak względem siebie, jak téż i drugich. I tak np. ze szczególném zamiłowaniem kochali się w nabo-

żeństwie: po wszystkich kościołach służyli do mszy, ubiérali Boże groby, trzymali przy nich z własnéj chęci szyldwachy, towarzyszyli pogrzebom, chodzili nawet z kolei do pracy około budującego się wtedy trynitarskiego kościoła bez żadnéj za to nagrody; i było to już u nich jakby zwyczajem. Toż kiedy który z nich księdza napotkał, zawsze go w rękę całował, a którykolwiek klasztor zapotrzebował usługi, zawsze ją u nich znalazł gotową. Kiedy ktoś ukrzywdzony potrzebował pomocy albo ochrony, to oni już go mieli za swego, — wynikały ztąd burdy, czasem nawet i gwałty, ale nigdy ze stratą niewinnych. Tak samo także, ba jeszcze pięknéj, zachowywali się względem siebie: dopóki drudzy mieli, żaden z nich niedostatku nie cierpiał, bo pomoc wzajemna była u nich regułą, tém łatwiejszą do wykonania, ile że ich rachuby nigdy nie wychodziły poza dzień jutrzejszy, a grosz jako taki nie miał żadnéj wartości.

Na tém téż gruntowała się u nich miłość wzajemna bezwarunkowa, jednostajność fantazyi i owe wszystkie przymioty, które tak są nieprzepłacone w żołniérzu. — Tak tedy osobliwszym sposobem pomieszały się w nich i wielkie wady i wielkie cnoty ze sobą, — jak się to prawie zawsze zdarzało w ówczesnych chorągwiach i pułkach, — i jak się niejednokrotnie zdarzało u owoczesnych ludzi, którzy miéwali serca surowe, łatwo ku wszystkiemu się skłaniające i zazwyczaj gwałtowne, a przytém głowy nieoświécone, nie umiejące uczuć ściśle ocenić, uporządkować i opanować.

Taki to tedy był pułk ten, który z woli hetmana przeszedł pod Ożarowskiego komendę, ażeby przezeń został zorganizowany i wyćwiczony wedle mody francuzkiéj. Kiedy go Jerzy odebrał, nietrudno mu się było przekonać odrazu, że mu oddano do ręki doskonały materyał, ale że wiele tu trzeba będzie pracy poświęcić, ażeby się z niego zrobił żołniérz taki, jakiego obraz nosił Jerzy w swoim umyśle. O pojętność, spryt, zręczność, a nareszcie waleczność, nie potrzebował się bardzo turbować, bo to wszystko już było jakoby dziedziczném w tym pułku; ale ład, rygor, moralność, inne pojęcie wojskowego honoru i całkiem inne sumienie, rzeczy niezbędne bo poprostu fundamentalne, trzeba było dopiéro wyrobić. Pamiętał o tém Jerzy, o czém najczęściéj zapominają dowódcy, iż mu oddano pod jego opiekę nietylko żołniérza, ale także człowieka, a zatém i nim musiał się opiekować. Jakoż najpiérwszą jego czynnością to było, iż rozpoznawszy wszystkich żołniérzy zosobna, wszystkich namiętnych kosterów, nałogowych pijaków i nieobiecujących poprawy hultajów pod jakimbądź innym względem wymazawszy z regestru, dymisyonował. Potém przyjął kapelana do pułku, którego sobie od swoich ojców nauczycieli sprowadził i postąpił w tém bardzo rozumnie, bo cobądź inni rozumieją o jezuitach, był to przecież podówczas prawie jedyny zakon w Polsce, który chował u siebie głębokie i prawdziwe pojęcie obowiązków kapłańskich, gorącą wiarę i nieskażoną moralność —

a zalecając się pośród powszechnéj ociężałości zakonów innych bardzo skrzętną pracowitością, był on zawsze gotów do każdego rodzaju poświęceń i nawet poprostu nie było tak ciężkiéj i tak nizkiéj pracy, któréjby on się nie podjął. A jacy-to byli z nich kapelani wojskowi, jacy spowiednicy i kaznodzieje w obozach, jacy gorliwi stróże ubogich ludzi podczas przemarszów wojska, jacy nieustraszeni opiekunowie rannych i konających, nietrudno się o tém przekonać nawet i z opisanéj historyi. Takiego mu téż księdza przysłano z Krakowa, — a był nim ksiądz Głęboszewski, Andrzéj na imię, człek młody, krzepki, pracowity i światły, a jeszcze do tego i towarzysz szkolny Jerzego, bo chociaż kilka lat starszy od niego, przecież z nim razem uczył się jeszcze włoskiego języka. Jakoż dostawszy tego upragnionego przez siebie kapelana, Jerzy swobodnie odetchnął, a porozumiawszy się z nim o co rzecz chodzi, wzięli się zaraz obadwa do pracy. Z początku zdawała się ta sprawa dość trudną, bo jak się powiedziało powyżéj, wiele było hultajstwa w tym pułku; ale znów z drugiéj strony niemałe było w tém ułatwienie, że ci ludzie chowali u siebie jakieś tradycyonalne zamiłowanie do nabożeństwa. Kiedy więc za tę nić uchwycili, to i nietrudno im było nareszcie nawinąć ją na ten kłębek, na jaki powinna być nawiniętą. Tym sposobem rozbudzili oni w nich wiarę rzetelną, a dając im coraz jaśniejsze o obowiązkach chrześcianina pojęcia, oczyścili ją zwolna z owych wszystkich przyborów, które z nią nie licują. Kosztowało to bardzo wiele pracy, a nawet i niemałych poświęceń, — Ożarowski musiał z początku karać obyczajem drakońskim, co mu niemało przynosiło goryczy, — ksiądz Andrzéj zaś nie miał spoczynku ani w dzień ani w nocy, bo musiał nawet ich rozrywek pilnować, — ale te poświęcenia sowicie się opłaciły. Żołniérze bowiem podnieśli się moralnie do niepoznania, przyszli do pojęć daleko zdrowszych i jaśniejszych, otrzęśli się z wielu przywar i błędów, a w nabożeństwie stali się tak gorliwymi, że nietylko w obowiązkach chrześcianina-katolika nie dali się nikomu wyprzedzić, ale nawet i w usługach około zamkowego kościoła, do których garnęli się na wyścigi. Przyszłoż do tego nareszcie, iż widząc, jak ich pułkownik jako Sodalis Marianus odprawiał codzienne z księdzem Andrzejem nabożeństwo do Najświętszéj Panny, uprosili swojego kapelana, ażeby i im wolno było to nabożeństwo odprawiać: co téż uzyskali z łatwością, bo lubo z wyjątkiem jeszcze i tych i owych niebardzo pewnych, jednakże wszystkim innym porozdawał Jerzy szkaplerze i postarał się o to, iż zostali wpisani do bractwa. Ztąd téż to poszło, iż wówczas stracił ten pułk wszystkie swoje dotychczasowe, a już zachwiane nazwiska, a otrzymał natomiast miano „Sodalisów," jak go téż nazywano powszechnie. — Tak tedy przed wszystkiém inném został zmienionym duch tego pułku i to na jego korzyść widoczną, — a lubo pomimo téj radykalnéj odmiany jeszcze niektóre obyczaje dawniejsze przecież się w nim zachowały, to były one

już tylko zwykłą żołniérską swawolą, zaledwie w chwilach zapomnienia istotnie grzészną. Tak pozostały u nich zwyczajem owe dawne handelki i facyendarstwo, wesołe hulki, przy sposobności zabawa z kubkiem, ale były to wszystko wady już tylko mierne i zachowane w pewnych granicach. Wprawdzie i wtenczas jeszcze zakraść się do jakiéj miejskiéj piwnicy i wypić tam antał piwa lub miodu, złowić Żyda w pułapkę i wysmarować go sadłem, ochrzcić dziécię żydowskie, zwabić łyczaka lub chłopa bogacza do karczmy i wytumanić od niego traktament, było u nich figlem codziennym: aleć to na to już nie było sposobu i trudno to było karać surowo, kiedy nawet pan hetman patrzył na to przez palce, czasem się takim figlem do rozpuku ubawił, a nieraz ich jeszcze, niby za co innego, a przecież za to, obdarował jakim prezentem.

— Jw. panie! — mówił mu Jerzy natenczas, — jegomość psujesz żołniérzy.

— Dajno pokój, mój Sodalisie, — powiadał hetman, — nie trza nudzić żołniérza, a owszem i to i owo puścić mu płazem, boć to jedyny sposób, ażeby go utrzymać przy dobréj fantazyi. Żołniérz jak mnich, a mnich jak żołniérz, niewiele warci.

Jakoż i prawda, jednakże z tym dodatkiem, że dobry kapłan to także żołniérz, chociaż inną wojuje bronią.

Wszakże oprócz tych odmian moralnych, zaprowadził Ożarowski jeszcze i inne odmiany w tym pułku, o które hetmanowi nawet daleko więcéj chodziło, całkiem podobno nie dbającemu o tamte. Tak więc najpiérwéj został ten pułk pomnożony do trzechset ludzi i wynosił razem z swym pułkownikiem głów trzysta i jednę. Liczba taka nierówna była konceptem francuzkim, a właściwie przesądem, albowiem wierzono pod owe czasy we Francyi, że aby się wiodło batalionom, w które tam wtedy układano piechotę, trzeba koniecznie, ażeby liczył głów nie do pary. Taki pułk z trzechset ludzi złożony podzielił Jerzy na cztéry bataliony, każdy po głów siedemdziesiąt i pięć, a więc znów nie do pary. Nie mogły się te jego bataliony ani porównać do owoczesnych francuzkich, które tam się składały z sześćset do osiemset ludzi, ale téż był on w Polsce nie we Francyi i miał cale co innego na myśli. Więc tedy każdy batalion podzielił on znowu na trzy kompanie, każda po dwudziestu i pięciu ludzi, znów nie do pary. Rangi porozdzielał on także swoim konceptem: i tak pułkiem dowodził on, podpułkownika nie było, batalionem dowodził major, który był razem kapitanem w jednéj z trzech składających batalion kompanii, a kompanią prowadził kapitan, który miał jeszcze dwóch poruczników, dwóch wachmistrzów i dwóch sierżantów pod sobą. Okazuje się tedy, iż każda kompania liczyła właściwie tylko osiemnastu żołniérzy, lecz nawet i ci nie wszyscy byli uzbrojeni karabinami, bo cztérech z nich było muszkieterami, a jeden bębenistą. Uważając taki podział rang, zdawało się niektórym, jakoby tylko dlatego było tam tylu oficerów, ażeby do-

godzić ludzkiéj próżności, — chociaż Bogiem a prawdą po innych pułkach bywało ich jeszcze więcéj, jeśli nie rzeczywistych, to tytularnych, — jednakże Jerzy miał w tém cel całkiem inny, a to ten mianowicie, iż tworząc pułk z taką pracą, chciał go zorganizować w ten sposób, ażeby w danym razie mógł się ukompletować do tysiąca i dwuchset ludzi i stawszy się doskonałą i prędką szkołą dla dziewięciuset głów nowego zaciągu, tak wspomożony liczebnie, mógł jakieś znaczące oddać dobru pospolitemu posługi. I mógł on tego na zawołanie dokonać, bo zaciągnąwszy dziewięćset ludzi, rozdzieliwszy ich między swoje kompanie i posunąwszy tylko wachmistrzów na poruczników, do czego téż byli istotnie usposobieni, potrzebował tę masę tylko przez parę tygodni poćwiczyć, ażeby postawić do służby pułk taki, jakiego wówczas nie było. W tym téż zamiarze wymusztrował on tak tych Sodalisów, że patrząc na ich manewra, zdało się widzieć potworę jakąś o trzystu głowach, ale nie trzysta jednostek; tak to ten każden krok, każden zwrot, każde poruszenie było dokładne, jednostajne i prędkie. Toż musztra pojedynczego żołniérza także: każdy Sodalis robił tak karabinem jak najlepszy gracz małą szabelką, i Bóg już sam nie wié, czego oni nie dokazywali tą bronią, z któréj się tak naśmiéwali nasi husarze i dworowali sobie z téj nowomodnéj piechoty, mianując ich myśliwcami i wyprawiając na sarny, a co najwięcéj na dziki. Prawda, że Ożarowski był sam mistrzem w téj broni, i kiedy chciał swoim żołniérzom pokazać, co można zrobić bagnetem, to brał sam karabin do ręki i kazał najzręczniejszemu jeźdzcowi następować na siebie — a broniąc się mu, nietylko nie dał mu się dotknąć, ale jeszcze go czasem i z kulbaki wyrzucił. Aleć to potém i każdy jego żołniérz potrafił.

Więc kiedy przy takiém zaopatrzeniu swoich żołniérzy w umiejętność i sztukę, co ich także o wiele moralnie podniosło, dbał jeszcze o ich wygody, o piękną barwę i niezbyt ich pracą obciążał, to i pozyskał u nich szacunek i miłość taką, że się nawet sam nie spodziéwał, ażeby ci ludzie do tego stopnia go miłowali, jak to niżéj się pokaże. Będąc nawet niejednokrotnie, osobliwie z początku, w tém położeniu, że musiał srogo ich karać, bardzo się o ich przywiązanie obawiał i mówił wtedy z ciężkiém westchnieniem do kapelana:

— Ej! Jędruniu kochany, żeby mnie tylko ci ludzie nie zniecierpliwili! Bóg widzi, ile mnie to kosztuje, kiedy muszę ich karać, lecz muszę! tak mi każe sumienie i wzgląd nie na mnie, lecz na nich samych. A mieliby oni nie miéć dla mnie nawet tyle miłości, na ilem u nich istotnie zasłużył, to byłaby to dla mnie zgryzota taka, żebym jéj pewnie nie strawił przez całe życie.

A na to zacny kapelan:

— Ale zmiłuj się, panie Jerzy, tylkoż sobie o tém nie śnij. Bo zaręczam tobie, że oni tak ciebie kochają, jak jeszcze nigdy nikogo. Na mnie to ten i ów krzywo spogląda, a to dlatego, iż

z obowiązku muszę się wdzierać w ich tajemnice; ale ty, który ich o to ani nie pytasz co się dzieje za służbą, jesteś u nich półbogiem. Jakoż wierz to mnie, iż jak uważam po tobie i po nich, już wy się snadź nigdy nie rozdzielicie od siebie w tém życiu, chyba że Bóg was kiedy rozdzieli!

Więc tedy Jerzy z początku choć tém się przynajmniéj pocieszał. Lecz późniéj, kiedy już kary się przerzedziły, a jednocześnie i w głowach tych ludzi trochę lepiéj się rozjaśniło, to i nie brakowało mu na tych i owych dowodach istotnego przywiązania do niego. Jakoż natenczas i on ich jeszcze lepiéj ukochał i coraz większą w nich znachodził pociechę, — co było zresztą i rzeczą dość naturalną, bo w tych niepewnych i trudnych okolicznościach, w których sam jeszcze nie wiedział, na czém się jego rozmaite zamiary zakończą, ten pułk był prawie jego jedyném dziełem, które istotnie i z rzeczywistym pożytkiem doprowadził do skutku. Toż nie miał on prawie większéj pociechy nad tę, którą doznawał natenczas, kiedy mógł jaką chwilkę swobodną przegawędzić ze swymi Sodalisami. A byli tam między nimi i żołnierze niezwykli, boć to około cztérdziestu znajdowało się między nimi, którzy odprawiali całą wojnę szwedzką od samego początku i było jeszcze takich dziewięciu, którzy towarzyszyli wyprawie wiedeńskiéj. Wszyscy ci wiedeńczycy mieli rangi u niego, cztérech było wachmistrzów, a jeden nawet porucznik, choć tylko czytać umiał cokolwiek, a kiedy mu przyszło podpisać swoje nazwisko, to potrzebował na to przydłuższego namysłu, bo mu się jakoś w pamięci bałamuciły litery. Bywało, kiedy mu przyjdzie podpisać króciuchny raport, przez bieglejszego cokolwiek w pisaniu napisany wachmistrza, to go czyta ze trzy paciérze, a potém idzie do księdza i każe go sobie odczytać, bo i w czytaniu nie bardzo sobie dowierzał. Więc potém siada, i umaczawszy pióro, tak się zazwyczaj zamyśla, jak gdyby bieg jakich planet obliczał, a tu mu litery tak planetami obiegają po głowie. Więc na to kapelan:

— No i cóż się waszmość namyślasz? podpisz i kwita.

— Ba! prawda, — odpowiada porucznik, — a jam się czegoś zamyślił.

Więc tedy już pisze i podpisze się zwykle: *Se Bastyon po Lifka, po, pi, pu*, a nareszcie nie wiedzieć co. Ale go sam Jerzy pomału wyuczył podpisywać się regularnie: Sebastyan Polówka, porucznik pieszego pułku Sieniawskich. Ale pomimo to był to człek wielkiéj zacności, pobożny nad podziw, żołniérz żelazny, a przytém dziwnie spokojny, na pozór niby ponury, lecz przytém pełen dowcipu i przebiegłości. Słuszny był, dosyć zażywny, głowę miał dużą, a na niéj czuprynę posiwiałą i rozpierzchnioną jak strzechę, twarz tłustą, a na niéj wąsy obwisłe, lecz przytém oczy duże błękitne, a w nich uśmiéch nigdy nie zachmurzony i poczciwość serdeczna. Kochał téż go Jerzy nad innych i we wszystkich waż-

niejszych rzeczach na nim lubił polegać. On też był intendentem pułkowym, on głównym klucznikiem, on i podskarbim.

Jakoż i dzisiaj po owym festynie skończonym, ile że już nie było więcéj jak dwie godziny do świtu, zamiast udać się na spoczynek, poszedł Jerzy do niego. Chciał on go zbudzić i rozkazać mu, aby zawczasu powydawał nowe mundury żołniérzom i coby jeszcze któremu z nich brakowało; ale go zastał już ubranego i majstrującego coś koło szabli.

— Jużeś to wstał, mój kochany Poléwka? — rzekł Jerzy do niego, — proszęż cię, powydawajże zaraz nową barwę żołniérzom i żeby wszystko było równo ze dniem gotowe.

A Poléwka na to:

— Ot, szkoda gęby, panie pułkowniku, przecieżem nie przesłyszał befelu.

— No, więc to wszystko już porobione?

— A jużci! a po jakiemużby to było, żeby choć dziś o północy nie wstali? A stawał-to któren z nich kiedy do parady przed trzech hetmanów? Jużem téż im nagadał i proszę tak pana pułkownika, ażeby jak który co chybi, obiecać mu sto bizunów i na pół roku do turmy. Bo to hultajstwo jeszcze sobie dworuje z tego popisu, myśląc jeno o tém, jaki to będzie za to traktament. A tu aż trzech takich wielkich rycerzy, trzech hetmanów, trzy buławy; mnie samego strach zbiera!

Więc tedy Jerzy musiał się mimowoli uśmiéchnąć, boć wiedział aż nadto dobrze, że Poléwka nie takich widywał hetmanów, zwłaszcza gdy był na owéj sławnéj paradzie pod Wiedniem. Wszakże nie wdawał się z nim już w dalszą rozmowę, tylko obiegł sam jeszcze wszystkie kwatery i obiecawszy żołniérzom zamiast proponowanych przez Poléwkę bizunów, podwójną lafę za dzień dzisiejszy, rozkazał im, aby równo ze świtem stanęli już wszyscy pod bramą. I rozumnie to zrobił, albowiem hetmani, lubo tak późno udali się na spoczynek, o godzinie ósméj porannéj już byli w kościele, gdzie słuchali mszy św., odprawianéj przez ks. Andrzeja. Zaczém zaraz szli na zamkową galeryą, wychodzącą na ten dziedziniec, na którym stał już pod bronią pułk Sodalisów. I Ożarowski stał już przed frontem — i zaraz zaczął swoje manewry. Jakoż było co widziéć. Wszystko to bowiem, co było znane dotychczas piechocie i to, o czém jéj się jeszcze nie śniło, robił on z nadzwyczajną łatwością, a tak składnie i szybko, że się i trudno było nadziwić. Tutaj więc stoi zbity z swym pułkiem w czworobok jak warcabnica, aliści w mgnieniu oka już się rozwinął w linią tak długą, na jaką starczył dziedziniec; to znów się ściągnie w jakąś inną figurę i znowu się porozrzuca tak szybko, że i nie wiedziéć jak się to stało. Patrząc na to wszystko z zamkowéj galeryi, zdawało się, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka, zawieszona w powietrzu, rysowała olbrzymiém piórem rozmaite figury po śniegu. Jakoż bardzo to się podobało hetmanom, a kiedy

Rzewuski, lubo taki pobożny, nie mógł ustać z niecierpliwości na miejscu, Sieniawski ciągle zacierał ręce i mówił:

— A co? a co? panowie bracia! jeszcześmy tu podobno nie mieli takiego?

A na to Rzewuski:

— Niechże ich ogień spali tych Niemców! bo i czegóż-to oni już nie wymyślą.

— Ale poczekaj-no, panie bracie,—rzecze mu na to Sieniawski, — boć to jeszcze nie koniec.

— A więc cóż jeszcze, — odpowie hetman polny koronny, — chyba że będzie chodził po linach?

— Cha, cha, cha!—śmiał się Sieniawski,—ot, ledwieby i w to nie potrafił z tym pułkiem.

A wtedy Jerzy kazał jeźdźcom najeżdżać na swoich piechurów I wyjechał jeden pancerny z koncerzem a drugi husarz z kopią, jak zwykle na jedenaście stóp długą, a trzeci dragon niemiecki. I wszystkie te pojedynki odbyły się z wielką dla Jerzego pociechą, bo ani jeden Sodalis nie dał się dotknąć jeźdźcowi, a ów, który walczył z dragonem, wysadził swojego adwersarza z kulbaki. Byłby go zabił niechybnie, gdyby jednakże nie to, że na bagnecie miał nasadzoną kulkę drewnianą, która broniła od rany. Ale stało się jeszcze daleko lepiéj. Sodalis bowiem, jako to frant kuty na cztéry nogi, powaliwszy dragona na ziemię, przygniótł go pięknie kolanami i obdarł go w oka mgnieniu tak gładko, jakby na wojnie prawdziwéj. A na dobitkę jeszcze mu i konia odebrał i przy nim stanąwszy, nastroił się znów do obrony. Dragon, który na nieszczęście był własny Denhoffa i z jego świty, lubo już nie miał na sobie tylko koszulę i buty wielkie palone, myślał jeszcze, że to są żarty i sięgnął ręką po konia. Ale Sodalis go wprędce przekonał, o ile się mylił, albowiem wziąwszy go w swoje dłonie żylaste, zwinął nim w górę i jakby piłkę, przerzucił przez żywy płotek, za którym się zaczynały ogrody. Wpadł dragon w gąszcze róż i głogów i tym sposobem finalnie ustąpił z pola, zostawiwszy w rękach zwycięzcy cały rynsztunek i konia. — Śmiéchu tedy ztąd do rozpuku, śmieli się oba hetmani koronni, śmieli się Sodalisi, aż huk głośny się zrobił pomiędzy ludem, zalegającym galerye. Tylko Denhoff się jakoś śmiać nie mógł, chociaż także gębę otwierał. Więc nabawiwszy się dosyć, Sieniawski, który sobie i nadworował cokolwiek z denhoffowskich dragonów, rozkazał, ażeby victor Sodalis oddał rynsztunek i konia, a dragonowi żeby dano traktament. Ale Denhoff nie pozwolił na to na żaden sposób, a zawoławszy owego Sodalisa przed siebie, wykupił owę zdobycz od niego, płacąc mu i za fanty i za konia w dwójnasób. Dając zaś tę garść złota, rzekł nawet dosyć wesoło:

— Dziękuję waści za tę naukę, a jeślibyś kiedy dzisiejszą służbę porzucił, zawitaj do mnie; przyjmę cię z chęcią, choćby

tylko dlatego, ażebyś mi moich wszystkich dragonów w taki sposób przetrzepał.

Tak owę fatalność zagładził sztuką i bardzo zręcznie, co téż i nie dziwota u niego, boć był to mąż pełen rozumu, wielkiéj zręczności, a i niemałéj ambicyi, o tyle téż większa to szkoda, że tę ambicyą swoję a z nią i wszystkie prace skierował na drogi takie, któremi chodziło maleństwo serca, zimne sobkowstwo i dbałość o własne korzyści. Winszował on potém jeszcze Jerzemu takich umiejętności wojskowych i perorował przytém ozdobnie i gładko, ale już to mu przecie jakoś nie szło ze serca, co téż i wszyscy widzieli. To téż w tym punkcie daleko lepiéj się znalazł Rzewuski, bo ten poprostu kazał dać kiesę złota ze swojéj szkatuły na ukontentowanie żołniérzy, a potém wyściskał Ożarowskiego serdecznie i rzekł mu ze serca:

— Święci garnków nie lepią, ale jak ciebie kocham, tak to nie garnek, coś ty nam dzisiaj ulepił. Jakoż tak tobie mówię, że rzuć do djabła te pisaniny, na których czas marnotrawisz w kancelaryi hetmańskiéj — a siadaj na koń i przyjedź do służby czynnéj. Ty wielkich rzeczy na tém polu dokażesz, a my ci damy do nich sposobność. Co zaś do przedstawienia ciebie królowi, to już ja biorę na siebie, a oto masz moje słowo, że co się tam na wakansie pokaże, już to ciebie nie minie.

Dziękował Jerzy za afekt i obietnicę, ale podobno niebardzo wiedział co mówił, bo tak był rad z tego popisu, że mu aż serce drżało, a usta nie mogły się pozbyć uśmiéchu. Bardzo to była godziwa ta radość, boć ona była mu najpiękniejszą i bodaj nie jedyną za pracę rzatelną nagrodą, — ale w tym razie kto wié, czy się z nią nie zmieszała i druga radość, a to ta mianowicie, która się weseliła tryumfem nad przeciwnikiem. Jakoż tak było w istocie; Jerzy się nie mógł tém nie ucieszyć, że jego żołniérz tak stłukł na miazgę denhoffowskiego dragona i pełen był téj radości. Patrzył téż bardzo ciekawemi oczyma na tego polnego hetmana i dziwnie śmieszną wydawała mu się w téj chwili jego kudłata peruka.

A tak szli już na górę, gdzie było przygotowane śniadanie, a do którego zaproszeni zostali wszyscy oficerowie z pułku Ożarowskiego. Jerzy musiał ich nawet pojedynczo prezentować hetmanom. Kiedy więc przyszła koléj na Sebestyana Polewkę i Jerzy wymówił jego nazwisko, rzecze zaraz Rzewuski:

— A witajże Sobku! patrzajże, otóż cię znowu spotykam.

— Jw. panie, — rzecze mu na to Poléwka, — zwykłe to rzeczy u ludzi, przecież nie są górami.

— No, ale ileż to lat już temu, jakeśmy się rozeszli!

I zaczął zaraz z nim długą rozmowę, z któréj się pokazało, że Poléwka był Rzewuskiego poddanym, w jego milicyi rozpoczął służbę i długo służył w jego chorągwiach, z któremi wszakże wyprawiany pod Wiedeń, po owéj wojnie przeszedł do służby kwar-

cianéj. Bardzo był kontent Rzewuski, że go oficerem obaczył i jak tylko się trochę posilił, zaraz się z nim od gwaru usunął, aby się z tym starym znajomym nagadać. Tak rozmawiali z sobą nie jak pan i poddany, ale jak dwaj żołniérze, przyjaciele i towarzysze. Rzecze mu więc nareszcie Rzewuski:

— Sobku mój, Sobku! otóżeśmy i posiwieli — a tak się to zdaje niedawno, jakeśmy mieli mléko pod nosem. No, ja przynajmniéj na starość jestem sobie dosyć swobodny, ale ty zawsze w pracy i zawisłości. Jeszczeż do tego teraz dostałeś się w takie ręce, że to tam praca być musi nielada. Ten wasz pułkownik trzyma was pewnie w kaducznych ryzach, kiedy was tak wyfrycował?

— Niéma co mówić, — rzecze na to Poléwka, — że ten pułkowniczek zna kordę żołniérską na palcach: ale ja mówię, że chwała Bogu! Przecież choć raz ma człek pułkownika takiego, przed którym nie żal czapki uchylić.

— Otóż i ja tak mówię, bo mi się téż to wszystko w waszym pułku bardzo podoba. Sztuczki to, sztuczki, ale i pożyteczne. A już te pojedynki z jeźdźcami nawet całkiem wyborne, jako się pokazało zwłaszcza na tym dragonie. Co mnie téż, między nami mówiąc, i pocieszyło cokolwiek, bo już te Niemcy tak nosa w górę zadarli, że w obec nich nikt już nie ma rozumu. I już nie wiedzieć nareszcie, do czego to ma prowadzić?

— Chcą nas zniemczyć, panie hetmanie, zniemczyć z kretesem i podobno już nie daleką ta chwila, kiedy rozkażą żołniérzom na komendę tabakę zażywać.

Śmiał się tedy Rzewuski, że się trzymał za boki, bo i on pono nie bardzo miłował Sasów, a jeśli trzymał tak statecznie za Sasem, to jeno dlatego, że w utrzymaniu jego na tronie widział zarazem utrzymanie wolnéj elekcyi królów. Trzymali się ci panowie téj zasady, jak pijany płotu, ale podobno bardzo się w tém mylili, boć to każda zasada jest jako naczynie, w które się zmieści i to i owo. A jużci lepiéj ten robi, który pilnie zagląda, co mu nalano w naczynie, niżeli ten, który przestaje na tém, że mu podano takie same naczynie, z jakiego pijali jego ojcowie. Alboż się to już nawet teraz nie pokazało, że z tego samego naczynia, z którego ojcowie pijali wino wyborne, synowie przecież napili się kwasu? Wolno obrany Sobieski był mądrym, łaskawym i kochającym — a wolno obrany Sas chytrek i ciemiężyciel! Owóż i rzecz.

Aleć to o tém i mowy nie było teraz. Rzewuski bowiem, naśmiawszy się dosyć, rzecze do Poléwki:

— Lecz z drugiéj strony, to ja znów nie bardzo kontent jestem z téj wiktoryi nad denhoffowskim dragonem, bo chciałbym, ażeby ten wasz pułkownik miał jaknajwięcéj przyjaciół, a obawiam się, aby mu tego Denhoff nie chciał pamiętać. A Denhoff to przecież prawa ręka królewska!

— Niéma co mówić, — rzecze Polówka, — szkodaby była, żeby jmć Denhoff patrzył krzywo na jmć Ożarowskiego, aleć to pono między tymi panami bez lukty się nie obejdzie. Jakoż są o tém już wróżby.

— A jakież to wróżby, mój Sobku? — zapytał ciekawie Rzewuski.

— Ot? to tam nasze hultajstwo tak sobie plecie! aleć i czasem zgaduje.

— Cóż tedy mówią?

— Oto tak mówią, że pomiędzy tymi panami taki przyjdzie do lukty koniecznie, a koniec jéj będzie taki, że jmć Ożarowski pana Denhoffa przemoże i jeszcze go z jego godności obedrze, tak właśnie jak nasz Sodalis uczynił z jego dragonem.

Więc tedy Rzewuski jakoś się bardzo nad tém zamyślił, pomilczał trochę, a potém rzekł:

— Nie wiem ja, o coby między nimi przyjść mogło do lukty... I tak to wróżą sobie żołniérze?

— Ot! tak tam sobie dziś pletli po mustrze, jako ich sam właśnie słyszałem.

Więc tedy na tém już skończył Rzewuski swoję rozmowę z Polówką, poczém szedł między gości i widać było, że jakoś dziwnie ciekawie oglądał sobie Ożarowskiego. A frant Polówka, który wiedział o tém, jak bardzo Rzewuski jest zabobonnym, a swoją drogą tak samo Denhoffa niecierpiał jak Ożarowski, jego znów sobie zdaleka oglądał, przyczém mu jego błękitne oczy dziwnie się jakoś świéciły.

Ale tymczasem śniadanie, obstąpione kilkudziesięcią wczorajszych gości, już się ku końcowi zbliżało. Więc tedy wszyscy trzéj hetmani pomówili jeszcze ze sobą z pół godziny na stronie, a potém już się kłaniali, zabiérając się do odjazdu. Prosił ich jeszcze Sieniawski, ażeby choć przez dzisiaj zostali, ale już to nie mogło być, — wizyta takich panów bywa krótka, — zabrali się tedy i odjechali.

Po ich odjeździe najwięcéj Ożarowskiemu chodziło o to, czy téż Sieniawski przez jakie potajemne namowy tych niebezpiecznych gości w swoim skruszoném sumieniu się nie odmienił? — Ale nie było tego widać zupełnie. Owszem przeciwnie, dziś coraz częściéj wspominał o przeniewierstwie królewskiém, o ucisku narodu, o nieładzie w Rzeczypospolitéj i nieporządkach domowych. A Ożarowskiego już całém sercem ukochał i odwołując się do niego w kwestyach nawet najmniejszych, składał mu przez to ustawiczne dowody, o ile mu ufa i jak go wysoko poważa. Było to tedy dla Jerzego wielką pociechą, a lubo dotychczas podobno go do hetmana więcéj przywiązywał interes, niżeli przyjaźń istotna, jednakże teraz zaczął się nawet sercem skłaniać ku niemu.

Pomimo to jednak owego czasu zaszło pomiędzy nimi małe nieporozumienie, a to z następującego powodu. Pomiędzy temi czterdziestą tysiącami wojska, które Sieniawski miał pod swoją komendą, znajdowało się, jak się o tém wspomniało powyżéj, około sześciu tysięcy Sasów pod dowództwem generała Baudycza. Tych Sasów Sieniawski dotychczas trzymał prawie ciągle przy sobie; lecz teraz, czy to powodowany obudzoną w sobie przez Ożarowskiego niechęcią przeciwko Sasom, czy może tylko chwilowym kaprysem, rozkazał iść w województwo krakowskie i tam się rozłożyć. To się Ożarowskiemu nie podobało. Był on albowiem zdania, że na wypadek zbrojnego wystąpienia narodu, czego się już z tą wiosną spodziéwał, lepiéj to będzie, jeśli ci Sasi będą pod ręką, bo mając ich przy sobie, można ich będzie z łatwością czy nie dopuścić do akcyi przeciwko narodowi, czy nawet w ostatnim razie rozbroić. Jeśli zaś będą daleko, to oczéwiście że w chwili wybuchu pójdą w ogień za króla, ba i za siebie, bo téż tu o nich chodziło. Ale Sieniawski się uparł przy swojém, a tak Ożarowski, lubo z gorzką niechęcią, musiał sam ten ordynans napisać.

Jednakże druga kwestya była jeszcze daleko ważniejszą, tyczyła się ona bowiem rozpołożenia wszystkich wojsk kwarcianych. — Wojska te były z woli hetmana rozrzucone dzisiaj po całéj Polsce; jedna ich część była rozsypana w same małe komendy, to znowu druga stała aż na kresach. To także nie odpowiadało zamiarom Ożarowskiego, albowiem znał on usposobienie wojska i był tego pewnym, że nie byłoby nic łatwiejszego, jak przy najpiérwszéj wieści o wystąpieniu województw spisać je w związek i wysłać do boju przeciwko Sasom. Jakoż w tém przewidzeniu Ożarowski się wcale nie mylił, żołniérz kwarciany bowiem był już od lat cztérech niepłatny, nie dochodziły go wcale przeznaczone dla niego hiberny, nie dochodziła go barwa ani broń nawet, a żywność musiał sobie własnym zyskiwać przemysłem. Był zatém głodny, odarty, nieopatrzony, a jeszcze do tego wystawiony na bardzo mu nieprzyjemną konieczność stawania się ciężarem dla ziemian, których kochał, bo był ich ziomkiem i bratem. Toż w saméj rzeczy nie był on nigdy gotowym więcéj do związku jak teraz, — lecz związek mógł przyjść do skutku tylko natenczas, kiedyby wojska kwarciane stały gdzieś razem, albo w blizkiém od siebie sąsiedztwie. W takiém zaś rozproszeniu, gdzie jedne pułki stały u brzegów Wisły, a drugie na Ukrainie, związek był niemożebny. Widząc to tedy, Ożarowski usiłował koniecznie hetmana zniewolić ku temu, ażeby te rozpierzchnione komendy pościągał ku Lwowu i jedną częścią obsadził miasto, a drugą rozkwaterował w jego blizkości. Ażeby Sieniawskiego do tego przekonać, wystawiał Jerzy blizkie niebezpieczeństwo, mówił o rozruchach z pewnością, a nareszcie nie wahał się nawet i tego natrącić, iż kiedy

tak będą porozrzucane te wojska, to na wypadek rozruchów najniezawodniéj wszystkie połączą się z pospolitém ruszeniem, a potém już ich Sieniawski nigdy nie zgromadzi pod swoję buławę. Namyślał się nad tém hetman niemało i wcale téj argumentacyi nie przeczył, — lecz czy to istotnie obawiając się związku, chociażby tylko zawiązanego w celu upomnienia się o zaległe hiberny, czy ze wstrętu do tych znacznych wydatków, jakieby w razie ściągnienia wojska musiał ponosić, nie dał się Ożarowskiemu przekonać. A zresztą nie wierzył on wcale w możność powstania województw w tych czasach, a kiedy mu Jerzy mówił o tém jako o rzeczy nieuniknionéj, to odpowiadał:

— Bajki mi pleciesz, mój panie Jerzy. Dobre to jest takie przewidywanie, ale ażeby coś przewidzieć prawdziwie, trzeba być starym. Wam młodym przywiduje się i to i owo, a wy zaraz we wszystko wierzycie. Gdzie tam dziś szlachta może śnić o jakim odporze! Ona kontenta że żyje. Kiedyś, jak się odżywi z téj nędzy, jak się podźwignie nanowo, jak nowe pokolenie odrośnie, to się może i ruszy; ale dziś ani się jéj śni o tém.

Mówiły tu wprawdzie za tym domysłem niektóre pozory, ale mimo to taka argumentacya była fałszywą. Jakoż niemiłą była Jerzemu taka opinia hetmana, a wcale już przykrą dlatego, iż swoję nieprawdę opiérała na takich faktach zbrodniczych i przez całą powszechność przeklętych. Tak tedy ta lukta trwała kilka tygodni, a nawet więcéj, a Jerzy zawsze jeszcze trwał statecznie przy swojém i usilnie nad Sieniawskim pracował, ażeby go do ściągnienia wojska nakłonić. — Jednakże późniéj rozmyślił się w téj kwestyi inaczéj i dał temu pokój. I bardzo dobrze to zrobił. Wielkie tu bowiem zachodziło pytanie: co było lepszém istotnie, a mianowicie co téż pewniejszém? Zebrane wojsko mogłoby się zawiązać w spisek, lecz czy to pewna? Nuż temu przeszkodzą dowódzcy, dbali o swoje rangi i stanowiska? ale może i sam Sieniawski przeszkodzi, wypłacając wojsku odrazu wszystkie zaległe żołdy? Takie rzeczy, jak przerzucenie się wojska na inną stronę, bywają zwykle dziełem jednéj chwili—a któż za chwilę zaręczy?— Przeciwnie zaś, jeżeli wojska w rozproszeniu zostaną, a województwa staną pod chorągwiami, to można przewidzieć z pewnością, iż nie będzie takiéj komendy, którąby chciała uderzać na własną krew i trupami swych braci ścielić sobie drogę do takiego hetmana i króla, którzy im od lat cztérech nic nie płacili, morzyli głodem, karmili ludzkiemi łzami i własnych braci niedolą. Tak więc Ożarowski umilkł nareszcie, a lubo hetman potém nieraz sam napomykał, żeby może tę albo owę komendę do Lwowa ściągnąć, to on już to mijał i pozostawiał do dalszych czasów...

Skutkiem takiego stanu rzeczy nie miał hetman o wiośnie więcéj wojska w swojéj blizkości, jak około tysiąca ludzi w Brzeżanach pod komendami Ożarowskiego, Granowskiego i Bekierskiego, ochrzczonego Turczyna, — a we Lwowie gdzie komendantem mia-

sta był Campenhausen, tysiąc piechoty cudzoziemskiego zaciągu, pułk grenadyerów konnych pod dowództwem majora Brześciańskiego, parę chorągwi i cokolwiek Kozaków.

Ale tymczasem o wiośnie zaczęły się już sprawdzać pomału te wróżby, w które hetman nie wierzył.

XVII.

Już byli tacy, którzy myśleli, że nawet nic zgoła nie będzie a Weissenfeld książę tak się tą ciszą pozorną ułudził, że spał spokojniéj: ale tymczasem zjechała się szlachta na sejmik deputackiéj elekcyi do Wilna i tak się to jakoś zrobiło, że i wtedy jeszcze do tego nie przyszło, bo szlachta czekała piérwszego impulsu i wcale nie ufała swym własnym siłom; jednakże Pociéj, hetman wielki litewski, jakoś się tak był natenczas rozognił, że sam dał impuls od siebie i całą tę sprawę wyforytował.

Kto był ów Pociéj, niedługo trza opowiadać, bo jak w całym ówczesnym senacie obojga narodów nie było ani jednego wielkiego, a przytém prawdziwie serdecznego człowieka, tak téż i on nim nie był. Przeciwnie nawet, i jeszcze niegdyś jako podskarbi, i późniéj już jako hetman, dzierżył się ślepo saskiego stronnictwa, bez względu na to, czy narodowi tém przynosi pożytek niezaprzeczony, bo nabiwszy monety fałszywéj, ogromną na tém zrobił fortunę, a na dobitkę jeszcze wziął wielką buławę; ale tém nie położył żadnéj około narodu zasługi. Jakoż nie miał on nigdzie ni serca ni oka i wcale żadnéj nie przywięzywano do niego nadziei. Ale czego na małych ludziach nie wymogą względy publiczne, to wywołają u nich częstokroć względy prywatne. Toż i tu się tak stało, przyszło bowiem do tego, że w roku przeszłym podrapał Pocieja król, a niegdy przedtém podrapał go Denhoff, — król przez to, że mu zamknął mennicę — a Denhoff przez zawiść ku niemu na sejmie r. 1712 buławę wielką litewską jak gdyby wężem opisał. — Bardzo to nierozumnie było ze strony tych naczelników partyi królewskiéj, że sobie takiego potentata tak narazili;

on bowiem, namatawszy sobie na wąs te inwidje, czekał jeno okazyi, ażeby za nie odpłacić. Jakoż gdy szlachta się na ów sejmik przedtrybunalski zjechała, wystąpił zaraz z otwartą przeciwko uciskom saskim perorą, a obiecując sam stanąć na czele, z jaknajwiększą łatwością zebraną szlachtę rozbudził. I rozbudził ją nawet daleko lepiéj, niżeli sam się spodziewał: rozbiégła się ona bowiem w ten moment po województwach i taki wszędzie rozniosła zapał, jakiego od najdawniejszych czasów nie pamiętano. Więc kto żył tylko i mógł szablisko udźwignąć, kto jakąkolwiek posiadał szkapinę, a zresztą choć i pieszo, ten się sam stroił, jeździł po dworkach, po zaściankach i miastach, burząc drugich i niosąc między nich ową wieść wielką, która się na sejmiku wileńskim zrodziła. A tak w tym pobożnym zapale zjechała się szlachta bardzo liczebnie i uczyniwszy koło, zawiązała się w konfederacyą, któréj marszałkiem uczyniła Pocieja, oddając mu sprawę powszechną w opiekę. Spisano tam także téjże konfederacyi instrument, w którym „obwarowawszy bezpieczeństwo osoby i godności królewskiéj, zobowiązano się życie swoje na szańc wystawić dopóty, dopókiby wszystkie wojska obce nie wyszły z granic Rzeczypospolitéj." A to sprawiwszy, zaczęto chorągwie okrywać i przyzwoicie szykować, czekając tylko ordynansu Pocieja, aby uderzyć na Sasów.

Jednakże Pociej jeszcze się z ordynansem nie śpieszył. I miał on niby w tém racyą, albowiem pobić Weissenfelda nie było trudno, ale pobiwszy go, trzeba było być pewnym, że ze spokojnéj jeszcze korony nowe siły nie nabiegną, a wtedy sprawa byłaby bardzo wątpliwą. Chciał tedy z tém uderzeniem przynajmniéj dopóty się wstrzymać, dopókiby nie odebrał wiadomości z korony, że tam już także województwa stanęły pod bronią, a zatém dopókiby nie był pewnym, że Weissenfeld ztamtąd nie dostanie posiłków. Ażeby zaś tę wiadomość mógł miéć tém prędzéj, wyprawił umyślnych posłów w rozmaite okolice nad Bug, Narew i Wisłę, i lada dzień się ich z powrotem spodziéwał.

Wszakże jeżeli on wysłał posły do szlachty, to Weissenfeld wysłał znów swoich do króla — i na nieszczęście jemu odpowiedziano pośpieszniéj. Król bowiem, mając przecie cokolwiek więcéj respektu przed Litwą, niżeli go późniéj dla korony okazał, wysłał natychmiast Szaniawskiego biskupa, ażeby poprostu rzecz tę załatwił z Pociejem. Na czém się tam oparło to załatwienie, pozostanie tajemnicą nazawsze; rzecz wszakże pewna, iż po rozmówieniu się ze Szaniawskim, Pociej zmiękł całkiem i o uderzeniu na Sasów nawet już nie wspomniał.

Dziwna rzecz, jak ta szlachta ówczesna nie mogła się zebrać nareszcie do téj sprawy tak ważnéj, chociaż już od lat kilku ciągle się do niéj przysposabiała; dziwniejsza to jeszcze dlatego, ile że ucisk niemiecki już był doszedł natenczas prawie do najwyższego stopnia. Już tam natenczas Sasi gospodarowali po wioskach

jakoby swoich własnych, zabierali plebanom, szlachcie i ubogiemu ludowi wszelki dobytek bez żadnego rachunku, nakładali trybuty na wsie i na dwory, a wreszcie rabowali poprostu śpichrze i komory, wyprzedając porabowane towary otwarcie lub wyprawiając do Niemiec, czém oczewiście kraj cały do takiéj doprowadzili nędzy, że wtedy nie było dworu, w którymby można było napotkać choć najmniejszą wesołość, nie było wsi w któréjby lud był inaczéj ubrany jak w podarte łachmany, a po miastach widzieć można było kupami ludzi opuchłych, podle siebie leżących, drudzy padali nagle w ulicach i marli, i nawet matki porzucały swe dzieci po drogach, nie chcąc widzieć własnemi oczyma ich śmierci głodowéj, któréj nie mogły odpędzić. Jednakże kiedy tak szlachta nie mogła się jeszcze porozumieć ze sobą i ostateczny krok postanowić, Pan Bóg się nad nią zlitował i zesłał zdarzenie które skłoniło ją do decyzyi. Był to cios znowu bolesny, ale na szczęście ostatni. Oto natenczas Sasi, nieznający już żadnych granic w swojéj swawoli, napadli byli na dom szlachecki, i jak niegdyś Ożarowskiego, tak znowu teraz zamordowali Turskiego, pilznieńskiego starostę, a przy nim i Bełchackiego, kasztelana bieckiego. Zdarzenie to dało implus stanowczy i już nareszcie skuteczny..... Jakoż najpiérwszy wzburzył się był Wielogłowski, cześnik podobno rawski, lecz podgórzanin, szlachcic osiadły w ziemi sądeckiéj. Ten uczuwszy najżywiéj owo zbójstwo, a z niém razem i wszystkie inne ciemięztwa, rzucił się był pomiędzy szlachtę podgórską i zwoławszy ich znaczną liczbę, napadł na sejmik przedtrybunalski, odbywający się w Proszowicach. Tam powiedział mowę gorącą, zgarnął siedemset szlachty, spisał instrument konfederacyi partykularnéj, a obrawszy Marcina Rybińskiego, chorążego łomżyńskiego, marszałkiem, zaraz stanął pod bronią. — Wkrótce téż za nim ruszyło się całe Podgórze i zaczęło się ściągać pod Kraków. Za podgórzanami ruszyło się już, nie zwlekając, krakowskie, a tak ten kąt cały, i najludniejszy i najważniejszy ze wszystkich, stanął w mrugnieniu oka w płomieniach.....

Wieść o tych czynach szlachty podgórskiéj rozniosła się zwolna po województwach, — nie mogła się ona roznosić prędko, bo właśnie w tych stronach były rozlokowane najgęściéj komendy saskie, które teraz jeszcze tém skrzętniéj utrudniały komunikacyą; ale do Brzeżan, które z komendami saskiemi stały w bezpośrednich stosunkach, lotem błyskawicy dobiegła. Kiedy ją Ożarowski odebrał, nietrudno się tego domyśléć, jak żywą został przejęty radością. W piérwszéj chwili nie wiedział sam co się z nim dzieje: śmiał się głośno jak dziecko, mimo to łzy mu w oczach stawały. Porwał depeszę, chciał zaraz biedz do hetmana i rzucać mu się na szyję... Ale się jeszcze zastanowił cokolwiek, a wtedy dostrzegł, że postąpiłby sobie najgorzéj, bo zapałem swoim, choćby téż najgorętszym, on starego hetmana nie porwie, a natomiast krokiem tak impetycznym mógłby tego drażliwego człowieka do jakiéj

niedorzeczności pobudzić. — Uspokoił się tedy, o ile miał w swojéj mocy, a tak dopiéro szedł do hetmana.

A była to właśnie przedwieczorna godzina, słońce już się chowało, z rozbujałych roślin i krzewów, w pełnym kwiecie stojących, roznosiła się owa woń silna i świéża, którą po dniu gorącym dopiéro wilgotna rosa z nich wydobywa. O téj godzinie hetman zazwyczaj bawił w ogrodowéj altanie, lulkę tam palił, z ogrodnikami rozmawiał i kwiatami się rozweselał, których był znawcą i miłośnikiem. Czasem kazał kapeli wygrywać na zamkowéj galeryi powybiérane przez siebie symfonie i przy nich dumał samotnie, a kiedyindziéj brał z sobą księdza, rozmawiał z nim o Boga szczodrobliwości i Jego darach bogatych, które widać w wiosennéj naturze, i skarżył się przytém boleśnie, że Pan Bóg jest tak skąpym dla niego, iż nie dozwolił mu nawet doczekać się syna... Dzisiaj znajdował się hetman sam w téj altanie i ani się spodziéwał, kiedy Ożarowski zjawił się przed nim tak nagle, jakby wyskoczył z pod ziemi i rzekł mu:

— Panie hetmanie, mamy ważną nowinę.

— I cóż tam, mój panie Jerzy?—rzekł na to Sieniawski, podnosząc zwolna głowę ku niemu.

— Rzecz ważna, panie hetmanie, — odpowie Jerzy, — podgórzanie spisali się w konfederacyą i stanęli pod bronią.

A to mówiąc, patrzył w twarz jego ciekawie, a nawet się trochę na stronę usunął, bo był pewnym, że hetman się zerwie z siedzenia, jak oparzony. Ale hetman tymczasem rzekł najspokojniéj:

— Podgórzanie się znowu spisali? a zkądże ta wiadomość?

Jerzy się skrzywił cokolwiek na ten chłód taki nieznośny, lecz podał mu raźnie depeszę. Więc tedy hetman odebrał ten papiér od niego, a odczytawszy go zwolna, rzucił na stół niedbale. A potém rzekł, jakby nic nigdy:

— Trudno to, jak ja widzę, u téj szlachty o rozum. Rwą się i rwą się, a nie pamiętają na to, że od początku po koniec świata *vana est sine viribus ira!*

Usłyszawszy to Jerzy, zwiądł jakby kwiatek, po pod który prześliznęła się żmija. — W piérwszym nawet momencie prawie się zachwiał na nogach, tak go ten oddech zgniły przeraził. Lecz odetchnąwszy, spojrzał z gniewem na ten pień nieruchomy, oczy mu ogniem zabłysły i rzekł w duchu do siebie: — Pal cię sześć! a za jakiego ja licha będę się kwasił przy tobie? Rób ty sobie co chcesz, a ja sobie pójdę tam, gdzie mi choć będzie weseléj.

Jednakże hetman wdał się z nim potém w długą rozmowę. Z początku nie mogli się oni całkiem zrozumiéć ze sobą, bo téż się całkiem różnili w ocenieniu tego wypadku. Jerzy przywiązywał zbyt wiele wagi do niego, a hetman żadnéj. Jerzemu się zdało, że za parę tygodni stanie już najmniéj sto tysięcy pod bronią — a hetman znowu przypomniał mu pociejowską konfederacyą na Litwie. Jednak po dłuższéj rozmowie zbliżyli się trochę do siebie:

i jeśli Jerzy przyznał nareszcie, że taki rozruch partykularny nie musi koniecznie pociągnąć za sobą konfederacyi generalnéj, bo ta od całkiem innych figur zawisła: to znowu hetman przyznał nakoniec Jerzemu, iż przy dzisiejszém usposobieniu takich Potockich, Wiśniowieckich, Jabłonowskich, Sapiehów, a z nimi niemal całego kraju, pożar ten może się z łatwością rozszérzyć. I przypuszczenie to zniepokoiło trochę hetmana, co było znowu przykrém Jerzemu; jednakże to go znów pocieszyło, że hetman wcale się tém nie przestraszył. Owszem nawet, mówiąc i tak i owak, jak to czynił najczęściéj, rzekł w jednéj chwili:

— A zresztą, dobrze im tak, tym zawłokom! I żeby ich przetrzepali i tu i owdzie, toby także nic nie szkodziło, bom téż to mówił królowi i nieraz, że jak we wszystkiém, tak téż i w tém, trzeba miarę zachować. Ale kto ma takich zaślepionych rajców przy sobie jak Flemming, ten zawsze na końcu tak wyjdzie.

Kiedy zaś żegnał Ożarowskiego przed ułożeniem się do snu, rzekł niby jak ostateczną decyzyą:

— Bardzom ciekawy, co z tego będzie, jednak mnie głowa o to nie boli. Ja się całkiem w to mieszać nie będę... niech sobie robią, co chcą.

Tedy Ożarowski niezmiernie się tém ucieszył i przespał noc bardzo szczęśliwą. Miał on przynajmniéj to zapewnienie, że hetman, dysponujący armią stojącą i mający przecież nieobojętne w narodzie znaczenie, nie będzie konfederacyi przeszkadzał: a to była zaprawdę rzecz nadto ważna, aby się nią nie ucieszyć. Robił on sobie zresztą dość niby prawdopodobną nadzieję, iż kiedy hetman za jego powodem stał się już obojętnym dla sprawy saskiéj, to z czasem może się stać jéj wcale przeciwnym. Mówiły téż za tém niemal wszystkie pozory i Ożarowski wierzył w ich prawdę tak szczérze, jak szczérze pragnął jéj istotnego spełnienia.

Jednakże się nazajutrz wczorajsze usposobienie hetmana odmieniło trochę. — Albowiem zaledwie się dzień zrobił, kazał on prosić Jerzego do siebie i rzekł mu:

— Wiész co, panie Jerzy, myślałem ja całą noc nad tym rozruchem, a dziś czuję się niespokojnym cokolwiek. Diabeł nie śpi, gotowo się to rozszérzyć, a wtedy przyjdzie do wojny domowéj. I co tu począć w tym razie? Pościągać komendy? źle: bo w tym wypadku nie można mi będzie zostać neutralnym, tylko się bić, a na krew własną nie mam ochoty uderzać. Pozostawić zaś te komendy w tém rozproszeniu? także niedobrze: bo wtedy one same znajdują się w konieczności uderzania na braci. Wprawdzie to jeszcze daleko do tego, ale zawsze mnie to niepokoi...

Ożarowski się musiał uśmiéchnąć na to, że hetman był tak pewnym swojego wojska; lecz milczał.

— A cóż waść na to? — zapytał hetman.

— Ja jestem zdania — rzekł Jerzy — że trzeba tymczasem

zostawić tę rzecz tak, jak jest. Wszakże pan hetman sam mówi, że jeszcze tu niémasz nic tak bardzo pilnego.

— Nie — rzecze hetman, — tak ja téj rzeczy nie pozostawię, bo od czegóż jestem hetmanem i senatorem? I wiem co zrobię. Oto pojadę do króla, wystąpię jako pośrednik i rzecz załagodzę, dopóki czas jeszcze.

Zamiar ten, lubo zdawał się świadczyć, że hetman przecież już teraz ma daleko miększe sumienie, niż je miał dotąd, nie podobał się jednak Jerzemu. Nie obawiał on się tego, ażeby Sieniawski nie załagodził téj sprawy ze szkodą narodu, bo była to rzecz niepodobna, ale obawiał się tego, ażeby wlazłszy pomiędzy tak zaślepionych i tak żarliwych stronników saskich, jakimi byli niemal wszyscy otaczający króla panowie, nie dał się im na ich stronę pociągnąć stanowczo i nie uczynił czegoś takiego, coby wielką przyniosło szkodę zawiązującéj się konfederacyi. Tą przepełniony obawą, użył całéj swojéj wymowy i wszystkich możliwych wpływów na Sieniawskiego, ażeby go odwieść od tego zamiaru. I powiodło mu się to nawet nadspodziéwanie: albowiem nim wieczór nadszedł, hetman już znów się inaczéj rozmyślił i postanowił jeszcze w tych czasach do Warszawy nie jechać—a gdyby późniéj kiedy wyjechał, to dał Jerzemu najświętsze słowo, że w obec króla stanie z taką powagą, jaka piérwszemu senatorowi przystoi.

Jednakże tego samego wieczora jeszcze, nim noc zapadła, nadjechał kuryer z Warszawy, zapraszający hetmana na wielką radę do króla.

Wypadek ten zmienił oczéwiście dotychczasowy stan rzeczy: albowiem hetman kazał natychmiast ładować powozy, a dnia następnego ze świtem do Warszawy wyjechał. Zmiana ta byłaby tego młodego statystę, który na swoich wrzekomych na Sieniawskiego wpływach tak wielkie budował gmachy, mogła o rozpacz przywodzić, — gdyby jednakże nie to, że go Sieniawski wziął w tę podróż ze sobą. A tak nietylko że przez to dotychczasowych swoich nadziei nie stracił, lecz jeszcze nowe sobie zbudował. Nie miał on wprawdzie nadziei, ażeby sam był przedstawiony królowi, a tém mniéj jeszcze, ażeby sam mógł na owéj radzie zabrać głos jaki: lecz mając już słowo od Sieniawskiego, że za narodem w obec króla wystąpi i mogąc go jeszcze w tém dopilnować, był prawie pewnym, że jeśli hetman tą swoją podróżą nie przyniesie narodowi pomocy, to przynajmniéj mu nie zaszkodzi. Jednakże i ta podróż pociągnęła za sobą zupełnie inne następstwa, niżeli te, które przewidział wszystko w różowych barwach widzący młodzieniec. Albowiem najpiérw, o czém wcale nie myślał, Sieniawski zrobił mu tę niespodziankę, iż mu wyjednał prezentacyą u króla. Kiedy ta łaska była już wyrobioną, a jeszcze do tego z tak serdeczną dla Sieniawskiego pociechą, że niepodobna jéj było nie wierzyć, to i nie mógł jéj Jerzy nie przyjąć, lubo mu w jego położeniu

dzisiejszém żadniéj nie przynosiła pociechy. Był tedy jeszcze przed rozpoczęciem owéj pamiętnéj rady przedstawionym królowi.....

I król go przyjął bardzo łaskawie, przydłuższą chwilę z nim z osobna rozmawiał, a znalazłszy w nim młodego człowieka gładkiéj i niepróżnéj wymowy, wykwintnego poloru, a nadto jeszcze biegłego w trzech ulubionych przez króla językach, to mu nawet otwarcie okazał, że sobie w nim dosyć podoba. Wszakże nie dosyć na tém. Albowiem, lubo daleki od tego, ażeby mu to wyznał otwarcie, że się u niego śmiercią jego własnego ojca zadłużył, wspomniał mu jednak dosyć domyślnie, iż znalazłby w tém partykularną dla siebie przyjemność, gdyby go dalsze zachowanie się Ożarowskiego spowodowało do okazania mu, jak szczodrobliwie umie nagradzać nawet i pomniejsze zasługi. Powiedziawszy mu zaś już całkiem otwarcie, że wié o tém, że będąc we Francyi, oddawał się z równą pilnością tak wojskowości, jak i nauce *status*, zezwolił mu być przytomnym na radzie jutrzejszéj. Na tém skończyło się posłuchanie królewskie, — ale zaledwie opróżnione przez niego miejsce przed królem zajął kto inny, zbliżył się Fleming do niego. Przesławny Fleming, podówczas już feldmarszałek i *alter ego* królewski, człek mało grzeczny, ba szorstki nawet, bo téż gwałtowny despota, mówił z nim wprawdzie mniéj słodko, niżeli rycerski i lśniącym celujący polorem monarcha; ale dlatego właśnie tylko mu jeszcze lepiéj to wszystko objaśnił, co król mu powiedział, oświadczajac mu całkiem otwarcie: iż przyszły czasy, w których w téj zaśniedziałéj od wieków Rzeczypospolitéj musi być wiele rzeczy odmienionych do gruntu, iż dla wprowadzenia w życie form nowych, nowych téż ludzi potrzeba, że zatém dziś ludziom młodym stoją otworem wszystkie godności i wszystkie urzędy... jaka zaś do nich prowadzi droga, nie potrzebuje mu o tém powiadać.

Tak tedy wówczas na tego opuszczonego niegdyś siérotę zaczęły się walić coraz to nowe łaski, protekcye i obietnice — rzeczy zaprawdę niemałe, kuszące bardzo i nawet w saméj istocie do osiągnienia nietrudne; bo któż tego nie widzi, że dość mu było tylko rękę po nie wyciągnąć, aby je rzeczywiście otrzymać?

Jakoż trzeba tu było wielkiéj pewności sumienia i mocy duszy, ażeby się nie dać porwać tym błyszczącym pokusom.

Lecz Ożarowski, lubo tak młody, prawie całkiem ubogi i całém sercem tak odznaczenia się, jak i szérszego pola do okazania swoich zdolności pragnący, miał już tak pewne siebie uczucia i przekonania, że nawet w obec tak niebezpiecznych pokus ani na chwilę w nich się nie zachwiał. Wiedział on o tém aż nadto dobrze, coby przy takiém usposobieniu króla, Fleminga i Sieniawskiego mógł zaraz dzisiaj dla siebie wyjednać; wiedział i o tém, iż luboby się musiał do Sasów przygarnąć, nie potrzebowałby jeszcze przez to stać się koniecznie nieprzyjacielem narodu: ale to

wcale go nie wzruszyło, albowiem był przekonania, że ze złém niémasz żadnéj tranzakcyi. Kiedy rozmawiał z królem, a nareszcie z Flemingiem, to lubo go ich jedwabne słowa nadzwyczajnie głaskały, nie stracił jednak ani na chwilę z przed oczu tak skrwawionych zwłok swego ojca, jak i téj nędzy bezmiernéj, która się dzisiaj rozlegała po kraju... Dlatego téż za łaskawe oświadczenia tych panów podziękował tylko ogólnikami — i na tém skończył.

Nazajutrz rano odbyła się owa sławna narada, na którą król pozwoływał wszystkich tych dygnitarzy królestwa, na których wierność rachował — a z niéj mógł się Jerzy przekonać natychmiast, jak rozumnie to zrobił, że się wczorajszym pokusom nie dał ułudzić. — Więc kiedy panowie radni, pomiędzy którymi znajdowała się większa pcłowa oficerów saskiego wojska, zgromadzili się w sali tronowéj, to najpiérw Fleming głos zabrał od króla i opowiedziawszy pokrótce, jakie rozruchy wszczęły się na Podgórzu, zapytał panów: co rozumieją o tym buncie zdradzieckim? jest-li to sprawka znanych już burzycieli, którzy wszczynają rozruch dlatego, ażeby mogli choć chwilę burmistrzować po kraju? czy jest to początek nowego wzburzenia na korzyść Leszczyńskiego i Szwedów? Nakoniec zaś postanowił pytanie: ażali téż, mając cztérdzieści tysięcy wojska polskiego, dostatek Sasów (których liczby nie podał, bo téż ich nigdy nawet przed przyjaciołmi nie wymieniano), a nareszcie i wojska sprzymierzone na zawołanie, jest się czego obawiać takiego rozruchu, czy nie? — Jednakże zamiast wyczekiwać odpowiedzi od panów, sam odpowiedział — a nie szczędząc jaknajdotkliwszych przycinków dla tych, którzy ten rozruch podnieśli, uznał go za burdę, wprawdzie bardzo zbrodniczą, lecz nic nieznaczącą, burdę poprostu taką, którą on sam swemi Sasami utłumi i wykorzeni tak radykalnie, że odtąd szlachcie nigdy już nic podobnego na myśl nie przyjdzie.

Kiedy Ożarowski tę przemowę usłyszał, mróz po nim przeszedł. Ani on miał dotychczas wyobrażenie, do jakiego stopnia zuchwalstwa niedbalstwo i zaślepienie piérwszych urzędników królestwa doprowadziło tych chytrych ludzi. A co go w téj przemowie oburzyło najbardziéj, to to że Fleming, rozprawiając tak széroko i pogardliwie o nadużyciach i bezprawiach narodu, o sprawowaniu rządów przez króla i o jego obowiązkach, o paktach, nawet i mimochodem nie wspomniał. — Widząc to tedy Jerzy ledwie mógł ustać na miejscu. Czegóżby nie dał był za to, gdyby mu wolno było głos zabrać i wypowiedzieć to wszystko, co miał w téj chwili na sercu. Lecz nie lża, jako wieszcz mówi, nie wolno mu to było i musiał stać tylko i słuchać. Patrzył więc tylko z tém większą niecierpliwością na tych, którzy razem ze swoją młodością wyszli z pod jarzma utrzymywanego zaśniedziałym przesądem, a którym zatém wolno było głos zabrać, gdyby tylko chcieli. Tak patrzył on na Rybińskiego Jakuba i Dorpowskiego, którzy tu byli przytomni, a nareszcie na Sieniawskiego, którego

głos właśnieby mógł zaważyć najwięcéj, boć stał na czele całego wojska. Ale wszyscy ci trzéj milczeli. Ożarowski się zniecierpliwił do najwyższego stopnia.... ale wtém przecież głos zabrał nareszcie Jan Szembek, kanclerz w. koronny, a starosta grudziąski. I począł dobrze, zwolna lecz z wielką powagą, z poszanowaniem dla majestatu ale z godnością, wywodząc jasno, rozumnie i zacnie zabezpieczone prawa korony, ale zarazem i sprawiedliwe pretensye narodu. Wstąpiwszy wreszcie w koléj owych nadużyć i gwałtów, które naród znosił bezprzestannie, nie mógł już słówek obwijać w bawełnę i mówił tak, jak się rzecz sama słowiła. Już téż się zarumienił cokolwiek, już jego oczy coraz jaśniejszym błyszczały ogniem, już się i zgromadzenie zaczęło trochę ożywiać, — ale w téj właśnie chwili Fleming przerwał mu mowę i rzekł: iż wié o czém kanclerz chce mówić, iż to nie należy do rady, że sprawiedliwość rządu jest rzeczą królewskiego sumienia, za którą odpowie potomności i Bogu, ale nie nieposłusznym poddanym.... Tak kanclerz umilkł — a po nim nikt się już nie odezwał. Zapytywał jeszcze potém Fleming senatorów co poważniejszych, czyli nie mają jakich istotnych, ugruntowanych powodów do obawiania się tych rozruchów? — a kiedy i z tém nikt się już nie odezwał, a nadto jeszcze wszyscy zapewnili króla o swojéj niezachwianéj wierności, na tém skończyła się rada. Szli potém wszyscy do królewskiego stołu, któren był arcy-wykwintny — a po obiedzie wyprawił król dla swych sług wiernych przepyszny festyn na kępie, przy którym grała poczwórna kapela, bito z dział i moździerzów i spalono ognie niemieckie i greckie. Nazajutrz zaś po tym festynie ubezpieczony o spokój domowy August zabrał niebezpiecznego kanclerza ze sobą i wyjechał do Drezna, zostawiając troski koronne na głowach feldmarszałka Fleminga i hetmana Denhoffa, podówczas piérwszych i najzaufańszych ministrów.

Kiedy po owym festynie Ożarowski powrócił razem z hetmanem na swoję kwaterę, dziwnie był smutny i tak rozstrojony, jak gdyby kto w nim wszystkie struny żywota potargał. Widać to nawet było po nim już na piérwszy rzut oka, albowiem siadł w kącie, milczał jak głaz i czasem tylko ciężkiém się ogłosił westchnieniem. Widząc to, hetman, który się także w téj komnacie znajdował, lubo sam nie czuł żadnego do smutku powodu, jednak także posmutniał i nawet z dosyć wyraźném współczuciem na Jerzego spoglądał. A to współczucie było w saméj istocie w znacznéj przynajmniéj części serdeczne, bo już to hetman natenczas i sercem się był przywiązał do tego zacnego młodzieńca i wreszcie tak pracowite, rzetelne i pożyteczne miał z niego *factotum*, że ani sobie to wyobrażał, jakby się mógł obejść bez niego. Domyśliwszy się z łatwością, co go tak osmuciło, a chcąc mu ulżyć tego ciężaru, rzecze mu także z westchnieniem:

— Ot! takie to rzeczy! wszystko się psowa, maleje i pada, a niéma, ktoby skuteczne podał na to lekarstwo.

Słysząc, to Jerzy wstał nagle i rzekł prawie porywczo:

— Bo panowie sami nie chcecie, ażeby temu poradzono skutecznie! A wszakże dobrych lekarzy jeszcze i dzisiaj nie braknie, ale czy zachowuje się kto wedle ich recept? Albo i na co tutaj lekarzy? Czyż, jak postępować, nie dyktuje każdemu jego własne sumienie? ale czy słucha kto tego sumienia? mieliśmy dzisiaj dowód tego najlepszy. Kanclerz sam nie mógł nic sprawić i musiał przed Flemingiem zamilknąć; ale gdyby się byli wszyscy senatorowie za kanclerzem ozwali, ciekawym bardzo, czy nie byłby musiał Fleming zamilknąć? A już jegomość to bardzoś się wstrzemięźliwym okazał; dlaczego też wszyscy się oglądali na jegomości i słusznie, bo to nie każdy może mieć tyle odwagi, co ten, który ma cztérdzieści tysięcy do dyspozycyi.

A na to hetman:

— Ej! mój kochany! tak to się gada! cztérdzieści tysięcy łachmanów, wielka to rzecz przeciw trzydziestu tysiącom Sasów i kilkudziesięciu tysiąsom wojsk sprzymierzonych! Trzeba mieć przecie jakieś zachowanie, bo to wojnę wywołać i lada burda potrafi, lecz biada temu, kto ją woła li na to, ażeby świeżą krwią zalał niwy ojczyste. Nie przeczę ja temu, iż jest tu dziś taka pozycya, że możnaby się i na to odważyć, — niepomału mnie też świerzbiała ręka, kiedym słyszał perorującego tak z piętra jmć feldmarszałka, lecz na to, pewnie mi sam nie zaprzeczysz, na to trza nie być hetmanem wielkim koronnym, trza nie być kasztelanem krakowskim i trzeba nie mieć z połowy lat tych, które ja noszę na karku. Starość już nie rozpoczyna, a jeno kończy; starość nie radość, mój panie Jerzy!

— Starość, starość! — zawołał na to młodzieniec, — otóż to cała tajemnica naszego *status*. Ta starość nas gubi i zgubi pomału. Ale nie myślcie panowie, żeby to była starość waszego wieku; bo jest to raczéj tylko form starość, starość zwyczajów, które się zamieniły w prawa, starość praw, które z upływem czasu stały się przesądami. Wieleby o tém dziś mówić! lecz krótko powiem: weź jegomość najzdrowszą wodę kryniczną i zamknij ją szczelnie choćby też i w najczystszém naczyniu, a za dni kilka zgnije ona koniecznie. Otóż tak także z nami. Zamknęliśmy się w naczyniu naszéj dziadowskiéj puścizny, i gnijem. Wszyscyśmy dzisiaj już starzy, nie wiekiem, nie rozumem, nie potarganą siłą fizyczną, aleśmy starzy duchem, zatęchniałym i przechodzącym w zgniliznę.

A to rzekłszy dosyć dobitnie i widząc, że hetman słuchał go niemal z zdziwieniem, przystąpił zaraz do niego, pocałował go w ramię i rzekł:

— A jegomość się na mnie nie gniéwaj, żem to tak gorzko powiedział; ale mnie bardzo dziś zakrwawiło się serce, a niepodobna rzecz dla mnie trawić w swém wnętrzu krew taką zapiekłą! Jeżelim to zaś powiedział, to nie dlatego, ażebym się chciał

jegomości uprzykrzyć, bo wiész przecie jegomość, że go kocham jak ojca i choćbym miał jaką truciznę na ustach, to ją raczéj sam połknę, niżelibym ją miał memu ojcu podsunąć.

Więc tedy hetman, lubo już się był schmurzył cokolwiek, zaraz wyjaśniał, pocałował Jerzego w głowę i rzekł:

— Nie bądźże dzieckiem, mój Jerzy, i nie myśl proszę, żebym cię już nie poznał do gruntu i nie szanował wedle wartości. A toż i mówić ci wolno, co się podoba, zwłaszcza kiedyśmy sami, jakem ci to już nieraz powiedział. Tylko w tym, pozwólże mi, abym ci się sprzeciwił, że u nas wyższe urzędy i dostojeństwa nabywają się tylko zasługą imienia, fortuny albo nawet kabały. Jużci i to się zdarza niekiedy, lecz zdaje mi się, że się na to nikt skarżyć nie powinien. A czegóż-to u nas potrzeba, by zasiąść w radzie, albo urząd pozyskać? Oto trza być szlachcicem osiadłym i pełnoletnim. A że urzędy wyższe przychodzą dopiéro w wieku późniejszym, tożto rzecz naturalna, bo trzeba przecież jakoś na nie zasłużyć. Jednakże co do ciebie, to ja tak myślę, że mało kto u nas dostąpił w tak młodym wieku urzędów wyższych, jak ty ich dostąpisz; miéj tylko cierpliwości cokolwiek a spuść się na mnie, już téż ja o tém pamiętam.

Więc tedy Jerzy już to pominął, zaczém Sieniawski znów mówił o tém, jak to źle jest, że król teraz wyjeżdża i w chwili tak ważnéj zostawia naród w siéroctwie.

— Albo to źle jest, albo i nie źle. Król w naszym narodzie jest uświęconą osobą, a już sama jego przytomność byłaby znacznym hamulcem dla szlachty, upominającéj się z bronią w ręku o swoje prawa, chociaż najsprawiedliwsze. Kiedy zaś jego nie będzie, trochę się śmieléj zabiorą do tych panów ministrów.

Więc tedy hetman jakoś dziwnie popatrzył na niego, a nawet i ramionami wzruszył i rzekł:

— Mówisz tak, jakbyś już sam był konfederatem.

Jerzy umilkł. Zaczém znów hetman powiadał, że sam nie wié co robić; czy pozostać jeszcze na chwilę w Warszawie? czy powracać do domu?

A Jerzy na to:

— A czego nam tu siedzieć w Warszawie, gdzie rządzą inni, a nas traktują jak obcych? czyż nie mamy miast takich, w których jesteśmy w domu, ba, i sami rządzimy, że nas tam inaczéj będą przyjmować?

Nie miał tedy Sieniawski nic przeciw temu, zwłaszcza że sam nie lubił w takich przebywać miejscach, gdzie był ktoś starszy od niego. Tak więc nazajutrz, zaraz po wyjeździe królewskim do Drezna, i oni wyjechali do Lwowa. Tam hetman zamki oglądał i mury, wojsko przeglądał, zaopatrzył je w broń, żołd mu kazał wypłacić, barwę odnowić, — osądził spraw kilka zaległych, jako tamtejszy starosta, dał suty obiad dla duchowieństwa, oficerów i szlachty, — a nakazawszy Kampenhausenowi, aby się miał na

baczności i regularnie mu zdawał raporty, znowu do Brzeżan powrócił.

Ale tymczasem ów rozruch, za powodem zacnego Wielogłowskiego przez szlachtę podgórską wzniecony, lubo do niego zuchwały Fleming żadnéj nie przywiązywał wagi, zaczął się nibyto zwolna, ale bardzo gruntownie rozwijać i rozprzestrzeniać. Zapomagani roztropną lecz szczérze życzliwą radą księcia Janusza Wiśniowieckiego, podgórzanie przez długi czas jeszcze unikali starcia się ze Sasami; jednakże stojąc w polu pod chorągwiami, rozsyłali z wielką skrzętnością posłów do innych województw i w ogóle wszelkiemi możliwemi środkami wpływali na nie, ażeby nie odwlekając już nadal sprawy tak ważnéj, poszły za ich przykładem. I dalsze województwa jeszcze się długo wahały, — ale Sandomierzanie, pobudzeni determinacyą Morsztyna, swojego wojewody, a oraz gorącą wymową Bobrownickiego Jana, już w kilka tygodni także stanęli pod bronią. Małopolanie oglądali się bardzo na Sandomierzanów, — więc kiedy ci już się zgromadzili, a nawet po wszelkiéj formie obrali marszałkiem konfederackim Stetkiewicza, kasztelana zawichostskiego, a substytutem Bobrownickiego, więc już i oni nie wahali się długo i zaczęli się wiązać koleją i wstawać. Prócz tego zaszedł tu wszakże w tym kącie jeszcze inny wypadek, który już cale głośny i prawie decydujący dał impulsu téj arcyważnéj imprezie. Tu bowiem nad Wisłą, pod Pokrzywnicą miasteczkiem, stały kwarciane wojska w dość znacznéj sile, które ich główny dowódca Brzuchowski, kasztelan lubaczowski, na odgłos rozruchów podgórskich pościągał i tam się rozłożył. Brzuchowski, acz blizki przyjaciel hetmański, był jednak sprawie narodu przychylny i sam puszczał rozgłosy pomiędzy wojsko, iż powinnoby teraz uczynić związek i stanąć z narodem. Nie miał on wprawdzie dosyć odwagi, ażeby sam stanął na czele związku, lecz przygotował go dostatecznie; więc kiedy po jego śmierci, właśnie w tę chwilę zapadłéj, Górzyński, Wielkopolanin, w spółkę z Janem Klemensem Branickim koło wojska się zawinął, to i związek stanął natychmiast i już bez żadnéj odwłoki. I związkowym marszałkiem został obwołany Górzyński, a vice-marszałkiem Branicki. Górzyński, jako człowiek serdeczny i jaknajprędzéj popisać się chcący, mając jeszcze do tego Branickiego przy sobie, żołniérza zdolnego i wyćwiczonego w téj saméj szkole co Ożarowski, lubo jeszcze natenczas nie miał o wiele więcéj nad dwa tysiące żołniérza, wyciągnął natychmiast w pole — a napadłszy na pułkownika Howerbeka, który na czele pułku kirasyerów saskich i kilku kompanij piechoty stał pod Radgoszczą, dwa tysiące Sasów w pień wyciął, zabrawszy im konie, broń, wozy i kilkakroć sto tysięcy talarów. To nagłe i tak świetne zwycięztwo dało zaraz zupełnie inny rozgłos konfederacyi i przyniosło ze sobą ten skutek, że wszystkie drobniejsze komendy wojska, kunsystujące w pobliżu, natychmiast się poruszyły, a tłukąc po drodze Sasów, poprzerzy-

nały się do szczęśliwego marszałka, przystępując do jego związku i oddając się jego dowództwu. Tak wzmocniwszy swe siły, Górzyński natychmiast spotkał się z pułkownikiem Mierem, który wyszedł przeciwko niemu we trzy tysiące Sasów i stoczywszy z nią bitwę, tak dobrze przepłoszył, że ten napastnik, dwanaście mil jednéj nocy zrobiwszy, ledwie sam zdołał uciec i zamknąć się w murach Krakowa. Poczém zaraz Górzyński połączył się z szlachtą podgórską i sandomiérską pod Proszowicami i pociągnął na generała Baudycza, który na czele półtrzecia tysiąca Sasów stał w Nowém-Mieście Korczynie; tam go obległ, żołniérza zbił, zabrał, rozproszył, a samego dowódzcę tylko pod tym warunkiem wypuścił, że póki życia nie będzie się bił. O czém gdy wieści się rozbiegły, zaczęto już wstawać po wszystkich miejscach, konfederacye wiązać i wyciągać w pole.

Więc kiedy te rzeczy się działy, zuchwały Fleming, lubo już widział, że się w swoich rachubach omylił, jednakże wcale fantazyi nie stracił. Przedsięwziął sobie postawić czoło narodowi i siłę siłą odeprzéć, a w tém przedsięwzięciu tak nawet się zacięła, że na oczywisty znak jego brodę zapuścił, dając parol najświętszy, że póty go nie ogoli, póki tego rozruchu nie stłumi. Obaczymy poniżéj, ażali parolu dotrzyma. Na teraz wszakże wziął się w saméj istocie gorąco do rzeczy i pobiegł najpiérw do Wielko-Polski, gdzie pod zasłoną generała Szeremeta (Szeremetiewa?), powracającego z wojskiem rosyjskiém z Pomeranii, zaczął zbiérać porozrzucane tamże komendy saskie. Udawał on się nawet do cesarza Piotra Wielkiego, który natenczas zabawiał się w Gdańsku, z prośbą o pomoc, ale pan ten odpowiedział poprostu, iż na wolność sprzymierzonéj ze sobą Rzeczypospolitéj polskiéj następować nie będzie, i ani co dał, ani téż obiecał. Tak tedy Fleming sam został; pomimo to jednak był on jeszcze o tyle czynniejszym. Jakoż natychmiast wszystkie komendy swoje pozbiérał, z miast prezydya pościągał, a z niemi zagarnął także i trzydzieści pięć chorągwi kwarcianych, które tamtędy konsystowały. Agitował się wtedy wielkopolski trybunał, którego marszałkiem był Jakub Rybiński, generał-regimentarz a wojewoda chełmiński, którego gdy znalaz Fleming, wziął sobie go do pomocy. Z jakiém tam sercem zacny pan Jakub stawał przy boku królewskiego ministra, trudno powiedzieć z pewnością, zdaje się jednak, iż tym razem wtłoczonych na siebie obowiązków nie bardzo gorliwie dopełniał, co widać ztąd, iż gdy z zabranemi wojskami szedł do Warszawy, to owe trzydzieści i pięć chorągwi kwarcianych, za powodem Górskiego, porucznika chorągwi husarskiéj, namówiły się z sobą po drodze i bez żadnéj trudności do Górzyńskiego uciekły. Czyja w tém była wina, leżało już prawie na dłoni, ale pomimo to położenie Fleminga było w téj chwili takie, że nie śmiał nawet Rybińskiego za to strofować; owszem, przeciwnie, sam go usprawiedliwiał, zwalając winę na drugich, obawiając się i słusznie, ażeby

i on jeszcze go nie porzucił. Zaczém już tylko jak mógł najpospieszniéj resztę wojsk saskich pozbiérał, a nagromadziwszy ich przecież przeszło szesnaście tysięcy, wszedł do Warszawy i tam sobie główną założył kwaterę. Ztamtąd téż zaraz ogłosił ów dumą i zuchwałością ziejący uniwersał, mocą którego ogniem i mieczem zagroził tym wszystkim, którzyby mu się poddać nie chcieli, i w ten moment wyciągnął w pole, rozpoczynając kampanią.

Jednakże tak szczęśliwie zaczęta konfedercya wcale się tém nie dała zastraszyć; owszem, jeszcze od tego czasu znakomicie urosła. Jeżeli bowiem Górzyński nie odpoczywał i już to przez szczęśliwe batalie, już przez zręczne ściąganie wojsk kwarcianych do siebie rósł w sprzęt wojenny, piéniądze i ludzi;—toż znów i szlachta wstawała sama i zaciągając z własnéj szkatuły pachołków, tudzież garnąc do siebie ochotnika, pomnażała dzielnie siły konfederacyi. Tak w owe czasy wstał był Kałdowski w województwie kaliskiém i napadłszy na oddział saski, który był Mier z porucznikiem Winklerem z Krakowa wyprawił, zniósł go i zabrał. Tak w ziemi wieluńskiéj powstał na własną rękę Nagórski, i spotkawszy pod Wieruszowem dwornych ludzi królewskich, pobił ich i rozbił. Tak wypłynął znowu naówczas ów przesławny Grudziński i rozbiwszy w Łęczyckiém kawalerów kordegardy królewskiéj (*Garde du Corps*), urósł w ten moment ogromnie. Tak wreszcie zaczęli powstawać dotychczas jeszcze cicho siedzący panowie; najpiérwszy z nich pan Michał Potocki, pisarz polski koronny, który wyskoczył odrazu we trzy tyciące ludzi, w odwet za sędziszowskie i czerlenieckie pożogi wypłukał hetmanowi Sieniawę, a idąc ztamtąd, uścielił trupem trzy mile. W ślad za nim powstał brat jego Józef, podówczas starosta bełzki, Tarło, kuchmistrz koronny, Jabłonowscy, Wiśniowieccy i inni. Wszakże pod jesień powiązały się już i województwa, nieledwie wszystkie, i powystawiawszy znaczne chorągwie i poczty, poczęły się zgromadzać w północnéj stronie województwo ruskiego, a mianowicie na ziemi lwowskiéj. Stanęło tam wtenczas województwo krakowskie pod marszałkiem Marcinem Rybińskim, sandomierskie pod Stetkiewiczem, ruskie pod Rosnowskim, lubelskie pod Kossakowskim, wołyńskie pod Ledóchowskim, ziemia chełmska pod Romanowskim, przemyska pod Charczewskim, inne zaś pod innymi. Była to rzecz prawie jak umówiona, albowiem czy tu czy owdzie trzeba się było zgromadzić koniecznie, ażeby porozumiéć się z sobą, obrać jakąś naczelną téj sprawy władzę, a nareszcie ogłosić światu, co ma ta sprawa na celu. Owo więc, kiedy się te wszystkie siły na ziemi lwowskiéj znalazły i przypadkowym sposobem małe miasteczko Tarnogród otoczyły dokoła, więc téż i to miasteczko obrały sobie za miejsce narad i tam powysyłały swoich pułkowników. Więc od województw stanęli ich marszałkowie, od wojska marszałkowie związkowi i główniejsi regimentarze, a oprócz nich jeszcze i rozmaici panowie, jako obadwa Potoccy, książe Czartoryski

chorąży litewski, książę Janusz z Wiśniowca wojewoda krakowski, ordynat Zamojski, Mniszech piasrz sanocki, Morsztynów dwóch, Myszkowski kasztelan sandomiérski a Dębiński wojnicki, Ossoliński kasztelan połaniecki a Wolski przemyski i wielu innych, których tylko wiadomość o tym zjeździe dobiegła zawczasu. Byli także posłowie od ziem co bliższych, duchowieństwa cokolwiek, a szlachty, jak zwykle przy takich zjazdach, moc niezliczona. Ci wszyscy zgromadzili się na dniu 26 listopada w tarnogrodzkim kościele św. Ducha i pod dyrekcyą księcia wojewody krakowskiego rozpoczęli obrady. I nie trwała ta cała sprawa nad parę godzin, bo kiedy Morsztyn, starosta kowalski, z gotowym już instrumentem konfederacyi w duchu jednozgodnéj opinii spisanym wystąpił, a po jego odczytaniu pisarz koronny Potocki Ledóchowskiego, podkomorzego krzemienieckiego, na generalnego marszałka zaproponował, — to i na wszystko się odrazu zgodzono i jednogłośnie przyjęto. I tak stanęła owa konfederacya Tarnogrodzka mocą któréj „bezpieczeństwo królewskie, całość *Pactów Conventów* i nietykalność praw narodowych" postanowiono, zaprzysięgając zarazem póty stać w polu i bić się, póki wszystkie pretensye narodu nie zostałyby zaspokojone. — Zaczém po dopełnieniu tego aktu, generalny marszałek konfederacyi powyprawiał natychmiast posłów do Litwy, do oddaleńszych województw i starszych dygnitarzy koronnych, a sam bez zwłoki wyciągnął w pole, aby postawić czoło zbliżającym się Sasom...

Przez cały czas ten hetman Sieniawski bawił się nieprzerwanie w Brzeżanach. Wielkie tam Ożarowski musiał z tym niestatecznym człowiekiem przechodzić termina, ażeby go przez czas długi i tak burzliwy w nieruchomości utrzymać; ale już wtedy żadnych zabiegów, żadnych nawet poświęceń nie szczędził, byle tylko dokazać tego, co było rzeczą tak ważną. Pomagały mu wprawdzie do tego celu i hetmanowa i Zosia, — podobno więcéj z obawy o męża i ojca, ażeby się na nowe nie narażał niebezpieczeństwa, niżeli z chęci usłużenia tém dobru pospolitemu: — ale i ta pomoc nawet byłaby się na nic nie zdała, gdyby nie jego własna czujność, przewidująca przezorność i dziwnie przebiegła zręczność, zapomocą któréj utrzymywał hetmana jużto w zupełnéj niewiadomości, już w nieprawdziwém rozumieniu zaszłych wypadków; a nareszcie gdyby i nie to, że już natenczas uzyskał sobie wpływ prawie przeważny na niego, a to wpływ taki, że jeśli tylko nie wymagał nadto, czego się wszakże strzegł bardzo pilnie, to zawsze swego dokazał. Tym téż tylko sposobem mógł on wymódz to na Sieniawskim, że dotychczas się wcale nie porozumiał z Sasami, że w niczém zgoła nie zaszkodził konfederacyi i że tak znaczna część wojska, zostającego pod jego komendą, przeszła bez żadnéj przeszkody do związku. Stało się nawet nareszcie, że i te wojska kwarciane, które konsystowały na kresach Podola i Ukrainy, lubo z rozkazu hetmana sam Ożarowski wyprawił do nich or-

dynans, ażeby przyszły do Lwowa, przecież rozkazu tego nie wykonały, tylko Lwów pominąwszy, poszły do Górzyńskiego.

Jednakże takie apatyczne usposobienie hetmana, bardzo Jerzemu miłe, nie trwało długo. Jak tylko bowiem przyszła wiadomość o zbiéraniu się wszystkich województw na ziemi lwowskiéj, (czego już niepodobna było utaić, bo te liczne zastępy przez całych kilka tygodni się tam ściągały), uspokojony lew zbudził się ze snu i nanowo wstrząsł grzywą.

— Pojedziemy do Lwowa,—rzekł on raźnie Ożarowskiemu,— trzeba zblizka się temu przypatrzyć.

Nietrudno się tego domyśléć, o ile się Ożarowski téj podróży spodziéwał; ale znalazłszy hetmana dosyć upartym przy tym kaprysie, niechciał nareszcie się bardzo opiérać. Jak bowiem z jednéj strony obawiał się swoim uporem jego upór, a za nim może i jakie dalsze i gorsze skutki wywołać, tak znowu z drugiéj, wnioskując z zaszłych wypadków, że hetman już dzisiaj nie może tak bardzo konfederacyi zaszkodzić, nie przywiązywał do téj podróży żadnego prawie znaczenia. Przeciwnie nawet, mając już jawne dowody swojéj nad Sieniawskim przewagi, spodziéwał się, iż przy szczęśliwych okolicznościach podróż ta jeszcze ku czemu lepszemu posłuży.

Tak stało się, że Sieniawski zabrawszy z sobą znaczną część swego dworu, a z nią i Jerzego, pod koniec listopada wyruszył nareszcie do Lwowa. Przyjechawszy do téj stolicy swego starostwa, którą za swoję własną uważał, stanął na nizkim zamku, zwyczajnéj swéj rezydencyi, o któréj już wszakże powszechnie wiedziano, a nawet i publicznie mówiono. Mówiono nawet i więcéj, niżeli się potém ziściło, jak to zwyczajnie o każdém ważniejszém zdarzeniu przesadnych wieści nie braknie. Kiedy te wieści doniosły się do hetmana, słuchał je pilnie, wypytywał się bardzo ciekawie; lecz na rzecz samę zdawał się być obojętnym. Mówił o tém z Jerzym niejednokrotnie, a w tedy prawie zawsze powtarzał:

— Niechaj już robią co chcą, byle coś statecznego zrobili i żeby się to jakoś skończyło.

Takie usposobienie hetmana było oczéwiście dla Jerzego źródłem niewysłowionéj pociechy. Nie licowało ono wprawdzie cokolwiek z jego usposobieniem wczorajszém i niewiadomym mu był powód, dla któregoby Sieniawski tak nagle ku dobremu postąpił; lecz młody Jerzy rad mu uwierzył, bo zdało mu się, że hetman, przerobiony przez niego, już był tego samego usposobienia w Brzeżanach, tylko nie miał tam ani powodu, ani téż sposobności tak dobitnie się z niém wijawić. Jednakże domysł ten był jaknajzupełniéj fałszywym. Albowiem hetman, nietyko że w gruncie serca był zawsze konfederacyi przeciwnym, lecz teraz, widząc ją w takim raźnym postępie, jeszcze tém więcéj się przeciw niéj wzburzył. Obudziła się nawet w nim żądza jeżeli nie szkodzenia jéj po

nieprzyjacielsku, to przynajmniéj zwichnięcia jéj rozszérzonych rozmiarów zapomocą jakiéj intrygi albo podstępu. Jeżeli zaś z temi uczuciami taił się przed Jerzym, a nawet umyślnie wcale przeciwne usposobienie udawał, to czynił dlatego, iż jak z jednéj strony zanadto już uległ był przeważnemu wpływowi Jerzego, ażeby mógł był miéć odwagę do otwartéj z nim wojny, tak znowu z drugiéj przez wyjawienie swoich usposobień istotnych obawiał się zrazić dla siebie tego człowieka, który w owych czasach krytycznych był jedyną, ostatnią, a przytém tak dzielną podporą dla niego. Sieniawski więc, krótko mówiąc, bał się Ożarowskiego; bał się zniechęcić go dla siebie, bał się go stracić, bał się nareszcie nawet i zgryzotę mu przynieść, bo pomimo sprzeczności z nim w politycznych opiniach, o ile czuł rzeczywisty szacunek dla jego zdolności i charakteru, o tyle także miał i pociąg serca ku niemu tak silny, że ani chciał, ani mógł mu się oprzéć. Pomimo to wszystko przecież wkorzenione w jego umyśle i w nałóg już zamienione polityczne opinie były tak silne, że jak tylko się po temu zdarzyła sposobność, to nie mógł się oprzeć żądzy uczynienia zadość swym nałogowym pochuciom. Jakoż natychmiast po wyrozumieniu obecnego stanu konfederacyi, w największéj tajemnicy przed całym światem, wyprawił Humieckiego, wojewodę podolskiego, do Tarnogrodu na zwiady, chcąc się dowiedzieć najpiérw: czyli i na kogoby on tam mógł liczyć w tém zgromadzeniu? a powtóre, czyliby w razie takim, gdyby sam zjechał do Tarnogrodu, ulgi w imieniu króla obiecał, a wojsku zaległe żołdy wypłacił, mógł konfederacyi przeszkodzić? Intryga ta, jak to samo ze siebie wynika, nie przyniosła żadnego skutku, a nawet upadła jeszcze przed rozpoczęciem; lecz lubo była najgrubszą tajemnicą okryta, przecież z upływem czasu odsłoniła się choć w części przed baczném okiem Jerzego. Odkrycie to, o ile wcale pod owę porę niespodziéwane, o tyle bardziéj zniepokoiło Ożarowskiego i spowodowało go do tém pilniejszéj na hetmana uwagi.

Jakoż niebawem zdarzyły się i dalsze do podobnéj niespokojności powody. I tak bezzwłocznie po wyjściu w pole konfederackich zastępów, napadli Sasi na Górzyńskiego i dosyć znaczną zadali mu klęskę, a jak to nigdy o podejrzliwość nietrudno, tak i na niego wszczął się hałas niezmierny i rozszérzył się wreszcie do tego stopnia, że ten dotychczas tak znamienicie waleczny i tak szczęśliwy generał musiał złożyć dowództwo, a nawet poddać się sądowéj odpowiedzialności. Wypadek ten, zwykłym postępem podobnych rzeczy, rozniecił trochę nieporozumień, a nawet i cokolwiek popłochu; kto zacne miał serce, ten się osmucił, zniepokoił i modlił się Panu Bogu, ażeby klęska ta naprawioną została, — a tymczasem Sieniawski właśnie natenczas był najweselszym, bawił się sobie w najlepsze, a nawet jawnie z téj wojny szlacheckiéj dworował.

Toż znów następnie, kiedy Branicki, po Gorzyńskim mar-

szałek związkowy, w kilka tygodni utłukł kilka tysięcy Sasów i w ogóle z takiém nieustającém szczęściem wojował, że aż go Sasi musieli prosić o rozejm,—hetman był frasobliwy i mawiał chmurnie:

— Już tych Sasów, jak widzę, powybijają do nogi, a nie wiem za co, chyba przez wdzięczność, że nie dali Szwedom zwojować Polski.

I tak odtąd było już prawie zawsze. Do tegoż jeszcze jaki tylko Sas przybiegł do Lwowa, Campenhausen przyjmował go jak swego, dla chorych szpital urządził, wyzdrowiałych zaopatrywał i do komend wyprawiał, a pieniężnych wydatków na to nie podejmował przecież ze swojéj szkatuły. Wszakże w następnym czasie zaszło jeszcze ważniejsze zdarzenie. Oto zdradziecki Fleming, uprosiwszy sobie rozejm na tydzień, zakradł się sztuką do Zamościa, wziął fortecę i miasto, wyciął załogę do szczętu i zrabował, tak tamtejszym mieszkańcom, jak schronionéj tam szlachcie, do kilkunastu milionów. Miał ztąd Sieniawski nową dla siebie pociechę; lecz co ważniejsza, z tego zdarzenia wypłynął ten skutek, iż niektórzy panowie, stronnicy sascy, wróżąc ztąd dla konfederacyi upadek, zaczęli najeżdżać hetmana, namawiając go, ażeby otwarcie jako naczelnik królewskiego stronnictwa wystąpił, ogłosił wojsku natychmiastową wypłatę zaległych żołdów i tym sposobem koniec położył konfederacyi. Nie bardzo się wprawdzie Sieniawski ku tym namowom skłaniał, bo nietrudno mu było przewidzieć, że konfederaci, licząc już teraz bez wojsk kwarcianych około pięćdziesięciu tysięcy ludzi, nie dadzą się tak łatwo pokonać Sasom, nieliczącym już ani dwudziestu; ale zawsze ta myśl go zanadto żywo zajęła, ażeby Ożarowski nie zniepokoił się tém do najwyższego stopnia. Jakoż natenczas, zważywszy tak naglące okoliczności, pełne niebezpieczeństwa i dla konfederacyi i dla hetmana, a nareszcie i dla niego samego, zamierzył zrobić krok jakiś stanowczy i w tym celu zaczął najpierwéj Sieniawskiego nakłaniać do wyjazdu ze Lwowa. Ale hetman, zaledwie wyrozumiał o co mu chodzi, zamiast go wysłuchać cierpliwie, jeszcze się zburzył na niego, mówiąc porywczo:

— Dajże mi pokój! już mnie. jak widzę, chcesz całkowicie osiodłać, a ja przecież jeszcze żyw jestem i nie poskładałem urzędów!

Wszakże przyzwyczajony do takich wyskoków, Jerzy nie dał się tém zbić z tropu i począł mu przekładać niebezpieczeństwa, mogące dla niego wyniknąć, gdy będzie siedział we Lwowie.

— A co mi się tutaj stać może?— zapytał hetman.

— Ja nie powiadam, — rzekł Jerzy, żeby się coś stać miało koniecznie, ale człowiek przezorny ma oko nawet i na to, co jest tylko podobném. A więc najpierwéj bardzo podobną jest rzeczą, iż jegomość, wystawiwszy się tutaj na widok publiczny, a nie pomagając niczém narodowi, ściągasz na siebie tego narodu niechęć

która za czasem może się zmienić w nienawiść. Powtórę, lada chwila zdarzyć się może, że konfederatom zachce się Lwowa, a wtedy jegomość znajdziesz się w położeniu fatalném, albo bicia się z braćmi, lub ustąpienia bez żadnéj z tego czynu zasługi lub chwały. A nakoniec i to jest jeszcze podobném, że ten albo ów oddział konfederacki, uniesiony czy to wmówioną czy osobistą zemstą, wpadnie w dobra brzeżańskie, przemyślańskie i inne i poczyni tam jegomości daleko większe szkody, niżeli je poczyniono w Sieniawie. Wszystko to zdarzyć się może, kiedy jegomość będziesz siedział we Lwowie, — a jest wprost niepodobném, kiedy osiądziesz w Brzeżanach.

Trafiły te argumenty do przekonania hetmana, jakoż bardzo się nad niemi zamyślił. Następnie przyznał słuszność Jerzemu, a nawet powiedział, że istotnie najlepiéj zrobi, jeśli przyjedzie do Brzeżan; ale na teraz puścił to jeszcze po staremu w odwłokę — a tymczasem zaszły nowe zdarzenia.

Fleming, wziąwszy w drugie święto Bożego Narodzenia Zamość, zyskał wprawdzie przez to moralnie, a nawet się wzbogacił pieniężnie, ale pomimo to szali wojny ani jeden cień nie nachylił ku sobie. Konfederaci bowiem pozostawili mu tę fortecę, na któréj wcale nie zależało, a za to tylko o tyle lepiéj tłukli go w polu. Kiedy więc w krótkim czasie kilka znaczniejszych odnieśli zwycięztw, a do tego jeszcze Litwini księcia Weisenfelda tak serdecznie ścisnęli, że także już nie mógł odetchnąć, to Fleming wreszcie spokorniał trochę i zaproponował marszałkom konfederacyi, ażeby wysłali od siebie posłów do Rawy ruskiéj dla zawarcia traktatu. Przysłał był nawet gotowy już projekt tego traktatu, mocą którego saskie wojska miały wyjść z Polski, wziąć na drogę po dziesięć tynfów z każdego dymu, konfederacya miała jeszcze trwać do tego czasu, dopókiby jéj sejm, przez króla się zwołać mający, nie rozwiązał. Były to tedy jak widać punkta, które można było i przyjąć, zwłaszcza że im w saméj istocie nie brakowało więcéj, jak tylko oznaczenia terminów, tak wyjścia Sasów, jak i zwołania sejmu; dlatego téż Leduchowski dał się skłonić do zjazdu i posłów od siebie rzeczywiście wyprawił. Tak przyszło do konfederacyi w Rawie ruskiéj, na którą zjechali ze strony Rzeczypospolitéj: Rosnowski, Czacki i Kos, sędzia chełmski — a ze strony Sasów: Sapieha, pisarz polny litewski, Fleming i Goltz.

Dowiedziawsy się o tém Sieniawski, zerwał się także, ażeby jechać do Rawy. Pytał go Ożarowski o cel ich podróży, odpowiadał, że chciałby do prędszego zawarcia traktatu dopomódz, — lecz w rzeczy saméj miał zamiar odzyskania komendy nad wojskiem, którą *de facto* utracił. O ile pretensya taka była niedorzeczną w téj chwili, prócz tego śmieszną, a nawet upadlającą, nie potrzeba powiadać. Odradzał mu téż jéj Ożarowski, — ale był to kaprys hetmana, a na jego kaprysy nie było żadnego lékarstwa. Jakoż w saméj istocie pojechał do Rawy. Ale jak ów traktat

przez Fleminga proponowany, skutkiem przezorności Ledóchowskiego, nie doszedł, tak i Sieniawski przyjechał z niczém. I wrócił dziwnie zdąsany, ba, prawie już jawnie rozjątrzony przeciwko konfederatom; powiadał że ubliżyli jego godności, że go za nic nie mają, że go sponiewiérali, a nawet i z tém się odzywał, że ich przekona, iż mimo to przecież jeszcze coś znaczy. Trza było jeszcze do tego, ażeby wracając spotkał w blizkości Lwowa i tu i owdzie błąkających się konfederatów — a to go tak rozgniéwało, iż jak tylko stanął na nizkim zamku, przywołał zaraz do siebie majora Brześciańskiego, który, jak się wspomniało powyżéj, na czele pułku grenadyerów konnych stał załogą we Lwowie, i kazał mu, aby zrobił wycieczkę z miasta i całą okolicę na trzy mile do koła z konfederatów oczyścił. Słysząc to, Jerzy mógł się śmiać z tego rozkazu, bo znał Brześciańskiego i wiedział, że nie miał się z téj strony czego obawiać. Jakoż istotnie, Brześciański za mury wyszedł i błąkał się po okolicy przez dni kilka — a ponieważ nie znalazł nigdzie konfederatów, a natomiast napotkał Sasów, więc Sasów potłukł, położywszy trupem około dwóchset i zabrawszy im moderunki. Kiedy się Jerzy o tém dowiedział, był pewnym że hetman za to we wściekły gniéw wpadnie i Brześciańskiego każe rozstrzelać, o co u niego, jak i o każdy nawet gwałt mniéj uprawniony, nie było trudno. Ale się stało przeciwnie: hetman bowiem na wieść o tém zgromieniu Sasów prawie oniemiał i ani słowa o tém nie wspomniał nawet przed samym Jerzym. Wnosił wtedy ztąd Jerzy, że hetman przecież nareszcie właściwe swe położenie zrozumiał i uznał, że jakkolwiek z jego strony manifestacya przeciw konfederacyi nietylko jest zgubną dla niego, ale ze zmianą okoliczności staje się wprost niemożliwą.

Jadnakże prawie w ten moment potém zaszło zdarzenie inne. Generał Baudycz, potłuczony pod Nowém-Miastam i znów przez Fleminga w wojsko zaopatrzony, z końcem miesiąca stycznia znów został zbity pod Haliczem na Rusi. Uciekłszy z pola z jakimś tysiącem niedobitków, przypadł do Lwowa a Campenhausen otworzył mu bramy i przyjął jak swego w gościnę. Co więcéj, Baudycz przyszedł na nizki zamek, doznał od Sieniawskiego jaknajlepszego przyjęcia i zyskał na samym wstępie nietylko pozwolenie uzupełnienia swoich rozbitków we Lwowie, ale nawet mu hetman kazał dać trochę broni i obdarował go zasiłkiem piéniężnym. Wszystko to zaś stało się tak nagle, jak nagle Baudycz potrzebował pomocy, zaczém także tak nagle, że Ożarowski się o tém dowiedział jako o rzeczy już dopełnionéj.

Wypadek ten, nie trudno się tego domyśléć, przejął Ożarowskiego tak głęboką zgryzotą, jakiéj jeszcze nigdy nie doświadczył na życiu. Cała jego budowa, klejona przez czas tak długi z takim mozołem i pracą, zawaliła się teraz w jego oczach prawie do szczętu. Wprawdzie tą pracą wiele on zrobił, — przez swoje wpływy na Sieniawskiego niezmiernie on wiele sprawie pospolitéj

dopomógł, — ale czyż tylko taka cząstkowa pomoc była jego zamiarem? czyż zresztą mógł znieść to na sobie, jak hetman samowolnie się rzucał na dno nienawiści i jeszcze jego za sobą pociągał?

Dlatego też zaraz pobiegł do niego, a przedłożywszy mu wszystkie skutki tego postępku, które prawdopodobnie przewidział, nie prosił już ale żądał, ażeby Baudycz natychmiast usunął się z miasta i żeby w ten moment coś zrobić takiego, coby tę czarną plamę zatarło.

Postawiwszy takie żądanie, był przekonanym że albo się w téj chwili jego stosunek z Sieniawskim rozerwie, albo też hetman, uznawszy swoję nieudolność, podda się jemu i ster spraw swoich zda w zupełności na niego. Nie stało się wszakże jeszcze teraz ani jedno, ani też drugie; albowiem zaśniedziały w swojéj jednostronności Sieniawski, mimo całéj jasności wykładu, ani go nawet zrozumiał i odpowiedział mu tylko zgryźliwie:

— Nie wiem ja już doprawdy, coś ty sobie upatrzył do tego poczciwego Baudycza. Potłuczono go i rozbito, czyż to taka gościnność polska, żeby mu nawet nie dać u siebie wypocząć? A jeśli on Sas, to mnie to cale nic nie obchodzi. Jam neutralny. Kiedy nie kładę tamy, ażeby się moje wojska biły z Sasami, jakżeż mogę zabraniać u siebie spoczynku Sasom?

Odpowiedź taka, niepotrzebująca żadnych objaśnień, struła Ożarowskiego do reszty. Powróciwszy do siebie i rozebrawszy całe swe położenie, dziwnie był z siebie samego, ze wszystkich spraw swoich i ze wszystkiego, co dotyczas się stało, niekontent. Czynił sobie nawet wyrzuty i o wszystko siebie obwiniał. Ze wszystkich dróg, jakie mu po powrocie z Francyi stały otworem, obrał właśnie najgorszą. Zamiast pracować w dzień jasny i na roli otwartéj, włazł w jakieś zakamarki ukryte, chcąc tam roznieść światło, gdzie ono już istnieć nie mogło, bo było na zawsze zgaszone. Zamiast dorabiać się zasług twardą rzetelną pracą, chciał się w nie ubrać za pomocą sztuk jakichś, wprawdzie nie niesumiennych, ale wcale niesmacznych. A gdyby nawet i dopiął był na téj drodze jakiegoś wyższego celu, to czyż na końcu końców nie musiałby się był jeszcze usprawiedliwiać przed światem ze środków, jakich użył do tego? A licha to warta taka zasługa w tém życiu, która nie jest jasną i zrozumiałą dla każdego prostaczka i którą trzeba dopiéro komentarzami objaśniać? — Tak sobie mówił Ożarowski, — a lubo bez żadnéj wątpliwości miał jaknajczystsze sumienie, gorzko mu jednak było i postanowił sobie, cobądź się stanie, zerwać te stosunki nareszcie. Takie zaś wziąwszy postanowienie, czekał już tylko sposobności do czynu.....

A tymczasem skutki przyjęcia generała Baudycza we Lwowie, odrazu przewidziane przez niego, zaczęły się sprawdzać powoli. Wieść bowiem o tém prędko się między konfederatów rozniosła i obudziła w umiarkowańszych dla Sieniawskiego niechęć, w go-

rętszych zaś wcale wrzącą nienawiść. Usposobienie to znalazło nawet tak obszérne uznanie, iż nietylko przyjęło się między szlachtą, ale udzieliło się także i duchowieństwu, udzieliło się także po części i starszyźnie wojskowéj. Widział to Ożarowski, — dojrzał także i hetman i bardzo się tém ufrasował. Nie mówił on o tém z Jerzym otwarcie, ale skarżył się przed nim coraz to smutniéj, że niéma serca u ludzi, że mimo tak długoletnich zasług wszyscy o nim zapominają. Skargi te wszakże, lubo może istotnie boleśne, nie wpłynęły jednak na postanowienie Jerzego: jakoż jednego poranku napisał on prośbę o dymisyą ze służby wojskowéj, zebrał wszystkie swe siły i poszedł do gabinetu hetmana.

A działo się to w miesiącu lutym, w ostatni tydzień przed dniami bachusowemi. Właśnie na kilka dni przedtém przyjechały były do Lwowa hetmanowa i Zofia i pani stolnikowa krakowska, które wszystkie trzy razem przepędziły część zimy w Opolu. Zamierzyły one przez resztę zapust zabawić we Lwowie i może nawet liczyły na to, że po spodziéwaném zawarciu traktatu w Rawie, będą je mogły przepędzić wesoło. Ale tymczasem ów traktat nie doszedł i nietylko odsunął porę uciech do dalszych czasów, ale jeszcze i Sieniawskiego nabawił nowych frasunków. Zastawszy go pełnego tak niestrawionéj goryczy, wszystkie trzy damy jaknajusilniéj starały się o to, aby go rozweselić i prawie przez cały dzień go bawiły. Lecz Ożarowski wiedział o tém i umyślnie wybrał tak wczesną godzinę, aby go zastał jeszcze w sypialni lub w gabinecie, a zatém bez towarzystwa. Jakoż istotnie go zastał samego i zaraz, opowiedziawszy mu krótko swoje postanowienie, oddał mu swoję dymisyą.

Nietrudno się tego domyśléć, jakie ta niespodziéwana wiadomość zrobiła na Sieniawskim wrażenie. Wyzuty z władzy de facto, pozbawiony znaczenia, obrzucony niemal powszechną niechęcią, był on w téj chwili opuszczony przez wszystkich; — teraz ostatnia dusza przyjazna odchodziła od niego. Jakoż tylko zrozumiał nareszcie, z czém Jerzy przyszedł, zerwał się z krzesła i zawołał z nieutajonym przestrachem:

— A toż co znów takiego?! cóż to? czy żarty? czy i ty mnie chcesz prześladować?

Lecz Jerzy odpowiedział na to spokojnie:

— Jw. panie! nie dozwalałem sobie nigdy żartów z panem hetmanem, a dziś już mi wcale o nich nie myśléć. O prześladowaniu ani już nawet nie wspominam. Jeżeli zaś jegomość chcesz wiedzieć, dlaczego go opuszczam, to opowiem krótko. Służyłem jegomości, Bóg widzi, z poświęceniem i przywiązaniem takiém, na jakiem się tylko mógł zdobyć; lecz teraz widzę, że służba moja na nic się nie przydała, ani się przydać nie może. Jesteśmy odmiennego widzenia rzeczy we wszystkiém i całkiem różnéj fantazyi, a ztąd zamiast cobyśmy mieli sobie pomagać, jeszcze sobie zaszkodzimy. Mielibyśmy zaś wreszcie doczekać się tego, co

jest rzeczą nieuniknioą, żebyśmy się pogubili nawzajem, a toż lepiéj rozejdźmy się dopóki czas jeszcze i idźmy każdy swym własnym torem.

Hetman niby słuchał téj mowy, ale podobno nie słyszał; w ten moment bowiem załamał ręce i rzekł głosem rozdziérającym:

— Mój Jerzy, i dlaczegóż ty mnie porzucasz?!

Słysząc ten głos taki bolesny z ust starca którego na igraszkę rozswawolonych losów zostawiał, a do którego przecież, choćby już tylko skutkiem nawyknienia, niemało miał przywiązania, Jerzy się zachwiał i uczuł, iż trzeba tu prędko kończyć tę sprawę, bo inaczéj nie dokończy. Jakoż się przezwyciężył i zamiast dalszéj litości, zaczął mu cierpkie czynić wyrzuty za jego postępowanie, przemawiając do niego nieledwie tym samym tonem, jakimby był w tym razie każdy konfederat przemawiał. Hetman go słuchał, — lecz na nieszczęście, nim go zrozumiał i miał się oburzyć, podobno zawiadomiona przez kogoś, wbiegła hetmanowa ze Zosią do gabinetu — a tak ta rzecz wzięła zaraz inny kierunek. Więc tedy hetman, jak tylko kobiéty obaczył, zwrócił się zaraz do nich i zawołał ze smutkiem:

— Patrzcie-no, co się tu dzieje! Ożarowski i pułk swoj i służbę i nawet nas samych purzuca!

Na te słowa Zofia spojrzała na Jerzego i zbladła jak ściana. W tę samę chwilę wbiegła i stolnikowa krakowska i patrząc okrągłemi oczyma na syna, jak gdyby mu wcale śmierć lub choroba groziła, stanęła zaraz przy Zosi. Wszakże tymczasem już hetmanowa w rzecywistym przestrachu przyskoczyła do niego i chwytając go za ramię, mówiła prędko:

— Przez Pana Boga żywego, panie Jerzy, cóż tobie? czy cię kto tutaj obraził? czy zamało pamiętamy o tobie? czy cię konfederaci zbałamucili? zmiłuj się, mów, a wszystko się to naprawi.

Dziwnie się skręcił Jerzy na taki nagły zwrot téj sceny, bo wiedział, że teraz trudno mu będzie się przy swojém utrzymać. Mimo to jednak zebrał się i mówił, lubo z widoczną niecierpliwością, wszakże dosyć spokojnie:

— Pozwólcież państwo, niechaj się wytłumaczę, bo wam się zdaje, że ja chcę odjechać z kaprysu, uporu, obrazy, gniéwu lub czegoś podobnego, a tymczasem postanowienie moje jest wypływem bardzo długiego namysłu i ręczę za to, że wszystkim nam, jak tu jesteśmy, jeżeli nie przyniesie zbawienia, to przynajmniéj z pewnością od strat nas uchroni.

Tu zaczął mówić, opowiadając swój do hetmana stosunek tak samo, jak się miał w saméj rzeczy. Lecz chociaż umiał bardzo wymownie to wszystko wydobyć, co stawało w obronie jego postanowienia, jednak ile że innym także wymowy nie brakło, wywiązała się ztąd dysputa aż do znudzenia długa, osobliwie dla Zofii, która jak w każdéj innéj, tak i w téj sprawie miała swe własne

widzenie. Dlatego też Zofia przerwała tę dysertacyą, a przystąpiwszy do Jerzego i wziąwszy go za rękę, tak rzekła do niego.

— Co nam tam długie dysputy! porozumiejmy się krótko. Panie Jerzy jesteś nieprzyjacielem polityki mego ojca, to ja pojmuję; lecz czy dlatego musisz zaprzestać być przyjecielem jego osoby, a nawet i naszym?

— A jakto, pani? — rzekł Jerzy, — wszakżeż tak nie jest.

— Nie jest — spytała Zofia, — a jakto?... Czyż się przyjaciół w nieszczęściu porzuca?...

Na te słowa niespodziéwane Jerzy się cofnął o pół kroku, spojrzał na Zofią, zacisnął zęby i rzekł:

— Nie, pani. Zginę z wami, pozostanę.

Wielkaż tedy pociecha! Zaledwie mogli się wszyscy posiąść z radości i uspokoić — a kiedy hetman całował głowę Jerzego, figlarna Zosia przystąpiła po niego i rzekła:

— A widzi pan Jerzy, jakem pana złapała.

Cieszyli się wszyscy tym śmiałym dowcipem dziewczyny, który ich w jednéj chwili wyratował z niebezpieczeństwa. Sam tylko Jerzy patrzył na tę radość z pochmurném czołem, jakoż rzekł zaraz do Sieniawskiego dosyć surowo:

— No, panie hetmanie, kiedy mam zostać, to nie traćmy czasu naprożno. Zginiem to zginiem, mniejsza tam o to, lecz żeby hańba nie wyrosła na naszych grobach!

— I czegóż ty chcesz znowu, mój Jerzy? zapytał hetman.

A na to Jerzy:

— Chcę pana hetmana bronić zdrowiem i życiem, ale nie chcę go bronić utratą czci i zacności. Dlatego proszę przedewszystkiém, ażeby Baudycz wyciągnął z miasta.

— Ale wyciągnie, wyciągnie i bez naszego rozkazu. Właśnie ma dzisiaj być z pożegnaniem.

— A jak tylko Baudycz wyciągnie, — mówił daléj Jerzy, — to i my się wyniesiem i pojedziemy do Brzażan. A czego jegomość masz siedzieć we Lwowie? czy chcesz koniecznie być ludzkim językom na celu? czy doczekać się pory, w któréj Fleming czegoś zażąda od ciebie i występek popełnisz? czy doczekać się tego, żeby konfederaci postawili jakie żądanie do jegomości i żebyś im ich odmówił?

— No, bądźno spokojny, — rzecze mu hetman, — bo już i ty mnie masz za nieprzyjaciela. Dla Fleminga nic ja nie zrobię, bo go też nienawidzę, a żebym coś zrobił dla konfederatów i jeszcze jawnie dotego, nie wymagajże proszę odemnie, bo to nie mojarzecz. A zresztą, czyż-to nie dosyć już tego, co ty dla nich robisz?...

— Co ja dla nich robię? — zapytał Jerzy, — nie wiedząc sam, jak ma to rozumieć.

Ale hetman się na to uśmiéchnął i rzekł:

— A ty myślisz, że ja nic nie wiem?

Uśmiéchnął się także i Jerzy, lecz dodał z powagą:

— Ej! lichoby stała podobno ta konfederacya, gdyby każdy dla niéj tylko tyle uczynił, co ja.

— A! tego nie wiem, bo trzaby o to pierwéj wyegzaminować komendy, — powiedział hetman z uśmiéchem i zaraz dodał: — Ale już tam rób sobie jak chcesz, co mi tam na tém! Jeżeli to tylko tobie pomoże, i owszem.

— Nie mnie to, panie hetmanie, pomoże, ale krajowi.

— A mnie? — zapytał hetman.

— I jegomości pomoże, i pomogłoby jeszcze daleko więcéj, gdyby się jeszcze więcéj zrobiło.

— Jeszcze więcéj! — rzekł hetman i dodał po chwili, — już ja cię, jak widzę, nie rozumiem zupełnie. No, ale niech już tak będzie, kiedy nie można inaczéj. Nie idzie mi o twoję politykę, jeno o twoję osobę; przyjdzie czas, że i w polityce się może zgodzimy.

Jerzy westchnął na to z głębi serca i rzekł:

— O! gdybyśmy się zgodzili choć w części!

— To coby było? — zapytał hetman.

— Byłoby to, — odpowiedział Jerzy z zapałem, — że do dwóch tygodni skończylibyśmy tę krwawą wojnę domową, a potém, po przywróconym spokoju, stanęlibyśmy piérwsi na téj jedynéj drodze.

Słuchał go hetman z dosyć przychylną uwagą, a pomyślawszy, rzekł:

— Może ty masz w tém i racyą, bo rzeczywiście nic tam zrobić nie można, gdzie siły są w rozstrzeleniu. Ale miéjno tylko cierpliwość; niechaj te wichry się uspokoją, to może i my pomyślimy o czémś takiém, coby po nas zostało.

Wszakże z tych zacnych myśli, jak to prawie zawsze bywało u niego, wpadł znów na siebie i zaczął się skarżyć, że śród tych zawichrzeń domowych nietylko ściągnął na siebie nienawiść pewnéj części narodu, ale nawet i przyjaciele najbliżsi, jako Potoccy, Lubomirscy, Wiśniowieccy i inni, także go opuścili. Ujęty tą serdecznością, Jerzy jak mógł tak go pocieszał i zaręczał mu, że aby tylko zmienił swoje dwuznaczne postępowanie, to się z nim naród bez trudności pogodzi, i przyjaciele powrócą i wszystko się zmieni na dobre.

A kiedy tak hetman miast już zapowiedzianéj zgryzoty znalazł w Jerzym jeszcze nową pociechę, to i chciał mu ją wynagrodzić; jakoż dnia jeszcze tego samego przyniósł mu sam do jego kwatery patent na generalstwo i szkatułę z darami w klejnotach i złocie. Patent pozostał, bo już był ogłoszony rozkazem dziennym, ale szkatuły Jerzy nie przyjął, prosząc hetmana jaknajusilniéj, ażeby to zostawił na późniéj. Przykro to było Sieniawskiemu, ale mu Jerzy powiedział wyraźnie:

— Niech tylko generał Baudycz do jutra, a my do dni kilku wyniesiemy się ze Lwowa, to będzie to dla mnie dar najcenniejszy.

Jakoż Baudycz istotnie nazajutrz rano wyciągnął ze swojém wojskiem ze Lwowa, a hetman postanowił sobie niezmiennie wyjechać do Brzeżan we wstępną środę. Lecz lubo ten termin wyjazdu był już tak blizkim, jednakże trudno zaręczyć, ażali w tych naglących okolicznościach nie okaże się jeszcze zapóźnym.

XVIII.

Albowiem już dnia tego samego, kiedy generał Baudycz wyciągnął z miasta, pojawiło się na ulicy Krakowskiéj jakichś dwóch ludzi. Dzień się już chylił ku wieczorowi i śniég padał wielkiemi płatami, przysypując wyślizganą gołoledź, a więc i niebardzo ich można było rozpoznać; jednakże już na piérwszy rzut oka nie trudno się było domyśléć, że nie byli to ludzie miejscy, lecz obcy. Obadwa bowiem mieli burki kudłate na sobie, buty wysokie z ostrogami na nogach, a na głowach czapki futrzane z uszami. Jeden z nich był słuszniejszy, nos miał potężny i wąsy jak rogi jelenie; drugi zaś nizki, straszliwie brzydki, z głową ogromną i barkami przygarbionemi tak bardzo, że jak garbaty wyglądał. Kto tedy zblizka im się przypatrzył, a znał ich kiedy, to i poznał nareszcie: że ów słuszniejszy był to jmć Piotr Wiszowaty, a ten przygarbiony, jmć Jan Domaradzki, co to go zwano Murzą tatarskim. Tak tedy szli, podpiérając się czekanami, bo chociaż mieli buty kowane, jednak się bardzo ślizgali — a szli pod mury, zatuliwszy się w burki, nic się nie oglądając ani mówiąc do siebie, właśnie jak gdyby się obawiali, ażeby ich kto znajomy nie poznał. Lecz kiedy doszli do trynitarskiego kościoła, który się właśnie wtedy murował, rotmistrz przystanął, zatrzymał Murzę, obejrzał się po kamienicach i rzekł:

— Kamienica Bakerowa, o trzech kondygnacyach, trzy okien z frontu, a nadedrzwiami Baranek Boży z kamienia. Otóż i jest! jeśli to tylko baranek...

— Jużci baranek, — odpowie Murza.

Zaczém przeszli obadwa na drugą stronę, obejrzeli kamienicę

dokładnie, a znalazłszy ją wedle opisu, weszli do sieni. Tam przystanąwszy w ciemnicy, rzecze rotmistrz do Murży:

— No, idę ja do majora, a waść między Tatary. Tylko się tam rozmów z nimi finalnie i weź od nich jurament na wszystkie bożki tatarskie, bo to naród zdradziecki. Zaczém téż nie zapomnij i reszty i o Kozaków się dobrze wypytaj, a kiedy się da co zrobić, to zrób i przyprowadź kilku ze sobą...

— Jużci ja o tém pamiętam, — odpowie Murża.

— Terazże zasie pamiętaj, — mówił daléj rotmistrz, — że się zejść mamy u Dominika, jak téż i o tém, że ja od majora pójdę do sufragana; więc choćbym tak prędko nie przyszedł, to niémasz się czego obawiać...

— Już ja i o tém będę pamiętał, — powiedział Murża, — ale trafiszże waść do Dominika? być to już dawno we Lwowie nie bywał.

— Ale o! przecie trafię. Przy téj połaci rynku, pod którą się idzie ku bramie halickiéj, trzecia kamienica od rogu: Dominik Grzybek.

— Otóż tak jest, — rzecze Murża i na tém się zaraz rozeszli. Murża poszedł w stronę Leibhausu, kędy stały chorągwie tatarskie — a rotmistrz na piérwsze piętro, gdzie mieszkał jmć Brześciański, major dowódca grenadyerów konnych.

Domacawszy się z wielką biédą wschodów i wydrapawszy się po nich na górę, musiał tam znowu drzwi macać, ile że ciemno było w tych sieniach, jak w garnku. Jakoż byłby się może i nie domacał, gdyby nie to, że w krótkiéj chwili ktoś drugi wyszedł za nim na górę, a słysząc tę macaninę, zawołał:

— A kto tam się tłucze, jak Marek po piekle?

— Albo co waści do tego, — odpowie rotmistrz, przecie nie złodziéj.

— Héj! czy nie Piotruś? — zawoła głos na to.

— A jużci Piotruś. A to ty Stasiu?

— Jużci ja, jeno cicho, — odpowie major, bo i on to był w rzeczy.

Jakoż zaraz sam poszedł naprzód, otworzył drzwi od swojéj komnaty, a wpuściwszy za sobą rotmistrza, zamknął je na klucz: poczém wykrzesał ognia, zapalił świécę i pokazał się swemu gościowi we świetle. A był to chłopek prawie maleńki, jeszcze nie stary, ale barczysty, twardo stojący na nogach, jakoż i zadzierżysty, jak to zazwyczaj bywają mali. Więc obaczywszy się wzajem, zaraz się wzięli w ramiona i uściskali serdecznie, a major rzekł:

— Patrzajże, jak to dobrze żem przyszedł. A byłem na kompanii u naszego sędziego i bardzośmy się pięknie bawili; ani mnie puścić nie chciano, bo to tam imieniny: ale mnie tak coś swędziło, żeby koniecznie wrócić do domu. Otóż i wiem teraz dlaczego. Siadajże sobie, kochany Piotrusiu, a opowiadaj co jest,

bo my tu ledwie wytrzymać możemy. Stanęłaż jaka decyzya pomiędzy wami, albo téż nie?

Na to zaś rotmistrz:

— Siadać nie będę, bo mi się śpieszy do sufragana, do którego mam poselstwo od pana Michała. Potém tu wrócę i opowiem wszystko co zechcesz, jeszcze i ciebie o to i owo wypytam, bo nam się trzeba namówić. Teraz więc krótko. Decyzya jest. Idziem na Lwów, a za Bożą pomocą odprawim razem dni Bachusowe.

— No, chwałaż Bogu! — zawołał major, trąc ręce, a nie mogąc ustać na miejscu z radości, — a cóż z hetmanem?

— Hm! — rzecze rotmistrz,—siłaby mówić, a nie mam czasu. Jeszcze więc lukta jest o to, ale jakem Piotr Wiszowaty, naprożno! Bo już tak jest: albo ja jego, albo on mój, na tom uczynił ślub w Częstochowie i na dno piekła mi iść, kiedy go nie dotrzymam. Ale z tém cicho nateraz. Powiadajże mi, kędy mieszka sufragan?

— A to Rupniewski?

— Jużci Rupniewski.

— Chodź, ja cię zawiodę, — rzecze mu Brześciański,—z czémże ty idziesz do niego?

— Jak wrócę i to ci powiem.

— A kiedyż wrócisz?

— Prosto od niego.

— Chodźmyż więc prędko, jeno się strzeż tytułować go sufraganem, bo został przecie biskupem.

— A jakim?

— Jakim tam... już nie pomnę, bo to gdzieś w ziemi murzyńskiéj. Łykopolskim podobno, czy Nikopolskim, czy jakoś tak; ale biskup rzetelny, nominowany przez Ojca św., samem mu przecie winszował.

A tak mówiąc, byli już na ulicy, a Brześciański prowadził rotmistrza na plac katedralny, gdzie w jednéj z kapitulnych kamienic mieszkał ks. sufragan Rupniewski. Tam się tymczasem żegnali, a major rzekł:

— Bądźże zdrów, mój Piotruniu, a nie baw się długo, ja tu zaczekam na ciebie przed kamienicą. A kiedybym umarzł, to pobiegnę do domu...

— Słuchaj Stasieńku, — rzecze mu rotmistrz, — a nie mógłbyś ty pójść sobie do Dominika i tam na mnie zaczekać? Przyjdzie tam także i Murza...

— I Murza tam będzie? — zapytał major, radbym ja poznać tego Murzę, bom już niemało się o nim nasłuchał, a rzeczy dosyć ciekawych. Ale się boję, żeby on tam nie naprowadził rozmaitego żołniérstwa, z którymi mi się fraternizować nie godzi, zwłaszcza w tak delikatnéj materyi. Ja swoje zrobię jak Bóg na niebie,

parol to parol; ale jakby się rzecz wydała przed czasem, więcby to zasię było trochę paskudztwa.

— Et! śmiéj się z tego! — odpowie rotmistrz, — właśnie téż czas jest się obawiać, zwłaszcza takiemu, co ma cały regiment pod sobą.

Pomyślał tedy major nad tém i rzekł:

— No to cię czekam u Dominika, lecz nie w winiarni, tylko w jego własném mieszkaniu.

A tak się zaraz rozeszli.

Kiedy się rotmistrz wywindował po wschodach na górę i wszedł do antykamery, miał trochę kłopotu z marszałkiem dworu, który na nieszczęście się znalazł w antykamerze i nie chciał go wpuścić, zwłaszcza że rotmistrz tail swoje nazwisko. Powiadano mu, że ks. biskup się teraz ubiéra, bo ma wyjechać do pana sędziego w gościnę. Przecież nareszcie po odwołaniu się do samego biskupa, który choć o północy był dla każdego przystępnym, wpuszczono go do pokojów. A tak zaraz wszedł do wielkiéj komnaty, obwieszonéj ciemnemi obrazami i kotarami do koła, bardzo poważnéj, a oświéconéj dwiema jarzącemi świécami.

Lecz ks. sufragan stał już na środku komnaty, — a był to mąż słuszny wzrostem, dosyć otyły, bo téż i wiekiem także poważny. Twarz jego była pociągła, nos równy, oczy duże jasnego koloru, usta prawie wciąż uśmiéchnione, toż i wejrzenie dziwnie łagodne i ujmujące. Na sobie miał szubę lekką z czarnego atłasu, piękném futerkiem podbitą i obłożoną, na głowie małą piuskę, a w ręku trzymał rożek z tabaką, którą namiętnie zażywał. A tak nietylko poważnie, ale nawet wspaniale wyglądał.

Obaczywszy tedy jmć Wiszowaty taką personę przed sobą, pokłonił się nizko i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Pan Jezus.

— Na wieki wieków, — odpowiedział sufragan, przypatrując mu się ciekawie, a widząc, że to ktoś nieznajomy, zapytał zaraz:— kogóż mam honor powitać?

A rotmistrz na to:

— *Półtrzecia krzyża a pióro.*

Więc tedy biskup zaraz się na to uśmiéchnął i rzekł trochę raźniéj:

— A witajże mi waszmość! otóż to mi gość pożądany. A już téż czekam na was w największéj niecierpliwości. Ale to waść zdrożony, a spragniony, a głodny. Héj! mości marszałku!

A to mówiąc, szedł ku drzwiom; ale rotmistrz mu drogę zastąpił, sumitując się, że nie jest ani spragniony, ani téż głodny:

— A zresztą, — mówił, — jeszcze czas będzie na to.

A to może choć wina kubeczek,—przerwał gospodarz uprzejmie, — to nie zaszkodzi, owszem, pomoże. Ot! wiész waszmość co, kiedy mi tak zacny gość przybył, to i ja się napiję, byle czego

dobrego; a przecież to zapust kończymy, daj Panie Boże szczęśliwie!

Więc się zaraz do marszałka obrócił, który już przyszedł i rzekł:

— A przynieśno nam waść buteleczkę koadjutora i ten piernik toruński do tego, co mi go dzisiaj przynieśli panowie miejscy. A drzwi proszę zamknąć i już nie wpuszczać nikogo...

Więc w oka mgnieniu przyniesiono opleśniałą butelkę wina, z któréj gdy biskup sam własnoręcznie nalał i swój kubeczek do ust przytknąwszy, odjął napowrót, rzekł do swojego gościa:

— A to jest wino, którem sam sobie sprowadził, kiedy jeszcze byłem wikarym w Krakowie i dałem na przechowanie do piwnicy ks. koadjutora. Jakże smakuje?

— Jw. panie, — odpowie rotmistrz jako znawca prawdziwy,—specyalik to sobie nielada. Powiedziałbym, że już najmiéj z pięćdziesiąt lat temu, kiedy jegomość byłeś wikarym, a już i wtedy musiałeś miéć z pięćdziesiątkę, kiedy umiałeś taki wybór uczynić.

Śmiał się tedy sufragan i mówił:

— Cieszę się bardzo, żem waszmości w smak trafił, zwłaszcza że to zapewne nie lada żołniérz ba i człowiek być musisz, kiedy cię pan Michał z takiém poselstwem przysyła. Jakoż pogadamy sobie uczciwie.

To mówiąc, posadził zaraz rotmistrza w krześle wygodném, a sam siadłszy naprzeciw niego i patrząc pilnie w twarz jego, tak się odezwał:

— Powiédzże mi waszmość najpiérwéj, kogóż to tedy pan pisarz takiém zaufaniem obdarza?

A rotmistrz na to:

— Jestem Wiszowaty, herbu Roch, a rotmistrz jeszcze za króla Jana. Mam téż jakąś posiadłość nad Dniestrem, ale tymczasem od lat trzydziestu pan na kulbace.

— Wiszowaty?—rzecze mu zacny prałat z uśmiéchem, a czy nie brat to będzie waszmości, który miał Moskorzewską? W takim razie waszmości Piotr będzie na imię.

— A jużci tak.

Więc tedy kiskup spojrzał na niego, uśmiéchnął się i pogroziwszy mu palcem, rzecze mu to:

— Ej! panie Piotrze! wielki to z waści bałamut. Były tu skargi u mnie na waści.

— A to za co? księże biskupie.

— Za co? — odpowie biskup i otworzywszy rożek, zaczął zażywać tabakę. A zażywając, przypatrywał się rotmistrzowi, czém mu niemałe zadawał męki, lubo się przytém uśmiéchał. Jakoż po chwilce dopiéro rzekł: — Była u mnie, powracając do swojéj ojczyzny nad Nidę, Woroniecka kniahini, co to z domu Janiewska, a krewna Bobrownickiego Jana. Czy znasz jegomość tę damę?

Więc tedy rotmistrz jakoś w ziemię się wpatrzył i milcząc, wąsów sobie poprawiał. A biskup na to:

— Już tedy wiész, o co chodzi.

— Jużci wiem, — rzecze rotmistrz, — aleć to jak widzę, dziwnie jest niecierpliwie kobiéta!

— Cha, cha, cha! — rozśmiał się biskup i mówił, — a toż to panie bracie, *ni fallor*, dziewięć lat czeka na ciebie!

A rotmistrz na to:

— Prawda to, jw. panie, że się ta sprawa odwleka, ale jakem człowiek uczciwy, tak nie moja w tém wina.

A tu się zaraz usprawiedliwiał tém samém, co niegdyś gwardyanowi mówił na drodze, kiedy jechał do Murży. A potém dodał:

— A nareszcie i to trzeba uważać, że zawsze to sprawa publiczna jest piérwsza, niżeli wszystkie kniahinie. Czekam ja, niech téż i ona zaczeka.

— No, toż ja o tém nie mówię — rzecze mu biskup, — co się stało, nie twoja wina. Jeno to chcę powiedzieć, że ta konfederacya kiedyś się przecież za łaską Bożą zakończy, a potém już nie będzie żadnéj przeszkody, bo przecież brat waszmości odebrał już posag od Moskorzewskich, a wieś jest już próżną. Więc żeby to na to, panie bracie, pamiętać. Z czém obstaję niekoniecznie dlatego, że jéjmość księżna jest mi powinowatą, ale że widzę z jéj listów, jak serdecznie tęskni za tobą i jak żywo pragnie, ażebyś się do niéj powrócił.

— Doprawdy? — zawoła rotmistrz, — pisała o tém do jegomości?

— Mogę pokazać listy.

Więc tedy rotmistrz bardzo się nad tém zamyślił, a jako był miękki na sercu, tak się téż spłakał zaraz jak bóbr. Poczém rzecze jeszcze przez łzy:

— No, toż to w rzeczy poczciwe są babska te nasze, jeno my tacy hultaje, że i spojrzéć na nas nie warto!

Widząc to prałat, lubo miał twarz uśmiéchniętą, jednak się tém rozczulił i zaraz wstał i pocałował rotmistrza w głowę. A tak już wiedząc, z kim ma do czynienia, zabrawszy napowrót dawne swe miejsce, tak zaczął:

— No, idźmyż teraz do naszéj sprawy. — Więc tedy pan pisarz już się zdecydował, co widzę ztąd, że mi przysłał waszmości, jak było umówiono pomiędzy nami. Jakżeście teraz postanowili?

A na to rotmistrz:

— Już to nie myśmy postanowili, jeno sam generalny marszałek, jak to pismo przekona.

A to mówiąc, wydobył z swojéj czapki futrzanej zwitek papiéru, który podał sufraganowi. Ten go odebrał, rozwinął zeń cały arkusz, po którym zaraz poznał, że to był urzędowy ordynans

marszałka konfederacyi, jakoż go z wielką uwagą odczytał. Zaczém go położywszy na stole, pomyślał trochę, a potém rzekł:

— „Zdobyć Lwów i wziąć w areszt hetmana!"— Na piérwsze zgoda bez żadnéj kwestyi, bo trzeba wziąć tę spelunkę, gdzie się tak ustawiczne knują przeciwko konfederacyi spiski, ale nad drugiém godziłoby się zastanowić cokolwiek...

— Dlaczegóż to, księże biskupie? czy dlatego że hetman?

— Hetman to mniejsza, — odpowiedział sufragan, — ale to przecie i kasztelan krakowski; zawsze ja się obawiam, żeby to nie szkodziło. Powiédzże mi waść, proszę, czy jest na to zgoda w radzie pana pisarza?

— Prawdę mówiąc, powiedział rotmistrz, — są téż i sprzeczni, a najbardziéj brat pisarzowski, starosta bełzki.

— Cóż mówi?

— Ot! jak to on sobie zwyczajnie! Powiada że się obawia, ażeby to kiedyś nie utrudniło zawarcia umowy, więc żeby za to przy spisywaniu traktatu nie trzeba zapłacić czém droższém. Broni téż jmć starosta hetmana,— powiadał daléj rotmistrz, patrząc uważnie w twarz sufragana. Ale sufragan przerwał mu zaraz, mówiąc:

— Ja go nie bronię, uchowaj Boże! i świadczę się Bogiem, że go bronić nie mogę. Z początku było to jeszcze jako tako, zwłaszcza do tego czasu dopóki Ożarowski miał jakie takie wpływy na niego, ale...

— Powiédzże mi jegomość, — przerwał tu rotmistrz porywczo, — cóż to ten Ożarowski?

— Ożarowski?—powtórzył prałat,—Ożarowski jest moim krewnym, bo rodzi mnie Ożarowska.....

— I moim także jest krewnym, — rzekł rotmistrz, — bo przecież jego matka jest mi stryjeczną, ale mimo to ja powiadam, że wielki to zdrajca ten mój krewniaczek.

— A ja tego nie powiem, — rzarzucił biskup; — nie mogę ja wprawdzie wytłumaczyć niemylnie, co go tam trzyma przy tym Sieniawskim, bo mi się nigdy z tego nie wyspowiadał, ale to różne być mogą powody. Chęć usłużenia krajowi z pod skrzydeł buławy wielkiéj, widok na prędszą za jéj pomocą promocyą, a wreszcie może jeszcze co nadto i to podobno najpewniéj...

— Jegomość myślisz o hetmanównie? — zapytał rotmistrz.

— Oh! ja nie myślę, — odpowiedział sufragan, zażywając tabakę,— ale on może myśli.

Więc tedy rotmistrz roześmiał się na to serdecznie i ścisnąwszy za kolana prałata, rzekł:

— A jegomość sobie krotochwilny troszeczkę, jako Pan Bóg poczciwym ludziom przykazał. Hej! i jam to był krotochwilny niegdyś i jeszcze będę, niechno się jeno te ważne sprawy pokończą. Ale i tak nie trza tracić fantazyi, bo przecież jakoś to będzie.

I zaraz na to połknął cały kubeczek wina. A potém rzekł:

— Ożarowski, widzisz jegomość, może to w gruncie serca i niezłe jakie chłopczysko. Potłukł on w miazgę Fleminga, kiedy jeszcze był pacholęciem, i tak rozumiem, że wiele grzéchów będzie mu za to odpuszczonych u Pana Boga. Ale potém wyprawiono go w kraje zamorskie, a ztamtąd rzadko kiedy co podobnego powraca. Mówiłem ja to zaraz natenczas: albo człek z niego wróci jak trzeba, albo i diablę niemieckie. Otóż i tak to podobno się stało. Jeszcześ do tego jak wpadł w ręce swojéj matuli, a potém w pazury hetmana, tak mu i łeb wywrócili na nice. Jaćbym go jeszcze bronił, moja to krew, ma miéć rozum wyszlifowany jak brzytew, powiadają że z owych tam Granowszczyków taki pułk wysztyftował, jakiego jeszcze nie było, a potém, kiedyż się ma człek bałamucić, jeżeli nie za młodu, ale co to pamożeł ja nie starszyzna, a u starszyzny już tam inny dekret zapadł na niego. A kiedy dekret, to i przepadło. Ja go i ostrzedz nie mogę, ba gorzéj, bo i sam spełnię ten dekret kiedy rozkażą,.. bo co służba, to służba.

— A cóżeście tam zdeklarowali na niego? — zapytał nie bez obawy sufragan.

— A cóżby? nic. Pójdzie w niewolę z hetmanem, a kiedyby się chciał bronić, to i głowę się utnie.

— No, — rzecze na to biskup, — wątpię ja, żeby się tam kto bronił na zamku. A zresztą obaczymy to jeszcze. Pomówmy piérwéj o tém, jak to myślicie wziąć się do Lwowa? boć to rzecz główna.

— Otóż o to tu chodzi najwięcéj, — odpowie rotmistrz, — bo téż i po to mnie tu wysłano do jegomości. Jest więc i w tém pewna niejedność. Pan pisarz chce, żeby się dostać sztuką do miasta, opanować je nagle, a hetmana wziąć gołą ręką; zaś jmć starosta, lubo tak młody lecz rygorysta surowy, przeciwi się temu. Tedy pan pisarz za swojem *votum* daje tę racyą, iż tym sposobem jaknajmniéj krwi się przeleje, o co jako katolikowi bardzo mu chodzi. Starosta zaś mówi, że gdzie jest wojna, tam krew płynąć musi, a wzięcie miasta sztuką jest zdradą, ktorą on chce miéć w obrzydzeniu do śmierci. Tak tedy lukta jest w samém wnętrzu naszego koła, bo jedni trzymają z starostą, a drudzy zasię z pisarzem. Jużeśmy téż tę sprawę puścili byli na *vota*, ale cóż jegomość powiesz na to, *paritas* padła. Siedem za starostą, siedem za pisarzem, co téż i dziwna jest rzecz. Otóż nie mogąc tego rozsądzić, a nie chcąc obciążać niczyjego sumienia, uradziliśmy posłać z zapytaniem do sług kościoła, oddając się im pod sąd. Tak więc wysłano mnie z tém do jegomości, jako naszego wypróbowanego już przyjaciela i dobrodzieja, a jak tam w Imię Boże rozkażesz, tak i zrobimy.

Więc zacny prałat, wysłuchawszy go z wielką uwagą, tak odpowiedział:

— Bardzo waszmościom dziękuję, nie za to, żeście mnie na

sędzię obrali, lecz za to, żeście po staremu tacy nabożni i nie chcecie obciążać waszego sumienia bez rady tych, którzy od Boga postanowieni jego stróżami. Jakoż ztąd tuszę, że wam Bóg nie odmówi swéj łaski i w téj imprezie poszczęści. Weźmiecie Lwów — i ledwie kilka kropelek krwi padnie! Ale trza iść za moją decyzyą. A ja decyduję, że pan pisarz ma racyą. Ja już wiem, jaki ma projekt pan pisarz, bo mi o nim powiadał, kiedyśmy się widzieli w Rawie. To nie jest zdrada, a jeśli który ma ją za taką, to ja mu naprzód daje *absolutionem!* I jeszcze więcéj. Albowiem od dnia jutrzejszego każę odprawiać nabożeństwo po wszystkich kościołach, ażeby się ta impreza udała i żeby się przy niéj jaknajmniéj krwi katolickiéj wylało. A to waszmość zanieś panom braci odemnie i pokłoń im się i powiédz, że w niedzielę czekam ich ze mszą św., potém z obiadem, a na nieszpór już oni sami zadzwonią.

Więc tedy rotmistrz był bardzo kontent, bo téż sam był takiego zdania, jakoż już zaczął biskupowi dziękować, a biskup na to:

— Ale poczekajno waszmość, bo jeszcze tu trzeba o tém pogadać. Zrobiliście już co z żołniérzami? bo żeby to potém nieporozumienia nie było, z czegoby mógł wyniknąć jeszcze daleko większy krwi rozlew, niżeli przy samym szturmie do bram i na mury. No, Brześciański jest wasz, o tém wiem, a Tatarzy?

— I Tatarzy są nasi, i Kozactwo także jest nie od tego, o czém właśnie dziś będzie mowa.

— No, to zostaje sam Campenhausen. Ten się namówić nie da, a ma przecież około tysiąca ludzi.

— Jw. panie!—rzecze mu na to jmć Wiszowaty,— z Campenhausenem nie będzie tak trudna sprawa. Bo najpierwéj jest tam u niego dwie chorągwi husarskich, które są nasze. Powtóre jeden pułk pieszy z jego komputu stoi na nizkim zamku i jest pod komendą Ożarowskiego. Nie pozostanie mu tedy więcéj jak pięćset ludzi, a ci jeżeli odrazu broni nie rzucą, to dostawszy w kark raz i drugi, prędko się do tego namyślą.

— Raźnie to waść wojujesz,—rzekł na to prałat,—no! aleć to tak się dzieje. Jakoż i ja w to wierzę i jestem całkiem spokojny. Jedna rzecz tylko jeszcze mnie smuci i tak rozumiem, że trzeba to jakoś koniecznie.....

A to mówiąc, wstał z miejsca, wziął ów ordynans Ledóchowskiego powtórnie do ręki i jeszcze raz go odczytał. Poczém w milczeniu przechodził się po komnacie, a po chwili tak mówił:

— Pan Ledóchowski człek mądry, nie mnie się z nim mierzyć rozumem. Pan Ledóchowski mąż zacny, złożył już tego monumentalne dowody. Pan Ledóchowski wié co zamierza, kiedy każe wziąć w areszt hetmana. Ale przecież ja śmiałbym powiedzieć, że niekoniecznie tam trzeba aresztu, gdzie może i lżejszy środek wystarczyć. Hetman jest człowiek śledzienny, przytém lekkiego sumienia, a nakoniec i niestateczny, to wszystko prawda; ale

przecież należałoby się spodziéwać, że dawszy parol, możeby go dotrzymał...

Słysząc to, rotmistrz zerwał się z miejsca; jednak w oka mgnieniu się zreflektował, usiadł napowrót i tylko wąsa poprawił. A jako frant był kuty na cztéry nogi, rzekł na to:

— No, toż to czas jeszcze będzie o tém pogadać, wszakże będziemy u jegomości w niedzielę.

Ale znający ludzi sufragan poznał się zaraz na tém frantostwie i pogroziwszy mu palcem, zauważył z uśmiéchem:

— Ej! panie Piotrze! a waść podobno jeszcze bardziéj na hetmana zajadły, niżeli pisarz.

A rotmistrz na to:

— Prawdę mówiąc, mości księże biskupie, obaśmy sobie z panem pisarzem w tém równi.

— Ja téż to widzę, — rzecze mu biskup, ale powiadam waści otwarcie, że tego nie chwalę. Bo najpierwéj się boję, ażeby takie rzucenie się na piérwszego senatora nie dało złego przykładu na potém, i żeby zasię z takich przykładów nie wybujały kiedyś podobne sprawy, jakim w niedawnych czasach Angielczyk Kromwell przewodniczył w swym kraju. A powtóre, lubo wiem o tém, że chwilowa niewola hetmanowi nic nie zaszkodzi a naszéj sprawie pomoże, przecież się boję, ażeby przy samém przyłożeniu ręki do jego osoby nie przyszło do jakiéj krwawéj herezyi, którąby potém na nasz karb zapisano w historyi.

— Jw. panie!—powiedział rotmistrz,—człek robi co powinien, a już sam Pan Bóg kieruje skutkami.

— Widzisz waść, widzisz, — zawołał biskup, — jak mnie tém niepokoisz! A jeszcze to tam przytém będzie i nasz Ożarowski..... A ja tobie ręczę, że Ożarowski jest najgorliwszym przyjacielem konfederacyi. Mówiliśmy o tém niejednokrotnie i sam na to patrzyłem, jak on hetmana od tych i owych dla nas szkodliwych kroków odmawiał. Wiem nawet z pewnością, iż o przyjęcie Baudycza poróżnił się ze Sieniawskim i miał mu w tych dniach podziękować. Żebyż go Pan Bóg natchnął i żeby to zrobił! A tu biéda z tém wielka, że trudno go nawet o tém niebezpieczeństwie uprzedzić.....

— Jw. panie! — zawołał rotmistrz, — czy nie myślisz tylko jegomość doprawdy Ożarowskiego uprzedzać? A toby było! Jegomościbyś może jednego chłystka uratował z niewoli, w któréj i tak długo siedzieć nie będzie, a pogubiłbyś ludzi tysiące. A przecież ja także jestem mu krewnym, ale ani mi się śni o tém.

Więc tedy sufragan chodził po komnacie przez chwilę i myślał. Bardzo téż przytém często zażywał tabakę i piuskę poprawiał, widać że myślał mozolnie i niecierpliwie. Lecz w końcu rzekł:

— Nie. Taki masz waszmość racyą. Bo chociażbym ja jemu

co do hetmana zaufał, to znowu hultaj kocha się w Zosi, a téjby to pewnie powiedział.

Zaczém rotmistrz swobodnie odetchnął — i więcéj już o tém mowy nie było. Potém więc rozmawiali jeszcze przez chwilę o saméj konfederacyi, z któréj szczegółów nowszych rotmistrz zdawał sprawę sufraganowi; lecz przypomniawszy sobie, że jego koledzy czekają u Dominika, a to już było około godziny dziewiątéj, zaczął się żegnać z prałatem.

— Więc tedy,—rzecze prałat,—i bardzo proszę, aby oszczędzać krwi ile możności, a że za taką sztukę grzéchu nie będzie, ja ręczę. Jakoż czy tam za pozwoleniem hetmańskiém, czyli bez pozwolenia, jeżeli inaczéj nie będzie można, czekam was ze mszą św. w niedzielę.

A rotmistrz na to:

— Że nie omylimy, to pewna, jeno za dzień nie zaręczam, bo to już zależy od samego pana Michała. Dzisiaj mamy już piątek, nie wiem tedy ażali zwiniem się do niedzieli, bo jeszcze jest do zrobienia i to i owo. Może tedy aż w poniedziałek.....

— No, to niechże będzie i w poniedziałek, a choćby nawet we wtorek, byleby się to stało jak orzech zgryzł, czego życzę z całego serca.....

Tedy rotmistrz jeszcze raz się pożegnał i odszedł.

I szedł prosto do Dominika. Błąkał się po katedralnym placu jakby po puszczy, bo ciemno było choć oko wykol, raz więc był koło kościoła, to znów koło domów: przecież nareszcie domacał się do rogu rynku, a ztamtąd i nietrudno było mu trafić, bo była to trzecia kamienica od rogu, wisiała przed nią wiécha z choiny, a przy niéj barwista latarnia. Wszedł tedy do sieni, a ztamtąd do izby szynkownéj, gdzie przy szynkwasie siedział Dominik Grzybek, mąż otyły i ciężki, niegdyś sługa pisarzowskiego domu, potém żołniérz w jego chorągwi i towarzysz jego wygnania; dziś ożeniony z mieszczką bogatą, szynkarz winny najpiérwszy, ba i mieszczanin stolicy. Znał go rotmistrz od niepamięci, a lubo od bitwy pułtawskiéj stracił go był z oczu, toż temi czasy znów go odszukał, bo od czasu zawiązania konfederacyi, Dominik często do obozu swego dawnego pana przyjeżdżał i zdając mu relacye, co się dzieje we Lwowie, załatwiał czasem niektóre sprawy pomniejsze. Zawitał go tedy rotmistrz jak swego i rzekł:

— Jak się masz, panie łyczaku! ej! toż to wyglądasz za tym szynkwasem, jak Bachus na beczce. A snadna to rzecz żołniérzowi zamienić szablę na miarkę?

— Panie rotmistrzu dobrodzieju! — odpowiedział Grzybek, — pięknie służy się szablą, ale na czas można téż nieźle posłużyć przy miarce.

— Prawdę mówisz, — rzekł rotmistrz, — kto ma serce poczciwe, może zewsząd dobrze posłużyć. A są tam moi?

— Są, panie rotmistrzu, i bardzo niecierpliwie na waszmość czekają.

— Prowadźże mnie do nich co prędzéj.

Tedy go Dominik zaraz i wprowadził na wschodki, a po nich do izby dosyć obszérnéj, w któréj już zastał tych wszystkich, których się spodziéwał, ba i nadto coś jeszcze. Oprócz bowiem Brześciańskiego i Murży, był Ułan rotmistrz tatarski i drugi Tatar znaczniejszy, dwóch oficerów kozackich, Rzeczycki kapitan od piechoty i porucznik Sołomka, Radomicki porucznik chorągwi husarskiéj, tatarów namiestnik i Borejko chorąży, a oprócz nich jeszcze i mniejszych cokolwiek, całém sercem konfederacyi przyjaznych i rotmistrza, jak zbawcę swego wyczekujących. Pili wino pomiernie i naradzali się milczkiem; lecz kiedy rotmistrz wszedł do nich, głośnym go powitali okrzykiem, bo wszyscy go szanowali i prawie jak drugiego pisarza kochali, chociaż niektórzy znali go tylko z imienia. Więc tedy rotmistrz zasiadł zaraz pomiędzy nimi i rozpocząwszy bardzo poważną i szczegółową naradę, aż do północy ich wszystkich zatrzymał.....

Poczém wraz z Murżą, odprowadzony przez jednego z kolegów za bramę krakowską, wsiadł zaraz na koń i jeszcze téj saméj nocy popędził do obozu Potockich.

XIX.

Tymczasem Jerzy, ubezpieczony nowemi obietnicami hetmana co do jego zachowania się względem konfederacyi, był prawie całkiem spokojny. Mając już pewność, że Sieniawski we wstępną środę wyjedzie do Brzeżan, a zatém że już przynajmniéj nie będzie szkodliwym konfederacyi, cieszył się tém nateraz i w téj chwili o niczém dalszém nie myślał. Tak minęła sobota —a w niedzielę miał być obiad u Sieniawskiego, na który był zaproszony ks. Berleam Szeptycki, biskup unicki, i kilka osób z starszyzny duchowieństwa ruskiego.

Ale tymczasem w niedzielę rano, ledwio co Jerzy się ubrał, przyszedł do niego Ułan rotmistrz tatarski i rzekł mu:

— Panie pułkowniku! mury koło bramy bosackiéj spękały w mrozach, a teraz na téj wilgoci zaczynają się rozsypywać. Zaraportowałem to panu Campenhausenowi, a ten kazał mi iść do wmpana i zaprosić go, ażebyśmy pojechali tę lukę obejrzéć.

Ożarowski, który jakoś niebardzo rad był temu zajęciu, rzekł na to dosyć niechętnie:

— A co tam w téj chwili na tych murach zależy! Przecież nie mamy nieprzyjaciela obcego w kraju, a konfederaci nie będą także na nas napadać.

— Kto to wié? panie pułkowniku, — rzecze zdrajca Tatarzyn, — konfederaci miéwają rozmaite pokusy, ot jak to swawolnicy zwyczajnie. A zresztą pan hetman lubi, ażeby wszystko było w porządku. Pan Campenhausen czeka już na wmpana w swojém mieszkaniu. Dzień mamy piękny, a niedaleka to droga.

Więc tedy Jerzy, jako szef kancelaryi hetmańskiéj, nie mógł

nareszcie dawać do niedbałości przykładu i kazawszy sobie dać konia, pojechał z Tatarem do Campenhausena, ztamtąd do bramy bosackiéj, potém i na przedmieścia, gdzie wszędzie przemyślny Tatar umiał ich czémsiś zabawić, — dość że ich na téj przejażdżce zatrzymał ze trzy godziny.

A była to już rzecz umówiona. Albowiem właśnie natenczas, kiedy Ożarowski z Campenhausenem zabawiali się oglądaniem murów koło bramy bosackiéj, — do bramy krakowskiéj zbliżył się pisarz koronny z garścią wojsk swoich i zameldowawszy się oficerowi stojącemu na straży, prosił o wpuszczenie siebie na kilka godzin do miasta. Oficer nie mógł go wpuścić bez ordynansu, ale że także należał do zmowy, wpuścił jego rotmistrza z kilką żołnierzy, ażeby jechał do miasta i prosił sam oto hetmana. Tak tedy wjechał jmć Wiszowaty na nizki zamek i kazał się zameldować hetmanowi.

Hetman pod owę porę już był ubrany i czekając nim jego żona się zbierze, ażeby razem iść na mszą św. do zamkowéj kaplicy, siedział tymczasem w głębokiém krześle i czytał sobie z książeczki modlitwy. Przychodzi na to oficer dyżurny Gwozdecki i opowiada co jest.

— Pisarz podszedł pod miasto! — zawołał hetman, — zrywając się z miejsca, — prośże mi prędko pana Ożarowskiego.

Dopiéro oficer, zawiadomiwszy go najpiérw, że Ożarowski na małą chwilę do Campenhausena pojechał, wyjaśnił dokładniéj sprawę, opowiadając, że pan pisarz przyjeżdża tylko w gościnę i przysłał tu swego rotmistrza, który się sam chce hetmanowi pokłonić. Więc tedy hetman zachmurzył się na to i znowu spytał:

— A gdzie Ożarowski?

A potém rzekł:

— No to wpuść wasze tego rotmistrza, niechaj się dowiem, czego odemnie chcą.

Tak więc za chwilę wszedł rotmistrz, ubrany bardzo paradnie, w lśniącym pancerzu ze swoim Rochem we złocie, i stanąwszy niedaleko odedrzwi, bardzo się nizko pokłonił.

— Czegóż to pan Potocki żąda odemnie? — zapytał hetman, nie ruszając się z miejsca.

Na to zaś rotmistrz z wielką konsyderacyą:

— Jw. pisarz koronny przesyła jw. panu swój nizki pokłon i prosi uprzejmie, ażebyś jw. pan raczył mu łaskawie pozwolić wstąpić na chwilę do miasta.

— A czegóż pan pisarz chce tutaj w mieście?

— Jw. panie! ot jak to zwykle we wojnie. Obdarliśmy się cokolwiek, chcielibyśmy się trochę nanowo ogarnąć.

— Dużożto ludzi macie ze sobą?

— I nie warto powiadać, jw. panie. Niéma i trzechset.

— O! trzysta ludzi!—rzecze Sieniawski, to mała rzecz? A czy nie macie tylko jakiéj zdrady na myśli?

— Wolne żarty jw. pana, — odpowiedział frant rotmistrz z pokłonem, — a tożto jw. pan mógłbyś nas wszystkich czapkami sług swoich zarzucić.

— No, ja się was tam nie boję, jeno to mówię dlatego, że konfederaci to swawolnicy zazwyczaj, a czasem droższa u nich jest woda, niż krew. Nie myślę przecież, żeby pan pisarz miał jakie niepoczciwości na myśli, chociaż sieniawskie włości dosyć mi czysto popłukał.

— Jw. panie! mogę jw. panu jaknajsolenniéj zaręczyć, że nie stało się to z ordynansu pana pisarza. Jeno to ludzie nasi, sędziszowskie parobki, z przeproszeniem jw. pana, pamiętni tego, jak to niegdy regimenty wielkiéj buławy swawoliły po Sędziszowie, myśleli że czego wielkiego dokażą, kiedy się pomszczą na Sieniawitach. Ot, i tak się to stało...

— No, już tam o to porachuję ja się kiedyś z panem pisarzem, a co do tego wpuszczenia... no! ale czegóż to chce właściwie pan pisarz? bo przecież po buty i hajdawery dla swoich żołniérzy nie jechałby sam do Lwowa?

— Jw. panie, mówiąc szczérą prawdę, ma on i drugi interes, a to daleko ważniejszy. — A to jest ten. Oto ta długa konfederacya już nam się uszyma przeléwa. Pan pisarz chciał, aby jéj koniec położyć w Rawie; pan Ledóchowski się temu sprzeciwił. Przyszło ztąd między tymi panami do nieporozumień, a następnie do lukty. Zaczął nareszcie pan podkomorzy traktować pana pisarza jako swego podkomendnego — a to nie może tak być. Bo ani słyszał kto kiedy, ażeby podkomorzy dysponował pisarzami koronnymi, ani téż Potocki nie dowodzi wojskami konfederacyi, jeno swemi własnemi, których na trzy tysiące z swojéj szkatuły wystawił. Więc się to tedy panu pisarzowi już uprzykrzyło i postanowił porzucić wreszcie tę tam konfederacyą, a nazad pogodzić się z królem. A ponieważ do takiéj medyacyi nie może nikt być nad jw. pana, który u króla jegomości jesteś w takiéj konsyderacyi, więc sobie tuszy pan Michał, że jw. pan, jako dawny jego przyjaciel, a do tego i blizki powinowaty, nie zechcesz mu téj łaski odmówić i wyprowadzisz go sam na tę drogę, na któréjby się rad widział co prędzéj.

— No! tożto mi waszmość, jak widzę, ważne przynosisz nowiny, — rzecze na to hetman. — A czy ja tego nie mówię zawsze? co to te wojny konfederackie! gdyby nie wiedzieć jaka była waleczność, zawsze na końcu niezgoda rozerwie wszystko. Ale to temu nikt wierzyć nie chce, aż póki się sam nie przekona. Więc tedy lukta już jest między jmć Ledóchowskiem, a panem Michałem? poczekajcie no waść jeszcze cokolwiek, będzie to tego i więcéj. Ciekawym téż, co poczną panowie konfederaci, jak utracą pisarza...

— O! że go utracą, to pewna. — rzekł rotmistrz, — jeżeli mu tylko jw. pan nie odmówisz swéj łaski.

— A czemubym tego odmawiał? I owszem, i owszem, bardzo rad podam mu rękę i że zrobię wszystko najłatwiéj, niéma co wątpić. No, ale czemuż-to pan pisarz sam do mnie nie zajechał?

— Jw. pan wiész, — rzecze rotmistrz, — że i pomiędzy panami jeszcze droga nie gładka. Myśli tedy pan pisarz poprosić ks. sufragana, do którego już dwór swój odesłał, ażeby mu wstęp do jw. pana wyrobił, a tak potém i sam się postawi.

— Panie bracie! — zawołał na to Sieniawski, — a na co to tego wszystkiego? Przecież mi bliższy pan pisarz, niż ks. sufragan, chociaż go także poważam. Powiédz waść tedy panu pisarzowi, że drzwi u mnie dla niego otwarte i że go czekam z obiadem.

A na to rotmistrz:

— Dziękuję jw. panu imieniem pana pisarza za łaskę, ale nie ręczę za to, czyli pan pisarz będzie mógł służyć na obiad, bo go hultaj woźnica wywrócił na drodze, a tak trza mu się będzie wysmarować i cokolwiek poleżyć. Ale tak sądzę, że będzie służył jw. panu albo po obiedzie, albo téż przed wieczorem.

— No, to go czekam o każdéj porze i proszę mu się odemnie pokłonić.

A rotmistrz na to:

— Więc tedy za łaską pańską ludzie nasi mogą wejść także do miasta?

— Hm! — rzecze Sieniawski — ale bo to coś dużo macie tych ludzi, a nie wiem czy ich trzymacie w rygorze, bo to konfederaci.

— Jw. panie! sama to jest hołota, a nawet całkiem bezbronni. Ledwie że jakieś szabléta mają przy sobie, a i to jeszcze nie wszyscy. Toż połowa z nich ranni, a drudzy i gorzéj, bo zbiédzeni i głodni. Pan pisarz nawet kazał mi prosić jw. pana o parol dla nich, bo prawdę mówiąc, trochę się pana Campenhausena boimy. Toż i Tatarstwo tutejsze, jak słyszę, bardzo jest rozjedzone na konfederatów...

A hetman na to:

— A cóżto waść myślisz, że tu pan Campenhausen rozkazuje, albo zgoła Tatarzy? Mości Gwozdecki! pojedziesz waść z tym jegomością do bramy i każesz wpuścić pana pisarza wraz z jego ludźmi. A waści żegnam i proszę pokłonić się panu pisarzowi odemnie, z tym wyraźnym dodatkiem, że go oczekuję u siebie.

Tak tedy skończyło się posłuchanie, — a wpół godziny potém pięciuset ludzi pisarzowskich było już w mieście, a drugich pięciuset pochowało się po przedmieściach.

Kiedy Jerzy powracał od bramy bosackiéj, już przy hauptwachu dowiedział się o tém, że pisarz koronny wszedł z wojskiem do miasta. Wiadomość ta uderzyła go mocno, a lubo mu opowiadano, jak się to stało, zaledwie mógł temu wierzyć. Biegł

tedy jaknajprędzéj do zamku, ażeby się z samym hetmanem rozmówić.

Jednakże daleko więcéj się zdziwił, kiedy go hetman zwitał wesoło i rzekł:

— Patrzajże Jurciu, jak ja już postąpiłem w twojéj nauce. Bratam się z konfederatami w najlepsze, a nawet takiego koronnego herszta jak pisarz zaprosiłem do siebie w gościnę.

I śmiał się hetman z całego gardła, bawiąc się Ożarowskiego zdziwieniem. Ale daleko przezorniejszy od niego Jerzy wcale się nie śmiał, jeno natomiast wypytywał się jaknajpilniéj, jak się to stało. Opowiedział mu hetman swoję rozmowę z rotmistrzem, nic nie ujmując, ani dodając. Zrozumiał już wtedy Jerzy, jak się to stało; ale pomimo to, tego osobliwego zdarzenia wcale nie mógł zrozumiéć! Nie mogło mu się to bowiem żadną miarą pomieścić w głowie, ażeby pisarz, prawie najpiérwszy filar konfederacyi, najgorliwszy, dla jakiéjś prywaty, dla jakichś nieporozumień chwilowych, mógł w tak gorszącą kłótnię zajść z Ledóchowskim. I jeszcze z kim zaszedł w kłótnię? z Ledóchowskim, — mężem nieskazitelnym pod każdym względem i tak dalece błyszczącym przymiotami rozumu i serca, iż go sam pisarz obrał na kierownika. Zdarzały się wprawdzie wypadki, iż o obrażoną ambicyą pojedynczego człowieka rozbijały się czasem największe sprawy, — pisarz koronny był prawdę mówiąc także nie w zimnéj wodzie kąpany,— już raz pod Brzeżanami w obozie niezmiermie gwałtownie sobie postąpił, — mógł on tedy i teraz się unieść i także zgrzeszyć prędkością; ale przecież to wszystko jeszcze nie mogło Jerzego przeciwko pisarzowi przekonać i niepodobna mu było temu dać wiary. Cóżkolwiekbądź, z drugiéj znów strony nie mógł i temu uwierzyć, ażeby w tém poselstwie pisarza była jakaś zasadzka: i to być mogło, ale i to mu się zdało niepodobném do prawy. A tak sam nie wiedząc coby miał myśléć, był smutny i niespokojny, lecz milczał.

Zauważył to hetman i pytał go, coby o tém rozumiał? Lecz on odpowiedział:

— A cóż tu można rozumiéć? Wiemy dopiéro połowę; jak się pan pisarz zjawi na zamku, dowiemy się reszty.

Ale hetman był niecierpliwy, jak zazwyczaj natenczas, kiedy co nowego miał w głowie, — niecierpliwy widziéć czémprędzéj pisarza, wymyślać z nim razem na konfederacyą, dworować sobie z wojny szlacheckiéj, a wreszcie konferować z nim o pogodzenie go z królem. Dlatego, lubo mu rotmistrz powiedział wyraźnie, że pisarz nie może się stawić na obiad, bo jest potłuczony, napisał przecież do ks. sufragana karteczkę i prosił nibyto tylko jego samego na obiad, ale dodał dość zrozumiale, iż jeżeliby miał przeszkodę z jakich gości, to i dla gości znajdzie się miejsce u jego stołu.

A zacny sufragan był właśnie wtenczas w jaknajwiększym kłopocie i nietrudno odgadnąć, z jakiego powodu. Oto pisarz już wtedy gościł u niego i w krótkiéj rozmowie oświécił go o swoich wszystkich zamiarach. Nie potrzeba tu już dodawać, że zamiarami temi były raz wzięcie Lwowa, a powtóre wzięcie hetmana. Jakoż na piérwsze zgadzał się w zupełności sufragan, ale na drugie zgodzić się nie mógł; pomimo bowiem wszelkich argumentacyi pisarza, był on niewzruszony w mniemaniu, iż targnięcie się na wolność piérwszego senatora Rzeczypospolitéj nie jest na swojém miejscu. Nie przeczył on wprawdzie tego, iż zabezpieczenie się od dalszych knowań Sieniawskiego jest dla pospolitego dobra potrzebném, a nawet poprostu koniecznem, lecz chciał ażeby to zabezpieczenie osięgnąć bez rzucenia się na wolność osobistą obywatela, a jeszcze do tego i senatora. — Chcąc tego dopiąć, perswadował on pisarzowi całą mocą swojéj wymowy; ale nic nie mógł na nim wyjednać. Pisarz bowiem był niesłychanie na Sieniawskiego zawziętym, na samo wspomnienie jego imienia wąs targał i iskrzył oczyma, jakoż nareszcie rzekł ks. sufraganowi:

— Mów sobie jegomość co chcesz, nic mnie to nie poruszy. Wezmę go, w dyby zakuję i do konfederacyi odstawię.

Tak tedy nie było co nawet mówić z Potockim, a to niezmiernie zafrasowało biskupa. W tém położeniu rzeczy myślał sobie: — Gdybym przynajmniéj mógł być natenczas na nizkim zamku, kiedy pisarz tam wpadnie. Ale to było niepodobieństwem.....

Aż tu tymczasem właśnie w tę chwilę przychodzi owa od hetmana karteczka. Pomyślał nad tém roztropny prałat i widział, że nie bardzo to rzecz bezpieczna znajdować się wtedy na zamku, kiedy szturm będą przypuszczać do niego, ale tak bardzo chodziło mu o to, ażeby sprawa konfederacyi była zabezpieczona od dalszych knowań hetmana, a mimo to godność senatorska nie poniżona i pogwałcowa w obec rozhukanego tłumu, iż za nic sobie miał bezpieczeństwo swojéj osoby i postanowił pójść do hetmana na obiad. Ale jak tu w tym razie postąpić sobie z pisarzem, którego miał gościem u siebie? — Po krótkim wszakże namyśle pokazał mu poprostu sufragan owę karteczkę i rzekł niby z niechcenia:

— Zaprasza nas hetman do siebie na obiad. No, wmpan, panie Michale, pewnie nie pójdziesz, ale i ja téż nie pójdę.

— A to dlaczego? — zapytał pisarz, — właśnie trza iść jegomości. Tym bowiem sposobem okryjesz jeszcze lepiéj naszę tajemnicę, osłabisz go w podejrzeniu, jeśli ma jakie, a wreszcie i mnie przed nim usprawiedliwisz, potwierdzając podanie rotmistrza, żem jest potłuczony. Tylko się tam nie baw zbyt długo, bo ja już nie jestem panem wybuchu; jak skipi, to nie mogę garnka odstawiać od ognia, jeno muszę uderzać.

Tegoż samego zdania był także i rotmistrz, trzymający z pisarzem, i tego samego starosta bełzki, trzymający tajemnie ze

sufraganem. Więc kiedy go jeszcze wszyscy zaczęli prosić, ażeby szedł do hetmana, to i dał się nareszcie namówić i pojechał na zamek.

Tak tedy, jak tylko się trochę nachyliło z południa, pozjeżdżali się goście do Sieniawskiego. I przybył biskup unicki Szeptycki z jednym ze swoich kanoników, ks. sufragan Rupniewski i kilka osób z szlachty miejscowéj. Był także i Campenhausen, i Breściański, i kilku innych wojskowych: jedni nic zgoła nie wiedząc, a drudzy, lubo wiedzieli, jaknajpiękniejszy spokój i swobodę umysłu udając. Dano obiad — a przy obiedzie rozmawiano najwięcéj o panu pisarzu, który niespodziéwanym przez nikogo sposobem przyszedł do miasta, a nie wiedziéć w jakich zamiarach. Przezorny jmć ks. Szeptycki wyraził z tego powodu niejaką obawę, Campenpausen go bardzo popiérał i wedle swego zwyczaju mówił dosyć surowo. A kiedy ks. Rupniewski zrobił uwagę, iż nie godziło się braci odmawiać przytułku, zwłaszcza kiedy są ranni, głodni i prawie nadzy, on nawet z gniewem powiedział:

— Otóż to rzecz! jeszcze będziemy nieprzyjaciół wspomagać! Niech chodzą nago, niechaj ich głód nawet wymorzy, ani mnie głowa oto nie zaboli! Potrzebny téż tutaj ten pisarz, jak dziura w moście!

Lecz hetman śmiał się, a nawet jeszcze z niego dworował, mówiąc:

— A jegomość dobrodziéj masz sobie mnie widzę już całe za nic. Właśniebym téż ja wpuszczał pisarza do miasta, gdybym naprzód nie wiedział, poco do mnie przychodzi!

Poczém i opowiedział wszystkim o owéj wrzekoméj kłótni pomiędzy Potockim a Ledóchowskim i znowu dworował sobie z konfederacyi.

Tak minął obiad, po którym powynosili się goście pomniejsi i pozostali tylko oba biskupi, Campenhausen i Ożarowski. Hetman był dobréj myśli i kazał przynieść starego wina ze swoich sławnych piwnic zamkowych, którém częstując hojnie swych gości, wesołą z nimi prowadził gawędę. Zabawa ta przeciągnęła się do godziny czwartéj i była wtedy jeszcze zupełna cisza, jak na zamku, tak i w jego blizkości.

I była jeszcze natenczas cisza po całém mieście, — lecz ta już długo nie trwała. Albowiem właśnie pod owę porę przed odwach ratusza, obsadzony piechotą cudzoziemskiego zaciągu, nadeszła sobie niby w przechadzce garsteczka pisarzowskich żołnierzy. Ciągnęli oni w nieładzie, niby przypatrując się miastu, a na ich czele szedł jmć Domaradzki, co to go zwano Murzą tatarskim. Miał on dzisiaj burkę kudłatą na sobie, a na głowie tę samę czapkę uszatą z futrem, którą miał wtedy, kiedy tu był przed kilką dniami z rotmistrzem, lecz dziś, zamiast czakana w ręku, miał szablę potężną u boku, pistolet turecki na smyczy, a do tego jeszcze i garłacz ogromny przewiesił sobie przez plecy. Tak ubrany

kosmato, kudłato i prawie dziwnie, ucbrojony arcy armatnie, po staremu zgarbiony i brzydki haniebnie, śmiésznie téż dosyć wyglądał; ale podobno chciał tak wyglądać i nie bez powodu. Albowiem kiedy przed odwach nadciągnął, gdzie jak zwykle rozmawiając ze sobą, stała kupka wolnych od warty żołniérzy, to on się zatrzymał i zaczął się im przypatrywać, wskazując na nich palcami i robiąc przytém najrozmaitsze grymasy. Skutek ztąd oczéwiście wyniknął taki, że się żołniérze zaczęli śmiać z niego i jeden mówił to, drugi owo. Rzekł któryś nareszcie:

— A to co za straszydło? Otóż to tak wyglądają konfederaci!.....

Odpowiedział na to Murza jak mógł najdosadniéj. Ztąd tedy opór, zaczém kłótnia, coraz grubsze wyrazy, głośne pogróżki, a nareszcie i rwanie się do szabel. A jak tylko i ci i owi dobyli broni, Murza zdjął garłacz ze siebie i palnął prosto w tę kupę hetmańskich, a jako to był garłacz prawie jak śmigownica, tak téż i głos jego rozniósł się jak wystrzał armatni po mieście.

To oczéwiście był sygnał.

Jakoż istotnie w ten moment powypadali pisarzowscy ze wszystkich kamienic i wzięli odwach jak orzech zgryzł. Zaczém natychmiast pod sprawą rotmistrza ustawili się w szyk bojowy przy jednéj połaci rynku, czekając gdzieby im wypadało uderzyć. Do nich zaczęli się zbiegać konfederaci inni, konni i piesi, szykując się razem z nimi wedle swoich kompanij.

A kiedy to się działo przy jednéj połaci rynku, po pod drugą przeciwną przebiegł pędem na koniu sam Campenhausen, poleciał w okolicę leibhausu, tam zebrał około pięciuset ludzi i ruszył z nimi na rynek. Wszakże nim jeszcze doszedł do rynku, około bramy halickiéj dały się słyszéć strzały armatnie. Tam bowiem teraz wrzała już także bitwa. Na strzał usłyszany w mieście druga część pisarzowskich żołniérzy, która była po przedmieściach ukryta, zbiegła się przed bramę halicką i sprawiwszy się w szyk bojowy, zawołała na oficera tam stojącego na straży, ażeby się poddał. Gorący jakiś młodzieniec, miast odwołania się do starszyzny, lubo miał tylko trzydziestu i kilku ludzi, dał do nich ognia z śmigownic. Więc pisarzowscy rzucili się na to do szturmu i w oka mgnieniu tę bramę zdobyli.

Usłyszawszy tedy Campenhausen te strzały i widząc już oczéwiście, że konfederaci także i zewnątrz uderzają na miasto, pomyślał sobie: że mniejsza już teraz o tych, którzy są w mieście, bo tych jako nie bardzo licznych, nie trudno będzie utłuc i późniéj; ważniejsza to jest daleko, ażeby świéżych nie wpuścić do miasta. Zaczém już nie szedł w rynek, tylko pobiegł bramie halickiéj na odsiecz; zastawszy zaś tam pisarzowskich już w wnętrzu miasta, a zmierzywszy ich okiem, że jego sił nie przenoszą, uderzył na nich z wielką fantazyą. I byłby ich może i przemógł i wyparował z miasta na powrót, bo szła tam tylko głowa na głowę,

a trudno Campenhausenowi tego odmówić, że był dowódzcą zdolnym i osobiście walecznym.

Ale tymczasem na ów strzał Murzy wypadł także i pisarz i objął zaraz nad swymi ludźmi, stojącymi na rynku, komendę. Wypadł także starosta bełzki i stanął na czele chorągwi konnéj, którą rozmaitemi bramami, gdzie straż trzymali oficerowie z konfederacyą zmówieni, wprowadził milczkiem do miasta. Usłyszawszy tedy te strzały przy bramie halickiéj, zebrał pisarz swe wojska i pobiegł pędem na miejsce bitwy. Więc kiedy Campenhausen zawzięcie się tłumił z tamtym żołniérzem i osobista swą walecznością usiłował przechylić na swoję stronę zwycięztwo, szybki jak błyskawica Potocki wziął mu tył niespodzianie, zbił go w mrugnieniu oka na głowę, stokilkadziesiąt ludzi położył trupem, resztę rozpędził, a jego samego wziął jeńcem. Poczém w ten moment sprawił swe wojska, pułkownika Garbowieckiego, gorącéj fantazyi żołniérza, postawił z pułkiem piechoty na czele i pociągnął bez zwłoki na nizki zamek.

A cóż natenczas działo się w zamku?

Otóż gdy hetman przy starém winie jaknajswobodniéj zabawiał się z swymi gośćmi gawędą, nagle dał się strzał słyszéć na rynku. Słabo już tutaj pomiędzy murami było słychać ten strzał z garłacza, ale przecież go Jerzy dosłyszał i jakby ze snu zbudzony, zerwał się nagle ze swego miejsca. Zerwał się także i Campenhausen i obadwa pobiegli do okna, a tam usłyszeli już całkiem wyraźnie szczęk broni i hałas na rynku. Była to rzecz jeszcze niepewna, bo słuch omyla, a nic nie widzieli; lecz w takich razach czynniejszym bywa instynkt niż oko. Więc Campenhausen nabiegł zaraz krwią cały i do hetmana zawołał:

Poczém się zaraz do Jerzego obrócił i rzekł mu prędko te słowa:

— Widzisz, widzisz jegomość, to twoje głupstwo!...

— Zbierz waść pułk pieszy i obiedwie chorągwie kozackie i wystąp z nimi przed ganek, a gdzie będzie potrzeba, przybywaj mi w sekurs.

A ledwie tych słów domówił, już w drzwi uderzył i zamknął.

Co się stało z Campenhausenem, już wiemy.

Tymczasem w komnacie zrobiło się zamieszanie, jakby w dzień sądny. Ksiądz Szeptycki, wystraszony niezmiernie, zerwał się z krzesła i pochwiawszy się chwilę na miejscu, wyślizgnął się milczkiem z komnaty. Oficerowie domowi, dworzanie, słudzy, biegali tędy owędy, jak oparzeni. Wpadły w ten moment kobiéty, damy dworskie, fraucymer, wszystko to w jaknajwiększym popłochu. Jeden tylko sufragan siedział nieporuszony na swojém miejscu i przypatrując się temu wszystkiemu ciekawie, zażywał ze swego misternego różka tabakę.

Hetman zaś na tę wieść, cale przez siebie niespodziéwaną, zrazu poprostu oniemiał. Obejrzawszy się zaś po wszystkich, podobno sam nie wiedząc co mówi, rzekł do Ożarowskiego te słowa:

— Ale co wam się dzieje! to nie może być!

A Ożarowski na to patrząc mu w oczy:

— A jeśli jest?!

Tu hetman zadrgnął, a potém powiedział prędko:

— To proszę ciebie..... to stań z wojskiem przed bramą. Przecież do zamku szturmować nie będą. A jeśli miasto mi wezmą...

— Miasto już wzięli,—przerwie mu Ożarowski gwałtownie,— ale jeżeli na zamek uderzą!?

A wtedy hetman porwał się oburącz za głowę i rzekł:

— To ja już nie wiem, to rób co chcesz.....

Słysząc to nieobojętny Jerzemu sufragan, zerwał się raźnie z miejsca i pośpieszył ku niemu, zapewne ażeby mu jakąś inną dać radę, — w téj chwili także hetmanowa, stolnikowa i Zosia podniosły lament i rzuciły się ku Jerzemu, zapewnie każda z nich w rozmaitych zamiarach, — jednak w téj saméj chwili i Jerzy, usłyszawszy te rozpaczliwe słowa hetmana, rzucił się ku drzwiom i wybiegł prędko z komnaty.

Co się tam działo w nim teraz, trudno opisać, bo i gniéw, i trwoga, i rozpacz razem go owładnęły i zaledwie mu zostawiły przytomność. Przejrzał on teraz w mgnieniu oka, nad jakie urwisko go ta przyjaźń hetmańska zaprowadziła, a to go już prawie dobiło. Mimo to wszakże zbiegł błyskawicą w dziedziniec, zebrał w ten moment pułk pieszy, zebrał obiedwie chorągwie kozackie i wyszedł z tém wszystkiém przed bramę zamku. Tam pozostawił konnicę po obu skrzydłach, a piechotę zbił w silny cokolwiek podłużny czworobok i postawił ją prawie przed samą bramą. Sam zaś, wziąwszy karabin, broń swoję najulubieńszą, stanął przed frontem.

Tak stał i myślał, ale dziwnie gorzko mu było. Widział on teraz w skupieniu całą naturę téj drogi, jaką obrał dla siebie, i musiał sobie powiedzieć: probatum est. Ale co gorsza, miał on taraz przed sobą to bagno, w które go ta droga zaprowadziła, a jak z niego wybrnąć, cale nie wiedział. O miasto zupełnie mu nie chodziło; jeśli go wezmą, i owszem. Ale jeżeli na zamek uderzą, co wtedy? — Złożyć broń i poprostu zdradzić hetmana?— nie jest podobna. Bić się z rodzoną bracią?—jakiém sumieniem?— Zdawało mu się tedy, iż nie można tutaj postąpić inaczéj, jak tylko, kiedy się zbliżą konfederaci, wysłać do nich parlamentarza i kapitulować. Oddać im miasto, oddać i zamek, a gwarantować tylko całość osoby hetmana. Jeżeliby zaś warunkiem kapitulacyi i to jeszcze miéć chciano, ażeby konfederacya od dalszych praktyk hetmana była zabezpieczoną, to myślał i na to nawet zezwolić i dać im parol za Sieniawskiego, że natychmiast wyjedzie do Brzeżan i do końca konfederacyi ztamtąd się nie ruszy. Tak tedy, — lubo mu dziwnie przykro było parlamentować z konfederacyą ze strony przeniewierczego hetmana, — pocieszył się jednak

w téj ciężkiéj chwili tą myślą i począł miéć nadzieję, że wszystko to jeszcze się dobrze zakończy.

Wszakże zaledwie sobie ten projekt ułożył w głowie, już nad brzegami Pełtwi w oddali zaczęła się jawić konfederacka piechota. Waleczny Garbowiecki, choć nie uczony we Francyi, nie wahał się także karabin wziąć w rękę i niosąc go jakby piórko w swoich żelaznych dłoniach, postępował raźnie na czele swojego pułku. Obaczywszy go, Ożarowski kazał swoim żołniérzom złożyć do nogi broń, i tak oczekiwał jego przybycia. Garbowiecki się zbliżył ku niemu o jakie dwa stajania i tam się zatrzymał. Tak przybiegła do niego starszyzna na koniach, rekognoskowała przez oka mgnienie ilość wojska i pozycyą Ożarowskiego i znowu od niego odbiegła. W téj chwili Garbowiecki zakomenderował swoimi, złożył ich po staremu w klin, sam stanął na czele i ruszył tak na Jerzego. Wszakże do tego czasu Jerzy już wysłał parlamentarza do niego, który właśnie w téj chwili, kiedy Garbowiecki miał ruszać z miejsca, zjawił się przed nim. Nie zastanowiło go to przecież ani oka mgnienie, jakoż zaraz zawołał do niego:

— A czego waść do mnie biegniesz? niéma tu czasu do rozgoworów.

Mimo to jednak, zbliżając się coraz bardziéj do Ożarowskiego, widocznie sam zwalniał kroku, a kiedy się zbliżył na jakie dwadzieścia kroków, prawie się całkiem zatrzymał. Czy to uczynił dlatego, że chciał istotnie dopuścić do rozgoworu? czy tylko dla tego, ażeby się owoczesnym zwyczajem wzajemną przymówką tém lepiéj zagrzać do boju? rzecz niewiadoma. Widząc to wszakże, Jerzy wystąpił naprzód o kilka kroków i zawołał do niego:

— Mości pułkowniku! będę to sobie miał za zaszczyt niemały, jeżeli mi przyjdzie z tak zacnym żołniérzem spotkać się na ostro; ale nie o nas tu chodzi. Proponuję zatem, czylibyśmy się naprzód nie mogli z sobą rozmówić?

Lecz Garbowiecki pokręcił wąsa i rzecze na to:

— A cóż to ma być za rozmowa, mój paniczyku? francuzka albo téż włoska, łacińska albo téż zgoła niemiecka?

— Nie, mości panie! — odpowié Jerzy, — rozmówim się z sobą po polsku.

— A waśćże umiész jeszcze po polsku? — spytał go Garbowiecki.

Widział tedy już Jerzy, że nie będzie podobno tu z kim rozmawiać; jakoż zacisnął zęby i nie dbając już zresztą o siebie, rzecze mu prędko:

— Żarty na stronę, mój panie! boć tu nie idzie o dowcip, jeno o krew braterską.

Garbowiecki zaś na to:

— No, to ja powiem waści bez żartów: rzuć broń na ziemię, puść nas do zamku, a potém się rozmówimy o resztę.

— Jakto? — zapytał Jerzy z niecierpliwością, — na łaskę i niełaskę?

— A niby tak! — odpowié konfederat, patrząc mu w oczy surowo.

— A! mości panie! — zawołał na to Jerzy, — zda mi się, żem jeszcze jest godzien jakiéjś innéj tranzakcyi.

A Garbowiecki na to:

— Jakom żyw, jeszczem nigdy nie wchodził w żadne tranzakcye z zdrajcami.

— Z zdrajcami!? — zawołał Jerzy i nabiegł krwią cały, a ledwie sam wiedząc co się z nim dzieje, porwał karabin i jak lew postrzelony rzucił się na oszczercę.

Za nim rzucił się zaraz pułk jego i dosyć dobrze uderzył, — lecz Garbowiecki jeszcze lepiéj uderzył i sieniawszczyków jako płot kruchy przełamał.

Piérwszy pomiędzy nimi padł Jerzy.

Za nim się pościelili pomostem inni — a nad nimi podniósł się zgiełk, hałas, chrzęst broni, huk armat, jęk rannych, łomot upadających, — pośród czego wszystkiego konfederaci strzaskali bramę, i jakby fala morska niepowstrzymaną niesiona burzą, w zamkowy wpadli dziedziniec.

A kiedy to się działo, właśnie w téj chwili, gdy Ożarowski padł pod gwałtownym ciosem Garbowieckiego, niewiasta jakaś, która z okna piérwszego piętra, zawieszonego nad żelaznym krużganiem, przypatrywała się wystraszona téj bitwie, wyciągnęła w powietrze ramiona, wydała z piersi rozdartéj jęk przeraźliwy i wypadła przez okno w krużganek. Była to niesrczęśliwa Jerzego matka, stolnikowa krakowska. Na jéj szczęście dojrzały ją dziéwki służebne, wyglądające z drugiego okna, i w oka mgnieniu do niéj przybiegły. Znalazły ją one bez przytomności, poczęły trzeźwić, lecz nie mogąc jéj przytomności powrócić, wzięły na ręce i zaniosły do gyneceum. Tam ją złożyły na łóżku i znów trzeźwiły, i dotrzeźwiły się jéj nareszcie do tego stopnia, że otworzyła oczy, — ale była tak osłabiona, jéj wzrok tak złamany, a umysł tak nieprzytomny, iż trzeba się było obawiać, że już do zdrowia nie wróci, a jeśli wróci, kto wié, ażali odzyska dawną przytomność umysłu.

Tymczasem hetman, bawiący ze swymi gośćmi w górnéj komnacie, kiedy się bitwa zaczęła pod bramą, dziwnie był niespokojny. Otworzył okno i zachęcał swych ludzi do żwawéj obrony. Widząc, że pieszy pułk dał się przełamać, na Kozaków zawołał, ażeby na Garbowieckiego natarli z boków. A zarazem kazał dać ognia ze zamkowych śmigownic. Ryknęły działa i przeniosły tłumiącą się w bramie piechotę, poparzyły chorągwie konne rotmistrza i starosty bełzkiego okrótnie. Rozgniéwany tém rotmistrz rzucił się ze starostą na hetmańskich Kozaków i zgniótł ich pod samemi murami. Zrobił się zgiełk jeszcze tém większy, aż sam

pisarz się rzucił ku bramie, zeskoczył z konia i potoczył się z szablą za Garbowieckim. Wtedy też pękła brama, konfederaci wpadli w dziedziniec i zaczęli szturmować do drzwi samegoż gmachu.

Widząc to hetmanowa i Zofia i słysząc ten szturm już ostatni, podniosły lament rozgłośny i chwytając się męża i ojca, czy chciały go unieść ze sobą, czy własnemi zasłonić piersiami, same podobno już nie wiedziały. Nie mogąc znieść tego, Sieniawski wziął je obiedwie, wyprawił do drugiéj komnaty i drzwi zamknął za niemi. Sam zaś powrócił i stanął na środku sali, gotów na przyjęcie pisarza.

Jakoż prawie w téj chwili otworzyły się drzwi podwójne z łoskotem i wpadli przez nie najpiérwéj pisarz, za nim starosta bełzki i rotmistrz, a daléj oficerowie inni.

A pan Michał Potocki, lubo już pięćdziesiątki dochodził, piękny jeszcze był człowiek. Wysoki wzrostem, zbudowany potężnie, twarz miał pociągłą, oko duże błękitne, nos rzymski i wąs, chociaż siwy, pielęgnowany starannie. Miał też stalową lśniącą koszulę na sobie, pas pozłocisty, burkę rycerską na plecach, hełmik przystojny na głowie i szablę skrwawioną w prawicy. Tak wpadł i stanął, za nimi stanęli inni.

— Mości hetmanie! — rzekł groźnie, — biorę cię jeńcem.

A hetman na to wziął się obiedwiema rękami pod boki, przymrużył oczy, i przygiąwszy się całą piersią ku niemu:

— Tak, pisarzeńku? — zawołał? — tak to ty sobie począłeś ze mną? To ja ciebie jak brata kazałem wpuścić do miasta, abyś się popasł i wysmarował, a ty mi ludzi mordujesz, zdradą dobywasz miasta i jeszcze po mnie samego ręce wyciągasz? he? Taki to parol kawalerski u ciebie? zdradą to już wojujesz?...

Ale pisarz mu przerwał i rzekł:

— Dajno pokój tym swarom, bo to babska robota. Biorę cię jeńcem, oddaj mi szablę.

Więc hetman na to zaraz się wyprostował, jeszcze lepiéj oczu przymrużył i spojrzał dumnie na niego, poczém w ten moment szablę odpasał od boku i podał mu ją z daleka. A była to szabla niewymownie bogata, cała jéj pochwa, rękojeść i pendent były sadzone perłami i brylantami; wartość jéj była ogromna. Jakoż podając mu tę broń drogocenną, rzekł dumnie:

— Tu masz taką szablę, jaką mam właśnie przy boku. Będziesz miał za nią drugi Sędziszów i Czerlenicę i nie zapłaczesz pewnie, żeś wziął jeńca charłaka!

A pisarz na to:

— Nie chcę téj szabli. Schowaj ją sobie i za jéj cenę odbuduj Sieniawę i Przemyślany, a mnie daj szablę żelazną.

Więc tedy hetman spojrzał łagodniéj na niego i rzekł mrukliwie:

— Lichoż mi wniosło takiego zdobywcę, którego nawet i ująć nie mogę dla siebie!

— O! mnie nie ujmiesz, — rzecze mu pisarz, przystępując do niego, — choćbyś dał nawet Brzeżany.

Tedy Sieniawski spojrzał na Potockiego z uwagą, a wreszcie rzekł cale innym tonem:

— Co ja tobie winien, panie Michale, że ty tak na mnie nastajesz? czym ja zasiadał kiedy na ciebie? czylim cię zdradził? — jestemże ja całkiem obcy już tobie? nie jesteśmyż sobie szwagrami?

Na te słowa tak miękkie pisarz się z lekka uśmiéchnął, — ale w téj chwili dał się słyszéć wielki zgiełk w zamku. Konfederaci rzucili się na wnętrzne komnaty i chcieli je prawem zwycięzców przetrzebić. Drudzy poczęli się już wdziérać nawet i tutaj, wołając, ażeby im wydano zdrajcę hetmana, którego chcieli rozsiekać. Słysząc te głosy, Sieniawski zbladł jakby ściana. Wszakże w ten moment zerwał się ks. sufragan, który dotychczas po staremu siedział w swém krześle i zażywając tabakę, przypatrywał się temu wszystkiemu, i przystąpiwszy do pisarza, rzekł mu te słowa:

— Panie Michale! jeśliś katolik, radźże co temu, bo o rabunki ci przecież nie idzie!

Więc tedy pisarz wysłał natychmiast rotmistrza i pułkownika Garbowieckiego, ażeby to uśmiérzyli. Ale rotmistrz, wąs kręcąc, rzecze mu na to:

— A gdyby się trochę pobawiono na zamku? Przecież za taki trud należy się jakaś nagroda.

— Zbierz waść żołniérzy!—zawołał pisarz do niego surowo,— i żeby mi tu ani jeden guzik nie zginął! Nie na zabawęśmy tu przyjechali, jeno po służbie.

Zaczém i jego i oficerów drugich prawie sam wywiódł do sieni i drzwi zamknął za nimi.

Więc tedy hetman trochę się uspokoił. Ale tymczasem pan Michał obrócił się zaraz do niego i rzekł:

— A waszmość, panie hetmanie, każ sobie zaraz zaprzęgać, bo mamy podróż przed sobą.

Tedy Sieniawski znowu się wzdrygnął i rzekł:

— A cóż ty myślisz? taki mnie zaraz zabiérać? miéjże przecież sumienie.

— Jużci sumienia mi pewnie nie braknie, bo nawet na grzeczności nie zbywa, jakoś dopiéro widział. Ale co służba, to służba.

— No, toś mnie już wziął! — rzecze na to hetman, — wziąłeś i zawieziesz, gdzie chcesz. Ale gdziebądź mnie transportować zamyślasz, przecież nie będziesz mnie z domu zabiérał po nocy.

A na to odezwał się sufragan:

— No, jużci i słuszna to prośba. Kiedy jeniec jest w bezpieczeństwie, to dosyć. Wyrządzona mu przykrość byłaby grzechem.....

— Michasiu! — rzecze znów hetman, — przecież nie jesteś

skałą, boś i nigdy nie był na życiu. A czy to tak wielka rzecz dać mi się przenocować?

A na to pisarz już miękko:

— Jużci ja twojéj przykrości nie pragnę... ani się mścić chcę na tobie, lubo Bóg widzi, że byłoby za co. Ale dany mi rozkaz wypełnić muszę, chociażbym był twoim bratem.

— No to go spełnisz! — zawołał hetman, — a co to, albo ja się tak boję? Przecież głowy mi nie urwiecie, chociażbyście mnie mieli i na sądzie konfederackim.

— Głowy ci nie urwiemy, — odpowié pisarz, — ale cię dobrze będziem spowiadać. Boś ty nam hetmaneńku nabroił, że aż się przez wiérzch przelało.

— No to mnie będziesz spowiadać! to się wyspowiadamy! A tymczasem siądź, proszę, przecież przez to cię nie ubędzie.

A to mówiąc, nalał mu puhar wina, a drugi nalał staroście i posadził ich naprzeciw siebie przy stole. Więc tedy pisarz przyjął puhar z najlepszą myślą i rzekł:

— A cobym się nie miał i napić z tobą? Wżdyśmy już nieraz pijali, chociaż w innych okolicznościach.

A tak się zaraz do siebie napili, pisarz po trudach, hetman zaś na frasunek. Rzecze więc hetman najpiérwszy:

— Powiédzże ty mi, panie Michale, bo mi się to i w głowie pomieścić nie może, co ja tobie takiego zawinił, że ty tak ze mną postąpił? A jużbym piérwéj się był śmierci spodziéwał, niżeli takiéj gościny od ciebie. Bo czyż my to się nie znamy od dziecka? czyśmy się nie bijali w palcaty? czym ci nie krewny? czy moja żona nie jest ci siostrą? A ty na mnie najechał jak Szwed albo Tatar, Sieniawę mi spalił, Przemyślany wyniszczył, jeszcześ i na mnie napadł nareszcie, miastoś wyślizgnął zpodemnie, ludziś mi pobił, ba, i mnie bierzesz w niewolę! Ej! panie Michale! żeby to za to nie trzeba ciężko odpowiadać przed Panem Bogiem!

A pisarz na to:

— Ot, pleciesz sobie, panie Adamie, jako Piekarski na mękach. Kochaliśmy się pacholętami, krewniśmy sobie, Sieniawęm ci spalił, Przemyślany wyniszczył, Lwów zabrał i ciebie, — jakto ty pięknie powiadasz! Ażeś mi ty Sędziszów wypalił, żeś Czerlenicę zrabował, że przez lat kilkanaście trzymałeś z Sasami, że jeszcze teraz praktyki czynisz, to nic?

— A jakie to ja praktyki czynię? — rzecze mu hetman, — ej pisarzeńku! złych szpiegów macie, co jeno plotki wam niosą! Napij-no się ze mną, a ja ci wszystko opowiem.

— A ty mnie chcesz spoić, mój hetmaneńku, — odpowié pisarz, — a potém mi się wyślizgnąć. Ale to z tego nie będzie nic. Bo ja tu z tobą i całą beczkę wypiję i kiedy mi ta fantazya przyjdzie, puścić cię zechcę; a ty przecież nie wyjdziesz, bo już tu tak jest obsadzony ten zamek, że ani mysz się ztąd nie wyślizgnie.

A to mówiąc, pił sobie, pił téż i hetman i mówił:

— A jak cię kocham, tak ani mi to postało w głowie. Wziąłeś mnie, to mnie trzymaj. I zawieź mnie potém do konfederacyi na sąd, jeszcze i owszem! bo tam dopiéro się to pokaże, coś ty zrobił dobrego, żeś się targnął na koronnego hetmana i kasztelana, i tam się także zaraz już nareszcie pokaże, że ten hetman nie jest taki człowiek, jakim go jego oszczercy malują. Złamaliście wy owę kardynalną zasadę naszego status: Neminem captivabimus; to mi przecież choć ust nie zamkniecie, kiedy zechcę się bronić. A już ja będę wiedział, co mówić. Jakoż mi o to nie chodzi. A jeno o to mnie chodzi i dziwnie serce mnie boli, że kto na mnie nastąpił, to mój krewny i brat.

A pisarz na to:

— Pleciesz i pleciesz, niby to z serca, a przecie nic nie rozumiész. No, ale mów daléj. O cóż to jeszcze serce cię boli?

— Boli mnie serce i o to, że ty się mścisz na mnie, Michale! Potrzebiłem ja twoje posiadłości, to prawda, możem ci przez to i nie małe szkody poczynił; ale czyś ty się za to na mnie nie odbił? A kto mi spłukał Sieniawę i Przemyślany? Więcby to na tém powinno było być dosyć, bo już to zawsze w tym naszym stanie rycerskim jest takie prawo, że jeno taką samą bronią się odpowiada, jaką z nami poczęto. Ale tyś sobie postąpił inaczéj, bo ty za chłopskie stodoły, za chałupy, za gumna, bierzesz się do mnie samego, jeszcze mnie jako zdrajcę traktujesz, bo mnie téż jako zdrajcę chcesz transportować na sąd. Powiédzże sam, mój Michasiu, żali powinien tak postępować szlachcic taki jak ty, a do tego jeszcze własny mój krewny i brat?

Więc tedy pisarz napił się na to i tak odpowiedział:

— No, nagadałeś mi się, co ci się podobało i to tak czule, żeś aż na mnie zapłakał. A ja nie lubię, żeby na mnie płakano, więc ci téż i odpowiem. Mszczę ja się na tobie za jaką prywatę, albo téż nie? Otóż ja tobie daję parol, że nie. Tobie w głowie Sędziszów i Czerlenica, boś ty jest Sieniawski, ale mnie nie, bom ja téż sobie Potocki. A ty wiész jakto jest u Potockich. Za nic im ziemska fortuna, kiedy idzie o dobro publiczne. Już téż i bez butów wracali z wojen, na które posprzedawali swoje wioski ostatnie. Nie wiem téż, któryby to z naszych przesiedział na jednym majątku przez trzy pokolenia! Sieniawscy siedzą na swoich dobrach od stworzenia świata i już do końca dosiedzą, bo ich pewnie nie stracą; ale my nie! Albom ja taki krwi mojéj odstępca, żebym na to zapłakał, że mi tam kilkanaście wsi spalono? A jakem pisarz, tak nie. I ty mnie o to nie winuj, bo mnie tém krzywdzisz i fałsz zadajesz téj Polsce całéj, która mnie przecież zna i cale inaczéj o mnie rozumié. Więc mnie téż nie obwiniaj o prywatę przeciwko sobie, ano raczéj tak powiédz: Michał mi jest przyjacielem, bo kiedy na mnie zapadł dekret w konfederacyi, aby mnie wzięto, to on się sam podjął tego i sam wziął, ażeby mnie téż nie wziął kto inny, coby mnie poturbował, a może nawet

i skrzywdził. Tak sobie mów, bo też tak jest. Żebyś zaś nie myślał, że ci to mówią moim własnym konceptem, to tutaj masz, poczytaj sobie na tym papiérze, a wtedy się też przekonasz.

A to mówiąc, wydobył papiér jakiś z zanadrza i podał mu go przez stół. Był to zaś ten sam dekret konfederacyi, co go rotmistrz miał z sobą, kiedy był w wieczór u sufragana, a w którym stało wyraźnie: — „Zdobyć Lwów i wziąć w areszt hetmana." — Więc tedy hetman to czytał, a pisarz patrzył na niego; przeczytawszy zaś, oddał mu ten papiér napowrót i rzekł:

— No, to taki i prawda. Nie kłamałeś ty nigdy, jako cię znam, toż i teraz nie kłamiesz. Jakoż i niéma co mówić. Kiedy już miało na mnie koniecznie spaść takie nieszczęście, to i lepiéj się stało, że tobie poruczono tę egzekucyą, niżeli komu innemu. Bardzo to są braterskiéj krwi chciwi ci panowie konfederaci! No, ale przecież ty, mój Michasiu, nie postąpiłeś sobie tak ze mną, jakby to Potockiemu przystało.....

— A jakto? — zapytał pisarz.

— Powiédzże, rzecze hetman, — zdradą to wojowali kiedy Potoccy? zdradą-to dorobili się takiéj sławy, że im nikt nie wyrówna? — Jużbym był nie miał nareszcie żadnego żalu do ciebie, gdybyś był po staremu obległ żołnierzem miasto i zdobył. I żebyś był zamek tak obległ i wziął go razem i ze mną, to także nic, bo taki jest w wojnach obyczaj. Aleś ty wślizgnął się do mnie jakoby wąż! Chorym jest, głodny, odarty, jeszcze i potłuczony, chciałbym się popaść, ogarnąć trochę i wysmarować, a tyś się popasł moimi ludźmi, ogarnęłeś się miastem, a wysmarowałeś się zamkiem, ba i mną samym nareszcie! Jam ciebie wpuścił do mego domu przez kawalerską kortezyą, a tyś mnie za to w samo serce ukąsił! Powiédzże sam, żali to sprawka rycerska i żali to mnie nie ma zaboleć! Bo to i nie dość, żeś wydarł miasto z podemnie i mnie samego do kulbaki przytroczył, zaczém powiedzą: Niedołęga jest hetman, bo przegrał; ale jeszcze powiedzą: Głupi ten hetman, co się dał na miodowe słówka ułowić. — A to mnie boli, tak za siebie, jak i za ciebie.

Więc tedy pisarz był na to trochę markotny, ale to pokrył ale napiwszy się znowu, śmiał się i mówił:

— Ej! toż to ty teraz maleńki, Adasiu, prawie już płaczesz! A nie tak to było niedawno. Pomnijno, jaki ty byłeś rok temu, jaki dwa lata. Tyś natenczas wąs kręcił, z piętra rozmawiał z posłami i mówił: A co mi! Niech szlachta siedzi cicho i niechaj będzie kontenta, że tak jest, bo jeszcze i gorzéj być może!

— Ja to powiadałl — zawołał hetman, — a! już to jest wielkie oszczerstwo! bo jakom żyw, jeszcze nigdy z ust moich takie słowa nie wyszły.

— Poczekajno, panie bracie, — przerwie mu pisarz, — bo będzie tego jeszcze i więcéj. Więc ty mnie zdradę wyrzucasz względem zapomniałego hetmana, któregom wziął z woli narodu, a któżto

i kiedy nazdradzał więcéj, niżeli tenże sam hetman? Powiédzże, jakże ty się sprawiłeś u Podkamienia? Zwołałeś naród do broni, porozsyłałeś kuryerów, ażeby wszystko kołek w kołek wstało, ba nawet sam księciu Januszowi posłałeś kilka na sukurs chorągwi, a kiedy naród wstał, toś ty go w błocie zostawił i oddał Sasom na rzeź!

A na to hetman zerwał się z miejsca i zawołał:

— A toż co znowu takiego? Michasiu! jeżeli Boga kochasz, tak nie mów, bo mnie zabijasz! Poczekaj, ja ci to wytłumaczę.

Ale mu pisarz znów przerwał, mówiąc:

— Dajże mi się wygadać. Więc potém, czegóżeś ty trzymał z królem, kiedyś już widział, jakie uciski jego wojska roznoszą pomiędzy braci? Czyś ty był ślepy natenczas? Nie twojaż to rzecz była się ruszyć, kiedy rabowano domy braterskie, a ich samych zabijano jak bydlęta? A tyś co robił natenczas? Libertowałeś dobra twoje, twoich sług i przyjaciół od tych ciężarów, a szlachtę niechajby byli i wymordowali do nogi, to nic? Toś ty nie zdradzał natenczas, he?

— Ej! panie Michale! — zawoła hetman, ociérając pot z czoła, — krwawo ty mnie obwiniasz, a jak mnie Bóg miły, niesprawiedliwie.

— Czekaj-no jeszcze, — rzecze mu pisarz, — ty wiész przecie, jaki jest tenor tarnogrodzkiego aktu. Powiedziano tam jest wyraźnie, iż się ubezpiecza nietykalność osoby i korony królewskiéj a wstaje się tylko *pro securitate et immunitate Pactorum*. Więc cóż tobie przeszkadzało stanąć po stronie narodu, chociażeś hetman i kasztelan krakowski? A tyś gdzie stanął? he. Jako zwykle, po stronie Sasów; jeszcze ich karmisz i poisz *proprio aere*, ażeby lepiéj uderzali na braci!

— Panie Michale! — zawołał hetman, — jak mi Bóg miły, tak nie wytrzymam. Pozwólże, niech ci się wytłumaczę. Nie stanęłem ja razem z konfederacyą, bo powiadaj ty sobie co chcesz, taki to mnie się nie godzi. Ale żebym ja był jéj kędy szkodliwym, tego mi nie dowiedziesz. A jeszczem jéj nawet dopomógł, choć milczkiem tylko, bo téż inaczéj nie było można.

— A jak ty jéj znowu dopomógł? — zapytał pisarz, — ciekawym wiedzieć.

— A jużem jéj pomógł. Bo powiédz sam, com ja z urzędu mogo powinien był zrobić, kiedy się Podgórzanie zburzyli? Nie powinienem był moich chorągwi kwarcianych pościągać? A pościągałem je? he? A cóż się stało z temi wojskami? poszły do związku. I one to, one, a nie Podgórzanie, ani téż inna szlachta, ufundowały konfederacyą i one ją w górę podniosły. Bo któżby to pobił Howerbeka pod Tarnowem? nie Górzyński z Branickim? Kto pobił Miéra, Baudycza i innych? nie Górzyński z Branickim? a któż oni są? Moi oficerowie. A czém oni wojują? Memi wojskami. A idźże daléj. Nie miałem ja jeszcze prócz tamtych, kilkanaście

tysięcy wojsk moich na Podolu i Ukrainie? nie mogłem ja ich pościągać i Lwowa niemi obsadzić? nie powinienem był tego uczynić? A com ja zrobił? Ot tak..... patrzyłem przez palce, jak ich Ożarowski powysyłał do związku.

— Więc to Ożarowski ich powysyłał do związku?— przerwał mu pisarz.

— A jużci nie ja,—odpowie w prędkości hetman.

— Cha, cha, cha!—rozśmiał się pisarz,— o! że nie ty, to jest pewna.

— No, nie ja sam, — poderwał znów hetman; — ale czy on, czy ja, to na jedno, bo przecie nic on nie mógł uczynić bez mojéj wiedzy.....

— Ej! przyznaj się, panie Adamie, — rzecze pisarz dworując sobie, — bo już to pewnie zrobił Ożarowski bez twojéj wiedzy.

— No, to niechże będzie bez mojéj wiedzy. Lecz idźmy daléj. A nie mamże ja jeszcze garści wojska w Brzeżanach? nie mógłżem wziąć jéj choć dla własnéj obrony do Lwowa? a wziąłem ją? nie. A kogom tu wziął? Campenhausena, któregom trzymał obiedwiema rękami, aby się nie szedł bić z wami, i Brześciańskiego, który jeszcze z mego ramienia potłukł Sasów u Kulikowa.

— Cha, cha, cha! — śmiał się pisarz, trzymając się obiedwiema rękami za boki. Ale hetman nic na to nie zważał, tylko mówił daléj z pośpiechem:

— A samem tu siedział jak u Boga za drzwiami, myśląc przecież, że macie oczy i widzicie co robię; ale wyście oczy zamknęli na to, a widząc tylko Podkamień i jakieś tam kompozycye oszczerców, jeszczeście zdradę uknuli podemną, aby mnie oplugawić w oczach narodu!

Więc tedy na to, tak ks. sufragan, jak i starosta bełzki, którzy obadwa, jak się już o tém wspomniało powyżéj, nie byli za aresztowaniem hetmana, bardzo się tém ucieszyli, że hetman tak się gorąco bronił; jakoż mu zaraz kiwali głowami, zachęcając go, ażeby się tak samo bronił i daléj. Lecz pisarz jakoś to jeszcze rozumiał inaczéj, bo się podparł obiedwiema rękami pod brodę, wpatrzył się śmiejącemi oczyma w hetmana i rzekł:

— Mądrze ty perorujesz, panie Adamie, kręcisz się jako liszka, kiedy ją charty ścigają; ale to wszystko nic nie pomoże. Bo ja, kiedym cię dostał już nareszcie do ręki, to cię nie puszczę, jeno, jak sam powiadasz, do kulbaki przytroczę i do Ledóchowskiego odstawię.

Na to zaś odezwał się dosyć łagodnie starosta bełzki:

— Nie jest to rzeczą tak łatwą, pójść przeciw wyraźnemu ordynansowi konfederacyi, ale ja myślę, że tę obronę pana Adama trzebaby przecież jakoś uwzględnić...

Zaczém zaś zaraz głos zabrał sufragan, mówiąc w ten sens:

— Trzymam i ja téż z moim kochanym panem Józefem i jeśli mi się odezwać godzi, to tak powiem: Co tam winien jmć Sie-

niawski, tego ja nie wiem, ale to wiem, że ten Sieniawski jest hetmanem i kasztelanem krakowskim, a takich osób nie godzi się aresztować. Bo żebyto z takiego nasienia jakie chwasty za czasem nie wyrosły, jako nam przykład tego dała niedawno Anglia. Konfederacya a rewolucya to jest wprawdzie nie jedno, ba jeszcze do tego na czele naszych konfederacyj stają zazwyczaj mężowie zacni, rozsądni i zaufani: ale kiedy jedna konfederacya da z siebie zaraźliwe *exemplum*, to druga za nią może snadnie utracić swój starodawny charakter; niechże natenczas weźmie jéj berło nie Ledóchowski lecz jaki Kromwell, to już nietylko hetmani, ale i pisarze, i starostowie, i sufragani pójdą do turmy, albo i szyje oddadzą pod miecz. Tak ja to mówię i sądzę, że rzecz ta godna zastanowienia.....

Więc tedy pisarz obrócił się do nich obudwóch i rzekł z uśmiechem:

— A jużeście się ichmość na mnie zmówili. No! jużci ja nie kamienny i sambym rad co uczynić dla niego. Przecie mi krewny i brat. Ale co w tém, jakoby przez uwięzienie hetmana dawał się zły przykład na potém, to się z jegomością nie zgadzam; bo jak cię kocham, biskupie, tak to dobry jest przykład! No, jeno takich nie dawajcie przykładów, bo to jest gorsza od angielskich Kromwelów! A co do niego, to i niéma co mówić, bo ja mam rozkaz wyraźny i wypełnić go muszę.

A to rzekłszy, patrzył znowu na Sieniawskiego, który mówił:

— Czyń, jak ci każe sumienie. Sumienie, mówię, ale nie rozkaz, bo rozkaz pana podkomorzego..... no! ale co mi tam na tém. Wybiéracie sobie starszyznę sami, toście z niéj i kontenci.

Więc pisarz na to jeszcze raz spojrzał na Sieniawskiego i trochę głową pokręcił, bo go to zabolało, że hetman z lekceważeniem o Ledóchowskim wspomniał, mężu wielbionym powszechnie, a jego przyjacielu serdecznym. Ale już umilkł, a zamiast tego rzekł:

— Ale ja przecież postąpię z tobą wedle mego sumienia i co mogę, to zrobię.....

Jakoż się zaraz obrócił do starosty i rzekł:

— Idźże, kochany Józefie, do pani hetmanowéj i panny Zofii, bo tam te damy pewnie już umiérają ze strachu, zwłaszcza, że warta stoi koło nich. Uspokójże tedy najpiérw naszę panią siostrę i powiédz jéj, że sambym to rad uczynił, ale nie mogę, bo wyniknęłoby ztąd zawiele czułości, któréj muszę unikać, zwłaszcza żem nie przyjechał tu jako brat na siostrzyne uściski, jeno jako marszałek konfederacyi w urzędowaniu. Pomimo to jednak upewnij ją, że się o męża niéma nic zgoła obawiać, bo w moich ręku ani mu włos z głowy nie spadnie. Wziąłem go i do Lubomli odstawię, bo taki jest rozkaz; jednak i tam mu głowy nie zdejmą, ano się z nim rozmówią i jako tako go ubezpieczą, aby na przyszłość nie

igrał. Jednakże gdyby i to się pani siostrze nie podobało i gdyby chciała, żeby jéj mąż zbyt długo w konfederackiéj detencyi nie pozostawał, to niechaj sobie każe zaprzęgać i niechaj jedzie prędko do księcia Janusza i prosi go, aby nam dał za niego rękojmię, a wtedy już się to jakoś u pana Ledóchowskiego wyrobi, że tę rękojmię przyjmie i pozwoli mu tę detencyą do skończenia konfederacyi kędy indziéj odsiedzieć. A to powiédz tym damom i pokłoń im się odemnie.

Rad tedy bardzo, pobiegł zacny starosta do dam, ażeby je jaknajprędzéj uspokoić i do księcia Janusza wyprawić. Ale Sieniawski, który się zapewne spodziéwał czego innego, skrzywił się na to i z zachmurzoném czołem zaczął się wolnym krokiem przechodzić po téj ogromnéj komnacie, która dość słabo, bo tylko kilkoma była oświecona świécami. Nie uważał jednak pisarz tego usposobienia hetmana i rzekł do niego:

— No, mój Adasiu, powiédzże tedy, czy konfederaci są tak bardzo krwi chciwi, czy nie tak bardzo?

A hetman na to dość obojętnie:

— Ani ja tam konfederatów obwiniam, ani téż ciebie. Jestem w twoich ręku, a co mam mówić? Widzę, żeś na mnie łaskaw choć trochę, tedy ci za to dziękuję i mówię, niechaj ci Bóg to nagrodzi.

Poczém się zaczął śpieszniéj po komnacie przechodzić, milcząc i sapiąc. Zauważył już wtedy pisarz, że jeszcze nie zadowolił hetmana, a jak to i on, obyczajem rodzinnym Potockich, nie lubiał nikomu być dobrodziejem na połowę, tak rzekł zaraz do niego:

— Powiédzże, panie Adamie, bo się coś chmurzysz jak widzę, małom ja zrobił dla ciebie? czy można więcéj?

— Ja tego nie wiem,—rzecze mu hetman,— bo téż i nie znam praw waszych konfederackich.....

A pisarz już na to niecierpliwie:

— Chodźno tu, panie Adamie, i usiądź ze mną za stołem. Bo ty jeszcze mi płaczesz, a ja nie lubię, żeby na mnie płakano. Chodźże tu, napij się ze mną, a pogadajmy.

Więc hetman siadł, napił się znowu na ten ciężki frasunek i rzekł:

— Ot! co tu gadać! rzecz już skończona. Zrobiłeś co mogłeś, a na więcéj cię nie stać. Cóż ci więc powiem? chyba to tylko, co zrobię, kiedy mnie do konfederacyi zawieziesz.

— No, cóż ty zrobisz?

— Co? złożę zaraz buławę i kasztelanią zrzucę ze siebie! Jak mnie tu widzisz żywego, tak ani jota nie chybi. Albom ja głupi dźwigać na sobie urzędy, które przez całe życie tylko trud krwawy mi niosą, a jeszcze w końcu obudzają zawiść do tego stopnia, że mnie aż w dyby chcą kować? A na co mi tego wszystkiego? Na co mi być zawistnym sługą po obcych krajach? Nie mam ja kraju mego własnego, gdzie mnie nikt kontrolować nie może i gdziem

jest panem, jak każdy drugi? Późno to, późno mi to doświadczenie przychodzi, ale za Boską pomocą jeszcze zawsze dość wcześnie, abym je mógł wykonać. I że je święcie wykonam, możecie być pewni. Podzielicie się temi urzędy, którychem nawykpiwał, jak powiadacie, u króla, i będziecie je sobie piastować, jak długo wam się podoba. Ani wam ich zawidzić nie będę. I owszem, daj Boże szczęście!

— No, toś ty gotów jeszcze pomyśléć, — rzecze pisarz, kiwając głową, — że albo ja, albo téż Leduchowski, dlatego ciebie chcemy uwięzić, aby się potém poubiérać w twoje urzędy. Ej! dzieckoźto z ciebie, hetmanie, a dziecko stare, na któreby się już i pogniéwać można, jeśliby tylko serce było po temu. Ale ja się nie gniewam, a w dowód tego ani już mówić o tém z tobą nie będę! A co mi na tém! Jam zrobił swoje, a ty myśl sobie o tém co chcesz.

A to rzekłszy, odwrócił się zaraz od niego i rozparł się w krześle. Ale Sieniawski, widząc zapewne, że tędy jakoś nie idzie, przystąpił zaraz ku niemu i rzekł:

— Mój Michasiu! nie bierzże mi tego za złe, żem jest taki pochmurny w mym własnym domu. Ale i nie dziw się temu, bo téż i trudno mi być wesołym, kiedym popadł w niewolę, w któréjem nigdy jeszcze nie bywał.

— No, ale czegóż u kata na mnie się dąsasz? — zawołał pisarz, porywając się z miejsca, — jam to jest winien temu, żeś ty popadł w niewolę? czy ja ci tę niewolę opieprzył, a nie osłodził?

A w téj właśnie chwili powrócił starosta bełzki i zawiadomił swojego brata, że pani hetmanowa bardzo mu wdzięczna za podanie jéj środka tak zbawiennego przeciw konfederackiéj niewoli, poleciwszy swojego męża jego braterskiéj opiece, wyjechała w ten moment do księcia Janusza. Starosta sam odprowadził ją do powozu i dał jéj konwój z konfederackiéj konnicy.

— Jeszcze i konwój dał twojéj żonie, — zawołał pisarz, kontynując rzecz swoję do Sieniawskiego, — ażeby się o tém dowiedziano w konfederacyi i żeby mnie jeszcze pomówiono o zdradę! I czegóż ty jeszcze żądasz odemnie? mogęż ja zrobić co więcéj?

— Nie, mój Michasiu, — odpowie hetman niby trochę swobodniéj,—jak ciebie kocham, tak niczego więcéj nie pragnę... chociaż mi trudno tego zataić, że jabym przecież dla ciebie uczynił więcéj i kiedy była pora po temu, tom się wcale nie wahał.

— Tyś dla mnie co zrobił? — zapyta pisarz, — a kiedyż to było?

— Nie lubię ja tam,—rzecze mu hetman, — wypominać własnemi usty, com kiedy komu zrobił dobrego, ale gdy o tém mowa, to cię proszę, ażebyś sam sobie przypomniał.

— A ja nic nie pamiętam, choćbyś mnie zabił.

— No, to ja tobie przypomnę. Było to w r. 1698. Król wtedy

ciągnął z Sasami i kwarcianymi na kampanią turecką i stanął obozem pod Brzeżanami.....

— A! — rzecze pisarz, — to mi ty to przypominasz, żem wtedy uderzył obuchem Przebendowskiego..... No, ale powiédźże sam, żalim nie dobrze to zrobił?

Tu się obrócił do sufragana i tak mówił:

— Słuchajno, księże Stefanie, jak to tam było. Bo to ten Przebendowski, który dopiéro co został był wtedy wojewodą malborskim, już się tak był uczepił króla i tak tam praktykował u niego, że niech się schowa dzisiejszy Fleming. Ciągnie król wtedy na kampanią turecką, pozapraszał nas wszystkich, idziemy. Ale jakeśmy zaczęli iść do Krakowa o wiośnie, takeśmy na jesień ledwie dociągnęli do Brzeżan. Bo to ta rzecz cała była wymyślona, żeby jeno miéć pretekst trzymania Sasów *in visceribus regni* i po staremu rabować dwory, kościoły i chaty, właśnie tak jak i teraz. Więc kiedyśmy stanęli u Brzeżan, a tu już zima i oczewiście z téj tam kampanii nic, i jużeśmy przeniknęli królewską sztukę, powiadamy jemu: Nie bałamuć ty, panie królu, a zabierz precz twoich Sasów, jako jest w *Pactach*. A Przebendowski, kochanek króla, coby nam był miał do tego dopomódz, jeszcze się na mnie oburzył i bluźnierstwo powiedział na szlachtę; więc ja go za to obuchem! Hej! zrobił się popłoch w obozie, że aż królewskie namioty poobrywano! bo frant Przebendowski wpadł był do króla i rzekł mu, że gas czynią na niego w obozie..... cha, cha, cha! — i śmiał się z tego wspomnienia swojéj młodości pan Michał.

A hetman na to:

— Prawda to, tak tam było. Ale dodajże jeszcze, że za to wzięto się potém do ciebie. I krucho już było koło pana Michała.....

— A i to prawda. Chcieli mnie Niemce ciągnąć na sąd, żem broni dobył w obozie, jeszcze téż i pod bokiem królewskim...

— No, — rzecze hetman, — ale się zdarzył ktoś taki, który dał sam za ciebie rękojmię i wcale cię nie odsyłał do książęcia Janusza. A byłem ja wtedy także z partyi królewskiéj, a ty z malkontentów, jak zawsze, i byłem ja także odpowiedzialnym przed królem za ciebie, jako ty jesteś odpowiedzialnym za mnie w obec konfederacyi, ale pomimo to wcalem się ja nie wahał dać porękę za ciebie i pótym deptał, pókim cię nie wydeptał i sprawa poszła *per non sunt!*

A na to zaraz ozwał się ks. sufragan:

— A! panie Michale! jeśli tak jest, tożto rzecz jasna, że trzeba oddać dobre za nadobne. Chyba że tak nie było.....

Więc pisarz na to wstał z krzesła i przechodząc się po komnacie, tak mówił:

— Jużci tak było... niéma co mówić... Ale to inna rzecz była natenczas...

— A jaka inna? — zapytał hetman.

— A jużci inna. Bom ja był czysty, tak w obec Boga, jak i narodu, a tyś haniebnie nabroił.....

— Słuchaj Michale! — zawołał hetman z pośpiechem, — powiem ci krótko. Są w narodzie dwie partye, jedna trzyma za królem, a druga za swoją własną fantazyą, obiedwie się wzajem nazywają zdrajcami; ale która z nich ma prawdę, jak ciebie kocham, rzecz niewiadoma, bo jeno Bóg to wié jeden, który nas kiedyś osądzi. A jeśli tak jest, a co to wiedzieć, który z nas czysty, albo też który z nas więcéj nabroił jak drugi?

A pisarz na to wciąż w zamyśleniu:

— Dajcieno ichmość pokój, bo znów się zacznie dysputa, a ta między wami jest do niczego. Cóż powiadasz, panie Michale?

— Albo ja wiem? — rzecze Potocki, — jużcibym rad się Adasiowi wypłacić, bo długów nie cierpię, ale cóż ja z nim zrobię?

A hetman na to:

— Rób, jak ci każe sumienie.

— No, słuchajże ty człowieku sumienny,— rzecze już niecierpliwie pan Michał, — pojedziesżże ty ztąd prosto do Brzeżan i będziesz tam siedział do skończenia konfederacyi?

— Jużci pojadę.

— Parol?

— Parol.

— No, to nie płacz na mnie i każ sobie zaraz zaprzęgać.

Ledwie tych słów domówił pisarz, kiedy starosta bełzki wybiegł natychmiast w dziedziniec, ażeby w ten moment zajeżdżały powozy.

A tymczasem Sieniawski omal się nie rozpłakał. Jakoż objął zaraz pisarza za szyję, całował go po bratersku i mówił:

— Dziękuję ci, mój Michasu, a niech ci Bóg za to zapłaci, bo mnie też wiele oszczędziłeś zgryzoty.

A pisarz na to:

— Ja ci już wszystko robię, i to co mogę, i to czego nawet nie mogę. A słuchaj, Adasiu! jeżeli ty mi ztąd nie pojedziesz prosto jak strzelił do Brzeżan, albo w Brzeżanach będziesz knuł jakie spiski przeciw konfederacyi..... to pamiętaj ty sobie! Już ja natenczas sam nie przyjdę po ciebie, jeno takiego ci diabła poszlę, że ani zębami go nie ugryziesz. A to sobie zapisz dobrze w pamięci, a na mnie nie płacz, bom już występek popełnił, ażeby tobie dogodzić. A teraz léź prędko w twoję szubę sobolą i jedź.

Jakoż natychmiast zaczęto z jaknajwiększym pośpiechem Sieniawskiego ubiérać. Już i starosta bełzki i uspokojony o nietykalność senatorskiéj godności sufragan dopomagali hetmanowi jak mogli, ażeby się ubrał czémprędzéj, a jak go tylko opapużyli, prowadzili go zaraz pobocznemi drzwiami do sieni. Wszakże we drzwiach samych jeszcze się raz Sieniawski obrócił i rzekł do pisarza:

— Mój Michasiu! zróbże jeszcze to dla mnie i puść mi Ożarowskiego.

A pisarz na to:

— Otóż masz! Jeszcze czego nie stało!... Jedźno, jedź prędko, a oglądaj się, żeby jeszcze i ciebie nie nawrócono!

Zaczém już sam wziął hetmana pod ramię i wyprowadził go aż na dziedziniec, gdzie go już zaprzężone oczekiwały powozy.

Za chwilę potém Sieniawski już był za miastem, — na nizkim zamku i w całém mieście grobowa zapanowała cisza,—i tylko w piwnicach zamkowych było jeszcze cokolwiek głuchego gwaru, gdzie konfederackie żołniérstwo wysuszało do reszty pospuszczane z łańcuchów antały.

XX.

Tak tedy hetman, umiejąc zręcznie korzystać z ambicyi i poczciwości pisarza, wydobył się nateraz z nieszczęścia, w które był popadł; lecz uczyniwszy wszystko dla siebie, dla swego najwierniejszego przyjaciela nic nie uczynił. — A tymczasem Ożarowski, jeżeli w swém życiu, to teraz właśnie najbardziéj potrzebował pomocy, bo téż i dziwnie smutne było to położenie, w które go wreszcie zaprowadziła łaska i przyjaźń hetmańska.

Owo więc, kiedy przez szczęśliwego Garbowieckiego uderzony po dwakroć bagnetem, padł był przed bramą, to jeno ziemia się pod nim zatrzęsła, jakaś burza straszliwa przeszumiała nad jego głową, w jego oczach zrobiło się ciemno, a wreszcie odstąpiła go cała przytomność. Jak długo leżał bez zmysłów i co się z nim działo natenczas, sam już nie wiedział.....

Kiedy po raz piérwszy przejrzał cokolwiek i poczuł się jakby przez sen w istnieniu, to go mrowie przeszło po całém ciele i bodajby był raczej nigdy do przytomności nie wracał! Zdało mu się bowiem natenczas, że miał dwie rany na sobie, jednę w piersi, a drugą na głowie, a to go piekło, jak gdyby go kto co chwila rozpaloném dotykał żelazem. Przytém gorzało mu w głowie jak w hucie, usta miał suche, język spalony i pragnął tak, że byłby dał resztę życia za jednę kropelkę wody. Rozejrzał się koło siebie i zdało mu się jakoby był w jakiéjś wielkiéj komnacie, murowanéj, sklepionéj, lecz dziwnie strasznéj. Ściany jéj bowiem były całkiem szczerniałe, w niektórych miejscach u dołu wilgoć ściekała strugami, w innych zamarzła i lśniała srébrnemi gwiazdkami do światła. W komnacie téj była wskróś kamienna posadzka, dwa

okna wysokie gotyckie otyle jasne, żeby przy nich ciemność obaczyć, a zresztą żadnego sprzętu, oprócz drewnianego tapczana na którym leżał i żelaznego pieca, który pomimo zmroku sam wpadał w oczy, bo miał gęste szczeliny po sobie, a przez nie było widać płomienie gorejącego w nim ognia. I była cisza w téj wilgotnéj samotni. Tylko przy jednéj ścianie dawał się słyszyć szum ustawiczny, jakby tamtędy przy fundamentach, albo może pod niemi, płynęła rzéka. Obejrzawszy to wszystko, chciał myśléć, ażeby sobie przypomnieć gdzie jest? co się z nim dzieje? co to za komnata? czy był w niéj kiedy? — Ale miast myśli, zaczęły mu się jawić rozmaite widziadła..... Zaledwie już miał tyle przytomności, że wziął skaplerz do ręki, który znalazł nietknięty na swojéj piersi; a tak miejsce widziadeł zajęły mu sny błogie i miłe, w których prędko utonął, tracąc z przed oczu komnatę, jéj ściany wilgotne, jéj okna gotyckie, a nareszcie i siebie samego z pamięci.....

A kiedy po raz wtóry się zbudził, to znów się znalazł w téjże saméj komnacie. Ale teraz noc była — a u stropu paliła się lampka stłuczona, jaką często przed obrazami w uboższych zawieszają kościołach. Jakoż i koło niego stał już teraz stolik drewniany, na którym postawiono dzban wody, porozrzucano kawałki płótna i silnie woniejące dryakwie. Widać tedy było, że już tu ktoś dbał o niego, a nawét i o ranach jego pamiętał. — Jerzy poczuł się w sobie i znalazł, że mu te rany już nie dokuczały tak bardzo, ale mimo to czuł się tak osłabionym, że nie mógł poruszyć ręką i zaledwie miał tyle siły, ażeby utrzymać już otworzone powieki. Będąc niby cokolwiek przytomnym, chciał sobie zdać sprawę z tego, co się z nim stało i jeszcze wciąż dzieje, ale i to było nad jego możność. Albowiem sen go mroczył ustawny i plątał w nim wszystkie myśli do tego stopnia, że był jak pijany i posiadał zaledwie cień przytomności. Leżał tedy spokojnie i słuchał, chociaż nic do słyszenia nie było. W komnacie bowiem cisza była grobowa, tylko ów szum wody podziemnéj szeleścił ciągle, wzmagając się czasem pluskaniem, zkąd się zdawało, że owa woda musi wzbiérać zapewne, nowe ze sobą przynosząc fale. Pośród téj ciszy dawały się także słyszéć zdaleka jakieś stłumione wołania, jak gdyby warty zamkowéj. Te głosy znał Jerzy oddawna i z nich się domyślał jakby przez sen, że się znajduje na nizkim zamku i jest zapewne w niewoli. Późniéj znów zégar usłyszał, który uderzył jedenastą godzinę i zdało mu się, jakoby to był dzwon starodawny ratusza. Wszakże już daléj nic nie dosłyszał, a skołysany jednostajnością szumiącéj wody, począł zapadać w senność, która mu znowu zaczęła snować rozmaite widziadła..... Tak w tym półśnie pół-jawie przeleżał może godzinę albo i więcéj, kiedy wtém nagle usłyszał jakieś ciężkie stąpanie po kamiennéj posadzce. Już sama myśl o tém, że w téj podziemnéj samotni prawie o saméj północy ktoś go nawiédza, przejęła go dreszczem, ale ten dreszcz

wystąpił mu zimnym potem na czoło, kiedy tuż przy swém łożu jakąś postać obaczył. A była to postać straszliwie brzydka i prawie przerażająca. Mąż nizki wzrostem, mocno barczysty i nieledwie zgarbiony, z głową ogromną, skrajaną twarzą i siwą brodą strzępiastą. Miał na sobie burkę kudłatą, a na głowie czapkę futrzaną z uszyma, w którym to stroju jeszcze dziksżą miał fizyognomią. Tak stał i patrząc swemi szklistemi oczyma na niego, trzymał palec na ustach. Na piérwszy widok tego zjawiska Jerzy zadrżał w najgłębszém wnętrzu, byłby się rzucił, gdyby był miał siłę po temu; ale jak był bezwładny, zimnym oblany potem, tak tylko patrzył wystraszonemi oczyma na niego. Wszakże po małéj chwili, przypatrzywszy mu się cokolwiek lepiéj, znacznie ochłonął; zdało mu się bowiem, że znał tego człowieka, że go widział gdzieś modlącego się bardzo gorąco, że nawet sam z nim odprawiał pokutnicze modlitwy. W téj saméj chwili, jako to myśli ludzkie zjawiają się jedna po drugiéj jak błyskawica, znów uczuł wstręt do tego człowieka, bo wtedy już mu się zdało, jakoby ten człowiek przecież na niego kiedyś szatańskie zastawiał sidła. Ale za jedno oka mgnienie znowu się uspokoił, albowiem wtedy dostrzegł jeszcze drugiego człowieka za piérwszym, a kiedy twarz jego obejrzał, to jakby mu kto balsam przyłożył na ranę. A była to twarz także duża i pełna, a nad nią włosy siwawe nastroszone jak strzecha, lecz na niéj oczy duże błękitne, jasne i tak poczciwe, że Jerzy aż się roześmiał w głębi swéj duszy i nawet widomie się do nich uśmiechnął.

Silił się téż koniecznie, ażeby coś do nich przemówić, lecz nie mógł, — tylko westchnął z głębokiéj piersi i zdało mu się, jak gdyby odżył. Ci zaś obadwa ludzie zdawali się tylko czekać na to westchnienie, albowiem zaraz poszeptali coś z sobą pocichu i coś szeptali do niego, ale ich nie rozumiał. Oni nie zważali wszakże nic na to, tylko się wzięli do niego i poczęli go w koce obwijać, spowijając mocno jakby niemowlę. Dziwnie to było Jerzemu; miał niby jakąś ufność bezwiedną, że się to nie dzieje na jego szkodę, a przecież go silna obejmowała obawa. I ta obawa musiała się zwiększać za każdą chwilą. Przybysze ci bowiem, spowiwszy go całkowicie, wzięli na swoje barki i precz z komnaty wynieśli. I nieśli go potém kędyś, jakby pomiędzy jakieś wilgotne i chłodne mury i wreszcie zatrzymali się z nim w ciemności. Jerzy to tylko pamiętał, że pośród tego gorzéj niżeli pogrzebowego pochodu, ów szum płynącéj wody stawał się coraz głośniejszym, a nareszcie już go tak słyszał wyraźnie, jak gdyby się znajdował nad samą rzéką. Tam go ci ludzie złożyli z barków na ziemię i zdało mu się, jakby przez jakiś wyłom w fundamentach lub murze rozmawiali z jakimiś innymi ludźmi, którzy tam na nich czekali. Poczém natychmiast znowu go wzięli na ręce i bez żadnego wątpenia przez wyłom muru spuścili na dół do rzeki. Co się daléj z nim działo, już nie

mógł wiedzieć, albowiem w téj rzéce chłód go owionął tak mocny, że zdrętwiał cały i w zupełności stracił przytomność....

Wszakże z téj niepamięci, która znów trwała Bóg wié jak długo, obudził się po raz trzeci, — ale było to już zupełnie inne zbudzenie! Albowiem wtedy znalazł on się już w bardzo pięknéj, jasnéj, wesołéj i nawet wcale bogato przyozdobionéj komnacie. Leżał na łożu wyniosłém, pościel miał czystą i cienką, na sobie kołdry jedwabne, na ścianach pyszne haftowane kobierce. A i ludzi już tutaj nie brakło i jeszcze jakich do tego! Przy głowach łoża siedziała matka jego, u nóg najulubieńszy jego porucznik, zacny Sebastyan Polówka, a przy nim medyk nadworny hetmański, — na kanapie zaś trochę opodal mieścił się ks. sufragan Rupniewski, a przy nim znowu blizki przyjaciel Jerzego, bogobojny ksiądz Andrzéj. Kiedy chory wszystkie te tak ulubione przez siebie osoby swojemi już znacznie rozjaśnionemi oczyma ogarnął, jakże to wielką radość uczuł w swém sercu, jak niewymowna błogość rozpostarła się w jego zbolałéj duszy! Jakoż lubo był jeszcze osłabiony tak bardzo, że zaledwie mógł ręką poruszyć, to i tę rękę ku nim wyciągnął i powitał ich takim jasnym, wesołym, rozpromienionym uśmiéchem, jakim mieszkańcy stref lodowatych po kilkomiesięcznéj nocy witają piérwszy wschód słońca. Wszakże jeżeli on się tak bardzo ucieszył otaczających go osób widokiem, to one, obaczywszy jego oczy otwarte, a na jego twarzy uśmiéch taki wesoły, ucieszyły się jeszcze daleko więcéj. Jakoż w téj chwili wszyscy się raźnie z miejsc swoich porwali i otoczyli go kołem, a jego matka tak się uniosła porywającą radością, że się rzuciła na kolana przy jego łożu i porwawszy synowską rękę, tak silnie ją do ust swych przycisnęła, jakoby jéj nigdy już nie miała wypuścić. Nie mniejszą radość okazali i drudzy, albowiem kiedy rzucający się medyk coś ustawicznie szwargotał językiem włoskim, to równie ucieszony kapelan prawie go jeszcze zagłuszał; sam ks. sufragan, wyrzuciwszy pomimowoli szczyptę tabaki z pomiędzy palców, już coś opowiadał Jerzemu tak żywo, jak tego nigdy nie miał w zwyczaju,— jeden tylko Polówka nie umiał słów znaléźć w swojém głębokiem wzruszeniu i tylko łzy gęste ociérał z rozpromienionéj twarzy.

Scena ta, któréj głębszego powodu Jerzy się tylko jak gdyby przez sen domyślał, trwała wszakże tylko małą chwileczkę, albowiem on sam, wiedząc dobrze, komu się z każdéj radości najpierwsza godzi ofiara, przerwał ją prędko, zanosząc do ks. Andrzeja prośbę, ażeby był łaskaw odczytać mu jaką stosowną do tego momentu modlitwę. Bardzo uradowany tą myślą pobożną, ks. Andrzéj wydobył zaraz brewiarzyk z kieszeni i począł czytać w nim głośno,— a tak wszyscy natychmiast umilkli, składając ręce i powtarzając za nim wymawiane przez niego modlitwy. Najżarliwiéj ze wszystkich modlił się Jerzy, — ale pomimo to nie mógł nie zauważyć, iż jego matka tak całą duszą zatopiła się w modłach, a na jéj twarzy odbił się tak głęboki wyraz pokory i skruchy, że cała jéj po-

stać przypomniała mu jakby żywo owe pokutnice natchnione i święte, które od lat pacholęcych tak dobrze były mu znane z ksiąg ks. Skargi, a które późniéj niejednokrotnie z zachwyceniem oglądał na obrazach włoskiego pędzla. Widok ten, trudno tego zataić, jeszcze go silniéj w téj chwili pocieszył, niżeli jego własna modlitwa; a wszakżeż wiedział on o tém, a co gorsza, czuł to po wszystkie czasy, jak powierzchowną tylko wiarę chowała w swém sercu ta najdroższa dla niego niewiasta, jak wiele ztąd niepowodzeń wywiązało się dla jego rodziny i jak to niezbędnie tak dla niéj, jak i dla niego samego było potrzebném, ażeby się ten niedostatek jéj serca wypełnił. Myśl ta od czasu jego powrotu z Paryża trapiła go ciągle, a lubo ta sprawa była tak drażliwą i delikatną, że ledwie śmiał o niéj pomyśléć, pracował jednak nad nią, o ile tylko dozwalały tego względy synowskie; ale dotychczas ta praca jego żadnych nie przynosiła skutków. Miałyżby tedy teraz same zdarzenia sprawić to w jednéj chwili, czego i ojciec i syn nie dokazali przez całe lata? — Tak ta myśl przebiegła Jerzemu przez głowę jak błyskawica i dziwnie głębokie sprawiła na nim wrażenie; ale nateraz nie mógł on się nią dłużéj zatrudniać, albowiem zaraz po skończonéj modlitwie poczęto mu opowiadać z kolei te wszystkie wypadki, które zaszły podczas jego nieprzytomności, a których było tak wiele!

Jakoż dowiedział on się podówczas dosyć ciekawych rzeczy.

Najpiérwéj tedy o nim samym powiedziano mu ten szczegół zadziwiający, iż jego rany nie były nigdy ani śmiertelne, ani tak bardzo ciężkie, jeżeli go zaś opanowało osłabienie tak wielkie, że aż musiano zwątpić o jego życiu i dopiéro dziś piérwsza zabłysła nadzieja, to miał on to do zawdzięczenia tylko żołnierskiemu felczerstwu. Kiedy go bowiem konfederaci z pola bitwy do więzienia zanieśli, to chcąc go ratować, sami mu krew puścili, będąc zaś z łaski piwnic hetmańskich podochoceni bez miary, i krwi mu upuścili bez miary i to do tego stopnia, iż tylko łaska Boska mogła go uratować od śmierci. Jakoż byłby tam Jerzy śmierć znalazł pewną, bo lubo może na ratowania go chęciach nie brakło, jednak ówczesny stan zamku, ważące się w nim wypadki i zresztą wszystkie inne okoliczności były tego rodzaju, że wśród nich jakiekolwiek pielęgnowanie chorego było niepodobieństwem. Okoliczności zaś te były następujące:

Kiedy się pisarz koronny nazajutrz rano po wzięciu zamku i wypuszczeniu hetmana ze snu obudził, to rozpatrzywszy się w tém, co się stało, bardzo był frasobliwy. Nie mógł on bowiem tego nie uznać, iż rozgrzaném sercem, rozgrzaną troszeczkę głową, a wreszcie uniesony szlachetną chęcią okazania dowodnie, że konfederaci nie są tak zawzięci i mściwi, za jakich ich miéć chcieli stronnicy sascy, dał się poprostu unieść prywacie. Wprawdzie powiedzieć tu trzeba, że bodajby po wieczne czasy tylko taka się pojawiła prywata, która bliźniemu nie szkodzi, ale owszem pomaga:

jednakże ta prywata mimo téj dobréj strony miała i złą, bo wypuszczenie hetmana mogło przynieść sprawie publicznéj szkodę. Potocki nie powinien był pod żadnym warunkiem Sieniawskiego uwalniać. Jakoż uczuwszy to pan Michał w swojém sumieniu i wiedząc, że się z trudnością z tego postępku przed niecierpiącą Sieniawskiego konfederacyą usprawiedliwi, chciał przynajmniéj wszystkich innych swych obowiązków z taką ścisłością dopełnić, ażeby wypływającemi z nich korzyściami dla konfederacyi tamtą niekorzyść choć w części zatrzéć i wynagrodzić. W tym celu, jak tylko wstał rano, rozkazał jaknajściśléj obwarować jeńców, a sam się rzucił na miasto, ażeby pozabiéranych hetmanowi żołnierzy do swoich powcielać chorągwi, broń pozabiérać z zbrojowni, mury opatrzyć, bramy osadzić i zgoła wszędzie pożądany zaprowadzić porządek. Do tego wszystkiego nagliła go jeszcze i ta okoliczność, iż lada chwila mógł się spodziéwać napadu na miasto, albowiem generał Baudycz, który dopiéro parę dni temu wyszedł ze Lwowa, mógł się nawrócić i popróbować szczęścia u jego murów. Tak tedy, zająwszy się temi pracami, dopiéro w wieczór powrócił pisarz na nizki zamek; a kiedy wrócił, zastał ważną nowinę. Przed chwilą bowiem przyleciał był kuryer od Ledóchowskiego z rozkazem, ażeby pisarz dostawił w ten moment hetmana do niego. Odebrawszy takową depeszę i widząc z niéj jeszcze tém jawniéj, jak wielką niedorzeczność popełnił wypuszczając hetmana, zniecierpliwił się nią do najwyższego stopnia i wpadł w gniéw niesłychany, chociaż właściwie prócz niego samego nikt tu nie zawinił. Wszakże w tym gniewie sam nie wiedział co robić, bo Sieniawski od czasu jak wyjechał ze Lwowa, mógł już trzy razy zajechać do Brzeżan, fortecy jeszcze nigdy nie wziętéj, bo jéj wziąć było niepodobieństwem. Jednakże jeśli z owego uwolnienia hetmana był tak niekontent marszałek konfederacyi, to jeszcze daleko więcéj byli tém zniechęceni sami pisarzowscy żołnierze, którzy w chwili zwycięztwa daleko więcéj cieszyli się wzięciem hetmana, niżeli zdobyciem miasta i zamku. Pomiędzy tymi wiódł rej jmć Piotr Wiszowaty, konfederat ognisty, jak to już wiemy, nieubłagany wróg Sieniawskiego.

On od lat kilku wzięcie hetmana, w czasie spodziewanéj przez siebie od dawna konfederacyi i pozbawienia go tak szkodliwéj w jego ręku buławy, położył sobie za cel wszystkich prac swoich i wszystkich tak mozolnych zabiegów; on nawet uczynił na Jasnéj Górze ślub potajemny, że się musi rozprawić z tym, jak go nazywał, zdrajcą wielkim koronnym; on może wreszcie, tak Ledóchowskiego, jak Potockiego i innych, najskrzętniéj do tego kroku namawiał, a może i on ich do tego postanowienia ostatecznie nakłonił: — a tymczasem Potocki, mając już tego senatorskiego jeńca w swych ręku, ni ztąd ni zowąd, sam go wypuścił! Szczęściem to było dla Sieniawskiego niemałém, iż w ową chwilę, kiedy ze zamku wyjeżdżał, tryumfujący ze zwycięztwa rotmistrz

bawił się właśnie w podzamkowych piwnicach, bo gdyby nie to, jak Bóg na niebie, byłby go własną ręką zatrzymał i z swymi stronnikami raczéj gwałt zrobił, niżeli na uwolnienie zezwolił. Lecz dowiedziawszy się o tym wypadku dopiéro nazajutrz, wpadł tylko w gniéw piorunowy i uniósł się był nawet cokolwiek w obec pisarza, lubo wkrótce na przeprosinach ten wybuch swéj żarliwości zakończył. Owo więc, kiedy nazajutrz w wieczór przybiegł ów kuryer od Ledóchowskiego i pisarz już sam nie wiedział, jakby miał sobie w tym fatalnym wypadku postąpić, to zawezwał do siebie rotmistrza i jemu ten frasunek powierzył. A rotmistrz, któremu to uwolnienie hetmana jak głaz piekielny ciągle ciężyło na sercu, wcale długo się nie namyślał, tylko rzekł pisarzowi:

— A to mnie więcéj nie potrzeba, jak tylko takiego rozkazu. Wezmę tedy garstkę ludzi i pójdę za nim, może ja go jeszcze dostanę.

A pisarz na to:

— Choćbyś go nawet nie dostał, to i na tém dość będzie w tym razie że pójdziesz, bo będziemy mieli czém się usprawiedliwić przed Ledóchowskim!

— A cobym go nie miał dostać! — zawołał rotmistrz, — przecie mi jeszcze konceptu do wzięcia Brzeżan nie braknie!

Tak zaufany w swój dowcip i doświadczenie wojenne, wziął sobie dwie chorągwie pancerne, a do nich trochę piechoty na wozach z kilką armatek i wyruszył jeszcze téj saméj nocy do Brzeżan.

A kiedy to się działo na zamku, ks. Rupniewski, jako już nieodstępny doradzca pisarza, był sam temu przytomny, jakoż niezmiernie się tą nową decyzyą sfrasował. Miał zaś do tego frasunku powód jeszcze o tyle ważniejszy, ile że w skutek swoich pilnych relacyj prawie wiedział na pewno, że hetman jeszcze dotychczas nie dojechał do Brzeżan, tylko wstąpiwszy do Przemyślan po drodze, tam po tych zgryzotach i trudach, które czy to w swéj naiwności, czyli w zarozumieniu, uważał już za skończone, tymczasowo spoczywał. Było tu tedy rzeczą nieledwie pewną, że rotmistrz zgoni go w Przemyślanach, a że go z nieochronnego dworu weźmie i pewnie z swych rąk nie wypuści, nie mogło być ani wątpienia. Sufragan tedy przestraszył się téj decyzyi, a ponieważ już teraz, wbrew powtórnemu rozkazowi generalnego marszałka, nie mógł się jéj sprzeciwić, hetmana zaś choćby dla saméj zasady ratować koniecznie pragnął, więc się sam zebrał czémprędzéj i do Przemyślan popędził. Ta jego ciągła o hetmana obawa, zakończona nareszcie podróżą, stała sie powodem, że i on nie mógł o Ożarowskim pamiętać, — i nikt natenczas nie mógł o nim pamiętać, bo kiedy matka jego leżała sama w bezprzytomności na nizkim zamku i w całém mieście był taki rozgwar i popłoch przez ten dzień cały, że gdyby był Jerzy nawet i konał, to byłoby nie było, ktoby mu był sprowadził księdza.

Mimo to wszystko przecież znalazł się jeden taki człowiek poczciwy w mieście, który w téj chwili fatalnéj jego sobie przy-

pomniał. A nie był nim wcale kto inny, jak tylko ten dziwny szlachcic, który był niegdy przyjacielem jego ś. p. ojca, a którego zwano Murzą tatarskim. On bowiem, lubo był jednym z najskrzętniejszych współzawodników konfederacyi, na dniu tym właśnie znalazł się bez żadnego zajęcia. Co było mu poruczoném do dnia dzisiejszego, on już wszystko wykonał — a pamiętny słów swego mentora: że ze skalanemi występkiem rękami nie godzi mu się przystępować do głównego ołtarza spraw czystych i wolno mu tylko sprawować usługi podrzędne, — do tego wszystkiego, co się działo u góry, całkiem się nie mieszał. Wszedłszy już zresztą na tę drogę, na któréj przedsiewziął sobie, miast bierną skruchą i utrapieniem, pokutować za grzechy swoje poczciwemi czynami, tak był tych czynów spragniony, tak niemi, nigdy nienasycony, iż ledwie co jednéj dopełnił pracy, już łaknął drugiéj, a dzień, w którym nic dobrego nie zrobił, był dla niego prawdziwém męczeństwem. Chodził natenczas jakby owca zbłąkana, nudził się, gderał, majaczył i póty szukał i szperał, póki koniecznie kogóś takiego nie znalazł, komu się mógł stać pożytecznym. Owóż nazajutrz po wzięciu Lwowa miał on także dzień taki: wszyscy byli szczęśliwi, a między szczęśliwymi nigdy on miejsca dla siebie nie szukał. Wpadł tedy na myśl, ażeby iść tam, kędy mają opatrywać rannych i grzebać umarłych — a tam wszedłszy, przypomniał sobie wprędce Ożarowskiego. Myśl ta prawie jak słońce wzeszła mu w oczach: bo przecież ojciec Jerzego był jego przyjacielem w czasach dla niego najgorszych, — ten ojciec, i kto wié, może właśnie z jego przyczyny tak nagle zszedł z tego świata, — do tegoż jeszcze Jerzy był takim blizkim Bobrownickiemu i Drohojowskiemu, którzy jeszcze zawsze wedle jego zdania mieli w swych rękach jedyny klucz od bram jego zbawienia! — Pobiegł on tedy czémprędzej na nizki zamek, ażeby Jerzego odpytać. I odpytał go łatwo, a nawet, jako tak wierny i wszystkim znany konfederacyi sługa, zyskał wstęp do niego bez żadnéj trudności. Obaczywszy go wreszcie, jakże się zdziwił, znalazłszy go już po puszczeniu krwi prawie bez duszy, ba, i bez najmniejszego ratunku. Pobiegł tedy w ten moment sam do pana Michała i opowiedziawszy mu rzecz, prosił go bardzo, ażeby mu zezwolił wziąć Ożarowskiego do miasta, wygodnie go gdzieś umieścić i pielęgnować w chorobie. Ale trafił on w chwilę jak można było najgorszą. Bo właśnie wtedy kuryer ów już był nadjechał, a pan Michał był w takim gniéwie, że nawet nie chciał rozmawiać z Murzą. Jednakże Murza tém się nie zraził i nazajutrz dzień przyszedł znów do pisarza. — Przyjął go teraz pan Michał cokolwiek grzeczniéj, nawet za wczorajszą odprawę przepraszał, ale ku jego prośbie przecież się nie przychylił, a wtomiast rzekł:

— Znam ja ciebie, mój panie, zacnyś jest człowiek i wielkie nam oddałeś przysługi; aleś ty równo ze mną ludzkiego serca i jak ja Sieniawskiemu, tak ty Ożarowskiemu pokrewny. Już tedy

wiész, na czémby się ta kuracya skończyła, a ja na to zezwolić nie mogę. Wypuściłem już jednego, a ten mi stanął tak w gardle, że teraz już ani bębnisty żadnego nie puszczę!

Napróżno Murża dawał swoję fortunę w zastaw, ba, głową swoją zaręczał, że Ożarowskiego po wyzdrowieniu sam odprowadzi na zamek; pan Michał był niewzruszony, a nawet w jego przytomności najsurowszy dał rozkaz Garbowieckiemu, ażeby tego szlachcica ani w wnątrz zamku nie wpuszczał. Więc tedy Murża dziwnie się tém ufrasował. Lecz jako był namiętnym we wszystkiém, czego zapragnął i bardzo przytém upartym, — a oprócz tego i wierzył jeszcze, że jest jakiś niedobry duch przy nim, co mu do wszystkich dobrych uczynków przeszkadza i przeszkadza tém uporniéj, im który uczynek ma być zbawienniejszym dla niego, — tak tą odprawą pisarza nie dał się wcale zachwiać w swém przedsięwzięciu, owszem, nawet przeciwnie, jeszcze tém gorętszéj nabrał fantazyi. A tak się rozgrzawszy, postanowił sobie, niechaj się potém stanie co chce, wykraść Jerzego ze zamku. — Ale jak tu się z tego postanowienia wywiązać? — Sam go dokonać nie mógł, a choćby był mógł znaléźć we Lwowie ludzi, którzyby mu się do téj imprezy byli najęli, toż przedewszystkiém trzeba tu było kogoś takiego, ktoby znał zamek tak dobrze, żeby i w nocy mógł tam trafić z łatwością, gdzie zechce. Jednakże jak jedno, tak téż i drugie okazało mu się wprost niepodobném, jeżeli bowiem do podobnych przedsięwzięć zawsze o wspólników nie łatwo, to w położeniu ówczesném miasta, zwłaszcza téż przy tak groźném usposobieniu pisarza, już samo zwierzenie się komuś z takim zamiarem było dla roztropnego człowieka niewykonalném. Murża tedy się kręcił, szperał, nurkował po wszystkich kątach, ale wszystko napróżno. Wszakże natenczas, kiedy z niecierpliwości był już prawie blizkim rozpaczy, przyszedł mu na myśl ów pułk wiedeńczyków dawniejszych, a dziś Sodalisów, którzy przez całych lat pięć bez przerwy konsystowali we Lwowie i zawsze trzymali straże na zamku, a często nawet przez zimę w nim wraz z Granowskim mieszkali. Ci ludzie znali oczéwiście zamek daleko lepiéj niżeli ten, który go wymurował, ci ludzie byli od najdawniejszych czasów na żołdzie hetmana, a Ożarowski był także hetmańskim, ci ludzie wreszcie już od półtora roku pod komendą Jerzego, Jerzy z nich zrobił prawie najpiękniejszy pułk, dał im rozgłos i sławę i cały byt ich polepszył; nie mogło być tedy na żaden sposób (tak się Murża domyślał), ażeby oni nie byli za to wdzięczni swemu dowódzcy, ażeby go nie kochali i w razie jego nieszczęścia nie potrafili się za niego poświęcić. Tak sobie to rozmyśliwszy, nie zastanawiał się ani jednego momentu, tylko wziął furkę i popędził do Brzeżan. I trafił tam w chwilę najlepszą. Podówczas bowiem tylko co była dobiegła wiadomość o tém, co się stało we Lwowie, a w skutek tego wszyscy Sodalisowie, jak ich było okrągło trzysta, byli jak struci.

Nie truła ich tak dalece ani niewola hetmana, ani zdobycie Lwowa, ani zabranie zamku, — wszyscy oni bowiem jak byli, lubo nie bardzo się zagłębiali w materye *status*, daleko więcéj i duchem i sercem licowali z konfederacyą, niżeli ze stronnictwem królewskiém, ale wzięcie Ożarowskiego bardzo boleśnie ich zgryzło. A że to byli także nie łątki drewniane, jeno ludzie ciepłego serca i do czynów gotowi, więc téż miast próżnych żalów, poczęli radzić gorąco, jakimby tu sposobem wydobyć swojego ukochanego pułkowniczka z niewoli? — I radzili tak i inaczéj, jak to zwykle się dzieje, gdzie gęsto ludzi. Aż tu tymczasem właśnie na samę naradę wpadł do nich Murża. Trafił on do Brzeżan z łatwością, — a wszakże był już tutaj po dwakroć: raz jako poseł od chanów perekopskich i krymskich, a drugi raz z swojém własném do Jerzego poselstwem, które odprawił w noc owego festynu i maszkar. Wprawdzie obadwa razy był pod postacią Tatara i to mu tutaj drzwi otworzyło; ale teraz przychodził z poczciwym czynem do ludzi poczciwych, a to jest daleko lepsza i pewniejsza przepustka, niżeli najmisterniejsza maszkara. Jakoż Sodalisowie nietylko że mu drzwi otworzyli do siebie, ale i serca mu otworzyli. A tak w ten moment i narada się gładko odbyła i postanowienie stanęło. Więc tedy Sodalisowie, którzy istotnie znali najskrytsze zakątki nizkiego zamku i komnatę tę w oka mgnieniu odgadli, którą im Murża opisał, powiedzieli mu zaraz, że z téj komnaty wychodzą drzwi na mały korytarz, w którego rogu znajduje się wyłom w murze nad samą Pełtwią, a którym możnaby Pan Bóg nie wié co wynieść ze zamku. — Znali oni ten wyłom jaknajdokładniéj, bo przezeń wykradali się zwykle na ponocne hulanki, — a kiedy jeszcze i o tém zawiadomili Murżę, że właśnie z téj strony zamku niémasz ani strzelnic, ani żadnego krużganku, zaczém i straż tam nigdy nie bywa; więc już nie było co długo się zastanawiać nad sposobami uwolnienia Jerzego, bo ta rzecz prawie sama się układała. Tak tedy już nie zwlekając, wybrali oni sami z pomiędzy siebie dwunastu ludzi co najsprytniejszych i najwięcéj zdeterminowanych, którzy téż pod komendą Polówki, a w towarzystwie Murży, wyjechali natychmiast do Lwowa, — a co tam sprawili, niepotrzeba już opowiadać.

Kiedy się Jerzy o tém wszystkiém dowiedział, uczuł się rozrzewnionym do głębi. Jakże tu w tém zdarzeniu ręka Bozka była widoczną! Jakże on blizkim był śmierci i to najlichszéj, śmierci, jakiéj się nawet w najgorszym razie nie mógł spodziéwać, i jakim dziwnym sposobem został od niéj wyratowanym! Jakże to wiele poczciwych ludzi znajduje się po zakątkach téj ziemi, na któréj, przypatrując się z wysoka, tyle się widzi zdrożności! Jakże to często nawet i ludzie tacy, których nielitościwi ich bracia odsądzili od czci i wiary, stają się z woli Bożéj sprawcami zacnych i pożytecznych uczynków! — Tak myślał Jerzy i mówił w swéj skrusze:

— Nie spodziéwałem się nigdy, ażebym był godzien tak wielkiéj łaski u Pana Boga.

A z tych słów trza się domyślać, że razem z przytomnością odezwały się w jego sumieniu jakieś cierpkie myśli, a może nawet wyrzuty.

Wszakże w téj chwili, jeżeli go to zadziwiło niemało, że takim cudem został wyratowany od śmierci, to jeszcze daleko więcéj go zadziwił sam sprawca tego cudownego zdarzenia. Człowiek ten bowiem, lubo go Jerzy przedewszystkiém ztąd zapamiętał, że się modlił z nim razem w kapitularzu, był jednak figurą taką, do któréj nie czuł żadnéj sympatyi. Jego rozmowa z nim w Bobrownickich zameczku nad Nidą, pozostawiła mu po sobie nawet pewne obrzydzenie do niego. Zkądże tedy ten człowiek poczuł się teraz w obowiązku nietylko ratowania go z jego niewoli, ale ratowania go z takiém poświęceniem, z takiem niebezpieczeństwem dla siebie?... I gdzież nareszcie jest w téj chwili ten człowiek? Nie mając nadziei żadnéj innéj za swoje poświęcenie nagrody, czemuż się nie chce wynagrodzić przynajmniéj przekonaniem naocznem, że jego trudy pożądany odniosły skutek? — myśląc nad tém, Jerzy zapytał o to przytomnych, ale wszyscy milczeli. Dopiéro po małéj chwili zabrał głos sam ks. sufragan i rzekł:

— Ażeby ci na to odpowiedzieć dokładnie, wieleby trzeba mówić. Zachowanie się tego człowieka i mnie zadziwiło niemało. Prawdę mówiąc, gdy przyszedł do mnie z propozycyą, że ciebie chce wykraść, więc żebym cię potém przyjął do mego mieszkania, tom mu i wierzyć nie chciał, że nie jest ci żadnym krewnym, ani téż przyjacielem, a do tego jeszcze takim gorliwym sługą konfederacyi, że słyszę już o nim od roku. I byłbym mu pewnie nie uwierzył, gdyby nie to, że przyszedł do mnie powtórnie z zacnym ks. Andrzejem, który mnie o nim zapewnił. Więc tedy potém już i ja się spisałem z nimi ku twojemu zbawieniu i z całego serca otworzyłem mój dom na twoje przyjęcie, co téż i niezbędnie było potrzebném, bo gdzieindziéj nie mógłbyś być bezpiecznym. Kiedy to wszystko już się zrobiło, a dalsze troski o ciebie wzięła na siebie czcigodna matka twoja z imć panem lekarzem, byłem ja bardzo tego waszego Murzy ciekawy, a to jeszcze tém bardziéj dla tego, ile że ledwie cię oddał do rąk twéj matki, zaraz się żegnał i na odchodném jaknajusilniéj mnie prosił, ażebym nigdy tobie nie mówił, że i on się po trosze do twego wyratowania przyczynił; jeżelibyś się zaś o tém dowiedział zkądinąd, ażebyś mu nigdy tego nie przypomniał i nie dziękował. A to mnie jeszcze tém więcéj pociągnęło ku niemu. Jakoż wziąwszy go późniéj na konfesaty, wyjaśniła mi się potrosze ta dziwna dusza, w któréj, że już to muszę powiedzieć otwarcie, objawił się Pan Bóg w całéj swéj cudowności. Nie dziwna to bowiem obaczyć Boga w jasnych promieniach słońca, w wzniosłym błękicie nieba, w niewyczerpa-

néj urodzajności ziemi, bo pochodzenie ich z ręki Bożéj jest nam tak jawne, żeśmy przestali już temi cudami myśl naszę krzepić i serca nasze budować; lecz ujrzéć, jak z Jego woli wszechmocnéj dziki i niczém nieokiełznany duch swawolnego człowieka korzy się w prochu, ujrzéć jak skała przedtém nieporuszona chwiać się zaczyna i płacze rzewnemi łzami, jak za jedném Jego spojrzeniem zbrodnia się rzuca na pokutniczą pielgrzymkę, jak sumienie to samo, które się przepełniło występkiem, dla jednego uśmiéchu Jego cuda robi ze siebie i z błotnistéj kałuży wydobywa najkosztowniejsze perły i najczystsze brylanty, — to nas wzrusza do głębi i choćbyśmy byli czystością naszéj wiary nie wiedzieć jak wysoko wzniesieni, przecież nas jeszcze wyżéj podnosi. A takie-to widowisko przedstawił mi ten twój wybawca szanowny, za co mu téż jestem niemało wdzięczny, bom spędził z nim chwilę życia tak drogocenną, że ją drogo będę pamiętał. Starałem się téż wypłacić mu się za to wedle mojéj możności i tak rozumiem, że jeśli pójdzie za moją radą, to kiedyś i on sam, a przy nim może i inni, będą mi także wdzięczni cokolwiek.

Tyle dowiedział się na teraz imć ks. sufragan, a lubo Jerzy, tém więcéj rozciekawiony o swojego wybawcę, dawał mu jeszcze i te i owe pytania o niego, jednakże nic się już nie dowiedział. Natomiast zaś zacny prałat zaczął mu dalsze opowiadać wypadki, tak dotyczące hetmana, jak i konfederacyi. A były to rzeczy o tyle więcéj dla niego ciekawe, ile całkiem niespodziéwane.

Owo więc hetman, jak to wcale prawdziwie doniesiono sufraganowi, wyrwawszy się z rąk pisarza, w saméj istocie nie pojechał do Brzeżan, tylko zatrzymawszy się w Przemyślanach, tam się rozłożył i jak gdyby nic nigdy, najswobodniéj sobie spoczywał. Postępek ten tak już dosadnie przedstawia charaktar tego zepsutego magnata, że odtąd już żadnych nie potrzebuje objaśnień. Strupieszały na duchu starzec i lekkomyślne dziecko zarazem, owóż ostatni potomek gasnącego rodu Sieniawskich! Ale nieubłagana logika konieczności, kierująca losami ludzi i świata, nie szanuje ni starców ni dzieci, choćby dziecinność lub starość nie wiedzieć jak ich uniewinniały. Takiéj téż wynikłości koniecznéj uległ także i hetman, — albowiem już dnia drugiego wieczorem po jego uwolnieniu z nizkiego zamku zgonił go jmć Piotr Wiszowaty i zastawszy w otwartém przemyślańskiém dworzysku, wziął, jak to mówią, jakby kota we worze. Obaczywszy dwór otoczony żołnierstwem, a w téjże chwili takiego srogiego rotmistrza przed sobą, który nietylko dosyć niegrzecznie własną ręką sięgnął mu do kołniérza, ale jeszcze i gębę swoją wąsatą tak groźnie nad nim rozziawił, jak gdyby go chciał połknąć razem z safianowemi butami, hetman skoczył jak oparzony. — A co to? — zawołał gniewnie, — a jak waść śmiész? a gdzie jest *verbum*? — A gdzie jest *verbum*? — odpowie rotmistrz, biorąc się pod boki, — a gdzie jest *verbum*? he? a przecież miałeś jegomość jechać prosto, jak strzelił,

do Brzeżan, a pojechałeś? No, toż się nie dziwuj temu, że cię biorę jak swego, a że cię wezmę i nie wypuszczę, tak mi Boże dopomóż! — Dopiéroż wtedy spostrzegł się hetman, co zrobił; jakoż wziął się natychmiast do innych środków. — Lecz lubo już natenczas pojawił się był ks. sufragan, i gubernator dóbr przemyślańskich, i kilku innych dworaków, trudna to była sprawa z rotmistrzem. Dobiérali się oni do niego ze wszystkich stron, perswadowali mądrze, prosili bardzo, hetman mu obiecywał to patent na generała, to wieś jaką sobie wybierze, to sto tysięcy w gotówce, a dworzanie przynosili do téj rozmowy co najprzedniejsze sekty i najcięższe malagi, ale wszystko to na nic się nie przydało. Pan Piotr bowiem, lubo pił sobie z niemałym smakiem, jednak mu trunek nie szedł ani do głowy, ani do serca, jakoż i odpowiadał z kolei: — A co mi tam jegomość wyplatasz! Gdyby kto inny na mojém miejscu, toby się za to obraził, ale ja nie. Bo i o co się gniéwać? Każdy tentuje swojego szczęścia jak może. Ale to na mnie tentacye próżne, bo już ja jestem taki człowiek z rodu, że wszystko to co się świéci na wiérzchu, nie stoi u mnie ot! i za kubek malagi. Generalstwo? głupia rzecz... *salvo honore* jegomości. Byłbym dawno je miał, gdyby mnie tentowało. Dobra wieś, to jest lepsze, ale i ona mnie nie tentuje. Mam ja téż także jakąś tam wieś, i nie najgorszą, tysiąc korcy się w niéj wysiéwa, a przecież na niéj nie siedzę. Sto tysięcy, to jeszcze lepsze; ale mam ja ich więcéj, a przecież z nich nie mam pożytku. Bo i co począć z gotowizną takiemu, który na kulbace zamieszkał? trza rozpożyczyć, a potém z tego ani prowizyi, ani téż kapitału. Więc i to mnie téż nie tentuje... Zniecierpliwił się na to hetman i rzekł: — A cóż u diabła waści tentuje? — A rotmistrz na to, pokręcając wąsików: — Oto to mnie tentuje najbardziéj, żebym jegomości wziął co najprędzéj i złożył pięknie w ręce konfederacyi. — Gniéwał się na to hetman, burzył i kipiał, ale z tém wszystkiém ledwie tyle wymógł na statecznym rotmistrzu, że mu się przespać pozwolił; lecz jak tylko oświtło, zabrał bez ceremonii, zapakował w karétę i wyciągnął z Przemyślan. Chcąc go zaś już z pewnością do Ledóchowskiego dostawić, a obawiając się, ażeby pisarz, jeżeliby go jemu wpiérw oddał, znowu się nie dał wzruszyć prośbami, przedsięwziął sobie nie iść na Lwów, tylko z pod Lwowa posłać milczkiem po jednę jeszcze lub dwie chorągwie i polowemi drogami wprost do Ludomli pociągnąć. Jednakże nie tak się stało, jak sobie rotmistrz ułożył. Albowiem pisarz, przepędziwszy z niespospokojności o skutek wyprawy rotmistrza noc całkiem bezsenną, nazajutrz rano wstał niespokojny do tego stopnia, że zebrał wszystkie swoje wojska i zostawiwszy Karczewskiego tylko z dwomaset ludźmi na załodze we Lwowie, sam za rotmistrzem pociągnął. Obawiał się Potocki zapewne, ażeby rotmistrz, przy bezskutecznym szturmie na zamek brzeżański nie wytracił powierzonych mu ludzi napróżno, albo ażeby na wypadek dopę-

dzenia hetmana przed Brzeżanami, nie dopuścił do jakich scen gwałtownych i krwawych, któreby potém opinia publiczna zapisała albo na rachunek konfederacyi, albo wprost na rachunek imienia Potockich. Słuszna to była obawa, lecz oczéwiście się nie sprawdziła, albowiem pisarz już w drugiéj mili spotkał wziętego powtórnie hetmana, czém téż uradowany niezmiernie, zaraz go do rąk swoich odebrał i pod okryciem wszystkich sił swoich sam poprowadził do głównego obozu konfederacyi. Tak hetman, dostawszy się z własnéj winy powtórnie w ręce konfederatów, został nareszcie istotnie doprowadzonym aż do Lubomli, gdzie został wzięty w detencyą. Jakoż istotnie zrazu żył on tam w bardzo ścisłéj a nawet i nieoględnéj klauzurze. Jednakże wkrótce zjawiła się tam jego zapobiegliwa małżonka i przywiozła ze sobą najzacniejszego księcia Janusza, który pomimo najsprawiedliwszych do Sieniawskiego żalów, dał zaraz za niego rewers od siebie i wziął go do swoich dóbr czartoryskich. Tam téż z całą swoją familią siedzi dotychczas, oczekując od generalnego marszałka konfederacyi przeznaczenia dalszych swych losów.

Tak opowiedział sufragan Jerzemu dotychczasowe koleje hetmana, do czego wszakże dodał ten ważny szczegół, iż właśnie dzisiaj znowu nadbiegły wieści, jakoby książę starał się o to jaknajusilniéj, ażeby hetman za tymże samym jego rewersem mógł się przenieść do Brzeżan; ma téż już być i nadzieja, że Ledóchowski, nie chcący miéć żadnéj innéj do Sieniawskiego pretensyi, jak tylko ażeby konfederacya była ubezpieczoną od jego intryg szkodliwych, nawet i na to zezwoli.

Wysłuchawszy tego opowiadania, Jerzy się jakoś dziwnie zasmucił. Co czuł, co myślał, trudno odgadnąć; zdaje się jednak, że były to bardzo trzeźwe już myśli, które teraz mu przychodziły, bo rzekł na to jakby do siebie:

— A czyż mi się śnić mogło, ażeby hetman do tego stopnia był niedołężnym!

Po chwili zaś mówił daléj:

— Aleć tak jest! I niechaj kto dzisiaj mówi o nim co chce, ja już nic nie zaprzeczę, tylko to sobie waruję, co téż wiem pewnie, iż jeżeli on winien, to wina jego nie wypływa z tych źródeł najbliższych, które są dla każdego widoczne, ale z daleko dalszych...

Z tego się wywiązała przydłuższa o Sieniawskim dysputa — a ks. sufragan twierdził, iż jakkolwiekbądźby go sądzono, jest rzeczą pewną, iż jest to człowiek w gruncie serca zepsuty, spaczonego sumienia, pełen sobkowstwa, zarozumiałości i pychy. Ożarowski temu się wprost nie przeciwił, ale całkiem inaczéj się zapatrywał na niego.

Wedle jego zapatrywania się tedy Sieniawski był człowiekiem nietyle złym, ile poprostu strupieszałym w swém wnętrzu i dziedzicznie przeżytym. Duch rodziny Sieniawskich, zasklepiony od wieków w pewnych i tradycyjnie nieodmiennych formułkach,

przeżył się, spleśniał, zgnił w sobie samym, stał się bezpłodnym i bezużytecznym. Ostatni téj rodziny potomek, duże to jeszcze i bogato przyozdobione naczynie, ale niestety próżne... a raczéj napełnione nektarem takim, któren przez długoletnie zamknięcie skwaśniał, dawną moc stracił, a słodycz zmienił w truciznę. Dziwném zrządzeniem Bożém, jest on téż rzeczywiście ostatnim. Strawił resztę moralnéj puścizny po ojcach, a sam nic nowego nie nabył: zaczém nie mając już *co* przekazywać, nie miał także i *komu*...

W taki to sposób zapatrywał się Jerzy na Sieniawskiego i tę myśl rozwijał dosyć obszérnie, stosując ją do daleko ważniejszych rzeczy, niżeli żywot jednéj rodziny. Wszakże sufragan, lubo bezsprzecznie należał do najświatlejszych mężów owego czasu, jakoś go nie bardzo rozumiał. Co widząc, Jerzy obrócił się do niego i tak zakończył:

— Jegomość dobrodziéj może nie całkiem się zgadzasz na moje rozumowanie, ale zgodzisz się pewnie, jeżeli wypowiem nareszcie tę niewzruszoną zasadę, z któréj te wnioski wywodzę. Tą zasadą zaś jest: iż wszystko, co tu żyje na ziemi, nie może ani chwili stać w jednéj mierze, tylko albo się w górę podnosi, albo téż na dół upada. Jest to prawo niezbite tak dla rzeczy pomniejszych, jak téż i większych, zaczém tak samo dla pojedynczych rodzin, jak dla społeczeństw, jak téż i całkowitych narodów. Jakoż z tych wszystkich, ten tylko niesie w sobie warunki dalszego bytu i dalszéj użyteczności, kto żywot swój karmi nietylko samą puścizną ojcowską, lecz przy niéj także i własnemi nabytkami rozumu, zasług i pracy. Kto zaś się zasklepia tak myślą jak czynem w jakiéjś formie z góry mu danéj i wciąż nieodmiennéj, to choćby w téj formie był duch najszczytniejszy przed czasy, kiedyś musi się zużyć nareszcie, spleśnieć, zgnić i stać się bezużytecznym. Mniejsza tu o Sieniawskich, którzy w swojém duchowém zamknięciu strupieszeli i giną,—ale ważniejsza to, iż jak mi się zdaje, cały nasz naród idzie torem Sieniawskich i także się w swoich spleśniałych formułach zasklepił. Było nam dosyć alwara, praw przerabianych z łaciny i pospolitego ruszenia dotychczas, — ale dziś nie wiem ażali tém wyżyjemy. Nie wskrzesiwszy nauk z uśpienia, nie napisawszy praw nowych, nie postawiwszy armii stałéj, ani mi pojąć, jak żyć będziemy pomiędzy narodami, które to wszystko już mają. Zamknąwszy się w ojcowskiéj komnacie i nie przypuściwszy do niéj świéżego, zbawienie nam niosącego powietrza, musim wreszcie strupieszéć i w proch się rozsypać. A toż największe stawy zamieniają się w trzęsawiska i wysychają, jeżeli do nich świéże nie przypływają wody, — i same morzaby wyschły, gdyby ich ciągle nie dopełniały rzéki!

Powiedziawszy to Jerzy dosyć boleśnie, musiał pomimo woli odpocząć, bo był jeszcze tak osłabiony i wycieńczony, że męczyła go nawet rozmowa. Tymczasem zaś ks. sufragan, obracając

w ręku lśniący swój rożek z tabaką i przypatrując mu się z swoim zwykłym, łagodnym i spokojnym uśmiéchem, tak na to mu odpowiedział:

— A waść, panie generale, jesteś sobie daleko gorętszéj fantazyi, niżelim się mógł tego spodziéwać. Z jednéj strony muszę ci to pochwalić, boć to nie żartem musi ci leżyć dobro ogólne na sercu, kiedy zaledwie z tak ciężkiéj choroby się obudziwszy, najpierwéj o nim rozmyślasz. Lecz z drugiéj strony uważam, żeś nam nie z próżną głową przyjechał z Francyi, a opinie w tym kraju nabyte nie ladajako ci przylgnęły do serca, kiedyś się w nich nie ochłodził nawet tak długim pobytem przy boku hetmana. Myśmy cię mieli za Sieniawczyka duszą i ciałem — a ty, jak widzę, kiedyby przyszło do czego, jeszczebyś i najburzliwszych konfederatów przepisał. Jednakże, jak mi się zdaje, to nawet i konfederacya twoich projektów akceptować nie będzie. Nauki wskrzesić? na to się zgodzę, bo téż i wszyscy o to wołamy. Ale już prawa odmieniać, kiedy są dobre, — a na co? A cóż dopiéro powiedzieć o téj tam armii stałéj! Inne narody ją trzymać muszą, bo się składają tylko z małéj garsteczki szlachty, a zresztą z ludu pospolitéj kondycyi, który nie jest żołniérzem: ale nam, którzy mamy na zawołanie sto tysięcy żołniérza albo i więcéj, na co nam armii stałéj? Chyba że na to, aby nam wioski płukała i spichrze.

Tak w krótkich słowach odpowiedziałem tobie na twoje zdanie, a kiedy na siłach się wzmożesz, przyjmę i dłuższą dysputę. Jednak rozumiem, że do tego nie przyjdzie, bo jak tylko się z po za murów brzeżańskich w sprawach krajowych rozpatrzysz, to i sam przyznasz, że co zbawienne dla Francyi, to czasem zgubne dla Rzeczypospolitéj. Chwalić Pana Boga, wiarę chować ojcowską, pilnować praw i urzędów, fakcyj nie robić, ekscesów się nie dopuszczać, — owóż i suma tych obowiązków, które do nas należą. Jakoż tak się sprawując, ręczę ja tobie, że całe wieki przeżyjem.

Tak się zapatrywał, niestety! na owoczesne położenie kraju ks. sufragan Rupniewski — a był to bezsprzecznie jeden z najświatlejszych mężów owego czasu.

Słysząc to, Jerzy jeno ręką machnął nieznacznie — i umilkł.

Jakoż nie mówiono o tém już więcéj, a natomiast opowiedziano Jerzemu, co się ze Lwowem stało dotychczas, boć i tu zaszły zmiany niemałe.

Otóż gdy pisarz koronny, pociągnąwszy ze swoim jeńcem do Lubomii, tak ogołocił miasto z załogi, że w niém tylko paręset ludzi zostawił, to konfederaci, trzymający prezydyum we Lwowie, bardzo za to na niego sarkali. Mówili oni: — Doprowadzić hetmana na miejsce można było i kilkuset ludźmi, a Lwowa obronić ladajaką załogą nie można. Jakoż obawa ich była najsprawiedliwsza, było bowiem rzeczą łatwo domyślną, że generał Baudycz, który dopiéro przed kilką dniami wyszedł był ze Lwowa, nie

może być jeszcze daleko, zaczém wprędce o zaszłych we Lwowie wypadkach się dowie — a że w takim razie, mając zwłaszcza ze sobą do dwóch tysięcy ludzi, z drogi powróci i weźmie pomstę za Sieniawskiego, nie można było wątpić ani na chwilę. Wszakże tego samego zapewne domyślał się także i pisarz; lecz wybiérając z dwojga złego mniejsze, wolał Lwów stracić nareszcie, niżeliby miał ze wstydem dać sobie odbić hetmana. I doświadczenie pokazało, że pisarz trafniéj się umiał domyślać. Albowiem Baudycz, dowiedziawszy się w Jarosławiu o zajściach lwowskich, rzeczywiście się wrócił; ale ceniąc razem z Potockim daleko wyżéj hetmana niż miasto, Lwów minął, a za pisarzem pogonił. Jednakże pisarz, będąc już na to przygotowanym, był tak przezornym, że się dogonić nie dał — a tak dopiéro wtedy Baudycz się zbliżył do Lwowa i przysłał do Karczewskiego parlamentarza z wezwaniem, aby się poddał. Karczewski, lubo miał bardzo mało żołniérza przy sobie, jednakże siedząc w mieście obronném i mogąc się posługiwać milicyą miejską, mógł się był bronić przynajmniéj dni parę, a za ten czas nietrudno mu się było doczekać odsieczy od niedalekiéj konfederacyi; lecz będąc zgóry już tém sfrasowany, że mu Potocki tak mało ludzi zostawił, niewiele licząc na niewaleczne mieszczaństwo lwowskie, a nadto jeszcze wiedząc dowodnie, że Baudycz miał dwa tysiące żołniérza, wszedł z nim w układy. I co mógł najgorszego zrobić, to zrobił. Albowiem Sasi, swoim zwyczajem, wszedłszy do miasta, ani wiedzieć chcieli o żadnych układach; jakoż nietylko zabrali wszystkich konfederatów razem ze samym Karczewskim w niewolę, ale jeszcze prócz tego, mszcząc się na samém mieście za przyjaźń z konfederacyą, pogospodarowali po jego domach tak dobrze, że uczynili na parę milionów szkody. Nie dosyć na tém, oprócz konfederatów pobrali oni w areszt i wiele osób prywatnych, a postępując koleją, napadli także i na dom sufragana. Na szczęście jednak już tam był Jerzy natenczas, z czego korzystając przytomny sufragan, odwołał się do generała Baudycza, tłumacząc się przed nim listownie: że nie musiał on trzymać z panem Michałem Potockim za jedno, kiedy wykradzionego z konfederackiéj niewoli Ożarowskiego, generała wojsk regularnych i prawą rękę hetmańską, przechowywał i przechowuje u siebie. I tłumaczenie to okazało się tak skutecznem, że Baudycz nietylko wydał natychmiast cedułę bezpieczeństwa sufraganowi, ale niebawem sam był u niego z atencyą. Chciał także i Jerzego osobiście pozdrowić, ale go niedopuszczono do niego, bo był jeszcze wtedy tak osłabionym, że nawet przytomności nie posiadał zupełnéj.

Bardzo się tedy Jerzy ucieszył, gdy się dowiedział, że zacny sufragan za swój poczciwy względem niego uczynek został tak prędko i jakby za jego własną, choć mimowolną, przyczyną wynagrodzony; lecz za to odwrotna strona tego zdarzenia jeszcze o tyle więcéj go sfrasowała. — Tak on był powszechnie miany

za saskiego stronnika i jako tako szanowany do tego stopnia, iż samo jego nazwiska wspomnienie było dostatecznem do wyrobienia u Sasów protekcyi. Ta myśl, która od niejakiego czasu już dosyć dotkliwie mu się przypominała, tak go teraz strapiła, że nawet twarz jego przybrała wyraz chmurny i bolejący... Dojrzeli tego wszyscy, a przypisując ten wyraz boleści jego zwątlonym słabością siłom, dopiéro teraz się spostrzegli, że na piérwszy raz zanadto wielką ilością drażliwych nowin go zarzucili, ażeby to nie miało wywrzéć szkodliwych wpływów na jego zdrowie. Jakoż od tego momentu postanowiono sobie nadal jaknajoszczędniéj używać konwersacyi podobnych i przedewszystkiém chorego utrzymywać w pokoju.

Starano się téż wszelkiemi innemi sposoby o to, ażeby Jerzy mógł jaknajprędzéj wrócić do zdrowia. I starania te odnosiły najlepszy możliwy skutek, — jednak z powodu owego swawolnego upustu krwi szło to bardzo pomału. Przez kilkanaście dni jeszcze, lubo jego rany już się całkiem zgoiły, nie mógł powstawać z łoża— a potém chociaż już wstał, był tak słabym i wiotkim na siłach, że tylko przy pomocy Polówki mógł się przechodzić po izbie. Najczęściéj téż siedział w głębokiém krześle, nikogo z obcych nie przyjmował u siebie, i nawet mało rozmawiał, jednakże widać to było po nim, iż wiadomości politycznych łaknął z niecierpliwością i bardzo wiele przy tém rozmyślał.

A miał on teraz istotnie nad czém rozmyślać. W ostatnich dniach kilkunastu tyle i takich ważnych zaszło wypadków, tak się tu teraz wszystko około niego zmieniło, tak wiele nowych nabył doświadczeń, w tak całkiem nowém znajdował się położeniu! Jednak jakkolwiek to wszystko bardzo statecznego wymagało rozmysłu, przecież w téj chwili nic go tak żywo nie zajmowało, jak jego matka. Uważał on ją bardzo pilnie, — lecz im więcéj uważał, tém więcéj się jakoś niepokoił. Pani ta bowiem w tym krótkim przeciągu czasu zmieniła się prawie do niepoznania, tak zewnętrznie, jak i moralnie. I tak z niestaréj jeszcze niewiasty zrobiła się prawie już całkiem sędziwą matroną, twarz jéj się zmarszczyła, oko przygasło, a włosy, dotąd czarne jak węgiel, zesiwiały zupełnie. Powiadano, że w owéj chwili, kiedy ujrzała syna upadającego pod bagnetami konfederatów, tak posiwiała w jednym momencie. Wszakże jeszcze daleko większa zmiana zaszła w niéj saméj. Dawniéj wesoła, ciągle rozmowna, a czasem nawet i trzpiotowata cokolwiek, dzisiaj się stała poważną, milczącą i tak osmęconą, jakby jéj nic już rozweselić nie mogło. Patrząc na syna i widząc na jego twarzy znaki wracającego zdrowia, czasem się wypogodziła na chwilę; w ten moment bowiem brała książkę nabożną do ręki, zasuwała się w jakiś kącik odległy i oddawała się modłom. Zdawało się, jakby w usposobieniu dzisiejszém nie chciała sobie nawet dozwolić najsprawiedliwszéj pociechy. Prócz tego jeszcze miéwała czasem chwile, w których była jakby zdrętwiałą,—

a kiedyindziéj znowu bez żadnéj przyczyny łzy jéj stawały w oczach i płakała jak dziecko...

Uważając to, Jerzy dziwnie się tém zasmucił. Były to wprawdzie dowody odmiany na dobre, ale zdawało mu się, że jest tych dowodów zanadto. Pragnął on wprawdzie oddawna, ażeby jego matka zaczęła się inaczéj na świat zapatrywać i ażeby się niektóre uczucia jéj serca zmieniły; ale tu mu się zdało, że ona, zamiast się zmienić naturalnym sposobem, przerzuciła się z jednéj ostateczności w drugą. Nie trudno mu się było domyśléć, jaki wypadek stał się tego powodem; ale to go zmartwiło jeszcze tém bardziéj. — Chcąc tedy jakoś to naprostować, albo przynajmniéj wyrozumieć gruntowniéj, rozmawiał on z nią jak mógł najczęściéj i najobszérniéj. Ale jakoś nie bardzo ona była pochopną do zrzucenia tego ciężaru z serca. Z wielkich boleści i istotnie głębokich smutków wszyscy nieradzi się spowiadamy — a jeżeli czasem co o nich powiemy, to tylko nawiasowo i zawsze pomimowoli. To téż i ona raz tylko jeden, jakby się zapomniała, powiedziała synowi te słowa:

— Oh! jakże to wszystko poprowadził Pan Bóg inaczéj, niżelim sobie marzyła! Zamiast ci drogę uścielić do szczęścia, otworzyłam ci wrota do śmierci. Resztę życia oddałabym za to, gdyby tylko to nie gniotło mego sumienia!

Widział tu tedy Jerzy już oczéwiście całą głębię jéj duszy i nie potrzebował się więcéj niczego domyślać. Jakoż odtąd całém jego usiłowaniem było przekonać ją ile możności dowodnie, że jeszcze się tu nic tak bardzo złego nie stało, za łaską Bożą wkrótce się zmieni na dobre. Mniemania jéj, jakoby źródłem wszystkich doznawanych nieszczęść były jego stosunki z Sieniawskim, jéj nie odbiérał, i owszem, nawet dawał jéj często do zrozumienia, że droga ta, na któréj począł swą służbę, była całkiem fałszywą i odtąd trzeba mu będzie iść drogą inną.

Jednakże przy tych rozmowach, zajmując się więcéj jéj niżeli swoją własną przyszłością, nie zapominał ciągle jéj natrącać zdaleka, że nie zostaje dla niéj nic innego na teraz, jak wrócić do siebie na wieś i tam zamieszkać w spokoju.

— Mieliśmy tam szczérych i wiernych przyjaciół, — mówił on wtedy z westchnieniem, porzuciliśmy ich niewdzięcznie i podobno to za to najwięcéj Pan Bóg nas tak dotkliwie strofuje!

Tak mówiąc, nadmieniał także o ich fortunie, która jeszcze za życia ojca znajdowała się w stanie niedobrym, a cóż dopiéro teraz, kiedy przez tyle lat tak mało się nią zajmowano? Okoliczność ta mogła nie miéć znaczenia natenczas, kiedy przez obiecujące stosunki z Sieniawskim miał cale inne widoki przed sobą; ale teraz widoki te się zmieniły, a w skutek tego pozostawiona przez ojca fortuna stała się tak dla niego jak i dla matki jedynym środkiem do życia na przyszłość. Trzebaby tedy koniecznie pilną na to zwrócić uwagę, pojechać tam, rozpatrzyć się w interesach

i pilnować na miejscu, ażebą przynajmniéj nie rozszarpano jeszcze tych resztek, które tam pozostały. Poruczając zaś matce już wprost to zajęcie, prosił wypróbowanéj i pewnie zawsze jeszcze gotowéj Bobrownickiego pomocy.

— Pisałem ja wprawdzie do niego przez ten czas kilka listów, — mówił on wtedy, — na które mi ani razu nie odpowiedział; ale rozumiem, że musiała być temu jakaś inna przyczyna, nie zaś gniéw albo niechęć, do któréj mu żadnego nie dałem powodu. Jeżeliby zaś mego położenia przez ten czas nie rozumiał i z powodu mniéj częstych pomiędzy nami relacyj, niżeli się spodziéwał, miał do mnie jaką pretensyą, to proszę go tylko o cierpliwość, wszystko to się wyjaśni i usprawiedliwi. Boli mnie serce o to niemało, że takim torem poszły te rzeczy, ale kto wié, ażali ja sam winien jestem temu wszystkiemu.

Przy tych słowach matka go ujęła za rękę, prosząc go, aby więcéj już o tém nie mówił, przyczém gorące łzy jéj się puściły z oczu.

Po chwili wszakże sama zaczęła mówić, skarżąc się rzewnie na niewdzięczność Sieniawskich i przyznając Jerzemu z szczérego serca, że nie pozostaje już nic, jak na wieś pojechać i nigdy się już światu nie pokazać. Jakoż zdecydowała się jechać choćby natychmiast. Chciała tylko, ażeby Jerzy także z nią jechał i na zawsze oddalił się od tych ludzi, których wrzekoma przyjaźń nie warta najmniejszych względów. Jednakże Jerzy sprzeciwił się temu stanowczo i jak z jednéj strony zapewnił matkę, że nie myśli wcale zawiązywać nanowo już rozerwanych stosunków, tak znowu z drugiéj przekonał ją, że dawszy się poznać światu na nieszczęście swoje li jednostronnie, za najważniejszy obowiązek sobie to ma, zanim na wsi osiądzie, dać się poznać w całości. I perswazya ta jaknajpożądańszy odniosła skutek, albowiem pani stolnikowa namyślała się jeszcze ze dwa dni, a potém nie chcąc się odtąd już w niczém sprzeciwiać woli synowskiéj, zabrała się z całym swoim pakunkiem i pod koniec miesiąca marca wyjechała do swoich wiosek rodzinnych nad Nidą.

Tymczasem Jerzy, lubo udawał przed matką, że już prawie całkiem wrócił do zdrowia, w saméj istocie jeszcze bardzo był wątłym na siłach i od zupełnego wyzdrowienia bardzo jeszcze dalekim. Medyk powiadał, iż trzeba na to koniecznie wiosny, świéżego powietrza, a w każdym razie parę miesięcy czasu. Ożarowski tedy po staremu siedział we Lwowie, wyczekując z niecierpliwością tego momentu, w którym znów na świat wyleci i korzystając z odebranéj od przewrotnego losu nauki, jakąś nową rozpocznie karyerę. I czekanie to byłoby dla niego najnieznośniejszą męczarnią, gdyby jednakże nie to, że był wciąż otoczony przyjaciołmi takimi, z którymi mógł otwarcie o wykonaniu tych planów rozmawiać. Wprawdzie ks. Andrzéj, nie mogąc swoich swawolnych Sodalisów tak długo pozostawiać bez siebie, odjechał

a z nim także i zacny Sebastyan Polówka; lecz na ich miejsce przyjechali w ten moment oficerowie drudzy, a po nich znów trzeci, bo z natchnienia ks. Andrzeja już sobie ci poczciwcy tak ułożyli, żeby zawsze ich kilku było u generała na ordynansie. Bardzo to było na rękę Jerzemu osobliwie dlatego, iż chciał, aby jego dawna z tym pułkiem relacya trwała bez przerwy, o co mu teraz jak o zbawienie chodziło.

Wszakże prócz tego miéwał częstokroć gości z miasta i z po za miasta, a wreszcie towarzystwo ks. sufragana, z którym się nigdy nie nudził. I ks. sufragan także się nigdy nie nudził, owszem, bawił się bardzo. Do tego czasu bowiem poznał on go gruntownie, i jeżeli z powodu jego nauki i wiadomości pełen był poważania dla niego, to dla jego głębokiéj wiary i wielkiéj dla ludzi miłości cale się w nim rozkochał. Co go zaś prawie już bez pamięci przywiązało do niego, to to, iż się przekonał, że Jerzy, jakąkolwiek konfederaci miéć mogli o nim opinią, służbę około pospolitego dobra pojmował tak czysto i nieskalanie, iż w nim nawet myśl nie postała, ażeby tą służbą coś zyskać dla siebie. Toż w tém przywiązaniu do niego, zacny prałat niezmiernie frasował się o to, ażeby Jerzy mógł jaknajprędzéj taką opinią pozyskać w konfederacyi, na jaką i przymiotami swemi, i dobremi chęciami, a wreszcie i dokonanemi potajemnie czynami rzeczywiście zasłużył. Dlatego téż bardzo często, bardzo ciekawie i niespokojnie wybadywał Jerzego, coby mu teraz, wedle jego zdania, należało uczynić, ażeby dotychczasowéj opinii kłam zadać, a na jéj miejsce inną sobie sporządzić. Niecierpliwy z powodu gorącéj swéj życzliwości, a z natury dość ruchliwego umysłu, poddawał on mu najrozmaitsze do tego służyć mogące projekty, a żyjąc w tak blizkich stosunkach z naczelnikami konfederacyi, gotów był zaraz sam ścielić drogę do ich wykonania.

Ale dziwnym dla niego obyczajem, Jerzy ani tych obaw, ani téż rozmaitych projektów rehabilitacyą jego mających na celu, wcale nie dzielił, — a nawet nie lubił o tym przedmiocie rozmawiać. W ogólności był zdania, że same słowa bez czynu u ludzi czynu i w czasach czynów nie mogą miéć żadnego znaczenia, dlatego téż zawsze więcéj myślący, niżeli rozmowny, kiedy sufragan począł o jego przyszłości rozprawiać, był zupełnie milczącym. Słuchał z uwagą, czasem jakiemuś zdaniu zaprzeczył, inne sprostował, lecz coby sam myślał, nigdy nie mówił. Kiedy go zaś zniecierpliwiony prałat przyparł czasem tak mocno, że musiał mu coś odpowiedziéć, to rzekł spokojnie:

— A co się tutaj tak bardzo tą przyszłością turbować? Rzeczą jest pewną, że jak powrócę do zdrowia, poczną znowu być czynnym; ale na jakiéj drodze, któż to dziś może odgadnąć? Niéma téż sobie co głowy kłopotać tą drogą, bo jest ich dosyć, a jak tylko jest pewność, że wybiorę drogę uczciwą i na niéj będę postępował do celów uczciwych, to czegóż potrzeba więcéj? Że tam

ten sobie myśli o moich postępkach tak, drugi inaczéj, a trzeci je może w swéj złośliwości przekręca, to może być czasem przykrém, ale znów nie tak bardzo, żeby aż nad tém rozpaczać. Ja się radzę mojego sumienia, a jak tylko tam się opinia o moich postępkach nie dwoi, jestem o siebie spokojny i wcale się o to nie boję, ażebym się na nich omylił, albo téż stracił:

„Prawda a praca, ta nie utraca,
„Ani omyli, w najgorszéj chwili."

Na tém zaś zdaniu Herburta, które ten sławny mąż swego czasu kazał wyryć na kolumnach jednéj z komnat dobromilskiego zamku, kończyły się wszystkie podobne Jerzego ze sufraganem rozmowy. Podobał się z jednéj strony doświadczonemu prałatowi ten spokój, z którym tak krwawo dzisiaj zraniony i prawie całkiem ze swego toru zepchnięty młodzieniec patrzył w swą przyszłość, lecz z drugiéj strony przecież zdawało mu się, że Jerzy, znajdując się tak wedle jego mniemania, jak i w saméj istocie, w okolicznościach trudnych, ślizkich a nawet i niebezpiecznych, zbyt obojętnie swe położenie ocenił....

O ile to podejrzenie prałata było sprawiedliwém lub nie, tylko przyszłość okazać może. Rzeczą wszakże jest pewną, że Jerzy podczas swojéj choroby już bardzo dobrze i wszechstronnie przemyślał to wszystko, co należało do niego. I wiedział już o tém dokładnie, w czém jego dotychczasowa *prawda omyliła* i na czém jego *praca straciła*. I wiedział o tém nareszcie, że tę *prawdę* trzeba gruntownie sprostować, a *pracę* również gruntownie od strat ubezpieczyć. Ale właśnie dlatego, iż jego zamiarem była taka gruntowność, dopóki jeszcze był słabym, a do tego wcale nie wiedział, jaki właściwie zwrot wzięły jego stosunki ze Sieniawskimi, nie chciał nic postanowić. Jakoż w istocie rzeczy położenie jego dzisiejsze było tego rodzaju, iż mógł tylko w bezczynności wyczekiwać swojego wyzdrowienia, a w takiem stanie dopiéro, namyśliwszy się stanowczo i prędko, dalsze rozpocząć czynności.

Ale tymczasem, kiedy jeszcze wcale był słabym, zaszły po części przeczuwane przez niego, po części zaś całkiem nieprzewidziane zdarzenia.

I stało się to nadzwyczaj nagle. Już bowiem w dni kilkanaście po wyjeździe stolnikowéj krakowskiéj, ks. sufragan odebrał pisaną gazetkę, w któréj mu donoszono, że hetman wielki koronny podobno nie długo już będzie siedział na Czartorysku.

Wprawdzie pan Ledóchowski, powiadała gazetka, nie chce na jego wyjazd urzędownie zezwolić, ale jak słychać, dał on księciu Wiśniowieckiemu politycznie do zrozumienia, iż jeżeli Sieniawski cichuteńko do Brzeżan odjedzie i będzie tam siedział do skończenia konfederacyi, to on to minie milczeniem i całą tę sprawę

hetmańską puści *per non sunt.* Miał się zaś Ledóchowski skłonić ku temu dlatego, iż na ten gwałt piérwszemu senatorowi zadany panowie polscy, tak królowi jak i konfederacyi przychylni, dosyć niewstrzemięźliwie sarkali, a niektórzy z nich nawet się odgrażali, że się o to przy sposobności bardzo surowo upomną, — co wprawdzie dzisiaj, dopóki jeszcze trwa wojna, jest obojętném, ale przy zawiéraniu układów, o które konfederacyi daleko więcéj niżeli Sasom chodziło, mogłoby bruździć niemało. Inne gazetki tłumaczyły znowu tę sprawę inaczéj, — ale wszystkie się na to zgadzały, iż lubo ogół konfederacyi, jako zwykle gorętszy, bardzo jest uwięzieniem hetmana uradowany, to przecież jéj naczelnicy, zwłaszcza ci, którym przedewszystkiém o Rzeczpospolitę a nie o pomsty lub kary nad osobami chodziło, chcą tego, ażeby ta sprawa hetmańska usunęła się jakoś gładko na stronę.

Tedy nie można było jeszcze wiedzieć z pewnością, co z tego wyniknie, a Jerzy ze sufraganem najrozmaitsze wyciągali ztąd wnioski, — kiedy wtém nazajutrz rano dano im znać, że pani hetmanowa koronna przyjechała wczoraj wieczorem do Lwowa i nocowała na nizkim zamku.

Wiadomość tę przyjął Jerzy całkiem na pozór spokojnie, — ale natomiast sufragan, lubo zazwyczaj był dosyć chłodnym, tak się nią zniepokoił, że aż wstał z miejsca, a przechodząc się po izbie, co moment to piuskę na głowie poprawiał, to tabakę zażywał. A było to zwykle znakiem wielkiéj u niego niecierpliwości. Zauważył to Jerzy i dziwiąc się temu, zapytał:

— A co jegomości?

— Hm! — rzecze biskup, — mamże powiedzieć otwarcie?

— Bardzo o to proszę.

— Otóż ci powiem, — rzekł na to biskup, że się obawiam, ażeby te odwiédziny pani krakowskiéj nie stały się nową pastką dla ciebie. Bo i czego ona tu chce? Hetman jest jeszcze na Czartorysku, pewnie się ztamtąd nie może wydobyć, pani się kręci za praktykami i jak Bóg w niebie znowu się tobą zechce posłużyć. Jedna posługa, rzecz mniejsza, ale przez nią zawiążą się na nowo twoje ze Sieniawskimi relacye — a to się stanie zgubą dla ciebie.

Jerzy wysłuchał sufragana z uwagą i uśmiéchnął się zlekka lecz milczał.

— I cóż ty na to? — zapytał sufragan, nie uważając uśmiéchu.

Jerzy pokręcił głową.

— Jakże? — zapytał prałat, domyślając się jego mniemania,— to nie zgadzasz się ze mną? nie jesteś zdania, że nowe relacye ze Sieniawskimi tylko ci szkodę przyniosą?

— Dlaczegóż koniecznie szkodę? — rzekł Jerzy, niecierpliwiąc się trochę, — ja sądzę przecież, że mogą mi właśnie przynieść pożytek.

— Pożytek!? — zawołał zatrwożony sufragan, — przez Pana

Boga żywego! panie Jerzy! cóż tobie? Poczekaj-no, trza nam o tém pogadać.

To mówiąc, przybliżył się ku niemu, chcąc przy nim usiąść i zabrać się do dłuższéj dysputy; ale w téj chwili Jerzy wstał z miejsca, ujął go za rękę i rzekł głosem stanowczym:

— Bądź jegomość spokojny, ja wiem co myślę i wiem co robię. Stosunki moje ze Sieniawskimi dotychczas się tylko przypadkowo przerwały; pozostawione w tym stanie, w jakim są dzisiaj, odzywałyby się do mnie przez całe życie; chcąc się ich pozbyć na zawsze, trza je rozerwać rozumnie i przyzwoicie. To jedno. A powtóre, czy wiész jegomość, że ja mam pułk cały, wymusztrowany, umontowany i taki, jakiego niéma w całéj konfederacyi? ten pułk mnie się należy i muszę go miéć przy sobie koniecznie, ten pułk jest dzisiaj w Brzeżanach, mamże go ztamtąd wykradać?

Nad tém tłumaczeniem o tyle krótkiém, ile niespodziéwaném, sufragan się zastanowił cokolwiek i właśnie miał się zabiérać do odpowiedzi, kiedy wtém przed jego kamienicą na bruku dał się słyszéć tentent jezdnych i turkot ciężkiego powozu. Zamiast dalszéj rozmowy, obadwa prędko wyjrzeli przez okno, ale jakież ich było zdziwienie, kiedy przed pomieszkaniem sufragana obaczyli karétę hetmańską, któréj tak po barwie sług, jak i otaczającéj ją konnéj milicyi Sieniawskich, nie mogli na piérwszy rzut oka nie poznać. I widok ten do tego stopnia ich zdziwił, że oniemieli obadwa. Otaczająca karétę milicya była oczéwistym dowodem, że znajduje się w niéj albo hetman, albo téż hetmanowa; pomimo to jednak żaden z nich nie mógł temu uwierzyć. Któż bowiem nie znał etykiety dworu Sieniawskich, równającéj się prawie we wszystkiém etykiecie dworów królewskich? Pani Sieniawska (bo nie przypuszczali hetmana) z wizytą u sufragana lwowskiego, albo nawet u generała wojsk swoich własnych, zdawało się być prostém niepodobieństwem. Mimo to wszakże tak było. W téj chwili bowiem wbiegł rękodajny dworzanin do komnaty Jerzego, zapowiadając, że jw. hetmanowa koronna chce widziéć pana Ożarowskiego, — a zaledwie Jerzy miał czas wrzucić mundur na siebie i przypiąć szablę do boku, pani Sieniawska sama stała już przed nim w komnacie.

W ten moment téż całe dotychczasowe położenie Jerzego wzięło obrót zupełnie inny.

Nie winni temu byli Sieniawscy, — powiadała mu hetmanowa, — że musieli o nim zapomniéć w tak nagłéj chwili i pozostawić go jego własnemu losowi. A wszakżeż sami znajdowali się wtedy w położeniu tém samém. I gdyby byli nawet chcieli, to nie mogli o nim pamiętać, bo przecież w piérwszéj chwili po wzięciu zamku byli już rozstrzeleni: hetmanowa w podróży do księcia Janusza, hetman na zdradnéj drodze do Brzeżan. Wydobywszy się z niewoli w Lubomli i zamieszkawszy na Czartorysku, ja-

kichże wszystkich nie używali środków, ażeby Jerzego także na wolność wydobyć; ale nie można tego było za żadną cenę wyjednać. Ileż ztąd zgryzot miał hetman, ile było smutku w ich całym domu! Dowiedzieli się potém, że Lwów został odebrany przez Sasów, zaczém i Jerzy uwolniony z więzienia; ileż ztąd pociechy byto znowu, ile w ich całéj rodzinie radości! — To wszystko opowiedziała Jerzemu prawie jednym tchem pani Sieniawska, a w końcu dodała, iż jak tylko się wreszcie skończyły te fatalności, któremi nie wiedzieć za jakie grzéchy Pan Bóg ich dotknął, mają sobie za obowiązek najpiérwszy okazać Jerzemu dowodnie, jak dalece są jego poświęceń pamiętni i jak gorąco pragną za to wszystko mu się wywdzięczyć.

W dalszym ciągu rozmowy opowiadała hetmanowa Ożarowskiemu, że jéj mąż został już uwolniony z detencyi i z Czartoryska pojechał prosto do Brzeżan. Wyjeżdżając na dłuższy, a może już nigdy odmienić się nie mający pobyt do Brzeżan, nie pragnął on niczego goręcéj, jak aby sam mógł wstąpić po Jerzego do Lwowa i osobiście go zabrać ze sobą; ale jak z jednéj strony te nieszczęśliwe ostatnich czasów wypadki tak go zmęczyły, że nawet zapadł znacznie na zdrowiu, tak znowu z drugiéj, okoliczności towarzyszące jego uwolnieniu były tego rodzaju, iż go zniewalały do jaknajprostszéj drogi do Brzeżan. Jednakże nie mogąc sam tego uczynić, wyręczył się w tém swoją żoną; jakoż pani Sieniawska nie ma żadnéj innéj sprawy we Lwowie, oprócz téj jednéj, ażeby Jerzego zabrać ze sobą na zamek brzeżański.

To rzekłszy, nie pozwoliła mu nawet nic odpowiedzieć, a traktując go prawie jak matka swe własne dziecko, a w niektórych zwrotach swojéj rozmowy jak pani, mająca prawo do rozkazywania, dodała w końcu:

— Śpieszże się tedy, mój panie Jerzy, i każ twoje rzeczy natychmiast pakować, bo wszystko już do podróży gotowe. Jest powóz osobny dla ciebie, ten sam, którym tu przyjechałam, są ludzie, są nawet i konie rozstawione po drodze, bo chciałabym koniecznie, żebyśmy jeszcze dziś byli w Brzeżanach. Ja widzę, żeś ty jeszcze słaby cokolwiek i przedewszystkiém potrzebujesz spoczynku, ale właśnie dlatego trza nam się śpieszyć tém bardziéj.

Gdzież bowiem możesz miéć więcéj spokoju, pielęgnowania, opieki jak w wnaszym domu, a jeszcze do tego w tych czasach, kiedy my sami nie pragniemy niczego więcéj, jak odciąć się od tego rozburzonego świata i bodajby już nigdy nie wchodzić z nim w żadne stosunki? Spieszże się tedy, mój Jerzy, bo jeżeli dzisiaj nie dojedziemy do Brzeżan, to mój mąż pewnie całą noc strawi bezsennie, porozsyła kuryerów na wszystkie strony i jeszcze jutro gotowiśmy zastać go w łóżku.

Tak nagły i wcale niespodziéwany projekt podróży do Brzeżan był w saméj istocie Jerzemu trochę nie na rękę; nietylko bowiem był on jeszcze tak słabym, że całodzienna podróż mogła

jego zwątlone zdrowie o bardzo wiele pogorszyć, ale jeszcze do tego, jakiekolwiek miał zamiary, tak względem zerwania stosunków ze Sieniawskimi, jak względem dostania w rękę swojego pułku, nie zdawała mu się jego osobista podróż do Brzeżan konieczną. Jakoż był w saméj rzeczy jakiś głos w nim tajemny, który mu téj podróży odradzał. Ale cóż może jakiś głos cichy przeciwko pociągowi poruszonego serca?—Trudno albowiem tego zaprzeczyć, że hetmanowa tym swoim postępkiem tak ludzkim, otwartym, a nawet rzeczywiście serdecznym, dziwnie go pochwyciła za serce. Widząc tę panią, o wszystkie czasy i we wszystkich okolicznościach zakutą w pancerz zimnych i sztywnych form swego świata, naginającą się dzisiaj z macierzyńską miłością ku niemu i dla obowiązków człowieka zapominającą wszystkich obowiązków względem swojéj godności i swojego imienia, — Jerzy się wzruszył do głębi serca i już ani pomyślał o tém, ażeby mógł jéj się sprzeciwić.

Przeciwnie nawet, i jak to zwykle się zdarza u ludzi młodych, zawsze skłonniejszych do uczynienia zadość pragnieniom serca niżeli chłodnéj rachubie, zamiast dać posłuchanie odzywającym się w nim obawom, jeszcze sam sobie wynalazł i te i owe powody, dla których ta podróż miała mu być potrzebną i bez żadnego wątpienia powinna się stać pożyteczną. Kiedyż jeszcze do tego hetmanowa nie dała mu wcale czasu do dłuższego namysłu, a nawet zawsze najtkliwszych serdeczności nie szczędząc, sama go póty nie odstąpiła, póki do jego podróży nie było wszystko gotowém, to zamiar jéj został bez żadnéj trudności dopiętym, — Jerzy wsiadł do karéty i z przywołanym lekarzem odjechał natychmiast do Brzeżan.

Tak stało się to, czego się najbardziéj obawiał sufragan. Dziwnie téż zafrasowany a nawet z dosyć wyraźną goryczą żegnał on swojego gościa, — ale zajęty podróżą, a może już nawet jakiemi rozkosznemi marzeniami, młodzieniec zdawał się tego nie widzieć. — Odjeżdżał on z całą swobodą umysłu a nawet tak wesół jak nigdy. Rzecz naturalna, nie wiedział on bowiem natenczas, ani się nawet domyślał, jak niebezpieczne sidła, jak ciężkie próby i doświadczenia oczekiwały go na zamku brzeżańskim.

XXI.

Przyjechawszy na zamek brzeżański, Jerzy zastał już tam Sieniawskiego, — ale zastał go tak odmiennym, że zaledwie go poznał.....

Wypadek ten był dla niego zdumiéwającym, ale pomimo to wcale zwyczajnym, zwłaszcza téż w czasie takim jak ten, w którym się działy te rzeczy. Czas ten bowiem był chwilą gwałtownego wstrząśnienia, epoką przejścia, a prawie każdy czas taki ma to do siebie, iż jednych ludzi wydobywa na wiérzch z nicości i ubiéra je w sławę, znaczenie lub władzę, a znowu drugich, aż dotąd stojących na wysokości, strąca w dół i tratuje kołami swego nieubłaganego rydwanu. Dziś jednym z tych, którzyby mogli, a może nawet powinni byli na wiérzch wypłynąć, był Ożarowski, a takim, który już w saméj rzeczy spadł z swego tronu, a nawet w swojém własnem sumieniu do niepoznania podupadł, był hetman koronny Sieniawski. Jakoż istotnie, kto zapamiętał tego oligarchę z tych czasów, kiedy pełen ambicyi, potęgi i sławy, sięgał po polską koronę dla siebie, — kto go widział na jarosławskim zjeździe, goszczącego pod swojemi namioty z królewskim przepychem i swoich i cudzoziemskich monarchów, — kto go jeszcze pamiętał choćby tylko u Podkamienia, kiedy stojąc na czele czterdziestu tysięcy wojska, mógł w mgnieniu oka kraj wzburzyć, króla zrzucić, rząd zetrzéć i nowy ład zaprowadzić w Rzeczypospolitéj polskiéj, — ten, obaczywszy go teraz, aniby mógł przypuścić, że jeszcze tego samego człowieka ma przed oczyma. Już on się wprawdzie od saméj podkamieńskiéj historyi zaczął był znacznie odmieniać i jak to łatwo można było uważać, prawie co chwila

kłonił się coraz niżéj; ale te ostatnie parę miesięcy tak go głęboko dojęły, że czego nie dokazały lata i lat dziesiątki, to prawie jedna sprawiła chwila. Jakoż na samo wejrzenie był to już starzec zupełny: zgarbił się, zsiniał, twarz mu się pomarszczyła, oko zapadło, usta wybladły, a całą duszę jego dziwnie czarne oblały chmury. Siedział w krześle głębokiém, a koło niego ksiądz, kapelan zamkowy, który z brewiarza czytał mu głośno modlitwy. Tak zastał go Jerzy.....

Piérwsze chwile teraźniejszego pobytu Jerzego w Brzeżanach przeszły na wzajemném opowiadaniu doznanych smutków, zawodów i cierpień, jak niemniéj na rozpamiętywaniu ich zdarzeń, które wstrząsając Rzeczpospolitą w jéj najgłębszych posadach, nie wahały się nawet targnąć na wolność osób i sponiewiérać nietkniętą dotychczas godność najznamienitszych urzędów. Jakoż byłby to był w saméj rzeczy bardzo obszérny i zajmujący przedmiot do konwersacyi, gdyby jednakże nie to, że hetman o tyle tylko pojmował i oceniał tę całą masę dziejowych zdarzeń, o ile one osobiście go dotykały. Doświadczywszy na samym sobie dotknięcia rewolucyjnéj ręki, tak głęboko to uczuł i tak się tego przestraszył, iż zapomniawszy o wszystkiém inném, widział w około siebie tylko gwałt, bezrząd i najrozpasańszą ambicyą. Nie mogąc zaś jednostronnym swym wzrokiem dojrzéć innego końca i celu tych gwałtownych zaburzeń, jak tylko rozprzężenie i ostateczną zagubę, ugiął się pod tą myślą i upadł na duchu i zwątpił nareszcie o wszystkiém.—Ztąd zamiast konwersacyi rozumnéj i nauczającéj na przyszłość, nie można było słyszéć z ust jego nic prócz skargi, najczęściéj cichéj i głęboko bolesnéj, rzadko kiedy się żywszą unoszącéj rozpaczą, a zawsze próżnéj wszelkiéj dla siebie nadziei i próżnéj jakichbądź jeszcze czynnych ze swojéj strony zamiarów. Nadaremnie go Jerzy usiłował przekonać, że jak jego widzenie rzeczy jest zupełnie fałszywém, tak i jego teraźniejsze usposobienie serca tylko z chwilowych wypłynęło powodów, albowiem burza ta prędko przeminie, w końcu końców żadnych szkód nie zostawi po sobie, a oczyściwszy swemi gromami parne i zagęszczone powietrze, na długie czasy najpiękniejszą zabezpieczy pogodę. Nadaremnie go nawet pocieszał co do własnéj jego osoby, upewniając go, że gwałt jemu zadany minie niepostrzeżony, a zachwiane jego godności z wracającym spokojem same powrócą do niego; hetman na to powiadał:

— Szczęśliwy ty jesteś, mój Jerzy, że możesz jeszcze miéć takie myśli, że możesz miéć jeszcze nadzieję! Jakoż żyj sobie tém szczęściem, ja nie przeszkadzam; ale mnie niém nie częstuj, bo to nie dla mnie potrawa. Zanadto ja długo żyłem na świecie, zanadto zblizka przypatrywałem się sprawom narodu, ażebym się nie znał na znakach, przepowiadających jego wzrost lub upadek. Jakoż dopóki się burzono w celu ulżenia sobie za przesadzone uznanych ciężarów, dopóki tylko grożono wojną, ażeby króla tém

prędzéj do układów zniewolić, jam nie miał nic przeciwko temu, bo były to sprawy, wynikające ze złych wprawdzie, ale z dawnych obyczajów narodu; ale kiedy już zgotowane układy w Rawie wprost odrzucono, kiedy się bić zaczęto naprawdę z sługami prawowitego pana, kiedy władzę wydarto z rąk namaszczonych, a oddano ją samowolnym hersztom rokoszu, kiedy kraj cały rozburzono od granic do granic, zalano go gwałtem, krwią i pożogą, a wreszcie nieprawemi nogami zdeptano najpiérwsze narodowe godności i najznamienitsze urzędy; ja już nie mogę nie wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć i dokąd ono prowadzi! Bywały wprawdzie i dawniéj konfederacye i bunty, burzyli się Zebrzydowscy, Lubomirscy i inni, ale tego nie było co dziś jest. Nie brała wtedy swawolna szlachta najpiérwszych dygnitarzy jak prostych jeńców w niewolę, nie wodzono ich od Annasza do Kaifasza na sądy, nie plugawiono ich na pociechę rozhulanemu pospólstwu! A co ty myślisz? mnie jakiś szlachcic chodaczkowy z nad Dniestru sięgnął ręką za kołniérz! mnie do więzienia wrzucono w Lubomli! i jak Bóg w niebie, takby mi głowę był kazał uciąć ten polski Kromwell, gdyby mnie książę Janusz był nie wyprosił!.... Dlatego ty mi już nic nie powiadaj o Polsce, — kończył spokojnie hetman, — boć ja wiem dobrze, na czém to wszystko się skończy. Będziecie mieli kraj nowy, rząd nowy i całkiem nowy porządek, będziecie sobie gospodarować, jak wam się tylko podoba; ale mnie już porzućcie, i zapomnijcie, i dajcie mi cicho dożyć dni moich na państwie w Brzeżanach.

W dalszym ciągu tych rozmów przekonał się Jerzy dowodnie, że takie rozpaczliwe usposobienie hetmana, czy ono być miało tylko chwilowém, czy już nigdy odmienić się niemającém, nie było wcale urojoném, tylko prawdziwém. Sieniawski już dzisiaj istotnie niczego więcéj nie pragnął, jak tylko ażeby mógł żyć spokojnie na swoim zamku, a otoczywszy się najbliższymi przyjaciołmi swojego serca, i o świecie zapomniéć, i światu dać o sobie zapomnieć. Widząc to, Jerzy już mu się nie przeciwił nareszcie, owszem przeciwnie, kiedy już musiał mówić koniecznie, to mu tym samym tonem wtórował. Zdawało się bowiem, iż jak z jednéj strony nawet najwymowniejszym wykładem nie potrafi go o nieprawdziwości jego przywidzeń przekonać, tak znowu z drugiéj wcale to żadnéj nie przyniesie nikomu szkody, jeżeli tak strupieszały na duchu hetman koronny usunie się od spraw publicznych na zawsze. Jakoż tak było w saméj istocie.

Jednak ten dźwięczny odgłos własnego serca, słyszany ciągle z ust najbliższego przyjaciela, zaczął osieroconego hetmana przywięzywać do Jerzego jeszcze tém bardziéj. Węzeł, wiążący tych dwóch ludzi ze sobą, zaczął się odtąd ze strony hetmana ścieśniać coraz widoczniéj. Przyszło do tego nareszcie, że jak dom stary spróchniały, nie mogący ustać o swojej sile, wali się całym ciężarem na podstawione pod jego ściany podpory, tak i ten starzec

bezsilny powalił się całą siłą na swego młodego towarzysza, oparł się o niego w swéj bezwładności i tak go silnie objął swemi ramiony, jakby go nigdy nie miał wypuścić. Jakoż istotnie coraz to częściéj powtarzał:

— Bardzo ja tobie wdzięczny jestem, mój Jerzy, że mnie ty nie opuszczasz w mojém sieroctwie. Tak mi jest lekko przy tobie, tak wiele doznaje ulgi i tak łatwo zapominam o moich zgryzotach w twém towarzystwie, iż mi się zdaje, że gdyby mi dzisiaj koronę włożył na głowę, tobym w niéj nie znalazł tyle pociechy, jak w tobie. Chciałbym téż o tém jakoś rozumnie pomyśléć, ażebyśmy odtąd pozostali ze sobą na zawsze.....

A co nam po tym świecie przewrotnym, który za nasze trudy i poświęcenia tak czarno nam się wywdzięczył? czy my go potrzebujem? i co on nam dać może nareszcie? Jakoż tak myślę, że najlepiéj uczynim, jeżeli się w obrębie naszego własnego państwa tak urządzimy, ażebyśmy mogli sami sobie wystarczyć i do naszego szczęścia, o ile go nam Bóg jeszcze dozwoli, nie potrzebowali nikogo. A do takiego szczęścia, mój Jerzy, jakiekolwiek nas losy spotkały, na tym burzliwym świecie, mamy jeszcze zapasów aż nadto i trzeba tylko, ażebyśmy potrafili z nich umiejętnie korzystać.....

Tak mawiał hetman naówczas. Lecz lubo jego słowa miały daleko donośniejsze znaczenie, niżeli na piérwszy rzut oka zdradzały, Jerzy zaledwie zwracał na niego uwagę. On czuł tylko w téj chwili, że mu ten ciężar stetryczałego starca, którego z całym zapasem hipokondryi i złości dźwigał na swoich barkach, dziwnie był ciężkim, i czuł zarazem, iż gdyby mu przyszło jeszcze przez jakiś czas dłuższy tak go ponosić na sobie, to raczéj samby się ugiął i omdlał pod jego ciężarem, niżeliby miał swém młodém tchnieniem jego zamierającym siłom dać nowe życie. Wiedział on o tém, iż jak tylko do zupełnego zdrowia powróci, to tym czy owym sposobem z pewnością się od téj służby duszącéj uwolni, ale nateraz pomagało mu to niewiele; ciężar jéj bowiem tak go w niektórych chwilach tłumił nieznośnie, tak jego duszę i myśli i całą jeszcze także zbolałą istotę przygniatał, że mu się duszno zrobiło, a czasem nawet poprostu brakowało powietrza. Jakoż natenczas wymykał on się z objęć hetmana i szukał kędy indziéj spokoju, odetchnienia, rozrywki. Na szczęście swoje nie potrzebował jéj szukać daleko.....

Albowiem najpiérw, lubo kancelarya hetmańska była na teraz jaknajzupełniéj rozbitą i Jerzy nie myślał wcale przyprowadzać ją do dawnego porządku, urządził on jednak, tak zapomocą gubernatorów porozrzucanych po całéj Polsce dóbr Sieniawskiego, jak zapomocą komend milicyi hetmańskiéj, po tychże dobrach konsystujących, bardzo gęstą i regularną korespondencyą, z któréj się dowiadywał o wszystkiém, co się działo w konfederacyi. Wiadomości te były niezmiernie liczne, przynosiły jak zwykle da-

leko więcéj bajek niż prawdy i było to pracą dosyć mozolną czytać te hieroglify ręki żołnierskiéj, albo głęboko-ciemne polityków wiejskich gazetki; ale ponieważ to wszystko razem przecież nakoniec malowało bardzo dokładnie postęp konfederacyi, więc było to dla Jerzego niezmiernie zajmującą, a nawet i pożyteczną rozrywką.

Powtóre, konsystował naówczas w obrębie murów zamkowych cały pułk Sodalisów. Poczciwi ci ludzie byli zawsze jednakową miłością przywiązani do swego pułkownika, a teraz generała, i nie byli nigdy szczęśliwsi jak wtedy, kiedy go mogli widzieć przed sobą. — Jeszcze zawsze wątły na siłach, zwlekał się do nich Ożarowski o kiju i jak mógł tylko najwięcéj czasu trawił pomiędzy nimi. Często jego obecność przy nich była mu nawet z wielu względów potrzebną. Albowiem przed wszystkiém inném chodziło mu o to, ażeby się ciągle utrzymywali przy téj zręczności w robieniu bronią, jaką im nadał swoją umiejętnością i pracą, a któréj przez czas jego nieobecności w Brzeżanach już byli zapomnieli cokolwiek. W tym celu przyszedłszy do nich nieraz równo ze świtem, zasiadał w ganku pod kolumnami i kazał im musztry przed sobą wyprawiać. Tym sposobem w przeciągu kilku tygodni przypomniał im z największą łatwością to wszystko, co zapomnieli, obudził w nich chętkę do takich ćwiczeń i nauczył ich przywiązywać wagę do téj umiejętności, która, jak mówił, dotychczas wprawdzie im nie wiele przyniosła, ale w danych okolicznościach mogła sporządzić im wziętość, znaczenie, sławę, a nawet kto wié jak głośne imię w narodzie. Daléj chodziło mu o to, ażeby ich przywiązanie do siebie jeszcze bardziéj umocnić i tak ich wreszcie zespolić z sobą, ażeby odtąd nie umieli nawet pojmować swego istnienia bez niego i jakiekolwiekby go spotkały losy, ażeby ich miał na każde skinienie przy sobie. Jakoż nad tém nie potrzebował on wcale pracować. Jeżeli bowiem ich miłość dla niego była zawsze tak ciepłą, że każdy z nich byłby dał życie swoje za niego, to wszyscy razem, jak się powszechnie zwali Sodalisami, albo nawet poprostu Ożarowskimi, tak téż istotnie myślą, uczuciem, opiniami, nadzieją byli jakby nim samym. I tak się już byli przyzwyczaili do tego, tak pod jego przeważnym wpływem zrośli się z jego istotą, że zdawało się, jakby się wszyscy swoich osobistości wyrzekli i byli tylko pojedynczymi członkami swego ukochanego dowódzcy. Zabawnie téż czasem było posłuchać ich rozmawiających ze sobą o swoich losach pospólnych, o teraźniejszéj swéj bezczynności, o nadziejach i widokach na przyszłość, które od niejakiego czasu coraz więcéj ich obchodziły.—Kaduk nas zaniósł do tego nienawistnego Lwowa, — mówili oni, — a już chyba sam nieczysty podał nam koncept stawać w obronie hetmana. Pięknąż tam teraz opinią mają o nas konfederaci! Już my tam pewnie jeszcze czarniejsi w ich oczach, niż sami Sasi. Godziłoby się, ba trza koniecznie, przekonać ich o nas inaczéj; ale nam jakoś jeszcze

nie idzie do tego! Nuż kiedy zaczniem coraz to częściéj zasiadać z panną w altanie, a kapela nam będzie przygrywać melancholicznie, a hetman będzie przy nas usypiał, tośmy się jeszcze gotowi rozamorować na piękne, ba, i ożenić nareszcie! — Ale nie tacyśmy sobie prości, jak się komu wydajem, — mówili znowu kiedyindziéj, — przycupnęliśmy teraz cichutko, jak zając pod miedzą, lecz jest w tém racya. Chwieją się nogi pod nami, ręka nie może udźwignąć pałasza, a coby po nas było na wojnie! Ale niechno się wzmożem na siłach, niech staniem twardo na nogach, hej! świśniem sobie którego ranka z pomiędzy tych murów tak gładko, że jeno pamięć po nas zostanie! — Jakoż istotnie były to wszystko uczucia i myśli, jak gdyby wprost wyjmowane z serca Jerzego.

Ale tymczasem było to także prawdą bezsprzeczną, że Jerzy przepędzał nieraz całe godziny z hetmanówną w altanie. Tak było, i była to także jedna z jego rozrywek. Kiedy go hetman swojemi śledziennemi rozmowy do tego stopnia umęczył, że mu pot występował na czoło i zaczynało oddechu brakować w piersiach, a musztra z Sodalisami była już ukończona i gazetki były już przeczytane, — to szedł natenczas do kwiatowego ogrodu, dochodził do winogradowéj altany i tam zazwyczaj zastawał Zofią. Wtedy zasiadał przy niéj, patrzył przez chwilę w milczeniu w jéj osmucone oczęta, potém padało słówko z téj strony i małe słóweczko z drugiéj, a na końcu z tych słówek nieraz tak żwawa wywiązała się rozmowa, jak gdyby po długiém niewidzeniu obaczyli się dziś po raz piérwszy, albo jak gdyby dzisiaj mieli się na długie czasy pożegnać. Te tak rozgłośne i wesołe rozmowy, które dawniéj nie miéwały nigdy miejsca pomiędzy nimi, były znakiem bardzo niedobrym, ale co jeszcze na daleko donośniejsze naprowadzało wnioski, to to, że taka wesoła rozmowa, niewiedzieć zkąd i dlaczego, potém nagle się urywała i pomiędzy winogradowemi ścianami najgłuchsze zalegało milczenie. I siedzieli wtedy oboje smutni, jako wierzby płaczące, i wezbranemi oczyma patrzyli w ziemię, i nie mogli słowa znaléźć dla siebie, — aż póki się ze zamkowéj galeryi nie odezwała kapela i póki hetman się nie zjawił pomiędzy kwiatami, zazwyczaj z kapelanem po lewym boku i z murzynem lub karłem za sobą, który niósł lulki w ręku i sorbety na tacy. I wtedy znowu bywało wesoło.

Jednakże czasem, zaledwie Jerzy wszedł do altany i jeszcze błądził oczyma pomiędzy Zosi twarzyczką, a stojącemi przed nią krośnami, zjawiała się przy nich hetmanowa z robótką w ręku. Wtedy był dzień bardzo nudny, na żaden sposób nie mógł się znaléźć przedmiot do zajmującéj rozmowy, a z chmurek przelatujących po niebie, z ich postaci i barwy, wróżono deszcz niezawodny.

Ale za to znów czasem hetman, nudząc się jak pień po obiedzie, zawołał do siebie Jerzego, przywabił Zosię, rozmawiał z nimi chwilkę a potém rzekł:

— Chodźcie dzieci do kwiatowego ogródka, jakoś tu duszno w komnatach.

Wtedy szli wszystko troje tak wesoło i raźnie, że sami nie wiedzieli, kiedy przebiegli sto jeden wschodów i trzy kurytarze. Zosia przybiegała natenczas do altany najpiérwsza, albowiem niosła w swych własnych rączkach aksamitną poduszkę, zapomocą któréj uścielała dla ojca na darniowéj kanapie jakby sułtańskie siedzenie. Jak téż usiadł małmazyą nalany hetman na owe darnie i puchy i jak mu jeszcze do tego na nutę melancholiczną zagrała z ganku kapela, tak w ten moment usypiał snem ludzi najsprawiedliwszych, choć niezupełnie spokojnym. Albowiem w tym śnie rzucał się ciągle, ruszał ustami, mruczał jakieś niezrozumiałe słowa, a czasem nawet kwilił dosyć wyraźnie: — Michasiu! co ja tobie zawinił? czego ty..... czego ty się mścisz na mnie tak krwawo? — To znowu wołał: — Mości rotmistrzu! a co to? a zasie waści! czy to waść nie wiész?... Precz! precz! kto w Boga wierzy ratujcie! — Widać ztąd, że pana Michała i jego rotmistrza nie mogła strawić nawet małmazya. — Kiedy zaś nieraz młodzi, rozchulawszy się z sobą, zanadto głośny podnieśli hałas, stary się budził, zrywał się ze snu, stawał na równe nogi i wołał: — Hej! a co to takiego! — Poczém wszakże, oczu przetarłszy, mówił spokojniéj: — Śniło mi się, że na mnie znowu napadły konfederaty. — Ale nakoniec uspokajał się całkiem, a przystąpiwszy do obojga młodych z uśmiechem, całował ich w czoła i mówił: — Bawcie się, dzieci, bawcie, to nic. Tyle mojéj pociechy, ile doznaję jéj przy was.

A wtedy już wszystko troje bawili się razem wesoło, a zabawa ich dochodziła czasem do tego stopnia pustoty, że młodzi dworowali sobie delikatnie z staruszka, jakoby się już tak przeląkł konfederatów, że nawet ich we śnie widuje. Z czego sam hetman rad się uśmiéchał, mówiąc potém z westchnieniem: — Tak to podobno nam wszystkim idzie na tym świecie. Dopóki człek młody, wygrałby sprawę niejednę, lecz myśląc skromnie o sobie, niéma do gry odwagi: a jak się zestarzeje i wzrośnie w znaczenie i siłę, znowuby wygrał, ale już wtedy grać mu się nie chce. A to sobie pamiętaj, mój Sodalisie, i pókiś młody, kuś się o wszystko, bo niéma rzeczy, któraby była niepodobną dla ciebie... Po takich i tym podobnych słowach Zofia spuszczała oczy ku ziemi, a Jerzy rzucał na hetmana spojrzenie ukradkiem i wracał w zamyśleniu do dworu.

W takim stanie rzeczy minęło kilka długich tygodni prawie całkiem niepostrzeżenie. I minęła już piérwsza połowa maja, i poczęły się dnie spokojne i ciepłe, zapowiadając długotrwałą pogodę. Parę tygodni takiego powietrza postawiły Ożarowskiego prawie już całkiem na nogach. Już się mógł najswobodniéj przechadzać o własnéj sile, już broń udźwignął i robił nią nienajgorzéj, już nawet konia dosiadał i przedsiębrał kilkogodzinne przejażdżki bez

umęczenia. Jakoż czując się tak blizkim powrotu do zupełnego zdrowia, począł coraz ciekawiéj wczytywać się w polityczne gazetki, a zarazem rozmyślać, jak, którą drogą i w którém miejscu byłoby mu najsnadniéj przystąpić do tych, do których wołały go głosy kochającego serca i obowiązki sumienia. Tak myśląc, rozważał także, jakimby sposobem najgładziéj rozprawił się nareszcie z hetmanem. Była w tém trudność nielada, albowiem nietylko chodziło mu o to, ażeby po zerwaniu stosunków obecnych zachować dla siebie zawsze niezmiennie wiele znaczącą przyjaźń Sieniawskich, ale także i o to, ażeby przenosząc się teraz z jednego obozu w drugi, nie przyjść tam z gołemi rękami i skutkiem tego nie znaléźć się w położeniu zmazania tego wszystkiego, czego się dobił dotychczas, i rozpoczynania regestru zasług nanowo. W najgorszym razie był on wprawdzie zdecydowany wejść choćby tylko z szablą u boku do szeregu walczących, — był on jeszcze zanadto młodym i zanadto ufał swym siłom, ażeby i w takim razie o swoję przyszłość rozpaczał; — ale, jak z jednéj strony wiedział o tém aż nadto dobrze, że cały pułk wyćwiczony, umontowany i do boju gotowy, nie może być i dla największéj armii obojętnym nabytkiem, tak znowu z drugiéj tyle prac swoich, tak wiele trudów a zresztą cierpień i bólów zrzucić umyślnie w paszcz zapomnienia i nie wziąć przynajmniéj ich rachunku ze sobą, uważał za nieroztropność chłopięcą, któréjby nigdy sobie nie mógł przebaczyć. Widząc tę trudność i widząc zarazem dzisiejsze usposobienie hetmana, przy którém ona jeszcze się o wiele zwiększała, zakłopotany Sodalis sam czasem nie wierzył, ażeby się tak dziwacznie splątany węzeł dał spokojnie rozwiązać, — miéwał téż czasem chwile, w których był pewnym, że się to nie zakończy inaczéj, tylko poprostu wymarszem bez pożegnania; — jednakże nimby przyjść miało do téj ostateczności, ufał jeszcze swojéj wymowie, swéj obrotności, a nareszcie i przywiązaniu hetmana do siebie, i miał jaknajlepszą nadzieję. — Jakoż odtąd zaczął już coraz pilniéj śledzić hetmana, korzystając z każdéj swobodnéj chwili, ażeby go stateczną o sprawach publicznych rozmową przygotować do przyjęcia jego zamiarów.

Ale tymczasem, prawie nim jeszcze zaczął swą propagandę, dostrzegł pomimo woli, że na zenicie domowego firmamentu Sieniawskich jakoś się konstelacya zmieniła. Nie mógł on zrazu odgadnąć, co jest, ale widział wyraźnie, że pomiędzy hetmanem i hetmanową jakiś wichr niespokojny przewionął i harfę ich małżeńskiego pożycia, dotąd zawsze tak strojną, jakoś dziwnie roztroił. A musiał to być jakichś wichr nie chwilowy, ale ciągle trwający, bo nieporozumienie widoczne pomiędzy małżonkami wciąż trwało i dochodziło chwilami nawet do tego stopnia, że hetman przez cały wieczór ani jednego słowa nie przemówił do żony. Jednego wieczora nawet dopuścił się takiéj nieoględności, że w obec wszystkich domowników przy wieczerzy zebranych tak się

głęboko zapędził w rodzinno-historyczne badania, iż dowiódł jakby na dłoni, że Lubomirscy są taką samą szlachtą, jakiéj tysiące jest w Polsce i nic ich wcale nie upoważnia do pomiatania innymi. Poczém jakby od założenia do wniosku przeszedł do Ożarowskich, a wyliczywszy zasługi i koligacye ich domu, wróżył im wielką świetność w przyszłości.

— Bo to tak u nas jest w Polsce z rodami! — powiadał hetman. — Wielkość i świetność i sława koleją idą i przy nikim się nie trzymają bez końca. Wyniesie się który, zabłyśnie, zalśni, aliści w oka mgnieniu już go i niéma — a na jego miejsce powstaje drugi, o którym dotąd ani słychać nie było. Wyjąwszy jednych Potockich, którzy się stale trzymają i jeszcze nie tak prędko się skończą, bo jest ich wielu, któryżto wielki ród starożytny już nie zaginął albo teraz nie ginie? Gdzież są Górkowie, Kmitowie, Łascy, Tęczyńscy, Herburtowie i tylu innych? Niémasz ich — a i Sieniawscy już idą. A kiedy tamci kwitnęli, któż słyszał o tych, którzy dziś błyszczą u góry? A między tymi Ożarowscy niepospolite zajmują miejsce. Bo nietylko że żwawo prą naprzód i oczéwiście się wyprą wysoko, ale jeszcze do tego należą do takich, o których już i dawniéj wiedziano. Miałżebym tedy pomiędzy ludźmi wybiérać, to bez wątpienia wolę takiego, który, pełen siły i życia, ma jeszcze cały świat zasług i sławy przed sobą, niżeli którego z takich, co się już wyczerpali, ostatkami dziś gonią i lada dzień także się skończą... A chociaż tego nie może pojąć rozum niewieści, mniejsza z tém; wiedział Bóg dobrze, dlaczego dał berło świata mężczyznom!

Na te słowa wypowiedziane nietylko z pewną goryczą, ale nawet bardzo dobitnie, pani Sieniawska przytknęła chusteczkę do ust, wstała poważnie z miejsca i odeszła powolnym krokiem do bawialnéj komnaty. Za nią powstał dwór cały i damy wyszły za hetmanową, — mężczyźni zaś pozostali w sali jadalnéj, oczekując rozkazów hetmana. Jednakże tak tam między damami, jak i tu między mężczyznami, panowało jakieś dziwnie naprężone milczenie, albowiem wszyscy tak rozumieli, że owe słowa powyższe hetmana, wypowiedziane w obec całego dworu, były stanowczym wstępem do nadzwyczaj ważnego zdarzenia. Jakoż wszyscy patrzyli na Jerzego takiemi oczyma, jak gdyby go widzieli dzierżącego już w ręku wielką buławę i panującego już na zamku brzeżańskim. Niektórzy nawet poczęli sobie szeptać coś o tém lub dawać znaki oczyma, — tylko on jeden stał niewzruszony a oparłszy się prawą ręką o krawędź stołu, zdawał się być nieprzytomnym i nie wiedzieć, co się z nim dzieje...

Tymczasem hetman siedział jeszcze przy stole i patrzył zachmurzonemi oczyma w te drzwi, któremi hetmanowa odeszła. Tak patrzył przez małą chwilkę, — poczém wszakże obrócił się i spojrzał na swoich dworzan, a widząc ich wszystkich na nogach, rzekł do nich:

— A wy czego powstali? kobiétom czas, bo to spać idzie z kurami, ale my się jeszcze możemy zabawić.

Jakoż kazał dać wina i przepił zaraz do Granowskiego i Bekierskiego, dwóch najweselszych przyjaciół, jakich miał na swym dworze. Posiadali wszyscy, siadł także i Jerzy, lecz czuł to, że go w téj chwili jakoś dziwnie gniótł mundur i było mu duszno przy téj biesiadzie. Zaczém po małéj chwili wstał z miejsca, poprosił hetmana, mówiąc, że jako inwalid potrzebuje wczesnego spoczynku, i wyszedł z biesiady. Kiedy powstawał, uważał to, że się wszyscy dworzanie z miejsc swoich podnieśli, a kiedy wychodził, kilku z nich uprzedziło go przy drzwiach, ażeby mu je otworzyć. Respekt ten, nigdy dotąd niedoświadczony, jeszcze go tém więcéj uderzył, — jakoż w niemałém zamyśleniu wrócił do swojéj kwatery. Tam przyszedłszy, przechadzał się przez czas długi po swojéj wielkiéj komnacie i myślał. Ale widać że myśli te w niczém go jeszcze nie oświeciły na pewno, albowiem po całogodzinnéj przechadzce rzekł sam do siebie: — Coś mi się przywidziało. Trzeba to przespać... i z temi słowy udał się na spoczynek.

Nazajutrz rano zamierzył sobie Jerzy tak wziąć na oko całą ludność zamkową, żeby go ani jedno słóweczko, ani jedno mrugnienie oka nie ominęło niespostrzeżenie. Jakoż przyszedłszy wczas na pokoje, dziwnie był wstrzemięźliwym ze swojéj strony, a natomiast pilnie uważał wszystkich. Ale mimo to w nikim prawie żadnéj nie dostrzegł zmiany. Hetmanowa była poważną, mało mówiącą, ale téż i uprzejmą jak zwykle: hetman w humorze codziennym; tylko Zofia zdawała mu się niby trochę weselszą dzisiaj niżeli w dnie inne, a w niektórych momentach zdradzała usposobienie takie, jak gdyby albo już jakiś tryumf odniosła, albo go odnieść miała niebawem. Nie zmieniło to wszakże w niczém zwykłego porządku rzeczy, tak samo przeminął ranek jak codzień, tak samo obiad i piérwsze poobiednie godziny. Jerzy wrócił jaknajspokojniéj do siebie, czytał przez całą godzinę gazetki i porządkował sobie wyczerpane z nich wiadomości o wzroście, ruchach i dalszych jak zwykle zmiennych kolejach konfederacyi, —poczém rozmyślając o tych zdarzeniach i prawdopodobnych ich skutkach, wyszedł do kwiatowego ogródka. Cały zajęty wojennemi i politycznemi wnioskami, ani uważał tego, że w winogradowéj altanie siedział już hetman ze Zosią i dosyć żwawą wiódł z nią rozmowę. Obaczywszy Jerzego, uciszyli się trochę, wymienili ze sobą jeszcze słów kilka, poczém Zosia, zostawiwszy ojca samego, wyszła w ogródek.

Spotkawszy Jerzego, stojącego nad krzakiem róży i skubiącego listki w zamyśleniu bezwiedném, spojrzała mu w oczy z uwagą i rzekła:

— I cóż tam konfederacya? czy poraz siedemdziesiąty odniosła zwycięztwo, — czy siedemdziesiąte ją spotkało nieszczęście?

Jerzy spojrzał na nią z uśmiéchem i rzekł:

— Czy ja już nie mogę o czém inném myśléć, oprócz konfederacyi?

— Tak mi się zdaje, że nie, — odpowiedziała Zofia, — przeciwko czemu zresztą nic nie mam, tylko jestem zdania, że wyszłoby to na jedno, czybyś pan Jerzy myślał o tém, czy nie.

— Dlaczegóżto, pani?

— Jaki pan zamyślony! Oto dlatego, że już tam są inni, którzy myślą za pana, myślą i robią razem.

— To prawda! — z westchnieniem odpowiedział Jerzy—wszyscy coś robią! tylko ja jeden skazany jestem na bezczynne myślenie!

— Mnie się zdaje, rzekła na to Zosia z figlarnym uśmiéchem, — że już takie pana Jerzego jest przeznaczenie. Ale to niekoniecznie jest źle. Wiele myśléć, a innym dać robić za siebie, to nie jest zły wynalazek.

Jerzy spojrzał na nią z uwagą i rzekł:

— Nie rozumiem zupełnie, co mi pani chcesz przez to powiedzieć...

Ale Zosia się śmiała:

— Co ja chcę przez to powiedzieć? nic. A czy pan nie wiész, dlaczego mówią kobiéty? Aby im się mówiło; na wiatr! jak powiada mój ojciec. Ale idź pan do ojca, bo jak uważam czeka na pana, a hetman nie powinien czekać na generała.

Jeszcze więcéj zamyślony niż dotąd, wszedł Jerzy do winogradowéj altany. Istotnie tam hetman czekał już dosyć niecierpliwie na niego, jakoż rzekł zaraz:

— Siadaj-no, siadaj, a nie susz sobie głowy napróżno. Biéda to z ludźmi, którzy w niczém nie znają miary—ani nawet w skromności. Powiadają o królu Michale, że już z rok nosił koronę na głowie, a jeszcze temu nie wierzył, że istotnie jest królem. Może to pięknie świadczyło o jego sercu, ale nie było to dobrze, ani dla niego, ani téż dla narodu. Gdyby był tylko trochę lepiéj rozumiał o sobie, byłoby to było bez kwestyi pożyteczniéj dla wszystkich...

Słysząc Jerzy te słowa, siedział jak na niemieckiém kazaniu. Jakoż rzekł, prosto odpowiadając na zdanie:

— Jan Olbracht dobrze rozumiał o sobie, ale nie przyniosło to także pożytku nikomu.

— To prawda, — odpowiedział Sieniawski, — ale można nie wynosić się do zuchwalstwa Olbrachta, a mimo to przecież nie kisnąć w nieruchoméj skromności Michała...

Po tych słowach pomiędzy rozmawiającymi głuche zaległo milczenie. Obadwa spojrzeli sobie po kilkakrotnie w oczy, ale nie wiedzieć dlaczego nie mogli sobie dotrzymać wzroku ani na chwilę. Co myślał hetmen, nie wiedzieć, — Jerzy zaś wpadł był zrazu na domysł, jakoby hetman odgadł już, tak jego chęci względem konfederacyi, jak téż i jego zamiary, a zniecierpliwiwszy się wreszcie,

że mu Jerzy tych rzeczy nie wypowiedział już dotychczas otwarcie, tym tajemniczym wstępem chciał go do tego ośmielić. Czego pragniemy, tego się spodziéwamy, tak stało się w piérwszéj chwili i z Jerzym. Ale niebawem mimo tego domysłu, odezwało się w nim jakieś tajemne przeczucie, które nietylko nie kazało mu temu domysłowi dowierzać, ale zarazem napełniło go jakąś taką niespokojnością, że mu serce zadrżało. Coby miał myśléć i czego się w téj chwili spodziéwać, nie wiedział; ale czuł to wyraźnie, że mu się teraz coś zdarzy takiego, co nie będzie po jego myśli i wszystkie jego plany skrzyżuje. W takiéj niespokojności z jednéj, a zapewne i z drugiéj strony minęła długa chwila milczenia. Aż nareszcie Sieniawski ruszył się niecierpliwie na miejscu, spojrzał na Jerzego z pod oka i tak zaczął:

— Powiédzże mi, mój Jerzy, czegóż ty mnie tak męczysz? Wiédz bowiem o tém, że to twoje milczenie w téj chwili wielką mi przynosi zgryzotę. Czyż ja to się nie domyślam już dawno, co tobie cięży na sercu? czyż mi tego nareszcie nie powiedziała Zosia? Czemuż nie postąpisz sobie ze mną jako syn z ojcem? czyż ja przynajmniéj na to nie zasłużyłem sobie u ciebie?...

Na te słowa Jerzy zadrżał pomimo woli, duszno mu się zrobiło, zaczerpnął pełną piersią powietrza, — lecz milczał. Tymczasem zaś hetman prowadził rzecz swoję daléj:

— Po części ja ciebie usprawiedliwiam z téj nieśmiałości. Ty sobie myślisz: Zawysokie to progi na moje nogi. Ty sobie mówisz: Pukał tu już niejeden, który daleko jaśniéj błyszczał odemnie, a przecież jemu nie otworzono. I pukałoby ich jeszcze daleko więcéj, gdyby nie wojna, a wielkie to jest pytanie, ażaliby i któremu z tych otworzono? — I prawda. Nie otworzyłem jeszcze drogi do mojéj córki nikomu i ilu jest w całéj Polsce młodzieńców, żadnemu z nich nie otworzę. Spytasz mnie: czemu? Odpowiem prawdę: Zanadto dumnym jestem przeciw tym ludziom, ażebym ich tak blizko przypuścił do siebie — nietyle dumny imieniem i bogactwami Sieniawskich, ile dumnym chcę być w mojém dzisiejszém nieszczęściu. Mój rozum mi to nakazuje: ja znam tych ludzi! każdy z nich przyjdzie do mnie na palcach, będzie się łasił koło mnie, kłaniał do kolan i powiadał najniższym sługą, przed intercyzą i ślubem — a potém!... stare miotły w kąt się rzucają. Zdeptał mnie naród nogami i rzucił w kąt jak miotłę plugawą, — zapomniał król o mnie i odepchnął od siebie, — mamże jeszcze dopuścić do tego, ażeby i własny zięć zamiótł mną swoję chatę i potém także odrzucił? ażeby mnie karmił z innemi pochlebstwy w oczy, a wypiérał się mnie przed światem? ażeby się ubrał w odziedziczone po mnie godności i głosił światu, że je własną zdobył zasługą? ażeby błyszczał i hulał za moje złoto, a mnie zostawił na pastwę mojéj zatrutéj starości w Brzeżanach? A takby było, bo ja znam ludzi. Ale tak się nie stanie, bom ja na to za mądry. Nie wezmę panka, aby go na pana przerobić, bo chcę

mieć zięcia — i zięcia nie chcę, bo chcę miéć syna. Bardzo mnie Pan Bóg pokarał, nie dawszy mi go z swéj ręki, ale jeszcze mnie całkiem nie opuścił, kiedy dozwala mi go przysposobić. A tyś powinien był wiedzieć o tém, mój Jerzy, i pewnieś wiedział: dlaczegóż przy twojém przywiązaniu tak szczérem nie byłeś jeszcze na mnie tak łaskaw, żebyś mi swoje serce w całości otworzył? Uczyniła to Zosia i wielką mi tém sprawiła radość, o ileż jeszcze byłbym szczęśliwszym, gdybyście byli tak samo uczynili oboje!

To rzekłszy, hetman spojrzał znów na Jerzego, który siedział schylony, z oczyma spuszczonemi ku ziemi i w dziwnéj niespokojności. Widać to było po nim wyraźnie, albowiem ręce, które zacisnął przed sobą, drżały jak w febrze, oddychał ustami tak pracowicie, jak ryba na ląd wyrzucona, a twarz jego do dziś dnia jeszcze zawsze tak bląda jak z wosku, oblała się takim silnym rumieńcem, jak gdyby lada chwila miała krwią trysnąć. Jakoż jak tylko zamilkł Sieniawski, on zerwał się z miejsca, ujął starca za rękę i tak mówił:

— Panie hetmanie! czuję to w głębi mojego serca, żem powinien w téj chwili rzucić się tobie do nóg za łaski, któremi mnie chcesz zarzucić tak hojnie. Zabito mnie ojca, ty mi go chcesz powrócić, — ubogim jestem, ty mnie chcesz zrobić bogaczem, — maluczkim jestem, ty mnie chcesz zrobić możnym i wielowładnym, — siérotą jestem błąkającym się w samotności po świecie, ty mnie chcesz rzucić w objęcia wiernéj i kochającéj rodziny! O! czyż można osięgnąć, zapragnąć, a choćby tylko zamarzyć coś więcéj! Przynajmniéj ja z mojéj strony, tak mi Boże pomagaj przez całe życie, nigdym się tego nie spodziéwał. Ale właśnie dlatego, że to szczęście tak wielkie, tak hojne, tak lśniące, spada na mnie jak gwiazda z zachmurzonego nieba, właśnie dlatego nie jestem w stanie go objąć, nie jestem w stanie nawet wyrazić tego dokładnie, co czuję. Jestem wzruszony nad moje siły, olśniony, odurzony wielkością tego, co mnie w téj chwili spotyka. Dlatego jeżeliś jegomość istotnie jest łaskaw na mnie, to puść mnie teraz od siebie. Niechaj ochłonę cokolwiek, niech się ochłodzę i zbiorę w sobie te wszystkie siły, których mi do godnego przyjęcia takiego szczęścia potrzeba. Jutro mamy dzień także — a niémasz w tém nic tak nagłego!

Ale hetman się na to tylko uśmiéchnął i odpowiedział spokojnie:

— Siadajno, panie Jarzy, koło mnie i rzuć o ziemię te niepotrzebne wzruszenia. Jutro mamy dzień także, to prawda, ale i dzisiaj dzień jest — a bardzo nieroztropnie ten czyni, kto i jedną godzinę swojemu szczęściu wykrada. Takie to życie jest krótkie, tak mało szczęścia w niém prawdziwego! — Otóż ci powiem najpiérwéj, że zanadto ty wielką przywiązujesz wagę do tego, czém ja ci chcę twoje poczciwe serce dla mnie nagrodzić. — Nie przeczę temu, daję ja ci tych dóbr doczesnych niemało. Z ziem moich,

które się kiedyś wszystkie w twoje ręce dostaną, możnaby nowe utworzyć królestwo, — z moich ludzi i skarbów możnaby daleko większą wystawić armią, niżeli ją ma konfederacya razem z Sasami, — dla córki mojéj mógłbym śmiało poszukać męża nawet pomiędzy ukoronowanemi głowami. Mając to wszystko, a do tego młodość, chęć i fantazyą, można dość głośno burmistrzować po świecie, a w danym razie jeszcze i więcéj osiągnąć. Ale co to jest wszystko! Mam ja te dobra w mych ręku od urodzenia, i używałem ich całą gębą, i znano mnie z tego po świecie,—miéwałem chwile, w których mojemi bogactwy ćmiłem książęta i króle, kiedy indziéj trząsłem całą Rzecząpospolitą jak gdyby garścią mych własnych wiosek, a wreszcie, gdybym był chciał, mógłbym był sam włożyć sobie na głowę koronę, — ale cóż z tego wszystkiego?

Czasy świetności, przewagi, władzy, minęły jako sen młodociany, — a kiedy serce ostygło, fantazya zwiędła, głowa się pochyliła a ziemia zaczęła się głośno upominać o dług swój, to bogacz świata, dziedzic wielkiego imienia i niezwalczony hetman rycerstwa, poszedł tak samo na paciérze do kruchty, jak ów nieznany nikomu pachołek, który pod czarną urodził się strzechą. Jakoż dzisiaj, przypominając sobie z kolei, jak byłem wielkim, możnym i lśniącym, i widząc znowu, czém jestem teraz i w co się może już jutro obrócę, zaledwie wierzę, ażeby mogła zajść taka zmiana — a kiedy zaszła istotnie, to mówię, że ledwie warto czémś być i coś znaczyć w tém życiu! Bo téż i dziwnie marna to koléj, w którą nas tutaj puszczono. Wszystko co dobre, przyjemne sercu i oku miłe, mija jak cień i nie zostawia śladu po sobie, — *vanitas vanitatum et omnia vanitas!* — tylko starość, jadąca na wozie zmartwień, zawodów i bólów, jak gdyby rozpaloném żelazem dnie swoje znaczy i po każdym z nich niezatarte zostawia ślady. A kiedy wreszcie tak się już zbliży do ciebie, że usłyszysz głos: Prochem jesteś i w proch się obrócisz! — to wtedy koniec już z tobą. Najobszérniejsze włości, największe skarby, a choćby władza nad całym światem nie są wstanie zagłuszyć tego uczucia marności, które się odtąd w twojém sercu rozkłada i z całym zasobem sił i możności w bezwładne cię rzuca nicestwo. Szczęśliwy ten jest, komu Pan Bóg dał syna, bo ten się może łudzić przynajmniéj, że chociaż sam w proch się rozsypie, to przecież jeszcze jakąś cząsteczką żyć będzie daléj i trwać w nieskończoność: ale komu Bóg wreszcie i tego nawet odmówił... ot! dajmy pokój! nie znam łez w mojém życiu, a nad tém mógłbym płakać jak dziecko. Jestem najnędzniejszym żebrakiem pomiędzy ludźmi. Na oko pan możnowładny, bogacz najpiérwszy w kraju, władca nad całą armią żołniérzy i ojciec miliona rodzin — a w rzeczy saméj starzec upadający na siłach, bankrut który utracił wszystko, tułacz błądzący pomiędzy kolące ciernie i głogi, siérota którego wypędzono z pogardą z własnego kraju, a wreszcie jak występnika na uwięzienie

skazano! Oh! mój Jerzy kochany! jeżeli myślisz, że jeszcze jest więcéj szczęścia przedemną, niżeli się po was, po dzieciach moich, spodziéwam, toś ty nigdy nie pojął, co się dzieje w mém sercu! Pustka wierutna, ruina, cmentarz, grób otworzony, któren ty tylko jeden możesz jeszcze okryć zielenią i garstką kwiatów umaić!...

Wysłuchawszy tych najskrytszych tajemnic hetmana, z którego wreszcie człowiek twarz swą pokazał, Jerzy wyciągnął ręce przed siebie, opuścił głowę ku ziemi i zaczął mówić jakby do siebie:

— O! czyż się kiedy mogłem spodziéwać, ażeby we mnie tak wielkie pokładano nadzieje! Ja, takie wiotkie stworzenie, takie niemowlę między mężami! A wreszcie, czyż to rzeczy podobne! Gdzież taki mistrz na téj ziemi, gdzie cudotwórca, któryby mazał wyroki narodów, groby zamieniał w mieszkania i umarłym powracał życie! Był czas, kiedy téj śmierci można ustąpić z drogi,—ja sam podawałem na to sposoby, — ale dziś... Przeklętym jest czyn dokonany, — brama zapadła i nikt jéj już nie otworzy!

Hetman słuchał Jerzego ze smutkiem, ale i z wielką uwagą. Jakoż usłyszawszy słowa ostatnie, zadrżał, przestrach się wymalował na jego twarzy, a z jego ust zwiędłych dało się słyszéć pytanie:

— Jakże ty myślisz, mój Jerzy? czy dla mnie istotnie już niéma ratunku? czy to jeszcze nie koniec? jaki to wyrok? jaka śmierć? cóż to ma znaczyć?...

Na te słowa Ożarowski zerwał się z miejsca:

— Ratunku? — mówił jakby bezwiednie, — wyrok? śmierć? czy ja mówiłem co o wyroku i śmierci?... Przepraszam jegomości, ja już sam nie wiem co mówię.

Po téj odpowiedzi hetman milczał przez chwilę i myślał. Poczém wszakże mówił spokojnie:

— Siadajno Jurciu, bo się burzysz czegoś straszliwie, a niepotrzebnie. Gdybym nie był tak starym, a do tego Sieniawskim, byłbyś mnie mógł przestraszyć. Byłoby to nawet nie dziwno, gdybym się był istotnie przestraszył, zwłaszcza że i we Lwowie, a osobliwie w Lubomli już nawet i takie nasyłano na mnie straszydła. I było się nawet czego w saméj rzeczy obawiać. Polska wprawdzie nie Anglia, a Ledóchowski nie Kromwell, ale w takich okolicznościach wszystko być może. — Jednakże czego się można było obawiać, siedząc pod kłódką w Lubomli, tego się nie potrzeba obawiać w Brzeżanach. I ja tak myślę, że chociaż sobie tam na mnie jeszcze wciąż zęby ostrzą konfederaci, chociaż mnie naród podeptał, król mnie odtrącił, a nareszcie i wszyscy mnie odstąpili, — to mnie drwić sobie z tego na końcu, bo Sieniawski zawsze Sieniawskim, a kiedy siedzi na swoim zamku, ani mu włos z głowy nie spadnie.

Tych kilka słów otrzeźwiło trochę Jerzego, jakoż rzekł na to:

— Co téż jegomości nie przychodzi do głowy! Poniósłeś klękę ogromną i daj to Boże! ażeby rany w niéj odebrane nie jątrzyły się aż do grobu, ale żeby z tego powodu śnić o Kromwellu Anglii...

— No, to ja téż o tém i nie śnię, tylko mi to tak mimowoli się nasunęło,—przerwał mu hetman, a potém mówił daléj ze smutkiem: — Ale i z tego możesz widzieć, mój Jerzy, do czego ja to na starość przyszedłem. I możesz widzieć naocznie, wiele to warte przy ostatecznym rachunku te bogactwa, te ziemie i wszystkie inne marności, które ja tobie oddaję. Weźmiesz, ubierzesz się w nie, pobłyszczysz trochę, pohałasujesz tędy owędy, gdzieś jaką bitwę wygrasz, trochę Szwedów nabijesz, albo Turków, albo Tatarów i może zresztą przy szczęściu doczekasz się jakiego małego tryumfu; lecz w końcu końców wszystko to minie, zwiędnie i zniknie jak cień. A kiedy starość ci barki przygarbi, krew ci zakrzeknie w żyłach, zdrewnieją członki, a przed oczyma taki sam grób, się otworzy, jaki czeka na twego giermka, który nigdy nic nie miał i nic nie zrobił: to dopiéro natenczas przekonasz się o tém jaką marnością były te wszystkie dobra, z których ani jednego strzępka nie zabierzesz z sobą, i jaką-to lichą okruchę dał ci kiedyś Sieniawski.

Przez ten czas Jerzy patrzył na Sieniawskiego z uwagą, ale jeszcze daleko uważniéj myślał niż patrzył. Jakoż po chwili, przechadzając się w zamyśleniu po wązkiéj a długiéj altanie, rzekł na to:

— A! panie hetmanie, nie takie to marne są rzeczy, które jegomość masz do oddania! Nie jest to wcale tak drobna okrucha, jak się jegomości wydaje. Tysiące włości, tysiące ludzi, całe piwnice naładowane złotem, całe gmachy wyphane bronią, a do tego jeszcze to wszystko, co odziedziczyć musi zięć Sieniawskiego, to nie marność, to nie okruchy!

Tu stanął, rozpromienił się cały, a patrząc wprost na hetmana, tak daléj mówił:

— To nie jest nic, które się kończy na niczém. To jest ogrom, to cały świat! Gdybym ja miał to wszystko, słuchaj jegomość, gdybym ja miał to wszystko w mych ręku, ja wiem cobym z tém zrobił. Umarłychbym nie wskrzesił, alebym chorych uzdrowił, konającychbym wrócił do życia i dałbym im siły i zdrowie olbrzyma! W zatęchłéj i wilgotnéj ciemnicy zapaliłbym światło takie jak słońce. I kiedybym starcem zgarbionym wracał na spoczynek do Brzeżan, tobym się pewnie Panu Bogu nie skarżył, że nie mam syna i wszystko ze mną umiéra. A kiedybym prochy moje oddawał ziemi, a duchem moim odchodził precz, tobym nie płakał na to, że nic nie zabiéram ze sobą, bobym wziął z sobą najpiękniejszą treść tego wszystkiego, cobym tutaj zostawił! — Je-

gomość nie mów mi tego, że to co masz w twoich ręku, to nic: to ogrom, to cały świat!

Jerzy mówił bardzo pomału, głosem jędrnym i niezmiernie dobitnym, ale pomimo to ważne te słowa nie sprawiły na Sieniawskim tego wrażenia, jakie sprawić były powinny. Albo zwątpił już tak dalece o wszystkiém, że w możność takich czynów nie wierzył, albo już był tak zakrzepłym na umyśle i sercu, że mówiącego prost nie rozumiał. Jakoż widział on teraz podobno tylko jego wzburzenie gwałtowne, na które wprawdzie patrzył z zajęciem, ale jeszcze z daleko większem zajęciem patrzył na Zofią, która właśnie przed chwilą nadeszła i stanęła we drzwiach altany. Jerzy Zofii nie widział, bo stał na środku i był obrócony twarzą do Sieniawskiego, teraz zaś, wyrzuciwszy ze siebie najskrytsze myśli i najgorętsze żądze swojego serca, przytknął dłoń do gorącego czoła, jak gdyby go tam gdzieś pod czaszką ognie paliły piekielne, które chciał dłonią ugasić. Tymczasem hetman, wymieniwszy kilka niezrozumiałych spojrzeń ze Zosią, rzekł spokojnie do niego:

— No, to kiedy tak jest, mój Jerzy, to o cóż chodzi? Jeżeli czujesz w sobie tak wiele siły, iż jesteś pewnym, że przy tych środkach jakie ci wniesie dziedziczka fortun i imienia Sieniawskich, wielkich rzeczy dokażesz, to jeszcze o tyle lepiéj dla wszystkich. Podajmy sobie ręce na zawsze i zakończmy tę sprawę. Panno Zofio! prosimy bliżéj!

Usłyszawszy to imię, Ożarowski zwrócił się nagle, a obaczywszy Zofią na własne oczy, stanął jak skamieniały. Patrzył na nią szeroko rozwartemi oczyma, lecz patrzył tak, jakby obaczył upiora. Zosia zaś, obaczywszy twarz Jerzego jakby we krwi skąpaną, włosy wzburzone, oczy zbłąkane i całą postać tak skołataną, jak drzewina śród burzy, jeszcze daleko więcéj się go przestraszyła i zawołała, składając ręce:

— Przez Pana Boga żywego, co panu? Pan, zawsze tak spokojny jak posąg, dziś w takiém straszném wzburzeniu! Pan musisz cierpiéć nieznośnie. Cóż to jest? mów pan. Ojcze! co to takiego?

— To nic, — rzekł na to Jerzy, — niech pani będzie spokojną. To mała rzecz, nie warto mówić..... Ale kiedy pani chcesz wiedzieć koniecznie.....

Tu ujął Zosię za rękę i daléj głosem niby napozór spokojnym, ale dziwnie dobitnym i przenikliwym, tak mówił:

— To słuchaj pani. Wieża maryacka... Pani wiész, jaką jest wieża maryacka? Otóż wieża maryacka zwaliła się na mnie, siedzi na moich barkach i żąda odemnie, abym ją zmienił na Wawel. Ja czuję w sobie dość siły, mam odwagę po temu i wiem, żebym tego dokazał. Ale jakiś głos straszny, przeraźliwy, świszczący, zwołuje ludzi i woła za mną: To zdrajca! on kościół kradnie! On nie zaniesie téj wieży na Wawel, on ją zachowa dla siebie, ażeby nią swoję zbrodnię zasłonił! A na ten głos zbiegają się ludzi mi-

liony, pędzą przy moich nogach, szarpią mnie do krwi i wszyscy krzyczą: To zdrajca! on kościół kradnie! on się przed nami zasłania! — Cóż pani sądzisz? czy pośród takich okrzyków będę ja w stanie odnieść tę wieżę na Wawel? i nie upuścić jéj w drodze? i nie zagrzebać się pod jéj gruzami?

Umilkł na chwilę, poczém zerwał się prędko i rzekł:

— A teraz puśćcie mnie! puśćcie mnie choćby tylko do jutra! Jutro dzień także, i pozajutro, i wciąż!

— Idź pan! idź pan! — odpowiedziała Zosia z wyrazem wielkiéj boleści,—ja już wiem wszystko!..... Idź pan do swoich apartamentów i nie pokazuj się dzisiaj nikomu. Pan Bóg niech będzie z panem — i zdrowy rozum — do jutra!

— Pan Bóg i zdrowy rozum, — powtórzył Jerzy, — tak pani.

Poczém ścisnął Zosię za rękę i bryzgnął tak nagle z altany, jak gdyby się ziemia pod nim zapadła.

Po jego zniknieniu Zofia się zbliżyła do ojca, usiadła przy nim, ale milczała, oczy spuściwszy ku ziemi i drżąc jak listek na drzewie.

— Cóż to było takiego? — zapytał hetman, który się tylko ciekawie przypatrywał Jerzemu, — rozmawialiście się ze sobą jakimś wcale niezrozumiałym językiem. Coś o wieży maryackiéj, coś o Wawelu; cóż to było takiego? jakieś zagadki, czy hieroglify?

— O! to nie hieroglify, mój ojcze! — odpowiedziała Zosia ze smutkiem, — ja to wszystko rozumiem. Nieszczęśliwy ten człowiek wystąpił z bronią przeciw konfederacyi i nazwano go zdrajcą natenczas. Otóż dziś to słowo straszliwe bezustannie szumi mu w uszach, trapi go, trawi i pali, nie dając spokoju we dnie, męcząc nielitościwie po nocach. Jemu się zdaje, że to słowo straszliwe stało się głosem narodu, a ztąd wyrobiło się w nim przekonanie, że nie potrafi go inaczéj zagłuszyć, tylko dowodząc otwartemi czynami, że był i jest przyjacielem téj sprawy, przeciwko któréj pozornie wystąpił, a głos ów był tylko lekkomyślném oszczerstwem. Dziwną i niepojętą zaprawdę jest drażliwość jego sumienia, ja ją znam dawno,—ale dzisiaj dopiéro widzę, jak daleko ona jest wstanie go zaprowadzić.

— A! jeżeli téż Ożarowski jest nieprzyjacielem narodu,— odpowiedział Sieniawski, — to już nie wiem doprawdy, kto mu jest przyjacielem. A wszakżeż to człowiek, któryby sobie dał wszystkie żyły wypruć. Nie rozumiem téż wcale, jak można sobie jakąś tam plotkę wziąć tak bardzo do serca! — Ale bądźno mi o to, moje dziecko, spokojną. Do jutra inaczéj on się namyśli i uspokoi z pewnością. Taka fortuna Sieniawskich i taka Zosia są wstanie wszystkie głosy zagłuszyć, jakie są tylko na świecie.

Zosia zamyśliła się nad tém i zdawało się, jak gdyby nie zupełnie chciała temu wierzyć, ale wtém weszła hetmanowa w altanę. Weszła spokojnie i z zwykłą sobie powagą, lecz przypatrzyw-

szy jéj się uważnie, nie trudno było odgadnąć, że wewnątrz siebie nie miała w téj chwili tyle spokoju, ile go chciała okazać. Przeciwnie nawet, zanadto mocno była jéj twarz pomieszaną i nadto żywo błyszczały jéj oczy, ażeby się nie zdradziła, że nie sam tylko przypadek ją tu przyprowadził. — Jednakże wszedłszy, siadła spokojnie opodal, a zmierzywszy przenikającym wzrokiem męża i córkę, zapytała na pozór chłodno:

— Cóż tu państwo robicie? czy się co stało? widzę was w roztargnieniu i prawiebym powiedziała, w jakiémś serdeczném wzruszeniu.

Na to Sieniawski spojrzał z pod oka na żonę, uśmiéchnął się gorzko-lodowatym lecz przytém i tryumfującym uśmiéchem i rzekł:

— A! rzeczywiście tak jest. Jesteśmy do głębi serca wzruszeni, albowiem w téj właśnie chwili spełniły się nasze najgorętsze życzenia. Pan Ożarowski, najznakomitszy młodzieniec, jakiego ma dzisiaj Polska, w dwudziestym trzecim roku życia generał, a lada chwila hetman polny koronny, deklarował się nam o rękę Zosi; no! i rzecz oczewista, żeśmy go otwartemi rękami przyjęli.

— Już! — zawołała na to hetmanowa, podnosząc się nagle, jakby ją co ukłuło z kanapy; ale w ten moment siadła napowrót i odpowiedziała spokojnie:

— Bardzo się cieszę z tego, chociaż się to stało bezemnie. Cieszę się i życzę z całego serca, ażeby rzecz rozpoczęta została doprowadzona do skutku; nie mogę jednak tego zataić iż się obawiam, że moje życzenie omyloném zostanie. Powiem nawet i więcéj: albowiem wiem to z pewnością, że to szaleństwo nie będzie mogło na żaden sposób, nie powiem być uwieńczoném koroną skutku, boby to była nieprawda, ale ubraném być w ową czapkę uszatą z dzwonkami, którą macie gotową dla niego. Wiem o tém pewnie i powiadam dlatego, ażebyście w téj komedyi nie zapędzili się tak daleko, zkąd powrót do rozumu i obowiązków byłby zanadto kosztownym.

— Fi! to nieżarty! — rzecze na to Sieniawski — zrazu obawa, potém już pewność, a nareszcie i groźba. — Obawy téj nie dzielimy, groźby się nie boimy, ale przecież byłoby nam przyjemnie wiedzieć, zkąd taka pewność? Bo żeś od tego momentu, w którym ci powiedziałem o moich względem Jerzego zamiarach, rozwinęła swą dyplomacyą ze wszystkiéj siły, że nie chcąc zrobić ofiary z twego kaprysu dla zapewnienia mi szczęścia na starość, wdałaś się w jakieś konszachty z Czartoryskiem, Opolem, Wiśniowcem i Bóg nie wié z kim jeszcze, — że kuryery latają, listki biegają, baby się burzą i noszą plotki po całéj Polsce,—o tém my wiemy. Ale to jeszcze wcale nie daje żadnéj pewności, że się w naszém postanowieniu złamiemy. A wszakżeż wszystko mamy w swych ręku: jest pan młody i panna młoda, jest nasza wola po temu,— a ksiądz niedaleko!

— Ksiądz niedaleko, to prawda,— odpowiedziała na to het-

manowa z ironią, — ale pan młody jeszcze niéma kuntusza w którymby mógł iść z Sieniawską do ślubu. Sieniawski, hetman wielki koronny i kasztelan krakowski, lubo mu przyszedł szalony kaprys do głowy, przecież tego nie zniesie, ażeby jego córka jedyna przed ołtarzem uklękła z stolnikowiczem krakowskim, a generałem jego własnéj milicyi. Jeszcześ ty twojéj buławy wielkiéj w ręce Rzewuskiego nie złożył, jeszcze Rzewuski swéj małéj twemu zięciowi nie oddał, a jeszcze nawet kwestya to wielka, czyli król na te facyendy zezwoli. A nadto wszystko jeszcze być może i kwestya o to, czyli przy rządach dzisiejszych konfederackich i ty i Rzewuski będziecie mieli na co facyendować ze sobą? — Zanim się tedy jakiś kontusz do ślubu dla pana młodego uszyje, jeszcze ty się rozmyślisz, a już ja sobie tę łaskę u Pana Boga uproszę, że do rozumu powrócisz. Do tego czasu bowiem dowiész się o tém, co to po całéj Polsce o tém szaleństwie gadają. Przekonasz się także, że ani cię naród podeptał tak bardzo, jak ci się w twojém usposobieniu kapryśném wydaje, ani cię król odepchnął od siebie, ani cię nawet przyjaciele rzucili. Więc kiedy obaczysz nareszcie, że narodowi ani się śni teraz o tobie, że król o tobie pamięta jeszcze daleko lepiéj niż kiedykolwiek, a przyjaciele tak samo cię poważają jak zawsze, — kiedy się po dawnemu poczujesz w sobie i staniesz znowu na własnych nogach, — to wtedy prędko ci te śledzienne fantazye wylecą z głowy i sam się sobie nie będziesz mógł dosyć wydziwić, jakeś mógł upaść tak nizko, ażeby swoją córkę jedyną użyć na miejsce plastru na urojone swe rany i dla téj córki szukać zięcia po kordegardach milicyi! — Bawisz się, mój hetmanie, Ożarowskim tak samo, jak się bawisz czasem twemi karłami. Większą miałeś zgryzotę, większego wybrałeś karła. Ale pamiętaj o tém, że taki karzeł na psie nie odjedzie, kiedy cię wreszcie unudzi. Pamiętaj zresztą i o tém, że Ożarowski jest ze wszech miar zacnym i szlachetnym młodzieńcem, że jest człowiekiem który ma serce i czucie, że jest nareszcie szlachcicem, czującym żywo obrazę, jak wszyscy,—a z takim człowiekiem tak lekkomyślna zabawka nietylko jest grzechem śmiertelnym w obec Boga i ludzi, ale jeszcze na końcu — może cię drogo kosztować!

To rzekłszy z wielką powagą i pogroziwszy palcem mężowi, wyszła hetmanowa z altany.

Po jéj odejściu hetman jak gdyby ze snu się zbudził i rzekł do córki:

— Bardzo rozumną masz matkę, Zosieńko, szkoda tylko, że jest kobiétą. Kobiéty nie mogą nigdy żyć bez nadziei, a jeśli nie mają jéj na czém oprzéć, to jakieś sztuczne tworzą dla niéj oparcie. Ztąd téż ich rozum zawsze taki zawodny i z samego rozumu tyle niedorzeczności.....

Poczém umilkł i siedział prawie bez myśli. Ale tymczasem Zosia coś bardzo pilnie przewracała w swéj główce, a wpatrzywszy się swemi dużemi oczami w jeden punkt nieruchomie, zdawała

się tonąć w jakichś wnioskach albo marzeniach. Obaczywszy ją tak zamyśloną, zapytał hetman:

— Cóż ty tak myślisz, kochanie?

— Prawdziwe to jest nieszczęście, — odpowiedziała Zosia wciąż w zamyśleniu, — że ojciec nie zrobił go generałem zaraz zpoczątku. Potém na zjeździe warszawskim można mu było wyrobić z łatwością czy obozieństwo czy miecznikowstwo, czy jakibądź urząd koronny — i teraz byłoby wszystko już dobrze. A tak.....

— Ale nie frasuj-no się o to, dziecino, — rzekł na to hetman, — ja dla siebie już nic nie wyrobię, ale dla Ożarowskiego, któremu ojca zabili Sasi, a który potém tyle ran poniósł w walce z konfederacyą, co mi się przyśni, to zrobię.

— To prawda! prawda! — zawołała Zosia z radością, — jemu król nic nie może odmówić, a zwłaszcza..... A! ale co się tam teraz z nim dzieje! On wyleciał ztąd jak szalony. Niech ojciec poszle kogo do niego!

To mówiąc, wzięła ojca pod rękę i wyprowadziła z ogrodu.

XXII.

Był to późny już wieczór. Na zamku brzeżańskim już wszystko światło pogasło,—starożytne, zczerniałe murzyska zaległa cisza grobowa, pokrzepiający sen objął wszystkich w swoje żelazne ramiona, — i nawet straże, porozstawiane po krużgankach i murach, powtarzając coraz to ciszéj wywoływane hasła, powsuwały się w ciasne swoich strażnic schronienia i umilkły nareszcie. — Przebiegła północ, przelatując powietrzem i niosąc w jednéj ręce zagaszoną pochodnię, a w drugiéj róg obfitości napełniony zaczarowanemi kwiatami, zbiéranemi w oryencie, trąciła połą swéj czarnéj szaty o szczyty dachów zamkowych, poruszyła zégary, zbudziła duchy — i poleciała daléj na zachód. Dotknięty usypiającym jéj szat powiewem, cały zamek w jeden głaz się zamienił, nieruchoma go na wskróś przyjęła martwota i stał się jako owe niedostępne nikomu królów egipskich grobowce, które z całym błyszczącym dawnego życia zasobem, od niedotkniętych pamięcią wieków spoczywają w objęciach śmierci.

Ale czy wszyscy śpią takim snem nieruchomym w tym chwilowym grobowcu? Tyleż to szczęścia mieszka w tych murach, tyle spokoju w sercach, taka pewność dnia jutrzejszego w sumieniach, że ani jedna dusza, budzona trwogą o przyszłość, nie czuwa nad nią i w nocy?... Oh! przecież nie! Posnęli ci, którzy nie umieją dnia stworzyć dla ducha, kiedy się skończył dla ciała, posnęli drudzy, co uznawszy siebie za małoletnich, zdali troskę o swoje losy na swoich ojców przybranych, pogasili nareszcie światła i tamci, którzy ufni w swoje bogactwa i wyniosłe godności, w nich pragnęli miéć tarczę przeciw złym losom, ale ja wiem komnatę, w któréj światło

jeszsze nie zgasło, a sen, zgromiony pracującą myślą człowieka, opuścił swoje skrzydła tęczowe, uciekł i schował się w oddalonych ciemnościach. I musiał uciec, — albowiem między temi ścianami duch ludzki, przygnieciony zagadką życia, zacieka się w jéj głębiny, szamoce się, walczy, kipi i pryska, ażeby się przebić pomiędzy prądy, zatoki i skały i na spokojne wypłynąć morze.

Tam serce ludzkie, darte żądzami wielkości, zasługi, sławy, a zaklęte miłością i wspomnieniami młodości, kuszone blaskiem wiekopomnego posągu w szczęściu, a trwożone ohydą wzgardy w upadku, drze się na dwoje i pęka, nie wiedząc samo na którą ma się przechylić stronę. Ten tułacz ziemski, który dopiéro co wzmógł się na siłach i opatrzony w potrzebne do dalekiéj podróży skarby, wyruszył w drogę, zbłąkał się w puszczy straszliwéj i nagle obaczył przed sobą dwie drogi, jednę wymurowaną széroko, wiodącą w górę wyniosłą, na któréj wyobraźnia maluje wspaniałe mury i miasta, kąpiące się w jasnych promieniach słońca — a drugą wązką i nizką, kręcącą się skromnie po zielonéj murawie, lecz w żywych oczach otoczoną najpiękniejszemi krzewami i kwieciem. Obaczywszy te drogi, stanął — a w jego sercu straszliwa obudziła się walka. Chciałby i tamtą pójść drogą i dobyć owe miasta wspaniałe — i téjby nie chciał porzucić, na któréj widzi tyle spokoju, zieloności i woni. Tak rozdarty na dwoje, nie wié co począć, — tu go rwie serce, tam rozum,— tu tęsknota i miłość, tam żądza nieśmiertelnych zdobyczy, — a tu tymczasem za nim ciemna noc pędzi na stokonnym rydwanie, zwierz żarłoczny poryka, burza się zrywa łamiąc gałęzie, druzgocąc drzewa i całe pnie wyrywając z korzeniem, pioruny biją, ognie się wznoszą i żrący płomień już go prawie dosięga. Jeszcze jedna chwileczka — a srogi żywioł, koniecznością niesiony, już go dosięgnie i porwie ze sobą bez jego woli i poniesie kto wié którędy — a wszędzie jak rzecz nieruchomą, bez żadnéj za to zasługi i bez nadziei nagrody!..... I gdzieżto jest ta komnata, w któréj tak późną nocą, śród takiéj ciszy dokoła, tak dziwne dzieją się rzeczy? — Jest to komnata Jerzego. Wysoka, wielka, wysklepiona u góry i ciemna jako izba klasztorna. A i w dzień musi tu bywać pochmurno, bo tylko dwa wązkie gotyckie okna patrzą przez kraty żelazne na kościół i główną bramę zamkową. Pomiędzy oknami stoi klęcznik obszérny szérokim okryty kobiercem, nad nim na ścianie wisi obraz Matki Najświętszéj, a przed obrazem, w kagańcu z drutu, płonie lampka oliwna. Słaba ta lampka, tylko widoczny symbol wiecznie płonącéj miłością dla téj niebieskiéj patronki, skąpe rozrzuca światła po obszérnéj komnacie, tylko jéj środek jest oświécony cokolwiek, odległe kąty toną w pochmurnéj ciemności. Ale właśnie na środku stoi żołniérz, ostatni żołniérz czuwający na zamku.

Tak stał jeszcze przed chwilą, pięść zaciśnioną trzymał u czoła i patrzył nieruchomemi oczyma przed siebie. Jego twarz była czerwoną, krwi pełną, usta gorączką spieczone i do połowy otwarte,

włosy wzburzone, mundur na piersiach rozdarty, a cała postać ak silnie zebrana, ściśniona w sobie, że zdało się, jakoby tak drewniał w swojéj boleści i płonął ogniem powolnym, i miał się v węgiel zamienić, albo w popiół rozsypać powoli. Tak silny duch ego zestrzeliwszy wszystkie promienie swoje w jedno ognisko, ścisnął swoją mocą wszechwładną posłuszne ciało. Wszakże teraz się zatrząsł, uderzył silnie nogą w posadzkę i krzyknął:

— Precz! precz odemnie, szatanie! Za skarby całego świata, za nieśmiertelność na ziemi, nie będę dźwigał dłużéj téj strasznéj klątwy na sobie! Jestem zdrów jak zwierz dziki, silny jak olbrzym, dziś mogę ruszać, jutro się bić i zwyciężać! Precz! precz ty pokuso odemnie! — Po tych słowach odetchnął z głębokiéj piersi, zbliżył się ku ścianie i siadł w miękkie krzesło, złoconą obite skórą. Tak siedząc, nogę wyciągnął przed siebie, rozpłomienioną głowę oparł na dłoni i zdawał się wpadać w zamyślenie spokojne. Jakoż istotnie teraz więcéj pracował rozognioną głową, niżeli uspokojoném cokolwiek sercem, przyczém wszakże rozkołysana wyobraźnia dziwnie łudzące mu przynosiła obrazy.

— Oh! czémże jest człowiek na téj nieszczęsnéj ziemi! — mówił on głosem bolejącym do siebie, — czém jego duch nieśmiertelny w tém niemowlęcém spowiciu! Duch ten tak wielki, silny, wielmożny, jakżeż on gęstą sieć kajdan dźwiga tutaj na sobie! Jak każda chwila ważniejsza z przyszłości cięży na nim nieznośnie! Jakiś marny szał wzburzonego serca za młodu, jedno ściśnięcie ręki w zapale, jedna garsteczka złota nieopatrznie przyjęta, jedna krwi kropla niepotrzebnie wylana, jedno słowo przebrzmiałe w powietrzu, — wszystko to zmienia się w kule żelazne, które na ciężkich łańcuchach się na nim wieszają, ciągną go, szarpią, przypinają do ziemi i z orła mogącego polecieć w słońce, czynią go płazem, muszącym wić się przez całe życie na ziemi. W tak ciężkiéj zależności od krwi twego ciała, od ust łaknących żywności i trwożonego każdém wspomnieniem sumienia, w takiéj niewoli serca, rozbryzgującego się w miłości, wdzięczności, nienawiści i tysiącu innych uczuć drobniutkich, — duchu człowieczy! gdzież twoja wolność, wszechwładna siła i niezwalczona potęga?... Ty ją masz, — aleś ją oddał w zastaw na ziemskie życie. Tyś ją dał w zastaw— i stałeś się marném stworzeniem, pełzającém po ziemi i przeznaczoném tak pełzać aż do dnia wyjścia z niewoli. Napróżno też ty spoglądasz w górę, gdzie mieszka Wielkość, — możesz ją widzieć, ale dosięgnąć — nie możesz. Bo tyś jest prochem tak powiązanym z prochami ziemi, że rozbrat z niemi jest niepodobnym dla ciebie. Oh! aby być wielkim, — trza sobie wydrzeć serce z pod żeber: aby być wielkim, trzeba to serce wznieść tak wysoko, ażeby jego światłem i ciepłem całe kraje ogarnąć, ale ażeby go żaden śmiertelny własną nie dotknął ręką. A czy to można, jeżeli to serce już jest dotknięte? — Można!

Tu umilkł, oparł się plecyma o poręcz krzesła, milczał przez długą chwilę, a potém tak mówił daléj:

— Oh! gdybym to mógł, jakże wielkich dokazałbym rzeczy! Takie włości obszérne jak całe kraje, tyle w nich ludzi, tyle miast, zamków obronnych i złota, — to cały świat! Gdybym to wszystko miał w moich ręku, gdzież jest natenczas ten człowiek, któryby się śmiał oprzéć moim zamiarom? gdzie ta potęga, któréjbym nie przełamał? gdzie ta skalista zapora, któréjbym nie przekuł powoli? Tu mocą cudowną prawdy i poczciwego serca zapałem, tam siłą rozumu i złota, a kiedyindziéj tą cierpliwością, któréj wzór Ty nam dałeś, o Boże! — musiałbym wreszcie dobiedz do celu!—Z początku... miałbym do przewalczenia niemało przeszkód. Niedołęgąbym był, nie mężem, gdybym z takich cnót wielkich nie potrafił skutecznie korzystać. A uderzając za każdym krokiem w te dźwięczne struny i postępując pod ich stalowym puklerzem do celu, czyż mógłbym miéć kogo więcéj przeciwko sobie, oprócz jednego szatana? Bo szatan tylko mógłby spoglądać z zawiścią na to, gdybym szkółki zakładał, szkoły podnosił, akademie fundował i szérzył zamiłowanie nauk i pracy. Któżby mi się stawił oporem, jeżelibym miasta podnosił, rękodzieła wspomagał, kształcił rzemiosła i ruchliwemu handlowi, owemu głównemu tętnu pracą zaprzątnionego życia, nowe otwiérał kierunki? Któżby mi wreszcie sam nie przyszedł z pomocą, jeżelibym wiejskich kapłanów do skrzętnéj zachęcał pracy, prawników budził ku rozmyślaniu nad ich nauką. O! nie! takim zamiarom niktby się nie śmiał przeciwić, — taką poczciwą pracę musieliby wszyscy wspomagać! Gdzie dzisiaj dymne snują się chaty, a głód i nędza wespół z niewolą wspaniałą twarz wolnego człowieka jak płaz plugawy przycisnęła do ziemi, tamby pozasiadały wsie zaludnione, dostatnie, możne, człowiek swobodny jadłby swobodnie swój chléb codzienny, a pod zasłoną wojska i prawa będąc bezpiecznym owoców swojego trudu, orałby swoją skibę z pieśnią nadziei na ustach. Wygnane na wieki wieków owe pieśni rozdziérające serce, z ruin i zgliszczów wykwitłe! owe dumy żałobne i krwawe, które do dziś dnia jeszcze płaczą za dusze i jeńców tatarskich! zapomniane na zawsze wszystkie inne modlitwy oprócz dziękczynnych! bo tylko starzec bezzębny otoczony dziatwą pyzatą na przyźbie chowałby jeszcze wspomnienia przecierpianéj niedoli w bajkach swych! — Gdzie dzisiaj nędzne, ubogie miasta, jak gromady grzybów błotnistych, poprzysiadały do ziemi, domy się walą, a między ich dziurawemi ścianami niezaradne lenistwo kiśnie w kałuży zgłodniałego ubóstwa, tamby się białe wyciągnęły ulice, w parządnie zabudowanych domach niespracowane wciążby szemrały warsztaty, sklepy pełne towarów, wozy ładowne przed niemi, widać ruch, pracę, życie, a grosz przypływa strugami, do najciaśniejszych się dociskając izdebek.

Wieczorem dziatwa wraca ze szkoły i zamiast tarzać się w prochu ulicznym, albo z hałasem okrążać szlachty przyjezdnéj

landary, bieży z pośpiechem do domu, gdzie ich rodzina z gotową oczekuje wieczerzą, słuszną za przyszłość nagrodą. Siada do stołu także i syn najstarszy, już ksiądz, już żołnierz, albo na własną rękę rzeźnik — a mały żak szkolny patrzy na niego z podziwem i widzi w nim własną przyszłość przed sobą. — Gdzie dziś po dworach szlacheckich jegomość siedzi z biesiadnikami za stołem, wysusza kufle i dzbany, każe przygrywać kapeli i puszcza się w pląsy na dziwowisko gawiedzi, — gdzie potém z głową dymiącą dosiada konia, ażeby zajazd zrobić na brata, lub na sejmiku poburmistrzować do woli, albo nareszcie i szabli dobyć w obec przynajświętszego obrazu, zgoła gdzie dzisiaj w nieprzedartéj ciemnicy rycerska chrobrość zamieniła się z zaściankowe junactwo, wesołość życia w pijaństwo i biesiadnictwo, tamby nanowo zasiadła poważna skromność i owe wszystkie nieporównane cnoty, które tutaj już dawniéj mieszkały. Mruczałby może starzec na niepojęte przez siebie nowinki, a lecąc pamięcią w czasy swojéj burzliwéj młodości, gdérałby na myślącą powagę młodzieży; ale przecież nakoniec, ujrzawszy jednego syna wracającego z pięknym zasobem nauki z akademii rodzinnéj, drugiego sprawującego urząd ze sławą dla swojego imienia, trzeciego zajmującego piękny stopień wojskowy w armii, z daleko jeszcze piękniejszemi widokami na przyszłość,— przecieżby się uderzył w piersi i zawołał wesoło: Pan Bóg niech będzie pochwalony na wieki! Lepszych dożyliśmy czasów! — Tak znikają powoli wszystkie zabijające skutki ciemnoty — a na ich miejsce osiada praca, wytrwałość, dzielność, miłość dla prawdy i zgoła ład i porządek we wszystkiém. Przy wzrastających siłach mnożą się środki, garną zasoby, wzrasta zamożność, gromadzi narodowe bogactwo, coraz potężniéj się wzmaga i budzi coraz goretszy zapał dla lepszéj przyszłości we wszystkich warstwach narodu! Przejęte duchem wiary i dziejowéj mądrości, szérzy się światło coraz daléj i daléj, a ogarniając sobą wszystkie miejsca, wciska się w najciaśniejsze zakątki. Pod jego dobroczynnym promieniem gładzą i czyszczą się obyczaje, wzrastają cnoty, poprawiają się prawa, kształcą się rządu zasady, sprawiedliwość przenika sądy. Takim wiedzione duchem roją się wsie ludem pobożnym, pracowitym i skrzętnym, rozszérzają się daléj i całkiem nowe powstają osady, wzrastają miasta pełne rękodzieł i rzemiosł, twórczy przemysł otwiéra coraz to nowe źródła bogactwa a zespoliwszy się z czynnym i przedsiębiorczym handlem, tworzy nowe dla siebie gościńce, zaludnia rzéki statkami, buduje porty po morskich brzegach i puszcza się okrętami na morze. Precz! głupie serce! że tam kochanka!... że miecznik jakiś!... że ów oszczerca!..... A gdybym przez całą wieczność miał dźwigać taki grzéch na sumieniu! I gdybym potém..... Precz! precz odemnie! Ja muszę rękę przyłożyć do tego dzieła! Muszę,— tu się świat zrodził w méj piersi, — który mnie pali, — serce mi wzdyma, — mózg mi rozpiéra.....

Przy tych ostatnich słowach wpatrzył się w obraz wiszący na ścianie, wyciągnął ręce, podbiegł ku niemu i rzucił się przed nim na klęcznik...

I umilkł, drżąc tylko na całém ciele i chyląc się coraz niżéj ku ziemi.

Za chwilę potém lampka oliwna zagasła — a śród ciemności cisza zaległa komnatę...

Ale jemu się zdało, jakoby było jasno koło niego. I widział jawnie, że się znajduje w kościele, w którym po obu stronach przy ścianach stały szeregiem marmurowe grobowce Sieniawskich: grobowce czarne, czerwone i białe, a na ich wiekach wspaniałe, wzniosłe, czcią przejmujące posągi. Ten kościół zna on jak swoję własną komnatę; ale tak jeszcze go nigdy nie widział. Albowiem teraz noc była, a od rotundy sklepienia spuszczał się siedmio-ramienny kaganiec, który silnie czerwone rzucając światło, napełniał kościół jakąś atmosferą nieziemską. Wspaniałe to były blaski, ale groźne zarazem, — jasne to światło, ale gorące, odurzające, piekielne. I była cisza jeszcze w téj chwili, — ale czuć było w téj ciszy jakoby szmer jakiś podziemny, jakąś woń zagrobową, jakby poprzedzającą zbliżanie się duchów oddawna niemieszkających na ziemi. Jerzy to czuł i był pełen przerażającéj trwogi. Wiedział on o tém, iż przyszedł tutaj, ażeby uklęknąć przed ołtarzem ze Zosią — ale teraz dopiéro przeczuł, jacy to goście weselni mają być na téj uroczystości przytomni! Jakoż istotnie za małą chwilę silny wichr zawiał przez kościół, zadrżały marmurowe grobowce, a na środku kościoła zaczęli się jawić starożytni rycerze, starcy poważni w deliach, młodzieńcy w strojach hiszpańskich, francuzkich, włoskich, matrony w sztywnych robronach, niewiasty młode w aksamitnych kaftanach, długich sukniach jedwabnych i czubach. Widok tych twarzy na pozór żywych a przecież tak śmiertelnie wybladłych, tych oczu niby błyszczących, ale jakiemiś dziwnie strasznemi blaskami, tych całych postaci zresztą ruszających się, stąpających po ziemi, a przecież jakoby bez krwi i ciała, przejął go takiém drżeniem wewnętrznem, że się zachwiał na nogach, rękę do czoła przyłożył i sam nie wiedział, ma-li iść naprzód, albo we drzwi uderzyć i zniknąć. Już tam pomiędzy tymi weselnikami z za grobów stała cała rodzina Sieniawskich, już hetman sam kłaniał mu się z ich środka i ręką zapraszał ku sobie, już Zosia stała u jego boku wystrojona w kwiaty i kwefy weselne, już nawet ołtarz rozpłonął światłami, biskup stał przy ołtarzu i z chóru odezwały się w kilka tonów organy — a on jeszcze się wahał i chwiał się, patrząc przed siebie grozą napełnionemi oczyma. Nareszcie wstrząsł się, zrobił krok jeden i drugi, — lecz nagle stanął. Jakiś przedmiot uderzył go z boku tak silnie, że się musiał zatrzymać. Obrócił się ku téj stronie, przypatrzył się bliżéj — i dziwna rzecz, co tam obaczył. Ściana kościoła z téj strony całkowicie wypadła i było widać w tém miejscu ogromną przestrzeń, niknącą

w dali. Przestrzeń ta była zalana jakoby mgłą przedświtową, czuć było rzeźwe poranne powietrze, a w dali niebo się rumieniło, jakoby pochód jakiegoś wojska, jakby zalatujący zdaleka szczęk broni, parskanie koni, wianie sztandarów w powietrzu. Jerzy rozpatrzył się jeszcze lepiéj — i ujrzał najpiérw występujące dwie jaknajlepiéj sobie znajome postacie. Był-to rotmistrz Piotr Wiszowaty i jego nieodstępny przyjaciel, tak zwany Murza tatarski. Obadwa mieli burki kudłate na sobie, czapki konfederackie na głowach i szabliska u boku, — byli widocznie zmęczeni i uznojeni, jakoby po jakimś trudzie najcięższym, ale stali tak prosto i sztywnie, jakoby także dopiéro co zestąpili z grobów. Jednakże obaczywszy Jerzego oczy obrócone ku sobie, podnieśli razem swoje prawice, grożąc mu niemi po kilka razy w powietrzu. Widząc to, Jerzy zadrżał i osłupiał na chwilę, — ale wtém rotmistrz zaprzestał grozić, a wtomiast wskazał mu ręką we mgłę. Jerzy poszedł oczyma za jego ręką — i jeszcze daleko dziwniejszą rzecz tam obaczył. Albowiem już się te mgły poranne przerzedziły cokolwiek, a z nich wystąpił cały pułk Sodalisów, zbity w silny czworobok i ubrany tak, jakby był gotów do marszu. Nad błyszczącemi bagnetami szeregów powiéwał sztandar z obrazem Matki Najświętszéj — a przed frontem stał koń osiodłany, którego za cugle trzymał sam własną ręką Polewka. Widok ten, na którego ostatniém tle coraz jaśniéj rumieniło się niebo, obiecując za lada chwilę wschód słońca, tak pochwycił młodzieńca za serce, że już się rzucił ku niemu i zrobił jeden krok naprzód, — ale w ten moment znów się zatrzymał. Zdawało się, jakby go owe czerwone światło zawiało, odurzyło mu zmysły i zamieniło go w posąg kamienny. Jednakże właśnie w téj chwili Polewka z koniem ustąpił na bok, pułk Sodalisów rozpłuł się środkiem na dwie połowy i otworzył jakoby szpaler przejrzysty. Jerzy spojrzał w ten szpaler i obaczył tam dwie całkiem nowe postacie. Mąż jakiś dosyć sędziwy prowadził za rękę jakąś postać niewieścią i postępował wolnym krokiem ku niemu. Mąż ten miał kontusz i żupan na sobie jak wszyscy, ale twarz miał dziwnie zapadłą i wynędzniałą, a do tego ranę otwartą w piersi, z któréj krew się lała strumieniem, brocząc czerwonemi plamami jego poważne szaty. Niewiasta była ubrana w bieli i miała wieniec zielony na głowie: cyprys czy mirty? nie można było rozpoznać.

Była wszakże tak piękną i tak błyszczała w całéj pełni rozkwitłą, zachwycającą urodą, że mogła raczéj samę śmierć zbudzić i powrócić do życia, niżeli wnosić na ziemię chociażby tylko wspomnienie grobów. Tak, szli oboje wprost na Jerzego — a kiedy starzec wyciągnął rękę ku niemu, jakoby mu chciał podać szkaplerzyk, który w niéj trzymał, — mgły się już całkiem rozstąpiły nad nimi i słońce wzejszło na niebie, rozsypując całe bogactwo swych blasków po ziemi... Obaczywszy te dwie postacie w promieniach słońca, poznał je Jerzy natychmiast: był to jego ojciec

nieboszczyk i zapomniana przez niego Kostusia. Jakoż, jak gdyby jakaś nadziemska siła nim zawładnęła, rzucił się zaraz ku nim, pochwycił szkaplerz ojcowski i upadł w jego objęcia...

I rzucił się tak gwałtownie i silnie, że te wszystkie straszliwe widzenia zniknęły nagle zprzed jego oczu, jak gdyby się w ziemię zapadły — a on stał na środku komnaty, był tak samo ubrany jak wczoraj, tylko w swéj ręce, konwulsyjnie ściśniętéj, trzymał swój własny, zawsze na piersiach noszony szkaplerzyk. Rozejrzał się koło siebie, — była to jego własna komnata, dzień już był wielki, a jasne słońce grzało w obadwa okna tak skwarnie, jak gdyby już było gdzieś niedaleko południa. Jednakże nim się otrzeźwił zupełnie i mógł sobie przypomnieć, co się z nim działo przez całą noc, — ujrzał przed sobą swego wiernego Polewkę, który przed małą chwilką wbiegł do komnaty, zatrzymał się niedaleko odedrzwi i patrzył na niego dziwnie wystraszonemi oczyma.

— Czego ty chcesz, mój Polewka? — zapytał Jerzy.

— Panie generale! — rzekł tenże, — co panu? wmpan spałeś przez cały ranek pod obrazem Matki Najświętszéj, a teraz się zerwałeś tak nagle, jak gdyby cię żmija ujadła?

— Na ziemi spałem? — powtórzył Jerzy, przykładając rękę do czoła i zamyślając się nad tém.

— Ot! szkoda gęby! — odpowiedział Polewka, — jużci na ziemi. Ale to jeszcze nic. Bo ja tu siedziałem przez całą noc w antykamerze i patrzyłem na wmpana przez szklane drzwi. Słyszałem téż prawie każde słóweczko, coś jegomość rozmawiał ze sobą. Pan Bóg łaskaw na wmpana, że tego nikt inny nie słyszał, bo i kto wie, coby już o tém gadano. Aleć ja to rozumiem. Jakieś pokusy przyszły na wmpana — a z tém to i trudno się nie rozmówić. I rozmówić się z niemi, to mniejsza: aleć to zawsze potém zwykła przychodzi choroba. Jegomość chory jesteś, mój generale.

— Chory — powtórzył Jerzy, patrząc z uwagą na porucznika; ale w ten moment odszedł od niego i zaczął się przechodzić w zamyśleniu po izbie. Poczém wszakże znowu przystąpił do niego i mówił:

— Tak, rzeczywiście, ty masz słuszność, Polewko. Ja jestem chory istotnie. Ale czy wiész ty, jak się ta choroba nazywa? Ona nazywa się: młodość. Młodość krwi i fantazyi, serca żywego młodość, młodość gorącéj duszy, która wre, kipi i pryska i chciałaby lecieć na pola, ale się z więzów wyrwać nie może! Oh! ileż ja się nie namęczyłem z sobą, ażeby tę młodość burzliwą okiełznać..... ażeby spokój uzyskać.... spokój ów jasny, pogodny i niczém niezamącony, który się umie podnieść nad wszystkie burze, silną dłonią je ująć, do milczenia zniewolić i przejść przez nie nianaruszony, jak dobry okręt przez morze! Ale napróżno, mój kochany Polewko, napróżno! Młodość to jest straszna choroba! Nie umiéra się na nią, ale nim ona minie, jest się szkaradnym kaleką!

Polówka słuchał go z wielką uwagą, ale zarazem i z grozą. Przemowa ta jakąś dziwną mu się zdawała. Myślał już rozmaicie o Jerzym, lecz milczał.

Tymczasem Jerzy znowu przystąpił do niego i rzekł:

— Cóż tam jeszcze, Polówko?

— A cóżby? nic. Chyba to, że od wczoraj wieczora plotki chodzą po zamku.

— Jakież-to plotki?

— Powiadają że wmpan jesteś z jmć hetmanówną po słowie.

Na te słowa cofnął się Jerzy o krok od Polówki; ale rzekł zaraz surowo:

— Głupcy są, którzy to powiadają! Kto może coś wiedzieć o tém bezemnie?

— Mówią tak, — dodał odważnie Polówka, — że hetman chce żenić wmpana z swą córką...

— Że on mnie chce żenić! — zawołał Jerzy, — a cóż to ja jestem? fant, czy niewolnik, czy sługa?

— Ja téż także tak myślę — odpowiedział porucznik,—na co to wmpanu? Nie służy tu jegomości na zamku. A potém, na co to jegomości téj łaski? Łaska, to ciężar na całe życie. Kto ma dwadzieścia i parę lat i już jest generałem, jużci ten będzie sam kiedyś hetmanem, a wtedy prędzéj sam komu łaskę wyrządzi, niżeliby jéj miał potrzebować. — Wprawdzieć kto ma złota wiele, ten może i zasług miéć wiele; ale Bogiem a prawdą, to zawsze lepsza jest mniejsza zasługa a taka, która za sobą prowadzi złoto, niżeli większa a taka, która się wlecze za złotem...

— Bardzo rozumnie mówisz, mój stary, — rzekł na to Jerzy, patrząc w oczy Polówce, — ale teraz idź sobie, zostaw mnie w samotności i powiédz, aby tu nie wpuszczano nikogo.

— Jeszcze jest jedna nowina, — powiedział Polówka,—mamy gości na zamku.

— Gości? któż to przyjechał?

— Właśnie co zajechali przed chwilę jw. Denhoff z jw. Rzewuskim.

— Denhoff przyjechał! — zawołał Jerzy, odskakując na cały krok od Polówki.

— Jużci przyjechał — i z wielkim dworem. Siedem powozów ma z sobą, pięćset szabel saméj rajtaryi i całą sotnię kozaków. Otóż z jego przyjazdem rozeszła się zaraz po zamku wieść, jakoby pomiędzy wmpanami dopiéro teraz miała się począć wojna na piękne.

— Denhoff przyjechał! — zawołał Jerzy powtórnie, to nabiegając krwią cały, to bledniejąc z kolei. — Denhoff przyjechał! cha! cha! cha! mój Polówko! Jego szatan tu przyniósł w téj chwili. Szatan mi go oddaje do ręki, ażebym pomstę wziął nad nim za tę ranę piekielną, którą mi zadał przed laty! Ażebym pomstę wziął nad nim za siebie, za ojca mego. Cichoż mi teraz, Polówko!

Nic nie powiadaj nikomu, tylko otwórz oczy i patrz, bo czegoś jeszcze nigdy nie widział, to teraz obaczysz! Widziałeś, jak on tu przyjechał: patrzajże teraz, jak będzie odjeżdżał. Ale tymczasem cicho! Idź do żołniérzy i nakaż im, ażeby żadnych a żadnych plotek nie nosili po zamku! Z denhoffowskimi żadnéj a żadnéj relacyi! Czas niech będzie jak w grobie... a teraz idź i czuwaj nad nią przez dzień i noc.

Ale Poléwka mimo to jeszcze nie odszedł.

— I czegóż jeszcze? — zapytał Jerzy po chwili.

— Myślę tak sobie, — rzekł na to przebiegły wiarus, — że dziwnie-to miła jest rzecz dostać takiego szelmę pomiędzy palce, który nam niegdy doskwierczył ale...

— Ale co? — spytał Jerzy, patrząc na niego bez myśli.

— Ale na co to jegomości? Zemsta, niekatolickie to jest rzemiosło.

Przeszedł się Jerzy kilkakroć w zamyśleniu po izbie i rzekł:

— Niekatolickie, mówisz?

— Jużci niekatolickie. A zresztą nie wiem, ale ks. Andrzéj będzie o tém wiedział najlepiéj. Prosił mnie téż ks. Andrzéj, kiedym tu szedł, ażebym go zameldował panu generałowi. Czy iść po niego?

Poléwka wyszedł — a za małą chwileczkę wszedł ks. Andrzéj do komnaty Jerzego. Wszedł on z wielkim pośpiechem, — widać że już był uprzedzony o wszystkiém, — przystąpił wprost do Jerzego, ujął go za klapę munduru i popatrzył mu w oczy. Jak tylko Jerzy spotkał się z jego wzrokiem, tak pełnym miłości i niebieskiego prawie spokoju, chociaż dość ożywionym w téj chwili, zaraz mu twarz złagodniała, a nawet uśmiéch się na niéj pojawił.

— Ach! mój Jędrusiu! — rzekł on do swego przyjaciela, — jakże mi ciebie w téj chwili potrzeba!

— Ja to widzę, — rzekł na to kapłan, — że mnie tutaj potrzeba, jakoż mam w Bogu nadzieję, że ci się stanę usłużnym. Ale nim przystąpimy do rzeczy, pozwól mnie, panie Jerzy, abym cię o coś zapytał. Wiem o tém, że przez całą noc spałeś pod obrazem Matki Najświętszéj: ale kiedyś się zbudził, czyś odmówił modlitwy?

— Nie jeszcze, — odpowiedział mu Jerzy, ale odmówimy je teraz.

— To proszę ciebie, klęknijmy zaraz, bo bez tego niepodobna nam będzie rozmowa.

To rzekłszy, uklękli obadwa razem na obszérnym klęczniku i zaczęli odmawiać swoje zwyczajne do Matki Najświętszéj modlitwy.

XXIII.

Tymczasem, kiedy w komnacie Jerzego, w niezamąconéj ciszy, burzliwa młodość klęczała w pokorze przed Bogiem, — na całym zamku brzeżańskim panował ruch niezwyczajny. Denhoff z Rzewuskim zajechali tak hucznie i ludno, takim hałasem, rozgwarem i brzękiem napełnili mury zamkowe, że ta poważna, starożytna siedziba, która w ostatnich czasach prawie w klasztorną zapadła ciszę, obudziła się nowém życiem w najodleglejszych zakątkach. Cieszył się hetman, cieszyła się hetmanowa, cieszył się z nimi dwór cały, że przecież się ktoś zlitował nad nimi, ocucił ich z pleśniejącéj martwoty i choć na chwilę dawne, wesołe przywrócił czasy.

Jakoż istotnie hetman, który już myślał, że opuszczony i pogardzony przez swoich przyjaciół najbliższych, będzie musiał w pokutniczéj żałobie dokwasić resztek swojego życia, kiedy obaczył nagle tak świetnych i znamienitych gości na zamku, prawie się nie mógł posiąść z radości. Wybiegł sam przeciw nim aż na wschody, ściskał, całował i mówił im bez ogródki:

— Ale sam Cicero tegoby nie potrafił powiedzieć, ile wam wdzięczny jestem za tę braterską łaskę! Będę waszym dłużnikiem przez całe życie! Umiérać będę a niezapomnę, jakeście na mnie byli łaskawi w dniach mojéj niewoli.

Słysząc to, hetmanowa była uradowana jeszcze tém więcéj, a niemniéj także byli uradowani i goście, którzy téż nie oszczędzili uścisków wymowy i najserdeczniejszych oświadczeń, ażeby utrzymać hetmana w jaknajlepszym humorze.

Wszakże nie dosyć na tém, — przywieźli oni bowiem ze sobą

nowiny, które go miały jeszcze daleko więcéj ucieszyć. I tak najpiérwéj oddał mu Denhoff list własnoręczny od króla, list, który już hetman trzymał w swych ręku, a jeszcze mu nie mógł uwierzyć, bo czytał przecież na własne oczy, jak król się skarży przed nim na te nieszczęścia, które zatrzęsły spokojem kraju, przyprawiły go o stratę tylu walecznych ludzi i jego przyjaciołom najlepszym tyle przynosiły zgryzoty. Daléj boleje monarcha sercem najtkliwszém nad niewolą samego hetmana, nad krzywdą do nieba wołającą o pomstę, którą mu wyrządzono i wyraża przytém nadzieję, że takie zbrodnie przecież nie ujdą bezkarnie. W każdym zaś razie prosi hetmana o cierpliwość i rezygnacyą do czasu, daje mu pewną otuchę, że ta anarchia już długo potrwać nie może, jakoż go prosi nareszcie, aby się nie poddawał zgryzotom, utrzymywał przy siłach i był w pogotowiu do wkładania napowrót na swoje barki tych obowiązków, których wiedziony wiernością dla tronu i miłością narodu tak znakomicie dopełniał dotychczas. Tak go poleca Bogu i mieni się jego życzliwym nazawsze.

Kiedy Sieniawski ten list odczytał, założył ręce przed siebie spojrzał na Denhoffa z rozczuleniem głębokiém, a łzy mu strumieniem się potoczyły po twarzy. Widząc łzy męża, rozpłakała się także i hetmanowa, — i Denhoff także przytknął chusteczkę do oczu, — była to bowiem scena tak bardzo rozczulająca i tkliwa, że aż Rzewuski się od niéj odwrócił, podszedł ku oknu i zaczął bębnić palcami po szybach. Dostrzegła tego pani Sieniawska i była tém niepomału zgorszoną. Jakoż nie mogła tego przenieść na sobie, ażeby mu późniéj w żartobliwéj rozmowie nie wyrzuciła, dodając również żartobliwą uwagę, że jakkolwiekbądź, przecież w nim siedzi konfederat ukryty. Ale Rzewuski wziął to na seryo i rzekł:

— Moja mościa pani! Ja już tak wiele się napłakałem za tego króla nad nieszczęściami narodu, że ani jednéj łzy nie zostało mi w oczach dla jego listów.

Jednak otarłszy łzy, hetman jeszcze tém więcéj był wesół, a lubo nad niezgłębioną dobrocią króla z wielką się rozszérzał powagą, widać to było po nim, że tylko siłą się powstrzymuje od głośnych wybuchów radości. Tymczasem po owym liście oddanym, Denhoff zaczął składać Sieniawskiemu pokłony od wszystkich jego przyjaciół, a razem i stronników królewskich, zapewniając go o ich niezmiennéj dla niego przyjaźni i opowiadając széroko, jaką w tych kołach panowała żałoba podczas jego nieszczęścia, jak żywe się dla niego objawiało współczucie, ile to listów to z prośbą to z groźbą otrzymał natenczas ów niepoczciwy konfederacki marszałek, który do tego stopnia się rozzuchwalił, że się nie wahał rzucić na osobistą wolność piérwszego w kraju urzędnika i dygnitarza! Wszystkie te wiadomości dziwnie łechtały serce hetmana i dziwne téż na nim sprawiały po kolei wrażenie. Jednakże lubo raz wzdychał a drugi raz śmiał się, to łzy ociérał,

to znów brał w objęcia Denhoffa, w gruncie serca był rozradowany nad podziw i tak szczęśliwy, jak jeszcze nigdy w tém życiu. Przystąpiono nareszcie do postępów i działań konfederacyi — a lubo te nie były tego rodzaju, ażeby mogły stronników królewskich zbyt wielką napełnić radością, — jednak wymowny Denhoff umiał je tak Sieniawskiemu przedstawić, jakoby konfederacya już szybkim krokiem zbliżała się do końca, a koniec ten w żadnym razie nie mógł być innym, jak tylko zgodnym z wymaganiami partyi królewskiéj. Ta ostatnia wiadomość, do któréj jednakże hetman w téj chwili daleko mniéj przywiązywał znaczenia, niżeli się Denhoffowi zdawało, dopełniła nareszcie miary szczęścia dnia tego, który spadł na zamek brzeżański jak z nieba, odrazu wszystkie chmury rozpędził i napełnił go taką radością, jakiéj już od wielu miesięcy nikt się tu nie spodziéwał.

Téj radości tak się oddali wszyscy, że nieobecności dotychczas zawsze tak niezbędnego Jerzego nikt wcale nie czuł.

Jerzy wszedł na pokoje aż przed samym obiadem. Był on daleko bledszy w téj chwili niż kiedykolwiek, i widać było na nim jak gdyby jakieś zmartwienie, ale tych uczuć gwałtownych, tych żądz i pokus i namiętności, które dopiéro co wrzały w jego wzburzoném sercu, nie pozostało na nim ni śladu. Owszem przeciwnie, objawił się w nim taki spokój stateczny i tak uroczysta powaga, że wszedłszy w grono osób unoszących się wesołością i gwarem, pomimo woli jakby im milczenie nakazał. Pośród tego milczenia hetman najpiérwszy zerwał się z miejsca, pobiegł ku niemu, ujął go raźnie za rękę i rzekł:

— Patrzaj-no, mój Jurciu kochany, ile my tu mamy pociechy! Moi przyjaciele mnie nawiédzili, król jegomość przysyła mi list z kondolencyą a i konfederacya *ultimis spirat*, jak mówią nasi kochani goście!

Jakie wrażenie sprawiła na Jerzym ta osobliwsza radość hetmana, nie trudno zgadnąć, jednak na szczęście jego przystąpili zaraz do niego Denhoff z Rzewuskim, a tak nie potrzebował się o to kłopotać, coby miał Sieniawskiemu powiedzieć. Jakoż zajęty szumnemi komplimentami, któremi go obrzucił hetman polny litewski, i serdecznością otwartą, z którą go witał Rzewuski, w piérwszym momencie nie mógł objąć dokładnie téj wielkiéj zmiany, jaka z dzisiejszym porankiem zaszła w całém usposobieniu hetmana; zrozumiał ją wszakże niebawem jaknajzupełniéj, a wtedy nietrudném mu było wcale przybrać ten sposób zachowania się, jaki w dzisiejszych okolicznościach uznał za najwłaściwszy. Od téj téż chwili stał się na pozór swobodnym, dosyć rozmownym, a nawet ile możności wesołym, lecz co do wszystkich rzeczy ważniejszych tak wstrzemięźliwym, ażeby każdy mógł się wszystkiego o nim domyślać, ale wiedzieć na pewno nic zgoła. Natomiast zaś sam otoczył wszystkich tak pilnie śledzącym wzrokiem, ażeby żaden najmniéjszy szczegół, którego się można było dowiedzieć z roz-

mowy, nie uszedł jego uwagi. Takie zachowanie się Jerzego stało się oczéwiście dziwnie drażliwą zagadką dla całéj rodziny Sieniawskich, a skutkiem tego zniewoliło wszystkich jéj członków do obwinięcia się także w szatę tajemniczości; kiedy zaś duch ten, wiejący od głównych ołtarzy zamku, musiał się także i gościom udzielić, to i oni obadwa, jeszcze o tyle więcéj niż inni, musieli się cofnąć w wnątrz siebie i zachowywać się raczéj odpowiednio okolicznościom, niżeli swoim zamiarom. I tak się poczęła natenczas owa arcy ciekawa komedya na zamku, w któréj każdy pomimowoli stał się aktorem, każdy grał jakąś rolę, każdy z kolei był wszystkiém, ale nikt nigdy sam sobą.

I komedya ta trwała przez trzy dni. Umyślnie ją Jerzy utrzymywał w niezmiennym stanie tak długo, bo nimby jéj miał nadać jakiś zwrot nowy, potrzeba mu było zgłębić dwie tajemnice, bez czego nie mógł postąpić ani o jeden krok daléj. Mianowicie zaś chodziło mu o to, ażeby najpiérw rozpoznać niemylnie rzeczywisty, bezwzględny, ludzki stosunek Zosi do siebie, — a powtóre, ażeby się przekonać dowodnie o rzeczywistych zamiarach Denhoffa. Wszakże z upływem trzech dni niespełna tajemnice te już mu się wyjaśniły. — Ciekawe to było zachowanie się hetmanównéj. I tak piérwszego dnia, jak tylko Jerzy zjawił się na pokojach, była ona czegoś tak pomieszaną, tak siebie niepewną, tak nie miała odwagi ani Jerzemu, ani ojcowskim gościom śmiało popatrzéć w oczy, jak gdyby miała jaki śmiertelny grzéch na sumieniu. — Objaw ten, dostrzeżony na każdéj innéj dziewczynie w jéj położeniu, byłby sam Jerzy wziął za ów najpiękniejszy srom dziewiczego serca, które przyszedłszy do świadomego poczucia się w swojéj miłości, napełnia się jakąś niezrozumiałą dla siebie trwogą, lęka się wzroku ludzkiego i nawet w samotności drży samo nad sobą. Ale to była Zosia. U niéj ten objaw nie mógł być owym dziécięcym, lękliwym sromem, mającym źródło swe w czystéj i niczém jeszcze niezamąconéj krynicy serca, a mógł być tylko sromotnym wstydem, zrodzonym w głowie, obliczajacéj dokładnie różnice światowe pomiędzy ludźmi. Odwrócił się Jerzy natenczas od niéj, zaczął jéj zręcznie unikać, a kiedy nie mógł uniknąć, prowadził takie rozmowy, w których objawiał całą swą godność człowieka, a ile możności i wyższość nad owych ludzi, w których o tyle tylko widać człowieka, o ile na nich lśni złota, drogich kamieni i nie ze wszystkiém przez siebie zasłużonych zaszczytów.

Jednak téj gry subtelnéj nie zrozumiała Zofia, a widząc to tylko, co widziały jéj oczy, poczęła nawzajem Jerzego unikać, unikać jawnie, dumnie, a czasem nawet mniéj grzecznie, — dając zaś Denhoffowi coraz to szczérsze pole do grzeczności i nadskakiwań, przysiadując się samowolnie do niego i trawiąc z nim nieraz całe godziny w wesołéj i rozgłośnéj rozmowie, doprowadzała czasem

swą żądzę zemsty nad Jerzym do tego stopnia, że mu nie oszczędzała nawet przycinków i złośliwości.

Kiedy zaś Jerzy tym wymownym manifestacyom, które mu coraz jaśniéj odkrywały ten zagadkowy dotychczas dla niego charakter, nietylko nie kładł przeszkody, ale owszem, jeszcze im dopomagał, to dnia trzeciego wieczorem dopełniła się miara jego doświadczeń tak dobrze, że uspokoił z téj strony swoje sumienie jaknajzupełniéj.

Do tego czasu i zapomocą prawie tych samych środków, przekonał się także dowodnie o istotnych zamiarach Denhoffa, — przez zręczne i uważne rozmowy z nim i Rzewuskim dowiedział się mniéj więcéj, jak i ich skrzętne zabiegi biorą wedle ich rozumienia kierunek — a w końcu, przez cierpliwe i pilna badanie hetmana i hetmanowéj, nietrudno mu było zrobić sobie pewne wyobrażenie o tém, jakie w danych okolicznościach z tego wszystkiego mogą wyniknąć skutki. Mając to wszystko, zakończył wreszcie piérwszą połowę komedyi i postanowił sobie nazajutrz przejść wstępnym bojem do drugiéj.

Tymczasem, kiedy Ożarowski, mało co doświadczony na polu intryg, dzierżył tak silnie w swym ręku główną nić sprawy rodzinnéj, toczącéj się obecnie na zamku: hetman polny litewski, dworak piérwszego rzędu, niezrównany mistrz na tém polu, znajdował się w jaknajwiększym kłopocie. Denhoff przyjechał teraz istotnie za stanowczym zamiarem uderzenia o rękę Zosi. Myśl tego zamiaru powziął on jeszcze niegdyś na Jarosławskim zjeździe, a ponieważ tę myśl natenczas poddał mu mimochodem Rzewuski, jakotéż sobie upatrzył na swata. Z nim, jako swatem, był on już tutaj, jak wiemy, przeszłego roku; ale natenczas sprawa ta tak dalece im poszła niegładko, że Denhoff zachwiał się całkiem w swoich zamiarach i możeby był do nich już nigdy nie wrócił. Żal mu ich było serdecznie, przypominał je sobie często i może nawet nieraz o nich rozmyślał; ale już to dlatego, że się na samym wstępie wziął do nich tak nieszczęśliwie, już nareszcie dlatego, że potém nastały czasy zamiarom takim jak można najmniéj przychylne, odłożył je był całkiem na stronę i na teraz przynajmniéj znowu ich podejmować nie myślał. Ale tymczasem, parę tygodni temu, otrzymuje on wcale niespodziéwanie list od pani Sieniawskiéj, zapraszający go nietylko uprzejmie, ale nawet dość natarczywie do Brzeżan. Jaki był właściwy powód tego nagłego listu, czy hetmanowa chciała tylko temi odwiédzinami swego stetryczałego i na niemiłe dla niéj koncepty wpadającego męża rozerwać? czy widząc coraz wyraźniéj, do czego dąży przyjaźń hetmana dla Jerzego, chciała tym rzeczom zapomocą Denhoffa choć chwilową położyć przeszkodę? czy może nawet istotnie miała zamiar na złość mężowi forytować Denhoffa do Zofii? — rzeczy to nawet nam niewiadome: toż tém mniéj jeszcze mogły być wiadomemi dawnemu predentowi do ręki Zofii. Bądź co bądź wszakże,

odebrawszy list taki od hetmanowéj, w którym go ta pani bardzo gorąco zaprasza do Brzeżan, przyznaje się, że go zaprasza bez wiedzy męża i prosi otwarcie, ażeby przywiózł ze sobą jaknajliczniejszy zbiór wiadomości takich, któreby mogły hetmana z jego melancholii wyleczyć, obiecując mu za to wszelką możliwą wdzięczność ze swojéj strony. — Denhoff, jakkolwiekbądź list ten zrozumiał, nie mógł tego nie dojrzéć, że jest to najlepsza sposobność uchwycenia nanowo swoich zamiarów i doprowadzenia ich raźnie do skutku. W tym celu uzbroił on się we wszystko, co do tego było potrzebne, dojechał do Rzewuskiego i przybył z jaknajwiększym pośpiechem do Brzeżan. Jadąc tu i rozważając po drodze z Rzewuskim wszystkie okoliczności téj chwili towarzyszące, a z jego punktu widzenia w saméj istocie takie, że nie mogły być nigdy szczęśliwsze, był pewnym jak dwa a dwa cztéry, że tylko dni kilka zabawi na zamku i odbędą się zrękowiny.

Jakoż istotnie wjazd jego na zamek i piérwsze chwile na pokojach strawione nie zostawiły mu nic do życzenia. Hetman był jakby odrodzony przez niego, hetmanowa w złotym humorze, a Zofia jaknajżywiéj tém wszystkiém zajęta...

Ale jak tylko wszedł Ożarowski i godzinę pobawił, postać rzeczy się zupełnie zmieniła. Nie uszło to uwagi wprawnego oka Denhoffa — a ledwie druga godzina minęła, wiedział już niezawodnie, że w rodzinie Sieniawskich dzieją się jakieś rzeczy takie, o których jemu się dotąd nie śniło...

Grał dobrze swoję komedyą niewprawny Jerzy, ale grał ją jeszcze daleko lepiéj wprawniejszy od niego Denhoff — i jeśli Jerzy do dnia trzeciego dowiedział się rzeczy takich, które się końcem końców same ze siebie wydać musiały, to on nie potrzebował także więcéj niż trzech dni na to, ażeby odgadnąć rzecz taką, która była z powodu wstrzemięźliwości Jerzego jaknajstaranniéj ukrytą. Nie omyliły go nawet wcale przeciwnie świadczące pozory,—jakoż istotnie dnia trzeciego wieczorem wiedział on z wszelką pewnością, że między Jerzym a Zosią zachodzi jakiś bliższy stosunek i to stosunek taki, któren nie jest tajemnicą w rodzinie. Więcéj samemi tylko oczyma dowiedzieć się nie mógł, — ale mimo to wcale nie tracił nadziei, że używszy stosownych środków, dowie się niebawem wszystkiego. Jakoż zaraz dnia tego samego udzielił Rzewuskiemu swoich podejrzeń, a wyłożywszy mu wszystkie wiążące się z niemi domysły, rzekł wreszcie:

— Ja z mojéj strony zrobiłem wszystko co mogłem—a teraz koléj na wmpana dowiedzieć się reszty.

Rzewuski, mąż więcéj rozumny niż sprytny, nie robił sobie nadziei, że potrafi w tém swemu przyjacielowi usłużyć tak, jakby to może potrafił kto inny, rzekł tedy na to:

— Jużci ja może się czegoś dowiem; ale trzeba koniecznie, ażebyś waść miał cierpliwość, boć to tak prędko stać się nie może.

Denhoff cierpliwość przyrzekł, — ale mimo to nie mógł jéj sobie nakazać. Jakoż z jego powodu ten wieczór ostatni minął w takiém naprężeniu wszechstronném, tak się nudzili wszyscy i tak nie umieli tych nudów ani rozpędzić, ani nawet utaić, że się porozchodzili na spoczynek tak wcześnie, jak się to jeszcze nigdy nie zdarzyło na zamku...

Wszakże zato nazajutrz ożywili się wszyscy w dwójnasób. Rzecz się poczęła w pomieszkaniu Denhoffa. Była to jeszcze dość wczesna przedpołudniowa godzina, hetman polny litewski jeszcze nie wyszedł był z swoich apartamentów, jeszcze nawet i tualety w zupełności nie skończył, kiedy wszedł do niego Rzewuski.

— Cóż tam? cóż tam? — zawołał do niego Denhoff, wrzucając prędko suknię aksamitną na siebie. Jegomość tak rano u mnie, to pewnie już z jakąś nowiną.

— A jużci z nowiną, — odpowiedział Rzewuski, zabiérając miejsce na skórzanéj kanapie, — bom się téż zchodził już dzisiaj niemało. No, ale przynajmniéj nie próżno. Byłem u hetmanowéj na jednéj czarce winnéj polówki, a u starościnéj Żydaczowskiéj na drugiéj, ot! i wylazło to wszystko, jak szydło z worka.

— Cóż tedy? — pytał hetman litewski, stojąc nad wojewodą podlaskim i patrząc mu w oczy z niecierpliwością.

— A cóżby! Każ waszmość zaprzęgać i jedźmy, bo się to wszystko na nic nie zdało.

— Już nawet zaprzęgać? cóż tedy jest?

— Jest rzecz krótka, lecz węzłowata. — Właśnie na jeden dzień przedtém, nimeśmy tu przyjechali, Ożarowski deklarował się hetmanowi i został od niego przyjęty.

— Już? — zawołał na to Denhoff, odskakując o dwa kroki od niego, — i to jest pewna?

— Jaknajpewniejsza,—odpowiedział spokojnie Rzewuski.

Denhoff spojrzał raz jeszcze na niego i zaczął się w zamyśleniu przechadzać po izbie.

— Patrzajże waść, — mówił po chwili Rzewuski, — co się to porobiło. Ani ja, ani waść, ani nikt w całéj Polsce nie mógł się tego spodziéwać...

A na to Denhoff:

— Po Ożarowskim można się było tego spodziéwać, bo jest człowiek młody, niewiele jeszcze ma do stracenia, a całą przyszłość przed sobą. Nic téż on tutaj nie ważył, bo co za wstyd dla takiego młodzika dostać odkosza od jedynaczki Sieniawskiéj! Ale ażeby hetman...

— Otóż widzisz waść, — przerwał mu wojewoda,—że właśnie rzecz ma się przeciwnie, a przynajmniéj tak powiadają. Nie miał odwagi do téj deklaracyi, a może nawet nie myślał o niéj jmć Ożarowski, ale go sam hetman ciągle do tego ośmielał, co się działo w obec całego dworu i o czém téż można się łatwo dowiedzieć u dworu...

— Ale gdzietam nie miał odwagi! — zawołał Denhoff, — wiedział on dobrze, co robi. Wiedział on, czemu się dał porąbać przed nizkim zamkiem. Jeżeli zaś doprowadził do tego hetmana, że go sam w deklaracyi uprzedził, to tylko dowodzi jeszcze tém większéj zręczności jego do intryg, i przyznam się, że zaczynam miéć respekt dla niego. No, a cóż Zosia?

— Zosia była téj deklaracyi przytomną.

— Przytomną była! — zawołał Denhoff, dziwna rzecz, co to jest za stworzenie! — A cóż hetmanowa? przecież przynajmniéj ona....

— Hetmanowa, — rzekł wojewoda, — powiedziała mi bardzo niewiele. Ona oczéwiście rozumie, że co się stało, jest tajemnicą, a przynajmniéj w tajemnicy musi pozostać przed nami. Ale rzecz oczéwista, że Ożarowskiego nie lubi...

— No, to jest rzecz oczéwista, ale i ważna niemało. Powiédz że mi jegomość, czy deklaracya ta urzędowa doszła już także do hetmanowéj, czy nie?

— O ile mnie mogła w tém starościna oświécić, to zdaje się, że jeszcze nie, a jeśli doszła, to hetmanowa albo się wprost temu oparła, albo nateraz od odpowiedzi się wykręciła. Wszystkie domysły są za tém, że ta rzecz stała się *in camera caritatis* pomiędzy hetmanem, Ożarowskim i Zofią, i dopiéro nazajutrz miała się wytoczyć przed hetmanową, ale tymczasem myśmy przyjechali i przeszkodzili. No, ale cóż to pomoże! Panna jest za nim, ojciec dał słowo, czy potrafi temu przeszkodzić matka? Czyż to waść nie znasz uporu hetmana?

— Ej! cóż tam upór! — zawołał Denhoff, mają upór i inni! a upór innych może trwać dłużéj niż jego. Jakoż możnaby tu jeszcze nie tracić nadziei, ale cóż! Na nieszczęście sprawa jest z Ożarowskim!

— Czy z tym, czy z owym, — powiedział na to Rzewuski, — ja nie widzę wcale, jakby tu można miéć jeszcze jaką nadzieję. A wszakżeż po daném słowie wszystko jest w jego ręku. Gdyby tak nie było, to możnaby ofiarować coś za odstępne; ale tak, któż odstąpi dukata za złoty?

— To prawda: ale jeżeli się okaże, że dukat jest jeszcze za ręką, a złoty może być zaraz na ręku?

— Hm! — rzekł na to Rzewuski, — niéma co mówić. Ale nie zdaje mi się, ażeby Ożarowski...

— Otóż to jest najgorsza, że to właśnie z nim sprawa! Bo trzeba jegomości wiedzieć, że mnie z nim wiążą jeszcze i dawne stosunki...

Tu przysiadł się Denhoff do Rzewuskiego i opowiedział mu swoje piérwsze spotkanie z Jerzym w Bobrownickiego zameczku. I opowiedział mu wszystko ze szczegółami, tak jak się istotnie zdarzyło.

— Jakby przeczuciem jakiém wiedziony, — kończył Denhoff

swoje opowiadanie, — naprawiłem to potém i naprawiłem rzetelnie. Posyłałem mu na ręce Bobrownickiego piéniądze przez cały czas jego pobytu we Francyi. Powinnoby to przecież było zatrzéć żal jego do mnie zupełnie. Ale cóż! trzeba nieszczęścia, że on o tém podobno nie wie do dziś dnia. Patrzajże tedy jegomość, co to jest za zdarzenie fatalne. Człowiek, któremu dobrodziejstwo zrobiłem największe, któryby mi powinien być wdzięcznym przez całe życie, nietylko staje dziś jako współzawodnik przeciwko mnie, ale jeszcze do tego, gdyby się nawet okoliczności na moję korzyść zmieniły, będzie mi szkodził w dwójnasób, i jako rywal, i jako wróg osobisty. Dziwna jest zaprawdę ta ręka, która kieruje losami ludzi!

A na to Rzewuski:

— Zapewne, zdarzenie to dosyć jest dziwne. Ale ja rozumiem to inaczéj. Ja widzę tu Boską rękę tak dobrze, jak wszędzie, jak nareszcie we wszystkiém, co się tu dzieje na ziemi. Waść dokuczyłeś boleśnie Ożarowskiemu, mając go za nic; otóż on teraz waści ma za nic i oddaje wet za wet. Sprawiedliwość to Boska, nic więcéj. A jeżeli tam waszmość kiedyś dopomogłeś jemu jakiemiś piéniędzmi, toż to piéniądze nie główna rzecz na tym świecie. Panu Bogu niech będzie chwała, nie okupi się u nas jeszcze nikt złotem, jeżeli kogo obrazi!

W tym sensie mówił Rzewuski daléj, biorąc prawie widocznie stronę Ożarowskiego i dając do zrozumienia swemu przyjacielowi, że o ile się zdaje, jest to sprawa, w któréj głównemi czynnikami są czyste, rzetelne, a nawet dosyć gorące uczucia serca, sprawa poprostu miłości, — a w taką sprawę mieszać się, psuć ją i niszczyć dla własnych korzyści, jest rzeczą nieprzyzwoitą dla zacnego człowieka a nawet i niesumienną.

Ale nie słuchał tych uwag Denhoff i przechadzając się po komnacie, był wciąż zajęty swemi własnemi myślami. Jakoż po dłuższym cokolwiek namyśle przystąpił do wojewody i rezultat swych myśli tak mu wyłożył:

— Nie! tak być nie może! Ja nie odstąpię od mego zamiaru i nie dam się tak łatwo odsądzić przez jakiegoś młokosa, na wstyd i pośmiewisko całego świata! Jakoż nie widzę wcale, dlaczegobym już teraz miał odstępować. Słuchaj jegomość, rzeczy te, jak mi się zdaje, tak stoją obecnie. Hetman znudzony swojemi fatalnemi losami, przygarbiony przedwczesną starością a w końcu opuszczony przez wszystkich, wpadł w błędne koło myśli tak czarnych, że niemi sobie nietylko całą swą przyszłość, ale i teraźniejszość zasłonił. W tém położeniu miał w Ożarowskim jedynego człowieka, w którym znachodził podporę, ulgę, pociechę, rozrywkę i wszystko, do czego w swéj melancholii mógł miéć jeszcze pretensyą. Jednakowo z hetmanem był usposobiony dom cały, i nie mogło to być inaczéj, bo przecież jegomość wiész o tém, że Sieniawski był zawsze sułtanem w swym domu. Ożarowski umiał

z tego stanu rzeczy w rodzinie korzystać i doprowadził hetmana wreszcie do tego, że mu swoją osobą cały świat zakrył. Z hetmanową nie udała mu się ta sztuka, — a co do Zofii, to tę młodą dziewczynę, zamkniętą w takiém duszném więzieniu i z obcych mężczyzn ograniczoną tylko na niego, jemu, mającemu za sobą młodość, piękną światową ogładę i tak bezwzględną miłość ojca za sobą, nietrudno było wcale pozyskać dla siebie o tyle, ażeby był pewnym, że kiedy ojciec jéj swoję wolę objawi, ona mu się sprzeciwiać nie będzie. Tyle zrobiwszy, a nie mógł najniezawodniéj zrobić nic więcéj, przystąpił do deklaracyi i tę od ojca pozyskał. Zapewne, jest to już wiele, ale jeszcze nie wszystko. Bo gdyby on nawet zkąd inąd żadnéj już nie doświadczył przeszkody, to zawsze jeszcze w saméj hetmanowéj, która się na to wszystko zapatruje zdrowemi oczyma, znalazłby taką walną zaporę, że kto wie, ażaliby ją zwalczyć potrafił tak prędko. A cóż dopiéro powiedzieć o tém, kiedy już i zkądinąd nawinęła się dosyć walna przeszkoda? A tą przeszkodą my mu jesteśmy, — nie jako współzawodnicy do panny, o czém jeszcze nie było mowy, lecz jako ci, którzy otrzęśli hetmana z jego melancholii, powrócili mu jego dawnych przyjaciół, zapewnili o trwałéj łasce królewskiéj i zgoła zamknięty dotychczas przed nim świat cały na ścieżaj mu otworzyli. Przez nas hetman się zbudził, poczuł się znowu Sieniawskim i ręczę za to, że już sam widzi, jaką niedorzeczność popełnił, jeżeli się daném Ożarowskiemu słowem spętał ze swoim adjutantem tak blizko. Tak jest i inaczéj nie może być. Z tego tedy położenia my znów będziemy korzystać — a to w sposób następujący. Jak jegomość sam powiedziałeś, my każemy sobie zaprzęgać. Hetman, który przy nas nowém odetchnął życiem, który pragnie tém życiem oczéwiście żyć daléj a do którego to życia tylko ja jeden mam klucz w moich ręku, nie zechce nas puścić. My się będziemy upiérać, on tego uporu nie będzie mógł pojąć, a może nawet się go przestraszy i będzie jeszcze tém więcéj nalegał, — a wtedy jegomość weźmiesz go sobie na stronę i powiész mu: że ja miałem zamiar konkurowania o Zofią, lecz widząc, jakie tymczasem zaszły okoliczności na zamku... nie chcę nikomu stać na przeszkodzie i usuwam się jaknajprędzéj na stronę. Przyjdzie ztąd oczéwiście do dokładniejszych tłumaczeń — a wtedy jegomość mu powiész otwarcie o zasłyszanéj przez nas deklaracyi Ożarowskiego. Co na to odpowie hetman, będziemy widzieć. Ale ja jestem pewny, że się wyprze Ożarowskiego, jak Piotr Pana Jezusa. Czy to uczyni rzetelnie, czy tylko wrzekomo, tego ja nie wiem, ale wiem pewnie, że się go wyprze przed jegomością. Nie może on się przyznać do tego i tém przyznaniem mnie odprawić ze zamku, bo przecież wie, że ja mam jego cały los w ręku i kiedy zechcę, to go mogę wszystkiego pozbawić. A jak tylko Ożarowskiego się wyprze, a przeto nas zatrzyma na zamku, to o resztę już mniejsza. Ożarowskiemu się zamknie, a nam otworzy pole do

działań, na którém przy pomocy hetmanowéj, Lubomirskich, a wreszcie choćby samego króla, jakoś się to pomału przerobi. Cóż waszmość na to, mój wojewodo?

Ale Rzewuski na to tak odpowiedział:

— Jużci to trudno zaprzeczyć, że wziąwszy się do sztuk takich i tym podobnych, możnaby wreszcie Ożarowskiego wysadzić. Ale jeżeli waść myślisz brać się do tego, toś sobie we mnie ladajakiego wziął czeladnika. Bo to ja stary, od pacholęctwa tylko do bitych gościńców zwyczajny, a po manowcach nawet i chodzić nie umiem....! Nie miałbyś w tém zemnie żadnego pożytku i chyba jeno przeszkodę. Więc chcesz abym się deklarował, to dobrze, — i jeśli chcesz, abym się rodziców zapytał, czy waści o pannę konkurować pozwolą, to i to zrobię; ale już potém, czy tak odpowiedzą czy owak, ja tu waści zostawię, a sam z Panem Bogiem pojadę. Nie mojéj to trzeba głowy do takich praktyk subtelnych: raczéjbym jeszcze co popsuł, niżelibym miał naprawić!

Patrzył na niego Denhoff z dziwnie zmienionym wyrazem na twarzy, ale rzekł jeszcze dosyć spokojnie:

— Więc mnie jegomość opuszczaszi?

— A jakto? — rzecze na to Rzewuski, — do czegom się zobowiązał, tego téż dotrzymuję. Ależ znów trudno, ażebym ja z memi siwemi włosami.....

— Ale jegomość mnie w błocie zostawiasz! — przerwał mu Denhoff z niecierpliwością, — cała Polska wié o tém, po com tutaj przyjechał! Mamże odejść, jak pies odpędzony przez żaka, ze spuszczonym ogonem i nie zbliżywszy się nawet do kotła?

— No, to już waści zadeklaruję.

— Deklarować nie można.

— No to się spytam, jak tam sam chcesz.

— Ba, cóż mi z tego, jeżeli mnie potém odjedziesz? Cóż ja tu sam zrobię w obec Ożarowskiego, który jest panem na zamku, w obec takiego dworu, który bezwątpienia jemu przychylny może już dziś szydzić ze mnie, w obec tych ludzi wszystkich, z których w każdym znajduje sto przeszkód, a ani w jednym pomocy? Nie od dziś żyję na świecie, ażebym się samowolnie napędził na taką szklistą ślizgawkę. Mówiłem przecież już jegomości, że nietylko rywala mam w Ożarowskim, ale jeszcze i wroga, który żadnéj sposobności nie puści, ażeby się na mnie nie mścił i nie prześladował

— Ha!—rzecze ne to Rzewuski, — to ja już temu nie potrafię zaradzić.

— Dziękuję za otwartość przynajmniéj, — powiedział Denhoff.

Patrzył na niego Rzewuski z pod oka przez małą chwilę, a potém rzekł rzeczywiście otwarcie:

— No, ale czegóż to waść u djabła się tak przy tém upiérasz? Młokos-to jesteś, któremu zapaliło się serce i nie może go

żadną miarą ugasić? czyś tak podupadł już na fortunie, że się musisz aż wianem ratować? Mądrzéj-to rzecz jest nareszcie gwałcić swój los, chociażby z szkodą drugiego, a przeciwko wyrokom Boskim, czyż rozumiesz, że ci się takie szczęście na coś zdać może, któremu się widocznie sam Pan Bóg sprzeciwia? Mój panie Stanisławie, ja cię tu wcale już nie poznaję! Zawsześ był taki rozumny, żeś jeszcze drugim rad udzielał: a teraz... trzebaby cię, jak widzę, wziąć w kuratelę.

— Nie, tego nietrza,— rzekł sucho Denhoff,— rzecz już skończona i nie mamy o niéj co mówić. Zjemy obiad, a po obiedzie odjedziem. Odjedziem z kwitkiem, jak na ludzi rozumnych przystało. Odjedziem korni przed wyrokiem sprawiedliwości Boskiéj,— jak na zacnych przystało. Pozwolisz mi tylko jegomość, ażebym w piérwszéj kaplicy, którą znajdziemy na drodze, złożył podziękowanie Panu Bogu za łaskę, że mi dał taką piękną sposobność do pokuty za grzéch mój. Bo przecież to jest rzecz jawna, że jeślim kiedy Ożarowskiego choćby najkrwawiéj obraził, to jużem teraz odpokutował za to solennie. Już mi oddał wet za wet tak suto, że bodaj czy się teraz jeszcze mnie nie zadłużył!

To rzekłszy, siadł w swojém krześle i patrzył na wojewodę, który jednakże tak był z tego wszystkiego niekontent i tak zachmurzony, że nawet nie miał odwagi spojrzéć mu w oczy.

Tak siedzieli ci obadwa panowie w milczeniu, kiedy wtém wszedł marszałek Denhoffa i zapowiedział, że jw. generał przyszedł z wizytą i prosi uprzejmie o wstęp.

— Jaki generał?— zapytał Denhoff.

— Pan Ożarowski.

— Pan Ożarowski?—powtórzył Denhoff i oka mgnienie przemilczał, ale rzekł zaraz:— A! oczewiście! proszę bez kwestyi i bardzo nawet się cieszę, że mnie tak pilnie chowa w swojéj uprzejméj pamięci.....

Za małą chwilkę wszedł Ożarowski. Miał on w téj chwili na sobie mundur Sodalisów pułkowy, granatowy kolet z żółtemi wyłogami i połami na sposób francuzki poodwracanemi do góry. Do tego zwykły generalski kapelusz pod pachą, lecz zamiast szpady, szablę bojową u boku. Tak niby dosyć wojskowo, a nawet groźnie wyglądał. Mimo to jednak twarz jego, podczas choroby wyblichowana i już nanowo świéżym rumieńcem okryta, niosła na sobie uśmiéch dziwnie łagodny i słodki, a wąsik młody, wesoło pokręcony do góry, i włosy długie w naturalnych kędziorach w tył zarzucone nadawały jéj wyraz owéj lekkiéj, pogodnéj, rozpromienionéj swobody, którą tylko chmurka majowa, kwiatek wiosenny i sama miłość miéć może.

Nie zwrócił wszakże na to uwagi Denhoff, tylko widząc mundur i szablę, rzekł zaraz przy samym wstępie:

— Pan generał wchodzisz tak zbrojno, jak gdybyś wojnę przynosił do mnie...

— A czyżbym się na to poważył? — zapytał Ożarowski z uśmiéchem, — pięknyby koniec był wojny żołniérza z szeregu z hetmanem polnym!

Po tych słowach wszczęła się zwykła rozmowa, śród któréj Denhoff był zimno-grzecznym, ostrożnym, jakby chodził po węglach i nadzwyczajnie mało wymownym, a Ożarowski swobodnym, niezmiernie słodkim, a nawet i żartobliwym. Wojewoda siedział w oddali, słuchał téj rozmowy ciekawie, ale nie brał w niéj żadnego udziału. Po chwili pochylił się Jerzy ku Denhoffowi i rzekł:

— Ja przychodzę do pana hetmana w sprawie nadzwyczaj ważnéj i to jeszcze do tego wpana hetmana własnéj. Czy nie masz żadnéj przeszkody?

Odsunął się na to Denhoff trochę od niego i odpowiedział, z ironią wprawdzie, lecz nie bez trwogi wewnętrznéj:

— Oh! pan generał masz tyle czasu, że się możesz zajmować nawet cudzemi sprawami!....

— Zdarzyła mi się sposobność stać się panu hetmanowi pożytecznym i nie mogę sobie odmówić téj przyjemności, abym z niéj nie korzystał.

— Pan mnie pożytecznym? — zapytał Denhoff z uprzejmością udaną.

— Ja panu,—odpowiedział tak samo Jerzy,—jednak nie idzie za tém, ażebym przez to chciał koniecznie uzyskać prawo do wm. pana wdzięczności. Owszem, przeciwnie, chcę tylko panu z dawnego uiścić się długu.....

Spojrzał na niego Denhoff z uwagą i rzekł:

— Słucham pana.

— Przystępuję tedy do rzeczy, — rzekł Ożarowski, mówiąc zawsze powolnie, niby łagodnie, ale dosyć dobitnie. — Pan hetman przyjechałeś tutaj z zamiarem starania się o rękę panny Sieniawskiéj. Czy tak?

Rzucił się na to Denhoff, brwi zmarszczył i spojrzał groźnie na niego; ale on mówił daléj:

— Pan hetman nie chcesz mi odpowiadać; nie sądzisz mnie być godnym tak blizkich zwierzeń. Ale to nic. Ja pana uwalniam od odpowiedzi i idę daléj. Wmpan przyjechałeś tutaj z zamiarem starania się o hetmanównę i trafiłeś na walne dla siebie przeszkody. Tak jest w saméj istocie. Z powodu rozmaitych nieprzewidzianych kolei losu, zaszły w rodzinie Sieniawskich pewne ważne odmiany, po nich nastąpiły zdarzenia, a z tych wyniknęły nieporozumienia tak wielkie, że się z tego wszystkiego splątał węzeł tak zawiły, którego już niepodobna rozwiązać. Rozciąć go także nie można, bo jest zatwardy. A dopóki ten węzeł trwa w swojéj więzi, wmpan się starasz napróżno: możesz tylko czas stracić, ale celu osiągnąć nie możesz. Jakoż bardzo rozumnie to robisz, że zaczynasz tracić nadzieję i chcesz porzucić tę sprawę na teraz. Mógłbyś ją nawet porzucić na zawsze, bo w tym stanie rzeczy jest ona

zupełnie nieprzystępną dla pana... Ale tu w moich ręku jest kluczyk, który tę zagadkę otworzy, węzeł rozwiąże i zaprowadzi pana bez najmniejszéj trudności do celu. Jakoż przychodzę do pana ofiarować mu moje usługi.....

— Panie Ożarowski! — zawołał na to Denhoff, powstając z miejsca, — co to ma znaczyć... Czy pan jesteś takim wesołym, że po tém wszystkiem, co się już stało, chcesz jeszcze odegrać jakąś komedyą?... Ja muszę panu zrobić tę trzeźwą i konieczną uwagę, że są swawole, z których nawet i młodość usprawiedliwić nie może!

Uśmiéchnął się na to Jerzy i rzekł spokojnie:

— O! panie hetmanie! jakże pan jesteś nieufny! Ja wmpana zaręczam, że przychodzę z chęcią pomocy rzetelną. Powiadam to panu jasno i zrozumiale, — czy mi pan jeszcze nie wierzysz?

Denhoff stał w osłupieniu przez chwilę.

— Hm! — rzekł nareszcie, — czy mogę ja panu uwierzyć? jakież pan miéć możesz do tego powody, ażeby skarb, który już trzymasz w twych ręku, oddawać komuś drugiemu?

— Jakie powody? — rzekł Jerzy, — a czyż to wszędzie trzeba koniecznie powodów? czyż człowiek nie jest o tyle przynajmniéj wolnym, ażeby mógł zrobić coś bez powodu, dla dogodzenia sercu, albo dla fantazyi? Czyż to świat stoi na takich skarbach? Jam jest człowiek bogaty, mam skrabów wiele i jeden z nich daję panu, bo widzę żeś go zapragnął. Czyż to rzecz niepodobna?

— Nie, panie! — rzekł na to Denhoff, — to jest nieprawda! Złapałem pana. Pan pod powłoką słów swoich kryjesz myśli zupełnie inne. Pan nie przychodzisz mnie zbawiać. — Rozzuchwalony szczęściem, które pana spotkało, pan chcesz się mścić na mnie za jakąś tam dawną urazę, pan mi chcesz naigrawać; pan mnie chcesz wywieść na jakieś pole, gdziebyś mógł ze mną jakąś wielką wyprawić komedyą! Ale dość na tém! Rzuciłeś mi pan rękawicę, ja ją podnoszę — i odtąd pójdziemy z sobą o lepszą!

Na to wstał Ożarowski i mówił odtąd cokolwiek żywiéj:

— Ha! kiedy tak, to cóż robić! Muszę się przyznać panu z wszystkiego. Tak, panie! ja przychodzę się zemścić na panu. Nie mścić się, jak pan rozumiesz, jeno się zemścić raz nazawsze, raz i nic więcéj. Ale patrzaj pan, w jaki to sposób! pan mi wepchnąłeś nóż obosieczny pod żebra, pan serdeczną krwią moją obryzgałeś swe ręce, pan się zmazałeś krwią słabego sieroty, któremu ojca zamordowano i który się został sam, sam jak najnędzniejszy robak na świecie! Długom ja czekał nim chwila zemsty nadejdzie. Z trucizną w sercu, którą pan tam nalałeś, z nieugaszoną żądzą wylania jéj napowrót na pana, z grzechem nieodpuszczonym mi na wszystkich spowiedziach, czekałem tak całe lata. Przyszła nareszcie. I ja znajduję pana leżącego na ziemi, wijącego się w bolu pod ciosami niebezpieczeństwa, tarzającego się w kale kabały i smarzącego w głowie zamiary Bóg sam wie jakich plugawych intryg, — do-

syć mi nogę podnieść, ażeby pana rozetrzeć, dosyć mi zaśmiać się głośno, ażeby pana wystawić na pośmiewisko całego świata. Lecz cóż ja robię? Oto podnoszę pana ze ziemi, goję pańskie boleści, otrząsam z kału, ochraniam od dalszych brudów — i żenię pana z kochanką serca twojego i najpiérwszą dziewicą w całéj Rzeczypospolitéj. Takiéj zemsty przecie mi pan dozwolisz nad sobą — a sądzę wszakżeż, że i sam Pan Bóg mi jéj za grzéch nie poczyta!

Kiedy to mówił Jerzy, Denhoff stał w kącie komnaty jaknajdaléj od niego, patrzył na niego ze zdziwieniem, lecz milczał.

I była cisza przez oka mgnienie. Poczém wszakże znów zabrał głos Ożarowski i rzekł:

— I czegóż się pan namyślasz, panie hetmanie? A wszakżeż nic tu więcéj nietrzeba, jak tylko przyjąć ten rodzaj zemsty odemnie. Nic, tylko przyjąć, — więcéj nie potrzebujesz pan zrobić ani jednego kroku. Ja już wszystko sam zrobię, — pan będziesz patrzył, słuchał i milczał, a do wieczora będziesz już tylko sam jeden konkurentem o Zofią. Do wieczora może już nawet odbędą się zrękowiny...

Patrzył jeszcze na niego Denhoff przez chwilę, poczém się ujął ręką za czoło i rzekł, chodząc po izbie:

— Ja już sam nie wiem, co się tu dzieje... Albo to człowiek szalony, albo téż święty, który się zbłąkał na ziemię.

— Hm! — odpowiedział Jerzy z uśmiéchem, — pan hetman tak wiele miałeś już do czynienia z ludźmi, a tak mało znasz ludzi! No, ale to późna godzina. Za małą chwilę zaproszą nas na pokoje. Czy pan tedy przyjmiesz tę moję zemstę okrutną, czy ją nielitościwie odrzucasz?

Milczał Denhoff przez chwilę, a potém rzekł:

— Jeżeli pan zamiar swój rzeczywiście uważasz za zemstę, to się krwawo mścisz na mnie!...

— Och! jakże krwawa to zemsta! — przerwał mu Ożarowski, — mściciel zamienia się w sługę i staje się pańskim najuniżeńszym podnóżkiem. Czyż i to jeszcze panu się nie podoba?.. Ależ nie traćmy czasu napróżno. Może się panu istotnie taki zwrot rzeczy nie ze wszystkiém podoba, ależ tu niéma wyboru. Jestto jedyna droga, która może pana zaprowadzić do celu. Pan o tém wiész — i przecież jéj nie odrzucisz. Daj mi pan tedy rękę — i niechaj będzie zgoda pomiędzy nami.

To mówiąc, ujął go raźnie za rękę i dodał:

— Żegnam tedy pana hetmana — a do wieczora spodziéwam się, że pan innemi będziesz na mnie patrzył oczyma.

Z tém już odchodził; ale wtém Denhoff, jak gdyby ze snu się zbudził, dobiegł do niego do drzwi i rzekł mu jeszcze te słowa:

— Panie Ożarowski! pan odegrałeś tu ze mną jakąś komedyą, któréj ja, przyznaję się panu otwarcie, nic a nic nie rozumiem. Lecz nie przeszkadzam; graj pan ją daléj. Pamiętaj pan tylko na

to, com już pierwéj powiedział, że są swawole, z których nawet i młodość usprawiedliwić nie może!

— Pan hetman jesteś zawsze tak o mnie troskliwy! — rzekł na to Jerzy z uśmiéchem i zniknął prędko za drzwiami.

Kiedy Denhoff do komnaty powrócił i przechodząc się po niéj, dopiéro teraz zaczął rozmyślać nad tém, co się stało, — Rzewuski, który przez cały ten czas siedział na kanapie zgarbiony, podniósł głowę do góry, spojrzał zpod oka na niego i rzekł:

— Co to było takiego?

— A czy ja wiem? — odpowiedział z niechęcią Denhoff, — czas to dopiéro pokaże.

Na to zaś wojewoda, powstając z miejsca:

— Ale ja wiem, a nawet powiem. Już teraz pewnie nie odjedziemy ze wstydem, ale tak mi się zdaje, że zostaniemy ze wstydem.

— Mój wojewodo! — rzekł na to predko hetman litewski, — każdy z nas ma swój rozum i nim się tylko kieruje. Ja wiem co robię. Kiedym był młodym, postępowałem także tak samo jak Ożarowski; lecz zestarzawszy się, umiem dokładnie rozróżnić, co ma swą wartość realną a co urojoną. Pozwól mi tedy jegomość, ażebym postępował tak, jak rozumiem — a wszakżeż, jeżeli z tego wyniknie szkoda, to tylko mnie dotknie samego.

— To prawda, — odpowiedział mu na to Rzewuski, porywając za klamkę, — ale kiedy tak, dlaczegóż waszmość mnie obiérałeś za swata?

To rzekłszy, wyszedł natychmiast, zostawiając Denhoffa w samotności w komnacie. Po jego odejściu hetman litewski zrozumiał całe to położenie, w jakiém się w téj chwili znajdował. I jakoś dziwnie mu się wtedy zrobiło. Poraz piérwszy w swém życiu upadł on tak nizko, że wśród tak żywo agitującéj się kabały, w któréj sam niepoślednie zajmował miejsce, skazał się na bezczynność i stał się piłką, podrzucaną przez drugich. Poraz piérwszy w swém życiu naraził się na niebezpieczeństwo podwójnéj i niesłychanie sromotnéj przegranéj. A wszakżeż Ożarowski mógł go doprowadzić do tego, żeby jeszcze być musiał świadkiem jego własnych zaręczyn! — Wprawdzie jak z jednéj strony nie mógł tego na żaden sposób dopuścić, tak znowu z drugiéj zamiar otrzymania ręki hetmanównéj był w jego oczach tak wielkim, że nie wahał się wcale dla niego nawet na klęskę narazić. Jednakże zawsze klęska taka dosadna była tém, na co nie był przygotowany zupełnie. Jakoż wzburzony niespokojnością do najwyższego stopnia, wybiegł czémprędzéj z komnaty i poszedł na górne pokoje, aby w najgorszym razie mógł przynajmniéj przejrzéć zawczasu, czego się ma spodziéwać i coby można odwrócić...

Jednak natenczas Jerzy już toczył daléj rozpoczętą przez siebie kabałę. Do tego czasu właśnie wyrobił sobie posłuchanie u hetmanowéj i urządził to tak, że ją zastał samę w jéj gabinecie.

Idąc tu, mógł on jeszcze daleko mniéj wiedzieć, jak mu się jego zamiar powiedzie, niżeli wtedy, kiedy szedł do Denhoffa. O Denhoffie wiedział przynajmniéj to z wszelką pewnością, że miał zamiar starania się o hetmanównę, — a tu tylko się tego domyślał, że hetmanowa jest jemu samemu przeciwną. To było zaprawdę zanadto mało, — ale zawsze dość, aby hetmanową w tę kabałę uplątać. Mając zaś na początek tę pewność, nie frasował się już tak bardzo o resztę, zwłaszcza że wiedział już z doświadczenia, o ile może liczyć na swoję zręczność i znajomość tych ludzi, z któremi miał do czynienia. Tak wszedł swobodny i wesół do hetmanowéj i tylko się zlekka uśmiéchnął, kiedy ta pani spojrzała na niego ze skwaszoną miną, obejrzała go pierwéj dokładnie a potém dopiéro spytała:

— I cóż cię tu przyprowadza, mój Jerzy?

— Jw. pani, — odpowiedział on na to półgłosem, przybliżając się do niéj i zabiérając miejsce na najbliższém krzesełku, — ja jestem w jaknajwiększym kłopocie i jeżeli mi pani swéj dobroczynnéj nie podasz ręki, to sam, nie wiem doprawdy, jak się z tego wywinę.

— Cóż to takiego, mój Jerzy? — spytała znów hetmanowa, odsuwając się trochę od niego.

— Mniejsza tu o mnie, — mówił on daléj, — bo cóż tam ja! Ale to gorsza, że tu chodzi o pannę Zofią, o los jéj całego życia, ba nawet o los całéj rodziny Sieniawskich.

— Ja ciebie nie rozumiem, mój Jerzy.

— Zaraz się to wyjaśni, niech mnie tylko pani hetmanowa raczy wysłuchać cierpliwie. Będę mówił prędko i zwięźle, bo téż i niewiele mam czasu. Otóż najpiérwéj, pani wiész przecie, co się pomiędzy panem hetmanem, panną Zofią i mną, stało przed cztérema dniami w altanie?

— A wiem, niestety! — odpowiedziała pani Sieniawska, spuszczając oczy ku ziemi.

— Niestety! — powtórzył Jerzy, — tak jest, rzeczywiście niestety! Bo któż się mógł tego spodziéwać, ażeby pan hetman w swéj melancholii doszedł aż do tego stopnia zwątpienia i rezygnacyi! Winna tu temu trochę i panna Zofia, bo moje obowiązkowe grzeczności, jak się o tém na moje nieszczęście przekonałem zapóźno, brała za jakieś... sam nie wiem już za co. Ale tak było, niestety!

— Mój Jerzy, cóż to ma znaczyć? — zapytała go hetmanowa, patrząc mu w oczy z zdziwieniem, — coś mi mówisz takiego... Czy mnie się śni? czy tobie żarty jakieś się roją?

— Jakto żarty? — zapytał Jerzy, — przecież pani hetmanowa nie będziesz rozumiéć o mnie, ażebym ja stał się umyślnym do tego powodem. Przecież nie jestem z rozumu obrany, ażeby mi się przyśniło, wyciągać rękę po jedynaczkę Sieniawską!

— Jerzy! — zawołała hetmanowa, zrywając się z miejsca, —

prawdę ty mówisz!? Ty mnie przytomności pozbawiasz! Może to być... może to być... żebyś ty...

— Ale dlaczegóż pani temu się dziwisz? czyż to nie jest rzecz naturalna? Pani nawet mym własnym słowom nie wierzysz?

— Oh! ja ci wierzę, ja wierzę... Tak, ty nigdy nie mogłeś miéć myśli takich szalonych! Ty jesteś, ty zawsze byłeś takim rozumnym! Ale...

— Ale cóż, pani?

— Ale... ach! w głowie mi się mąci, doprawdy! Oh! ja tyle nad tém się nacierpiałam! tyle nocy strawiłam bezsennych! tyle, tyle doznałam zmartwienia!... Ale, ale cóż to ja miałam powiedzieć? Ah! ale proszę cię... ja temu wierzę, żeś ty nigdy nie miał téj myśli. Ja bardzo wierzę. Ale dziś, kiedy mój mąż, kiedy nawet i Zosia... cóż ciebie powoduje do tego, że ty takie dobrodziejstwo odrzucasz? Mój Jerzy! ty jakiś święty musisz być człowiek! albo.....

— Albo co, pani?

— Nic, ja już nic nie wiem!...

— No, to ja pani to powiem. Ja nie jestem tu niczém więcéj, tylko, jeżeli mi to powiedzieć wolno, rozsądnym. Widzi pani, ja sobie to tak obliczyłem, że lepiéj być dobrodziejem, niżeli tym, który dobrodziejstwa odbiéra...

— Oh! to prawda! to święta prawda, mój Jerzy! Ty jesteś najrozsądniejszym z ludzi! Ty jesteś moim dobrodziejem takim, jakiego nigdy nie znalazłam w tém życiu! Ja tobie tego nigdy nie zapomnę, ja tobie będę wdzięczną do śmierci. I obaczysz, jak ty na tém dobrze wyjdziesz na końcu, — jak ciebie Bóg błogosławić będzie, — jak ci się ten uczynek szlachetny wypłacać będzie przez całe życie!

— Mniejsza tu o mnie, — rzekł na to Jerzy z uśmiéchem, — już ja sobie przy Boskiéj pomocy dam jakoś radę ze sobą. Ale to niedość na tém; bo cóż my teraz poczniemy?

— Jakto, co my poczniemy? A wszakżeż tu tylko o to chodziło. Kiedy ty odstępujesz, to rzecz skończona...

— Ale nie pani. Jeszcze to nie skończona. Posłuchaj mnie pani. Powiédz mi pani, co ja mam zrobić? Zostać? — to moja rezygnacya pozostanie bez zkutku. Odjechać? — czy pani nie znasz uporu, z jakim się młode serce zawsze z przeciwnościami boryka?

— O! to prawda, to prawda, mój Jerzy! Tyś poznał Zosię dokładnie. Będziemy my z nią mieli jeszcze niemało kłopotu...

— I ja tak myślę. Dlatego téż jestem zdania, że jeśli chcemy temu złemu zaradzić, to mu zaradźmy gruntownie. Czy pani niemasz pod ręką jakiéj podobnéj rady?

— Jabym wiedziała, coby tu można zrobić. Jest tutaj Denhoff... Ale...

— Cóż pani o Denhoffie rozumiész?

— Ja pierwéj o nim rozumiałam inaczéj... ale dziś jest to najlepsza partya, jaka się może znaléźć na całą Polskę dla Zosi.

— A pan hetman?

— Mój mąż... i cóż ty chcesz dzisiaj od mego męża? Ale jak się wytrzeźwi, jestem przekonaną najmocniéj, że przyjmie otwartemi rękami Denhoffa. Gdyby miał rozum taki jak dawniéj, toby. nawet dziś jeszcze to zrobił, bo pomyśl tylko, w jakiém on dzisiaj jest położeniu—i pomyśl sobie, czy prócz jednego Danhoffa może mu kto inny wrócić to wszystko co stracił?

— Tak, pani. Tak to jest rzeczywiście. I teraz dopiéro możemy miéć tę rzecz za skończoną...

— Jakto, mój Jerzy? Czyż ty rozumiesz, że Zosia...

— Ja tak rozumiem. Ale powiadam pani, że tylko dziś da się to zrobić. Dziś, albo nigdy! Dlatego idź pani teraz jaknajprędzéj do Zosi, a ja będę się starał rozmówić ostatecznie z panem hetmanem.

— Ale poczekaj-no jeszcze, mój Jerzy. Czyż ty jesteś pewnym, że Zosia...

— Niech pani idzie do niéj, to się pani przekona..... Ja już wszystko przygotowałem; kilka słów jeszcze od pani dokona reszty.

— Oh! mój Jerzy! coś ty za człowiek! Idźże, idź prędko do mego męża — a ja biegnę do Zosi. Bóg ciebie błogosławić będzie przez całe życie!

Z temi słowami hetmanowa wybiegła czémprędzéj z komnaty, — a Jerzy, nie mogąc się powstrzymać od uśmiéchu nad skwapliwością, z jaką ci ludzie drą jego szaty i dzielą się niemi pomiędzy sobą, poszedł powolnym krokiem na pokoje, które już teraz były otwarte i przystępne dla wszystkich.

Tam téż już zastał zgromadzonych hetmana, Denhoffa i Rzewuskiego, a przy nich i tych i owych co przedniejszych dworzan hetmańskich. Komedya, rozpoczęta przez niego, grała się daléj,— ale już przeszła widocznie w nową fazę swego rozwoju. Niektórzy aktorowie pouchylali swych masek w połowie, inni już zrzucili dawne a wzięli nowe. I tak Rzewuski stał obrócony plecyma do Denhoffa i rozmawiając z Granowskim, Bekierskim i innymi oficerami o losach konfederacyi, chwalił otwarcie męztwo Branickiego, wytrwałe trudy Potockich, roztropność Ledóchowskiego i zgoła wszystkich naczelników téj sprawy. Denhoff siedział przy Sieniawskiem najgłębszą okazując mu rewerencyą; siedząc, zaledwie się rogu krzesła dotykał, a mówiąc, składał ręce, pochylał głowę a czasem nawet, zasłaniając się zręcznie chusteczką, w lewéj ręce trzymaną, prawą za kolana go ściskał. Sieniawski zaś, siedząc w wysokim krześle jakby na tronie, trzymał obydwie ręce założone na brzuchu, lecz przytém skłaniał się często ku Denhoffowi, uśmiéchał się dosyć łaskawie, a wodząc przymrużonemi oczyma po twarzach swych gości, zdawał się chciéć zwrócić uwagę wszystkich na siebie. Kiedy Jerzy wszedł do téj komnaty, Sieniawski

ani spojrzał na niego, — lecz co ważniejsza, zaledwie także spojrzeli na niego dworzanie. Już tam wiatr jakiś nowy i pomiędzy nich wionął, — Jerzy go dostrzegł i musiał się znowu uśmiéchnąć. Wszakże patrząc w gromady dworzan, dojrzał on rzeczy jeszcze daleko ważniejszéj. Oto dwóch Sasów stało pomiędzy nimi i jeszcze ktoś, jeszcze ktoś trzeci, — któż to? — oto najukochańszy generał Baudycz w swojéj własnéj osobie. Kruki poczuły żér nowy dla siebie i zaczęły się już zlatywać pomału. Zapewne niedaleko gdzieś około zamku krążyły ich już całe stada. Lećcie, krążcie, zlatujcie się, pomyślał Jerzy w milczeniu, — za małą chwilę znajdziecie tu czyste pole dla siebie. Lecz jeszcze chwilę. Dajcie mi skończyć moję robotę, zrzucić więzy do reszty, uderzyć w skrzydła i wznieść się swobodnie po nad te mury, których bodajbym nigdy nie widział na życiu.

Niebawem potém dano obiad. Przy obiedzie grała się jeszcze tém lepiéj i jeszcze daleko ciekawiéj rozpoczęta komedya. Wystąpiły już tutaj wszystkie osoby razem, przybyły nawet i nowe. Przybył jeszcze i chór starożytny, złożony z całego dworu hetmana i hetmanowéj. Główny węzeł kabały, toczącéj się w górnych warsztatach populacyi zamkowéj, nie był już niewiadomy nikomu, — czegóż-to nie odgadną dworacy! Ale jak stoją do siebie obadwa współzawodnicy, — na którą stronę przechyla się Zofia, — jakie są chęci rodziców, — było pozostawione domysłom. Ileż ztąd wróżb i obaw i niepewności! ile uśmiéchów niewczesnych, pochlebstw rzuconych napróżno, przymileń śmiésznych i niedorzecznych! Ile zdradzieckich zmian w sercach — a ile fałszów na ustach! A wszystko to Jerzy widział jaknajdokładniéj,—on tylko jeden pragnął zakończyć czémprędzéj. Ale obiad się ciągnął długo, aż do znudzenia. Hetman, który podobno najmniéj brał udziału w komedyi, był dzisiaj w złotym humorze, nalewał się hojnie małmazyą, niewolił gości i zgoła tak się zrósł z kielichem i krzesłem, jak gdyby wcale nie myślał kończyć tego obiadu, który był męką nieznośną dla jednych, ciekawą krotochwilą dla drugich, a dla Jerzego zwierciadłem, w którém niestety dziś po raz piérwszy obaczył serca tych ludzi w ich naturalnéj postaci, z którymi tyle lat strawił w takich blizkich stosunkach.

Skończył się wreszcie ten obiad, a biesiadnicy rozeszli się po komnatach. Jerzy już tylko pilnował hetmana, aby go mógł gdzieś pochwycić na osobności. Trudno to było z początku, bo jakby na złość w ciągłém był oblężeniu. Przecież nakoniec pozostał przy nim tylko sam Baudycz, który nie zważając nic na to, że hetman kiwając się na tę stronę i owę, już tylko jedném okiem patrzył na niego, prawił mu jakąś długą oracyą niemiecką. Biédnego Niemca, który przez cały przeciąg konfederacyi był jakby bębnem bitym i rano i wieczór, zapewne teraz znowu gdzieś potłuczono, prosił więc prawdopodobnie swego dawnego dobrodzieja o zapomogę i ztąd miał tak wielką cierpliwość, że lubo go hetman

nic a nic nie rozumiał i ciągle mu kazał rzecz rozpoczynać nanowo, on rozpoczynał i wciąż opowiadał. Tak się Jerzy domyślał, a może zwolna słuchał. Jakoż widząc to, najpiérw odszukał Denhoffa i dał mu znak potajemny, że mu chce coś powiedzieć. Ale wtém jakby się oba zmówili, bo Denhoff także go szukał w téj chwili. Jakoż on piérwszy chwycił go skwapliwie za rękę i rzekł mu:

— Kochany mój generale! przepraszam pana stokrotnie za moję ranną nieufność. Mówiłem z panią Sieniawską w téj chwili i wiem już o wszystkiém. Wiem nawet mniéj więcéj, jak pan postąpiłeś ze Zosią. Cha, cha, cha, pan jesteś mistrzem nieporównanym. Wszystko co mam, oddałbym za to, aby się panu wywdzięczyć; ależ mój panie Jerzy! śmiésznymbym tylko był w oczach pańskich z moją dla pana pomocą. Nam wszystkim, jak jesteśmy u steru państwa, terminować u pana.

— Wieleby się dało o tém powiedzieć,—przerwał mu Jerzy,— ale nie czas potemu. Trzeba to skończyć, bo jak pan widzisz, samo idzie pięknie ze siebie.

— Czy teraz kończyć? jakże to pan rozumiész? a wszakżeż to potrzebuje czasu.

— Cha, cha, cha! panie hetmanie! zbierz się pan lepiéj, bo cię nawet i do terminu nie przyjmę. Idźże pan prędko do Zosi i pal pan deklaracyą formalną, a to w ten moment i bez żadnego namysłu. Ja jednocześnie przy hetmanie zasiądę, a kiedy ja od niego odejdę, — uważaj pan, kiedy ja od niego odejdę, niech moje miejsce zajmie pan wojewoda i niech powtórzy hetmanowi to samo, co pan masz do powiedzenia Zosi. Co się potém dziać będzie, nie moja rzecz, potraficie już przecież skończyć bezemnie.

To rzekłszy, odstąpił prędko od Denhoffa i zbliżył się do Baudycza, siedzącego wciąż przy hetmanie, a schyliwszy się nad nim, rzekł głośno:

— Ej! męczysz téż generale pana hetmana bez najmniejszéj litości. A godzi to się?

Zbudził się na to hetman i westchnął:

— Och! co mnie męczy, to męczy! A żeby mnie zabił, tak ani mi się śni nawet, o co mu chodzi.

Wstał tedy Baudycz i westchnął sobie z kolei. Ale go Jerzy pocieszył, szepnął mu zaraz do ucha:

— Bądź-no generał spokojny. Sukursy będą, ja je sam panu wyrobię, tylko się trza z tém zatrzymać do jutra rana.

Tak się go pozbył w ten moment i sam zasiadł na jego miejscu. Chciał hetman zapewne zatrzymać dopiéro teraz na dobre, lecz widząc, że Jerzy siedzi i patrzy na niego, zapytał go:

— Cóż tam, mój Jerzy?

— Jegomość sobie drzémiesz w najlepsze, rzekł na to Jerzy półgłosem, nachylając się trochę ku niemu, — a tutaj ważne rzeczy się dzieją.

— Cóż tam takiego? — zapytał Sieniawski, otwiérając oczy nie bez pewnego przestrachu.

— Czy jegomość wiész, po co tu Denhoff przyjechał?

— Denhoff?... — powtórzył hetman,—Denhoff? No, przywiózł mi listy od króla.

— Ale prócz tego?

Odchrząknął na to Sieniawski, wyprostował się i rzekł pomału:

— Jużci ja niby się trochę domyślam. Ale.....

— Ale cóż?

— No, czyż to nie wiész? przecież ja nie śpię..... a mam zwyczaj pamiętać dobrze, com komu przyrzekł.

— Cóż to? cóż to? Ej! czy tylko jegomość nie myślisz jeszcze raz mego rozumu próbować! Ale nic z tego nie będzie. I nie radzę nawet wdawać się w takie próby. Przecież jegomość wiész dobrze, że ja znam się na żartach.....

— Na żartach? — zapytał hetman, — a czyby to żarty być miały, cośmy pomiędzy sobą postanowili w altanie?

— Ale daj-no jegomość pokój! i nie mówmy już o tém. Doczego to prowadzi? Ot! raczéj pomyśl jegomość nad tém, co masz uczynić, bo zdaje mi się, że lada chwila przyjdą tu z deklaracyą do pana.

Umilkł na to hetman i rzucając od czasu przenikliwemi oczyma na Jerzego, myślał przez chwilę. Poczém, potrząc przed siebie, odpowiedział spokojnie:

— Jużci w tym razie nie miałbym długo się nad czém namyślać. Jeżeliby Zosia nie była temu bardzo przeciwną, to ja nic wcale. Jeszcze to jeden jest człowiek, na którymbym się mógł oprzéć i któryby mnie dotrzymał! Ale dlaczegóż ty taki hardy, mój Jerzy?

Uśmiéchnął się na to Ożarowski i rzekł:

— Proszę jegomości, nie mówmy o tém. Jest to rzecz, która mi nawet nigdy nie postała w głowie. Zważ tylko pan hetman sam, coby to była za niedorzeczność?

— Seryo to mówisz? — zapytał trochę żywiéj i weseléj Sieniawski.

— Jak pana hetmana kocham. A co to? do czegoby to było podobne?

— Otóż teraz dopiéro widzę, mój Jerzy, — zawołał na to hetman, — że jesteś człowiekiem rozumnym i że nas kochasz, jak twoję własną rodzinę. Nie chodzi ci o fortunę i marne jakieś splendory, tylko o szczęście prawdziwe. A nie byłoby go w tym razie, jak Bóg żywy, ani dla nas, ani dla ciebie! Coby nas sama żona moja natruła, a co dopiéro inni! Może nawet i Zosia za czasem... No, ale cóż to będzie? co powié Zosia? Mój Jerzy, zmiłuj się, kiedyś już tak łaskaw... albo nie! ja sam się rozmówię z Zosią.

To mówiąc, wstał i chciał odejść, aby poszukać Zosię, — ale wtém Zosia sama się pojawiła u drzwi komnaty, idąc śpiesznym

krokiem ku ojcu. Była ona w téj chwili zarumianiona tak mocno, jak może nigdy, — co się w jéj sercu działo, nieodgadniona to jest zagadka, — ale na pozór była wesołą i tak swobodną, jak gdyby wszystko się działo podług jéj życzeń, a nawet niemałą jéj przynosiło pociechę. Jerzy się wpatrzył w nią pilnie i może piérwszy raz dzisiaj uczuł pewien niepokój.

— Mój ojcze! — zaczęła ona, przystępując do Sieniawskiego i nie zważając wcale na siedzącego w krześle Jerzego, — przychodzę do ojca z bardzo ważną nowiną.

— Cóż to jest, moje dziecko.

— Pan Denhoff mi się oświadczył.

— Pan Denhoff ci się oświadczył? no, więc cóż... cóżeś mu na to... — pytał ojciec z niespokojnością.

— Jam mu nic jeszcze nie odpowiedziała, bo chciałabym przecież...

— Cóż, moje dziecko? Tfe! jak tu gorąco!

— Chciałabym przecie słyszéć wolę rodziców.

— Rodziców? a! oczéwiście! no to dobrze... ale cóż mama? mówiłaś z mamą?

— Mama jest oczéwiście za tém.

— No, a ty? a ty? moje dziecko.

— Ja? — rzekła Zosia, rzucając śmiałemi oczyma na Jerzego, a potém je spuszczając ku ziemi,—ja nie pragnęłam nigdy niczego więcéj.

— A! no to i ja, naturalnie! — zawołał hetman i w ten moment rzeczywistém uczuciem wybuchnął, biorąc Zosię w objęcia i wołając ze łzami w oczach: — oh! moje dziecko kochane! ileż ty mi przynosisz pociechy!

Tak trwała malutka chwilka milczenia, śród któréj Zosia utuliła głowę na piersiach ojca. Wszakże w ten moment wyrwała się z tego objęcia i biorąc ojca za rękę, zawołała wesoło:

— Chodźmyż więc, chodźmy, mój ojcze! matka nas czeka z niecierpliwością.

Ale wtém jednocześnie rzuciła wzrokiem na stojącego w milczeniu Jerzego i zawołała:

— Panie Jerzy! a panu co jest takiego? Cóż to! pan tak zbladłeś, tak smutny... Ach! doprawdy! jeżeliby to być miało, co mnie na myśl przychodzi... Ale nie! to być nie może! Pan przecie wiedziałeś dobrze, że to był żart tylko, któryśmy sobie z panem zrobili.

Jakkolwiekbądź, tego przecież się Jerzy nie spodziéwał. Jakoż osłupiał na chwilę. Ale w ten moment rozśmiał się całą gębą i zawołał:

— Cha, cha, cha! bodaj téż panią! A za kogóż mnie pani miała?... Dajże mi pani tę złotą rączkę, niechaj ją ucałuję!

To mówiąc, ujął ją rzeczywiście za rękę i tak w wesołości rozgłośnéj szli wszystko troje do hetmanowéj.

Ale tymczasem Denhoff, Rzewuski i hetmanowa szli już na przeciw nim, a kiedy się z sobą spotkali, nie potrzebowali już słów dla zrozumienia się wzajem, bo cała rzecz była jawną dla wszystkich.

Zaraz też w całym zamku głośna zapanowała wesołość, uderzono z dział z wszystkich strzelnic i murów, na basztach zamku zagrały huczne kapele, a kiedy cały dwór hetmański nie potrzebował więcéj jak jednéj chwili, ażeby się rzucić w galę świąteczną, to i zamek hetmański ubrał się w ten moment w to wszystko, co było potrzebne do wspaniałego i rozgłośnego festynu.

Widząc tę nagłą i tak upragnioną zmianę około siebie, hetman wpadł w złoty humor i otworzył serce swoje na ścieżaj. Jakoż posłał w ten moment sto wołów i sto beczek rozmaitych napojów dla miasta, wszystkich co mogli się zmieścić na jego pokojach kazał zaprosić do siebie, oświécił zamek od szczytu wieży do fundamentów jarzącemi światłami i wydał ucztę tak wspaniałą i hojną, na jaką się tylko mógł zdobyć, ucztę Heliogabala. I powróciły czasy dawnéj świetności nanowo. Trysnęły znowu woniejącemi wodami pozasychane fontanny, otworzyły się zardzewiałe zamki piwniczne, wino się rozlało strumieniem, pogaszone księżyce i gwiazdy rozgorzały stubarwnemi światłami, a cały zamek zaniósł się tańcem, wesołością, swawolą. Sam hetman, jak gdyby odrodzony nanowo, z dawną fantazyą rej wodził wszystkiemu. Trzymając w ręku lśniącą od pereł i złota, drogocenną czarę z koralu i napełniając ją wonnym jak promień słońca płomieniejącym nektarem, obchodził wszystkich koleją, głosząc zdrowie królewskie, jego wiernych przyjaciół, pana młodego i jego swata i wszystkich gości zamkowych. Tak przyszedł także i do Jerzego, który stał pod zasłoną cyprysów i sam jak cyprys stęskniony gwałtem wyrywał się z gwaru téj uczty pogańskiéj, lecąc na owe pola dalekie, gdzie wsie i zamki oświécano pożarem, biesiadowano przy pieśniach kruków obnażających kości poległych, a trud i praca zastępowała tańce i swawolę.

— Jerzy! mój Jerzy drogi! — zawołał do niego hetman, — chodź, niech cię do mego serca przycisnę! Tyś to jest sprawcą mojego szczęścia, tyś mi wydał tę wielką ucztę, jakiéj nie miałem jeszcze na życiu! Tyś moim zbawcą, — ja, gdybym mógł, włożyłbym tobie koronę na głowę. Ale słuchaj! Co mogą dać moje państwa, co się znajduje w moich komorach i skarbach, bierz, ile ci się podoba. Nie mam dzisiaj do odmówienia dla ciebie! Chodź, niech cię do mego serca przycisnę!

To mówiąc, rzucił koralową czarę na ziemię, że się rozbryzgnęła w kawałki, dzban kryształowy wyrzucił z ręki, a jego wziął w swoje objęcia.

— Panie hetmanie! — rzekł na to Jerzy po chwili, — jest-to niezmierną dla mego serca pociechą, że pana widzę znowu w takiéj radości. Widok ten jest tak wspaniały dla mnie nagrodą, że

mi nic więcéj nie trzeba. Ale kiedy pan hetman tak hojny jesteś w téj chwili, to będę przecież z tego korzystał i jednę łaskę sobie wyproszę.

— Mów, co ci się przyśni. Wszystko się stanie, jak chcesz!

— Ja chciałbym jutro odjechać, — rzekł Jerzy.

— Odjechać?... a dokądże to? Przecież mnie nie zechcesz porzucać?

— Oh! o tém nie myślę. Lecz odebrałem listy, że matka moja ma się niedobrze.

— Matka twoja? Ha! to jedź! Weź sobie koni i ludzi, ile ci trzeba, nabierz pieniędzy na drogę; chciałbym przecież, żebyś się w twojéj ojczyźnie pokazał jakoś po ludzku. Bierz! bierz, ile zechcesz a powracaj nam prędko.

— Z tego wszystkiego, — rzekł na to Jerzy, — ja na teraz nie bardzo będę korzystał, bo mało co mi potrzeba. Ale kiedy pan hetman zostawiasz mi wolną wolę zabrać co mi się będzie podobać, to jednę rzecz przecie wezmę ze sobą.

— Weź! weź choćby dziesięć! wszystko ci wolno... Im więcéj weźmiesz, tém mnie więcéj ucieszysz.

To mówiąc, wziął go pod ramię i zaprowadził w wir szalejącéj swawoli, w któréj téż utonęli obadwa.

Wszakże niebawem potém wysunął się Jerzy milczkiem z tego rozgwaru i pobiegł śpiesznie do swoich komnat. Lubo już zrzucił ów główny ciężar ze swego serca, duszno mu jednak było pomiędzy ludźmi, — trzeba mu było samotności, swobodnego oddechu, powietrza. Toż zatrzasnąwszy drzwi swojéj komnaty za sobą, stanął na środku, otrząsł się jakby z zimnéj kąpieli i zawołał do siebie:

— Ha! rzecz skończona nareszcie! Zmiótłem ze siebie tę pleśń cmentarną, która mnie już o mało nie pochłonęła całego: jestem wolny i odrodzony na nowo! Witaj mi, złota swobodo, z twojém wiosenném słońcem i orzeźwiającém powietrzem! Wróciłaś do mnie trochę zapóźno, oh! ale to tylko moja w tém wina!..

Tu się zamyślił na chwilę, a potém znów mówił:

— Oh! bo i cóż to za myśl była nieszczęsna, spuszczać się w groby z żądzą wskrzeszenia umarłych? chcieć obudzić do życia tych, których już tak cuchnąca roztoczyła zglinizna? zapalać światło, gdzie coraz grubsza zapada ciemność? rozniecać ciepło, gdzie iskry mroźne wystąpiły na zewnątrz? — Precz! precz odemnie, i niechaj pamięć tego zaginie, żem kiedyś miał takie złudzenia! Umarli mogą tylko śmierć przynieść ze sobą; żywych potrzeba, aby usłużyć życiu! Daléj pomiędzy żywych!

Tak stał jeszcze przez chwilę i patrzył zamyślonemi oczyma w obraz Matki Najświętszéj, który wisiał przeciw niego na ścianie Zbudził się wreszcie, przystąpił blizko do niego, ukląkł na ziemi, a złożywszy ręce w pokorze, zawołał sercem wezbraném:

— Tobie to winien jestem, o moja Matko Najświętsza! żem

nie utonął w tych mętach, które złotemi otaczając mnie snami, zagrążały mnie coraz głębiéj i głębiéj w siéć pleśniejącéj martwoty. Nigdybym bez Twéj opieki nie był zrzucił tych więzów, które mnie już kusić zaczęły swemi perłami i złotem! O! nie wypuszczajże mnie i nadal z Twojéj świętéj opieki! Moję *pracę* i *prawdę* któréj i tutaj nie porzucałem ani na jednę chwilę, trzymaj wciąż w Twojéj obronie i prowadź — prowadź mnie daléj w to trudne i tysiącami pokus najeżone życie, które od tego czasu im tylko niech będzie poświęcone na wieki!

Z temi słowami upokorzył się jeszcze niżéj i zapadł w owę czystą, spokojną i świętą modlitwę, która dawnemi czasy spływała na niego codziennie, lecz któréj błogość od dwóch lat dziś po raz piérwszy uczuł całkiem świadomie.

Tymczasem pod owę porę już i gwary uciech zamkowych zaczęły powoli przycichać, a wkrótce potém wyczerpana swawola ustąpiła swojego miejsca, ciszy i spoczynkowi. Uszczęśliwiony hetman spał jak zabity, — lecz kiedy nazajutrz rano się zbudził, to przecież przed wszystkiém inném o Jerzego zapytał. Ale Jerzego już nie było na zamku. Był tedy hetman nadzwyczajnie ciekawy, jak téż skromny Sodalis z jego hojności skorzystał i począł się rozpatrywać, czego téż razem z nim brakło na zamku. Ale wszystko było na swojém miejscu, — tylko całego pułku Sodalisów nie było.

XXIV.

Nim potrafimy odszukać Ożarowskiego, który ku wielkiemu zdziwieniu całego dworu hetmana zniknął tak nagle ze zamku, — powróćmy na chwilę do przerwanego opowiadania dziejów konfederacyi.

Ostatnim faktem, przez nas wspomnionym, był zjazd w Rawie ruskiéj, mający na celu zawarcie traktatu pomiędzy walczącemi stronami i położenie ostatecznego końca téj wojnie. Traktat ten, jak się o tém już także napomknęło powyżéj, skutkiem przezorności Ledóchowskiego, nie doszedł, — po zamknięciu narad usiłował Fleming wyjednać przynajmniéj zawieszenie broni do końca maja, ale i na to nie zezwolono, — a tak konfederacya znalazła się w położeniu rozpoczęcia działań wojennych nanowo, rozpoczęcia ich nawet z podwojoną energią, a przytém i poczynienia wszystkich tych kroków dyplomatycznych, które jéj nakazywał słuszny wzgląd już na powagę i znaczenie zewnętrzne, już na każdą możliwą przyszłość tak ważnéj sprawy. Tym końcem został przed wszystkiém inném nanowo zredagowany manifest do wszystkich panów Europy, w którym opowiedziano dokładnie tak powody, jak i zamiary tego powstania. Przy wyłuszczeniu powodów rozszérzono się nawet tak bardzo, że nie ominiono najmniejszych złośliwości wyrządzonych, czém się usprawiedliwiono aż nadto z samego czynu, mimo to jednak nie zapomniano i tego wypowiedzieć wyraźnie: że ponieważ konfederacya niéma nic więcéj na celu, jak tylko przywrócenie świętości wierze, spokojności Rzeczypospolitéj i bezpieczeństwa jéj członkom, to byle tylko król chciał napowrót wstąpić w granice pactów i konstytucyi, ona jest

każdéj chwili gotową do uczynienia piérwszych kroków do zgody. Manifest ten tedy był, jak to widać na piérwszy rzut oka, napisany bardzo roztropnie: jak bowiem z jednéj strony ubezpieczał konfederacyi w obec całego świata godność jéj przynależną, tak znowu z drugiéj dawał niejako rękojmię dworom, że tylko przywrócenie powagi praw, bez żadnéj chęci uwłóczenia powadze tronu, jest jéj zamiaram. Z tym manifestem wyprawił Ledóchowski natychmiast posłów do wszystkich dworów Europejskich. Niektórzy z nich wszakże, prócz tego aktu, otrzymywali jeszcze i polecenia szczegółowe. I tak np. Romanowski i Trezer, wysłani do cesarza Piotra Wielkiego, bawiącego podówczas w Gdańsku, mieli rozkaz prosić tego monarchę o pośrednictwo pomiędzy konfederacyą i królem. Prośba ta, w saméj istocie rzeczy, nie mogła sobie obiecywać natychmiastowych skutków. Po zachowaniu się feldmarszałka Fleminga na zjeździe w Rawie i po otrzymanéj prawie w tym samym czasie na ręce Ciechońskiego pisemnéj odpowiedzi królewskiéj, było rzeczą aż nadto widoczną, że stronnictwo królewskie nie straciło jeszcze wcale nadziei stłumienia konfederacyi siłą i w skutek tego jest jeszcze bardzo dalekiém od rzetelnych chęci zawarcia zgody.

Lecz niemniéj przeto była ta prośba krokiem bardzo roztropnym, już to dlatego, że zawartą przeszłego roku umową w Gdańsku pośrednictwo tego monarchy było oddawna już przewidzianém, już nareszcie dlatego, że takiego pośrednika, który miał sto galer pod Gdańskiem a osiemdziesiąt tysięcy żołniérza na granicach Polski i patrzył ciągle z niedowierzaniem na wzburzoną Rzeczpospolitą, trzeba było wciąż przekonywać faktami, że ta konfederacya nie ma żadnego wspólnictwa ze Szwedem, o co mu głównie chodziło i co jedynie mogło go utrzymać w neutralności względem téj sprawy. Prócz tego Morsztyn, starosta duninowski, wysłany z tymże samym manifestem do Wiednia, miał polecenie prosić chrześciańskiego cesarza o dyplomatyczną interwencyą do króla, — Bekierski zaś, wyprawiany do Carogroda, zlecenie zawiązania przyjaznych stosunków pomiędzy skonfederowaną Rzecząpospolitą a Portą. W tych wszystkich aktach dyplomatycznych konfederacya mianowała się już, „skonfederowanemi stanami Rzeczypospolitéj polskiéj" — któren-to tytuł, przyjęty na miejsce skonfederowanych województw," dał nietylko jéj saméj pod każdym względem daleko donośniejsze znaczenie, ale zarazem delikatnie do zrozumienia królowi, iż gdyby się uparł przy swojém i nie pomyślał zawczasu o zgodzie, to konfederacya byłaby w stanie nawet przeskoczyć granice swoich dotychczasowych zamiarów.

Jednocześnie z tak bardzo ważnym postępem, dokonanym na drodze dyplomatycznéj, przystąpiono do działań wojennych. I wzięto się do nich z taką energią, na jaką tylko można się było zdobyć w téj chwili. Jakoż istotnie, w kilka tygodni po ostatecznem zerwaniu

zamierzonego traktatu w Rawie, konfederacya podniosła się z całą siłą nanowo i rozpoczęła wojnę odrazu na wszystkich punktach.

Litwa znudzona bezbarwném usposobieniem Pocieja, który ją najrozmaitszemi środkami do bezczynności zniewalał, zjechała się powtórnie do Wilna pod koniec marca i obrawszy Sulistrowskiego, chorążego oszmiańskiego, nowym generalnym marszałkiem, nową też zawiązała konfederacyą. Skonfederowano się teraz jaknajzupełniéj na wzór Małopolanów, zamknięto trybunał i wszelkie sądy, złożono natychmiast po 16 złotych z każdego dymu, a wystawiwszy bezzwłocznie dosyć potężny zastęp z armatami i artyleryą, ruszono w pole. Jakoż istotnie jeszcze za śniegu przetrzepano po kilka razy generała Ekszteta i przepłoszono aż w województwo krakowskie, a po uporaniu się z nim, wzięto się bez zwłoki do Weissenfelda i rozpoczęto z nim wojnę zawziętą...

Tymczasem, kiedy się to działo na Litwie, Gniazdowski, wyprawiony do Ledóchowskiego na czele dwóch tysięcy żołniérza, już był w pochodzie na Wielko-Polskę. Wielko-polanie, lubo konfederacya ta trwała już prawie pół roku, a od tego czasu, jak podgórzanie ją rozpoczęli, minął już rok całkowity, nie dali jeszcze żadnego znaku życiu. Byli oni bezwątpienia wcale nie gorszych chęci niż wszyscy inni, ale znajdowali się w trudnych okolicznościach. Korpus obserwacyjny pod dowództwem generała Szeremetiewa stał tam niedaleko, a często i w ich granice zaglądał, — król August II chronił się do Poznania i zasiadł tam pod zasłoną kilku tysięcy wojska i wszystkich zamków swoim osadzonym żołniérzem, — a wreszcie, trudno tego zataić, że i stronnictwo saskie było tam najsilniejsze, a duch anti-konfederacki rozprzestrzeniony tak bardzo, że nawet i pomiędzy partykularną grasował szlachtą.

Na czele tego stronnictwa stał Radomicki, wielkopolski generał, człowiek rozumny, energiczny i zręczny, a ten, nawspół ze swymi braćmi i koligatami, czuwał tak pilnie nad wewnętrznym spokojem kraju, że nietylko dotychczas do uczynienia żadnego publicznego aktu na korzyść konfederacyi nie dopuścił, ale nawet i pojedyncze wybuchy tu i owdzie zdarzone utłumiał po kolei w samym zarodzie. Była tam tedy niełatwa sprawa w téj Wielkopolsce — i dlatego też Ledóchowski posłał tam Gniazdowskiego, człowieka walecznego po szalonemu, pełnego determinacyi rzadko napotykanéj, a nawet i gwałtownego cokolwiek. Taki też tylko człowiek mógł podołać temu zadaniu, które przez wielu naczelników konfederacyi było wprost uważaném za niepodobne. Może i on nawet byłby mu nie podołał, gdyby jednakże nie to, że sobie naprzód uścielił drogę do niego. Jakoż wyrwawszy się z swymi doborowymi ludźmi z Lubomli, wpada on najpiérw na Sasów pod Ryczywołem, bije ich niespodzianie, odwraca się w ten moment na Piotrków i bije ich pod tém miastem powtórnie. W Piotrkowie dowiaduje się, że Fleming, przestraszony po części tym nowym wybuchem konfederacyi, po części zaś już poodbiéranemi wiado-

mościami o klęskach Baudycza i Weissenfelda, o których się dowie poniżéj, pędzi na radę do króla bawiącego w Poznaniu i znajduje się właśnie w téj chwili w Wolborzu. Wpada tedy Gniazdowski na Wolbórz, bierze to miasto, oblega kolegiatę do któréj schronił się Fleming i już ma wziąć jeńcem tego głównego wroga, a nawet piérwszego instygatora téj wojny, — jednak przebiegły Niemiec goli tymczasem brodę, przebiéra się w habit dominikański, wymyka się pod tą larwą z osaczonego miasta, a zarazem i z rąk Gniazdowskiemu. Dostał się wtedy Fleming jeszcze tém prędzéj do Poznania i połączył się z królem, lecz nie bez wstydu pokazał się królewskiemu dworowi bez brody, któréj nie miał ogolić aż po wytępieniu konfederatów, a przytém napełnił dwór króla i niemałym popłochem, którego powody dla usprawiedliwienia siebie samego musiał jeszcze podwajać. — Zmartwił się niepomału Gniazdowski, kiedy nie znalazł Fleminga, ale choć tém się pocieszył, że mu brodę ogolił, jakoż go potem „Golibrodą" nazwano i pozostało mu to imionisko do śmierci. — Nie bawiąc się jednak zbyt długo ani smutkiem, ani pociechą, wrócił bez zwłoki do Piotrkowa, kazał milczéć trybunałowi, zamknął sąd ziemski, a zabrawszy ztamtąd cokolwiek ludzi, poszedł do Częstochowy, wszedł do niéj, opatrzył jéj środki obrony i na małą chwilę wypoczął, ażeby ubrać i umontować prawie drugie tyle ochotników, którzy się pozbiegali do niego. Skończywszy wszakże w lot to zajęcie, wypadł znowu z fortecy, dał walną bitwę Sasom pod Koziegłowami, a odniósłszy nad nimi świetne zwycięztwo, rzucił się za Eksztetem, zastępującym mu drogę i szarpiącym go uporczywie po nocach. Wszakże i z tym udało mu się uporać: w części go potłukł, a w części tak szczęśliwie przepłoszył, że się go pozbył nareszcie — i wszedł do Wielko-Polski, poprzedzony najpierwéj popłochem zaniesionym tam przez Fleminga, a oprócz tego i własną sławą. Były to tedy okoliczności bardzo szczęśliwe, które towarzyszyły jego zamiarom; jakoż z nich korzystając bez zwłoki, zawołał szlachtę pod Kościan w celu zawiązania konfederacyi. Mimo to jednak jeszcze się nie obeszło bez uporczywych sprzeczności. Agitacya Radomickich wybujała już w tak dojrzałe owoce, że się sprzeciwiono Gniazdowskiemu wśród koła. Sprzeciwiono się otwarcie i śmiało konfederacyi, a jeden z szlachty uniósł się nawet do tego stopnia, że obrzucił tę sprawę całym potokiem obelg i krzywdzących zarzutów. — Gniazdowski wszakże, zniecierpliwiony tém, a nareszcie i obrażony do żywego, unosi się także, porywa za pistolet i tym gwałtownym czynem ratuje szczęśliwie swą sprawę w chwili największego niebezpieczeństwa. Jakoż jeszcze dnia tego samego zawiązała się konfederacya Wielko-Polska, któréj marszałek Skórzewski, dawny generał króla Stanisława, wziął się do rzeczy tak raźnie, że do kilku tygodni Wielkopolanie wystąpili tak ludno, jak mało która prowincya, a miasta powystawiały rajtarye umontowane tak pięknie, że je miano za najpię-

kniejsze w całéj konfederacyi. Po dopełnieniu tego aktu wysłano zaraz Radzyńskiego, Mielżyńskiego i dwóch Ponińskich posłami do konfederacyi, poczém bezzwłocznie ruszono w pole, wzięto Wschowę, Osiecznę i zbito Sasów pod Lesznem.

Śród takich powodzeń na Litwie i Wielko-Polsce, wcale nie mniejsze robiła konfederacya postępy w Mało-Polsce, na Wołyniu i Rusi. Wszyscy dawni dowódzcy tutejsi powstali z wrzącym zapałem — a oprócz nich wystąpili jeszcze i nowi. Tak zjawili się wtedy na scenie wojny Kołaczkowski, Zagwojski, Wyżycki, dał się poznać rozgłośniéj Jan Bobrownicki, wodzący w zastępstwie Stetkiewicza Sędomierzanów, rozniosły się także wieści o Ożarowskim. Ten ostatni, jak powiadano, miał wyprowadzić z Brzeżan cały pułk infanteryi i tém się najpiérw odznaczył, że napadł na Przemyślany, konsystujących tam dwustu Sasów wyciął do nogi, milicyą hetmańską zabrał, wcielił do swego pułku i poszedł ztamtąd na Zborów. W miasteczku tém zastał pułkownika Fleischmana, prowadzącego kilka wozów łupów i kilkunastu jeńców konfederackich z Wołynia do Lwowa. Uderzył na niego w samo południe, właśnie gdy stał z całym swoim taborem na rynku, zbił go, jeńców odebrał, a jego samego i łupy odesłał Ledóchowskiemu. Z tego zdarzenia powzięto o nim pewną i dość pochlebną wiadomość w generalném kole konfederacyi, jakoż Ledóchowski posłał zaraz kuryera do niego, chcąc go sprowadzić do siebie i użyć wedle jego zdolności; ale kuryer już go nie zastał w téj okolicy. Znalazł tylko wieść o nim, jakoby się gdzieś koło Złoczowa rzucił dość nieopatrznie na znaczną komendę Sasów i poniósł klęskę od nich niemałą.

Nie uległ wszakże, wiedziano bowiem, że z pod Złoczowa poszedł na Brody, wyparł z tego miasteczka załogę saską i udał się potém w głąb Wołynia. Opowiadano późniéj, że się połączył z Wyżyckim i wywarł przeważny wpływ na bitwę, stoczoną przez tego wodza pod Poczajowem, w któréj 600 Sasów poległo, — jednak następnie miano go widzieć pod Oleskiem, nocującego we wsi, a w kilka dni późniéj rzecz była pewna, że wpadł do Glinian, jakieś niedobitki saskie tam zabrał i pociągnął ztamtąd w okolice Lwowa. Były to tedy same piękne rzeczy, które się o nim nosiły — zwrócono téż na nie tém baczniejszą uwagę, ile że to był konfederat prawie najświéższy ze wszystkich, działający bez porozumienia się z Ledóchowskim i skutkiem swojéj przeszłości jaknajmniéj przewidywany. Jakoż sława jego byłaby się bez żadnéj kwestyi rozszérzyła po całéj Polsce, gdyby jednakże nie to, że inni, opatrzeni daleko większemi siłami, jeszcze daleko głośniéj się odznaczali od niego.

I tak Jan Bobrownicki, wstawszy także nanowo, przerznął się z zebranemi przez siebie siłami bardzo walecznym marszem z Sandomiérskiego na Wołyń i na wspól ze Stetkiewiczem stoczył tu pod Wiśniowcem jednę z najznamienitszych bitew owego czasu.

W téj bitwie odznaczył się taką przytomnością, znajomością sztuki wojennéj i osobistą odwagą, że powinien był ztąd odrazu rozgłośną uzyskać sławę i jaknajszersze pole do dalszych działań. Ale właśnie z powodu téj bitwy zaczęło się pomiędzy nim a marszałkiem konfederacyi sandomierskiéj, chociaż blizkim mu krewnym, nieporozumienie tak wielkie, że dla uniknienia dalszych podobnych zgorszeń Bobrownicki musiał dopuścić do rozdzielenia się z swoim kolegą i działać daléj na własną rękę, skutkiem tedy małodusznéj zazdrości drugich, zamiast coby się miał stać jednym z najpiękniejszych bohatérów téj sprawy, musiał on się z małemi siłami na bardzo małe zacisnąć pole, ciężkie ponosić trudy, niebezpieczne przedsiębrać prace, a pomagając innym do rozmnożenia się w sławie, sam poprzestawać na bardzo skromnéj, bo tylko w własném sumieniu znachodzonéj nagrodzie. Strawił on jednak tę boleść w sobie i bez skargi na ustach walczył ze swoją garstką wytrwale, a mając tylko dobro pospólne na celu, za doświadczoną obojętność od drugich, wszystkim się najczynniejszym wywzajemniał udziałem.

Taki był los dotychczasowy miecznika.— Równym natchnieni duchem, a szczęśliwsi od niego inni, odnosili tymczasem coraz to głośniejsze zwycięztwa. Tak Kołaczkowski, uwijający się rzeźko po Litwie, napadł pod Swierzem na Sasów i wziąwszy generała w niewolę, całą jego komendę wyciął do nogi, — Wyżycki, położywszy u Poczajowa sześciuset Sasów, puścił się w pogoń za resztą i prawie wszystkich wyłowił,—toż prawie w tym samym czasie Sokolnicki stoczył walną bitwę pod Bełzem i siedemset trupów nieprzyjacielskich pozostawił na polu. Za ich przykładem poszli i inni pomniejsi, a kiedy wreszcie wrząca zawziętość wzięła z obu stron górę nad spokojną bohatérską odwagą, zamieniły się owe czasy w najstarszliwszy sąd Boży.

Jednakże najsilniejszy ze wszystkich, najdzielniéj się popisywał niezmordowany Michał Potocki. Za wzięcie i zrabowanie Lwowa mając przed wszystkiém generała Baudycza na oku, gonił on za nim bez odetchnienia już od piérwszych dni marca. W celu tém pewniejszego złowienia tego nienawistnego Niemca, który oprócz wierności swojemu panu, niczém inném się nie odznaczał, rozłączył on się ze swoim bratem, starostą bełzkim, i każdy z nich chodził swym własnym dworem. Przez czas niejaki i ta podwójna zapobiegliwość nie przyniosła skutku, a niecierpliwy pisarz musiał tymczasem tłuc Sasów innych, nieraz do zadziwienia piękne staczając bitwy, a w każdéj z nich odznaczając się osobistą odwagą, pogardą trudów i wytrwałością, służącą wszystkim za wzór niezrównany. Przezorność tylko nie miała podobno miejsca pomiędzy jego cnotami. Młodszy od niego i jeszcze daleko gorętszy starosta, miał wprawdzie daleko więcéj spokoju, a ztąd i daléj sięgający wzrok w radzie; lecz z szablą w ręku dziwnie był niecierpliwym i jeszcze daleko nieprzezorniejszym od niego. Jakoż

i wtenczas, chcąc koniecznie Baudycza, siedzącego we Lwowie, wywabić na czyste pole, stanął pod Winnikami i ztamtąd mu rozmaite wyrządzać psoty. Wypatrzył Baudycz sposobną chwilę, wypadł na niego i tak potężną zadał mu klęskę, że go wszystkich pozbawił ludzi. Starosta sam tylko rączością swojego konia umknął pewnéj niewoli. Na szczęście wszakże brat jego, jakby przeczuciem wiedziony w tę stronę, złączył się był właśnie po drodze z Zagwojskim, opatrzonym w piechotę, któréj sam nie miał, i szedł ku Lwowu. Napadł też zaraz na olśnionego i zuchwałego świeżém zwycięztwem Baudycza, i tak dosadną wziął nad nim pomstę za brata, że mu piechotę w pień wyciął, armaty zabrał z kretesem, a z całego pułku dragonów, wynoszącego tysiąc czterysta koni, tylko sześćdziesiąt szabel zostawił. Tak haniebnie skonfundowany Baudycz, nie śmiejąc już oka pokazać swoim, udał się po sukursy do Sieniawskiego, — pisarz zaś, także może cokolwiek więcéj uradowany swojém zwycięztwem niż było trzeba, zamiast wziąć zaraz Lwów i swoim go osadzić żołnierzem, rozłączył się ze Zagwojskim, a sam poszedł ku Litwie, gdzie książę Weissenfeld uporczywie się bronił porozstrzelanym na małe garstki Litwinom. Za nadejściem pisarza, wzięto tego uporczywego księcia jakby w dwa ognie, wszakże i to jeszcze nie zbiło z tropu tego bez żadnéj kwestyi najwaleczniejszego z saskich dowódców, który też, mając około pięciu tysięcy ludzi, ani myślał ustąpić z pola. Jakoż istotnie unikając stanowczych bitew, majaczył on przez całą wiosnę tak zręcznie, że wprawdzie nie uniknął strat i niepowodzeń koniecznych, ale się trzymał ciągle, a za doznawane koleją klęski nieraz się nawet sowicie odwdzięczał. — Przyszło przecież z początkiem lata do tego, że się nareszcie umęczył, zmalał do trzech tysięcy ludzi i podupadł widocznie, — wszakże natenczas wydarł się marszem odważnym z tych kleszczów i poszedł podwójnym krokiem na Lwów, które-to miasto, jak się wspomniało powyżéj, było w rękach komendy saskiéj. Spostrzegł się wtedy dopiéro Potocki, jak nieopatrznie sobie postąpił, że nie odebrał Lwowa zawczasu, — teraz tam Weissenfeld odebrane rany w swojéj kampanii litewskiéj mógł tam najbezpieczniéj wygoić....

Osmucony temi wydarzeniami pisarz i pragnący ten błąd swój naprawić, przybiegł trop w trop za Weissenfeldem, ale go nie doścignął przed Lwowem. Zasiadł tedy tymczasem w Żółkwi, ażeby się namyśléć, co tu począć w tym razie. Nie brakło mu na doświadczonych doradzcach, był przy nim jego waleczny regimentarz Wapowski, był Trojanowski, Wiszowaty, Pepłowski i inni żołnierze starzy: nie brakło mu także na siłach, miał trzy tysiące ludzi przy sobie, wielki wprawdzie brak infanteryi, ale armatki w porządku, — mimo to jednak rada tu była niełatwą. Weissenfeld bowiem miał nietylko także trzy tysiące ludzi swych własnych, ale i osiemset głów dobrze utrzymanéj piechoty garnizonu lwowskiego, przynajmniéj z tysiąc niedobitków, którzy się w czasie oko-

licznych utarczek tam pozbiegali, a nareszcie i mury, opatrzone armatą. Przypuścić tedy szturm do tak opatrzonéj fortecy, zwłaszcza przy braku piechoty i artyleryi stosownéj było rzeczą tak hazardowną, że trudno się było po niéj spodziéwać chwały, a wywabić Weissenfelda z bezpiecznych murów na czyste pole zdawało się prostém niepodobieństwem. Zaczém cała nadzieja pisarza opiérała się zrazu li na tém, że książę, odpocząwszy i zasiliwszy się w mieście, sam wyjdzie w pole, ażeby dalszą prowadzić wojnę. Domysł ten zdawał się wprawdzie dość niepodobnym, a to dlatego, że w owę porę już się były zaczęły nowe przedwstępne kroki do rozpoczęcia traktatów, — mógł tedy Weissenfeld miéć już rozkaz wyraźny pozostania we Lwowie; — jednakże wtedy były już także wieści, jakoby król do Janowca przyjechał, pościągał wszystkie komendy swoje pod Gołąb, kazał powstrzymać ze swojéj strony dalsze kroki wojenne i postępować miał do układów,—można się tedy było spodziéwać, że i Weissenfeld także do tego obozu pociągnie i na tém opierała się cała nadzieja pisarza. Cóżkolwiekbądź, postarał on się o to przed wszystkiém, ażeby o ile możności wzmocnić swe siły i porozsyłał kuryerów na wszystkie strony, zapraszając każdego kto w Boga wierzył do siebie. Słysząc o tylu rozmaitych dowódcach, kręcących się po tych stronach, był tego pewnym, że co najmniéj to swoje siły podwoi. Ale nie było to tak łatwém w takiéj wojnie dowolnéj i podjazdowéj. Przyciągnął wprawdzie do niego Jan Bobrownicki z trzema setkami konnych i przetrzebioną jedną kampanią piechoty, w parę dni po nim przybiegła garsteczka Litwy, na dobrych koniach i uzbrojona dostatnio; ale potém przez cały tydzień nikt się więcéj nie zjawił. Wysłał był pisarz także swojego brata do Ledóchowskiego, przedstawiając mu, że Weissenfeld stanowi dzisiaj jakoby główną siłę królewską, że on tylko trzyma się jeszcze upornie: umie się bić i ma chęci po temu, on tylko jeden daje trzymającym się jeszcze tu i owdzie komendom otuchę, zaczém gdy on ostatecznie zwyciężonym zostanie, będzie to prawie jak koniec wojny; prosił tedy Ledóchowskiego na miłość Boga o sukurs, o wszystkie wojska, jakiemi tylko dysponować może w téj chwili, a gdyby nic nie mógł osiągnąć tak prędko, to żeby mu przysłał bodaj ze cztéry chorągwie, bodaj nareszcie li jeden tysiąc piechoty, który ma przecież przy sobie.

Poleciał starosta z tą depeszą na dzień i noc, zmieniając konie po dworach i pędząc bez odetchnienia,—jakoż niebawem przysłał mu bardzo obszérne sprawozdanie na piśmie, ale wojska nie przysłał. Z téj depeszy dowiedział się pisarz, że Ledóchowski go jaknajzupełniéj zrozumiał, zgadza się z nim, każe koniecznie bić Weissenfelda, pragnie jaknajgoręcéj odniesionego nad nim zwycięztwa, bo toby niemiernie ułatwiło układy, ale sukursów mu posłać od siebie na żaden sposób nie może; najpiérw dlatego, iż w obec zbiérającego się pod Gołębiem obozu, nie może sam pozo-

stać bez stosownego okrycia, a powtóre dlatego, iż preliminarya do układów zaszły już tak daleko, iż niepodobna mu jest własną ręką przycichłą wojnę zapomagać nanowo. Działo się to podobno już w sam dzień podpisania rozejmu. Mimo to wszakże starosta pozostał jeszcze przy Ledóchowskim, spodziéwając się, że może przecież jeszcze coś zyska i choćby milczkiem jakiś sukursik z tak potrzebnéj, ba nawet niezbędnéj dla pisarza piechoty uprowadzi od niego; ale przy téj nadziei nie zaniedbał dodać uwagi, iż sprawa powszechna teraz tak stoi, że nie godzi się już żadnemu dowódcy grać gry niepewnéj i narażać się lekkomyślnie na straty: „lepiéj dziś wcale pozostać bezczynnym, niżeli odnieść nawet zwycięztwo, a drogo za nie zapłacić."

Właśnie co za nadejściem wieczoru zasiadł był pisarz w refektarzu u Bazylianów ze swoim sztabem do rady, kiedy mu tę depeszę oddano. Odczytał ją, rzucił na stół z niechęcią i rzekł:

— Otóż i poseł! Nic nie zrobił, dał się przekabacić konszachtowiczom i sam ugrzązł pomiędzy nimi! Jeszcze do tego i mnie się ze swoją radą narzuca! Bodajby diabeł wziął taką robotę!

To rzekłszy, sapiąc mocno od gniewu, zaczął się wielkiemi krokami przechodzić po refektarzu. Wzięli tymczasem ową depeszę drudzy, przeczytali ją i zaczęli się nad nią naradzać półgłosem. Co do szczegółów rozmaite tam były pomiędzy nimi zdania, ale w ogóle prawie wszystkim się zdało, że starosta pisał bardzo rozsądnie, bo kiedy preliminarya zgody zaszły już tak daleko, że rozejm już podpisany, albo lada dzień ma się podpisać, a wysłannicy obu stron już się zbiérają w Lublinie, to na cóż dalszą prowadzić wojnę, zwłaszcza w okolicznościach takich, gdzie się nie ma sił odpowiednich po temu? A wszakże czy do stu bitew stoczonych przybędzie jeszcze jedna, czy nie, nic na tém już nie zależy; a czyż to nie dosyć krwi wypłynęło dotychczas? Nawet gdyby miéć pewność zwycięztwa bez żadnéj szkody dla siebie, to i natenczas jeszcze bitwa jest niepotrzebną: przecież i Sasi są ludzie i nie o ich krew tutaj chodzi. — Tego zdania był przedewszystkiem Wapowski, a za nim także i inni; tylko jmć Wiszowaty spojrzał na niego z pod brwi zmarszczonych i rzekł po swojemu:

— Tfu! mości Wapowski! jeszczem się tego nie spodziéwał po tobie! Taki jest żołniérz waleczny z ciebie, że ja sam mam się przy tobie za chłystka, a dajesz rady dziadowskie!

Uśmiéchnął się na to spokojnie regimentarz pisarza, w saméj istocie jeden z najwaleczniejszych bohatérów téj sprawy, i odpowiedział na to łagodnie:

— Bić, bić i bić się do końca, chociaż tam może i spokój już podpisany w Lublinie? Ej! panie Piotrze! czasby téż miéć jakieś zastanowienie.

— A na co żołniérz? — zapyta rotmistrz.

Uśmiéchnął się na to jeszcze lepiéj Wapowski, lecz odpowiedział z powagą:

— Ja nie wiem na co ty jesteś, panie Piotrze, żołnierzem i dlaczego się bijesz; ale ja biję się na to, abym spokój uzyskał.

Wszakże w téj chwili przystąpił pisarz do niego i rzekł niecierpliwie:

— Panie Karolu! nie rozumiész téj rzeczy. Jużci my wszyscy się bijem dlatego, ażebyśmy spokój zyskali; ale tak do spokoju nie dojdziem. Co tam te rozpoczęte traktaty! czy to je po raz piérwszy rozpoczynają! Król gromadzi swoje zastępy pod Gołąb i niby się skłania ku zgodzie; ale ja głowę moją dam w zastaw, jeżeli on, zgromadziwszy ich z jakie dziesięć tysięcy, nie rozpocznie wojny nanowo! A potém, co to? Żebym ja tutaj przybiegł za Weissenfeldem mil tyle, głodu się namarł, nędzy się najadł i krył się przez tyle czasów po tych tu dziurach, ostrząc zęby na niego, a potém odszedł, odwołany traktatem? a co to? zginę — a muszę zajrzéć mu w oczy! Nie wylézie mi sam z téj jamy, to szturm przypuszczę do niego, choćby tam już Te Deum śpiéwano w Lublinie! Niech choć ja jeden dam głośną salwę, kiedy inni pomilkli; może téż przy odgłosie téj salwy pójdą im lepiéj traktaty! A co panie Janie, nie mam ja racyi?

— Hm! — rzecze na to miecznik stężycki, — jużci zapewne, że byłoby to i pięknie i pożytecznie, gdybyśmy albo Lwów wzięli na Weissenfeldzie, albo go przynajmniéj tak przetrzepali, żeby nie taki piękny przyszedł pod Gołąb, jak się we Lwowie ustroi, aleć to zawsze trzeba się nad tém zastanowić statecznie, bo jak zwycięztwo nasze przyniosłoby niezawodne korzyści dla traktujących w imieniu naszém, tak znowu klęska nasza przyniosłaby takie same korzyści traktującym ze strony króla...

Tak radzono nad tém odtąd już trochę spokojniéj, — kiedy wtém dano znać obradującym, że jakiś szlachcic na oko polski, który się wszakże powiada się być Murzą tatarskim, zajechał na dziedziniec klasztoru i prosi o wstęp.

— A to Domaradzki! najniezawodniéj! — zawołał pisarz, — prośże go prędko i przyprowadzaj w ten moment. Ciekawa rzecz z czém on przyjeżdża? a jużci pewnie nie darmo.

Na tę wiadomość Bobrownicki i rotmistrz zerwali się z miejsc swych, a wtém Murza wszedł do téj klasztornéj komnaty.

— Panie Janie! — zawołał miecznik, — przez Pana Boga żywego, powiadaj prędko, co tutaj robisz? Wszakże z nad Nidy przyjeżdżasz? Tam się pewnie stało coś złego?

— Bądź-no spokojny, mój panie Janie! — rzekł prędko Murza, — nic się tam złego nie stało.

— Nic? pewnie nic? Ale cóż cię znów oderwało od skiby? a wszakżeż miałeś się opiekować...

— To téż się opiekuję... Ale pani stolnikowa krakowska do

wiedziała się, że Jerzy uciekł z Brzeżan i uprowadziwszy wojska hetmańskie ze sobą, zniknął kędyś bez wieści. Tak się też tém przestraszyła, żem musiał wybiedz, aby go gdzieś odszukać i przywieść jéj wiadomość od niego... Jakoż go odszukałem szczęśliwie, a ponieważ to niedaleko, wstąpiłem tu, aby się też i z wami obaczyć. Zdarzyłoby się może przytém co pogawędzić około dobra pospolitego...

Na tę wiadomość Bobrownicki już umilkł i czy to umyślnie, czy mimowoli, odsunął się pomału od niego, przypatrując mu się zdaleka. Tymczasem zaś rotmistrz rzekł:

— Cóż tam, mój Murżo? jakże tam koło ciebie? dawnośmy się widzieli.

— No, chwała Bogu! przecie choć coś...

— Byłoby więcéj, gdybyś się był nie czépiał głupich z respektem konceptów. Trza ci to było Ożarowskiego wykradać? Byliby mu tam Sasi łba nie urwali.

— A czy to źle się stało? nie mamyż z niego pożytku?

— Ja tam nic nie wiem jeszcze o tych pożytkach...

— Nie bijeż się równo z wami?

— Równo? może i równo, ale przecież niebardzo. Srogi zwycięzca jeńców, niedobitków i chorych, ale żeby gdzie zdrowych uporał, jeszcześmy nie słyszeli. Sam też jest zdrów z całym swym pułkiem i powiadają, że aż błyszczy od złota...

— Błyszczy od złota?! — zawołał Murża, — idź też idź, panie Piotrze, a nie baw się plotkami jak baba. Powiem ja tobie prawdę, jak jest.

Tymczasem i pisarz do nich przystąpił i rzekł:

— Czołem, mój panie Murżo, jak cię tam nazywają. Myślałem, że po staremu służysz poczciwéj sprawie i przywozisz mi jakie nowiny ważne: a tyś, jak widzę, puścił się na jakieś kwerendy...

— Jw. panie! — rzekł na to Murża, — jużcim nie przyszedł tu z próżną ręką. Znajdą się i nowiny, jeno niech trochę odetchnę. Odszukałem Ożarowskiego dla siebie, ale znalazłem przy nim coś i dla pana pisarza, boć to także nie próżny człowiek ten Ożarowski. Ot! co mi pomoże! aleć to wielka szkoda, że on się pierwéj nie złączył z konfederacyą...

Zawzięty rotmistrz machnął na to ręką i rzekł:

— Milszy wprawdzie jest Bogu, jak mówi Pismo, jeden grzésznik nawrócony, niżeli stu sprawiedliwych, aleć to tylko Bogu! My, ludzie prości, zawsze wolimy takich, którzy od początku są przy nas. Czy tak, panie mieczniku?

Pokręcił na to wąsy poważny miecznik, ale nic mu nie odpowiedział, a natomiast sam pisarz rzekł prędko:

— A! tego nie mów, mój panie Piotrze. Wiem ci ja także coś o tym młodzieńcu i powiadam wam to wyraźnie, że wielkie on ma zasługi. Trza było słyszéć, co opowiadał o nim Branicki

Ledóchowskiemu. No, ale cóż to mi tam przywozisz od niego, mój panie Janie?

Tedy siadł między nimi Murża i opowiedział o Jerzym to wszystko, co się już nadmieniło powyżéj. I opowiadał széroko, opisując każdą jego potyczkę, każdy trud jego, każdy marsz prawie ze szczegółami; jakoż rzekł w końcu:

— Wiele to ja już poświęcenia i rezygnacyi i trudów ludzkich około pospolitego dobra widziałem, — Pan Bóg mi choć na starość dozwolił widzieć tę piękne rzeczy na własne oczy, — ale przecież taką żarliwość w służbie i takie przy tém zapomnienie o sobie samym, dopiéro poraz piérwszy u niego ujrzałem.

— No, to wszystko już dobrze, — rzekł na to pisarz z uśmiéchem, — jużeśmy zrozumieli i nie spiéramy się o to: ale cóż nam od niego przywozisz?

— Otóż Ożarowski, — powiadał daléj Murża, — przez całą tę swoję kampanią nie mógł przenieść tego na sobie, że Lwów jest w ręku nieprzyjaciela. Zawsze téż myślał o tém, ażaliby go nie można jakim sposobem odebrać. Jakoż przybliżył się przed kilkunastą dniami pod miasto, zasiadł milczkiem w Krzywczycach, co to jest wioska pod samém miastem, i zaczął ztamtąd chodzić pomału około tego...

— Jakto? — zawołał na to miecznik stężycki, — Ożarowski chciał Lwów wziąć swemi kilkuset ludźmi? cha, cha, cha! panie Murżo! nie dziwię się Ożarowskiemu, boć to nie piérwszy podobny koncept, który się zrodził w jego francuzkiéj głowie...

— Ale poczekaj-no, panie bracie! — zawołał na to Potocki, — święci garnków nie lepią. I myśmy kiedyś Lwów odebrali, mając ludzi niewiele więcéj. Bo to przy braniu fortec zawsze więcéj popłaca sztuka, niż siła. Powiadaj daléj, mój panie Murżo: cóż tedy zrobił?

— Otóż on, mając przy sobie cały ów pułk wiedeńczyków, co to niegdy przez kilka lat ciągiem konsystowali we Lwowie, a franci są, kuci na wszystkie nogi; otóż on począł ich milczkiem wysyłać do miasta i tam pomału buty szyć Sasom między mieszczany. Tak téż i myśmy niegdyś robili. Lecz jemu było jeszcze daleko łatwiéj, bo się tam tym ludziom dobrze już dali Sasi we znaki, więc chcieliby się ich pozbyć koniecznie. Tak tedy szyjąc pomału a zręcznie, doprowadził nareszcie do tego, że już tam jego Sodalisowie liczą na tysiąc ludzi spisanych, jest téż i broń między nimi, a w piérwszéj chwili będzie zaraz arsenał. Owo więc myśli on wślizgnąć się milczkiem z całym swoim zastępem do miasta, huknąć w nocy znienacka...

— Przednio! wybornie! — zawołał na to Potocki, — tego nam tylko potrzeba! Nieopłacony jest Ożarowski. Słuchajże mnie, mój Jasiu...

— Pozwólże mi jegomość, — przerwał mu Murża, — niechaj się sprawię z poselstwa. Otóż jmć Ożarowski przysyła mnie tu

do jegomości z zawiadomieniem, że cała ta planta w mieście już jest gotowa. Byłem i ja też we Lwowie, aby się o tém przekonać; jakoż tak jest. Byłem też sam u jmć sufragana, rozmówiliśmy się uczciwie i jest to już rzecz nieodmienna, że na dzień oznaczony także i szlachty się coś zgromadzi. Jmć ksiądz biskup dodał nawet jeszcze i swoję własną plantę do tego... Chce on wybrać do tego jakiś dzień świąteczny rzetelny, a gdyby go pod tę porę nie było, to go udać, owóż na mały czas przed tém pójdzie on sam do książęcia, z którym w dobréj jest komitywie, i będzie go prosił o pozwolenie uczynienia procesyi do którego kościoła za mury miasta, gdzie niby ma się znajdować jaki obraz cudowny. Książę na to zezwoli, bo go też już sufragan naprzód o to wymacał; wtedy więc za tą procesyą wwali się tęga garstka szlachty, mogłoby się i wślizgnąć trochę ludzi jegomościnych...

— Już, już, już cię rozumiem, — zawołał pisarz, — walny jest Ożarowski! mądry też i sufragan! tylko ja jeden taki z respektem... prostak, żem nie wpadł sam na ten koncept! No, ale kto się tam tego spodziéwał, żeby się dało coś zrobić między mieszczany. Natrącał mi tu cokolwiek mój Grzybek, no! ale jakoś mi się to nie zdawało. Czekajże tedy, mój Murżo, i złóżmy to jakoś do kupy. Więc ty pojedziesz mi zaraz do Ożarowskiego i powiész jemu...

— Nie tak, nie tak, panie pisarzu! — zawołał rotmistrz, — róbmy to trochę powoléj. Niech Murża najpiérw Ożarowskiego tutaj sprowadzi...

— Tak, niech go zaraz tu przyprowadzi, masz racyą, trza nam się ustnie namówić.

— A ja pobiegnę do sufragana...

— Ty sam do sufragana? a jakże? przecie cię znają jak zły szeląg.

— Już ja się tam jakoś tak opapużę, że mnie i diabeł nie pozna.

— Poczekajcież panowie! — zawołał na to miecznik — to kiedy już tak wierzymy Ożarowskiemu, o czém ja jeszcze sobie wątpić pozwalam... to już ja chyba wślizgnę się jako podróżny do Lwowa i ja to ze sufraganem ułożę.

— No to tak. Tak nawet lepiéj, — rzekł prędko pisarz, — waszmość jesteś mniéj znany, a przytém i od nas wszystkich chłodniejszy. Niecierpliwością można tu bardzo nagrzészyć. Rozwaga jest tu niezbędną. Jakoż i nam się trza jaknajdokładniéj porozumiéć ze sobą, bo żeby to potém na jakiém bałamuctwie nie utknąć. Jednakże najpiérw po Ożarowskiego! Ale kogo tu?..... chyba ty, Murżo...

— A jużci ja. Ktoby tam trafił? wszystko to pochowane po chatach...

— Ba! ale boś ty nam i tu potrzebny. Jeszcze nie wiemy wszystkiego...

— Hm! — mruknął na to jmć Domaradzki i wszyscy nad

tém się zamyślili, — a wtém jaknajmniéj spodziéwany w téj chwili wszedł do refektarza dawny sługa Potockich, a dzisiejszy winiarz we Lwowie, Dominik Grzybek.

— Cóż tam, mój Dominiku? — zawołał pisarz, — jest coś nowego?

— Jw. panie! — rzekł Grzybek, — ważna nowina. Sasi wychodzą jutro ze Lwowa.

— Jutro wychodzą?! jutro? co ty powiadasz?!

— Tak panie, jutro. Jest tu i kartka, — rzekł Grzybek i oddał mu małą karteczkę do ręki.

Pisarz stał w zamyśleniu przez oka mgnienie, poczém silnie uderzył nogą o ziemię:

— Jutro! bodaj ich jasne pioruny spaliły! Jakiś diabeł im służy...

Pobiegł wszakże w ten moment z ową karteczką do świécy, odczytał ją i rzekł głosem powolnym, jak gdyby zwiądł nagle na całém ciele:

— Jutro wychodzą...

Przez małą chwilę trwało powszechne milczenie, — smutek na twarzach, gorycz osiadła na wszystkich ustach.

— Ale to nic! — zawołał pisarz z determinacyą po chwili, — i tak dobrze. Spróbujemy się w polu.

Poczém się zwrócił do swoich towarzyszy i rzekł:

— Słuchajcież tedy. Weissenfeld idzie pod Gołąb do królewskiego obozu. Pociągnie tędy. Damy mu więc bitwę pod miastem. Jak to zrobimy, trzeba nam się naradzić. Przedewszystkiém wszakże, ty, panie Karolu, porozsyłaj mi natychmiast kuryerów po wsiach i każ, aby wszystkie komendy tu pościągały przed świtem. Panie mieczniku, zrób tam porządek między twoimi. Trojanowski, Pepłowski, do swoich! A ty, mój Murżo, leć mi w skok do twego Ożarowskiego i przyprowadzaj mi go w ten moment. Słuchaj! jam mu nie starszy i nie mam nic do rozkazu; ale powiédz mu, że mi brak całkiem piechoty. Wiész co piechota! On mnie zbawi, jeżeli na czas przyciągnie. Biegnijże prędko, a kiedy mi Ożarowskiego z tym pułkiem przyprowadzisz do rana, będziesz mnie miał dłużnikiem na całe życie. Piechoty! piechoty! na miłość Boga, piechoty!

A kiedy to mówił pisarz i wszyscy już byli gotowi, ażeby jego rozkaz wypełnić, Murża już nawet był wyszedł: Wapowski stanął naprzeciw niego, założył ręce i rzekł dziwnie wzruszonym głosem:

— Panie Michale! na co nam teraz téj bitwy!

— Mój Karolu kochany! — zawołał na to Potocki, rzucając mu się na szyję, — zrobię dla ciebie co chcesz, tylko mi się w tém nie sprzeciwiaj! Ja muszę się bić z Weissenfeldem! Jabym umarł, gdybym się nie bił!

— Ha! to się bijmy! — odpowiedział na to jak gdyby mar-

twym głosem Wapowski i wyszedł smutny, prawie ze łzami w oczach.

Nie uważał tego Potocki, lecz zauważał rotmistrz, jakoż rzekł zaraz:

— Panie pisarzu! cośbyś powiedział...

— No, cóż tam jeszcze?

— Tak mi się zdaje, jakby Wapowski przemówił teraz nie swoim głosem. Słyszałem raz w Wołoszczyźnie, jako umarli rozmawiali ze sobą, i właśnie taki głos mieli. Dziwnie też on się przytém odmienił...

— No to cóż? — spytał pisarz z ironią, — chyba się nie bić?

— Nie! — rzecze rotmistrz, — bijmy się! ja już sam nie odstąpię! ale Wapowski niech pozostanie w obwodzie. Ostatnia to jest gałązka takiego pięknego rodu!

— Idź też, idź, babo stara, z temi gusłami! — zawołał nareszcie otwarcie pisarz, — jużbym ja był zginął sto razy, gdyby podobne rzeczy miały coś znaczyć. Zestarzał się na kulbace, uwędził się w dymach wojennych i nie policzyłby może tych bitew, które odprawił, a jeszcze mu strachy na myśli?

— Mnie strach na myśli? — zawołał rotmistrz, kipiąc już cały, — mnie!? No! dajże mi Panie Boże doczekać jutra!

To rzekłszy, wybiegł jak strzała z komnaty. Za nim wybiegli inni — i bawili blizko godzinę. Przez ten czas pisarz, sam w refektarzu zostawszy, przechadzał się w zamyśleniu po izbie. Widać było po nim, że myślał o czémś bardzo mozolnie. Można go było nawet posądzić, ażali się nie chwiał wtedy w swojém postanowieniu. Ale podobno nie, — albowiem kiedy wrócili tamci, już ani mowy nie było o tém, czyli? tylko jak ma być stoczona bitwa? — Jakoż narada nad tém trwała do saméj północy...

XXV.

Nazajutrz rano, ledwie oświtło, pisarz koronny był już na nogach. Stał on z całym swym sztabem na koniu na głównym rynku, oglądał, gromadził i szykował swoje chorągwie, które z sąsiednich wiosek ściągały po kolei do miasta. Zgromadziły się wszystkie nareszcie, — a wtedy pisarz podzielił tę całą siłę na trzy prawie równe oddziały. Nad jednym z nich, złożonym z tysiąca koni z okładam, objął komendę Wapowski i miał nim stanowić skrzydło prawe. Drugi, równy na liczbę piérwszemu, a składający się w jednéj części z ludzi Bobrownickiego, w drugiéj z Litwinów, a w trzeciéj z pisarzowskiéj konnicy pod dowództwem Trojanowskiego, został oddany pod naczelną komendę mieczníka, i to miało być skrzydłem lewém. Resztę zaś, składającą się z cztérech chorągwi wyborowych o trzechset koniach pod buławą Wiszowatego, z trzechset piechoty dowodzonéj przez Pepłowskiego, sotni kozaków przybocznych i kilkunastu armatek, pozostawił pisarz przy sobie, a to miało stanowić korpus środkowy razem z rezerwą. Tak podzieliwszy swe siły, wyprawił on zaraz Bobrownickiego na lewo we wschodnią stronę miasta i kazał mu się ukryć między domami; tak samo Wapowski odszedł na prawo i rozłożył się po przedmieściu; pisarz zaś sam pozostał w mieście, postawił armaty na środku gościńca u samego wstępu do miasta, piechotę rozrzucił tymczasowo po bokach, a postawiwszy chorągwie konne w pobliżu siebie, sam z swoim sztabem i kilkunastą kuryerów stanął na wzgórku, oczekując z niecierpliwością przybycia gości.

Rozrządziwszy tak swemi siłami, rozumiał pisarz, że uczynił jak można było najlepiéj; na każdy bowiem wypadek miał je

prawie pod ręką i mógł niemi wedle potrzeby zadysponować inaczéj. Zdało się wszakże, że nie będzie tu inna dyspozycya potrzebną. Dwa tylko mogły tu zajść wypadki. Więc albo Weissenfeld całkiem nic nie wié o téj zasadzce i podejdzie jaknajspokojniéj pod samo miasto, albo jeżeli wié, to zatrzyma się na równinie opodal od miasta i przyjmie bitwę porządną, któréj raz dla błót zostawionych za sobą, a powtóre z powodu swego odosobnienia od całéj potęgi saskiéj, zgromadzonéj już pod Gołębiem, ani będzie mógł, ani zechce uniknąć. W piérwszym wypadku pisarz miał zamiar dać ognia do niego ze wszystkich armat, kazać się rozstąpić armatom i uderzyć sam całą siłą na niego; korzystając ze sprawionego tym niespodziéwanym przez niego atakiem zamieszania w jego szeregach, obadwa skrzydła miały się jaknajszérszém półkolem rozwinąć, Weissenfelda o ile można okrążyć i uskutecznić co Bóg da. W drugim zaś razie pisarz mógł w ten moment wystąpić przeciwko niemu, odrazu stanąć w jaknajlepszym szyku bojowym, a mając już siły rozporządzone, zawsze jeszcze daleko prędzéj uderzyć na niego, niżeliby on miał czas ułożyć swoje zastępy w jakibądź szyk bojowy porządny. Ponieważ zaś jeszcze do tego wiedziano z całą pewnością, że Weissenfeld ma tylko trzy tysiące konnicy i ośmset ludzi pieszych, zaczém wcale nie przenosiły siły konfederackiéj, więc byli wszyscy najlepszéj myśli, wesoło rozmawiali ze sobą i cieszyli się naprzód niezawodném zwycięztwem. Sam tylko pisarz był milczący i zamyślony, a kiedy się zbudził, to mówił z niecierpliwością:

— Czemu ja nie mam choć pięciuset, choćby tylko jednego pułku piechoty! Hej! piechotę mi dajcie za plecy, wiem, cobym tu pozostawił z tego hardego księcia!

To znowu pytał:

— A gdzie ten Ożarowski u kata! Już niezawodnie nie przyjdzie! Nie można spuszczać się na nikogo.....

Jakoż patrzył co chwila przez lunetę na drogę, wyprawiał kuryerów poprzebiéranych z szlachecka aż do zakrętu drogi, wyprawiał sługę po kilku razem na *Haraj*, — ale o Ożarowskim ani wieści nie było.

Tak stali wszyscy w największéj niecierpliwości. Słońce już się podniosło wysoko, zaczęło sypać żary piekielne na ziemię, porozpalały się ciężkie misiurki rycerzy i gniotły im czoła nieznośnie, kroplisty pot lał się po twarzach ludzi, na koniach pękała skóra, przepuszczając krew rozpaloną, do tego wietrzyk zrywał się od chwili do chwili z południa i zamiast chłodzić, miotał im całe tumany pyłu w oczy i zapiérał swoim płomiennym powiewem oddechy, — stójka na takim skwarze zamieniła się w mękę piekielną, ale trza było stać, choćby się spalić na miejscu. Przyszło nareszcie południe, — ziemia zaczęła już prawie gorzéć płomieniem, — wiatr ustał i zrobiła się cisza tak martwa i jednostajna, że nawet listek nie zaszeleścił na drzewie. Tém większy za to niespokój

obudził się w sercach, — wszyscy kipią jakby na ogniu, — bodajby przegrać, byle już zacząć tę bitwę! sam pisarz nawet nie może siebie pokonać, kręci się na kulbace, gryzie wąsy i mówi:

— Ej! panie sędzio! jeżeliś ty mnie zabawił plotką!... Ej! panie sędzio!

Tylko jeden Wapowski stoi nieruchomy jak posąg wraz z koniem z jednéj wylany sztuki; wpatrzył się swemi dużemi błękitnemi oczyma w niebo, ścisnął w rękach różaniec i odmawia modlitwy. Skończył nareszcie, schował różaniec za pancerz, — lecz znowu ręce założył na kuli i znowu wpatrzył się w niebo. Po jego wybladłéj twarzy dziwna się jakaś rozlała tęsknota, jego otwarte oczy jakby się łzami zamgliły. I jak mu tutaj nie tęsknić, kiedy go twarda powinność przykuła jak gdyby rozpalonym łańcuchem na miejscu — a czułe serce unosi go gdzieś w kraje dalekie, gdzieś na tę piękną ziemię przemyską, gdzie dwór jego bieli się w wieńcu ogrodów, kwitnąca lipa rozłożyła szérokie konary w dziedzińcu, a pod jéj cieniem ślicznéj urody Litwinka oparła swoję główkę siérocą na dłoni i także tęskni i płacze. Było to takie samo lato jak teraz, kiedy jéj mąż, jéj kochanek, przywdział pancerz na siebie, przycisnął ją do swéj piersi stalowéj, gorącą łzę jéj zostawił na licu i jakby anioł marzony we śnie zniknął w dalekich błękitach. Od tego czasu jesień zwarzyła liście i krzewy, zapadły śniegi i roztajały, i wiosna przyszła z kwiatami, i znowu lato okryło ziemię zielenią — a jego niéma i niéma. Dwór opustoszał, klasztorna cisza zamieszkała komnaty, pająki przędą po wszystkich kątach swe szare tkanki — a z niemi coraz szarzéj i szarzéj przędą się dnie gorzkiéj tęsknoty. Wróciż on kiedy, wróci mój ulubiony? — O! onby dał całą sławę swoję, wyrąbaną tak krwawym trudem, i miłość wszystkich przyjaciół, dałby w téj chwili może połowę życia, gdyby mógł do niéj zlecieć na skrzydłach, przycisnąć ją do swéj piersi, spojrzeć jéj w oczy, choćby na oka mgnienie,—może, ażeby powiedzieć ostatnie: Bądź zdrowa! Ale już późno.

Aż oto ruch jakiś nagły zrobił się między wodzami, spięli konie, skoczyli na najwyższą wyniosłość pagórka i wpatrzyli się wszyscy w gościniec. Ocknął się zamyślony młodzieniec, rzucił się ku nim: a co to? — Punkt jakiś daleki zaczął się ruszać na drodze, zamienił się w tuman kurzu, zaczął się zbliżać, zbliżył się wreszcie, zamienił się w jeźdzca na koniu, osadził się przed Potockim tak nagle, że aż koń przysiadł do ziemi.

— Weissenfeld idzie!

— Dobra nasza! — zawołał pisarz, zwrócił konia i pobiegł, ażeby obleciéć chorągwie. Zniknęli z nim razem jakby zapadli pod ziemię, Bobrownicki do swoich i Wapowski do swoich.

Kiedy pisarz wrócił na dawne miejsce, już cały gościniec zaległy nieprzejrzane tumany kurzu, kłębiąc się najpiérw między sobą przy ziemi, a potém unosząc się powoli ku niebu. Również powoli

zaczęli z tych tumanów występować pułki nieprzyjacielskie. Pisarz patrzył z natężoną uwagą, trzymając lunetę przy oku. I stał tak nieruchomy, jak głaz. Patrzył i rotmistrz przez swoje szkielko, i czy to dojrzał lepiéj, czy był niecierpliwszy, rzekł piérwszy:

— Źle, panie pisarzu. Stanęli.

— Stanęli, — powtórzył sucho Potocki.

— To piechota,— rzekł rotmistrz po chwili, — sprawia się na gościńcu... Wiedzą o nas... Kawalerya się wysunęła na prawo... i na lewo. Źle, panie pisarzu!

— Cicho waść, — rzecze pisarz i patrzył jeszcze przez chwilę.

Poczém wszakże spiął konia, rzucił się sam do swych armat, stał tam przez oka mgnienie, mówił coś z komendantem, pokazywał mu ręką — i wrócił pędem na swoje miejsce. Zaledwie wrócił, całe miasto się wstrzęsło jak gdyby weń uderzyło sto gromów odrazu, — konfederackie armaty dały ognia do nieprzyjacielskiéj piechoty, która właśnie w téj chwili zmieniła front ku wschodowi, jak gdyby się chciała puszczać w marsz po za miasto. Ogień ten ją powstrzymał i zmieszał w kłąb, jakby kipiący w swém wnętrzu.

— Tak stój, wraży synu! — rzekł pisarz, patrząc wytężonemi oczyma w nieprzyjaciela. Po chwili zaś rzekł:

— Chciał mnie obejść..... Nie ma ochoty do rozgoworu.... Pilno jemu pod Gołąb..... Dobra nasza!

A wtém jego armatki dały ognia raz, drugi i trzeci: Weissenfeldowska piechota rozstrzeliła się na boki jak mrówki, kiedy kamień wpadnie w mrowisko, i poczęła się wić boleśnie na miejscu, jak wąż na dwoje rozcięty. Znowu się zbiegła do kupy i znów rozpruła przez środek, — z tego rozporu podniósł się tuman kurzu ogromny, — a w téjże chwili błysło po kilkakroć w tém samém miejscu, kilkanaście róż białych wykwitło jakby z pod ziemi, rozwinęły się do góry, lecz w oka mgnieniu huk straszny się rozległ do koła, uderzył w miasto, odbił się o lasy i wrócił nazad, pędząc po ziemi drżącéj, jak gdyby w napadzie zimnicy. Jednocześnie z tém wszystkiém łomot i trzask najstraszliwszy rozległ się u nóg pisarza, — jego armatki, jak gdyby miotłą zmiecione, zniknęły nagle z gościńca, — kilka domów runęło w gruzy, — ludzie podnieśli lament rozgłośny i zaczęli uciekać do miasta. Powtórzył się ten ogień raz jeszcze i jeszcze kilka dachów runęło, — ataman kozacki padł rozdarty na dwoje, — ale w ten moment, jak gdyby nożem uciął, ucichło. Wszakże w tém oka mgnieniu dał się słyszéć, jakoby z tyłu za ową piechotą i armatami, przeciągły ogień karabinowy, — okrzyk głośny się podniósł, — gwar potém jak gdyby w ulu i tłum.

— Co to? — zawołał pisarz, — tam się biją.

Podsunął się rotmistrz ku niemu, spojrzał wytężonemi oczyma lecz nic nie widział. — Jakoż w saméj istocie trudno było co widziéć, albowiem dymy pomieszane z kurzawą uformowały gęstą, nieprzezroczystą chmurę, która się rozłożyła na ziemi i wszystko

sobą nakryła. Widać w niéj tylko było migające błyski, to lśniącéj broni, to pojedynczych tu i owdzie wystrzałów.

— Tam się biją, — zawołał pisarz, — lecz któż to?

Jakoż rzucił w ten moment oczyma na prawo i na lewo, czy który z tych już nie okrążył Weissenfelda i nie uderzył z tyłu na niego. Ale nie. Bobrownicki na lewém skrzydle zwarł się już z prawem skrzydłem nieprzyjaciela i bił się. Wapowski wyciągał się naprzeciwko rajtaryi o błyszczących kirysach, formującéj się z flegmą do boju.

— Bądź co bądź, — rzecze pisarz, — Pepłowski niech na piechotę uderza. Kozacy za nimi! Jeszcze chwila — a ja sam tam polecę! Niech chorągwie postąpią!

Pobiegli kuryerowie z temi rozkazy — a rotmistrz rzekł:

— To Ożarowski uderzył! Patrz jegomość! Sasi zmienili front; biją się oczéwiście z piechotą.

Pisarz patrzył i mówił:

— Jeżeli to Ożarowski..... trzysta ma on, trzysta Pepłowski, sto kozaków do tego, to dosyć!

— Nie dadzą rady, — rzecze rotmistrz, — nie wiész jegomość co niemiecka piechota?

— Cicho waść! jeszcze chwila, pójdziem i my. Gdzież sam książe u diabła?

To mówiąc, biegł ciągle lunetą po całém polu, — podobno chciał Weissenfelda dopatrzyć i na niego się rzucić z całą swą siłą.

Ale wtém przybiegł kuryer na spienionym bachmacie:

— Na lewym skrzydle Trojanowski tył podał, — Litwa stanęła mężnie, ale złamana, — Bobrownicki trwa, ale się chwieje!

— Pójdę ja! — rzecze rotmistrz.

— Stać, — powié pisarz, — do tysiąc diabłów! — i zazgrzytał zębami. Poczém rzekł: — Kąkolnicki i Strasz miecznikowi na sukurs!

— Ej! w łeb temu zdrajcy, co uciekł! — rzecze rotmistrz.

A wtém drugi kuryer przybiegł z prawicy:

— Wapowski nie wytrzymał natarcia! Zdrada! Drabanci wypadli z poza lasu i uderzyli z boku na niego!

— Miljon diabłów, co to takiego? — zawołał pisarz. — Walewski i Borejko do Wapowskiego!

Wszakże zaledwie wymówił te słowa, drugi kuryer przybiega:

— Wapowski zginął! Weissenfeld tam się sam zjawił. Wapowczyki klękają!

A wtedy pisarz już nic nie mówił, tylko spiął konia, rzucił się razem z rotmistrzem na czoło trzech pozostałych chorągwi i runął boczną ulicą Wapowskiemu na sukurs.

Po jego odejściu w mieście już ani jeden żołniérz nie został. Tylko podruzgotana artylerya pociągała z ruderami swych armat na rynek i nawoławszy kowali, kołodziejów, ślusarzy, zaczęła się

tam restaurować. Pozbiegało się tam mnóstwo ludzi koło niéj, przypatrując się téj robocie, trzeźwiąc omdlałych, opatrując rannych i znosząc po kolei umarłych. Inni powychodzili na wzgórki, powyłazili na kominy i dachy, przypatrując się bitwie toczącéj się pod miastem. Ale nie wiele widzieli. Bobrownicki zniknął zupełnie z placu; powiedziano że Sasi się przedarli przez niego i popędzili na północ; miecznik, dostawszy dwie nowe chorągwie, poszedł w pogoń za nimi. Na skrzydle prawém trwała bitwa jeszcze przez chwilę, ale także niedługo; stało się tu podobno to samo, co na lewém skrzydle. Wnoszono ztąd, iż Weissenfeld nie miał wcale zamiaru bić się, tylko się przedrzéć i uciec, co mu się prawie całkiem udało. Zapłacił wszakże za to piechotą, która jeszcze do tego momentu stała na dawném miejscu. Wzięta jakoby w kleszcze przez Ożarowskiego i Pepłowskiego, ciężką podobno tam miała przeprawę. Warto było widziéć bój tak zawzięty, ale była to niepodobna; zawsze bowiem nie można było dojrzéć nic więcéj, jak tylko ogromny tuman dymów i pyłu wywracający się na gościńcu i rozpływający po polach. Czasem z téj żółtéj, jasnemi promieniami słońca oświeconéj kurzawy, wyskoczyło kilku lub kilkunastu kozaków, pobiegli w pole i znów wrócili, i utonęli w jéj falach, a nad nią podnosił się tylko głuchy szczęk, łoskot i jęki, które jak gdyby szumy niestatecznego wichru dochodziły do miasta.....

Tak minęła godzina, a może nawet i więcéj.

Poczém wszakże dał się słyszéć rozgłośny tentent na północném przedmieściu, dobiegł do rynku i tam przycichł cokolwiek. Były to cztéry chorągwie konne, a na ich czele starosta bełzki. Przybiegł nareszcie z sukursem, ale niestety! zapóźno. Dostrzegł on tego zaraz, obaczywszy artyleryą w tym stanie. Dobiegł do komendanta:

— Na Pana Boga, co jest?

— Co wmpan widzisz,—rzecze komendant zgryźliwie, — stało się zadość fantazyi pańskiéj i koniec.

Zacisnął zęby starosta i rzekł:

— No, że się wam nie udało, to widzę; ale gdzież tamci?

— Ot! już pomału wracają, który z nich jeszcze powrócić może!

Jakoż istotnie w téj chwili wszedł boczną ulicą na rynek Bobrownicki z swoimi ludźmi i Litwą. Podbiegł zaraz starosta ku niemu:

— Panie bracie! co się stało?

— Ot! co się stało! — odpowiedział miecznik spokojnie, a nawet z lekkim uśmiéchem, — brat wmpana trochę jest niecierpliwy, a to nieosobliwy przymiot na wodza. Nie potrzeba nam było téj bitwy...

— Przez Pana Boga żywego, — mówił prędko starosta, —

powiédzże mi waszmość wyraźnie, co jest. Że Weissenfeld przeszedł, wiem już, ale wielką wam zadał klęskę?

— Eh! — rzecze miecznik, — o klęsce ani tu mowy. Ot! moi ludzie! ale bez strat pewnie się nie obejdzie.....

Odetchnął trochę starosta, wszakże znów spytał:

— Gdzież jest Michał? może poszedł w pogoń. I jabym za nim poleciał.....

— Ale gdzietam! Byłbym i ja to potrafił, ale pan Michał już wraca...

— Wraca już? ha! to niéma co robić, — odpowiedział starosta i zaraz zsiadł z konia. Zsiadł także i Bobrownicki, ale ten mówił, oglądając się niespokojnie po rynku:

— Nie wiem jednak, co się tam stało z piechotą?...

Wszakże ledwie tych słów domówił, wpada pisarz na koniu spienionym, nie wita się z nikim, tylko pyta z wrzącą niecierpliwością:

— A co się tam stało z piechotą? gdzie kozacy? czy nie wrócili?

— Nie wiemy.

— Ej! panie bracie! a gdzie to pamięć waszmości! — zawołał pisarz, nanowo spiął konia i pędem wyleciał na wzgórek. Spojrzał ztamtąd na ów gościniec, patrzył przez chwilę, — poczém natychmiast odkomenderował dwie chorągwie pancerne i posłał je Pepłowskiemu na sukurs. Sam zziajany i umęczony, jakby wychodził z łaźni, wrócił nazad ku miecznikowi i bratu i także zeskoczył z konia.

— Patrzajże, mój Michasiu, — rzecze do niego starosta, — co to za wypadek fatalny! Ja pędzę przez dzień i noc.....

— Wszystko nic! wszystko nic, — odpowiedział mu pisarz, — strat niéma, owszem nawet okażą się znaczne korzyści. Ale śmierci mojego kochanego Karola ja nie odpłaczę przez całe życie!

— Wapowski zginął? — zawołali razem starosta i Bobrownicki.

Pisarz milczał, tylko dwie łzy gorące spłynęły po jego licu. Poczém uderzył się w piersi i rzekł:

— *Mea culpa! Omen* było wyraźne..... Ale co to! czy mógłem ja na to uważać? czyż to jest rzecz chrześciańskiego rycerza wierzyć gusłom i przepowiedniom?

To rzekłszy, umilkł, patrząc nieruchomemi oczyma w ziemię. Drudzy także milczeli, — tylko rotmistrz spoglądał z pod oka na niego, wąs kręcił, poruszał głową i zrazu zdało się, jakby chciał pisarzowi czynić o Wapowskiego wyrzuty; widząc wszakże jego żal taki szczéry, pocieszył go jeszcze i rzekł:

— Ha! co szkoda, to szkoda! Ale Boska w tém wola. A może też i niéma czego żałować? Ot, już ta wojna nasza się kończy, kto wié czy tak prędko zdarzy się druga; miałby tedy gdzieś umrzéć cicho za piecem? — Jam go przeżył, ale kiedy sobie po-

myślę, że tam już piszą owe traktaty, więc coby tu począć ze sobą, jak je nareszcie podpiszą..... jak mi Bóg miły, zarazbym się sam rzucił na owe weissenfeldowskie drabanty, ażebym tylko tak pięknie zginął jak on! Jak mi Bóg miły tak prawda. Co wojna, to życie, a już dziadowskie to życie choćby i w złotym spokoju!

— Prawdę mówisz, mój panie Piotrze! — rzekł na to pisarz — a toż i ja, kiedy pomyślę o tych konszachtach, bodajżebym sam był tu zginął! A co to? nie stać-to nas było na to, ażebyśmy wojnę kordem zaczętą skończyli kordem? Ale to owe przemądre głowy rozumieją inaczéj!

Tak narzekali wodzowie na oględniejszą od nich starszyznę konfederacyi, — kiedy wtém nadbiegł kuryer z pewną już wiadomością o bitwie stoczonéj przez piechotę na owym gościńcu. A była ta wiadomość wcale zadziwiająca. Każdy bowiem, od samego pisarza począwszy, był pewnym, że pozostała tam tylko jakaś cząstka saskiéj piechoty i co można z nią było w tém położeniu stoczyć najwięcéj, to jakąś drobną utarczkę, a tymczasem stoczono tam bitwę tak zawziętą i krwawą, jakiéj drugiéj może nie znaléźć w całéj konfederacyi.

Owo więc Ożarowski, lubo wten moment zawiadomiony przez Murzę, nie mógł jednak na żaden sposób zdążyć przed bitwą do Żółkwi, jak skoro wiedział, że tegoż dnia Weissenfeld ma wymaszerować ze Lwowa. Puszczając się bowiem w tę drogę choćby jeszcze przed świtem, zawsze on się narażał na to, że go Weissenfeld może doścignąć i oczéwiście zabrać z kretesem. Nie pozostało mu tedy nic innego, jak puścić się manowcami ku Kulikowu, tam się przez szpiega o Weissenfeldzie dowiedzieć i w każdym razie znów manowcami ciągnąć do Żółkwi. To wszystko zabrało mu tyle czasu, że Weissenfeld, musiał go koniecznie uprzedzić. Nie pozostał jednakże mimo to Jerzy, a idąc prawie trop w trop za Sasami, przyszedł pod miasto i tam ukrywszy się w lasku, czekał co się stanie. Weissenfeld uprzedzony o jakiéj zasadzce, zatrzymał się na polu przed miastem i jak się zdało, chciał zmienić front i ominąć tę pastkę, chcąc zaś nieprzyjaciela, który zapewne patrzył na niego z miasta, widokiem całéj swéj siły zastraszyć, rozwinął się w poprzek tak, aby mógł być w całości widzianym. Jakoż już się był zaczął rozwijać, tylko rajtarya jeszcze została, kiedy wtém pisarz przywitał go armatkami, a w ten moment zaczęli występować przeciwko niemu Bobrownicki z jednéj strony, a z drugiej Wapowski. Czy Weissenfeld był przekonanym, że to jest cała siła konfederacka, którą dojrzał na skrzydłach, czy się tak bardzo przestraszył, że postanowił dla ratowania swojéj konnicy poświęcić piechotę, rzecz niewiadoma; pewna jest wszakże, że uderzył na obadwa skrzydła w ten moment i uderzał tak, jak gdyby się tylko chciał przerznąć, okrążyć miasto i uciec. To rzeczywiście uczynił, ale piechotę swoję zostawił w sztychu. Poradziła ona sobie w piérwszym momencie i dała ognia z zabranych

ze Lowa śmigownic,—ale widząc to, Ożarowski wypadł w ten moment z lasku i uderzył na nią niespodziéwanie. Uderzenie to było nadzwyczajnie odważne, można nawet powiedzieć szalone, — bo nietylko on wiedział o tém, że piechota saska trzy razy jego siłę przenosi, ale także i o tém, że pisarz ma wszystkiego niespełna trzysta piechoty przy sobie, i przy najlepszéj chęci, po zaczętéj już bitwie na skrzydłach, nie może mu przysłać silnego sukursu. Nie wiedząc o nim naprzód, mógł nawet przez cały czas bitwy o nim nie wiedzieć i żadnego mu nie posyłać sukursu. Było to natarcie tedy dziwnie odważne i hazardowne, ale tak sobie Jerzy ułożył i tak uczynił. Skutek ztąd oczewiście był taki, że Sasi, lubo napadnięci niespodziéwanie, dali się zmieszać zaraz po uderzeniu, jednak się prędko sprawili, a mając tak bardzo przeważającą siłę, postawili Jerzemu tak silny opór, że o mało już całkiem nie uległ. Na jego szczęście przybiegł mu po chwili na pomoc Pepłowski, ale jak tylko można było najnieszczęśliwiéj. Albowiem nie uderzył na Sasów niespodziéwanie, dojrzeli go oni zdaleka, odwrócili się w jednéj połowie ku niemu, a widząc niebezpieczeństwo tak groźne, z taką wściekłością mu się oparli, że Pepłowski padł zaraz piérwszy, a z nim więcéj niż trzecia część jego ludzi. Reszta zrzucona bagnetem z gościńca, podała tył i uciekła do lasu. Wtedy znów Jerzy miał do czynienia z wszystkimi — i wtedy zażarta rozpoczęła się bitwa. Pierś się zwiérała z piersią, każdy krok naprzód trzeba było opłacać walecznością niemającą przykładu, każde uderzenie chybione opłacało się śmiercią. Jakoż nie bitwa to już była natenczas, ale rzeź najstraszliwsza. Wytrzymał ją Jerzy z całą odwagą młodzieńca, przytomnością osiwiałego wodza, a pracą wyczerpującą ostatnie siły. Sam walcząc z bagnetem w ręku, dawał ze siebie przykład tak dzielny, że nawet ranni, już prawie upadający, rzucali się z nową siłą na Sasów, przenosząc zaś wszystkich swoim wyniosłym wzrostem, był okiem wszędzie i gdzie go tylko było potrzeba, niezawodnie nie chybił. Jednakże ta przytomność i waleczność i poświęcenie. przez długą chwilę żadnego nie przynosiły skutku. Padali Sasi jak snopy, ale i Sodalisy padali; a gdyby nawet dwóch i trzech Sasów było padło za jednego konfederata, to i to jeszcze nie mogło Jerzemu zapewnić zwycięztwa. Tak wszakże nie było, a było gorzéj. Niedość tu bowiem, że Sasi ciągle w podwójnéj liczbie walczyli przeciwko niemu, lecz jeszcze nadto co chwila odrzucali się w dwóch lub trzech setkach na stronę, formowali zastęp osobny, dawali ognia do uprzykrzających się im kozaków, a potém zachodzili Ożarowskiemu z tyłu i jakby świéżo odebranym sukursem uderzali na niego. Odrzucał się i on uderzał na te zdradzieckie zastępy, zrzucał je albo garnął do wspólnéj bitwy, ale to wszystko tylko go jeszcze wyczerpywało tém więcéj i tém pewniejszy zapowiadało upadek! Jakoż była już taka chwila, że mu pot zimny wystąpił na czoło, ręce omdlały, zaczął się chwiać odrazu na kilku miejscach, kapi-

tan jeden rzucił broń i uklęknął, a drugi przebił się aż ku niemu i zawołał: — Generale! szaleństwo! wszyscy zginiemy! — Natenczas śmierć już stanęła przed oczyma Jerzemu; poddać się niepodobna, trza zginąć. — Wszakże w téj saméj chwili pomoc mu się zjawiła, jak gdyby z nieba. Ksiądz jakiś z krzyżem wzniesionym w górę przypadł na spienionym bachmacie na pole bitwy, stanął jak wryty i zawołał donośnym głosem: —Za małą chwilę sukurs przybędzie! Był to ks. Andrzéj. Jakoż istotnie w tém oka mgnieniu wypadł Polówka z owemi Pepłowszczykami, którzy uciekli, a których on wraz z ks. Andrzejem połapał z blizkiego lasu i jak grom z pogodnego nieba uderzył najpiérw na taki właśnie zastępik Sasów, który się uformował na boku, ażeby znów niespodzianie na Jerzego uderzyć. I uderzył na nich tak szczęśliwie i silnie, że ich złamał odrazu, rzucił z pagórka i zamieszał jak w garnku. Przerażeni tém Sasi, nie wiedząc nawet zapewne, co się to stało, podali tył i w rosypce uciekli. Toż w oka mgnieniu wszystko się odmieniło. Oparli się Niemcy z wściekłością, — zaczęli rzeź rozpaczliwą na nowo, — ale już bożka ich zwycięztw nie było przy nich. Przestraszeni świeżą pomocą, słabsi o wiele, padali jako drzewa podcięte, ustępowali z placu, szli w rozsypkę i uciekali. Kiedy zaś jeszcze niebawem Polówka wrócił i uderzył na nich od tyłu, — to i bitwa nie trwała dłużéj jak trzy pacierze. Kiedy chorągwie pisarzowskie przybyły, już było po wszystkiemu; Ożarowski był panem placu, czterech śmigownic i kilkudziesięciu jeńców. Połapali ich jeszcze kozacy i pancernicy cokolwiek więcéj i dopełnili do setki..... a wtedy Ożarowski ułożył to wszystko w szyk przyzwoity i pociągnął ku miastu.

Kiedy kuryer przybyły opowiedział dzieje téj bitwy stojącéj na rynku starszyźnie, to nie możono się temu nadziwić, a pisarz rzekł w zamyśleniu:

— Wszystko tu poszło jakimś dziwnym porządkiem...

Wszakże zaraz się zbudził i dodał żwawo:

— Chodźmyż tedy przyjąć Ożarowskiego. Jedyny to tryumfator dnia dzisiejszego, jakoż bardzo się cieszę, że mu to powiem własnemi usty, bom mu téż winien i to i owo od dawna...

Zaczém szli zaraz na środek rynku i tam stanęli. Pociągnęły za nimi chorągwie, ażeby także obaczyć zblizka tych niespodzianych zwycięzców, o których waleczności i męztwie już nie od dzisiaj słyszały.

Za chwilę potém nadciągnął Ożarowski w swoim tryumfie — i był to widok imponujący. Przez cały przeciąg dzisiejszéj wojny nie widziano nic podobnego; nawet najstarsi żołnierze nie mogli sobie przypomnieć, ażeby kiedykolwiek tak wyglądali zwycięzcy...

Najpiérwéj tedy, jak słusznie, nadciągnął dawny pułk Sodalisów. Powiadam wyraźnie dawny, bo go już prawie nie było. Z trzechset ludzi okładem pozostało ich tylko siedemdziesięciu sześciu w całości. Na ich czele szedł Jerzy; lecz serce wszystkim

zadrżało, gdy go obaczyli, jak w téj chwili wyglądał. Odarty tak, że na całéj jego postaci tylko kawałki wypłowiałego munduru wisiały, gdzieniegdzie nawet nie miał czém okryć nagiego ciała; z podartego obuwia, na którem krew dopiéro co skrzepła, zaledwie ślad został na nogach. Ogorzały jak mulat, był on tak wywędzony trudem, ogniem wewnętrznym i głodem, że z wiosennego młodzieńca zamienił się w szkielet prawie przejrzałego już męża; na zapadniętéj twarzy nos się wyciągnął, usta wybladły, broda się zaostrzyła i tylko oczy jasnym, promiennym gorzały blaskiem. Widać tu było na piérwszy rzut oka, przez jakie prace olbrzymie, przez jakie nędze musiał ten człowiek przechodzić, kiedy w tak krótkim czasie tyle krwi młodéj wyczerpał. Mimo to wszakże duch jego tylko o tyle wyżéj wzniósł się i zmężniał. Jakoż choć tak wyczerpany na siłach i zmęczony tak krwawą pracą, był on w téj chwili jak posąg lany z żelaza, trzymał karabin jakby przykuty w ręku i szedł, jakby dopiéro co stanął na czele swoich żołnierzy, jak na zdobycie całego świata! Za nim wszyscy, jak gdyby mu z oka wypadli, szli Sodalisy; a kiedy bębny raźnym marszem towarzyszyły ich krokom, zdawało się, że to nie ludzie, lecz bohatérskie idą posągi, zwycięztwo się unosi powietrzem, a ziemia drży pod ich stopami!

Więcéj już nie widziano, po nich trudno było co widzieć.

Toż kiedy miecznik tak Jerzego obaczył, jakiekolwiek tam były jego usposobienia dla niego, łzy mu trysnęły strumieniem z oczu, wyciągnął ramiona ku niemu i milcząc oniemiały wzruszeniem, rzucił mu się na szyję.....

Razem z nim pisarz rzucił się do starosty.

Starosta milczał, lecz otarł skrycie łzę z oka, a nawet rotmistrz sam strzepnął palcami i rzekł do siebie:

— Niechże go kat..... jużci co prawda, to prawda.

— A co, panie Piotrze! wodę nam wozić za nimi!

Ale rotmistrz już był przy Jerzym. Prawie go wydarł z obięć miecznika, a ściskając za rękę powyżéj kostki, zawołał:

— Czołem panie siostrzeńcze! Niechże cię Pan Bóg ma w swojéj opiece, jakeś się wyczerkiesił. Otóż to tak, to rozumiem. To jest pole dla prawdziwego szlachcica, ale nie szlifowane posadzki regałów!... *salvo honore* waszmości. Nie bierzże mi za złe, żem tak nie rozumiał o tobie, jako dziś widzę; aleć już widzę, a co rozumiem, nie potrzeba powiadać..... Powiem ci tedy to tylko, że już nam starym podobno za piec, kiedy są tacy młodzi. A to jest wiele, bom téż jeszcze tego nie powiedział nikomu...

Uśmiéchnął się na to Jerzy radośnie i chciał dziękować, kiedy wtém pisarz ze starostą i inni oficerowie przystąpili do niego, a pisarz podał mu rękę i rzekł:

— Mości generale! dajże mi rękę, niech ją uścisnę podwójnie, raz, żeś mi przyszedł z tak serdecznym sukursem, a powtóre, żeś tak sowicie pomnożył chwałę téj naszéj sprawy. Mam téż

i grzéch na sumieniu przeciwko tobie; miałem cię przecież w niewoli! Niezupełniem ja temu winien.....

Tu Jerzy przerwał Potockiemu z pośpiechem, a nie dopuszczając dalszych tłumaczeń, sam go jeszcze usprawiedliwił, mówiąc wyraźnie, że niéma o to do niego żadnéj pretensyi, bo wié, że nie mógł postąpić inaczéj.

— Jużci on nie mógł,— rzecze starosta,—bo nic nie wiedział. Ale przecież tak grube nieporozumienie nie powinno było miéć miejsca; bo kiedy wmpan stałeś w tak blizkich stosunkach z przyjacielem swoim jmć panem Branickim, o czém nawet sam Ledóchowski wiedział od samego początku, to i my powinniśmy byli wiedzieć o wmpanu, żeś jest nasz, chociaż niby na oko trzymasz z hetmanem..... Ale nam o tém nikt nie powiedział....

— Panie starosto! — przerwał Ożarowski, — dajmy temu już pokój. Pan Bóg to sam kierował temi sprawami i podobno, jak wszędzie tak i tu, wiedział co robi..... Ale powiédzże mi wmpan z łaski swojéj, wiadomoż to było panu Ledóchowskiemu, jakie były moje stosunki z Branickim?

— Co do joty wiadomo, mogę wmpanu zaręczyć, a nawet mam na to dowody, które téż zaraz mu złożę.

To mówiąc, wziął zaraz Jerzego na stronę, opowiedział mu krótko i zwięźle jak zostawił sprawę konfederacyi w dzień swego wyjazdu i oddał mu wreszcie list własnoręczny od jéj generała marszałka. Odczytał Jerzy ten list z ciekawością, a na jego twarzy rozlały się promienie radości. Cóż to za nagła zmiana w jego losach i wszystkich dotychczasowych stosunkach! — Ledóchowski oddaje mu cześć za jego dawne zasługi względem konfederacyi, które zna najdokładniéj, boleje nad tém, iż dla niemożności skomunikowania się z nim nie mógł mu oddać téj cześci już dawniéj; boleje daléj nad owemi nieszczęsnemi nieporozumieniami, które zaszły pomiędzy nim a konfederacyą i tyle mu przyniosły boleści; rozwodzi się széroko nad obecnym stanem téj sprawy i jéj zamiarami a na końcu dodaje:

„Zapraszam tedy jw. pana i zalecam mu najsolenniéj, ażebyś nie tracąc ani jednego momentu czasu, *eo instante* do nas pospieszył. Służyć walecznie Marsowi potrafi i każdy inny; jakoż gdybyśmy na téj drodze mogli osięgnąć zamiary naszéj konfederacyi, bylibyśmy próżni frasunku: aleć to właśnie inna droga się otwiéra przed nami, a ludzi takich, którzyby teraz mogli posłużyć ze skutkiem, ludzi światłych, obeznanych z wiadomościami *status* i mogących postawić czoło praktykom osiwiałych na swojéj służbie ministrów, brak nam jest wielki. Dlatego téż wyglądamy jw. pana tém niecierpliwiéj, a nie wątpiąc ani na chwilę, że nas nie omylisz w nadziejach naszych, zachowujemy krzesło gotowe dla niego," i t. d.

Odczytawszy to pismo do końca, Jerzy się zamyślił na chwilę.

— Cóż waszmość myślisz? — spytał go niecierpliwie starosta.

— Nowe to dla mnie są rzeczy, — rzekł Jerzy, — sam jeszcze nie wiem...

— Ale zmiłuj się, generale, — rzecze mu prędko starosta, — tylko się namyślaj a jedźmy. Wmpan jeszcze nie wiész dokładnie, w jakich tam nasza konfederacya obrotach, całe wojsko wre jakby ukrop, chce się koniecznie bić daléj, a są nawet i tacy, którzy się wcale nie tają z intencyami szwedzkiemi. Czy waszmość nie wiész, dokąd nas dzisiaj zaprowadzić może ten zapał nieznośny, jeśli go nie ochłodzim z jaknajwiększym pośpiechem? A ochłodzić go możem tylko raźnie zawartym traktatem.

— I o Szwedzie już myślą? — rzekł na to Jerzy z uśmiechem, — wmpan chyba żartujesz.

— Ale jak ciebie kocham, mój generale, tak mówię prawdę, jak jest. Straszliwy ferwor jest w wszystkiém wojsku. Już i na samego Lehóchowskiego sarkają, a zamierzony traktat to prawie zdrada...

— Ha! to trza jechać, — rzekł Jerzy, — no, ale jakże tu zrobić? Tyle mi ludzi tutaj poległo, tyle jest rannych, a i ci, którzy zdrowi, potrzebują zaopatrzenia...

— Oto się waszmość wcale nie frasuj. Jedź tylko. Twoich ludzi weźmie tymczasem pod opiekę mój brat.

A to rzekłszy, zbliżył się zaraz starosta z nim razem do pisarza, który tymczasem Ożarowskiego żołniérzy i śmigownice oglądał, i opowiedziawszy mu rzecz, dodał na końcu:

— Przecież ty tych żołniérzy potrafisz pomieścić i zaopatrzyć jak trzeba.

Pokręcił na to wąsa pan Michał, spojrzał na Ożarowskiego z pod oka i rzekł:

— Jużci ja tych żołniérzy przyjmę, ba! z otwartemi rękami. Ale koniecznież-to wmpanu lecieć na te konszachty?

Widział tu tedy Jerzy już z tych słów kilku, że mu prawdę powiedział starosta. Ale przekonał się o niéj jeszcze tém jawniéj, kiedy w krótkiéj rozmowie, która się ztąd wywiązała, Michał Potocki rzekł nawet wcale otwarcie:

— Co wy tam temi traktatami zrobicie! Nie pora to do traktatów, i jakom żyw, na nic się nie przydadzą.

Usłyszawszy to, Ożarowski nie potrzebował się już wcale nad swoją podróżą namyślać. Byłci on wprawdzie, i z daleko głębszych powodów, i zapewne daleko gorętszym przyjacielem sprawy stanisławowskiéj; lecz podniesienie teraz téj sprawy nanowo, — teraz, kiedy Szwed tylko czekał na to i kiedy właśnie z obawy jego nowego najazdu osiemdziesiąt tysięcy wojsk rossyjskich stało na granicach Rzeczypospolitéj polskiéj, — było taką niedorzecznością, że godziło się choć życie poświęcić, ażeby jéj nie dopuścić. Zrozumiawszy to, Jerzy nie wahał się już ani chwili z podróżą. Jakoż ominąwszy zręcznie daleką o tym przedmiocie dyskusyą,

począł natychmiast oddawać Potockiemu resztki swojego wojska, oddawał mu potém rannych, których przywieziono z pobojowiska, oddawał mu nareszcie poległych, zostawionych na polu, z którymi rozstanie się głęboką go przejęło boleścią, zaléwając twarz jego rzewnemi łzami...

— Pochowajcie braci waszych z taką samą miłością, —rzekł on do pozostałych, — jaką oni was otaczali za życia. Oddajcie im cześć tę, na którą zasłużyli swoją waleczną śmiercią. Bóg niech ich przyjmie w swoję świętą opiekę, a wasza korna modlitwa niechaj temu dopomoże! — Serce mi się rozdziéra ze żalu, że nie mogę sam być na tym obrzędzie; ale służba mnie powołuje gdzieindziéj... Zaczém bywajcie zdrowi! i chowajcie mnie w swojéj pamięci, dopóki znowu się nie zejdziemy, aby da Bóg! w miłym spokoju przypomnieć sobie te krwawe trudy, przez które miłość wzajemna i wierność nas prowadziła do chwały, i uronić łzę wspólną nad grobem tamtych, którzy lepsi od nas i waleczniejsi, przy naszym boku polegli!...

To rzekłszy, rzucił się w ramiona stojącemu u brzegu Poléwce, a reszta jego żołniérzy głośnym się płaczem zalała.

I była cisza przez małą chwilę na całém mieście.

Wszakże w ten moment gwar się zrobił między starszyzną,— nowi zjawili się goście. Przyjechał ks. Rupniewski ze Lwowa, Murża u jego boku, a z nim cały pęk braci szlachty, którzy się byli zgromadzili we Lwowie, a teraz, dowiedziawszy się o stoczonéj bitwie, pędem tutaj przybiegli. Rozmawiano tedy rozgwarnie, opowiadając sobie nawzajem, co się stało, co się stać mogło, a czego szkoda że się nie stało. Przy téj rozmowie Ożarowski był dziwowiskiem dla wszystkich, każdemu się musiał spowiadać, zaledwie głosu mu stało. Śród tego czasu przywieziono zwłoki walecznego Wapowskiego — a tak znów nowy rozgwar się zrobił i żal nowy się rozniósł nad stratą ukochanego przez wszystkich młodzieńca. Wszyscy otoczyli go kołem, a ani jednego oka nie było, któreby łzami nie zaszło. Któż go nie znał, kto jego cnót niezrównanych nie cenił, kto całém sercem nie kochał? Któż nareszcie nie wiedział, że on zaledwie przed dwoma laty z dawno kochaną złączył się żoną, z jakim żalem ją rzucał, jak zawsze tęsknił, ażali ją prędko obaczy — i nigdy już nie obaczył! — Wiedział o tém i zacny sufragan, bo był mu krewnym, i z wyrazem głębokiéj boleści stał nad jego zwłokami. Zwrócił się potém raźnie do starosty bełzkiego, który stał przy nim wraz z Ożarowskim, i rzekł:

— Otóż i straszna ofiara nadpotrzebnego zapału! Nie wojny nam już potrzeba, ale na miłość Boga spokoju. Ażaż nie dosyć już krwi wypłynęło najlepszéj? — Jedźcież tam, jedźcie a śpiesznie, i gdyby nawet przyszło tu i owdzie ustąpić, ustąpcie a ucieszcie ten biédny naród, który od lat piętnastu krwią się zaléwa, pożądanym spokojem. Jedźcie i radźcie — a my tu za was będziemy

trzymać na wodzy tych zapamiętałych szaleńców, których na nasze nieszczęście jeszcze i dzisiaj nie braknie.

— Siadajmy, jedźmy, — zawołał na to starosta i zaraz żegnał się z sufraganem. Poczém żegnał się z bratem i innymi z starszyzny. Żegnał się także i Jerzy, ale się ciągle oglądał: Bobrownickiego szukał, którego jakoś nie mógł dojrzéć w tym tłumie...

Dojrzał go wreszcie, skoczył ku niemu, ujął go raźnie za rękę i rzekł:

— Panie mieczniku dobrodzieju! czas na mnie wielki, zaczém bywajcie zdrowi! Po długich latach zeszliśmy się nareszcie, ale tylko na małą chwilę. Tum jest, za oka mgnienie już mnie nie będzie — i kto wie, kiedy znów się zejdziemy! Spodziéwam się przecież, iż mi dlatego nie odmawiacie swojéj dawnéj przyjaźni: Jest téż już nieomylna nadzieja, że lada dzień skończy się wreszcie ta moja włóczęga, a wtedy bez odetchnienia polecę do was, ażeby za waszą łaską odpocząć pod waszym bokiem na zawsze... Cóż, nie gniéwacie się na mnie, mój ojcze?

— Ależ proszę cię, — rzecze mu miecznik, co ci się marzy o gniéwach? Kto tak gorąco służy, ten od wszystkiego wolen. Ażaż widziałeś to kiedy po mnie, ażeby sprawom pospolitego dobra przedkładał jakąkolwiek prywatę? Zaczém jedź, prędkim a rozumnym traktatom pilnie pomagaj i niech Pan Bóg da szczęście!

Widział tu Ożarowski, że jakoś miecznik żegnał go trochę zachłodno, — ciężko mu się zrobiło na sercu, byłby rad został przy nim choć na godzinę, — ale natenczas nie miał już do stracenia ni chwili; starosta go już trzymał pod ramię, zaraz téż wziął, zawiódł do swego powozu i kazał ruszać natychmiast.

Za chwilę potém Jerzy już był na szérokim gościńcu do Lublina wiodącym, a w Żółkwi poczęto czynić przygotowania do smutnego pogrzebu poległych.

* * *

Tymczasem rozpoczęty w Lublinie traktat agitował się już od kilku tygodni. Odprawiającym się konfederacyom przewodniczył dawno przewidywany pośrednik, którego zastępował kniaź Dołgoruki, z obudwóch stron zasiedli liczni komisarze delegowani, schodzono się na narady jak tylko można najpilniéj i były z obu stron niby najszczérsze chęci doprowadzenia zgody do skutku, — ale pomimo to wszystko rzeczy te szły nadzwyczajnie opornie i nie było w nich widać najmniejszego postępu. Nie mogło wszakże dziać się inaczéj przy tak ważnych i rozmaitych przeszkodach zkąd inąd. I tak najpiérwéj jedną z naj-

ważniejszych przeszkód to było, iż skonfederowane stany wysłały ze swojéj strony zanadto wielką liczbę pełnomocników: sama Litwa wyprawiła od siebie dwudziestu cztérech, inne prowincye jeszcze daleko więcéj. Byli ci ludzie bezwątpienia najlepszych chęci, lecz byli wszyscy tak rozdrażnieni przeciwko Sasom, tak każdéj krzywdy najmniejszéj pamiętni, a przytém co do żądań postawić się mających tak między sobą niejedni, że każde posiedzenie, choćby najpiękniéj zaczęte, pod wpływem tak licznych a różnorodnych namiętności, zamieniało się w sejmik, z sejmiku w zbiegowisko bezładne, a w końcu rozchodziło się, nic nie zrobiwszy. Drugą także nieobojętną przeszkodą była ta okoliczność, iż niektórzy panowie, lubo dotychczas bezczynni, jak tylko się dowiedzieli o rozpoczętych traktatach, najechali Ledóchowskiego, to narzucając mu się jako doradcy, to snując około niego nieprzeliczone kabały: a kiedy jedni z nich przędli najrozmaitsze matactwa na korzyść sprawy królewskiéj, drudzy znowu przeciwnie burzyli jego samego, otaczającą go starszyznę i całe wojsko do dalszéj wojny, forytując nawet dość jawnie sprawę Leszczyńskiego, sojusz z Szwedami i detronizacyą Augusta. Zbiegowisko to koło niego wzrosło nawet za czasem do tego stopnia, że przyjechał nareszcie i hetman Sieniawski, Rzewuski wojewoda podlaski, Pociéj hetman litewski, Lubomirscy, Sapiehowie i Jabłonowscy, a wszyscy nietylko z nieprzejrzanemi chmurami dworaków i popleczników, ale nawet z żonami, tak że miasteczko Łęczna, pod którém Ledóchowski w téj chwili stał ze wszystkiemi wojskami obozem, nie było w stanie tych gości ani w połowie pomieścić i niejeden dwór pański musiał szukać schronienia w wiosce sąsiedniéj, lub obozować pod gołém niebem jak wojsko. Generalny marszałek tedy, znalazłszy się w takiém oblężeniu, najeżdżany co chwila przez panów, napadany w własnéj kwaterze przez damy i zgoła. oplątany ze wszystkich stron niezliczonemi sieciami matactwa, nietylko nie mógł skutecznie wpływać na bieg konfederacyi, ale nawet i krokiem nie mógł się ruszyć z obozu, który burzony i podpalany przez malkontentów, mógł się lada chwila istotnie dać zburzyć i zrobić jakiś krok taki, po którym o konfederacyach aniby myśléć nie było można. Nie obeszło się téż w saméj istocie bez burz i gwałtów; hetman litewski Pociéj, napadnięty w Łęcznéj przez Litwę, zaledwie życie uniósł w całości, uciekłszy nocą z kilką swoich dworaków; tak samo hetman Sieniawski byłby bezwątpienia padł ofiarą rozruchu, gdyby go znowu wojewoda krakowski nie był zasłonił swoją własną osobą... Wszakże największą niezawodnie przeszkodą do porządnego rozwoju poczętych konfederacyj w Lublinie była owa zawzięta nienawiść, która miotając obustronnemi wojskami, pomimo zawartego rozejmu, dotychczas jeszcze w ciągłéj utrzymywała je wojnie. — Wprawdzie Ledóchowski, znając dobrze tę obustronną nienawiść, ściągnął był pod Łęcznę około pięciudziesiąt tysięcy wojsk konfederackich, — tak samo zrobili Sasi i zgromadzili się teraz pod

Markuszewem, — ale oprócz tych sił było jeszcze niemało innych rozproszonych po kraju a tamte, gdzie się tylko dopadły, szły z sobą w czuby bez najmniejszego względu na rozejm i konfederacye. Nie brakowało nawet na gwałtach, na ekscesach i akcyach wojennych takich, które zaćmiły sobą najważniejsze wypadki samójże wojny. Tak np. pod Sandomierzem porwali Sasi kasztelanica Łaściszewskiego, który się z garstką ludzi tamtędy uwijał, i powiesili w Sandomierzu na rynku. Tak wypadli oni z Krakowa na Wiśnicz i Lubomirskiemu, staroście sandomierskiemu, zrabowali skarbiec do szczętu, z którego do sześciu milionów do Saksonii wywieźli. Tak zrabowali także okolice Krakowa, Częstochowy, Poznania. Wzamian zaś za to Gniazdowski, urosłszy do tego czasu do pięciu tysięcy, obległ Poznań, wziął szturmem miasto, srodze się pomścił na Sasach i zdemoliował świeżo co przez Augusta wzniesione fortyfikacye do szczętu. Poszedł potém na Toruń; także go wziął, a rozrzuciwszy się po okolicy tamtejszéj, gdzie jeszcze była jaka komenda saska, napadał na nią, bił i wytępiał.

Śród takich okolicznosci, oczéwiście że konfederacye nie mogły się agitować spokojnie i postępować ku zamierzonemu celowi.

Barbarzyński postępek Sasów z Łaściszewskim, rabunek Wiśnicza i inne podobne gwałty oburzyły umysły konfederatów do najwyższego stopnia: z drugiéj znów strony wzięcie Poznania ze znaczną stratą, a jeszcze daleko większym wstydem dla armii saskiéj, jak niemniéj dalsze Gniazdowskiego zwycięztwa, nie mogły jak tylko taki sam wpływ wywrzéć na Sasów. Jakoż zamiast się zgodzić, srożono się tylko na siebie coraz zawzięciéj, wyrzucano sobie nawzajem bezprawia, grożono zemstą i czasem całe posiedzenie mijało tylko na cierpkich skargach i wcale niepowściągliwych wyrzutach. Widząc to, książe Dołgoruki opuścił Lublin, udając się niby do Warszawy do króla, — Ledóchowski zaś z swojéj strony wyprawił także posłów do króla, prosząc o inne instrukcye dla komisarzy stawających ze strony królewskiéj. Król nie widział się podobno zupełnie z księciem, lecz niespodzianie od konfederacyi poselstwo przyjął bardzo uprzejmie; obiecał sam przybliżyć się do koła obradujących, zapewnił ich piśmiennie o najlepszych chęciach ze swojéj strony, a nawet Tarłę, podstolego litewskiego, lubo to był jeden z najgorliwszych konfederatów, a razem poseł od konfederacyi do niego, sam z swojéj strony upoważnił do prowadzenia téj sprawy ku zgodzie. Zaraz téż po odebraniu téj odpowiedzi królewskiéj ruszyły się wojska konfederackie w okolicę Krasnego-stawu, Sasi przeszli za Wisłę z całym swoim obozem, a konfederacye przeniosły się do Kazimierza dolnego. Jednocześnie zjechał król do Janowca, ażeby swym własnym wpływem torować drogę do porozumienia i zgody — a zarazem i konfederaci usunęli z swéj strony jednę walnę przeszkodę, zmniejszając

liczbę swych komisarzy, dając im dokładniejsze instrukcye i obostrzając ich obowiązki przysięgą. Jednakże nawet i te ułatwienia na nic się nie przydały. — Przedewszystkiém bowiem nowa się nastręczyła przeszkoda. Oto kniaź Dołgoruki na te nowe obrady nie zjechał, zabawiwszy się dłużéj od samego króla w Warszawie, albo może gdzieindziéj. Król, obrażony podobno, chciał z tego zdarzenia skorzystać, sam zawrzéć traktat z narodem. — Lecz Ledóchowski, mając na pamięci już nieskończone zatargi szwedzkie, już to zawartą w Gdańsku z Piotrem Wielkim o pośrednictwo umowę, nie chciał, ba nawet nie mógł tego na żaden sposób dopuścić. Zamiast więc traktowania o rzeczy saméj, zajęto się głównie sporem o pośrednictwo, który nareszcie doprowadzono do tego stopnia, że król się zniecierpliwił i nazad do Warszawy odjechał. Przybył wprawdzie jeszcze przed jego wyjazdem kniaź Dołgoruki, ale już tylko o tyle rzecz pospołu naprawił, że strony obradujące postanowiły przenieść się do Warszawy.

Poczęto tedy nanowo obradować w Warszawie, lecz po staremu z wielką niezgodą. Zanadto wysoko wzniosła się swemi zwycięztwy konfederacya, ażeby nie miała żądać tego wszystkiego, co żądać mogła: a zanadto znów August uniósł się w swoim uporze, ażeby mógł był tak prędko dać się uchodzić i tak obszérnym wymaganiom ustąpić. Jakoż bardzo jeszcze daleko było natenczas do wzajemnego zbliżenia, a były chwile, w których obydwie strony zaczęły już tracić nadzieję, a nawet stroić się tu i owdzie do rozpoczęcia kroków wojennych nanowo. Wszakże pod ową porę zaszły dwa całe niespodziéwane zdarzenia, które lubo na pozór niewiele ważne, a jedno z nich nawet całkiem uboczne, wywarły jednak dziwnie uśmierzający wpływ na zżeleźniałe w swoim uporze obustronne umysły. Oto najpiérw Gniazdowski, wdawszy się w niepotrzebną bitwę z Sasami pod Kowalewem, poniósł klęskę, może nietyle znaczną, lecz nadzwyczajnie dosadną; a w tymże samym czasie król August, bawiąc się z młodym niedźwiadkiem, przysłanym mu w podarunku z Kobrynia, tak ciężko został skaléczonym od niego, że musiał się położyć do łóżka. Ułagodziła tedy umysły konfederatów klęska pod Kowalewem, ułagodziła króla dolegliwa choroba, — a tymczasem, dzięki zapewne owéj podróży księcia Dołgorukiego, wojska rossyjskie, odwołując się do umowy zawartéj w Gdańsku, weszły w liczbie osiemnastu tysięcy w granice Polski. Wypadek ten może najskuteczniéj ze wszystkich wpłynął na przyśpieszenie zgody, — która téż w saméj rzeczy w piérwszych dniach listopada została doprowadzoną do skutku.

Tak została nareszcie zawarta długo oczekiwana zgoda, — rzecz bardzo ważna; — ale któż tego nie wie, że w Polsce ówczesnéj zawsze daleko łatwiéj bywało o zgodę na rzecz samę, niżeli o zgodę na formę? — Otóż tak samo stało się także i z owym sławnym traktatem. Przez trzy miesiące targowano się jeszcze ze

sobą, zanim spisano dokument pełen form i foremek i zanim przystąpiono do ratyfikacyi. Dlatego też formom uczyniono zadość jaknajdokładniéj. Ubezpieczono honor narodu najskrupulatniéj, obwarowano teraźniejszość od nadużyć królewskich najpilniéj, ubezpieczono nawet dawne prawa narodu na przyszłość, — lecz niemniéj przeto usłużono narodowi tylko dorywczo i jednostronnie. Usunięto tam bowiem przyczyny złego te tylko, które widziano naocznie, które leżały w rządzie, — ale o dalszych, właściwszych, tych mianowicie, które miały swe źródło w moralnym upadku, ciemnocie i rozpasaniu się szlachty, ani mowy nie było. Odświeżono Pacta Conventa, poprzysiężono na nowo wierność królowi i dano sobie obustronną amnestyą,—ale ażeby jakiemiś wspólnemi myślami i widokami na przyszłość związać się ściśléj, szczérzéj, serdeczniéj ze swoim monarchą, o tém wcale nie pomyślano. Obwarowano świętość i nietykalność wiary i wymówiono sobie, ażeby nowo wzniesione zbory luterskie zostały zburzone, — ale o wskrzeszeniu nauk upadłych, o środkach rozszérzenia oświaty, ożywienia omdlewających akademij, wzniesienia szkół nowych ani wspomnienia nie było. Ułożono na dnie i godziny wyjście wojsk saskich, opisano liczebnie, jaką gwardyą przyboczną ma król postawić przy sobie, a nawet ukrócono do niepoznania dotychczasową władzę hetmanów, — ale o postawieniu armii stojącéj, wówczas już jak powietrze i woda niezbędnéj, ani wspomniano — a nawet dotychczasowe wojsko całéj Rzeczypospolitéj polskiéj zmniejszono do osiemnastu tysięcy. — Napróżno, tak przy konferencyach, jak i w kołach prywatnych, odzywał się Ożarowski, napróżno go popiérali jego przyjaciele, — ani ich słuchać chciano i zakrzyczano. Myśli takie były jeszcze natenczas nieprzystępne nikomu; były to mrzonki zamorskie, wizye schorowanéj fantazyi, Morusowskie utopie! Cały naród był tego zdania, jak je niegdy wypowiedział ks. Rupniewski: Chwalić Pana Boga, wiarę chować ojcowską, pilnować praw starodawnych, fakcyj nie robić, ekscesów się nie dopuszczać, czyż to nie dosyć? — Jakoż na tém przestając, nie myślano o niczém więcéj, jak tylko ażeby spisany nareszcie traktat mógł być ratyfikowanym co prędzéj i żeby skończyć tę sprawę. Stało się też to w saméj istocie w ostatnim dniu stycznia: a dnia następnego uczynił Ledóchowski wjazd tryumfalny z Pragi do Warszawy i zajechał najpiérw na nabożeństwo solenne do bernardynów. Ztamtąd udały się skonfederowane stany na zamek, gdzie król, otoczony senatem zgromadzonym in pleno, oczekiwał przybywających. Za ich wejściem zgromadzenie to, skutkiem osobnego artykułu zawartego w traktacie, zamieniło się w sejm pacyfikacyjny po wszelkiéj formie. Zaczém natychmiast, skoro tylko Ledóchowski, teraz już jako marszałek sejmowy, powitał króla i odebrał odpowiedź od tronu z ust kanclerza w. koronnego Szembeka, przystąpiono do odczytania traktatu, — i na tém całą te solenność skończono. Chcieli i ci i owi po staremu zabiérać głosy, ale im

tego nie dopuszczono. Natomiast Ledóchowski złożył u stóp tronu godła swéj władzy i krótką mową króla pożegnał. Przystąpili wszyscy koleją do pocałowania ręki królewskiéj — i na tém skończyła się konfederacya tarnogrodzka. I skończył się razem z nią sejm, sejm sławny w dziejach, dla krótkości swojéj *siedmiogodzinnym*, a dla milczenia sejmujących nazwany *niemym*.

Po zakończeniu sejmu wydano festyn wspaniały, illuminowano miasto i strawiono całą noc na serdecznych uściskach. Nie było już nieprzyjaciół, zatarto złości i nienawiści, zapomniano wszystkie urazy: otworzyły się serca i zlały z sobą jakoby w pieśń jednozgodną, bo téż w nich wszystkich jedno tylko panowało uczucie.

XXVI.

Hej! wesołeż to były zapusty, które nastąpiły po téj konfederacyi! Gdzie jaki dach był, gdzie jaki taki antałek, gdzie choćby jaki skrzypiciel, co do wieczora dopomagał szewcowi naprawiać buty żołniérzom, tam już pewnie hulano i pito przez całą noc. A gdzie się téż nie znalazło to troje? — Porujnowali wprawdzie drapieżni Sasi domy, powysuszali piwnice, przepłoszyli nawet i skrzypicieli, ale przecież za łaską Bożą i domek się jakoś podłatał, i antałek się jeszcze gdzieś w zakamarku wynalazł i o grajka, kiedy go trzeba, u nas nietrudno. Choćby téż przyszło i pod gołém niebem pohulać i w krynicy gasić pragnienie, i zaśpiéwać do tańca, to i tak jeszczeby pohulano i pewnieby nogi nie omdlały do świtu. Aleć się przecie jeszcze to wszystko, co do tańca potrzeba, znalazło. A tak hulano suto po wszystkich dworach, dzień w dzień, noc w noc, — gdzie brakło pokarmu, napitku, światła, jechano kuligiem w sąsiedztwo, a kiedy i tam okazały się pustki, to daléj! I gdyby było podówczas wyleciéć ptakiem, toby się było zdawało, że w całéj Polsce same się odprawiały wesela. Jakoż i wesel było prawie bez miary, bo żeniła się młodzież jak opętana, biorąc panny tak raźnie, że gdzie ich brakło, to się i wdowom dostało. Jakoż urosło natenczas przysłowie: że która dziéwka w tym siedemnastym roku za mąż nie wyszła, téj chyba już do klasztoru. U księżnéj Woronieckiéj w Janiewicach, jak się każdy łatwo domyśli, od samego początku zapust była jak gdyby ciągła reduta. Dwór był obszérny, komnaty duże, szkatułeczka niepróżna, wdóweczka piękna, ochotki dosyć, więc téż i drzwi się nie zamykały przed całemi chmurami gaszków, którzy tam zajeżdżali. Przez

jakiś czas zrazu wstrzymywała się trochę pamiętna dawnych affektów kniahini, sama nie tańcowała, wzdychała smętnie, wyglądała przez okno i mawiała do miecznikowéj:

— Wszyscy już powrócili, a mego jak niéma tak niéma! Zawieruszył się gdzieś bałamut i pewnie już nie powróci!

I tak tęskniła przez cały tydzień. Lecz kiedy z każdym dniem coraz więcéj wracało szlachty, ten i ów wstąpi, a każdy o rotmistrzu powiada, że wyjechał z pod Warszawy na Ruś, to i przestała tęsknić nareszcie, opłakała swojego zdrajcę rzewnemi łzami i puściła się w taniec z innymi. Wrócił nareszcie i miecznik, także coś osmucony; więc żeby go rozweselić, dała kniahini obiad u siebie, a potém miały być tańce i pohulanka, jak zwykle. Zjechało się gości huk do kniahini, miecznik z całym swym domem, wszyscy sąsiedzi, ba, i dalszych cokolwiek, bo księżna miała bardzo obszérne relacye. A przyjechał tam także i jmć Trojacki, dawniéj konkurent o wszystkie panny, ale od roku najniższy sługa tylko saméj kniahini. Ciężko on wzdychał do pięknéj wdówki, co drugi dzień przysyłał swaty, obszérne obiecywał zapisy, a wreszcie chciał bodaj wszystko jéj oddać zaraz po ślubie, — ale jakoś i to mu nie pomogło. Niebardzo bystro spoglądała na niego kniahini, ale się zdecydować nie mogła. Tłumaczyła się tém, że pięćdziesiątkę już przeszedł, że haniebnie jest łysy, że przygarbiony, a nadewszystko że człek nie wojenny; trudnoż jéj kochać piecuchów, kiedy jest tylu rycerzy. I przyznawano jéj słuszność i powiadano: „że jeżeli z téj racyi, to i niéma co mówić." Tylko jeden ksiądz gwardyan, kiedy go jmć Trojacki na konsultacyą zaprosił, a zdarzało się to co tydzień, zważywszy cirkumstancyą, uderzał w tabakierę, a podawszy mu sandomierki prawdziwéj, powiadał:

— Trwaj tylko jegomość statecznie w swoich intencyach do końca; bo to uważasz jegomość, zje pies psa, kiedy nie ma barana, jako już jest eksperyencya.

Trwał tedy imć Trojacki statecznie i dotrwał rzeczywiście do końca. Boć to i koniec był teraz na prawdę; z walecznych rycerzy nikt się nie trafiał, a wierutnego zdrajcy jeszcze zawsze nie było. Przebąkiwano nawet, jakoby rotmistrz wrócił się ze wsi swojéj z nad Dniestru, dokąd się udał był jeszcze z Krasnegostawu i bawił teraz na Sędziszowie, gdzie go pan Michał Potocki miał żenić ze swoją krewną. Była wieść nawet, że za protekcyą Potockich król mu miał konferować jakąś tam kasztelanią drążkową, żeby to przecież, koligacąc się z takim domem, miał z czém wystąpić do ślubu. Dowiedziawszy się o tém, jmć Trojacki na dzień dzisiejszy już z kapelą przyjechał, dosyć suto, ba poprostu paradnie. Widząc tę tam paradę, przebąkiwali drudzy, że już to podobno w konkury, ale na prawdę nikt o niczém nie wiedział. Aż tu zaledwie pozbiérano ze stołu, wchodzi kapela, zaczynają grać odrazu wielkiego; przystępuje kawaler do gospodyni, prosi ją

w taniec. Poszła z nim, poszli za nią i drudzy, nawet i miecznik sam rzucił troskę o ziemię i poszedł w tan za drugimi. Hulają, piją z jakie pół godziny albo i więcéj, młodsi śpiéwają, starsi przyklaskują rękami i podrygują, — kiedy wtém miecznikowa skinęła ręką na męża, ażeby ku niéj przystąpił. Zbliżył się do niéj, a ona pyta:

— Uważasz Jasiu, jakie to pieśni śpiéwają?

Posłuchał miecznik, ba! pieśni wcale weselne. Spojrzą tedy za kniahinią — a przed nią swaty. Kasztelan sam prawi oracyą, niecierpliwy Trojacki stoi tuż przy nim, składa ręce, modli się jak do świętego obrazu. Chwycił ją wreszcie za rękę, pocałował smacznie i raz i drugi, i poszedł w taniec. A tu tymczasem huk ogromny po sali, przynoszą coraz większe puhary, naléwają, piją, wykrzykują wiwaty, że aż się ściany rozchodzą. Skoczył tedy miecznik wraz z żoną, zastąpił drogę kniahini:

— Pani siostro! przez Pana Boga, powiédz że nam co to jest, bo siedzimy jak na niemieckiém kazaniu, a przecieżeśmy ci krewni najbliżsi.

A na to kniahini:

— Ale jak ciebie kocham, braciszku, tak nic. Ot, bawi się jmć Trojacki, jak mu każe fantazya, a ja mu téż nie przeszkadzam.

Złożył na to ręce Trojacki, modli się, mówi:

— Królowo moja! już-że mnie nie odtrącaj od siebie. Wżdy to za trzy tygodnie już i zapust przeminie.

Śmieją się na to wszyscy, a miecznik rzecze:

— Radbym i ja téż podskoczyć na tém weselu, ale cóż! boję się, żeby mnie za to potém nie pociągniono do odpowiedzialności. Jakoż i tobie to mówię, że godziłoby się jeszcze poczekać. Bo to kto orze i sieje i siedzi w ciepłéj komnacie, temu o nagrodę nie pilno; ale kto o głodzie i w trudzie wytrząsł się przez lat kilka na twardéj kulbace.....

Nie dał mu już Trojacki domówić, tylko skoczył ku niemu jak ryś:

— Panie mieczniku dobrodzieju! jeżeli Pana Boga kochasz, daj pokój! a to jest zdrada! brat ty jesteś, czy patron tego wichra w polu, co nam tak księżnę obałamucił? co tobie na tém zależy? On tam już może i pierścionki zamienił na Sędziszowie, może się już przed ołtarz prowadzi, a ty go tu jeszcze swatasz w najlepsze. Chyba że sobie żartujesz z księżnéj jejmości, a mnie chcesz domęczyć do reszty! Mościa miecznikowa dobrodziéjko, ratujże mnie jéjmość, jeżeli dzieci swe kochasz.

A miecznikowa na to:

— Możesz mi wierzyć, mości panie Trojacki, że jestem mu przyjaciółką z całego serca, ale i ja téż nie mogę mojéj siostrze poradzić inaczéj, jak żeby się jeszcze z tém choć na maluczko wstrzymała. Jmć rotmistrz jest z księżną już od dawna po słowie,

a mamy téż wiadomości z Warszawy, że jeszcze tego słowa nie rzucił.

Zbladł na to Trojacki, sam nie wiedział co mówić; zwrócił się do Kostusi, która także tam stała, klęka przed nią, składa ręce:

— Mój święty aniele stróżu! chociaż ty mnie poratuj! Jéjmość księżna daje więcéj na słowo wmpanny, niżeli.....

— Niżeli co? — zapytała z uśmiéchem Kostusia.

— Niżeli na słowo jéj obojga rodziców.

— A to bardzo źle robi księżna, — rzekła wtedy Kostusia z powagą,— bo się to nie należy.

— Rajże mnie a pomóż, Pan Bóg ci to nagrodzi!

— Bardzo żałuję, że waszmość panu nic a nic pomódz nie mogę, bo téż i sama rozumiem, że byłoby grzechem śmiertelnym od białéjgłowy, gdyby oddawszy i serce i słowo, nie wytrwała statecznie do końca.

A to rzekłszy, odwróciła się zaraz od niego i zbliżyła się do rodziców, którzy stali z kniahiną w kąciku, perswadując jéj, ażeby się sprawowała oględnie i przez porywczość nie umartwiła człowieka, który jest kość z kości i krew ze krwi rycerzem, i który oddał tak znamienite usługi pospolitemu dobru.

— Nie zaręczam ja tobie, — powiadał miecznik, — ażali on pewnie powróci. Inaczéj mi o nim powiadał jmć ks. Rupniewski, z którym się parę dni temu widziałem w Warszawie, inaczéj znowu świadczą wiadomości sąsiadów. Aleć to czas niedługi, poczekać trzeba koniecznie.

— Hm! — rzecze księżna, — a toż wy w takiém samém położeniu jesteście, a przecież.....

— To co innego, — przerwał jéj miecznik. Kostusia zbladła, a tymczasem miecznikowa dodała:

— My także jeszcze się nie kwapimy, choć przyznasz sama, że nawet byłoby warto. Ja ci twojego nie ganię, ale jmć wojewodzic nie jest wcale do odrzucenia, każdy to widzi a nawet i ci i owi zrozumiéć tego nie mogą, dlaczego się ociągamy.

Zamyśliła się na to kniahini i rzekła:

— Sama już nie wiem co robić.

— Czekać, — rzecze jéj miecznik, — czekać choć do popielca.

A na to księżna:

— Nuż mnie już zdradził i nie przyjedzie?? A to wolę ja jego zdradzić pierwéj, niechże choć moje będzie na wiérzchu.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to miecznik, — oj! kobiéty! wy anioły prawdziwe, a co to u was złośliwości!

A tymczasem kiedy się to działo w jednym kąciku, Trojacki zły, że nie może postawić na swojém, jeszcze mu jego bellę buntują, wpadł w gniéw tak okropny, jakiego po nim przez całe życie nie znano. Jakoż przyskoczył do swoich przyjaciół i swatów, uderzył nogą o ziemię i zawołał:

— Wszyscy się przeciw mnie sprzysięgają. Ale wiedźcie to, moi panowie, że nie wyjdę ztąd bez obrączki na palcu! Żebym miał się ekscesu dopuścić, to i na tom jest gotów — a kto mi przyjaciel, ten mnie i w tém nie odstąpi!

Hałas się na to zrobił okrutny, bo większa część gości byli to jego przyjaciele i swaty. Huczą tedy jak w ulu, wykrzykują, a nawet i wyraźnie już słychać było wymówki:

— A co to? wodzić zacnego człowieka za nos przez cały rok, a potém go zdeptać jak gdyby nic, jakaż to moda?

— Uchodziło to jéjmości na Rusi, — mówili drudzy, ale tutaj nie ujdzie!

A ktoś nawet zawołał:

— Spalim, zniszczym, zamieciem, że i śladu nie zostanie z téj bóżnicy amora!

Słysząc to, księżna zbladła jak ściana. Złożyła ręce, obróciła się do miecznika:

— Braciszku! ratuj.

A miecznik śmiał się.

— Widzisz, pani siostro. Nosił wilk owce razy kilka, przyszedł czas, rozziewiano paszczę i na wilka.

Ba! ale bo to nie śmiéchy. Hałas rośnie, przymówki coraz groźniejsze; szlachta huczy, tłumią się, jeden uderzył kielichem o ziemię, drugi już szablą zabłysnął. Każą grać wreszcie. Księżna na pół omdléwa. Otrzeźwiła się trochę:

— Mości Trojacki! — woła, — przez Pana Boga! cóż to ma znaczyć?

Przybiegł Trojacki:

— Nic to nic, moja królowo! — i odpowiedział daléj jéj własnemi słowami, — „bawią się moi bracia, jak im każe fantazya, ja im téż nie przeszkadzam."

— Ależ na miłość Boga! przecież mnie waszmość nie będziesz najeżdżał w mym własnym domu.

— A chowaj Boże! moja królowo. Chodźmy w taniec, to się jakoś uśmiérzy.

Sama nie wiedząc co robi, poszła kniahini w taniec; tańcuje pięknie, ale zaledwie żyje. Bo huk coraz większy, śpiewy coraz głośniejsze; przycichły wreszcie, aleć to jeszcze gorzéj. W téj chwili bowiem zastąpili jéj drogę swatowie, starosta w tył wyloty zarzucił, pomusnął wąsa i ponawia oferty. Już to się wszystko dzieje publicznie, jak gdyby w mieście na rynku. Orator sadzi krasomówczemi frazesy, sypie figury jak z za rękawa, miota hyperbolami w cześć księżnéj i całego jéj rodu — a księżna już ledwie żywa, drży jak liść, oczu nie może oderwać od siebie, bo na około niéj straszny tłum szlachty, kręcą wąsy, iskrzą oczyma, pobrzękują szablami. Stoi miecznik za jéj plecyma i czycha na ostatnie słowo starosty, ażeby mu zaraz odpowiedzieć od księżnéj.

Ufa on swojéj wymowie, ufa nareszcie powądze: ale Bóg wie co będzie, bo z pijanymi dziwna jest sprawa.

Na szczęście wszakże trochę zadługa była oracya swata.

Albowiem jeszcze gdy mówił, dał się słyszéć szelest przydłuższy przed gankiem, dzwonki od sanek i jakaś nowa kapela w sieni. A wtém marszałek księżnéj wpadł do sali i zawołał odedrzwi:

— Mości panowie! rozstąpcie się z łaski swojéj, zacni goście nam przybywają!

Choć nie wiedziała co jest, przecież duch jakoś wstąpił w kniahinię. Przerwie więc zaraz staroście i rzecze:

— Odłóżmy to na późniéj, mości starosto, trza witać gości.

Przerwał oracyą starosta i na stronę ustąpił. Trojacki zły, aż się trzęsie. Tymczasem rozstąpiła się także i szlachta,—a śród nich weszli cale niespodziéwani goście: jmć ks. sufragan, Wiszowaty, a przy nich Murza tatarski.

Weszli bardzo paradnie—a za ich wejściem zrobiła się cisza jak mak siał.

Oni zaś szli prosto ku księżnie, która stała na środku sali, a obaczywszy sufragana, z wielkiéj radości uklękła przed nim, wołając drżącym głosem:

— Ah! księże biskupie! cóż to za gość ukochany!

Ścisnął ją sufragan za głowę, podniósł zaraz ze ziemi, poczém za rękę ściskając, rzekł ze zwykłym sobie uśmiechem:

— Widzisz tedy asińdźka, moja mościa księżno, że com obiecał we Lwowie, tego téż dotrzymuję. A żeby to przybyć nie z próżnemi rękami, jako zwykle do panujących, przywożę asińdźce zgubę, która się nam odszukała szczęśliwie i wraca, ale nie tak jako zazwyczaj zguba, sponiewierana i zmięta, tylko właśnie przeciwnie, bo z łaski Boskiéj w nowém jeszcze splendorze. Przyjmijże z moich rąk tego jeńca, który choć lat trzydzieści wojując, jeszcze ni razu nie był w niewoli, dziś jednak, jak mi się przyznał w sekrecie, samby się dał okuć w kajdany, byleby tylko klucz do nich spoczywał w tak pięknych rękach, jak twoje.

Dziękowała tedy księżna za pamięć, za łaskę, ba za ojcowską troskliwość, a zaledwie skończyła, zabrał głos rotmistrz i mówił prawie w ten sens:

— Moja mościa księżno! Jakie nas w dom wmość pani przyprowadzają intencye, już to *parabolice* dał do poznania jw. wuj wmość pani, a mój szczególniejszy dobrodziéj. Nie pozostaje mnie tedy przed prośbą o dekret finalny z ust wmpani, jak jeszcze usprawiedliwić się z tego, żem przez tyle czasu, choć to była moja powinność, ani sam skoczył, aby wmpani do nóg się położyć, ani téż wieści nie dał o sobie. Rozumiem jednak, iż eksplikacya tu będzie nietrudna. Wiész wmpani, jakie są obowiązki obywateli. Nie mam ja się wprawdzie za żadnego z owych wielkich rycerzy, których czyny na potém széroko będzie opisywać historya, ale spra-

wiwszy już to i owo *pro publico bono*, miałemże teraz, kiedy najcięższa była potrzeba, sprzeniewierzać się memu staremu przyjacielowi Marsowi i odpoczywać w delicyach? A miałem też i niektóre specyalne śluby na mojém sumieniu, o których trudno było bez obrażenia Boga zapomnieć. Otóż i rzecz. Którą zważywszy pilnie w swym nieomylnym rozsądku, racz wpani zapomnieć żal serca, jeśli był kiedy, a przyjąć napowrót do łaski swojéj wiernego sługę, który niczego więcéj nie pragnie, jak co najprędzéj naprawić to wszystko złe, które się stało z przesądzenia Bożego a wcale bez jego woli.

Na to zabrał głos miecznik i odpowiedział rotmistrzowi od swojéj siostry, że nigdy nie było żalu w jéj sercu do niego, owszem, cieszyła się zawsze, że ten, który się jéj oświadczył z gotowością swéj służby, tyle wawrzynów zbiéra na polu daleko większych zasług i sławy. Zapewnił go przytém, że niémasz nigdzie przychylniejszego serca dla niego jak tutaj, a wreszcie, zamiast dalszéj perory, przycisnął go do swéj piersi i oddał go księżnie, już jako jéj własność na zawsze.

Zaczém podano kielichy, wniesiono zdrowia. Pośród nich rotmistrz rozmawiał przez chwilę wesoło z księżną, a widząc taki zjazd gości i tak przybranych świątecznie, trochę ją prześladował a trochę egzaminował: poczém zaś do gwardyana przystąpił i z nim miał dłuższą rozmowę. Przez ten czas ks. sufragan witał niektórych znajomych, kłaniał damom i zapoznawał się z nimi, i był trochę tłum w téj stronie sali; zaczém nikt wcale nie widział, że tymczasem Murza się zbliżył do Kostusi i bardzo coś żywo jéj opowiadał....

Co mówił rotmistrz z gwardyanem, trudno odgadnąć, bo mówił cicho, rzecz wszakże pewna, że po rozmowie strzepnął palcami i rzekł prawie na głos:

— Patrzajże waść, otóż to zdrajca! To kiedy my zdrowie ważymy za to, ażeby ich domy od napaści obronić, oni przez wdzięczność jeszcze i dołki kopią pod nami! A jéjmość księżna także lekkoduch, jak widzę! No, ale jakoś ja to naprawię...

Zaczém zaraz się napił, swojéj kapeli grać kazał i poszedł w taniec z kniahinią.

A tymczasem Trojacki wraz z swymi przyjaciołmi jakby go wcale nie było. Widzi już dobrze że wszystko przepadło, zmiękł i spokorniał do niepoznania — a przecież jeszcze nie porzuca nadziei. Przystępuje do niego jego starosta, mówi mu:

— Panie bracie! już tu nic po nas, jak widzę. Myśléć nam tylko, jak wyjść z tego z honorem.

— Ja nie ustąpię, — rzecze kawaler, — spróbujemy się z sobą.

— I jabym nie był od tego, boć to wstyd wielki, ale różne są circumstancye...

— Co mi tam circumstancye! Ma on szablę u boku, mam téż ja swoję.

— Hm, — rzecze starosta, — nie odradzałbym tego, aleć on ma i biskupa.

— A co mnie biskup?

— Tobie nic, ale księżnie jest wujem, a trzyma stronę rotmistrza.

— To obaczymy.

A wtém rotmistrz, potańcowawszy trochę, zatrzymał się przed kapelą i zaśpiéwał pieśń: „Hojże, hojże, narobiłaś!“ Prześpiéwał całą, każe grać, a kapela nie może. Lichą téż miał kapelę, jednego skrzypka tylko i basetlistę; byłci i trzeci z trąbą, ale ten zgubił pyszczek na drodze, próbował dąć bez pyszczka, nie mógł, więc paradował tylko z swym instrumentem. Widząc to, księżna, zarumieniona trochę pieśnią, rzecze do swego miłego:

— Sam Pan Bóg nie chce, ażeby grano tę nutę.

A na to rotmistrz:

— Poczekaj jéjmość, zaraz ja na to poradzę.

Przystąpi tedy natychmiast do kupy szlachty, w któréj był i Trojacki, i rzecze:

— Służba, mości panowie.

— Służba, służba.

— Jest tu pomiędzy wmpanami jeden jegomość, który się zowie Trojacki.

— Ten jest.

Zbliżył się tedy rotmistrz do niego, położył mu rękę na ramieniu i rzecze:

— Wmpan masz tu ze sobą kapelę.

— Mam, — odpowie kawaler, dziwnie jakoś kruszejąc.

Wziął go tedy rotmistrz pod ramię.

— Chodźże waszmość sam ze mną i każ twojéj kapeli, aby mi przecież zagrała.

Chciał mu się wyszarpnąć Trojacki, ale go nie puścił, dodając groźnie:

— Panie bracie! grano tutaj po twojéj nucie przez cały rok, niechże téż i po mojéj zagrają! Z wolą, albo i przeciw woli.

A to mówiąc, zaprowadził go prawie przez gwałt do muzykantów i kazał grać.

— Pan każe, abyście mi zagrali.

Jakoż zagrali zaraz w tę nutę. Napił się rotmistrz i poszedł nanowo w taniec. Ale po chwili znów to było nie na rękę, że sam tańcował, bo wszyscy inni byli to przyjaciele Trojackiego, więc z nim trzymali. Zbliży się tedy znów do nich:

— Mości panowie! prosimy w taniec.

Nie chcieli. Przybiegła ku nim księżna, przybiegł i miecznik, jeszcze nie chcieli.

— Panie Trojacki! — zawoła rotmistrz! — pozwólże waszmość tym jegomościom, ażeby potańcowali.

Rzecze tam zaraz któryś:

— Wżdyśmy nie pacholęta jmć Trojackiego, — i poszedł w taniec, a za nim inni.

Stał przy rotmistrzu gwardyan, a widząc to, rzekł z uśmiéchem:

— No, już i jego kapela waszmości gra i jego drużbowie tańcują, ale rozumiem, że będzie dość na tém.

— Albo dość, albo nie, wedle fantazyi, — odpowie rotmistrz.

Jakoż przetańczywszy i nową koléj wypiwszy, przystąpił znowu do Trojackiego, który go pewnie dawał do wszystkich diabłów i rzecze:

— Mości Trojacki! widzę żeś waść jest dosyć grzeczny kawaler, więc jeszcze mam prośbę do jegomości.

— Już mi waszmość daj pokój z prośbami. Pogadamy i o tych za czasem.

— To pogadamy. A żeby było o czém, więc téż coś dodam. Oto słuchaj waść, ja się dziś żenię z jmć gospodynią, a nie mam, ktoby mi zadrużbował, — wytnie go po ramieniu, — waści zapraszam na drużbę!

Zżachnął się na to Trojacki:

— A co to?

Ale mu rotmistrz jeszcze raz po ramieniu poprawił:

— *Sic*, panie bracie, będziesz mi drużbą.

Spojrzał już marsem na niego Trojacki, zatrząsł się cały, krwią nabiegł, jakoż i kto wie do czego byłoby przyszło; ale wtém zbliżył się gwardyan temu przytomny do kręcącego wąsy rotmistrza i pogroziwszy mu palcem, rzekł żartobliwie:

— Ej! nie pieprz Pietrze wieprza pieprzem, bo przepieprzysz...

Zaśmieli się na to wszyscy, którzy się już koło nich zgromadzili, zaśmiał się także i rotmistrz. Jakoż zmiękł zaraz i był tak poczciwy, że w jednéj chwili cały swój gniéw rzucił o ziemię. A natomiast rzekł:

— No to już pieprzyć nie będę: ale to tak nie może być. Bo wiadomo jest światu, żem ja już od lat dziesięciu z jéjmość księżną po słowie: niechże mi każdy dziś powie, jeśli to rzecz jest szlachecka, aby takiego podchodzić? A tak to prawie uczynił jmć Trojacki. Ztąd sprawiedliwy gniéw w mojém sercu: a ja nie chcę iść z gniéwem przed ołtarz. Więc albo bić się, albo się zgodzić.

— Ale zgodzić się! zgodzić! — zawołał miecznik, a starosta przyskoczył zaraz do Trojackiego i rzekł mu:

— Dajże waść rękę.

Tak się téż raraz zgodzili. Dopiéroż zdrowia na zgodę, zagrały połączone kapele, — wszyscy kto jeno żył poszli w taniec ochoczy.

Śród tego tańca zamieniał rotmistrz z księżną pierścionki — a jak tylko przetańcowali, przystąpili oboje do sufragana i prosili

o błogosławieństwo. Błogosławił ich tedy w przytomności wszystkich i zaraz spytał:

— Powiédzcież mi państwo, jestże tu kościół?

— Nietylko kościół jest, jw. panie! — odpowiedział na to ks. gwardyan, — ale nawet już oświécony, a sanie oczekują przed gankiem.

— Dla Boga! — zawołała księżna, — tak to nie może być. Ja ani ubrana do ślubu, ani téż w domu mam jakie przygotowania, odłóżmy choć do niedzieli.

A rotmistrz na to:

— Mościa dobrodziéjko, już nie pozwolę na żadną zwłokę. Czekaliśmy dosyć oboje, szkoda i chwili, tak mi Boże dopomóż!

Przystąpili i miecznikowstwo i także proszą, mówiąc:

— Jużci nie zwlekaj. Wart jest takiéj nagrody, bo na nią, chociaż nie koło ciebie, pracowicie zasłużył. Ubrać się zaś, możesz i potém, a co do tego, że ci braknie co do przyjęcia gości, to zapraszamy was wszystkich do naszego zameczku.

Namyśliła się tedy księżna i rzekła:

— Ha! to już niech się dzieje wola nie moja, lecz wasza. To tylko sobie wymawiam, żebyśmy na dziś pozostali u mnie: jeszcze tam i w kuchni się coś wynajdzie i piwnica może wystarczy. Zaprosiny tedy wasze przyjmuję, ale aż na jutro.

Zaczém już zaraz się wszyscy zbiérali i jechali do ślubu.

Z kościoła powrócili wszyscy do dworu księżnéj i w saméj rzeczy zastali darów Bożych, naniesionych i z piwnicy i z kuchni, prawie aż nadto. Mimo przeciwnych pozorów, księżna była gospodynią wyborną, umiejącą łączyć dostatek z gustem. Dopiéroż tedy zaczęło się prawdziwe wesele, z tańcem i pohulanką od serca, przyczém wszyscy, nie wyjmując i Trojackiego, wytrwali tak wiernie, że już dzień wielki dawno błyszczał przez okna, a w sali tańców nie brakowało ani jednego gościa. Tylko miecznikowa z Kostusią wymknęły się zaraz z północy, ażeby zażyć cokolwiek wczasu i przygotować się do przyjęcia tego licznego wesela na jutro.

* * *

Nazajutrz dzień wszyscy ci weselnicy zjechali się już na obiad do zameczku miecznika. Ale zjechali późno, bo każdy się musiał i wywczasować trochę po owych tańcach, i przebrać jakoś nanowo, był więc ten obiad już przy świecach. A że to czasu nie chciano tracić, kiedy się taka dobra zdarzyła okazya, więc jak tylko obiad się skończył, przeszli wszyscy do owych komnat paradnych, w których to niegdyś przyjmowano Denhoffa, i zaraz wielkie rozpoczęły się tańce. A było gości prawie dwa razy tyle,

co u kniahini, bo miecznik pozapraszał sąsiadów. Dopiéroż tutaj można się było napatrzyć owym bogatym strojom, których natenczas zażywano w Polsce, owym pasom kapiącym od złota, owym złotogłowiom przepysznym, purpurom, karmazynom wybornym i karabelom, których sama oprawa stanęła nieraz za wioskę. Sam rotmistrz, który dotychczas nie bardzo dawał na stroje, wystąpił dzisiaj tak świetnie, że zgasłby był przy nim sam sułtan, gdyby się był tutaj pokazał. Spinkę miał tak bogatą pod szyją, że błyszczała jak słońce, żupan ze złotéj lamy, kontusz z aksamitów weneckich, a karabelę tak bogato oprawną, że ją szacowano nieledwie wyżéj niżeli całą fortunę księżnéj. Jednakże księżna prawie go jeszcze przepisała. Miała bowiem na sobie suknię z materyi jedwabnéj białéj, a tak grubéj jak deska, po niéj kwiaty rzucane złote, także duże jak dłoń; do tego złote na rękach manele, takież naramienniki, perły na całéj szyi i dyadem na głowie, prawie już z samych brylantów. Rotmistrz nie mógł oka od niéj oderwać, przystępował do niéj co chwila, całował w rękę z jednéj strony i z drugiéj, wąsów poprawiał, cmokał ustami i mówił:

— Już mi téż wmpani wyglądasz, jak prawdziwa królowa. Ani mi się to w głowie pomieścić nie może, jakim sposobem ja, żołniérzysko tak proste, mogłem przyjść do tak zacnéj małżonki. Jéjmość jeno za szkło oprawić, a modlić się do niéj zdaleka, żeby nie zepsuć czego na takim delikatnym specyale.

A na to gwardyan:

— Tak to zawsze mawiają jmć małżonkowie w dzień ślubu, ale potém rzadko który dotrzyma.

Śmiał się rotmistrz, ściskał gwardyana i kazał mu admirować swą żonę.

Tak téż paradnie byli poubiérani i inni, ten trochę lepiéj, tamten zaś gorzéj, ale wszyscy złocisto a świetnie, — tylko jedna Kostusia miała prostą białą sukienkę, a na niéj czarną przepaskę. Ale ją Pan Bóg ubrał daleko świetniéj, niż wszystkie inne. Przeminęły już bowiem do dnia dzisiejszego owe boleści, od których niegdyś tak bladła, a na ich miejsce nastąpił spokój i zupełna swoboda. Czy zapomniała już dotychczas o Jerzym, czy jakąś pewną wzięła nadzieję, nie wiedziéć. To tylko zauważano po niéj, iż jak tylko wieść przyszła o Ożarowskim, że z zamku brzeżańskiego wyjechał, smutki jéj rozbryzgły się zaraz, bladość zniknęła prędko i również prędko wróciły dawne rumieńce. Zauważano także, iż od tego szasu nadzwyczaj polubiła Murzę i często z nim rozmawiała. Murza, mieszkający od wczesnéj wiosny prawie wciąż przy pani stolnikowéj krakowskiéj, często wyjeżdżał, a czasem po kilka tygodni go nie bywało. Natenczas Kostusia była tęskna niezmiernie, przesiadywała po kilka godzin na owéj łączce nad Nidą i wciąż wyglądała na drogę. Wielkaż znów za to radość, gdy wrócił, a co rozmowy, opowiadania i szeptów, tego i trudno powiedzieć. Widziała to matka, lecz widząc razem, że te rozmowy

Murży widocznie powracają zdrowie jéj córce, nie miała nic przeciw temu, owszem jeszcze i sama dopomagała. Tak powróciła Kostusia do swojéj dawnéj swobody, pod któréj dobroczynnym téż wpływem wykształciła się jeszcze, wyrosła i stała się panną tak piękną, że sława jéj urody przeszła granice powiatu, przeszła nareszcie i województwo, a teraz już nawet przyciągała do siebie takich, którzy ją znali tylko ze słuchu. Dziś, mimo tak lśniących ubiorów u kobiét innych, była ona podziwem dla wszystkiéj tu zgromadzonéj młodzieży. Każdy się do niéj cisnął, wydziérano ją sobie, ażeby się tylko dotknąć téj pięknéj rączki, która rządziła tak nieprzebraném bogactem wdzięków. Nie usuwała się téż ona od nikogo, dzieliła się między wszystkich, tańcując z każdym i pomnażając wedle swojéj możności powszechną radość w domu swoich rodziców. Jakoż wesoło było nad wszelki podziw, promienna radość panowała na twarzach wszystkich, a niepoczesny zameczek aż się trząsł od hołubców i pieśni...

Tylko sam miecznik był jakoś osmucony i chmurny. Uważali to wszyscy, a niektórzy nawet za złe mu brali, że się tak zapomina względem swych gości. Ale nie działo się to bez powodu. Właśnie dziś bowiem przyjechał jmć pan sandomierski w poselstwie od wojewodzica Morsztyna, chcąc ostatecznie wyrozumiéć miecznika, ażali będzie mu rad, albo téż nie. Wojewodzic w ostatnich czasach widział po kilka razy Kostusię i wielką się do niéj rozpłomienił miłością. Jako paniątko bogate i chowane w wielkim respekcie dla rodzinnéj powagi i etykiety, nie ogłosił on się wpiérw z swoim afektem, dopóki nie wyrozumiał woli swoich rodziców. Dlatego agitowała się ta sprawa długo, to jest od jesieni, i w jaknajwiększym sekrecie. Były téż i trudności, bo lubo Morsztynowie byli przez Drohojewskich Bobrownickim pokrewni, a nawet bardzo wysoce poważali dom samego miecznika, byliby przecież woleli, ażeby wojewodzic był trochę wyżéj zasięgnął, do czego wszystko było po temu. Tak to się wlokło przez zimę. Lecz wreszcie ustąpili rodzice przed afektem ukochanego dziecka i zezwolili na te konkury, — tylko mając wzgląd słuszny już to na wieści o afektach panny dla Ożarowskiego, już na powagę i czasem arcyniezłomny upór miecznika, i chcąc uniknąć w tym razie nieprzyjemnéj rekuzy, wymówili to sobie u syna, ażeby rzecz ta została pierwéj ułożona i upewniona drogą dyplomatyczną. Stało się to właśnie tego tygodnia i tak się zdarzyło, że właśnie dziś przybył kasztelan z tą misyą. Zmartwił się tedy miecznik okrutnie. Gdyby ten poseł był się pojawił o wiośnie albo i trochę późniéj, jak Bóg na niebie byłby go przyjął z otwartemi rękami i gdyby był nawet miał zniewolić Kostusię do tego ślubu, byłby go pewnie nie odprawił z odmową. Wojewodzic był taką partyą, że i zamarzyć nie można było o lepszéj — a o Ożarowskim miecznik ani chciał wiedziéć natenczas. Ale od tego czasu, kiedy Ożarowskiego obaczył w Żółkwi, wszystko to się zmieniło.

Już od owéj chwili śledził troskliwie krok za krokiem, wiedział o każdym jego postępku, wiedział nawet o każdém słowie, które z ust jego wyszło w obronie sprawy publicznéj — a wszystko to tylko go coraz więcéj ku niemu skłaniało. Toż kiedy w końcu dowiedział się jeszcze od samego Denhoffa o tém, jak Jerzy już był blizkim jedynaczki Sieniawskiéj i jak sobie w tém położeniu postąpił, już mu i wszystkie urazy na wieki wieków przebaczył i niczego więcéj w głębi serca nie pragnął, jak przycisnąć go zięciem swoim do piersi. Lecz na nieszczęście Jerzy ani razu mu o tém nie wspomniał. Od spotkania się w Żółkwi miecznik się widział z nim jeszcze po dwakroć, — raz w Kazimierzu dolnym na konfederacyi, a drugi raz w Warszawie, w sam dzień niemego sejmu, — ale jak wtedy w Żółkwi, tak i przez te obadwa razy, skrzętny Sodalis był tak sprawami publicznemi zajęty, że ledwie go zwitał, już musiał pożegnać. Gdybyż choć słówko był mu powiedział, gdyby choć dał wyraźnie do zrozumienia! — miecznik tedy był w jaknajwiększym kłopocie. Tu go kasztelan maca na wszystkie boki — a o tamtym ni wieści. Odmówi temu — a nuż tamten się nie pokaże? Przyrzecze temu — a nuż tamten się zjawi?

Ale kiedy tak miecznik chodzi jak w dybach, koloryzuje z kasztelanem jak może i dziwnie go jakoś pociąga serce przyjąć wojewodzica, który już może czeka gdzieś w wiosce sąsiedniéj na jego słowo, Murza chodzi za nim krok w krok, śledzi jak grzeszną duszę i ani oka nie spuszcza. Co pomówi słów kilka z Kostusią, to jeszcze pilniéj go śledzi, a jak tylko dojrzy rozmawiającego z jmć sandomirskim, to się zbliża do nich dosyć natrętnie, miesza się do rozmowy i póty nie odstąpi, póki piérwéj ktoś nie odwoła miecznika. Bardzo była w téj chwili na rękę ta natrętność Murzy Bobrownickiemu, ale kasztelana znudziła. Jakoż wziął wreszcie miecznika pod ramię i już się z nim zaczął prowadzić do osobnéj komnaty, ale natenczas Murza zastąpił im drogę i zastąpił tak prawie, jakoby w lesie.

— Panie mieczniku! proszę na małe słówko. Panie kasztelanie! przepraszam.

A to mówiąc, wyrwał go prawie z rąk kasztelana i zaprowadził do kąta.

— Na miłość Boga, panie Janie, co robisz?

— Cóż to jest? cóż to? ja nie rozumiem.

— Zmiłuj się, — mówi Murza, łamiąc ręce z rozpaczy,— trzy dusze gubisz, bo już cię pewnie kasztelan nie wypuści ztamtąd bez słowa.

— Hm! — rzecze miecznik, — to już widzę wiész o wszystkiém.

— A jakżebym téż nie wiedział? w tém moje zbawienie.

— No, to kiedy wiész, to powiadaj. Nie jam się powinien

tu prosić, jeno kto inny; ale już mnie to tak umęczyło, żem się gotów i prosić, bylem już wiedział, co jest.

— Zmiłuj się, miéj tylko cierpliwość, on lada chwila powróci. Ja mam wiadomość.

— Hm! — rzecze miecznik, — ja wiem, co tobie w głowie. Dawne przywidzenia. I dla tych przywidzeń ty może tylko mnie łudzisz. Jużci rzecz pewna, że jeśli kasztelanowi odmówię, to będzie większe podobieństwo ziszczenia się twoich nadziei, ale wiédz o tém, że i natenczas jeszcze nadzieje te mogą omylić, a wtedy...

— Ale jak ciebie kocham, mój panie Janie, tak wiem z pewnością, że on lada moment przyjedzie.

— Czemuż już nie przyjechał? Wszyscy poprzyjeżdżali. Cóż on robi w Warszawie?

— Hm! — mówił Murza, — ja tego nie wiem dokładnie, ale tak mi się zdaje, że chciałby téż nie wyjechać ztamtąd z próżnemi rękami. Czas to najsposobniejszy do tego, aby coś zyskać; kto nie chce, to coś weźmie od króla. Wiem téż, że mu mieli w tém dopomagać Potoccy, a osobliwie piérwszy przyjaciel jego, starosta bełzki. Jeżeli tedy coś go tam trzyma, to jeno to jedno. A przecież za to go nie bić, bo rzecz to pewna, że starając się o rozjaśnienie swego imienia i pomnożenie fortuny, nie czyni to dla siebie, jeno dla was i córki waszéj, którą téż umiłował nad życie.

Zamyślił się tedy nad tém miecznik i stał tak w milczeniu, sam nie wiedząc, co robić.

Już tam wszakże sam Pan Bóg rozstrzygnął wszelką wątpliwość. Albowiem właśnie w téj chwili do owéj wielkiéj komnaty, gdzie w coraz głośniejszym gwarze i tłumie odprawiały się tańce, wbiegł raźnym krokiem gość nowy. A był to gość wcale nie pospolity. Cudnéj urody młodzieniec, przenosił on swoim wspaniałym wzrostem o całą głowę najwyższych. Młody, zaledwie wąs mógł zakręcić, a już generał, lśniący od złota na całych piersiach. Obaczyli go ci i owi, lecz nie poznali. Była tam wszakże jedna taka duszyczka, która może także go nie poznała, ale sercem przeczuła. A to była Kostusia. Ta, obaczywszy go, tak się uniosła, że bez żadnego względu na tylu świadków, wyciągnęła ramiona i z okrzykiem radosnym, nie mającym żadnego równego sobie głosu na ziemi, rzuciła się w jego objęcia. Przycisnął ją młodzieniec do swojéj piersi — i stali tak oboje przez oka mgnienie, jak gdyby w posąg podwójny zmienieni.

Scena ta takiego zrobiła wrażenia na wszystkich, że i taniec przestali i muzyka nawet umilkła — i była wtém ludném zgromadzeniu tak nieprzerwana cisza przez chwilę, jak podczas podniesienia w kościele.

Wypadł już do tego czasu z drugiéj komnaty miecznik i Murza, przybiegli do miecznikowéj i patrzyli z nią razem ze łza-

mi w oczach na tych dwoje serc kochających, które jakoby sam Bóg złączył ze sobą w téj chwili. Patrząc tak, zdawało im się, że jeszcze ich widzą, jak się tak samo i na tém samém miejscu żegnali. I zdało im się, że to dopiéro wczoraj się działo..... tak pięcioletnie łzy i boleści zniknęły im nagle z pamięci.

Ocknął się wszakże w oka mgnieniu Ożarowski i ująwszy swą narzeczoną za rękę, rzucił się do nóg rodzicom. Już tam natenczas wszyscy ich okrążyli i rotmistrz ze swoją żoną, i Murza, i sandomirski kasztelan, i wszyscy inni co poważniejsi, którym jednakże najwięcéj przydał powagi zacny sufragan lwowski. Wtedy téż miecznik pochylił się razem z żoną nad nimi i rzekł:

— Rad wierzę temu, że taka jest wola samego Boga, i z serca wam błogosławię.

Błogosławił ich potém sufragan — i już Jerzy powstał na nogi, już się miał witać z rodzicami swéj narzeczonéj, — kiedy wtém Murza, właśnie jakby oszalał, rzucił mu się do nóg z takim rozgłośnym płaczem, że aż serce się rozdziérało. Nikt nie wiedział, co to ma znaczyć i wszyscy się zadziwili do najwyższego stopnia; ale sam miecznik podobno się prędko domyślił, jakoż podniósł Murzę ze ziemi, pochylił się nad nim i coś mu szepnął do ucha. Stał jeszcze Murza przez oka mgnienie jak nieprzytomny, poczém jednak zerwał się i uderzył we drzwi tak nagle, że trudno było dojrzéć, jak zniknął.

Zdumieli się wszyscy, a kasztelan, w tył zarzuciwszy wyloty, rzekł do miecznika:

— Panie bracie! jakiś to człowiek szalony.

— Ej! nie szalony, — odpowiedział miecznik, — lecz nieszczęśliwy. No, ale w Bogu nadzieja, że teraz już i on, jeśli nie szczęście, to przynajmniéj spokój zdobędzie.

Zbliżył się na to rotmistrz w tę stronę i rzekł do miecznika, niepomału zdziwiony.

— Patrzaj-że waść, jam był pewny, żem go zupełnie wyléczył, a on tymczasem jak miał bzika przez całe życie, tak go i ma jeszcze dotychczas.

Na to zaś odezwał się gwardyan:

— Panie rotmistrzu dobrodzieju, mogę waszmość zapewnić, że nie jest to bzik, jeno kara Boska, o czém i dawniéj jegomości mówiłem, choć podobno napróżno. Przyznajże mi waszmość choć teraz, że w sprawach sumienia nie godzi się nigdy chciéć być rozumniejszym od tych, których sam Bóg obrał jego stróżami. Nie przeczę ja temu, że Pan Bóg mile spogląda i na taką pokutę, którą sobie sam grzesznik wyznaczy, ale odpuszcza On grzéchy tylko za tę, którą kościół przepisze.

Skłonił się na to gwardyanowi jmć sufragan lwowski i rzekł:

— Tak jest i tak będzie na wieki wieków. Jednakże co do tego człowieka, nie należy nam wcale rozpaczać. Albowiem o ile mi jest wiadomo, nie poprzestanie on na tém co mu Pan Bóg do-

zwolił uskutecznić dla dobra pospolitego dotychczas, ale pomyśli i o tém, czego mu jeszcze brakuje.

Bardzo te ważne słowa uwiązły wszystkim w pamięci, jakoż się zamyślili na chwilę, a tymczasem rotmistrz rzekł na to:

— No, to niechże sobie zdrów myśli o tém i niech mu Pan Bóg pomaga; ale my zasie myślmy o swojém.

A to mówiąc, miał już kielich nalany w ręku, z którym téż zaraz zwrócił się do Jerzego i wniósł jego zdrowie w ten sens:

— Mości panie siostrzeńcze! już to jak widzę taka jest Boska determinacya, ażebym ja stary temu młodemu prym oddawał we wszystkiém. Ustąpiłem ci placu w Żółkwi i oddałem palmę piérwszeństwa, co mnie téż i ucieszyło niemało, bo największą to jest pociechą dla starszych, jeżeli widzą, że ich następcy potrafią ich godnie albo może i lepiéj zastąpić. Słusznie téż, jak rozumiem, ażebym ci i tutaj prym ustąpił i oddał wielką buławę nad tém naszém weselem, które dotychczas znaczyło się mnie, a odtąd znaczy się tobie. Jakoż to czyniąc, kłaniam się pokorniutko jw. jmć biskupowi a memu osobliwszemu dobrodziejowi i wołam na cały głos: vivat jmć Ożarowski! viwat jmć miecznikówna! i niech im Pan Bóg da tyle szczęścia w ich życiu, ile ja się spodziéwam go zażyć z moją najukochańszą kniahinią.

— To rzekłszy, wypił, oddał kielich sufraganowi, pocałował żonę serdecznie w czoło i zaraz skoczył do muzykantów, aby zagrali. Trwały wiwaty i radośne okrzyki przez chwilę, poczém kapela nastroiła się na nowo, rotmistrz tańcując sam w takt kapeli uczynił rum na środku komnaty, i Jerzy poszedł w taniec ze swoją oblubienicą. Hulanoż wtedy już wcale po szalonemu, bito w talérze, brząkano w szyby, ledwie że kozłów nie wywracano; zgoła huk, łomot, tartas, że aż cały zameczek trząsł się w swoich posadach.....

Miało to już tak trwać bez przestanku do świtu, albo nawet i daléj, bo miecznik doléwał win co najlepszych, a nie pamiętali najstarsi ludzie, ażeby widzieli kiedy tak rozkiełznaną ochotę; ale jeszcze raz zaszła przerwa wcale niespodziéwana. Oto za jakich dziesięć paciérzy lub więcej, wszedł nowy gość do komnaty. A była to już nieledwie sędziwa matrona. Wysoka wzrostem, blada na twarzy i zwiędła, była ona ubrana w suknię czarną obwisłą, czarny czepiec miała na głowie, a różaniec z słoniowéj kości z takimże samym krzyżykiem u pasa. Drugi zaś krzyżyk podobny niosła w obudwóch rękach, złożonych z wielką pokorą na piersi, i tak szła wolnym krokiem przez salę. Dziwnie się jakoś zrobiło wszystkim, zdawało się bowiem, jakoby ta osobliwa postać właśnie z grobu powstała; jakoż i szła krokiem tak posuwistym i wolnym, jakim jeno umarli iść mogą, gdy o północy wstaną z swych grobów. Nie był to wszakże ani duch ani umarły, tylko melancholii pobożnéj oddana matka Jerzego, pani stolnikowa krakowska.

Na jéj widok cisza się zrobiła jak w grobie.

Ona zaś doszła tak aż w górny koniec komnaty, zatrzymała się tam na moment, a obaczywszy sufragana, pochyliła się przed nim, całując go w ramię. W téj chwili Jerzy obaczył matkę i padł natychmiast razem ze swoją oblubienicą przed nią na kolana. Obróciła się ona ku niemu, ale nie powiedziała ni słowa, ani nawet się uśmiéchnęła, tylko położyła lewą rękę na jego głowie, a krzyżykiem, trzymanym w prawéj, zrobiła krzyż święty nad nim. Spojrzała potém na miecznikównę i zrazu zastanowiła się trochę, jak gdyby nie zrozumiała co to ma znaczyć. Przez ten czas Jerzy drżał jak listek na drzewie. Ocknęła się wszakże jego matka po chwili i wykonała takie samo błogosławieństwo nad głową przyszłéj synowéj, jak i nad synem.

Zaczém wstał Jerzy i rozmawiał z matką z wielką powagą. Odpowiedziała mu o co pytał dosyć pośpiesznie i chciała zaraz odchodzić. Obstąpili ją miecznik, sufragan, miecznikowa i inne damy, — obiecywali jéj, że dopóki tutaj zabawi, ani muzyki, ani tańców nie będzie, bo już wiedziano to do niéj, że żadnéj wesołości nie cierpi, — ale nie dała się na żaden sposób uprosić. Pomówiła jeszcze stojąc przez chwilę i wyszła.

Po jéj odejściu kapela zaczęła grać nanowo i zabrano się napowrót do tańca. I hulano tak raźnie, jakby nic nigdy nie było. Tylko Jerzy już się wymówił i od téj chwili ani nogą nie ruszył. Wiedział ci on już oddawna o tém usposobieniu matki, ale przecież jéj widok tak go dotknął głęboko, że po nim nie mógł już sobie pozwolić swawoli. Jakoż rozmawiał już tylko z rodzicami Kostusi, cieszył się wesołością drugich i tak się dosyć poważnie zabawiał.

Zbliżył się do nich w niedługiéj chwili sufragan i zapytał miecznika, kiedy to ma być sam ślub? Poczém zaproponował, ażali nie mógł być zaraz jutro? Nie może on tutaj zabawić długo, a wielkąby mu to sprawiło radość, gdyby sam wiązał ręce tak zacnéj i ukochanéj przez niego pary. Namyślił się nad tém miecznik, trochę się wahał, bo jak powiadał, nie miał nic gotowego dla córki, trzebaby przecież o wyprawie pomyśléć; lecz w końcu, osobliwie téż za powodem swéj żony, zdecydował się na to i rzekł:

— Ha! to niech i tak będzie. Pozostaniemy tak blizko siebie, to się te rzeczy i po ślubie załatwią.

Ale Jerzy temu się oponował. Pytał tedy miecznik:

— Dlaczegóż to, panie bracie?

— Pogadamy o tém obszérniéj.

— To mówmy teraz, wszakżeśmy tu sami swoi.

Wziął tedy Jerzy swego teścia na stronę, zaprowadził się z nim do przyległéj komnaty i powiedział mu prawie te słowa:

— Mój panie ojcze! radbym ja z duszy z serca dostąpić tego szczęścia choćby i dzisiaj, ale was proszę na wszystko, nie napiérajcie na mnie, bo to nie może być. U mnie tam dom zrujnowany

do szczętu, spiżarnie, obory, stajnie puste jak wymiótł, do tegoż jeszcze powróciłem z téj wojny tak ubogi, że i ekwipażów nie mam sobie za co sprawić w téj chwili.

Uśmiéchnął się tedy miecznik:

— Ani ty wiész, jakiś bogaty. Pałac u ciebie wyrestaurowany tak pięknie, że ani był kiedy tak świetnym w najlepszych czasach. Spiżarnie, obory, stajnie tak pełne, że chciałbym ażeby tak u mnie było. W szpichrzach po wszystkich folwarkach tak pełno, że wioskę za nieby kupił, bo przecie wiész jaka teraz drożyzna. Nawet i karéty ojcowskie odmalowane, ozłocone jak nowe. Zgoła i gwoździa tam ci nie braknie.

— Hm! — rzecze Jerzy, — ledwie mi temu uwierzyć. Chyba że mnie kto obładował tém wszystkiém, bo trudno matka moja mogła wydobyć z intrat.

— Już się nie pytaj, jeno wierz, że tak jest.

Lecz Jerzy pytał koniecznie o tego dawcę i mówił:

— Muszę ja o tém wiedzieć, boć są przecie ludzie, od których trudno mi przyjąć i szeląg.

Tedy mu miecznik powiedział, że Murża to wszystko porobił.

— Murża? — zawołał Jerzy, — czémże ja to sobie u niego zasłużył?

— Nie tyśto podobno zasłużył, — odpowiedział miecznik, — ale Kostusia. Wiész, jakie on ma przywidzenie. Chciałby nam wepchnąć koniecznie swoję fortunę, wié już oddawna, że my nie weźmiemy, chce tedy, ażeby się to stało przez ciebie. Jakoż tak się domyślam, że i wioski swe tobie zapisze.

Dziwneż to rzeczy. Ale cóżkolwiekbądź, rad temu był Jerzy, bo nie wiedział wcale dlaczegoby miał tych darów nie przyjąć. Jakoż rzekł na to:

— Niewyczerpana jest szczodrobliwość opatrzności Boskiéj. Ani człowiek wié, jakiemi drogami szczęście do niego przychodzi. Aleć to ja nie przypisuję sobie téj łaski Boskiéj, bom téż jéj wcale nie godzien: Kostusi to szczęście, nie moje.

A miecznik na to:

— A może téż w części i twoje, bo trudno ci mam tego nie przyznać, żeś sobie i tu i owdzie bardzo zacnie postąpił. Co mnie zaś dziwi najwięcéj, to to, jakeś się zachował szlachetnie względem Denhoffa. Nie wiem ja czyś mógł uzyskać rękę Sieniawskiéj, czy nie; wierzę nawet, żeś nie chciał; ale wiem od niego samego, że gdybyś był chciał, byłbyś mu mógł zaszkodzić dosadnie, a może nawet i nazawsze mu popsuć. Miałeś téż za co pomścić się na nim, jak to dobrze pamiętam: a tyś mu przecie nietylko że nie zaszkodził, ale jeszcze dopomógł. Co mnie téż dziwi tém bardziéj, ile żeś wcale nie wiedział, że to nie ja, ale on dawał piéniądze na twoje wychowanie w Paryżu.

— Chryste Panie! — zawołał Jerzy do najwyższego stopnia zdziwiony, — onto dawał piéniądze dla mnie?

Dopiéroż miecznik opowiedział Jerzemu, jak się to stało, i dodał:

— Nie jestem ja tego pewny, że te wydatki szły z jego własnéj szkatuły i tak mi się zdaje, że to król dawał na ukontentowanie dla ciebie za krzywdę, wyrządzoną tobie przez Sasów; aleć to zawsze z jego protekcyi.....

Rzekł tedy Jerzy:

— Dziwneż-to, dziwne zaprawdę są dyspozycye Boskie! Patrzajże ojciec, jakibym był grzéch popełnił, gdybym był poszedł za popędem oburzonego serca, a nie uciekł się pierwéj do téj epoki, któréj ślubowałem pokorę na całe życie. Świętaż to jest naszego kościoła nauka, która potępia zemstę zawsze i wszędzie!

Rozmawiano jeszcze o tém przez chwilę, aż miecznik zapytał Jerzego, czy się widział z Denhoffem w Warszawie, czy nie? — Powiedział Jerzy, że się z nim widział w dzień następny po sejmie, ale tylko na chwilę, bo się z nim spotkał na królewskich pokojach, kiedy szedł ze starostą bełzkim na audyencyą do króla. Wspomniał tu także, że się starał przez Potockich o jaki urząd, żeby to przecież nie pozostać bezczynnym, a rozpocząwszy służbę publiczną, forytować się daléj; ale mu się to nie udało. Byłby on był z pewnością coś zyskał. Przynajmniéj choć obietnicę do najbliższego wakansu, ale w takim razie trza mu było posiedzieć choć jeszcze tydzień w Warszawie, a tego nie mógł, bo się obawiał sprawiedliwego gniewu miecznika.

A na to miecznik:

— Nie jestem ja za urzędem dla ciebie takim, którybyś dostał od króla. Jeśli już wreszcie sprawować urząd, to chyba taki, który ci twoi bracia powierzą. Ale kiedyś chciał coś uzyskać od króla, toś niedobrze to zrobił, żeś forytował tę sprawę przez Potockich. Nie mogą Potoccy w téj chwili wiele ważyć u króla: a przecież nie ladajako mu się narażali w konfederacyi. Dziwno mi dosyć, żeś o tém zapomniał, a jeszcze dziwniéj, żeś się nie udał do Sieniawskiego.....

— A! niechże mnie Pan Bóg broni, — rzekł na to Jerzy, — ażebym jego miał o co prosić. Człowiek ten miał mnie sobie za bawidełko, a w najlepszym wypadku za pożyteczne narzędzie. Kiedy mnie potrzebował, to mnie nosił na rękach, a jak trwoga minęła, to i nie wspomniał o mnie. Byliśmy przecież różnemi czasy po kilka tygodni na jedném miejscu: w Łęcznie, w Kazimierzu, w Warszawie, witał mnie, jakby ledwie znał kiedy. Teraz po sejmie, kiedy mu jego buławę do niepoznania obcięto, przysięgać musiał i ani to mu pomogło, że się położył do łóżka, zgoła nowe na niego przyszły frasunki; byłby mnie pewnie po staremu przyjął z otwartemi ramiony i znów obietnicami obsypał, — ale już ja

teraz nie ten, którym był dawniéj. Dość mi już téj nauki i będę jéj miał dosyć na całe życie.

— Otóż i ja tak mówię, — rzekł Bobrownicki, a byłbym ci to samo powiedział i dawniéj, gdybyś był tylko widział się ze mną. Nie przeczę temu, można to wiele zyskać przez łaski pańskie i przez protekcyą, lecz w obec Boga i zacnych ludzi zawsze lepszy chociażby groszyk, a zarobiony własną zasługą, niżeli czerwony złoty wypraktykowany cudzą pomocą. Ale wracając do tych tam protekcyi, to już kiedy nie do hetmana, trza było udać się do Denhoffa, onci to przecie piérwszy po Flemingu minister.

— I tegom nie chciał, — odpowiedział Sodalis, — zdałoby mu się może, że chcę nagrody za owe swaty. Przysyłałci on do mnie w wigilią mojego wyjazdu posła z karteczką, prosząc mnie, abym był nazajutrz u niego. Dowiedział się już o nadaremnéj protekcyi Potockich i dał mi do zrozumienia, że on to jeszcze naprawi i koniecznie coś zrobi. Ale jużem był spakowany natenczas i jakoś na żaden sposób nie mogłem tego przenieść na sobie, abym go o co prosił.....

Cieszył się tedy miecznik takiemi sentymentami swojego zięcia, przycisnął go do swych piersi i rzekł:

— Otóż tak to cię lubię, a co więcéj, szanuję. Nigdy dla zysku nie ugnij karku przed nikim, bo to podła robota i podły zysk taki. A nawet ci powiem, że to zysk zwykle marny: żebrakowi grosz dają, a kiedy ważą człowieka, który o nic nie prosi, to go ważą na szali złota.

Jakoż i prawda. I prawda ta w oka mgnieniu się ziściła. Albowiem ledwie co domówił tych słów Bobrownicki, kiedy dano znać, że jakiś kuryer przyjechał z Warszawy do pana Ożarowskiego.

— To od Potockich, — zawołał Jerzy, — pewno mi coś wyrobili.

— Prośże tu tego kuryera, — rzekł prędko miecznik.

Wpuszczono go zaraz do téj komnaty, podbiegli obaj ku niemu, pytają od kogo? — Od jw. Denhoffa. Pytają: z czém? Są listy, są też jakieś papiéry. Rozerwał Jerzy czémprędzéj pismo, przebiegł je w oka mgnieniu.

— No, panie ojcze! — rzecze z radością, jestem też i starostą.

— Cóżto? cóżto? — zawołał miecznik.

Przybiegła tedy i miecznikowa z córką, sufragan, rotmistrz i inni, wszyscy pytają: co jest? z czém przybył kuryer?

Noważ tedy pociecha. Król konferował Jerzemu starostwo drugnieńskie, — Denhoff mu je wyrobił i przysłał zaraz przywiléj.

Radość z tego powszechna, ci mówią to, drudzy owo, gwar niesłychany. Zdobył sobie przecie nareszcie głos poważny sufragan i zapieczętował tę bezładną rozmowę w ten sens:

— Patrzajże tedy, mój Jerzy, jak tu wyszło na moje, com ci powiadał o twojém trzymaniu się wielkiéj klamki. Dopókiś wisiał

przy hetmanie i chciał za jego protekcyą wybić się kędyś w świat obszérniejszy, toś pracował jak niewolnik, a za całą nagrodę miałeś honor przewodniczyć kancelaryi hetmańskiéj i komenderować po zamkowych dziedzińcach jego milicyą; nie miałeś nic nigdy, a twoje wioski były w ciągłéj ruinie. Od kiedy zaś porzuciłeś tę wielką klamkę, a poszedłeś w służbę na własną rękę, zdobyłeś sobie sławę walecznego żołnierza, z czego cię zna już kraj cały, złożyłeś jawne dowody twojéj nauki, o czém wiedzą ci wszyscy, którzy wraz z tobą pracowali około tego traktatu, przyjaciel ci zrestaurował twoję fortunę, a wreszcie nawet nieprzyjaciele sami oddali ci pokłon należny i obdarzyli cię mimo twéj woli tak bogatém starostwem.

Słuchał téj perory Ożarowski cierpliwie, ścisnął zacnego sufragana za rękę, ale mu odpowiedział do ucha:

— Nie przeczę temu, coś tu jegomość powiedział, boć to tak jest; ale pozwól mi, abym dodał do tego i swoje: „Prawda a prawda, ta nie utraca i nie omyli w najgorszéj chwili."

Pomyślał nad tém sufragan, uśmiéchnął się po swojemu łagodnie i rzekł:

— Masz i ty racyą, bo bądź co bądź, przecież to zawsze nie te lub owe okoliczności, lecz własny grunt stanowi człowieka.....

Zaczém już mowa była tylko o samym ślubie. Radzono tak i inaczéj, ale przecież stanęło na tém, ażeby tę solenność odbyć trybem zwyczajnym, jak nakazuje kościół i jak starodawny niesie obyczaj. I sufragan był tak poczciwy, że się sam skłonił ku temu i rzekł:

— Niechże tak będzie i niech zapowiedzi wyjdą swoim porządkiem. Ale przecież ja sobie tego odebrać nie dam, ażeby was w imię Boskie połączyć. Pojadę tedy nazajutrz za mojemi sprawami do Warszawy, a na oznaczony czas powrócę.

Jak ułożono, tak się téż stało. Tym téż sposobem uzyskał Jerzy dość czasu, ażeby się godnie do tego aktu przygotować, jak tego wymagało i jego stanowisko dzisiejsze, i wreszcie wdzięczność dla saméj rodziny miecznika.

Ale zaledwie on potrzebował o cokolwiek się starać; albowiem wszystko tak znalazł w swym domu, jak mu powiedział miecznik. Nawet i koni nie trzeba było kupować, bo było ich trzy cugi poczwórne, wszystkie kare jak jeden, oczewiście ze stada Murży. Na dobitkę tych pomyślności oddała mu jeszcze matka i testament jmć pana Jana Domoradzkiego, który mu po wszelkiéj formie zapisywał całą swoję fortunę i natychmiast oddawał, z tém tylko zastrzeżeniem, ażeby przez lat dwanaście odstawiał co roku do klasztoru bernardynów po cztery wozy legumin i po sto złotych polskich, — zaprawdę zaledwie tyle, ażeby przy tém nie umarł z głodu jeden ubogi człowiek. Rozpytywał się Jerzy o tego hojnego dawcę, ba dobrodzieja, ale napróżno. Murża gdzieś zniknął

bez żadnéj wieści, jak kamień rzucony w morze. Ale nietrudno się było domyśléć, jak postanowił ze sobą ten nieszczęśliwy pokutnik...

Jakoż istotnie, kiedy w ostatnią zapustną niedzielę cały orszak weselny przybył do bernardyńskiego kościoła, kiedy państwo młodzi przed ołtarz stanęli, a ks. sufragan już zaczął piękną przedmowę, spojrzał Jerzy niechcący na zakonnika, który służył przy tym obrzędzie, i aż się wzdrygnął na jego widok.

Był to Murża.

Trzymał ręce złożone przed sobą, pomiędzy niemi różaniec i patrzył na młodą parę wzrokiem tak jasnym i rozpromienionym, jak gdyby w saméj istocie niebo otwarte obaczył. Dziwnie ten widok ścisnął za serce Jerzego i łzy mu w oczach stanęły, — lecz nie czas było tu płakać, albowiem sufragan prędko skończył swoję przemowę i zaraz przystąpił do samegoż obrzędu.

Tak odbył się wreszcie ten ślub, który zatarł sobą na zawsze wszystkie łzy tęskne i wszystkie dotąd przecierpiane boleści, a na ich miejsce wprowadził radość i szczęście nad brzegi uroczéj Nidy, po nim zaś huczne nastąpiło wesele, które starym zwyczajem trwało przez wszystkie dnie bachusowe.

ZAKOŃCZENIE.

Rozchodzimy się z temi osobami, które występowały przed nami w niniejszéj powieści, już podobno nazawsze, — porzucamy je po największéj części jeszcze w wieku młodym, pełnym nadziei i widoków na przyszłość, — słuszna rzecz zatém, ażebyśmy o nich wspomnieli jeszcze słów kilka, a gdzie wiadomości wystarczą, doprowadzili ich żywot do końca.

Owo więc Ożarowski, ożeniwszy się z Bobrownicką, zamieszkał w swoich dobrach rodzinnych. Po tylu pracach, trudach, cierpieniach i niepokojach, znalazł on zrazu niewysłowiony urok w spokojném życiu domowém, jakoż jemu się oddał w całości, dzieląc swój czas swobodny pomiędzy kochaną żonę i poczciwą rodzinę, gospodarstwo i książki. Ale niedługo się cieszył tym nieprzerwanym spokojem — a nawet nie mógł na takiém życiu poprzestać. Jak bowiem z jednéj strony, we własnéj jego piersi gorzał jakiś ogień nieugaszony, który rozpalał w nim piękną i szlachetną żądzę obszérniejszego działania, — tak znowu z drugiéj, i król i naród zanadto zblizka poznali jego znamienite zdolności, ażeby je mogli pozostawić odłogiem. Jakoż w niedługim czasie poczęły się sypać na niego urzędy i obowiązki tak hojnie, że zaledwie mógł im wystarczyć. I tak najpierwiéj mianował go król stolnikiem krakowskim a jednocześnie i generałem regimentu województwa krakowskiego. Znalazł się tedy zaraz w swym ulubionym żywiole, jakoż uregulował on ten pułk według swego widzenia, zaprowadził w nim karność i porządek francuzki i wymusztrował tak pracowicie i umiejętnie, że go stawiano powszechnie za

wzór całéj armii. Zasłużył on sobie przez to tak na dalsze łaski królewskie, jak i na wdzięczność u obywateli krakowskich, — a wreszcie, i co mu było ze wszystkiego najmilszém, znalazł przytém sposobność pomieszczenia dawnych swoich żołniérzy i utrzymania tych najwierniejszych przyjaciół w swojéj blizkości. W tym czasie przewodniczył on po kilka razy powiatowym sejmikom i oczéwiście zaraz przy piérwszéj sposobności został obrany posłem na sejm do Warszawy. Na tym sejmie odznaczył się wytwornością wymowy, znajomością praw swoich i cudzych, a nadewszystko powagą do tego stopnia, że natychmiast został od Rzeczypospolitéj wyznaczony komisarzem do owoczesnéj sprawy toruńskiéj. Dopełniwszy tego obowiązku, pojechał z rozkazu braci deputatem na trybunał koronny, — a potém znowu na sejm grodzieński, na którym go także nowy obowiązek nie minął, bo musiał znów przyjąć funkcyą komisarza do sprawy kurlandzkiéj. Tak prawie nie odpoczywał w ciągłych obywatelskich usługach. Przyszły téż za to zasłużone nagrody: z krakowskiego stolnika niebawem podstoli wielki koronny, został nareszcie i oboźnym koronnym, do czego téż król przydał bez zwłoki i nowomiejskie starostwo. Do tego czasu nabył on swoją „pracą“ rzetelną i „prawdą“ tak powszechnéj wziętości, zaufania i sławy, że odtąd już żadna ważniejsza narada w zamku królewskim nie mogła się obejść bez niego — a województwa krakowskie i sandomierskie rwały się poprostu o niego przy każdym obiorze do sprawowania poselstwa. Przyszło nareszcie do tego, że go zgodnym sposobem obiérano koleją: raz Krakowianie, a następnie Sandomierzanie. Tak w roku 1732 stanął on posłem krakowskim na sejmie w Warszawie, a nawet już marszałkiem izby poselskiéj. Sejm ten, jak wiadomo, nie doszedł, a po nim zaraz z początkiem roku 1733 nastąpił sejm nadzwyczajny, na którym Ożarowski znów poseł, znowu go jako marszałek zagajał, — wszakże zaledwie sejm rozpoczęto, król August umarł, a tak nie pozostało nic marszałkowi, jak zgromadzenie to świetne, któremu miał przewodniczyć, żałobną mową pożegnać. Na tém téż, na téj mowie żałobnéj, kończy się druga część publicznego zawodu Jerzego, — a odtąd rozpoczyna się trzecia i już ostatnia, ostatnia i najsmutniejsza ze wszystkich...

W saméj istocie rzeczy żywot tego człowieka podzielił się sam ze siebie na trzy odrębne części. W piérwszéj młodzieniec pełen zapału, pełen gorącéj żądzy, miota się jeszcze raczéj po światach marzenia, niżeliby miał zamieszkać w krainie jednéj, w któréj można krajowi rzeczywiste przynieść zasługi. Widzi on już natenczas czego potrzeba, ażeby téj służby dopełnić, — widzi wszystkie niedole i niedostatki swojego kraju, ale sam jeszcze nie wié, na jakiéj drodze powinien dążyć do swego celu. Zawiele pragnie, zanadto ufa swym własnym siłom — i zdaje się wcale nie widzieć, że do takich ogromnych celów niémasz żadnéj drogi dla niego. Dlatego błądzi, raz swoją dumą zanadto się podnosząc

wysoko, to znów skromnością spuszczając się zanadto nizko. Jakoż byłby on upadł i zginął bez żadnego wątpienia, gdyby go jego praca sumienna i prawda, będąca ostatecznym celem téj pracy, nie osłoniły od zguby. W drugiéj części swojego życia staje on się człowiekiem zupełnie innym. Porzuca swoje zbawcze marzenia, porzuca nawet obszérniejsze względem ojczyzny zamiary,—i staje się człowiekiem realnym, sługą dnia dzisiejszego.

O ile świadczą jego działania, pogodził on się zupełnie z stanem obecnym, uwierzył że narodowi może być dobrze i pod tym królem, uwierzył nawet, o ile się zdaje, że radykalnych reform wcale nie trzeba, — i oddał się tylko pracowitéj służbie około tego, czego bieżące wymagały potrzeby. Tak strawił on lat kilkanaście, aż do śmierci Augusta...

Wszakże ze śmiercią króla, jak gdyby tylko na nią czekał, jak gdyby się w tém oka mgnieniu całkiem nanowo odrodził, powrócił on nazad do swoich marzeń młodzieńczych. Wierzymy chętnie, iż skłoniło go do téj zmiany tylko przekonanie wewnętrzne, przekonanie, oparte na doświadczeniach lat kilkunastu, niepodobna się wszakże ochronić domysłom, że mogły się do tego przyczynić także i powody zewnętrzne. Do tego czasu bowiem zmieniło się wszystko około niego prawie do niepoznania. Z osób, które mu były najprzyjemniejsze, prawie już nikt nie żył dotychczas; najbliżsi nawet go opuścili, porzucając i jego i ziemię tę z woli Boga na zawsze. — Zaczniemy od tych, którzy mu byli dalsi...

I tak hetman Sieniawski, powróciwszy po zakończeniu „niemego“ sejmu do Brzeżan, już prawie tylko dokwasił tych resztek życia, które mu pozostały. Ograniczony w swéj dawnéj władzy, niegdyś jak wiadomo niezmiernie rozległéj, podupadły na zdrowiu, opuszczony od dawnych swych wielbicieli i prawie zapomniany przez wszystkich, nudził tylko i sobą i swoim dworem do niewytrzymania. Oddał się w końcu modlitwom i dobrym uczynkom, i nie należy wątpić, że to uczynił nareszcie z szczérego serca. — Wiele krzywd dawniéj wyrządzonych przez siebie, teraz naprawił, wspomagał szczodrą ręką kościoły, obdarzał hojnie ubogich i zgoła tak nie żałował swoich dostatków na złagodzenie cierpienia bliźnich, że na samo wykupno jeńców z niewoli pogańskiéj wydał przeszło cztéry miliony złotych. Uspokoiwszy się wreszcie i oddaliwszy od marności światowych za życia, umarł we Lwowie w roku 1726.

Zosia, pomimo odprawionych zrękowin z Denhoffem, odwlekała to zamężcie jeszcze przez pięć lat całkowitych. Cokolwiekbądź powiadały jéj usta o hetmanie polnym litewskim, nie miała ona przecież do niego żadnego pociągu serca. Dotrzymując danego słowa, poszła za niego nareszcie, — ale nie było szczęścia w pożyciu tego niedobranego małżeństwa. Niejednokrotnie wtenczas spotykała ona Jerzego w Warszawie, cieszyła się zawsze niezmiernie, że on jest do tego stopnia ze swoją żoną szczęśliwy,

iż nawet głośno o tém mówią po całéj Polsce; ale téż za to nigdy się przed nim z tém nie taiła, że jéj losy są zupełnie przeciwne. Przynosiło téż to Jerzemu wcale nieobojętną zgryzotę, a jak był zawsze niezmiernie surowym sędzią swoich uczynków, tak nieraz ciężkie sobie czynił wyrzuty, że tak przeważny wziął udział w doprowadzeniu tego małżeństwa do skutku. — Wszakże niedługo trwały te smutki, albowiem już w szóstym roku po ślubie, Denhoff zszedł z tego świata, — a hetmanowa wdowa wyszła z swéj własnéj woli powtórnie za mąż, za księcia Augusta Czartoryskiego, szczęśliwego zwycięzcę Franciszka Salezego Potockiego, który się także starał o jéj rękę.

Jednocześnie z Denhoffem w roku 1728 umarł także i Stanisław Rzewuski, dawniéj pełny, a po Sieniawskim hetman wielki koronny.

Tak w przeciągu dwóch lat niespełna zeszli z tego świata wszyscy ci trzéj hetmanowie, którzy niegdyś tak uświetniali festyny brzeżańskiego zamczyska.

Niedługo po nich porzucił także tę ziemię na zawsze i teść Jerzego, zacny miecznik stężycki. Był to człowiek uposażony tém wszystkiém od Pana Boga, czego potrzeba do szczęśliwego życia na ziemi, — mimo to jednak nagromadziło się w jego życiu daleko więcéj cierni, niż kwiatów. Był on jak wszyscy ci ludzie, którzy obrawszy nieodpowiedni swoim usposobieniom kierunek za młodu, nie mogą potém na właściwą drogę trafić przez całe życie. Ziszczają się może późniéj ich dawniejsze pragnienia, — ale już wtedy im wszystko przychodzi zapóźno. Ztąd ciągły niesmak, smutki i przedwczesna tęsknota za grobem. Tak się téż stało i z Bobrownickim. Ożenił się z miłości, ale zawcześnie, był tedy niby najszczęśliwszym ze swoją żoną, ale w tém szczęściu nigdy sobie nie mógł przebaczyć, że nie dopełnił pierwéj swych obowiązków. Szlachetny zapał rwał go ciągle do wojny, któréj natenczas tak pełna była Rzeczpospolita, — obowiązki względem rodziny trzymały go więźniem na domowéj zagrodzie. Ażeby sobie choć w domu otworzyć obszérniejsze pole do działań, rzucił się ku robieniu fortuny, — ale uczynił to w porę najniewłaściwszą i zakwasił sobie z tego powodu lat kilkanaście. — Ocknął się wreszcie w czasie konfederacyi, otrząsł się z owych wikłanin piénięż-nych i poszedł w służbę publiczną, — ale już wtedy opuściło go szczęście. Pracował jaknajgorliwiéj, nie szczędził ani zdrowia, ani fortuny, ale tak nieszczęśliwie, że tylko pomagał drugim, a jego własna zasługa zgasła zupełnie przy innych. Powróciwszy do domu, zamknął się w sobie i nigdy już w świat obszérniejszy nie wyjrzał. Nie przyjął nigdy żadnego urzędu, na sejmikach nawet nie bywał i zgoła całkiem się usunął od spraw publicznych. Oddany tylko rodzinie i wychowaniu dzieci, przeżył w takiém odosobnieniu jeszcze lat kilkanaście — i zszedł z tego świata, znany

w ostatnich latach swego życia zaledwie w kółku najbliższego sąsiedztwa.....

W kilka miesięcy po nim umarła i jego żona — a na jednym dniu z nią wyzwolił się także z swych pokutniczych więzów i Murża. Stało się to prawie na samym dwunastym roku od czasu ślubu Jerzego i od jego zapisu. Było to dosyć dziwném dla wszystkich, bo wymawiając sobie alimenty na lat dwanaście, prawie na dnie sobie przepowiedział przeciąg swéj pokuty. Uważano téż to za *omen*, że Pan Bóg przyjął jego pokutę i kornéj duszy jego odpuścił grzechy przy śmierci. Jakoż i umarł bardzo przykładnie; rano się wyspowiadał, przystąpił do przyjęcia Ciała i Krwi Przenajświętszéj, poczém poszedł do swojéj celi — a kiedy zadzwoniono na obiad, on już nie przyszedł. Wyprawiono braciszka do niego, nie mógł go znaléźć,—aż go odszukał w kościele, leżącego krzyżem na ziemi u wstępu do prezbiteryum, i trzymającego krucyfiks w skostniałych ręku. Dotknął go, chciał go zbudzić, — ale Murża już nie żył.

Tak odchodzili wszyscy koleją, — tylko rotmistrz trwał ciągle, i przy życiu, i przy swojém żelazném zdrowiu, a co najlepsza, i przy swojéj nigdy niezachmurzonéj fantazyi. Nie zamieszkał on wszakże nad Nidą, — próbował tego, ale mu się tutaj nie podobało. Ziemia mu jakoś rodzić nie chciała, woda mu nie służyła, chłopi go słuchać nie chcieli, a nawet i z sąsiadami nie mógł jakoś trafić do ładu; do tegoż jeszcze i jego żona trzymała z ziemią. Tak tedy nie mogąc się dołowić swoich chłopów po cudzych wioskach, ani się dobić rewerencyi u butnéj szlachty, która nie znając go dawniéj, miała ciągle za golca i za prystasza, zabrał się z swoją kniahinią i wyniósł się do swego majątku nad Dniestr. — Tam mu téż zaraz było inaczéj, tysiąc korcy wysiéwał, chował koni bez liku, chłopów zdołał utrzymać w ryzach, a i u szlachty znalazł miłość i rewerencyą. Pobłogosławił go Pan Bóg i upragnioném potomstwem. Pilnując teraz już gospodarstwa, stał się téż wkrótce bardzo bogatym i do lat kilkunastu wiele włości przykupił. Ale mimo to nie odmienił ani na jotę swojéj republikańskiéj fantazyi i lubo się natłukł regalistów do woli, przecież ich wcale nie cierpiał. Potoccy wyrobili mu u króla obietnicę nominacyi na kasztelanią za najpiérwszym wakansem, ale jéj nie przyjął, mówiąc: — Nie wezmę. Kto to wié jeszcze, co będzie, a jabym nie chciał, ażeby król jegomość miał prawo nazwać mnie niewdzięcznikiem. — Żył tedy ciągle tylko z swoimi towarzyszami i przyjaciółmi, trzymał się wiernie Potockich, Tarłów i innych Stanisławowskich stronników, a przytém czuwał pilnie nad sąsiadami, ażeby dobry duch w nich nie wygasał, obiecując im zawsze jeszcze sam przewodniczyć, jeżeli się tylko coś stanie na świecie. Jakoż istotnie był on jednym z piérwszych, którzy przybiegli do konfederacyi dzikowskiéj i mimo białutkich jak mléko włosów, rotmistrzował po staremu chorągwiom przez cały przeciąg owocze-

snych zamieszek. I po staremu wrócił zdrów i cały do domu a nawet kontent przynajmniéj z tego, że się znów wytłukł z Sasami. I żył jeszcze potém jakby nic nigdy, przez całe panowanie Augusta III, — tylko upragnionego Piasta na tronie już nie doczekał. Umarł nagle we Lwowie, powracając z wesela swojego syna.....

Miał tedy Jerzy z tego nieoszacowanego rotmistrza niejednokrotną pociechę, — ale cóż z tego, kiedy go tak nielitościwie rzucali inni? Dopiéroż ostatnie lata panowania dawnego króla przyniosły mu straty najboleśniejsze. Albowiem wtedy umarła matka jego, która jakkolwiek od dnia jego ślubu przyjęła profesyą w zakonie benedyktynek, była jednakże ciągłym, niezmordowanym aniołem-stróżem jego całéj rodziny. Wtedy pożegnała go także jego najukochańsza żona, zostawiając troje dziateczek i żal niczém nieutulony po sobie.....

Tak został on sam, na cały dom swój, na cały świat.. Miał przyjaciół po Polsce całéj, miał ich tysiące; ale nie miał ani jednego serca, któreby nazwał wyłącznie swojém. W takim wieku, czy w innym, w dobréj czy złéj doli, zawsze jest smutném siéroctwo! Przytłumiony jego ciężarem, zaczął téż on się odmieniać pomału, inaczéj czuć i inaczéj rozpatrywać się koło siebie. Jakoż wiele z tych rzeczy, które dotyczas pochwalał, wcale mu się teraz nie podobały. Spostrzegł téż to i owo, czego dotychczas nie widział; przypomniał sobie niejedno, co mu śród skrzętnéj służby około dnia dzisiejszego wywietrzało z pamięci. Trudnoż mu było wreszcie nie widzieć jawnie, że na nic się Polsce nie zdały te wczasy. Za jego przykładem poszedł téż także i naród. Podupadły nauki do reszty, zachwiały się cnoty, miękkość opanowała umysły, gnusność uśpiła serca, ciemnota rozpostarła swe czarne skrzydła, a jak pod ich zasłoną dawne rycerstwo zamieniło się w zaściankowe junactwo, tak znowu martwa, bezduszna bigoterya zastąpiła religią.

Wtedy téż Jerzy porzucił się bez namysłu w objęcia stronników króla Stanisława. Ażeby mógł działać całkiem swobodnie i nie potrzebował odbiegać sprawy publicznéj dla opiekowania się swemi dziećmi, pojął był wtedy Przebendowską, wojewodziankę malborską, a tak dał matkę swoim siérotom. Związek ten zbliżył go jeszcze tém bardziéj do Potockich, bo Przebendowska była urodzona z Potockiéj, Potoccy zaś, jak dawniéj, tak téż i teraz, wodzili rej w tém stronnictwie. Jednak niebawem gorliwością, skrzętnością, a wreszcie i wszechstronnemi zdolnościami swojemi, przepisał Jerzy nawet samych Potockich. Był on już dawniéj znany królowi Stanisławowi, jego sława zdobyta tak wielolicznemi zasługami w ojczyźnie przedstawiła go jeszcze lepiéj, toż kiedy się złączył teraz z Leszczyńskim, a był jednym z piérwszych, którzy przedarli się na Pomorze, uzyskał sobie jego ufność bez granic. Był on téż przez cały przeciąg tych długoletnich, tak wojennych,

jak politycznych zamieszek, najczynniejszym ze wszystkich. Dzisiaj jest w kraju, wiąże konfederacye, rzuca się po województwach, gromadzi szlachtę, burzy ją, zbroi, wyprawia, to znowu jutro już jest przy królu, zasiada w radzie, wymyśla nowe źródła pomocy, załatwia korespondencye, wyprawia posły. Ułatwiwszy te sprawy, biegnie znowu do kraju, porozumiewa się z przyjaciołmi i znów powraca do króla; wylatuje potém sam jako poseł, konferuje w Berlinie, agituje w Wiedniu, biegnie do Paryża, powraca i pędzi do Carogrodu. Wszakże z tych wszystkich zabiegów nadzieje małe, owoce żadne; wraca się więc z całym zapałem na Wersal i pozostaje tam jako minister króla Stanisława przy dworze jego koronowanego zięcia. Dziwnie téż on tam pracował na tym przewrotnym dworze, dziwne téż przebiegał koleje losu. Zrazu noszony na rękach, uwielbiany przez wszystkich, najpewniejszemi obietnicami karmiony, w końcu, ze zmianą okoliczności, omal że nie otrzymał rozkazu opuszczenia Wersalu. Rozbryzgnęły się téż nareszcie wszelkie widoki nieszczęśliwego króla, — Sas osiadł na wieczne czasy na polskim tronie, przepadły nadzieje Ożarowskiego na zawsze. Był to dla niego cios nader krwawy i nieledwie zabójczy. Wyrzucił się z swojéj dawnéj kolei, stracił połowę fortuny i dobił się za to wszystko tylko najboleśniejszego zawodu. Przyplacił téż tę zgryzotę ciężką chorobą, z któréj wprawdzie wyzdrowiał, ale nieprzetrawiona gorycz zawiedzionego serca i zniechęcenie tak dawniéj żarliwego umysłu pozostały mu odtąd nazawsze. Powróciwszy do kraju, mógł jeszcze napowrót zbliżyć się do kraju, mógł jeszcze napowrót zbliżyć się do tronu, mógł z łatwością otrzymać buławę polną, wejść w życie czynne i znowu służyć krajowi na takiéj saméj drodze, na jakiéj przesłużył za Augusta II lat kilkanaście, — ułatwiano mu nawet drogę do tego, wyciągano ku niemu ramiona,—ale już wtedy ani służba publiczna, ani łaski królewskie, ani obiecywane honory nie miały dla niego najmniejszego pociągu. Skołatany stratami, wyniszczony długoletniemi trudy, a domęczony od reszty tak ogromnym zawodem, miał przekonanie, że nic już zrobić nie można, a to co można i zabiegów nie warte. — Żył téż już odtąd tylko w kole rodzinném, prawie w zupełném odosobnieniu od nowego i wcale niemiłego mu świata. Jakoż i widok tego świata, któren wciąż coraz niżéj upadał, a któremu zaradzić nie było można, przybliżył jego koniec nareszcie. Umarł w roku 1741, z wielkim żalem osiéroconéj rodziny.

KONIEC.

ZYGMUNT KACZKOWSKI

PRZEZ

WINCENTEGO KOROTYŃSKIEGO.

ZYGMUNT KACZKOWSKI.

Gdy autor *Murdeliona* po raz pierwszy w roku 1845 nieśmiało występował na widownię, powieściopisarstwo polskie było już w pełni rozwoju, który jak wzorzysty dywan ze stokroci w ogrójcu piśmiennictwa, długo się cieszył jednostajnie pięknym rozkwitem. O sentymentalnych bajeczkach niemieckich, za których tłómaczenie i drukowanie około roku 1820 oburzały się dotknięte niemi karty pism nawet tak poważnych jak *Dziennik Wileński*, wcale już wówczas nie myślano. Walter-Scott, oschle tłómaczony przez Dmochowskiego i jego nieznanych akolitów, sromotnie wyrugowany przez tak zwaną „literaturę szaloną“ francuzką, mógł patrzéć ze słusznem zadowoleniem zemsty, gdyby żył jeszcze, jak z kolei powieść oryginalna polska torowała sobie drogę po przez stosy właśnie naówczas pojawiających się najznakomitszych wielotomowych utworówHugo'na, Sue'go, Balzac'a; a przedzierała się nietylko sama, lecz napowrót prowadziła za sobą chwilowo zapomnianego Walter-Scotta, którego formę zewnętrzną przejmowali pisarze tak utalentowani jak Michał Grabowski. Niestrudzony po dziś dzień i najwyżéj dziś od wszystkich stojący Józef Ignacy Kraszewski, pisał już wtedy od lat piętnastu, a wśród powieści jego znajdowały się: *Ulana*, *Budnik*, *Ostatnia z Książąt Sluckich* i inne. Podobnież około piętnastu lat życia liczyły już *Pamiątki Starego Szlachcica Litewskiego*, w których Henryk Rzewuski prześcignął samego siebie, bo nigdy już potém nie zdołał wzbić się ani na chwilę do takiéj wysokości artyzmu i prawdy historycznéj. Ignacy Chodźko co rok wydawał nową seryę swoich *Obrazów Litewskich*, a jego opowiadania kwestarza były na wszystkich ustach. Józef Korzeniowski, dawno już

wyćwiczony w dramacie, znany z kilku drobnych obrazków powieściowych, właśnie swoim *Spekulantem* i niezrównaną *Kollokacyą* rozpoczynał świetny i nader płodny zawód pisarza powieści zakreślonych na szeroką skalę. Wielu innych mniéj głośnych lub z własnéj winy ściągających na siebie wyrok niepamięci, podobnież w owych czasach ukazywało się na niwie pracy powieściopisarskiéj i dank powszechny jednało. Zdawało się, że stawać do zawodu wśród takiéj konstellacyi było nielada zuchwalstwem, a nie być przez nią zaćmionym do niepodobieństw należało. Zdarzyło się jednak inaczéj.

Między najpierwszym młodzieńczym wierszykiem Kaczkowskiego, drukowanym w jedyném pod ową porę czasopiśmie literackiém lwowskiém, *Dzienniku Mód Paryzkich*, a najstarszemi powieściami ostatniego z Nieczujów, *Bitwą o Chorążankę*, *Swatami na Rusi* i *Kasztelanicami Lubaczewskimi*, leżał zaledwie przedział lat pięciu czy sześciu. Ten przeciąg czasu od 19-go do 25-go roku życia pisarza, wystarczył mu do zrobienia wszystkiego co potrzeba, aby następnie jednym rzutem imię swe zanieść w najdalsze zakąty kraju, zajaśnieć między najpierwszymi i zjednać sobie powszechną życzliwość. Lecz i ów mały okresik wstępnego zawodu Kaczkowskiego, skutkiem utrudnionych podówczas związków literackich, był u nas prawie całkiem nieznany. Kiedy więc po raz pierwszy zjawił się w *Gazecie Warszawskiéj* w roku 1852 *Murdelio*, większa część publiczności tutejszéj uderzona niezwykłością zjawiska, ogłosiła Kaczkowskiego za dziecko cudowne, za Minerwę w pełnym rynsztunku wychodzącą z głowy Jowisza. Gdy zaś następnie coraz nowe utwory młodego autora poczęły się sypać jak z rękawa, a w nich wiek XVIII ukazywał się z coraz większą dokładnością rysunku i nieprzebranemi odcieniami charakterystyki, — oddano cześć Kaczkowskiemu, jakiéj najwięksi mistrze zaledwie niekiedy dostępują. Zaczęto najprzód po cichu, a potém i głośno, zaprzeczać mu autorstwa, pomawiać o przywłaszczenie pracy współczesnego konfederacyi barskiéj a zkądinąd nieznanego pisarza. Powiadano, że nurtując po bibliotekach i archiwach galicyjskich, od dawna z uszanowaniem przez nikogo nietykanych, jak ów księgozbiór klasztorny w *Monachomachii*, Kaczkowski wydobył z kurzawy gotowe raptularze, tu i owdzie okrzesywał, posypywał kwiatami, przepisywał i dawał do druku. Nie chciano wierzyć, że bryły rodzimego złota, lubo czasami istotnie się znajdują, trafiają się tylko odosobnione, raz jeden na lat seciny, i z uszanowaniem przenoszą się do gabinetów—gdy całkiem takie samo złoto, przy umiejętności i pracy wytrwałéj a łaskawych okolicznościach, stale wypłókuje się z piasku, albo wytapia z kwarcu. Chociaż krytyka drobiazgowa chwytała z rzadka autora na drobnych niedokładnościach historycznych, nieodstępnych od piszącego z podania, chociaż inne powieści Kaczkowskiego, snowane na tle życia i obyczajów współczesnych, żadną już miarą nie mogły być posą-

dzane o przepisanie ze starych raptularzy, — ogół czytających na to nie zważał, a może są nawet tacy, którzy po dziś dzień przekonać się nie dali. Wszak jeszcze przed kilku laty ktoś w druku odmawiał autorstwa *Pamiątek Starego Szlachcica* Rzewuskiemu, który podobnie jak Kaczkowski był posądzany o przywłaszczenie pracy współczesnego wypadkom autora.

Jeżeli sobie przypomnimy, że mniéj więcéj w tym samym czasie z upartém niedowiarstwem usiłowano zaprzeczyć autentyczności *Słowu o Półku Igora*, *Rękopismowi Królodworskiemu*, *Pamiętnikom Paska*, prawdziwym arcydziełom twórczego ducha przeszłości, — to przyznać musimy, że jednoczesne narzucanie autentyczności utworom intuicyjnie odtwarzającym przeszłość, jest nietylko znamieniem ich wysokiéj wartości, nietylko największą dla autorów pochwałą, lecz zarazem dla umysłów badawczych najbardziéj zachęcającą do rozwikływania zagadką. Co tym utworom nadało taką cechę prawdopodobieństwa, że jéj od prawdy częstokroć odróżnić niepodobna? Jakiemi drogami szedł umysł autora, że tak się przejął wyobrażeniami i postępkami umarłych, jak gdyby obcował z nimi, podzielał ich dolę i niedolę? Ile rzeczywistości przeniosła w jego dzieła żywa tradycya rodzinna i krajowa, a ile dorobiła zbratana z nią wyobraźnia piszącego? Jak dosięgnął takiéj harmonii artystycznéj między dawniejszą treścią a formą późniéj odlaną, że głos publiczny nie chciał uwierzyć, by owa forma nie była współczesną treści? Te i inne pytania mimowoli nasuwały się dawniéj i teraz powtórnie dopraszają się wyjaśnienia przy odczytywaniu dzieł Kaczkowskiego w nowém wydaniu. Część odpowiedzi na nie dali albo dać usiłowali rozmaici sprawozdawcy, których Kaczkowski miał wielu znakomitych i uczonych, życzliwych i niechętnych. Część inną odpowiedzi, o wiele szacowniejszą, dał sam autor na czele tomu piérwszego obecnego wydawnictwa. Część jeszcze inną, a przynajmniéj wiązankę materyałów dla układającego odpowiedź, w tém miejscu zebrać zamierzono.

Nierozwikłana jest sieć pajęcza ścieżek, po których myśl pracownica krząta się około roboty; sam jéj rozkazodawca i świadek bezpośredni, duch człowieka, nie zawsze umie zdać sprawę z jéj krzątaniny. Témbardziéj trudno dokonać tego patrzącemu ze strony, przebojem tylko wdzierającemu się do cudzéj świątyni twórczości. Wyrozumiałość tedy i pobłażanie z prawa mu się należą.

* * *

Rodzina naszego znakomitego pisarza, pieczętująca się herbem Pomian, pisze się z Rojewa; od niepamiętnych bowiem czasów do końca wieku XVII, posiadała w Wielkopolsce wieś Rojewo, przezwaną późniéj przez Niemców Kaczkower-Dorf. Najdawniej-

szym przodkiem Zygmunta, którego historya wspomina, był Nyczko Kaczkowski, podpisany w szeregu innéj szlachty na umowie koszyckiéj z królową Elżbietą węgierską o zapewnienie tronu jéj córce Jadwidze w r. 1383. *(Vol. Leg. I).* Następcy jego wspominani przez kronikarzy i w rozmaitych aktach tak urzędowych jak prywatnych, bawili się po wszystkie czasy rzemiosłem wojenném, nie sięgając wysoko, lecz odznaczając się charakterem wytrwałym, częstokroć burzliwym, lecz nieugiętym w obec przeciwności losu, która ich nieraz trapiła. Ztąd poszło, iż jeden z potomków Nyczka położył przy herbie godło: *Nec aspera terrent*, (nie przestraszają utrapienia), co jego następcy zachowali.

Pod koniec wieku XVII, jeden z przodków Zygmunta Kaczkowskiego ożenił się z Zebrzydowską, i wziąwszy za nią obszerne ziemie na Wołyniu, założył tam wieś Kaczkowice, i od owéj daty rodzina ta dotrwała w tamtych stronach aż do upadku kraju. Podczas konfederacyi barskiéj, któréj legenda miała stać się nicią czerwoną rozmaitych utworów Zygmunta, dziad jego rodzony Józef Onufry, zastawiwszy cały swój majątek ziemski, wysztyftował półk konny, z którym około dwóch lat uwijał się po rozmaitych okolicach, aż nareszcie z nielicznymi niedobitkami osiadł w r. 1770 nad Dniestrem u rodziny sobie powinowatéj Dęborogów-Bylczyńskich. Tam doczekał się końca konfederacyi, a po przejściu téj części Małopolski pod panowanie austryackie, osiadł na małym kawałku ziemi w pobliżu Dniestru, i w kilka lat potém, mając lat 56, zaślubił 14-letnią Maryę Bylczyńską, która późnego dożywszy wieku, zmarła dopiero w r. 1853. Zdaje się, że mąż jéj a dziad powieścio-pisarza, będąc jeszcze chłopięciem, miał jakiś udział w konfederacyi dzikowskiéj, zawiązanéj w r. 1734 przez stronników Stanisława Leszczyńskiego z zamiarem utrzymania go na tronie polskim; w każdym atoli razie ojciec jego Jakób musiał w niéj znaczną odgrywać rolę, gdyż babka powieściopisarza przechowywała z owego czasu tak żywe tradycye, iż je oczywiście tylko od naocznego świadka mieć mogła. Znała ona i pamiętała czasy Augusta III i Stanisława Augusta tak dokładnie i szczegółowo, że pod każdym zgoła względem była żywą kroniką téj doby, brzemiennéj w świetne pobłyski i ponure wypadki. Nie było téż kąta w dawnéj Polsce, z którymby nie miała ustawicznych relacyj, co zresztą ztąd pochodziło, iż mąż jéj miał siostr jedenaście, które wszystkie powydawane za mąż rozsypały się po całym kraju. To wszystko sprawiało, iż babka powieściopisarza była dla niego prawdziwą arką przymierza wspomnień rodzinnych i krajowych.

Ojciec Zygmunta Ignacy, urodzony w r. 1778, otrzymał wychowanie dosyć staranne, a pobierając nauki w Winnicy, we Lwowie i Warszawie, nazbierał wiele wiadomości, w których wszakże skłaniał się głównie ku przedmiotom realniejszym, górnictwu, mechanice i rachunkowości. Tym sposobem, wytwarzała się zawczasu dla pacholęcia w domu rodzicielskim równowaga wpływów,

których jednym biegunem miała być poetyczna cześć dla przeszłości uosobiona w babce, drugim realniejszy pogląd na obecny stan rzeczy wcielony w ojcu. Nim jednak do tego przyszło, Ignacy Kaczkowski, pospołu ze swym ciotecznym bratem Skrzetuskim, wstąpił w r. 1809 do wojska, i dwoma nawrotami trudnił się żołnierką do r. 1815. Ożenił się dopiéro w r. 1824, i odtąd stale osiadł w dobrze znaném z powieści synowskich Sanockiém, gdzie prawie do końca życia pozostawał. Był-to człowiek nader bystrego pojęcia i ukształconego umysłu, żartkiego dowcipu i wesołego temperamentu, wyobrażeń i form poniekąd bardziéj cudzoziemskich niż polskich, ale pomimo tego miłośnik kraju. Matka powieściopisarza — trzeci żywiół przeważny w jego ukształceniu moralném — była niewiastą cnot nieskalanych, charakteru anielskiego, cicha, spokojna, bez żółci, pełna miłości dla wszystkich, oddana jedynie życiu domowemu i rodzinie. Ale ojciec lubił żyć goręcéj, nie stronił od zabawy i rad u siebie podejmował gości. W domu była biblioteka i Kaczkowski utrzymywał niemal wszystkie pisma peryodyczne polskie, goście zaś przywozili z sobą najnowsze książki, a częstokroć i nieogłoszone jeszcze rękopisma znakomitych utworów. Całe dni i wieczory rozprawiano o potrzebach kraju i piśmiennictwie, czytano dzienniki i deklamowano poezye, a młodociany Zygmunt umiał na pamięć całe ustępy z dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Witwickiego, Goszczyńskiego i Gaszyńskiego, częstokroć piérwéj nim kraj o ich istnieniu się dowiedział.

Urodził się Zygmunt Kaczkowski w r 1826 we wsi Bereźnicy, w swojéj ukochanéj Sanocczyźnie, wśród owéj braci szlachty, którą tak umie opisywać, a o któréj już ksiądz Ignacy Włodek powiadał, że jest: „do korda nie do prawa.“ Ojciec widząc w chłopięciu niezwykłą łatwość pojmowania i pamięć tak bystrą, że wszystkich wprawiała w zadziwienie, bardzo wcześnie począł go zaprzęgać do nauk. Mając lat cztery, Zygmunt umiał już czytać po polsku i po francuzku, tudzież pisać i trochę rachować; a mając lat siedm, zdał już egzamin z czterech klas normalnych, pisał poprawnie po polsku i po niemiecku i miał dobre początki języka francuzkiego. Mógłby już wtedy wejść do gimnazyum, gdyby wiek nie stał na przeszkodzie; wówczas bowiem w szkołach austryackich, podobnie jak do dziś dnia w niektórych państwach, z wielką szkodą dla umysłów szybcéj się rozwijających, przyjmowano do gimnazyum dopiéro po ukończeniu 10-iu lat wieku. Nic tedy nie pozostawało młodocianemu Kaczkowskiemu, tylko prowadzić daléj nauki w domu. Tak się téż stało. Ojciec dał mu naówczas dwóch nauczycieli: ks. Pawła Żegestowskiego, proboszcza obrządku unickiego, męża używającego wielkiego szacunku w okolicy, który wdrażał chłopię w naukę religii, łaciny i geografii,— oraz Józefa Niklewicza, krewnego matki Zygmunta, człowieka jeszcze młodego, wysmukłego, wiotkiego, niezmiernie bladego, zawsze zamyślonego i rozmarzonego, który miał prowadzić powinowate-

go do poznania wszystkich innych przedmiotów należących do piérwszych klas gimnazyalnych. O ile jednak Żegestowski pilnie się trzymał zakreślonego programatu, o tyle Niklewicz nie zważał na jego paragrafy, deklamując tylko z uczniem wiersze najrozmaitszych poetów całego świata. Był-to człowiek nader uczony, lecz z powołania wcale nie nauczyciel, tylko dla słabości zdrowia szukający górskiego powietrza, unikający szlacheckich hałasów, i dlatego właśnie chwytający się nauczycielstwa w okolicy podkarpackiéj. Nauka téż przez niego dawana była licha, a przynajmniéj nie taka, jakiéj szkoła wymagała. Niklewicz oprowadzał chłopca przez całe dni po Bieszczadach, przysiadał tu i owdzie na karpackich polanach, wydobywał z kieszeni Byrona, Szyllera, Getego lub Mickiewicza, niekiedy zaś Kochanowskiego, Karpińskiego lub Kniaźnina, i deklamował ulubione utwory, zalecając za sobą je powtarzać. Niekiedy dla wypoczynku przypatrywano się dzikim widokom karpackim, orłom wzbijającym się po nad głowami, lub sarnom śmiało przemykającym się około niestrasznego dla nich widoku literatów. Częstrokroć stojąc na szczycie Połonin, oświeceni jasnemi promieniami słońca, wśród najpiękniejszéj pogody, unosili się nad bałwaniącą się pod nogami burzą i bijącemi raz po raz pioruny. W tych wycieczkach mały Kaczkowski więcéj nauczył się wierszy i luźnych wiadomostek z zakresu przyrodnictwa, aniżeli jakichkolwiek innych nauk gimnazyalnych. Ojciec nie bardzo łaskawie patrzał na ten systemat nauki, ks. Żegestowski także protestował przeciwko temu w sekrecie, obawiając się przytém czy w owych cudzoziemskich poetach i wiadomościach z historyi naturalnéj nie ma jakiéj odrobiny herezyi; gdy wszakże przyszedł półroczny egzamin, a uczeń dzielnie z niego wypłynął, omijając Scylle i Charybdy,—wszyscy byli kontenci, i już o zmianie systematu nauki nie tak troskliwie myślano.

Na takich uczonych zabawach zbiegły dwa lata, aż w końcu powiodło się Ign. Kaczkowskiemu wyrobić za wysoką protekcyą w Wiedniu dyspensę dla syna, ażeby mu w 9-ym roku pozwolono zdać egzamin do piérwszéj klassy gimnazyalnéj. Korzystano z tego ustępstwa tak pilnie i skwapliwie, że w ciągu jednego roku Zygmunt zdał egzamin nietylko z piérwszéj, ale i z drugiéj klassy, poczém ojciec, by wprowadzić chłopca na tór nauki regularnéj, oddał go do konwiktu dominikańskiego we Lwowie. Jednakże już widać ta regularność i ten ryger klasztorny nie były dla niego przeznaczone. Zawsze znalazła się jakaś przeszkoda, albo raczéj jakiś powód do brania go na czas niejaki na wieś, z czego to wynikało, że zawsze ks. Paweł wracał do urzędu orędownika, dawał młodzianowi nauki w domu i popisywał się z nim na egzaminach prywatnych. Tak się dokołatano do roku 1842, w którym Zygmunt Kaczkowski mając niespełna lat szesnaście, wszedł na uniwersytet lwowski, we dwa lata skończył wydział filozoficzny i wstąpił na prawny.

Atoli już o wiele wcześniéj zaczął się w Kaczkowskim odzywać pochop do pisania. Będąc w klassie piątéj gimnazyalnéj, wysztyftował po łacinie rozprawę o Cyceronie, z któréj bardzo się cieszył owoczesny professor retoryki Janowski, późniejszy poseł do wiedeńskiéj rady państwa i przywódca nieistniejącego jeszcze podówczas stronnictwa Rusinów (Ruthenów). Janowski sam w klassie odczytał to wypracowanie młodzieńca i podawał je za wzór dla jego kolegów, co oczywiście nietylko autora wzbijało w dumę, lecz i z nienagła naginało do upatrywania zawodu w piśmiennictwie. Jeden szczególik częstokroć w taki sposób dając impuls kierunkowi myślenia, wyrokuje o przyszłości, zwłaszcza kiedy jak w Kaczkowskim grunt był przygotowany przez Niklewicza. Nim jednak spłynęło uznanie swojego posłannictwa w zawodzie pisarskim, przyszły autor *Swatów na Rusi* pisał po młodocianemu dla saméj przyjemności pisania. Po rozprawie o Cyceronie, zjawiła się, kiedy był w klassie szóstéj, satyra na wszystkich towarzyszów ławicy szkolnéj, których brał w porządku alfabetycznym od piérwszego do ostatniego i opisywał mieszaniną najrozmaitszych języków, więc po polsku, po rusku, po żydowsku, po niemiecku, po łacinie, po grecku, po francuzku, po włosku i po angielsku. Koledzy autora bardzo się tym wybrykiem dobrego humoru bawili; lecz gdy pisemko doszło do professora, ten nie podzielił zdania „ogółu“ i strofował Kaczkowskiego publicznie przed klassą. W odpowiedzi na tę naganę Kaczkowski wystrzelił inną satyrą na wszystkich professorów, by zaś ją dobrze zrozumieli przeważający w gronie uczącém Niemcy, napisał ją po niemiecku, a w dodatku sparodyował wiersz swojego professora karciciela, ułożony na powitanie wizytatora szkół biskupa. Łatwo zrozumiéć, ile się z tego narobiło hałasu. Świat polski naśmiał się i ubawił, ale koło professorów, którzy starym obyczajem, zaostrzonym niemiecką żyłką do militaryzmu, chcieli trzymać studentów niemal tak surowo jak więźniów, wielce się postępkiem Kaczkowskiego zgorszyło. Zrobiono ze studenckiego figla niemal zdradę stanu, a następstwem tego było, że ojciec Zygmunta znowu miał powód zabrania go na wieś, poczém następny egzamin znów przyszło zdawać prywatnie.

Będąc na wydziale filozoficznym, Kaczkowski obyczajem wszystkich nierozwiniętych jeszcze w zupełności umysłów, rwących się do najwyższych zadań sztuki, pospolicie dostępnych tylko dojrzałemu wiekowi, długiéj obserwacyi i rozmyślaniu nad biegiem rzeczy ludzkich, napisał wierszem niemieckim tragedyę w pięciu aktach, według przepisu retorycznego wymagającego nieodzownie takiej liczby ustępów. Czytano ten utwór w kółkach akademickich, i na podstawie sądu o nim ogłoszono autora za poetę; ile w tém było słuszności, niepodobna dziś sprawdzić, tragedya bowiem nie wyszła i z pewnością nigdy już nie wyjdzie z druku, a przejrzeć rękopismu nie mieliśmy sposobności. Obok tego wyrobu niemiec-

kiego, Kaczkowski przekładał na język polski Horacego, Wirgiliusza i ułamki z Tacyta, które czytywane między kolegami, jednały tłómaczowi wziętość, a co lepsza, wdrażały go do potoczystego wypisywania się rodzinnym językiem, tudzież skupiania myśli w najmniejszéj liczbie wyrazów, ku czemu pisarze klassyczni po dziś dzień są niemal jedynymi nauczycielami. Zresztą do wyrobienia stylu przyczyniały się téż niekiedy mniéj chwalebne w posłusznym uczniu zatrudnienia: Kaczkowski pisywał od czasu do czasu parodye z wykładów estetyki professora Tangla, co bardzo bawiło towarzyszów autora i biegało z rąk do rąk jako przedmiot szczeréj uciechy. Atoli już w roku 1845 napisał Kaczkowski kilka artykułów i wierszy podnioślejszéj osnowy, które czytano w kółkach poważniejszych, biorących do serca coraz wyżéj podnoszący się ruch literacki polski we Lwowie. Te artykuły i wiersze otwarły przyszłemu autorowi *Braci Ślubnych* wstęp na literackie wieczory Zakładu Imienia Ossolińskich, którym wówczas przewodniczył znany publicysta Adam Kłodziński, dyrektor tegoż Zakładu, a któremi się opiekował nieodżałowanéj pamięci fundator ordynacyi Przeworskiéj Henryk książę Lubomirski, kurator Zakładu wyznaczony przez samego Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, hojny pomnożyciel jego zbiorów, miłośnik i znawca pamiątek historycznych, zmarły w lat kilka późniéj.

Lwów, w którym przed kilkunastu laty pierwéj zdarzył się może jedyny w dziejach czasopiśmiennictwa wypadek, że wychodziło tam czasopismo zowiące się *Rozmaitościami*, posiadające *jednego* tylko prenumeratora w osobie Aleksandra hr. Batowskiego,— około roku 1845 odznaczał się już pięknym ruchem literackim, a obiecywał jeszcze więcéj, gdyby nieszczęsne okoliczności nie zwichnęły młodzieńczych skrzydeł. Fredro, Pol, Bielowski, Magnuszewski, Borkowski, Gorczyński byli już w kwiecie wieku, twórczości i sławy; obok nich zaczynali też występować młodsi: Szajnocha, Ujejski, Dzierzkowski, których piérwsze utwory sprawiały żywe wrażenie i budziły niepłonną otuchę, że znamienici ojcowie nie zejdą ze świata bezdzietni. Kilkudziesięciu innych pisarzy, którym się nie udało rozgłośnéj dorobić sławy w przyszłości, zajmowało się naukami i literaturą, oddając niezaprzeczoną usługę piśmiennictwu i publiczności. Mnóztwo artykułów pisanych zajmująco, przeniknionych szlachetną myślą obywatelską, drukowało się w owych zapomnianych niegdyś *Rozmaitościach*, oraz w niedawno powstałym *Dzienniku Mód Paryzkich* wydawanym przez Kulczyckiego a redagowanym przez Bielowskiego. Niepotrzeba już było podrabiać rodowodów szlacheckich do wychodzącego w Lipsku Niesieckiego, by jednać „wdzięcznych" prenumeratorów dla pisma redagowanego we Lwowie: czytanie coraz bardziéj stawało się potrzebą, pisma budziły interes, więc interesowano się i piszącymi, i ich działalnością. Pisarze tacy jak Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, wówczas dopiéro zaczynali upowszechniać się

w Galicyi, dostęp do nich niezawsze był łatwy, nie rozumiano ich jeszcze jak należy, i różnostronnemi rozbiorami ich pism gorąco się zajmowano. Na wieczorach Zakładu Ossolińskich czytywano te utwory wcześniéj niżeli gdzieindziéj, a przy powadze tych zebrań i nieraz wielce nauczającéj na nich dyskussyi, najwięcéj téż z odczytywania korzystano. Obok dzieł wielkich mistrzów, czytywano tam także utwory pisarzy młodych, jeszcze nieznanych i niedrukowanych, co niemałym było dla początkujących zaszczytem. Niekiedy zabłąkał się na zebranie jaki pisarz polski z po za granic Galicyi, lub téż zajrzał cudzoziemiec uczony, którego zawsze z wielką powagą przyjmowano, przedstawiając mu starszych pisarzy a zarazem i młodszych, co dla tych ostatnich było wielką zachętą do pracy i odznaczenia się. Na wieczory w Zakładzie zawsze się prawie licznie zbierano, a kiedy miał coś czytać Pol lub Bielowski, salony były jak nabite. Łatwo zrozumieć moc zachęty dla młodych, gdy przed setkami oczu któregokolwiek z pomiędzy innych wyróżniono.

Zygmunt Kaczkowski, jak się sam wyraził opowiadając ten ustęp żywota Lwowa, był „Beniaminem" owych zebrań wieczornych w Zakładzie Imienia Ossolińskich. Miał dopiéro lat dziewiętnaście, był wysmukły, ale nadzwyczaj szczupły i blady, prawie z kobiecém obliczem, na którém tylko wielkie, łagodne świeciły się oczy. Stawał zawsze w jakimś skromnym kąciku, nie mieszając się do rozmowy starszych, albo téż panie brały go między siebie i kazały deklamować wiersze Mickiewicza lub Krasińskiego. Nie miał jeszcze podówczas żadnego tytułu do zasługi lub sławy; lecz ludzie bystrzejszego oka i umysłu już wtedy o nim powiadali, że jest młodzieńcem pełnym nadziei i że przyszłość niepowszednia go czeka. Stary Jan Nepomucen Kamiński, który niegdyś około r. 1820 jak samotna latarnia morska wśród bałwanów żywiołu niemieckiego grasującego we Lwowie, stał sam jeden, i świécił, i dzwonił, wskazując niebezpieczeństwo żeglugi i drogę do przystani życia narodowego, który zatém wiele miał czasu, sposobności i potrzeby wdzierania się w skrytości przyszłych kolei ludzi i rzeczy,—Kamiński piérwszy przepowiadał Kaczkowskiemu, że „będzie coś z niego, bo umie dobrze po łacinie i pisze poprawnie po polsku." Henryk książę Lubomirski szczególną otaczał go miłością, a Adam Kłodziński garnął obu rękami do Zakładu Ossolińskich, szepcząc w ucho młodzieńcowi: „Trzymaj się nas, tutaj dla takich wielka jest przyszłość, a takich niestety! niewiele."

Kłodziński, człowiek już wówczas pięćdziesięcioletni, posiadający pierwiastki wykształcenia literackiego z uczonego dworu księcia Czartoryskiego, autora pięknych *Myśli o literaturze polskiéj* i nader wątłych komedyj, sam autor wywodów genealogicznych domu Potockich i Herburtów, był przejęty najzacniejszemi dla kraju chęciami, a Zakład Ossolińskich kochał więcéj niż siebie i wiele mu przysług wyrządził, ale na przyszłość jego patrzał

oczami wychowańca swojego czasu i ludzi, z którymi obcował, co mu niezawsze słusznie a dotkliwie wyrzucano. Mówiąc o Kaczkowskim, że „takich jest niewiele," rozumiał Kłodziński, iż Zakład powinien wedle myśli założyciela zostawać w ręku szlachty,—szlachty zaś, któraby się oddawała naukom, było podówczas w Galicyi niewiele, co zresztą z niemałą dla niéj szkodą i dziś poniekąd widzimy. Atoli nie wabiły jeszcze wtedy przyszłego przelewacza opowiadań Nieczui pożółkłe pergaminy i dyaryusze, gromadzone przez uczonego autora *Wiadomości Historyczno-Krytycznych* i dzielnego tłómacza Liwiusza: młodość kipiąca nadmiarem życia dopominała się o swe prawa. Jakkolwiek zapisany na wydział prawny i mniéj więcéj zarywający w nim wykładów, miał już naówczas młody Kaczkowski majątek Bereźnicę w Sanockiém, oddany mu przez ojca na wiosnę roku 1845. Tam téż niedługo osadził go ojciec, dodawszy mu babkę jego jako opiekunkę, i mówiąc przytém: „Zaglądaj sobie od czasu do czasu do Lwowa i ucz się tam prawa albo téż wierszopistwa, ale miéj rolę i pilnuj roli, bo dla szlachcica nie masz nad pług stosowniejszego rzemiosła." I téj jednak zachęty niemal tyle był wiernym wykonawcą co namów Kłodzińskiego. Gospodarstwo rolne niewiele go zajmowało, a passyą były konie na wsi i w mieście, tudzież rojenia o przebudowaniu świata na wzór i podobieństwo własnych młodocianych pomysłów. Koń, najwierniejszy sługa marzyciela, umiejący rzec można przejmować się jego uniesieniami, polotem i niecierpliwością, stał się najmilszym towarzyszem Kaczkowskiego. Na wsi trzymał tyle koni, ile ich stajnia pomieścić mogła, a jadąc do miasta niby to dla nauki, zabierał z sobą tyle koni wierzchowych i powozowych, ile ich mógł utrzymać we Lwowie. Po całych dniach uganiał się na koniu albo w faetonie, wieczory zaś w mieście trawił pomiędzy literatami albo inną młodzieżą na gorących rozprawach piśmienniczych lub społecznych. Uniwersytet pod ową porę mało co mógł powiedzieć o Kaczkowskim, bo rzadko go widywał w audytoryach. Była to jednak chwila, w któréj młody, wrażliwy umysł, żartując prawie zapisywał w pamięci rysy kierunków literackich, odcienie gry namiętności obserwowane w kołach rozmarzonéj młodzieży, żywe rysy niedawno ubiegłéj przeszłości cudnie skrystalizowane w każdym postępku, słowie i poruszeniu babki, wreszcie niezrównaną naturę w przepysznéj rzeźbie i barwie Podgórza, wspartego niby ołtarz Maryacki na piersiach Karpat. Było to „zbieranie farb do obrazów," o którém mówi wytrawny znawca takich zabawek Józef Bohdan Zaleski. Następnie z tego zasobu, jak z pełnéj różnobarwnéj palety, można było malować a malować, zadziwiać, a nawet przestraszać nieświadomych płodnością artystyczną.

Nim jednak do tego przyszło, musiało się przedtém odbyć szkołę gorzkiego zawodu młodzieńczych marzeń o przekształceniu świata. Francya pod gnusnemi rządami Ludwika Filipa, skazana na bezczynność lub upokorzenia w polityce europejskiéj, tém

głębiéj nurtowała w sprawach domowych i tém draźliwsze poruszała zagadnienia. Nauka i sztuka, stół biesiadniczy i trybuna sejmowa, plac publiczny i gabinet ministra, katedra professorska, a w części i kazalnica, wrzały nieubłaganym rozbiorem, kruszeniem i wymiataniem prochów dawnych przekonań. Rodził się nowy system społeczny: — socyalizm. Piastunami jego byli nietylko Blanc i Proudhon, nietylko Michelet i Quinet, ale téż Lamennais i Lacordaire. Każdy z nich wprawdzie inaczéj na pozór chciał uszczęśliwiać ludzkość, ale jedni świadomie, drudzy nieświadomie, wszyscy w jedną szli drogę. Skoro zaś tak czuła Francya, to wówczas „serce naszéj części świata," skoro tak patrzał Paryż, to „oko Europy," jak dowodził miany wtedy za arcy-mistrza Lamartine, — przeto oczywiście cała Europa tak czuć i patrzéć była powinna. Rozumie się, gdy dwaj robią to samo, nie wypadnie to samo, ale zaledwo coś podobnego. Inaczéj tedy rzeczy miały się rozwinąć we Francyi, inaczéj we Włoszech, inaczéj w Węgrzech, inaczéj w Niemczech, a inaczéj rozwinęły się, najprędzéj dojrzały i najtragiczniéj zakończyły w Galicyi. Rząd wiedeński widział ruch umysłowy w całém państwie, zarówno nad Padem, Dunajem, Wełtawą i Zbruczem; lecz postanowił paraliżować go częściowo, poczynając od kończyn,—i zapisała się w historyi rzeź galicyjska.

Zygmunt Kaczkowski w rzędzie ruchliwych umysłów nie należał do ostatnich. Znano go z téj strony we Lwowie, znano w Tarnowskiém i Krakowskiém, w domu Wiesiołowskich, Tyssowskiego, Rejów, w towarzystwie Dembowskiego, Goslara, Gorzkowskiego i innych. Kiedy więc po dniu 21 lutego 1846 wybuchła na skinienie z Wiednia zawierucha chłopska, Kaczkowski z ojcem którego dom po dawnemu stał otworem dla wszystkich, nie zdołał uniknąć klęski. Wielu jego towarzyszów ratowało się ucieczką do Węgier, on zaś z ojcem zostawszy w domu, dostał się w ręce jednéj z band chłopskich snujących się od dworu do dworu. Odwieziono ich obu do Sanoka i oddano w ręce Niemców, którzy kazali ich zakuć w kajdany i osadzić w więzieniu, a następnie wyprawili do Lwowa. We Lwowie wówczas nie żartowano z Galicyanami, jak w Pradze nie żartowano z Czechami, a w Peszcie z Węgrami: Kaczkowscy przesiedzieli przeszło dwa lata w więzieniu, mając nad głową wyrok skazujący ojca na lat dwadzieścia fortecy, a syna na szubienicę. Nim jednak sprawa przeszła przez wszystkie instancye, nastąpił rok 1848, który do gruntu zmienił w Wiedniu zapatrywanie się na sprawy polityczne państwa. Zmarły niedawno w Pradze cesarz Ferdynand V, tą samą szlachetną ręką i może tém samém piórem, które służyło do podpisania reskryptu kwietniowego zaręczającego Czechom autonomię, oraz patentów nadających całéj Austryi rząd reprezentacyjny, podpisał amnestyę dla skompromitowanych w wypadkach 1846. Kaczkowscy odzyskali wolność. Ale czas przebyty w więzieniu zostawił na młodocianym umyśle Zygmunta niezatarte na całe życie wrażenie. Spło-

wiał mianowicie dość znacznie w wilgotnych murach ów odcień rumiany wyobrażeń, którym jutrzenka rojeń barwiła przedmioty dla niedoświadczonego wzroku. Gorzkiém doświadczeniem nauczony, głębiéj niż przedtém zrozumiał 21-letni młodzieniec prawdę słów wieszcza, że chcąc naprawiać narody, nie należy warstw wyższych społeczeństwa spychać na poziom niższych, lecz owszem te ostatnie podnosić do równości z wyższemi. Nie szlachtę „schłopić," lecz chłopów „zeszlachcić" stało się powołaniem jego pióra. Młodość uratowała go od rozpaczy i rzucenia się w drugą ostateczność, w którą wpadały znękane umysły, a między innemi tak potężne jak Wincentego Pola. Z „Jordana" nie przedzierzgnął się w „Benedykta Winnickiego" i nie zawisnął u pańskiéj klamki, ale już od téj pory dostrzegać było można, iż pójdzie w piśmiennictwie środkującą między dwiema ostatecznościami drogą „JMPana Nieczui." Nie przewidywał może wtedy, że dostanie mu się za to i od postępowców i od zachowawców; lecz gdyby nawet przewidywał, kto wie czyby zmienił kierunek?

Kaczkowski siedząc w więzieniu we Lwowie, miał pozwolenie sprowadzać książki, jakie sam sobie wybierał. Przez piérwszy rok tedy przeczytał niemal całą wypożyczalnię książek Karola Wilda, złożoną z dzieł różnéj treści, ale przeważnie belletrystycznych w języku polskim, niemieckim, francuzkim i angielskim. W drugim roku przysyłano mu książki osnowy poważniejszéj z Biblioteki Ossolińskich. W swobodniejszych chwilach umysłu pisywał wiersze, które przez odwiedzające więźniów kobiéty rozchodziły się po mieście. Tym sposobem gdy jeszcze Kaczkowski znajdował się pod kluczem, imię jego rozniosło się po Lwowie i wyrabiał się maleńki rozgłos literacki. Skoro więc wyszedł na wolność, świat literacki lwowski przyjął go z otwartemi ramiony jako brat i kolega. Najserdeczniéj powitał Kaczkowskiego i najbliższą z nim przyjaźń zawiązał Karol Szajnocha, z którym téż stosunki zażyłości, mimo jednéj przelotnéj chmurki niezgody, przetrwały do zgonu dziejopisa Bolesława i Jadwigi. Szajnocha prowadził wtedy redakcyę wspominanego już powyżéj *Dziennika Mód Paryzkich*, przechrzczonego na *Tygodnik Polski*; następnie zaś porzuciwszy to czasopismo, założył w sierpniu 1848 inne pismo tygodniowe p. t. *Krzyż a Miecz*, które wychodziło we Lwowie do listopada, a następnie przeniesione do Poznania, jeszcze się czas jakiś ukazywało pod kierunkiem Karola Balińskiego. Kaczkowski pisywał bardzo wiele do *Tygodnika* wierszem i prozą, *Krzyż a Miecz* zaś wychodził nawet pod wspólną redakcyą Szajnochy, Balińskiego i Kaczkowskiego. Ten ostatni tém więcéj mógł poświęcać się publicystyce, że ruch panujący podówczas w całéj Europie, nacechowany widocznym stemplem wypadków lutowych zaszłych w Paryżu, nie znajdował już w nim zbyt łatwowiernego i zbyt żarliwego zwolennika. Młody pisarz mierząc i ważąc wypadki, budował na przyszłość wnioski,

które nie wypadały zbyt świetnie; według tego też miarkował kroki i pióro.

Był to, jak sam nazywa epokę 1848, rok rozmaitych bujnych widoków: „Gdzieindziéj — pisze — walka mogła równie wielkie jak i korzystne odnieść zwycięztwa; atoli co do naszéj prowincyi, każdemu trzeźwiejszemu oku musiało się już wkrótce okazać, że w jéj granicach tylko ta jedna idea, która natenczas była dojrzała do ciałowzięcia, idea usamowolnienia wiejskiego ludu, mogła z istotnym pożytkiem wejść w życie; wszystkie zaś inne, wśród niespodzianéj wolności, wyrodzonéj zbyt prędko w nieświadomą swych celów swawolę, zaczęły coraz mniéj odpowiednie rzeczywistym warunkom, co gorsza! coraz mniéj odpowiednie naszym rodzinnym potrzebom przybierać dążności i kształty. Nie bezczynny w téj porze, lecz nie dzielący tego konwulsyjnego zapału, który nas tylko z zewnątrz ogarniał a wewnątrz żadnéj nie miał podstawy, spostrzegałem z boleścią, żeśmy się nietylko w dążeniach ogólnych dali porywać prądom nam obcym, ale co większa, że w naszych szczegółowych czynnościach, brak znajomości tych niezliczonych doświadczeń, jakie na nas nasza ośmio-wiekowa przeszłość przelała, niemal na każdym kroku uczuwać się dawał.“ To oczywiście studziło zapał do ruchu „więcéj europejskiego niż polskiego,“ który ogarnąwszy całą Austryę pod stopami dobrodusznie uśmiechniętego cesarza Ferdynanda, falował i w Galicyi. Jednakże podczas tych prób autonomii i federacyi krajów korony habsburskiéj, nie był Kaczkowski całkiem bezczynny. Na wezwanie władzy centralnéj we Lwowie, udał się w rodzinne Sanockie i zawiązał tam tak zwaną radę narodową, któréj prezesem był jednomyślnie obwołany. Podobnież jednomyślnie mianowany był delegatem na zjazd słowiański w Pradze Czeskiéj, na którym ustanowiono sformułowane przez Zygmunta Helcla zasady postępowania Słowian austryackich, po dziś dzień będące wyznaniem ich wiary i hasłem w walce ze stronnictwem centralistyczném niemieckiém. Obok tego był Kaczkowski mianowany ze Lwowa organizatorem gwardyi narodowéj konnéj sanockiéj, tudzież sprawował inne pomniejsze obowiązki publiczne. Niefortunne, albo właściwiéj może bezrozumne rozruchy w Wiedniu, zniechęciwszy cesarza Ferdynanda do świeżo poślubionéj wolności i zmusiwszy go do złożenia korony w ręce synowca, sprowadziły w całém państwie reakcyę, któréj ofiarą musiał też paść zawód publiczny Kaczkowskiego. Po zbombardowaniu Lwowa w dniu 1-szym listopada zaczęły się ścigania, więzienia i rekrutacye tych wszystkich, którzy za nazbyt szeroko pojmowali swobody niedawno głoszone z Burgu wiedeńskiego. Kaczkowski też musiał kryć się przez kilka miesięcy po wioskach, i dopiéro pod koniec zimy 1849 mógł znowu zjawić się we Lwowie, zmienionym do niepoznania nie tyle pod działaniem kul i granatów, ile w skutek rozproszenia się tamecznéj intelligencyi i ogólnego upadku na duchu.

Najczynniejsze i najdzielniejsze umysły najłatwiéj zwykle się kruszą we wstrząśnieniach, padając z wysilenia niepowetowaną śmiercią fizyczną, lub niewiele łaskawszą śmiercią woli; wielu tedy szczególniéj starszych wiekiem a młodych energią przyjaciół Kaczkowskiego spoczęło w zimnéj mogile, a jeszcze więcéj popadło w niemoc odludkowstwa i zupełnéj bezczynności. Wielu przytém najbliższych rówieników dostało się do więzień, poszło w rekruty, przeniosło się za Tatry do Węgier, lub jeszcze daléj poszło szukać schronienia i chleba. Agenor hr. Gołuchowski, za zręczność i energię okazaną w kierowaniu interesami miasta Lwowa w chwilach najkrytyczniejszych, właśnie był wyniesiony na godność namiestnika cesarskiego w Galicyi, i w upojeniu, które przynosi niespodziewanie zyskana szeroka władza, nieraz, jak powiadają, przekraczał granice zakreślone wymaganiem roztropności. Przejęty podejrzliwością, natchnioną rozgrywającemi się po Europie wypadkami, ciężką prawicą przyciskał wszelkie objawy samodzielności. We Lwowie, niedawno jeszcze tak gwarnym i krzątliwym, głuche panowało milczenie; tylko Zakład Ossolińskich, osłoniony wysoką powagą Henryka ks. Lubomirskiego, zachował ciepło dawnego życia. Zaczęły się w nim na nowo odbywać dawne literackie wieczory, zbierano się téż na nie bardzo licznie, ale nie było już tego co dawniéj ożywienia. Ogólne przygnębienie umysłów czuć było jak w życiu publiczném, tak i w jego odzwierciedleniu — piśmiennictwie. Były téż tego zachmurzenia wieczorów literackich inne jeszcze powody, a mianowicie nieukontentowania i niechęci do kierowników Zakładu Ossolińskich. Niesnaski te dzieliły świat literacki lwowski na dwa nieprzejednane obozy, doprowadziły do wzajemnych posądzeń, płodziły paszkwile, i w rezultacie przynosząc ujmę tak jednéj jak drugiéj stronie, poniżały ogólnie stanowisko literata, podkopywały wpływ piśmiennictwa, a najdotkliwszą szkodę wyrządziły wreszcie temu, co z obu stron brano w obronę. Od owéj daty niestety! datować musimy dzisiejsze nieszanowanie pióra przez publicystykę galicyjską, a nadewszystko lwowską.

Powód do sporu dał wspominany już Adam Kłodziński, od r. 1839 dyrektor Zakładu Imienia Ossolińskich, człowiek jak się rzekło staréj daty i po trochu przestarzałych wyobrażeń, ale zresztą kierownik sumienny instytucyi, przywiązany do niéj synowską miłością i o pomyślność jéj więcéj dbały niżeli o własne powodzenie. Atoli inaczéj na to patrzano w obozie przeciwnym, który starych ludzi słuchać nie lubił, starych przekonań uszanować nie umiał, a wszystkich, co inaczéj niż on patrzali na rzeczy tego świata, ryczałtem zaliczał do głupców lub nicponiów. Niestety! znaleźli się w tym obozie dwaj ludzie rzeczywiście utalentowani, pracowici i kierujący się szczeremi przekonaniami, które téż ich następnie oderwały od stronnictwa nieposiadającego własnych przekonań, lecz krzyczącego tylko za tymi, co krzyczą najgłośniéj. Wystąpili przeciwko Kłodzińskiemu między innymi Bielowski i Szajnocha,

a ich przykład pociągnął opinię publiczną, która nie mając wówczas innego żeru, z nieostygłą jeszcze wojowniczą namiętnością zajmowała się tą sprawą, z natury swojéj dla ogółu niezrozumiałą, bo potrzebującą specyalnego znawstwa. Skończyło się na tém, że wszyscy od Kłodzińskiego odpadli, a pozostali przy nim jedynie: kurator Zakładu mianowany przez zmarłego Ossolińskiego Henryk książę Lubomirski, professor literatury polskiéj w uniwersytecie lwowskim dr. fil. Jan Szlachtowski, oraz Zygmunt Kaczkowski. Kilkakrotne odezwanie się tego ostatniego w obronie Zakładu, narobiło mu tylko nieprzyjaciół, a sprawie Kłodzińskiego nie pomagało. Założono wreszcie osobne pismo p. t. *Pamiętnik Literacki* do którego pisali głównie Kaczkowski i Szlachtowski, lecz pomagali także Leszek Borkowski, Henryk Rzewuski i inni. Wówczas to przyszło do poróżnienia się między Kaczkowskim i Szajnochą a prace poetyckie i historyczne tego ostatniego cierpko były krytykowane w *Pamiętniku* ostro zaciętém piórem Kaczkowskiego. Bolało to niezmiernie Szajnochę, nie płacił jednak pięknem za nadobne, lecz i owszem, gdy wkrótce powieści historyczne Kaczkowskiego ukazywać się poczęły, Szajnocha pierwszy ogłosił się ich gorącym wielbicielem i pisał o nich nader pochlebne sprawozdania w *Rozmaitościach Lwowskich*. Chmurka niezgody między dwoma utalentowanymi i jedném uczuciem kierowanymi pracownikami wkrótce się rozproszyła; a Kaczkowski po dwudziestu pięciu latach od owéj doby, z prawdziwém rozrzewnieniem przypominał w rozmowie przed nami o owoczesném zachowaniu się Szajnochy.

Wszakże sprawa Zakładu Ossolińskich nie załatwiła się tak gładko jak sprawa serca między dwoma młodzieńcami. Polemika o jego kierownictwo posłużyła za pretekst do odebrania Zakładu z pod kuratorstwa Lubomirskiego, do usunięcia w r. 1850 Kłodzińskiego i zaprowadzenia administracyi urzędowéj, która jeżeli nie pogrzebała instytucyi pod mroźném tchnieniem rządów Bachowskich, zawdzięczać to należy jedynie dobrym dla kraju chęciom ludzi do zarządu wchodzących. Dyrektorem Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich został naówczas i jest po dziś dzień August Bielowski, kustoszem zaś został i był do zgonu Karol Szajnocha.

* *

Smutny dla Kaczkowskiego był przebieg tak wypadków 1846 i 1848, jak polemiki o Zakład Ossolińskich; ale one to nadewszystko skierowały go do poświęcenia się powieściopisarstwu historycznemu. I w owych wypadkach na większą, i w téj polemice na mniejszą skalę, widział młody a doświadczony już myśliciel, że najcięższe złe płynęło z urywania się nici historycznéj, z obumierania tradycyi i obyczaju rodzinnego, który pewniéj od wszelkiéj

nauki książkowéj wskazuje jednostkom i narodom kierunek, w jakim zmierzać powinny ku celom w kolebce im naznaczonym. Gdy tego celu dojrzéć nie można—a nie widzą go często nawet jednostki przodkujące, cóż dopiero ciała zbiorowe!—w takim razie jedynie porównanie wytycznych punktów drogi przebytéj z punktem znajdowania się w chwili obecnéj, wskazywać może dalszy kierunek. W podobny tylko sposob astronomowie wykreślać mogą nieznaną przedtém drogę nowo odkrytéj planety teleskopowéj, nadleciałéj ku słońcu komety, a nawet samego systematu słonecznego. Najstosowniejszym takim punktem wytycznym przebytéj części drogi, wydały się Kaczkowskiemu czasy konfederacyi barskiéj, w których rządząca część narodu, to jest szlachta, rozumiała już nawołujący do reform głos kanclerza w. kor. Jana Stanisława Jabłonowskiego w *Skrupule bez skrupułu*, króla Stanisława Leszczyńskiego w *Głosie wolnym wolność ubezpieczającym*, oraz pijara Stanisława Konarskiego w książce *O skutecznym rad sposobie*, alejeszcze nie szukała lekarstwa na chorobę właściwą wyłącznie organizmowi swego narodu w aptekach zagranicznych, kierowanych przez encyklopedystów francuzkich i ich uczniów. Późniéj, kiedy pielgrzymowano do Mablego i Russa, myślicieli politycznych niezaprzeczenie znakomitych, szczerze ludzkość i swobodę miłujących, lecz nieznających warunków istnienia naszego narodu, już owe nici tradycyi nądrywać się poczynały. Z suknią staropolską zrzucano i obyczaj domowy, i poczucie wyższego posłannictwa własnego; z suknią francuzką brano na siebie obyczaj zagraniczny i ku celom nie swoim świadomie lub nieświadomie zmierzano. Te więc czasy już nie odpowiadały założeniu Kaczkowskiego. Zresztą okoliczność, że rodzinne jego Sanockie było widownią wypadków konfederacyi barskiéj, a dom ojczysty stanowił gniazdo pamiątek po niéj i miał żywego tłómacza w babce pisarza, nie pozostawała bez wpływu na wybór téj nie zaś innéj chwili dziejowéj. Materyał téż historyczny, bezpośrednio tę chwilę wyrozumieć pozwalający, najpierwéj podsunął się pod rękę w Zakładzie Ossolińskich, zapalił wyobraźnię i zdecydował ostatecznie wybór przedmiotu. Z całéj przeszłości ta epoka najplastyczniéj malowała się w wyobraźni Kaczkowskiego: musiał więc ją wybrać artysta.

Na wstępie obecnego wydawnictwa, obszerna rozprawa „Od Autora," pisana znacznie późniéj z przypomnienia, w miejscu gdzie było dość czasu, ciszy i samotności na rozpamiętywanie przebytych kolei, wtajemnicza myślącego czytelnika w materyał naukowy, z którego powieściopisarz-dziejopis odtwarzał w swych utworach przeszłość. To nas w najważniejszym punkcie uwalnia od wyliczania wszystkich strumieni i strumyków, któremi płynęły mu zasoby do zamierzanéj historyi konfederacyi barskiéj, zużytkowane następnie do celów artystycznych. Szereg ich bardzo długi i różnostronność nielada; rozprawa ta jednak nie stanowi jeszcze zaokrąglonéj całości, autor nie wyczerpał w niéj wszystkiego co miał

do powiedzenia, i liczne ułamki wspomnień pozostały na uboczu. Prócz wymienionych tam zbiorów Zakładu Ossolińskich, Pawlikowskiego, Sieniawskich, Mniszchów, Potockich, Cettnerów, Kuropatnickich, Rzewuskich, Sapiehów, Dzieduszyckich, Baworowskiego i innych, prócz archiwów miejskich i prywatnych rodzinnych, prócz tradycyj ogólnych narodowych i wiążących się z pewnemi tylko rodzinami, miejscami a nawet przedmiotami, których tyle w rozprawie wyliczono i oceniono, były jeszcze liczne inne, które dla obfitości przedmiotu lub z innych powodów opuścić wypadło. Spotkał ten los szczególnie szersze uwagi historyozoficzne nad ogólnym przebiegiem dziejów Polski, czego bardzo żałować musimy, bo czytelnik stracił przez to głębsze uzasadnienie ogólnego kierunku pism Kaczkowskiego, oraz wytłómaczenie takich zjawisk na pozór odosobnionych, jak nieukończony rozległy obraz historyczny *Kobieta w Polsce*, którego tylko tom pierwszy ogłoszono najprzód w „Bibliotece Warszawskiéj" a następnie w Żytomierzu. Mając ten niezużytkowany materyał pod ręką, pozwalamy tu sobie przytoczyć parę urywków, malujących sposób myślenia Kaczkowskiego w punkcie dla krytyki najdotkliwszym. Kto sobie przypomni liczne rozbiory dzieł jego około r. 1855, rozbiory w największéj części arcy pochlebne dla krytykowanego, ten przypomni także zarzut, jaki mu czyniono za jego poglądy społeczne. Jedni zarzucali, że jest w swych pismach za nadto szlachcicem, drudzy przeciwnie, że nie dość po szlachecku myśli. Owoż podług własnego zeznania, Kaczkowski z następującym poglądem wziął pióro powieściopisarza do ręki:

„Idea samodzielności, samorządu narodowego wije się i wzrasta przez całe pasmo dziejów naszych. Miała ona swoją stronę ujemną jak każda rzecz ludzka: albowiem zamiast przelać się w cały naród od góry do dołu i udzielnością wszystkich obdzielić, zamiast utworzyć państwo zamieszkane przez samych obywateli udzielnych w obec prawa, wcieliła się w jedną tylko warstwę społeczną i utworzyła owo fatalne wszechwładztwo szlacheckie, które mając kogo gnieść, a nie mając się kogo obawiać, musiało z czasem wyrodzić się w swawolę, nareszcie wydało oligarchię, jeden z tych klinów, które Polskę rozparły. To były jéj wady wynikające z mylnego, a raczéj z ciasnego zastosowania. Lecz w gruncie rzeczy idea ta chociaż skażona naleciałościami, chciała zdobycia dla każdego obywatela jak najobszerniejszych praw politycznych, chciała ogół obywateli uczynić allodyalnym właścicielem państwa, chciała więc w teoryi tego samego, co jest ostatniém słowem wszelkich dążności dzisiejszych, czego dzisiaj świadomie i nieświadomie dobijają się ludy zachodnie. Jaki kierunek daléj ta polityczna dążność u nas wzięła, jakie w ogólności od XVI-go wieku wydawała owoce, już to każdemu za nadto z blizka jest znane z historyi, ażebym potrzebował się nad tém rozszerzać... Dodam tylko, że jeżeli udział szlachty polskiéj we władzy i rządzie był

większy i obszerniejszy niżeli każdéj szlachty inszéj, rzecz oczewista, że i tradycye w jéj rodzinach przechowywane mają daleko wyższą wartość w obec historycznéj nauki niżeli gdziekolwiek indziéj. Jakoż istotnie mają one pod tym względem tak wielkie znaczenie, że jak obrazu jakiejś skomplikowanéj machiny nikt nie odtworzy, dopóki budowy wszystkich pojedynczych trybów i sprężyn nie obejrzy i nie dojdzie, jak one za siebie chwytały i ruch nadawały całości, tak i dziejom naszym nikt nie nada prawdziwego kolorytu życia, dopóki tego ducha, który ożywiał pojedyncze rodziny, nie zbada w nich samych, z nich nie dobędzie i nie przeleje w puste dotychczas dziejowego szkieletu arterye..."

Z takiém przekonaniem o zaletach i wadach dawnéj szlacheckiéj organizacyi politycznéj w Polsce, przystępował Kaczkowski do odtwarzania pewnych jéj zjawisk w obrazach artystycznych. Dodajmy do tego, że założeniem młodego pisarza nie było schlebiać możnowładztwu odsuwającemu się od spraw krajowych, a czasem nawet kładącemu własny interes nad potrzebę ogólną. „Niemieszanie się do niczego," za co już w Grecyi Peryklesowéj na śmierć gnusnych obywateli skazywano, Kaczkowski wręcz nazywa „straszliwą zasadą, dowodzącą najniższego upadku, bo dobrowolnego pogrążenia się w nicości." Chwila téż dziejowa, którą wybrał do swéj powieści, była sama z siebie wcieleniem tego zarzutu; konfederacya barska zawiązała się nie w zamkach lub pałacach, lecz między drewnianemi ścianami dworku Józefa Puławskiego, i była ruchem nie magnackim, ale czysto szlacheckim. Świetnemi barwy maluje autor tę szlachtę poczciwą i bogobojną w domu, a gotową do ofiar na polu służby publicznéj; wszakże i téj, o ile zawiniła, bynajmniéj nie oszczędza. Potężny szczególniéj jest ustęp, w którym smaga zbyt liczne niegdyś rodziny pieniaczów, wśród których możni zawsze znajdowali „zręcznych sekretarzy, niezmordowanych totumfackich, nieprzegadanych szczekaczy." Z takich to rodzin, głównie od starych jurystów i palestrantów, wyszła według Kaczkowskiego owa „haniebna agitacya" przeciwko Ustawom Sądowym kanclerza Zamoyskiego, zaręczającym pewne prawa cywilne i sprawiedliwość ludowi wiejskiemu. Nie szczędzi jednak autor gorzkich słów prawdy i przeciwnikom szlachty, którzy „w skutek wybujałych teoryj socyalnych i politycznych, chcieli przeszłość zupełnie odciąć od teraźniejszości, a przyszłość zbudować z niczego, nie mając zaś siły do odcięcia przeszłości, obrzucali ją przekleństwy i błotem." Nie przepuszcza szczególniéj historykom tego kierunku, uciekającym od prawdy dziejowéj w bajeczne czasy wspaniałego jakoby gminowładztwa przedhistorycznego, zniszczonego niby przez chrześciaństwo.

Ztąd widzimy, że Kaczkowski zasiadł do powieściopisarstwa historycznego z sądem o przeszłości rzeczywiście *nie dosyć szlacheckim*, jeśli szlachectwo chce ktoś rozumieć jako kastę lub koteryę, wyrzekającą się ciężkich obowiązków nieodłącznych od przy-

wileju przodkowania innym. Ale ponieważ pragnął, by przywileje szlacheckie, czyli prawa samorządu, były zlane na wszystkich, nie zaś by szlachtę odarto z przywilejów i mienia, a nawet wspomnień rodzinnych, jak chce hasło rewolucyjne Zachodu, więc i ci mieli słuszność, którzy w jego powieściach dopatrzyli *dążności szlacheckich*. Spotkało go to, co zwykle spotyka ludzi umiarkowanych, stroniących od wszelkiéj krańcowości: na stojącego po środku użalały się oba krańce. Szczęściem artysta ocalił myśliciela. Można z nim było różnić się w zdaniach, lecz musiano go kochać...

Nim od tych badań historycznych przejdziemy do zakończenia naszych notatek o żywiołach, któremi się karmił umysł Kaczkowskiego, by wydać kwiat i owoc w utworach artystycznych, nie możemy nie zanotować jeszcze okoliczności, iż te badania przedsięwzięte w widokach oddania się dziejopisarstwu nie zaś sztuce zmieniły swe przeznaczenie jedynie skutkiem jego wielkiéj sumienności i podniosłego zapatrywania się na posłannictwo historyka. Zamierzywszy opowiedzieć dzieje konfederacyi barskiéj, a pragnąc je związać z tém co je poprzedziło, musiał koniecznie obejrzéć w przeszłości krajowej nietylko wytyczne punkta kierunku ogólnego potoku, lecz i mnóztwo jego skrętów charakterystycznych, nużących uwagę i wyczerpujących siły człowieka pojedynczego, gdy sam bez poprzednika wszystko ogarnąć zapragnie. Takiemi nieprzezwyciężonemi szkopułami stały się dla niego między innemi tradycye ludowe, tradycye rycerskie i tradycye hetmańskie. Pierwsze mające świadczyć o zapatrywaniu się mass na pochód dziejowy narodu, muszą jak kunsztowna mozaika układać się w całość z drobniutkich kamyków, z podań czepiających się odwiecznych cmentarzy, placów boju, wzgórków, jezior, odłamków murów lub wielkich kamieni; potrzebują wielkiego baczenia i pracy w obrabianiu, by mogły pójść na użytek dla historyka. Tymczasem nikt się dotąd nie zajął nietylko obrobieniem krytycznem, ale nawet zbieraniem tego rozwiewnego materyału historycznego, który mógłby pozwolić szlacheckie zapatrywanie się na dzieje uzupełnić poglądem ludowym. Rola to całkiem nietknięta i wygląda nie jednego, który nicby nie wskórał, ale całych pokoleń pracowników. P. Jan Karłowicz szczęśliwą miał myśl przed kilku laty wezwać wszystkich ludzi piśmiennych, by w najprostszéj formie przez niego stręczonéj spisywali podania swéj miejscowości. Odezwa jednak, niestety! pozostała bez skutku. Niewiele lepiéj mają się rzeczy z tak nazwanemi przez Kaczkowskiego tradycyami rycerskiemi, które ujęte w całość z pozostałym materyałem pisanym, wydałyby historyę wojskowości w dawnéj Polsce. Zbierał ku temu materyały Ambroży Grabowski w Krakowie, zbierał i ks. Andrzéj Wątrowski, niegdyś rektor szkół pijarskich, dziś zamieszkały w Warszawie; ale jednemu zgon, drugiemu troski w wieku sędziwym nie dozwoliły zbieranych cegieł ułożyć w całość budowy. Tym spo-

sobem kraj, w którym stan rycerski stanowił czoło narodu, a rzemiosło wojskowe miano za najwyższe powołanie, nie ma dotąd swéj historyi wojskowości. Nakoniec nie lepiéj było i z owemi tradycyami hetmańskiemi, czyli z polityką wojenną w rozległém znaczeniu wyrazu. Pomimo sumiennych prac Bartoszewicza „o hetmaństwie," materyał pisany czeka jeszcze obrobienia, a tradycya ustna już prawie zaginęła. Żyje jeszcze w téj chwili dwanaście rodzin, w których ręku była buława: Potoccy, Rzewuscy, Lubomirscy, Tarnowscy, Zamoyscy, Jabłonowscy, Chomętowscy, Sapiehowie, Sanguszkowie, Radziwiłłowie, Ogińscy i Chodkiewiczowie, oprócz tych, których przodkowie byli hetmanami, gdy hetmaństwo stało się już tylko komendą wojskową, jako są Ożarowscy i Braniccy. W archiwach rodzinnych tych domów pewno się znajdzie niemało dokumentów do dziejów hetmaństwa, lecz żywe słowo podania już prawie całkiem i tam umilkło. Wygasła, że tak powiemy, namiętność historyczna, zostawiając sam rozum na placu.

To rwanie się nici między chwilą obraną do opowiadania a jéj poprzedniczką, nie było zresztą jedyną dla badacza przeszkodą. Sama owa chwila, skutkiem ogromu zasobu historycznego co do jednych, skutkiem braku wszelkiego materyału co do innych okoliczności, skutkiem nieobrobienia poprzedniego a zaciemniania przez namiętność w ogóle, potrzebowałaby ofiary całego życia i niemałéj pomocy postronnéj dla przeniesienia na płótno historyczne z całą prawdą i życiem. Tymczasem nie bez zasady powiada Kaczkowski, że nie znamy nawet prawdziwego początku konfederacyi barskiéj:—„Że zamiar jéj rozpoczęcia, lubo jeszcze bez oznaczonego terminu, ale u wielu głęboko ugruntowany, istniał już w czasie konfederacyi radomskiéj, jest rzecz pewna; ale już podczas konwokacyi ta sama dążność polityczna miała ogromną liczbę zwolenników, którzy nawet w czasie elekcyi próbowali wystąpić do walki. Co większa, czémże była cała partya tak zwana „saska," Czartoryskim przeciwna, która jeszcze za życia Augusta III jako stronictwo polityczne istniała, jeżeli nie konfederacyą barską *in nuce?* Stosunki konfederacyi z Portą i chanem, spór główny pomiędzy naczelnymi jej przywódcami wybuchły jeszcze w Barze, a przeciągnięty potém na Wołoszczyznę, koniec tego sporu i zapadające w téj saméj chwili uwięzienie i śmierć Puławskiego, są jeszcze do dziś dnia tylko historyczną legendą. Cóż wreszcie powiedzieć o tém, że ledwo jest kilka chwil takich w całéj konfederacyi, w których jéj siły dadzą się wyliczyć z matematyczną ścisłością? że są niby ważne bitwy, o których niezmiernie wiele po papierach hałasu, a których miejsca na pewno domacać się nie można? że wreszcie, co stanowi główną podstawę historyi, chronologia, statystyka i topografia wydarzeń ruchomych—z powodu mnóztwa krzyżujących się podań i umyślnie szerzonych fałszywych wieści—są często tak trudne do ustalenia, że niekiedy zdaje się to prostém niepodobieństwem? Zapewne krytyka i cierpliwość musi nakoniec i temu dać

radę, lecz na to nie wystarczy praca lat trzech, ani nawet dziesięciu..." „W obec więc takich doświadczeń—kończy w swym urywku Kaczkowski—rzecz oczywista, iż specyalna historya konfederacyi okazała mi się niemożliwą,—zwłaszcza że byłem wtedy i jestem zawsze tego przekonania, iż rozumniéj dla autora i pożyteczniéj dla powszechności jest, jakiś skromniejszy, jakiś bliższy cel sobie oznaczyć i trafić w rdzeń całym ładunkiem, niżeli daleko wymierzyć, a połowę ładunku po drodze pogubić, albo go całkiem nie donieść. Takich prac historycznych mamy po dziś dzień niemało, za które wszakże tylko przez cześć dla dobrych chęci kłaniamy się ich twórcom, bo wiemy to dobrze u siebie, że tak samo nam z nimi jak było bez nich..."

Tak tedy Kaczkowski na to pracował trzy lata od 1848 do 1851 r., ażeby uznać prawdziwość zdania Mickiewicza, który rad padał myślą na epokę konfederacyi barskiéj i w ogólności w uroczych ją widział kolorach, ale ze względu na jéj historyę powiedział: „Kiedyś... będziemy zapewne mieli piękną historyę tych czasów, ale dzisiaj niełatwa z tém sprawa." Praca zresztą nie była stracona. Niemało już dla artysty znaczyło przeświadczenie się na dowodach niewątpliwych, że co innego w konfederacyi barskiéj były pozory, a co innego grunt rzeczy: „Jakkolwiek sprawa ta uważana pod szczegółowemi względami, a głównie ze względu na wywieszone sztandary i hasła, wydaje się jakoby ostatnim czynem staréj, zmurszałéj, upadającéj Rzeczypospolitéj szlacheckiéj i za to dotąd powszechnie jest miana; przecież postawiona we właściwém sobie świetle i znaczeniu, nie jest tém rzeczywiście, ale przeciwnie po pięćdziesięcioletniéj zupełnéj martwocie społeczeństwa w nieruchomém, zakrzepłém w sobie, zakamieniałém państwie, jest ona pierwszym stanowczym czynem zbudzonéj ze snu téj części narodu, w któréj bądź jeszcze niedogaszone stare, bądź nowszemi pojęciami stworzone i wcale nowe odezwało się życie." Tak pojęta chwila nabrała nietylko dramatyczności niezbędnéj dla utworu artystycznego, ale mogła być ukochana całém sercem przez artystę, co jedno tylko może dać życie i zdrowie jego dziełu. Praca nie była stracona nietylko dla kolorytu, dla ciała kreacyj Kaczkowskiego, ale i dla ożywiającego je ducha, który sam jeden utrzymuje życie i zdrowie...

Rzecz godna zapisania, że jednocześnie i w tém samém miejscu, dwaj ludzie zbliżeni do siebie stosunkami literackiemi i przyjaźnią, przeszli dwie wręcz przeciwne lubo pokrewne metamorfozy twórczości. Karol Szajnocha, który podówczas miał się za niepospolitego poetę, rzuciwszy się w badanie przeszłości dla zebrania materyałów do poematów historycznych, pożegnał się z poezyą a został dziejopisem. Zygmunt zaś Kaczkowski, który się zabrał do wertowania pamiątek w widokach pisania historyi, skończył na tém, że został nierymującym poetą historycznym. Pierwszy kwiatami poe-

zyi posypał prawdę dziejową, drugi dziełom wyobraźni dał piętno prawdy dziejowéj, i obaj dorobili się rozgłosu a wziętości, jaka wybranych tylko spotyka.

* * *

Zawód pisarski Kączkowskiego, nie licząc elukubracyj i wybryków szkolnych, rozpoczął się w r. 1845 współpracownictwem do *Dziennika Mód Paryzkich*. Piérwszym jego umieszczonym tam utworem było rojenie wierszowane: *O czém marzyć?* daléj poszły rozprawki obyczajowe: *Uwagi nad chorobami moralnemi*, *Gorączka dowcipowa* i *Parafianizm;* wreszcie tegoż roku ukazała się pierwsza, niepewném jeszcze piórem kreślona powiastka *Tuz*. W latach następnych ciągle także spotykamy się po czasopismach z poezyjkami, powiastkami, artykułami okolicznościowemi i krytykami Kaczkowskiego. Atoli na prawdę zawód jego powieściopisarski rozpoczął się dopiero w r. 1851, gdy po kilkuletnich studyach historycznych, przekonawszy się, że stały zawód dziejopisa nie dla niego, że bezpieczniéj w utworach imaginacyi aniżeli w surowych dziełach naukowych dopowiadać z domysłu czego nie domówiły fakta,—stanowczo się odwrócił do powieści historycznéj. W tym roku przybyszowym dla Kaczkowskiego, działalność jego pisarska rozwinęła się i toczyła z gorączkową niemal chyżością. Napisał podówczas prócz rozprawy o malarstwie, powiastkę *Kato*, oraz drugą *Manim i Papin*, które lubo bezimiennie drukowane, zwróciły uwagę szerszéj publiczności na autora. To dodało ostrogi do tém usilniejszéj pracy. Kaczkowski wyjechał na wieś, ażeby swobodniéj pracować, i wkrótce téż ogłosił: *Bitwę o Chorążankę*, *Kasztelaniców Lubaczewskich*, *Bitwę pod Widawą*, *Pierwszą Wyprawę pana Marcina*, *Junaków*, *Pana Bala*, *Murdeliona* i *Męża szalonego*, wszystko prawie jednym tchem napisane. Wydawnictwo tych utworów, pierwiastkowo zacieśnione do samego Lwowa, zkąd rzeczy literackie a zwłaszcza dzienniki niedaleko sięgały,—rozszerzyło się następnie do Krakowa, w którym najpoważniejsze czasopismo tameczne odcinek swój dla młodego pisarza otworzyło,—sięgnęło nareszcie i do Warszawy, w któréj drukować poczęła jego prace stara *Gazeta Warszawska*, odrodzona pod młodym Antonim Lesznowskim i zwycięzko bojująca o palmę ze świeżo powstałym *Dziennikiem* Rzewuskiego. Gdy się te rzeczy drukowały, a Kaczkowski wyrwawszy się ze wsi, przyjechał do Krakowa celem robienia studyów w bibliotece uniwersyteckiéj, na zamku królewskim i w okolicach,—przyjęto go już tam jako pisarza wyrobionego imienia. Upojony zgotowaném sobie przyjęciem, podniecony sypiącemi się zewsząd wzmiankami krytycznemi o jego utworach, tém hermetyczniéj znów

zamknął się na wsi i oddał zdwojonéj pracy, by jak autor *Dęboroga* od pochwał i nagan „bronić się pieśniami.“ Nader rzadko wyjeżdżając do Lwowa i Krakowa — gdzie pewnego razu spotkał się z Deotymą i wypracował wielce obszerne studyum nad charakterem jéj talentu poetyckiego, — napisał Kaczkowski do roku 1854 niemal dwie trzecie części wszystkich dotąd znanych powieści swoich. Poczęto mu wtedy zarzucać, podobnie jak Syrokomli, że zbyt pośpiesznie macha piórem, że skutkiem tego wyrabia się w pisarzu zbytnia obfitość słowa biorąca górę nad myślą, że tu i owdzie dostrzegać się nawet daje niejakie zaniedbanie formy zewnętrznéj. Była bez wątpienia część jakaś prawdy w zarzutach robionych jednocześnie powieściopisarzowi i poecie za skutki pośpiechu — rozwodzistość i niecyzelowanie szczegółików; nie było jednak słuszności w zarzucie głównym — oskarżaniu za sam pośpiech. Szybsza lub powolniejsza działalność umysłowa nie zależy od chęci chwilowéj piszącego, lecz od natury jego umysłu i summy wpływów z zewnątrz odbieranych. Największy gwałt sobie zadając, niepodobna ani przyśpieszyć, ani rozwinąć twórczéj produkcyi umysłu po za pewną właściwą mu granicę; również niepodobna jéj powstrzymać, gdy wyobraźnia rozgorączkowana domaga sie od artysty, by zdążał za jéj polotem. Choćby nie wiedzieć jak drogo przypłacić się tego miało, jak Ahaswerus iść się musi bez wytchnienia. Kondratowicz wątłéj nerwowéj budowy ciała, zapłacił za swój pośpiech życiem; Kaczkowski o wiele dzielniejszego organizmu, spłacił należność tylko niemocą.

Podupadnięcie na zdrowiu i konieczność wytchnienia spowodowały wyjazd jego za granicę, gdzie bawił po parę miesięcy w Wiedniu, Dreźnie i Berlinie, a prawie rok cały w Paryżu. W podróżach tych poznał wszystkie znakomitości polskie przesiadujące za granicą: Krasińskiego, z którym parę tygodni przepędził w Heidelbergu, Lelewela, dla którego dwa tygodnie bawił w Brukselli, Mickiewicza i Bohdana Zaleskiego w Fontainebleau, Morawskiego, Kaplińskiego i wielu innych. Zapoznał się téż z niejedną znakomitością zagraniczną, a zwłaszcza pozawierał liczne stosunki towarzyskie i literackie w Paryżu. Villemain, Thiers, Quinet, Bibliophile Jacob i inni, zajmujący najpierwsze stanowiska w literaturze francuzkiéj, darzyli młodego pisarza polskiego życzliwością. W liczbie nowych znajomych byli także Aleksander Dumas ojciec, Dumas syn i Edmund About, którzy to dwaj ostatni właśnie dopiero wtenczas byli wystąpili ze świetném powodzeniem na polu powieściopisarstwa we Francyi. Nie wiemy czy owo ich powodzenie w powieści obyczajowéj współczesnéj nie skierowało Kaczkowskiego w regiony podobnych opowiadań; dość, że po drobnych obrazkach młodzieńczych, w tym dopiero czasie ukazały się dwie pierwsze obszerne jego powieści współczesne: *Dziwo-Żona* i *Wnuczęta*, dopiero zaś w kilka lat potém wystąpił na scenę *Bajronista*, a znowu w lat kilka *Rozbitek* i *Żydowscy*. Bądź co bądź, podróż

zagraniczna Kaczkowskiego nie mogła pozostać bez korzystnej wpływu na jego umysł wrażliwy, umiejący podpatrywać i oceni zjawiska. Już samo odwrócenie oczu od Galicyi, rozerwanéj po dobnie jak dzisiaj na dwa nieprzejednane obozy skrajnych zach wawców i skrajnych przerabiaczy społeczeństwa, przypatrzenie si tęczowemu cieniowaniu stronnictw w narodach oświeceńszyc i dojrzalszych do używania samorządu, było nielada nabytkie Porównywanie tego co widziało się w domu, z tém co się spot kało u obcych, otwierało myślicielowi nowe widoki, artyście no dawało kolory. Jakoż w istocie nawet w powieściach na tle w padków konfederacyi barskiéj snowanych po r. 1854, nie trudn dojrzéć odbicia wrażeń owéj podróży zagranicznéj...

Atoli drogi raz przez umysł wydeptane, nigdy się nie zac rają w zupełności późniejszemi wrażeniami, i myśl częstokroć pr wie bezwiednie biega po nich w samotném dumaniu, aż zno całego człowieka pociągnie za sobą w dawne znajome okolic Kaczkowski, który był pierwéj zaniechał pisarstwa historyczneg dla powieści, powróciwszy z obczyzny zamknął się znowu w sw Bereźnicy w Sanockiém, i znów się oddał badaniom historyczny z zamiarem przejścia od powieści na pole dziejopisarstwa. Jak jedyna podówczas napisana jego powieść: *Sodalis Marianus*, no widoczne ślady tego zamiaru. Nie uszło to bystrego wzroku Kr szewskiego, bo pisząc o téj powieści, dobitnie scharakteryzował słowami: „że nie wie co czytał, czy historyę, czy powieść.“ Lecz i przeniesienie się w czasy przed-barskie, za które przedtém niedalek wybiegał, jeszcze nie wystarczało umysłowi, który zapragnął ro wikływania najtrudniejszych zagadek historycznych. Kaczkows oddał się studyowaniu czasów bolesławowskich, i jako owoc tyc poszukiwań napisał dzieło: *Kobieta w Polsce*, o którém już pow żéj była wzmianka, a którego całości, każdy kto czytał część jeg ogłoszoną, z upragnieniem wyglądać musi. Można z niéj było r kować, iż „w obrazowaniu“ historyi krajowéj przybędzie nam dru Szajnocha.

Nieprzewidziane jednak wypadki pokrzyżowały dziejopisarsk plany i zamiary Kaczkowskiego. Pierwszym z tych wypadków który go w inną odwrócił stronę, był nowy ruch niby literack a w gruncie społeczny, który około początku roku 1860 począł s coraz jaskrawiéj uwydatniać we Lwowie. Zasiew jego datował c lat nieco dawniejszych, i objawiał się w głuchym antagonizmi między zachowawczym Krakowem a nową postępową „stolicą Ga licyi i Lodomeryi.“ Wszakże dopiero w tym czasie ruch pocz przybierać takie rozmiary i taki charakter, że ludzi zdrowo myśl cych musiał przestraszyć i do odporu pobudzić. Ponieważ dąże niom krańcowym nie sprzyjały najpoważniejsze umysły, a te miał głos i posłuch u publiczności, chwycono się tedy środka, któr tylko niedojrzałość polityczna i niewybredność towarzyska posze pnąć mogła. Każdy kto wierzył i myślał inaczéj, kto ważył oko

zności i chciał w sposób *możliwie* najlepszy z nich korzystać, głaszany był za głupca, a kiedy niekoniecznie temu wierzono, częto przeciwników obwoływać jako odstępców i nie wiedzieć kich jeszcze zbrodniarzy. Ludzie najpoważniejsi i najzasłużeńsi kraju wyprowadzani byli kolejno „pod pręgierz opinii publicznéj“ i spychani z Tarpejskiéj skały, by opróżnili miejsce dla kiewnikow téj opinii, o których zasługach nie wiedziano do téj pory, o talentach do przewodniczenia społeczeństwu słyszano tylko po wiarniach. W krajach gdzie opinia publiczna jest wyrobiona, dzie stronnictwa polityczne mają racyę bytu i wiedzą gdzie idą, kie zjawisko albo całkiem byłoby niemożliwe, albo jako rzecz arna mogłoby być puszczane mimo uszu. Przykładem Anglia swojemi staremi swobodami i swojemi staremi stronnictwy. Ale aczéj bywa tam, gdzie głos opinii zwichnięto, a zadaniem każdego ronnictwa stało się nie prowadzenie kraju ku coraz większéj poyślności, lecz panowanie nad innemi stronnictwami, jak to wiimy we Francyi, z któréj od dawna nie zawsze dobre braliśmy zory. Tu dla Rochefortów wdzięczne otwiera się pole, a ich *atarnie* mogą liczyć na wziętość i skutek. W obec więc takiego jawu i niebezpieczeństwa na gruncie galicyjskim, pisarze poważni dobréj wiary skupili się w zastęp, i od marca 1860 r. zaczęli wyawać pismo tygodniowe p. t. *Kółko Rodzinne*, którego zadaniem iało być przeciwdziałanie gorączkowym i krzywym prądom. W piśmie tém wydawaném pod redakcyą Jana Zacharyasiewicza Aleksandra Szedlera, oprócz artykułów pisanych przez redaktow, znajdujemy prace: Balińskiego Karola, Bielowskiego Augusta, Lenartowicza Teofila, Łozińskiego Walerego, Małeckiego Anoniego, Pajgerta Adama, Pilata Stanisława, Pola Wincentego, upińskiego Józefa, Szajnochy Karola, Wagilewicza Jana, Widmaa Karola i Zawadzkiego Władysława. Te nazwiska dostatecznie rzekonywają, że na stronie opinij wyznawanych przez *Kółko Rodzinne* stał hufiec ludzi, którzy byli lub są po dziś dzień prawdziwą ozdobą piśmiennictwa krajowego.

Kaczkowski odszukany w swojéj Bereźnicy i wezwany do współudziału, przyłączył się do tego grona obywatelskiego i jego programatu. Jakoż odłożywszy chłodne badania historyczne na stronę, począł pisać do *Kółka* krótkiemi rapsodami powieść p. t. *Żydowscy*, drukowaną we wspomnioném czasopiśmie od dnia 17 kwietnia 1860. Była to „kronika rodzinna“ szlacheckiego domu Żydowskich herbu Grabie, prowadzona po nici tradycyi od wieku XIII aż do ostatniéj chwili, w któréj symboliczny „Walenty Wichr“ wkręcił się między poróżnioną, lecz szukającą zgody rodzinę, by wyprawić wśród niéj awanturę, właśnie odgrywającą się rzeczywiście we Lwowie. Powieść ta najmniéj artystyczna ze wszystkich utworów Kaczkowskiego, kreślona grubemi rysami w celu robienia propagandy, poruszała jednak najważniejsze zagadnienia społeczne, głosem mocnego przekonania nawoływała do powściąg-

liwości i służby poczciwéj sprawie, a tak boleśnie choć spokojnie uderzała w samo jądro rozterki, że stała się przedmiotem ogólnéj ciekawości, rozpraw, pochwał i zarzutów. Nie była to już powieść, ale manifest całego stronnictwa w obsłonce artystycznéj.

Ledwie się jednak ta ostatnia już powieść Kaczkowskiego pisać poczęła, przytrafiła się okoliczność domowa, która w połączeniu z ową publiczną spowodowała odwrócenie się może już na zawsze od wyłącznego rozpamiętywania przeszłości z rylcem dziejopisarskim w dłoni. Przyjechała do Bereźnicy siostra autora *Żydowskich* Honorata, która zachorowawszy na suchoty i opuszczona przez lekarzy, chciała ostatnie dni życia z bratem przepędzić. Była to panna bardzo wysokiego ukształcenia, wzniosłego umysłu, szlachetnych i czystych uczuć serca, szanowana i wielbiona w szerokiém sąsiedztwie, któremu znana była z niezmordowanego poświęcenia. Zygmunt Kaczkowski był do niéj nadzwyczaj żywo przywiązany, — a widok jéj cierpień zbliżających ją z każdym dniem do grobu, widok jéj spokoju i rezygnacyi, przez całe trzy miesiące duszę jego rozdzierał. Nareszcie d. 8 lipca 1860 chora przeniosła się do wieczności, a w parę dni po pogrzebie Kaczkowski opuścił Bereźnicę, ze stałym zamiarem, że nigdy tam nie wróci. Jakoż do dziś dnia nie miał odwagi zbliżenia się do grobu ukochanéj siostry.

Opuszczenie Bereźnicy nader sprzyjało większemu oddaniu się sprawie, któréj kolory nosiło *Kółko Rodzinne*. Myśl zgromadzenia poważnego zastępu roztropnych patryotów i rozwinięcia sztandaru umiarkowania, zyskała była już w Galicyi bardzo wielu wyznawców. Myśl ta okazała się témbardziéj na czasie, ile że *Kółko Rodzinne* wywołało było w obozie przeciwnym wielce żywe objawy oppozycyi przeciwko jego kierunkowi. Za ukazaniem się *Żydowskich* Kaczkowskiego, Kornel Ujejski, poeta znakomity, myśliciel mniéj głęboki, a statysta zbyt bujnego polotu, wystąpił w *Dzienniku Literackim* z szeregiem artykułów krytycznych, w których zasady i dążenia wypowiadane w rzeczonéj powieści, niemal numer po numerze roztrząsano i zbijano. Była to polemika jakich mało mamy w literaturze polskiéj, polemika na wielkie rozmiary, obejmująca kwestye najżywotniejsze, prowadzona z jednéj strony z zapałem przechodzącym w zaciekłość, z drugiéj ze spokojem olimpijskim i całą towarzyską układnością. Przypominało to nieuprzedzonemu oku owe rafy rumszyskie na Niemnie, opiewane przez poetę, w których „ani się wzruszy skała w ziemię wryta, ani jéj rzeka ustąpi koryta.“ Zdarzyło się jednak, co w walkach podobnych nader rzadko się trafia, iż pewnego dnia Ujejski poruszony do głębi nowym ustępem powieści Kaczkowskiego, w następnym artykule swoim uchylił czapki przed uczuciami i przekonaniami przeciwnika. Był to wymowny dowód dobréj wiary szermierza przeciwnéj strony, ale świadczył zarazem, iż działający z głębi przekonania, niełatwo da się od niego odprowadzić, jeżeli w ogóle

teoryé z uczuć wyrastające przekonywaniem rozumu obalać się dają. Ujejski powrócił do bezwzględnéj oppozycyi, a popierany przez Dzierzkowskiego, Ziemiałkowskiego, Rapackiego, Dobrzańskiego, stanowił siłę prawdziwie niebezpieczną. Widziano, że kółko kilkunastu literatów i tygodniowe pismo niepolityczne nie może stanowić dostatecznéj przeciwwagi prądowi, o którym trzymano jak o Walentym Wichrze: „On gdzieś leci na oślep, a zabij go jeśli wie gdzie...“ Musiano tedy pomyśléć o skojarzeniu silniejszego zastępu i założeniu organu, mogącego z większą swobodą i ostrzejszą bronią nacierać na przeciwnika. Jakoż Zygmunt Kaczkowski, Adam książę Sapieha, Seweryn Smarzewski i Ludwik Skrzyński, porozumiawszy się z sobą, postanowili założyć przedewszystkiém we Lwowie dziennik polityczny, któryby nie spuszczając z oka interesów kraju, bronił zasad umiarkowania w rozwoju społeczeństwa. Postanowienie to wkrótce ostatecznie powzięto, a Kaczkowski niezwłocznie udał się w drogę dla porozumienia się z dalszymi rodakami, wyznającymi te same co on przekonania społeczne. W grudniu 1860 powrócił do Lwowa. Znalazł tam już grono składające się z siedmdziesięciu dwóch obywateli, którzy mieścili pomiędzy sobą niemal wszystko, co odznaczało się w kraju imieniem, majątkiem, nauką, talentem lub wysokiém stanowiskiem towarzyskiém. Byli w tém gronie między innymi wszyscy biskupi galicyjscy, uczeni i znakomitsi pisarze miejscowi. Zawiązano wówczas stronnictwo polityczne, a jako jego sztandar widomy, założono dziennik p. t. *Głos*. Dyrekcyę tego dziennika powierzono Kaczkowskiemu.

Głos zaczął wychodzić z początkiem stycznia 1861 r., w czasach wielce nieprzyjaznych dla głosu umiarkowania i rozwagi. Godzina ścisłego sądu historycznego jeszcze dla tych czasów nie wybiła, a nie chcemy grzeszyć pospolitą w nieszczęściu przywarą zwalania winy na drugich, by nam samym nie dogryzało sumienie. Krótko więc powiemy, że polemika zawiązana między zastępami *Kółka Rodzinnego* i *Dziennika Literackiego*, bynajmniéj nie nadwątlała za ukazaniem się *Głosu*, lecz i owszem dosięgła najwyższego szczytu rozdraźnienia i nieposzanowania cudzych przekonań. Nie przeszkadzało to jednak Zygm. Kaczkowskiemu występować bez kirysu na ulicy i na kartach swojego dziennika. Nie wiadomo do czegoby przyszło nareszcie, gdyby rząd p. Schmerlinga, z pobudek dotąd należycie niewyjaśnionych, nie postarał się położyć końca sporom w sposób dosyć oryginalny. Nie poczytano za niebezpiecznych tych, którzy głośno występowali, ale tych właśnie, którzy pracując ze świadomością celu, spokojnie domagali się praw należnych prowincyi. W sześć miesięcy po wyjściu pierwszego numeru *Głosu*, pogrzebano go wyrokiem sądowym, a Kaczkowskiego uwięziono i skazano za zdradę stanu na pięć lat twierdzy. Było to w Lipcu 1861 r.

* * *

Z chwilą owego uwięzienia zamyka się zawód powieściopisarski i publicystyczny Kaczkowskiego. Z piórem się wprawdzie nie pożegnał na zawsze, lecz już go nie miał dla publiczności. Siedząc w więzieniu u Brygidek we Lwowie, pisał w roku 1862 rozprawę: *O wartości źródeł rękopiśmiennych i ustnych tradycyj do historyi drugiéj połowy XVIII wieku;* ale dał ją dopiero do obecnego wydania pism swoich, po dwunastu latach ukrywania w tece. Pracował też daléj nad studyum historyczném: *Kobieta w Polsce*, i jeżeli się nie mylimy, ukończył je nawet w całości; dotąd jednak praca ta pożądana nie wyjrzała na światło dzienne. W kilkunastoletnim przeciągu czasu, zjawiła się zaledwo jedna niewielka broszura Kaczkowskiego, a i to według własnych słów autora była „rzecz osobista." Możemy tedy na tym punkcie zamknąć obraz działalności pisarskiéj autora *Murdeliona*. By zaś czytelnikowi dać możność obejrzenia całości tego obrazu, zamieszczamy tu spis chronologiczny wszystkich jego utworów. Składamy przytém dzięki o. Karolowi Estrejcherowi, bibliotekarzowi książnicy Uniwersytetu Jagiellońskiego, za pomoc nam wyświadczoną w zebraniu wiadości, zwłaszcza o pracach Kaczkowskiego zamieszczanych w mało dostępnych dla nas czasopismach galicyjskich.

Utwory drukowane Kaczkowskiego, poczynając od roku 1845, w którym po raz pierwszy wystąpił na widownię, idą w następnéj kolei:

O czém marzyć? poezya (W *Dzienniku Mód Paryzkich*. Lwów 1845 r.).

Uwagi nad moralnemi chorobami: Gorączka dowcipowa. (Tamże, tegoż roku).

Parafianizm. (Tamże, t. r.).

Tuz, powiastka. (Tamże t. r.).

Uwagi nad moralnemi chorobami: Zapalenie szlachetnéj strony serca. (Tamże, 1846 r.).

Wspomnienie K. Dydyńskiego. (Tamże, 1848 r.).

Wspomnienienie p. Boguszowéj. (Tamże, t. r.)

Fantazya. (Tamże, t. r.).

Do Wieszczów. (Tamże, t. r.).

Obrazek. (Tamże, t. r.).

Rendez-Vous, poezya, i inne artykuły. (W *Tygodniku Polskim*, Lwów, 1848).

Współredaktorstwo *Krzyża a Miecza*. (Lwów, 1848).

Niniwa, obszerniejszy poemat wierszem. (W *Pamiętniku Literackim*, Lwów, 1850).

Herburt, poezya. (Tamże, t. r.).

Dwie gwiazdy. (Tamże, t. r.).

Zapomniani. (Tamże, t. r.).

Sielanka. (Tamże, t. r.).

Dwa pokolenia, początkowe sceny dramatu. (Tamże, t. r.).

Braciszek, powtórzone wspomnienie. (Tamże, t. r.).

Rozbiór powieści „Wczoraj." (Tamże, t. r.).

O walkach umysłowych. (Tamże, t. r.).

O powołaniu pism czasowych. (Tamże, t. r.).

Rozbiór powieści: „Grzechy powszednie." (Tamże, t. r.).

O kazaniach i kaznodziejach. (Tamże, t. r.).

O przesadzie w pojęciach — krytyka Słowackiego i Krasińskiego. (Tamże, t. r.).

Ocena dzieła: „Obrazy z Życia" Celarskiego. (Tamże, t. r.).

Rozbiór dzieła: „Les Enfants de l'amour" Sue'go. (Tamże, t. r.).

Dziedzic Strwiążyka, powieść niedokończona. (Tamże, t. r.).

Domek rodzinny, poezya. (W *Tygodniku Lwowskim*, 1850).

O nierozumie. (Tamże, t. r.).

Kato, powiastka. (W *Czasie*, Kraków 1851).

Manim i Papin, powiastka. (W *Czasie??* 1851).

Rozprawa o malarstwie. (?? 1851).

Bitwa o Chorążankę, obrazek z XVIII wieku, z rękopismów. *(a.* W *Czasie*, Kraków 1851. *b.* Tamże odbitka nakładem Czecha 1852; 12-o str. 50. *c.* W Petersburgu w zbiorze *Ostatni z Nieczujów*, t. I, 1853).

Kasztelanice Lubaczewscy, powieść ostatniego z domu Nieczujów. *(a.* W *Czasie*, Kraków 1851 i 1852. *b.* Tamże odbitka nakładem Wilda 1852; 16-o str. II i 130. *c.* W Petersburgu w zbiorze *Ostatni z Nieczujów*, t. VI, 1855).

Pan Bal, powieść. (W *Gazecie Lwowskiéj*, 1852).

Żądza dziedzictwa, powieść. (Tamże, t. r.).

Swaty na Rusi, powieść. *(a.* W *Gazecie Lwowskiéj* 1852. *b.* W Petersburgu w zbiorze *Ostatni z Nieczujów*, t. I, 1853).

Bitwa pod Widawą, powiastka. (W *Dzienniku Literackim*, Lwów 1852).

Pan Franciszek Puławski. (W *Czasie*, Kraków 1852).

Adryanna Lecouvreur, oraz inne utwory dramatyczne przekładane dla sceny lwowskiéj. (Lwów, 1852 — nie wiemy czy były w owym czasie drukowane).

Murdelio. *(a.* W *Gazecie Warszawskiéj*, 1852—1853. *b.* W zbiorze *Ostatni z Nieczujów* t. II i III, Petersburg 1853. *c.* Osobno z tego zbioru, tylko bez tytułu ogólnego, 1853).

Mąż szalony, powieść. *(a.* W *Gazecie Lwowskiéj*, 1853. *b.* W zbiorze *Ostatni z Nieczujów*, t. IV i V; Petersburg 1855).

Ostatni z Nieczujów, powieści. Tom I: Bitwa o Chorążankę, Junacy, Swaty na Rusi. Tom II i III: Murdelio. Tom IV i V: Mąż szalony. Tom VI: Gniazdo Nieczujów, Pierwsza wyprawa Pana Marcina, Kasztelanice Lubaczewscy. (Petersburg i Mohylów, nakładem B. M. Wolffa 1853—1855. 16-o, str. 319, 307, 387, 255, 277, 447).

Deotyma w Krakowie, list do Redaktora Gazety Warszaw-

skiéj. (*a.* W *Gazecie Warszawskiéj*, 1854. *b.* Odbitka w Warszawie 1854, 8-o kart 4 i str. 109).

Bracia ślubni, powieść z czasów Augustowskich. (*a.* W *Gazecie Warszawskiéj*, 1854. *b.* Przedruk nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu, czcionkami J. Jaworskiego w Warszawie, 1854. Tomów III; 12-o str. 573, 366 i 352).

Dziwo-Żona, powieść współczesna. (*a.* W *Nowinach*, Lwów 1854 i 1855. *b.* Oddruk nakładem H. W. Kallenbacha, Lwów 1855. Tomów IV; 8-o str. 250, 264, 198 i 196).

Wnuczęta, powieść współczesna. (Petersburg i Mohylów, nakład B. M. Wolffa, druk Korolewa i Sp. Tomów IV; 12-o, str. 260, 321, 280 i 271).

Bajronista, powieść współczesna. (*a.* W *Gazecie Warszawskiéj*, 1855 i 1856. *b.* W Wilnie nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego, 1857. Tomów III: 12-o, str. 347, 359 i 335).

Stach z Kępy, powieść z życia wiejskiego ludu. (*a.* W *Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych*, Warszawa 1856. *b.* Osobna odbitka nakładem *Kroniki*, Warszawa 1856, 16-o str. 332).

Starosta Hołobucki, powieść z czasów Stanisława Augusta, podług opowiadania JMPana Nieczui. (*a.* W *Gazecie Warszawskiéj*, 1856. *b.* Osobne wydanie, nakładem i drukiem S. Orgelbranda w Warszawie 1857. Tomów III; 12-o str. 214, 217 i 260).

Annuncyata, powieść historyczna z czasów konfederacyi barskiéj. (*a.* W *Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych*, w Warszawie 1858. *b.* Odbicie osobne, nakładem S. H. Merzbacha, w Warszawie 1858. Tomów III; 12-o str. 414, 438 i 502).

Grób Nieczui, powieść. (*a.* W *Gazecie Warszawskiéj* z roku 1858. *b.* Osobne wydanie w Wilnie, nakładem i drukiem J. Zawadzkiego, 1858. Tomów IV; 12-o str. 342, 367, 268 i 278).

Sodalis Marianus, powieść historyczna ze starych ksiąg i papierów spisana. (*a.* W *Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych*, Warszawa 1858. *b.* Osobne wydanie nakładem Gebethnera i Wolffa, drukiem J. Ungra w Warszawie, 1859. Tomów V; 12-o str. 264, 222, 334, 238 i 257. *c.* Resztka egzemplarzy powyższego wydania, z nowym tytułem i datą 1866, jako „wydanie wznowione").

Kobieta w Polsce, studyum historyczno-obyczajowe. (*a.* W *Bibliotece Warszawskiéj* 1860. *b.* Osobno w Żytomierzu, nakładem księgarni spółkowéj p. f. Hussarowskiego, 1862. Tom I w dwóch częściach: XLII i 1—230, oraz 231—448. Zapowiedziane były trzy tomy).

Żydowscy, kronika rodzinna. (*a.* W *Kółku Rodzinném*, we Lwowie 1860. *b.* Tamże przedruk osobny nakładem F. H. Richtera, drukiem Manieckiego, 1862. Tomów II; str. 252 i 288).

Rozbitek, powieść na tle wypadków galicyjskich. (Wilno, nakładem i drukiem A. H. Kirkora, 1861. Tomów III; 8-o str. 247, 261 i 259. Powieść ta napisana znacznie pierwéj, była prze-

znaczona przez autora do *Teki Wileńskiéj* redagowanéj przez Kirkora. Gdy *Tekę* w r. 1858 zamknięto, Kirkor ogłosił dzieło Kaczkowskiego osobno).

Redakcya *Głosu*. (Lwów, 1861).

Rewolucyjne sądy i wyroki. Rzecz osobista, przedstawiona przez Z. K. (Paryż i Wiedeń, nakładem autora, 1866. 8-o str. 87).

Listy o delegacyi galicyjskiéj T. Czapli z Krakowa do Feliksa Żółcińskiego w Poznańskiém. (Kraków, w drukarni uniwersyteckiéj, 1869. 8-o str. 51.) Jedni autorstwo téj broszury przypisują Zygmuntowi Kączkowskiemu, drudzy zaś Flor. Ziemiałkowskiemu.

Prawie wszystkie drobniejsze powieści Kaczkowskiego przełożono na język czeski, chorwacki i serbski, i ogłaszano w czasopismach prazkich, zagrzebskich i białogrodzkich. Na język rossyjski przetłómaczono *Murdeliona* (1864), *Wnuczęta* (1869), oraz *Rozbitka*. Tę ostatnią powieść tłómaczył téż St. Szumlański na język francuzki, i miał już niemal ukończoną, gdy nagła śmierć tłómacza przerwała pracę. Tęż samą powieść tłómaczyła w skróceniu na język angielski pani S. St. Edwards; przekład miał wyjść w Edynburgu, i były już odbite trzy pierwsze arkusze, ale czy całość się ukazała, nie wiemy. *Dziwo-Żonę* przełożył na język niemiecki baron Paümann; inni Niemcy tłómaczyli pomniejsze utwory i zamieszczali w czasopismach. Zresztą wszystkie niemal powieści Kaczkowskiego noszą stempel tak wyraziście narodowy, że niełatwo uczynić je dostępnemi dla cudzoziemców.

Chwila, w któréj Zygmunt Kaczkowski wystąpił na widownię historycznego powieściopisarstwa polskiego, nacechowana była u nas niezmiernie rozwiniętym krytycyzmem literackim, pod którym się ukrywał i w którym wypowiadał wszelki inny, obudzony przesileniem rewolucyi lutowéj, a niemający danego sobie otwartego upływu. Recepta na krytyka była naówczas nie taka jak później, a trudniejsza do wykonania: zaczynano zwykle od pracy samodzielnéj i przysłuchywania się sądom o niéj, a potém dopiero, gdy ogień doświadczenia zwycięzko przebyto, ośmielano się na sąd o pracy innych, Pomimo tego, ponieważ szańce literackie roiły się pracownikami, więc i na takich nie zbywało, którzy z osiwiałém doświadczeniem hetmańskiém, a już co najmniéj po dosłużeniu się złotych rycerskich ostróg, zasiadali na krześle sędziowskiém, by wyrokować o talentach i wprawie harcerzy wchodzących w szranki. Kaczkowski był w tym względzie szczęśliwszy od wielu; miał bowiem liczne grono sędziów poważnych i doświadczonych w zawodzie, któremu sam się oddawał, kreślących dlań rady osłodzone własnemi niepowodzeniami, niosących wyrazy uznania bez względu na swoją miłość własną autorską. Wyjątki w téj

mierze były nieliczne, i pochodziły niemal wyłącznie ze stronniczych uprzedzeń politycznych, stojących po za przedsionkiem sztuk pięknych. Rozbierali pisma Kaczkowskiego: Michał Grabowski, Lucyan Siemieński, Józef Ignacy Kraszewski, Józef Korzeniowski, Zenon Fisz, Antoni Marcinkowski, Józef Dzierzkowski, Władysław Zawadzki, Stanisław Koźmian, Andrzéj Koźmian, Apollo Korzeniowski, Ludwik Kondratowicz, Antoni Pietkiewicz, Karol Szajnocha, Julian Bartoszewicz, Aleksander Tyszyński i kilku innych. W pismach rossyjskich podawali sprawozdania rozmaici, ale głównie Sękowski i Wiesiołowski; w pismach niemieckich J. Nordmann i inni. Lata 1854 i 1855, następujące po najpłodniejszym okresie twórczości artystycznéj Kaczkowskiego, były najobfitsze w sprawozdania po pismach krajowych i zagranicznych. Oto zresztą choć niezupełny spis artykułów ważniejszych, poświęconych rozbiorowi pism Kaczkowskiego:

1854. W zeszycie lutowym *Biblioteki Warszawskiéj* sprawozdanie Aleks. Tyszyńskiego z powodu ukazania się zbioru Powieści Ostatniego z Nieczujów.

Z powodu tegoż zbioru Luc. Siemieński napisał w NN. 105, 109, 115 i 116 *Czasu* obszerną rozprawę, w któréj ocenia ważność tradycyi, charaktery w romansie i specyalne tradycye sanockie u Kaczkowskiego.

W NN. 20—21 *Dziennika Literackiego* Stan. Pilat napisał rozprawkę: Czego żądamy od powieści jako utworu estetycznego?

W N. 45 *Dziennika Warszawskiego* jest porównanie powieści Kaczkowskiego z „Pamiątkami Starego Szlachcica Litewskiego.“ Tamże artykuły M. Grabowskiego i J. Bartoszewicza w NN, 237, 278—281.

W *Gazecie Codziennéj* NN. 164—168 dwa listy Mich. Grabowskiego o stanowisku powieści historycznéj u nas i o Zygmuncie Kaczkowskim. Najważniejsze ze wszystkiego co pisano z powodu autora „Braci Ślubnych.“

W *Gazecie Warszawskiéj* N. 15 artykuł Ant. Pietkiewicza. W N. 104 A. Marcinkowski ocenia „Braci Ślubnych.“ W N. 223 L. Kondratowicz zastanawia się nad powieściami Kaczkowskiego z powodu recenzyj Grabowskiego i Bartoszewicza w „Dzienniku Warszawskim.“

W *Nowinach Lwowskich* NN. 1 — 3, 15, 16, 72 i 73 rozbiory J. Dzierzkowskiego.

1855. W *Bibliotece Warszawskiéj*, w zeszycie lipcowym, rozprawa L. Jakubowskiego o powieściach Kaczkowskiego.

W *Dzienniku Warszawskim* artykuł F. H. Lewestama o Kaczkowskim w N. 15 z powodu „Męża Szalonego“ i „Wnucząt.“

W *Gazecie Warszawskiéj* artykuły Zen. Fisza, w N. 16, 47, 145, 238, 248 z przerwami do 280. Ocenia tu między innemi „Męża Szalonego“ i „Wnuczęta,“ oraz polemizuje z L. Jakubowskim.

W *Nowinach Lwowskich* rozbiór „Wnucząt.“

1856. W *Dzienniku Literackim* rozbiór „Starosty Hołobuckiego.“

W *Dzienniku Warszawskim* NN. 54 — 57 And. E. Koźmian rozwodzi się nad powieściami Kaczkowskiego, a zwłaszcza nad „Bajronistą.“

1857. W *Dzienniku Literackim* NN. 14 i nast. rozbiór „Stacha z Kępy.“ Tamże w NN. 43—46 sprawozdanie Dzierzkowskiego z „Bajronisty.“

W *Rozmaitościach* lwowskich ocena „Stacha z Kępy“ przez K. Szajnochę.

1858. W *Dzienniku Literackim* NN. 14 — 18 rozbiór „Grobu Nieczui“ przez Dzierzkowskiego. Tamże w NN. 20—23 rozbiór „Annuncyaty“ przez Wład. Zawadzkiego.

1859. W *Gazecie Warszawskiéj* J. I. Kraszewski pochlebnie ocenia powieść „Sodalis Marianus.“ Sprawozdanie to powtórzono w *Dzienniku Literackim* N. 41 tegoż roku.

1860. W zeszycie marcowym *Biblioteki Warszawskiéj* znajduje się ocenienie ogólne zawodu powieściopisarskiego Zygmunta Kaczkowskiego, oraz wyliczenie dzieł jego.

W *Dzienniku Literackim* K. Ujejski prowadził polemikę z powodu „Żydowskich.“

Mając na celu nie rozległe i trudne ocenienie całéj rozciągłości zawodu Kaczkowskiego, lecz daleko skromniejsze i dostępniejsze wśród codziennych kłopotów dziennikarskich zebranie wiązki materyału dla ułatwienia czytelnikowi słusznego sądu o pisarzu— tém bardziéj nie będziemy tu się wdawali w drobiazgowe krytykowanie krytykujących. Zarzucano naszemu autorowi pośpiech i niewykończenie z pewną słusznością co do niektórych utworów; zarzucono mniéj słusznie zbyt czarne malowanie stosunków społecznych w powieściach współczesnych; zarzucano całkiem niesłusznie przesadzone jakoby idealizowanie przeszłości w powieściach historycznych. My, nie zamykając oczu na niektóre przypadkowe usterki treści i formy dzieł Kaczkowskiego, trzymamy w ogóle z tymi, którzy za nim się ujmowali, a których było więcéj liczbą i znaczeniem od przeciwników. Sądy ich w barwnym obrazie poetyckim streściła Deotyma, dedykując Kaczkowskiemu w r. 1860 swój poemat *Sobieski pod Wiedniem:*

Ty wiesz, ty czujesz, czém jest przeszłość nasza,
Gdzie sosny wspomnień pod śniegami gwarzą,

I gdzie tłum podań z kryształową twarzą
Do chatki serca przechodnia zaprasza.
Ty wiesz, bo nieraz siadłeś u téj strzechy,
Z kubka pamięci piłeś miód pociechy;
A w samotności nie czułeś ponęty,
Nas wwiodłeś w progi domowych bożyszczy,
I dałeś czarę, na któréj dnie błyszczy
Obraz przeszłości zaklęty.

A nad tą chatką wznoszą się zamczyska,
Kędy poezya swe bluszcze rozpina;
A pod zamkami rzeka z łez połyska,
A z dwóch stron rzeki szeleści dolina,
Gdzie bielejący od grobów stuleci
Smętarz krwawemi różami się kwieci.
Twój duch nas wodzi w tych zamkach żałoby,
Groźnych posągów odżywia nam rysy,
I wielkie plemion okazując groby,
Czyta w pół-starte napisy.

Na głos młodzieńca, z pod białych kamieni
Powstają siwe karmazyny nasze;
Powstają z duszą silną jak pałasze,
Prostą jak skiba; powstają zdumieni,
Że nim zabrzmiała trąba archanioła,
Już głos człowieka do życia ich woła!...
Tobie więc święcę tę pieśń z dawnych czasów,
Różczka to liśćmi dwustu lat spowita;
Przyjm tę gałązkę z wawrzynowych lasów,
Któremi przeszłość zakwita...

* * *

Przesiedziawszy półtora roku w więzieniu, Kaczkowski wyszedł z niego za amnestyą cesarską w końcu roku 1862, ale do pracy literackiéj już nie wrócił; chwila zresztą nie była po temu. Chaotyczne wzburzenie umysłów w Galicyi nie dopuszczało głosu zimnego rozsądku, a Kaczkowski miał tyle samodzielnego sądu, że ważył się odwoływać do wyroków rozwagi. Posypały się więc na niego zaiste nie złą wolą, lecz uniesieniem dyktowane oskarżenia, jak się sypały wówczas na ludzi najwyżéj stojących w społeczeństwie, — a były tak uprzykrzone i natarczywe, że ujrzał się zniewolonym opuścić Galicyę. W Styczniu 1864 wyjechał za granicę, zostawiając na bożéj opiece dom na wsi, dom we Lwowie i ojca na łożu śmiertelném. Pojechał najprzód do Włoch, dla

spotkania się w Turynie z bratem swoim Walerym, który w rok później poległ w Meksyku. Następnie udał się do Paryża, gdzie jako w mieście z dawna sobie znajomém, stale zamieszkał. Nie usuwał się tam od rodaków, owszem był każdemu na usługi; kiedy zaś poczęło mu się nieco lepiéj powodzić, dom jego stał się otwartym przybytkiem dla wszystkich, a kieszeń do rozporządzenia potrzebnych. Atoli razżalony na społeczeństwo, wśród którego za dobre jego chęci pojono go piołunem, nie miał dość woli i odwagi, by powrócić do pracy w piśmiennictwie krajowém. Oddał się studyom ekonomii politycznéj i skarbowości; później zaczął pisywać do dzienników francuzkich, angielskich i niemieckich. Wkrótce wyrobił sobie za granicą tyle uznania, iż zyskał wstęp do najwyższych sfer finansowych, i zaczął sam brać udział w operacyach pieniężnych. Niejakie powodzenia odniesione na tém polu, zniewoliły go do pozostania przy dorywczo obraném zajęciu, i teraz od lat ośmiu mieszka po trochu w Paryżu, częściéj zaś w Wiedniu, tu i tam pracując na polu finansowém...

Czyżby istotnie taki miał być koniec zawodu znakomitego pisarza polskiego? Mieliśmy już podobny przykład, i z tychże samych pobudek, na niezmordowanym badaczu Michale Wiszniewskim, iż struty zaszłemi w Krakowie wypadkami 1846 r., w których pragnął tryumf rozsądkowi zapewnić, zaniechawszy swéj pomnikowéj *Historyi Literatury*, opuścił kraj na zawsze i oddał się bankierstwu we Włoszech. Mamy jednak powody przypuszczać, że Kaczkowski, może nawet niezadługo, przestanie naśladować zaraźliwy przykład Wiszniewskiego. Są obowiązki, od których nie uwalniają ani doznane zawody, ani wycierpiane przeciwności, ani zatrucie się serca goryczą. Kiedy Eliasz strapiony uszedł był na puszczę z ojczyzny, Pan doń zawołał: „*Vade et revertere in viam tuam!*“ I powrócił.

Warszawa, 1875.

KONIEC.

DZIEŁA
ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

WYJDĄ W **11-u** TOMACH.

Ponieważ dzieła Kaczkowskiego nie mogły być ukończone w 10-iu tomach, przeto TOM JEDENASTY, dodaje się GRATIS.

CENA PRENUMERATY:

A) Dla prenumeratorów Tygodnika Illustr. lub Wędrowca:

w Warszawie: za tomów **11** Rs. **10**, w ozdobnéj oprawie Rs. **14** kop. **40**.

w Cesarstwie i na prowincyi (z przesyłką pocztową): za tomów **11** Rs. **11** kop. **10**, w ozdobnéj oprawie Rs. **16** kop. **50**.

B) Dla nieprenumerujących Tygod. Illustr. lub Wędrowca:

w Warszawie: za tomów **11** Rs. **20**, w ozdobnéj oprawie Rs. **24** kop. **40**.

w Cesarstwie i na prowincyi (z przesyłką pocztową): za tomów **11** Rs. **21** kop. **10**, w ozdobnéj oprawie Rs. **26** kop. **50**.

3 2044 094 986 841